PRZEGLĄD
LWOWSKI.

ROK PIĄTY

1875.

„. . . *Strenue igitur discutere perge tenebras errorum, liberalismum urge, eumque praesertim, qui moderationis velo obductus insano nisu verum cum falso, Christum cum Belial componere conatur*“...

„. . . Nie przestawaj więc rozpraszać ciemności błędów, na liberalizm nacieraj, a osobliwie na ten, który pod osłoną moderantyzmu chciałby w daremnem usiłowaniu fałsz z prawdą, Chrystusa z Belialem pogodzić“.

(Słowa OJCA ŚW PIUSA IX w trzecim liście do REDAKTORA *Przeglądu* z dnia 11 Października 1875).

Tom X.

WYDAWCA I REDAKTOR X. EDWARD PODOLSKI.

LWÓW.

NAKŁADEM REDAKCYI.

1875.

K-[cz] 7/88



04948

Z drukarni Ludowej we Lwowie, pod zarządem Stan. Baylego.

SPIS RZECZY

zawartych w tomie dziesiątym roku 1875.

Stronica

List Ojca Św. do Redakto a P zeglądu 547

Rozprawy

a) naukowe, historyczne i literackie.

Starożytność człowieka 570, 683, 759
Doktor Strauss i wojna przeciw księgom świętym w Niemczech 96, 153, 417, 558
Stefan Czarniecki (rzut oka na poemat Kajetana Koźmiana) . . 1
Czy Shakespeare był katolikiem? przez Kaź. hr. Stadnickiego . . 551
Ks. Piotra Skargi dwa listy własnoręczne 88
O reformie stosunków społecznych w Wielkopolsce 423
Walery Wielogłowski przez Ludwika hr. Dębickiego 15, 137, 343, 619, 781
Polska w chwili swego upadku przez Romualda Kaczyńskiego 207, 272, 361, 399, 475.
Z papierów szwedzkiego dyplomaty przez R. Kaczyńskiego . . 712
Miscellanea z nad Atlantyku: O wojnie Cezara w Galii, o Bretończykach i ich obyczajach w starożytności, o Druidach i dolmenach . . 508

b) religijne, polityczne i polemiczne.

Błogosławiona Małgorzata Marya 23
Uroczystość Serca Jezusowego w Krakowie 55
Rozbój w Chełmskiem przez O. Martynowa S. J. 29
Ojcowie Martinów i Gagaryn wobec zabiegów Rossyi w Watykanie . 215
Adela Spitzeder przez M. Żmigrodzkiego 233
Galicyjski liberalizm 279
Jan Baptysta Sigl przez M. Żmigrodzkiego . . . 412, 503
Listy do Redaktora *Przeglądu* w sprawie nabożeństwa Matki Serca Jezusowego 238, 459
Dr. Walewski i Akademia krakowska 466
W sprawie dyplomu doktorskiego pewnej przez liberalne dzienniki protegowanej osobistości. List ks. kan. Goliana do ks. Edw. Podolskiego . 321
Sobór Watykański i nauka niemiecka 606

Wspomnienia i opisy.

Z notatek osiemdziesięcio-letniego starca Litwina-Unity 100, 148, 283, 488 577, 629, 689, 765.

Stronica

Ksiądz na parafii pod rossyjskim rządem z zapisków ks. A. Tomickiego 221 289, 404, 493, 638, 700.
Obrazek z życia rossyjskich czynowników, przez ks. A. Tomickiego . 353
Sobańscy przez ks. A. Tomickiego 499, 634
Wspomnienia Napoleończyka. Ustęp z pamiętników pułkownika Gawrońskiego streścił K. Korabita . . . 81, 228, 694, 772
Sejm Polski w Ameryce 164
Świat i ludzie (z podróży przez Szwajcaryę) 170

Wiersze.

Bajki jenerała Franciszka Morawskiego 108, 162, 242
Wiersz M. Gawalewicza 301
Łódka Piotrowa 380

Przegląd naukowo-literacki i notatki bibliograficzne.

Monsigneur Miecislas Halka Comte Ledóchowski, Cardinal Archeveque de Gnesen et Posen par M*** przez Dra. N. 371
Titusa Macciusza Plauta Menechmy, przekładał i objaśnił ks. Dr. A. Kantecki przez Dr. *** 375
Opactwo pelplińskie napisał ks. Kujot przez Dr. *** 516
Wspomnienia z wygnania (1865—1874) hr. Z Kierdeja Poznań 1875. przez Dr. N. 523
Uczony, poemat B. Czerwieńskiego 602
Rzut oka na beneficya Kościoła ruskiego za czasów Rzplitej polskiej Dr. Izydora Szaraniewicza przez X. 604
Marie Stuart par. M. Chantelauze, fałszowanie historyi przez protestantów, nowe publikacye w Anglii, wyjaśniające sposób zaprowadzenia reformy. Pamiętniki. Słowacki i Szyller. ks. Skarga o Maryi Stuart. Nowa szkoła historyków polskich i Dr. Małecki o św. Stanisławie biskupie krak. przez Dr. N. 654
Król Jan Kazimierz więźniem, Jezuitą i kardynałem ks. Stanisława Załęskiego przez X. 663
Z powodu „Opactwa pelplińskiego" kilka słów odpowiedzi korespondentowi Gazety Toruńskiej Dr. *** 665
Proces królowej Jadwigi R. Maurera przez R. K. 669
Ma Mère, souvenir de sa vie et de sa sainte par Mgr. de Ségur Paris, chez Torla 718
Ein Opfer des Kulturkampfes oder Schicksale eines gesperrten und ausgewiesenen Priesters 720
Rapt de la Boukovine (Zabór Bukowiny) 721
Wspomnienia o duchowieństwie polskiem, znajdującem się na wygnaniu w Syberyi w Tunce przez E. z S. 208
Les droits de Dieu et les idèes modernes par l'abbè Chesnel, Vicaire gènèral de Quimper. Poitiers 158
Urwane akordy. Poezye St. G. 433
Filip Buonacorsi Henryka Zeisberga 378
Mistrz Twardowski Ernesta Świeżawskiego przez Dr. *** . . 380
P. Kraszewski i Polska w czasie trzech rozbiorów . . . 430

Stronica

Nowe wydanie pism Zygmunta Krasińskiego przez panów Gubrynowicza i Schmidta z przedmową hr. Tarnowskiego 797
La dauphine Marie-Josèphe de Saxe, mère de Louis XVI, par le P. Emile Regnault de la Compagnie de Jésus 803
Henri IV et l'eglise catholique, par M. l'abbé Féret, aumonier du Lycée Saint-Louis, Paris 804
Sieroty. Obrazek współczesny. Napisał ks. Wład. Chotkowski lic. św. Teologii 805
Über die palaeozoischen Gebilde Podoliens Dr. A. Altha . . 162
Rukovèt k dejinam literatury ceske do konce XVIII weku Józefa Ireczka 162
Zaklęte dzwony Władysława Bełzy 110
Studyum Dr. Romana Pilata nad *Bogarodzicą* 111
Przekład L. Siemieńskiego dramatu Bornier'a: *la fille de Roland* . 112
Rozprawa Dr. Liskego w przekładzie szwedzkim 112
Wojna Chocimska Wacława Potockiego 112
Zawsze oni Kajetana Suffczyńskiego 112
Roty przysiąg krakowskich z końca wieku XIV 112
Beiträge zur näheren Kenntniss der in dem Bajkal-See vorkommenden Krebse p. Benedykta Dybowskiego 112
Biografia Szymona Szymonowicza Bielowskiego 112
Krótki historyczno-statystyczny opis miast i wsi w dzisiejszym powiecie krotoszyńskim od najdawniejszych czasów, aż po 1794. Tom II. Józefa Łukasiewicza 431
Wielki Rabin Abraham Ronieckiego przez L. K. 432
Zaklęte skarby Bałuckiego, Wykład snów Góralczyka, Obrazki historyczne Grajnerta, Przewodnik po Krakowie 433

Listy.

a) z Wiednia.

VIII. Procesye jubileuszowe, a judaizm — Szlachta austryacka, a Don Carlos — Ciekawe procesa — Prokurator hr. Lamezan — *Volksfreund*, a wolność Kościoła — Zebranie katolików w Insbrucku — Obsadzenie wakujących biskupstw — Mania samobójstw — *Requiem* Verdi'ego — Cenny zabytek archeologiczny — Stowarzyszenie „Siła" — Gerhard Marossy — Nowe książki — Procesya w Wiedniu 38
IX. Kłamstwa liberalne — Fiasko t. z. *Reichspartei* — Procesye jubileuszowe — P. Stremayer — *Signa temporis* — Wybory w Węgrzech — Proces Dr. Sigla — Zmowa tkaczów w Bernie — Prawdziwy *gründer* — Zmarli — Cesarz Ferdynand 113
X. Zgon cesarza Ferdynanda, a koronacya — Jeszcze o wyborach w Węgrzech — Hr. Andrassy, a jego ajenci na Wschodzie — Zebranie katolików w Krumau — Ks. biskup z Lincu — Starokatolickie roboty — Stowarzyszenie szkolne — Resursa katolicka — Groby rzymskie — Drożyzna — Powodzie — Zakonnice z Prus — Książki 176

Stronica

XI. Włochy i Austrya — Książę biskup Pogacar — Zgromadzenie katolików w Prachaticach — Nieco o szkołach — Starokatolicy — Zdanie protestanta o dziennikarstwie katolickiem — *Volksfreund* — Dąsy profesorów w Pradze — Dostojni goście — Zamierzone publikacye — Probostwo dla Czechów — Książki . . . 243

XII. Dzienniki o zarządzie majątków kościelnych — Hercegowina, a liberalizm — *Kulturkamf* w Austryi — Uroczystość w Pradze, w Wiedniu, Dublinie — Don Alfons — *Słowo* — Namiestnik w Galicyi 302

XIII. Mgr. Jacobini — Buta liberałów i jej źródło — Odcienia konserwatystów — *Kulturkampf* w Austryi — Jubileusz ks. biskupa Strossmayera — Jezuita wynalazcą — Żydzi — hr. Andrassy — Delegacye 381

XIV. Ruch parlamentarny — Wiece katolickie i liberalne — Dr. Pogacar — Jubileusz ks. biskupa Strossmayera — Ksiądz Ranolder — Nieco o szkołach — Uroczystość Sedańska — Bank konserwatywny — Nowe książki 437

XV. Delegacye — Rada państwa — Kwestya socyalna i jej rozwiązanie — Ruchliwość stowarzyszeń katolickich — Zjazd przyrodników w Gracu — Nieco o uczciwości dziennikarskiej — Proces *Vaterlandu* — Sprawa kanonii u św. Szczepana — Nieco z *Kulturkampfu* — Starokatolicy — Dom missyjny austryacki — Dwuwiekowy jubileusz Urszulinek — Literacka spuścizna Dr. Costa — Z Tyrolu 527

XVI. Jeszcze o żydach — Z *Kulturkampfu* — Ze stowarzyszeń katolickich — Kwestya socyalna — Upadek przemysłu — Sprawa nowego katechizmu — Synod dyecezalny w Budziejowicach — List pasterski monsignora Dobrilla — Delegacye — *Collegium germanicum* w Rzymie — Epilog do zjazdu naturalistów w Gracu — Kościół św. Szczepana — Rada państwa — Zwrot w zapatrywaniach 582

b) z Wielkopolski.

VI. Ciekawe zjawisko w XIX w. — Pomnik Montalembertowi — Przodownicy *Kulturkampfu* w Parlamencie — Afirmacya przekonań — Zbliżenie i porażka — *Le Cocher de l'Europe* — Urszulanki — Służebniczki — Siostry miłosierdzia — Więzienia — Śp. kanonik Wojciechowski — Neoprezbyterzy — Ks. Łukowski — Biskupi — Obywatelstwo — Legalność pruska — Rok jubileuszowy — Lud wiejski — Wiece katolickie — *Orędownik* i Dr. Szymański — Ś. p. Dr. Libelt 48

VII. Pokrzepieni — W szeregach państwowych katolików — Grzywny — Ks. kanonik Kurowski i ks. prałat Koźmian — Okolice Książa i Kamionny — Parafie — Odpowiedź *Kuryera Dziennikowi* — Stanowisko Dr. Szymańskiego — Rok 1863 — P. Stanisław Koźmian — Ks. biskup Janiszewski 185

Stronica

VIII. Księża w więzieniach — Jego Eminencya kardynał-prymas — Ks. kanonik Kurowski i ks. prałat Koźmian — Ks. Enn i Ojcowie nowo-wyświęconych kapłanów — Broszura p. Kirchmanna — Dr Szymański i wiece — Hr. Łubieński — Książę R. Czartoryski — P. Szołdrski — Gostyń 311

IX. Odpusty — Lud — Świadek rozdzierającej serce sceny — Zakony — Filipini — Szczegóły statystyczne z przebiegu walki rządu z Kościołem — Wiece katolickie — Spółki pożyczkowe — Kółka rolnicze — Prasa: *Kuryer Poznański*, *Dziennik Poznański*, *Echo* i p. Dobrowolski — *Warta* — Kwestya żydowska i *Germania* — O Dawidzie Straussie 452

X. Proces ks. kan. Kurowskiego — *Jesus autem tacebat* — Judasze — Jeden nawrócony — Świeccy ludzie w konsystorzach — *P. Wyczyński* — P. prokurator von Dressler — Kogo czekać może Sedan? — Wyrok — Grabież majątków zakonnych — 50.000 dni — Talar u Niemców — Sprawa w Płużnicy — Kubeczak — Kick i Gołembiowski — *Omne trinum* — Lud uwięziony — Zwołanie sejmu — *Rednerliste* — Windhorst z Meppen — Mówcy katoliccy i *Kulturkampfu* — Mania stawiania pomników — *Pour le Roi de Prusse* — Posąg Arminiusza — Heine — Prototyp dyplomaty z Bismarkowskiej szkoły — Apologia Nerona — Spalenie Rzymu — Poppea i żydzi — *Germania* 591

XI. Przechodzenie majątków polskich w ręce niemieckie — Wybory w Lesznie — Wiece: w Gostyniu, Strzelnie i w Środzie — Księża Filipini — Kary pieniężne — ks. biskup Cybichowski, kan. Kurowski, kan. Koźmian, Poszwiński i dziekan Frieske — Podróże cesarza Wilhelma czynione w celu ustalenia pokoju, a ciągłe zbrojenie się Prus — Mowa prof. Mommsena — Armia francuzka na sposób Pruski — Słaby wzrost ludności we Francyi — Demoralizacyjny kierunek sceny niemieckiej — Tragedya Dahn'a: *Der König Roderick* — Gustaw Puttlitz — *Deutsche Rundschau* — Juliusz Rodenberg — Prof. Hippler o Koperniku — Odkrycia a historya — Bursztyn pod Lisboną 725

c) z Warszawy.

I. Z dnia 10 Września r. b. 445

II. Z „ 25 Października 643

d) z Krakowa.

I. Uroczystość Najśw. Serca Pana Jezusa — Matka Thalbot — Najprzew. ks. biskup Gałecki — Korespondenci *Dziennika Polskiego* — Krakowianie — Hasło króla Sobieskiego 68

II. Namiestnik — Objawy anarchii — P. Szujski i ks. Golian — *Szkice* — *Diabeł* i nowy dziennik — *Niewinni*, *Przed ślubem* i *Mieczysław II* p. Bełcikowskiego 732

e) z Monachium.

Stronica

I. Sejm Bawarski — Katolicy i liberały — Adres i ministrowie — Zarzuty i wołania — Proces Sigla — Zwycięztwo liberałów . 536
II. Dalsze sesye sejmu bawarskiego — Miasto i wieś — Biskup Speyern Haneberg i biskup Regensburgu Senestrey . . 597

Korespondencye „Przeglądu".

Z Przemyśla 63
Z Monachium 121
I. Z Paryża z d. 2 Sierpnia 1855 r. 253
II. Z Paryża „ 9 Sierpnia „ 254
III. Z Paryża „ 20 Sierpnia „ 316
IV. Z Paryża „ 8 Września „ 388

Mowy Ojca Świętego.

I. W odpowiedzi na adres włoskiej młodzieży katolickiej . . 125
II. Do szlachty rzymskiej 127
III. Do mieszkańców trzech parafij z Transtawere w końcu Lipca . . 334
IV. Do pątników z Laval w święto Narodzenia N M. Panny o prześladowaniu Kościoła 461
V. Do Wandejczyków i Prowantczyków w d. 14 Listopada . . 743

Różności.

Dziennik *Mail* o szczurach w Azyi wschodniej 109
Nowa lokomotywa wynalazku p. Mękarskiego 163

Kronika.

I Z polityki, kwestyj naukowych, religijnych i społecznych.

Obchód uroczystości Serca Jezusowego u nas, a w Rzplitej Ekwatorskiej . 77
Reskrypt cara Aleksandra II, pochwalający prześladowanie Unitów . 129
Zjazd przyrodników we Lwowie i pedagogów w Stanisławowie . . 194
Stuletnia rocznica urodzin O'Connella i mowa księcia Edmunda Radziwiłła 263
Okrzyk komunistów — P. Walewski — Hejże na katolików! . . 331
Charakterystyka XIX wieku — Sekciarze — Pomyłka przyjaciół czerwonego internacyonału 393
Kto sędzią niemoralnych zasad i trucizny — Dwa dekalogi — Przyszłość kraju 470
Kielnia i miecz — Kongres katolików we Florencyi 542
Owoce polityki utylitarnej 600
Rewolucya wobec Kościoła — List biskupa z Olindy . . . 670
Świętojurcy i Rzym 806

II Ze świata katolickiego.

Ceremonia inwestytury kardynała Mac-Closkey'a . . . 79
Pielgrzymki ludu wiejskiego do Rzymu w dzień św. Piotra . . 132

Stron.ca

Uczniowie kolegium polskiego na audyencyi u Ojca Św. w d. 15 Lipca . 198
Zbiorowe album ofiarowane Ojcu Św. 198
Dekret świętej Penitencyaryi 202
Karliści podług korespondencyi w gazecie *Pall-Mall* . . . 269
Uchwała zgromadzenia narodowego francuzkiego względem zakładania uniwersytetów katolickich 203
Wybory w Bawaryi i kanonik katedralny w Würzburgu ks. Hohn . 204
Jubileusz ks. biskupa Kettlera w Moguncyi 204
Statystyka starokatolików 270
Konfiskata pałaców i dochodów biskupich we Włoszech . . . 270
Nowi kardynałowie — Hierarchia katolicka w Grecyi . . . 334
Zemsta rewolucyonistów i Garcia Moreno 335
Finanse i rozboje we Włoszech — Polityka w karykaturze . . 333
Pielgrzymi z Lawal w Rzymie w d. 8 Września 395
Garybaldysta mordercą dzieci — Surowość życia Garybaldego . . 394
Pobyt kardynała Mac-Closkey'a w Wiecznem Mieście . . . 395
Missye w Afryce 472
Kreowanie w d. 17 i 23 Września sześciu nowych kardynałów — Mieszkańcy Watykanu — Pątnicy lwowscy do Rzymu 473
Dar hr. Werner de Merode uczyniony gminie rzymskiej . . . 534
Pątnicy polscy w Rzymie 543
Adres młodzieży katolickiej w Bononii do cesarza Wilhelma . . 611
Zaprosiny arcybiskupa medyolańskiego na ucztę, daną na cześć Wilhelma 611
Los bazyliki św. Franciszka z Assyżu 611
Pan Rogosz we włoskiej krainie 673
Ciągłe pielgrzymki do Rzymu 612
List Szacha perskiego do Ojca Św. 612
Pochwała zamordowanego Garcia Moreny 616
Nowa katedra katolicka w Londynie 618
Uniwersytety katolickie we Francyi 679
Ruch katolicki w Anglii 680
Nowi błogosławieni 749
Proces biskupów ks. Melchiora, ks. Eberharda i ks. Brükmanna . 754
Zwycięztwo liberałów w Bawaryi 676
Broszura hr. Arnima *pro nihilo* 754
Dzwon cesarski w Kolonii 617
Opactwo benedyktyńskie Bauron 757
Moralność w państwie włoskiem i kwestor Furyński — Szymon czarnoksiężnik, a Wiktor Emanuel 808
Fortuna Cavoura — Biskup z Vannes i woreczek z świętopietrzem — Baśń o kanonizacyi Maryi Antoniny — Małżeństwo protest. u Ojca Św. . 809
Mowy w radzie Państwa — Duchowieństwo i p. Sues . . . 810
Odezwa *Propagandy Wiary* do biskupów francuzkich — Karliści a liberali i biskup z Seu Urgel 811

III książki, broszury, dzienniki, pisma peryodyczne.

Dzienniki francuzkie o kościele Serca Zbawiciela 78
Kuryer Poznański o Ojcu Aleksandrze Jełowickim . . . 133

Stronica

Przekład *Czyśca* Dantego przez p, Grudzieńskiego w Paryżu . . 133
Poemat Lenartowicza *Wanda* przed cenzurą Warszawską . . 133
Czas o powieści Suffczyńskiego *Zawsze oni* 133
Geografia Galicyi p. Lucyana Tatomira, a arcybiskupstwo krakowskie . 135
Wiadomości kościelne o arcybiskupstwie ormiańskiem we Lwowie . 136
Kuryer Poznański o Unitach 197
Ziemia święta i Islam ks. Dr. Pelczara 205
Bukiet Haliny hr. Engeströma 205
Wieniec i Pszczółka, Echo poznańskie i konwulsyjne rzucanie się *Dziennika Polskiego* 336
Warta dowodząca, że u nas liberałów niema 337
Harmonies áu culte de la Très-Sainte Vierge Ks. Roche . . 396
Autor książki *Naśladowania Chrystusa Pana* 471
Journal de Debats o Ojcu Św. 471
Journal de Florence własnością Markiza des Baviera . . . 613
Dziełko margrabiego de Montemar 617
Deutsche Eisenbahn-Zeitung o carze Aleksandrze . . . 617
IX Tom dzieła Oskara Kolberga p. t. *Lud polski, jego zwyczaje, mowa, podania, przysłowia, zabawy, muzyka etc.* 617
Album Radziwiłłowskie 618
Artykuł „wymowa i poezya ksiąg świętych" w *Wiadomościach kościelnych* . 678
Wiestnik Europy o p. Lamie 753
Droits public et l'Europe moderne, Paris Artura de la Guéronière . 753
Rozprawa Klaczki p. t. *Dwaj kanclerze* 754
Książka księcia Chesnel: *Les Droits de Dieu et les Idées modernes. Poitiers, Oudin libraire* 755
Ruch literacki pod nową redakcyą 755
Sion o zatwierdzeniu statutów kapituł ruskich 755
Nowe ludowe pisemko *Gwiazda i Wieniec* ks. Stojałowskiego . . 756
Życie duchowne, Islam i Ziemia święta ks. Dr. Pelczara . . 757
Encyklopedya kościelna ks. Nowodworskiego 757
Rozprawa p. Tadeusza Żulińskiego p. t. *Wiara i wiedza* i dziełko mgr. de Ségur *un Hiver à Rome* 757
Przewielebny ks. prałat Król i jego powieść — Małe książeczki — Jaselka i *Szopka* ks. Soleckiego — Kalendarz *Chaty* . . . 813

IV Sprawy ojczyste, społeczne i rozmaitości.

Nabożeństwo za duszę śp. Libelta 78
Pogrzeb śp. Józefa Śmiechowskiego i *Dziennik Polski* o ks. Stanisławie Stojałowskim 79
Zemsta krzyżacka na redaktorze *Orędownika* 79
Adres obywateli wielkopolskich do Ojca Św. 79
Wniosek pp. Kamińskiego — Odprawa *Czasu* dana *Słowu* przez przytoczenie słów Koszelewa o carskiej cerkwi 131
Okładanie grzywnami księży poznańskich, a stanowisko *Dziennika Poznańskiego* 132
Ks. biskup Wincenty Popiel w powrocie do kraju . . . 132

Stronica

Ks. Załęski w Belgii 133
Gniew *Dziennika Pozn.* na *Przegląd*, oraz odpowiedź tego drugiego . 159
Skutki Darwinizmu — Sztuczki redaktorów *Dziennika Polskiego* — P. Rewakowicz po przejrzeniu się w lustrze i p. Omikron de Sabowski . 198
Ks. Kowalski i sprostowanie stowarzyszenia chóru w Brodach . . 200
Wypadki na Podlasiu budzą obawę na Litwie 203
Trąba morska w okolicach Hanoweru 205
Lenartowicz w Krakowie 205
Teofil Lenartowicz i uczta wydana dlań w Krakowie 265
Oracye i wybryki *Dziennika Poznańskiego* — OO. Jezuici — Owoce missyj Jezuickich na Kaszubach — Bajka o Auguście II — Nowe przysłowie w Wielkopolsce — P. Kraszewski o Galicyi i Wiekopolsce. 267
Lud w Chełmskiem i odpowiedź cara 336
Ciekawy dokument i ks. Malinowski 339
Odyniec Maurycy Dzieduszycki i Bartels w Krakowie 340
Ruch literacki, p. Zawadzki i co powie p. Lam — Ks. Stojałowski . 395
Ciekawe zjawisko w *Dzienniku Polskim* 396
Z czasów komuny 396
W sprawie dokumentu konsystorza od św. Jura sprostowanie . . 397
Tydzień — Lingua fallax i Beranger o Judaszu, a redaktorowie *Dziennika Polskiego* — P. Jan Dobrzański i *Warta* 545
Uroczystość w Drohowyżu 613
Missya w Jezierzanach 614
Ks. Hołyński i błogosławieństwo Ojca Św. 614
Listy ks. Gołdy 614
Obraz Matejki *Zabójstwo króla Przemysława* 618
Odkrycia w Afryce i Australii 618
Procesye jubileuszowe we Lwowie 618
Wielkopolscy wieśniacy u biskupa 671
Posiedzenie Towarzystwa Przyjaciół nauk w Poznaniu — Pomnik dla arcybiskupa Ignacego Krasickiego — P. Kantecki Klemens — Kaplica Potockich w Gnieźnie 672
Pobyt Stanleya w środkowej Afryce 675
Gabinet zoologiczny warszawski 676
Policyant probierzem patryotyzmu polskiego, a redaktorowie *Dziennika Polskiego* 678
Z dyecezyi przemyskiej w sprawie liturgii ruskiej 680
List najczcigod. biskupa Hirschlera 749
List śp. hr. Gołuchowskiego w sprawie cerkwi unickiej . . . 752
Nominacya hr. Alfreda Potockiego — Ks. Samarzewski . . . 753
Sprawa konkordyi w Rzymie 755
Nowy Polak 756
Ks. Gabryelski i składki 768
Zebranie się kapłanów pięciu obrządków w pewnym domu . . 811
Apostata Liwczak — Obchód złotego wesela przez księstwo Sapiehów . 812
Szkicom krakowskim w odpowiedzi 813

V. Składki.

Stronica

Świętopietrze . . . 80, 136, 206, 342, 398, 474, 682, 757 814

VI. Nekrologi i wspomnienia pośmiertne.

Karol Boromeusz Hoffman 136
Włodzimierz Jelski 205
Agenor hr. Gołuchowski 258
Ks, Wojciech Morawski 341
Aleksander Vogel 546
Aleksander Groza 678

Errata.

W artykule „Sobańscy“ str. 638 wiersz 8 zam. marszałkiem gubernii czytaj: marszałkiem powiatowym.

W „Przeglądzie naukowo-literackim“ str. 654 wiersz 2 i w całym tym artykule wszędzie zam: *Chautelause czytaj: Chantelauze.*

STEFAN CZARNIECKI.

Rzut oka na poemat Kajetana Koźmiana.

Kilkanaście już lat upływa od ogłoszenia (1858) tego poematu, a oprócz potocznych wzmianek w pismach publicznych, nikt się dotąd nie zdobył na wyczerpującą recenzyę, ani nawet na dokładne sprawozdanie. Jakaż być może tego przyczyna?

Czy zasady autora, jego konserwatyzm i religijność? Miałżeby (według słów Krasińskiego) ten zbiorowy Don Żuan, co po tylu zawodach i klęskach trwoni ostatek sił w pijaństwie, zarozumiałości, wśród nocnych spisków i knowań przeciw wierze i porządkowi społecznemu, dotąd ścigać swą zemstą poetę, który przybył w samą porę na odsiecz zastępowi cnotliwie w ojczyźnie rozmiłowanych, a zewsząd przez armię przewrotu osaczonych i pokrzepił ich, wskrzeszając wieszczem zaklęciem postać męża, co inaczej jak owa ruchawka ratował ojczyznę, bo czystem poświęceniem, niezłomną wiernością dla narodowej przeszłości i Kościoła, równą miłością dla wszystkich stanów, bohaterstwem pokory i wytrwałości? Miałżeby, powtarzamy, ten niewytrzeźwiony jeszcze po tylu szałach i chłostach Don Żuan urągać dotąd szyderstwem albo pogardliwem milczeniem wieszczemu duchowi, co przed najstraszliwszą katastrofą przydybał go o samej północy dzikich marzeń i zamysłów, pijącego i śpiewającego i jął go zaklinać:

Nieście z mienia, z krwi, z życia ojczyźnie ofiary,
Wszystko dla niej poświęćcie, prócz cnoty i wiary.

Byćby to w części mogło. Nie należy jednak takim stronniczym pobudkom przypisywać wyłącznego, a choćby tylko naczelnego wpływu na sąd większości czytelników o dziełach sztuki. Więcej tu ma wagi bierność tej rzeszy, co czyta dla przyjemności, przelotnie, bez wyboru, rzadko czem się entuzyazmuje, nigdy prawie stanowczego zdania nie wypowiada. Jedni z tego tłumu, odstraszeni objętością utworu, o którym mowa, nigdy go nawet nie wzięli do ręki.

Drudzy, przerzuciwszy karty pobieżnie, wyrażają się o nim chłodno, co najwięcej — ze zdawkowym szacunkiem. Przyczynia się do tego obojętność dla przeszłości, lekceważenie prac i zasług starszego pokolenia, wyłączny pociąg ku nowostkom, skwapliwe zajmowanie się pismami obrachowanemi na jednodzienne wrażenie, a mianowicie odraza do starej szkoły, do poezyi klasycznej.

Wyznać należy, że wydawca tego poematu przysporzył wszystko, co ten wstręt, acz niesłuszny, przecież szeroko u nas grasujący, powiększyć jeszcze w tym razie musiało. Nigdzie niema przedziałów, odstępów, spoczynku. Ścieśniona kolumna wierszy odstręcza swą jednostajnością i ogromem. Każda pieśń wydaje się batalionem zwartym w czworobok, na którego zdobycie trudno się odważyć. Liczby po boku drukowane, wykazując długość pieśni, wzmagają niesmak w tych, co na ławach szkolnych mozolili się nad Wirgiliuszem lub Homerem. Punktacya jak najgorsza. Według niej często sensu domacać się nie można i jednym tchem nieraz należałoby całą stronnicę przeczytać. Przytem błędów co niemiara.

Wszystko to jednak nie usprawiedliwia zaniedbania, w jakiem u krytyki dotąd ten poemat pozostaje. Gdyby coś podobnego ukazało się w Anglii, we Francyi, w Niemczech, prześcigałaby się jedna recenzya za drugą, a choćby całość nie była doskonałością, chwalonoby ustępy, przytaczanoby wyjątki, niechby tylko zwięzłe aforyzmy, których tu tak pełno. Nawet *Wojna Chocimska* Wacława Potockiego więcej u nas zyskała względów. Już lepszym byłby jaki wyrok potępiający. Znaleźliby się obrońcy. Wartość dzieła wyszłaby na jaw.

Zwrot ku klasycyzmowi, jaki od pewnego czasu spostrzegać się u nas daje, dzięki nowym wybornym przekładom greckich i rzymskich arcydzieł, wzbudza nadzieję, że i utwór Kajetana Koźmiana doczeka się może wkrótce sprawiedliwego ocenienia. Niepodobna przypuścić, aby poemat, który tak wysoko cenił Wężyk, nad którym się unosił Morawski, w którym się lubował Krasiński — każdy z innej szkoły: klasyk, eklektyk, romantyk — miał długo jeszcze spoczywać pod pyłem zaniedbania. Byłożby zanadto się spodziewać, że który z poważniejszych literatów, może Siemieński lub Małecki, może Tarnowski lub Zathey, zwróci nań uwagę niebawem.

Wywołujemy sąd tak biegłych, jak wspomniani, krytyków, ale go ani uprzedzamy, ani ważymy się zastąpić szczegółowym jakim tego dzieła rozbiorem. Chcielibyśmy tu tylko dodać kilka ogólnych uwag do długiego szeregu sprostowań, jakie niegdyś zanotowaliśmy

sobie, porównywując druk z jednym z manuskryptów, po autorze pozostałych. Bez poprawek tych, a tylko najważniejsze poniżej przywiedziemy, często recenzent nie doszukałby się sensu, a wiele wierszy straciłoby swą nadobność [1]).

---

[1]) Wymieniamy tu znaczniejsze błędy, których się dopuścił już to nieumiejętny przepisywacz, już niedbały drukarz. Wedle manuskryptu, któryśmy przeglądali, a który zapewnie autor uważał za ostatecznie poprawiony do druku, wskazane poniżej wiersze tak brzmieć powinny:

Pieśń I, wiersz 1, 2, 3:

Męża śpiewam, wybawcę nadwiślańskich ludów.
Sam go Bóg na spełnienie swoich wybrał cudów,
I ramie jego w groźny oręż sam uzbroił,

w. 40:

Którą Bóg Syn zna matką, duch oblubienicą.

w. 112:

Trunkiem napróżno ze brwi czarne spędza chmury.

w. 217:

W takiejś stanął kolei tem zgubnem przymierzem.

w. 246:

Spiesz, zaręcz przed Karolem moje twojem słowem.

w. 313:

Podły podżegacz, niecny wyrodek swej ziemi.

w. 389:

Przekonam świat, że naród szwedzki nie daremnie

w. 523:

I uniósł aż do Birżów, — tam żal, wstyd, zgryzota,

w. 1101:

Widząc jak te przybytki, gdzie stał Bóg ukryty

w. 1177, 1178, 1179:

Do Inowłodza (zkąd Szwed już rzucał wzrok śmiały
Aż na stołeczny Kraków), pędzi lotem strzały,
Bije, gromi, rozprasza, liczne chwyta jeńce.

w. 1196:

Zanim Kaźmierz do walki hufców nie ustawi.

Pieśń II, w. 275:

I wzniosłszy ręce rzecze: „Bóg nas jawnie wspiera

Pieśń III, w. 234:

Chwieją się grube pale, rozstrzępują liny

w. 269:

Widzą z warowni klęskę wodze i rycerze.

w. 397, 398, 399, 400:

Dopadł rumaka, wsiada — ten mknie stopą śmiałą,
Choć z sierścią opaloną, grzywą ogorzałą,
Przebija kłęby dymu, przesadza płomienie,
I króla na bezpieczne unosi przestrzenie,

Przystępując do rozbioru, krytyk będzie musisł najprzód postawić sobie zapytanie: jaki był zamiar autora? Ten jest widocznym.

Pieśń III, w. 425: Jak łowiec doświadczony, co w zamierzchłych lasach
w. 446:
Którego tknęła pomsta Agnieszki zbrodnicza.
w. 462:
W Bylinie matka miała jedynego syna
w. 620:
I nim zawiódł pod bratnie chorągwie na wały,
w. 700:
Nędzarz, gdy go Bóg gniewny nawiedził ślepotą.
Pieśń IV, w. 51:
Bo jak szkarłat przesiąka marmuru naczynie.
w. 181:
Obciążają je rzędem zbroje i rynsztunki.
w. 253:
Tak wilk, gdy mu żarłoczny brzuch głód pali jadem,
w. 387:
Jak gdy rój czarnych mrówek szczyt drzewa obsiada.
w. 409:
Przecież Karol po trzykroć zawiedzion pod grodem.
w. 445, 446:
I przebudza robaka, co się nie umarza
Ni pychą ni fortuną w sumieniu zbrodniarza.
w. 531:
A ten mówi: „U kresu wojny królu staniesz,
w. 776:
Dwaj przywódzce trzymają za kiełzno przed szykiem.
w. 867:
Już Duglas z rąk Stefana krwią plac boju zbroczył.
Pieśń V, w. 199:
Ten co strącał orężem księżyce dwuroże.
w. 272:
A Marya wybłaga koniec twojej karze.
w. 276:
Unużony, spoczynku szedł szukać w klasztorze.
w. 302:
On broni twego tronu, ja Maryi ołtarzy.
w. 342:
„Moja wina“ — rzekł kapłan bijąc pierś w pokorze,
w. 430:
Litowały się nad nim Baszkiery, Kałmuki.
w. 453:
Na barkach skóra spięta szponami lamparta.
w. 508:
Upragniony spoczynek Kaźmierz w celi bierze.

Poeta, bolejący nad srogiemi klęskami ojczyzny, dręczony widokiem coraz posępniejszych jej losów, wybrał z dziejów narodowych dobę,

---

Pieśń V, w. 713:
Dym się nad nią nie błąka, blask z okien nie świeci.
w. 733:
Jak żeglarz, gdy mu burza wśród morskiej głębiny.
w. 834:
Na który sita siały, gdy go starły żarna.
Pieśń VI, w. 13:
Zna to Kaźmierz, o spieszną odsiecz Wiedeń błaga.
w. 272:
Ze czcią przed swego króla bohatera wiodą.
w. 535:
Jeszcze za ziomków więzy chcesz dźwigać z ochotą.
w. 688:
Wiatr tylko niósł dźwięk śpiewu, którym hufce brzmiały.
w. 751:
Boże! Twoja potęga wrogów wiary łamie.
Pieśń VII, w. 92:
Rękojmię czci w pobożnym składam dla nich darze.
w. 335:
„Czarniecki“! — krzyknął Müller, a w tem niedobitki.
Pieśń VIII w. 224:
Postrach, obelgi, groźby, zapieniony miota
w. 289:
Nie przejrzał wódz jak drogo przymusu przypłaci.
w. 548:
Świat opuszcza Kaźmierza, szczęściu bije czołem.
w. 665:
Niech nas odpuści, my się kraju nie wyrzeczem.
w. 716:
„A od nich Lwa źwierzyniec przygasa na niebie.
w. 847:
Szczerbiec, ten, co Batory jeszcze w pochew wtłoczył.
w. 914:
W różnorodne obozy cała Polska wzbiera.
w. 1055:
I cały lud w Czarnieckim utapia wejrzenia.
Pieśń IX, w. 853:
A zaledwie u stopni ugięła kolana.
w. 878:
Jako świeża pod miękkim mchem brzoskwinia płonie.
w. 889:
Wzmocniona wiarą w sercu i z pogodą czoła,
w. 892:
Ojcu do stóp, matce się rzuciła na szyję.

nie tak okropną jak dzisiejsza, ale także pełną niebezpieczeństw, co niemal przyprawiły naród o zgubę, a wybrał oczywiście na to, aby okazując zkąd i jak przyszedł ratunek, dać obecnemu czasowi pokrzepienie i naukę. Zbawczy ten trud i zadanie upostaciował w mężu, co umiał być równie wielkim wojownikiem jak obywatelem. I dziś, nim przyjdzie pora na oręż, czyż może naszą sprawę ratować kto

Pieśń IX, *w. 913:*
Wchodzą z Karolem w spiski i w zbrodnicze zmowy.
w. 940:
Jakież lice i postać przed sobą ujrzała?
w. 980:
Ze szczęśliwszym odemnie połącz twoją dolę.
w. 1021:
Świat ich więcej nie ujrzy, w grobie je zagrzebię.
Pieśń X, *w. 55:*
Jak więzień, gdy mu krwawe grozi rusztowanie.
w. 180:
Tak wilk, co w ciemne bory krwawą znosi strawę.
w. 520:
I już zapam'ętanie rośnie bez zawady.
w. 740:
Odszedł król, noc przebywa w klasztorze z otuchą.
w. 898:
Pułk sajdaczny Mogołów, skrewniony z Litwiny.
w. 949:
Błyśnie za kraj, za wiarę, za króla, przy królu.
w. 1274:
I na toż to krew Szwedów już tyle lat płynie.
w. 1389:
Jeżeli zuchwałości głową nie przypłacisz.
w. 1587:
I nikczemnik strętwiały nie porusza kroku.
Pieśń XI, *w. 172:*
Której przypłacił ojciec zgonem, Szembek wzrokiem.
w. 590:
Wzniósł miecz z pochwy przed świętą dobyty ofiarą.
Pieśń XII, *w. 130:*
O Polsce wieści szuka, nie pyta o Czarńcę.
w. 407:
Im się wcześniej nadyma, tem się spieszy bardziej.
w. 441:
I obozy się polskie ukazały zdala.
w. 509:
Już z ich tyłu zwycięzkie proporce powiały.
w. 595:
Im większą ma potęgę, tem ją stawia śmielej.

Nie wkraczając w zakres właściwej krytyki i nie chcąc przytaczać dłuższych ustępów, w których piękność stylu i wspaniałość toku w całej pełni jaśnieje, chcielibyśmy zwrócić uwagę tylko na mnogo tu rozsiane owe krótkie zdania, aforyzmy, gdzie myśl pospolita tak zwięźle i gromko jest oddaną, że gdyby poemat ten więcej był znanym, już one byłyby dawno stały się przysłowiami. Oto niektóre:

W piersiach prawego męża — prawy jego sędzia.

Ci co szarpią za życia, płaczą przy posągu.

Rozpacz nas nie wydźwignie, acz przepaść otacza.

Szczęsnych udział lękać się, nieszczęsnych spodziewać.

Biada temu, na czyją sławę płaczą swoi.

Męztwo pogardza śmiercią, ale jej nie szuka

Zawsze burzy szał młody, co wzniósł rozum stary.

Wybawcie lud z niewoli, a lud was wybawi.

Dzicz raz niszczy przelotem, swój ciemiężca zawsze.

Męztwo wtedy wybawia, gdy go wiara wspiera.

Ma niezgoda wymowę, jedność czyn — nie słowa.

Przy chorągwiach się różnią, przy ucztach się godzą.

Kto kraj kocha, jedno mu władać czy podlegać.

Nieprzezorność się kwapi, mądrość cierpiąc czeka.

Zwyciężaj wrogów mieczem, a ziomków przykładem.

Nie znaj dla siebie sławy, tylko w ziomków sławie.

Męztwo nie zna okrucieństw, trwogę srogość zdradza.

Sława nie chce wspólnika: hańba wielom rada

Bądźmyż straszni wśród boju, a w namiocie skromni.

Nie masz tryumfu z losów bez tryumfu z siebie.

Zachował skromnych ojców dworzec z drzewa nizki,
Bo w nim biegun wytłoczył ślad jego kołyski.

Bóg i męztwo bez cnoty kraju nie ocalą,
A tu serca wyziębły, a mózgi się palą.

I jakby nieśmiertelność wziął z Bóstwem pospołu,
Przy urnach z popiołami dmie się garść popiołu.

Nieprzezorna porywczość jest Polaków wadą.
Niewczesny zapał w skutkach równa się ze zdradą.

Biada temu, co podło wstydzi się lub boi
Okryć siermięgę zbroją, lub siermięgą zbroi.

Jedną z zalet poetyckiego stylu stanowi dobór przymiotników. Celuje w tem Kochanowski. I tu znajduje się wiele szczęśliwie dobranych lub utworzonych. Szkoda tylko, że autor niektóre za często powtarza. U niego trąba zawsze jest chrapliwą, oręż zawsze płytki. To powiększa monotonność, główną wadę tego poematu. Więcej jeszcze ta jednostajność nuży w powracającym co chwila opisie bitew, w porównaniach i reminiscencyach z historyi Greków i Rzymian. Skoro jednak sam przedmiot wymagał ciągłego walk obrazowania, a wszelkie w tym rodzaju zasoby i posiłki poprzednio już szkoła klasyczna wyczerpała, podziwiać jeszcze należy sztukę autora, że chociaż jego opisy nie uniknęły podobieństwa, nie grzeszą przecież tożsamością. Mniej może wolnemi od zarzutu są powtarzające się zbyt często przyrównania zapasów wojennych do boju dzikich zwierząt lub walki żywiołów, a najmniej — aluzye klasyczne, które w braku objaśnień i przypisków mitrężą czytelnika, a poematowi nieco odbierają cechę szczeropolską.

Charaktery podrzędne, jak słabego i chwiejnego króla, męzkiej Maryi Ludwiki, chytrego zdrajcy Radziejowskiego, bohaterskiego kapłana Kordeckiego, Sobieskiego, Paska, Lubomirskiego i innych, są tu jeśli nie geniuszem Szekspira wszechstronnie aż do najtajniejszych pobudek odgadnięte, to rylcem Tacyta dosadnemi kilku rysami wyrzeźbione. Ustawienie ich, zawikłanie w akcyę dramatyczną, dzielnie uwydatnia osnowę i wspiera pochód wypadków. Jeśli co w tej mierze układowi zarzucić można, to zbyteczny natłok i osób i zdarzeń. Jak w obrazach Matejki brak powietrza, brak horyzontów. Myśl niema gdzie odetchnąć, odpocząć, pomarzyć. Autor nie wie, że poezya powinna być często tylko napomknieniem. Wykłada on wszystko, jak historyk na dłoni. Grupy, obrazy, spychają się jedne po drugich. Niekiedy całkiem przejścia niema, albo w paru

wierszach tak przez zwięzłość niewyraźnie oznaczone, że czytelnik mniema się jeszcze w jednym okresie wypadków, a tu już jest w drugim, odmiennym, dalekim od pierwszego. Ścisły druk, wiersz po wierszu, jednako zwarty, bez przerw, bez odstępów, jeszcze bardziej tę duszność pomnaża.

Nie idzie zatem, żeby autor nie czuł, że zwartość dziejowego pochodu i złote pasmo wypadków wojennych należało urozmaicić i przetkać wzorzystemi ściegami powszedniejszej krasy. Przeplata więc bojową pieśń swoją opisami uczt rycerskich, biesiad i zabaw dworskich, to znów miejsc świętych, skarbców i pomników ojczystych, to wreszcie ustępami z kroniki rodzinnej przywołanych tu osób. Niekiedy nawet zniża uroczysty nastrój swej lutni do tonu scen sielskich i domowych. Przedmiotem takich epizodów są między innemi: Bielany, Częstochowa, skarby i groby królów na Wawelu, dzwon Zygmuntowski, pracownia, gdzie pod okiem królowej młode Polki szyją i tkają chorągwie dla wojska, chata kmiecia polskiego na Szląsku, pobyt Stefana w dziedzicznej wsi Czarńcy itd. Goretszych nad zwykłą swą miarę kolorów użył autor w obrazowaniu namiętności króla dla Radziejowskiej, uczt i festynów dla niej przez Kaźmierza wyprawianych, a z historyi Kmicianki i Szembeka istnie powieść romansową utworzył. Widać z tej ostatniej, jak rodzaj ten był mu obcym, bo raz puściwszy się na tór romansowy, wpadł w przesadę i wiele obiecującą a dobrze zasnutą powiastkę w Pieśni IX kończy w XII rozwiązaniem nader nieprawdopodobnem, *par un coup de théatre*. Tem bardziej ona wydaje się chybioną, że umieszczenie jej pod koniec poematu, z rozwiązaniem w ostatniej pieśni, nadaje jej wagę, jakiej pewnie autor nie przywiązywał do tak podrzędnego szczegółu. Natomiast jakże zajmującym, jak unoszącym jest ustęp o Bylinie. Poeta wcielił weń wszystkie wrażenia, których doznawał w czasie powstania listopadowego, patrząc, jak młodzież akademicka zaciągała się w szeregi narodowe, a oraz, zda się, jakby przeczuciem odgadywał zapał wzrastającego pokolenia, które w 1863 miało stanąć w pierwszym rzędzie obrońców ojczyzny i udowodnić raz jeszcze, czem prawie od kolebki jest szlachta polska. Z głębi też serca do niej przemawia:

Szlachto polska! dziś gminnych potwarzy igrzysko!
Czy wzięłaś szlachetności, czy dałaś nazwisko,
Pod królmi byłaś kraju sercem i ramieniem,
Oręż był twoją chlubą, sława przeznaczeniem,

Stawiałaś pierś za wiarę, lemiesze, rzemiosła,
Ziemia krwią twą przesiąkła i z twych ciał podrosła,
Dałaś sławie pomniki dałaś dziejom wątek.

Nie pochlebca jednak, zaraz dodaje:

Lecz w dumie zapomniałaś, zkąd wzięłaś początek.
Sama wolna, lud gniotłaś jarzmem niewolniczem
Chciałaś być wszystkiem w kraju i dziś jesteś niczem.
Wciel się w lud, on twą przyszłość uzna swą ozdobą,
A gdy ludem zostaniesz, lud się stanie tobą!

Tak wszędzie, gdzie tylko się sposobność zdarzy, wieszcz ziemianin przemawia za ludem, w jego upośledzeniu widzi przyczynę upadku ojczyzny, w jego podniesieniu społecznem i duchowem składa nadzieje jej odżycia.

Pozostawałoby jeszcze krytykowi dojrzeć, czy autor przedstawił swego bohatera wszechstronnie: równie wielkim w polu i w radzie, jak dobrym panem, czułym ojcem rodziny — czy jednako wzbudza w naszej duszy uwielbienie, jak w sercu miłość ku niemu. Otóż może zanadto trzyma on go wciąż zakutego w stali, a za mało daje go poznać w potocznych, poufałych stosunkach. Nie hołdujemy nowoczesnym *Gawędom*, których wdzięk i prostota ma zależeć na tem, iż wyoblekają swych bohaterów ze wszelkich znamion powagi i uroczystości i przewodzą ich przez najdrobniejsze, najlichsze szczegóły powszedniego życia, aż do guzika u koszuli i do figlów z pieskiem. Mają się one do epopei, jak do dziejów pamiętniki, które dobrze nazwano historyą w szarafanie i łapciach. Ale nie byłoby zawadziło, gdyby Czarniecki częściej tu składał hełm i oręż i dawał się poznać w kubraku, w pospolitszych stosunkach i przygodach życia, w serdecznych wynurzeniach, w wewnętrznej ducha pracy. Umiał autor uchylić zasłonę z przeddomowego życia, opisując pobyt bohatera w Czarńcy: jak wśród rozejmu odpoczywa pod rodzinnym dachem, zwiedza pola, przegląda stadninę, brata się z swemi kmiotkami i dzieci wieśniacze zaprawia do przyszłych bojów. Czemuż nam więcej nie dał takich obrazów? Czemuż raz tylko mimochodem wprowadza na scenę córkę bohatera? Nastręczało mu się w niej obfite źródło do nowych sytuacyi, do świeżych wrażeń. Marsowy i nieco posępny wizerunek wodza byłby wielce zyskał przez światło bijące czy z uśmiechu, czy ze łzy tkliwej dziewicy.

To prawie wyłączne utrzymywanie wątku na wysokości wielkich dziejowych wypadków mogłoby dać powód do zdania, że poemat ten jest tylko wierszowaną biografią. Byłoby to nader powierzchownym sądem. Posługując się wyrazami Krasińskiego, powiemy: Nie jestto życiorys, ale poezya w całem znaczeniu. Biograf opowiada, poeta opowiada i tworzy. Czarniecki tego poematu nie jest tylko Czarnieckim dni przeszłych. Wieszcz dał przebudzonemu coś więcej nad to, z czem on położył się w trumnę. Uczynił go ideałem zbawcy ojczyzny, pierwowzorem wszystkich, co będą usiłowali kiedykolwiek ratować kraju całość. W ideale tym przeszłość i przyszłość zetknęły się i w jeden promień spłynęły. W tem tkwi twórczość i mistrzowstwo poezyi.

Trzeba było wielkiej odwagi i siły, aby podjąć takie zadanie. Dobrze powiedziano: Nie lada kto zdołałby podźwignąć tyle wielkiego jak Czarniecki męża, tak jak rzadko dziś znajdzie się siłacz, coby zdołał podnieść rynsztunek dawnych rycerzy naszych. Autor wstrząsa i przenika dusze nasze do głębi głosem męzkim, poważnym, uroczystym, jakimby przemówili do nas wielcy ojcowie, gdyby dziś powstali z grobu. Wobec takiego wrażenia nikną usterki i słabe strony poematu. Tych nie przemilczeliśmy. Bądźcobądź, skoro dzieło to szerzej poznanem zostanie, skoro światła krytyka, której baczność pragnęlibyśmy niniejszemi potocznemi uwagami obudzić, uprzątnie ku temu drogę z niesłusznych wstrętów i lekkomyślnych sądów, każdy niezaciekły w uporze czytelnik pewnie powtórzy z Krasińskim: „Przyznaję prawdę całą, zrazu z uprzedzeniem, dalej z zajęciem, później z rosnącem uwielbieniem, wreszcie z miłością słuchałem i czytałem *Czarnieckiego*, bo miłość to stosunek ducha do piękności, a *Czarniecki* pięknym jest“.

WALERY WIELOGŁOWSKI *)

przez

LUDWIKA HR. DĘBICKIEGO.

(Czasy emigracyjne — Wielogłowski w Galicyi — Ucieczka do Francyi — Obłędy i wędrówki — Nawrócenie).

Emigracya po r. 1831: to bezdeń najszaleńszych obłędów i najwyższych natchnień, niezrównanego poświęcenia i sromotnych upadków; bratobójczych swarów, nienawiści najza-

*) Przerwany życiorys znakomitego pisarza i zasłużonego obywatela prowadzimy dalej z tą nadzieją, że już teraz bez przerwy podać zdołamy cały przebieg tego bogatego w przygody i w przykłady żywota.

wziętszej, bezczeszczenia się wzajemnego, a obok najwznioślejszych przykładów ewangelicznej miłości bliźniego i tego braterstwa niedoli, co nowe cnoty z wspólnie znoszonej nędzy wydobywa; to otchłań brudu i kału, i droga wiodąca w najczystsze, i najidealniejsze sfery; błędnik fałszywych doktryn i zwodniczych marzeń i drabina Jakóbowa ku niebu, po której wznoszą się proroczym duchem natchnieni kapłani, surowi zakonnicy, wysokiej moralności myśliciele lub wieszcze i poeci aż do najwyższych prawdy szczebli. Emigracya to kuźnia samobójczych i bratobójczych zamachów, a oraz czyściec moralnej ekspiacyi wszelkich narodowych grzechów i przywar; to dom waryatów i wielka szkoła zarazem; szpital wszelkich chorób czy to dziedzicznych, swojskich czy epidemicznie szerzących się na obczyźnie, a zaszczepionych w organizm narodowy jadem nieznanych dotąd u nas zbrodni, a obok tego to karawanseraj, w którym pielgrzymi polscy przebywają kwarantannę, aby oczyszczeni, nawróceni i uświęceni służyć ojczyźnie ofiarą słowa i czynu. To wreszcie krater wulkanu, z którego płonie zabójczy ogień i rozlewa się lawa, ducha narodowego niszcząca, a zarazem to próbierz potęgi tego ducha narodowego w zapasach z wszystkiemi pokusami wieku...

Ile tutaj antitezy idei, tyle przeciwieństw w ludziach. Rzućmy w ten odmęt rozpaczy, zwątpień i szałów, tęsknoty i boleści młodego zapaleńca, przeprowadźmy go przez wszystkie próby i wszystkie ścieżki tego błędnika, a będziemy mieli najciekawsze studyum psychologiczne i cywilizacyjne naszej epoki. Niestety braknie nam do tego odpowiedniego materyału. Nie dostarczają go dostatecznie pisma Wielogłowskiego, który ujął pióro dopiero wtedy, kiedy się zbliżał do prawdy, lub kiedy ją całkowicie objął. To pewna że wśród tego bogatego pokolenia wygnańców, które nam pozostawiło po sobie najwyższe dzieła poetyczne, najwznoślejsze płody myśli i natchnienia, co całą skalę wielkich narodowych i ogólnych pojęć i zasad objęło, Wielogłowski, jeśli nie dorównał naczelnym wodzom, wielkim poetom i myślicielom, to zasiadał z nimi do jednej biesiady, karmił się tym samym duchowym chlebem, przebył całą tę skalę uczuć i dążeń.

Przedsionkiem emigracyi był dla Walerego kilkoletni pobyt w Galicyi. Po upadku powstania wrócił on do tego kraju rodzinnego i chwilowo osiadł w sąsiedztwie owych

Proszówek, gdzie jego lata dziecinne spłynęły tak rozkosznie. Pożegnawszy na zawsze okazały dwór w Zborowie i owe dwanaście włości, któremi młody dziedzic zarządzał tak energicznie, wydzierżawił teraz dobra Dębno w Tarnowskiem i zamieszkał w starym zamku Oleśnickich i Tarłów. Zmącone mamy wiadomości o tej epoce z życia Wielogłowskiego. Przedstawiają go opowiadania współczesne, jako zapaleńca, który upadkiem powstania w skrajne rzucony koleje, jeden z pierwszych przejmuje się teoryami socyalistycznemi i gdy powstanie polski szlacheckiej zawiodło, marzy i propaguje Polskę demokrytyczną, ludową. Zwrot ten był dosyć ogólny w Galicyi, i rzecz nader charakterystyczna, działał najpierw na szlachtę samą. Jeszcze w emigracyi nie zawiązała się centralizacya wersalska, jeszcze nie okazały się szalone teorye, w *Prawdach żywotnych* wypowiedziane, a już szlachta galicyjska lgnie do tego kierunku przez jakiś instykt samobójczy, któremu przyznać należy jedno na usprawiedliwienie: to zbytni brak egoizmu, to bezgraniczne, choć zgubne poświęcenie własnego bytu, własnego imienia, zaparcie się. To znów sprzeczności najdziwniejsze polityczną i psychologiczną tworzą zagadkę. Ta sama szlachta — która zarządza wsią przez samowolnych ekonomów i nie ukróca ich nadużyć, która praktycznie nie zajmuje się ulgą w położeniu włościan, racionalnem usiłowaniem ich podźwignienia, — na zjazdach i w rozprawach wyrzeka się szlachectwa, a nieraz przemawia do przeciążonych i batożonych włościan w duchu teoryj komunistycznych. Przykładów podobnych możnaby przytoczyć wiele z owej epoki, że tylko wspomnimy wyrzynek w Szczepanowicach, na którym dziedzice bratali się z poddanymi mówiąc, że należy oczyścić białą pszenicę ludu z kąkolu czarno ubranych. To też w tym samym dworze, w lat dziesięć, gdy nadeszła chwila krwawego żniwa, i gdy „ziarno siane w śmieci przez wersalskie dzieci zdradą miało zejść niemiecką“, straszny, bratobójczy odbył się dramat i padli też pod kosą owi dziedzice, co kąkol wyplenić doradzali z pszenicy ludu.

O ile Wielogłowski ulegał tym doktrynom i brał udział w podobnych agitacyach w czasie swego pobytu w Galicyi, na pewne twierdzić nie możemy. Nie wiadomo także, jakie zajął stanowisko w obec partyzantki Zaliwskiego w r. 1833.

To tylko pewna, że ruchliwy i rzutny, towarzyski i wesoły był ulubieńcem całej okolicy, że odnowił wiele stosunków sąsiedzkich i familijnych, a postać jego stała się ogólnie popularną. Rząd Austryacki w obec rojącej się w Galicyi emigracyi, zachowywał tę samą taktykę, co w obec powstania 1831 r., a później w obec rewolucyi 1863: zrazu patrzał przez palce na wszystkie zjazdy i agitacye, a później, gdy już posiew był rzucony, wziął się do surowych środków — nie na to jednak, aby zaród agitacyi stłumić, lecz aby wielu wygnańców co się osiedlili i pożenili w Galicyi, co się zwrócili do spokojnego życia wypędzać i gnębić. Przyszła też kolej i na Wielogłowskiego. W r. 1836, aby uniknąć więzienia lub wydania Rosyi, musiał Walery po kryjomo, bez paszportu i pieniędzy uciekać. Anielska jego Konstancya nie chciała go i tym razem odstąpić i pomimo przyzwyczajeń do zbytkowych nawet wygód towarzyszyła mu w tej podróży, pełnej przygód i trudów. Jechali więc biedni tułacze bez usługi, pod przewodnictwem żydka o chłodzie i o głodzie, przez kilkanaście dni i to w jesiennej porze. Żydek ukrywał ich pod płótnem wozu, którym to niby towary przewoził. Jechali więc bez noclegow i popasów, aby się nie zdradzić a biednego żydka o kłopot nie przyprawić. Po paru tygodniach takiej podróży, której epizody w sposób, jak zwykle, zajmujący lubił opowiadać pan Walery, przybyli wreszcie wygnańcy do Strasburga, gdzie już wolniejszem odetchnęli powietrzem, ale gdzie się miał rozpocząć szereg emigracyjnych nędz.

Nie upadł jednak na duchu Wielogłowski, lubo teraz po raz pierwszy miał się mierzyć, możny jeszcze do niedawna pan, z prawdziwym niedostatkiem. Dodawała mu odwagi żona. Dla oszczędności urządzono się na wsi w okolicach Strasburga. Tam, choć tęskno za krajem, przeszło kilka miesięcy osłodzonych codziennem towarzystwem jednego z najczystszych i najcieplejszych poetów naszych, Bohdana Zaleskiego i stryjecznego jego brata ś. p. Józefa Zaleskiego. Ileż to pełnych poezyi chwil, ileż błysków rozumu i dowcipu, ileż tęsknych wspomnień o kraju przemknęło w tem serdecznem gronie. Spotkanie to już pod każdym względem było szczęśliwem dla Wielogłowskiego. Bohdan Zaleski należy do tych wyjątków w pośród drużyny poetów naszych, co lubo pod względem

pojęć politycznych mogli ulegać pewnym zmianom, pod względem zasad religijnych i gorącej wiary nie zeszli na krok z drogi katolickiej prawowierności. Mickiewiczowski słowik musiał mieć gruntowną podstawę wiary, skoro nawet przyjacielowi, co orlim bujał polotem, nie dał się porwać w chmurne sfery messyanizmu.

Wielogłowski był z natury marzycielem; ruchliwą jego wyobraźnię porywała łatwo każda nowa myśl, na dnie której zdawało mu się czytać zbawienie Polski. Nie był on jednak w żadnej epoce swego życia ani radykałem, ani niedowiarkiem. Gotów był tylko podówczas przejść choćby przez piekło, aby wrócić do nieba dawnej Polski, Polski tradycyjnej, Polski katolickiej! Więc z malarzem, chcieliśmy powiedzieć z poetą, *Przenajświętszej Rodziny* zawiązała się już tutaj serdeczna przyjaźń, której nie stała na zawadzie kwestya religijna, zwłaszcza, że mimo pewnych jeszcze wątpliwości i obłędów w Walerym, pani Walerowa nie przestawała gorąco się modlić o zupełne nawrócenie się męża.

Mimo miłego pobytu tęsknota za krajem, wewnętrzny jakiś niepokój, gnał ustawicznie Walerego z miejsca na miejsce. Zdawało się tułaczom, że odtęsknią łatwiej, gdy w ciągłej będą pielgrzymce. Jakoż przejeżdżali państwo Wielogłowscy Francyę wzdłuż i wszerz, wszędzie grupując koło siebie towarzyszów wygnania, dzieląc się ostatnim kawałkiem chleba, podejmując różne przedsiębiorstwa, zachęcając do nich towarzyszów.

W tej jeszcze epoce Wielogłowski bierze udział w niektórych politycznych agitacyach i emigracyjnych planach. Imię jego figuruje na słynnym akcie, odsądzającym księcia Adama Czartoryskiego od czci, lecz na uspokojenie dodajmy, figuruje tam obok nazwisk mężów, którzy niebawem wraz z Wielogłowskim, uznawszy błąd tego sądu, zbliżyli się do patryarchy naszego pielgrzymstwa i weszli następnie na drogę rozważnej pracy, zacnych usiłowań i zasad religijnych. Spotykamy tam nazwiska tych, których następnie potwarz miała ścigać za to, że przejrzawszy na czas otchłań radykalizmu stali się najwytrwalszymi jego pogromcami. Wiadomo, jak ten akt potępienia wyłudził jeden ze znanych agitatorów, który w kalumnii mógłby być ojcem dzisiejszego dziennikarstwa. Znana tu anegdota o kadrylu u ambasadora rosyjskiego, w którym miał brać udział, według opowiadań instygatora, książę

Adam. Czy to prawda lub nie, wyznał naiwnie J. B. Ostrowski, to mniejsza, ale w ten sposób udało się wywołać oburzenie na tego arystokratę. Wielogłowski należał do oszukanych i wraz z nimi odepchnął kalumniatora, gdy się przekonał o złej wierze.

Zbliżała się chwila przesilenia dla pokrewnych Waleremu duchów na emigracyi, którzy wspólnie ten sam przebywali proces zwątpień, szałów i obłędów. Tchnienie łaski zaczęło zstępować na te skołatane umysły i rozbolałe serca. Był też mąż świątobliwy, prosty i cichych cnót, kochający Polskę nad życie, ale nad Polskę kochający Pana Boga, a trzymający się wiernie Kościoła — mąż co nawrócił najszlachetniejszych z pomiędzy wygnańców i pierwszy rzucił myśl nowego zakonu, głównie z Polaków werbowanego. Do portretu tej postaci, ręką kapłana przyjaciela skreślonego, odsyłamy czytelników; znajdą oni bowiem w pośmiertnych pismach ś. p. ks. Kajsiewicza wizerunek Bohdana Jańskiego. Ten, co nawrócił Kajsiewicza i Semeneńkę, co na Mickiewicza tak zbawienny wywierał przez czas jakiś wpływ, miał także wrócić wiarę, szczepioną niegdyś naukami matki w burzliwe serce Walerego Wielogłowskiego.

Jak się to nawrócenie dokonało i jakie się tu złożyły instancye pobożnych dusz z wyraźnemi znakami cudownej łaski, aby zbłąkaną owieczkę mógł z pomiędzy cierni wydobyć Boski Pasterz!... Zapominać nie trzeba, że jeśli tak rozbudzone życie duchowe i umysłowe wychodźtwa polskiego we Francyi natrafiało podówczas na największe niebezpieczeństwa tak ze strony wzbierającej niewiary jak i najbardziej zwodniczych doktryn filozoficzno-socyalno-politycznych, to z drugiej strony była to właśnie epoka kiedy zwrot do Kościoła i chrześcijańskich zasad, po rozpasaniu pogaństwa rewolucyjnego, coraz więcej wyższych porywał umysłów. Jeśli za restauracyi nowy posiew idei katolickich zaczął kiełkować w literaturze, siany dłonią Chateaubrianda i De Maistre'a, słowami Lamenaiego przed upadkiem, a nawet pierwszemi poetycznemi dźwiękami lutni Lamartina, to za Ludwika Filipa życie katolickie wzbierało z dniem każdym, rozlewało się coraz szerzej i nabierało dziwnej płodności w podejmowanych dziełach i nowych lub odnawianych instytucyach. Ozanam szereguje grono młodzieży, zaprawia ją do pióra i czynu; Nicolas stawia na nowo

stare prawdy filozoficzno-socyalne w sposób przystępniejszy dla synów wieku, lubo mniej głęboki niż De Maistre'a; Lacordaire i tylu innych słynnych kaznodziejów z kazalnicy oddziaływują przeciw katedrom profesorskim, wreszcie Montalembert te same zasady wprowadza na trybunę parlamentarną. To szkoła liberalnych katolików, której mimo pewnych niedostatków i niebezpieczeństw nie można odmówić zasługi pod względem gorliwości i ducha propagandy. Ludwik Veuillot natomiast już tworzy z dziennikarstwa rodzaj trybuny i kazalnicy zarazem.

Wielogłowski miał z natury umysł ciekawy. Przyglądał się działaniu rewolucyonistów i przysłuchiwał ich teoryom, ażali w nich nie spotka klucza do rozwiązania zagadnień wieku, z których zawsze pierwszem dla niego i całej drużyny wygnańczej było załatwienie kwestyi polskiej. Coraz więcej doznając tutaj zawodów i rozczarowań, zaczął się także baczniej przyglądać, wśród swych ciągłych peregrynacyi po ziemi francuzkiej, działaniu pracowitego i pełnego poświęcenia stronnictwa katolickiego. Nie dziw tedy, że wnet zaczął leczyć się z uprzedzeń i ulegać wpływom tej katolickiej atmosfery.

Nie wierzymy w nawrócenie wskutek samych zagłębień umysłu, bez tchnienia łaski. Aby zrozumieć całkowicie prawdę nadprzyrodzoną, trzeba pod jakiemś wyższem natchnieniem porzucić choćby na chwilę stanowisko czysto racyonalne i przyjąć premisy prawd wyższego, bo nadzmysłowego porządku. Umysł tu nie wystarcza; trzeba, aby jakieś zdarzenie, lub jakieś tchnienie otwarło serce. Wielogłowski był bardzo uczciwy i bardzo wrażliwy, wyobraźnia i uczucie miały zawsze u niego przewagę. Nędza bywa także mistrzynią, a częściej jeszcze narzędziem łaski. Zdarzyło się raz, co na wygnaniu nie było rzadkością, że kasa rodziny naszego wygnańca była zupełnie wyczerpniętą. Jakiś interes zawiódł, zajęcia zdobyć nie można było, ostatnie wyszły franki. Oszczędność i zabiegliwość żony nie mogła zapobiedz tej ostateczności, lecz choć nie było dnia tego już na obiad, pani Konstancya bardziej bolała nad głodem duszy, w jakim żył jej mąż, stroniący od Kościoła i modlitwy. Ze łzami przeto zaczęła prosić Walerego mocno stroskanego, aby kiedy już nie ma żadnej na teraz rady i z nikąd spodziewać się nie można było pomocy materyalnej, aby poszedł poszukać rady

i pomocy u Boga. „Idź do Kościoła, a Pan Bóg nas poratuje". Uległ namowie Wielogłowski i po wielu latach gorącą modlitwę w świątyni Pańskiej wysłał do nieba. Zaledwie wrócił z kościoła, a już na progu ubogiego mieszkania zjawił się listonosz z niespodziewanym listem z kraju i mniej jeszcze spodziewaną a dość znaczną sumą pieniężną.

Któż podobnych w życiu nie doznał skutków modlitwy nawet w materyalnych potrzebach, są to, że tak powiemy, pospolite, codzienne cuda Opatrzności i tak zwykłe łaski miłosierdzia Bożego, że już na nie nawet nie zwykliśmy zwracać uwagi, jak przestajemy podziwiać wszechmocność i mądrość Stwórcy w tych cudach natury, na które codziennie patrzymy. Na Wielogłowskim jednak skutek tej modlitwy wywarł głębokie wrażenie, było to bowiem serce umiejące być wdzięcznem dla ludzi i wdzięcznem dla Boga.

Oto drobna okoliczność, co stanowiła, jak sam pan Walery mawiał, owo potrącenie łaski i pierwszą przynętę do ołtarzów Pańskich. Dzieło nawrócenia zupełnego dopiero miało się rozpocząć. Chrystus zapuścił sieć w te mętne podówczas wody polskiego wychodźtwa i wydobył na raz kilku zbłąkanych, ale najszlachetniejszych, którzy wnet mieli się stać gorącymi chwalcami jego imienia i gorliwymi szermierzami sprawy jego Kościoła.

Wspomnieliśmy już o koleżeńskiej przyjaźni, z pensyonatu Sołtykowicza jeszcze wyniesionej, z Aleksandrem Jełowickim. Koleżeństwo wygnania związało bliskiemi stosunkami pana Walerego z Hieronimem Kajsiewiczem, Piotrem Semeneńką i zgoła z tymi wszystkimi, co umysłem i duchem górowali wśród emigracyi. Przez Bohdana Zaleskiego zapoznał się i zaprzyjaźnił Wielogłowski z Adamem Mickiewiczem. Na cały ten zastęp mężów wielkiego ducha wywierał, jakeśmy już powiedzieli, głęboki wpływ ów prosty i cichy, a całkiem w Bogu zatopiony Bohdan Jański. Już Kajsiewicz i Semeneńko, za namową Jańskiego zamieszkali we wspólnym domku, gdzie pierwsze próby zakonnego rozpoczęli życia. Przebywał u nich czas jakiś i Mickiewicz, który jak wiadomo gorąco się był zapalił do myśli polskiego zakonu i sam zrazu uczuł popęd do zakonnego życia. Wielogłowski bywał w tym domku częstym gościem.

Co modły żony rozpoczęły, tego dokonać miała przyjaźń. Bohdan Jański ciężko zapadł na zdrowiu. Przyjaciele zmieniali się, aby kolejno przy jego łożu spędzać noce. Wielogłowski nie dawał się uprzedzić, lecz ten dogorywający apostoł emigracyi ostatnie wydobywał siły, aby wśród nocnych pogadanek utwierdzać, hartować i objaśniać w nauce św. wiary swego przyjaciela. Długa i ciężka była choroba świątobliwego męża, a straszna i głęboka boleść po jego zgonie; lecz dzieło nawrócenia było już dokonanem. Zasługę pod tym względem z ś. p. Bohdanem Jańskim dzielił w równej niemal części sędziwy kapłan ks. Duński, któremu Wielogłowski zawdzięczał objaśnienia teologiczne i z którego rąk pierwszą po wielu latach przyjął komunię św. (C. d. n.)

Błogosławiona Małgorzata Marya

i nabożeństwo do N. Serca Jezusowego.

Histoire de la bienheureuse Marguerite Marie et des origines de la dévotion au Coeur de Jésus, par l'abbé Bougaud, Vic. gen. d'Orléans, Paris, librairie Poussielgue frères, 1875.

Jeżeli kiedy wypadało przywodzić na pamięć chrześcijan wyższe przykłady ŚŚ. Pańskich, jeżeli któremu społeczeństwu należało przypomnieć wzory hartu i poświęcenia, jeżeli który wiek potrzebował umocnienia i zachęt, czerpanych w wzniosłych żywotach wybranych Bożych, to zaiste nasz wiek XIX, nasze społeczeństwo i czasy nasze. Wśród ogólnego rozstroju i powszechnej miękkości niezdolnej wykształcić pokolenia męzkiego i mężnego, trzeba się cofnąć w przeszłość, i w skarbnicy Kościoła Bożego pełnemi rękoma zaczerpnąć tych wzorów, tych przykładów, na które zapatrując się wiernie, możemy jeszcze my, skarłowaciałe potomki świętych, wyrosnąć na godnych ich naśladowców i następców, na wyznawców i męczenników, których same okoliczności wymagają. Potrzebę tę epoki zrozumiano nareszcie, i zewsząd można zaznaczyć zwrot ku hagiografii, coraz częstsze i coraz obfitsze spisywanie dziejów i Żywotów Świętych Pańskich. Niestety! nie zawsze umiejętność autorów stawa na równi z ich dobrą wolą, nie każdy swemu zadaniu potrafi sprostać. Jedni, pragnąc pochlebić powszechnemu prądowi literatury i znęcić uwagę ogółu czytelników, nadają swym dziełom formę jaskrawą, kształt powieści: przeplatają tok opowiadania rozmowami prawdopodobnemi, ale zupełnie dowolnie układanemi, ubierają dzieje świętych w szatę świecką, z ujmą powagi zewnętrznej i korzyści wewnętrznej. Drudzy, z obawy aby nie popaść w błąd podobny, o inny rozbijają się szkopuł: trzymają się wiernie źródeł, ale nie

umieją ich wyzyskać, uporządkować jak się należy, odstręczają czytelników nawałem cytat, przenośni i nawiasów; a nareszcie, nadużywając materyałów nieumiejętnie nagromadzonych, giną w otchłaniach mistycyzmu nieprzystępnego dla większej części czytającej publiczności. Francya, z której tyle pięknych, tyle zawsze dobrych płynie rzeczy, wynagradzających złe jej wpływy i złe przykłady, zkądinąd zatruwające świat cały, Francya tedy i tego doczekała się zaszczytu, że na jej łonie utworzyła się prawdziwa, chrześcijańska szkoła nowoczesnej hagiografii. Pomijając już dawniejsze w tym kierunku wydawnictwa: *Żywot św. Bernarda* przez ks. Teodora Ratisbonne, *Życie św. Dominika* przez Ojca Lacordaire, *Historyę św. Elżbiety* Montalembert'a i tyle innych, ostatnie lata przyniosły nam obfite pod tym względem żniwo, żeby tylko wspomnieć uczoną pracę Dom Gueranger'a, o *św. Cecylii. Dzieje Unii* i naszego *św. Józafata*, przez Benedyktyna Dom Guépin, *Cudowne życie pokornego żebraka Ben. Józ. Labre*, przez Leona Aubineau. Atoli nigdzie ten prąd hagiograficzny tak chwalebnych nie znalazł przedstawicieli i współpracowników, jak w dyecezyi Orleańskiej. Około wymownego biskupa miejscowego ks. Dupanloup, który tylu znakomitemi dziełami dobrze się zasłużył Kościołowi i społeczeństwu, zgromadziło się całe grono światłych i pobożnych kapłanów, którzy coraz to nowe pomniki stawiają na cześć ŚŚ. Pańskich. Kanonik Orleański ks. Baunard wydał z kolei *Żywot apostoła św. Jana* i dzieje *św. Ambrożego*. Ks. Lagrange, wik. generalny dyecezyi spisał historyę *Świętej Pauli*, tej matrony chrześcijańskiej, w około której skupiały się wszystkie spółczesne znakomitości nowonawróconego świata Rzymskiego, w IVtym wieku po Chrystusie. Pierwsze atoli miejsce w tem uczonem kole należy się bez wątpienia ks. Bougaud, autorowi tych *Żywotów św. Moniki* i *św. Chantal*, które we wszystkich katolickich sercach tak wielki i rzewny znalazły odgłos. Któż bez wzruszenia mógł czytać owe dzieje macierzyńskiego serca Moniki, z takiem ogniem i zrozumieniem napisane, a zawsze w myśli przyniesienia ulgi i pociechy tym wszystkim po świecie całym rozproszonym a bolejącym Monikom, których łzy i modły codziennie nowych odkupują Augustynów. W *Żywocie* zaś *św. Joanny Franciszki Chantal*, ks. Bougaud dał nam poznać znakomity swój talent jako historyk. Pisząc bowiem o początkach zakonu Nawiedzenia Matki Boskiej, z konieczności wypadło mu malować i epokę i nagromadzić obrazy i portrety spółczesne, mężów i niewiast związanych z powstającem zgromadzeniem. Jak się wywiązał z tego zadania, z jakim nieopisanym wdziękiem przedstawił nam ówczesne stosunki społeczne, ustrój towarzyski, charakter czasu, wiedzą dobrze ci, którzy raz zabrawszy się do tej księgi oderwać się od niej nie mogli. Prawda że sam przedmiot obfitował w rysy pociągające i zajmujące, zapewniał rozmaitość i życie opowiadaniu. Św. Chantal przechodziła wszystkie koleje życia niewiasty; widzimy ją córką, żoną, matką, panią, a dopiero później założycielką zakonu. Stosunki miała z wszystkiemi znakomitościami ówczesnej Francyi, wpływy szerokie, znajomości rozliczne. Opisując jej żywot, ks. Bougaud streszczał niejako całą epokę, szerokie miał pole dla swego talentu, obszerne ramy dla wspaniałego obrazu, jaki nakreślić zamierzał. W nowem atoli jego dziele, którego tytuł wypisaliśmy na czele tego artykułu, wcale inne krępowały go trudności. Święta dziewica, której żywot chciał spisać, żyła i zgasła w cieniu klasztornego zacisza: młoda gołębica, rycbło ukryła się przed światem w przybytku swego Oblubieńca. Żadnych

wpływów zewnętrznych nie wywarła na spółczesnych, żadne głośne wypadki nie wyrwały jej z zakonnego ukrycia, nikt nawet z grona wybitniejszych owego czasu postaci nie miał szczęścia przybliżenia się do niej. Za życia jej, a nawet po śmierci mało kto o niej wiedział, i podobno dopiero naszym czasom przypadło chwalebne posłannictwo uznania jej cnót, poznania łask, jakiemi ją Bóg obdarzał, a nareszcie usłuchania jej rad i wskazówek co do nabożeństwa, którego ona miała się stać promotorką. Znaliśmy już dawniej różne próby spisania jej żywota, i przyznamy, iż nie bez pewnego niedowierzania przystąpiliśmy do przejrzenia dzieła ks. Bougaud, z obawy zbyt wysokiego nastroju, i płynącego z samego przedmiotu mistycyzmu. Otóż wnet przyszło nam się przekonać, do jakiego stopnia owe obawy były płonne: ks. Bougaud nietylko w sposób przystępny i porywający wywiązał się ze swego zadania, ale nadto uczynił więcej dla sprawy nabożeństwa do Przenajświętszego Serca, aniżeli setki publikacyj, mających na celu rozgrzanie w tym kierunku zapału wiernych.

Na początku zaraz poznajemy zwykłe cechy niepospolitego talentu ks. Bougaud: w genialnym poglądzie na dzieje świata zestawia trzy epoki wielkich prób i zamąceń, i wykazuje że miłosierdzie Boże znajduje coraz to nowe środki do rozgrzewania stygnącej wiary w chrześcijaństwie. Gdy z pokojem Konstantyna Kościół wytchnął po długich bojach, a ze spoczynkiem na jego łono zaczęły się wkradać kacerstwa i resztki pogańskiej zmysłowości, św. Helena odkryła narzędzia naszego zbawienia i dała początek temu nabożeństwu do Krzyża św., które później miało natchnąć krucyaty i odnowić całe społeczeństwo chrześcijańskie. Gdy następnie ostygł zapał narodów, i Papieże daremnie wzywali do obrony Grobu Pańskiego, wśród rosnącej obojętności całego świata, przypadło znów dziewicy, Juliannie Falconieri chwalebne posłannictwo rozgrzania wiary nabożeństwem do Najśw. Sakramentu. Gdy na jej usilne żądanie Papież Urban IV ustanowił święto i oktawę Bożego Ciała, św. Tomasz cudowne swe ułożył hymny, a mnich nieznajomy nakreślił ową czwartą księgę dzieła *O naśladowaniu Chrystusa*, która jest ciągłem pieniem miłości.

Po trzech wiekach lodowaty powiew oziębia Kościół i całe społeczeństwo katolickie: zjawia się Luter, a za nim negacya wiary, negacya zwłaszcza miłości. Mnożą się kacerze, mnożą i odstępcy. I tę to chwilę obiera miłosierdzie Boże, aby światu dać poznać skarby Serca Jezusowego, i pociągnąć ludzi do oddawania Mu należnej czci i hołdów. A jak ongi na apostołów narodów powołał prostych rybaków, tak dzisiaj rozszerzenie tego nabożeństwa powierzył ukrytej w klasztornych cieniach dziewicy, Małgorzacie Maryi Alacoque.

Ks. Bougaud uczenie rozwodzi się nad przeczuciem owego nabożeństwa, które przez czas długi nurtowało w łonie chrześcijańskiego społeczeństwa, o wiele wieków przed cudownemi objawieniami w Paray-le-Monial. Już w katakumbach odnajduje ślady szczególnej czci ku otworzonemu włócznią bokowi Zbawiciela. Przywodzi słowa Tertuliana, Cypryana, Ambrożego, Augustyna, głoszące chwałę tej rany, i łaski z niej płynące. Wspomina gorącą pobożność św. Bernarda, św. Bonawentury, Taulera, Bł. Henryka Suso, i tylu innych, którzy pałali miłością do Przen. Serca. Atoli wszyscy oni przestawali na osobistem nabożeństwie, żaden się jego nie stał apostołem. W zamiarach

opatrznościowych zakon Nawiedzenia Najśw. Panny miał się stać właściwą kolebką tego tkliwego nabożeństwa. Historyk Wizytek, św. Chantal i pośrednio św. Franciszka Salezego, z miłością odnajduje ślady owego przeznaczenia, zestawia z sobą cudowne zdarzenia i prorocze nagromadza słowa, aby nas przekonać, że cała fundacya św. założycieli zmierzała ku jednemu celowi i przygotowywała drogi Boże, wiodące do rozpowszechnienia nabożeństwa, do Serca Pana Jezusa, w które objawienia bł. Małgorzaty Maryi świat cały wtajemniczyć miały.

Po tym wstępie, noszącym słusznie tytuł przyczynku do *Żywota świętej Chantal*, autor przystępuje do kreślenia dziejów naszej błogosławionej. Opisuje nam jej dziecinne lata, jej młodość ciężkiemi nawiedzoną próbami, wczesne jej powołanie do życia zakonnego, trudności jakich doznała ze strony rodziny, rozdarcie przy pożegnaniu, spokój jaki odzyskała w klasztorze. Z powodu jej wstąpienia do Paray-le-Monial, ze zwykłem upodobaniem pełnemi rękoma czerpie w kronikach klasztornych, wskrzesza postacie dawnych zakonnic, towarzyszek i przełożonych naszej błogosławionej, i z właściwym wdziękiem przesuwa przed naszemi oczyma cały szereg tych świętych dziewic, noszących najpiękniejsze imiona Francyi, obdarzonych hojnie wszelkiemi przyrodzonemi dary umysłu i ziemskiej piękności, które wszystko poświęciły, wszystko oddały i wszystkiego się wyrzekły dla miłości Ukrzyżowanego.

Następnie przechodzi do części najtrudniejszej swego zadania, bo do mistycznych stosunków Oblubienicy Chrystusowej z swym Boskim Oblubieńcem. Przedziwna prostota i gorąca wiara cechuje ten ustęp dzieła: Święci Pańscy różną bywają ku niebu prowadzeni drogą, jedni oddają się apostolstwu, drudzy kontemplacyi, jednych Bóg ciągłemi doświadcza próbami, drugim pociech duchownych nie szczędzi. Otóż nasza Małgorzata-Marya, aczkolwiek zewnętrznych nie zabrakło jej cierpień, takich przez całe życie doznawała łask i słodyczy, że zaiste nigdy z Taboru nie zstępowała. Ciągłe widzenia, rozmowy z Zbawicielem krzepiły ją i podnosiły coraz wyżej, aż nareszcie trzy główne rewelacye, dotyczące nabożeństwa do Najśw. Serca, uwieńczyły ten szereg nadzwyczajnych darów Bożych. W dwóch pierwszych razach Zbawiciel głównie jej objawił miłość Serca swego ku niewdzięcznym ludziom, żądał aby to serce, „które tak ich umiłowało“ nareszcie poznanem, czczonem i ukochanem zostało. Wymagał osobnego nabożeństwa, osobnego święta, obiecując zlewać potoki łask swoich na tych, którzy nie zostaną głuchymi na głos Jego i Jego służebnicy. Trzecia rewelacya dotyczyła głównie Francyi i ówczesnego jej monarchy: Ludwika XIV. Streściła ją błog. Małg. Marya w trzech listach do przełożonej, Matki de Saumaise, zawierających prorocze ostrzeżenie dla Francyi i domu panującego: Pan Bóg przez usta swej sługi zwiastuje królowi, iż żąda konsekracyi całego państwa Sercu Jezusowemu, zbudowania Kościoła osobnego na cześć Jego najświętszą, nareszcie umieszczenia Jego Przenajdroższego Serca na sztandarach i tarczach herbowych; zwycięztwo tylko pod temi warunkami Francyi zapewnionem zostanie. To wszystko pisanem było w 1689 r. Królowie pozostali głuchymi na głos apostołki Serca Jezusowego, i oto w sto lat, bo w 1789 r. wybuchła straszna nawałnica rewolucyi. Ludwik XVI z głębi swego więzienia spisał w rzewnych słowach uroczysty akt, przez który ślubował co do joty wypełnić żądania daremnie zaniesione do tronu pradziada przez świętobliwą zakonnicę z Paray-le-Monial. Nie danem mu było wykonać ślubu; Pan Bóg powołał go do męczeńskiej korony, za winy ojców i ojczyzny. Nowe

nastały burze, nowe a straszne zawikłania, które przez długi czas miały jeszcze Francyę w otchłani nieszczęść pogrążyć.

Nie odrazu nabożeństwo do Serca Jezusowego miało się przyjąć w Kościele i katolickim świecie. Co dziwna! nie Francya, na której łonie ono powtało cudownemi objawieniami się Zbawiciela, przodowała w rozwoju tego kierunku, ale nasza ukochana ojczyzna, Polska. Już w 1726 r. August II usilnie nalegał na Papieża Benedykta XIII o zatwierdzenie nowego nabożeństwa, a wkrótce potem biskupi polscy do stóp Stolicy apostolskiej zanosili podanie o podniesienie święta Serca Jezusowego do rzędu publicznych uroczystości. Przez długie lata tak królowie jak i duchowieństwo polskie nie przestawali rzeczonej sprawy popierać w Rzymie, i nawet francuzki historyk przyznaje, że Klemens XIII głównie uległ ciągłym prośbom naszego episkopatu, gdy na nowo podniósł tę sprawę. Pierwszy dekret z 1765 r. pozwalał biskupom polskim obchodzić uroczyście święto Serca Jezusowego, z właściwą Mszą i Officyum. Zaledwie ten dekret wydanym został, aliści Marya Leszczyńska stała się promotorką onego nabożeństwa we Francyi, i spowodowała swą gorliwością rozciągnienie onego przywileju na wszystkie dyecezye Francyi. „Pan Bóg jednoczył serce Francyi i serce Polski, pisze ks. Bougaud, i w przededniu strasznych nieszczęść, jakie na nie spaść miały, pobudzał je do wspólnej pracy około rozszerzenia i rozkwitu nabożeństwa do Przenajdroższego Serca. Można wnosić, że to Serce ze wszystkich najwierniejsze, nie omieszka kiedyś stokrotnie oddać to, co dlań uczynionem zostało“. Nas Polaków te szczegóły do głębi duszy poruszają. Tak jest, ojczyzna nasza do tego stopnia na wskróś jest katolicką, że niejako wyprzedza zamiary Boże, postanowienia Kościoła; wiara jej tak jest żywą i szeroką, że obejmuje te nawet artykuły, które zostawione sumieniom wiernych, później dopiero miały być za dogmata ogłoszone. Gdzież Niepokalane Poczęcie Maryi dawniej i ogólniej było czczone i ukochane? któryż z Polaków kiedy wątpił o nieomylności Stolicy apostolskiej? A otóż znowu widzimy Polskę naszą drogą, przodującą w hołdach oddawanych Sercu Jezusowemu, w tem nabożeństwie, które miało rozgrzać ostatnie wieki. Ach! jeżeli Zbawiciel takiemi łaskami obiecał wzbogacić domy i rodziny, gdzieby cześć Jego Serca zatkwiła (wedle słów wyrzeczonych do bł. Małgorzaty Maryi), jakże wątpić, aby ich skąpił polskiej niedoli i tej krainie mogił, która zapewne wiele zgrzeszyła, ale też i „wielce umiłowała“! Z tem uczuciem czytaliśmy ową księgę, z tem uczuciem przechodziliśmy do końcowych a tak wymownych rozdziałów o odrodzeniu się Francyi przez niespodziany rozkwit nabożeństwa do Przenajdroższego Serca. Wszystkie życzenia i żądania błog. Małgorzaty Maryi z kolei w naszych dniach urzeczywistnionemi zostają. Serce Jezusowe pojawiło się na bohaterskich sztandarach żuawów papiezkich, którzy pod dowództwem Charette'a dokazywali cudów waleczności w czasie wojny francuzko-pruskiej. Ta wojna, która takie ciosy wymierzyła na biedną zwyciężoną Francyę, stała się początkiem jej odrodzenia w Sercu Jezusowem. Ból rozdzierający ludzkie serca prawych Francuzów, pobudził ich do szukania ucieczki i pociechy nie już u stóp Zbawiciela, ale w samem Boskiem, ojcowskiem Sercu Jego. To serce jest dziś hasłem, w około którego wszystkie prace, roboty, usiłowania poczciwe i pokutne się skupiają. Dzisiaj dopiero wchodzą w życie wskazówki udzielone Francyi za pośrednictwem Małgorzaty Maryi, dziś się urzeczywistnia dosłownie ślub uwięzionego Lu-

dwika XVI. Nie już sam król francuzki, ale cała Francya stawia dziś świątynię na cześć Przenajdroższego Serca, na wyżynach Montmartre, Mons Martyrum, górujących nad stolicą, tylu zbrodniami skalaną, ale gdzie więcej musiało się znaleść sprawiedliwych, aniżeli ongi w Sodomie i Gomorze. Kościół ten, w myśli pokutniczej i ekspiacyjnej wzniesiony, nosić będzie znaczący napis:

Sacratissimo Cordi Christi Jesu
Gallia poenitens et devota,

Stróżami i głównemi rozkrzewicielami tego nabożeństwa pozostaną i nadal członkowie Zakonu Jezusowego. Odkąd św. Ignacy wlał w synów swoich nietylko apostolską gorliwość, ale i mądrość roztropną, która ich czyni niezrównanymi mistrzami w trudnym zawodzie prowadzenia dusz na drogach doskonałości, widzimy najczęściej obok Świętych Bożych zakonnika z Towarzystwa Jezusowego, wskazującego im niebo i ścieżki doń prowadzące. Dość wspomnieć na Q. Bartłomieja Alvarez, który wielką św. Teresę kierował na wyżynach ascetycznego mistycyzmu, i O. de La Colombière, który pierwszy rozpoznał w bł. Małgorzacie Maryi wysokie jej posłannictwo, i stał się pierwszym apostołem Serca Jezusowego. „Tym zaszczytnym wyborem", pisze ks. Bougaud, „Bóg chciał nagrodzić dzielne ono Towarzystwo, za niepoślednie usługi, jakie oddało Kościołowi wśród strasznej burzy XVII wieku, gdy w osobie swego założyciela, pierwszych członków i znakomitych teologów, umiało powstrzymać szerzenie się kacerstwa i pomścić krzywdy wiary św. Może nadto, Bóg chciał tym sposobem pochwalić stanowisko, jakie zakon Jezuitów zajął w olbrzymiej walce, którą w końcu XVIIgo wieku Janseniści wydali Kościołowi. Albowiem, nie ujmując nic surowej sprawiedliwości Boga, Jezuici nie przestawali sławić Jego dobroci i miłości niermiernej Jego litości nad grzesznikami. A że w nagrodę tylu usług oddanych światu i społeczeństwu chrześcijańskiemu, gdy zakon wychował całą nieomal młodzież Europy, ucywilizował Paraguay, nawrócił Japonię, lał krew swoją po wszystkich najdzikszych wybrzeżach, wzbogacał oświatę mnóstwem ciekawych odkryć, a świat cały napełnił wonią cnót najdoskonalszych, same go czekały prześladowania, słuszna było, ażeby w tych właśnie okolicznościach Pan Bóg im zgotować raczył, nietylko pociechę i poparcie, ale zwłaszcza jawny swej miłości dowód. Dla tych wszystkich powodów zadanie rozpoznania i zatwierdzenia prawdy objawień Przenajdroższego Serca przypadło kapłanowi z Towarzystwa Jezusowego".

A jakby tradycyą odziedziczoną po wielebnym Ojcu de la Colombière, posłannictwo szerzenia tego nabożeństwa dotąd głównie w ręku OO. Jezuitów pozostało. Nie powinno nas to zadziwiać; w dziejach Kościoła widzimy zawsze, iż każdy zakon ma sobie powierzoną inną gałęź pobożności: Dominikanie rozkrzewili nabożeństwo Różańcowe, Karmelici Szkaplerz Najświętszej Panny. Synowie św. Franciszka głównie pobudzali pobożność wiernych ku Ranom Ukrzyżowanego. Tutaj Wizytki są aniołami stróżami nabożeństwa powstałego w zaciszu ich klasztorów, a Jezuici mają onego zostać doktorami i apostołami. Chrześcijanie powinni tem skwapliwiej cisnąć się do tego źródła łaski i miłosierdzia, że w czasach obecnych nie mamy innej ucieczki, ani ziemskiej obrony. W około ciemno i czarno, burze gromadzą się nad głowami naszemi i razporaz piorunem wystrzelą, coraz smutniej i groźniej na ziemi, znikąd sprawiedliwości spodziewać się nie można, zimny powiew i niewiary i bezwyznaniowości oziębił świat cały. Na te zaiste czasy przypadają

obiecane św. Getrudzie łaski. Gdy raz owa święta dziewica pytała św. Jana, dla czego on, umiłowany Uczeń, który miał szczęście spocząć na piersiach Zbawiciela, zamilczał i nic nam nie opowiedział o tajemnicach Tego Przenajdroższego Serca, otrzymała odpowiedź, iż je Pan Bóg dla przyszłych zachował wieków, na czasy wielkiego zobojętnienia i oziębłości, i że owe cuda przeznaczał do ożywienia płomieni miłości w chwilach, gdy te już zupełnie ostygną i pozornie wygasną. (*Święta Gertruda Rev. x. III, r. 17*).

Czasy te wyraźnie nadeszły — i oto Ojciec wszystkich wiernych, za wyższem idąc natchnieniem, uciśniony Kościół, obłąkaną ludzkość, cierpiące narody, świat cały poświęca Temu Przenajdroższemu Sercu, którego litość i miłosierdzie jest nieprzebrane, nawet dla tych, którzy Go obrażali i znieważali. Z wzruszeniem do Jego poważnego głosu, zwiastującego ziemi i niebu nowe Przymierze, dodajemy i nasze nieudolne słowa, aby temu miłościwemu Sercu oddać naszą nieszczęśliwą ojczyznę, uciśnioną Litwę, męczonych Unitów, prześladowaną Wielkopolskę... Na wzór starszej naszej siostry Francyi, która się tem nabożeństwem odradza, niechaj i w Polsce ono zakwitnie, na tym Gruncie, tak poczciwym i pobożnym, gdzie każdy dobry siew się przyjmuje a ręką nieprzyjacielską zasiane kąkole łatwo więdną i wyplenić się dają.

ROZBÓJ W CHEŁMSKIEM.

Pod tym tytułem podają *Études religieuses*, redagowane przez Jezuitów francuzkich, w swoim zeszycie czerwcowym, artykuł pióra znakomitego i znanego Ojca Martinowa, opisujący wypadki zaszłe w Chełmskiem. Aczkolwiek są to rzeczy nam wszystkim zbliska znane, ze względu jednak na to, że O. Martinow jest Rosyaninem i pisarzem, który z rzadką znajomością rzeczy i gruntownością zwykł traktować sprawy rosyjskiej schyzmy, dlatego piękny ten artykuł w całości przytaczamy:

Ogłaszając temu dwa lata plan zagłady Kościoła grecko-unickiego w Rossyi, mówiłem, że niebawem będzie on przeprowadzony w małej dyecezyi Chełmskiej. Obawy, które wówczas wyraziłem, stały się dziś smutną rzeczywistością. Około 300.000 katolików, którzy składali tę dyecezyę, nie należy już więcej do jedności katolickiego Kościoła. Kościół Chełmski już nie istnieje! Stolica biskupia została przeniesioną do Lublina, a ten, co ją objął, jestto właśnie ów niegodziwy sprawca odszczepieństwa, które świeżo dokonanem zostało.

Ten to nieszczęsny wypadek chcę opowiedzieć czytelnikom, mało obeznanym z tokiem wypadków, jakie w tych odległych krainach miały miejsce. Skreślę ich szczegóły, ich przebieg i wyjście na jaw.

Dramat odegrany w Chełmskiem, przygotowywano od lat wielu; byłoby to bowiem błędem mniemać, iż on się datuje dopiero od r. 1863, bo rok ten posłużył tylko za środek do zmoskwicenia, który Moskwa pochwyciła i za-

mieniła w system. Potrzeba sięgnąć dalej. Upadek Kościoła w Chełmskiem jest tylko koniecznym wynikiem katastrofy 1839, której pierwsza przyczyna jeszcze bardziej jest oddaloną.

Car Mikołaj poszedł za śladami Katarzyny, a jego zabory odnieść należy do owej epoki. Jeżeli dyecezya Chełmska uszła katastrofy 1839 r., stało się to w skutek jej ówczesnego politycznego stanowiska, oraz i z tego powodu, że chciano powstrzymać jej mieszkańców od przejścia na obrządek łaciński. Na stolicy Chełmskiej zasiadał wówczas biskup Szumborski (1830—1851), prałat wielkiej pobożności, za mało wprawdzie energiczny, ale szczerze przywiązany do Stolicy ś. i do Unii. Rząd spodziewał się, że go skłoni do przyjęcia planów antiunickich przywoławszy więc starca do stolicy państwa, obsypał go grzecznościami i łaskami. Biskup też, powróciwszy do dyecezyi, wydał list pasterski, w którym polecał duchowieństwu, aby o ile tylko można, zbliżyło się do obrządku cerkwi państwowej. Na szczęście jednak miał on przy boku swoim przyjaciela roztropnego i wiernego, który go przestrzegł, na jak wielkie niebezpieczeństwo naraża w ten sposób owczarnię swoją. Cnotliwy biskup nie zawahał się wyznać błędu swego i prosił publicznie o przebaczenie za zgorszenie, które niedobrowolnie popełnił. „Przebaczcie mi bracia, pisał on, zbłądziłem; nie miałem żadnego prawa znosić tego, co Ojcowie zgromadzeni na synodzie w Zamościu ustanowili; nie chcę gwałtu czynić waszemu sumieniu". I odwołał swe poprzednie rozporządzenie, przywołując tym czynem pokory na pamięć cnotę Fenelona, wyznającego błąd swój przed całym światem.

Po śmierci Szumborskiego (1851) podjęto na nowo dzieło schyzmy. Kanonik Paweł Szymański, stróż-anioł zmarłego biskupa, został natychmiast oddalonym, a na jego miejsce przeznaczono Józefa Wojcickiego, któremu oddano zarząd seminaryum. Był on jak gdyby złym duchem nowego biskupa Jana Teraszkiewicza, który tak mało posiadał zaufania u Stolicy św., że mimo nalegania rządu pozostał tylko biskupem *in partibus*, z tytułem wikaryusza generalnego. Seminaryum zorganizowano wedle planu rządowego, ku temu zmierzając celowi, ażeby w młodych klerykach wraz z wychowaniem zaszczepić i ducha błędu. Liczbę alumnów ograniczono do czterdziestu, a najzdolniejszych z ich grona posyłano dla wykończenia naukowego wykształcenia nie do Lwowa lub Warszawy, ale do akademij rządowych. Była to właśnie chwila rozbudzającej się gorączki narodowościowej, która, zwłaszcza w Galicyi jaskrawo się przejawiała. Biskup miasto oprzeć się temu, stanął sam na czele ruchu ultra-ruskiego i za przykładem tego, co się już w Galicyi i gdzieindziej działo, zaczął wprowadzać do seminaryum używanie języka ruskiego, zamiast polskiego, który dotychczas był powszechnym. Kiedy nareszcie Stolica św. prekonizowała go biskupem chełmskim, dodała mu zaraz sufragana z prawem następstwa w osobie Jana Kalińskiego, proboszcza z Konstantynowa.

O ile Teraszkiewicz zostawał pod wpływem stronnictwa świętojurskiego (tak nazwanego od kościoła we Lwowie, przy którym było jego główne ognisko), o tyle też miał odrazy do swego następcy, z powodu jego przywiązania do Kościoła i widzialnej jego Głowy. Ztąd też krótkie jego rządy były ustawiczną walką, którą wypadki z r. 1863 uczyniły jeszcze bardziej trudną i zaciętą. Potrzeba bowiem wiedzieć, że powstanie polskie przyspieszyło rozwiązanie kwestyi r u s k i e j i nieodłącznej od niej Unii. Od tego też czasu datuje się system m o s k w i c e n i a dawnych prowincyj polskich, który popierał i przeprowadzał z wielkiem usiłowaniem książę Włodzimierz Czerkawski. Pierwszem jego staraniem, jako naczelnika spraw kościelnych, było tak zwane o c z y s z c z e n i e obrządku grecko-unickiego, który, jak mówiono, zanadto był zlatynizowanym. W r. 1864 posyłał on biskupowi rozporządzenia, mające na celu oczyszczenie obrządku, które się stało podstawą wszystkich przepisów, wyszłych z kancelaryi konsystoryalnej, i które aż do ostateczności przeprowadzały rozporządzenia k s i ą ż ę c e. Książę-teolog domagał się od biskupa odpowiedzi na rozmaite zapytania, które mu uczynił, a gdy tenże nie ze wszystkiem go zadowolnił, przewidując dokąd zmierzano przez projektowane reformy, los jego został rozstrzygnięty. Równocześnie, z reformą obrządku, zaczęło się wprowadzanie języka rosyjskiego w szkołach, przebudowywanie cerkwij na wzór tychże w Moskwie, zniesienie zakonów bazyliańskich, z których tylko jeden w Warszawie zachowano, aby tam dać przytułek zakonnikom czterech zakonów zniesionych w Chełmie, Zamościu, Lublinie i Biale, jeżeliby chcieli wytrwać w zakonnem życiu. Nadto wyjęto ich z pod władzy prowincyałów, a oddano pod jurysdykcyę biskupa. Ukaz z r. 1872 zniósł i to ostatnie schronienie zakonu niegdyś tak kwitnącego w Polsce.

Władza biskupia zeszła do zera; nie mógł on nigdy otrzymać konsekracyi, mimo powtarzanych nalegań Stolicy św.; schyzma albowiem widziała w nim zaporę do przeprowadzenia swych planów, którą chciano usunąć koniecznie. Czekano tylko dogodnej sposobności, na jakiej nie zbywa nigdy w podobnych wypadkach. Po trzech latach walki, czujny biskup został uwieziony w kibitce do Wiatki, gdzie skończył życie w kilka dni po swojem tam przybyciu. Na czele administracyi zjawił się ponownie Wojcicki, osobisty nieprzyjaciel zmarłego, pasterz z ramienia i ducha Czerkawskiego. Mianowanie to wywołało żywe nieukontentowanie w pośród duchowieństwa, z których wielu nie chciało nigdy go uznać za swego przełożonego.

Zerwanie konkordatu, śmierć niespodziewana Milutyna, sprawcy tego zerwania, dymisya ks. Czerkawskiego, to były trzy zdarzenia, które prawie równocześnie miały miejsce i sprawiły, iż nowa nadzieja zabłysła uciśnionym, ale ta niebawem została rozproszoną. Osobistości się zmieniły, system ten sam pozostał, tylko zamiast policyi, żandarmów i czynowników, wysunięto naprzód samo duchowieństwo ruskie, ażeby opinię Europy zmienić, każąc jej wierzyć, że wszystko się działo zupełnie dobrowolnie. Konsystorz, cały już prawie przesiąknięty duchem schyzmy, prowadził dalej piękne dzieło moskwicenia Kościoła. Cyrkularzem z dnia 11/23 Marca zabronił on wszystkich praktyk, przyjętych z łacińskiego (jak np. odmawianie różańca, godzinek o Najświętszej Pannie, noszenie szkaplerza, używanie języka polskiego i organów). Mimo to rzeczy nie szły wedle woli gorliwców, owszem te wznowienia wywołały w wielu miejscowościach niepokoje o tyle znaczne, że potrzeba było do ich uciszenia użyć siły zbrojnej. Lud nie przestawał powtarzać, że obalono jego religię, że go pchano do schyzmy. Opór stał się powszechnym i bardziej groźnym od 23 Lipca wedle starego kalendarza, który to dzień był ostatnim terminem dozwolonym zwolennikom tradycyi, po którego upływie kapłani nie przyjmujący cyrkularza, mieli być złożeni z swych posad.

Opozycya pochodziła ze strony Podlasian, którzy zamieszkują stronę północną dyecezyi, w gubernii Siedleckiej. Było ich tam w 1868 r. 107.000 rozrzuconych w dziesięciu parafiach, którzy razem z mieszkańcami obrządku

łacińskiego składali poważną liczbę około 205.000 przeciw 159.000 schyzmatyków, nie licząc w to żydów i protestantów, razem do 42.186 dochodzących. Mimo odmiennego obrządku, obie narodowości żyły w miłej zgodzie: Rusini i Polacy przychodzili wspólnie się modlić na grobie św. Jozafata w Białej. Unia zapuściła głębokie korzenie na Podlasiu i jej prawdziwe ognisko tam było. Co do części południowej dyecezyi, położonej w gubernii Lubelskiej, to przychylała się zawsze ku wschodniej Galicyi, z którą była w sąsiedztwie, z którą tworzy tak zwaną Ruś Czerwoną i z którą razem, zwłaszcza od roku 1848 wpływom ultra-narodowego i rusofilskiego ruchu ulegała. Chełm miał zostać ogniskiem tego ruchu, którego główne siedlisko było we Lwowie, w samem gronie duchowieństwa cerkwi katedralnej św. Jura. Ztąd to zrozumieć można, czemu propaganda schyzmatycka obierała zawsze Podlasie za pole swego działania. Skoro ta twierdza raz wziętą zostanie, prowincya Lubelska, stolica współwinnego konsystorza nie będzie przedstawiała żadnych trudności.

Ażeby poskromić rozruchy, powstałe z powodu pomienionego cyrkularza, uciekano się nie do środków przekonywania — popi wcale się nie pokazywali — ale raczej przyzywano pomocy wojska. Gubernator Siedlecki udał się osobiście na miejsce zamieszek, ściągnięto też wyższych oficerów i sprawników z różnych miejscowości, w towarzystwie nadzwyczajnych komisarzy Polecono im pewnego rodzaju umiarkowanie, a nadewszystko nakazano, aby traktowali zawsze tylko z pojedyńczemi osobami, a nigdy z tłumami lub z kobietami, których się więcej obawiano, aniżeli mężczyzn. Tam gdzie sprawnicy niczego dokazać nie mogli, rozkładano oddziały żołnierzy, dziwnych zaprawdę apostołów Jezusa Chrystusa! D o b r o w o l n o ś ć tedy, o której tyle rozprawia prasa rządowa, była czczą ułudą, tak samo jak f a r y z e j s k i e z a p e w n i e n i a, że oczyszczenie obrządku nie ma nic wspólnego z dogmatami wiary i nie pokrywa żadnych innych tajemnych planów.

Administracya wojskowa dyecezyi, widząc bezskuteczność swego schyzmatyckiego apostołowania, nie mogła nie zrozumieć, (bo jawną to było rzeczą), iż tu chodzi o kwestyę religii, że więc lepiej będzie zdać sprawę w ręce bardziej kompetentnej władzy. Zawezwano konsystorz, ażeby położył kres n i e p o r o z u m i e n i o m. „Usłużny wszelkim zachceniom rządu“ Wojcicki, ułożył nowy cyrkularz z dnia 8/20 września 1867, w którym przepisywał: 1° ażeby wszędzie pieśni polskie zastąpiono godzinkami o Najśw. Pannie, zwanemi u Greków pod imieniem *akafistów*, 2° ażeby zaprzestano używać organów, 3° ażeby pouczano wiernych, że te zmiany w niczem nie naruszały ich wiary. Do zjednania łatwiejszego przyjęcia tego cyrkularza, oraz w celu wytłumaczenia jego znaczenia, wybrał Wojcicki kapłana wedle ducha swego, który łączył w sobie wszystkie przymioty potrzebne do takiego posłannictwa. Imię jego, które dziś już stało się historycznem, Popiel. Był on wówczas archidyakonem katedry chełmskiej i członkiem kontystorza. Chociaż jako przybysz z Galicyi był człowiekiem „nowym“ w konsystorzu, do którego zaledwie od roku należał, odbył jednak swą misyę w towarzystwie kilku kanoników i kapłanów własnego wyboru, pod dozorem opiekuńczym władz wojskowych, gotowych do niesienia mu pomocy. Missya jego miała powodzenie. Rozruchy ustały, a przed końcem r. 1867 organy znikły w cerkwiach na Podlasiu i nie słyszano tam więcej śpiewów polskich. Wtedy to dopiero, jak przyznaje pewien autor rosyjski, wojsko się usunęło na zwykłe swoje posterunki.

Ojciec Św. w dekrecie z dnia 7 Października 1867 skarcił surowo postępowanie administratora, nazwał go człowiekiem wątpliwej wiary, popieraczem nieszczęsnej schyzmy i intruzem *(suspectae fidei, schismati funestissimo faveas)* i dodał te wieszcze słowa: „Dyecezyi Chełmskiej zagraża smutna ruina“ *(Tristis Chelmensi dioecesi impendet ruina)*.

Wojcicki stał się przeto nadal niemożebnym, lecz kogo postawić na jego miejscu? Popiel był mile widziany od rządu, ale Stolica św. poczytywała go za niegodnego dostojeństwa biskupiego i domagała się, aby stolicę chełmską obsadzono. W Petersburgu potrzebowano także biskupa, ażeby nadać pozór prawności reformom już dokonanym i tym, które jeszcze przygotowywano. Wybór padł na ks. Kuziemskiego, kanonika katedry lwowskiej i dawnego delegata do rady państwa w Wiedniu. Znany on był ze swego wrogiego usposobienia ku temu wszystkiemu, co było polskie; narodowość ruska była dlań ideałem, do którego urzeczywistnienia zmierzał nieustannie, a polityka więcej go zajmowała, jak sprawa królestwa Chrystusowego. Partya świętojurska uznawała go za swego przedstawiciela, a *Słowo*, organ tej partyi, nie wahało się nazwać go o l b r z y m e m ruskiej narodowości.

Wiedziano o tem dobrze w Petersburgu i spodziewano się znaleźć w nim narzędzie dostatecznie powolne. Ks. Kuziemski jednak, oddajmy mu słuszność, był przecie lepszym, jak o nim mniemano i przekładał niby wiarę swoją nad patryotyzm. Wszelako Stolica św. nie tak prędko zezwoliła na jego podniesienie na biskupstwo chełmskie i prekonizowała go dopiero 25 Czerwca 1868.

Nowina ta ożywiła błogą nadzieją serca dobrych katolików, a pierwszy list pasterski ks. Kuziemskiego napisany był z taką zręcznością, iż usprawiedliwił powszechne oczekiwanie. Polecał on w nim wiernym, aby się modlili za Papieża a także i za cara; duchowieństwo upominał, aby zachowywało dokładnie w całej swej czystości obrządek grecki, ale czynił to ogólnikowo i jakby mimochodem; wspomniał także o narodowości ruskiej, lecz mówiąc obok niej o wierze i obrządku, nie sprawiał tem niemiłego wrażenia. W końcu oświadczał, iż rząd przyrzekł mu uroczyście nie ścieśniać w niczem jego sumienia i nie stawiać żadnej przeszkody jego zjednoczeniu z Kościołem rzymsko-katolickim.

Wkrótce jednak nadzieje te zupełnie się rozwiały. W następnych listach pasterskich, już z dnia 23 Października tegoż roku, biskup innym przemawiał językiem. Nietylko zatwierdził dawniejsze rozporządzenia konsystorza, ale zabronił nadto księżom unitom odprawiania mszy św. w kościołach łacińskich a księżom łacińskim odprawiania nabożeństwa w cerkwiach. Metropolita Izydor, powróciwszy z Soboru florenckiego, wzywał usilnie katolików obu obrządków do uczęszczania do kościołów obu obrządków bez różnicy, a dodając do słów swoich żywy przykład, pontyfikował uroczyście w kościołach łacinników. Cóż więc sądzić o biskupie, który rozkazywał żołnierzom, aby z braku księży unitów spowiedź św. odprawiali i komunię św. przyjmowali nie u księży łacińskich, ale u popów?

Gdy się to dzieje, ś w i ę t o j u r c y tymczasem zbiegali się do Chełmu; przychodzili oni tam szukać szczęścia i pracować nad, nie wiem jakiem, odrodzeniem tej cząstki ich narodowości. Pomiędzy tymi Galicyanami wymienić należy dwu znaczniejszych: ks. Hipolita Krynickiego, który został rektorem dyecezalnego seminaryum, i ks. Mikołaja Liwczaka, kanonika z Białej. Ten

napływ galicyjskich świętojurców był bardzo dogodnym rządowi, potrzebowano bowiem zastąpić kimś tylu księży, którzy pokutowali w więzieniu za swą wierność obowiązkom kapłańskim; potrzeba oraz było zalać kraj czystym rusinizmem, uwolnionym od wszelkich obcych wpływów, pod któremi rozumiano to wszystko, co było katolickie. Można powiedzieć, że partya ultra-narodowa najwięcej się przyczyniła do zagłady Kościoła unickiego, przez nienawiść bowiem ku wszystkiemu co polskie, podała rękę schyzmie, która też ją wspierała ze wszystkich sił swoich. Spółka ultraruskości i schyzmy jest naturalną.

Raport, jaki Kuziemski przesłał w 1870 r. do Petersburga, trzymany w tajemnicy aż do ostatnich czasów, odsłania całkowicie myśl jego w kwestyi Unii. Obraz Kościoła Chełmskiego, nakreślony w nim pełen jest cieni: namiętności polityczne przejawiają się tam w każdem słowie, a sprawa wiecznego zbawienia dusz zaledwie go zajmuje. Wzywa on rząd, ażeby przeciw zalaniu Rusinów przez żywioł Polski użył środków skutecznych i odpowiednich, dla zachowania od zupełnej zagłady narodowości ruskiej i greckiego obrządku. Czytając ten dokument, zapytać się można, czy jest możliwem, aby on był napisany przez biskupa katolickiego? W tym samym roku rozkazał biskup Kuziemski wyszukiwać tych wszystkich, którzy przeszli na obrządek łaciński, nakazując, aby ich napowrót przywiedziono do Unii. Czemuż to raczej nie upomniał się on o te trzy miliony, gwałtem przeciągnięte do schyzmy w roku 1839? Albo czyż nie wiedział na jakie niebezpieczeństwo naraża te dusze w obec propagandy schyzmatyckiej, i coby dziś z niemi było się stało, gdyby ten jego rozkaz został wykonanym?

Bądź co bądź, wszystkie te ustępstwa biskupa nie zadowoliły żądań schyzmy, on zaś sam nie mając innego wyjścia, widział się zmuszonym do opuszczenia swego stanowiska. W roku tedy 1871 wrócił ks. Kuziemski do Galicyi, a lepiejby było, gdyby jej pierwej nie opuszczał — tamto przemieszkuje on dotąd. Przemilczymy o pobudkach jego powrotu, powiemy tylko, że jeżeli zaszczyt mu przynosi, iż żadrżał przed sromem apostazyi, to jednak opuszczenie biskupiej stolicy bez upoważnienia Głowy Kościoła nie jest wcale chlubą dla biskupa. Zresztą rozbicie jego trzody, którego był świadkiem, chociaż oddalonym, jest dziś zapewne dla niego najsroższą karą. Bóg policzy mu to przynajmniej za zasługę, że nie chciał być Judaszem. Ta rola przypadła jego następcy Marcelowi Popielowi.

Popiel odgrywa rolę zanadto wydatną, ażebyśmy nie mieli go dać poznać bliżej naszym czytelnikom. Ma on właśnie lat pięćdziesiąt. Urodzony w r. 1825 w wiosce galicyjskiej Medyka, odbywał szkoły w Galicyi, a ukończył nauki w Wiedniu (gdzie jest seminaryum ruskie) i we Lwowie. Kapłanem został w r. 1850, i był katechetą ruskim w Tarnopolu, zkąd przeniesiony potem został do Lwowa, i uczył w gimnazyum języka ruskiego, a potem religii. Był on bardzo czynnym w ruchu narodowym ruskim, na którego czele stał metropolita Grzegorz Jachimowicz, silnie popierany przez ks. Kuziemskiego, którego czytelnicy już znają. W r. 1866, jakeśmy to już gdzieindziej powiedzieli, zawezwał Popiela książę Czerkawski, aby się przeniósł z familią do Chełmu. Zaprosiny te zostały przyjęte tem chętniej, że nowy metropolita lwowski ks. Litwinowicz, nie miał upodobania w teoryach ultro-ruskich i umiał zjednać sobie posłuszeństwo. Katedra chełmska postradała właśnie swego pasterza, ks. biskupa Kalińskiego, którego uwieziono do Wiatki. Rzecz to arcysmutna,

że wychodźtwo ks. Popiela miało za pobudkę, nadzieję pozyskania mitry, ale na szczęście znano go już w Rzymie, i los padł na mniej skompromitowanego dotąd ks. Kuziemskiego.

Zaledwie instalowany w Chełmie, wydał Popiel wojnę organom, śpiewom polskim i wszystkim praktykom, przyjętym od Kościoła łacińskiego, bądź to przez zwyczaj, bądź przez synod w Zamościu (1720). Na Podlasiu pozostały tylko jedne organy. To samo uczynił w Lubelskiem z daleko większą łatwością, i za to swoje poświęcenie zasłużył sobie na order św. Anny drugiej klasy, do czego dodano w 1869 r. godność pierwszego archidyakona chełmskiego.

Popiel ma sławę dobrego rubrycysty. Jest on rzeczywiście autorem *Podręcznika liturgicznego* wydanego w roku 1862, i obszerniejszego dziełka w tym samym przedmiocie z r. 1863. Narzucił on się na reformatora obrządku w Chełmskiem, który jak mówił, chciał przywrócić do pierwotnej swej czystości, jak gdyby obrządki moskiewskie, które mu za wzór służyły, były te same, które istniały w Moskwie przed trzema wiekami, i jak gdyby nie były one zarażone herezyą i schyzmą. Głównem jego staraniem było oczyszczenie liturgii, czyli obrzędów mszy świętej, które dotąd jedynie pozostały nietknięte. Oczyszczenie kalendarza było naturalnym wynikiem, a wyrzucił on z niego wszystko, co było obce kalendarzowi schyzmatyckiemu, a więc i święto św. Jozafata, włączył zaś te święta, które jako schyzmatyckie zniósł synod w Zamościu.

Dzieło oczyszczenia postępowało zwolna, roztropność bowiem nakazywała oszczędzać ludność przywiązaną do swego obrządku, i tak dalece niechcącą nic słyszeć o odmianach, że wychodziła tłumnie z cerkwiów, w których odprawiano nabożeństwo wedle reformowanej liturgii. Nie przyszło jednakże nigdzie do czynnego oporu, chociaż w wielu miejscowościach lud opuszczał cerkwie, a stan ten naprężenia trwał do roku 1873. Popiel objąwszy rządy dyecezyi po opuszczeniu stolicy biskupiej przez ks. Kuziemskiego, wydał na dniu 2/14 Października cyrkularz, w którym przeznaczał jako ostatni termin do wprowadzania nowego rytuału dzień 1/13 stycznia r. p. Do cyrkularza dołączony był *Podręcznik liturgiczny*, szczegółowo wykazujący zmiany, które miały być zaprowadzone w obrządku dotychczas używanym. Nie zawierał on zresztą nic nowego, powtórzono w nim te same sofizmata o bezwzględnej niezmienności obrządku przyzwolonego i zatwierdzonego przez Stolicę świętą od czasu zawarcia Unii w r. 1597, i te same przekręcania właściwej myśli wyroków papiezkich.

Rzecz dziwna! synod w Zamościu 1720, uroczyście zatwierdzony od Papieża Benedykta VIII, pominięto milczeniem, jak gdyby nigdy nie był istniał, podczas gdy właśnie na tem zgromadzeniu narodowem przyjęto formę obrządku, jaka dotychczas istnieje, i którą chcą reformować.

Duchowieństwo Podlaskie sprzeciwiło się reformie, jako zupełnie dowolnej, antikanonicznej i pozbawionej zatwierdzenia papiezkiego. O ile Galicyanie okazywali niezmierną gorliwość w zaprowadzaniu reformy popieloskiej w parafiach, o tyle kapłani krajowcy stawiali opór, opór który większa ich część opłaciła więzieniem lub wygnaniem. Przedewszystkiem mężnie się jej sprzeciwiał lud, którego poczucie i prosta wiara w tej rzeczy wcale się omylić nie dały.

Nie będę tu opisywał apostolstwa reformy, wpajanej batem i nahajką, których święta Rossya monopol posiada. Trzebaby o tem spisywać tomy. Dzienniki katolickie dosyć o tem pisały, ażeby zwrócić uwagę całej ludzkości, i obnażyć maskowaną złą wiarę prasy urzędowej i usłużnej, posuwającej swą bezczelność aż do zaprzeczania najjawniejszych faktów. Radzimy odczytać szczegółowe sprawozdania ogłoszone w broszurce przez gazetę *Le Monde* pod tytułem: „Schyzma i jej apostołowie w Chełmskiem". (Paryż 1875). Jest to oraz odpowiedź zbijająca fałsze petersburgskiego *Wiestnika urzędowego*, którego artykuł, nanizany z fałszów i złej wiary, powtórzyły wszystkie organa urzędowe prasy krajowej i zagranicznej, nie w innym zaprawdę celu, jak żeby obałamucić opinię publiczną. Krew popłynęła, ona lepiej przemówiła jak dzienniki.

Niech mi jednak wolno będzie przytoczyć kilka tylko faktów. Tak w Kornicy pewna uboga wdowa gorzko opłakiwała swego zabitego syna. Upomniana od jednego starego wieśniaka tejże wioski, że zamiast się cieszyć, płacze, iż do nieba wysłała przed sobą męczennika, wchodzi w siebie, mężnieje na duchu i poczyna nucić pieśń pochwalną: Tobie cześć, chwała. Młody wieśniak, którego bito, posuwając się aż do swawoli, został zaniesiony do szpitala. Oficer żandarmeryi przyszedł wieczorem zobaczyć, czy chory jeszcze zostaje przy życiu. Ten, widząc go wchodzącego, przerywa pieśń do Matki Boskiej, którą właśnie śpiewał, a sądząc że ma być bitym powtórnie, odezwał się do oficera głosem spokojnym i słodkim: „Nie wasza to w tem wina; wy robicie, co wam kazano, wszakże, jeśli mię bić macie, to róbcie to tak, abyście mnię już dobili". Inna niewiasta odmawiała bezwzględnie wszelkiego ustępstwa sprzeciwiającego się jej sumieniu. „Podpisz, albo pójdziesz na Sybir". — Pójść pójdę, ale podpisać nigdy. — Kiedy nie, to ci odbierzemy twe dziecko. — Oto je macie. Bóg będzie się niem opiekował". To mówiąc pobłogosławiła dziecię, i oddała je w ręczebirów. Ta mężna niewiasta nazywa się Krajczycha. Mieszkańcy Grudy wyszli gromadnie na spotkanie wojska do nich wysłanego. Na zapytanie dowódzcy, czego chcą, odpowiedzieli, iż opuścili wszystko i proszą jako o łaskę, ażeby z nimi i z ich rodzinami skończono jak najrychlej. Dowódzca słysząc to wrócił zawstydzony i wzruszony. Gdzieindziej ludność opuszczała wioski i wynosiła się do lasów... Możnaby przytoczyć jeszcze wiele przykładów takiego heroizmu chrześcijańskiego, któremu sam Ojciec Św. oddał uroczyste pochwały w encyklice z dnia 13 maja 1874.

Rzym musiał przyłączyć głos swój, do wołania krwi zabitych ofiar, i dać świadectwo prawdzie, przekręconej przez Popiela, musiał też dodać ducha uciśnionym. Wtedy to świat cały poznał, i nie mógł dłużej wątpić o tem, że mniemany reformator przywłaszczał sobie jurysdykcyę kościelną, aby wzniecać burze w dyecezyi chełmskiej, a przedewszystkiem obalić w niej liturgię kanonicznie zatwierdzoną; że nie był jak tylko pseudo-administratorem i intruzem, który pod pozorem oczyszczenia obrządku, innego nie miał celu, jak tylko podkopać podstępnie wiarę Rusinów, z oczywistym zamiarem wprowadzenia do dyecezyi liturgii schyzmatyckiej: słowem, że się nie sromał nadużyć zdradliwie sankcyi papiezkich, nakręcając je do swego sposobu widzenia. Ojciec Św. pochwaliwszy heroiczną wiarę Rusinów, w której wiernie wytrwać musieli, skarcił

postępowanie pseudo administratora i jego spólników, ludzi zupełnie straconych, unieważnił przepisy miejscowego konsystorza i polecił duchowieństwu pod najsurowszemi karami, ażeby ściśle przestrzegało zachowania świętych kanonów, tyczących się obrzędów, a nadewszystko tych, które Synod Zamojski i Stolica św. zatwierdziły.

Piękną tę encyklikę, przetłómaczono natychmiast na język ruski i rozrzuconą, jakby za dotknięciem różczki czarodziejskiej wszędzie po dyecezyi, z rąk sobie wyrywano. Lud słuchał jej z zajęciem i streścił ją sobie w tych dwu słowach, że ma psa administratora, swoim sposobem obce wyrażenie pseudo na polskie pies tłómacząc. Prześladowanie nieco przycichło, i nastąpiła chwilowa cisza, zwiastunka nowej burzy. Banda popieloska uczuła cios, który spadł na nią, i już nie potrzebowała niczego oszczędzać. Postanowiła więc zrzucić maskę, i przyspieszyć ostateczną ruinę Kościoła chełmskiego. Koniec roku zeszedł na przygotowaniach i zjazdach, w których podwojono gorliwość w zbieraniu podpisów i pozyskiwaniu sprzymierzeńców. Historya wykryje nam tajemne usiłowania i środki, jakich użyto, ażeby przygotować upadek Unii. Ten się już zbliżał, a sygnał do niego dany był z Białej. Na dniu 12/24 stycznia przeszedł kanonik tego miasta Mikołaj Liwczak z kilkoma innymi kapłanami, i z 50.000 wiernych na schyzmę w obecności Joanicyusza arcybiskupa warszawskiego, grecko-nieunickiego. Dnia 18/30 lutego odbyło się posiedzenie konsystorza i kanoników chełmskich pod przewodnictwem Popiela. Otwarto obrady odczytaniem próśb nadeszłych z siedmiu dekanatów lubelskich, z wyjątkiem Augustowskiego, w których wyrażano pragnienie: „powrotu na łono cerkwi prawosławnej". Potem uchwalono jednomyślnie: 1) ułożyć i podpisać akt zjednoczenia dyecezyi unickiej chełmskiej z cerkwią prawosławną. 2) ułożyć i podpisać pokorną prośbę o upoważnienie carskie do wykonania tego połączenia. 3) prosić administracyę dyecezyi, aby tę uchwałę oznajmiła rządowi, i uzyskała pozwolenie wysłania do Jego carskiej Mości deputacyi, którąby wręczyła oryginały powyższego aktu i prośby. Deputacya składać się miała z administratora dyecezyi, dwóch archidyakonów kapituły i siedmiu kanoników.

Dokumenta te należą do historyi. *Wiestnik urzędowy* w Petersburgu ogłosił je, a dziennik *le Monde* pospieszył je podać światu, i ocenić jak należało (patrz numera z dnia 22 i 23 kwietnia). Z wszystkich tych dokumentów najważniejszym i najciekawszym jest ten, w którym Popiel oświadcza w imieniu chełmskiego duchowieństwa, że wypowiada posłuszeństwo Papieżowi, aby nie stawać w sprzeczności z rozporządzeniami rządu, i samego najdostojniejszego monarchy. „Dokument ten dodaje *le Monde* jest wzorem tego, czego się nie udało p. Bismarkowi uzyskać od biskupów niemieckich. Jest on jaskrawem przeciwieństwem odezwy tych ludzi apostolskiego ducha, którzy niedawno zaczerpnęli odwagę u grobu św. Bonifacego. Byłoby rzeczą straconą dłużej się zastanawiać nad tym stekiem kłamstw, z pośród których wymknęły się niektóre mimowolne wyznania prawdy. Co przedewszystkiem czytelnika uderza to to, że kwestye religijne są tylko płaszczykiem, a od początku do końca widocznie chodzi tylko o kwestye narodowe i polityczne. Nigdy nie przytoczono tekstów, któreby były mniej odpowiednie do tego, co się ma zamiar udowodnić. Można też czytając, łatwo między liniami dopatrzeć się zbrojnej ręki, ciężącej nad duchowieństwem i nie pozostawiającej mu żadnej wolności". Dziwna czułość

z jaką duchowieństwo podnosi wspaniałomyślność i dobrodziejstwa, jakiemi się widzi obsypanem od dostojnego monarchy, każe podejrzywać bezinteresowność jego zapatrywań, i usprawiedliwia niepochlebną nazwę argonautów, jakie opinia publiczna nadała tym nowym poszukowaczom złotego runa.

Car, odebrawszy od ministra spraw wewnętrznych raport o tem, co w Chełmie uchwalono, udzielił najłaskawiej żądanych upoważnień. Deputacya przyjętą została w pałacu zimowym dnia 25 marca, w uroczystość Zwiastowania. Popiel wręczył carowi prośbę duchowieństwa i akt zjednoczenia przy stosownej przemowie, na którą car odpowiedział, że dziękuje Bogu za ich powrót do cerkwi prawosławnej, wierzy w szczerość ich postępowania, i ma nadzieję, że Bóg utrzyma ich na drodze, na którą dobrowolnie wstąpili. Potem przedstawił Popiel cesarstwu wszystkich kanoników deputacyi. Kanonik z Białej, Liwczak, już przyłączony do moskiewskiej cerkwi, równie jak i Mikołaj Popiel, przywódzca delegacyi świeckich, mieli także do cara przemowy.

Nie pozostało nic więcej, jak dopełnić religijnych formalności, które przeznaczono na dzień 11/23 maja. Przedtem jednak ogłosił synod dekret pod datą 1/13 maja, w którym oznajmiał: 1sze że powrót dyccezyi chełmskiej do cerkwi państwowej został przyjęty; 2gie że dyecezya została wcieloną do Warszawskiej, która odtąd nazywać się będzie warszawsko-chełmską; 3cie że dawną dyecezyą chełmską rządzić będzie administrator z tytułem biskupa lubelskiego; 4te że tym biskupem będzie Popiel, którego święcenie odbędzie się w stolicy, po przyjęciu na łono cerkwi prawosławnej. Ceremonia przyjęcia odbyła się dnia 11/23 tegoż miesiąca.

Taki jest krótki rys wzruszającego dramatu, którego pierwszy akt odbył się na Litwie i Białej-Rusi, drugi w Chełmskiem w Polsce. Historya, zapisując te wypadki smutnej pamięci na kartach swoich, napiętnuje je prawdziwem ich mianem: rozboju.

J. Martinow.

Oto słowa Rosyanina, nikt nas teraz nie posądzi o stronniczość i naginanie faktów.

LISTY z WIEDNIA.

(Serya II.)

VIII.

Wiedeń 21 Czerwca.

(Procesye jubileuszowe a judaizm — Szlachta austryacka a Don Carlos — Ciekawe procesa — Prokurator hr. Lamezan — *Volksfreund* a wolność Kościoła — Zebranie katolików w Insbrucku — Obsadzenie wakujących biskupstw — Mania samobójstw — *Requiem* Verdi'ego — Cenny zabytek archeologiczny — Stowarzyszenie „Siła“ — Gerhard Marossy — Nowe książki — Procesya w Wiedniu).

Linoskoki gazeciarskie rozpoczęły znowu swe niby dowcipne a właściwie bluźniercze wycieczki przeciwko temu, co dla każdego katolika święte i poważania dostojne. W dziennikach tutejszych rzucają błotem

na to pospolite ruszenie modłów i błagań, na procesye jubileuszowe, na uroczystość poświęcenia świata katolickiego Sercu Jezusowemu. Nikogo to nie zdziwi, kto wie, iż cała prawie prasa obecnie w ręku żydowskim, lub takich chrześcijan, którzy *à la* redaktorowie *Dziennika Polskiego*, piszą tym, którzy im dziś płacą. Judaizm pochrystusowy, ta karykatura judaizmu biblijnego, judaizm faryzajski, który kształci sie nie na księgach Mojżesza i proroków, lecz na talmudzie, pała zawsze nienawiścią ku Kościołowi, będącemu jedyną zaporą przeciw rozpanoszeniu się żydostwa w społeczeństwie chrześcijańskiem. Ostatnim celem żydowszczyzny jest zrujnowanie moralności i bytu materyalnego wśród ludów chrześcijańskich, jak tego nauczał rabin Abrabanel w swym komentarzu do proroka Jeremiasza; a tu Kościół chrześcijański właśnie wprost przeciwnie ustawicznie działa. Ztąd się tłómaczy, iż we wszystkich spiskach, we wszystkich socyalistycznych ruchach, we wszystkich lożach masońskich żydzi przeważną odgrywają rolę, aby prześladować Kościół. Nie dziw, że i w liberalnej walce kulturowej upatrują wodę na swój młyn i umieją ją należycie wyzyskać. Ich *Toledoth Jeschu*, ułożony na wzór talmudu, ich tajne obrzędy zawierają najohydniejsze bluźnierstwa na Zbawiciela i chrześcijan. Jest nawet w talmudzie: *Avodah Zara*, osobny słownik wyrazów zelżywych, miotanych na wyznawców Chrystusa. Już św. Hieronim mówi o żydowskich formułkach przeklinania, a Buxtorff w XVI stuleciu, Pfefferkorn, Wiktor Cobden i inni stwierdzają prawdziwość takowych. Napróżno ten jad zaciekłości żydowskiej usiłowali oblec pokostem religijnym, rabini: Majmonides, Bechai, Salamon Jarchi, Izajasz, Salamon ben Sevet, Levy i mnóstwo innych. W skutek tej nienawiści fanatycznej przeciw temu wszystkiemu, co Chrystusowe, która cechuje judaizm, nie znają żydzi względem innych ludów żadnego prawa moralnego. Wszędzie i zawsze zbiegły oszust i lichwiarz, żyd, znajdzie u swych współwyznawców bezpieczne schronienie — wszyscy tworzą jedną wielką europejską bandę, pomagając sobie wzajemnie ukrywać to, co zrabowali lub wyszachrowali. Zbogacić się, choćby w najniegodziwszy sposób — to rdzeń myśli i działań tak króla giełdowego, który oblewa się pachnidłami i obwiesza łańcuchami, jak i żydka w obdartym kaftanie, który od dworu do dworu chodząc, skupuje skórki zajęcze. Żyd, któryby w tej myśli nie działał, jest wyjątkiem i jako wyjątek przestaje być żydem w całem tego słowa znaczeniu. Ta potęga finansowa żydów pomaga im wielce do zrealizowania ich planów zawładnięcia światem: mają już powolnymi sobie i państwa i ministrów i dziennikarstwo i sądy — jeden Kościół katolicki im zawadza. Jakże przeto zgubną, nierozumną, szaloną jest walka mocarstw przeciw temu Kościołowi, który

właśnie jak był twórcą, tak sam tylko podtrzymuje byt monarchii chrześcijańskich. Na ten sąd o żydach zgadzają się mężowie, których nikt nie pomówi o przywiązanie do Kościoła katolickiego. I tak Schopenhauer w swych artykułach o polityce tak się wyraża: „Błąd to nie do darowania uważać żydów za sektę religijną i nazywać ich mojżeszowem wyznaniem. Oni są raczej narodem żydowskim, bo chociaż przebywają pasożytnie wśród innych ludów, to zawsze ożywia ich gorący patryotyzm dla własnego narodu". Fichte w swej rozprawie „O rewolucyi francuzkiej" wypowiada te, na wskróś prawdziwe, słowa: „Prawie przez wszystkie kraje Europy rozpościera się potężne, wrogie państwo, żyjące w ciągłej walce z drugiemi; państwem tem to żydowstwo. Ugruntowane ono i zbudowane na nienawiści całego rodu ludzkiego. Gdy i władzca absolutny nie może mi bezprawnie zabrać mej ojczystej chaty, gdy i wszechmocny minister nie odważy się skrzywdzić mnie bez przyczyny, to każdy żyd, któremu się podoba, zdoła mnie za pomocą lichwy bezkarnie wyzuć ze wszystkiego". A tej prawdy czyliż nie stwierdza owa straszna katastrofa giełdowa przed kilkoma laty? Jeżeli jeden Rotszyld, którego drzewo genealogiczne podał niegdyś przezacny *Dziennik Polski*, złupił kolej południową pod pozorem procentów o 80 milionów, to wnosić z tego można, ile to potrafi zrabować cudzego mienia zbita masa żydostwa. Jak Fichte, podobnie mówią o żydach i Kant w swej *Antropologii* i Herder w swych *Myślach o dziejach ludzkości*. Z tych urywkowych uwag łatwo poznać, iż nie przeciw Kościołowi, lecz przeciw zuchwałemu judaizmowi wywiesić należy hasło legalnej walki, gdyż taka walka jest kwestyą bytu dla ludów i mocarstw chrześcijańskich. Skoro już nieszczęsne równouprawnienie żydów stało się faktem, obowiązkiem więc władz czuwać nad tem, by się ono nie przemieniło w supremacyę — czuwać by judaizm butny nie zubożył społeczeństwa przez lichwę, nie zgangrenował go przez swe bezbożno-nieobyczajowe zasady, nie podkopywał w nim ładu przez wyszydzanie powagi i praw kościelnych, przez zachętę bezmyślnego pospólstwa do znieważania katolickich obrzędów i uroczystości.

Bismark, ten żyd szczepiony na Krzyżaku, czy ten żyd chrzczony, jak mówią Rossyanie o Niemcach, zalał Austryę ajentami, by propagować ucisk Kościoła, lecz monarchia Habsburgów, jeżeli nie chce widzieć się wymazaną z rzędu państw samodzielnych, musi póki czas stanąć wzorem Francyi w obozie katolickim, musi wziąść rozbrat z protegowaniem judaizmu. A ten dla monarchii konieczny a zbawienny zwrot należy rozpocząć od tego, by żydkom śpiewającym po gazetach

na hutę pruską, a szczekającym na uroczystości katolickie, założyć tak już od dawna niezbędny kaganiec.

Dotąd niesprawdzona pogłoska, jakoby księżna Windischgrätz ofiarowała znaczne dla Don Karlosa fundusze, wywołała w *Pressach* i *Blattach* pełne plugastwa artykuły przeciw szlachcie austryackiej. Komiczne robi wrażenie, jak ci żydkowie narzucają się dostojnym zwolennikom Don Carlosa na mentorów, nawołując ich do uległości względem Stolicy apostolskiej, twierdząc, że skoro Ojciec Św. uznał Alfonsa XII, przesłał mu list własnoręczny i delegował nuncyusza do Madrytu, więc życzyć tryumfu dla chorągwi Don Karlosa znaczy tyle, co sprzeciwiać się wyraźnie objawionej woli Głowy Kościoła. Lichy machiawelizm chciałby zasiać ziarno niezgody w szeregach katolików. Aliści ktokolwiek obznajomiony jest z polityką Stolicy Apostolskiej, ten wie, iż Ojciec Św. w sprawach świeckiej polityki ma zawsze i wyłącznie dobro Kościoła na celu. Pożytek Kościoła rozstrzyga o Jego postanowieniach. Alfons XII obiecał uczynić wszystko, aby krzywdy zadane Kościołowi w Hiszpanii przez rewolucyę naprawić, cóż naturalniejszego, iż Stolica Apostolska nie odmawia mu swego uznania, iż wysłaniem nuncyusza chce niejako czuwać, by młody monarcha swych obietnic dotrzymał. Gdyby Papież tak nie postąpił, wnetby zawołano, iż celom świeckiej polityki poświęca dobro Kościoła. Stolica Apostolska nie przesądza wcale kwestyi prawnej, a uznawszy Alfonsa, nie czyni najmniejszego uszczerbku pretensyom Don Karlosa do tronu Hiszpanii, katolikom zaś nie zakazuje wcale objawiać swych sympatyi dla tej lub owej osoby. Katolikom wolno i po uznaniu być tego zdania, iż Don Karlos gorliwszym byłby na tronie obrońcą Kościoła, niż Don Alfons, katolikom wolno krytykować i oceniać czyny Alfonsa XII, jego zachowanie się względem Kościoła, jego rządy, które choć nieco korzystniejsze niż za republikańskich czasów, zawsze jednak zostawiają wiele do życzenia. Tak pojmując i tak zapatrując się na kwestyę uznania Alfonsa przez Stolicę apostolską, nikt zdrowo myślący nie pomówi ani katolików ani dzienników katolickich, broniących praw Don Karlosa, o bunt przeciw tejże Stolicy, chyba tylko ten, kto w mętnej wodzie radby łowić ryby.

Temi dniami znaleźli się przed kratkami sądowemi dwaj reprezentanci szlachetnego nader rzemiosła, zwanego prasą rewolwerową. Jeden z nich szczególniejszym trafem nazywa się Izydor Lam, nie wiem tylko, czy między nim a waszym Lamem zachodzi jaki stopień pokrewieństwa, dość że pokrewny mu duchem i rodzajem humorystyki, kiedy już trzy razy religię zmieniał; drugim: jest redaktor *Beobachtera*; obaj godni siebie — szkalowali tych co mają pieniądze, pragnąc, by te

szkalowania przemieniły się w brzęczącą monetę. Tym atoli razem artykuły ich humorystyczne zapewniły im chłódek kilkumiesieczny w celi kryminalnej. Sąd zwykły (nie przysięgłych, bo ci zbyt łaskawi dla swych mistrzów) wydał tak nieliberalny wyrok. Główną za to zasługę, iż tego rodzaju dziennikarskie zbrodnie nie uszły bezkarnie, przypisać należy prokuratorowi hr. Lamezan. Mąż to głęboko religijny i prawdziwie konserwatywnych zasad, istny bicz na bezwyznaniowe wybryki. Motywując swe oskarżenie dwóch powyższych indywiduów, wyrzekł hr. Lamezan te słowa; „Wymierzeniem kary na takich pismaków nie łamie się zielonej gałęzi z drzewa pożytecznej żurnalistyki, ale przeciwnie usuwa się w ten sposób taczkę z nawozem, by jej miazmy nie działały zabójczo na zdrowie moralne społeczeństwa". Boli to wyznać, iż wśród dziennikarstwa polskiego znajduje się niejedna taka taczka z nawozem! Hr. Lamezan był także oskarżycielem w procesie Wiesingera, który pod maską zamachu na życie Bismarka, knował plany na zniesławienie zakonu Jezuitów. Tak pojął tę sprawę p. prokurator i opierając się na §. 197, który orzeka, iż staje się winnym rozmyślnego oszustwa, kto przez podstępne działanie krzywdzi drugiego na majątku lub na innych jego prawach, domagał się ukarania Wiesingera, dowodząc nader przekonywająco, iż pod innemi prawami rozumie się cześć, i na nią to właśnie godził Wiesinger, proponując Jezuitom, aby wzięli udział w zmyślonem skrytobójstwie. Atoli sąd nie przychylił się do tego zapatrywania p. prokuratora, utrzymując, iż lubo czyn Wiesingera jest potępienia godny, to nie da się jednak podciągnąć pod §. 197. tem bardziej, iż dla obrony czci w kodeksie wiele innych jest paragrafów, na których podstawie zakon Jezuitów, jeżeli chce, może oskarżonemu osobny proces wytoczyć, obecny zaś wypadek prawnie nie może podlegać ukaraniu — i Wiesinger został uwolniony. Wstrzymując się od wszelkiej krytyki zapadłego wyroku, nadmienię tylko o sofisteryi obrońcy Dr. Neudy. Liberał ten czystej wody argumentował jak następuje: oskarżony chciał mieć dokument kompromitujący Jezuitów, aby go zużytkować do walki przeciw znienawidzonemu przez siebie zakonowi. Sprawa więc tak stoi: albo Jezuici zgodziliby się na plan skrytobójstwa, a wtedy o nadwyrężeniu ich czci niema ani mowy, albo nie zgodziliby się, co w istocie się stało, a wtedy i cześć ich nie poniosła uszczerbku, a tem samem upada wszelka podstawa oskarżenia". Cóż? czy nie ciekawy, a raczej czy nie cudacki wykręt liberalnej mądrości? Widocznie p. Neuda hołduje zasadzie, iż cel uświęca środki. Tej zasady trzymał się Wiesinger, chodziło mu o broń przeciwko Jezuitom; aby ją zdobyć, nie przebierał wcale w środkach. Czy to był

jedyny cel tylko, można nieco powątpiewać, gdy tak twierdzi człowiek, mający 40 zł. miesięcznie. Lecz oskarżony nie przyznaje się tylko do owego pierwszego celu — do walki przeciw Jezuitom i poręcza uroczyście, jako wierzył, iż podobny cel jest dozwolony! Zkąd w nim, w przeciwniku ultramontanów ta szczególna wiara? wszakże mu jej nie wszczepił ani Busenbaum ani Gury! Nie, on tę szczytną wiarę, jak sam zeznaje, zaczerpnął z pilnego wczytywania się w dzienniki liberalne. Pojętny uczeń, robi zaszczyt swym mistrzom, a oni, gdy się sprawa nie udała, wypierają się swego elewa, nie chcą mieć z nim nic wspólnego. Biedny Wiesinger napróżno znosił tym panom centy abonamentowe!.... nawet adresu kondolencyjnego ani składki honorowej nie zrobili dla niego, zostało mu tylko przeświadczenie, iż spełnił czyn liberalno-szlachetny, żydowsko-uczciwy. Dzienniki tutejsze, zdając relacyę z tego procesu, pieją hymny dla p. Neudy za kilka konceptów sfabrykowanych kosztem Jezuitów, a szarpią jak mogą hr. Lamezana, iż z całą godnością zbijał te adwokackie niedorzeczności, iż o żelaznym księciu mówił tylko pan Bismark, nie zaś wielki, niezrównany, boski kanclerz państwa niemieckiego.

Jak liberałowie bałwochwalcze biją pokłony przed satrapą berlińskim, tak znowu c. k. katolicy z *Volksfreundem* na czele po bizantyńsku sławią obecne ministeryum za wolność, jaką się wrzekomo ma cieszyć Kościół katolicki w Austryi. Jakby na zatwierdzenie tej swobody Kościoła umieszcza tenże *Volksfreund* pozwolenie namiestnictwa na odbycie dwóch procesyi jubileuszowych. Piękna illustracya do tej wolności Kościoła. A więc w państwie katolickiem władza duchowna musi u pretorów świeckich żebrać o pozwolenie do sprawowania obrządków religijnych? Czyliż to nie jest przyznaniem państwu zwierzchności nad Kościołem? Nieszczęsny *modus vivendi* prowadzi do takich ustępstw, nie daj Boże, by zaprowadził do zupełnej kapitulacyi Kościoła katolickiego w Austryi, w obec bożyszcza zwanego władzą państwową. W istocie, lepszy brutalny obuch Bismarka, niż owe policzki w glansowanych rękawiczkach zadawane Kościołowi w Austryi, przez ów, wyrokiem Ojca Św. potępiony, *modus vivendi*. W istocie dziwić się należy jak *Volksfreund* ośmiela się nazywać dziennikiem katolickim, kiedy dla utrzymania żywiołu niemieckiego przy sterze rządu, wśród czytelników swych szerzy jak najzgubniejszą obojętność dla spraw kościelnych, kiedy zaślepiony nienawiścią narodowościową raduje się z wyborów dokonanych w Galicyi do izby handlowej, iż wypadły w duchu prusko-żydowskim byle tylko nie w polskim, kiedy dla nadania sobie powagi, iż wśród Episkopatu ma zwolenników swego urzędowego

katolicyzmu, plami pamięć ks. arcybiskupa Szymonowicza, twierdząc, iż tenże należał do stronnictwa liberalnego, wierno konstytucyjnego. Cóż dziwnego, że taki *Volksfreund* zirytował się wielce walnem zebraniem kasyna katolickiego w Insbrucku. Tam bowiem wręcz oświadczono się przeciw wszelkim paktowaniom z rządem liberalnym, których się ma podjąć jakaś mistyczna, w redakcyi *Volksfreunda* wylęgła, *Reichspartei*; tam jeden z mowców duchownych wypowiedział wśród niezwykłego zapału zgromadzonych, iż katolicy w Austryi zazdroszczą braciom swym w Niemczech, cierpiącym dla Chrystusa, iż biskup Tyrolu, ta pochodnia Soboru Watykańskiego, z radością zamieniłby złoty swój łańcuch na żelazne okowy, iż niestety tenże dostojny pasterz dla wielu z urzędowych katolików, wydaje się zanadto katolickim. Taką mową przez wzgląd na p. Stremayera nie mógł się zbudować *Volksfreund*, dla tego też, nie mając odwagi wystąpić przeciw zdaniom tam wypowiedzianym, świetne to zebranie tyrolskich katolików usiłuje zabić milczeniem. *Volksfreundowi*, który 30 rocznicę Papieztwa Ojca Św. zbył krótką kronikarską wzmianką, radzićbyśmy tylko mogli, aby usunął u góry każdego numeru zamieszczone wyrazy Piusa IX, gdyż tam jest mowa o walce w obronie praw Kościoła, a on się tak namiętnie rozlubował w pokoju, a on tak gorliwym apostołem niewoli Kościoła, ochrzczonej mianem *modus vivendi*. Motto pisma tego bynajmniej się nie zgadza z jego treścią, owszem jest mu wręcz przeciwne. Po cóż więc zasłaniać się powagą słów Ojca Św., kiedy p. redaktor tej powagi ani umie, ani chce bronić.

Temi dniami nastąpiła nominacya cesarska dwóch opróżnionych stolic biskupich, biskupem Tryjestu został ks. Dobrilla, dotyczasowy biskup z Parenzo Pola, biskupem zaś Königgrätzu ks. J. Hois, prałat kapituły w Budziejowicach. Katolicy jakiejkolwiek narodowości zwykli się radować, gdy dyecezye zwłaszcza w tych burzliwych czasach niedługo bywają osierocone, ztąd też i my nowym tym dostojnikom Kościoła przesyłamy z całego serca: *ad multos annos* do trudów i walki.

Morderstwa i samobójstwa, z każdym dniem coraz bardziej w zastraszający wzrastają sposób; w jednym miesiącu było ich do 40. Już i żaki szkolne kończą życie stryczkiem lub rewolwerem. Napróżno liberalni heroldowie, zaalarmowani temi ohydami, usiłują je wytłómaczyć nędzą i brakiem oświaty. Tem ostatniem twierdzeniem wydają na siebie wyrok potępienia: wszakże tę oświatę wzięli w monopol, stali się jej wyłącznymi handlarzami. Nie brak to oświaty, lecz właśnie ta przez nich kolportowana, niby wyższa, postępowa wiedza z negacyą pierwiastku religijnego, oto źródło, zkąd złe i zbrodnia płyną. Liberalne pusz czyki

otwarcie mówią i piszą, iż mordercy i samobójcy to indywidua odczłowieczone. W istocie są takiemi. Lecz czyż to nie liberalizm rozszerza tak potworne odczłowieczenie, skoro uczy i niby dowodzi, iż człowiek to nic innego tylko fizycznie udoskonalone zwierzę, różniące się od innych jedynie delikatniejszą tkanką nerwową, i znaczniejszym zapasem materyi mózgowej. Jeżeli więc wszczepia się w ludzi, iż są zwierzętami, iż nie stworzeni na podobieństwo Boże, jakże się dziwić, iż z takiej szkoły wychodzą ludzie-zwierzęta, które zabijają siebie samych, lub mordują drugich.

Liberalizm, pracujący niestrudzenie nad wygnębieniem pierwiastku religijnego, dochodzi niekiedy w tej robocie do wybryków prawdziwie szalono śmiesznych; oto jedna tego próbka. W dyecezyi Seckau istnieje od kilku lat stowarzyszenie św. Cecylii gwoli uprawy śpiewu i muzyki kościelnej. Do stowarzyszenia należy przeważnie kler, bo aż 200 kapłanów. Członkowie, mianowicie duchowni, udzielają młodzieży szkolnej naukę śpiewu. Na wiadomość o tem, powstaje w obozie liberalnym popłoch — wołają w niebogłosy, iż ta nauka śpiewu, to wędka, by dzieci łowić dla ultramontanizmu — wołają do Rady szkolnej, by uczniom wzbroniła uczęszczać na te lekcye; czyż to nie istotny obłęd? I Rada szkolna gotowa wydać podobny zakaz, gdyż i tam przemaga żywioł liberalny. Zresztą pod tym względem nie będzie odosobnioną; owszem może znajdzie poparcie u władz politycznych, jak to się stało w Göding. Odbywała się tam niedawno missya Redemptorystów. Gdy katecheta, chcąc dzieci przygotować przy tej sposobności do spowiedzi, kazał im zgromadzić się, w godzinie wolnej od nauki, w zabudowaniu szkolnem, wnet p. c. k. starosta, wietrząc jakiś zamach ultramontański, polecił miejscowemu nauczycielowi, aby szkołę natychmiast zamknął i klucze od niej złożył w jego biurze. Jedna to więcej, jak widzimy, illustracya owej wolności Kościoła w katolickiej Austryi.

Dziwni ci naszego czasu liberali, religii uszanować nie chcą i nie umieją, a mimo swych czczych deklamacyj o nauce i dzisiejszym rozwoju cywilizacyjnym, wszystko, co wielkie i piękne, z Kościoła tylko mają. Niedawno pod dyrekcyą samego kompozytora Józefa Verdi odegrano kilkakrotnie w tutejszej operze nadwornej Mszę żałobną! Opera i Msza żałobna! co za chaos w pojęciach. W skutek tej niestosowności miejsca samo dzieło uroniło wiele z wrażenia, jakieby gdzieindziej wykonane bezsprzecznie sprawić mogło. W przedmowie do swej tragedyi *Il conte di Carmagnola* położył znakomity lombardzki poeta Aleksander Manzoni następne zdanie: „Oceniając utwory artystyczne, trzeba przedewszystkiem zbadać, co artysta zamierzył, następnie roztrząsnąć,

czy ten jego zamiar godziwy, a w końcu dopiero należy rozstrzygać, czy wytknięty sobie zamiar osiągnął". Pamięci tego Manzoniego dedykował Verdi swoje Requiem, i wedle postawionych przez poetę zasad oceniając to dzieło muzykalne, wyznać potrzeba, iż Verdi skomponował utwor znakomity, lecz, iż ten utwór nie jest bynajmniej mszą żałobną, w pełnem kościelnem tego słowa znaczeniu. Jak w pojedyńczych ustępach tak i w całości nie ma tej wzniosłej prostoty, jaką celowali Palestrina i Allegri; nie ma tej powagi kościelnego stylu, jaka cechuje utwory Bacha, Bethowena, Mozarta; Verdi wyrobił sobie styl operowy, i nim też owiane jest całe jego Requiem. Verdi w swej mszy żałobnej poważniejszy jest niż Rossini, porusza bardziej niż Cherubini, lecz bądź co bądź utwór jego nie ma namaszczenia, właściwego muzyce kościelnej, właściwego tym dawnym pobożnym mistrzom, którzy swe kompozycye zaczynali i kończyli modlitwą. Może się mylę, ale dla mnie każdy utwór artystystyczny o tyle ma wartości, o ile mnie odrywa od ziemi, a podnosi do Boga; muzyka zaś Verdiego przykuwa do ziemi, jest niejako lamentem rozpaczy, a nie hymnem poważnego smutku, z którego tryska rzewna nadzieja na przyszłe zmartwychwstanie. Takie hymny tworzy tylko pokorna, głęboka a bezwarunkowa wiara.

Dla znających i ceniących śpiew kościelny, jak niemniej dla badaczów dziejowych ważną będzie wiadomość, iż wśród ksiąg i pism tutejszego arcybiskupiego konsystorza znaleziono: *Vesperale* wydane w roku 1513. Zabytek ten wydobyty z archiwum zawiera dokładne wskazówki o śpiewie kościelnym przed soborem trydenckim.

Często wspominałem w mych listach o stowarzyszeniu rękodzielników polskich „Siła", ubolewałem nad tą młodzieżą, która pod przewodem niejakiego p. Zagórskiego wyzuwała się z polskości a co ważniejsza z wiary ojców; teraz z radością mogę zaznaczyć, iż duch prawdziwie katolicki i narodowy wstąpił w to stowarzyszenie. Do tej pożądanej przemiany przyczynili się przeważnie p. Stefanowski, ukończony prawnik, człowiek niestrudzonej pracy i gorliwości około dobra stowarzyszenia i pan Marcinkiewicz, mąż niezwykle prawy, który i wiedzą swą i doświadczeniem swem przyczynia się do rozwoju umysłowego i moralnego młodszej braci rzemieślniczej. Stowarzyszeniu przydałby się wielce *Przegląd Lwowski*, czytanie bowiem takiego pisma jak wasze, mogłoby tu wiele dobrego zdziałać.

Dziennikarstwo katolickie, zawód ten ciernisty, dla tego tak skąpych liczący pracowników, straciło znowu jednego z swych dzielnych szermierzy. Na zamku hr. Apponyi zmarł Gerhard Marosy, redaktor

dziennika katolickiego, wydawanego w Preszburgu w języku niemieckim pod tytułem: *Das Recht*. Niezwykle utalentowy był to publicysta, a człowiek wielkiej szlachetności. Cześć jego pamięci!

W księgarni katolickiej Sartorego pojawiło się w ostatnich dniach kilka nowych i cennych dzieł, o których należy tutaj wspomnieć. Benno Brenner wydał w 2 tomach: *Memoiren des Todtenkopfes*. Jest to, w kształcie wielce zajmującej powieści, nader trafny, pouczający a dowcipem okraszony rozbiór najważniejszych zagadnień, które wstrząsają obecnie społeczeństwem. Z każdego zdania widać, iż autor jest gorliwym synem Kościoła katolickiego. Książkę tę czyta się z takiem zajęciem, iż dochodząc do ostatniej stronnicy, wymyka się to pytanie: czemu już koniec? *Schule, Haus und Kirche* napisał ks. Engelhart Fischer, pleban z Benstifl pod Wiedniem. Książeczka ta w przeciągu ośmiu miesięcy rozeszła się w 18.000 egzemplarzy, to samo przemawia za jej wartością, tembardziej że Ojciec Św. dziełku temu udzielił błogosławieństwa. Autor w pisemku tem to ma tylko na celu, by wiernych zagrzać do miłości Kościoła i do wierności dla Stolicy apostolskiej.

Jak katolicyzm nie zna żadnych różnic narodowych, lecz wszystkich braci wierzących ogarnia jedną miłością, dowodem tego broszurka, którą wydał ks. Józef Bartak, kapelan zamkowy w Choltitz w Czechach, przeznaczając całkowity dochód z rozprzedaży takowej na korzyść księży unickich z Chełmszczyzny, przebywających w Galicyi. Egzemplarz kosztuje 40 ct., a tytuł broszury jest następujący: *Die liturgische Sprache der Kirche vom dogmatischen, historischen und pastorellen Standpunkte beleuchtet*. Autor wywiązał się wybornie z swego zadania, i mimowoli nasuwa się uwaga, iż pracując w tym kierunku byłby niepoślednim pracownikiem na niwie piśmiennictwa kościelnego.

W 5 i 6 niedzielę po Świątkach mają się odbyć pod przewodnictwem księcia kardynała i przy udziale wszystkich parafii, jak niemniej wszystkich stowarzyszeń katolickich dwie uroczyste procesye jubileuszowe.

Listy z Wielkopolski.

(Serya II).

VI.

Ciekawy widok XIX wieku — Pomnik Montalembertowi — Przodownicy *Kulturkampfu* w Parlamencie — Afirmacya przekonań — Zbliżenie i Porażka — *Le Cocher de l'Europe* — Orszulanki, Służebniczki, Siostry Miłosierdzia — Więzienia — Ś. p. ks. kanonik Woyciechowski — Neoprezbyterzy — Ks. Łukowski — Biskupi — Obywatelstwo — Legalność pruska — Rok jubileuszowy — Lud wiejski — Wiece katolickie, *Orędownik* i Dr. Szymanowski — Ś. p. Dr. Libelt.

Poznań 21 Czerwca.

Zadłużyłem się w obec waszego pisma przeciągłem milczeniem mojem, i upominacie się łaskawie o „Listy z Wielkopolski". Podejmuję tedy na nowo zadanie korrespondenta, nie tłómacząc się z przerwy której powody najlepiej wyrozumiecie. Tak trudno pisać kiedy ciężko na duszy, tak niepodobno opisywać co boli, zwłaszcza kiedy obok ciosów obcą zadanych ręką, są i inne, boleśniejsze bo bliższe, na które wstydliwą należy zarzucić osłonę. Stanowią one jednak rzadkie tylko wyjątki, a w zamian ileż pociech, ile dźwigni, ile szlachetnych wzorów i przykładów! Jedną więcej trudnością w zadaniu mojem jest niewątpliwie zbytek nagromadzonego materyału odkąd po raz ostatni do was pisałem: chciałbym główniejsze ująć rysy z przebiegu prześladowania. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy, pragnę wybitniejszych dotknąć szczegółów, a tak trudny wybór, tak obfite żniwo, że bodaj czy sprostam zadaniu, czy nie pominę czego ważnego, czy moje nieudolne pióro nie osłabi echa walki toczącej się u nas z taką powagą i wytrwałością z jednej, z taką wściekłością i gwałtem z drugiej strony.

To pewna, że owo prześladowanie trwające już przeszło dwa lata, w ubiegłych miesiącach olbrzymie poczyniło naprzód kroki. Ostatnie posiedzenia sejmowe wyłącznie zajmowały się sprawami kościelnemi, i zaiste był to ciekawy widok, ciekawy fenomen wśród bezwyznaniowego XIX wieku, jak zgromadzenie wielkiego narodu, wyłącznie dyskutuje o przedmiotach czysto religijnej treści. Sama wściekła nienawiść i gwałtowność owych rozpraw jest najwspanialszą afirmacyą potęgi moralnej i wielkości Kościoła. Kościół, który takie wzbudza nienawiści, i taką swych wiernych obrońców przejmuje ku sobie miłością, musi być zaiste czemś wielkiem, wiekuistem i trwałem.

Tyle miłości i tyle nienawiści żadna ziemska instytucya wywołać nie zdoła. W obec szalonych napadów przeciwników Kościoła członkowie *centrum* i frakcya Polska wspaniały dla przyszłości zostawili pomnik, i na wzór Montalemberta raz więcej podnieśli wielkość i niespożytą piękność spraw po ludzku zgubionych. Wiedzieli naprzód, iż żadnego nie wstrzymają bezprawia, żadnemu nie przeszkodzą gwałtowi. Dla tego ich mowy miały całą powagę i doniosłość wyznania wiary. Już samo głosowanie przeciwko prawom antikościelnym, tęż samą nosiło cechę. Przypadkiem byłem obecnym czytaniu prawa znoszącego Zakony w Izbie niższej. Gwar niezwykły panował w sali, zaciemnionej gwałtowną burzą, która w tej chwili nad Berlinem zawisła. Głosem doniosłym prezydent czytał paragraf po paragrafie, aż w końcu przyszło do imiennego głosowania. I zaczęły się sypać gradem przyzwolenia, razporaz z wężowym sykiem tryumfu, z szyderstwem lub zaciekłością. Przodownicy *Kulturkampfu* głośniej od innych wymawiali owe stanowcze: ja, pozbawiające dachu i ojczyzny tylu niewinnych współobywateli, biednych zakonników i zakonnic, których jedyną winą jest, że służą Bogu i bliźniemu. Tu i owdzie, z rzadka, wśród rosnących cieni, podnosiło się równie stanowcze ale o ileż wyższe, poważniejsze *nein;* owe bezsilne w obec księcia tego świata *nein* brzmiało jak affirmacya najgłębszych, najdroższych przekonań, było odważnem zatwierdzeniem zasad, głoszonych w poprzednich dyskusyach, a poniekąd i rękojmią wiekuistych słów Zbawiciela: że bramy piekielne nie przemogą... Przeczuwałeś, że ta garstka, dziś tak nieliczna i słaba, stanowiła jednak przyszłych zwycięzców, widziałeś że w tej chwili aniołowie w księgach żywota ich zapisywali imiona, a Chrystus ponawiał swą obietnicę, iż kto Go wyzna przed ludźmi i On go wyzna przed Ojcem niebieskim.... Po oddaniu głosu każdy spiesznie opuszczał Izbę, i mnie potok wychodzących uniósł — w przedsionku znaczna część posłów zatrzymaną została niepamiętną nawałnicą, której końca daremnie wyglądali. Słyszałem jak przy mnie jeden z nich do drugiego szyderczo się odezwał: Będziemy jutro czytali w *Germanii*, że samo niebo gniew swój nam objawia. Udało się nam nareszcie wydostać z tłumu, i oto na Lipowej alei mignął się w oczach naszych rozpędzony pojazd cesarza wszech Rossyi. Mimowoli uderzyło nas to zbliżenie: tam kasują klasztory, tu przyjmują prześladowcę Unitów — krwawe dzieje XIX wieku jednoczą przeciwko nam wrogów, którzy ręka w rękę idą przeciw Kościołowi, przeciw biednej Polsce....

Nie mniej te odwiedziny cara Aleksandra, przyniosły nie małą porażkę dyplomatyczną kanclerzowi niemieckiemu: rozwiano jego wojenne zamiary, Anglia głośno się zaparła łączności w jego działaniu przeciwko katolikom. Rozwścieklony zawodami, do jakich nie przywyknął, ten którego już przed laty znamienity francuzki publicysta nazwał *le Cocher de l'Europe*, stara się odbić na wewnątrz to, co mu się na zewnątrz nie udało. Oprócz praw, które posypały się gradem w ostatnich tygodniach kadencyi sejmowej, zaznaczyć należy nadzwyczajne zwiększenie i obostrzenie prześladowania. Jak zawsze nasze Księstwo głównem polem, na którem odbywają się wszelkie tego rodzaju próby i najprzód w całej onych rozciągłości, nowe zastosowują prawa. A nietylko Kościół jest celem mnożących się pocisków: wszystkie instytucye polskie stanowcze odbierają ciosy. Szkoła rolnicza w Żabikowie poniekąd rozwiązaną została reskryptem ministeryalnym, wydalającym zamiejscowych profesorów i uczniów. Z poprzednich listów moich wiadomo wam, iż głównie napływ młodzieży z Galicyi i Królestwa Polskiego podtrzymywał tę istytucyę, która żadną miarą podobnegoby ograniczenia nie zniosła. Hr. August Cieszkowski wszelkich dokłada starań, aby uratować zagrożoną szkołę, nie wiele atoli jest nadziei, aby mu się udało, bo walka z systematem jest o wiele trudniejszą od walki z ludźmi. Jednocześnie wszystkie pensye i zakłady świeckie otrzymały pierwsze zagrożenia. Klasztory ustawicznie powoli się zamykają, i tak tracimy ostatni już Zakon wychowawczy, z przeniesieniem zakładu Pp. Urszulanek do Krakowa. Strata to nieobliczona dla Poznańskiego, gdzie od lat kilkunastu Urszulanki tak chwalebnie zaznaczyły swój pobyt gruntownem i hartownem kształceniem młodego pokolenia kobiet. W chwili, gdy wyższe klasy społeczeństwa tracą po kolei ogniska wychowania chrześcijańskiego, wzrastają obawy, aby i sieroty i biedne dzieci po wsiach i miastach naszych nie pozostały wkrótce bez opieki i środków moralnego podniesienia. Tak Służebniczki Najśw. Panny jak Siostry Miłosierdzia, są nowemi prawami objęte. A chociaż niby zależą od łaski ministra, który z potrzeby i ewentualności wojny może się z ich zniesieniem nie pospieszy, bodaj czy same nie będą zmuszone usunąć się z pod tej opieki. Głośne zajścia w Kościanie, gdzie za odmowienie świadectwa przeciw przełożonym duchownym i zakonnym cztery Siostry Miłosierdzia jak proste zbrodniarki zostały w więzieniu powiatowem zamknięte, spowodują może generalną władzę do odwołania wszystkich Córek św. Wincentego z pod rządów, gdzie podobnych dopuszczają się gwałtów. Pono w Chinach dziś są bezpieczniejsze, bo chociaż niedawno w Tien-Tsin kilka Sióstr Miłosierdzia osiągnęło palmę męczeńską, były to wybryki pospólstwa, których się rząd zapierał. Tu zaś wyższy trybunał sądowy, w którym niestety! zasiadają i Polacy, nie sroma się święte dziewice zamykać pospołu z złodziejami.

Rzeczywiście więzienia tak są obecnie przepełnione ofiarami *Kulturkampfu*, że chyba przyjdzie Barabaszów na wolność wypuszczać, aby na ich miejsce zamykać wiernych wyznawców Chrystusowych. Z tego przepełnienia wzrastają niewygody i przykrości więzienne. Zbyt ogólne wiadomości, donoszące tylko o coraz to nowych aresztowaniach, nie pozwalają nam wniknąć w tajniki tych celi, w szczegóły cierpień naszych wyznawców.... Dziś nawet trudno o wielu rzeczach mówić, które Bóg w złotą księgę ich zasług wpisuje. Wobec wroga niepodobna o tem pisać, aby ich cierpień nie powiększyć; w obec nich samych należy milczeć, aby ich zasługi nie zmniejszyć. Trudno atoli sobie wyobrazić moralne katusze, materyalne przykrości, jakich doznają. Więzienia pruskie oddawna z niewygody słynęły i ludzie, którzy zaznali cytadelę, zapewniają, że tutaj stokroć gorzej. Wystawcie sobie cele ciasne, duszne, najczęściej w poddaszach umieszczone, a więc wystawione na najsroższy upał — hałas nieustanny z powodu bliskiego sąsiedztwa kryminalistów, snujących się po korytarzach i dziedzińcach — brud i smród niesłychany, pełno robactwa, brak zupełny względów — przytem nieustanne, codzienne przykrości: jednemu np. kapłanowi na dzień odbierano łóżko, aby nie mógł nigdzie spocząć, innemu przez sześć miesięcy odmawiano gazet i dopiero w wilię uwolnienia przyniesiono cały sześciomiesięczny ich zapas. W niektórych więzieniach zakazanem bywa mówić inaczej jak po niemiecku, nawet z odwiedzającymi gośćmi: w innych odmawiają światła na długie wieczory zimowe. Zdarzyły się wypadki, iż po 24 godzin zapominano rzekomo o więźniu, żadnego mu nie przynosząc pożywienia. Innych zrazu żywiono z kotła tak obrzydliwą strawą, iż tylko głód mógł ich wstręt przezwyciężyć. Ktoś słusznie zrobił uwagę, że gdyby te wszystkie rzeczy zaszły we Francyi, niemałego doczekałyby się rozgłosu, opisów dramatycznych, itp. U nas tak już nawykliśmy cierpieć, i cicho cierpieć, że się niczemu nie dziwimy, żadna skarga nie wydobywa się z za krat więziennych i tylko woń ofiary podnosi się wprost ku niebu, żadną żądzą ludzkiej chwały i uznania ku ziemi nie odwrócona. Co najlepsza, że za te wszystkie trudy i niewygody, najłaskawszy rząd podobno każe sobie płacić. Wystawiono więźniom rachunki od mieszkania, po 9 srgr.

dziennie, za nędzne celki, któreby nawet w Berlinie za połowę tej ceny wydzierżawionemi być mogły. Jeden z naszych kapłanów otrzymał tak 32 tal. rachunku czysto za mieszkanie więzienne. Wszystko się w Niemczech na pieniędzach kończy, nieraz w sposób najśmieszniejszy. Wiadomo wam od jak dawna zatrzymano arcybiskupowi wypłatę pensyi; otóż do tej pory ściągano z niego podatek od dochodu. Kary nakładane na rządców parafii rosną w nieskończoność, zniesienie klasztorów znów otworzy nowe pole zaborczej chciwości administracyi rządowej.

Przy tem wszystkiem w zasadzie wciąż głoszą, że męczenników nie zrobią, że zgnębią, znękają, ale nie zaprowadzą na rusztowanie, że nas krzyżem obciążą, palmy pozazdroszczą. Łudzą się sami, albowiem prąd wypadków koniec końców musi do rozlewu krwi doprowadzić. A zresztą czyliż nie męczenników nam oddają, tych starców silnych na duchu, złamanych na zdrowiu, których z przeciągłego wypuszczają więzienia, aby w nich przypadkiem nie umarli? Alboż to nie męczennik ten kanonik Woyciechowski, którego w sile wieku śmierć nam zabrała, kiedy nam był najpotrzebniejszym? Długie więzienie, samotność i przykrości nieodłączne od pętów, jakkolwiek chwalebnych i cierpliwie dla imienia Pańskiego znoszonych, wyczerpały przedwcześnie siły zacnego kapłana. Ledwo wypuszczony na wolność, spieszył z podwojoną czynnością służyć Kościołowi, ale już siły mu nie dostawało, podkopanej przeciągłem uwięzieniem. Wiadomość o jego śmierci rozeszła się jak grom po całem księztwie. Ks. Woyciechowski we wszystkich kołach był czczonym i kochanym, a jako wieloletni regens seminaryum pozyskał był serca całego duchowieństwa. To też pogrzeb jego świadczył wymownie o zasługach i cnotach nieboszczyka i o uznaniu, jakie dla niego chowano. Pominąwszy już natłok ludu i obywatelstwa, zjechało się więcej jak 150 kapłanów, a zaiste trudno było bez wzruszenia spoglądać na ten zastęp sług Chrystusowych, ścieśniających swe szeregi w około trumny zmarłego. W ich liczbie znajdowali się i co dopiero wypuszczeni z więzienia wyznawcy i ogołoceni z wszelkich ziemskich dóbr apostołowie, których głównem zadaniem obsługiwać pokryjomu parafie bez pasterza i powołani pod broń, bez względu na duchowną szatę młodzieńcy i nasze Benjaminki, owi wyświęceni w Pradze neopresbyterzy, których już żandarmi mają rozkaz chwytać i śledzić, z czyjego polecenia i upoważnienia podążyli na obczyznę z rąk kardynała Schwarzenberga kapłańskie odebrać święcenia. Ks. Łukowski nastrojony okolicznościami i zgromadzeniem, w pięknych i trafnych słowach pożegnał nieboszczyka, przemówił do pozostałych. Bolesne wrażenie czyniło osierocenie obu naszych kapituł, w których śmierć, więzienie i wygnanie coraz to większe czynią szczerby. W Gnieźnie pozostało obecnie czterech tylko kanoników, licząc w to już ks. Korytkowskiego, który temi dniami z więzienia powrócił. Ks. biskup Cybichowski wywieziony, chociaż ze zwykłą ironią procedury pruskiej, pozwalają mu powrócić, odkąd dekret stanowiący o jego uwięzieniu, stał się prawomocnym. Z kapituły poznańskiej ks. biskup Janiszewski na obczyźnie, ks. płałat Koźmian powtórnie uwięziony, ks. kanonik Kurowski zamknięty pod śledztwem. Mimo tych ciosów, mnożących się nieustannie, nie znać dezorganizacyi w dyecezyi, nie znać upadku na duchu. Ztąd rząd tem zawzięciej poluje na delegata, świeckie nawet osoby wołając na sądy. Znaczna liczba naszych obywateli już stawała przed kratkami, rząd bezwyznaniowy każde świadectwo nakazuje przysięgą zatwierdzać. Za odmówienie przysięgi natychmiast zamykają. Zdaje się, że poniekąd są to sidła zastawione podstępnie, aby później oskarżyć kogo o krzywoprzysięstwo. Zresztą legalność pruska należy już niepowrotnie do przeszłości. Teraz wszystko jest dozwolonem, zamykają jednych, wypuszczają drugich bez żadnych jasnych powodów, a nawet wytłómaczeń.

A tymczasem rok jubileuszowy dochodzi połowy, mnożą się modlitwy błagalne, napełniają kościoły, kruszą serca, podnoszą dusze. Oprócz podobnych publikacyj u Langego w Gnieźnie i Romana w Pelplinie, sam księgarz p. Daszkiewicz nam zaręczał, iż już 60.000 książeczek jubileuszowych się rozeszło u nas z jego wydawnictwa. Nigdy lud tyle, co teraz u nas nie czytał, tak chciwie nie kupował, nie pożyczał książek i pism peryodycznych. Trudno bez wzruszenia patrzeć, jak te chłopki, rodzeni bracia męczenników podlaskich przychodzą do księgarni po *Parafię bez Pasterza*, aby wiedzieć, jak im należy w ich sieroctwie postępować. Ten lud kochany daje nam dziś przykład wiary i roztropności, staje się nieraz naszem sumieniem, porywa nawet swych pasterzy na dregę obowiązku, gdy się na niej zachwieją.

Mamy też do zaznaczenia nowy a nader pocieszający objaw: wiece katolickie, które nareszcie doszły do skutku i z wielką korzyścią a powodzeniem się powtarzają. Odbyły się już dwa, jeden w Poznaniu, drugi w Krobi; na przyszłą niedzielę zapowiedziane już mamy podobne zebranie w Gostyniu, 29 znowu w Krobi, później w Kościanie, Innowrocławiu itd. Nie potrzeba nam podnosić znaczenia i doniosłości tych wieców, mających na celu wspólne oświecenie

się, porozumienie wzajemne, zjednoczenie sił i krzepienie umysłów. Biorą w nich udział wszystkie klasy społeczne — i włościanie, odznaczający się u nas zdrowym rozsądkiem, a nawet zmysłem politycznym dziwnie rozwiniętym — i lud miejski, którego rozbudzenie zawdzięczamy *Orędownikowi* — i duchowieństwo, zawsze skore do przewodniczenia i udziału w każdej dobrej sprawie — i nareszcie szlachta, która może niekiedy u nas brakiem inicyatywy grzeszy, wszakże nigdy nie uchybi wyraźnej powinności. Myśl owych wieców głównie podniósł i przeprowadził Dr. Szymański, zasłużony redaktor *Orędownika*. Dlatego też każde podobne zebranie ma sobie za zaszczyt i obowiązek zaproszenia p. Szymańskiego. Wiece te zespolą, zjednoczą siły, przysposobią umysły do prób coraz cięższych, coraz groźniejszych. Łudzić się bowiem ani możemy, ani chcemy; to prześladowanie, które dotąd jedno tylko duchowieństwo dosięga, nie może być prześladowaniem kasty, ale prędzej czy później obejmie Kościół cały, to jest wszystkich wiernych. Tego nawet dziś potrzeba, aby ocucić niektóre warstwy społeczeństwa, aby nas wszystkich połączyć w jedności cierpienia i aby nasze zacne, ofiarne duchowieństwo nie uczuło pewnego osamotnienia w tych ofiarach, cierpieniach i poświęceniach, do których ono prawie wyłącznie dotąd powołanem było. Wszakże niepodobna, aby tylko kapłani mieli znosić ciężar dnia i upalenia, a świeccy pozostać w roli widzów, bolejących, ale tylko pośrednio dotkniętych. Nie, i na nich przyjdzie kolej świadczenia wobec mocarzy tego świata wierze Chrystusowej, a jakkolwiek groźna rozwija się przed nami przyszłość, to rozszerzenie się prześladowania jest poniekąd z moralnych względów pożądaną rzeczą: wspólność cierpień, jedność w ofiarach jak w wierze wszystkim doda otuchy i męztwa, wszystkich podniesie przeświadczeniem, że się nikt z walki nie cofa, ani z szranków nie usuwa. Dlatego po myśli Kościoła najprzód o siłę, a dopiero później o pomoc wołamy: *da robur, fer auxilium* — siłę dla wszystkich i dla duchowieństwa, które już wszystko oddało, wszystko poświęciło i dla ludu na wszelkie ofiary zawsze gotowego, gdy chodzi o wiarę, i nareszcie dla szlachty, o którą może płonne, ale największe mamy obawy, z powodu lękliwości, wyradzającej się mimowoli skutkiem zmateryalizowanych wpływów XIX wieku. Polecamy się w tem jeszcze opiece Królowej korony polskiej, która zawsze nad wszystkiemi stanami dawnej Rzpltej czuwała, i zawsze raczy to, „co nie zdoła ludzka siła, u Syna swego nam sprawić“.

Śmierć Karola Libelta nie małą po sobie zostawia próżnię: inni dostarczą wam głównych dat i rysów z jego życia, ja tylko zaznaczę

zwrot chrześcijański szlachetnego i głębokiego myśliciela, śmierć jego pobożną i przykładną. Testament Libelta jest pomnikiem jego wiary: za tę wiarę Bogu dzięki składa, ją dzieciom przekazuje, poleca. Na śmierć gotował się jak najprzykładniej w czasie oktawy Bożego Ciała; w ostatnich latach życia codziennie słuchał mszy św. Co zaś najpiękniej dowodzi, że ten duch szlachetny umiał się podnieść aż na wysokość pokory, oto iż w nowem wydaniu dzieł swoich starannie wymazał zdania bałamutne, lub przeciwne nauce chrześcijańskiej i Kościołowi. Nikt tego dotąd nie podniósł, a wszakże rys ten najpiękniejszy dodaje promień do pośmiertnej aureoli zgasłego filozofa.

UROCZYSTOŚĆ NAJŚW. SERCA JEZUSOWEGO

w Krakowie.

W połowie jubileuszowego roku, miłościwego lata, jak go zwano oddawna w Polsce, oznaczającego trzecią ćwierć wieku w ciężkich zapasach i srogich prześladowaniach przebytą — obchodzi Kościół Powszechny inny jeszcze jubileusz i na podwójną pamiątkę publicznemi modłami dokupuje się nowych łask. Nowych łask mówimy w nieprzebranem źródle, lubo nabożeństwo do Serca Jezusowego nie jest nowem, tylko na nowo podniesionem. Tak jest. Sięga ono bowiem w zamierzchłą przeszłość. Cześć i miłość wiernych dla siedliska miłości Boga-człowieka, dla Serca Jezusowego jest pra-starą, szerzyła się ona w chrześcijańskich narodach na wiele wieków przed objawieniem błogosławionej Małgorzaty; dowodzić tego zdawałoby się zbytecznem dla obeznanych nieco z historyą liturgii, z literaturą kościelną, w której tyle modlitw, litanij i koronek do Serca Jezusowego było oddawna uświęconych i w ciągłem użyciu. Przebite Serce Jezusa Chrystusa spotykać można na średniowiecznych obrazach a nawet w pośród symbolów katakumbowych.

Z wieków średnich pozostały liczne ślady tego nabożeństwa, mianowicie w naszem mieście bractwo Serca Jezusowego, które z gorejącem płomieniem na szkarłatnych wyszytem szatach noszą do dziś dnia bracia. W któremże kościółku wiejskim niema obrazu lub chorągwi z wizerunkiem Chrystusa Pana o sercu płomienistem, cierniami ukoronowanem i z kroplami krwi ciekącej, a obrazy te, równie jak podobne wizerunki Serca Najświętszej Panny Maryi nie mogą być podejrzane o to, aby były świeżo z Francyi importowane, ale ich dawność i zaniedbany pędzel zdradza owo malarstwo częstochowskie, które równej używa sławy co rymotworstwo częstochowskie, lecz ta właśnie częstochowska szkoła świadczy, że nie obcem i nie nowem jest w Polsce uczczenie Najświętszego Serca Chrystusa Pana.

Nie nowością obcą też było dla ludu krakowskiego wielkie nabożeństwo tegoroczne, przez Ojca św. ustanowione na dzień 16go czerwca. Tu i owdzie

jednak przed tą uroczystością można było słyszeć zapytania i wątpliwości, oczywiście podnoszone jedynie ze strony t. z. inteligencyi, a zwłaszcza ze strony tych ludzi, co lubią z góry zaręczać o swojej prawowierności katolickiej, aby zaraz potem stawiać restrykcye, co się lubią opiekować Kościołem i Papieżem, radzić i naganiać. Ludzie ci, często najlepszej woli, ale niedostatecznego posłuszeństwa, trzymając się Kościoła przeważnie ze zwyczaju i tradycyi, zwykli powstawać na to, co przechodzi tradycyę, czego dawny zwyczaj nie wskazywał. Są to ci, którym wystarcza jedna spowiedź wielkanocna, a częste spowiedzi i komunie uważają za wymysł francuzki, ci, którzy poszczą w piątek, a zapominają, chociaż to polska tradycya i dawny narodowy obyczaj, przestrzegania wszystkich wilii, dni suchych i krzyżowych, nie mówiąc już nic o wstrzymaniu się od pokarmów mięsnych przez cały post, jakto dawniej było w Polsce w zwyczaju. Otóż i tym razem nie obeszło się bez utyskiwań tych p o c z c i w y c h p r o t e k t o r ó w Kościoła. Że zaś tu krytyka, lubo cicha, spotyka się z tendencyjnem kłamstwem bezwyznanioweów, czuliśmy potrzebę opis wspaniałego obchodu krakowskiego poprzedzić temi kilkoma uwagami.

Odwiecznem jest w Kościele nabożeństwo do Serca Jezusowego, uprzytomniające miłość Zbawiciela świata dla rodzaju ludzkiego; nową jedynie była uroczystość poświęcenia się katolickiego świata Sercu Zbawiciela. W zakresie liturgicznym jest to ten sam pojaw, co w dogmatycznym ogłoszenie dogmatu. Jak prawda wiary świętej jest przedwieczną, całą i zupełną w sobie i nic w niej dodać, nic z niej ująć bez zniszczenia wszystkiego nie można, tak i zasób łask nadprzyrodzonych, mistyczny związek trójjedynego Boga z Kościołem na chwale Bożej oparty, jest równie przedwieczny i w objawieniu całkowicie zamknięty. Lecz jak dogmatyczne prawdy wiary, nie mając początku i końca w pewnej epoce, w pewnej jednakże chwili bywają dopiero podejmowane nie jako nowość, ale jako uznanie dogmatu — tak samo i ten nieprzebrany strumień łask, spływający na ludzkość nieprzerwanym potokiem od krzyża Golgoty, znachodzi chwile i miejsca, w których wzbiera jak strumień w zagłębieniu swego łożyska. Dla tego zarówno przy ogłoszeniu dogmatów, jak przy ogłoszeniu pewnych uroczystości kościelnych, nie może być mowy o samej zasadzie, niezmiennej i uznanej, ale tylko występować może kwestya *oportunitatis*. Bądźmy jednak spokojni, bo jeśli w czem, to właśnie w tych względach *oportunitatis* czy to ogłoszenia dogmatów, czy zwiastowania wielkich uroczystości stwierdza się widocznie bezpośredni i cudowny rząd Ducha św. nad Kościołem i Jego głową. Lubo bowiem względy doczesne nie zaważą w wyrokach Stolicy Apostolskiej, gdy chodzi o prawdę przedwieczną lub o chwałę bożą — to jednak trzeba być ślepym i głuchym, aby nie widzieć zbawiennego wpływu, cudownego związku między potrzebami duchowemi pewnej epoki, a tym zdrojem łaski otwierającym się w danej chwili. Wiadomo, jak cudowne skutki w czasie walki z zagrażającym światu islamizmem miało zaprowadzenie nabożeństwa różańcowego. Któż z wierzących odważyłby się obliczać i wnioskować, jakie skutki pociągnie za sobą nabożeństwo serca Jezusowego w czasach walki z gorszym od islamizmu wewnętrznym nieprzyjacielem Chrystusa. I tu już nie chodzi o wygraną materyalną, o cudowne zwycięztwo jak ongi pod Lepantem, ale o odrodzenie miłości w sercach ludzi i ludów za zbliżeniem się do Serca Jezusowego. Tak jest, tu nie o materyalną wygraną idzie ale o rzecz stokroć donioślejszą, idzie o walne duchowne nad obecnym wrogiem Kościoła zwycięztwo. On to snać zrozumiał, kiedy dekret

Ojca św., ogłaszający nabożeństwo do Serca Jezusowego przeraził i wstrząsnął tymi wszystkimi, którzy mimo swego sceptycyzmu widocznie najbardziej truchleją na myśl nowych sojuszów między narodami katolickiemi a temi potęgami niewidzialnemi, nadziemskiemi. Nabożeństwo do Serca Jezusowego to nowa zniewaga i nowy wyzew rzucony z Watykanu, to interwencya papiezka na korzyść Francyi, mówiły dzienniki pruskie, bo to nabożeństwo francuzkie. Jak zwykle tak i tym razem za Francyą ci sami nieprzyjaciele Kościoła i narodów katolickich upatrywali widmo Polski. Oczywiście straszny to spisek narodów, odwołujących się do miłosierdzia Jezusa.

To też nietylko rząd pruski, który dziś mógłby sobie przypomnieć ironiczne słowa Fryderyka W., wyrzeczone o cesarzu Józefie II, *mon frère sacristain*, bo sam w polityce zakrystyi zanurzył się tak głęboko i wyłącznie, jak nikt przed nim, otóż nietylko ten rząd pruski, ale i rząd rosyjski baczną zwrócił uwagę przeciw nabożeństwu Serca Jezusowego. Wiadomo, że pierwszą czynnością nowego jenerała gubernatora warszawskiego Kotzebue było rozporządzenie, zakazujące na wzór pruski nabożeństwa do Serca Jezusowego, a polecające zarazem wyszukiwać i niszczyć odnośne pieśni i modlitwy. Dekret papiezki, ogłaszający uroczystość 16go czerwca, nie otrzymał owego *placetum regium* w Petersburgu. Naczelnicy powiatów nadgranicznych i tamożni rossyjskich otrzymali surowy nakaz, aby nikt z ludności wiejskiej w tych dniach nie przedostawał się przez granicę.

W Poznańskiem oczywiście nie mogło być mowy o obchodzie, chyba za kratami więziennemi, gdzie kardynał-prymas, liczni prałaci i niezliczeni duchowni gorąco połączyć się musieli z modłami całego świata katolickiego.

Zostawała więc tylko Galicya, zostawał Kraków. Z ręką na sercu zaręczyć możemy, że nikt nie myślał o uorganizowaniu wielkiej manifestacyi, coby miała charakter religijno-polityczny. Mamy już pod tym względem zbyt świeże a smutne tak dla wiary jak dla narodowości doświadczenia.

Obchód też krakowski miał cechę wręcz odmienną od tej, jaką miały owe nabożeństwa demonstracyjne, od których stronił lud i trzymali się zdala prawdziwi katolicy. Tu przeciwnie lud, który nic nie wie o księciu Bismarku i p. Falku, zrobił olbrzymią manifestacyę nie dla żadnych celów politycznych, ale jedynie dla chwały Bożej, nie pobudzany przez żadną agitacyę, ale w'edziony jedynem pragnieniem otrzymania odpustów a zwłaszcza tej wyłącznej łaski, aby być imiennie, jak mówi dekret Ojca świętego, zapisanym w sercu Chrystusa Pana.

Brak zupełny agitacyi klerykalnej, że użyjemy modnego wyrażenia, nie wykluczał jednak przygotowań do odpowiedniego obchodu uroczystości, który płynął tylko z gorliwości o chwałę Bożą, a był wyłączną zasługą indywidualną. Tak jest, wszystko co zrobione, aby uroczystość ta w Krakowie odbyła się z odpowiednią świetnością, było dziełem jednej tylko osoby, co lubo obca pochodzeniem tyle już złożyła dowodów miłości kraju i miasta naszego. Gdyby to nie była zakonnica, gdyby miasto ochronek, szkółek i szpitalów, miasto zwłaszcza klasztorów i wspaniałej świątyni, gdyby to był jakiś przedsiębiorca, co upodobawszy sobie nasz kraj lub szukając w nim zysku wzniósł był w nim tyle zakładów dajmy na to fabrycznych, jużby jego sławę głoszono powszechnie, a jego zachody, nie bez własnego interesu podjęte, podnoszono do znaczenia wysokiej zasługi, jeźli nie obywatelskiej, to przynajmniej ekonomicznej. Przełożona

Sióstr Miłosierdzia, pani Thalbot przysłana z Belgii do Galicyi przed piętnastu laty jako do najuboższej prowincyi, przeprowadziła dzieła, które nawet pod względem czysto ekonomicznym i filantropijnym przechodzą o wiele założenie kilku nawet fabryk. Wzniosła bowiem gmachy, które zajmowały setki robotników i rzemieślników, ozdobiła miasto wspaniałą świątynią, co choćby ze stanowiska estetycznego ma także swoją wartość, lubo może urażać uczucia bezwyznaniowe. Lecz mówimy tak wiele o oświacie, a komuż jeśli nie przełożonej Sióstr Miłosierdzia zawdzięczamy, że tłumy dzieci wyrobniczych, wałęsających się przedtem po mieście, otrzymują dziś nietylko przytułek, ale początkową naukę i staranne wychowanie. Lubimy się popisywać z filantropią, a cóż da się porównać z wyższem niż filantropijne, bo z miłosierdzia chrześcijańskiego płynącem, staraniem około ubogich i kalek w tych zabudowaniach klasztornych, wzniesionych ręką obcą i za pieniądze z zagranicy płynące. O zaprawdę dla Matki Thalbot głęboka tylko cześć i wdzięczność należy się od nas Polaków, ona oddawna zyskała sobie prawo obywatelstwa w narodzie, a to nie dlatego tylko co w kraju dokonała, ale i dlatego właśnie, że już doświadczyła zwykłej u nas nagrody, jaką bywa potwarz i niewdzięczność. Otóż fundatorka klasztoru i kościoła na Kleparzu, założycielka ochrony na Kazimierzu, niestrudzona w służbie Boga i bliźnich, a przywiązana szczerze do tej społeczności obcej i częstokroć niewdzięcznej — i tym razem była jedyną, co podjęła całą inicyatywę na swój koszt i własne staranie. Z początkiem czerwca zaczęto budować na rynku obok starej wieży ratuszowej kaplicę otwartą. Wytworny smak fundatorki kościoła kleparskiego i tutaj kierował ręką architekta. Na słupach drewnianych kopuła romańska płótnem tylko pokryta, na szczycie krzyż, pod nim trzy zawieszone tarcze, na jednej środkowej obraz Matki Bożej Częstochowskiej misternie zrobiony przez Matki miłosierdzia, na drugiej herby Ojca Ś., a na trzeciej herb miasta Krakowa, do koła godła i napisy. Było coś lekkiego i poważnego zarazem w całej tej prowizorycznej konstrukcyi, a wielkie było niebezpieczeństwo aby kaplica otwarta nie wyglądała raczej na altanę. Mimo sarkastycznych uwag, jakie niekiedy dawały się słyszeć, prawdziwi znawcy przyznawali, że rysunek kaplicy, jakby wyszedł z pod ręki Bramante'go, a lud przybywający z okolic do miasta na targi lub odpusty gromadził się w gęstych grupach wokoło budowy poznając, że tu chodzi o chwałę Bożą i dopytując się o dzień uroczystości. Była to jedyna propaganda czynu, która ściągnęła te nieprzeliczone tłumy 16 czerwca.

Nie było agitacyi za uroczystością, nie było jej też przeciw. Raz tylko w katolickim Krakowie udało się wywołać zaburzenie w sprawie Ubrykównej przeciwko klasztorom. Demonstracye w czasie pogrzebu Gilewskiego były punktem kulminacyjnym tych prowokacyj bezwyznaniowych z obcego natchnienia. Ludność krakowska zanadto głęboko uczuła hańbę napadów na klasztory, a zwłaszcza bezwyznaniowego pogrzebu z taką ostentacyą wyprawionego, aby jeszcze raz pokusa tego rodzaju mogła tu mieć skutek. Agitacya bezwyznaniowa mając doskonałe poczucie usposobień ludności, ograniczyła się tym razem na jedynem usiłowaniu straszenia mieszkańców miasta za pośrednictwem korespondentów krakowskich do lwowskich dzienników, mianowicie przezacnej *Ojczyzny*, rozsiewaniu niepokojących pogłosek i rozsyłaniu listów bezimiennych. Rozgłoszono, jakoby pod nową kaplicę podłożono dynamit w celu wysadzenia jej w czasie procesyi w powietrze, to znów pisano anonimy do klasztorów i do

rodziców, aby nie narażali dzieci na ekscesa, bo procesya będzie rozpędzoną przez młodzież uzbrojoną w kastety i t. p. Były to strachy na Lachy, bo młodzież szkolna i uniwersytecka nie objawia obecnie antireligijnych usposobień. Listy i pogróżki wychodziły od jakiegoś pokątnego agitatora i nie odniosły nigdzie skutku, zbyt ogólny był bowiem popęd we wszystkich warstwach społecznych do uczczenia dnia tego jak najsolenniej, popęd do modlitwy i pragnienie polecenia się opiece Serca Jezusowego na czasy prześladowań.

Nadszedł wreszcie 16 Czerwca. Zrana wszystkie kościoły krakowskie były przepełnione, a do ołtarzów cisnęły slę tłumy, aby przyjąć Przenajświętszy Sakrament. Nie było nabożeństwa wyłącznego w żadnej świątyni, tylko w kościele Panien Wizytek, będącym pod inwokacyą Serca Jezusowego, celebrował administrator dyecezyi ks. biskup Gałecki. Od rana przybywały już kompanie włościan i nadawały miastu pozór świąteczny. Na dwóch wieżach Kościoła N. Panny Maryi powiewały dwie chorągwie, jedna o barwach Papiezkich, a druga miejska, również na wieży ratuszowej. Kompanie te z chorągwiami i obrazami koczowały, że tak powiemy, przez południowe godziny między kościołem św. Floryana na Kleparzu, a nową świątynią pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia, zbudowaną przy klasztorze Sióstr Miłosierdzia.

Przy innej sposobności przyjdzie nam podać czytelnikom *Przeglądu* opis tego wspaniałego kościoła, zbudowanego wyłącznem staraniem czcigodnej przełożonej zakonu, a mogącego wobec następnych pokoleń uratować pamięć naszych czasów, że Kraków, ów Rzym słowiański w epoce indyferentyzmu i bezwyznaniowości nie odstąpił swych tradycyj, i nowe, lubo w odmiennym stylu, godne stanąć obok starożytnych świątyń, wznosi domy Boże. Wprawdzie zasługa tu znów tylko indywidualna, a fundusze obce, bo pani Thalbot krom szczupłego funduszu danego jej przez ś. p. ks. biskupa Łętowskiego, otrzymała na budowę kościoła 1 złr., mówimy jeden złr. jako cały rezultat składki. Nie przeszkodziło to gorliwej fundatorce dokonać dzieła dla chwały Bożej i wykończyć go do najdrobniejszych szczegółów. Kościół kleparski w stylu romańskim ozdobiony ślicznemi alfreskami, nieco mozajki ś. Marka weneckiego przypominającemi, lśniący świeżością barw, w dziwnie piękną zlewającemi się harmonię, ozdobiony trzema ołtarzami prześlicznej konstrukcyi — w dniu tym przybrał jeszcze bardziej uroczystą postać. Był on bowiem stacyą zborną dla wielkiej procesyi. O godz. 5tej rozpoczęły się nieszpory, podczas których obszerny kościół zaledwie zdołał pomieścić duchowieństwo świeckie i zakonne i nieco religijnych korporacyj. Po za kościołem gromadziły się kompanie wiejskie i zbierały się bractwa, cechy i procesye z wszystkich kościołów krakowskich. Już o czwartej z trudnością można było przecisnąć się, zacząwszy od bramy Floryańskiej, w głąb Kleparza. Zebrały się bowiem fale ludu, po nad któremi powiewały jak żagle okrętowe, chorągwie kościelne.

Nikt, powtarzamy raz jeszcze, pochodu tego i zebrania nie organizował, a jednak wzorowy ład, porządek i uroczysty spokój wśród ściśniętego panował tłumu. Powiadają, że czcigodna przełożona Sióstr Miłosierdzia narysowała na papierze plan pochodu i porządek, w jakim miały postępować kompanie. Wiemy jednak, jak podobne plany w świeckich uroczystościach, gdzie tylko ciekawość ludzi gromadzi, gdzie się wszyscy tłoczą, aby tylko widzieć lepiej lub być widzianymi, zwykły zawodzić. Tutaj nikt się nie cisnął i nikt nikogo nie spychał, bo nie wzgląd ludzki zgromadził te masy, bo każdy wobec Boga czuje się rów-

nym i każde miejsce ma równą godność, a raczej jednaką nicość wobec Majestatu Najwyższego. Policyi nie dojrzeliśmy nigdzie ani śladu, równie brak zupełny świata oficyalnego, mundurów zarówno wojskowych jak i urzędowych, nawet reprezentacyi miasta lub wielkich instytucyi nie było tutaj wcale, przynajmniej w tym charakterze reprezentacyjnym. Natomiast w tej wielkiej i jedynej możliwej równości i niwelacyi religijnej była cała hierarchia duchowna i społeczna, wszystkie stany zgromadzone, a najwyższa i najniższa, arystokracya i lud, najbardziej zwracały uwagę, arystokracya dlatego, że nikogo z jej grona nie brakło, lud zaś ogromem swym zaimponował i usunął zupełnie na bok ów stan średni, przezwany u nas inteligencyą, lubo ta nazwa wydaje się być często ironicznem przezwiskiem, jak gdyby z Rzeczypospolitej Babińskiej pożyczonem.

O godzinie 5tej chór dzwonów, któremu Zygmunt wawelski intonował, dał znak pochodu. Gdy jednak pochód tych kompanij i korporacyj, które poprzedzały orszak duchownych, trwał pół godziny, dopiero około szóstej wyruszyła procesya z kościoła. Obawiam się, że sprawozdanie moje będzie niedokładnem, bo z zaimprowizowanej uroczystości, której rozmiary przeszły wszelkie oczekiwania. trudno było zebrać wszystkie szczegóły i wywiedzieć się o znaczeniu wszelkich odznak, zgromadzeń i kompanij.

Na czele postępowały liczne kompanie ze wsi przybyłe, jakby awangarda tego wojska Chrystusowego, następnie bractwa kościołów krakowskich w przybraniach czerwonych, niebieskich, białych i zielonych, znanych i opisywanych z powodu procesyi Bożego Ciała. Tutaj łączyły się buzdygany dawnych cechów, tak przpominające buławy hetmańskie. Zgoła był to średniowieczny Kraków, tradycyjna reprezentacya starej stolicy, tak jak ona się wśród ludu przechowała za pomocą religijnych zwyczajów. Co kilka kroków płynęły nad falą białą ludu obrazy Przenajświętszej Bogarodzicy, Boskiego Jej Syna i świętych Pańskich, niesione przez dziewczęta w bieli, lub wiejskie matrony krakowskie z bractwa różańcowego lub szkaplerzowego. Przejście z wieków średnich do Kościoła z naszych czasów stanowiły zakony. Jeśli bowiem bractwa wstrzymały się w bliższej epoce w swym rozwoju i rozgałęzieniu, to życie zakonne nowej nabrało siły i chociaż ciągle podkrzesywane i karczowane ustawami wyznaniowemi i parlamentarnemi wyrokami banicyi, nie przestaje ono puszczać nowych latorośli, gdzie tylko znachodzi choć trochę tolerancyi. Dowód to oczywisty, że zakony nie stoją tylko na tradycyi i że nie ciągną soków tylko z przeszłości, ale że korzeń tego wieloramiennego drzewa zapuścił swoje odnogi w ten grunt społeczny, tylu przewrotami poorany i potrzebujący osłony i cienia, jakich instytucye klasztorne mu użyczają. W Krakowie do starych klasztorów przybywają co roku nowe, może byłoby lepiej nawet, aby mniej się koncentrowały w jednym punkcie, a więcej rozrzuciły po kraju. Lecz nic dziwnego, bo okrom ciągłego miejscowego napływu, zwłaszcza do zakonów żeńskich, szukają tutaj także schronienia i przytułku wygnane zgromadzenia przez rosyjskie lub pruskie prześladowanie. Mała zaledwie cząstka wygnanych zatrzymuje się tutaj, większość rozprasza się po obu półkulach świata i tworzy nową polską emigracyę zakonną. Zawsze jednak Kraków jak dla dawniejszych politycznych, tak dla dzisiejszych religijnych banitów pierwszą etapą i często spotkać się może tutaj jaki starzec zakonnik wygnany z Wilna, Krzemieńca lub Warszawy z duchownym, wypędzonym przez komisarzów rządowych, zarządzających archidyecezyą poznańsko-gnieźnieńską. To też dziwnie bolesne, głęboko wzruszające wrażenia wywołał

ten długi orszak sług bożych, w którym postępowali za białymi uczniami św. Dominika, rozrodzona w trzy zakony rodzina żebrząca św. Franciszka, a dalej najbardziej nienawidzeni dla sprawiedliwości, prześladowani dla swych zasług i pędzeni z kraju do kraju synowie św. Ignacego Lojoli, a za nimi niemniej również nienawidzeni już dzisiaj dla swych dzieł miłosierdzia synowie i córki św. Wincentego à Paulo. Ten orszak zakonny w białych, czarnych i szarych habitach, to ta armia, przeciw której dziś walczą nietylko owe świetne zgromadzenia parlamentarne, ale całe zastępy policyi i nieprzeliczone wojska, oto przeciw tym mnichom i mniszkom niema dzisiejsza cywilizacya i nowoczesne państwo dość sił i środków dla zgnębienia i wykorzenienia ich posiewu! Pochód ten przypominał z jednej strony szał wielkich kierowników politycznych, co najsroższą zakonom wydali walkę, i najgroźniejszego w nich upatrują nieprzyjaciela, z drugiej zaś strony rzewne nasuwało się pytanie, jaki los czeka jeszcze tych cichych chwalców Boga, tych pokornych opiekunów biednych w naszych czasach, gdzie spoczną, gdzie znajdą schronienie? Zastęp Sióstr miłosierdzia i Felicyanek wygnanych z Królestwa jeszcze bardziej był wzruszającym, bo za niemi postępowały długie szeregi sierót i dziewcząt, rzekłbyś chóry anielskie całe w bieli, przepasane niebieskiemi lub pąsowemi wstążkami, te z liliami w ręku, inne z płonącemi świecami, postępujące pod cieniem mnóstwa niesionych przez nie, a umyślnie na tę uroczystość zrobionych chorągwi; za niemi inne orszaki dziewicze: tu dzieci Maryi, ówdzie poświęcone Niepokalanemu Poczęciu, to wreszcie dziatwa z ochronek z małemi chorągiewkami różnokolorowemi w drobnych rączkach. Oto świadki zbrodniczej działalności zakonów — te dziewczątka w szacie niewinności, ta dziatwa tak przystojnie przybrana, a z wyrazem swobody, bogobojności i rozbudzonej już wyższej myśli, moralnego poczucia, to zebrane na ulicach i po chatach żebraczych potomstwo nędzy a często rozpusty. Niedawno jeszcze wałęsał się ten drobny proletaryat bez opieki i pomocy i zagrażał społeczności, dziś on pod ochroną zakonów wyrasta i kształci się na pożytek społeczności i chwałę Bożą. Doprawdy, jeśli koniecznie trzeba znieść zakony, to należy zrobić to jak najprędzej, aby społeczność nie miała żadnego hamulca w tym biegu na dno przepaści.

Lecz patrzmy dalej, jak niby jedną falą płynie ten pochód ludu, zatopiony tylko w modlitwie i wzywaniu opieki Serca Jezusowego. Już się zbliża duchowieństwo świeckie w ornatach i kapach, otaczające celebransa. Pod złocistym baldachimem, niesionym przez czterech mieszczan krakowskich w kontuszach i pasach złotolitych, postępuje z Przenajświętszym Sakramentem ks. kanonik Wilczek, proboszcz kościoła św. Floryana, profesor uniwersytetu; lud dokoła rozstępuje się i pada na kolana. Wkoło baldachimu postępują trzy konferencye męzkie Towarzystwa św. Wincentego a Paulo. Dalej konferencye żeńskie tegoż Towarzystwa ze sztandarami. Pierwszy świeżo nadesłany z Paryża niesie młodziutki hr. Zamoyski, a w koło trzymają sznury księżna Zuzanna z książąt Chimay Caraman Czartoryska, hr. Zofia z Rzyszczewskich Wodzicka, pani Korzeniowska, wdowa po znanym kapitanie polskim, co w Rzymie przez długie lata był ciceronem przybywających rodaków i pani Marya z Gołaszewskich Sobolewska; drugi sztandar niosą damy, zajmujące się ochronkami: księżna Marcelina z Radziwiłłów Czartoryska, księżna Cecylia z Zamoyskich Jerzowa Lubomirska, panie Zalewska, hr. Mostowska i hr. Walewska. W koło grupują

się inne damy Towarzystwa św. Wincentego i chcielibyśmy powiedzieć całe *high life* krakowskie, gdyby to słowo nie brzmiało tutaj niewłaściwie. To pewna, że mimo letniej pory zgromadziły się tutaj i przybyły ze wsi wszystkie więcej znane w Krakowie rodziny. Wiele osób z innych prowincyi przybyło umyślnie lub też wyjazd spóźniło dla uroczystości 16 Czerwca. Również nie brak także było młodzieży uniwersyteckiej i szkolnej — dojrzeć było tylko trudno przedstawicieli tych sfer miejskich, co urzędowe lub reprezentacyjne zajmują stanowiska, co stanowią ową mniemaną arystokracyę inteligencyi. Teraz już płynie fala ludu nieprzebranym strumieniem. W ulicach ścisk, a nawet rynek krakowski przepełnia się jak czara do samych brzegów. Obliczyć nawet przypuszczalnie tych zbitych mas niepodobna. To jednak żadnej nie ulega wątpliwości, że liczba obecnych przechodziła liczbę mieszkańców chrześcijańskich Krakowa, a wojskowi, najwięcej wprawni do objęcia rzutem oka wielkich mas ludzi, twierdzili, że było tam najmniej 50,000 głów. Był to więc rodzaj plebiscytu za opieką serca Jezusowego. Oczywiście nie mogło być mowy wobec takiego zebrania o jakiemkolwiek pokuszeniu się nieprzyjaźnych uczuć, o prowokacyi, zamięszaniu, ale nawet wśród takiego natłoku nie było żadnego zajścia, jakiegokolwiek wypadku, a choćby kradzieży. Policya była niewidzialną, powtarzamy, ale nawet piękny objaw usposobień dzielnej naszej straży ochotniczej, która się ofiarowała matce Thalbot do utrzymywania porządku, okazał się zbytecznym. To też straż ochotnicza wystąpiła tylko w mundurach i utworzyła straż honorową wkoło kaplicy wzniesionej na rynku. Żaden opis oddać nie może wrażenia tej chwili, kiedy już procesya stanęła na rynku, a ksiądz z Przenajświętszym Sakramentem zaintonował: *Salvum fac populum tuum Domine;* całe zgromadzenie pięćdziesięciotysięcznego ludu padło na kolana, w powietrzu rozległy się brzmienia dzwonów — i znów uroczysta cisza, ksiądz kanonik Golian z wzniesienia odczytuje dekret Ojca Św., wszystkich obecnych wiernych i cały Kościół Chrystusowy oddający pod wyłączną opiekę Najświętszego Serca Zbawiciela świata. Tylko najbliżsi słyszą słowa dekretu papiezkiego, ale wszyscy obecni chwytają sercem, czego uchem nie dosięgają. I znów pochylają się głowy i lud ten cały intonuje suplikacyje, pod niebo bije pieśń żebrząca miłosierdzia, a echem odpowiadają dzwony.

Uroczystość skończona. Za całą Polskę Kraków dokonał obchodu podwójnej pamiątki — i olbrzymi ten orszak, uduchowiony, porwany jednem uczuciem bojaźni Boga i ufności bez granic płynie znów tą falą przez ulicę Sławkowską do kościoła Panien Wizytek. Ulice jednakowo za ciasne, zdawało się, że je rozepchną te tłumy.

Wspomnieć winniśmy, że świetności obchodu dodało przystrojenie większości domów na Kleparzu, ulicy Floryańskiej, Rynku, a zwłaszcza ulicy Sławkowskiej. Wywieszono dywany, makaty i chorągwie, okna przybrano kwiatami i zielenią, a w wielu miejscach widziano obrazy bądźto religijne, to znów wizerunek Ojca Św. i kardynała Ledóchowskiego, pozaświecano świece mimo dnia. Jeśli to przybranie nie było ogólnem, zwłaszcza na ulicy Floryańskiej, przyczyną tego, że wiele domów już jest w posiadaniu żydowskiem. Wieczorem z powodu rocznicy wstąpienia na tron Piusa IX, zajaśniało światło w wielu oknach, lecz illuminacya nie przybrała ogólniejszych rozmiarów, co było jedynie skutkiem braku wszelkiego pod tym względem porozumienia. Nadmienić winniśmy, że najpiękniej przybranym był pałac książąt Czartoryskich i hotel saski, oraz kilka innych domów na ulicy Sławkowskiej

Dzień 16 Czerwca 1875 r. pozostanie na długo pamiętnym ludowi krakowskiemu i da się zapisać do pięknych chwil i świetnych objawów ducha katolickiego w naszem mieście.

Korespondencye „Przeglądu".

I.

Z dyecezyi Przemyskiej.

Posyłam wam odezwę konsystorza naszego, wzywającą duchowieństwo dyecezalne do modłów za duszę ś. p. ks. biskupa Wojtarowicza [1]). Słuszny to hołd dla męża, który mimo wychowania w niewolniczym systemie józefińskim, mimo nieśmiałości wrodzonej,

[1]) Przytaczamy ją w całości:

Dnia 31. Maja r. b. przeszedł do wiecznego pokoju Najprzewielebniejszy w Chrystusie JW. JX. Józef Grzegorz Wojtarowicz, niegdyś biskup dyecezyi Tarnowskiej. Znaczną część żywota kapłańskiego przebył w tej dyecezyi i do dziś jeszcze nie wygasła pamięć jego prac i niezrównanych cnót kapłańskich, któremi w zastępie ówczesnych dygnitarzy jaśniał. Do dziś jeszcze woń tego żywota pięknie przechowała się w łonie dyecezyi, a tradycya o harmonijnem połączeniu wierności i gorliwości kapłańskiej z obowiązkami obywatelskiemi od owych czasów aż dotąd nieskazitelnie się zachowała.

Po zejściu z biskupiej stolicy ś. p. ks. biskup, jakkolwiek oddalony od czynnego zakresu, nie przestał być wzorem owczarni i zawsze jako mąż modlitwy, przystępny i dobroczynny budował wszystkich, którzy się doń zbliżali. Gwiazda to była na firmamencie Kościoła św. i ojczyzny naszej, która z ukrycia błogie rozlewała światło na dusze dobrej woli.

W grodzie królewskim, pod strażą tylu świętych, pod tchnieniem tylu wielkich biskupów i kapłanów, zalegających groby i świątynie wspaniałe, których tradycyą ożywia się potęga religijna Krakowa i całej Polski, oddał wierny naśladowca ich wierną duszę swoję najmiłościwszemu Zbawicielowi, i spoczął wpośród owych wiecznej pamięci godnych postaci wiekowych, w nadziei zmartwychwstania na żywot wiekuisty. Cały Kraków powstał, aby uczcić zgasłego biskupa pogrzebem uroczystym. Najprzewielebniejsi księża biskupi pospieszyli z ostatnią usługą dla zmarłego w Chrystusie brata, a najwymowniejsze usta ogłosiły nad trumną chwałę nieboszczyka. Nam pozostaje tylko obowiązek niniejszem pismem hołd złożyć pamięci jego i polecić duszę tak zawsze cichą i woń pobożności rozlewającą, modlitwom WW. duchowieństwa, które nieboszczyk w miłości swej aż do zgonu zachowywał.

W Przemyślu 18. Czerwca 1875.

W zastępstwie JW. JX. Biskupa
Ks. Hoppe.

mimo podłości niektórych indywiduów, szpiegujących postępowanie biskupa swego, nie wahał się na chwilę przypomnieć ówczesnej władzy biurokratycznej słowa Pawła św.: „iż jest postanowiona ku dobremu“, a nie ku prowadzeniu rozpojonej i rozjuszonej tłuszczy na mordy i pożogi. Gdybyż był jeszcze nie uwierzył w ową szarlataneryę konstytucyjną z r. 1848, która się wybornie malowała w gwardyach z kijami miasto karabinów, w wykrzyknikach o Polsce od morza do morza, w braterstwie z żydami i nareszcie w zaprowadzeniu duchownych katolickich na ławy sejmowe pomiędzy najczerwieńszych radykałów, to możeby mu był zapomniany ów grzech z rzezi Galicyjskiej, owo przypomnienie na przykazanie Boskie: „Nie zabijaj“.

Niestety! ks. biskup Wojtarowicz za innymi uwierzył w kokardy na frakach urzędników świecące.

Świętojurszczyzna, jakby księga tajemnicza i zapieczętowana, leżała już od zaboru Galicyi w tece prezydyum gubernialnego. W chwili powszechnej trwogi wyniosły ją na jaw ręce biurokratów i spiesznie pooddzierały pieczęcie, aby powiewem schyzmy i nienawiści kozackiej, które się w niej konserwowały, sparaliżować zbyt ogniste porywy nasze do dźwigania Polski w dawnych granicach i do korzystania ze swobód konstytucyjnych. Ś. p. ks. biskup mimo tej machiawelskiej roboty nie dostrzegł złej wiary i jeszcze wierzył w dobre intencye rządu. Aż huk armat, świst kul, i pomsta upokorzonej na chwilę biurokracyi, ostrzegła go, że się bardzo zawiódł. Wkrótce też uznał za stósowne na wezwanie z Wiednia prosić Ojca Św. o przyjęcie rezygnacyi swojej.

Co za klęska dla dyecezyi w taki sposób osieroconej! Co za szkoda dla Kościoła, takie skazanie się dobrowolne świątobliwego biskupa na śmierć moralną!! Dyecezya Tarnowska jest jedną z największych w Polsce, i jednolitością obrządkową i narodową dyecezan swoich przedstawia się jako najodpowiedniejsza owczarnia do nader korzystnego działania dla chwały Bożej i dla wzrostu Kościoła św. Pan Bóg też w miłosierdziu swém nieskończony i niezbadany, jakby w nagrodę za owo upokarzające osierocenie, dziś sprawia tam w szeregach kapłanów wielkie rzeczy, których owoce pociechą napełniają serca nasze.

Napomknąwszy o świętojurszczyźnie, muszę wyrazić żal nasz, z powodu którego od tylu lat zasypujemy skargami konsystorze biskupie, iż dotąd żadnej nie widzimy rady ani pomocy dla poskromienia świętojurców, którzy z bezprzykładnem zuchwalstwem gwałcą dekret konkordy

z roku 1864. Prawda, że biskupi ruscy już od wielu lat stracili wpływ kanoniczny na duchowieństwo swoje, że *Słowo* jest właściwą potęgą, która kieruje działaniem cerkiewnem i politycznem konsystorskich rajców i kleru ruskiego. Aleć owa niemoc Episkopatu ruskiego, powinnaby tem większą dla naszych owieczek zjednać troskliwość i opiekę przed dowolnością sąsiadów przesiąkniętych najzupełniej duchem niewiary i żądzą moskiewskiego panowania, któreby im zapewniło supremacyą nad polskim narodem i nad rzymsko katolickim obrządkiem. Czytałem niedawno wstępny artykuł *Dziennika Polskiego*, podający za główną przyczynę inklinacyi do schyzmy w tutejszem duchowieństwie ruskiem hyperprodukcyą kleru w stosunku do uposażenia cerkwi. Zdanie to w stylu Moleschota wygłoszone, zawiera w sobie tylko podrzędny powód garnięcia się księży galicyjskich do prawosławia. Raczej niech powie *Dziennik*, że Moskale za wskazówką świętojurskich prewodyrów, wzięli z rąk ograniczonej biurokracyi austryackiej owo mysteryum świętojurskie pod Stadyonem *et Compagnie* z biura prezydalnego wydobyte i przy pomocy systematu szkolnego, którym masonerya strasznie u nas wojuje, przy pomocy takich wykładów historyi kościelnej jak ks. Delkiewicza i doradźców biskupich jak ks. Malinowski, przy swawoli najpodlejszej w świecie publicystyki, która się w Austryi z żydowską arrogancyą rozpiera, nadto za pomocą reichsratowej większości, dla swoich celów nie przebiera w środkach, i byt monarchii na kartę postawić gotowa, że przy niedołęztwie jednych a nienasyconej dumie drugich Władyków, przeniknęła Moskwa całą warstwę świaszczenników, urzędników i studentów ruskich i przez nich jako intelligencyę uprawioną do przemawiania imieniem narodu ruskiego, woła do Austryi o oswobodzenie tego narodu z pod jarzma szlachecko-polskiej tyranii.

Na nic się zda dawać kryłoszanom korzystne spekulacye przy budowlach eraryalnych, albo wyznaczać dla notorycznie bogatych księży, zapomogi udzielane na wsparcie ubogich wikarych. Oni wszystko przyjmą, ale aspiracyi do moskiewskiej ojczyzny nie porzucą na chwilę. Jak agitacye dla Włoch zjednoczonych, albo dla jednej wielkiej Germanii zajęły tyle umysłów i zaślepiły, tak samo dzisiaj ideą wszechsławiańską, Moskwa, jako pierwszorzędna potęga materyalna, podbija sobie słowiańskie ludy. A jżby Rzym nie psuł jej działania skutecznego w Galicyi, znalazła sobie księży: od apostaty mnicha Terleckiego zacząwszy, którzy pod pozorem oczyszczenia liturgii ruskiej z naleciałości polsko-łacińskich, odwrócili umysły kleru od Unii. Księża owi zasiadali w kapitulnych stalach i w radach biskupów, i do dziś

zasiadają. Oni rozpoczęli ową puryfikacyę, oni do zaprowadzenia jej ośmielali i zachęcali księży wiejskich i katechetów, a mimo to uchodzili wobec stolicy Apostolskiej za wiernych Unitów. Niedosyć tego, jeden z najfanatyczniejszych wrogów naszych, w którym wcieliła się wszelka nienawiść Chmielnickich, Samusiów, Gontów itd. w obec katolickiego Episkopatu postąpił na biskupstwo Chełmskie, inni zaś towarzysze jego do dziś przeważny wpływ wywierają na rządy biskupów swoich. Nie tyle więc nepotyzm, na który *Dziennik Polski* w hypermateryalistycznym artykule swoim uderza, powiódł księży galicyjskich do schyzmy, ale agitacya z konsystorzów kierowana, i to bezpieczeństwo, że gorliwość w anti-łacińskiem działaniu objawiona, zapewni każdemu jeśli nie tutaj to w Chełmie wygodną posadę.

Ks. Kuziemski gaśnie powoli. Sądzimy więc, że w obec bliskości strasznych sądów Bożych, nie zaprzeczyłby powyższym twierdzeniom. A gdyby się ośmielił na to, wtedy zapytamy go, jakiem sumieniem i prawem zatwierdził rozporządzenia pod prezydencyą samozwańca i intruza Woycickiego wydane, jakiem czołem wyrażał zdziwienie swoje, że nie wszyscy słuchają owych edyktów, które pochodziły od władzy nie kanonicznej, ale rozbójniczej, złodziejskiej? Niech się wytłumaczy, dlaczego zbiegów galicyjskich, bez dymisyi biskupów właściwych, traktował jako porządnie postanowionych w urzędzie cerkiewnym? Dlaczego bez protestu przeciw okropnościom męczeńskim, o których świadczą przybyli ztamtąd wygnańcy, przysłuchuje się głośnemu na cały świat niszczeniu owczarni swojej? Nie, on nie śmie podnieść głosu, on musi milczeć, bo Popiel przedstawi mu dokumenta i świadków, które go wstydem obleją, wołając: „Tyś przygotował to nieszczęście straszniejsze nad wyraz wszelki". A jeśli Popiel zechciałby ignorować głos jego, to w *Słowie* tutejszem posypią się świadectwa potępiające, działanie jego i towarzyszów. Jakkolwiek znaczne postępy zrobiła Moskwa pomiędzy klerem i urzędniczą warstwą ruską, jednak ludu ruskiego nie zdołała sobie zjednać. Co go trzyma przy Unii? Nie znajomość wiary, bo nowo wykształceni księża ruscy wogóle katechizmu nie uczą, a kazania prawią jakby za najem, a więc w najokropniejszej ciemności pod względem wiary owieczki swe utrzymują; tylko przez tradycyę trzyma się jeszcze Unii lud ruski. Księży swych nie ma w prawdziwem poszanowaniu, ani się rad zbliża do nich, bo nie widzi w nich nic duchownego, tylko fanatyków, agitatorów, po wielkiej części wyzyskiwaczy swego mienia. Mamy na to dowody z czasów wyborów,

przy których wieśniacy hańbili swoich kapłanów ruskich i z pogardą się od nich odwracali. Przecież w cerkwi stają się potulnymi. Z razu protesta zanosili przeciw innowacyom liturgicznym, ale zobaczywszy bezskuteczność swych trudów, z apatyą się przypatrują schyzmatyckim ceremoniom i obrzędom. Czy niema sposobu dla uratowania tego ludu od zguby? Jest bezsprzecznie, byle tylko Przewielebni Władycy szczerze zapragnęli ratunku owieczek swoich. Najprzód potrzebne są missye katechizmowe, któreby krążyły nieustannie po wszsystkich parafiach. Tego przecież, że kilku księży jeździło po archidyecezyi dla zaprowadzenia wstrzemięźliwości od wódki, nikt na seryo nie nazwie missyą pobożną. Tu koniecznie potrzeba, jeśli Najprzewiel. księża biskupi ruscy chcą na seryo zerwać z Świętojurską propagandą, missyj jezuickich w towarzystwie dobrej woli młodszych pracowników. Niech nauczą lud ruski artykułów wiary św., a oraz utwierdzą go w Unii św., pokazując mu na czem ona zależy, i jak ją pielęgnować i ochraniać potrzeba przed agitacyą schyzmatycką. Powtóre należy zupełnie zmienić organizacyę konsystorzów i dekanatów. Niepodobna bowiem księżom biskupom rządzić za pośrednictwem tych rajców i zastępców swoich, którzy Unię św. zachwiali w Galicyi, a przez wychowańców swoich zgubili ją w Chełmie. Dalej potrzeba z gruntu zmienić ustrój seminaryów i nauk teologicznych, a nareszcie przechodzenie z jednego obrządku na drugi ułatwić. Mnóstwo przyczyn za zwolnieniem tego prawa przemawia i bodaj czy usunięcie jego nie byłoby jedynym środkiem do powstrzymania duszochwytów, ziejących nienawiścią przeciwko naszemu obrządkowi.

Pragnę tym artykułem pobudzić kolegów moich do rozpraw nad środkami dla ratowania katolickiego ludu ruskiego przed paszczą schyzmatycką, do której go księża pod okiem swoich Władyków, czujących się bezsilnymi, wobec zorganizowanej agitacyi prowadzą. Może się odezwie kto, że ta sprawa przechodzi zakres pojedynczego kapłana. Temu odpowiem, że zwrócenie uwagi na niebezpieczeństwo, grożące Kościołowi, jest tak samo obowiązkiem laików jak i duchownych niższych i wyższych święceń i że właśnie dzisiaj już ostatnia godzina do wołania o ratunek. Św. Stolica Apostolska niezawodnie rada przyjmuje głosy z kraju naszego w tej sprawie podane, a przedewszystkiem potrzebuje wskazówek do rozpoczęcia jakiegoś działania dodatniego celem ochronienia tego szczątka Unii od zagłady zupełnej.

II.

Kraków, dnia 26 Czerwca r. b.

Akt poświęcenia się Sercu Jezusa Chrystusa, to jeden z najwyższych aktów owej miłości Boskiej, którą Kościół katolicki żyje nieprzerwanie od początku swojego istnienia. Naród nasz w tym akcie musiał mieć tem większy udział, im więcej mu dano zrozumieć to i uczuć, że Ewangelia to religia miłości, że katolicyzm to społeczność miłości. Katolicki w swych najwyższych chwilach dziejowych umysłem szczerze wierzącym, wolą i ramieniem zawsze gotowemi do służenia sprawie Bożej — naród nasz — co właśnie najpiękniejszą stanowi jego stronę, jest katolickim w swem uczuciu, w swych sympatych, słowem, w sercu. Taki naród musiał i żywiej i prędzej zrozumieć ile się mieściło skarbów boskiej dobroci, ile darów, ile pociech i nadziei w owem przypomnieniu Zbawiciela, uczynionem prostej i szlachetnej dziewicy wykształconej i natchnionej duchem takiego męża Ewangelii, jakim był św. Franciszek Salezy. Jezus Chrystus przypominający przez pośrednictwo tej czystej istoty światu chrześcijańskiemu coraz bardziej zamrażanemu doktrynami protestantyzmu, a szczególniej doktryną jansenistyczną, że jest Bogiem miłości, Bogiem serca — był najpierwej i najsilniej zrozumiany w Rzymie Papiezkim, w Hiszpanii jeszcze na wskróś katolickiej i w naszej Polsce, ucierającej się z najniebezpieczniejszymi wrogami Ewangelii i Kościoła — w imię i w obronie Kościoła. Polska w pochwyceniu i w urzeczywistnieniu myśli Serca Jezusowego miała pierwszą i przeważną rolę z Rzymem i Hiszpanią. Tylko takie wyuzdane i bezwstydne nieuctwo pod względem dziejów własnego kraju, taka bezczelna efronterya, miotająca się na rzeczy, których najelementarniejszej niema znajomości, jak jest nieuctwo i efronterya *Dziennika Polskiego et comp.*, mogły się zdobyć, przeciw praktyce nabożeństwa do Serca Jezusowego w Polsce, na zarzut obczyzny.

Kto zna dzieje Polski, i kto umie czuć sercem polskiem (judaizm *D. P.* i do tego się przyznaje o ile to popłaca i do geszeftu pomaga), ten wie jaki był wpływ Polski na rozwój i podniesienie czci Serca Jezusowego i jak dalece nietylko episkopat polski, ale też arystokracya, dwór, lud i wszystkie bez wyjątku korporacye brały u nas wspólny udział w przyjęciu i zastosowaniu tej czci przez pełne życia nabożeństwo. Kościoły Nawiedzenia były u nas zawsze jedne z najpopularniejszych z powodu istniejącego przy nich bractwa Serca Jezusowego, do którego należał zwykle kwiat narodu. W Krakowie, w Warszawie i w Wilnie, Wizytki w pośród których Serce Zbawcy wychowało sobie

narzędzie swej chwały, były zawsze dla Polski i Litwy najsympatyczniejsze. Stronictwa, nawet najsilniej pomiędzy sobą politycznie rozdarte w Sercu Jezusowem, jeszcze się umiały porozumiewać. Leszczyńskich i Augustów, oraz stojące za nimi zastępy, im bardziej judziły ich przeciw sobie: polityka luterska Szwedów i schyzmatycka Moskali, tem z drugiej strony cudowniej ich godziła boska polityka Serca Zbawiciela. W czasach najostateczniejszych nieszczęść biskupi polscy, jak powiedział w jednem z swych kazań Kaysiewicz — schowali Polskę na lepsze czasy do Serca Jezusowego.

Nic też dziwnego, że akt poświęcenia się Sercu Jezusowemu w najświetniejszy sposób odbył się w starożytnej Stolicy Polskiej, szczycącej się tytułem małego Rzymu. Kraków z natury swojej wcale nie jest demonstracyjny; aby się w nim udała jakaś demonstracya, potrzeba na to wpływu obcego elementu. Tromtadracyjne warcholstwo równie jak takie Ubrykowskie wyprawy, przygotowały w nim obce pieniądze, zrekrutowały i popchnęły obce ręce. Gilewszczyzna niewiedzieć czy była więcej pruska czy moskiewska, delingeryańska, czy nihilistyczna. Ale za to Kraków jest na wskróś wyznaniowy — on żyjąc katolickością, podoba sobie w jej objawach. Wyznanie jest w jego tradycyach i w jego niezmiennych zwyczajach. Nabożeństwa demonstracyjne nie w nim się początkowały, ani też nie w nim prosperowały. Ale w nabożeństwach idących z głębi przekonania religijnego, w nabożeństwach wyznaniowych niezrówna mu żadna z polskich stolic. Kraków mówi i działa z bogactwa swych wewnętrznych zasobów. Jeźli się ogląda, to tylko na Rzym Papiezki. Lwowowi zostawia on chwałę impulsów Berlińskich i im podobnych. Tym razem myśl Rzymu przejęła najsilniej cywilizatorka krakowskiego proletaryatu — Matka Thalbot — już nie tylko całem sercem krakowianka, ale całem sercem Kleparzanka. Bogata na wszystko co zacne, co szlachetne, ona która własnemi zasobami najnędzniejszą część Kleparza zabudowała wspaniałemi gmachami, gdzie obok miłego schronienia dla wygnanych z Litwy Szarytek i obok seminaryum Sióstr Miłosierdzia pomieściła wyborne szkoły dziewcząt — ochrony dla sierót i sale opatrunku dla przybywających ubogich chorych — ona dziś na wielkie zdumienie *falsorum fratrum* i *accusatorum fratrum* zasilających swemi denuncyacyami, *Dziennik Polski* i *Gazetę Narodową* — po dobrowolnem zrzeczeniu się administracyi funduszów szpitalnych, z których wedle tych, nowoczesnych Iskaryotów bajońskie zbierała summy, a za grosz ubogich kupowała wonności na stopy Jezusa Chrystusa, przyczyniła się dzielnością i szczodrobliwością swoją do nabożeństwa, do któregoby dawniej żony naszych

królów z radością się przyczyniały. *Dziennik Polski*, który tak dobrą miną osłania tajemnice gadzinowych resursów — i któremu przez myśl nie przyjdzie zapytać zkądby się brały pieniądze u jego protegowanych na pewne dość kosztowne agitacye, na zakupywanie piór całej kliki dziennikarstwa antikatolickiego w interesie poniewierania biskupów i kapłanów, nieuznających ich olbrzymich zasług, ten *Dziennik* nie może osłonić swej niecierpliwości wywoływanej niepodobieństwem wynalezienia jakiejś nowej denuncyacyi, skarżącej katolicką szczodrobliwość. Ale jego pobożni korespondenci z Krakowa i z pod Alwerni pospieszą mu w pomoc. Na najbezecniejsze sprawy, byle protekcyą *Dziennika Polskiego* osłonięte, muszą się znaleźć pieniądze w sposób uczciwy i niepodejrzany, ale na budowę Kościołów i klasztorów, na nabożeństwa, wedle panegirystów sejmowej obrony egzystencyi klasztorów, powiedzianej w chwili kiedy szło całkiem o co innego jak o ich egzystencyę, na te rzeczy pieniądze muszą być zdaniem *Dziennika P.* ze źródeł podejrzanych. Niech już klasztory istnieją do czasu, kiedy tak chce mieć mowa niby w ich obronie powiedziana, a przez całą bezwyznaniową trzodę pod niebiosa wynoszona, ale niech się nie ważą dawać dowodów życia, niech się nie ważą działać, niech się nie ważą mieć jakieś swoje trzy grosze, bo wtenczas dowiedzą się co wielbiciele obrońcy ich istnienia mają dla nich w zanadrzu i w zanadrzu samego obrońcy.

Ks. biskup Gałecki przyjął chętnie prośbę odnoszącą się do publicznego aktu konsekracyi w Krakowie i bez oglądania się na jakiekolwiek względy światowej roztropności, pełnem sercem dał na tę uroczystość swe upoważnienie Z pewnem nietajonem upodobaniem wyznajemy naszą wdzięczność Bogu za pasterza, który od początku swych rządów w Krakowie żadnej zacnej myśli, żadnego przedstawienia nieodepchnie jak skoro tylko poczuje w nich ducha prawdziwie Bożego. Dawniej nawet kiedy w skład jego rady wchodziła jeszcze pewna osobistość, która mimo wszystkich dzisiejszych obron istnienia zakonów pewnemi złośliwemi insynuacyami usiłowała przeszkodzić usadowieniu się w Krakowie jednego z najdzielniejszych zakonnych Zgromadzeń, ks. biskup głuchy na słodkie a pełne jadu słówka i półsłówka z uniżonością pełzającego gadu wycedzane, które już wówczas dobrze umiał oceniać, Zgromadzenie to przyjął z radością godną biskupiego serca. Kiedy dawniej wszystko szło oporem, a najpożyteczniejszych nawet rzeczy przedstawienia rozbijały się o ultra-zachowawcze usposobienia, to ktoż będzie śmiał zaprzeczyć, że od czasu rządów obecnego wikaryusza apostolskiego Kraków się zbogacił nabytkiem pełnych życia i dzielności katolickiej instytucyi. Apologeci i Satyrycy gardłujący

rymowanemi i nierymowanemi ślicznotami godnemi pręgierza, mogą co chcą przeciw temu zdaniu wygadywać, ale tego zaprzeczyć niezdołają, żeśmy już przecie wyszli z tej nieszczęśliwej ery, w której gdy rej wodzili wielcy dzisiejsi wielkich kwestyj obrońcy, doszło już było do tego, że kościoły przez nich administrowane odmykały się na godzinkę ranną, nie na to, aby ich kto choć przez tę godzinkę znalazł gotowymi do usług duchownych, lecz na to, aby się błąkał w pośród głuchych ścian, w obec zamkniętych konfesyonałów i wiecznie milczącej ambony; na to, aby się spotykał z proszalnemi dziadami i babami kiwającemi smutnie głowami nad opuszczeniem przybytku Pańskiego. Rządca kościoła podówczas czemś się wyższem zajmował — ołtarz, konfesyonał, ambona to to prawie dla nędznych nieuków, którzy tam gdzieś w Lowanium i w Rzymie pracowali w uniwersytetach i krwawą pracą dorabiali się stopniów akademickich. On wielki doktór bez egzaminów, bez cienia pracy akademickiej, uzbrojony w pergamin kupiony za 100 flor., a usprawiedliwiony broszurką archeologiczną o sześciu kartkach — wchodził dzień w dzień na magistralną katedrę — aby usiadłszy i powiedziawszy do uczniów: „Czytajcie panowie“ — sam się zajmował aktami tem wyższej wartości, im mu więcej podawały sposobność do dręczenia braci. Tak jest, apologeci owej osobistości mogą co chcieć bluzgać po dziennikach usłużnych za pieniądze, bądź jako korespondenci krakowscy, bądź jako Omikrony, bądź jako kuglarze i wyprowadzacze w pole uczciwych nawet, ale zbyt łatwowiernych powag katolickich, które ani się spostrzegły, że były mistyfikowane czarnoksięzkiem piórem pana pseudo-hrabiego ex-szambelana Wł. K., ale tego zaprzeczyć niezdołają, że dziś Kościołowi w Krakowie lżej oddychać, bo mu spadł z piersi wampir tak go długo męczący. Inna rzecz bryzgać błotem, miotać i babrać wszystko gnojem, do czego intelligencye, serca, ręce i usta tych panów są już fachowo usposobione — a inna rzecz — dowodzić.

Mieliśmy zatem jak na wszystko dobre, tak i na akt mający się odbyć 16 Czerwca pełne i serdeczne biskupie pozwolenie. Kaplicę poczęto budować już w pierwszych dniach Czerwca. Architekt Pokutyński, twórca romańskiej świątyni na Kleparzu, dał na kaplicę prześliczny plan, który wykonany przez cieśli krakowskich znalazł powszechne uznanie i pochwały. Miejsce obrano od strony zachodniej sukiennic w bliskości wieży ratuszowej, gdyż jakkolwiek strona wschodnia więcej przystępna i pokaźna, ale zwykle bywa zeszpecona budami kuglarskiemi. Właśnie w końcu Maja usadowił się tam jakiś cuchnący teart Meliniego. Z początku wprawdzie był zamiar umieszczenia kaplicy Serca Jezusowego, między kościółkiem św. Wojciecha

i sukiennicami, to jest właśnie od strony rynku południowo-wschodniej, ale przemogła myśl umieszczenia w miejscu dawnego ratusza. I było jej tam dziwnie pięknie pod tą wieżycą miejską. Ona zdawała się chlubić tą jakby reminiscencyą poważnych i pobożnyah tradycyj napełniających historyę krakowskiego ratusza, z którego została ogołoconą i osamotnioną, w smutnej epoce naszych rozbiorowych dziejów. Dla wielu serc ta leciuchna kaplica zdała się z niebios zstępującym dobrym zwiastunem. Z początku patrzyli na nią niektórzy jakoś niełaskawie, ale w danej chwili nikomu nie była zbyteczną. Gromady ludu dzień w dzień ją oblegały, przyglądając się chętnie pracom udekorowania. Nasza młodzież szkolna i akademicka niestanowiła pod tym względem żadnej dysharmonii z prostym ludem. Owszem, z wielką uciechą serca nieraz słyszeć można było z ust młodych zdania bardzo zdrowe i bardzo przychylne. Wszystko, co wygadywano o jakichś zamachach wysadzania w powietrze i t. p., było brane za niezgrabne fikcye, lub za postrachy rzucane ze sfer całkiem nie krakowskich.

Dekoracyjne szczegóły wykonały w swojem zaciszu dziewczęta zakładu Matek Miłosierdzia pod kierunkami tych ostatnich. Z ich to rąk wyszły piękne imitacye rzeźbionych z drzewa i złoconych olbrzymich girland i kapiteli, zdobiących górne ściany kaplicy i przyczoła filarów. Bieluchna kopuła, zakończona złoconem jabłkiem i krzyżem znacznych rozmiarów, cudnie odbijała od ponurej ściany wieży. Białe filary otoczone wieńcami z sztucznych liści winnych tak się przedstawiały lekkiemi i przeźroczystemi wraz z swojemi arkadami strojnemi w zielone wieńce, i białe o złocistych szlakach draperye, że cała kaplica przedstawiała raczej jakąś eteryczną aparacyą niż grubo wykonaną z drzewa ziemską budowę. Nad frontowemi trzema arkadami umieszczono trzy piękne tarcze, z których środkowa przedstawiała rodzaj pancerza z wyobrażeniem N. P. Częstochowskiej bogato klejnotami ustrojonej, a zakończonej unoszącym się nad nią wśród złotych promieni Duchem św. w postaci srebrnej gołąbki. Po prawej stronie umieszczono tarcz z herbami Piusa IX; po lewej herb miasta Krakowa z srebrnym orłem jaśniejącym w otwartej bramie miejskiej trzema wierzycami ozdobionej. Sklepienie kopuły ubrane bogato w sztuczne jaźminy i gałązki palmowe oraz wawrzynowe — jaśniało w samym środku złotemi promieniami otaczającemi wyobrażenie Serca Jezusowego. Cała kaplica wznosiła się na podwyższeniu otoczonem czworoboczną balustradą, na które się wchodziło po piętnastu stopniach w górę. Samą balustradę zdobiło 16 wazonów strojnych w girlandy zielonę — a napełnionych najpiękniejszemi roślinami i kwiatami jakie się najdowały w ogrodach krakowskich.

Trzeba było widzieć z jakim to zapałem kto jeno mógł — młodzi i starzy pracowali — aby kaplica stanęła na czas i wyglądała jak najpiękniej. Można śmiało powiedzieć, że się nią całe miasto interesowało. Dzielna nasza straż ogniowa miała tu szczególniej swój piękny i całkiem bezinteresowny, szlachetny udział. Zacny jej naczelnik, p. Eminowicz, okazał tyle katolickiego uczucia, na ile tylko szczera, gorąca i prawdziwie staropolska wiara zdobyć się mogła. Jeden z młodzieńców straży ogniowej jakby ptaszek albo motyl wspinał się po muszlinowej kopule, a wynosząc w górę tarcz z Najświętszą Panną, tulił ją do serca z zapałem przypominającym wojowników Sobieskiego. Desperacya musiała brać chudy zastęp naszych bezwyznaniowców, jeźli na to patrzyli. Próżne zabiegi tych panów! Kraków i w starych i w męzkich i w młodzieńczych sercach, jak był, tak się i teraz okazał katolickim. Powiadają, że gdy już szła procesya, jakiś wyznający się bezwyznaniowiec, rzekł głośno z gorzkim przekąsem i źle osłonionym niesmakiem: patrzaj, „to czysta komedya“ — na co zagadnięty socyusz odpowiedział: Niech to będzie komedya, kiedy tak chcesz — ale musimy chcąc niechcąc przyznać, że im się ta komedya udała.

Od rana tłumy ludu zalegały przedmieścia i ulice miasta. Były to rzesze prawdziwie świąteczne. Jakby jakąś niewidzialną siłą porwany lud wiejski, w co najpiękniejszych strojach przyciągał ze wszystkich stron. Miejska też ludność wszystkich stanów pomieszana z wiejską siostrzycą, szczególniej zalegała Kleparz. Kościół Szarytek był od świtu przepełniony do wieczora. Chorągwie i przeróżne godła, zastósowane do uroczystości, powiewały cały dzień z okien domów Kleparza. Ten Kleparz, to prawdziwy klejnocik Krakowa — niegdyś zwał się Florencyą, ale mu piękniej z rodzimą nazwą; i nazwa ta daje nam niemniej piękną ideę, jak Florencya, albo jeszcze piękniejszą, przynajmniej milszą, choć dla niektórych zbyt pieszczonych uszu zbyt twardą. Kleparz, to jak ta brama floryańska, którą się wchodzi w mury Krakowa — on woła: Prezentuj broń przed Maryą! Uczcij ją pokłonem serca! A trzeba wiedzieć, że ta mustra kleparska nikomu z Krakowia nie jest przeciwną. Kiedyś tam chciano młodzież inteligencyjną przeciwstawić Kleparzanom, i była chwila gorąca, ale się prędko skończyło, a serca młodzieży inteligencyjnej zostały przy sercach Kleparzan.

O trzeciej zaczęły się nieszpory wspaniale na sposób rzymski celebrowane. Przewodniczył im ks. Patyński, proboszcz od św. Krzyża,

rektor domu emerytów. O 4 wyszedł na ambonę ks. Golian. Słowem naczelnem nauki był ten wiersz z Malachiasza: *Od Wschodu do Zachodu słońca wielkie jest imię moje między narody i na każdem miejscu poświęcają i ofiarują imieniowi memu ofiarę czystą.* (R. II.) Kaznodzieja usposabiał serca ludu do złożenia Bogu-miłości, Bogu-serca ofiary czystej. Pierwsza część nauki dowodziła, że ludzie o tyle zdolni są składać Bogu ofiarę godną jego majestatu, ofiarę czystą, o ile znają wielkie imię Boga, o ile go znają miłością, sercem. W drugiej części przedstawiwszy, w jakiej to epoce Pan Jezus przypomniał narodom, że jest Bogiem serca, to jest w epoce grasującego zimna i faryzajskiego rygoryzmu jansenistycznego, tej straszliwej preparacyi massoneryi, internacyonału, bezwyznaniowości i nihilizmu, przez którą szatan chciał zniszczyć Ewangelię i Kościół w sercach własnych jego wyznawców w imię religii niby sponiewieranej zbytniem spoufaleniem się ludzi z Bogiem, ziemi z niebem, doczesności z wiecznością.

Trzech ludzi miłości stanęło przeciw temu zamachowi występującemu jeszcze, jako protestantyzm: św. Ignacy Lojola, św. Franciszek Salezy i św. Wincenty á Paulo, to byli ludzie miłości, ludzie poświęceni Bogu zwiącemu się Serce! W zakonie utworzonym miłością św. Franciszka Salezego wychowała się dusza im prostsza tem wznioślejsza, której Zbawiciel, wskazując na swe serce, powierzył swoje pragnienie, aby był czczony, jako Bóg serca. Szczęśliwe narody, które tę myśl skwapliwie przyjęły. Między niemi jaśnieje naród polski mimo wszystkich swych nieszczęść! Sobieski w tym samym roku 1675, prawie w tych samych dniach odnosi świetne nad pohańcami zwycięztwo pod Lwowem, z tem świętem hasłem „górą Jezus"! — i siłą wiary w Boga miłości, zwycięża mnogich wrogów krzyża, walących się na Ruś i Polskę pod wodzą Nuradyna. Stanisław Jabłonowski w tej samej chwili tą samą wiarą zwycięża pod Złoczowem. Polska polityka, to polityka światła, prawdy i miłości przeciw polityce zachodu, polityce fałszu, zdrady, chytrości i nienawiści. Ta druga na chwilę przemogła, bo świat zapomniał, że jest zdobyty przez Boga miłości, przez Boga Serca — Dziś świat pije kielich, który sobie tym sposobem zgotował, ale Bóg dał człowieka serca, a tym jest ojciec chrześcijaństwa Pius IX. Otoż ten człowiek dzielniej niż ktokolwiek dotąd wielkiem sercem swojem wzywa świat do pokłonienia się Bogu-Sercu, i do złożenia mu ofiary czystej, bo ofiary serca. Słowo Piusa IX. wzgardzone przez polityczne potęgi świata, które podniosły sztandar Boga-interesu, Boga-egoizmu i Boga-kłamstwa, znalazło swe echo w sercach katolickich narodów, które w tym dniu składają się na akt ofiary. Ten akt jest aktem boskiej doniosłości. On jest inauguracyą zwycięstwa prawdy nad fałszem, miłością nad nienawiścią, prawa bożego nad demonicznemi przeciw rządom Bożym zamachami. Schodzi się on z trzydziestoletnią rocznicą rządów Piusa IX. w Kościele, a więc z Aktem cudownej opatrzności utrzymującej to drogocenne dla Kościoła i dla świata życie i tego życia całą dzielność męzką, całą młodzieńczą świeżość, całą dziecięcą prostotę i niewinność. I jego imię wielkie między narodami, jedynie wielkie wśród obecnej chwili świata, bo jedynie nieskazitelne między imionami wyniesionemi ponad zwykły poziom, jedynie w językach wszystkich ludów, nawet nie katolickich, nawet nie chrześcijańskich ze czcią i uwielbieniem wymieniane, jako imię męża prawdy i miłości, jako Papieża niepokalaności i nieomylności, bo Papieża serca! Składając zatem najwyższą ofiarę temu Sercu, którego pragnieniem chwały żyje Pius IX. i cały Kościół, złóżmy obok niej ofiarę widzialnemu tego Serca przedstawicielowi. Albo raczej złóżmy jednę ofiarę Jezusowi, ale w intencyi Piusa. Niech przez każde usta tego tłumu, który za chwilę wyjdzie przed kaplicę wzniesioną Sercu Jezusowemu powtórzy się akt poświęcenia całego Kościoła i Jego naczelnika Bogu miłości, Boga Serca!

Oto mniej więcej treść kazania powiedzianego przed samem wyjściem procesyi.

O piątej, jak było zapowiedziane, punktualnie rozpoczął się wspaniały pochód. Procesyi przewodniczył JW. X. kanonik Wilczek, jako proboszcz św. Floryana, w którego parafii znajduje się kościół Serca Jezusowego.

Jaki był tłum wiernych, może dać o tem wyobrażenie ta okoliczność, iż orszak procesyjny duchowieństwa wyszedłszy z kościoła, musiał przeszło 20 minut czekać w przedsionku zanim mógł wyjść na ulicę. Co tylko bractw istnieje w Krakowie i okręgu wszystko się prawie zebrało. Niezliczona liczba chorągwi kościelnych i nowych na ten akt przygotowanych skłoniła się Panu w chwili ukazania się baldachimu. Sam baldachim z białej jedwabnej materyi grubo złotem haftowany nieśli obywatele krakowscy przystrojeni w przepyszne kostiumy polskie z atłasu karmazynowego, błękitnego i białego. Ustąpili im tego zaszczytu panowie towarzystwa św. Wincentego á Paulo, którzy z budującą pobożnością otaczali swym gronem baldachim w ciągu całej procesyi. Ulica Floryańska świetnie w bardzo wielu domach przystrojona w dywany, kwiaty, świece, obrazy i chorągwie, wspaniały przedstawiała widok. Wszakże bez porównania wspanialej jeszcze przyjmowała procesyę ulica Sławkowska, gdzie dom w dom na dole i na

każdem piętrze wystawiono co tylko kto miał najpiękniejszego. Pałac księżnej Marceliny Czartoryskiej jeszcze nieskończony i niezamieszkały ustrojony był od szczytu do dołu prawdziwie artystycznie porozwieszanemi girlandami z dębowych gałęzi. Hotel saski, mieszkanie hrabstwa Dębickich, pałac Sanguszków, dom pana Lasockiego prezesa komitetu parafialnego Panny Maryi, brylowały wpośród innych. Tak chyba musiało bywać w Krakowie w chwilach tryumfalnych wjazdów lub za dni koronacyjnych. Był też to tryumfalny pochód tysiącletniego króla serc krakowian, odnowienie koronacyi Pana Jezusa i zrękowin Jego z polskim narodem w świetnej niegdyś tego narodu stolicy. Na jednej z wież Maryackich powiewała olbrzymia chorągiew miejska, na drugiej takaż papiezka. Wszystkie dzwony świątyń krakowskich przygrywały swą muzyką pieśniom pobożnym płynącym z piersi kilkudziesiąttysięcznego tłumu. Rynek i przyległe ulice były zapchane, jak niepamiętają najstarsi ludzie. Za przybyciem do kaplicy zaintonowano pieśń Święty Boże! Było co słyszeć! kiedy ta pieśń wzniosła się ku niebu przez klęczący tłum śpiewana! Towarzystwo Muzy, umieszczone w kaplicy, wykonało następnie dwie piękne kompozycye na Ojcze nasz i Zdrowaś, oraz *Pange lingua*. Po odmówieniu pacierza nastąpił akt konsekracyi. X. biskup delegował do tej ceremonii administratora kościoła Panny Maryi, który mimo zmęczonego głosu powiedzianem przed chwilą kazaniem, zdołał go słowo po słowie dosyć głośno czytać, aby i w dalszych punktach rynku był słyszanym, i aby słowa aktu mógł za nim powtarzać cały zgromadzony lud. Była to chwila dziwnie uroczysta. Niebo zapewnie mile spoglądało na klęczącą massę, jednem uczuciem ożywioną, jedną myślą natchnioną, jednem i tem samem słowem miłość swoję dla Jezusa Chrystusa wyznającą. Niepodobna aby się niesprawdziły nad nami te słowa Zbawcy: *kto mie wyzna przed ludźmi, wyznam go ja też przed Ojcem w niebiesiech.* (Ew. św. Mat. X). Mniejsza wtenczas o to, że się nas zapiera świat, i że nas chce mieć za niebyłych. A mamy silną nadzieję, że po takim Hosanna, już ludu naszego: książęta świata, piśmienni i faryzeusze niezdołają natchnąć strasznem słowem: *Crucifige!* Myśl o łaskawości niebios nasuwała się każdemu, na widok nagromadzonych chmur, z których przecież mimo niesłychanego paru i prawie nieruchomego powietrza ani kropla deszczu nie padła, aż dopiero, kiedy opuściwszy rynek procesya stanęła przed kościołem Panien Wizytek. Wówczas to dopiero pokropiło nas niebo maleńkim a ożywiającym deszczem jakby na znak udzielonego miastu i krajowi błogosławieństwa. W kościele Wizytek szczególniej oddanemu Czci Serca Jezusowego orszak procesyjny duchowieństwa złożył dziękczynienie za łaskę objawienia udzielonego przed dwoma wiekami Wizytce, św. Małgorzacie. Długą ulicą wracaliśmy na Kleparz, a przed domem Missyonarzy kleparskich celebrans zaintonował *Te Deum*, które kończyliśmy wchodząc tam późnym już wieczorem zkąd była wyszła procesya, to jest do kościoła Serca Jezusowego oświeconego, jak najwspanialej.

Bogu niech będą dzięki, że całe nabożeństwo tak się nam pięknie, tak bez najmniejszego wypadku lub zamieszania udało. A po Bogu, dzięki za to tej naszej niocenionej i ukochanej matce Talbocie, która przywiązawszy się do miasta i kraju naszego prawdziwem sercem córki św. Wincentego á Paulo, dodała do swych drogocennych zasług i tę zasługę, że swą gorącą i dzielną wiarą tak nas zdołała wszystkich nastroić do zawtórowania całemu Kościołowi i jego Najwyższej Głowie tem serdecznem a tak powszechnem, takiem jakiemś swojskiem, rodzimem nabożeństwem, jakby z dziesięcio-wiekowego uczucia katolickiego naszego narodu najnaturalniej wynikłem i temże uczuciem jak najprościej wykonanem.

Zbyt niestety długo krzyż nasz dźwigamy, abyśmy mogli pamiętać (choćby się w pośród nas znalazł i człowiek całego wieku), jakiś szczęśliwy moment z życia naszego narodu, ale ta procesya coś miała do siebie takiego, co nam dało słodkie uczucie jakiejś piękniejszej, lepszej chwili, z dawnych epok naszych dziejów. Uczuliśmy coś dziwnie pokrzepiającego, jakby w nas serce naszych praojców błogiem tętnem uderzyło.

Ale to niewysłowione uczucie przeszłości ma swój ścisły i żywotny związek z lepszą przyszłością. Może my jej niedoczekamy, ale to pewna, żeśmy złapali coś z tego powietrza, którem będą oddychać pełną piersią szczęśliwsze od nas na tej ziemi pokolenia. Dość nam na tem, żeśmy choć na tem kawałeczku dawnej naszej ziemi mogli zawołać z Kościołem tym aktem: Niech żyje Serce Jezusa! Echo tego okrzyku nieskona póki mu nie odpowie naród nasz z głębi tego Serca pocieszony wielkiem słowem ostatniego z naszych bohaterów „górą Jezus“!

Kronika.

Rozproszone po całej kuli ziemskiej ludy katolickie przypuściły w dniu 16 Czerwca r. b. ogólny szturm do nieba, którego następstw trudno może w tej chwili obliczyć. Że jednak te powszechne całego katolickiego świata

modlitwy bezskutecznemi nie zostaną, o tem tylko sceptycy powątpiewać mogą. Nowe życie wstąpiło w miliony dusz Chrystusowych, spotęgowało ich ducha· rozbudziło ich wiarę, wzmocniło Kościół Zbawiciela. Płytkie niedowiarków umysły mogą się śmiać z tego, ale ludzie rozważni wiedzą o tem dobrze, że każda idea, znajdująca gorących jej zwolenników, pozostawiała głębokie za sobą w społeczeństwach ślady. Jeśli płonąca do złego miłość straszne spustoszenie wytwarzać zwykła, to znów żarliwa miłość dobrego cuda działa, miliony męczenników rodzi i nad przeciwnikami świetne w końcu odnosi zwycięztwo, Tak zawsze było, tak będzie niebawem. Nabożeństwo do Serca Jezusowego nowy żar miłości Boga i Kościoła roznieci w sercach katolików. To też dziatwa katolicka instynktowo niemal odgadła cel jego i dlatego tak ochoczo a radośnie biegła 16 Czerwca do świątyń Pańskich, aby się poświęcić Sercu Zbawiciela. I u nas we Lwowie, w dniu tym, wszystkie świątynie już w wigilią dnia przepełnione były wiernymi przystępującemi do spowiedzi i Stołu Pańskiego. A chociaż niebyło żadnego tak jak w Krakowie lub Tarnowie publicznego na zewnątrz Kościołów zatwierdzenia wiary, hołdu i czci dla Zbawiciela świata, niemniej jednak serca zgromadzonego w świątyniach ludu silną miłością Boga zapłonęły. Nasz Najprzewielebniejszy Arcypasterz odprawił sam pontifikalną mszę św., w czasie której przedziwnie piękne i rzewne powiedział kazanie ks. Dr. Krechowiecki — prawda, niewiele można było naliczyć osób ze sfer tak zwanej intelligencyi, urzędniczych i wojskowych, ale, bo też te sfery nie odznaczają się u nas w ogóle religijnym duchem, zresztą intelligencya we Lwowie to aglomerat z różnych żywiołów narodowościowych powstały i pokostem tylko rzekomej polskości obleczony, bez ducha i tradycyi polskich. Cóż więc dziwnego, że i uroczystości kościelne jeśli nie są demonstracyą polityczną, są dla niej obcemi, a nawet powiedzmy prawdę wstrętnemi. Takie rzeczy dobre dla Krakowian, dla Tarnowa, dla ludu. W takich rzeczach może brać udział chyba jeden tylko rząd Rzeczypospolitej Ekwatorskiej, gdzie parlament poświęca swoją ojczyznę Sercu Zbawiciela, a sam Prezydent Garcia Moreno na odbytej (w Stolicy Quito) 16 Czerwca r. b. procesyi, sam krzyż niesie — ale... nie we Lwowie gdzie skorpiony dziennikarskie wszechwładnie rej wodzą.

— Dzienniki francuzkie obszerne podają opisy odbytej w Paryżu uroczystości założenia kamienia węgielnego pod kościół poświęcony Sercu Zbawiciela. W przyszłym numerze *Przeglądu* pragniemy obszerniej o tem napisać; chcielibyśmy również podać opis odbytych w kraju naszym nabożeństw i dlatego upraszamy czytelników naszych, aby nam o tem donieśli.

— W odprawionem za duszę ś. p. Libelta nabożeństwie żałobnem w kościele OO. Dominikanów lwowskich wielka liczba osób wziąść miała udział. Mszę żałobną śpiewał Przew. ks. kanonik Dr. Zabłocki, a kazanie miał podobno O. Liekendorf z zakonu kaznodziejskiego.

— Na pogrzebie ś. p. Józefa Śmiechowskiego przemówił także do zebranych i ks. Stanisław Stojałowski, wytykając słusznie tę wielką naszą wadę, ten brak miłości chrześcijańskiej, w skutek którego zapominamy często o ludziach. jesteśmy zupełnie obojętnymi na ich los i dolę; najmniejszego nie znajdują oni od nas poparcia i muszą często walczyć z niedostatkiem, jak np. jenerał Jeziorański, ale niechno z nich który umrze, wtenczas jeśli imię jego używało rozgłosu w kraju i cieszyło się popularnością, wnet liczne indywidua na wierzch występują i gromadzą się około trumny nieboszczyka, aby się popisać ze swojem

patryotyzmem, swoją rzekomą przyjaźnią i swą wygodną nadzwyczaj miłością ojczyzny! Trup służy im za dyplom ich patryotyzmu, za labarum ich poświęcenia i uczuć ojczystych. Słowa księdza Stojałowskiego wywołać musiały oburzenie w *Dzienniku Polskim*, który bijąc w księdza Stojałowskiego, uderzył zarazem i w OO. Jezuitów, chociaż ks. Stojałowski od jakiegoś czasu nie należy już do tego Zgromadzenia, ale jest kapłanem świeckim. Ks. Stojałowski słowa prawdy powiedział!

— Rząd pruski zemścił się prawdziwie po krzyżacku na Dr. Szymańskim redaktorze *Orędownika* za urządzane przez niego ludowe Wiece. *Jure caduco* zamknął go na rok więzienia. I to się nazywa legalnością. Książę Bismark może się teraz chełpić z pruskiej legalności.

— *Kuryer Poznański* ogłasza podany przez obywateli z Wielkopolski adres do Ojca Św., w którem wyrażają oni wdzięczność swą Ojcu Św. za „niezrównany zaszczyt“ zrobiony Kościołowi i narodowi polskiemu przez wyniesienie do godności kardynalskiej Najczcig. ks. prymasa kardynała Ledóchowskiego; obok tego adresu równocześnie przytacza *Kuryer* odpowiedź Ojca Św. przesłaną na ręce Sędziwego a Czcigod. jenerała Chłapowskiego. Ojciec Św. wyliczając powody, dla których okrył purpurą Wyznawcę Chrystusowego, który „jako wał spiżowy odważnie za nietykalnością praw świętych obstawał, tak, że naprzód przyszło mu znieść wiele dolegliwości, które wszystkie nieugięcie wytrzymał, a potem zasłużył sobie na to, by cierpiał więzienie za sprawiedliwość“, powiada zarazem, że do wyniesienia naszego prymasa do kardynalskiej godności skłoniła go jeszcze „niezachwiana wiara Polaków i ich do tej katedry Piotrowej przywiązanie równie jak wzorowa stałość w obronie nienaruszalności religii przodków wśród tylu nieszczęść“.

Ważne te dwa dokumenta przytoczymy w całości.

Z New-Yorku. Uroczysta ceremonia inwestytury kardynała Mac-Closkey zostawi długie i miłe wspomnienia między Amerykanami, którzy na niej byli obecni. Skoro tylko doszła tam wiadomość o wyniesieniu znakomitego Arcybiskupa do godności kardynalstwa, przeszło dwakroć sto tysięcy osób starało się o uzyskanie pozwolenia na znajdowanie się w katedrze w dniu oddania biretu nowemu kardynałowi. Ale nowa katedra, budująca się jeszcze, nie ukończona — musiano więc poprzestać na dawnym kościele św. Patryka, który więcej nad 3000 osób nie może pomieścić.

Ustanowiono więc komitet upoważniony do wydania pozwoleń tylko dla stosownej liczby, do której należeć mogli jedynie zacniejsi i znakomitsi obywatele. Obok władz miejscowych widziano wielu protestantów, zajmujących wyższe w społeczeństwie stanowiska, co było wcale mądrą polityką. Mogli bowiem ci biedni zbłąkani bogacze widzieć wspaniałość wiary katolickiej; a może Bóg w miłosierdziu swojem użyje tej nadzwyczajnej łaski, dla zwrócenia ich do prawdziwej religii, najprzód ich samych, a następnie i całego kraju. Na zebraniu tem widzieć można było wszystkie znakomitości katolickie, które wiarą, zdolnościami, miłosierdziem przykładali się do pomyślnego bytu kościoła amerykańskiego. Obok O'Connorów, Riszardów O'Gormann, Mac Masterów, którzy słowem lub piórem służyli prawdzie, widziano Henryka L. Hognet, następcę doktora Andersona, który naukę i majątek poświęca usłudze

biednych i Kościołowi świętemu, nie mniej tysiące innych a wszystkich odznacza jących się cnotami i zupełnem poświęceniem się dla religii.

Trzydziestu biskupów z infułą na głowie i pastorałem w ręku, więc-e jak trzystu kapłanów w szatach kościelnych, zebranych było przed ołtarzem w otoczeniu Jego Eminencyi, którego przedziwnie piękna postać, pełna godności i słodyczy, pociągała do siebie serca i oczy wszystkich. Nie podobna opisać szczegółowo tych ceremonii, znanych z resztą w Europie. W Ameryce były one zupełną nowością, która w pamięci tego ludu zostawi niezatarte wspomnienie i nie małe przyniesie następstwa.

ŚWIĘTOPIETRZE

(Serya IV)

ZŁOŻYLI W REDAKCYI:

Błogosław mi Ojcze Św.

K. H. ze Lwowa	jeden dukat w złocie	—	zł.	— ct.
Seweryna hr. Badeniowa		25	„	— „
Ubogie służące (na ręce ks. H.)	jeden cwancygier z Matką Boską	6	„	40 „
Ks. Józef Bąba od parafian w Wojniczu		10	„	87 „
Honorata hr. Bobrowska		5	„	— „

Niech żyje Pius IX! „Cześć Najświętszemu Sercu Jezusa"!

Zofia jenerałowa hr. Załuska za pośrednictwem Dr. Forysta z Tarnowa	100	„	— „
Ks. Otton Hołyński od Bractwa przy katedrze Lwowskiej	12	„	50 „
Ks. Otton Hołyński „ „ „ „ „	3	„	— „
Klasztor P. P. Klarysek w Nowym Sączu jeden dukat w złocie i	12	„	— „
Ks. Franciszek Posochowski proboszcz ze Złoczowa z uzbieranych składek	30	„	— „

„Ojcze Św. ratuj ginącą w Galicyi Unię".

K. W. H. dwa dukaty w złocie i	2	„	— „
Ks. Gorazdowski z Wojniłowa	1	„	— „
Ze składek w kościele OO. Jezuitów we Lwowie	177	„	— „
Razem cztery dukaty w złocie jeden cwancygier i złr.	383	„	77 „
Z przeniesienia jeden dukat w złocie, jeden cwancygier i złr.	80	„	10 „
Razem pięć dukatów w złocie, jeden cwancygier i złr.	463	„	87 „

Od Redakcyi.

Dla księży z Poznańskiego, Prus Zachodnich i Szląska pruskiego zgłaszających się do nas, którzy n i e s ą w s t a n i e składać ośmiu talarów prenumeraty za *Przegląd Lwowski*, zmniejszamy prenumeratę do połowy t. j. z ośmiu talarów na cztery rocznie a na jeden kwartalnie. Gdyby zaś i to dla niektórych dotychczasowych prenumeratorów naszych miało być uciążliwem, chętnie na wszelkie zgodzimy się ustępstwa, prosząc ich jedynie, aby nas o tem zawiadomili.

Wiernym Bogu i Ojczyźnie kapłanom, mężom którzy chorągiew wiary świętej wysoko podnieśli, należy się i od nas okrom czci ofiara!

Wydawca i odpowiedzialny redaktor ks. Edward Podolski.

Wspomnienia Napoleończyka.

Ustęp z pamiętników pułkownika Gawrońskiego

streścił

K. Korabita.

I.

Jak drogocennym nieraz materyałem dla malarza przeszłości dziejowej są pamiętniki, zbyteczna byłoby dowodzić. Ileż to prawdy, ile barwności i kolorytu nadają one dziełom pisarzy historycznych, składających w jedną artystyczną całość wszystkie te świadectwa ducha i obyczaju wieku, które same dla siebie wzięte, mogą się wydawać ułomnemi i nieudolnemi, razić szorstkością i brakiem wprawy pisarskiej swych autorów, a pomieszczone w mozaikowym układzie, wśród umiejętnie ugrupowanych faktów, dopełniają ich wybornie, oświecają często i wyjaśniają jednem słowem to, co dotąd było ciemnem lub niedokładnem, zręcznie wreszcie użyte, pod względem zewnętrznym nawet lśnią jak brylanty najczystszej wody!

To też skrzętnie należy zbierać te nieocenione perły, choćby je niekiedy brud i muł pokrywał z wierzchu i tak odpychał nieświadome oko, niezdolne przeniknąć tej zewnętrznej skorupy i dotrzeć do samego jądra. Chętna i biegła ręka, szukająca wszędzie rzeczy a nie pozorów, nie odstręczająca się od pięknej i użytecznej treści dla szorstkiej i nieogładzonej formy, snadnie usunie te powierzchowne naleciałości i dobędzie kryjącego się pod niemi skarbu ku pożytkowi ogółu.

Zbyt często niestety wysokiej wartości pamiętnikowe zapiski walają się gdzieś w bibliotecznym pyle, zamiast coby miały ujrzeć światło dzienne, dlatego jedynie, że ich forma nie jest wygładzona i wymuskana, nie wyciągnięta pod strychulec, jak to przywykliśmy widywać u większej części dzisiejszych pisarzy, usiłujących brak życia i werwy zastąpić sztywnością i starannem wyrównaniem wszystkiego, co razi ich delikatne nerwy szorstkością lub nawet niezwykłością wyrażenia...

Rzucają tedy w kąt z pogardliwem lekceważeniem najciekawsze nieraz pamiętniki z tej przyczyny, że ich autor przywykły do czynu a nie do książkowej pracy, do robienia szablą a nie piórem, opowiada, nie bawiąc się w retoryczne ozdóbki, nie obwijając swych prostych myśli w szablonowe zwoje utartej frazeologii, ckliwe swoją jednostajnością, jak powtarzająca się nuta katarynkowej muzyki...

Zdarzają się wypadki, że niektóre utwory literatury pamiętnikowej nie nadają się do publikowania w całości bądźto dla rozwlekłego sposobu pisania autora, bądź też dla nierównej wartości pojedyńczych ustępów, z których jedne mogą być wielkiej wagi, inne zaś przeciwnie nie zawierają w sobie nic ważnego ani ciekawego.

Ale i w podobnym razie można z nich jeszcze zrobić odpowiedni i to niepośledni użytek, ogłaszając tylko wyjątki lub opracowując to, co koniecznie przerobienia wymaga, aby mogło być podane do rąk czytającego ogółu.

W takim to właśnie stanie znajdują się *Pamiętniki* ś. p. *pułkownika Gawrońskiego*, z których już *Przegląd* podał drobny wyjątek, a z których my obecnie postaramy się streścić, zdaniem naszem, część najważniejszą, bo opis udziału autora w wyprawie na Moskwę.

Być może, iż nam kto zarzuci niestosowność wyboru, ile że do tego właśnie okresu dziejów ostatniego stulecia najwięcej posiadamy materyałów, że tylu już rozbitków olbrzymiej, napoleońskiej armii opowiadało nam koleje własne i towarzyszów, podczas gdy historya lat następnych, spędzanych nie wśród huku dział i szczęku oręża lecz wśród prac i trudów pokoju, nierównie mniej nam znana.

Uwaga ta byłaby słuszną, gdyby nasz autor w po-napoleońskiej porze zajmował wśród rodaków wybitniejsze stanowisko, gdyby wpływał pośrednio czy bezpośrednio, jeżeli już nie na losy kraju, to przynajmniej na obrót spraw publicznych choćby w pewnym tylko zakresie, lub gdyby zadaniem jego było malować ogólną fizyognomię współczesnej epoki, dawać obrazy wypadków i ludzi, prądów i dążeń wieku.

Tak szerokiego planu nie założył sobie jednak pułkownik. Wiedziony zasadą obowiązku ciągłej pracy dla społeczeństwa, którą określił w mocie zapisanem na początku księgi: *Nulla dies sine linea* — pragnąc pod wieczór życia być jeszcze czynnym i pożytecznym, postanowił spisać ważniejsze wypadki swego żywota ku wiadomości i nauce swych potomków, jak to sam mówi, i dlatego opowiada niemal wyłącznie własne koleje, spraw publicznych dotykając tylko o tyle, o ile się przyczyniają do wyjaśnienia jego własnej historyi.

Ztąd też najwięcej obchodzić muszą szerszy ogół te właśnie ustępy, gdzie losy autora splatają się z dziejami całego narodu w nierozdzielną jedność, gdzie więc opowiadając osobiste przejścia, staje się zarazem niejako historykiem narodu, którego w tak ważnych chwilach był czynnym członkiem.

Dlatego to opowiadanie Gawrońskiego pospołu z dawniej już wydanemi wspomnieniami towarzyszów, dopełniając się nawzajem, dać może dopiero razem cały obraz tej wielkiej epoki, rysującej się olbrzymiemi kształty na tle historyi świata. Wartość zaś jego szkicu tem większa, że autor zamiast bawić się w ogólne poglądy i w mrzonki historyozoficzne, miasto daremnych starań pochwycenia wszystkich nici splątanych w chaotycznym nieładzie, coby mu się niezawodnie, jak tylu innym, było nie udało, ogranicza się na nierównie szczuplejszym zakresie, spisując tylko to, co się przydarzyło jemu samemu i najbliższym, na co patrzył własnemi oczyma, a ogólnych wypadków dotyka jedynie mimochodem, o tyle, aby nie tracić wątku i być zrozumianym przez czytelników, aby nie zerwać nici, łączącej go z całością i nie wydać się odosobnioną jednostką, zgubioną wśród różnorodnego tłumu.

Nie znajdziesz może w opisie jego nic takiego, coby na pierwszy rzut oka uderzyło twoją uwagę, coby olśniło twój umysł i całkiem nowe wskazało ci widnokręgi, bo sposób opowiadania autora prosty i skromny, jak on sam — lecz napotkasz tam wiele faktów i szczegółów, wyjaśniających niepomału stan rzeczy i w prawdziwszych, dotykalniejszych kształtach wystawiających to, co dotąd ukazywało ci się tylko przez pryzmat ułudy lub w ogólnych, niewyraźnych pojawiało się konturach.

Gdybyśmy chcieli narracyę Gawrońskiego uzupełniać wiadomościami zdobytemi już przez historyę i tworzyć tak pełniejszy wizerunek czasu, wskazując ile nowych zdobyczy mamy pułkownikowi do zawdzięczenia, złożyłoby się to na artykuł obszarem swoim niesłychanie przenoszący ramy pisma, z którego gościnności korzystamy, a co ważniejsza, osłabiłoby interes w czytelnikach. To też nie myśląc się stosować do tak niepraktycznej metody, ujmiemy tylko w formę lekszą i zwięźlejszą opis uczestnictwa pułkownika z wyprawy moskiewskiej; wpierw zaś jak najkrócej podamy kilka szczegółów z poprzedniego jego życia.

II.

Przywiązany do tradycyj rodowych, wysoko sobie ceniąc zacne urodzenie i dostojne kolligacye z pierwszemi rodzinami kraju, autor szczegółowo wymienia stopień pokrewieństwa i powinowactwa z wielu a wielu ludźmi; w skutek dziwnego wszakże zbiegu okoliczności nie może wymienić dokładnej daty wypadku najważniejszego dla każdego śmiertelnika, bo dnia własnych urodzin...

Jeszcze w czasach jego dziecięctwa pochłonął ogień akta kościelne w miejscu urodzenia, a po zatraceniu w ten sposób metryki, rodzice nie mogli sobie przypomnieć, kiedy ich syn na świat przyszedł. Tyle jednak pamiętał Gawroński z opowiadań matki, że go nosiła w swem łonie podczas ostatniego pobytu ostatniego z królów polskich, Stanisława Augusta w Krakowie i że w tym stanie na pokojach królewskich w zamku wawelskim wraz z innemi damami bywała.

Wedle tej wskazówki można w rzeczy samej mniej więcej oznaczyć datę; ponieważ bowiem ostatnie pożegnanie Poniatowskiego z Wawelem odbyło się w r. 1787 w powrocie z Kaniowa, gdzie się zjechał z Katarzyną, przeto ten lub początek następnego roku był rokiem przyjścia na świat Gawrońskiego. Urodził się zaś w dziedzicznej wsi babki swojej, Konstancyi z Jordanów Sędzimirowej, Nieszanowie, położonej w ówczesnym powiecie pilzneńskim, w województwie sandomirskiem, obecnie leżącej w Galicyi, w obwodzie jasielskim, w pięknej, górzystej okolicy, między miasteczkami: Żmigrodem, Duklą i Krosnem — z ojca Józefa Rawity Gawrońskiego, podwojewodziego wiślickiego i z matki Sędzimirzanki, przez którą był spowinowacony ze starożytnemi rodami książąt Zbaraskich, Lubomirskich, Wapowskich, Tarnowskich, Zborowskich, Zebrzydowskich, Ligęzów itd.

Gawroński nauki szkolne i uniwersyteckie pobierał w Krakowie, gdzie mieszkając u stryja, biskupa Gawrońskiego, razem z nim bywał w domach wielu arystokratycznych rodzin, wymienionych w drukowanym już wstępie pamiętników. Zarówno jak cała młodzież ówczesna, pałając chęcią dostania się do legionów, nie mógł spełnić tej ulubionej myśli, gdyż rodzice z powodu zbyt młodego wieku jego stanowczo zamiarowi temu byli przeciwni. Biegły mu tedy dni swobodnie i spokojnie wśród grona rówieśników, a pierwszym ważniejszym wypadkiem w życiu był dlań w r. 1868 wyjazd do Wiednia w towarzystwie stryja, który jako członek deputacyi stanów galicyjskich spieszył powinszować cesarzowi Franciszkowi zaślubin z księżniczką d'Este, a w podróż tę zabrał kapelana, synowca i księdza kanonika Skórkowskiego, późniejszego biskupa krakowskiego.

Wyjechali wielką kalwakatą, dwoma powozami, zaopatrzeni w wszelkie przybory, z dworem i kuchnią, w miesiącu Maju. Trwała ta podróż dni ośm czy dziewięć. Wieczorem na noclegu gywał ksiądz biskup z kanonikiem w pikietę, w większych miastach pozwalał malcowi pod opieką ks. Skórkowskiego iść do teatru.

W Wiedniu zajęli mieszkanie na *Spiegel-Gasse*, gdzie biskup przyjmował i ugaszczał deputowanych i różnych dygnitarzy, jak ks. biskupa Gołaszewskiego, hr. Lanckorońskiego, Ledóchowskiego, Ossolińskiego, Dobrzańskiego, młodych Dembińskich, synów pani chorążyny, Jana i Henryka, później generała.

W dniu przedstawienia deputacyi wystąpili panowie polscy częścią w haftowanych dworskich częścią zaś w polskich strojach. Najwspanialej ubrani byli: hr. Zabielski i Dobrzański, ojciec Romana i Łukasza, którego żupan z bogatej materyi, pas nader kosztowny, brylantami i perłami wyszywany kontusz, powszechną zwracały uwagę.

Młodzież przypuszczono do asystencyi w czarnych dworskich sukniach, z harbajtlem z tyłu, w trzewikach, ze stosowanym kapeluszem pod pachą. Prezentowali się tak u dworu prócz dwudziestoletniego Gawrońskiego: młody Ledóchowski, S. Badeni i Antoni Dąbski, syn, z Wojnicza. Cesarz wraz z żoną przyjmował deputacyę w zamku na tronie, w galowym stroju. Po przemowie ks. arcybiskupa lwowskiego Kickiego, rozmawiał monarcha ze znanym sobie dobrze biskupem Gawrońskim, którego mianował tajnym radzcą, z tytułem ekscellencyi.

Pobyt w stolicy Austryi zawrócił głowę młodemu chłopcu. „Nie wiele mi się już uczyć chciało — pisze o sobie; zdawało mi się, że już bardzo wiele umiem i wiele wiem, skoro byłem w Wiedniu i u dworu, a tyle rzeczy widziałem, o których opowiadać mogłem". Przykładał się więc już niemal wyłącznie do nauki języka francuzkiego i włoskiego, a karnawał cały spędzał wśród świetnych zabaw i balów. Wybornie wówczas bawiono się w Krakowie; w cudzoziemskich domach u książąt Hohenzollernów i Schwert-Spork'ów — w polskich u margrabiny, u starostwa krakowskich Wodzickich, u starościny Grybowskiej, u Wielowiejskich, Puszetów i pani chorążyny Dembińskiej.

Trzymali też otwarte domy i gościnnie przyjmowali u siebie możni kanonicy z kapituły, jakoto: ks. Sołtyk, dziekan, a zarazem były dygnitarz koronny, bo referendarz, jak go też zwykle nazywano,

kawaler wielu orderów, właściciel pięknego i ciekawego muzeum, które w swojem mieszkaniu, przy bramie grodzkiej, chętnie gościom pokazywał — ks. Olechowski, biskup *in partibus* i sufragan, który miał dobrą kuchnię — ks. Wodzicki, brat starosty krakowskiego i grybowskiego, opatem zwany, bo piastował tę godność w Mogile — ks. Trzebiński, Minocki, rektor uniwersytetu, ks. Szaniawski, ks. Olechowski drugi i Teodor Sołtyk, kanonicy — bracia księża Sierakowscy, z których jeden, Sebastyan, kustosz koronny, miewał u siebie młodzież na obiadach i koncertach, wreszcie ksiądz Lochman, infułat maryacki.

Tymczasem zaniosło się na dobre na wojnę; w połowie roku 1809 znaczne siły Austryaków zebrały się w Galicyi, aby za danym znakiem wkroczyć do księstwa Warszawskiego. Główną kwaterę obrał sobie arcyksiążę Ferdynand w Krakowie, mieszkając sam pod Krzysztoforami. Starał się on o popularność, dawał obiady, kazał formować polskie pułki, lecz nic to nie pomagało, bo sympatye mieszkańców były po stronie Francuzów i dlatego z radością przyjmowali nowiny o odnoszonych przez Napoleona nad Austryakami zwycięztwach.

Niedługo wkroczyły wojska polskie, choć nieliczne, do Galicyi i rozciągnęły się aż do Lwowa. Do Krakowa przybył wówczas starszy brat Ferdynanda arcyksiążę Franciszek, który wszelkich sił dokładał, aby sobie zjednać życzliwość krajowców, wystósował odezwę do Krakowian z prośbą, aby go wspierali i wstępowali do austryackich szeregów, zapraszał na huczne obiady do siebie młodzież, między innymi i Gawrońskiego — lecz mimo tych wszystkich zabiegów, każdy z upragnieniem oczekiwał przybycia wojsk Napoleona.

Po walnem zwycięztwie cesarza Francuzów nad Dunajem i zajęciu Wiednia, ustąpił arcyksiążę Franciszek do dziedzicznych krajów, a równocześnie prawie wtargnęli do opuszczonego przezeń Krakowa książę Józef Poniatowski i Suwarów; 15 Lipca jednak wynieśli się Rosyanie za Wisłę, a w mieście, w spiskim pałacu pozostał tylko sam Suwarów ze sztabem.

Radość mieszkańców z tak szczęśliwego obrotu sprawy nie znała granic; z najżywszą życzliwością przyjmowali w swych murach bratnie szeregi i dostarczali im wszystkiego, czego tylko było potrzeba. Główny sztab wydał odezwę, zachęcającą do wstępowania do wojska, co było rzeczą wprost zbyteczną, gdyż ze wszech stron ciśnięto się do służby żołnierskiej.

Rodzice Gawrońskiego nie uważając go za sposobnego do zawodu wojskowego z powodu spokojnego usposobienia i wątłego zdrowia, a pragnąc go uchronić od pokusy, zabrali jeszcze w czasie pobytu Austryaków w Krakowie na wieś, gdzie go pragnęli ożenić z bogatą dziedziczką zamieszkałą w sąsiedztwie, panną Zofią Ł. Lecz młodzieniec nie czuł wcale nabożeństwa do ożenku, tem więcej, że panna „była bardzo blada“.

I co do żołnierki nie stało się zadość życzeniom rodziców, bo Gawroński idąc za ogólnym prądem, mimo odradzań postanowił próbować szczęścia na marsowem polu, pod chorągwią wojownika, od którego jak tylu innych, spodziewał się odbudowania ojczyzny.

Utworzono nasamprzód kompanię jazdy, złożoną z ochotników, nazywanych guidami. Mieli oni pełnić służbę przy samym wodzu i zbroić się własnym kosztem, ponieważ zaś ubiór i koń wymagały znacznego nakładu, mogli przeto wstępować do tego oddziału tylko majętniejsi ludzie. Dostał się do niego młodszy brat Gawrońskiego, imieniem Jan; młodszy jeszcze, bo zaledwie 16letni Tadeusz, porzuciwszy szkoły, zaciągnął się do pułku artyleryi konnej Włodzimierza Potockiego.

Gawroński nie chcąc rodzicom przyczyniać wydatków, wybrał najmniej kosztowną służbę w piechocie. Podobali mu się wielce grenadyerzy; poszedł więc z kilku towarzyszami do Stasia Potockiego, którego pułk stał w mieście i po budach jarmarcznych na rynku, z prośbą o umieszczenie pod swą komendę.

Potocki grzecznie przyjął młodzieńców, lecz wystawiał im przytem, że lepiejby było i korzystniej dla nich, gdyby się zaciągnęli do którego z nowych pułków, aniżeli w starym, liczącym sporą liczbę zasłużonych w ostatniej wyprawie podoficerów, którym się należy awans.

Uniesieni zapałem, miasto się odstraszyć tem upomnieniem, odparli, że „nie do oficerów się chcą zaciągnąć“, lecz pragną się dosługiwać stopniowo. Wspominając o tej gorliwości Gawroński, sam powiada, że nie była „na miejscu“, bo młodzi zapaleńcy „nie przewidywali „ciężaru pracy“. Po takiem oświadczeniu umieszczono go niezwłocznie wraz z Hieronimem Gostkowskim i Ludwikiem Łętowskim, późniejszym biskupem, w korpusie grenadyerów. (C. d. n.)

KS. PIOTRA SKARGI

kanonika lwowskiego,

Dwa Listy Własnoręczne

DO MARCINA KROMERA

z r. 1568 i 1569.

„Bieżał tedy ks. Skarga do Rzymu, aby pogardziwszy światem tym marnym, Panu Bogu służył *in Societate Jesu* zakonnikiem, przybył tam w miesiąc po szczęśliwej śmierci bł. onego młodzieńca Stanisława Kostki, i pragnienie swoje ochłodził wtórego dnia lutego roku Pańskiego 1569". Tak pisze Birkowski w kazaniu na pogrzebie Ojca Piotra Skargi, i tyle też posiadamy wiadomości dodatnich o okolicznościach, które towarzyszyły wstąpieniu jego do Jezuitów. Innych bowiem danych, któreby na to wydarzenie, tyle ważne tak dla późniejszego życia samego Skargi, jak i historyi Towarzystwa Jezusowego w Polsce, wyraźniejsze rzucały światło, niema wcale, a urywkowy ale ciekawy szczegół, który podał nuncyusz apostolski Commendoni, nie został dotychczas jeszcze wyjaśniony. Skarga w przejeździe do Rzymu bawił u niego „dni kilka" w Wiedniu, i dopiero 1go stycznia r. 1569 w dalszą puścił się podróż. Commendoni gościł u siebie uprzejmie „wielce pobożnego i zacnego kaznodzieję i kanonika lwowskiego", ale zdziwił się też niepomału, gdy się niebawem dowiedział, że Skarga dnia 2go lutego przywdział w Rzymie sukienkę zakonną. Sam ten fakt nie przeraził go wprawdzie, i owszem był nawet przekonany, że kanonik lwowski „przejąwszy się zasadami Towarzystwa, może się stać pożyteczniejszym swojej ojczyźnie"; ale zastanowiło go mocno, że Skarga zamiar ten tak szybko powziął i uskutecznił, gdyż bawiąc u niego przez dni kilka w Wiedniu, „nic mu o swym zamiarze wstąpienia do Towarzystwa Jezusowego nie mówił" [1]). Dlaczego?

[1]) Dzieduszycki, Piotr Skarga i jego wiek, I 182.

W braku dodatnich nie można się natomiast uskarżać na inne wiadomości, które na pozorach przez różnych pisarzy zręcznie usnute, całe to wstąpienie kanonika lwowskiego do Jezuitów w Rzymie jużto wypaczyły, już w niewłaściwem przedstawiają je świetle. Są n. p. biografowie, którzy stanowczo zapewniają, że Skarga już we wrześniu r. 1568 przybył do Rzymu i został Jezuitą, ba nawet, że już w Polsce r. 1568 wstąpił do tego Towarzystwa! Wobec powyższych słów Birkowskiego, wobec szczegółu podanego przez nuncyusza Commendoniego, jak niemniej wobec okoliczności, że Skarga poczytywał zawsze chwilę wstąpienia swego do Towarzystwa za najszczęśliwszą w życiu i obchodził dzień 2go lutego czyli uroczystość N. P. Gromnicznej ze szczególnem nabożeństwem, wobec faktu wreszcie, że roku 1568 nie było jeszcze Jezuitów w Polsce właściwej — zapewnienia te nie zasługują na dalsze uwzględnienie. Inaczej wszakże wyrażają się o tem wydarzeniu: W. A. Maciejowski w *Piśmiennictwie polskiem* [1]), i M. hr. Dzieduszycki w dziele *Piotr Skarga i jego wiek* [2]).

„Z powodu — pisze pierwszy — odwiedzenia przez niego ruskiej jednej wojewodziny od błędów, jak mówiono, schyzmatyckich, dostrzegli w Piotrze Skardze księża Jezuici wielką gorliwość ku nawracaniu osób na łono rzymsko-katolickiego Kościoła, i pracowali nad tem, ażeby żarliwego tego kapłana do swojego zwabić mogli zgromadzenia. Jakoż wstąpił Skarga do zakonu Jezuitów r. 1568, czyli dał słowo zgromadzeniu, że się do niego wpisze; kwoli temu udał się też w następnym roku do Rzymu". Hr. Dzieduszycki przeczy takiemu podaniu jak najmocniej. Podług niego: „kanonik jednej z pierwszych polskich kapituł i pełen wziętości kaznodzieja, mogący z wielkiem do prawdy podobieństwem bliską sobie rokować infułę, zrzekł się we wrześniu r. 1568 wygodnego dostojeństwa, dochodów i błyszczących u świata nadziei, i wyjechał z Szymonem Wysockim, serdecznym swoim przyjacielem, do Rzymu, aby szukać ubóstwa i zakonnej podległości. Ktoż — dodaje też — wyrazi żal kapituły i ludu, który go daleko i nie bez płaczu odprowadzał?"

[1]) I, 670 i n.

[2]) Wydanie drugie, I 179 i n.

Jak się zaś właściwie rzecz miała z tym wyjazdem ks. Skargi do Rzymu, i jakie wstąpieniu jego w tem mieście do Jezuitów towarzyszyły okoliczności, powiadają lepiej dwa listy jego, pisane właśnie w tym czasie, dnia 13go listopada r. 1568 z Krakowa, i dnia 26go lutego r. 1569 z Rzymu do Marcina Kromera, naówczas kanonika krakowskiego i warmińskiego. Obydwa dochowały się w całkiem dobrym stanie w rękopisie biblioteki Jagiellońskiej pod Nrem 28 in fol., dawniej pod znakiem Bbb II 2, w którym się mieści znaczny zbiór samych tylko własnoręcznych listów, pisanych przez różnych dygnitarzy polskich i zagranicznych do Kromera. Własnoręczne listy Skargi zajmują w tym szacownym zbiorze arkusz 8 i 16. Oto ich dosłowne i wierne brzmienie:

I.

Reuerendo domino Martino Cromero, custodi Sendomiriensi, Cracouiensi, Varmiensi etc. canonico, domino et patrono Observandissimo.

Reuerende domine, domine et patrone mihi plurimum Colendissime!

Seruitiorum et orationum mearum commendatio etc. S. et F.

Non mihi sed filijs thezaurizare cupiens, Romam iter institui, patrone mihi Obseruandissime, de hoc vno sollicitus, vt apud Tuam Celsitudinem animi huius mei recta maneat interpretatio. Non est mihi, Deo volente, si me ipsum bene examinaui, oculus nequam, spero, nec corpus meum tenebrosum erit. Theologos nunquam audiui, Patres [1]) non vidi, haereses difficiles in diesque priores expugnandae sunt, mores ignito corrigendi eloquio, catolica dogmata confirmanda sunt, vita sine offensione imo cum omni aedificatione traducenda, quam ardua quamque difficilis prouincia! Quid mirum igitur, si aliquid nactus temporis, nulla auditorum meorum locique iactura, viatici mihi quippiam ad tam grandem viam comparare propono? Dominus doctor Lucas, Dominicanus [2]), a Reuerendissimo loci ordinario [3]) cum consensu generalis sui, in meum locum, donec redeo, si Dominus

[1]) OO. Jezuitów.

[2]) Łukasz Leopolita, zwany właściwie Zawieszko, dr św. teologii i zawołany swego czasu kaznodzieja, † r. 1583. Ob. ks. Sadoka Barącza *Rys dziejów zakonu kaznodziejskiego w Polsce*, II 196 i n.

[3]) Stanisława Słomowskiego, arcybiskupa lwowskiego.

voluerit, institutus est, qui non modo ea, quae a me praestabantur, praestabit, sed etiam, quae defuerint, adimplebit. Spatium mihi vnius tantum anni Reuerendissimus meus concessit, nisi maturius me redire necessitas postulauerit. Breuissimi temporis absentiam in magnum aliquod, si Domino placuerit, ecclesiae lucrum desidero conuertere. Non mea certe quaerere Reuerende mihique Colendissime pater, nec latere meamque deserere stationem constitui. Laboris, Deo dante, non sum pertesus, sed praecingens renes lucernam ardentem assumere, num est animus. Videat Dominus simplicitatem meam, et ab omni seruet errore, vt non declinem a via testimoniorum illius. Quod vt fiat, suppliciter rogo, orationes Tuae Celsitudinis ad Dominum pro me obtineant. Et Vestra igitur Reuerenda dominatio bene meum in hoc proposito interpretetur animum, rogo, et vt idem opera Vestrae Reuerendae dominationis Illustrissimus dominus cardinalis Warmiensis [1]) sentiat de me, efficiat Vestra Celsitudo. Temere absit, vt aliquid faciam, absit a me, vt consilijs sanctorum prudentissimorumque hominum obsistam, obedire et regi desiderabile mihi est. Non modo igitur, vt antiquum mihi Vestra Reuerenda dominatio patrocinium specialiter et vbique praebeat, sed vt Suis me regat consilijs, iterum atque iterum rogo. Cuius me gratiae diligentissime commendo.

Datum Cracouiae, 13 Nouembris 1568.

Vestrae Celsitudinis

seruus minimus

Petrus Scarga, canonicus Leopoliensis [2]).

II.

Reuerendo domino Martino Cromero, custodi Sendomiriensi canonicoque Cracouiensi etc., domino et patrono Obseruandissimo Cracouiae.

Reuerende domine, patrone et benefactor mihi Colendissime!

Habui literas Vestrae Reuerendae dominationis, Elbinga mihi Romam missas, quibus mihi dignatur respondere pro Sua antiqua in me indignum et immeritum benignitate. Feceram enim certiorem Vestram Reuerendam dominationem, me Romam iter instituere

[1]) Stanisław Hozyus.

[2]) Na liście tym zanotował Kromer własną ręką: „2. Dec.“, prawdopodobnie dzień, w którym Skardze odpowiedział z Elbląga, jak to z listu następującego wynika.

vel potius prosequi, ne quid ex hijs, quae mecum aguntur, Ille ignoraret, Cui res meas curae esse iam pridem multis beneuolentiae exemplis didici. Gaudeo, quod institutum hoc iter meum non reprehendat; timeo tamen, ne scopum huius itineris, quem iam videor attigisse, improbet, etsi sperem, etiam aliquid illam meis bonis et ad perfectiorem viam ducentibus desiderijs rationis esse daturam. Vtcunque erit tamen, narrandum est Vestrae Reuerendae dominationi, quod factum est. Ego Domini nostri amplexus consilia, nihil me aberraturum putaui, si paupertatis et obedientiae discipulus esse inciperem in ea religione, quae a se incipiens, totam se in proximorum salute operanda per charitatem effundit. Paupertas, quae me ad tentationes, in quibus fere fatigabar, maiores specialiter expectans, magis munitum redderet, et liberiorem in via Domini cursum meum faceret, et expeditiorem me ad succurendum rebus proximi, si fuero dignus, redderet. Obedientia vero, quae in me regendo certiorem Spiritus s. directionem ostenderet, voluntatemque et iudicium meum mortificans, animi tranquilissimum portum demonstraret, mihi apprime placuit placebitque, vt spero, in dies magis. Dei subnixus auxilio, magnam spem mihi facio, hunc meum simplicem oculum nec mihi nec proximo quicquam allaturum damni. Neque timeo Leopoliensium, meorum charissimorum filiorum, lachrimas, imo vincere me illas gaudeo. Expectabunt procul dubio centuplum. Neque ego peccaui, me ipsum humilians, neque illi suo fraudabantur spirituali pabulo. Iidem est enim et meus et illorum Dominus, diues in omnes et mirabiliter angelorum hominumque ministeria dispensans. Cuius voluntate et vocatione et ego hic sum, et alius mittetur illic. Alij enim dicit, fac hoc, et facit; et alteri, veni, et venit. Quamuis non dubitem, si Domino placuerit nosque digni erimus, posse nos et Poloniae, quantaquanta erit, operam dare. Ego nil recuso, nil fugio laboris, nullum etiam vel vitae discrimen cum debita erga Deum humilitate, vt multorum ore Dominus glorificetur et fides floreat catolica, modo vt non sim cimballum tinniens. Cupio, ille scit, qui omnia nouit, illi me totum et in holocaustum deuouere. Faciat, quod bonum est in oculis eius, nam pater familias est. Haec ego apud virum prudentissimum et omni pietate feruentem forsan audacius, fideli tamen et bono corde, obstrepo. Rogo, illam a me beneuolentiam et Spiritus s. charitatem non auferat, qua per tot annos summa mei animi vsus sum voluptate, et factum hoc meum bene interpretetur et ad maiorem Dei gloriam spectare, pro Sua summa

prudentia non dubitet Vestra Reuerenda dominatio. Cuius me gratiae commendo.

Datum Romae, ex domo Professorum Societatis Jesu 26 Februarij 1569.

Vestrae Reuerendae dominationis
seruitor deditissimus
Petrus Scarga, canonicus Leopoliensis [1]).

W obydwóch zatem listach usprawiedliwia Skarga przed Kromerem, przyjacielem swoim i dobrodziejem, jak go nazywa, którego względom i łasce wiele miał do zawdzięczenia, swój wyjazd do Rzymu, a w drugim także wstąpienie swoje do Towarzystwa Jezusowego, i uprasza go, żeby to usprawiedliwienie się uznał za rzetelne, i w ten sposób wytłómaczył je także kardynałowi Hozyusowi. List pierwszy napisał z Krakowa dnia 13go listopada r. 1568, gdzie się w przejeździe do Rzymu zatrzymał był, spodziewając się prawdopodobnie, zastać w tem mieście samego Kromera, i ustnie z kroku, który uczynił, zdać mu sprawę. Ciekawych dowiadujemy się też z niego okoliczności, które wyjazdowi jego ze Lwowa towarzyszyły.

Urzędu i godności kanonika lwowskiego a zarazem i kanclerza kapituły nie zrzekł on się bynajmniej. I owszem tak w tym liście jak i w drugim, pisanym z Rzymu dnia 26 lutego r. 1569, już po wstąpieniu do Jezuitów, podpisał się jeszcze *canonicus Leopoliensis*. Nie zachodziła zresztą żadna przyczyna zrzekania się tego „dostojeństwa i dochodów". Skarga opuszczając Lwów we wrześniu r. 1568 nie powziął był jeszcze widocznie stanowczego zamiaru wstąpienia do zakonu; zapewnia też dlatego 13go listopada uroczyście Kromera: *non meam stationem deserere constitui*. Prawdopodobnie mógł on marzyć i marzył o czemś podobnem, gdyż od dawna już zdradzał ochotę i usposobienie do życia klasztornego, a z przekonań swoich i czynów był już dobrze przedtem, że się tak wyrażę, Jezuitą. Nie bez tego więc, żeby już przedtem chwilami nie stanął był przed jego myślami obraz życia klasztornego, który w nim rodził pragnienie

---

[1]) Na liście tym zapisał Kromer własną ręką: „28. Mart.", także, zdaje się, dzień odpowiedzi.

zamienienia sukni zwykłego kapłana świeckiego na habit mnisi. Po dniu 2gim lutego r. 1569, gdy został już w Rzymie Jezuitą, zdawało mu się nawet, jak się wyraża w drugim liście do Kromera, że to był cel podróży jego do tego miasta, *scopus hujus itineris*, choć tak w gruncie rzeczy nie było. Wszak *non meam stationem deserere constitui*.

Działalność bowiem i rozpowszechnienie Towarzystwa Jezusowego, choć o niem r. 1568 wiele już w świecie katolickim mówiono, były jeszcze wtenczas bądź co bądź dosyć świeże i skromne, i trudno przypuszczać, żeby nawet taki pobożny kaznodzieja, jakim był ks. Skarga, mógł się był już w tym roku do tego stopnia zagrzać do niego, ażeby się puścić w tak daleką i uciążliwą podróż jedynie tylko w celu zostania jego członkiem. Nie miał więc jeszcze widocznie nasz kanonik przy wyjeździe swoim ze Lwowa stale powziętego zamiaru wstąpienia do tego Towarzystwa, choć go o to bliżsi znajomi i przyjaciele podejrzywać mogli; przed nikim też zamiaru takiego głośno nie objawił, a bawiąc z końcem grudnia r. 1568 przez dni kilka u nuncyusza Commendoniego w Wiedniu, z którym go już od lat kilku łączyła znajomość i przyjaźń, nie miał najmniejszej przyczyny wspominać co przed nim o podobnym zamiarze, który wtenczas jeszcze na seryo w sercu jego nie istniał.

Inne bo też powody wpłynęły na jego wyjazd ze Lwowa: *Theologos nunquam audivi, Patres non vidi*, pisze on do Kromera w liście pierwszym. Wyjechał zatem do Rzymu, ażeby posłuchać i poduczyć się teologii, gdyż mimo wysoką godność kanonika i kanclerza kapituły, którą piastował, i nauk, które w młodszych latach przebył w Krakowie, wykładów teologicznych we właściwem tego słowa znaczeniu nigdy i nigdzie nie słuchał, a wziętość, jaką się jako kaznodzieja we Lwowie poszczycić mógł, zawdzięczał raczej wrodzonemu swojemu talentowi, nieustającej gorliwości i pracy uciążliwej. Wyjechał też, ażeby się przypatrzyć bliżej OO. Jezuitom, których dotychczas jeszcze „nie widział“, a o których i jego doszły już były różne wieści. Przy sposobności więc chciał i tych poznać, i to w samem sercu głównej ich siedziby, co są za jedni, jaki ich żywot i do czego dążą.

Urządził zresztą swój wyjazd po wszelkiej formie. Ordynaryusz miejscowy, ówczesny arcybiskup lwowski, ksiądz

Stanisław Słomowski, udzielił mu, mówiąc po dzisiejszemu, urlopu na rok jeden, pod warunkiem wszakże, żeby w razie koniecznej potrzeby stawił się nawet przed upływem tego czasu na każde zawołanie, i pełnienie swoich obowiązków na nowo rozpoczął. Dosyć pomyślnie dało się też załatwić wynalezienie zastępcy na przeciąg tego czasu w urzędzie jego kaznodziejskim i kanclerskim. Była to sprawa o wiele trudniejsza, gdyż nie tak łatwo było o kaznodzieję, któryby wymową i żarliwością zdołał był dorównać słynnemu kanonikowi lwowskiemu. Za wiedzą i zezwoleniem jednakowoż generała Zakonu kaznodziejskiego przeznaczył na ten urząd arcybiskup lwowski ks. Łukasza Leopolitę, Dominikana, zwanego zazwyczaj Zawieszko, dra św. teologii i także zawołanego swego czasu kaznodzieję: przez cały rok, aż do powrotu Skargi z Rzymu, miał on w zastępstwie pełnić obowiązki jego we Lwowie.

Po takiem więc urządzeniu się wyjechał we wrześniu r. 1568 do Rzymu, ażeby posłuchać tam i poduczyć się teologii, i przypatrzyć się OO. Jezuitom, o których wprawdzie wiele słyszał, ale których dotychczas jeszcze nie widział. Droga poprowadziła go przez Kraków, zkąd 13go listopada wyprawił pierwszy list do Kromera. Przy końcu grudnia był w Wiedniu, gdzie bawił u Commendoniego dni kilka, i puścił się potem 1go stycznia r. 1569 w dalszą podróż; około połowy tego miesiąca stanął też prawdopodobnie u jej kresu, przybył do Rzymu.

Gdzie i u kogo rozgościł się tam w pierwszej chwili, niewiadomo, ale sama okoliczność, że już w kilkanaście dni potem, 2go lutego, wstąpił do Jezuitów, każe się domyślać, że zetknięcie się jego z członkami Towarzystwa Jezusowego w tem mieście i zapoznanie się z nimi nastąpiło niebawem: Skarga mógł teraz naocznie oglądać Ojców, przypatrzyć się ich sposobowi życia, i z ust ich własnych otrzymać bliższe wyjaśnienia co do właściwych ich dążności i celów. Wszystko to widocznie przypadło w zupełności do jego usposobienia i przekonań, jakoż choć na wyjezdnem ze Lwowa zamiaru takiego w sobie nie żywił, i stałego postanowienia wstąpienia do Jezuitów nie miał, bez wahania się teraz i niezwłocznie poprosił o przyjęcie do Towarzystwa na członka, i już 2go lutego zamiast ubioru kanonika lwowskiego przy-

wdział na siebie suknię jezuicką. Żeby Jezuici w Rzymie użyli byli ze swojej strony jakich wpływów lub namawiań, aby zwabić do siebie wymownego Skargę, na to nietylko żadnych niema dowodów, ale i śmiesznością byłoby coś podobnego twierdzić, łatwo jednakże przypuścić, że do prośby jego, dowiedziawszy się i poznawszy co za jeden, chętnie się przychylili i otwartemi ramionami przyjęli go do grona swojego.

Cały też drugi list jego do Kromera, pisany w trzy tygodnie później, dnia 26go lutego, zapełniony jest usprawiedliwianiem się przed przyjacielem i dobrodziejem z kroku stanowczego, który uczynił. Skarga otrzymał był tymczasem z Elbląga odpowiedź od Kromera na swój list pierwszy, w której kanonik krakowski i warmiński zamiaru jego udania się do Rzymu w celu posłuchania przez rok jeden teologii i przypatrzenia się OO. Jezuitom „nie zganił". Teraz wypadało mu donieść Kromerowi, że został sam Jezuitą i godność kanonika lwowskiego, na której mu się uśmiechała świetna przyszłość, i której, jak go przedtem upewniał, porzucać nie myślał, zamienił na stanowisko prostego członka Towarzystwa Jezusowego, które jakąby mu przyszłość rokowało, nikt nie mógł przewidzieć. Usprawiedliwia się też w słowach pełnych pokory wrodzonej i szlachetnego spokoju, zapewnia go, że krok ten uczynił nie dla własnych widoków, ale dla dobra Kościoła, i oświadcza mu, że i na tem stanowisku ojczyźnie swojej, jakąkolwiek będzie, *Poloniae, quantaquanta erit*, będzie mógł być pomocny. DR. W. W.

Doktor Strauss

i wojna przeciw księgom świętym w Niemczech.

(Ciąg dalszy).

Strauss i jego zwolennicy, chcąc wytłómaczyć powstanie Chrystyanizmu w sposób naturalny, uciekali się do prawdziwie śmiesznych argumentów, w osłonę rzekomej erudycyi ubranych. Brednie te nie zwróciłyby były na siebie uwagi nigdy, gdyby ich nie wypowiedział Strauss. Człowiek ten, zkądinąd uczony, nie potrafił ich uniknąć; jestto

jeden więcej dowód, do jakich następstw przyjść mogą nawet genialni ludzie, skoro ich zaślepi nienawiść do wiary. Oto w jaki n. p. sposób tłómaczy Strauss powstanie chrystyanizmu, którego dogmata zowie mitami.

Początek mitów ewangielicznych wyjaśnia się stanem umysłów w epoce, kiedy zjawił się Jezus z Nazaretu.

Religia może się zrodzić jeno w epokach twórczych, kiedy imaginacya bierze górę nad rozumem. Chrystyanizm nie uniknął tej konieczności. Kościół pierwotny pracą ciągłą, której sam nie miał świadomości, przedstawił sobie w formie dziejów i męża ideę religijną, której Jezus był pierwszym lub głównym wyobrazicielem: przystósował doń nietylko formy mistyczne, dające się odnaleść we wszystkich religiach, jak: wcielenie, narodziny z łona dziewicy, lecz także jeszcze i wszystkie formy, w jakich żydzi od czasu niewoli, przywykli byli w zapale patryotycznym, wyobrażać sobie Mesyasza.

Właśnie to oczekiwanie mesyaniczne stworzyło Jezusa, takiego, jakiego widzimy w Ewangeliach. Odtąd wiernym, rosnącym coraz bardziej w liczbę, podobało się uznać w Jezusie Mesyasza, odtąd jęli się przekonywać nawzajem, że przepowiednie wszystkie i wszystkie postaci, jakie wyobraźnia rabiniczna odkryła w Starym Testamencie, wypełniły się w Jezusie. Palestyna cała wiedziała doskonale, że Jezus był z Nazaretu, potrzeba było, bądź co bądź, żeby jako Mesyasz, syn Dawidów, urodził się w Betleem zgodnie z proroctwem Micheasza. Nie przepomniano nawet uszczypliwych słów Jezusa, przeciw żydom, chciwie pożądającym cudów. To nie dosyć. Mojżesz czynił cuda, Mesyasz nie mógł być od niego niższym, trzeba więc było, by je czynił. Izajasz głosił, że za dni oswobodziciela Izraela niewidomi przejrzą, głusi słyszeć będą, sparaliżowani skakać będą niby sarenki. Tym sposobem wiedziano już z góry i co do szczegółów o cudach, jakie Jezus miał zdziałać, jedynie przez to, że był Mesyaszem. Nowy Testament był więc napisany z góry w Starym; a zapał pierwszych chrześcijan zebrał jeno w jedną całość różne rozproszone rysy i z nich utworzył ideał czci swej i marzeń swoich [1]).

Idea, jakoby Ewangelie były jeno kopią dziejów żydowskich, jest własnością Straussa, atoli myśl tę zawdzięcza Strauss Samuelowi Reimarusowi. Ten autor chciał wyjaśnić „legendę" Daniela, „legendą" Józefa [2]). Strauss przeniósł to postępowanie na Nowy Testament,

[1]) Strauss, *Nowy żywot Jezusa*, I, 198; *Żywot Jezusa*, I, 110.
[2]) Strauss, *Żywot Jezusa*, I, 114.

uogólnił je, a we wszystkich faktach ewangelicznych widział jeno dążność żydów i pierwszych chrześcijan, „do tworzenia nowych kombinacyj na wzór starych [1])".

To są zasady, któremi posługuje się Strauss, wyjaśniając mity ewangeliczne. Trzy czynniki złożyły się na ich utworzenie: powszechne oczekiwanie Mesyasza w pierwszem stuleciu naszej ery, pierwiastki mesyaniczne, które imaginacya skrybów i doktorów rozsiała po całym Starym Testamencie, i wreszcie wiara, że Jezus był Mesyaszem oczekiwanym.

Plan *Żywota Jezusowego* jest nader prosty. Strauss roztrząsa wypadki, opowiedziane w Ewangeliach, jedne po drugich. W każdem z tych zdarzeń ukazuje na sprzeczności, które wyobraża sobie, że odkrywa zawsze w każdem opowiadaniu, uważanem samo w sobie, lub w porównaniu z innemi opowieściami ksiąg świętych, lub z pomnikami, religijnemi innych ludów; zbiera nawet najdrobniejsze trudności, któreby mogły mu posłużyć za pozory do odmówienia Nowemu Testamentowi wartości dziejowej. Po tem badaniu tekstów, przechodzi do wyjaśnień naturalnych, których autorami są racyonaliści, a szczególniej Paulus i wykazuje prawie zawsze dosadnie a umiejętnie ich jałowość i czczość. Oczyściwszy tym sposobem grunt, przedstawia przypuszczenie własne, to jest wyjaśnienie mityczne. Roztrząsania Straussowe cechuje wielka drobiazgowość, wykład niezmierna suchość.

Grubo myliłby się ten, ktoby zbyt wierząc tytułowi, sądził, że *Żywot Jezusa* jest biografią tego, którego nosi nazwę. Strauss stara się jeno burzyć, nie myśli zgoła o budowaniu. Jedyną ideą pozytywną, to jest dodatnią, jaka się zawiera w grubych tomach *Teologa krytycznego*, jest ta, że chrześcijaństwo jest ideałem ludzkości. We wnioskach swoich usiłuje dowieść, że wyjaśnienie mityczne nie zaprzecza bynajmniej prawdziwości religii chrześcijańskiej i że jej istota pozostaje nienaruszoną. Mit każdy zawiera myśl głęboką. Naprzykład, gieniusz żydowski, albo raczej ludzkość, wszystko, co miała najwznioślejszego i najgłębszego, złożyła w micie o zmartwychpowstaniu Jezusa. W tej formie ludzkość przyswoiła sobie po raz pierwszy wielką zasadę, którą wyrażamy w języku Nowego Testamentu temi słowy: „To, co jest wieczne i istotne, nie jest widzialne, lecz niewidzialne; to nie rzeczy ziemskie, lecz rzeczy niebieskie; to nie ciało, lecz duch". A co za wnioski najrozmaitsze można było wysnuć z tej

[1]) Toż, str. 114.

zasady! Trzeba było zerwać z tą piękną harmonią ducha i ciała, która panowała była w świecie greckim: ducha nie można było uznać za władzę niepodległą, dopóki nie dowiódł swej siły w walce ze zmysłami, w cierpieniu i w ascetyzmie, w pokorze i w brzydocie. Trzeba było, żeby dumny, wspaniały gmach cesarstwa rzymskiego runął, żeby Kościół urósł w obliczu państwa, Papież w obliczu cesarza, aby ludzkości dać zupełną świadomość tej prawdy, że siła przekonania, siła idei daje jej zawsze stanowczą przewagę nad siłą materyalną, choćby najlepiej ugruntowaną. Wszystko to było zawarte w treści i jakby w zarodku w wierze w zmartwychwstanie Jezusa; tak jak nadzieja, że wróci wkrótce dla założenia swego królestwa, była przeczuciem wielkiego przeznaczenia dziejowego chrystyanizmu i ery nowej, którą ono otworzyło [1]).

Czyliż idealne wyjaśnienie mitów mniej otwiera pola samowoli niż wyjaśnienie cudów? Naśladowcy Straussa okazali, do jakich olbrzymich śmieszności wyjaśnienie to może zaprowadzić. Błąkanie się bez celu, samopas — oto jedyny rezultat tak wielkiej pracy. Strauss sam musiał przyznać czczość i bezpłodność swej krytyki. „Z tego wszystkiego wynika — mówiono — że wiemy mniej o Mojżeszu, o Jezusie i o Apostołach; wiemy mniej rzeczy cudownych, wedle jednych, mniej rzeczy kompromitujących, zdaniem drugich; zawsze atoli wiemy dosyć, żeby dojść przynajmniej w ogólnych zarysach, do pojmowania prawdziwie dziejowego tego, czem oni byli i co zrobili" [2]).

Nawet i to nie prawda, by pojmowanie dziejowe Chrystusa i chrystyanizmu miało być dziełem Straussa. Wszyscy, nie wyjmując wolno-myślicieli, wiedzą dziś, że *Żywot Jezusa* jest płodem poronionym. Zaledwie można się z tej książki dowiedzieć, kim był Jezus, wedle krytyki autora. Prawi nam częściej o tem, że czegoś nie było, niż o tem, co było. Jezus nie był krewnym Jana Chrzciciela, nie czynił wcale cudów, nie ustanowił wcale Przenajświętszego Sakramentu, nie przepowiedział ani swej śmierci, ani zmartwychwstania; narodziny, chrzest, kuszenie, słowem wszystkie wielkie one fakta z dziejów Jego żywota są mitami czyli po prostu marzeniami. Z całego żywota Chrystusa za fakt dziejowy uznaje jedynie to tylko, że Chrystus odbył kilka podróży w celach misyjnych i że może uleczył

[1]) Strauss, *Szkic dziejów religijnych*, str. 76—77.
[2]) Strauss, *Szkic dziejów religijnych*, str. 70.

kilku opętanych od djabła, którzy niemi nie byli — jak jasnowidząca z Prévorst, o której Strauss nigdy nie zapomniał [1]).

Atoli, pytamy się: jeżeli Jezus był niczem, któż więc jest założycielem chrześcijaństwa, jak wyjaśnić początek tegoż? Kwestya to tak ważna, że burzy całe rusztowanie Straussa, a on jej nawet nie postawił — po prostu udusił ją. (C. d. n.)

Z NOTATEK
ośmdziesięcio-letniego starca
LITWINA-UNITY.

I.

Co do upadku i kasaty Unii można przyznać samymże grecko-unickim duchownym, tak klerowi, księżom świeckim, jak i Bazylianom, że do niej dali pierwszą przyczynę przez niezgodę wzajemną i zazdrość. Przez lat kilkanaście księża świeccy ciągle ubolewali na szczupłość swoich funduszów, że nie mają sposobu dania edukacyi swoim dzieciom i sierotom kapłańskim i nastawali na Bazylianów, aby im pomocy udzielili. Bazylianie litewscy postanowili też w trzech klasztorach swoich, w których mieli szkoły powiatowe, przyjąć na ciągły fundusz klasztorny po 12 synów kapłańskich i ich edukować, a prócz tego w kilku innych klasztorach utrzymywać ciągle na swym funduszu 12 osób z kapłańskich synów sposobiących się do stanu kapłańskiego. Poprzednio zaś przez kilkadziesiąt lat w klasztorze Żyrowickim księża Bazylianie utrzymywali 12 kapłańskich synów w bursie, którzy chodzili do szkoły powiatowej i tamże do gimnazyum. Lecz księża świeccy nie przestali na tej uczynności i poczęli na nowo nalegać na Bazylianów, aby im kilka swoich klasztorów większych razem z majątkiem i poddanymi odstąpili na własność. W tym względzie podawali ciągłe prośby do ministra wyznań, domagając się, aby nakazano Bazylianom wymienione niektóre klasztory z majątkami oddać na przyzwoite utrzymanie wdów i sierót kapłańskich. Widząc Bazylianie prowincyi litewskiej tak usilne naleganie i przemoc kleru świeckiego, odstąpili księżom zupełnie kilka mniejszych klasztorów (pomimo, że ich majątki i fundusze przez dobrodziejów z obowiązkiem obligów nadane były li tylko Bazylianom), byle raz już przerwać i położyć tamę nienawistnym i czerniącym skargom. Jednakowo kler świecki nie przyjął tych klasztorów mniejszych, lecz domagał się odstąpienia mu kilku klasztorów większych. Bazylianie tedy poczęli mocno opierać się temu, a obywatelstwo stanęło po ich stronie, z powodu, że księża Bazylianie prowincyi litewskiej przy siedmiu większych klasztorach powiatowe szkoły dla młodzieży, przy klasztorze w Żyrowicach gimnazyum, a przy innych klasztorach parafialne szkoły utrzymywali. Z tej też przyczyny nastąpiła wielka niezgoda między Bazylianami a klerem świeckim; ostatni rozmaitych środków używał, działając przez Justic-kolegium w rządzie, aby nietylko odebrać pierwszym większe ich klasztory z majątkami, lecz także, aby ich liczbę w trzech prowincyach zmniejszyć.

W tymże czasie do egzystującego w Petersburgu Justic-kolegium unickiego potrzebowano osoby na asesora. Wybrano więc z Wołynia z Łuckiego konsystorza ks. Józefa Siemaszkę, będącego naówczas asesorem w tymże konsystorzu i posłano go do Petersburga w roku 1823. Siemaszko był rodem z Ukrainy, miał wtenczas lat od urodzenia najwięcej 36. Lecz aby o nim dać sprawiedliwe zdanie, przyznać mu potrzeba, że był oczytany, że był egoistą i przebiegły w chytrości, ale i tego nie można zamilczeć, że co się tyczy religii, to się w tem nie omylę, gdy powiem, że jaką kto chciał religię, można w nim było i widzieć i słyszeć. Przez lat kilka mieszkając w Petersburgu, naturalnie bardziej się jeszcze wyćwiczył w swojej układności i chytrości. Jak z prywatnej wiadomości dało się słyszeć, w pierwszym zaraz roku starał się zapoznać z wielu dystyngowanemi i na wysokim urzędzie zostającemi osobami i przypodobać się onym dlatego, ażeby przez nich łatwiej mógł dopiąć uprojektowanego przez się zamiaru. Kosztowało go to wiele wysilenia, ażeby przed temi osobami wysokość swojego rozumu, płynność i wykwintność w mowie, dowcip i biegłość w projektach pokazać.

Siemaszko, mieszkając w Petersburgu z innymi księżmi w Justic-kolegium i napatrzywszy się tam na obrzędy i ceremonie cerkwi grecko-rosyjskiej, dawał jej wielkie pochwały i postanowił podobneż obrzędy i ceremonie greckie narzucić Unitom, powiadając że ich od-

[1]) Strauss mówi wyraźnie w swoich *Drei Streitschriften zur Vertheidigung meiner Schrift über das Leben Jesu und zur Charakteristik der gegenwärtigen Theologie*, (Tübingen, 1838), w których czyni ustępstwa tym, co go wyśmiali za zdanie, jakoby Jezus mógł posiadać władzę podobną do władzy magnetyzmu, przy pomocy której leczył, a uleczenia te zdawały się cudownemi. Zbliża się w ten sposób do Paulusa, którego tak gorliwie był zwalczał.

stąpili, a zbliżyli się z ceremoniami do obrzędów Kościoła łacińskiego. Ale o tem nic nie powiedział metropolicie Józefatowi Bułhakowi, prezydującemu w Justic-kolegium, który był przeciwny takiemu niby przywróceniu. Księża jednak kolegialni i przodkujący w tem Siemaszko umówili się zaprowadzić grecko-schyzmatyckie owe ceremonie, zaczynając od najmniejszych. Więc nakazali najprzód, aby w trzech dyecezyach po wszystkich cerkwiach były carskie wrota z firankami wewnątrz i t. p. Uprojektowali także zmniejszyć liczbę Bazylianów, przez warunki uciążliwe osobom, chcącym wstąpić do nowicyatu, aby tym sposobem można mieć przyczynę przedstawienia do ministeryum, że niedostatek osób w wielu klasztorach, nakazuje odjąć Bazylianom niektóre klasztory, a oddać je dla wsparcia wdów i sierót.

Księża Bazylianie bronili się ile mogli i podali prośbę do metropolity Bułhaka, przedtem Bazyliana, aby raczył bronić ich zakon od zguby i od zaboru większych klasztorów przez księży świeckich. Lecz metropolita miasto bronić Bazylianów, dał ustną odpowiedź na podaną prośbę: „Jak jednych nienawidzę, tak drugich nie cierpię, ja nie chcę być Józefatem Kuncewiczem, aby i mnie jak jego zamęczono". Tymczasem Siemaszko chytrością swoją wdarł się już był w znajomość z ministrem wyznań Galiczynem, z którym rozmawiając, przedstawił mu w ogóle wszystkich Bazylianów w trzech prowincyach w najgorszem świetle, że wielkie majątki posiadają i wielka ich jest liczba i w rozkoszach opływają; przeciwnie zaś swój kler bronił i w najuboższym stanie malował, że nie mają sposobu edukowania swoich dzieci i sierót kapłańskich. Prosił więc ministra, aby raczył to przedłożyć carowi Aleksandrowi I i uzyskał od niego ukaz, aby Bazylianom litewskim cerkiew i klasztor żyrowicki z całym majątkiem, podobnież i w białoruskiej prowincyi klasztory z majątkiem odebrać i na fundusz edukacyjny dla dzieci kapłańskich oddać. Minister Galiczyn przyrzekł mu to zrobić.

Metropolita Bułhak widząc takie powstanie kleru przeciw Bazylianom i że to będzie z wielką krzywdą ich zakonu, pisał kilka razy do litewskich Bazylianów, wzywając ich, ażeby przysłali kogo ze swego Zgromadzenia do Justic-kolegium, coby bronił swego zakonu. Bazylianie bardzo oziębli byli w tym razie i nie prędko do Justic-kolegium członka takiego posłali. Gdy jednak wysłany Bazylianin w Justic-kolegium po niejakim czasie zasiadł i zaczął opierać się i bronić zaboru klasztorów swoich, wszczęła się w Justic-kolegium niezgoda, członkowie kolegialni oburzyli się przeciw niemu i kazali mu ustąpić, a na jego miejsce zażądali innego. Posłali więc Bazylianie drugiego członka ze swego zakonu, ks. Opata. Lecz i ten na sesyach opierał się gwałtownemu odbieraniu funduszu w Żyrowicach, t. j. cerkwi wielce uposażonej z dwiema kaplicami odosobnionemi, wielkiego dwupiątrowego klasztoru, dwupiątrowego zabudowania szkolnego, w którem Bazylianie mieli szkołę powiatową i gimnazyum i 5 folwarków, które należały do tegoż żyrowickiego klasztoru. Także sprzeciwił się opat wielkiemu obostrzeniu a tem samem utrudnieniu osobom wstępowania do nowicyatu Bazylianów. Gdy jednak tak mocno się opierał czyhającym na zgubę tego zakonu, obruszyli się i na niego księża kolegialni i nalegali, aby z Justic-kolegium ustąpił, co też i nastąpiło.

Z Justic-kolegium podano zatem prośbę do ministra oświecenia, prosząc go, aby klasztor żyrowicki z cerkwią i funduszem Bazylianom litewskim odebrano i oddano księżom świeckim na wsparcie sierót i wdów po księżach zmarłych. Minister przyrzekł ich prośbie zadosyćuczynić i przedstawić ją carowi, przygotował nawet już pismo odpowiednie i tylko chodziło o potwierdzenie cara Aleksandra I, którego w tę porę nie było w Petersburgu, gdyż wyjechał był w kraj. Bazylianie litewscy mieli swych przyjaciół w Petersburgu i wiedzieli to wszystko.

Było to w r. 1824, gdy Aleksander przejeżdżał przez gubernię grodzieńską i nocował w miasteczku Rożanie w probostwie łacińskiem, a doktor jego I. M. — w klasztorze Bazylianów w temże miasteczku. Przełożony tego klasztoru, ks. Nikodem Marcinowski, jak najuprzejmiej przyjął doktora, a w dyskursie z nim przyszło także do mowy, że kler świecki nęka Bazylianów i nosi się z zamiarem, aby niektóre klasztory, a zwłaszcza największy klasztor z jego funduszem, Bazylianom odebrać. Doktor dał więc superyorowi projekt, aby nazajutrz przez niego podał krótką o tem prośbę do cara. Najchętniej superyor przyjął ten projekt, zaraz w nocy napisał taką prośbę w języku rosyjskim, a nazajutrz podał ją doktorowi i obaj poszli do probostwa łacińskiego. Doktor wręczył prośbę Aleksandrowi i użalał się przed nim nad stanem księży Bazylianów. Car kazał przed siebie stawić się ks. superyorowi Marcinkowskiemu, rozmawiał z nim po rosyjsku i po francuzku dość długo, wypytywał się obszernie o podanej treści w prośbie i przyrzekł, że nie pozwoli Bazylianów w niczem krzywdzić.

II.

Gdy Aleksander powrócił do Petersburga, minister Galiczyn przedłożył mu podaną z Justic-kolegium unickiego prośbę względem

odebrania Bazylianom klasztoru żyrowickiego z majątkiem i oddania go księżom unickim świeckim dla wsparcia sierót i wdów. Car jednak nie przyjął jego przedłożenia, ale oddał mu do przeczytania podaną prośbę ks. Marcinowskiego z uwagą, że nie wypada Bazylianów krzywdzić odbieraniem im klasztoru, gdyż są krajowi użyteczni i w klasztorze tym utrzymują szkoły powiatowe i gimnazyum. Rozgniewany minister na Bazylianów, a najbardziej na ks. Marcinowskiego, szukał tylko przyczyny, ażeby się zemścić na nim. Dał więc zapytanie litewskiemu prowincyałowi ks. Cezaremu Kamińskiemu, czy ks. Nikodem Marcinowski od siebie, czyli też od urzędu prowincyonalnego podał prośbę do Aleksandra, i zażądał, aby natychmiast dać mu o tem wiadomość. Ks. prowincyał rozważywszy z konsultorami to zapytanie i zważywszy, że jeśli da odpowiedź, że ks. Marcinowski od siebie prośbę podał, zgubi go, odpisał, że od urzędu i ogółu księży Bazylianów poruczono mu podać do cara prośbę, gdyż zdarzenie nagłe wymagało tego podania.

Na tem na razie skończyło się. Galiczyn wkrótce podziękował za ministerstwo, ale zlecił swojemu sekretarzowi Błudowi, który po nim został ministrem, aby mścił się na Bazylianach za to, że mu przeszkodzili w jego zamiarach i do odebrania klasztoru żyrowickiego nie dopuścili. W kilka lat ziściło się też zemszczenie w samej rzeczy i to aż nadto.

Gdy się dowiedziano w Justic-kolegium o takim niespodzianym obrocie, przez ks. Marcinowskiego zdziałanym, nie można już było dalej przeciw woli cara Aleksandra występować i działanie przeciw Bazylianom z większem bardziej zaostrzeniem zostawiono czasowi i sposobności. W r. 1825, po śmierci Aleksandra I, został carem jego brat Mikołaj Pawłowicz, a już na drugi rok jego panowania, to jest r. 1826, zauważano w Justic-kolegium potrzebę mianowania dla Brzeskiej dyecezyi biskupa. Podano więc projekt metropolicie Józefatowi Bułhakowi, który był razem i biskupem brzeskiej dyecezyi, aby poświęcił z wybranych kogo na biskupa w pomoc sobie. Ks. metropolita przyjął ten projekt. Siemaszko przebiegły starał się więc, aby zostać biskupem i uprojektował sobie sposób, jakim ma cel ten osiągnąć: poznał się bliżej z ministrem oświecenia Błudowem, u którego bywał, przez rozmowę i projekta wdarł się w jego łaskę i względy, a rozmawiając z nim przy sposobności o rozmaitych religiach w rosyjskiem państwie będących, zwrócił także mowę na Greko-unitów w zabranym kraju, którzy, podług niego, odstąpili od swoich obrzędów. Po krótkiej też rozmowie, niby żartując, powiedział do ministra: „Gdydym był biskupem i wolno mi było z Unitami tak postąpić, jakby tego wymagała potrzeba zjednoczenia z prawosławną cerkwią, to za 7 lat Unii ani śladu nie byłoby". Na te jego słowa pochwalił go minister i powiedział mu, że przedstawi go carowi Mikołajowi, opowie mu o takiem zjednoczeniu i że zostanie biskupem, co też w samej rzeczy nastąpiło.

Metropolita z członkami Justic-kolegialnymi wybrali z grona swoich duchownych księży unitów trzech kandydatów, z którychby jeden był potwierdzony na biskupa. W liczbie tych był i Siemaszko położony; pomimo jednak że był niżej drugich przedstawiony, wybrał go car na biskupa brzesko-litewskiego i wkrótce przez ks. metropolitę Bułhaka został poświęcony. W naszych okolicach powiadano, że gdy poszedł złożyć podziękowanie carowi za otrzymany stopień biskupa, po krótkiej rozmowie Mikołaj powiedział do niego: „Księże biskupie! ja włożyłem na was te biskupie suknie i mam prawo zdjąć je z was, a zatem w niczem nie sprzeciwiaj się mojemu żądaniu, a wszystko będzie dobrze".

W krótkim czasie następca tronu, Aleksander II, przysłał w prezencie z powinszowaniem nowemu biskupowi cały ubiór prawosławny biskupi: rassę, kubłak i t. p. Przyjął je Siemaszko, lecz jak powiadali bliżej niego będący, niby z wielką niechęcią dlatego, ponieważ rassa i kubłak oznaczały, aby przyjął rosyjskiej cerkwi religię. Po niejakim czasie wezwał car Mikołaj Siemaszkę do siebie i obdarzył go panahią, a tak pogłaskawszy go nieco, oświadczył mu swoje żądanie: „Chcę, abyś Unitów wszystkich zjednoczył z prawosławną cerkwią". W tym sensie długa między nimi była rozmowa, jakimby sposobem w tym razie postąpić. Naostatek Mikołaj rzekł: „Nie daję rozkazu na piśmie, ale masz odemnie pełnomocną władzę: jak zechcesz, masz prawo postąpić ze wszystkimi unitami, czy to duchownymi czy cywilnymi, a co zrobisz i jak postąpisz z nimi, a to nie będzie przeciwić się naszemu rządowi i cerkwi, to ja w te czynności wchodzić i przerabiać ich bez ciebie nie będę". Jak się słyszeć dało, na taką pełnomocność odpowiedział Siemaszko: „Jeśli tak poruczasz mnie, to spodziewam się, że za 7 lat i śladu Unii nie będzie". O tej danej sobie władzy sam Siemaszko w późniejszym czasie, wizytując na Podlasiu klasztor supraślski, publicznie przed wielu osobami powiadał, a znacznemu kupcowi fabryk Zachertowi, który miał sprzeczkę z superyorem o mury klasztorne, na jego mowę odpowiedział: „Gdybyś Waćpan miał i kilku senatorów, nie tylko jednego ze swojej strony, to co

ja zrobię, nikt tego nie zmieni, a nawet i sam car bezemnie nie przerobi".

Od tej daty począł biskup Siemaszko unitów znaczniejszych, duchownych i różne inne osoby do jedności z rosyjską cerkwią niby po sekrecie namawiać, tak Bazylianów jako i świeckich księży zachęcając do tego to lepszym bytem, to urzędowaniem, to błyskotkami i różnych w tym względzie używał chytrych sposobów, aby namówić ich do przyjęcia prawosławia rosyjskiego. Metropolita ks. Józefat Bułhak, jako stary w leciech, bo miał już ośmdziesiąt i kilka lat, powierzył Siemaszce jako pomocnikowi swemu interesa trzech dyecezyj, ale o układach jego i działaniu co do kasaty unii przez długi czas nic nie wiedział. W sekrecie to przed nim trzymano, bo wiadomo było, że przeciwny jest zjednoczeniu się z rossyjską cerkwią i kasować grecko-unickiej religii i obrzędów jej nie pozwoli, póki żyje. Siemaszko działał więc cichaczem i z dobranemi i podobnemi sobie osobami zaczął nieznacznie wprowadzać rosyjskie obrzędy cerkiewne i zbliżać Unitów duchownych politycznie i stopniowo do schyzmatyckiej cerkwi. Podstępem to i nie bardzo jawnie czynił, a to z tego najprzód powodu, że metropolita był prezydującym w Justic-kolegium, a powtóre że przez Mikołaja osobiście była podawana propozycya Bułhakowi, aby Unici zjednoczyli się z prawosławną cerkwią rosyjską, lecz metropolita nie przyjął tej rady, ale owszem prosił Mikołaja, żeby dozwolił spokojnie Unitom we wszystkich trzech dyecezyach: wołyńskiej, litewskiej i białoruskiej, bez żadnej odmiany zostać, przynajmniej do jego śmierci.

Metropolita Bułhak osłabiony na siłach miał do pomocy w zastępstwie także Bazylego Łozińskiego, biskupa białoruskiej dyecezyi; wołyńska po śmierci biskupa Cyryla Sierocińskiego wakowała. Lecz po wyświęceniu Siemaszki został on dyecezalnym w miejsce metropolity dla brzeskiej dyecezyi, a w potrzebie także zastępcą jego w Justic-kolegium. Jako przebiegła sztuka pochlebnie i zdradliwie nadskakiwał metropolicie, a że Bułhak nie był biegłym w rosyjskim dyalekcie i podejścia nie poznawał, układał zamiast niego niektóre pisma w Justic-kolegium, dając rozkazy konsystorzom unickim, aby księża odprawiali w cerkwiach nabożeństwa obrzędem prawosławnej cerkwi i takie pisma podawał do podpisania ks. metropolicie. Ten nie czytając ich, podpisywał, zawierzywszy Siemaszce na opowiedzianą treść.

Mając już pewną władzę, daną sobie od Mikołaja co do kasaty Unitów i odebrania niektórych majątków klasztornych Bazylianom, a do tego jako zastępca metropolity w Justic-kolegium, działał teraz tak jak mu się podobało, zwłaszcza że wszystkie prawie osoby w Justic-kolegium tchnęły tym samym duchem schyzmatyckim, a Bazylian, opierający się im, przymuszony został z Justic-kolegium wystąpić i powrócić do swego klasztoru.

W r. 1829 podano zatem z Justic-kolegium powtórnie prośbę do ministra oświecenia Błudowa, aby zauważył potrzebę kleru świeckiego, jego sierót i wdów i na nich przelał fundusz Bazylianów litewskich, to jest klasztor i cerkiew w Żyrowicach, także klasztor i cerkiew w Ławryszowie, z ich majątkiem tak ruchomym jak i nieruchomym. Minister uczynił zadość tej prośbie, a Mikołaj potwierdził to. Odebrano zatem te dwa klasztory z majątkami, obligi za fundatorów pokasowano, Bazylianów powysyłano do innych klasztorów, w żyrowickim zaś zostawiono tymczasem tylko dla nabożeństwa dwóch jako profesorów, a dwóch do klasztornych rządów; szkołę powiatową i gimnazyum, bursę dla ubogiej młodzieży, to wszystko skasowano, a natomiast w klasztorze żyrowickim założono seminaryum na 150 uczniów z kapłańskich i diakowskich dzieci. Podobnie w tychże czasach i na Białorusi kilka klasztorów Bazylianom dla księży świeckich odebrano.

Nim nastąpiło opisanie funduszu inwentarzem, tak ruchomych jak i nieruchomych rzeczy, a najbardziej cerkwi i zakrystyi klasztoru żyrowickiego, księża konsystorscy i inni, którzy się zebrali na ten odgłos, niby przeglądając co jest, rwali jeden przed drugim, gdzie który co mógł schwycić dla siebie. Przy odbieraniu zaś ostatecznem tych klasztorów, uczynił Siemaszko do zgromadzonych Bazylianów i księży świeckich panegiryczną perorę, mówiąc: „Otrzyjcie ojcowie i bracia w Chrystusie oczy wasze z łez! niech Bóg da długie panowanie Mikołajowi, który dając wsparcie dla kapłańskich dzieci, chce wyprowadzić ich z ciemnoty, aby ujrzeli oświatę. Dosyć już panować Bazylianom, niech pozna dobry byt i kler świecki pod szczęśliwem panowaniem Najmiłościwszego cara".

Z powodu tak wielkiej łaski w nadaniu funduszów na szkoły i seminaryum, kler świecki cieszył się bardzo, ale litewskiego konsystorza oficyał, ks. Antoni Tupalski, widząc i wiedząc dobrze następstwo, co się z grecko-katolicką Unią stanie, w rozmowie z kilku dziekanami, dał im jasno do zrozumienia: „Prawda, powiedział, żeśmy Bazylianom kilka klasztorów odebrali i więcej jeszcze odbie-

rzemy, i ich maleńkimi zrobimy, to prawda; ale my sami wkrótce na kpów wyjdziemy, z wielkim upadkiem religii, bez odwołania się i wymówki. Takie będzie z tego działania następstwo".

(C. d. n.)

RÓŻNOŚCI.

BAJKI

JENERAŁA FRANCISZKA MORAWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

DZIŚ I JUTRO.

Ledwie że stworzone były,
Dziś i Jutro się zwaśniły.
Jutro ciągle wyrzekało,
Że mu Dziś nie da się bawić.
Dziś wszystkiego użyć chciało,
A nic Jutru nie zostawić.
Rósł więc spór ten coraz żwawszy,
Aż go Jowisz usłyszawszy,
Tak rozstrzygnął w swej wszechmocy:
Będziecie odtąd jako dzień do nocy.
Kiedy Dziś boleć będzie, Jutru dam nadzieję;
A Jutro znów zapłacze, jeśli Dziś szaleje.

LIŚCIE I KORZENIE.

Wzniosły Dąb w lesie, z ciepłej wiosny przyjściem,
Młodem, zielonem umaił się liściem,
Które ztąd dumne, że się na szczyt wzbiło,
Tak wciąż sobie szeleściło:
„Nasza to chwała, tak nasza jedynie,
Że ten dąb sławny z swej piękności słynie.
Myśmy go w szatę przybrały zieloną,
I myśmy jego koroną.
Bez nas-by prostym tylko sterczał słupem,
I był zeschłym drzewa trupem".

— „Co zo niewdzięczność! co za zaslepienie"!
(Mruczały od spodu korzenie)
„Chwalicie siebie, a o nas milczycie.
A któż wam nadał to tak świetne życie?
Któż to przerabia, kto na szczyt wysoki
Śle wam swe pożywne soki?
Jesteśmy wprawdzie skromne i poziome,
Gdybyśmy przecież żywić was przestały,
Najprzód-by liście opadło znikome,
A z czasem i dąb poległby spruchniały". (C. d. n.)

* * *

— Znane jest z dziejów mitycznych Polski podanie o królu Popielu, a z dziejów Niemiec o arcybiskupie Hattonie, których myszy za popełnione zbrodnie żywcem pożreć miały. W dzisiejszych czasach, gdzie jak mówi Ben. Akiba Gutzkowa „niema nic nowego pod słońcem", zdarzają się jednak wypadki, że ludzie z nagiem życiem tylko uchodzą, aby niestać się pastwą zażartej chmary szczurów. Dziennik angielski *Mail* donosi z Rangoon, że mieszkańcy miejscowości Karens na północ od państwa birmańskiego w Azyi wschodniej na głód narażeni byli, gdyż cały zbiór przez szczurów pożartym został. Na szczęście jednak otrzymali dowóz żywności od okolicznych krain, których te zażarte zwierzęta nie nawiedziły. Ta plaga szczurów ukazuje się w Birmie peryodycznie. Niezliczone roje przeciągają kraj wzdłuż i wszerz, pożerają w całem tego słowa znaczeniu wszystko co na drodze napotykają, i wdzierają się z największą zuchwałością nawet do wiosek, które wtedy mieszkańcy, chroniąc się przed napaścią, opuścić muszą. Gdy pewien leśniczy zwiedzał lasy w których dla jednego domu handlowego w Bombaju drzewa teak wyrębowano, był naocznym świadkiem przepływania rzeki Sittang przez całą armię szczurów. Skoro popłynął w czółnie na dół rzeki, zwrócił jego uwagę sternik na ciemne masy, które z wysokich brzegów ku wodzie się posuwały. Były to szczury, które podczas przepływania pewien rodzaj wojskowego porządku zachowywały. Niepodobna było nawet w przypuszczeniu oznaczyć liczby tych zwierząt, zwykłych wielkich szczurów polnych, przepływających tuż obok czółna. Już angielski uczony Dr. Mason wspomniał dawniej o tej pladze w Birmie, zdaje się jednak, że szczury w poprzednich latach nie występowały w takiej przerażającej mnogości i nie robiły tak okropnych spustoszeń, jak ostatniemi czasy. Przypuszczają, że gnieżdżą się w pagórkowatych okolicach, z których całemi chmarami w doliny wychodzą, jeżeli w górach orzechy i owoce nie obrodziły.

Czas.

Notatki literacko-bibliograficzne.

— Autor *Złotych literek* itd. p. Władysław Bełza złożył młodzieży polskiej świeży podarek w poemacie p. t.: *Zaklęte dzwony. Legenda z dziejów polskich. Lwów 1875.*

Jak wszystkie utwory p. Wład. Bełzy, tak i ten nowy ma zamiar szlachetny: „by rozbudzić (powiedzielibyśmy raczej: przyczynić się do rozbudzenia) w młodzieży poszanowanie dla tradycyi narodowej" — wykonany zaś szczęśliwie: bez pretensyi, a jednak z pewnym wdziękiem. To też całość poematu sprawia na czytelniku bardzo miłe wrażenie.

Wyznać jednakże trzeba, iż tytuł *Zaklęte (?) dzwony* nie zupełnie wydaje się odpowiednim, a to ze względu na treść samego poematu, osnutą tu raczej na opowieści anioła, zjawiającego się na str. 31, nie zaś — na podsłuchanym jęku dzwonów, rozlegających się po stronicach 9, 10 i 11. Zapytać następnie musimy poetę, dlaczego pominął milczeniem tak liczne, a przytem tyle piękne legendy z dziejów naszych, jak np. o śś. Kunegundzie, Jadwidze Szlązkiej, Jacku Odrowążu, Kazimierzu królewiczu i wiele innych jeszcze, powszechnie znanych, skoro legendzie o pogańskiej Wandzie poświęcił aż 6 str, (46—52)? Zkąd takie macosze traktowanie pierwszych, a predylekcya dla drugich? — Tyle co do treści poematu.

Forma w *Zaklętych Dzwonach*, jak to już powiedziano, jest powabną, choć nie zawsze samodzielną. W niektórych miejscach pewne zwroty, a często i całe ustępy noszą na sobie cechę naśladownictwa. W części I np. począwszy od str. 15 aż do 18 włącznie, zwrotka:

Nad omszałym grobu głazem
Z grzmotem wielkim pęka płyta,
I mąż cały za żelazem
Stróż Wawelu, staje Kmita

i zaraz po niej następująca przypominają żywo *Noc listopadową* Edmunda Wasilewskiego. W części zaś III, zwłaszcza w początkowym ustępie nie trudno dopatrzeć się podobieństwa z *Pieśnią o ziemi naszej* Winc. Pola. Wierzymy, że to bardziej przypadkowe jak umyślne. Zresztą o tym chwilowym braku samodzielności w obrazowaniu zapomnieć całkiem każą gęsto rozsiane po poemacie prawdziwe perełki myśli i słowa, co swym blaskiem okraszają całość utworu. Na dowód podajemy te, które nas silniej uderzyły:

Na str. 8: *Milczysz... a więc pójdziem razem!*
Pójdziem szukać tego słowa!
Może zagrzmi tym wyrazem
Przestrzeń niebios lazurowa!

Może toń jeziora drżąca
W nocną ją wyśpiewa ciszę;
Może gwiazdka spadająca
Na powietrzu je wypisze?...

lub na stron. 22, gdy mówi o Janickim:

Za nim staje ów syn kmiecy,
A najsłodszy wieszcz lechicki,
Pierwszy z chłopów, który plecy
Od ksiąg zgarbił — nasz Janicki

i dalej (str. 23) mówiąc o Koperniku:

Czy widzicie? geniusz sławy
Złotym kluczem grób odmyka,
Oto staje w progu nawy
Duch słoneczny Kopernika.

W górę rzuca wzrok natchniony,
Tam, gdzie zorza prawdy świta,
Idzie — w błękit zapatrzony
I gwiazd — o los Polski pyta!

Nie możemy się wreszcie powstrzymać, aby nie przytoczyć całego ustępu str. 40—41:

Niechaj mówią jezior tonie,
Głębie polskich wód bezdenne,
Co tam kryją w swojem łonie,
Jakie skarby drogocenne?

Gopło! otwórz swe przepaście,
Z których tyle podań trysło!
I o starym powiedz Piaście...
Mów o Wandzie sina Wisło!

Pograniczny Dnieprze, Odro,
Rzeki, wody Polski całej,
Wyśpiewajcie piersią modrą
Pieśń dziejową naszej chwały.

Bo jak polskich dziejów fale
Czystem biegły wciąż korytem,
Tak i w waszych wód krzysztale
Bóg je odbił pierwszem świtem.

Wiele innych jeszcze podobnie pięknych i prawdziwie poetycznych zwrotów poematu moglibyśmy tutaj zacytować. Ograniczając się jednak na już przytoczonych, raz jeszcze powtórzyć wypada gorące słowa uznania dla p. Bełzy, że tak wonnym bukiecikiem, z legend naszych uwitym, obdarzył młodzież polską.

— Dr. Roman Pilat, docent na uniwersytecie lwowskim, przygotował do druku obszerne studyum, nad *Bogarodzicą*. W pracy swej p. Pilat krytycznie rozbiera i ocenia wszystkie znane teksty tej pieśni, a następnie — wyłączywszy z nich mniej ważne, bo będące jedynie kopią drugich — na podstawie pozostałych, a oczyszczonych przez siebie tekstów, w nader misterny sposób odbudowywa ów pomnik dawnej mowy praojców naszych. Całą rozprawę znamionuje głęboka erudycya i gruntowna znajomość ducha oraz form starodawnego języka polskiego.

— *La fille de Roland*, dramat wice-hrabiego Henryka de Bornier, którego obszerną recenzyę podaliśmy w poszycie z 15 Czerwca r. b., przetłumaczonym został na język polski przez Lucyana Siemieńskiego.

Sławny już dziś ów wiersz z dramatu Bornièr'a:

O vainqueurs! prenez garde aux enfants de martyrs!

w tłumaczeniu Siemieńskiego brzmi:

I wam się słońce szczęścia kiedyś chmurą przećmi,
Zwycięzcy! drżyjcie wtedy przed męczeńców dziećmi!

— Dr. Ksawery Liske, profesor historyi na wszechnicy lwowskiej, jak donosi *Gazeta Lwowska*, na wezwanie jednego z uczonych szwedzkich przesłał redakcyi historycznego pisma *Historiskt-Bibliotek* przegląd literatury historycznej, obejmującej materyały do historyi szwedzkiej. Rozprawa ta Dr. Liskiego, przetłumaczona na język szwedzki, wyszła w przedruku z pomienionego pisma jako osobna, bardzo wytwornie wydana broszura p. t. *Öfversigt af den polska litteraturen med särskildt afseende pa den svenska historien.*

— Na początku b. m. w Poznaniu wyszła z druku monografia klasztoru cysterskiego w Pelplinie p. t. *Opactwo Pelplińskie.* Napisał ks. Kujot 1875. Obszerną recenzyę tego dzieła damy w jednym z przyszłych numerów.

— *Wojna Chocimska*, poemat bohaterski Wacława Potockiego, ma się ukazać niebawem w nowem wydaniu, ozdobionem illustracyami Jul. Kossaka. Wydawca Józ. Ign. Kraszewski, posiadając aż trzy prawie współczesne odpisy tego poematu, przez krytyczne zestawienie ich z sobą ma możność dać nam epopeję ową w takim kształcie, w jakim pierwotnie się ona ukazała.

— Pierwsze dwa zeszyty powieści *Zawsze oni* Kajetana Suffczyńskiego (znanego pod pseudonimem W. S. Bodzantowicza) opuściły prasę nakładem J. K. Żupańskiego i ukazały się już na pułkach księgarskich. Powieściopisarski talent ś. p. Suffczyńskiego jaśnieje tutaj w pełnym blasku a nie przesadzimy wcale, gdy powiemy, że Suffczyński jeżeli nie wyżej, to śmiało obok autora *Pamiętników Soplicy* godnie może zająć miejsce. Nie mówiąc już o treści, samo wydanie dzieła in 4to z illustracyami J. Kossaka, rytowanemi przez paryzkiego ksylografistę Bellengera przynosi tyle już zasłużonemu w literaturze polskiej p. Żupańskiemu niemały zaszczyt. Całe dzieło w 30 zeszytach ma wyjść jeszcze w tym roku.

— Znany na polu badań dawnego prawa polskiego senator Romuald Hube wydał w Warszawie: *Roty przysiąg krakowskich z końca wieku XIV.*

— Benedykt Dybowski, zesłany w r. 1863 na Sybir napisał dzieło p. t. *Beiträge zur näheren Kenntniss der in dem Bajkal-See vorkommenden niederen Krebse aus den Gruppen der Gammariden.* Dzieło to, wydane kosztem rossyjskiego towarzystwa entomologicznego w St. Petersburgu, jest rezultatem kilkoletnich poszukiwań, odbytych przez P. Dybowskiego w wodach Bajkału.

— W tygodniku *Warta* ks. Dr. Kantecki skreślił kilka uwag nad znalezionym w roku zeszłym a wydanym niedawno poematem Seb. Fab. Klonowicza *Goraida.*

— Wydawca *Monumentów*, A. Bielowski, napisał wyborną biografię Szymona Szymonowicza, sielankopisarza z czasów Batorego i Zygmunta III oraz słynnego wtedy latynisty. W pracy tej p. Bielowski podaje wiele nowych szczegółów z życia Szymonowicza, a zarazem prostuje liczne błędy, jakie popełnili dotychczasowi biografowie poety. Oceniając sielanki Szymonowicza, p. Bielowski między innemi powiada: „Są to arcydzieła w małych rozmiarach tem cenniejsze dla nas, że skreślone z tak czystem pojęciem narodowości, na jakie ledwie w naszych czasach zdobyć się było można".

LISTY z WIEDNIA.

(Seryа II.)

IX.

Wiedeń 3 Lipca.

(Kłamstwa liberalne — Fiasko t. z. *Reichspartei* — Procesye jubileuszowe — P. Stremayer — *Signa temporis* — Wybory w Węgrzech — Proces Dr. Sigla — Zmowa tkaczów w Bernie — Prawdziwy *gründer* — Zmarli — Cesarz Ferdynand).

Jak niepodobna jastrzębia zamienić w słowika, tak trudno oduczyć dzienniki liberalne od posługiwania się fałszem. Z szatańską lubieżnością szerzą one kłamstwa, byle rzucić cień na sprawy katolickie, a gdy zostaną na gorącym uczynku schwytane, wtedy nawet uciekają się do różnych wybiegów, zamiast, jak to prosta uczciwość nakazuje, odwołać lub sprostować rozsiane przez siebie fałsze. Oto dwie próbki tej taktyki. W Paryżu kładziono fundamenta pod kościół poświęcony Sercu Jezusowemu, dzienniki liberalne każą sobie telegrafować, iż ulewa rozproszyła procesyę, a policya rozpędziła te rozfanatyzowane tłumy katolików; w parlamencie włoskim deputowany Tajani kłamie jak najęty, iż czytał sam bullę papiezką, upoważniającą spowiedników do rozgrzeszenia od najcięższych zbrodni za złożeniem pewnej kwoty pieniężnej, a w lot dzienniki tutejsze na ten temat rozpisują najpotworniejsze oszczerstwa o Kościele i jego instytucyach. Gdy atoli autentyczne doniesienia przekonały tych brygantów dziennikarskich, iż obchód w Paryżu odbył się nader świetnie, iż owa osławiona bulla jest to *Bolla della Crociata* światu od trzech wieków znana, traktująca o restytucyi *(de componenda)* na wypadek, gdy poszkodowany lub jego potomkowie nie mogą być odszukani, a uwydatniająca w jak najwspanialszy sposób zasady sprawiedliwości chrześcijańskiej, gdy więc fałsz, jakim karmili czytelników, jaskrawo ich uderzył w oczy, zamiast odwołać, jak sumienie wymagało, cóż czynią ci skrybenci żydowscy? oto jedni osłaniają się draperyą milczenia, drudzy wybuchają potokiem jeszcze namiętniejszych obelg, jakby na stwierdzenie tej prawdy, iż są z rzędu ludzi, których drażni prawda, jak jątrzy wołu kawał czerwonego sukna. I na takiem

to dziennikarstwie opiera się ministeryum i stronnictwo obecnie u steru będące. Dziwić się przeto a jeszcze bardziej ubolewać należy, iż wśród katolików niemieckich, a nawet wśród kleru jest wielu takich, którzy idąc za podszeptami *Volksfreunda* nie wahaliby się zawrzeć kompromisu z tem stronnictwem liberalnem, by dla Kościoła zamiast praw mu przysługujących, wyżebrać czy wytargować na arenie parlamentarnej choćby strzępki łask i względów ministeryalnych.

Kompromis ten miała utworzyć z niepojętą gorliwością propagowana przez ks. Wiesingera, oddającego częste wizyty urzędnikom z biura prassowego, zwać się mająca *Reichspartei*, a środkiem do zdobycia wolności katolicyzmowi miało być wstąpienie żywiołów opozycyjnych do Rady państwa. Program ten, maską dbałości o Kościół katolicki osłonięty, skierowany głównie do rozbicia i do ubezwładnienia tak silnie i na wskróś katolickiego stronnictwa prawa, które szczególniej w Czechach głębokie zapuściło korzenie. Redaktor *Volksfreunda* usiłował dla swego niemieckiego stronnictwa, ozłoconego etykietą katolicką zjednać zwolenników w Tyrolu, i tam na zebraniu katolików w Höttingen miało nastąpić proklamowanie tak zwanej *Reichspartei*. Atoli zamysły ks. Wiesingera uwieńczyły się fatalnem *fiasco*, rozbiwszy się o wypróbowany katolicyzm Tyrolczyków. Nie wniesiono żadnej rezolucyi, nie ogłoszono programu, a zgromadzeni rozeszli się, wznosząc okrzyki na cześć Piusa IX. W programie tej poronionej *Reichspartei*, który ogłosił *Volksfreund*, uderza szczególniej ta niesprawiedliwość, iż ks. Wiesinger żąda niby dla dobra katolicyzmu od katolików niemieckich, by się zrzekli swych praw historycznych i narodowych, a z drugiej strony nie domaga się wcale od Niemców, by pohamowali się w swych zapędach germanizacyjnych, i powściągnęli choć nieco swą uzurpowaną supremacyą. *Reichspartei* zapowiada bój przeciw liberalizmowi i przeciw narodowościom, czyli bez obsłonek dyplomatycznych głosi, iż kosztem ucisku innych narodowości zdobędzie na liberałach niemieckich jakieś koncesye dla Kościoła. Czy takie stronnictwo może sobie rościć prawo do nazwy: katolickiego? Religia katolicka uznaje narodowości jako powstałe z zrządzenia Bożego; domaganie się przeto, by narody zaparły się swych praw przyrodzonych i to niby dla dobra Kościoła jest niczem więcej jak niegodnym i niezręcznym manewrem do popierania osobistych celów i widoków koteryjnych. Łudzą się także zwolennicy tej *Reichspartei* sądząc, iż udział w Radzie państwa całej dotychczas biernej opozycyi prawno-państwowej zapewni większość katolikom. Przy obecnie obowiązującej ordynacyi wyborczej i przy obecnym systemie rządzenia, jest to wręcz niemożebnem, owszem

uczestnictwo żywiołów katolickich przyczyniłoby się tylko do tego, iżby panowanie przeciwników Kościoła przybrało na się pozory wszechstronnej legalności. Co zaś ten program czyni szczególniej wstrętnym — to ów ustęp, gdzie jest mowa o uznaniu istniejącej konstytucyi i praw na podstawie tejże ukutych, gdyż takowe otrzymały sankcyę monarchy. Ustawy sankcyonowane przez prawego władzcę, a więc ulegać im trzeba, oto nowy frazes jakim szermują liberalni katolicy, zalecając ów tylokrotnie potępiany *modus vivendi*. Niegdyś wyrzekł Ludwik XIV: „państwo to ja“ i temi słowy ukoronował państwową rewolucyą, dziś mówi państwo konstytucyjne, czyli co jednoznaczne jest — państwo liberalne: „prawo to ja“, i na tem uzasadnia rewolucyą przeciw Bogu, Kościołowi i chrześcijaństwu. Państwo liberalne przysądza sobie władzę, która żadnej innej, ani równej sobie, ani wyższej od siebie nie uznaje. Państwo to uważa się za najwyższego prawodawcę, a ustawy przezeń wydane, skoro są opatrzone sankcyą monarchy, nabierają takiego majestatu, iż wszelkie inne prawo wobec nich nie ma znaczenia. I na podstawie takiej teoryi o sankcyonowanych prawach, liberalni katolicy domagają się uległości nawet dla ustaw tak zwanych konfesyjnych, jak gdyby nie wiedzieli, iż ta teorya tak bezwzględnie postawiona, w praktycznem zastosowaniu zostaje w oczywistej sprzeczności z prawem naturalnem, Bożem, kanonicznem, z syllabusem, z encykliką papiezką z 7 Marca 1875 i z całą historyą kościelną. Już poganie uznawali, iż nie wszystko, co nosi na sobie zatwierdzenie władzy, zasługuje na nazwę prawa. Plato w swej obronie Sokratesa wyraźnie wypowiada: „Mężowie Aten szanuję was i kocham was, lecz raczej bóstwu jak wam posłusznym będę“. A Cycero, choć konsul rzymski w swej rozprawie de leg. I. 15 te ma słowa: „Największa to niedorzeczność uważać wszystko za sprawiedliwe to, co w konstytucyach pojedyńczych ludów nazwano: prawem. Wszelkie prawo i wynikającą z niego moc obowiązującą oceniać należy wedle tego starożytnego aksyomatu: *„lex injusta non est lex“*. Czego zdrowy rozsądek naucza, z tem się zgadzają zupełnie zasady prawa i moralności chrześcijańskiej. Te bowiem orzekają, iż wszystkie prawa pochodzą albo od naturalnego, albo od objawionego prawa, iż wszyscy ludzie, a więc i konstytucyjni legislatorzy temu wiekuistemu prawu ulegać powinni, iż wszelka władza ludzka ma swe źródło w Bogu, iż w skutek tego każde ludzkie prawo zostaje w zawisłości od prawa naturalnego i objawionego, iż władza prawodawcza Kościoła zupełnie jest odrębną od władzy świeckiej, iż ta ostatnia odnosi się tylko do spraw doczesnych, iż świeckiej władzy należy się posłuszeństwo, jak długo takowa nie zostaje w sprzeczności

z prawem Bożem lub Kościelnem, iż posłuszeństwo ustawom niesprawiedliwym, choćby sankcyonowanym przez najprawowitszego monarchę jest grzechem, opór zaś takowym zasługą. Kto inaczej sądzi, ten przyznaje państwu prawo zwierzchnictwa nad Kościołem, ten mu przyznaje moc samemu Bogu właściwą — Bogiem je robi. Nader więc trafnie mówi protestanckie nawet pismo: *Przegląd Edymburgski*, gdy rozbierając ustawy konfesyjne Prus i Austryi tak się wyraża: „Takie prawodawstwo jest możebnem i dobrem w narodowym tylko Kościele państwowym, lecz takim nie był nigdy Kościół katolicki w Prusiech i w Austryi. Kościół albowiem, który nie ma władzy swe sługi wychować, nadawać im posady, rządzić nimi, przestaje być Kościołem. Teorya ta o sankcyonowanych ustawach w ostatnich swych konsekwencyach wiedzie wprost do ateizmu, tak jak bizantynizm przywiódł do schyzmy, gallikanizm do rewolucyi, a józefinizm do liberalizmu. Jeżeli bowiem ustawy sankcyonowane obowiązują nawet wtedy, gdy są pogwałceniem prawa Bożego i Kościelnego, to całkiem logicznie wnosić należy, iż prawo Boże podrzędne zajmuje stanowisko w stosunku do ustawy sankcyonowanej, a tem samem, iż państwo i reprezentant władzy państwowej znajduje się po za Bogiem i wyżej Boga". Tak to frazes liberalnych katolików *Volksfreunda* o powolności dla ustaw konfesyjnych, sankcyonowanych przez katolickiego monarchę, strąca Boga z ołtarzy, a umieszcza na nich zbożyszczony cezaryzm. Gdyby więc w Austryi ustawy konfesyjne miały moc obowiązującą dla tego, iż są sankcyonowane, gdyby lojalność bizantyńska dla monarchy miała się posunąć aż do nadwyrężenia praw Kościoła, to w takim razie, pocóż się zżymać na gwałty pruskie, na grabież piemoncką Wiktora Emanuela, na reformy Józefa II, na nawracanie knutem unitów, wszakże i te ustawy prześladujące Kościół katolickie otrzymały sankcyę prawowitych monarchów. Niepodobna przeto, aby *Volksfreund*, który wygłosił swą antikatolicką, powiedzmy prawdę, nikczemną bo służalców tylko godną teoryę o ustawach sankcyonowanych, mógł być organem księcia kardynała, który przecie na te gorocznem zebraniu bractwa św. Michała wyrzekł te arcyprawdziwe wyrazy: „zwycięztwo zdania, iż najwyższa władza państwowa wyżej stoi od Kościoła, byłoby grobem Kościoła". *Volksfreund* w służbistości swej ministeryalno-wyznaniowej zacietrzewił się tak dalece, iż obecną konstytucyę centralistyczną uważa za nietykalną, a wszelką zmianę takowej za niemożebną, gdyż, jak utrzymuje, rząd nie złamie danego słowa. Słabą ma widać pamięć ks. Wiesinger, gdyż artykuł 4 „nieodwołalnego" dyplomu październikowego i reskrypt wrześniowy, mogłyby go czego innego pouczyć. Pytamy go: Czy i konkordat był także poręczony lub nie? Niesłychany

to nie takt iż organ ministeryalnych katolików dążąc do rozbicia stronnictwa prawa, osłania się powagą poręczeń monarszych i dostojną osobą monarchy w ciągu do swej centralistycznej roboty. Nie będąc prorokiem, śmiało mogę powiedzieć, iż jak nie udały się pierwsze usiłowania do utworzenia stronnictwa liberalnych katolików, tak i następne pozostaną bez rezultatu.

Nader okazale wypadły dwie wielkie i wspaniałe procesye jubileuszowe. Oprócz kleru świeckiego i zakonnego wzięły w nich udział wszystkie kasyna katolickie, stowarzyszenia młodzieży i robotników katolickich pod przewodnictwem ks. biskupa sufragana Kutscekera. Uczestników było przeszło 20,000, a książę kardynał pomimo sędziwych lat i wątłego zdrowia przyświecał wiernym swym przykładem podejmując trud trzygodzinnej pielgrzymki wśród niezwykłej spiekoty. Procesya wyruszyła z tumu św. Szczepana o godzinie 7 rano, a zwiedziwszy trzy wyznaczone Kościoły Benedyktynów, Szkotów, Barnabitów u św. Michała i Augustyanów wracała zaledwie przed dwunastą do kościoła katedralnego. Porządek był wzorowy, a widok tej rzeszy rozmodlonej tak imponujący, iż gapiąca się czerń żydowska i bezwyznaniowa nie odważyła się wyprawiać żadnych zamieszek Dziwiło i bolało tylko, iż nikt ze dworu katolickiego nie brał udziału; może tej abstynencyi domagały się wyższe względy państwowe, cokolwiek jednak stanęło temu na przeszkodzie to pewną jednak jest rzeczą, iż Austrya ma za co pokutować i ma o co prosić. Z miast prowincyonalnych nadchodzą pocieszające wiadomości, iż wszędzie odbywano te procesye przy nader żywym udziale ludności katolickiej, mianowicie zaś w Tyrolu, gdzie już uroczystość Serca Jezusowego obchodzono świetną niebywałą illuminacyą na szczytach górskich.

Ministeryum obecne chce widocznie liberałom złożyć niekłamane dowody, iż jest bezwyznaniowe; nie bierze udziału w pokutnych procesyach katolickich, a świeżo p. Stremayer zaskarbił sobie pochwały żydków gazeciarskich, iż w kościele w Ołomuńcu na nabożeństwie z powodu nowo otwartej szkoły realnej, podanego sobie relikwiarza nie chciał pocałować. *Volksfreund* broni swego patrona, tłómacząc to lekceważenie obrzędu katolickiego ze strony p. ministra tem, iż tenże uchylił się od pocałowania relikwiarza, bo do tego odszczególnienia w czasie mszy św. mają prawo tylko najwyżsi dostojnicy, reprezentant cesarza i patron Kościoła. Szczególna skrupulatność p. Stremayera: nie chce uchybić zwyczajom Kościoła, a wnosi w radzie państwa ustawy konfesyjne, proteguje starokatolików, propaguje bezwyznaniowość — to się nazywa szanowaniem praw Kościoła. Z kulawą obroną wybrał się *Volksfreund*,

postępek p. ministra lepiej i rzetelniej ocenili redaktorzy liberalni, sławiąc w nim układnego liberała.

P. Stremayer, opiekun i twórca szkół liberalnych, powinien się cieszyć, iż i młodzież pozbywa się tych przesądów religijnych. Jako *signa temporis*, do czego prowadzi szkoła wyzwolona z pod wpływu Kościoła, może to posłużyć, iż w szkołach niższej Austryi mianowicie w Lincu odkryto między młodzieżą gimnazyalną i na kursie preparandów liczne tajne stowarzyszenia, których celem wyszydzanie religii katolickiej i wykorzenienie uczucia dynastycznego. Co najsmutniejsza to to, iż młodzież wciągnięta do tych tajnych stowarzyszeń zbierając się na posiedzenia i oddając się na nich pijatyce i wyuzdanej rozpuście dostaje na to ze strony niektórych liberalnych deputowanych pieniężne poparcie, a w dziennikach tutejszych znajduje gorliwych do tego stopnia obrońców, iż te chciałyby całą tę sprawę przedstawić jako nieszkodliwy wybryk młodzieńczej żywości. O ile te stowarzyszenia są niewinną zabawką, niech świadczy jeden tylko numer *Gazety Knàjpowej*, wydawanej w Lincu przez burszenszaft nazwany *Quercus*. Na ohydnym tym świstku figuruje jako redaktor: Luter, jako współpracownicy: Blücher, Günther i Mefistofel. Fejleton zawiera parodyowanie *à la Lam* biblijnego opowiadania o stworzeniu człowieka, a do klątwy rzuconej przez Boga na węża dołączoną jest taka uwaga: „w istocie śmiać się trzeba do rozpuku z tego przekleństwa, i zapewne zachichotał i wąż, i zadrwił sobie z niego tak, jak każdy obecnie rozsądny człowiek drwi sobie z klątwy Papieża". Numer ten mieści w sobie także urywkowe uwagi, jedna z nich, niech posłuży na dowód, jakiej są wartości. Czytamy tam, co następuje: „Przyjacielu — zajmujesz się botaniką! porzuć to, a zajmij się raczej tym najpiękniejszym kwiatem, jakim jest bijące od miłości serce dziewicy". Lecz dość tych wyjątków — co to będzie z tej młodzieży karmionej taką strawą. Władze rządowe chciały z początku zatrzeć tę sprawę, wstydząc się owoców, jakie wydała liberalna ustawa o szkołach, lecz gdy złe stało się zanadto głośnem, musiano nakazać wytoczenie śledztwa. Ciekawych zapewne dowiemy się jeszcze rzeczy. Kler zaś austryacki, który w najlepszej intencyi, szczodremi datkami zasilał te stowarzyszenia, powinienby tę dla siebie wyciągnąć ztąd naukę, że groszem swym jeśli ma jakie rzeczy wspierać to przedewszystkiem katolickie. Do kleru każdy wyciąga rękę po datek, a otrzymawszy go, wnet spoliczkuje dawcę. *Ad quid perditio haec*? po co groszem duchownym wspierać przyszłych szyderców wiary i Kościoła? przyszłych szermierzy parlamentarnych kruszących kopie w obronie liberalizmu?

Namiętna walka wyborcza, jaka odbyła się w Węgrzech, wydała samych liberalnych zapaśników. Dotąd zresztą w parlamencie węgierskim między prawicą a lewicą nie było żadnej wybitniejszej różnicy, obie co do kwestyi kościelnych hołdowały liberalizmowi. Panowie madziary na wzór swych niemieckich druhów wyznają w całej rozciągłości teoryę o wszechwładztwie państwowem. Nawet tacy z obozu konserwatywnego ludzie, jak baron Lipthay i hr. Sennyey, oświadczyli się uroczyście na zgromadzeniu przedwyborczem przeciw katolickiej, ultramontańskiej polityce. Atoli ci mężowie stanu mogą być pewni, iż Kościół katolicki w Węgrzech mimo wypowiedzianego bojuszu z ich strony, z godnością podejmie rzuconą sobie przez liberalizm rękawicę boju, i ani na cal nie odstąpi od swych praw. Madziarów odurzył szał wielkopaństwowy, dla tego też bez echa rozległ się głos ostrzegawczy Kossutha, wzywający swych ziomków do poszanowania praw innych narodowości i praw Kościoła. Z tego szału wyleczy prędzej czy później tych Azyatów aklimatyzowanych w Europie, potężny sąsiad z północy lub wschodu, albo co prawdopodobniejsza, ów gospodarz niebieski przez klęski elementarne, przez zubożenie ogólne da im poznać, iż oprócz bożyszcza państwowego, którego kult zaprowadził hr. Andrassy, jest jeszcze inny Bóg, tam w górze.

W poprzednich mych listach wspominałem, iż Dr. Sigl, redaktor katolickiego bawarskiego *Vaterlandu*, skazany na kilkomiesięczne więzienie za obrazę majestatu Bismarkowego, przed odsiedzeniem kary przybył do Salzburga. Otóż tutaj został aresztowany i wytoczono mu proces. Usłużni bowiem ajenci pruscy denuncyowali go, jakoby w humorystycznem pisemku *Osa* obraził dostojną osobę cesarza austryackiego. Rozprawa ostateczna odbyła się przed tygodniem, wyrok wypadł korzystnie dla oskarżonego, a mimo tego Dr. Sigl pozostaje dotąd w więzieniu już jedenasty tydzień. Władze bowiem austryackie nie mogą się dotąd zdecydować, co z nim mają począć: czy go wydać w ręce Bawaryi, czy puścić na wolną stopę. *Horrendum!* Gdyby coś podobnego spotkało jakiego liberała, jakżeby wszystkie dzienniki były zaalarmowane, lecz Dr. Sigl to ultramontanin, to zbieracz świętopietrza, więc wszędzie cicho, choć rząd przedłuża bezprawne jego uwięzienie. Od wielu lat bojuje Dr. Sigl w Bawaryi za prawdę, za wolność, za wiarę, za Kościół. Nigdy nie zachwiał się, pierwszy w natarciu, a odwrotu nie znał, gdy szło o świętą sprawę. Nikt w Bawaryi tyle nie poniósł ofiar, nie wycierpiał dla dobra Kościoła, ile on. Najstósowniejszą nagrodą dla takiego męża byłby mandat poselski. Katolicy bawarscy powinni o tem pomyśleć, właśnie mają się tam odbyć wybory, lecz

trudno, by się Dr. Sigl utrzymał, gdyż dla wielu jest on za gorący. Snać zapomniano, co powiedział Zbawiciel o tych, którzy nie są ani zimnymi ani gorącymi. Tak to niestety wszędzie ów *modus vivendi* szkodzi dobrej sprawie.

Ta w liberalnem państwie dość często praktykowana niepamięć na bezstronny wymiar sprawiedliwości, jakiej na swej osobie doświadcza Dr. Sigl, znalazła nowe zatwierdzenie w postępowaniu władz rządowych z tkaczami w Bernie (którzy w liczbie 8000 już prawie od dwóch tygodni zaprzestali robić w fabrykach, gdyż ich właściciele odmówili im słusznie żądanego podwyższenia płacy). Donoszą bowiem gazety z Berna, iż zastępca namiestnika nie przyjął deputacyi mężów zaufania, wybranych z koła robotników, wysłanych w celu uzasadnienia swych żądań. W Gracu burmistrz konferuje z robotnikami, uprasza ich niemal, by nie brali udziału w demonstracyi żakowskiej przeciw Don Alfonsowi, a natomiast w Bernie, gdy rękodzielnicy kołaczą do rządu o interwencyę w sprawie ich bytu, władza uważa ten krok za bezprawny. O gdyby władze rządowe zapuściły swój wzrok nieco dalej a właściwie nieco głębiej, poznałyby wtedy dopiero, co jest przyczyną tych tak opłakanych stosunków ekonomicznych za dni dzisiejszych. Liberalizm odrzucił religijność średnich wieków, kazał zapomnieć o Bogu, zamknąć oczy na świat pozagrobowy, a zadawalniać się tylko ziemią, jako ideał zamiast prawdy odwiecznej postawiono paszę dla żołądka i poklask dla pychy. Przez takie doktryny człowiek zgubił duszę i poczyna teraz spostrzegać, że mu jej brakuje. I to jest źródło, to przyczyna, dlaczego ów rak zwany socyalnem złem, tak się ogromnie szerzy. Szwindle günderskie i ów tak zachwalany rozkwit przemysłu i handlu rozogniły tylko tę ranę, nauczywszy robotnika, aby pracował, nie na to, by żył, lecz na to, by używał.

Mówiąc o szalbierstwach günderskich, przypomniał mi się prawdziwy, błogosławiony günder, a był nim kapłan francuzki ks. Franciszek Tournely. Przed 80 laty w towarzystwie kilku przyjaciół uchodząc przed rewolucyą, przybył mąż ten Boży do Wiednia. Zajmował się on ciągle tem przedewszystkiem, jakimby sposobem odrodzenie religijne Francyi dokonać się mogło. Za najskuteczniejszy środek uważał założenie zakonu żeńskiego pod wezwaniem Serca Jezusowego, który się zajmował wychowaniem dziewcząt. Chociaż trudności do zrealizowania tej myśli zdawały się być nieprzezwyciężone, ks. Tournely jakby proroczo wyrzekł raz do grona przyjaciół: zakon taki będzie, musi istnieć. Wkrótce potem pobożny kapłan zakończył swój żywot w Hagenbrunn, lecz myśl jego nie umarła wraz z nim; przyjaciel jego Varin, któremu

ją testamentem przekazał, troskał się i pracował tak długo, aż ta myśl urzeczywistnioną została. Zakon żeński pod wezwaniem Serca Jezusowego rozpoczął swą zbawienną działalność, już w r. 1868 pracowało przeszło cztery tysiące sióstr w duchu swego założyciela ks. Tournely w różnych krajach Europy, a nawet za Oceanem. W tymże roku przybyły do Wiednia i założyły klasztor na Rennweg, następnego roku przeniesiono tamże zwłoki ks. Tournely. Wkrótce klasztorne budynki okazały się niedostatecznemi i rozszerzać je musiano. Dotychczas jednak kaplica znajdowała się w jednym z obszerniejszych pokoi; 16go więc Czerwca, gdy w Paryżu zakładano fundamenta pod kościół Serca Jezusowego, i tu w Wiedniu ks. nuncyusz dokonał podobnego aktu, poświęcając fundamenta pod niedługo wybudować się mający kościół. Znacznym datkiem przyczynił się do tego Bogu miłego, a dla ludzi zbawiennego dzieła cesarz Ferdynand zmarły 29 Czerwca t. r.

Monarcha ten doczekał się sędziwej starości. Na parę godzin przed śmiercią otrzymał błogosławieństwo Ojca Św, co mu niemałą sprawiło radość. Nekrolog monarchów należy do historyi; tu tylko podnieść uważam za stosowne niezwykłą dobroczynność ś. p. cesarza i gorące, prawdziwie synowskie przywiązanie do Kościoła katolickiego. Zwłoki przywiezione z Pragi do Wiednia, złożone zostaną 6 t. m. wśród zwykłego ceremoniału w grobach cesarskich w klasztorze OO. Kapucynów. Tak to *omnia vanitas*, prócz tego, co tu człowiek dobrego zasieje.

Tyrol katolicki opłakuje zgon barona Franciszka Buol. Mąż ten przez całe swe życie działał dla dobra Kościoła, a szczególniej był szczodrym protektorem dziennikarstwa katolickiego. Cechowała go przytem niezwykła pokora, podejmował przeto wszystko nie dla swojej, lecz *ad majorem Dei gloriam*.

W Meran zmarła przed kilkoma tygodniami owdowiała hr. Teresa Nimptsch z domu hr. Marcolini, dama krzyża gwiaździstego, siostrzenica Ojca Św. Piusa IX. Sędziwa ta i wielkiej pobożności pani znaną była z wielu miłosiernych swych uczynków.

„Korespondencye „Przeglądu".

Monachium 8 Lipca.

Chcesz widzieć miasto miłe, wdzięczne, o schludnych, szerokich, daleko wyciągniętych ulicach, umajonych rozkoszną zielenią drzew i ogrodów o placach rozległych, ozdobionych kolosalnemi posągami, w którem mieszka lud zdrowy, czerstwy, rumiany, kontent z siebie a uprzejmy dla drugich — to zjedź

do Monachium. Ta zewnętrzna piękność Monachium tem lepiej uczuć się daje im dłużej kto przesiedział w tak gwarnem, ścieśnionem, dusznem mieście jak Wiedeń. Dopieroż gdybyś chciał opisać wszystkie bogactwa sztuki i nauki, które tu nagromadziła umiejętna ręka Ludwika I, to przyznać musisz, że to najbardziej artystyczne miasto z wszystkich miast niemieckich.

A najprzód co do mieszkańców miasta. Niesłusznie zarzucono Bawarom gburowatość. Jestto pewna prostota, uprzejma i uczynna. Niemcy zowią ją *Gemüthlichkeit*, a napotkasz ją w wszystkich warstwach, w każdym wieku; posunięta jest czasem, mianowicie w ściślejszych stosunkach domowych, do naiwności, która o miedzę graniczy z niemoralnością. Pożycia tu domowego w ścisłem znaczeniu nie masz. W domu pracuje się, zjada się obiad i kładzie się na spoczynek; ale wszystko inne: zabawy, przyjemności, rozrywki, wizyty, wszystko to odbywa się w lokalach publicznych, ogrodach i kasynach. Wieczorem napotkasz długie szeregi rodzin, od dziada poczynając, a kończąc na kilkomiesięcznym wnuku, wszystko to snuje się ulicami do tego lub owego ogrodu. Służba przynosi i stawia przed każdym kufel bawarskiego piwa; nektar to Bawarów i najnadobniejszych nawet Bawarek. Widziałem podlotki dziewczątka spijające po jednym i drugim kufelku, widziałem dzieciaka na ręku matki, chwytającego obu rączętami za kufel, krzywił usteczka malec a przecie piwko zapijał z wielką pociechą patrzącego na to papy. Piwo konsumowane w niepojętych dla nas Polaków miarach zastępuje inne pokarmy. Bawarczycy żyją nadzwyczaj skromnie; na obiad jedno mięso, a zupa czy rosół zostawia się na kolacyą; mimo to wyglądają różowo i pękato. Piwo robi ich ciężkimi, ale nie bezmyślnymi, owszem pewien spokój i wesoła powaga rozlana na ich twarzach odbija korzystnie przy tej gorączkowej zapobiegliwości i chciwości zysku, jaka się zwykle maluje na mieszkańcach miast większych. Obok tej uprzejmości i prawości piękną zaletą Bawarów niezmordowana pracowitość; wszystko wyzyskać i użyć umieją, a czynią to z spokojem i pewnością siebie, że udać się im musi co zamyślają. Gdyby mnie kto zagadnął: a obyczaje jakie? nie umiałbym dać odpowiedzi. Na ulicy nie napotkasz nic zdrożnego lub niestósownego, owszem Bawarki są skromne w swym ubiorze, a całe zewnętrzne ich ułożenie nader przyzwoite. To im jednak nie przeszkadza zasiadać na ławie knajpy, lub za stolikiem ogródkowym i zapijać piwo w gronie podochoconych mężczyzn — rzecz to przyjęta i nie ma na to co innego powiedzieć, jak: *ländlich sittlich*. Uczęszczanie do kościołów w niedzielę i święta odbywa się tłumnie i poważnie, całemi rodzinami, ludność tu bowiem katolicka, na 183.000 katolików, przypada 15.000 protestantów, a kościoły obszerne chociaż nie gęste. Ale którzy bliżej przypatrzyli się stosunkom obyczajowym miasta, ci nie bardzo korzystny sąd o nich wydają.

Tyle o ogólnej fizyonomii miasta. Nie mogę się zapuszczać w bliższy rozbiór sztuk pięknych, obrazów, rzeźb, odlewów, rycin itp., które tu nagromadzone w starej i nowej pinakotece (nazwa od greckiego słowa *pinax*, obraz) w muzeum narodowem i gliptotece. Znajdziesz tam najznakomitszych szkół i najsławniejszych malarzy dzieła: Dürer, Hollbein, Schaffner, Grunwald, Wolgemuth, Cranach, Kaulbach, Teniers, van Dyck, Hals, Neuchatel Donfect Rembrand, Helst, Rubens, Crayer, Perrugio, Murillo, Rafael, Ribera, le Brun, da Vinci, Corregio, Salvi, Tiziano, Giordano itd., wszyscy tu z swym nieśmiertelnym pędzlem się znaleźli. Kompetentni znawcy trawią całe miesiące na

studyowaniu tych pomników geniuszu ludzkiego, przy których bardzo blado odbija *moderne Kunst-Ausstellung*, gdzie umieszczają prace swego pędzla dzisiejsi mistrzowie i uczniowie malarskiej sztuki. Nie napotkasz tam nic, jak mdłe krajobrazy, bezmyślne szkice, sentymentalne postacie, i mniej lub więcej wierne kopie dawniejszych arcymistrzów, mianowicie Murila. Monachijska szkoła malarska wyraźnie chyli się ku upadkowi, nowy dowód, że nawet w tak demokratycznym wieku jak nasz sztuki piękne kwitnąć nie mogą bez poparcia potężnego wpływem i pieniądzem mencenasa. Z posągów, których tu mnogo, najwięcej zasługuje na uwagę olbrzymi posąg Bawaryi, którego odlanie ze spiżu i ustawienie kosztowało 233.000 fl. W głowie posągu urządzone są dwie ławeczki, na któryeh wygodnie siędzie sześć osób, a sążnisty człowiek może się swobodnie wyprostować stojąc, jak to sprawdziłem moją własną osobą. Wydrapawszy się po stu kilkudziesięciu schodach, przez oczy tej głowy ujrzałem przepyszny na całe miasto widok; przy czystem powietrzu dojrzeć można Alpy.

A teraz nieco obszerniej o naukowych zakładach. Prym trzyma *regia bibliotheca monachiensis* licząca do 800,000 tomów, a przeszło 20.000 rękopisów. Trzecia to czy czwarta z porządku największych bibliotek w świecie. Cóż kiedy do dziejów Polski nic tam prawie odszukać nie można. Nie tak bogatą, ale zawsze znaczną jest uniwersytecka biblioteka. Wielki jej dział stanowi tak zwana *collectio Urbaniana*. Jest to zbiór najciekawszych dzieł i najrzadszych rękopisów uczonego i bardzo wpływowego jezuity z prowincyi bawarskiej czy niemieckiej Urbana, pod którego protekcyą udawał się nawet europejskiej sławy Leibnitz, chcąc otrzymać wstęp, do którego z dworów niemieckich. Z tego to zbioru pochodzi ona nieocenioną dla badań polskiego języka, książka do modlenia, napisana przecudnym charakterem na pergaminie, i ozdobiona ośmioma kolorowemi obrazkami, a ofiarowana Zygmuntowi Staremu *a quodam devoto heremita*, od jakiegoś pobożnego pustelnika. Tytuł książki łaciński, lubo cała napisana po polsku: *Clipeus spiritualis animae devotae contra adversa et insidias;* oprawna w czerwony aksamit z okuciem mosiężnem, złoconem w ogniu, brzegi złocone. Obszerną relacyą umieścił o niej, przed dwoma jeśli się nie mylę laty, p. Łepkowski w *Czasie*. Czyby nie dało się przez jakąś szczęśliwą zamianę książki tej nabyć do Jagiellońskich zbiorów? To pytanie uczyniłem bibliotekarzowi, który dał mi do poznania, że nie byłoby to rzeczą niemożebną, gdyż dla Polaków ma ona wartość nierównie większą. Ja mu na to: „gdybym się nie bał Boga, to bym wam skradł tę książkę". Roześmiał się uprzejmy Niemiec, widocznie rad z tego, że jego biblioteka posiada rzadkość, której słusznie pozadrościć muszą inne biblioteki.

Duch wiejący na uniwersytecie i w politechnice, to duch dzisiejszego pozytywnego liberalizmu. Jak wysoko w obydwu tych zakładach stoi nauka, nie umiem powiedzieć. Zdjęła mnie jednak ciekawość przysłuchania się wykładom dwóch znakomitszych profesorów. Pierwszy z nich p Prantl, profesor historyi filozofii wykładał epokę przejściową między scholastyką a humanizmem. Scholastykę nazwał on „wywiędłą, skostniałą, zabijającą chorobą ludzkiego umysłu, uczonem nieuctwem, *docta ignorantia*. Zdawało mi się, że słyszę żydka od redakcyi wiedeńskiej *Pressy*, rozprawiającego o rzeczy, której nie przypatrzył się nigdy zbliska. Pomijając pewien fanatyzm antichrześcijański

który przebijał się w dobieraniu przymiotników, i frazesowe sądy jakby żywcem wyjętych z jakiej wiedeńskiej gazetki, brakowało temu wykładowi wszelkiej godności i miary. „Na tę jałową, mówił epokę scholastycyzmu zawiał zdrowy oddech (*der gesunde Hauch*) humanizmu, kładę nacisk na to słowo. To przecudna epoka, cóż kiedy o niej powiedzieć trzeba z Horacym (tu niedowierzając swej pamięci zaglądnął profesor do skryptu)... *ut turpiter atrum desinat in piscem mulier formosa superne.* Co to było tą c z a r n ą r y b ą zakończającą nadobną postać kobiety (humanizmu) powiem wam później" (zapewne jezuityzm). A rozwodząc się dalej nad pięknością klasyków, dotknął jako antytezę, kwestyi o pochodzeniu Ducha św., która jak wiadomo będąc wielkiej doniosłości religijnej i historycznej przez kilka wieków i na kilka zawodów zajmowała najpotężniejsze rozumy. Otóż tę kwestyę zamkniętą w jednem słowie. *Filioque*, nazwał mój uczony profesor *eine interessante Delicatesse.* Wspominając o koryfeuszach humanitarnego ruchu, wymienił także Eneasza Silwiusza późniejszego Piusa II, ale dodał mu i przydomek wybornego franta *ein vortrefflicher Pfifikus.* Nie brakło i na sprzecznościach. Humanizm miał oswobodzić Europę z więzów scholastyki, a politycznym reprezentantem tego humanizmu miał być, według tego uczonego mistrza, Machiavelli, którego doktryna w tę da się ująć maksymę: *politische Noth kennt kein Geboth* t. j. konieczność polityka nie zna żadnego prawa, ani Boskiego, ani ludzkiego i wszystko godziwe — gwałt, skrytobójstwo, byle wiodło do celu. Doprawdy trudno pojąć, jak system z którego tak potworne dadzą się wyprowadzić zasady, miałby się stać zbawieniem dla ludzkości. Więc albo humanizm nie jest „zdrowem tchnieniem", albo Machiavelli nie jest jego politycznym reprezentantem. Ale cóż to obchodzić może profesora, który lubuje sobie w osławieniu chrześcijaństwa i sadzi się na koncepta, z których znów on sam jeden się śmieje. I tak o tym Machiavellim powiedział: *er stellte nicht einen besonderen Spiegel dem Christenthum gegenüber.* Frazes ten miał znaczyć, że nauka Machiavellego złe daje świadectwo moralności chrześcijańskiej; ale ktoż kiedy śmiał twierdzić, że system machiawelski wyszedł z zasady chrześcijańskiej? To potwarz oczywista, rzucona przez p. profesora zuchwale i niemądrze. Upewniano mnie, że ten p. Prantl jest człowiekiem żelaznej pracy, wydał nawet jakąś ciężko uczoną książkę o „loice". Jeżeli tak, pomyślałem, to chyba musi być człowiekiem krótkiego rozumu.

Zato nader przyjemny i wielce pouczający był wykład p. Riehl'a, profesora historyi cywilizacyi. Człowiek ten należy do wierzących protestantów i używa tu wielkiego szacunku. Wykład potoczysty, jasny, o szerokich, głęboko sięgających poglądach. Mówił o stosunkach handlowych na początku XIX wieku, o powstaniu bankowego domu Rotschildów i całem gospodarstwie banków i operacyach giełdowych, ale umiał w tę suchą na pozór kwestyę tak wpleść wielkie wypadki dziejowe i przewroty społeczne, uczynić swój wykład, sprowadziwszy go na pole historyczne, tak zajmującym i zrozumiałym, że jak łacinnik powiada, *pendebam ab ore ejus*, odsłuchać się go nie mogłem i jeszcze na drugi wykład pójść postanowiłem. Podobne wykłady są prawdziwie uniwersyteckie i w jednej godzinie rzucają tyle światła w głowę słuchacza, ile się go nie nabędzie mozolnem, kilkudniowem prywatnem studyum z książek.

Do szkół średnich i niższych nie wkradła się jeszcze tak potężnie bezwyznaniowość, jak w Austryi; księża i zakonne osoby nie zostały jeszcze odsunięte od wychowania. Chciałby tego całą duszą dokonać minister Lutz, godny kolega Falka, ale jest moralna pewność, że wybory wypadną na korzyść katolików; liberalno-pruska partya nie mając trzech czwartych głosów za sobą, nie zdoła żadnej radykalnej przeprowadzić ustawy. Ale też i katolicy nie zdobędą pożądanej większości trzech czwartych, a to w skutek tak zwanej *Wahlgeometrie*, t. j. w skutek rozdziału katolickich okręgów między protestanckie wyborcze okręgi, w czem liberalna partya okazała się mistrzowską.

Kościołów jest tu kilkanaście, parafij siedm. Najokazalsza swieżo dźwignięta świątynia, to bazylika księży Benedyktynów w stylu romańskim mogąca objąć 15.000 ludzi. Księża Benedyktyni, którzy mają w Bawaryi trzy opactwa i dwa przeorstwa, zachowują ściśle pierwotną regułę, zajmują się parafiami i szkołami, są nader gościnni dla wszystkich, dla cudzoziemców przedewszystkiem, ale już od sześciu lat nie mają żadnego nowicyusza. Z zakonów męzkich są tu jeszcze Kapucyni i Franciszkani, za to kongregacyj żeńskich jest tu wiele: Siostry miłosierdzia, Siostry dobrego Pasterza, Siostry Zbawiciela itd. Wszystkie wylane na posługę chorych i pracę koło wychowania.

W końcu wspomnieć też muszę o naszej Polonii, która dosyć licznie osiadła w Monachium. Na politechnice i w szkole malarskiej liczą do 150 Polaków, na uniwersytecie jest ich kilku, emigrantów cyfra dojdzie także do stu, cóż kiedy i do tej garstki rodaków wkradł się tradycyjny duch niezgody, a rok temu przyszło do głośnego skandalu i procesu. Utworzyły się dwa obozy liberałów i Jezuitów (*sic*). Liberałowie tworzą zwarty zastęp, mają swoje kasyno, biblioteczkę, uczą się nie wiele, bawią się zato dobrze i zaciągają spore długi, poręczając jeden za drugiego. Tak nazwani Jezuici, chociaż niejeden z nich co do pojęć i zasad dalekim jest bardzo od jezuityzmu, żyją po największej części odosobnieni, uczą się więcej i pracują. Smutny to ale nieunikniony w obecnych stosunkach objaw, ten rozstrój serc i umysłów.

Zdaje mi się, że nadużyłbym cierpliwości waszej, rozpisując się dłużej, więc kończę, dodam tylko jako z n a c z ą c e *curiosum*, że w wojsku bawarskiem, a podobno i w całych Niemczech, uczą r o s y j s k i e g o j ę z y k a. Bawiący tu Rosyanie dali sobie słowo, że lekcyj udzielać nie będą. Korzysta z tego kilku Polaków, znających ten język i uczy Niemców po rosyjsku.

DWIE MOWY OJCA ŚW.

L'Univers z dnia 2 Lipca b. r. podaje następującą przemowę Ojca Św. w odpowiedzi na adres włoskiej katolickiej młodzieży, odczytany przez pana Jana Aquaderni:

Zebranie wasze, moje drogie dzieci, przypomina mi opis obrazu, przedstawiającego walkę dobrego i złego. Możnaby dziś powtórzyć to, co powiedział pogański poeta, opisując chaos:

Frigida pugnabant calidis, humentia siccis
Mollia cum duris, sine pondere habentia pondus.

Skutkiem tej walki było, że natura wyszła z chaosu i została uporządkowaną.

Pomijając atoli tę myśl poetycką, przypatrzmy się na chwilę innej sprzeczności, innej antytezie, którą nam nasuwa dzisiejsza uroczystość poświęcona św. Janowi Chrzcicielowi. Z jednej strony Herod, z drugiej Jan święty. Tamten spoczywający pod złocistemi sklepieniami, ten wśród ubóstwa pustyni; tamten karmiony wytwornemi potrawami, ten zaspakający głód swój nadzwyczaj skromnem pożywieniem; pierwszy wśród spiewu i tańców, drugi oddany surowości życia pokutniczego i mozołom posłannictwa od Boga mu powierzonego.

Zastanówmy się teraz nad różnością postępowania Boskiego Zbawiciela względem Heroda, a względem uczniów Janowych. Jezus przywiedziony przed trybunał lubieżnego i okrutnego króla, gdy Go ten zapytuje i żąda od Niego cudu, ale nie dla tego, aby chciał prawdę poznać, ale jedynie dla ciekawości i rozrywki, wtedy Jezus Chrystus pełny majestatu, milczeniem pogardy odpowiada na zuchwałe i nieroztropne zapytanie tego, który niezważając na *non licet* wielkiego Mistrza, oddał się występkom swego niegodziwego życia. Przeciwnie postąpił Boski Zbawiciel z uczniami Janowymi. Przyjął ich z łaskawością i na ich zapytanie, czy on jest oczekiwanym Mesyaszem, odpowiedział wskazując na czyny i cuda swoje: Idąc, rzekł im, odnieście Janowi: ślepi widzą, głusi słyszą, chromi chodzą. A tak objawiając im Bóstwo swoje w cudach swoich i w dobrotliwości swojej na jaw się przebijające, uczy ich zarazem, że uczynki okazują czem jest człowiek. Uczynki dobre są oznaką dobrego ducha i odwrotnie. Oh! iluż jest dzisiaj ślepych, głuchych i chromych, którzy usiłują zepsuć ludzką społeczność! Ślepi którzy prześladują świętych i zakony, którzy obdzierają ołtarze, podają w pogardę rzeczy święte, którzy marnotrawią dobra przeznaczone dla ubogich i na podniesienie czci Bożej, aby zaspokoić żądze nienasycone fabrykantów rewolucyi; którzy, aby wspierać zamiary umysłów z piekłem pobratanych, robią co mogą, aby obalić święte budowanie ręką Jezusa Chrystusa wzniesione, to budowanie, przeciw któremu podnosi się wszelka broń, którą im własna ich wściekłość i wściekłość innych kładzie do ręki.

Są to ślepi, którzy idą drogą potępienia. I na nic się przyda, chcieć ich zwrócić z tej drogi, są oni bowiem głuchymi na głos ludzi, a co gorsza na głos samego Boga. Jakież więc będzie nasze względem nich postępowanie? Modlić się za nich będziemy, jak nas naucza Jezus Chrystus mówiąc: *Orate pro persequentibus vos* (Módlcie się za prześladujące was).

Co się tyczy chromych, to tym powiemy: nie można nigdy pojednać Jezusa Chrystusa z Belialem, z czego wynika, że powinni się mieć na baczności przed pewnemi radami faryzejskiemi, przeciw którym nasz Zbawiciel sam podaje nam broń roztropności *Cavete a fermento Phariseorum.* (Strzeżcie się kwasu faryzeuszów).

Ten kwas jestto prawdziwie smoła, która się czepia i przyprowadza do stanu zupełnej bezsilności tych wszystkich, którzy się dadzą na nią ułowić. Niech więc staraniem waszem będzie ostrzegać waszych przyjaciół i tych których znacie, aby się nie dali schwytać na lep rewolucyi, gdyż wedle wyznania jednego z żyjących przywódzców rewolucyjnych, cywilizacya nowoczesna i rządy skojarzone z tą cywilizacyą ciągną za sobą długi łańcuch błędów i zbrodni,

tak że rząd tego rodzaju nie zasługuje, abyście wy, i ci którzy jednakowo z wami czują i myślą, byli jego zwolennikami, chociażby najumiarkowańszymi.

Wy tymczasem, naśladując uczniów Janowych, przyszliście tutaj zobaczyć i uczcić Boskiego Mistrza i doznaliście cząstki tej pociechy, która płynie z tego Boskiego Serca. I podczas gdy imiona Jego nieprzyjaciół będą pisane na ziemi, *in terra scribentur*, imiona wasze i waszych przyjaciół i tych co wśród świata podzielają wasze zasady i je w czyn zamieniają, mogą mieć nadzieję, iż będą zapisane w Boskiem sercu. *Scripta sunt in coelis.*

Idźcież więc dalej drogą waszą, aby otrzymać wieniec nagrody, przeznaczony tym wszystkim, którzy walczą wytrwale do końca. Ponieważ zaś najpotężniejszą bronią jest modlitwa, pomnijcież tedy w modlitwach waszych na ślepych i na nieszczęśliwe umysły w nadziei, że przyczynicie się do ich uleczenia. Chromym zaś powtarzajcie przy każdem spotkaniu tę smutną prawdę, że cywilizacya nowoczesna ciągnie za sobą łańcuch błędów i zbrodni. Niech błogosławieństwo Boże doda wam siły do spełnienia waszego posłannictwa, ażebyście (gdy staniecie przed trybunałem Boga) mogli otrzymać nagrodę za waszą wytrwałość i stałość zwycięską; niech to błogosławieństwo Boga doda wam odwagi, niech się zleje na rodziny wasze i sprawi, aby w nich zakrólował pokój; niech wam towarzyszy aż do śmierci, a nakoniec niech wam będzie, jak ja tego z całego serca pragnę, zadatkiem wiecznej szczęśliwości.

Benedictio Dei etc.

Przemowa do szlachty rzymskiej w odpowiedzi na adres markiza Cavaletti:

Obecność wasza, moi kochani synowie, jest dla serca mego powodem radości, widzę bowiem w was szlachetną stałość, zawsze okazywaną w wyznawaniu świętych zasad i w waszem przywiązaniu do Stolicy św. I ta to wierność wasza pobudza mię do składania za nią podzięki Bogu, ona to począwszy od pierwszych dni Września 1870 podała mi myśl pozostania w Rzymie. Wpośród mnogich niepewności i w chwili udzielanych mi w tym względzie rad rozlicznych ona to podtrzymywała niezachwianem moje postanowienie pozostania w Rzymie z Rzymianami i dla Rzymian. Bo i jakże mogło być inaczej? Otrzymałem tyle dowodów przywiązania, tyle objawów miłości od rzymskiego ludu, że nic nie mogło mię skłonić do kroku rozłączenia się z wami. I nie zawiodłem się.

Pozwólcie mi, iż tu w krótkości przypomnę smutne wypadki, zaszłe od tego pamiętnego miesiąca (20 września 1870, dnia zaboru Rzymu). Było to wkrótce po uroczystości Narodzenia Matki Bożej, gdy mi się przedstawił pewien kawaler podalpejski, niosąc w ręku list katolickiego monarchy, do mnie adresowany. Przeczytałem go i poznałem, że ten monarcha, mianując się ustawicznym „z woli Opatrzności i woli narodu stróżem i poręczycielem losu wszystkich Włochów..., sądził, iż ma obowiązek wziąść na siebie odpowiedzialność za utrzymanie porządku na półwyspie i bezpieczeństwa Stolicy św....“ Dalej oświadczał, że aby odpowiedzieć usposobieniom Rzymian, rozkazał wojskom swoim wyruszyć, i zająć to co pozostawało, tj. Rzym, a to w celu utrzymania porządku. Nakoniec dodał, że jego zbrojne siły ograniczą się do działania zachowawczego. — Nieco

później wojska jego zbliżyły się pod mury Rzymu, i tam obozowały, przybierając pozór wielkiej potęgi, czekały dni kilka, aby zobaczyć jakiego są usposobienia Rzymianie — ale było to napróżno. Jest rzeczą pewną, że robiono wówczas wszystko, aby wywołać zamieszki na korzyść najezdców. Było bowiem wielu emissaryuszów w mieście, którzy z obozu tutaj przychodzili, a między nimi przodował pewien minister obcego państwa, uwierzytelniony przy Stolicy świętej. Minister ten, prawdziwy Achitofel naszego wieku *loquebatur pacem cum proximo suo male autem in corde suo.* Prawdziwy Achitofel, który w Watykanie odzywał się we wręcz przeciwnym tonie, jak w obozie nieprzyjaciół.

Przekonawszy się tedy o stałej wierności Rzymian, wojska podeszły bliżej pod mury Rzymu i zrobiły sobie drogę przez sławny wyłom z 20 września. Wonczas armia papiezka, szczupła ale wierna i pełna godności, została wziętą w niewolę i wysłaną do górnej Italii. Tymczasem usiłowano usprawiedliwić swój niesprawiedliwy najazd rozruchami, które spodziewano się wywołać, w tym celu pozostawiono przez dni kilka miasto święte zupełnie wolnem, w nadziei że nieobecność siły zbrojnej ułatwi wzniecenie pożądanego rozruchu, ale i to wszystko było daremnem. Ani jeden głos się nie odezwał, któryby świadczył o zadowoleniu ludności, ani jeden znak radości nie był dany, ani jedno nie okazało się wysilenie, któreby nieporządek wszczynać zamierzało. Cześć za to Rzymianom!

Wreszcie wojsko oblęgające weszło do miasta, a z niem na miejsce rządu prawego nastąpił nowy. Pytam się teraz (a ze mną wielu, wielu zapyta), czy jego wnijście przyczyniło się do d z i a ł a ń z a c h o w a w c z y c h? Niech odpowiedzą za mnie, te zakony płci obojej wygnane, te dobra kościelne rozdrapane, te szkoły i zbory protestanckie pootwierane i tych wiele innych dzieł prześladowczych, które zna świat cały. A system ten nie ustał, gdyż i dzisiaj jeszcze posuwają się naprzód, wszystko wystawiając na łup prześladowania, co dotychczas uszło przed nieubłaganym sierpem rewolucyi. A Rzymianie? Rzymianie opłakują niezmierne zniszczenia, lamentami, które podnoszą w niebiosa, napełniają kościoły, błagając w nich Boga, aby nam użyczył swych łask obfitych, któreby dodały siły i ducha wśród opłakanych okoliczności, w jakich żyjemy.

Atoli na pociechę naszą, możemy temu smutnemu obrazowi, który skreśliłem przeciwstawić to wszystko, co w tych ostatnich dniach zaszło pocieszającego w Italii, w Europie, w całym katolickim świecie.

Zaledwie z Watykanu odezwał się głos, głos nawoływania do modlitwy, a już miliony a miliony wiernych powstały, aby zadośćuczynić temu wielkiemu wezwaniu, z jakiem odezwał się Bóg za pośrednictwem swego niegodnego Namiestnika, przez ten jubileusz święty, który otwiera drogę do pokuty i przebaczenia. To zjednoczenie umysłów i serc jest uroczystem potępieniem rozdziału ustawodawców parlamentarnych, w pośród których słyszeliśmy niedawno pomiędzy innemi gorszącemi utyskiwaniami, skargi na rząd dzisiaj Italią kierujący, że jest w spółce z twórcami lub wykonawcami najniegodziwszych zbrodni.

Pragnę, moi najmilsi, abyście zwracali na to uwagę tych wszystkich, którzy ustawicznie układają nowe wytyczne postępu i rzekomej zgody, i którzy mówią że ten stan niepewności za długo się przeciąga i zmusza nieodzownie do użycia środków, aby już raz wstąpić można na drogę bezpieczną. Otóż, powiedzcież im, że stąpać po wulkanie jest niebezpieczną rzeczą. Ziemia drży

pod nogami i grzmot straszliwy wstrząsający wnętrzami gór każe nam przewidywać nowe wybuchy. Dlatego to potrzeba zejść na ścieżki pewności, a przynajmniej obrać drogę mniej wystawioną na niebezpieczeństwo pożaru.

Tę drogę wyście obrali z większą częścią Rzymian, a jest to droga religijna i pełna zbudowania, którą zaznaczono w ostatnich dniach uroczystemi objawami gorącej pobożności. I nietylko w Rzymie, ale w całej Italii pomnożono uczynki gorliwości, które napełniły radością i wznieciły nadzieję w sercach większej części Włochów.

Francya wydała okrzyk wesela, a krocie kościołów napełniły się milionami katolików; sama stolica Paryż budujący przedstawiała widok, przy zakładaniu kamienia pod świątynię, ku czci Boskiego Serca Jezusa wznieść się mającą. Niezmierny tłum ludzi, wśród którego znajdowały się najwyższe znakomitości, nasz wielebny brat kardynał arcybiskup Paryża, otoczony wieloma prałatami, radość powszechna obecnych — wszystko to sprawiło, iż ta uroczystość odbyła się nader budująco.

Ale tego nie dosyć; Francya albowiem zaprowadza u siebie wolność nauczania; rzecz, którą tu we Włoszech bezwzględnie odrzucają.

W Wiedniu i państwie austryackiem uroczystości jubileuszowe, odprawiane w tylu miejscowościach, napełniły pociechą dusze wszystkich wiernych.

Belgia, Bawarya i tyle innych krajów Europy odważnie się wywiązały z wzniosłego i świętego obowiązku. Ameryka dała najpiękniejsze dowody przywiązania do Stolicy świętej. Hiszpania, zewsząd przygnieciona trudnościami, domaga się wytrwale jedności katolickiej.

Pomijam inne rzeczy i powracam do was moi najmilsi, ażeby raz jeszcze ucieszyć się waszą stałością, i powiedzieć wam z apostołem: *Sic state in Domino, carissimi*, pozostańcie zawsze w ten sposób zjednoczonymi i wiernymi temu ognisku prawdy, i tej Stolicy zdrowej nauki; a tak połączeni, nie mając jak tylko jedno serce, łatwiej u Boga wyprosimy sobie spełnienie naszych wspólnych życzeń. Doczekamy się skutku niezliczonych modlitw, które ze wszystkich części świata wznoszą się jak wonne kadzidło aż przed Tron Jezusa Chrystusa.

Co do mnie, przyłączam się do modłów powszechnych i ażeby spełnić mój obowiązek, i zastrzedz prawa Stolicy świętej, odnawiam protestacye, już wielokrotnie powtórzone, przeciwko wszelkim zaborom, w jakikolwiek sposób dokonanym, które są w potwornej sprzeczności z tą wyraźną obietnicą, że względem nas przestrzegane będzie d z i a ł a n i e z a c h o w a w c z e. *Ben. Dei.*

K r o n i k a.

Jeżeli kto jeszcze mógł się łudzić jakąś ugodą Moskwy z Polakami, ten dzisiaj wobec ogłoszonego przez *Dziennik Warszawski* reskryptu cara Aleksandra II, wydanego do ministra spraw wewnętrznych, wszelkich illuzyj pozbawionym być powinien. Car pochwala w nim mordy Unitów Podlaskich, spełnioną zbrodnię przelania krwi niewinnej i zgwałcenia sumień publicznie

wynagradza. Aktem tym chciał widocznie car przywołać do porządku tych nielicznych dzięki Bogu maroderów intelligencyi polskiej, którzy za garść soczewicy gotowi byli rzucić się w objęcia schyzmatyckiej Moskwy, chciał on raz jeden więcej zatwierdzić wypowiedziane przez siebie słowa *point des reveriès*. Żadnych złudzeń — zgoda katolickiej Polski z Moskwą carską, Moskwą schyzmatycką, taką tylko być może, jaką bywa zgoda między ofiarą a jej mordercą. Teraz swobodnie już mogą sobie rozmawiać tak pp. radcy stanu, jak i redaktorowie *Dziennika Poznańskiego*, tak ludzie od *Gołosu* jak i *Peterburgskich Wiedomostiej*, o pojednaniu się Polaków z Rossyą, ale głos jednych uważany odtąd będzie za wyzew renegatów, a drugich jako niegodziwe urąganie się oprawcy ze swojej ofiary. Władzca Rossyi dał naukę Polakom, że chociażby nawet mieli ginąć to przynajmniej z godnością, jak przystało na potomków rycerzy Maryi, na dziatwę katolicką. Carowi wdzięczni być za to powinniśmy, wdzięczni za jego reskrypt, zadziwiający świat cały nietylko apoteozowaniem zbrodni przypominających czasy Nerona, ale i cynizmem do nieznanych dotąd granic bezwstydu posuniętym; car chciał widocznie przekonać świat katolicki, że między nim a renegatem Popielem panowała zupełna harmonia w uczuciach i sumieniu. Zaprawdę słowa carskie zamieszczone w reskrypcie i słowa Popiela powiedziane w Petersburgu, podczas jego konsekracyi na archireja godne są siebie. Historya nazwie je kiedyś po imieniu.

* * *

Książę Jerzy Czartoryski z p. Kamińskim ze Stanisławowa ani się pewnie spodziewali, aby z ich wielce niepolitycznego wniosku postawionego na ostatniem zebraniu galicyjskiego sejmu, ukręcili publicyści moskiewscy bicz na smaganie biednej naszej ojczyzny i nas Polaków, a jednak tak się stało. *Peterburgskie Wiedomosti* dodały do wniosku najpotworniejszy kommentarz, w moc którego wszystko co czuje i mówi po katolicku i po polsku powinnoby się wynieść ze wschodniej Galicyi, oddając ją garstce moskalofilów, przywłaszczających sobie prawo naturalnych Galicyjskiej Rusi przedstawicieli, aby niebawem mogli oni duszę i ciała biednego ruskiego ludu sprzedać za srebrniki Moskwie. Takie to następstwo wywołał ów niefortunny wniosek. A i w sferach świętojurców innego nie znalazł widać odgłosu, skoro w ostatnich czasach nie objawiły się wcale żadne na korzyść zgody usposobienia. Przeciwnie. Sympatye do schyzmy wyrazistsze przybierają kontury. Bo i jak sobie wytłomaczyć takie naprzykład odezwanie się ks. Szwedzickiego, proboszcza lwowskiego rit. ruth. na egzaminie szkolnym w parafii św. Marcina. W obec dwóch kapłanów: posiwiałego w pracach kapłańskich, szanowanego powszechnie księdza proboszcza Formaniosza i ks. katechety Wankowicza, w obec dzieci, miał on smutną odwagę powiedzieć, że męczeństwo Unitów Podlaskich nie należy wcale do stwierdzenia tej prawdy, iż sam tylko jeden katolicki Kościół po wszystkie czasy męczenników wydaje? To nie należy do rzeczy, zawołał, gdy była mowa o męczennikach podlaskich. W obec takich tedy usposobień ruskiego duchowieństwa o jakiejże zgodzie mowa być może? Z kim zgodę zawierać? Z ludźmi dążącymi do schyzmy? Z ludźmi, u których *Słowo* najwyższą stanowi wyrocznię? Dobrą niedawno dał ostatniemu *Czas* odprawę, kiedy na jego *rozhowory* o renegacie Popielu i uwielbiania moskiewskiego

duchowieństwa przytoczył mu w odpowiedzi, zdanie p. Koszelewa Rosyanina wypowiedziane o klerze carskiej cerkwi. Oto jego słowa:

„Stan nasz", powiada p. Koszelew, „we względzie kościelnym, jest więcej niż niezadowalającym, jest to opłakany. Czynownikowski duch, czynownikowska chęć władzy i ambicya, czynownikowskie wybryki *(uchwatki)*, owładły całą naszą wyższą duchowną hierarchię, niższe zaś duchowieństwo zamieniło się w prostych rzemieślników, którzy wypełniają swoje obowiązki, jak krawiec robi odzienie, lub szewc buty szyje, dla tego tylko, że tem zarabiają na przeżycie, nie całkiem wygodne, ale zabezpieczające ich od głodowej śmierci. (Zwrócić musimy uwagę, że pan Koszelew mówi to o duchowieństwie w głębi Rosyi, nie zaś o duchowieństwie prawosławnem w naszem kraju, a zwłaszcza renegatach, bardzo dostatecznie, a nawet hojnie uposażonych). „Nasi jerarchowie (wyższe duchowieństwo) jakkolwiek są zakonnikami, którzy wyrzekli się świata, tyle cenią ordery i wstęgi, że w tem nie ustępują najambitniejszym dostojnikom naszym, tak są zaś chciwi władzy, a mało ludzcy, że obchodzą się z podwładnem im duchowieństwem, jak ongi obchodzili się z poddanymi niektórzy właściciele ziemscy. Dalecy też są od pogardy korzyści materyalnych: za święcenia cerkwi, pogrzeby, i inne duchowne czynności, najchętniej przyjmują bardzo znaczne sumy. Pod względem formalistyki i bazgraniny *(mnogopisania)* nie tylko nie ustępują, ale bodaj czy nie wyprzedzają cywilne zarządy; o to wszakże, czy klasztory i białe duchowieństwo (świeckie) zajmuje się nauką ludu co najmniej dbają. Klasztory nasze po większej części miasto przyświecać przykładem, obałamucają raczej *(k sobłaznu)* lud, nie mieszka w nich pobożność i miłość bliźniego, ale zgorszenie i sobkostwo. Co się zaś tyczy świeckiego duchowieństwa, odprawia ono wprawdzie msze i nabożeństwa i spełnia duchowne posługi, lecz stara się za to wziąść co najwięcej, i zgoła się nie troszczy o swoją duchowną owczarnię. Skutkiem tego duchowieństwo nie cieszy się szacunkiem i poważaniem, ani w najniższych, ani w średnich, ani w najwyższych warstwach społeczeństwa; przeciwnie wyrazy *„bat'ka* (ojciec) z żywego i umarłego drze", są w ustach każdego włościanina. Na zakałę ludzi wierzących ostatniemi czasy spotykać się daje i to nie rzadko między księżmi ludzi zgoła nie wierzących, prawdziwych nihilistów, widzieć można spełnianie duchownych obrzędów przez ludzi w nic nie wierzących, słyszeć ich przy wolnej światowej zabawie i kieliszku wódki, odzywających się z lekceważeniem o tychże obrzędach, i być świadkiem ich całkiem nieprzykładnego sposobu życia; wszystko to przyczynia się do zniweczenia i tak już silnie zachwianego u nas religijnego uczucia".

Takiem jest prawdziwe prawosławne duchowieństwo — jakimiż mogą być ci odstępcy za pewną ilość srebrników, wysyłani do Królestwa przez świętojurskie *Słowo?*

— Z Poznania same smutne tylko przynoszą nam dzienniki wiadomości. Okładanie grzywnami kapłanów, aresztowania ustawiczne, są na porządku dziennym. Rząd pruski postanowił sobie zniszczyć zupełnie Kościół katolicki, i ogołoci Go on bezwątpienia z wszelkich materyalnych zasobów, ale czy zdoła zgnębić wiarę i zgwałcić sumienia to rzecz zupełnie inna. Co do nas przekonani jesteśmy, że wielkość pruska i potęga pruska wcześniej czy później rozbić się muszą o tę twardą skałę katolicyzmu, na której potężniejsze jeszcze monarchie kark sobie strąciły. Rękojmią tego jest zachowanie się ludności

katolickiej w całem państwie pruskiem. — Tego bowiem, co piszą dzienniki liberalne o manifestacyach, wyprawianych Falkowi przez ludność w prowincyach nadreńskich, nie należy brać na seryo, były to poprostu urządzone przez pol cyę i żydków kosztowne figielki, *mise èn scene* jak mówią Francuzi, ludność katolicka nietylko że nie brała udziału, ale chciała przeszkodzić im nawet. A co się tyczy Wielkopolski i Prus Zachodnich, to wiemy jakiem usposobieniem odznacza się lud nasz kochany. Nie dziw więc że *Wiarus*, pikieta *Dziennika Poznańskiego*, kusiciel polskiego ludu nawołujący go do apostazyi, nędzny swój żywot zakończył. Cóż kiedy *Dziennik Poznański* podejmuje teraz przewodnią myśl autora *Dróg wyjścia* i chce wywołać zamięszanie w społeczeństwie polskiem. W pomoc w tej smutnej jego pracy przychodzi mu ze Lwowa przezacny *Dziennik Polski*. Poznał swój swego. Ciekawa tylko rzecz czy *Dziennik Poznański* wynadgrodzonym za to zostanie z gadzinowego funduszu, bo gdzieindziej ci co rządowej służą polityce i w Kościół ustawicznie biją biorą ośm tysięcy złotych reńskich rocznego zasiłku.

Wspomniawszy wyżej o ludzie naszym przychodzi nam na myśl zdarzenie, jakie miało miejsce w Watykanie w dzień świętego Piotra r. b. Kto był dawniej w Wiecznem Mieście za czasów Papieskich rządów, ten musiał widzieć w dzień świętego Piotra tłumy ludu wiejskiego, ubranego w swe malownicze stroje, zalegającego ogromny plac przed Bazyliką Watykańską. Otóż i tego roku, z różnych stron Włoch już w wigilią święta mnóstwo przybyło wieśniaków, którzy pod olbrzymią kolumnadą rozłożyli się na noc jakby obozem jakim, a nazajutrz po odbytej spowiedzi, wysłuchaniu nabożeństwa pośpieszyli gromadnie do bram Watykańskich, wołając: „chcemy widzieć Ojca Św., chcemy widzieć naszego Ojca, puśćcie nas, puśćcie". Straż dała o tem znać Ojcu Św., który polecił natychmiast wprowadzić ich do jednego z ogrodów Watykańskich, i sam podążył by stanąć wśród tej ukochanej swej dziatwy. Nikt nie zdoła, mówi *l'Univers* opisać tej rzewnej sceny jaka nastąpiła wtedy. Poczciwi wieśniacy rzucali się do stóp Ojcu Św., z płaczem opowiadali Mu srogie położenie, w jakiem się obecnie znajdują, kobiety, dzieci i starcy cisnęli się do rąk Papieża. Cudowny to zaprawdę był widok. Bieluchna postać Piusa stała w pośrodku tłumu wiejskiego ludu, niby Zbawiciel wśród nakarmionej przez siebie na pustyni rzeszy.

— Jeden ze znakomitych biskupów Polski, wyznawca Chrystusowego Kościoła, ks. biskup Wincenty Popiel wraca wreszcie do kraju z Nowogrodu, gdzie siedmioletnie przebył wygnanie. Ojciec Św., by ulżyć Kościołowi w Polsce a świętobliwemu pasterzowi powrót ułatwić, zgodził się na przeniesienie Go ze stolicy Płockiej na Kujawsko-Włocławską. Nie wątpimy, że z radosnem sercem przyjmować będzie Włocławska dyecezya swojego dzisiejszego pasterza. O cóżbyśmy dali, aby być uczestnikami tego powszechnego tam wesela. Niechajże tutaj przynajmniej wolno nam będzie wyrazić radość naszą, wypowiedzieć nasze życzenia *ad multos annos*. W świątobliwym i mężnym pasterzu nietylko czcimy Wyznawcę Chrystusowego, ale przechowujemy dla Niego miłość naszą i wdzięczność za tyloliczne dobrodziejstwa, doznane od Niego w czasach, gdy był naszym profesorem i Ojcem duchownym.

— *Kuryer Poznański* nader smutną podał wiadomość. Doniesiono mu że sędziwy a czcigodny Ojciec Aleksander Jełowicki, wracając z Rzymu do Paryża, zachorował w Marsylii. Znękany pracą O. Jełowicki od lat już kilku zapadał na zdrowiu. Ufajmy, że i z tej choroby Bóg podźwignie tego apostolskiego męża, który tyle zasług położył Kościołowi i Ojczyźnie, tyle łez otarł, tyle biedy i nędzy do siebie przytulił, tyle dusz Bogu pozyskał. O! Dobry i Miłościwy Bóg pozostawi jeszcze pomiędzy nami tę świętobliwą postać uczonego pisarza-kapłana, którego słusznie nazwał jeden z najpoważniejszych dzienników francuzkich, świetną illustracyą katolickiej Polski.

— Ks. Stanisław Załęski S. J. współpracownik naszego *Przeglądu*, wyjechał za granicę dla zwiedzenia bibliotek i odbycia drugiej zakonnej probacyi w Belgii. Ks. Załęski ma zamiar za lat kilka wydać *Historyę Zakonu Jezuitów w Polsce*, w tym więc celu zbierać będzie potrzebne do swego przedmiotu materyały po bibliotekach i archiwach we Francyi, Włoszech i Niemczech.

— W Paryżu p. Grudziński przełożył, jak nam donoszą, kilka pieśni z *Czyśca Dantego*, w naszej zaś tece spoczywa przełożony przez niego poemat o świętym Franciszku z Assyżu, hr de Segur.

— *Kronika* krakowska donosi, że Teofil Lernatowicz napisał wspaniały poemat p. t. *Wanda*, który posłany do Warszawy tak się spodobał cenzurze rossyjskiej, iż ta uważała za stosowne skonfiskować manuskrypt, szczęściem jednakże, że została kopia i poemat będzie można drukiem ogłosić.

— P. Stanisław Koźmian, brat czcigodnego księdza prałata Koźmiana, ponoszącego dziś więzy za sprawę Chrystusową, został obrany prezesem Towarzystwa Naukowego Poznańskiego w miejsce ś. p. Karola Libelta. Wyborem tym złożyło towarzystwo winny hołd nauce i zasługom czcigodnego męża.

— Wspomnieliśmy w „Notatkach literacko-bibliograficznych" o przepysznem wydaniu powieści Suffczyńskiego przez Żupańskiego w Poznaniu. Znakomity krytyk i znawca sztuki tak o tem dziele pisze w Nr. 155 *Czasu:*

„W tych dniach ukazała się typograficzna osobliwość: powieść Suffczyńskiego (Bodzantowicz) *Zawsze oni* w ogromnym formacie, na przepysznym papierze, pięknym drukiem ze wszystkiemi wymysłami estetycznej elegancyi: jak czerwone tytuły, obwódki, ozdobne inicyały, *cul de lampe*, i drzeworyty rylca francuzkiego artysty podług kompozycyi Kossaka, którego talentowi najlepiej odpowiadał przedmiot o Pułaskim i o Konfederatach; o Kościuszce i racławickich rycerzach — zgoła o tem życiu domowem i bojowem naszej szlachty, co sobie przypomniała, że jej nie przystało nieheroicznie zamknąć swego długiego rycersko-ziemiańskiego żywota, śmiercią w szlafmycy i pod pierzyną. Któż lepiej od niego mógł ołówkiem opowiedzieć tę naszą Iliadę i Odysseyę, złączone w jedną epopeję? zrozumieć i wydać co się działo pod szarą kapotą, i pod łosiowym kaftanem? Co pod siermięgą i mundurem narodowca; co pod kusym frakiem i czapką ułańską ze słońcem napoleońskiem? Jest to powieść snująca się jak srebrna nić po tych labiryntach upokorzeń i porywów, nicości i nadziei, upadków i nagłych tryumfów — niby sen długi, niespokojny, gorączkowy, mający chwile wielkich przebudzeń, które znowu jak sen mijają.

Wszystko to nastręczało temata ponętne dla artysty, który umiał przyswoić sobie ten świat heroiczno-domowej poezyi, świat, który zepchnięto z wyżyn swoich, wpierw nim go zdołano zastąpić czem innem — świat

pamiętników Soplicy, Pana Tadeusza, i gawęd Pola. Kossak zna go najlepiej, ukochał go, i swobodnie w nim się obraca — ołówkiem opowiada dalej powieść swoich poprzedników, unaoczniając odświeża tradycyę. Nikt też nie mógł lepiej od niego wykonać ilustracyj do powieści Suffczyńskiego, tak zgodnej z jego usposobieniem, tak się naginającej do jego talentu. Jeżeli Doré, nim wziął się do ilustrowania Don-Quixota, tej najznamienitszej z kreacyj swoich, wprzódy zwiedził Hiszpanię, studyował jej lud, jego obyczaje, tradycye i pamiątki, mieszkania, ubiory itd., to i o Kossaku można mniej więcej to samo powiedzieć, że od samego początku swego artystycznego zawodu kochał się w przedmiotach przypominających niedawną, a już tak od teraźniejszości odmienną przeszłość. Studyując ją, poznał historyczną Polskę i jej ducha. To, co Wincenty Pol zamknął w kilku wierszach:

Tam na wzgórzu dwór wesoły;
Te rozłogi i te gaje,
Te klasztory i kościoły
I przeczyste te ruczaje
To świat tobie wierny, śliczny,
To nasz polski grunt klasyczny —

stało się muzą, natchnieniem malarza.

O samej powieści: *Zawsze oni*, nic jeszcze nie możemy powiedzieć, jestto bowiem dzieło niewydane, a już pierwszemu wstępowi jego na świat, towarzyszą, wszystkie przepychy edytorskie, które je robią zbyt kosztownem, aby mogło stać się popularnem. W każdym razie odznaczenie poprzedza uznanie. Znając jednak autora z innych jego powieści, pewni jesteśmy, że powieść *Zawsze oni* znajdzie miejsce pomiędzy najulubieńszemi płodami naszej literatury. Dotąd wyszło dwa jej rozdziały, z których można dobrze wróżyć o następnych: *ex ungue leonem*. Nie brak tu jeszcze i poetycznej illustracyi; Kossak rysował sceny; Wincenty Pol do każdego rozdziału dodał poetyczny nagłówek, co zapewne tak się odbywało, jak przedstawia tytułowa rycina, na której widzimy Wincentego Pola, już ociemniałego, jak słucha powieści, czytanej mu przez siedzącego obok Suffczyńskiego. Po każdym przeczytanym rozdziale, poeta improwizował odpowiednie do treści godło. Rycina wykonana pięknym rylcem rodaka naszego p. Szrettera w Paryżu podług rysunku Kossaka, może się minęła cokolwiek z wyrazem twarzy poety, w której więcej nierównie było słodyczy. Mimo tego dość jest uchwycone podobieństwo tak poety, jak autora powieści.

Pan Żupański, wydawca tego wspaniałego dzieła, na które zapewne wyłożył ogromne koszta, przyrzeka ukończyć je w tym jeszcze roku, co tem większą będzie zachętą dla przedpłacicieli. Nasze możniejsze domy powinnyby prenumerować z podwójnego względu, raz, że powieść ta wiąże się z tem, co może się liczyć do najdroższych rodzinnych pamiątek, potem, że godzi się, a nawet jest obowiązkiem wspierać przedsięwzięcia, tak zaszczytnie rekomendujące nas ze strony dobrego smaku, wobec cudzoziemców, którzy ujrzawszy taką książkę, nie powiedzą, że Polska to *Bärenland*.

— P. Lucyan Tatomir ogłosił nakładem Karola Wilda drugą część *Geografii Galicyi*, mającej służyć za podręcznik dla uczniów seminaryum nauczycielskiego i dla naszych nauczycieli ludowych. Jak więc widzimy, dziełko to

ze względu na cel, dla którego ma służyć, zasługuje na baczną uwagę. Innym zostawiamy ocenienie go ze stanowiska geografii, my zaś zwracamy uwagę na zawartą w niem część historyczną. P. Tatomir, znany dawniej ze swej broszury, napisanej przeciw św. Stanisławowi biskupowi, męczennikowi krakowskiemu, podał nam w swej *Geografii* treściwy, jak należało szkic dziejów każdej ze znajdujących się w Galicyi dyecezyi. Mówiąc tedy o krakowskiej, utrzymuje, że była ona pierwotnie arcybiskupstwem słowiańskiego obrządku, założonem przez śś. Cyryllego i Metodego. Na takie *dictum* należałoby nam krótko odpowiedzieć: *gratis asseritur, gratis negatur*, zważywszy jednakże na ważność przedmiotu i na to, że nie on już pierwszy stawia to przypuszczenie, że toż samo twierdził kiedyś i p. Maciejowski, którego dzieła przedłożone były w swoim czasie z tego właśnie powodu kongregacyi indeksu, pytamy p. Tatomira, na czem opiera swe zdanie? Pisarze rossyjscy utrzymują to wprawdzie, a nawet uczony Bielowski upatrywał w Aaronie, arcybiskupie krakowskim, władykę słowiańskiego, opierając się na dokumencie Benedykta IX, ależ te wszystkie rzeczy najmniejszej nie wytrzymują krytyki i są poprostu dowolnemi tylko hipotezami — dowodu na to jasnego nie masz. Natomiast stara tradycya przechowała nam w dyptykach kościelnych (które dzisiaj należałoby nazwać szematyzmem biskupów) wiadomość, z roku na rok od najdawniejszych czasów wpisywaną w tak zwaną rubrycellę kościelną, że na stolicy krakowskiej niejeden tylko Aaron zasiadał w charakterze arcybiskupa, ozdobionego paliuszem, ale aż siedmiu, a mianowicie: Prochorus, Włoch, pieczętujący się krzyżem (966—986), Prokulphus herbu Colonna, Włoch (986—996), Lambert herbu Poraj, Włoch (996—1014), który zakładał benedyktyńskie opactwo w Sieciechowie; Poppo, Włoch pieczętujący się krzyżem (1014—1023), zakładał benedyktyńskie opactwo na pograniczu księstwa sandomierskiego na Łysej górze; Gompo zwany także (w katalogach biskupów krakowskich, pisanych gotyckim pismem na pergaminie znajdującym się przed kilkoma jeszcze laty w pokolegiackim kościele w Pilicy w Królestwie polskiem) Radzicem, Włoch, krzyżem się pieczętujący (1032—1046) zakładał opactwo tynieckie, a ostatnim wreszcie był wspomniany w *Monumentach* p. Bielowskiego Aaron od trzech koron, rodem z Galii, a więc Francuz, który zasiadał na arcybiskupstwie krakowskiem od 1046—1059 r. Na nim kończy się godność arcybiskupia. Jego bowiem następca Lambert Zula herbu Topor, Polak, zowie się już tylko biskupem krakowskim. Dlaczego zaś nie otrzymał paliusza i arcybiskupiego tytułu, roczniki kościelne żadnej o tem nie robią wzmianki. Bądźcobądź czyż ze słów Gallusa: *suo tempore Polonia duos metropolitanos cum suis sufrageneis continebat* (Gallus k. I. c. II.) lub z przytoczonego przez p. Bielowskiego w *Monumentach* dokumentu, mającego być wyjątkiem z bulli Benedykta IX, można wysnuć jakiś wniosek o istnieniu arcybiskupstwa słowiańskiego? Nam się zdaje, że nie — kto przeciwnie utrzymuje, to chyba krytyczno-historyczne tego rodzaju jego poglądy należałoby właściwem nazwać imieniem: poglądami fantastyczno-historycznemi, a nie krytycznemi — drogą takiej krytyki baśnie za prawdę, a prawdę za baśń ogłosimy! Ależ w takim razie umieszczajmyż je przynajmniej w książkach dla krytycznego świata pisanych, a nie w podręcznikach naukowych dla nauczycieli ludowych przeznaczonych, aby nie oswojono się z myślą tak przez rosyjskich pisarzy narzucaną, że cała niegdyś Polska wschodniego tylko była obrządku. Uczony Dr. Małecki w rozprawie swojej „Kościelne stosunki w pierwotnej Polsce“ (patrz *Przewodnik naukowy i lite-*

racki za miesiąc Maj r. b.) również stanowczo oświadcza się przeciw prawiącym nam o słowiańskim arcybiskupstwie pisarzom.

— Krakowska akademia umiejętności straciła znowu jednego ze swych członków korespondentów. W Dreźnie w willi Blasewitz zmarł 6 b. m. Karol Hoffman, wychodźca z 1831 r., autor *Historyi reform politycznych w Polsce*, mąż wielkiej zacności, ożeniony *primo voto* ze sławną Klementyną Tańską. W salonie ś. p. Hofmana gromadziło się swego czasu to wszystko, co tylko najznakomitszego miała u siebie Polska. Nikt z przejeżdżających przez Drezno nie omieszkał złożyć swej wizyty znakomitemu badaczowi dziejów ojczystych. Polacy będący na politechnice nieśli na swych barkach zwłoki zmarłego, a p. Kraszewski uczcił jego pamięć piękną mową, nad grobem powiedzianą. *Czas* donosi, że nagromadzone przez ś. p. Karola bogactwa sztuki, przekazane zostały Akademii umiejętności w Krakowie.

— Zdziwiła nas niemało w obojętnym tonie zrobiona wzmianka w *Wiadomościach Kościelnych*, jakoby Ormianie życzyć sobie mieli zwinięcia ich arcybiskupstwa lwowskiego. Otóż dowiadujemy się, że *Wiadomości* ktoś w błąd wprowadził. Ormianie nietylko tego nie pragną, ale zrobili nawet pewne kroki w ministerstwie w Wiedniu, aby temu zapobiedz. Sam Ojciec św., jesteśmy przekonani, nigdy nie pozwoliłby na to. Arcybiskupia ormiańska stolica, niechaj jeno zasiędzie na niej pasterz gorliwy, uczony, energiczny, znakomitą może odegrać dziś jeszcze rolę w dziejach Kościoła, skoro zważymy, że cała Bukowina i Księstwa Naddunajskie przepełnione są Ormianami dotąd jeszcze w schyzmie pogrążonemi. Zresztą my katolicy, a tymbardziej katoliccy pisarze powinniśmy zawsze pragnąć powiększenia a nie zmniejszenia liczby stolic biskupich, a w razie knującego się na nie zamachu, podnieść głos oburzenia i protestu. W takich sprawach wszelkie względy ustępować winny przed interesem i dobrem Kościoła.

ŚWIĘTOPIETRZE

(Serya IV)

ZŁOŻYLI W REDAKCYI:

„Ojcu Świętemu z prośbą o błogosławieństwo"

Ks. Isaakowicz proboszcz Ormiański ze Stanisławowa	5	„ —	„
Jeden z zacnych parafian ks. Isaakowicza	120	„ —	„
Ks. Antoni Pasiut	1	zł. —	ct.
Ks. Jan Curyłło	1	„ —	„
Ks. Roman	1	„ —	„
Ks. Antoni Monasterski, prob. od św. Anny we Lwowie ze składek w kościele	30	„ —	„
Ks. Kerschka, proboszcz z Podhajec ze składek w czasie odprawionej missyi	80	„ —	„
Od N. N. ze Lwowa (na ręce ks. Hołubowicza)	3	„ —	„
W. ks. Kłossowski	5	„ —	„
Ks. Aleksander Encinger od parafian z Narola z prośbą o błogosławieństwo	30	„ —	„
J. W. ks. Pralat Jurkowski	25	„ —	„
Razem	301	„ —	„
Z przeniesienia pięć dukatów w złocie, jeden cwancygier i złr.	463	„ 87	„
Razem pięć dukatów w złocie, jeden cwancygier i złr.	764	„ 87	„

Wydawca i odpowiedzialny redaktor ks. Edward Podolski.

WALERY WIELOGŁOWSKI

przez

LUDWIKA HR. DĘBICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

III.

Towianizm — Zwalczona pokusa — Pobyt w Rzymie — Grzegorz XVI — Turyści polscy — Arystokracya rzymska — Makryna — Jenerałowie: Szymanowski i Chłapowski — *Votum* — Protestant nawrócony — Powrót do Francyi — Pobyt w Cassis — Peregrinacye — Grzybobranie w lesie Fontainebleau i Bohdan Zaleski — *Polska w obec Boga* — Kantor emigracyjny — Salon — Książę Adam Czartoryski — Rzeź w Galicyi — Wybuch 1848 r. — *Vive la Pologne!* Lamartine i jego przypadek na Wschodzie — Jourdin i rozmowa Wielogłowskiego z Lamartinem.

Rzecz to znana, że wiara pozytywna, na powadze Kościoła oparta, ma dwóch wrogów: niedowiarstwo i łatwowierność, racyonalizm i ateizm z jednej strony, a z drugiej fałszywy mistycyzm, duch zaprzeczenia i duch zabobonu, pokusy umysłu i pokusy wyobraźni. Zdawałoby się już według samych prawideł psychologicznych, że wielki ów znawca natury ludzkiej, odwieczny wróg Boga pierwej stawia zasadzki na świeżą i niezużytą jeszcze wyobraźnię, odwodząc ją od prawdy istotnej i pozytywnej mamidłami urojeń, zanim przemawiać będzie na zimno do dojrzałego już rozumu i wbijając go w pychę, przeczyć wszystkiemu, co tym rozumem ludzkim objąć się nie da. Tak bywało przynajmniej w historycznym rozwoju różnych błędów i herezyj, że chorobliwe dodatki i ludzkie poprawki w religii Bożej zwykły poprzedzać epoki zwątpienia, niewiary i sceptycyzmu. Inaczej jednak było w tym nieprawidłowym rozwoju duchów polskich, pełnych polotu i ognia a rzuconych na targowisko europejskie, gdzie frymarczono tak ideami jak i sprawami materyalnego interesu. Bo też wyjątkowe to były natury, wyjątkowe pobudki nimi

kierujące i wyjątkowe przejścia tej drużyny wychodźctwa polskiego. Zapaleńcy młodzi o poetycznych duszach, miłosnych sercach, czystych intencyach a rozpaczliwym bólu zaczęli od zupełnej negacyi, zwątpienia, częstokroć bluźnierstw. Upadki te jednak tak sprzeczne z usposobieniem wewnętrznem, niezawisłe były i różne wielce od tej zarazy grasującej w przegniłej zachodniej społeczności. Niebyli to *librepenseur'y* w rodzaju francuskich, niebyli racyonaliści niemieccy — jad zwątpienia sączyła im do serc wielka boleść i nieco zuchwalstwa. We wszystkich tych obłędach pierwszych czasów emigracyjnych przemawiał tylko *Konrad* z improwizacyi Mickiewiczowskiej, szarpał się w konwulsyjnych rzutach, miotał na Boga, wyrzekał Kościoła w stanie gorączki. Nie chodziło im jak Francuzom o nową religię rewolucyjną, której Ewangelią i dogmatem prawa człowieka z 89 r., nie chodziło im także jak filozofującym Niemcom o zwycięztwo rozumu i wiedzy ludzkiej, ale chodziło wyłącznie i przedewszystkiem o pognębioną Polskę. Szał to miłości może pogańskiej, bluźnierstwa płynące z cierpień bez poddania się, ale dlatego, że z miłości i bólu płynące, łatwiej znachodziły przebaczenie i wywoływały tchnienie łaski.

Widzieliśmy powyżej jak działała łaska, jak szał mijał, bluźnierstwa cichły, zbolałe serca przed Panem się kruszyły. Czy jednak ten pierwszy upadek w zwątpienie nie osłabił dusz schorzałych, czy się tam gdzieś nie przyczaiła duma, czy zwłaszcza posłuszeństwo Kościołowi, ten konieczny warunek wiary, było należycie utwierdzone, a nadewszystko czy Bóg stanął na pierwszem miejscu po nad wszelką miłością ziemską, a Polska zamieniona w bóstwo, w religią zstąpiła na swe właściwe stanowisko, najszlachetniejsze z uczuć ziemskich? Niestety, nie u wszystkich. Już teraz na pojedynek nie wyzywa Boga *Gustaw* Mickiewiczowski, tak doskonale reprezentujący usposobienia swego autora i pokrewnych mu duchów, nie strzela w niebo, nie odgraża się bluźnierczo za opuszczenie Polski, ale za to miał nastąpić drugi może jeszcze niebezpieczniejszy szał, druga pokusa, która pobudzając do zanoszenia gorących próśb do nieba, kazała zarazem modlić się i do Boga i do ziemskiej ojczyzny, a w Ukrzyżowanym Zbawicielu ukazywała współuczestnika cierpień Polski, brata męczennicy narodów. Po *Gustawie* miały nastąpić *Księgi*

Pielgrzymstwa i *Kursa* Mickiewiczowskie, biesiady z mistrzem tajemniczym, zgoła mesyanizm.

Jaką w tem wszystkiem odegrał rolę ów szlachcic, co o jednym koniu przyjechał z Litwy i zamieszkał pod liczbą 44, nie wchodzimy tutaj. To pewna, że towianizm był tylko doprowadzeniem do ostatecznych konkluzyj błędu, który się wyrodził z wielkich cierpień, ze zbyt namiętnej miłości, z apoteozy ojczyzny. O Polsce Chrystusowej, o męczennicy narodów, o nowym ludzie wybranym czytamy już dawno w pismach i żalach najbardziej nawet religijnych poetów, czytamy i później u wieszczów i prozaików, co nie ulegli towianizmowi. Jakoż kierunek ten wypływa częstokroć z nastroju egzaltacyi religijno-patryotycznej, która tylko pomięszaniem tych dwóch uczuć grzeszy. Wszak godzi się i należy tak indywiduom jak i narodom w każdej próbie życia brać sobie za wzór Zbawiciela, ochładzać własne boleści i ofiary pamięcią na męczarnie zadane Odkupicielowi świata. Ale nie godzi się tylko równać ich z wzorem Boskim. Aby to jednak rozróżnienie zachować, aby być zbrojnym przeciw podobnym pokusom, nie dość wierzyć, trzeba według słów świętego Pawła, aby ta wiara była rozumną, trzeba wziąść tarczę gruntownej znajomości prawd religijnych, trzeba uzbroić umysł, poddać wolę a zwłaszcza sercem ukochać Boga nadewszystko.

Tak też wielu z owego połowu dusz, jakiego dokonał mąż Boży Bohdan Jański utwierdziło się raz na zawsze i nic nie uroniwszy z miłości ojczyzny, umiało tę miłość podporządkować miłości Boga i posłuszeństwu Kościołowi. Pierwsi zaś owi żołnierze zakonnicy ś. p. O. Hieronim, O. Piotr i O. Aleksander stanęli na straży. Znane pod tym względem zajścia które rozdzieliły lubo nie zwaśniły Adama z najbliższemi mu umysłem i sercem. Wielogłowski nie był tak silnie uzbrojony jak ci ojcowie w wiedzę teologiczną, pochopność jego wyobraźni i zapalność jego serca już kilkakrotnie nacechowaliśmy. Zasługa jego tem też większa, że się oparł pokusie nowego obłędu jedynie siłą posłuszeństwa. Zespolony ścisłemi związkami przyjaźni z Mickiewiczem, ulegający urokowi jego jeniuszu, żyjący w kole jego satelitów, zrazu uczęszczał na owe biesiady, gromadzące się w koło mistrza. Nie była to dusza wolna od mistycyzmu, lubował się częstokroć w obrazach

nadzwyczajnych, nawrócenie świata, odrodzenie chrześcijaństwa, zbawienie Polski zwiastujących. Powiemy więcej, niejedno może słowo, niejedna przenośnia i błędna nauka padła tam w głąb serca i tliła w tem iskrzącem ducha ognisku długo jeszcze, bo niełatwo ugasić to zarzewie, które wznieci szlachetny obłęd. A jednak Walery nie uległ całkowicie; odrazu odparł pokusę i otrząsł się z urojeń, choć nie bez żalu i nie bez walki. Wystarczył jednak wyrok Rzymu, wystarczyło ostrzeżenie kapłanów. Z boleścią oderwał się od koła przyjaciół i wstrzymał się nad nową przepaścią. Ostatnią i stanowczą jego odpowiedzią na namowy i pokusy były te piękne słowa: „między wami a mną stoi tylko Rzym".

Bo Rzym już orzekł, a Wielogłowskiego zbyt wiele kosztowała poprzednia utrata wiary, zbyt ciężko dochodził do jej odzyskania, aby nie umiał ocenić tego dobrodziejstwa, jakiem dla katolików jest posłuszeństwo Kościołowi i jego głowie.

Zwalczona pokusa pomnaża plon łaski — to też odtąd Wielogłowskiego widzimy stale pomiędzy najgorliwszymi synami Kościoła, pomiędzy jawnymi wyznawcami i gotowymi do obrony szermierzami. A był to jeszcze czas, kiedy niewiara walczyła szyderstwem, a religijność jawną okrywano śmiesznością. Oczywiście owa śmieszność bigoteryi, jak zwykli niedowiarki nazywać ścisłe przestrzeganie przepisów i przykazań kościelnych, przeciw świeżo nawróconemu, niedawno jeszcze podzielającemu obłędy niewiary i radykalizmu miała dorość do zarzutów tartuferyi. Zawziętość, z jaką się miotali na Wielogłowskiego ci, co go dawniej zaliczali do swego obozu, ścigała go do grobowej deski. Obłudnicy i faryzeusze, co całe życie kłamią sumieniowi i przeczą głosowi choćby jedno rozsądku i serca, aby tylko nie przyznać się do winy, nie odwołać szału albo błędu młodości, ci zastarzali fanatycy demokratyczno-bezbożnej szkoły, w jakich niestety obfitowała emigracya, ci których żadne nieszczęście narodowe nie zdołało opamiętać, żaden znak czasu wstrzymać i nawrócić, ci właśnie niepoprawni zwykli najzawzięciej prześladować i ohydzić tych, co ich szeregi wcześnie porzucili. Nienawiść ta miała zagoryczeć nie jedną chwilę ś. p. Walerego, który lubo nie dbał o popularność, to jednak niosąc ludziom miłość, potrzebował jej wzajem. Przyznać atoli trzeba, że tej miłości, przyjaźni, nie brakło z drugiej strony wśród tułactwa naszemu wygnańcowi.

Zamieszkiwał on czas jakiś w Paryżu, gdzie uczęszczał zrazu do górniczej szkoły. Skrzętnie krzątał się Walery około potrzeb własnej rodziny i spraw emigracyjnych. Zabiegliwy, przedsiębiorczy z natury łatwo też się mógł przejąć duchem inicyatywy, który chwili nie spoczywa i coraz to nowe pomysły porusza i — tą pracowitością niezrównaną, jaką się zalecają Francuzi. Z Francyi też następnie przyniósł do kraju te zalety i wbrew niepowodzeniom zachował je do ostatniej chwili życia. Potrzeby duchowe pchały jednak zwróconego świeżo do Kościoła Wielogłowskiego w pielgrzymkę do grobu apostołów i Stolicy Namiestnika Chrystusowego. Gdy przeto nadszedł z kraju fundusz, czy coś się zapracowało samemu puścił się nasz pielgrzym z żoną i nowonarodzoną córeczką do Rzymu w r. 1840. Byli już tam Ojcowie Zmartwychwstańcy, łamiący się z pierwszemi trudnościami założenia nowego zakonu. W Paryżu zawiązał już Wielogłowski wiele stosunków z osobami ze świata katolickiego, które mu miały posłużyć w Rzymie, niejedne otworzyć drzwi i ułatwić przystęp. Kilkakrotnie przyjęty na prywatnej audyencyi przez Grzegorza XVI, miał sposobność rozmawiania z Ojcem Św. o nieszczęśliwej Polsce, a była to właśnie chwila Mikołajowskich prześladowań unii, męczeńskiej misyi w Dzierniowicach, chwila ucieczki Matki Makryny, co przybyła do Rzymu, jako żywy świadek strasznych okrucieństw.

Pobyt w Rzymie, owa atmosfera wiecznego miasta, w obec której wszystko maleje, ludzie i pomniki współczesne, bo ona jest streszczeniem dziejów świata, syntezą moralną historyi ludzkości rozdzielonej na dwie ery ramionami krzyża, widok wreszcie tego surowego zakonnika w tiarze, wszystko to miało dokonać reszty dzieła i utwierdzić Wielogłowskiego na drodze wskazanej przez Bohdana Jańskiego. Bo nie przybywał on tutaj, jak większość nawet naszych podówczas znakomitości, jako turysta, przynęcony acheologiczną i artystyczną ważnością pomników, ale jako pokutnik i pielgrzym.

Obok tych wrażeń wewnętrznych, duchowych, na zawsze hartujących wiarę, Wielogłowski odnosił także bardzo miłe i korzystne wrażenia ze sfer, do których znalazł przystęp. Niema bowiem przystępniejszej stolicy na świecie, niema do-

stojników bardziej łatwych i przynęcających, niema arystokracyi mniej wyłącznej nad społeczność papieskiego Rzymu. Polacy zaś zawsze mile widziani łatwo wchodzić mogli w najwyższe koła. Oprócz poznania licznych znakomitości duchownych i świeckich Rzymu, państwo Wielogłowscy spotkali tutaj wielu znajomych z kraju. Bawił podówczas w Rzymie, hrabia Józef Wodzicki z Krakowa, którego małżonka będąc ciotką pani Wielogłowskiej i oceniając jej wysokie choć ciche cnoty, otaczała ją najczulszą miłością. Bliskie i częste stosunki zażyłości łączyły rodzinę naszych pielgrzymów z jenerałem Szymanowskim, zamieszkałym stale w Wiecznem Mieście. Przebywał tu także podówczas jenerał Chłapowski, który ze znaną serdecznością i gotowością do pomocy, namawiał Walerego, aby się przeniósł w Poznańskie biorąc na siebie wyrobienie pozwolenia do osiedlenia się. „Kupisz sobie wioskę w okolicy Turwi — mówił do niego sędziwy weteran.“ Ależ kiedy ja na wioskę nie mam — odrzekł Walery. „Ty nie masz, ale ja mam“, była odpowiedź. Te krótkie słowa z żołnierską wyrzeczone prostotą, lubo z nich niebyłby korzystał Walery, przejęły go taką wdzięcznością, że ich pamięć zachował do śmierci.

Wiele więc pociech doznała rodzina Wielogłowskiego w tej pielgrzymce, ale wnet i boleść miała zamącić te dni urocze. Była nią nagła choroba jedynej, ukochanej córeczki. Już pięciu najznakomitszych lekarzy rzymskich przywoływanych na konsultacyę przez stroskanego ojca odstąpiło od łoża dziewczynki, zapowiadając, że dreszcze konania nadchodzą i że sztuka lekarska nie ma środków ratunku. Wielogłowski nie mając siły patrzeć na zgon jedynaczki, wybiega w rozpaczy szukać ostatniego ratunku przed ołtarzem cudownym Matki Boskiej u OO. Augustyanów. Było to w Maju, świeżo właśnie rozpowszechnił się był zwyczaj nabożeństw majowych do Matki Boskiej dotąd w Polsce nieznany. Natrafił właśnie Walery na to nabożeństwo, a łącząc swoje gorące instancye za uratowaniem dzieciny do modłów zgromadzonych, czyni on wotum, że jeśli ukochana Marynia ocaleje za wstawieniem Matki Boskiej, on w Polsce nabożeństwo majowe zaprowadzi i rozpowszechni. Wraca tedy z otuchą i nadzieją w sercu do domu, gdzie zostawił konającą, jakoż wybiega doń żona pocieszona i oznajmia mu, że ze zdumieniem lekarzy konwulsye konania ustały, a sen spokojny nastąpił. W parę dni na przekor wyrokom medyków Marynia powróciła całkowicie do zdrowia. Jeden z lekarzy Niemiec protestant tak był uderzony cudownem uzdrowieniem umierającej, że wszedł na drogę wiary i wkrótce stał się synem Kościoła katolickiego. Wielogłowski też, jak zobaczymy niżej, dotrzymał w lat kilkanaście uczynionego w Rzymie wotum, jemu bowiem zawdzięczamy wydanie w Krakowie pierwszej książki do tego nabożeństwa.

Pobyt w Rzymie lubo tak ponętny, był za kosztownym, trzeba było szukać tańszego schronienia. Państwo Wielogłowscy powrócili więc znów do Francyi południowej, gdzie w bliskości Marsylii w małem portowem miasteczku Cassis zamieszkali. Korzystając z łaskawie udzielonych nam notat córki pana Walerego, owej cudownie uratowanej jedynaczki, sądzimy, że te szczegóły z ciągłych peregrynacyj lubo nie będące w związku z życiem publicznem męża, którego pamięć wznawiamy, nie są jednak bez interesu choćby tylko dlatego, że nam dają poznać jego charakter i stanowią tło epizodów emigracyjnej Odyssei.

Ustronie owo nad morzem nie było pozbawione uroku, a Wielogłowski miał tę wyjątkową naturę, że rzucony w wir świata, o ile przejmował się jego ruchliwością, gromadził w koło siebie, radził, pisał, pobudzał do działania i ożywiał towarzysko wszystkich, o tyle znów najcichsze, najbardziej odludne ustronie umiał zapełnić tem bogactwem wewnętrznego życia. Więc i nad morzem Śródziemnem pogodne dni płynęły. Duch jego spokoił się w samotności. W dzień szła praca umysłowa, rozgałęziona korespondencya i przygotowywały się pierwsze literackie produkta, które w lat kilka miały się ukazać. Pod wieczór po kąpieli morskiej, wyprawa na korale nad brzegiem morza. Z rozrywki tej wracało zawsze całe grono zmoczone do nitki, bo trzeba było nadpływające na brzeg bałwany uprzedzać i wyrywać im krasne koraliki, ubiegając się często przy pustych śmiechach o zdobycz. Było też kilku Polaków w Cassis, a między nimi kolega pana Walerego z uniwersytetu krakowskiego, p. Napoleon Medyński słynny lekarz. Wieczorem gromadzono się w domu Wielogłowskich, przy ożywionej rozmowie, której przewodził gospodarz klejąc pudełka z muszli i korali. Było coś magnetycznego w naturze pana Walerego, co działało i przy-

ciągało każdego, to też w Cassis rodziny rybaków uczuły ten wpływ sympatyczny, co tak kiedyś miał oddziałać na naszych włościan.

Lecz trzeba było opuszczać to ustronie, szukając zarobku i miejsca, w któremby można znaleźć środki edukacyjne dla jedynaczki. Jest dziwny niepokój, który towarzyszy wygnańcom polskim, nigdzie oni zapuścić korzeni nie mogą, bo wszędzie tęskno i zewsząd jak gdyby nastawiali ucha czy tam jakieś echo z Polski nie nadleci — czy przez chmury horyzontu politycznego nie przepływa jakiś orzeł, zwiastujący ważne i upragnione zmiany. Więc kilkakrotnie zmieniali jeszcze miejsce nasi tułacze, z Cassis do Aix, z Aix do Tuluzy, ztamtąd do Fontainebleau, aż wreszcie osiedlili się znów w Paryżu. Gdziekolwiek przybyli, pierwszą bywało rzeczą razem iść do spowiedzi i komunii św.

Jak w Cassis zbieranie korali, tak w Fontainebleau grzybobranie było ostatnią sielską rozrywką przypominającą lasy ojczyste, a w której bawiący tutaj Bohdan Zaleski zwykł był przewodniczyć, zawsze jednak, według notatek, które mamy przed sobą rezultat nie odpowiadał zachodom, bo rozmowa unosiła do Polski i gdy dziatwa już napełniła koszyki, pan Walery i pan Bohdan w gorącą zapuszczali się rozprawę.

W Paryżu zaczęło się znów życie inne,

O czem tu dumać na paryskim bruku,
Przynosząc z miasta uszy pełne stuku
Przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów,
Zapóźnych żalów, potępieńczych swarów.

pisał Adam w przedmowie do *Pana Tadeusza*, trzeba było chyba drzwi zamknąć od europejskich hałasów. Wielogłowski nie był zdolny odosobnić się, gdy wrzało życie w koło niego. Jużeśmy powyżej wspomnieli, na jaką on był pokusę i na jaką boleść wystawiony z powodu obłędu, co ogarniał najbliższych mu. Nie zerwały się jednak stosunki przyjaźni z Mickiewiczem i wielu innymi z biesiady mistrza, pomimo stanowczej odpowiedzi i silnego wyznania, że niepójdzie z nimi, bo „między wami a mną stoi Rzym". Naznaczamy tutaj, że pod tę porę Wielogłowski wziął pióro do ręki, aby skreślić pierwszą swą pracę *Polska w obec Boga*. Na osobnem miejscu zastanowimy się nad tem pismem, równie świetnem formą ile bogatem myślą, lubo i tutaj

odbiły się pojęcia szerzące się podówczas między emigracyą. Dzieło to dedykował autor Ojcu Św. Grzegorzowi XVI, i tem już nadał mu to piętno katolickie, które cechowało wszystkie pisma pana Walerego.

Położenie materyalne poprawiło się nieco pod tę porę, częścią skutkiem rewindykacyi resztek uratowanych posagu pani Wielogłowskiej, częścią w skutek zabiegliwości Walerego, który coraz to nowe podejmował przedsiębiorstwa. Już teraz rozpoczął próbę, którą następnie miał do kraju przenieść polskiego domu przemysłowego. Pośredniczył on w zamówieniach z kraju, w wydawnictwach i założył rodzaj kantoru emigracyjnego. Wprawdzie materyalne rezultaty nie były bardzo świetne dla założyciela, zwłaszcza dom przemysłowy zamienił się wnet w magazyn dla ubogiej emigracyi, opatrującej się tu w pierwsze potrzeby życia i — w kasę oszczędności, do której nikt prawie nie składał, ale wielu z niej czerpało. Przechodzi pojęcie ta uczynność i ofiarność Wielogłowskiego, która leżała w jego naturze, która się rozwinęła pod wpływem nędz emigracyjnych, a którą wzmocnił jeszcze zwrot do wiary uczuciem miłości bliźniego i miłosierdzia chrześcijańskiego. Do Wielogłowskiego stosuje się wyśmienicie to wyrażenie popularne, „był to człowiek ludzki", co łączy cnotę miłosierdzia z uczynnością i gościnnością.

Lubo daleko było od dostatków, wystarczało jednak na tyle, aby tej żyłce gościnności zadość uczynić. Wnet też dom państwa Walerych stał się w Paryżu salonem emigracyjnym, w którym spotykali się rodacy z kraju ze znakomitościami wychodźtwa, młodzież polska z licznemi znakomitościami francuzkiemi, ubodzy z możnymi, a częstokroć porozumiewali się ludzie najprzeciwniejszych opinij i skrajnych obozów. Co czwartek bywały zebrania tak licznie odwiedzane, że szczupłe jak zwykle paryskie pokoiki ledwo mogły pomieścić, co polska przyciągała gościnność. Mały ogródek obok sali jadalnej zamieniał się na salon, a rozmowę ożywioną przerywały popisy polskich artystów jak dwóch braci Kątskich, niekiedy Chopina i wielu dyletantów. Dowcip iskrzący gospodarza i magnetyczna słodycz gospodyni jednoczyła wszystkich, ożywiała tetryków, zbliżała antagonistów. Groźny demokrata czuł się tu ujętym uprzejmością księcia Adama Czartoryskiego, który nie opuszczał czwartkowych zebrań

u pana Walerego, pełne uprzedzeń do arystokracyi kobiety ulegały pod wpływem uprzejmości księżnej Adamowej. Tutaj przygotowały się różne projekta w celu wyzyskania francuskiej ofiarności dla ulżenia nędzy polskiej. Tu toczyły się rozprawy polityczne w tych burzliwych czasach i literackie spory w owej epoce, kiedy poezya i piśmiennictwo emigracyjne dochodziło do swego kulminacyjnego punktu. Nie zdołamy wyliczyć całego szeregu znakomitości, które regularnie uświetniały czwartkowe zebrania, a to wszystko odbywało się z prostotą odpowiednią zgromadzeniu tułaczów.

Wieść o strasznej katastrofie rzezi galicyjskiej przerwała te liczne zgromadzenia, bo pogrążyła w głęboką boleść gospodarzy domu. Obok klęski publicznej, wykazującej dowodnie, do czego prowadził obłęd ratowania Polski za pomocą socyalistycznych wstrząśnień, obok wrażenia piorunującego, które miało utwierdzić dawnego demokratę w zasadach szlacheckich i konserwatywnych, pan Walery opłakiwał wielu przyjaciół, krewnych i towarzyszów młodości.

Opuścili teraz państwo Wielogłowscy nieco obszerniejsze mieszkanko z ogródkiem, bo znów fundusze zaczęły szwankować a przyniosłszy się na *Faubourg St. Honoré* oddali się wyłącznie: pani Konstancya wykształceniu córki i dziełom miłosierdzia, pan Walery zachodom około domu komisowego.

Nastąpił znów wybuch rewolucyi 1848. Pierwszym aktom tego wulkanicznego wybuchu przyglądał się jeszcze Wielogłowski w Paryżu, aby już teraz stanowczą na resztę życia powziąść odrazę do rewolucyi. Trzymał się też zdala od wszelkich politycznych i klubowych robót emigracyi polskiej, która lubiła wszędzie wtrącić swoje trzy grosze. Sprawa polska wiadomo, że służyła podówczas za jeden ze sztandarów rewolucyi. Znajdą czytelnicy w historyi rewolucyi 1848 r., skreślonej piórem prezydenta-poety opis owej sceny przed *Hôtel de Ville*, kiedy tłumy z okrzykiem *Vive la Pologne* domagały się od Lamartina zobowiązań na korzyść północnej Francyi. Rozważniejsza część emigracyi nie cieszyła się temi okrzykami i wstrzymywała całym swoim wpływem rodaków od udziału w zaburzeniach ulicznych. Udział ten jednak gorętszych i czerwieńszych był dość znacznym, aby dać powód, a przynajmniej pozór Lamartinowi dzierżącemu prezydenturę do kroków nieprzyjaznych przeciw emigracyi. Grożono

cofnięciem zapomóg udzielanych przez rząd Ludwika Filipa, a nawet wydaleniem polskich emigrantów.

Wielogłowski był w posiadaniu przypadkiem tajemnicy, dlaczego Lamartine taką niechęcią do Polaków pałał. Nie same względy polityczne były tego powodem, bo niechęć nietylko w działaniu politycznem prezydenta, ale i w pismach poety się objawiła. Tajemnica ta sięgała daleko i kto wie czy nie była pierwszą plamą na charakterze poety, co tak świetne miał początki, zanim doszedł do wyzyskiwania swej sławy, sprzedając ją na subskrypcyach publicznych i targach literackich.

Pominąć tej tajemnicy nie możemy, lubo z pewnym wstrętem przychodzi nam ją powtórzyć tak, jak ją opowiadał Wielogłowski. Lamartine, gdy jeszcze był młodym marzycielem, wyprawił się na wschód, łącząc fantazye poety z rujnującemi fantazyami panicza, zakupił był w Arabii za wysoką cenę, przechodzącą jego możność sześć ogierów. Wiadomo, jakim trzeba być znawcą, aby kupując konie od Araba, niebyć oszukanym. Znawcą zaś nie był autor *Impressions et Voyages en Orient*. Gdy przybył do Konstantynopola okazało się, iż jego rumaki były wysortowanemi kalekami. Poeta spodziewał się dobry interes na tem kupnie zrobić — zawód był też tem dotkliwszy, iż stawiał go w trudnem położeniu, bo w niemożności powrotu do Francyi. O poecie i arabskich koniach rozeszła się wnet wiadomość w świecie dyplomatycznym Stambułu. Jedni żartowali — drudzy się litowali. Do tych ostatnich należał ambasador rosyjski, zgłosił on się do Lamartina, chwalił ogiery i zakupił je za poczwórną sumę pierwotnej ceny. Ztąd znajomość coraz zażylsza, coraz serdeczniejsza. Na jednem z objadów ambasador wielki znawca i lubownik literatury, rozwodził się z pochlebstwami dla młodego poety, który właśnie kończył swe wrażenia z podróży. Przy czarnej kawie napomknął dyplomata-mecenas, że jak słyszał w tece poety jest rozdział o Polsce, który ma być włączonym do podróży wschodniej. W sposób nader ujmujący wyraził życzenie, aby Lamartine zechciał mu odczytać ten ustęp, gdyż znając dobrze Polskę, może mu udzielić informacyi. Po kupnie ogierów odmowa była trudną. Lamartine przeczytał ów rozdział — a po objaśnieniach ambasadora co do iluzyj panujących we Francyi o Polsce, nie zostawało jak znów

przy czarnej kawie i fajkach rzucić rękopism do kominka. Łatwo da się zrozumieć, że po takiej abdykacyi, która może była pierwszym upadkiem poety, musiała pozostać gorycz w duszy, która się odtąd zwracała zawsze nie do dyplomacyi rosyjskiej, ale do sprawy polskiej. Jest to klucz psychologiczny polakofobii Lamartina.

Wielogłowski mając z najlepszego źródła, bo przez lekarza ambasady rosyjskiej w Konstantynopolu opowieść tego zdarzenia, nie czynił z tego użytku publicznie. Ale gdy prezydent zaczął grozić wygnaniem emigracyi polskiej, spotkawszy p. Jourdin przybocznego sekretarza Lamartina, prosił go, aby zechciał oświadczyć prezydentowi, że jest w Paryżu Polak, który zna historyę koni arabskich w Konstantynopolu. Jourdin wywiązał się z poleczenia, a misya ta wywarła tak silne wrażenie na Lamartina, że wezwał Wielogłowskiego do siebie. Zaambarasowany zaczął zaręczać, że nie jest nieprzyjacielem Polaków i wyrażał nadzieję, iż tajemnica nie wyjdzie na jaw. „Jeśli wyrok wydalenia emigrantów nie będzie wydanym — odrzekł Wielogłowski". Rozmowa ta z prezydentem Rzeczypospolitej francuskiej pozostała też sekretem w obec emigracyi, która jej zawdzięczała dalszy swój pobyt.

Na tym epizodzie kończymy obraz tułaczego życia pana Walerego. Rewolucye do koła, miały tę jedną dobrą stronę, że otwierały emigracyi bramę do powrotu przynajmniej do Wielkopolski i Galicyi. Pan Walery nie czekał długo; zbyt był stęskniony za powietrzem rodzinnych stron, zbyt zrażony emigracyjnemi sporami, zbyt zniechęcony do francuskich przewrotów. (C. d. n.)

Z NOTATEK
ośmdziesięcio-letniego starca
LITWINA-UNITY.

(Ciąg dalszy).

III.

Fundatorami pierwotnemi klasztoru i cerkwi Żyrowickiej Bazylianów (po objawieniu się obrazu Matki Boskiej w polu na

gruszce) byli: Sołtan, Tryzna, Mieleszko i Jan III, król polski, w późniejszym zaś czasie księża Bazylianie sami budowali i powiększali fundusz. Od zjawienia się Matki Boskiej w wieku XV w tem miejscu, już trzecia była to cerkiew wybudowana. Była ona z muru dość wielka, sklepienie jej na 8 filarach oparte, przy których były ołtarze. Klasztor sam był trzypiątrowy w trzech liniach, z których jedna łączyła się z zakrystyą cerkiewną. Bogactwa w niej znajdowały się znaczne, ale przez Siemaszkę zrabowane zostały, były to trzy monstrancye, z których jedna według inwentarza oszacowana była na 18.000 złot. polsk., druga wielka srebrna wyzłacana na 33.000 złot. polsk., trzecia zaś złota i drogiemi kamieniami wysadzana na 75.000 złot. polsk. Puszki, kielichy, krzyże na ołtarzach, relikwiarze, tace, ampółki, lichtarze dwułokciowe i inne mniejsze przystawki były także srebrne. Ołtarz Matki Boskiej w carskich wrotach w Ikonostasie, pod którym pień gruszki, na której się zjawiła Matka Boska, z obrazkiem jej na aspisie niewielkim, w objętości hostyi łacińskiej o ramach długich na 3 łokcie, szerokich na 2 łokcie, ze srebra, złota i drogich kamieni, według ocenienia jubilera na 5 milionów złot. polsk. oszacowane; po bokach ołtarza było obrazów mnóstwo, na których wisiały złote i srebrne rozmaitej wielkości tabliczki, ofiarowane przez przychodzących na odpusty z dalekich stron ludzi. Przed każdym odpustem połowę mniej więcej tabliczek zdejmowano, i do skarbca chowano, a opróżnione miejsca znowu ludzie odpustowi tabliczkami zapełniali. W skarbcu takich tabliczek przez kilka lat zebranych były 3 beczki napakowane i do inwentarza zapisane; wszystkie Siemaszko zabrał niby do skarbca carskiego. Mieszkający w czasie zaboru tego księża opowiadali, że Siemaszko wyjął obraz cudowny Matki Boskiej z ołtarza, i trzymał go u siebie przez trzy dni, nim go obdarł z klejnotów i drogich kamieni różnych, i takowe do Petersburga odesłał.

Rabunek ten można było przewidzieć jeszcze w r. 1822, gdy rząd najsurowiej nakazał Bazylianom, aby nowy inwentarz zrobili i najsumienniej i najdokładniej wszystek fundusz, tak ruchomy jak i nieruchomy, z ocenieniem każdej rzeczy, jakiej jest wartości, wykazali. Na ten rozkaz ks. Cezary Kamiński, litewskiej prowincyi przełożony, woził z sobą jubilera i dwóch pisarzy od klasztoru do klasztoru i spisywał każdą rzecz, a ważniejsze przedmioty jubiler rozeznawał i oceniał.

Takiego rabunku dopuścił się zresztą Siemaszko tylko po unickich cerkwiach, w zabranych zaś uprzednio przez rząd dla dysunitów,

cerkiewne bogactwa i kosztowności utrzymały się, i nie było tam podobnego rabunku. Świadkiem tego byłem i widziałem, że w poczajowskiej pobazyliańskiej cerkwi dawne bogactwa do dziś się utrzymują, prócz obrazów ŚŚ. Pańskich zachodniej cerkwi. Tych choć miały arcykosztowne ramy i malowidła, nie wolno było sprzedać, zabrano je też z cerkwi i kaplic na dwa wozy, wywieziono do wsi Poczajowa, i tam przy prawosławnym świadku na stosie ognia spalono.

Wysłał potem Siemaszko do duchowieństwa uniekiego wszystkich 3 dyecezyj kursoryą z zapytaniem, 'co utrzymują o grecko-rosyjskiej religii, jej obrzędach i ceremoniach, i zażądał, aby każdy na to po szczególe własnoręcznym odpisem dał odpowiedź. Księża Bazylianie i niektórzy z kleru świeckiego politycznie i obojętnie na to odpisali, i wyrozumiał z nich Siemaszko, że bardziej okazali przychylność ku rzymsko-unickiej cerkwi, a o rosyjskich obrzędach obojętnie się wyrazili. Postanowił więc najprzód liczbę osób w zakonie Bazylianów zmniejszyć, a to tym sposobem:

W roku 1830 wydał w imieniu Mikołaja ukaz, pozwalający Bazylianom powrócić albo do swego obrządku, jeżeli byli przedtem obrządku łacińskiego, co mieli udowodnić metryką swoją i ojca, albo do innego stanu, w jakim chcą zostać. Wkrótce otrzymali też niektórzy uwolnienie od zakonu bazyliańskiego i pozwolenie przejścia do zakonu łacińskiego czy na świeckiego, księdza łacińskiego, lub też wprost na cywilnego. Takim uwolniającym się z zakonu i obierającym sobie nowy stan, niezważając na dobrowolnie złożoną przez nich publiczną profesyę czyli przysięgę, pozwolono nawet ożenić się, tylko niewolno im było mszy św. prawić. Jeśliby zaś byli unickiego obrządku, to wprzód według ukazu uwalniającego musieli oświadczyć się w prośbie, że przyjmują religię panującą rosyjską, a wtenczas na piśmie uwolniono ich od profesyi i kapłaństwa z tym warunkiem, aby nigdy już nie przystępowali do prawienia mszy św. Wolno im było także żenić się.

Po otrzymanym takowym uwolniającym ukazie, bardzo wielu Bazylianów uwolniło się z zakonu, unikając zmuszania do schyzmy. Jedni poszli do zakonów łacińskich, niektórzy przeszli na świeckich księży łacińskich, a kilku tylko na cywilnych. Siemaszko naznaczył przytem innym ukazem termin, którym można było uwolnić się, do roku 1834, po upływie którego żadnemu już Bazylianowi nie pozwolono przejść na łaciński obrządek, i tylko wolno im było przyjąć prawosławie lub zostać cywilnymi.

Po znacznem zmniejszeniu się Bazylianów apostołował dalej Siemaszko z podobnymi sobie, i znaczniejsze osoby z unitów tak z kleru świeckiego jako też z Bazylianów namawiał na przyjęcie panującej religii, używając w tym względzie rozmaitych chytrych sposobów. Z pozostałych unickich biskupów, jeden tylko białoruskiej dyecezyi Bazyli Łoziński był przy życiu, i tego też Siemaszko namówił na przyjęcie dysunii. Więc za ich przykładem księża w Justic-kolegium, i w trzech konsystorzach oficyali i inni członkowie konsystorscy, złudzeni na przyszłość urzędowaniem, orderami, majątkami itp. przyjęli dysunię z obowiązkiem namawiania do przyjęcia prawosławia także drugich księży. Uradzono, aby nieznacznie oswoić unitów z obrzędami cerkwi rosyjskiej, a to tym sposobem:

Siemaszko prosił u synodu petersburskiego o mszały rosyjskie dla cerkwi unickich; synod przyjął chętnie tę prośbę, rozkazał natychmiast wydrukować w petersburskiej i kijowskiej drukarni we dwóch tomach in 4to 800 z górą mszałów i drugie tyle mołebników, i darował je dla unickich cerkwi. Siemaszko w r. 1834 rozesłał je księżom do każdej parochialnej cerkwi, niby dla rozpatrzenia rytuału, a jeśli który ksiądz nie chciał przyjąć, zmuszał go do przyjęcia i czytania.

Zauważył przytem, że żniwo było wielkie a żeńców mało, i że sam wydołać nie może w tej missyi. Dobrał więc sobie na pomocnika ks. Antoniego Żupkę, ex-unitę, podobnego sobie w chytrości, rodem z Białorusi, będącego w tym czasie rektorem seminaryum żyrowieckiego; poświęcił go na biskupa w r. 1834, osadził w klasztorze, po Bazylianach skasowanym, w Żyrowicach przy konsystorzu i seminaryum, i zalecił mu tak duchonych jak i cywilnych unitów do prawosławnej cerkwi nieznacznie nawracać. Na stołowe naznaczył mu majątek klasztoru Torokańskiego, po zniesieniu Bazylianów w tymże, i samowładny dał mu zarząd trzech folwarków, należących do tego klasztoru w kobryńskim powiecie. Nowy ex-unicki biskup, Antoni Żupko wziął się do tej czynności wszystkiemi siłami i rozmaitemi sposobami zachęcał do przyjęcia rosyjskiej religii. Nasamprzód nakłaniał do tego dziekanów, przełożonych bazyliańskich i innych, i dla lepszej wiary, aby się potem nie wyrzekli przyjętego prawosławia, wymagał od nich własnoręcznego podpisu: „Ja N. N. z własnego przekonania się o prawdziwości rosyjskiej prawosławnej cerkwi dobrowolnie przyjmuję ją, obowiązuję się także innych do niej przyprowadzać, w dowód czego własnoręcznie podpisuję się".

Z największem wysileniem wzięli się do tej missyi także księża nowi dysunici, tak konsystorscy jako i dziekani, i każdy z nich starał się jak najwięcej nawrócić na prawosławie, gdyż za to niezawodnie spodziewał się według deklaracyi Siemaszki, otrzymać promocyę, lub majątek po Bazylianach. Sami biskupi czynnie bardzo zabrali się do nawrócenia Bazylianów, jako do największych przeciwników schyzmatyckiej wiary; ich zwierzchników nasamprzód postanowili ułowić. Na nieszczęście ze strony Bazylianów nie było już wtenczas komu przeciw temu opierać się, zmniejszyła się bowiem była przez wystąpienie z zakonu ich liczba, a do tego jeszcze w prowincyi białoruskiej i wołyńskiej prowincyali nieco wprzódy byli poumierali. W litewskiej prowincyi był w tym czasie prowincyałem i opatem Pińsko-Leszczyńskim ks. Józefat Żarski, który zrazu opierał się wprawdzie odebraniu niektórych klasztorów i zmniejszeniu osób zakonnych, lecz nie długo trwała ta obrona. Namowom Siemaszki i Żupka dał się ułowić. Przyrzeczono mu, że jeśli przestanie opierać się postanowieniu carskiemu, przyjmie panującą religię, a tem samem da przykład przyjęcia onej dla wszystkich Bazylianów i innych unitów, zostanie biskupem pińskim i panem dożywotnim opactwa pińskiego, czyli leszczyńskiego, które posiadał. „Inaczej nic nie zrobisz, powiedziano mu, z prowincyalstwa zrzucimy cię, majątek opactwa odbierzemy, a postanowienie carskie do skutku przyprowadzone być musi".

Prowincyał Józefat Żarski, złudzony honorami, schyzmę przyjął, zapomniawszy na swego patrona Józefata Kuncewicza, który za unię przez schyzmatyków zamordowany został. Z Justic-kolegium, ex-unickiego, z rozkazu Siemaszki na prędce wydano ukaz na imię carskie i ogłoszono Bazylianom: ponieważ w prowincyach białoruskiej i wołyńskiej prowincyałów nie ma, a obierać nowych nie dozwala się, i urząd prowincyała, jako też proto-konsultorów i zbieranie się na kapitułę, tak na Białorusi, Wołyniu jak i na Litwie Bazylianom zakazuje się na zawsze, zarząd przeto Bazylianami we wszystkiem i we wszystkich klasztorach będzie odtąd zależał od biskupów dyecezalnych. Ponieważ też na Wołyniu w Łucku ks. biskup dyecezalny Cyryl Sierociński w tych czasach umarł, dyecezyę i prowincyę Bazylianów wołyńską przyłączono tymczasowo do dyecezyi litewskiej i konsystorza w Żyrowicach, w powiecie słonimskim, w gubernii grodzieńskiej.

Po tem skasowaniu Bazylianów, Justic-kolegium exprowincyałowi litewskiemu, ks. Józefatowi Żarskiemu, dało instrukcyę i nakaz, aby zwizytował znaczniejsze Bazyliańskie na Wołyniu i Litwie

klasztory i cerkwie ich, i dał decezyę, które są lepsze i wygodniejsze, a inne podał do kasaty. Po skończonej wizycie Józefat Żarski pojechał do Petersburga i tam przez Siemaszkę został poświęcony na prawosławnego biskupa pod tytułem pińskiego r. 1835. Wkrótce powrócił do Litwy, i rezydował w klasztorze byteńskim, którego majątek i opactwo Leszczyńsko-pińskie oddano mu na stołowe.

Niebawem Siemaszko z Justic-kolegium wydał nowy ukaz w imieniu cara Mikołaja, nakazując przez konsystorze wszystkim duchownym świeckim i Bazylianom, aby według rytuału i mszału grecko-rosyjskiego, uprzednio im przysłanego, uczyli się, i podług tych przepisów mszę św. i inne nabożeństwa prawili, t. j. mszę na 5 proskurkach czyli na 5 bułeczkach, miasto zaś przyklękania pokłony bili, carskie wrota w innym czasie odmykali i zamykali, w czasie mszy aby służytele nie dzwonili, na *mir wsim* do ludu obracali się, suplikacyj *spasy ludy twoju* nie spiewali, na organach nie grali, lecz aby śpiewacy przy każdej cerkwi byli, i tak aby mszę śpiewali z ceremoniami wskazanemi we mszale rytuałem grecko-rosyjskim.

W klasztorze żyrowickim naznaczony był ks. Seweryn Dziubiński, nowy dysunita, Bazylian prowincyi wołyńskiej, aby uczył ceremonij grecko-rosyjskiej cerkwi. Więc z każdego dekanatu po kilku kapłanów przysyłano, aby uczyli się tych przepisanych ceremonij, którzy po 2 i 3 tygodnie na swoim koszcie utrzymywali się, a gdy już dobrze te ceremonie umieli, przewodnik dawał im patenta na te sztuki, że mogą już sami prawić mszę, i drugich uczyć tych ceremonij. Biskupowi i konsystorzom nakazano też, aby byli egzekutorami tego ukazu, i księżom mawiali, że rząd tego chce, aby ceremonie greckie były przywrócone, których uniccy księża niby odstąpili. (C. d. n.)

Doktor Strauss

I wojna przeciw księgom świętym w Niemczech.

(Ciąg dalszy).

V.

Jeżeli *Żywot Jezusa* wywołał żywe spory i silne zaprzeczenia, tedy podniecił także współzawodnictwo o lepsze innych członków

lewicy heglowskiej i pchnął ich dalej jeszcze, niż sam zaszedł, na drodze bezbożności. Był on, że tak powiem, hasłem niesłychanego rozpasania, które pobudził swym przykładem, jeżeli nie natchnął bezpośrednio.

Bruno Bauer oskarżył Straussa o niekonsekwencyę. Nie gmina chrześcijańska, ta istota mistyczna, nieokreślona, lecz ewangeliści wymyślili mity ewangeliczne, zapożyczając je z pojęć mesyanicznych i apokaliptycznych proroków i gnozy judaicznej [1]).

Najśmielszy z heglistów, Ludwik Feuerbach (1804—1872) chciał również uzupełnić Straussa. Wydał w r. 1841 swoje dzieło *O istocie Chrześcijaństwa* [2]), w którem oświadcza, że chce położyć kropkę nad *i*, które Strauss starał się postawić. Systemat Hegla jest po prostu Starym Testamentem filozofii, on przynosi doń Ewangelię. Hegel nie był szczerym, mówiąc o religii wyrażał się dwuznacznie. Rzekoma jedność istoty ludzkiej z istotą Boską, jest jeno tożsamością istoty ludzkiej z nią samą. Człowiek jest istotą najwyższą: *Homo sibi Deus*, a człowiek jest jeno tem, czem się karmi. „*Was der Mensch isst, das ist er*“, albo, jak się wyrażał Maksymilian Stirner: „Nie masz nic rzeczywistego na ziemi, krom mnie i pokarmów, któremi się żywię“.

Religia jest więc złudzeniem i to złudzeniem niebezpiecznem: jestto wampir, który wysysa z człowieka najlepsze soki żywotne dla usprawiedliwienia swych działań najniemoralniejszych. Chrześcijaństwo przenosi człowieka wraz z jego uczuciami do nieba, to znaczy: do krainy złudzeń. Zerwać więc należy z pojęciami chrześcijańskiemi o państwie, z podłem i służalczem plemieniem teologów i zająć się tem, co jest rzeczywiście ciałem człowieka. Maksymilian Stirner jasno wypowiedział następstwa tej doktryny: „Ze wszystkich ludzi tym, którego znam i którego kocham najlepiej, jestem ja. Jam jest całym moim katechizmem. Czynię co chcę i co mi się podoba [3]).

Tu dochodzimy do socyalizmu i do radykalizmu wojującego, którego organem były *Roczniki halskie*, redagowane głównie przez Arnolda Ruge'go [4]). Rozwijał w nich jedną z idei Straussowych, tę mianowicie, że zdania, których bronił, przygotowali starzy racyo-

[1]) Bruno Bauer, *Kritik der evangelischen Synoptiker* 1841—1842. W roku 1847 pisał, że lud niemiecki mógł jeno służyć za nawóz dla cywilizacyi ruskiej. Powodzenia Bismarka pogodziły go z ojczyzną.

[2]) *Das Wesen des Christenthums*, 1841. *Das Wesen der Religion* 1843.

[3]) Maksymilian Stirner, *Der Einzige und sein Eigenthum*. Lichtenberger, *Histoire des idées religieuses en Allemagne*, III, 77.

[4]) *Hallische Jahrbücher für Kunst und Wissenschaft*, 1838—1842.

naliści z końca XVIII stulecia. Tym ostatnim nie udało się nic zbudować, lecz potrafili zburzyć. Cała część negatywna ich działalności istniała jeszcze i w XIX wieku, trzeba zebrać jej owoce i ukończyć to, co wiek XVIII był zaczął. Gdy czasopismo zostało zakazane w Berlinie i Dreźnie, przeniósł się Ruge do Paryża, później do Londynu i tu zatknął sztandar kosmopolityzmu humanitarnego, głoszący jedność ludów na gruncie demokratycznym. Widzimy więc, z jaką gwałtownością błędy posiane przez Straussa wydawały owoce śmierci.

Co do religii, Arnold Ruge utrzymuje, że chrześcijaństwo jest jedynie nowem wydaniem buddyzmu, fikcyą poetyczną przyrody. Jezus Chrystus jest mitem, jak powiedział Strauss, trzeba to atoli rozumieć zupełnie inaczej, niż autor *Żywota Jezusa*. Mit Jezusa wyobraża walkę fizyczną lata z zimą, światła z ciemnościami. I w rzeczy samej, Jezus rodzi się wtedy, gdy dnie są dłuższe, umiera na Wielkanoc, gdy przyroda budzi się ze snu swego. Niemasz tu grzechu, niema trwogi i pociech niebieskich, niemasz wcale Boga, niema nieśmiertelności. Niemasz innej pociechy dla człowieka, krom tej, jakiej się doświadcza, wynajdując gromochrony i machiny parowe [1]).

Te ostatnie wnioski wyprowadził Arnold Ruge dopiero w 1869, atoli wypływają one logicznie z zasad, przyjętych przez Straussa. Czyliż można lepiej wykazać ich fałszywość? Mityzm ucznia jest karykaturą mityzmu mistrza, lecz czyliż jeden nie stoi na tymże gruncie co drugi?

Jerzy Fryderyk Daumer, urodzony w 1800 r., niedorzeczność posunął jeszcze dalej. Eden biblijny mieści w Australii, ojczyźnie drzewa chlebowego. Z Australii ludzie wywędrowali do Ameryki, a ztąd do Azyi przez zamarzniętą cieśninę Berynga! O tej to wędrówce rozpowiada księga liczb. Autor przywiązuje wielką wagę do swego odkrycia. „Nowy mój systemat geograficzny i etnograficzny, mówi, jest tem dla dziejów, czem systemat Kopernika był dla astronomii“.

Jehowa, Bóg narodowy Hebrajczyków jest Molochem fenickim, Bogiem strasznym, na sam widok którego ludzie umierali z bojaźni, Bogiem, wymagającym ofiar ludzkich, a mianowicie zabijania pierwo-

[1]) Arnold Ruge, *Reden über die Religion, ihr Entstehen und Vergehen an die Gebildeten unter ihren Verächtern*. Berlin, 1869.

rodnych zaraz po urodzeniu [1]). Z biegiem czasu miejsce ludzi zastąpiły bydlęta, aż wreszcie stronnictwo jehowistowskie upadło całkiem. Jezus starał się je podnieść: głosił wstrzemięźliwość, obrzezanie, a przed śmiercią swoją na pamiątkę dawnych ofiar ustanowił obrzydliwą ucztę, na której kazał uczniom pożywać ciało i krew ludzką. Oburzony i zgorszony tem Judasz, nie chciał brać udziału w tej uczcie i doniósł władzy o bezeceństwie tajemnic chrześcijańskich [2]). Sami nawet święci chrześcijańscy byli ludożercami; świadkiem św. Malachiasz irlandzki, św. Mikołaj z Myry, św. Norbert z Magdeburga, św. Bernard z Clairvaux, św. Franciszek z Assyżu. Mahometanizm jest postępem względnie do chrześcijaństwa. Koran jest ewangelią religii naturalnej. Raj muzułmański jest rozkoszy pełnym; jestto apoteoza przyjemności zmysłowych. Mohamed Hafiz, poeta perski w XIV stuleciu, istny uczeń Epikura (tłumaczył go i naśladował Daumer, uczony oryentalista i poeta znakomity), poprawiał następstwa systematu założyciela Islamu i jest względem niego — jakby to powiedzieć — ...Lutrem. Religia przyszłości, to rozkosz i rehabilitacya ciała [3]).

Nie wspominamy o wszystkich sławnych pisarzach lewicy heglowskiej, rozszerzających podobne idee w poezyi i w literaturze, w ekonomii politycznej i społecznej. Powiemy tylko, że mają one w naukach przyrodniczych swych przedstawicieli: Karola Vogta, Ludwika Büchner'a, Moleschott'a, Virchow'a, którym, jak zobaczymy później, Strauss jawnie podaje dłonie, a którzy wszyscy dążą do nihilizmu. Ci więc wyciągnęli jawnie i wyraźnie wnioski z *Żywota Jezusa*, pierwej, nim się przyznał do nich sam autor w swojej *Starej i nowej wierze.*

[1]) G. F. Daumer, *Der Feuer- und Molochdienst der alten Hebräer, als urväterliche, legale, orthodoxe Cultur der Nation.* 1842.

[2]) *Die Geheimnisse des christlichen Alterthums*, 1847.

[3]) *Die Religion des neuen Weltalters*, 1850. Ten, który tak gwałtownie rzucił się na chrystyanizm, cudem łaski Bożej nawrócił się i został katolikiem 15 Sierpnia 1858. Sam rozpowiedział dzieje swego nawrócenia w książce nader nauczającej: *Meine Conversion. Ein Stück Seelen — und Zeitgeschichte.* (Moguncya, 1859), w której powiada, że powrót na łono Kościoła katolickiego, zawdzięcza przedewszystkiem N. M. Pannie. Wydał nawet na cześć N. M. Panny około r. 1830, to jest w epoce, kiedy z taką gwałtownością napadał na religię, prześliczne poemaciki, które p. Saint-René Taillandier czytając, powiedział (a słowa te stały się proroczemi): „Poeta, co znalazł w duszy tak piękne akordy dla wysławiania Matki Boga, nie będzie zawsze śpiewał pod osłoną Hafiza, hymnów materyi. Po tem przymierzu zmysłowości z uczuciem religijnem nastąpi natchnienie czystsze". (*Revue des deux mondes*, 1841).

Gdy tak lewica heglowska brnęła w rozpuście bezbożności, inna szkoła zimno roztrząsała *Żywot Jezusa.* Prawdziwi chrześcijanie zbijali go zwycięzko i świetnie nawet, atoli *Żywotowi Jezusa* dopiero, jak i *Fragmentom z Wolfenbüttel* danem było zrodzić systemat, który nie posuwając tak daleko negacyi, zrywał jednak z chrześcijaństwem. Systemat ten nosi nazwę szkoły tybingskiej. Szkoła ta spostrzegła bardzo prędko, że krytyka Straussa pozostała bezpłodną. Roztrząsnąć ją więc postanowiła i uzupełnić. Przypuszcza tedy razem ze Straussem, że dzieje ewangeliczne wątpliwe. Zamierza zbadać je, przekonać się, co zawierają w sobie prawdziwego, a co fałszywego i wyjaśnić ich początki umiejętnie. Głową tego systematu jest dawny mistrz Straussa, Ferdynand Chrystyan Baur (1792—1860). Łączył się on jednak nietyle jak jego uczeń, ze szkołą heglowską, ale daleko więcej ze szkołą Schleiermachera. Istniało jednak wielkie powinowactwo i harmonia pojęć między profesorem a uczniem. Strauss w życiorysie swego przyjaciela Chrystyana Märklina zaznaczył, tę w gruncie istniejącą między nimi zupełną zgodę przekonań, a Baur nie wyparł się tego. Tylko, że kiedy Baur chciał zdobyć miejsce pomału, metodycznie, Strauss chciał je wziąść szturmem. Kiedy ukazał się *Żywot Jezusa* (1835), przejrzał Baur i zobaczył jaśniej i dokładniej to, czego dotąd zaledwie się domyślał i widział niby przez mgłę, że rok 1835, który był tak fatalny dla wiary tylu chrześcijan w Niemczech, był także stanowczą erą dla profesorów teologii historycznej w Tybindze. W ten sposób książka ta dała początek [1]) szkole tybingskiej, nadała jej popęd i skupiła ją na gruncie krytyki biblijnej i chrystyanizmu pierwotnego.

Aż dotąd Baur żył w spokoju z Steudel'em i innemi nadnaturalistami w uniwersytecie. Od tej chwili wojna. Nie podzielał w zupełności wszystkich idei Straussa: był zawsze umiarkowańszy, powściągliwszy, nie tak gwałtowny i nie tak napadający. Dlatego też, nic dziwnego, wszystkim profesorom stał się podejrzanym. Steudel i Kern, dawni jego przyjaciele zstąpili do grobu i naraz poczuł się osamotnionym; atoli wywierał na uczniów swych zawsze wpływ wielki i utworzył sobie wśród nich licznych zwolenników, między innymi: Zeller'a, Schwegler'a, Hilgenfeld'a, Köstlina, Plancka, Ritschla itd., którzy pracowali wspólnie z nim aż do rewolucyi 1848, to jest aż

[1]) Dziejopis szkoły tybingskiej w *Real-Encyklopädie für deutsche protestantische Theologie* Herzog'a nazywa *Żywot Jezusa Anfangspunkt'em* tej szkoły.

do chwili, kiedy polityka tak pochłonęła umysły, że większość z nich porzuciła studya teologiczne.

Odkryć charakter, dążność naukową, środek dziejowy i datę każdej Ewangelii; naznaczyć pismom kanonicznym właściwe miejsce w literaturze religijnej dwóch pierwszych stuleci; oznaczyć początek i wytknąć dzieje dogmatów: oto cel, jaki sobie założyła szkoła tybingska. Nad spełnieniem tego zadania pracowała z rzadką cierpliwością i z wiedzą niezaprzeczoną. Jakieżby skarby ukazała światu, gdyby prace jej nie były podminowane już u źródła przesądami racyonalizmu? Ale i tak, nie należy ich jednak uważać za zupełnie stracone: apologietyka chrześcijańska zebrała już niejedną drogocenną perłę śród tej masy kamieni nieociosanych, przeznaczonych na wyrzucenie. (C. d. n.)

Notatki literacko-bibliograficzne.

Les droits de Dieu et les idèes modernes par l'Abbè Chesnel, Vicaire gènèral de Quimper. Poitiers 1875.

Dzieło to napisane z polecenia biskupa Piktawskiego (*Poitiers*), jednego z najdzielniejszych i najwytrwalszych obrońców katolickiej prawdy, jest niezaprzeczenie drogocennym nabytkiem dla naszych czasów, w których walka wypowiedziana z góry prawom bożym, wymaga, jeźli kiedy to teraz, silnego i stanowczego oporu ze strony nauki Kościoła.

Właściwą to Kościołowi jest rzeczą, że On nietylko przechowuje stale bez żadnej przymieszki i zmiany przekazany sobie skarb objawionej nauki, ale także wykazuje i odpiera wszelkie błędy, które bądź wprost bądź ubocznie w nią uderzają. Obowiązku tego dopełniał Kościół sumiennie po wszystkie czasy. W obec tylu przeróżnych fałszów podnosił On zawsze w nową formę ujęty głos obrony, odpowiednio do potrzeby czasów i nauk w nich panujących, aby błąd zwalczyć i prawdę ukazać. Każdy wiek, każdy niemal lat dziesiątek miał swoje odrębne błędy, przeciw którym występował z całą właściwą Mu powagą, objaśniając prawdę z coraz nowszego punktu widzenia, a posługując się w tem cichą spokojną pracą teologów, nad którą sam starannie czuwał, nadając jej odpowiedni kierunek.

W pomienionem dziele poświęcił autor swe pióro wykazaniu i zbiciu głównych błędów naszego wieku, dotyczących stosunku społeczeństwa ludzkiego do Boga, a prowadzących do najzgubniejszych następstw. Z tego zadania wywiązał się w sposób, który nic do życzenia nie zostawia. Jego poważny wykład w formie dyalogu, między uczniem a mistrzem przeprowadzony, czyta się z największą przyjemnością, a przytem jest tak jasny i tak gruntowny, że chyba w obec widocznej złej tylko woli nie osięgnie skutku.

Błędne nauki XIX wieku potwornością równie jak mnogością rażące, a sumarycznie w *Sylabusie* papiezkim r. 1865 wykazane, tem się różnią i o tyle przechodzą wszystkie dawniejsze, że nietylko pojedyńczym prawdom wiary św., ale wprost powadze samego Boga uwłaczają i jego prawa przeczą, a przeczą nie tylko w dziedzinie zasad, ale nawet w życiu publicznem i w politycznym zarządzie państw. Najodpowiedniejszy też tytuł dał swojemu dziełu autor: *Prawa Boże i Nowożytne Idee.*

Między błędami dzisiejszego wieku najbardziej góruje jeden, potworniejszy od innych i wszystkie inne w sobie zawierający, błąd szeroko rozgałęziony, a tem szkodliwszy, że niepoznany należycie, bo świetnym pozorem płytkie umysły łudzący, jest zaś nim tak zwany liberalizm. Mówią o nim wszyscy, pełno o nim wzmianek w pismach i rozmowach publicznych, ale mało z tych, co o nim mówią lub piszą, zdołało go pojąć należycie. I oto w imię tego źle zrozumianego liberalizmu szerzą się i propagują najskrajniejsze błędy, podpisują się prawa, jeźli się je tak nazywać godzi, prawa uwłaczające najświętszym obowiązkom względem Boga, Kościoła i sumienia, a tem samem i wolności osobistej człowieka. To co według brzmienia słowa ma być zapewnieniem wolności, staje się największą tyranią. Bo jakaż może być uciążliwsza tyrania, jak kiedy człowiekowi pod najsroższą karą nie wolno spełniać najpierwszych, najnaturalniejszych obowiązków swoich?

„I czemże jest liberalizm?“ zapytuje się autor. „Miałżeby on być, jak utrzymują, cnotą polityczną albo systemem umiarkowanego rządu przychylnym wolności obywatelskiej? Bynajmniej, dowodem, że tak nie jest, są rządy takie jak obecnie w Szwajcaryi i we Włoszech, które się zowią liberalnymi; dowodem nowe cesarstwo niemieckie, które uciska swych poddanych katolickich, odbierając za to oklaski liberałów Europy i Ameryki; dowodem Francya, w której widzieliśmy liberalizm głoszony kolejno przez rewolucyę, przez pseudo-monarchię z r. 1830, przez drugie cesarstwo, przez dzisiejszą republikę, t. j. równie przez samowładztwo jak przez radykalizm i demokracyę. Liberalizm więc nagina się do wszelkich form politycznych, służy im wszystkim, czyli raczej posługuje się niemi dla dopięcia celu swego, celu nie mającego nic wspólnego z wolnością. Przeciwnie, właściwem jego znamieniem jest tyrania i ucisk prawdziwej wolności, ponieważ nie zna innych granic jak te, które sam nakreślił, ani innej powagi nad powagę ludzi tego samego ducha. Uznaje on albo toleruje wszelkie wyznania i wszelkie dogmata pod warunkiem jednak, aby przez nie państwo nie było postawione w bezwzględnej zależności od Boga.... i aby pod pozorem przyszłego życia Kościół nie wykonywał w imię Chrystusa żadnej władzy nad państwem“ [1]).

[1]) Nie od rzeczy będzie przytoczyć tu dwa błędy, potępione przez Piusa IX, a tyczące się liberalizmu.

1° Potępionem jest w §. LXXIX następujące zdanie:

„Fałszem jest, aby cywilna wolność wyznań, jako też wolność wszystkim zostawiona wyjawienia publicznie swoich zdań i mniemań prowadziła do prędkiego zepsucia obyczajów, i do rozszerzenia zgubnej zarazy indyferentyzmu“.

2° W §. znów LXXX potępionem zostało również zdanie następujące:

„Papież rzymski może i powinien pogodzić się z postępem, z liberalizmem i z nową cywilizacyą.

Autor zbija dosadnie i gruntownie ten zgubny obłęd liberalizmu we wszystkich jego objawach i kierunkach, dochodząc do jego źródła, którem nie jest nic innego, jak tylko złá wola lub miałki nadzwyczaj i płytki rozum niechcący lub nieumiejący odróżniać wolności od samowoli i wszelkie obowiązki usiłujący podporządkować woli państwa lub woli jednostek, pojedyńczo czy zbiorowo wziętych. Autor przywracając Bogu przynależne mu prawa, ochrania tem samem i prawa ludzkie przeciw wszelkiej samowoli, a mianowicie prawa pojedyńczych osób, prawa zbiorowych całości, prawa państwa, Kościoła, rodziny i stowarzyszeń, odróżniając je należycie, i naznaczając im szczegółowo naturalne i właściwe granice.

Poważny a ściśle logiczny jego wykład, ujęty w 17 rozdziałach, daje się streścić w następujący sposób:

Bóg jako Stwórca całego świata jest z natury rzeczy najwyższym i bezwzględnym panem wszystkich istot, a więc i ludzi, panem tak jednostek jak i każdego społeczeństwa ludzkiego. Z tej pierwszej, zasadniczej a niezaprzeczonej prawdy wynikają koniecznem i naturalnem następstwem wszelkie wnioski, tyczące się różnych obowiązków ludzkich względem Boga. Ktoby nie chciał uznać tej zależności człowieka od Boga, musiałby koniecznie przyznać się albo do ateizmu, albo do panteizmu, albo wreszcie do deizmu, przypuszczającego wprawdzie jakąś Najwyższą Istotę odrębną od świata, ale taką, która się o ludzi nic nie troszczy, ani ich do żadnej odpowiedzialności nie pociąga.

Następnie przechodzi do zbadania istoty państwa, aby wykazać, że jego władza bezwzględną być nie może, bo zależy od Boga, a pochodząc wyłącznie od Boga ma w Nim najpewniejszą podstawę. Monarcha, jakikolwiek tytuł nosi, nie jest sługą narodu, ale sługą Boga, i w Nim i przez Niego tylko ma p r a w o domagać się posłuszeństwa. Zwierzchność w państwie jest obrazem ale tylko obrazem najwyższej zwierzchności Stwórcy, a nie będąc ani wieczną, ani niezmienną, ani taką żeby ustać nie mogła, jest ściśle podległą Bogu w wykonaniu tej władzy, którą z rąk Jego otrzymała.

W osobnym rozdziale rozprawia autor o wypadkach, w których władza w państwie w jednej osobie ustaje i na inną przechodzi. Jest to kwestya nader delikatna i nie na małe trudności napotykająca, zwłaszcza gdy mowa o uzurpacyi. Traktuje ją autor bardzo gruntownie, rzekłbym wyczerpująco.

Dalej zajmuje się najważniejszemi pytaniami, jakiemi są obowiązki państwa. Te redukuje na dwa główne: religia i sprawiedliwość, jako odpowiadające dwojakiemu celowi społeczeństwa, wiecznemu i doczesnemu. Obowiązkiem państwa szanować, i wszelkiemi sposobami popierać prawdziwą od Boga objawioną religię. Ztąd przechodzi autor do wykazania, jak mamy sądzić o wolnosci nauczania, o wolności prasy i o religijnych stowarzyszeniach.

Drugim obowiązkiem państwa: wymiar sprawiedliwości. Tu określa autor jej istotę. Jest ona poszanowaniem i przestrzeganiem praw, jakie mają lub mieć mogą do czegoś, bądź pojedyńcze jednostki, bądź rodziny, bądź stowarzyszenia. Państwo nie tworzy prawa [2]), ale je ogłasza czuwa nad jego

[1]) Wyraz prawo znaczy tu *jus*, *le droit*, *Recht*, a nie uchwałę prawodawcy, *lex*, *la loi*, *Gesetz*. W polskiem ten jeden wyraz służy dla obu tych pojęć.

wykonywaniem! Czem więc jest samowola państwa, każdy łacno pojmie. Jeźli bowiem poddani albo rodziny jako rodziny mają jakieś prawa, niezależne od państwa, państwo gwałcić ich nie może i nie powinno, gwałcąc je dopuszcza się zbrodni. Inaczej byłoby prawo przeciwko prawu, co jest sprzecznością. W miarę rozmaitych stosunków rozmaity też wymiar sprawiedliwości: cywilny, sądowy, międzynarodowy, wojenny, czego wszystkiego dotyka autor bardzo trafnie. Z tą kwestyą wiąże się tu jeszcze i to, czy państwu przysługuje prawo, aby mogło zezwolić na dowolne nauczanie błędu, wykonywanie czegoś złego? Dotyczy to dwóch w sylabusie, t. j. 77go i 78go potępionych następujących błędów:

LXXVII. W naszym wieku już nie wypada, aby religia katolicka była uważana jako jedyna i panująca w jakim kraju, z wykluczeniem innych wyznań.

LXXVIII. Słusznie więc w niektórych katolickiego imienia krajach prawo zabezpiecza wolność wszelkim jakimkolwiek wyznaniom.

Następnie wykazuje autor, że obok państwa czy też w państwie samem istnieją społeczności odrębne, niezależne od niego, i mające swoje właściwe prawa, które ono szanować powinno. Takiemi społecznościami są: małżeństwo, rodzina, stowarzyszenia dobrowolne, zakony, wreszcie sam Kościół św. Słowem rozprawia tutaj autor o najżywotniejszych kwestyach naszegu czasu, dochodząc wszędzie do gruntu rzeczy.

Wolność stowarzyszeń wyprowadza z osobistego, indywidualnego prawa łączenia się z innymi dla jakiegoś uczciwego celu. Prawa tego nie nadaje państwo, albowiem już z natury swojej każdy człowiek ma prawo użycia wszelkich godziwych środków do polepszenia swego lub cudzego bytu. A więc nie ma prawa państwo stawiać mu tu przeszkody, chyba w tym tylko razie, jeźli to byłoby szkodliwem dobru publicznemu. Ale kiedyż to w uczciwy sposób podjęte prace w celu osiągnięcia pewnych korzyści, czy to materyalnych czy moralnych za pomocą wspólnego jakiego związku, mogą się sprzeciwiać dobru publicznemu? Takie stowarzyszenie stanowi jednę osobę moralną, która mając prawo istnienia, musi mieć także i prawo posiadłości; sprzeciwia się bowiem rozumowi, aby to co ma prawo istnieć, nie miało prawa zapewniającego mu niezbędnych środków do istnienia. Kościołowi więc jako najdoskonalszemu społeczeństwu takie właśnie przysługuje prawo. A więc „państwo, mówi autor, choćby zupełnie ateuszowskie i nie uznające Kościoła, uznając jednak wszelkie stowarzyszenia, znajdujące się w jego posiadłościach, jako osobę moralną musi tem samem, a to na mocy powinności uszanowania w swych poddanych, osobistej wolności i prawa naturalnego, uszanować i prawa Kościoła. Nie uważając Go bowiem za społeczeństwo, musi Go jednak uważać za stowarzyszenie prywatne, rządzące się właściwem Mu przynależnem prawem".

O prawie prywatnej posiadłości dowodzi autor, że nie pochodzi ona wcale od państwa, ale jest prawem przyrodzonem, niezależnem od niego. Państwo ma tylko obowiązek udzielać jej swej opieki przeciw wszelkim, którzy ją śmią naruszyć. Ztąd bierze pohop do wykazania, czem jest socyalizm i komunizm, te straszne dwie plagi rozkładające społeczeństwo europejskie i gotujące ruinę państwom nowożytnym.

Następnie mowa o prawie cywilnem, kryminalnem i międzynarodowem, tudzież o prawie wojennem. Mówiąc o wymiarze sprawiedliwości, zadaje sobie

autor pytanie, czy państwo ma obowiązek poskramiania w ogóle błędów i zbrodni i jakie są słuszne granice tego obowiązku.

W przedostatnim rozdziale czyni autor ogólny pogląd na cały rezultat swoich badań i zestawia go z encykliką i *Syllabusem* papiezkim jako też z orzeczeniami Soboru Watykańskiego. Wreszcie wskazuje na doniosłe skutki liberalizmu, który szerząc teoryę usamowolnienia człowieka, targa wszelkie węzły łączące go z Bogiem, przeczy wszelkiej zależności jego od Stwórcy, i ostatecznie zacierając w pamięci ludzkiej wszelkie pojęcie o Najwyższej Istocie, na nowo po całym świecie zaprowadza bałwochwalstwo, które i w dawnych wiekach z takich samych tylko źródeł wzięło swój początek.

Kończąc ten pobieżny nasz rozbiór dzieła nie możemy powstrzymać się od wyrażenia naszych życzeń, aby znaleźć mogło jak największą liczbę czytelników.

— W austryackim państwowym zakładzie geologicznym w Wiedniu (k. k. geologische Reichsanstalt) wyszło dzieło Dr. prof. Uniwers. Jagiell. Aloizego Altha: *Über die palaeozoischen Gebilde Podoliens.*

— Były minister Józef Hireczek wydał już pierwszy tom wypracowanych przez siebie żywotów pisarzów czeskich. Dzieło to zatytułowane: *Rukověť k dejinam literatury ceske do końce XVIII weku*, wyszło w Pradze; tom I od lit. A do L.

RÓŻNOŚCI.

BAJKI

JENERAŁA FRANCISZKA MORAWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

STAŚ I CIEŃ JEGO.

W dzień pogodny, czysty, jasny,
Gonił Stasio cień swój własny,
Ale próżno jak wiatr śmigał,
Nigdy cienia nie prześcigał.
Gdy w tem nagle myśl odmienia,
Chce od swego uciec cienia.
Leci, sił swych nie oszczędza,
Lecz go zawsze cień dopędza.
Próżno z nim się kłóci, biedzi,
Stasio usiadł i cień siedzi,
Stasio biegnie i cień bieży,
Stasio upadł, cień z nim leży.

I tak cały dzień przetrwoni
Ni uciecze ni też zgoni.
Istotny pono obraz to człowieka,
Lub ściga marę lub przed nią ucieka.

MAŁPA.

Raz stara małpa, co już ledwie lazła,
Prześliczny orzech znalazła.
Nuż więc do niego, sili się i męczy,
Gryzie go, gryzie do koła,
Lecz widząc że mu nie zdoła,
Krzywi się, marszczy, wzdycha, płacze, jęczy,
I tak nad światem boleje:
„Cóż to za czasy nastały?
Wszystko się, wszystko coraz gorzej dzieje,
Orzeszki nawet stwardniały.

Zdaniem naszem, myśl tę samą zgrabniej jeszcze Minasowicz oddał, pisząc:

Stara małpa dla uciechy
Siadła sobie gryść orzechy,
Ale że zęby stępiały,
Wiele kosztował orzeszek mały.
Długo się łykała ślinka,
Nim wreszcie pękła łupinka.
„Teraz wszystko nicpotem, bodaj to przed laty!
— Rzecze nasz mędrzec kosmaty —
„Chrupało się orzeszki, że aż wspomnieć miło,
Ale tak twardych nie było“!

* * *

— P. Mękarski (Polak) wynalazł świeżo lokomotywę, która się porusza bez pary pochodzącej z węgla, lecz za pomocą ściśnionego powietrza *(l'air comprimé)*. Przed parą tygodniami robiono w Paryżu w obecności licznych inżynierów doświadczenia z tym nowym wynalazkiem, który wybornie da się zastósować do tramwayów lub kolei żelaznych miejscowych. Powietrze ściśnione w chwili używania rozgrzewa się, przez co powiększa się siła przy równym wypadku powietrza, tak, że można dość znaczną przebiedz przestrzeń przy stosunkowo małym cylindrze. Maszyna ciągnąca 25 osób i ważąca 4.500 kilogramów, poruszana 800 litrami ściśnionego powietrza, przebiegła więcej niż 3 kilometry na złej drodze o pochyłości 30 metrów, na drodze zaś zwyczajnej przebiegłaby z pewnością podwójną prawie przestrzeń. Lokomotywa ta odbywa 10 do 15 kilometrów na godzinę, a kosztuje $^3/_4$ tylko wydatków jakich wymaga używanie koni.

Czas.

SEJM POLSKI W AMERYCE.

Czy to mistyfikacya, zapyta nie jeden, czy urzeczywistnienie tej mrzonki, aby uciekając przed uciskiem obcym nową Polskę założyć gdzieś w innej części świata? Sejm polski w północnej Ameryce i to trzeci z rzędu odbył się rzeczywiście, z wszystkiemi formami parlamentarnemi, z cechą narodową polską, a nadto z charakterem ściśle katolickim. Nie emigracya to jednak polityczna dała tym razem pochop do przeniesienia na drugą półkulę ziemi tradycyjnego polskiego pociągu do sejmikowania. To zjednoczenie mnożącej się kolonij z wyrobników polskich z Poznańskiego i Szląska licznie tu werbowanych, dokonanem zostało przez kilku duchownych, aby przez związek i łączność utrzymać w nich polskość i nieodłącznego od niej ducha katolickiego. Zjednoczenie to mające swoje ognisko w Chicago a rozciągające się na mnóstwo osad po większej części już polskie noszących nazwiska, ma już osobny organ w *Gazecie Polskiej Katolickiej* wychodzącej w Chicago, z której powtarzamy poniżej umieszczone szczegóły. Kolonie te zorganizowały się już w rodzaj odrębnego państwa, podlegającego wprawdzie władzom miejscowym, ale zarządzającego sprawami kolonistów autonomicznie. Na czele stoi władza wykonawcza *Zjednoczenia polskiego, rzymsko-katolickiego.* Prezydentem tej rozrzuconej rzeczypospolitej polskiej jest ksiądz Leopold Moczygemba, zamieszkały w Jeffersonville (w Luiziannie), wiceprezydentem Norbert Wróblewski z Cincinati, sekretarzami Jan Baczyński i Ignacy Wendziński w Chicago, podskarbim Józef Niemczewski także w Chicago. Widać przeto, że niebrak i gabinetu polskiej republice, która jednak daje zaprzeczenie dawnej anarchiczności. Głównem zadaniem jest budowanie kościołów i kaplic katolickich, zakładanie czytelni i szkółek polskich, utrzymanie łączności między osadnikami polskimi i moralnej kontroli nad ich zachowaniem. Jest i senat polski, do którego wchodzą: X. Shulak, Jan Radowicz, Józef Dombrowski, Wincenty Barzyński, Dom. Majer, W. Mielcuszny, I. Głokowski, I. Piotrowski, L. Sonnenberg, Piotr Kiełbasa, Jan Arkuszewski, Anastazy Krzyciński. Senat, czyli jak na ostatnim sejmie zmieniono jego tytuł, rada główna, w czasie nieobecności sejmu przygotowuje wnioski, czuwa nad ich przeprowadzeniem, jest zgoła władzą wykonawczą, nieco bardziej samodzielną od Wydziału krajowego galicyjskiego. Do sejmu zaś wybiera każde

stowarzyszenie polskie liczące 50 rodzin, lub każda parafia, gdy liczy 100 głów.

Trzeci z rzędu odbył się sejm polski 8 Czerwca b. r. w Milwaukee. Przed otwarciem sesyi zwyczajem dawnych polskich sejmów i skargowskim też niemal językiem przemówił w czasie nabożeństwa X. Erazm Bratkowicz proboszcz polski w La Salle. Oto piękna ta przemowa, która i „w starej ojczyźnie za oceanem“ mogłaby zbudować niejedno polskie zebranie, a w każdym razie głęboko wzruszyć jest zdolną polskie serce.

Mężowie Bracia!

Widząc was z różnych stron Ameryki zgromadzonych w jednem i tak świętem miejscu, w jednym czasie, w jednej i tak poważnej myśli, zdawałoby się zbytecznem mówić wam o jedności. A przecież tak nie jest. Byłoby to zapewne, gdybyście byli tak zjednoczeni wewnątrz, jak jesteście zewnątrz, tak wszędzie i stale jak tu na chwilę; gdybyście byli poświęconymi prawdzie. Ale tak nie jest. A przecie jedność dla nas jest główną i niezbędną rzeczą; póki jej nie znajdziem, nie warto iść dalej ani mówić o reszcie.

Niegdyś w narodzie polskim stawał jeden za drugim, o którym sądził, że lepiej od niego czynić potrafi; ten znowu za bieglejszym i cnotliwszym od siebie, tak, iż w chwili jednej stawał lud cały sprawiony jak zastępy Archanielskie. Bywały takie szczytne chwile w życiu Polski, to też się trochę i uczciwej sławy dostało, którą się my do dziś dnia szczycimy! Ale jak rychło powstała jędza niezgody, ten pierworodny grzech naszego narodu, tak i po tyrańsku do dziś dnia panuje, że odtąd nieład i zamieszanie, bo Boga w sercu niema. Znajdźcież, proszę między nami cnoty, które Paweł święty wskazuje, mówiąc: „Miłość cierpliwa jest, złości nie wyrządza, nie nadyma się, nie jest czci pragnąca, nie szuka swego, nie wzrusza się ku gniewu“. *(I Kor. 13).* Ja widzę panujące same uczynki ciała, jak tenże apostoł nazywa, nieprzyjaźni, swary, zawiści, niesnaski, rozsterki, kacerstwa, zazdrości i tym podobne. *(Gal. 5).*

Zamiast biedz do jedności, uciekacie od niej co sił. Zamiast cisnąć się by z własną niewygodą, każdy chce się rozeprzyć jak najszerzej; bo radby sam jeden, gdyby mógł czas i przestrzeń ogarnąć. Nie wcielić się w naród, ale naród wcielić w siebie. Nie służyć mu, ale się nim posługiwać. Zgłodniały woła o pokarm by najgrubszy, najpospolitszy; każecie mu czekać na nową strawę, którą uczenie zaprawiacie. Konający woła ratunku, odpowiadacie mu, iż jeszcze narzędzia do nowego rodzaju operacyi nie są gotowe.

Nieszczęsne samoluby! napróżno szukam w pośród was prawdziwych synów. Widzę tu i tam ludzi dobrej woli; ciała po Bożemu urządzonego, myślącego, czującego nie widzę. Słyszę głosy: nie ma być podług mojej teoryi, niech lepiej nic nie będzie. To bluźnierstwo!!! Nie mówcie, że wam naród zawsze rzeczą pierwszą, główną, a teorye podrzędną, bo sami siebie łudzicie. W teoryi tak jest, w praktyce nie, ani w sercach waszych, aniby w czynie nie było. Gdyby naród istotnie był rzeczą pierwszą, główną, byłyby szkoły, byłyby sejmy porządnie prowadzone, korzystne dla narodu; stronnictw sekt, rządów tyle niebyłoby nie tylko na teraz, ale i na przyszłość. Gdyby wam o naród przedewszystkiem chodziło, nie stronilibyście od siebie jak od zarazy, nie mierzylibyście się mężobójczym wzrokiem, groźniejszym, nienawistniejszym niż wobec wroga. Dzięki Bogu, nie od was samych tylko, i coraz mniej od was, los narodu zależy; ale mógłby i od was jeszcze. Moglibyście być zbudowaniem dla obcych, jesteście zgorszeniem. Moglibyście los braci, los własny osłodzić, boć i cierpieć i zapłakać milej w objęciach przyjacielskich; wy go zaprawiacie goryczą, czynicie nieznośnym. Moglibyście przebłagać Boga, który się lituje nad biedakami i skruszonymi w sercu, wy go wyzywacie do ciągłej chłosty, bo kto rani miłość bratnią jak gdyby się dotknął źrenicy jego oka.

Spełniły się prorocze słowa ks. Skargi w jednem z kazań sejmowych wypowiedziane: „I ta niezgoda przywiedzie na was niewolę, w której wolności wasze utoną i w śmiech się obrócą. Język swój... i naród pogubicie i ostatki tego narodu szeroko po świecie rozkwitnionego potracicie. Będziecie nietylko bez Pana, krwie i bez wybierania jego: ale też bez ojczyzny i królestwa swego wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie, które popychać nogami tam, gdzie was pierwej ważono, będą... Będziecie nieprzyjaciołom waszym służyli w głodzie, w pragnieniu, w obnażeniu i we wszystkiem niedostatku“.

Obracam się teraz do tych kilku książąt lub „królików“ podług wyrażenia Skargi, którzy zyskawszy jakimkolwiek sposobem zaufanie braci, nie pracują ku wspólnemu dobru otrzymanym talentem, ale go zakopują, trzymając jak skąpiec w zamknięciu zazdrośnem, nieużytecznem, co mówię, szkodliwem. Bo głównym bodźcem do działania co rychlej o wyłącznych siłach, jest chęć i obawa, aby nie dać się wyprzedzić, choćby przez to popsuć wszystko. Namiętność stronnicza, rozmyślna, przesadza równość zdań i pojęć społecznych, by mieć jakiś pozór prawa do dalszego odrębnego istnienia.

Jeżeli się wam trudno porozumieć, możecie pytania różniące zawiesić, a nie mówić: podpisz się na mnie, podaj się, to będzie zgoda. Wszak i tak naród ostatecznym sędzią myśli waszych i projektów będzie, ani pochlebiajcie sobie, byście mu je gwałtem narzucili. Nie troszczcie się tyle o przyszłość; myślcie o czasie obecnym, to wasz obowiązek; następne pokolenia pomyślą o sobie. Powiadacie: nie można działać, nie mając wyrobionej myśli, pewnej całości i jasnego pojęcia celów i środków. Wiem, iż tak jest, a przynajmniej być powinno; ale wiem także, co i sami czasem przez zapomnienie powiadacie, iż największą mądrością w oczach ziemskich jest chcieć tego, co na teraz i najsnadniej wykonać można. Wódz im bieglejszy, tem rychlej plan i szyk zmieni, podług okoliczności i położenia. Przymiotem miernych umysłów jest trzymać się uporнie jednej myśli, jak lekcyi szkolnej, której się z biedą nauczyło. W rzeczach ziemskich przemijających, niema nic absolutnego, jak w prawidłach niewzruszonych religii, moralności; a dziwna, ci którzy chcieli przykrajać religię podług przywidzeń swoich rozumków, pomysły swoje socyalne chcą krystalizować w pomniki nieruchome, niezmienne.

Dotychczas błogosławieństwa nie ma, bo nie ma jedności, a wśród niezgodnych Bóg nie mieszka, ani błogosławi przedsięwzięciom stronniczym wyłącznym i nienawistnym. Zawstydźcież się i poprawcie prędko, bo inaczej pokażecie, że się Boga nie boicie, że tej Ojczyzny, którą macie wciąż na ustach, nie kochacie, że wam najdroższe wasze widzimisię, słowem, żeście samoluby. A wiecie na czem skończycie? „Jeśli jeden drugiego kąsacie i jecie, patrzcie, aby jeden drugiego nie zjadł“ *(Gal. 5)*. „Jeśli pokutować nie będziecie wszyscy... *(Łuk 13)* pomrzecie w grzechach waszych“ *(Jan 8)*. Powymieracie samotni, bez chwały, nie żałowani nawet... Może was śmierć pogodzi, zmniejszając ochotników do rządzenia? Bodajby i ta was pojednała.

Napróżno wołamy, stojąc na stanowisku Bożem i narodowem; „Już nam głos zachrypł i szczęki ścierpły“ *(Psal. 68-4)*. Jak rozjemca zwaśnionych od obu jest bity, tak my od wszystkich, ale z jaką korzyścią dla was samych? A chcąc rozbrajać braci, co raz słyszymy tę odpowiedź, co i Mojżesz: „Kto cię postanowił sędzią naszym“ *(Exod. 2-14)*. Głos mój w tej chwili nie jednego zapewne obudził, poruszył nawet, wielu przyzna mi słuszność, a po chwili dziś jeszcze pójdziecie słuchać namiętnych, nienawistnych głosów stronnictw; podobają się one wam, jak kwas

choremu podniebieniu. Dziś jeszcze złorzeczyć może będziecie tym którzy was nawołują do jedności. Nie dziw więc, że giniecie w niemocy i rozproszeniu, albowiem powiada wieszcz: „Jeśli drzewo samotne jest, wichry go tłuką i obdzierają, a konary jego zamiast podnosić się, chylą się, jakby szukały ziemi. Jeśli roślina samotna jest bez obrony przed skwarem słońca, więdnieje i usycha". Nie bądźcie przeto jak samotne drzewa i samotne rośliny, ale łączcie się, wspierajcie i ochraniajcie nawzajem, bo dopóki będziecie w rozdzieleniu, a każdy tylko o sobie myśleć będzie, niczego się spodziewać nie macie jeno cierpienia, niedoli i ucisków. Ulitujcież się was samych, ulitujcie się ludu polskiego, słowiańskiego, którego tu przedstawicielami jesteście na wolnej ziemi amerykańskiej.

Ulituj się Panie, ulituj! nad ostatkami ludu tego rozproszonego po całym świecie; bo chociażeśmy wiele błądzili, imieniaśmy się Twego i Kościoła nie wyrzekli. Uzdrów Boże głowy i serca nasze, byśmy się stali jedną siłą przy prawdzie. Spraw to Ojcze, Synu, Duchu Swięty, jedyny Boże, któremu cześć i chwała i dziękowanie teraz po wszystkie wieki wieków".

Po tej wspaniałej nauce przystąpiono do narad pod przewodnictwem prezydenta X. Moczygemby. Projekt osobnej konstytucyi polskiej dla wszystkich stowarzyszeń rozrzuconych w Ameryce północnej polecono senatowi przygotować na następną sesyę sejmową. Tymczasowo przyjęto uchwały, które powtarzamy, aby dać próbę tego ducha parlamentarnego, jaki włościanie polscy wynieśli w krwi narodowej, zdrowego rozsądku i zacnych chęci, a zwłaszcza miłości kraju i wierności dla Kościoła. Gdziekolwiek bowiem żywioł polski skupiać się pragnie wśród obcych i chronić od zatraty narodowości, tam zawsze czy to na kresach jak na Szląsku i w Prusiech zachodnich, czy w koloniach nowego świata trzymać się musi jako jedynej podstawy narodowej wiary ojców. Ten duch katolicki, jakby z czasów Piastowskich i Jagiellońskich przechowany tkwi w każdem przemówieniu i uchwale sejmu polskiego w Ameryce, niemniej jak w dążności *Gazety Polskiej Katolickiej* wychodzącej tygodniowo w Chicago.

Oto owe przejściowe ustawy obowiązujące, zanim będzie ogłoszona nowa konstytucya polska w Ameryce:

1) Składki zwyczajne czyli opłata od członków Zjednoczenia zmniejszone są na 60 centów rocznie, czyli 5 centów na miesiąc. Składki nadzwyczajne są te, do których władza wykonawcza zaprasza Zjednoczenie na 6 miesięcy naprzód, a za przyzwoleniem

towarzystw i parafij Zjednoczenia są uchwalone przez sejm. (Poprawka do artykułu III).

2) Zjednoczenie składać się będzie z polskich katolickich lub innych słowiańskich towarzystw, parafij lub pojedyńczych członków, którzy, jak tylko będzie ich dziesięciu, będą obowiązani zorganizować stałe towarzystwo miejscowe. Nazwisko towarzystwa przy przyjmowaniu do Zjednoczenia nie robi różnicy, byle zasady, wiara i dążności takowego były nieskalanie polskie i katolickie. (Poprawka art. IV).

3) Nazwisko Senatu zmienia się na Rada, a senatorów na radnych. (Poprawka art. V).

4) Trzech radnych duchownych i trzech cywilnych wychodzą z urzędu przez losowanie w pierwszym roku, a w ich miejsce nowi są wybierani. Na rok następny trzech starych radnych duchownych i trzech cywilnych, którzy przez dwie kadencye czyli dwa lata służyli na urzędzie, podają się do dymisyi, a na ich miejsce nowi będą przez sejm wybierani. (Poprawka art. VII).

5) Prezydent Zjednoczenia nie prezyduje na sejmach, ale posłowie wybierają jednego z pomiędzy siebie na marszałka po otwarciu sejmu. (Poprawka do art. VIII).

Prezydent utrzymuje rachunki kasy z podskarbim. (Tamże).

6) Podskarbi odpowiedzialnym będzie przed Radą. Nie będzie jednak odbierał składek, dopóki nie wyda bon czyli poręczenia na dwa razy większą sumę jak fundusze, znajdujące się w jego rękach, lub mające się znajdować, a wyznaczone przez radę. Przed tym czasem dopóki nie wystawi zadawalniającej poręki, miejscowi kasyerzy utrzymywać będą u siebie składki Zjednoczenia. (Poprawka art. VIII).

7) Rada Zjednoczenia ma prawo uchwalać wydatki, nie przewyższające sto dolarów, a prezydent i władza wykonawcza od 25 do 50 dolarów. (Poprawka art. IX).

8) Każde towarzystwo, niewięcej jak 50 członków liczące, wybierze jednego posła na sejm. Parafia jednego na sto. (Poprawka paragraf 4 artykuł X). *(Czas.)*

Świat i Ludzie.

(Z podróży przez Szwajcaryą.)

Słusznie powiedziano, że świat ten widomy, to księga otwarta przed nami, w której kto czytać nie umie, to albo krótkiego rozumu albo serca przewrotnego. A jeżeli na każdej karcie tej księgi świata odczytać możesz Boga jako Stwórcę potężnego i dobrotliwego zarazem, to przedewszystkiem przekonasz się o tej prawdzie, patrząc na Szwajcaryą. Kraj prawdziwie cudowny, nic dziwnego, że tysiące głów i piór zdobywało się na jego opisy. Czy te opisy, często bardzo szczęśliwe i misterne, dorównały piękności szwajcarskiej ziemi, to rzecz inna. Moje opowiadanie jest bardzo proste; piszę pod wrażeniem chwili, a będąc Polakiem, nawykłem wszystko piękne, wielkie i cudowne odnosić do Boga, u którego źródło wszystkiego, co dobre.

W Lindawie wstąpiliśmy na szwajcarską ziemię. Była czwarta godzina z rana. Czekała nas arcyprzyjemna podróż po bodeńskiem jeziorze, przecudowną bowiem jest gra promieni wschodzącego słońca, łamiących się i odbijających w spokojnych wodach jeziora. Ale tą razą słoneczko, to *śliczne oko*, *oko dnia pięknego*, jak je nazwał w swej sielance Szymonowicz, schowało się głęboko za chmury, wiatr pociągnął zimny, a w ślad za nim rzęsisty deszcz spędził nas wszystkich do kajuty śrubowego parowca. *Vana sine viribus ira*, potrzeba było spokojnie przyjąć z ręki Boga ten pierwszy zawód. Szczęściem był on ostatnim. Lubo bowiem całe pół dnia dęły wiatry, deszcz lał strumieniami, to koło 3ciej z południa zmienił się kierunek wiatru, słońce rozweseliło horyzont, a jadąc koleją z Zurychu do Lucerny, przerzucałem się jak tygrysik w klatce od okna do okna wagonu, aby coraz to nowe widzieć i podziwiać cuda szwajcarskiej ziemi. Miejscami przypominała mi ona górzystą Sądeczyznę i nasze polskie Podkarpacie, ale cudowniejsza dla swoich jezior, do koła których rozsiadły się wsie i miasteczka o wysokich czerwonych dachach, umajone zielenią rozkosznych ogrodów. Być może że z bliska nie są tak ozdobne, jak się wydają w oddali. Wielkiego rozczarowania doznaje się wjechawszy n. p. do Zurychu. Oprócz przepysznego dworca kolei, okazałego gmachu politechniki, panującego ze wzgórza nad całem miastem i kilku pierwszorzędnych hoteli, wszystko inne bez gustu i ładu, ulice wązkie, pagórkowate, nie dosyć schludne i nie bez przykrej woni. — Gdyby nie duże dwumilowe Zurychskie jezioro, nie byłoby poco wstępować do Zurychu. Ale ozdobę tę trzeba okupić niejedną niedogodnością. Dmą tu od wód jeziora nieustanne prawie wiatry, wzniecając całe tumany ulicznego kurzu, i miotając w oczy kłęby dymu z fabrycznych kominów. W moich oczach wpadł, przechyliwszy się z poręczy mostu jakiś podrostek do jeziora, wnet pospieszyło na jego ratunek jakie pół tuzina łodzi, ale pomoc to niepewna, więc z tłumu ciekawych wskoczył do wody mężczyzna tak, jak był ubrany, i uchwyciwszy się jedną ręką mostowego słupu, wydobył tonącego. Podobne wypadki nie bywają tu rzadkie, ale nie zawsze tak prędki i skuteczny przybywa ratunek.

Widziałem niedobitki onych głośnych zurychskich „studentek“, z których jedna tegoż dnia wystrzałem życie sobie odebrała. Mówię „niedobitki“, wiadomo bowiem, że w skutek ukazu moskiewskiego rządu, odmawiającego wszelkich publicznych kwalifikacyj studentkom, liczba ich z cyfry sześćdziesięciu kilku stopniała do kilkunastu. Smutny to symptom rosyjskiego społeczeństwa, ale bo też i rodowite szwajcarki, które właśnie wychodziły z gmachu wyższej szkoły żeńskiej, zdały mi się do onych „studentek“ pod względem braku wszelkiego ułożenia arcypodobne; nasze krakowskie chłopcy z terminu nie wychodzą z swej rzemieślniczej szkoły z większą swobodą i swawolą, jak one kilkunastoletnie panienki. Nie ma w tem nic dziwnego. Życie religijne w Zurychu jak w ogóle w całej niemieckiej Szwajcaryi obumarło. Starokatolicyzm wyrugował resztę katolickich księży, w Zurychu nie masz żadnego Kościoła katolickiego, są dwa, podobno nawet trzy starokatolickie, ale te i w święta nawet stoją pustką. Co do świąt, tych wcale nie przestrzegają Szwajcarowie, chyba dla zabawy i to od południa dopiero. Widziałem pracujących około budowy nowego hotelu w dzień niedzielny. Niestety to gwałcenie dni świątecznych napotkasz i w stolicy wrzekomo katolickiej Austryi w Wiedniu.

Przestrzegano mnie przed rubasznością i niegrzecznością Szwajcarów, ja ich znalazłem bardzo uprzejmymi. Dawali chętnie objaśnienia, o cokolwiek zapytałem, ustępowali miejsca przy oknie *(Fenstersitz)*, abym swobodniej rozglądnąć się mógł po ich ziemi.

Zamki dawnych obrońców wolności szwajcarskiej, są dzisiaj przeważnie w rękach pieniężnej arystokracyi, zresztą nie znają tu szlachty, będąc wszyscy „wolno urodzonymi braćmi“; podróżują

wszyscy trzecią klasą; stacye kolejowe są nadzwyczaj liczne, co 8 lub 10 minut; mimo to pociągi idą spiesznie, bo przestanek nie trwa nad jedną minutę, a skoro tylko nadkonduktor zawoła: *fertig*, wnet pociąg rusza z kopyta. Nie ma tu ani portyerów, ani bremserów, wszystko tu bowiem załatwiają konduktorzy. Odbywał się pod ten czas walny zjazd „śpiewaków szwajcarskich“ w Bazylei, na który spieszyły całe miasteczka i co we wsi zamożniejsze chłopy; jak w kalejdoskopie tedy przesuwały się przedemną na każdej stacyi coraz to nowe postacie. Przyznać trzeba, że lud Szwajcarski potężnie brzydki; nie widziałem ani jednej twarzy o regularnych rysach, miałżeby to być skutek bezmiernej pracowitości, czy też niemoralności tego ludu? Próbowałem zawiązać z kilku poważniejszymi miastowymi Szwajcarami rozmowę o kwestyach polityczno-religijnej cechy. Przekonałem się, że zgoła nie pojmują, że ich wolna Szwajcarya dostała się w opały bismarkowskiej polityki, owszem służalczy liberalizm Izb berlińskich zdaje się mieć dla nich pewien urok. „Jakto, mówili mi, w starokatolickich kantonach Schwytz, Uri, Unterwalden, 20letni rekruci nie umieli czytać, a państwo ma milczeć na to“? Tym sposobem usprawiedliwiają przymus szkolny. Siła wojskowa w czasie pokoju dochodzi do 80.000, w razie wojny naturalnie tylko odpornej, bo zaczepnej nie przypuszczają, aby ją mieli kiedy prowadzić, mogą postawić pół miliona zbrojnych. O kwestyach religijnych mają dziwaczne pojęcie, albo raczej zgoła go nie mają. „Czy my nie możemy być katolikami bez Papieża“? pytał się naiwnie stary Szwajcar. Gdy mu dowodziłem, że katolicyzm bez Papieża jest schyzmą, milczał, więc wróciliśmy znowu do ulubionego tematu *vom Sängerfeste in Basel.*

Wśród tych wrażeń i gwarzeń stanęliśmy w Lucernie. Już od godziny roztaczało przed nami jezioro czterech kantonów, położone na wysokości 1300' nad powierzchnią morza, swoje wodne powaby; teraz prosto z wagonu wsiedliśmy na parowy statek. Było nas jakie 100 osób przeważnie Anglicy, każdy dla siebie i myślał o sobie, a podziwiał jak umiał cudowne widoki nadbrzeży jeziora. Panowała cisza prawie grobowa, mimo prześlicznej pogody nie ujrzałeś radości na twarzach. Z miną na seryo, jakby spieszyli na sądy przysięgłych, siedzieli na pokładzie; zawinęliśmy wreszcie do małej przystani Ficnawy (Fitznau). Co do mnie rozkoszowałem w spienionych falach, które pruła żelazna pierś parowca; i nie dziwię się wcale, że mitologiczne trytony kochały się w falach morskich,

bo rzeczywiście mają one w sobie coś dziwnie powabnego. To też przykładając szkła do oczu, unosiłem się nad tym łańcuchem gór sterczących pod niebo, miejscami śniegiem okrytych, urózowanych zachodzącego słońca promieniami. Przyszła mi na myśl nasza poczciwa żegluga w potrójnych czółnach na Dunajcu, którym spuszczaliśmy się od czerwonego klasztoru do Szczawnicy. Co za różnica! Ile tam życia w tem malutkiem 30 osób gronie, ile wymian uczucia i myśli, tu jakby wszyscy zasznurowane mieli usta. Tak i przecie najmilej w Polsce! Szukałem oczami twarzy polskiej, podsłuchiwałem ażali mnie nie doleci głos, lub szept mowy polskiej — nadaremnie. Później dopiero dowiedziałem się, że podróżowało ze mną dwóch panów z Wielkopolski, których potem na czas bardzo krótki poznałem, na górze Rigi-Kulm.

W Ficnawie czekał na nas pociąg osobliwszego rodzaju. Lokomotywa, która w przeciągu pięciu kwandransów wywindować nas miała na górę 5,545' wysoką, jest bardzo małych, prawie mikroskopijnych rozmiarów, ale zato silnie zbudowana. W pośrodku zwyczajnych kół lokomotywy umocowane jest trzecie koło ząbkowate, którego zęby wpadają w rowki szyny, położonej w pośrodku dwóch szyn zwyczajnych. Dla utrzymania punktu ciężkości, komin i kocioł maszynowy jest pochyły, jakby połamany. Wagon jest jeden tylko, objąć może 54 osób; jeżeli więcej podróżnych, dają drugą lokomotywę i znów jeden tylko wagon. Jak lokomotywa tak i wagon uzbrojony jest w koło ząbkowe, zachwytujące tąż samą ząbkowaną szynę. Maszynista i koduktor mogą za pomocą bardzo prostego przyrządu zatrzymać w jednej chwili i osadzić na miejscu cały pociąg. Gdy pociąg w ruchu, nie słyszysz oprócz lekkiego szumu lokomotywy nic, tylko tryk-trak, i takim miarowym tryktrakującym ruchem wspinasz się najbezpieczniej w świecie w górę, przebywasz most zawieszony nad przepaścią jakie 40 sążni głęboką, zatrzymujesz się na czterech stacyach Rigi-Scheidegg, Rigi-Klesterti, Rigi-Kattbad, Rigi-Staffel i nareszcie stajesz na szczycie góry t. j. na Rigi-Kulm, gdzie czekają na ciebie i na twoje złotówki usłużni portyerzy i cała hotelowa kalwakata. Przemyślni Szwajcarowie urządzili na Kattbadzie zakład leczniczy, a na Rigi-Kulm dźwignęli kilka olbrzymich najpyszniej urządzonych hoteli. Służba nadzwyczaj liczna i strojna, sale jadalne z konfortem i przepychem, sypialnie istne salony, ceny stosunkowo nie wysokie, za kolacyę 5 franków, kawa, herbata $1^1/_2$ franka, obiad 10 franków, pokój na

dobę od 20 do 8 franków. Mój Boże, czyby choć czwartą, choć dziesiątą część tego nie można zrobić u nas na „morskiem oku“ gdzie stary odarty szałas służył długo za jedyną przystań dla podróżnych, a teraz podobno i ten rozwalono i wątpię czy postawią natomiast coś odpowiedniejszego.

Trudno opisać, jakich się wrażeń doznaje, wznosząc się parą lokomotywy w górę. Nawet zasznurowane usta moich towarzyszy rozwiązały się. Co za cudny widok spojrzeć na łańcuch śnieżnych gór berneńskich opromienionych jasno zachodzącem słońcem, na wody jeziora liżące stopy góry, po której się wspinamy! Za każdem wzniesieniem się lokomotywy o jakie stóp 50, nowe przed nami panorama. Coraz głośniejszemi stawały się wybuchy podziwienia, już wszczął się szmer w wagonie, wypożyczano sobie wzajemnie szkła i lunety. Mało mnie to wszystko obchodziło, patrzałem jak dziecko na te cuda Boże w naturze, czułem moją małość, malutkość, i jak ów prorok do Pana wołałem w duszy: *a, a, Domine nescio loqui*, Panie, nie umiem mówić, i mimowolnie począłem się modlić. Nigdy nie odmowiłem z taką radością duszy i rzewnością „Zdrowaś Marya“, jak w ów dzień sobotni. Prawdę napisał święty Augustyn: „*Stworzyłeś nas Boże dla Ciebie i niespokojne serce nasze, dopokąd nie odpocznie w Tobie*“. Wśród najwyżej spotęgowanych wrażeń, dusza wyrywa się mimowolnie do Boga.

Pogoda sprzyjała przedziwna, ale wiatr pociągał wschodni tak zimny, że w pokoiku moim na trzeciem piętrze miałem zaledwie kilka stopni ciepła. Była ta nagła zmiana temperatury skutkiem burzy, która tak strasznie dniem przedtem srożyła się w Genewie.

Nazajutrz o pół do czwartej wrzaskliwa trąba hotelowego stróża obudziła nas wszystkich, bo zapowiadał się jasny, pogodny wschód słońca, rzecz najcudowniejsza, najwięcej godna widzenia na górze Rygi. Dla ochrony od zimna, które było dokuczliwe, a którego nie spodziewaliśmy się wcale, ubrały się nawet piękne damy w koce i kołdry — wyglądaliśmy więc arcypociesznie. O jakie 20 metrów od nas ugrupowała się znaczna liczba panienek w rannem ubraniu około młodego jegomości z lunetą i mapą w ręku. Byłto zapewne jakiś pensyonat zurychski, który pod wodzą młodego profesora-turysty zawitał w te strony, aby nauczyć się szwajcarskiej jeografii. W kilka minut po czwartej wychyliło słoneczko rąbek swej tarczy i wnet śnieżne szczyty gór berneńskich zarumieniły się jakby od wstydu, że lipcowe słońce zastało ich jeszcze w śnieżnej bieli. W miarę wysuwającego się słońca bladła różowość

gór, a natomiast rozpromieniały się spokojne wód źwierciadła trzynastu jezior, które przejrzeć możesz wszystkie jak pułki przed batalią ze szczytu Rigi. Zapomnieliśmy o dokuczliwem zimnie i „*była chwila ciszy i milczenia*“, która wnet zmieniła się w okrzyki podziwu i uwielbienia. Nie lubując sobie w czczej słów gadaninie, patrzałem długo, milcząco i w to niebo ozłocone rydwanem słońca i w tę ziemię cichą, spokojną, rozdzierającą, jak dziecko przebudzone ze snu, uroczą zasłonę mgły i rosy. Ogarnęło mnie znowu to samo uczucie wielkości Boga, a małości mojej. Jakże prawdziwe są słowa Psalmu: *Niebo i ziemia dziełem rąk Twoich, one przeminą i jako szata zwietrzeją, ale Ty trwasz na wieki.* Doleciał mnie przeciągły głos dzwonu z wieży wiejskiego kościółka, położonego u stóp góry od strony przeciwnej, jak ta, którą przebyliśmy — dzwoniono na Anioł Pański. O! dawno już tak gorąco i z takim nastrojem duszy nie pozdrawiałem Najświętszej Panny. *Dignare me laudare Te Virgo sacrata*, dozwól mi Panno święta godnie chwalić Ciebie, bo cała ta piękność, okrasa i wdzięk natury to tylko słaby odblask Twojej piękności i wielkości, ona służy Tobie, a przez Ciebie Bogu, którego Ty Matką jesteś. I już słońce stanęło wysoko, zbliżała się godzina, o której odchodzi pociąg. Potrzeba było powiedzieć: *ultimum vale* tym cudom bożym, których podobno już nie zobaczę więcej w życiu i przesłać do was to krótkie wspomnienie. Spuszczanie się z góry jest równie cudowne jak wspinanie się na nią, cudowniejsze jeszcze dla tej gry światła jaką rozlewa słońce, przebijające się przez warstwy mgły porannej i łamiące swe promienie w źwierciadle kantońskiego jeziora. Mówią, że do 70.000 turystów zwiedza corocznie szczyt góry Rigi. Zapomniałem dodać, że oprócz łańcucha gór berneńskich dojrzeć można wolnem okiem góry Jura, Szwabskie i Tyrolskie Alpy.

Dzięki niech będą Bogu za pociechy dnia tego i za oną prześliczną, od wielu tygodni niepamiętną pogodę, która wycieczkę moją upiększyła. Dzisiaj jeszcze w Lucernie wsiadam na pociąg i puszczam się w dalszą drogę do Francyi.

Rigi (w Swajcaryi) d. 10 Lipca r. b.

LISTY z WIEDNIA.

(Serya II.)

X.

Wiedeń 20 Lipca.

(Zgon cesarza Ferdynanda a koronacya — Jeszcze o wyborach w Węgrzech — Hr. Andrassy a jego ajenci na Wschodzie — Zebranie katolików w Kruman — Ks. biskup z Lincu — Starokatolickie roboty — Stowarzyszenie szkolne — Resursa katolicka — Groby rzymskie — Drożyzna — Powodzie — Zakonnice z Prus — Książki).

Ze śmiercią cesarza Ferdynanda podniosły uczciwe dzienniki myśl koronacyi obecnie panującego monarchy na króla Czech. Korona św. Wacława spoczywała na skroniach wszystkich cesarzów z dynastyi habsburgsko-lotaryngskiej, z wyjątkiem Józefa II, a zmarły Ferdynand pod imieniem V ukoronowany został na króla czeskiego w roku 1836 w kościele katedralnym św. Wita. Każdy wyznawca zasad konserwatywnych i katolickich musi sobie życzyć, by to pragnienie ludu czeskiego jak najrychlej się urzeczywistniło. Koronacya albowiem to akt religijny, który łączy w sumieniu panującego z poddanymi, który wzajemne prawa i obowiązki poręcza i obopólne zaufanie utrwala. Ten tylko może lekceważyć wysokie znaczenie takich dziejowo-religijnych aktów, kto nie pojmuje, iż moralne czynniki zawsze przeważny wpływ wywierają na losy państw i narodów. Ale właśnie dlatego, iż koronacya to akt religijny, iż przez nią prawo historyczne otrzymuje sankcyę, zżymają się na nią politycy ze szkoły liberalnej, u nich bowiem prawo historyczne w poniewierce, a życie państwowe ma być murem chińskim, odgrodzone od wszystkiego, co nosi na sobie znamię religijne. Co najwięcej, zgodziliby się na jakąś farsę koronacyjną, wyzutą z wszelkiego charakteru historycznego i religijnego, a podobną do tej komedyi, jaką odegrał w r. 1701 Frydryk I, gdy sam, jak się wyraził, wziął koronę ze stołu Pańskiego. Koronacya chrześcijańskich królów, której uroczyste obrzędy przepisane są przez Kościół w *Pontificale*, a wzniosłe jej znaczenie rozebrał szczegółowo dostojny arcybiskup Moguncyi ks. Ketteler w swoim cennem dziełku: *Wolność, powaga i Kościół*, koronacya, jakiej r. 800 Papież Leon III dokonał na Karolu Wielkim w Rzymie, a której w następnych wiekach w imieniu Papieża dokonywał w Niemczech arcybiskup Moguncyi, we Francyi arcybiskup z Rheims; w Anglii arcybiskup z Canterbury, w Szwecyi arcybiskup z Upsali, w Polsce prymas gnieźnieński, koronacya taka to nie bezteściwy obrządek, lecz to święty kontrakt uroczyście zawierany między

władzą świecką i duchowną. Monarcha ślubuje Kościołowi obronę i ochronę, Kościół zlewa nań łaski i błogosławieństwa, Kościół nadto żąda tej opieki nietylko wyłącznie dla siebie, lecz wyraźnie domaga się jej dla słabych, dla wdów i sierót, krótko mówiąc dla pokrzywdzonego prawa. Na tem zależy istota aktu koronacyjnego, cóż więc dziwnego, iż takie uroczyste zatwierdzenie panowania „z łaski Bożej“, poruszone w dziennikach konserwatywnych, odnośnie do osieroconego królestwa czeskiego i ułatwiające ugodę z temże królestwem, wywołuje oburzenie i szyderstwo w obozie tych, którzy stojąc pod sztandarem Auersperga i Andrassy'ego, popierają system liberalny, polegający na pogwałceniu słabszego przez silniejszego, a hołdujący teoryi, iż źródłem wszelkiego prawa jest tylko państwo i to państwo bez Boga, a raczej państwo, które się samo obwołuje Bogiem.

System taki, ubóstwiający państwo, tryumfuje obecnie nawet w Węgrzech. Dokonane tam wybory wypadły w kierunku liberalnym a nawet w okręgach całkiem katolickich katolicy ponieśli fatalną klęskę. Czemu to przypisać? Oto brakowi silnie zorganizowanego stronnictwa katolickiego. Katolicy wszędzie o tem pamiętaćby powinni, iż odkąd Bismark rozniecił ogień walki kulturowej, odtąd bezmyślny ów frazes, iż nie należy mięszać religii z polityką, stracił zupełny kredyt. Polityka, jako nauka o rozumnem i obyczajowem pożyciu uspołecznionych ludzi, jako nauka o wzajemnym stosunku państw do siebie może mieć za regulatora jedynie tylko wyniki z tych przekonań, jakie człowiek posiada w swych stosunkach względem Boga, względem tej ziemi i względem celu swego, do którego w ciągu swego życia zdążać powinien. Z czego wynika, że katolik odmienne ma poglądy polityczne, niż protestant, chrześcijanin inaczej usiłuje ukształcić swój system rządzenia niż Muzułmanin lub poganin. Tej prawdy nikt nie może zaprzeczyć, chyba ten jedynie, kto religię uważa za spichlerz tylko obrządkowy, zamknięty obrębem murów kościelnych, wykluczony zupełnie od wpływu na życie społeczne i państwowe. Jeżeli przeto w Węgrzech także i dziennik katolicki *Telankor* wystąpił z całym zapasem zużytych i bladych argumentów przeciw utworzeniu stronnictwa katolickiego, to krok ten da się tylko chyba w ten sposób wytłómaczyć, iż albo w koronie św. Szczepana katolikom nie grozi żadne niebezpieczeństwo, albo też, iż indyfferentyzm tak się rozpostarł, że zorganizowanie takiego stronnictwa jest wprost niemożebnem. Ta druga niestety alternatywa zdaje się być prawdopodobniejszą. Po oderwaniu szkoły od Kościoła osłabł duch religijny i zamiera już poczyna — nie obudzi go pewnie ministeryum z kalwinem. Tiszą na czele, złożone z żywiołów

żydowsko-liberalnych. Trudno się bowiem łudzić, aby tego rodzaju ludzie chcieli, lub mogli szanować prawa Kościoła. Katolicy przeto węgierscy, którymby słusznie można zarzucić bałwochwalstwo ojczyzny, powinniby, póki jeszcze czas, ocknąć się z obojętności religijnej i wyleczyć się z tej choroby wielkości madziarskiej, która ich na wzór centralistów niemieckich, z poświęceniem interesów religijnych popycha do ucisku innych narodowości.

Choć opozycya narodowościowa w sejmie węgierskim mało liczyć będzie reprezentantów, jak to ukazują wybory, to jednak tem silniejszą okaże się w tym kraju. Węgierskie bowiem państwo zbudowane na liberalizmie anti-kościelnym i centralistycznym, podobne jest do wulkanu grożącego co chwila straszliwemi wybuchami. Deak, ów sławiony liberalny patryota, wygłosił niegdyś to niesprawiedliwe zdanie, iż w Węgrzech jest tylko jeden naród polityczny, nim zaś są Madziary. A uczeń Bismarka hr. Andrassy sądzi, iż niema mężów stanu nad jego rodaków i dlatego poobsadzał najważniejsze konsulaty na Wschodzie samymi Węgrami, chcąc i tam propagować politykę nie austryacką lecz madziarską. Jak można było przewidywać, musieli tacy reprezentanci zaszkodzić tylko interesom Austryi na Wschodzie. Madziarzy, to otwarci, bezwzględni nieprzyjaciele Sławian i Rumunów, a właśnie Sławianie i Rumuni tworzą tuż przy granicy monarchii austryackiej szybko i bujnie rozkwitające państewka. Turcya nie zdoła na długo oprzeć się ich dążeniu do samodzielności, tem bardziej że je popiera Rossya. Otóż Austrya przez taki wybór konsulów (którzy nie robili wcale tajemnicy, iż pracują nad rozszerzeniem granic Węgier, z południa do Bałkanu, by zagarnąć tamtejsze ludy słowiańskie pod swój ucisk), straciła wszelkie u Słowian sympatye, a natomiast i Turcya spogląda na nią podejrzliwem okiem. Hr. Andrassy zrobił więc z swymi ajentami na Wschodzie kompletne fiasko, w skutek czego z Belgradu odwołano Węgra, p. Kallay, mianując na jego miejsce konsulem księcia Wrede, a i z Carogrodu ma rychło ustąpić ambasador hr. Zichy.

Niemcy z Węgrami wziąwszy całą Austryę w dzierżawę, sierdzą się ogniście na Czechów, iż ci nie chcą uznać ich hegemonii, ale upominają się o swe prawa, zagwarantowane sankcyą pragmatyczną. A jednak wyszydzana opozycya federalistyczna, bądźcobądź ma przed sobą widoki ostatecznego tryumfu, zasady bowiem katolickie, wypisane na jej sztandarze, z każdego boju wychodziły zawsze zwycięzko.

Opozycya federalistyczna zamanifestowała znowu swe konserwatywne, katolickie przekonania na walnem zebraniu stowarzyszenia polityczno-katolickiego w miasteczku Kruman. Ogromna sala w zamku

księcia Schwarzenberga zaledwie zdołała pomieścić licznie zgromadzonych, między którymi znajdowali się reprezentanci pierwszych rodów arystokratycznych. Zebranie zagaił hr. Schönborn, wyrażając podziękowanie księciu Schwarzenbergowi za tak chętne ustąpienie sali na obrady, dostojny zaś książę w odpowiedzi swej oświadczył, iż osoba, rodzina i dom jego zawsze gotowe będą do usług, jakich tylko zażąda sprawa katolicka. Następnie zdawał sprawę hr. Bouquoy z przyjęcia deputacyi międzynarodowej w Watykanie, poczem zabrał głos hr. Frydryk Thun, zbijając w wymowny sposób zarzuty miotane przeciw stronnictwu federalistycznemu tak ze strony liberałów, jak i przez liberalnych katolików z obozu *Volksfreund'a* — w końcu zabrał głos ksiądz prałat Loberschiner, wykazując z niezrównanym humorem, czem są w istocie liberały, jakie to z nich umysłowe zera, a obok tego jakimi są apostołami i jacy z nich grabarze prawdy i cnoty. Zgromadzeni otrzymawszy błogosławieństwo ks. biskupa z Budziejowic, wśród okrzyków na cześć Piusa IX, rozeszli się podniesieni na duchu i zagrzani do dalszej walki z kielnią wolnomularską. Świetne to zebranie napsuło niemało krwi liberałom. Pocieszają się jednak jak mogą, głosząc, że ks. biskup z Lincu nagiął się do ulubionego przez nich *modus vivendi* z rządem. Biedacy — niech się pocieszają. A tymczasem zobaczmy, ile jest prawdy w ogłoszonej przez nich nowinie. Rzecz się tak ma. Cztery probostwa, należące do obszaru dóbr Garsten, mają być teraz obsadzone. Dobra Garsten stanowiły dotacyę biskupstwa w Lincu, prawo patronatu wykonywał każdorazowy ordynaryusz. Ale w r. 1869 tak zwane *Bürgerministerium* chcąc ukarać krnąbrnego ks. Rüdigiera, zabrało ks. biskupowi tę dotacyę, przekazując dochody z nich na fundusz religijny i przywłaszczając sobie prawo patronatu. Ks. biskup zaprotestował przeciw tej grabieży i odtąd owe cztery probostwa były nieobsadzone. Ks. nuncyusz dowiedziawszy się o tem, udał się do Stolicy apostolskiej z własnej inicyatywy z zapytaniem, co należy uczynić, by probostwa dłużej nie były opróżnione. Z kancelaryi kardynała Antonellego nadeszła odpowiedź, by na ten raz wyjątkowo rząd prezentował, zwłaszcza iż rząd pisemnie złożył to oświadczenie, że na wypadek, gdyby ks. biskup odzyskał swe prawa do posiadania tych dóbr, przez to samo i prawo patronatu nie będzie więcej przysługiwać funduszowi religijnemu, lecz ks. biskupowi. Sekretarz stanu kardynał Antonelli nie sprzeciwia się przeto, by konkurs rozpisano, by rząd wyjątkowo tym razem udzielił prezenty, wzywa jednak ks. biskupa, by wyraźnie zastrzegł swe prawa. Jak się okazuje z toku tej sprawy, nie masz tu ani śladu jakiegoś *modus vivendi*

ze strony ks. biskupa, ale jest tylko uwzględnienie potrzeb duchownych i uległość rozporządzeniu Stolicy apostolskiej, zastrzegającej równocześnie prawa przysługujące ks. biskupowi.

Skwapliwość radosna, z jaką dzienniki liberalne pochwyciły wiadomostkę o ks. biskupie z Lincu, świadczy nader wymownie, ile rządowi zależy na tem, by episkopat nagiąć do tak zwanego *modus vivendi*; wie on bowiem aż nadto dobrze, iż na tej drodze miękkiej, łagodnej walki kulturowej prędzej i skuteczniej potrafii ujarzmić Kościół, niż występując brutalnie jak żelazny książę.

Dwulicowy p. Stremayer umie wybornie toczyć tę cichą walkę przeciwko Kościołowi, a jednym z licznych na to dowodów, to to, iż zamyka tak szczelnie oczy na jawne roboty sekty starokatolików, dotąd w Austryi prawnie nie uznanej. Wszystkim wiadomo, jak na podstawie uchwalonych ustaw wyznaniowych z polecenia p. Stremayera, wydał na Szlązku w Sierpniu 1872 p. Summer surowy ukaz do podwładnych sobie starostów, by czuwano, aby jaki Jezuita z Prus nie przekradł się na terytoryum austryackie i nie poważył się mszy św. odprawiać; wszystkim wiadomo, jak namiestnik Krainy hr. Auersperg nakazał burmistrzom pilnie przysłuchiwać się kazaniom, a gdyby je znaleziono karygodnemi, donosić natychmiast władzom politycznym; wszystkim wiadomo, jak w końcu naczelnik Kościoła ministeryalnego, sam p. Stremayer ogłosił list pasterski do podległych sobie urzędów, dozwalający tylko austryackim obywatelom odprawiać mszę św., udzielać śś. Sakramentów i mówić kazania, gdyż nieobywatele, według p. Stremayera, nie mogliby, widać, sprawiać ważnie tych rzeczy. Na mocy więc takiej encykliki odbywały się w Cislitawii polowania za kaznodziejami postnemi, cudzoziemcami, a upolowanych na podstawie §. 2 ustaw konfesyjnych, wydalono (w Sierpniu 1874). Taki sam los spotkał ks. biskupa Forwerk, zaproszonego do Königgrätz przez księcia kardynała Schwarzenberga dla udzielenia Sakramentu bierzmowania. Również na mocy takiego samego rozporządzenia wypędzono z Solnogrodu kilku Redemptorystów, przybyłych z Bawaryi, którym kardynał Tarnoczy powierzył administracyę pewnego kościoła. Ku usprawiedliwieniu tych oburzających faktów przytaczano, iż tego domagają się sankcyonowane ustawy konfesyjne. Zdziwienie atoli ogarnąć musi każdego, gdy się zważy, iż te ustawy zdają się nie obowiązywać starokatolików. Ci bowiem sekciarze robią co tylko chcą i co im się tylko podoba.

W Czechach północnych, w Krima, odbywali starokatolicy swój sabat.. Apostata ks. Nittel z Warnsdorf odczytał im mszę po niemiecku, siedmdziesięciu przeszło osobom udzielił komunii. To nabożeństwo odbywało się niby w domu prywatnym. Później jednakże nastąpiły publiczne narady w karczmie, na których uchwalono wybrać misyonarza dla rozproszonych starokatolików. Wybór padł na suspendowanego byłego proboszcza ks. Leitgeba. Oto fakt, a wnioski z niego dają się łatwo wysnuć. Starokatolicy nie są stowarzyszeniem religijnem przez państwo uznanem, gdyż ustawa o starokatolikach została w Radzie Państwa odrzuconą i sąd najwyższy w kilku wypadkach uznał małżeństwa zawierane w obec starokatolickiego pastora za nieprawne; jeżeli więc ustawy konfesyjne znajdują tak skrupulatne zastósowanie do kleru katolickiego, to tym bardziej znaleśćby powinny względem tych nowinkarzy; a tymczasem dzieje się przeciwnie; starokatolicy zgromadzają się, odprawiają nabożeństwa, wysyłają misyonarzy, szafują jakiemiś sakramentami, a władza kompetentna milczy. Słowem, dziwne dzieją się dziś rzeczy w katolickiej niby Austryi — tak, że gdyby św. Bonifacy, śś. Cyryl i Metodyusz, św. Seweryn, OO. Lacordaire Ravignan, Roh, sami nawet apostołowie zawitali obecnie do nas, znaleźliby się, w moc dekretu „o cudzoziemcach“ w położeniu ks. Forwerka i musieliby w towarzystwie żandarmów odbyć przymusową wędrówkę za granicę konstytucyjno-liberalnej monarchii, a natomiast gdyby przybyli Symonowie Magowie, Manichejczycy, Aryanie, nie groziłoby im żadne równie jak i starokatolikom niebezpieczeństwo. Słowem nie masz prawdziwszej wolności nad wolność w Austryi. Wolno szerzyć fałsz i brednie, ale nie wolno głosić prawdy i w prawdzie utwierdzać; wolno siać niezgodę i rozjątrzać, ale nie wolno zachęcać do miłości i jedności. To też nie dziwić się temu, że apostata proboszcz z Merkersdorf jakiś tam Steinwachs, zamieszkały w Offenbach pod Frankfurtem, rozesłał do kleru dyecezyi wiedeńskiej broszurę pełną bluźnierstw, zatytułowaną: *Ansprache der zweiten altkatholischen Synode an die noch unter den vaticanischen Bischöfen stehenden, aber im Herzen catholischen Geistlichen des deutschen Reiches.* Biedna Austrya, wszystko w niej pracuje dla Prus — w kierunku politycznym dziennikarstwo gadzinowe, w kierunku zaś religijnym pracuje zlutrzały starokatolicyzm i jego bez wszelkiej przeszkody snujący się emisaryusze.

Przeciw epidemii prusko-bezwyznaniowej w Austryi należałoby oddziaływać wszędzie, a głównie na polu szkolnictwa, gdyż nietylko za pomocą uniwersytetów, lecz i szkół średnich a nawet ludowych importowany z Niemiec towar profesorów bez wiary w Boga, a z wiarą w Bismarka szerzy propagandę ateistyczną i antidynastyczną. Z radością więc zanotować wypada, iż statuta katolickiego stowarzyszenia, zalecające zakładanie szkół katolickich, uzyskały wreszcie zatwierdzenie ministeryum oświaty.

Stowarzyszenia katolickie rozwiną zapewne niedługo zbawienną swą działalność. Pierwszy atoli, który podjął myśl szkół katolickich w Austryi nie doczekał się jej urzeczywistnienia, umarł dni temu kilka zaledwie. Był nim Franciszek Koth, wytrawny pedagog, dyrektor szkoły miejskiej w Hernals, katolik wypróbowany; śmierć przedwczesna zabrała go katolikom, liczył bowiem zaledwie 37 lat. Cześć jego pamięci!

Jakie szalone robi postępy dążność do zaszczepienia niewiary w młodzieży szkolnej, w jakim stanie znajdują się szkoły ludowe, dość będzie przytoczyć dwa następujące fakta. W jednej np. ze szkół ludowych, uczony ogromnie p. inspektor pyta dziatki, co chroni zasiewy w porze zimowej od zniszczenia? dziatki odpowiadają, iż P. Bóg — rozgniewany taką odpowiedzią cywilizator, począł chłopczykom wykładać, iż to nie P. Bóg, ale warstwa śniegowa nie daje zmarnieć zbożu w ziemi, gdyż Pan Bóg nie jest i nie może być wszędzie. W innej znowu szkole w Braunan w Wyższej Austryi żandarm wzbronił katechecie wstępu do szkoły dlatego, iż tenże nie chciał przed świeckim inspektorem wykładać katechizmu. Przez pół roku przerwaną była nauka religijna, gdyż ilekroć katecheta udawał się do szkoły, żandarm zakładał swe *veto*. Ks. biskup z Lincu, który pochwalił zachowanie się katechety, polecił mu, by dziatwę zgromadzał w kościele na wykład katechizmu; rada zaś szkolna chcąc sparaliżować to rozporządzenie, nakazała nie wypuszczać dzieci o tej godzinie ze szkoły i poleciła jednemu z nauczycieli świeckich wykładać naukę religii. Ordynaryat biskupi zaprotestował przeciw takiemu nauczaniu przez człowieka, nie mającego upoważnienia od władzy duchownej. Obecnie cała ta sprawa oparła się aż o ministeryum, a czerń liberalna jest pełna otuchy, iż p. Stremayer energicznem wystąpieniem potrafi poskromić zuchwałość ultramontańską i w walce kulturowej choć żółwim krokiem zrówna się ze swym berlińskim kolegą, p. Falkiem.

Gorliwi tutejsi katolicy mają zamiar wybudować osobny gmach przeznaczony na zebranie się stowarzyszeń katolickich, dotąd bowiem odbywały się się one w najętych lokalach, pospolicie w restauracyach, wielce nieodpowiednich dla świętości spraw, jakie są na nich rozbierane. Fundamenta już położono, a sądząc z planu, będzie to gmach okazały w całem znaczeniu tego słowa. Ruchliwość ta katolików gniewa liberałów, szydzą więc z tej zamierzonej budowy, zowiąc ją hotelem klerykalnym i podejrzywają, iż zapewne znaczne koszta, bo dochodzące do 400.000 zł. poniosło jakieś tajemnicze źródło zagraniczne. Mogą być pewni, iż do tej budowy nie przyczyni się pruski fundusz gadzinowy, gdyż takowym karmią się tylko liberalne dzienniki.

Kapitał ów budowlany tak znaczny, subskrybowały: kler, arystokracya i zacne mieszczaństwo, a subskrybować mogły pomimo krachu, gdyż katolicy trzymali się zdala od szalbierstw giełdziarskich.

Z Węgier donoszą o ciekawem odkryciu, ważnem dla archeologów. Na pagórku położonym naprzeciwko katedry w Ostrzyhomiu znajdywano już oddawna monety i inne zabytki starożytne. Teraz z polecenia księcia kardynała zajęto się poszukiwaniem gorliwie i jako łupy wydobyto mnogo naczyń srebrnych i złotych, tudzież monety z czasów Trajana, Hadrjana, Filipa Araba i Konstantyna. Prawdopodobnie pagórek ów był grobowcem dla żołnierzy rzymskich, gdyż naprzeciwko niego, według dochodzeń historyków, znajdował się obóz. Uporządkowaniem tej zdobyczy zajął się za wolą ks. prymasa znakomity archeolog, profesor gimnazyalny Pijar ks. Eugeniusz Fleischmann.

Od dłuższego czasu powstała w dziennikach liberalnych wrzawa na niesłychaną drożyznę najpotrzebniejszych artykułów żywności. Pioruny i gromy padają na bezpośrednich dostarczycieli takowych, chociaż całkiem niesłusznie. Przedający bowiem przejęli się zasadami ekonomii społecznej, której ojcem Adam Smith, będącej, jak wiadomo, wyrafinowanym systemem wyzyskiwania. Wedle tej teoryi nowoczesnej, dla której liberałowie nie mieli dość słów pochwalnych, rzeczą postępowego ekonomisty jest swą pracę lub swój towar jak najdrożej spieniężyć; niema więc w tem nic zdrożnego, jeżeli właściciel domu pobiera wysokie czynsze, jeżeli fabrykant przecenia swój wyrób, jeżeli żyd pożyczając pieniędzy, odziera lichwą, jeżeli *Verwaltungsrath* każe sobie drogo płacić za swą „radę“. Zkąd więc te krzyki, jeżeli liweranci chleba i mięsa, hołdujący ideom liberalno-postępowym, łupią skórę z konsumentów. Oni o tyle jeszcze zasługują na usprawiedliwienie, iż przy zakupnie produktów mają do czynienia z szarańczą spekulantów, faktorów, ajentów, rekrutujących się z semickiego pokolenia, którzy z nich grube ciągną zyski. Liberalizm więc niema powodu do użalania się na drożyznę; kto bowiem odrzuciwszy ekonomię, opartą na zasadach chrześcijańskiego prawa, proklamuje jako najwyższą regułę gospodarstwa, filozofię egoizmu, ten musi się poddać i naturalnym konsekwencyom z niej wypływającym. Tego liberalizm uznać nie chce, gdyż logiczne myślenie jest najsłabszą stroną ludzi, noszących na sobie chomąt wrzekomo postępowych bredni.

Klęski elementarne, a mianowicie tak częste powodzie dostarczają liberałom obfitego materyału do szyderstw i z religii i z jej wyznawców. Na różną nutę powtarzają tę nikczemną piosenkę: I cóż wam pomogło, że Papież cały świat poświęcił Sercu Jezusowemu, i na cóż się przy-

dały wszelkie procesye i pielgrzymki? Szydzą szczególnie z kapłanów, iż ci tak straszne klęski przedstawiają jako dopust Boży, by lud się uciekał do pokuty. Ten jad szyderstwa szkodzi tylko bezwyznaniowcom, gdyż świadczy o ich bezdennej podłości. Szyderstwem nie odwiodą ludu, by w tych plagach nie uznawał karzącej ręki Pańskiej, z klęsk tych nie urobią sobie sojusznika do polityki anti-kościelnej. Największą atoli radość sprawiły im klęski, jakimi Czesi dotknięci zostali. Piekło nie cieszy się bardziej ze swych ofiar ani szatan z uwiedzionej przez niego potępieńczej duszy. Radość liberałów przeszła tutaj radość najbardziej upadłego demona. Biedni Czesi! Niema nieszczęścia, któregoby temu dzielnemu katolickiemu ludowi nie życzono, w mniemaniu, iż tym tylko sposobem zmiażdżonym zostanie i porzuci sztandar opozycyjny. Wołają więc do niego liberały: cóż wam pomógł sojusz z klerykałami, widzicie, iż i oni gniewu Bożego od was odwrócić nie są w stanie. Tak więc, gdy idzie o Czechów, bezwyznaniowcy przypuszczają nawet istnienie Boga, byle tylko módz wygłosić im kazanie, iż nawet sam Pan Bóg chłoszcze Czechy za ten straszny grzech, iż od konstytucyi centralistycznej odżegnują się, jakby od szatana. Dodawać zbyteczna, że i spustoszenie kilku departamentów we Francyi w skutek wylewu wód spotęgowało jeszcze ten wrzask radosny w dziennikach pruskich i wiedeńskich. Francya odradzająca się w duchu katolickim, to groźny nieprzyjaciel dla wszystkich nikczemników, zapora dla robót masońskich.

Rozpanoszeni w Austryi sekciarze chcieli w ostatnich czasach przeszkodzić Siostrom chrześcijańskiej miłości, przybyłym z Prus, a osiadłym w zamku Mühlhausen, w wychowywaniu i nauczaniu dzieci, w tym więc celu robili oni wszystko, aby nie otrzymały pozwolenia na otwarcie prywatnego pensyonatu dla córek szlacheckich. Aliści p. minister pozwolenia nie odmówił, bo nie mógł odmówić bez podeptania wszelkiej sprawiedliwości. Jeżeli bowiem dla nauczycieli żydowskich uzyskał w radzie szkolnej niejaki Wiener pozwolenie, iż mogą nauczać bez względu na to, czy są lub nie austryackimi obywatelami, bez względu czy mają lub nie świadectwo uzdolnienia ze strony władz austryackich, to to samo prawo musiano zastósować i do zakonnic. A jednak z faktu tego wypływa ten sens moralny, iż Siostry miłości chrześcijańskiej tylko przywilejom udzielonym żydom zawdzięczają swój pobyt i wolność nauczania czyli innemi słowy, że w rządach Austryi Izrael trzyma wszechwładnie w swych rękach sprawy najważniejsze. *Prosit!*

Z nowych książek zwracam waszą uwagę na *Katechismus des römisch-katolischen Kirchenrechtes*. Za całą ocenę tego wybornego dzieła niech służy nazwisko autora, jest nim słynny Dr. Konrad Martin, biskup z Paderborn.

W Monachium apostata Frohschammer, uczeń i wielbiciel Döllingera, odświeżył w pamflecie bezpłatnie rozdawanym stare, tylekroć razy odparte fałsze, uderzając na prymat św. Piotra i dowodząc pseudohistorycznie, iż tenże apostoł w Rzymie nigdy nie był i tam nie umarł. W odpowiedzi na ten stek kłamstwa wydał ks. Huhn broszurkę, w której cytatami, wyjętemi z dzieł Döllingera *(Kirche und Kirchen, historisch-politische Betrachtungen, Christenthum und Kirche in der Zeit der Grundlegung, Lehrbuch der Kirchengeschichte)*, wykazuje bezczelne fałsze Frohschammera. Broszurka ta ma zabawny tytuł *Co p. Döllinger p. profesorowi Frohschammerowi odpowiada?*

Listy z Wielkopolski.

(Serya II).

VII.

Pokrzepienie — W szeregach państwowych-katolików — Wybory Bawarskie — Zatrzymanie wypłaty pensyi — Grzywny — Duchowieństwo — Ks. kanonik Kurowski i ks. prałat Koźmian — Uznanie doniosłości klątwy — Okolice Książa i Kamionny — Parafie — Tajemne missye — Lud — Druga rocznica — Z dwudziestu ośmiu neopresbyterów — ks. dziekan Rzeźniewski — Ks. Fromholz — Uciekinierzy — *Wiarus* a *Dziennik Poznański* — *Orędownik* — Odpowiedź *Kuryera Dziennikowi* — Potwarze i stanowisko Dr. Szymańskiego — Rok 1863 a dzisiaj — Klęski elementarne — Żniwo — Teatr — Zjazd członków Towarzystwa przyjaciół Nauk — P. Stanisław Koźmian — Dalszy ciąg przekładów Szekspira — Ks. biskup Janiszewski i druga część dzieła o *Bezżeństwie kapłańskiem.*

Poznań 22 Lipca.

Nie powtórzyliście dotąd w *Przeglądzie* odpowiedzi Ojca Św. na adres dziękczynny szlachty wielkopolskiej, za wyniesienie jej arcypasterza do kardynalskiej godności. Odpowiedź ta, pełna najtkliwszej życzliwości dla nieszczęśliwego narodu, przyniosła nam najwznioślejsze słowa pociechy i zachęty na tej drodze krzyżowej, którą od tak dawna postępujemy*). A pokrzepienia nam było

*) Daliśmy z niej wyjątek. Pospieszamy teraz przytoczyć ją w całości, poprzedzoną podanym przez znaczną liczbę najznakomitszych obywateli

trzeba, bo coraz ciemniej i smutniej na naszej Golgocie. Zdawało się, że letnie miesiące przyniosą pewną folgę w prześladowaniu,

adresem do Ojca Św. w początku Kwietnia r. b. Wedle tekstu ogłoszonego przez *Kuryer Poznański* (Nr. 145) brzmi on jak następuje:

Ojcze Swięty!

„Poruszeni do głębi niezmierną łaskawością Waszej Świątobliwości, przychodzimy u nóg Jej złożyć wyraz najżywszej wdzięczności naszej.

Świątobliwość Wasza raczyła wynieść naszego ukochanego arcypasterza na godność kardynała św. rzymskiego Kościoła. Ten zaszczyt niezrównany, który jest sprawiedliwą nagrodą i cnót i zasług Dostojnego Wyznawcy wiary, spływa również na nasze obie archidyecezye i daje Polskiemu Narodowi nowy dowód onej ojcowskiej troskliwości, jaką Świątobliwość Wasza zawsze mu okazywała.

W ojczyźnie naszej godność kardynalską piastowali mężowie wysokiej cnoty i niepospolitych zalet; ale pierwszy to raz widzimy purpurę, okrywającą kajdany więźnia.

Dzięki niechaj będą wielkodusznemu arcykapłanowi, który znalazł w sercu swojem natchnienie tak wspaniałego objawu odwagi, siły i słuszności.

Co do nas czujemy się wobec tego czynu wzmocnieni, ukrzepieni i podniesieni w uczuciu głębokiego przywiązania do świętego rzymskiego Kościoła, Matki naszej, i do namiestnika Chrystusowego, zaczem przyrzekamy Waszej Świątobliwości, którą czcimy i miłujemy jako najlepszego Ojca, że cokolwiek nastąpi, pozostaniemy wiernymi obowiązkom naszym względem Boga, względem Kościoła, założonego przez Jezusa Chrystusa i względem widzialnej, nieomylnej Głowy Kościoła.

Schylając się w pokorze do stóp Waszej Świątobliwości, błagamy, aby kapłan najwyższy udzielił nam swego świętego błogosławieństwa".

(Tu następują podpisy).

Na piękne te słowa Wielkopolskich obywateli odpowiedział Ojciec Św. listem dnia 7 Czerwca, wystosowanym do Sędziwego Jenerała Chłapowskiego.

Dilectis Filiis D. Chłapowski copiarum Duci aliisque Nobilibus Polonis.

Żałujemy tylko, że niemożemy tutaj przytoczyć tekstu oryginalnego, ale musimy poprzestać na przekładzie polskim, podanym przez *Kuryer*.

Pius P. P. IX.

„Ukochani synowie, pozdrowienie Wam i Apostolskie błogosławieństwo.

Dawno już dostojny arcybiskup Mieczysław hr. Ledóchowski znamienicie się zasłużył tej świętej Stolicy Apostolskiej w rozlicznych, jakieśmy mu powierzali, urzędach; wszelako dzielność jego pobożnego umysłu wtedy się przedewszystkiem okazała, gdy został na metropolitalną waszą podniesiony stolicę. Tam albowiem stanął on w obec władzy świeckiej, targającej się na prawa święte (słowa te odmiennem pismem tutaj złożone opuścił *Kuryer* z powodów łatwych do zrozumienia), jako wał spiżowy i tak odważnie za nietykalnością praw świętych obstawał, że naprzód przyszło mu znieść wiele dolegliwości, które wszystkie nieugięcie wytrzymał, a potem zasłużył sobie na to, by cierpiał więzienie za sprawiedliwość. Zaczem my z Naszej strony uznaliśmy, że godny jest, abyśmy go powołali do świętego senatu, którego członkowie dlatego purpurą są ozdobieni, aby wszystkim widoczną było rzeczą, że są gotowi za wolność Kościoła krew swoją przelać. Zkądinąd niezachwiana wiara Polaków i ich do tej katedry Piotrowej przywiązanie, równie jak wzorowa stałość w obronie nienaruszalności religii przodków wśród tylu nieszczęść, wymagały od nas pochwalnego świadectwa obok zachęty, którąby ich w ciężkiej i zaciętej walce pokrzepiła.

z powodu rozjechania się władz miejscowych do wód i feryj sądowych. Z innej strony *Germania* i inne poważne głosy zapowiadały zmianę kierunku w rządzie ze względu na ruch zwrotny, objawiający się w szeregach t. z. *Staatskatholiken*, którzy przejrzeli nareszcie całą fałszywość zajętego przez siebie stanowiska i doszli do przekonania, iż dwom panom służyć nie można. Ponieważ w liczbie tych połowicznych, państwowych katolików znajdują się najbardziej wpływowe w państwie niemieckiem nazwiska, nie bez słuszności wnosić było można, że głosy ich, żądające rewizyi praw majowych, nie zostałyby bezwzględnie odrzucone. Podobnież i wypadek bawarskich wyborów i agitacya anti-pruska, budząca się w południowych Niemczech, mogłyby skutecznie wpłynąć na wstrzymanie zapędów przywódców *Kulturkampfu*. My jednak na nic podobnego w naszych dyecezyach liczyć nie możemy. Jakkolwiekby w całem państwie żelazna ręka prześladowców cofnąć się miała chwilowo, u nas nic uścisku nie zmniejszy, bo tutaj krzyżacka zaciekłość i buta nadto zespoliła kwestyę religijną z narodową, aby odstąpić od systematu zniszczenia i wytępiania polskości obok wiary, ojczyzny obok Kościoła.

Nie zaznaczamy tedy żadnych ustępstw ani sfolgowania w kolejach prześladowania. Z dniem 1 Lipca zatrzymano członkom obu

Chcąc jednego i drugiego udzielić Polakom, osądziliśmy, że zaszczyty należą się przedewszystkiem temu, którego w ciężkiej walce jako wodza uważać przywykli. Miło nam przeto, żeście jedno i drugie zrozumieli, i podnosicie wobec Nas w serdecznym adresie, któryśmy z prawdziwą radością otrzymali, i w którym wyraziliście wdzięczność waszą, oświadczając zarazem silne postanowienie wytrwania w podjętej walce z pominięciem wszystkiego, coby mogło uczynić ujmę tej chwale, jaka ojczyznę waszą nadewszystko uświetnia. Winszujemy wam przeto równie zacnych postanowień, i prosimy Boga, aby was tak natchnieniem swojem wspierał, łaską wzmacniał, iżbyście nigdy pod naciskiem klęsk na duchu nie upadli, lecz nową ciągle ożywiani dzielnością, wytrwali w potrzebie, dopóki złego w dobre przemienić nie zdołacie. Przeto jako zakład Najwyższego miłosierdzia i na świadectwo Naszej względem was miłości udzielamy wam, synowie kochani, i wszystkim waszym i to z całego serca apostolskiego błogosławieństwa.

Podpis własnoręczny: *Pius P. P. IX*".

kapituł i w ogóle wszystkim kapłanom, zależącym od rządu, wypłatę pensyi kwartalnej. Jednocześnie grzywny sypią się nieustannie na duchowieństwo nasze, ogołocone już z wszystkiego. A grzywny te rosną już w tysiące, ponieważ za każdy list p. Massenbacha, zostawiony bez odpowiedzi, tenże nakłada dowolną karę pieniężną. Egzekutorowie nachodzą plebanię, zabierają ostatek sprzętów, uprowadzają dobytek. Nic nie zdoła osłabić ducha naszych zacnych kapłanów, którzy dowodnie świadczą jako *propter Jesum* a nie *propter esum* święty obrali zawód. Co więcej, nic ich ofiarności nie zmniejsza, ostatni grosz na święte, piękne oddają cele i zaiste widok składek, ogłaszanych w *Kuryerze*, mógłby inne zawstydzić stany, tak owe listy prawie wyłącznie z samych księżych rosną datków. W ślad za ubóstwem ewangelicznem wszystkie inne idą cnoty: i apostolska iście gorliwość i mężna wola i wierność wyznawców. Tych ostatnich cierpienia o wiele się zwiększyły przez wyjątkowe tegoroczne upały: gorącość i duszność celek więziennych istotnie nie do wytrzymania, a jednak Bog dodaje fizycznych nawet sił wyznawcom swoim, tak iż bez widocznego szwanku na zdrowiu, długie znoszą zamknięcie. Zresztą względność na powody sanitarne coraz jest rzadszą w szeregach pruskich urzędników. Gdy próbowano po kilka razy uzyskać urlop konieczny dla starców, potrzebujących kuracyi w ciągu lata, lekarze urzędowi oświadczyli stanowczo, że tylko w razie choroby śmiertelnej wydadzą świadectwo, mogące posłużyć do uwolnienia. Nie wyludniły się tedy więzienia, owszem razporaz nowe zamykają ofiary. Ks. kanonik Kurowski, dotąd pod śledztwem, w zupełnem zostaje odosobnieniu; ks. prałata Koźmiana razporaz pytają o nazwisko kapłana, który Kicka wyklął, a gdy odpowiedzi nie daje, i nadal trzymają w więzieniu. Rzeczywiście godną zastanowienia jest rzeczą, do jakiego stopnia rząd bezwyznaniowy uznaje doniosłość i wagę klątwy kościelnej, a więc sprawy czysto-duchownej. Nietylko śledzi i dochodzi pilnie całego tej sprawy przebiegu, nietylko mnóstwo osób do odpowiedzialności pociąga i sroży się tem zawzięciej, im dłużej odkryć rzeczywistego winowajcy mu się nie udaje, ale nadto nagabywa nie tylko parafie nawiedzone ciężkim krzyżem odstępcy, lecz i wszystkie sąsiednie, dokąd wierni spieszą dla uniknienia stosunków z apostatami. Okolice Książa i Kamionny pod tym względem są najwięcej nawiedzone: jednego po drugim z sąsiednich kapłanów rząd wywozi, tak iż po 20.000 dusz w jednej okolicy pozostaje w zupełnem osieroceniu. Osierocenie to przerywają razporaz przelotne odwiedziny naszych

młodych apostołów, którzy z nieporównanem poświęceniem spieszą nieść pociechę i pomoc duchowną parafiom bez pasterza. Nie podobna dziś opisywać trudów ich, niebezpieczeństw, na jakie są wystawieni, tych nabożeństw odprawianych ukradkiem, w nocy lub o niezwykłych godzinach katechizacyi dziatek po chatach, spowiedzi po domach prywatnych. Kiedyś, da Pan Bóg lepszych doczekać czasów, można będzie całe pamiętniki spisać o tych misyach tajemnych, w których tyle poświęcenia z jednej, tyle miłości i wierności z drugiej strony. Prawda, że ci młodzi apostołowie trudnego i ciężkiego podjęli się posłannictwa. Według słów św. Pawła stali się oni „sługami Bożymi w cierpliwości wielkiej, w utrapieniach, w potrzebach, w uciskach, w niespaniu, w rozruchach, w więzieniu, w pościech, jako ubodzy, a wielu ubogacający; jako nic nie mający, wszystko mający". (Ad Cor. II. VI, 4, 5). Atoli wdzięczność i przywiązanie owej czeladki Bożej, ludu tego wśród którego zawitają, dla którego to wszystko cierpią i znoszą, osładza im niedostatki i niewygody wszelkie. Podobno nigdzie przywiązanie do swych pasterzy duchownych tak żywem nie jest jak w Polsce, a nawet w Wielkopolsce; obecne stosunki najlepiej o tem świadczą, najwymowniejszych dostarczają dowodów. Opisać niepodobna rozpaczy ludu, gdy im zabierają kapłana, ani rzewnej radości, gdy do nich powraca. Osierocone parafie poczuwają się do tem większej gorliwości i ścisłości w zachowywaniu udzielonych sobie wskazówek. W jednej np. z takich miejscowości, wierni odznaczają się gorliwem zadośćuczynieniem warunkom jubileuszowym, a że teraz żniwa i dzień cały pracą zajęty, przed wschodem słońca żniwiarze i robotnicy zalegają opuszczony kościół, budując całą okolicę nadzwyczajnem rozbudzeniem pobożności. W ogóle, im więcej dotknięta okolica, tem większe rozgrzanie ducha katolickiego, tem widoczniejsze owoce pokuty. Zaiste żniwo wielkie, a robotnicy podniesieni, nastrojeni na wysokość wyjątkowego posłannictwa. *Kuryer* w rzewnych słowach przypomniał, iż w tym miesięcu 13 Lipca wypadła druga rocznica ostatnich święceń, których ks. arcybiskup udzielił przed swem uwięzieniem. Tego dnia wyświęcił na kapłanów wyjątkową liczbę kleryków, bo aż dwudziestu ośmiu naraz. Dobry pasterz wiedział, przeczuwał dobrze, co czeka ową garstkę neopresbiterów, których z takiem wzruszeniem namaszczał i posyłał „jako owce między wilki". Dwa lata dopiero mijają od owego dnia pamiętnego, a z owych dwudziestu ośmiu lewitów, ani jeden się nie zachwiał na drodze obowiązku, wszyscy już zaznali więzienia i wygnania,

każdy trwa przy prawowitej władzy mimo pokus i znękań ducha i ciała. Pan Bóg wyraźnie ich umacnia i wspiera, a przykłady starszych i przełożonych, biskupów i przodowników słusznie ich zagrzewać mogą.

Jedna z najpiękniejszych kart w dziejach bieżącego prześladowania niewątpliwie należeć będzie do ks. dziekana Rzeźniewskiego. Zacny ten kapłan, ścigany listami gończemi, skazany zaocznie na ośmnaście miesięcy więzienia, nadzwyczajną zabiegliwością i roztropnością uchodzi zawsze cało i bezpiecznie z zasadzek wciąż stawianych, aby go wolności pozbawić, a bez względu na niebezpieczeństwo, o ile się tylko da, służy swym owieczkom, i nawet razporaz, w wielkie święta nabożeństwo im odprawia. Jak przed rokiem dzielne i czynne postępowanie ks. Rzeźniewskiego wobec intruza Kubeczaka stało się wzorem dla innych dziekanów, jak w podobnych radzić okolicznościach, tak odtąd jego misyonarska gorliwość jest przykładem dla wszystkich duszpasterzy.

Niestety! nie wszyscy go naśladują, nie samych tylko dobrych mamy pasterzy. W miarę jak rośnie ucisk i prześladowanie, rysują się też wyraźniej charaktery, a słabsze rozbijają się o kamień probierczy materyalnych kar lub uwidzeń obrażonej miłości własnej. Znaną wam już być musi smutna historya ks. Fromholza, który skarcony przez duchowną władzę, po protestancku do zdania gminy się odniósł, żądał adresu zaufania od parafian, a nareszcie stał się po prostu donosicielem, oddając w ręce władz rządowych poufne pismo władzy kościelnej. Nie dość na tem; w chwili gdy każde osierocenie parafii jest nieszczęściem tak wielkiej doniosłości, ks. Fromholz nie wahał się opuścić swych parafian i usunąć się w samolubny spoczynek; przekładając folwarczne gospodarstwo nad robotę w winnicy Pańskiej. Zaiste, najemnik, który nie jest pasterzem, ucieka gdy widzi wilka nadchodzącego, iż jest najemnikiem i nie ma pieczy o owcach". (Jan Roz. X). Co najgorsza, że owi najemnicy, których jest wprawdzie nieliczne ale ściśnione grono, nie ograniczają się na ucieczce i osobistym upadku, ale próbują inne jeszcze umysły pociągać i bałamucić. Niestety! znaleźli organ, gotów wszystkie ich elukubracye umieszczać i wpływem swem popierać: upadł *Wiarus* nie pociągnąwszy nikogo na „drogi wyjścia". Ale dziś *Dziennik Poznański* jawnie już w tym samym występuje kierunku i łamy swe skwapliwie otwiera zbuntowanym kapłanom.

Z mojej strony nie wypada dziś o *Dzienniku* wspominać, po onego gwałtownem wystąpieniu przeciw ostatniej z Wielkopolski korespondencyi. To pewna, że mnie osobiście nie dotknął, chociaż mnie stanowczo „waryatem" i „półgłówkiem" ogłosić raczył. Nie przeceniam doniosłości słów moich i wiem dobrze, że ów list żadną miarą nie mógł się spodziewać:

Ni cet exces d'honneur, ni cette indignité.

Wiem dobrze czemu, a raczej komu zawdzięczam gwałtowny napad ze strony *Dziennika:* niewątpliwie ów zaszczyt spadł na mnie skutkiem kilku słów uznania, poświęconych Dr. Szymańskiemu. Trzeba wiedzieć, że tak *Orędownik* jak i jego znakomity redaktor, to są zmory zakłócające Olympijski spokój *Dziennika.* Sprawy kościelne traktuje z chłodną obojętnością, ucisku i prześladowania widzieć nie chce, gdy kto o ciężkich wspomina czasach i próbach, pyta w rzekomem zdziwieniu, gdzie te próby i dlaczego czasy ciężkie być mają? Ale wspomnij o *Orędowniku*, o jego zasługach i wpływie, oddaj sprawiedliwość Dr. Szymańskiemu, a możesz się spodziewać najsroższej burzy. Tak *Kuryer* jak *Orędownik* odpowiedzieli *Dziennikowi* lepiej aniżelibym to potrafił: wymowniej zaś od wszystkiego przemawiają fakta. Gdy wszystkie redakcye pism polskich i katolickich najsroższego doznają prześladowania, a redaktorzy zalegają pruskie więzienia, *Dziennik* ubezpieczony kierunkiem i zasadami, jakie wyznaje, wyjątek mało zaszczytny stanowi i z rzadka tylko bywa dotkniętym ciosami, jakie na inne pisma się walą. Ach! wiedzą Niemcy kto im służy a kto z nimi walczy, wiedzą lepiej od nas samych; mimo bowiem zasad połowicznych i bałamutnych, mimo obłudy, coraz przejrzystszemi frazesami osłaniającej wyraźną niewiarę, *Dziennik* niestety, liczy jeszcze wielu stronników, którzy wierzą w jego szczerość i sumienność, w jego przywiązanie do Kościoła i sąd zdrowy o sprawach ojczystych, i dobrowolnie oślepiać się dają. A jednak tak łatwo byłoby przejrzeć np. tę jedną uwagę: dlaczego *Dziennik* do 30 Czerwca był jeszcze stosunkowo dość oględny i dopiero po kwartale nowym, zaspokoiwszy się co do liczby prenumeratorów, zrzucił maskę i z zupełną wściekłością niemal codziennie przemawia.

Chociaż ztąd może nowe wywołam gniewy, zapisuję tu uwięzienie Dr. Szymańskiego jako jeden z największych ciosów, jaki nam ubiegły przyniósł miesiąc. Porwano go na sposób rosyjski, skazano zaocznie na rok więzienia, a żandarmi pochwycili go w drodze, gdy spieszył na wiec do Gostynia. Jak niestety, zawsze w Polsce wszystko stało ludźmi pojedyńczymi, tak i dzisiaj sprawa wieców,

z uwięzieniem Dr. Szymańskiego strasznie zachwianą została. Odkąd jego zabrakło, wszystkie podobne zgromadzenia naraz ustały, a chociaż ufamy, że to tylko chwilowe zwątpienie, niemniej niezmiernie każde opóźnienie nas martwi, trzeba bowiem spieszyć się z wiecami, dopóki nowa kadencya sejmowa nie uchwali jakiego prawa, stanowczo zabraniającego zebrań katolickich. Niech się *Dziennik* miota jak chce, Dr. Szymański był mężem sytuacyi, a porwany, podniesiony okolicznościami i wiarą ludu, do którego przemawiał, byłby został rzeczywistym przywódcą agitacyi legalnej w Wielkopolsce. Skutki jego uwięzienia i chwilowe wstrzymanie dalszych wieców udowadnia jeszcze sprawiedliwość zarzutu, jaki czyniłem pewnym warstwom społecznym o usuwanie się z pola czynnego działania, kiedy dziś tylko

z szlachtą polską polski lud

stanowić może siłę i ubezpieczyć przyszłość.

Nie oskarżaliśmy nikogo, ani o nikim nie zwątpili, a jeżeli może pewien smutek rozczarowania przebijał się w słowach naszych, to skutkiem gwałtem cisnącego się do pamięci przyrównania między ogólnem usposobieniem klas wyższych dzisiaj, a w 63 roku. Co za różnica w ofiarności, uczynności i zapale! Wtedy rzeczywiście każdy czynił co mógł i więcej niż mógł, nieraz wbrew własnym przekonaniom i zasadom, potępiającym w duszy ruch niewczesny i bezmyślny. Dziś, gdy chodzi o rzeczy daleko większej wagi, aniżeli ruchawka nadgraniczna, gdy wszyscy naocznie widzą i muszą uczuć, że to walka stanowcza się rozgrywa, walka o wiarę i los żywiołu polskiego zarazem, nie widać niestety, ani tej jedności i gotowości do ofiar ani podobnego zapału, ani zwłaszcza równego nieoszczędzania siebie i zapomnienia o sobie. Dlaczego? bo Kościół nigdy nie teroryzuje i tylko przyjmuje wolną wolę, wolne ofiary, gdy tymczasem w 63 roku poruszano wszystkie sprężyny, aby zadać gwałt najbardziej stanowczym nawet oporom i lękliwościom samolubnym. Ktokolwiek to przyrównanie szczerem zrobi sumieniem, ten uderzy się w piersi i przyzna, że mieliśmy słuszność, twierdząc, iż nie wszyscy z nas dotąd się na wysokość wypadków podnieść umieli.

Zabiera się tutaj na rok ze wszech miar bardzo ciężki: po suszy wiosennej nastąpiły słotne żniwa. Niepamiętne burze i tutaj siały zniszczenie, a klęski gradowe zniszczyły w wielu stronach wszystkie rolników nadzieje. Stagnacya interesów handlowych trwa dotąd i zadaje ciągłe i niepowetowane ciosy przemysłowi krajowemu. Żydzi nawet narzekają na te nienaturalne stosunki, przypisują je naprężeniu i zawikłaniu, wynikającym z *Kulturkampfu*. Poznań pusty i głuchy,

po dwakroć ożywił się nieco, raz z powodu otwarcia teatru polskiego w końcu zeszłego miesiąca, drugi raz dla zjazdu Towarzystwa Przyjaciół nauk celem obioru nowego prezesa w miejsce zmarłego Libelta. Jednogłośnie powołano na tę godność dotychczasowego wiceprezesa, p. Stanisława Koźmiana, wdzięcznego poetę, zasłużonego literata, znakomitego tłómacza Szekspira, nareszcie druha tej całej świetnej plejady poetów polskich, którzy zstępując do grobu, zostawili go za sobą, aby tradycye ich natchnienia przechowywał i o nich młodszym opowiadał pokoleniom... Podobno zacny prezes Towarzystwa przyjaciół nauk wkrótce nas udaruje dalszym ciągiem swych Szekspirowskich tłómaczeń, które tak wiernie i dzielnie oddają myśl i hart angielskiego mistrza słowa.

Kończąc, pozwólcie mi zwiastować wam nowy a cenny nabytek dla piśmiennictwa i kraju naszego: co dopiero opuściła prasę drukarni Langego w Gnieźnie zapowiedziana część druga dzieła: *O bezżeństwie kapłańskiem* ks. biskupa Janiszewskiego. Czcigodny wyznawca użył długich dni osamotnienia więziennego, aby dawniej rozpoczętą pracę ukończyć i drugą uzupełnić częścią. Nie nam się godzi rozbierać teologiczną wartość, moralną i apologetyczną doniosłość tej pracy. Niech nam będzie wolno przynajmniej powitać ją z czcią i wzruszeniem, jako dzieło napisane w więzieniu, przysłane z wygnania przez biskupa, który nietylko strzegł wiary swych owieczek, ale jeszcze dawał jej świadectwo w chwalebnych pętach i cierpieniu. Nie wątpimy, że warunki, w jakich się ta książka ukazuje, podwoją jeszcze powszechne zajęcie, jakie obudzić musi, nie w samych tylko kołach duchowieństwa naszego, ale i pośród świeckich. Odnajdą tu wszyscy styl jędrny, ścisłość argumentacyi, żywość logicznych wywodów, erudycyę i źródłową pracę, te cechy charakterystyczne pióra ks. biskupa Janiszewskiego. Odbicie bieżących wypadków nadało całości charakter aktualności, który jeszcze bardziej czytelnika pociąga i uwagę jego przykuwa. A dość przeczytać kartki końcowe lub jeszcze stronnice 193, 194, 195 o tej rodzinie duchownej, którą kapłan w swych owieczkach znajduje, a której pociechy wszelkie inne zastępują i przechodzą, aby poznać i uznać nieporównaną wymowę naszego złotoustego biskupa Chryzostoma.

Kronika.

Lwów i Stanisławów zwracały na siebie w ciągu dni ubiegłych uwagę dziennikarstwa. Bohaterami chwili, mężami, którym śpiewano dziennikarskie hosanna, ludźmi stąpającymi po powierzchni burzliwego u nas morza opinii publicznej byli p. Włodzimierz hr. Dzieduszycki, rusiński poeta p. Kostecki, p. burmistrz Kamiński i redaktorowie dzienników lwowskich, z pośród których wysuwał się wszędzie na pierwsze miejsce p. Tadeusz Romanowicz. Szczęśliwi zaprawdę ludzie! W jednej chwili wyrośli na mężów olbrzymiej sławy. Zjazd przyrodników i lekarzy we Lwowie wywołał nawet potrzebę wydawania pisma, zajmującego się głównie rozbieranemi na posiedzeniach kwestyami. Czy wiele spraw poruszono, czy co nowego przybyło do skarbca nauk przyrodniczych, o tem niechaj wyrokują inni. Obiady, wycieczki i mowy stały na pierwszym planie. Dosyć że harmonijnego nastroju uczuć i umysłów nic nie zamąciło. Brakowało może transparentów i illuminacyj. Ostatnią chciano wprawdzie urządzić, a nawet *Dziennik Polski* polecał wszystkie okna oświetlać; rozkazu atoli p. Romanowicza zaledwo kilka usłuchało domów, by pokazać, ilu ma *Dziennik* zwolenników w mieście. I zrobiono farsę, farsę brzydką, bo ubliżającą przybyłym do Lwowa w poważnym celu gościom. Tak to wszędzie się dzieje, gdzie tylko wtrącą się liberały — muszą każdą rzecz pozbawić swojej wartości i najpoważniejszą sprawę śmiesznością okryć. Zato p. Kamiński w Stanisławowie spisał się należycie. Zjazd pedagogów i nauczycieli ludowych (do których równie jak i do przyrodników należy p. Tadeusz Romanowicz, sekretarz Stowarzyszenia pracy kobiet, redaktor nazywający katolicyzm „rzymską strychniną“ i sprytny nader ajent do wykrywania, sztuczek jezuickich, istne lwowskie figaro: figaro tu, figaro tam) odbył się bardzo licznie. Towarzystwo pedagogiczne w Galicyi położyło, przyznać mu należy, niemałe już na polu oświaty zasługi. *Szkoła*, będąca jego organem, pod umiejętną redakcyą uczonego i powszechnie poważanego Dr. Samolewicza, wiele przyczynia się do rozwoju uczciwych dążności nauczycieli ludowych na polu pedagogicznem. Również niemała należy się wdzięczność i panu Sawczyńskiemu, dyrektorowi nauczycielskiego męzkiego seminaryum we Lwowie, który jest duszą towarzystwa pedagogicznego. Miło nam tu zarazem wyrazić uznanie należne dla braci Żulińskich, którzy przemowami swemi na tych zebraniach, pełnemi uczciwej i patryotycznej dążności dobry wpływ wywierają. Z narad odbytych już zjazdów możnaby, jak słusznie mówi korespondent krakowski do *Kuryera Poznańskiego*, niejednemu przyganić i niejeden brak lub jednostronność podnieść — w ogóle jednak nie ma złej tendencyi. To też tak Stowarzyszeniu pedagogicznemu jak i w ogóle stanowi nauczycieli ludowych, wystawionych na walkę z wieloma bardzo trudnościami, życzyć należy jak najlepszego powodzenia. „Szkoda tylko (słowa *Kuryera*), że miasto Stanisławów z burmistrzem swoim na czele rzuciło śmieszność na zjazd cały przez przesadę ostentacyjnego i demonstracyjnego przyjęcia“. Ileż bo tam było komiczności w transparentach i owych rymowanych napisach, które później jako skarby poetyckiego ducha podała w całości prawdomowna jak zawsze *Narodówka* p. Dobrzańskiego i jeszcze od niej poczciwszy *Dziennik Polski*. Zasady rewolucyjne pobratały się tutaj z objawami ultra-lojalności a patryotyzm

ustroił się w mundur austryackiego biurokraty, przywdziewając frygijską czapkę na głowę. W wiązanej i niewiązanej mowie, z zachowaniem lub pogwałceniem składni i stylu polskiego wypowiedziano i illuminowano kolosalne niedorzeczności. Ale koniec końcem, Stanisławów górą, a dzienniki miały czem swe łamy zapełnić. Smutna tylko i bolesna wielce, że się z frazeologii i manifestacyj nie możemy wyleczyć. *Vox, vox, vox praterea nihil...* I dokąd tak będzie?...

* * *

Z Wielkopolski piszą nam co następuje: Niezmiernie się na wasz *Przegląd* rozsierdził *Dziennik Poznański*. Ścigał on was zawsze szczególną nienawiścią. Zawziętość ta wzmogła się jeszcze bardziej od czasu, jak już w *Wiarusie* nie ma upustu. Zaraz więc z początkiem Lipca zaczepił waszą korespondencyę poznańską, z powodu że ta napomknęła obawę, iż jeśli rząd jak dotychczas postępować będzie, mogłoby w końcu przyjść do krwi rozlewu, czego sobie kulturtregierzy najmocniej życzą, a czemu my wszelkiemi siłami zapobiegać powinniśmy. Taką niewinną wzmiankę podobało się *Dziennikowi*, żyłką prokuratorską obdarzonemu, wziąść za podburzanie ludu do gwałtów. *Przegląd* wasz ma tu wielu czytelników, ale do niższych warstw nie dochodzi, a cóż dopiero do włościan. Gdyby więc uwaga waszego korespondenta miała nawet takie znaczenie, jakie jej *Dziennik* błędnie przypisuje, pozostałaby w każdym razie bez najmniejszego wpływu na lud wiejski. *Dziennik* przecież potrzebował wylać uzbieraną żółć, i na was się skrupiło. Ale to nic w porównaniu z jego gromami na wzmiankę o Reptiliach w waszym ostatnim poszycie. W tem ma nieco słuszności. Niewątpliwie nie zamierzaliście zarzucić *Dziennikowi*, że czerpie w gadzinowym funduszu. Wyrażenie jednak było nieoględne. Uczepił się tego, bo mu to na rękę, gdyż mu podaje sposobność wmawiania w swych czytelników, że jak ten zarzut jest niesłusznym, tak i inne są tejże samej wartości. Są tu pisma jak *Gazeta Landwery* zasilane niezawodnie gadzinowym funduszem, lecz ani *Dziennik* ani *Wiarus*. *Dziennik* tego nie potrzebuje. Nie wprost ale pośrednio, doskonale mu się już opłaca bierne stanowisko, jakie zajął w obec walki rządu z Kościołem. *Warta* wyliczając upadki niemal wszystkich naszych przedsiębiorstw finansowych, powiada:

„Sąć prawda jedne akcye u nas w Poznaniu bardzo pewne i pokupne, akcye jednego *Czasopisma Poznańskiego*; ale nie należy też zapominać, że *Czasopismo* to swój interes bardzo dobrze prowadzi; że *Czasopismo* to kontentuje się protestami posłów, ale samo nie protestuje; że uznaje ono politykę faktów dokonanych, i przeciw ośc'eniowi nie wierzga; że więc za rozumne, narodowo-solidarne sekundowanie rządowi w sprawach liberalno-religijnych i administracyjno-kościelnych, nie tylko że nie płaci kosztów procesowych ani kozy, ale w dodatku otrzymuje osłoszenia rządowe, sądowe, policyjne itd.“.

Tu utrafiła *Warta* w samo sedno, bo tą jedynie pomyślnością finansową *Dziennik* trzyma prym nad innemi pismami. Bardzo wielu abonuje się nań i czyta go tylko dla inseratów. Nie potrzebuje on więc żadnej pobocznej zapomogi. Zarzutem przeto sprzedajności osłabia się tylko moc argumentów wyższego rzędu, których jest aż do zbytku przeciw jego kierunkowi. Trzeba zawsze pomnieć na francuzkie przysłowie: *Quand on depasse, on manque.* Co

naprzód należałoby w nim bez przestanku wykrywać to złą wiarę. Niechby sobie prowadził politykę, jaka mu się żywnie podoba, byle szczerze i otwarcie nie podstępnie. *Kuryer* zanadto unosi się wspaniałomyślnością, nie wytykając mu najgorszej wiary na każdym kroku. Redakcya *Dziennika* sama się pewnie ze siebie śmiała, gdy oskarżała polskich katolików (tak jak to książę Bismark czyni względem Niemców), o brak patryotyzmu i uczucia narodowego polskiego. Wystarczył ten argument na jakiś czas dla bałamucenia bezwyznaniowców naszych. Teraz znowu *Dziennik* bije wciąż w to, że on lepiej zna i miłuje interesa Kościoła, niż prawowierni katolicy i że Kościół poczyna jego rad słuchać. Kiedy wniesiono prawo o zarządzie majątku kościelnego, najżarliwsi katolicy przedstawili miejscowej władzy duchownej, że wybierając z dwojga, mniejsze złe wypadałoby raczej dozwolić gminom udziału w tym zarządzie, niż oddać cały majątek kościelny w ręce władz obcych. Zaraportowano to natychmiast do Rzymu. Tymczasem *Dziennik* i jego satellici, z niecierpliwości a raczej z obrachowanej dążności szkodzenia tym, co się u nas najbliżej sprawami kościelnemi zajmują, parli wszystkiemi drogami, aby ludność nasza, nie czekając na decyzyą Stolicy Apostolskiej, oświadczyła gotowość poddania się ustawie rządowej. Naprożno *Kuryer* zalecał wstrzemięźliwość, przedstawiając, co wypadłoby w razie odmownej z Rzymu odpowiedzi, chyba schyzma. *Dziennik* nareszcie, dotąd ubocznie i przymówkami agitujący, wystąpił z manifestem, że tak musi być, jak on chce, a nie inaczej. Na jego nieszczęście nazajutrz po tym ukazie nadeszła z Rzymu odpowiedź, zezwalająca na tolerowanie udziału gmin w zarządzie majątku kościelnego. Nieborak nie mógł przeto przypisać sobie tego rezultatu. Ale od czegoż przebiegłość? Uciekł się zatem do śmiałej przechwałki, że jeśli nie jego manifest to postawa obywatelstwa jemu hołdującego, spowodowała Rzym do tych ustępstw, że gdyby nie ta stanowcza postawa, odpowiedź z Rzymu ani taka, ani tak prędko nie byłaby nadeszła, a co już jest najwierutniejszem kłamstwem, że odpowiedzią tą żarliwi katolicy zostali słusznie zasmuceni, bo sobie czegoś wręcz przeciwnego życzyli. I to wciąż powtarza. Wystarczy ta baśń znowu na jakiś czas. Jak zawszze chodzi mu tylko o pozory, że on rządzi, że ma we wszystkiem słuszność, i że jego wpływ w końcu zawsze przemaga; i byle uratować to złudzenie, niczego nie szczędzi. Tymczasem fakt zostaje faktem: 1^0 Że wpływowi katolicy odrazu starali się o taką odpowiedź, jaka nadeszła z Rzymu, i za jej przybyciem mocno się ucieszyli; 2^0 że Rzym tylko ich zdanie wziął pod uwagę, a nie troszczył się bynajmniej o opinię obozu *Dziennikowego*, tylekroć nieprzychylnego Kościołowi, i może całkiem o niej nie wiedział. Skoro się o tem wszyscy wkrótce przekonają, *Dziennik* znowu w jaki fałsz uderzy, by się przy pozorach kierownictwa utrzymać. Zawsze ta sama taktyka. Kłamstwo, oszczerstwo, a gdy się prawda wyświeci, wtedy gotowy wybieg: tak zamierzaliście, ale myśmy naszem wystąpieniem i odkryciem waszych planów przeszkodzili wam, i stało się nie po waszej ale po naszej myśli. Nie zabraknie więc nigdy *Dziennikowi* „dróg wyjścia". *A propos* tych ostatnich, dowcipna tu się ukazała karykatura w *Echu Poznańskiem*. Jestto nader liche pisemko, niby humorystyczne. Smutna jednak rzecz dla katolików, że świstek ten, szczypiąc bez ustanku *Dziennik*, wydaje się jak gdyby ich sprawę popierał. Nie potrzeba dodawać, że nie ma między niemi takiego, coby podobnej pomocy i wspólnictwa ze wstrętem nie odpychał.

To nie przeszkadza, że wszędzie, wyjąwszy w redakcyi *Dziennika*, (a i tam może niektórzy), uśmiano się karykaturą, jaką to pisemko w ostatnim swym numerze zamieściło. Wiadomo, że *Wiarusa*, dziś już pogrzebanego, a dobitego odkryciem wspólnictwa z odszczepieńcą Gołembiewskim, wydawał Dr. Łebiński, właściciel drukarni, w której wychodzi *Dziennik*. Redaktorowie obu pism w najściślejszej zażyłości i codziennych związkach z sobą obcowali, tak że *Wiarus* nie tylko co do wątku, ale i co do stylu, zdawał się tylko streszczonem odbiciem *Dziennika*. *Wiarus* przestał wychodzić z dniem 1szym Lipca. Na pożegnanie, rzucił raz jeszcze grom na katolików, złorzecząc Polsce, że jeśli z swego łona nie wytnie raka ultramontanizmu — znane wyrażenie Garibaldego — to zginie. W końcu oświadczył, że tylko zawiesza swe wydawnictwo. Otóż karykatura to przedstawia owo zawieszenie. Stoi rozkraczony redaktor *Dziennika* niby jaki *matador ebouriffé*, z włosem najeżonym jak u Meduzy, z obliczem pełnem oryentalnej przebiegłości. Zawiesza on na haku but, z którego, jak z powijaków, wygląda oblizana główka Redaktora *Wiarusa*. Trzeba bowiem wiedzieć że ktoś dawniej napisał, iż *Dziennik* kiwa *Wiarusem* jak palcem w bucie. Sam matador już niema obuwia na lewej nodze, bo mu je ściągnięto i zabrano. Na tej nodze stoi napis „Drogi wyjścia". Prawa naprzód wysunięta, nosi wykrzyknik „Na Wschód". W ogóle jestto dowcipny, a co więcej, prawdziwy obraz *Dziennika* i jego spółki. Niemniej jednak wolelibyśmy, aby naszym smutkom nie odejmowały powagi, a naszych sporów nie zajątrzały takie krotochwile.

Sprawa Unii. Pod tym tytułem zamieszcza *Kuryer Poznański*, co następuje: Upraszamy polskie dzienniki, zwłaszcza galicyjskie, oraz wszystkich czytelników, dla których nie jest obojętną przyszłość Unii, o powtórzenie w jak najszerszych kołach kilku uwag naszych.

W nr. 153 podaliśmy z *Przeglądu Lwowskiego* korespondencyą przemyską o niebezpieczeństwach zawisłych groźnie nad resztkami Unii. Nie wiele czasu upłynie, a może odstępcy od wiary katolickiej zechcą w Galicyi powtórzyć, to co bagnetami i knutem przeprowadził rząd rosyjski w dyecezyi Chełmskiej. W przeczuciu przyszłych wypadków odezwał się zacny głos z dyecezyi przemyskiej, wzywając o ratunek dla Unii. *Przeglądowi Lwowskiemu* należy się zasługa, że głos ten podjął, że mu nie dozwolił przebrzmieć bez śladu. Ale słusznie autor wyrzekł, że ratowanie katolickiej Rusi przechodzi zakres pojedyńczego kapłana, że przeto nietylko duchowni, ale i świeccy powinni wołać o ratunek u Stolicy św. Ta jednak, zanim rozpocznie działanie dodatnie, powinna dowiedzieć się o wszystkiem, a wiadomo jak to trudno. Ztąd, ku niemałej naszej radości jesteśmy upoważnieni do oświadczenia, że Stolica św. jak najszerszych i najdokładniejszych objaśnień o stanie Unii gorąco pragnie, i że każdy list, w jakimkolwiek języku od jakiejkolwiek osoby — byleby nie bezimiennej — a zawierający wiarogodny materyał do dziejów intryg schyzmatyckich, z prawdziwą wdzięcznością przeczytanym zostanie. W obecnem położeniu rzeczy jest to jedyny sposób dopomagania Unii, nie narażający nikogo, a przystępny każdemu, — bo każdy list, pod adresem Ojca Św. wysłany, dochodzi go i odczytanym bywa.

Uczniowie Kolegium polskiego otrzymali jak donosi *Czas* audyencyę u Ojca Św. dnia 15 Lipca r. b. Gdy więc Ojciec Św. wszedł do sali gobelinów, w której czekali na jego przybycie, przywitał ich wesoło a kazawszy sobie alumnów przedstawić, w kilku gorących i prawdziwie ojcowskich przemówił do nich słowach: „Dzieci moje, rad jestem, że was widzę i pobłogosławić mogę. Trzeba nam się w tych czasach bardzo modlić o d u c h a m o c y i wytrwania; trzeba abyście byli przygotowani na życie twarde... czasy bowiem są ciężkie wszędzie ale najcięższe w Polsce. Módlcie, módlcie się bardzo: przedewszystkiem do Najświętszej Panny Maryi, głównej Opiekunki Królestwa Polskiego *(la principale protettrice del Regno di Polonia)*, potem do waszych innych śś. patronów, a także i do wszystkich śś. męczenników; bo Polska to kraj męczeństw, a więc i wam na męczeństwo gotowymi być potrzeba"...

Z Rzymu. Pomiędzy mnóstwem dowodów czci i miłości ze wszystkich stron katolickiego świata przez Piusa IX odbieranych, zwróciło uwagę, pisze korespondent Rzymski *Czasu*, nadesłane z Hiszpanii wspaniałe zbiorowe album. Słynny adwokat katolicki Don Josè Maria Carulla, redaktor główny znakomitego podobno czasopisma *la Civilizacion*, z powodu 29tej rocznicy koronacyi Piusa IX podjął myśl tego albumu, a zarazem otworzył osobną składkę świętopietrza. W dwa miesiące uczyniła 92 tysiące realów, a album zawiera niemałą liczbę adresów, życzeń itd. prozą i wierszem, pomiędzy któremi istotnie prawdziwe spotkać można perły, a wszędzie ta cecha dziewiczej wiary, bohaterstwa, chrześcijańskiej powagi i szlachetnej dumy, któremi mimo obecnego zaćmienia jej politycznej wielkości, mimo spustoszeń liberalizmu i rewolucyi, nie przestała odznaczać się Hiszpania „ojczyzna wielkich świętych i bohaterów wielkich", zaiste dziwnie zapoznana w tej smutnej epoce, gdzie cyfry przemysłowej produkcyi i handlowego wywozu jedyną miarę wielkości narodów stanowią. „Ojcze Święty, mówi jeden z tych adresów, Kościół chciano uczynić niewolnikiem. On jednak pod wodzą twoją nie przestał być panem, rewolucya chce panować, marzy o ujarzmieniu wszech narodów, a przecież pozostaje niewolnicą fałszu". „Ojcze Święty, mówi inny, Tyś prawdziwym wszystkich chrześcijan ojcem, świat cię podziwia jako nowego Abrahama, który przeciw wszelkiej ludzkiej nadziei, zbawienia narodów oczekuje... Nie, nie polityka to świat zbawi, zbawi go Papież: *No, no salvara il mundo la politica, lo salvara un Papa*". Inny w pięknym wierszu wysławia „kapłana Niepokalanej". Inny w tym jędrnym, lapidarnym kastylskim języku woła: „Pius dziewiąty żyje! Siłą jego słowo; sztandarem prawda; bronią i godłem krzyż *e vence la terrifica Inmensitad del mal* (i zwycięży przerażający ogrom złego)". Sławny pisarz Candido Nocedal wyraża wspólną podniosłych dusz nadzieję: „Przyjdą, tak, przyjdą (pisze) czasy szczęśliwe, których oczy moje nie zobaczą, lecz które serce moje zgaduje wiarą, a i sam rozum wskazuje".

Ze Lwowa. Smutny i bolesny wielce przychodzi nam zanotować wypadek, będący jaskrawą nadzwyczaj illustracyą skutków czytania dzieł materyalistycznych. Darwinizm z takiem zamiłowaniem szczepiony na niwie polskiej przez p. profesora Masłowskiego, znajdując we Lwowie wielu zwolenników, na ciężkie próby wystawia biedne społeczeństwo nasze. — Niedawno

padł jego ofiarą pełen nadziei, zdolności i talentów młodzieniec Dr filozofii S. Gorąca ta dusza, obdarzona żądnym nauki umysłem, chciała pochłonąć w sobie całą wiedzę filozofów panteistycznych, a nie znajdując w niej zaspokojenia zagłębiała się w badaniach filozofów ze szkoły materyalistów. Zasady Darwina zimne, w formę niemieckiej filozofii ujęte, tak widać nim owładnęły, że go przyprawiły o zupełną utratę rozumu. Nieszczęśliwy! Zdaje mu się dzisiaj, że jest orangutangiem, podpisuje się na ścianach Dr. S. o r a n g u t a n g i chodzi na czworakach. Biedna ofiara. Biedni rodzice! Ileż innego rodzaju ofiar pochłonął już darwinizm. Straszna nauka dla naszego społeczeństwa.

Ciekawa rzecz, co na to powiedzą liberały, upatrujący w każdym niemal obłąkanym ofiarę mistycyzmu religijnego?..

A kiedy już mowa o liberałach, zwrócić nam należy uwagę czytelników *Przeglądu* na ich zachowanie się wobec wydanego niedawno barbarzyńskiego rozporządzenia rządu w Madrycie, który nietylko że konfiskuje własność wszystkim osobom podejrzanym o współczucie dla Karlistów, ale ich jeszcze po pozbawieniu mienia i kawałka chleba wydala z Hiszpanii. Zaprawdę, straszną była tyrania Murawiewa na biednej Litwie, ale nie ustępuje jej wcale tyrania Alfonsistów. A jednak liberały, oświadczający się za wolnością i poszanowaniem prawa nie znajdują ani jednego słówka na potępienie tej barbarzyńskiej Alfonsistów ohydy. To jeden więcej dowód, jaka jest wartość zasad liberalnych. *Similis simili gaudet*, nikczemność nikczemnością nigdy gardzić nie może. Nie dziwić się więc, że i przezacny *Dziennik Polski* spiewa manifest na cześć Alfonsistów. On taki szlachetny i oni tacy prawi Jeśli więc ma się na co oburzać, to chyba na Kościół, na biskupa, na bractwo lub na OO. Jezuitów. Z tego zadania w wyśmienity wywiązują się sposób p. Romanowicz z p. Rewakowiczem, naczelni redaktorzy *Dziennika*. Dotąd ludzie uczciwi walcząc z przeciwnikami, nie posługiwali się nigdy bronią infamisom jedynie właściwą, tymczasem *Dziennik* inaczej honor i uczciwość pojmuje. U niego wszystko godziwe. Bijąc w *Przegląd* zmienia zupełnie wyraz w przytoczonych z *Przeglądu* słowach. Korespondent bowiem nasz z Przemyśla (Zeszyt XIII) pisał te słowa: „Słuszny to hołd dla męża, który mimo wychowania w niewolniczym systemie józefińskim, mimo nieśmiałości wrodzonej, mimo podłości niektórych indywiduów, szpiegujących postępowanie biskupa swego, nie wahał się ani na chwilę przypomnieć ówczesnej władzy biurokratycznej słów św. Pawła: *iż jest postanowiona ku dobremu*, a nie ku prowadzeniu rozjuszonej tłuszczy na mordy i pożogi. Gdybyż był jeszcze nie uwierzył w ową szarlataneryę konstytucyjną z r. 1848, która się wybornie malowała w gwardyach z kijami miasto karabinów, w wykrzyknikach o Polsce od morza do morza, w braterstwie z żydami i nareszcie w zaprowadzeniu duchownych na ławy sejmowe pomiędzy najczerwieńszych radykałów, to może byłby mu zapomniany ów grzech z rzezi galicyjskiej, owo przypomnienie na przykazanie Boskie „Nie zabijaj". Otóż cóż robi *Dziennik*: chcąc wmówić koniecznie w swych czytelników, że *Przegląd* zrobił z czcigodnego ś. p. biskupa zabójcę, pominął zupełnie pierwszą część ustępu, a przytoczył jedynie drugą od słów: „Gdyby" i zmienił słowo przypomnienie na przepomnienie. Co uczyniwszy, woła: „*Przegląd Lwowski* robi z ś. p. ks. biskupa Wojtarowicza zabójcę"! „oto mamy próbkę patryotyzmu i moralności ks. Podolskiego"! „co to za kałuża

pijawek, jaszczurek i wężów ten *Przegląd Lwowski*“ (Nr. 171). Po wygłoszeniu zaś tych gromów rzuca się następnie na czcigodnego ks. Goliana i mówi, że ten cztery tylko skończył klasy, gdy tymczasem protegowany przez *Dziennik* smutnej sławy ksiądz otrzymał, *risum teneatis amici*, stopień doktorski przez *breve* Ojca Św. *sub annulo piscatoris;* twierdzi wreszcie, że ks. Golian miał niby powiedzieć, że: nie Najświętsza Panna Marya ale Marya Aleksandrówna jest królową polską. Przytaczamy to wszystko, aby dać próbkę, jakich to środeczków używać umieją redaktorowie *Dziennika* Nadmieniamy jednakże, że jeśli tego, co głoszą, nie udowodnią lub nie odwołają, zmuszeni będziemy nazwać ich po imieniu. Jak bowiem fałszem jest, aby ks. Golian kiedykolwiek i gdziekolwiek miał odezwać się z tak potwornem bluźnierstwem, jak to, że nie Najświętsza Panna ale Marya Aleksandrówna jest królową polską, (takie słowa mogliby chyba wygłosić tylko redaktorowie *Dziennika* lub ich korespondent, zwiący się w *Gazecie Narodowej* Omikronem), jak fałszem jest, aby ks. Golian tylko 4 klasy skończył (ukończył bowiem całe 6 klasowe gimnazyum, takie, jakie wówczas było w Krakowie) tak również fałszem jest, aby Ojciec Św. kiedykolwiek i komukolwiek na stopień doktora *breve sub annulo piscatoris* wydawał. Zaprawdę ludziom mającym odwagę takie głosić baśnie wiara, uczciwość i honor chyba oddawna muszą już być obce. Nie dziwić się więc, że zawsze w przeciwnikach swych robót chociażby cnotliwych, najbardziej kraj miłujących i uczonych, chcą koniecznie siebie samych spostrzegać. *Przegląd* nasz przedstawia im się kałużą, ale nie przeszkadza im to wcale wyciągać z niej całe artykuły, jak np. „Rozbój w Chełmskiem“ i podawać za swoje tłómaczenie. O! bo gdzie idzie o to aby brać, tam przezacni redaktorowie *Dziennika* nie zwykli zważać na zasady.

A teraz pytamy *Dziennik Polski*: 1° Co też zrobił z kardynałem Berardem? Czy redaktorowie odebrali już jakie wiadomości od p. Kapnista? 2° Dla czego pan Rewakowicz tak często przegląda się w lustrze, wszak i bez tego może najwygodniej pisać o Sabalsie. Upewniamy go że dzielny ten jenerał niema podobnej do niego fizyognomii. Najniesłuszniej więc zowie go bandytą.

Tyle *Dziennikowi*. Teraz należy podziękować kronikarzowi krakowskiemu w *Gazecie Narodowej* p. Omikronowi *de* Sabowski za jego pamięć o *Przeglądzie Lwowskim*. Widać, że go czyta, tylko że wszystkiego rozumieć nie może. Znakomity p. Omikron Sabowski. O! łatwiej to pisać kroniki w *Gazecie Narodowej*. Tam na ósme przykazanie zważać nie potrzeba. Szlachetny wielce p. Omikron Sabowski!... Doktor za sto guldenów *cum annulo piscatoris austriacensis* słusznie go za to miłuje....

Ks. Kowalski i sprostowanie Stowarzyszenia Chóru w Brodach. Dotychczas mówiono zwykle: uderz w stół a nożyce się odezwą — odtąd należałoby mówić: podnieść niedorzeczność, a wnet odezwie się jej autor. Ale o innej chcemy mówić rzeczy. Jeszcze w Lutym r. b. pojawiła się w *Dzienniku Polskim*, zwiącym katolicyzm „rzymską strychniną“ i w *Tygodniu* p. Rogosza, pełna szumnych frazesów, a w niefortunny wielce sposób zredagowana odezwa pewnego kapłana, w której upraszał o nadsyłanie (dla zawiązanego stowarzyszenia śpiewaków) książek, jaką taką mających wartość, byle nie judziły narodowości. Z tego więc powodu napisaliśmy w zeszycie 4 *Przeglądu* (w miesiącu Lutym r. b.) co następuje: „W pewnem miasteczku w wschodniej Galicyi

zawiązało się stowarzyszenie p. t. Chorał, mające na celu wykształcenie śpiewaków. Ksiądz X. X. przewodniczący w stowarzyszeniu zarzucił wszystkie dzienniki swą odezwą, w której prosząc o nadsyłanie książek, tak się między innemi wyraża: „**każde** dziełko polskie lub ruskie, byle nie judzące narodowości, które tylko **jaką taką** ma wartość, niech prześle łaskawie, a **spożytkowane będzie**“. Piękna rzecz! każde dziełko, a więc jakiejkolwiek treści i dążności zostanie spożytkowane. Czyż to możebna, aby coś podobnego wyszło z pod pióra sędziwego kapłana, aby z podobną odezwą udawał się do takiego pisma jak *Tydzień* p. Rogosza i do *Dziennika Polskiego*, wierzyć się nie chce. I dziwić się tu później świeckim ludziom“.

Od napisania tych kilku słów pięć już minęło miesięcy, aż tu niedawno odbieramy list, jeżli łajanie można listem nazwać, od księdza Jana Kowalskiego, proboszcza z Brodów, usiłującego *per omnia fortia* przekonać nas, że to on tylko, a nie kto inny wystąpił z wyż wspomnianą odezwą. Doprawdy, gdyby nie ton, w jakim ten list był napisany, gdyby nie takie znajdujące się w nim grzecznostki, jak np. „uczepiłeś się jak ślepy płotu“, „wyrwałeś się jak Filip z konopi“ i dalej „napraw pan złe, jeśli nie chcesz ściągnąć na siebie odpowiedzialności, bo powstrzymana obecnie rada opiekuńcza (*której prezesem ks. Kowalski*) wystąpi (*tak o radzie jak i stowarzyszeniu nic nie pisaliśmy*) w obronie mojej, **podając miecz** do rąk świeckich przeciwników pana, którzy go nauczą“ (?) i t. p., nigdybyśmy nie przypuszczali, że wyżej wspomniana odezwa wyszła z pod pióra ks. Kowalskiego. Teraz zaś chcąc, niechcąc musimy już wierzyć. W każdym razie daleko lepiej byłby zrobił szanowny brodzki proboszcz, gdyby się był do niej nie przyznawał. Mógł zresztą powiedzieć: wymknęły mi się słowa, których doniosłości i znaczenia nie pojmowałem i rzecz cała skończyłaby się na niczem. Wszak nie ubliża niczyjej zacności, jeżli się nie jest stylistą. Tymczasem ks. Kowalskiemu podobało się inną obrać drogę. Łaje nas, grozi że poda miecz na nas do rąk świeckich przeciwników naszych (będących zarazem ku naszej pociesze wrogami Kościoła. jak np. *Dziennik Polski*) i wmawia widocznie w stowarzyszenie „Chóru“, że wzmianka nasza o jego odezwie wyrządziła stowarzyszeniu zniewagę. Kto inny odpowiedziałby może na to pogardą:

Bo i w duchu jest pogarda,
Co ma także swe panieństwo,
I gdy gardzi — nadto harda
By znamiętnić się w przekleństwo,

my jednakże nie zrobimy tego nigdy, a to z powodu czci, jaką mamy dla sędziwego wieku ks. Kowalskiego i dla jego charakteru; dlatego nienaturalny ten sposób jego wystąpienia przypisujemy chwilowemu zapomnieniu się i rozdrażnieniu. Aby zaś dać dowód, że wcale nie myśleliśmy rzucać cienia na stowarzyszenie „Chóru“, umieszczamy nadesłane nam przez nadzorczą radę sprostowanie, chociaż najmniejszego niema ono związku z tem, cośmy o odezwie ks. Kowalskiego pisali. Oto słowa:

„W *Przeglądzie Lwowskim* z. r. b. poszyt IV z dnia 15 Lutego stron. 292 umieszczoną została tendencyjna korespondencya (*nie korespondencya wcale, ale wyżej przytoczony artykuł pisany przez Redaktora Przeglądu*) o „Chorale“ właściwie „Chór“ bo statut towarzystwa owego art: VIII § 1 tak opiewa (*nie o statutach, ale o odezwie ks. Kowalskiego umieszczonej w Dzien-*

niku Polskim była tam mowa): towarzystwo ma posiadać bibliotekę dzieł ludowych, traktujących w narodowym języku o rękodziełach, historyi powszechnej, przyrodniczej, o moralności, a z belletrystyki tylko wzorowe, przykładne powieści; w wyborze dzieł belletrystycznych ma rada opiekuńcza uważać na zdanie ks. proboszcza (zapewniającego *w odezwie, że* **każde** *dziełko* byle nie judziło o narodowości **spożytkowane będzie**) a zatem mowy nie może być o szkodliwości dzieł upraszanych, jak owa korespondencya przedstawiała, tem więcej, że ksiądz łaciń. obrząd. jest prezesem, ksiądz obrząd. gr. wiceprezesem, a trzeci ksiądz według statutu art. III § 2. *a*) ma mieć nadzorowanie nad towarzystwem w ogóle".

Kto porówna teraz słowa przytoczonego sprostowania z tem cośmy w Lutym r. b. napisali, ten chcąc nie chcąc musi uwierzyć w prawdziwość owej legendy, która powiada, że był między Kurpiami wielki bardzo swego czasu mędrzec, który ilekroć razy mówiono, o niezgrabności Litwina myślał, że jego znieważono. Miotał się więc z gniewu i wytaczał procesa. Zaprawdę byłto mędrzec w całem znaczeniu tego słowa. *Sit.....vobis!....*

Dla katolików pod panowaniem Rosyi zostających, wydała kongregacya św. Penitencyaryi z polecenia Ojca Św. rozporządzenie, na mocy którego zwolnieni zostają od przepisanych w Encyklice jubileuszowej warunków, które dla dostąpienia jubileuszu wszyscy wierni wypełnić obowiązani. Rząd bowiem moskiewski zabronił, jak wiadomo, ogłoszenia u siebie onej encykliki. Ważny ten dokument św. Penitencyaryi ogłoszony przez *Czas* przytaczamy w polskim i łacińskim tekscie. Brzmi on jak następuje:

J. S. Papież Pius IX. ojcowską powodowany pieczołowitością i ciężkiemi okolicznościami, w jakich się katolicy w carstwie rosyjskiem znajdują i pragnąc aby wszyscy wierni w Chrystus'e w temże państwie przebywający, w których listy apostolskie o wielkim jubileuszu ogłoszone być nie mogły, korzystać jednak zdołali z wspomnionego jubileuszu i dostąpić go w jakibądź możebny sposób, przez officyum tejże św. Penitencyaryi wszystkim wspomnionego państwa biskupom, parochom i spowiednikom prawnie zatwierdzonym, w łasce i jedności z tą Stolicą apostolską zostającym oświadcza i władzą apostolską potrzebnej i stosownej mocy udziela, aby na korzyść wspomnionych wiernych w celu osiągnięcia przez nich jubileuszu, przywiązane do pozyskania go warunki według roztropności swej i o ile potrzeba wymagać będzie, zmniejszyli lub na inne religijne lub miłosierne uczynki zamienić mogli, z zachowaniem, gdzie to stać się będzie mogło, odwiedzenia jakiego kościoła lub publicznej kaplicy i z utrzymaniem wszelkich innych apostolskich o tym jubileuszu rozporządzeń, jakie w encyklice z 24 Grudnia r. z wydanej są zawarte, tak co do Sakramentów spowiedzi i św. Komunii, jak co do innych łask i przywilejów dla duchowej korzyści z powodu tegoż jubileuszu dozwolonych, bez względu na przeciwne rozporządzenie chociażby osobną i szczegółową wzmianką zastrzeżone.

Dan w Rzymie w S. Penitencyaryi 7 Czerwca 1875.

Ant. M. kard. *Panebianco* m. p.

L. kanonik *Peirano* sekretarz.

Stus Dnus Pius P. P. IX adductus paterna sollicitudine, gravibusque circumstantiis in quibus Catholici in Imperio Russico degentes versantur, et cupiens ut omnes christifideles in eodem Imperio commorantes, apud quos Apostolicae de Jubilaeo maximo litterae promulgari non potuerunt, indicti tamen Jubilaei gratia frui, ipsamque eo, quo possint modo, consequi valeant, per officium hujus S. Poenitentiariae omnibus praedicti Imperii ordinariis, Parochis et confessariis rite approbatis, gratiam et communionem cum Apostolica sede habentibus declarat, et Apostolica auctoritate facultates necessarias ac opportunas concedit, ut favore predictorum fidelium ad effectum Jubilaei assequendi, injuncta ad ipsum lucranda opera pro sua prudentia, et prout necessitas postulaverit, reducere vel in alia religionis, aut caritatis opera commutare possint, servata, ubi fieri valeat, alicujus Ecclesiae vel publici Oratori visitatione, et firmis remanentibus reliquis omnibus Apostolicis de eodem Jubilaeo dispositionibus, quae in encyclicis litteris die 24 Decembris anno elapso editis continentur tum quoad Confessiones et S. Comunionis Sacramenta, tum quo ad alias gratias et facultates ad spiritualem fidelium utilitatem ejusdem Jubilaei occasione concessas, in contrarium facientibus etiam individua et speciali mentione dignis non obstantibus.

Datum Romae in S. Poenitentiaria die 7 Junii 1875.

Ant. Ma. Card. Panebianco m. p.

L. Canonicus Peirano Secretarius.

Z Litwy. Razem z przysłanem nam z tamtąd świętopietrzem odebraliśmy list, gdzie między innemi piszą nam co następuje:

Posyłam z Litwy zebrane dla Ojca Świętego świętopietrze na ręce Szanownego księdza dobrodzieja Żałuję że nie mogę rozpisać się o uczuciach rzewnego przywiązania, jakiem tchną ku Stolicy świętej serca zbolałe, tej nieszczęśliwej litewskiej dziatwy, zawsze wiernej Kościołowi katolickiemu, która wciąż dręczona i nagabywana to jawną to skrytą pokusą rządu rosyjskiego, zwraca swą myśl i serce do Tronu Boga, to znowu do tronu zastępcy Jego na ziemi, błagając Go o wymodlenie dla niej łaski do wytrwania w tem długiem męczeństwie. Wypadki bowiem na Podlasiu napełniają nas ciągłą obawą, aby podstępnie tak jak tam nie oderwano nas od zjednoczenia z Głową Kościoła.

Niedawno gubernator Wileński zaprosił na wystawny obiad do siebie znaczniejszych obywateli. Podejmował ich z niezwykłą uprzejmością a na końcu zaproponował z uśmiechem podpisanie prośby do cesarza o wprowadzenie języka rosyjskiego do liturgii na miejsce łacińskiego. Odmówiono, ale ze strachem i zgrozą. Niebezpieczeństwo to zagraża nieszczęśliwemu krajowi, który chcąc zmoskwicić, trzeba koniecznie wydrzeć mu katolicką wiarę.

Ze świata katolickiego. Uchwała Zgromadzenia narodowego francuzkiego, pozwala katolikom francuzkim zakładać uniwersytety katolickie. Tak więc po czterdziestu latach walk parlamentarnych i zabiegów, robionych przez czas pięciu z kolei następujących po sobie we Francyi rządów, zbliżyła się dla katolików chwila lepszej dla nich przyszłości. Duszący ich dotąd wampir został ostatecznie zwalczony. Anti-chrześcijańskie uniwersytetu paryzkiego wszechwładne panowanie śmiertelną poniosło porażkę. Nic więc dziwnego, że wiadomość ta wywołała w całym katolickim świecie radość niesłychaną. Odtąd bowiem rozlewaną po całej Francyi przez uniwersytet paryzki trucizną karmić się będą ci tylko, co w obłędach umysłowych koniecznie chcą widzieć okwit nowoczesnej nauki, ale ludzi rozumnych, zdrową jedynie nauką chcących się karmić i wzbogacać umysł, aby społeczeństwu rzetelne oddał usługi, nic

już nie zmusi, aby w tej do samobójstwa wiodącej atmosferze kształcili swe dzieci. Nie podoba się to rewolucyonistom, czują oni dobrze, że przyjdzie z czasem ta chwila, która ich panowaniu koniec położy. Podziela ich obawy i *Gazeta Narodowa* p. Dobrzańskiego. Jej paryzki korespondent widzi już zawczasu rozwielmożnienie się ciemnoty i fanatyzmu. Zasady katolicyzmu i katolicy mają być wedle mądrego wielce zdania p. Dobrzańskiego uosobieniem tych dwóch rzeczy. Czemże w takim razie jest sama *Gazeta?* Pamiętamy, że o zasadach katolickich i katolicyzmie podobne wygłaszał rzeczy Moskal Ławrowski przy otwarciu uniwersytetu warszawskiego. Miałżeby tych panów łączyć z sobą jednakowy sposób widzenia rzeczy?...

— Wybory w Bawaryi nie wypadły tak świetnie, jak się tego słusznie należało spodziewać, ale bo też w Bawaryi tak samo jak wszędzie katolicy zaspali nieco, licząc na wydane w sprawie wyborów listy pasterskie, zresztą znaleźli się pomiędzy nimi i tacy, którzy liberałom oddawali swe głosy. Stało się tam nawet coś podobnego, jak u nas przed dwoma laty w Krakowie, że i niektórzy księża głosowali za ludźmi zasad liberalnych, wbrew interesom katolickiego Kościoła i woli swoich pasterzy. A nawet ku niemałemu zgorszeniu wiernych takie zajął stanowisko jeden z kanoników katedralnych w Würzburgu ks. Hohn, za co słusznie od swego biskupa zasuspendowany został. Dziś cała czereda liberalnych dziennikarzy staje w obronie niedobrego kapłana, także doktora, tylko nie za sto guldenów *cum annulo piscatoris austriacensis*, i wysławia jego cnoty. Rzeczywiście cnotliwy to musi być kapłan, kiedy nietylko milczy na to, co dzienniki broniące go niby, piszą na biskupa, ale zaskarżył jeszcze biskupa przed sądy świeckie o obrazę ho....noru. Kapłan biskupa o obrazę honoru!

— Do Moguncyi zjechali się wszyscy najznakomitsi przedstawiciele katolików niemieckich. Książęta, panowie, posłowie pod przewodnictwem Windhorsta, uczeni i pisarze, mężowie stanu i dziennikarze, mieszczanie i przemysłowcy pospieszyli tłumnie złożyć swoje życzenia znakomitemu następcy św. Bonifacego, biskupowi Kettlerowi z powodu pięćdziesięcioletniego jubileuszu jego kapłaństwa. Całe miasto wzięło udział w tej niesłychanie świetnej uroczystości, jaka się odbyła 25 Lipca r. b. Wszystko, co czuło i myślało po katolicku, prześcigało się w okazaniu swej radości i przywiązania do tego dzielnego pasterza, będącego chwałą katolickich Niemiec. Przez cały dzień wszystkie domy przybrane były w kwiaty, gierlandy, z okien powywieszano sztandary o kolorach heskich i niemieckich, a nawet widziano mnóstwo chorągwi o barwach papiezkich, które nietylko że nikogo nie raziły, ale swem ukazaniem się niemały wzbudziły wśród ludności zapał. Na ulicach wołano: niech żyje nasz biskup, niech żyje Pius IX.! I nikt temu wszyskiemu nieośmielił się przeszkodzić, liberały i żydzi pochowali się po kątach, a burmistrzem Moguncyi nie jest na szczęście Dr. Zyblikiewicz, a więc chorągwi o barwach papiezkich nie usunięto wcale z okien i wieżyc. kościołów. Wieczorem całe miasto płonęło literalnie od rzęsistej illuminacyi, a okna i drzwi domów pokryły się najpiękniejszemi transparantami.

— W chwilach klęsk wielkich i ucisku, kiedy duch ludzki popada w zwątpienie, a serce smutek przyciska, wtenczas lubią zazwyczaj ludzie w przepowiedniach i niezwykłych w przyrodzie zjawiskach szukać dla siebie zapowiedzi lepszej przyszłości. Niedawno temu podobne zjawisko nietylko że

zwróciło na siebie uwagę całej ludności w okolicach Hanoweru, ale dało powód do wysnuwania zeń różnorodnych wniosków. Rzecz się tak miała. W nocy z 28 na 29 Czerwca o godzinie 9 wieczorem zerwał się w okolicach Hanoweru straszliwy uragan, coś na kształt trąby morskiej: dachy z domów, drzewa odwieczne zrywał, wywracał i jak źdźbła słomy unosił. Ludzie kłaść się musieli na ziemi, gdyż ostać się przeciw prądowi wiatru nie było podobna; tak trwało do samej północy, o tym dopiero czasie uspokoiło się nieco; za parę jednakże minut, jak opisują *Nowiny z Lunneburga*, straszliwy grzmot rozlegać się począł, tak, że zdawało się, iż sto piorunów naraz w ziemię uderza. Niebo całe pokryło się krwawą ognistą barwą, w pośrodku której ukazał się jasno-błękitny szmat obłoków, strojny w trzy przedziwnie jaśniejące płomienie, mające zupełnie kształt lilij takich, jakie widzimy na herbie Francyi Burbońskiej. Wyż wspomniany dziennik, opisujący to zjawisko, dodaje: ludzie patrzący na te niepojęte czary niebios, stali bladzi, drżący, słyszałeś dolatujące cię od nich słowa, znanej u nas w Niemczech przepowiedni: *pax tibi reddetur Germania; Gallia regem inveniet, pastorque greges ad ovile reducet.*

Nowe książki. Ks. Dr. Pelczar, profesor w Seminaryum Przemyskiem, wydał pierwszy tom zapowiedzianego niedawno przez siebie dzieła: *Ziemia Święta i Islam*, pełnego nowych spostrzeżeń, krytycznych poglądów, opowieści historycznych i opisów miejscowości w Palestynie. Wyjątki niektóre z tej pięknej pracy udzielone nam łaskawie drukowaliśmy zeszłego roku w *Przeglądzie*. Styl autora żywy; opowiada swoją pielgrzymkę w sposób zajmujący a piękne drzeworyty przynęcają każdego do czytania książki. Wszystko zaleca to zajmujące i pouczające dzieło, cena więcej niż skromna.

PP. Gubrynowicz i Schmidt puścili niedawno w obieg księgarski nowe wydanie dzieł Krasińskiego, poprzedzone przedmową Stanisława hr. Tarnowskiego. Przedmowie poświęcimy osobny artykuł.

Wawrzyniec hr. Engeström wydał w Poznaniu *Bukiet Haliny*, obrazek dramatyczny w jednym akcie. Równocześnie otrzymaliśmy poezye p. St. G.: *Urwane Akordy*, ofiarowane przez autora na dochód G w i a z d y, znanego dobrze czytelnikom *Przeglądu*, lwowskiego stowarzyszenia rzemieślników.

Kraków cieszy się dotąd przywilejem, że często w swych murach ugaszcza najznakomitszych w literaturze naszej pisarzy, którzy tam nietylko z różnych stron Polski, ale i z obcych dalekich krajów w gościnę przybywać lubią. I tak, zaledwie przyjechał oczekiwany spiewak Mazowiecki, rzewny i serdeczny nasz lirnik, aliści wnet zanim przybywa wierny druh Mickiewicza, Edward Odyniec. Na powitanie Teofila Lenartowicza umieścił *Czas* udatny bardzo wierszyk. Z tego winnego względem tułacza poety obowiązku wywiązały się również wszystkie pisma polskie. Za niemi pospieszamy i my ostatni powitać Go ze czcią i serdecznością. Teofil Lenartowicz napisał przedziwnie rzewny, a wspaniały wiersz p. t.: *Na dzień św. Piotra* przeznaczony do Albumu Piligliotecznego w Rzymie, ofiarowanego Ojcu Św. Drukowaliśmy go w *Przeglądzie* 1871 r. w czasie jubileuszu Ojca Św. w zeszycie XII, tom 1 str. 667.

— Dnia 15 Lipca zmarł w Szczawnicy, po długiej i ciężkiej chorobie Włodzimierz Jelski, w 58 roku życia, znany z licznych prac literackich i nau-

kowych i cenniejszych jeszcze przymiotów obywatelskich. Ś. p. Włodzimierz był synem Ludwika ministra skarbu w r. 1831 i Klotyldy z Moniuszków, urodził się w gubernii minskiej, powiecie ihumeńskim, we wsi Łada. Dzieckiem opuścił kraj z ojcem, który musiał emigrować, kształcił się początkowo w Szwajcaryi, a następnie w Paryżu na Wydziale matematycznym Sorbony. Po śmierci ojca w r. 1848 otrzymał pozwolenie powrotu do kraju i osiadł na Litwie, gdzie pojął Zofię z Kałęczyńskich, a zajęcia gospodarskie i obowiązki obywatelskie łączył z nieustającą pracą naukową. Jelski znosi u siebie szynki gorzelniane, jedna sobie poważanie i wpływ u całego obywatelstwa, pracuje nad ludem. Po r. 1868 wywieziony za Ural, powraca w lat pięć z podkopanem zdrowiem. Przyjmuje posadę sekretarza kolei Terespolskiej, a następnie powołany przez ks. Tadeusza Lubomirskiego na kasyera w nowo otworzonem Towarzystwie kredytowem miejskiem, wreszcie na wezwanie hr. Augustowej Potockiej znachodzi najodpowiedniejsze swym zdolnościom i upodobaniom zajęcie w urządzeniu biblioteki i archiwum w Wilanowie. Jelski wiele pisał mało drukował. Matematyka i filozofia zajmowały go najwięcej. Drobniejsze tylko rozprawy umieszczał w *Gaz. Polsk.*, będącej pod redakcyą Sikorskiego, a w ostatnich czasach należał do grona Redakcyi *Kroniki Rodzinnej*, z którą go wiązały zasady katolickie, wstręt do modnego pozytywizmu i przekonania konserwatywne. W tym też duchu wiele rozpraw kierowniczych umieszczał, jak w *Gaz. Polsk.* krytykę filozofii eklektrycznej Cousina, w *Kronice* kilka artykułów wstępnych. Z łaciny przełożył Jelski *Gigantomachię* Kordeckiego, z włoskiego żywot św. Franciszka z Asyżu. Tak pisze *Czas* o tym zacnym i cnotliwym mężu. *Requiescat in pace.*

ŚWIĘTOPIETRZE

(Serya IV)

ZŁOŻYLI W REDAKCYI:

Z ziemi łez i ucisku, z nieszczęśliwej Litwy wierna Bogu i wierze Ojców dziatwa składa Ci Ojcze Święty swój grosz sierocy z prośbą o błogosławieństwo.

N. N. N. z Litwy duk. 18, półimper. w złocie 4, rub. srebr. 32 i kop. 30.	—	złr.	— ct.
Mazurek z Inflant 10 marek w złocie.	—	„	— „
P. B... S... ze Lwowa	25	„	— „
Ks. Infułat Morawski	25	„	— „
Księża Misyonarze ze Lwowa	10	„	— „
Ze składek w Staniątkach	30	„	— „
Błogosław mi Ojcze Św.			
S. L.	5	„	— „
Razem 18 duk. 4 półimper. 10 marek w złocie, 32 rub. 30 kop. złr.	95	„	— „
Z przeniesienia pięć dukatów w złocie, jeden cwancygier i złr.	764	„	87 „
Razem duk. 23, półimper. 4, marek 10, rub. 32, kop. 30, 1 cwancygier i złr.	856	„	87 „

Korespondencya Redakcyi.

Wny ks. Kujot. — Ślicznie dziękujemy za przysłane dzieło. Upraszamy o pamięć.

Wny p. Grudziński w Paryżu. — Prosimy o cierpliwość. Całego poematu w *Przeglądzie* drukować nie możemy — staramy się o nakładcę, o czem W. Pana zawiadomimy. —

Wydawca i odpowiedzialny redaktor ks. Edward Podolski.

POLSKA
W CHWILI SWEGO UPADKU

przez

Romualda Kaczyńskiego.

(Polska w czasie trzech rozbiorów 1772—1779. Studya do historyi ducha i obyczajów przez J. I. Kraszewskiego. Tom III 1791—1799. Poznań, nakładem I. Żupańskiego 1875).

Wypadki i zdarzenia, jakie zaszły w Polsce pomiędzy rokiem 1791—1799, są tak wielkiej wagi, tyle się na nie składało czynników i okoliczności, tak obfitują w epizody, dosadnie charakteryzujące ducha i usposobienie ludzi owych czasów, że długo jeszcze stanowić one będą przedmiot, o którego zbadanie i przedstawienie pokuszą się nieraz w przyszłości bardziej lub mało wytrawne umysły — mniej i więcej zdolne pióra. Czasy to zbyt nas bliskie, aby można było o nich wyrzec ostatnie słowo, tembardziej że z każdym rokiem prawie przybywające nowe do tej epoki pamiętniki i dokumenta, coraz żywiej oświetlając obraz Polski w chwili jej konania, bardzo często każą nam inaczej zupełnie, aniżeli poprzednio, patrzeć i oceniać sceny i postacie z tego obrazu. Możemy zatem mieć uzasadnioną nadzieję, że te ostatnie lata panowania Stanisława Augusta — jakkolwiek już przez wielu, a pomiędzy nimi przez W. Kalinkę, Bron. Zaleskiego i Teod. Morawskiego po mistrzowsku odmalowane zostały — będą i nadal przedmiotem badania dla historyków.

Te myśli mniej więcej nasunęły się nam po przeczytaniu trzeciego tomu dzieła p. Kraszewskiego: *Polska w czasie trzech rozbiorów,* nasunęły się zaś może głównie dlatego, że jakkolwiek spotkaliśmy się tam z wieloma nieznanemi szczegółami, rzucającemi silne światło na niektóre momenta tych czasów, jednakże mimowoli uczuliśmy pewien brak precyzyi w wykonaniu obrazu, jaki autor oczom naszym przedstawia. Ta zaś, tu i ówdzie pojawiająca się

niedokładność w opowiadaniu, do której sam autor przyznaje się w przedmowie, pochodzi najczęściej z braku pewnych źródeł, dziś i nadługo niedostępnych dla nas.

Za niemałą zaletę poczytać musimy p. Kraszewskiemu, że do pewnego stopnia pozbył się w tym tomie uprzedzeń i niechęci względem niektórych osobistości i warstw społeczeństwa z epoki, której dzieje nam kreśli, że nie czuć tutaj tej przymieszki goryczy i żółci w sądach o wypadkach i ludziach, od czego właśnie nie był wolnym w I tomie. Wprawdzie jeszcze od czasu do czasu objawia się zły humor autora na widok np. tego, co wedle jego sposobu widzenia rzeczy trąci jezuityzmem, ale sądzimy, że to chyba resztki uprzedzeń, któremi przejął się w ostatnich czasach swego pisarskiego zawodu, mianowicie od swej nieszczęsnej podróży do Wiecznego Miasta.

Bądźcobądź III Tom *Polski w czasie trzech rozbiorów*, pomimo że nie jest dziełem na wskróś historycznem, stanowi przecie jeden więcej, i to nie pomiernego znaczenia, przyczynek do całości historyografii polskiej.

Nie wdając się w bliższy rozbiór studyów p. Kraszewskiego, o których nic nowego nie moglibyśmy powiedzieć, ograniczymy się jedynie na streszczeniu jego opowieści, zaczynającej się z chwilą, kiedy wieść o konstytucyi 3 Maja urzędownie przez uniwersały rozniesioną została.

I.

Konstytucya 3 Maja, owoc pracy stronnictwa reformy na sejmie czteroletnim, wywołała nadzwyczajne wrażenie w sąsiednich Polsce dworach: Austryi, Moskwy i Prus. Trzy te państwa, łączące się w razie kiedy szło o jakąś zdobycz na Polsce, nie dowierzały sobie nawzajem, jak tylko którekolwiek z nich zmuszonem było z powodu innych spraw oderwać wzrok swój na chwilę od nieszczęsnej ofiary — Rzpltej. I teraz gdy zawiadomione zostały o nowej reformie w Polsce, zaczęły się podejrzywać, posądzając jedno drugie o udział w tej sprawie. Każde zaś z tych trzech mocarstw przyjęło na razie wobec dokonanego dzieła w Rzpltej postawę wyczekującą, pragnąc, aby pierwsze słowo, jakiekolwiek ono będzie, nie wyszło wprzód od niego.

Dopiero później nieco Austrya szczerze, Prusy z wyrachowania, i „udając zadowolenie“, powinszowały Polsce nowej zmiany. Kurfirst saski, którego dynastya miała zasiąść na tronie po śmierci Stanisława Augusta, od dwóch tych mocarstw nietylko że odebrał powinszowania, ale także wyrażono mu życzenie, aby nie wahał się przyjąć

ofiarowanego przez Polskę tronu. Rossya milczała, lecz tem chytrem milczeniem tygrysa, czyhającego na sposobną chwilę, w którejby mógł się rzucić na swoją ofiarę.

Tymczasem wieść o konstytucyi prawie w całym narodzie wywołała najżywszą radość. Sam król, do niedawna przedmiot złośliwych pocisków, teraz stał się ulubieńcem narodu. „Król z narodem! Naród z królem“! powtarzały tysiące ust, drżących od wzruszenia. Imieniny Stanisława Augusta nigdy tak uroczyście obchodzone nie były jak 8 Maja 1791. W całym kraju jeden przez drugiego na wyścigi spieszyli się z okazaniem swej miłości dla króla. Objawy tej miłości często śmiesznie trochę wyglądały. „W Warszawie — czytamy u Kraszewskiego — rzeźnik jeden pod cyfrą króla wyobraził wołu, prowadzonego na rzeź i podpisał: (choć po niemiecku) *Kto moim królem pogardzi, utnę mu łeb jak wołowi*“.

Ta powszechna radość i prawie ogólna zgoda na nową ustawę, dozwalają sejmowi czteroletniemu skończyć w spokoju co ważniejsze sprawy; mniej ważne odroczono do połowy września. Jeszcze w czasie trwających obrad na posiedzeniu 15 Maja odczytano list Jabłonowskiego posła w Berlinie, w którym powtórzone były słowa króla pruskiego, wyrzeczone o konstytucyi: „Z ukontentowaniem patrzę na pomyślność Polski, powodzenie jej zawsze mnie interesować będzie, znajdzie zawsze we mnie Polska *alianta szczerego*“.

Kiedy twórcy konstytucyi wszelkiemi siłami starają się ją utrwalić, nieprzychylne jej stronnictwo, trzymające z Moskwą, nie próżnuje również. Szczęsny Potocki, Seweryn Rzewuski i Ksawery Branicki intrygują i wichrzą jak mogą. Ten ostatni miał nawet zamiar porwać króla i z jego pomocą obalić konstytucyę 3 Maja. Podobno i Patiomkin wiedział o tym zamachu, który jednak nie powiódł się hetmanowi. Moskwa sprzyja tym malkontentom, stara się usilnie o powiększenie ich liczby, bo to leży w jej interesie: będzie mogła w stosownej dla siebie chwili wystąpić przeciw Polsce pod pozorem, że popiera i broni uciśnionych Brutusów, obrońców złotej wolności, chroniących się pod skrzydła jej opieki. Ruble i ordery moskiewskie pomnażają zastęp owych mniemanych piastunów *avitae libertatis*.

Nadchodzi wreszcie pora obrad sejmowych, których godłem był niejako ów napis na transparencie, wystawionym podczas balu w Łazienkach warszawskich:

Z domowych rozterków wyniknął despotyzm u Rzymian, niech zgoda w Polsce ubezpiecza wolność!

I w samej rzeczy większą część obradujących ożywia jeden duch zgody, jedna myśl poświęcenia życia i mienia, byle tylko konstytucya się utrzymała. Sam król oświadcza: „..... A jakośmy całość tego dzieła Bogu zaprzysięgli, *tak z życiem samem go nie odstąpimy* i nie dopuścim, aby go czyjaś ręka targała". Wypowiadając to, Stanisław August nie przypuszczał może, że niezadługo przyjdzie mu wyprzeć się słów własnych — nie przeczuwał, że poza plecami sejmu gotuje się zamach, co wkrótce wywróci i zniszczy wzniesioną z takim trudem konstytucyę.

„W Jassach, gdzie książę Patiomkin, zakochany w księżnej Dołhoruków, szalał za nią, wydając bale we dnie w oświeconych pieczarach, ugaszczając ją po królewsku, a na odpoczynek kładnąc się w kożuchu, przebierać garściami drogie kamienie — w Jassach zemstę układano". Nieprzyjaciele nowego porządku, wymienieni już Potocki i Rzewuski oraz inne osobistości, układają się tam za pośrednictwem Patiomkina z Katarzyną, jakby najskuteczniej można było przywrócić w Rzpltej dawny bezład. Patiomkin umiera; Rzewuski i Potocki, a następnie Branicki wchodzą w porozumienie z hr. Bezborodką, przysłanym do Jass dla ułożenia warunków pokoju z pełnomocnikami tureckimi. Wieści o tych *conventiculach* nieprzyjaciół konstytucyi, dochodziły do uszu sejmujących; domagano się powszechnie jakiejś kary na nich. Król jednakże odzywa się, że słyszał wprawdzie o tem, ale skoro jawnych czynów nie widać, przeto i obawiać się nie ma czego.

Tymczasem w Petersburgu głośno się odzywano, że cesarzowa nie uzna konstytucyi. To wpłynęło na zwrot polityki Prus i Austryi; w Polsce zaś wywołało przekonanie, że wojna z Moskwą nieunikniona. Groźba wojny zmusza zwrócić uwagę na wojsko. Pod Gołębiem, Bracławiem i Mińskiem urządzają manewra wojskowe, które podnoszą i ożywiają ducha w narodzie.

Przeczucie wojny nie było wcale mylnem, gdyż wkrótce Rossya zaczyna gromadzić ponad granicami Rzpltej znaczne siły wojskowe, a jednocześnie prawie przeciąga na swoją stronę Prusy, obiecując im pewien udział w zamierzonych przez siebie zaborach. Wobec prawie dokonanej zgody Prus z Moskwą na nowy podział Polski i Austrya przez wice-kanclerza Cobenzla i referendarza von Spielmanna stara się przekonać dwa te mocarstwa, iż nie myśli popierać sprawy polskiej. Tak tedy Polska pozostawioną jest własnym siłom. Nie tracą jednak ducha Polacy. Stolica pod tym względem daje przykład. „Wśród zawieszonej nad głowami narodu wojny

i tego patryotycznego zapału — mówi p. Kraszewski — Warszawa się bawi jeszcze i ożywia, Paesiello kończy swą muzykę, codzień grają koncerta Mozarta... pani Duchek, p. Jaworych, Pieltain. Korn popisuje się na arfie u Małachowskich, Price przyjeżdża z cyrkiem i pajacami, końmi i pantominą... Warszawa pełna ludzi".

Gdy się Warszawa tak bawi, Bułhakow, poseł moskiewski w Warszawie, odbiera wiadomość z Petersburga, że wojska wkroczą do Polski między 12 a 21 Maja (1792); ma jednak rozkaz chować to w tajemnicy. Zdawałoby się, że Rzplta w wigilię prawie wojny posiada dostateczną liczbę żołnierza do odparcia zbliżającego się już nieprzyjaciela. Niestety było inaczej! Uchwalono wprawdzie sto tysięcy wojska, ale dotąd zaledwie nieco więcej jak piąta część tej liczby istniała w rzeczywistości. Zapominano o tem, co najważniejszem było, zajmowano się zaś natomiast uroczystemi obchodami, jak np. w rocznicę konstytucyi, „w którym to dniu — pisze współczesny — Warszawa była świetną i ludną, jak nigdy. Radością i nadzieją oddychali wszyscy. Był to ostatni dzień Pompei, cieszącej się wobec grożącego mu wulkanu, mającego w gruzach zasypać ją na zawsze"!

Prawie w tym samym czasie, kiedy w Warszawie tak uroczyście obchodzą rocznicę konstytucyi, prowadzą w Petersburgu Potocki, Rzewuski i Branicki ostateczne układy z carową. Stanowcze porozumienie się Katarzyny z tymi malkontentami rozwiązuje usta Bułhakowowi. Osiemnastego Maja oddaje on ministrowi spraw zagranicznych podkanel. Chreptowiczowi deklaracyę drukowaną, przysłaną mu już dawno z Petersburga. Egzemplarze tej deklaracyi, która nie była niczem innem tylko wypowiedzeniem wojny, rozrzucono po Warszawie.

Charakterystyczną jest rozmowa Chreptowicza z Bułhakowem w chwili, kiedy poseł moskiewski wręczał podkanclerzemu deklaracyę:

— Domyślam się treści, odezwał się Chreptowicz, ale czytać jej nie będę, aby ją natychmiast wręczyć królowi. — I zabierał się do wyjścia.

— Lepiejby było, rzekł na odchodnem, aby to wszystko po przyjacielsku załatwić się mogło...

— To zależało, odparł Bułhaków, jedynie od was i zależy jeszcze, na zasadzie deklaracyi. Wojska wchodzą do Polski nie z zamiarem nieprzyjacielskim, ale jako pomoc przyjacielska do przywrócenia dawnej swobody i formy rządu... Środki surowe złagodzić się mogą, jeśli oporu nie będzie.

Naród przyjął tę deklaracyę bez trwogi, bez odgrażania się — z powagą i godnością, z zamiarem głęboko tkwiącym bronienia swobód i wolności ojczyzny. W Warszawie po ulicach rozrzucano liczne wiersze z tego powodu, jak np. *Do Polaków*, kończący się smutną wróżbą:

Tak umrze Polak — umrze wspaniały,
Krwią się ten naród dokupi chwały,
I w księgach dziejów tem będzie słynął,
Że wolnym został — i wolnym zginął.

Albo inny zakończony lepszą nadzieją:

A wnukom naszym pozostawiemy...
Na twardym głazie ten napis stary:
„Gdy dzielne Boga wspiera naród ramie,
Któż jego szyki wzruszy i połamie"?

W nocy z dnia 19 na 20 Maja armia moskiewska wkracza do Polski! Na wiadomość o tem, choć było to już nieco zapóźno, zaczynają się w Warszawie gorączkowo krzątać około uzbrojenia wojska. Ofiary płyną ciągle, patryotyzm się wzmaga. Sejm uchwala półtora miliona złp. na nagrody walecznym i wiernym ojczyźnie. Niektórzy obywatele nadają swym poddanym wolność dla zachęcenia ich do obrony ojczyzny. Król ogłasza odezwę do wojsk obojga narodów, donosząc o objęciu dowództwa nad niemi. Wystósowano także na wniosek Niemcewicza uniwersał do całego narodu. Moskwie na jej deklaracyę odpowiedziano z wielkiem umiarkowaniem, w formie jak najbardziej dyplomatycznej. Ostatnie posiedzenie sejmu czteroletniego miało miejsce w dniu 29 Maja.

Równocześnie prawie z wkroczeniem wojsk rossyjskich pojawia się akt konfederacyi, zawiązanej przez stronnictwo Moskwy, akt podpisany dnia 14 Maja 1792 w Targowicy, na Podolu, przez Szczęsnego Potockiego, Fr. Ksaw. Branickiego, Seweryna Rzewuskiego, Ant. Czetwertyńskiego, Jerzego Wielhorskiego i innych. Akt ten, powstając przeciw całej konstytucyi, krytykuje działania sejmu czteroletniego, oświadcza się za powróceniem dawnych instytucyj republikańskich.

Pierwsze utarczki wojska Rzpltej z moskiewskiemi były dosyć pomyślne dla oręża polskiego. Dowodził wojskiem książę Józef Poniatowski, który świecąc żołnierzowi osobistem męztwem, zręczną taktyką wojskową, starał się jeżeli nie zwyciężyć, co było niepodobieństwem, to przynajmniej powstrzymywać w pochodzie nieprzyjaciela.

W samej rzeczy trudno było żołnierzowi polskiemu myśleć o zwycięztwie, skoro mu brakło broni i magazynów, gdy był otoczony prawie od trzykroć liczniejszego od siebie nieprzyjaciela. A tu ostatnia nadzieja dla Polski pozostawała w obronie! Wprawdzie liczba wojska znacznieby się powiększyła, gdyby król, jak to zapowiedział odezwą, stanął na czele walczących. Stanisław August jednak w skutek błagań swojej rodziny, nie kwapił się z objęciem dowództwa. „Ciągle się wybierał, wszystko aż do szpad i mundurów było w pogotowiu, ale Bułhakow uśmiechał się i zaręczał, że z tego nic nie będzie". Zapominał król widocznie o tylu i tak uroczystych publicznych obietnicach w kościele, na sejmie, w teatrze — *stanę i postawię się!*

Kitowicz tak się wyraża o tym wojennym duchu Stanisława Augusta: „Raz król w mundurze kawaleryi narodowej pojechał na plac, rozkazawszy wystąpić gwardyom pieszym i konnym i żołnierzom w Warszawie. Miał z konia mowę do wojska, zachęcając do obrony kraju i poruszył do łez. Wołano: prowadź nas! będziemy się bronili do ostatniej kropli krwi!! W kilka dni potem za Pragą, za Grochową karczmą, kazał na obóz duży wymierzyć plac, za zboże zapłaciwszy na polu. Tu się ściągnęły regimenta, artylerya, amunicya, bagaże, piekarnie, kowale... Wojsko maszerowało przez Warszawę od pałacu Krasińskich przez saski dziedziniec, Krakowskie przedmieście i most na Wisłę ...Było ludu pięć tysięcy kilka set. W obozie już wprzód ze dwa tysiące. Myślano, że z rekrutami i wojskiem powinno być do 40 tysięcy. Po rozłożeniu obozu, król sam w kompanii panów i dam przybył, zjadł tam obiad — i wrócił do Warszawy. Na tem się skończyła kampania".... „Śmiała się też z tego i szydziła Warszawa. Na ulicach poprzylepiano raz afisze: *Wielka opera komiczna*, *Wyprawa na wróble albo Obóz za Pragą pod karczmą Grochową*". Król odtąd zaniechał już myśli objęcia dowództwa nad wojskiem, wolał walczyć *„Raczej piórem niż orężem"*; bezpieczniejszem wydało się jemu zagrzewać do walki, aniżeli brać w niej udział.

Całe siły Rzpltej składały się z kilku dywizyj wielkopolskich, pod dowództwem Byszewskiego, Kościuszki, Czapskiego — z małopolskich, nad któremi dowództwo oddano księciu Wirtembergskiemu, z dywizyi podolskiej księcia Michała Lubomirskiego i Suffczyńskiego, naostatek z ukraińskiej księcia Józefa Poniatowskiego, jenerała Lubowidzkiego i Wielhorskiego i dwu litewskich: Judyckiego i Zabiełły.

Moskiewskie wojska pod Kachowskim czterema oddziałami wkroczyły na Ukrainę, druga połowa z Kreczetnikowem na czele weszła do Litwy. „Wołano w Warszawie w pierwszych dniach zapału w Maju: Zarzucimy ich czapkami — lecz na to potrzeba było nie wojska, ale powstania narodowego — a tego się lękano i więcej się od niego broniono, niż doń powoływano".

Z dowódzców polskich na bliższe poznanie zasługują: książę Józef Poniatowski i Tadeusz Kościuszko. Oto jak ich przedstawia p. Kraszewski; o księciu Józefie powiada: „W salonach był to tancerz nieporównany, w buduarach najniebezpieczniejszy Don Juan, na koniu i jako woźnica dzikiemi końmi prześcigał wszystkich, ale też w męztwie i szlachetności charakteru nikt go nie zaćmił. Sejm czteroletni wszczepił w niego gorące patryotyzmu uczucie, tu się pozbył austryackiego kosmopolityzmu i został serdecznym Polakiem. Król go namówił do opuszczenia służby obcej, dano mu stopień jenerał-majora w wojsku polskiem. Król zachwycony nim, marzył w chwilach szczęśliwszych, że mógłby z niego mieć następcę". Niemcewicz o nim mówi, że zbywało mu na wytrwałości w sztuce wojennej i na zaufaniu w sobie. „Często nie zwyciężył, pisze, dla tego tylko, że się pobitym być obawiał". O ileż różnym był znowu od niego Tadeusz Kościuszko. „Książę Józef i p. Tadeusz, powiada Kraszewski, stali na dwu przeciwnych biegunach, różnili się tak pojęciami jak i twarzami. Jeden był republikaninem, domagającym się praw człowieka *(sic)*, drugi jakby średniowiecznym rycerzem. Kościuszko walczył za wolność i za lud, Poniatowski za honor Polaków; godłem pierwszego była swoboda i równość, drugiego blask niepokalany i sława!... Obcisła kurtka wytworna Poniatowskiego i siermiężka Kościuszki stanowiły kontrast wybitny. Dwa te piękne posągi dopełniają się, stojąc naprzeciw siebie, jeden z nich jest dziełem kunsztu wieków, drugie wyciosało energiczne uczucie teraźniejszości... Cyncynat amerykański i Antinous z Jabłonny są to dwa typy epoki, która ma dwie twarze i dwa prądy udzielne"...

Na barkach tych dwóch ludzi głównie spoczął cały ciężar wojny. Robili oni też co mogli, nie szczędząc swego życia i zdrowia, z nadludzkim wysiłkiem stawiając opór groźnemu liczbą nieprzyjacielowi. W pierwszej połowie Czerwca oddziały księcia Józefa i Kościuszki, a następnie Wielhorskiego łączą się szczęśliwie z sobą, a 12 t. m. tylna straż polska ma pierwszą, nader gorącą utarczkę na grobli Boruszkowieckiej z oddziałem Kachowskiego. Potyczka ta wypadła niepomyślnie dla oręża polskiego, a to z powodu niekorzystnej pozycyi, jaką wojsko zajęło. To małe niepowodzenie wynagrodzonem niejako zostało pod Zieleńcami, gdzie nieprzyjaciela padło do kilku tysięcy, strata zaś ze strony polskiej była stosunkowo mała. Zwycięztwo mogło być zupełniejsze i bardziej świetne, gdyby książę Józef zechciał korzystać z okoliczności. Niemcewicz sam powiada, że słyszał nieraz później księcia Poniatowskiego, mówiącego z westchnieniem, iż „Zieleniec nigdy sobie nie daruje".

Po tej bitwie wojska polskie cofają się coraz bardziej w głąb kraju, z powodu braku amunicyi i żywności; przechodzą Bug i zajmują pozycye nad rzeką, chcąc wzbronić nieprzyjacielowi jej przejścia. Kościuszkę umieszczono w Dubience, książę Józef zajął stanowisko w Dorohobusku, Wielhorski w Swierzu o 3 mile od Dubienki. 17go Lipca Moskale przeprawiają się przez Bug; siły Kachowskiego w liczbie 20.000 stają pod Dubienką, w której znajdujące się wojska polskie pod wodzą Kościuszki nie dochodziły liczbą do 6 tysięcy. Nazajutrz Kachowski atakuje Kościuszkę. Rozpoczyna się gorąca walka, Polacy ani na krok nie ustępują, jednakże gęsty ogień artyleryi moskiewskiej zmusza ich do odwrotu. Odwrotu dokonano nocą lasami do Kuniowa. W tej utarczce Moskale stracili do dwóch tysięcy, Polacy zaledwie przeszło sto żołnierza. Zwycięztwo zupełnie nie było możliwem dla polskiego żołnierza, lecz Kościuszko zrobił wszystko, czego tylko męztwo i umiejętność dokazać mogły. Dubienka też zjednała mu sławę dzielnego wodza.

Moskwa postępuje naprzód, Polacy ciągle ustępują. Książę Józef przechodzi Wieprz i na Lublin ciągnie do Kurowa, gdzie zamierzył raz jeszcze stawić czoło Rossyanom. Wtem jak piorun niespodziewanie przychodzi wiadomość o przystąpieniu króla do Targowicy.... (C. d. n.)

Ojcowie Martinow i Gagaryn

w obec zabiegów Rossyi w Watykanie.

Liberalne nasze dzienniki, usiłując zawsze wzbudzać w Polakach nieufność do Stolicy św., uderzyły na nowo na gwałt z powodu szerzonych przez ich przyrodnich braciszków na Zachodzie wieści, o zbliżeniu się Rossyi do Rzymu, jak gdyby w tem samem już kroku miał być jaki zamach na narodowość polską. *Sempre*

incorretta gente! Utrzymują tedy, że Papież pierwszy krok uczynił i podał rękę do zgody. Jak gdyby staranie się o przyniesienie ulgi cierpiącym miało być złą rzeczą O! gdyby Pius IX mógł był to zrobić, jakież wyświadczyłby dobrodziejstwo Polsce. Niestety — nie mógł i nie zrobił, bo ze strony Moskwy nie ma dobrej woli. Wie o tem Pius IX dobrze i dlatego nie On wziął inicyatywę w zawiązaniu z nią stosunków, ale sam rząd rossyjski pierwszy zgłosił się do Watykanu. Oddawna już bowiem w pewnych kołach dyplomacyi rossyjskiej noszono się z myślą sprowadzenia jeżeli nie nuncyusza, to przynajmniej ajenta papiezkiego do Petersburga i utrzymywano, że rząd rossyjski podjąłby sprawę oddania Rzymu Papieżowi, a nawet pokusiłby się interweniować w sprawie Francyi, ale tylko na rzecz monarchii. Pobudką do tych kroków konserwatywnej cechy miałaby być obawa rossyjskiego rządu przed socyalną rewolucyą, która pod nazwą nihilizmu potężnie nurtuje w Rossyi, jak tego dowodzą mnogie policyjne rewizye w Petersburgu i Kijowie. Powtarzam, są to zachcenia czy przewidzenia pewnej zdrowiej myślącej frakcyi w dyplomatycznym świecie rossyjskim — być więc może, że liberalna prasa, dowiedziawszy się w jakikolwiek sposób o tym symptomie w łonie rossyjskiej dyplomacyi, głosi teraz już jako rzecz pewną to, co jest więcej niż wątpliwem, zgodę Rossyi ze Stolicą św. W Rzymie nie patrzą na te rzeczy tak różowo, i jak przed trzema laty w sprawie zaprowadzenia rossyjskiego języka do łacińskiego rytuału, nie dano się wywieść w pole, tak i tym razem zachować potrafią wszelką ostrożność w negocyacyach z petersburgskim dworem. Atoli u nas w Polsce wszelka wieść o podobnych układach przejmuje obawą i trwogą i nie dziwić się temu; wszak ocalenie resztek narodowości naszej zawisło od ocalenia katolickiego Kościoła. Wiedzą o tem arcywybornie rossyjscy dyplomaci i dlatego usiłowali przedstawić Papieżowi opór ze strony polskich biskupów i księży w sprawie języka rossyjskiego, jako wybryk patryotycznego szału i politycznych namiętności. Dowodzili kłamliwie w swych memoryałach i listach, że w Rossyi zachodniej, tj. na Litwie, Podolu i Wołyniu ludność katolicka mówi po rossyjsku, że to macierzysty jej język, że wprowadzając rossyjski język do rytuału łacińskiego, usunie się jedyne schronienie patryotycznych agitacyj ze strony kleru. Dotąd ta ludność fanatyzowana przez księży oburza się na samą myśl wprowadzenia języka rossyjskiego do łacińskich kościołów, księża zaś przyparci do muru przez rząd zasłaniają się tem, że Papież nie pozwala. Niechże tedy Papież usunie ów kamień zgorszenia i powie,

że wolno księżom odprawiać te funkcye kościelne, które się odbywały dotąd po polsku, w rossyjskim języku, a koniec będzie położony agitacyom politycznym, które są jedyną przeszkodą do rozkwitnięcia katolicyzmu w Rossyi. Przyniesiono nawet Papieżowi katechizm katolicki napisany po rossyjsku. Czytałem w oryginale i w wiernych kopiach korespondencyę w tym punkcie pewnego księcia rossyjskiego z rossyjskim Jezuitą, O. Gagarinem, która jest dosłownem niemal powtórzeniem oficyalnych negocyacyj z Rzymem, w których ta osobistość niemałą odgrywała rolę. Prawdę powiedział Mickiewicz, że dyplomacya rossyjska odziedziczyła po Grekach bizantyńską przebiegłość i układność. Jak ułudny głos syreny, tak wdzięcznie, ponętnie i na pozór prawdziwie brzmią one wywody dyplomatów rossyjskich. Potrzeba doprawdy bardzo się mieć na baczności, aby się nie dać ułowić na lep tej wyrafinowanej dyalektyce. Cóż jednak uczynił Rzym? Nawykli do gorączkowej, zamaszystej polityki, my, którym wrzekoma układność rossyjska aż nadto dotkliwie dała się we znaki, pragnęlibyśmy, aby Rzym odepchnął wszelkie negocyacye z Rossyą — *apage Satanas!* Wiedziała i o tem dyplomacya rossyjska i zawczasu przestrzegała Stolicę św., że najlepsi katolicy Polacy niczego się tak nie obawiają, jak zbliżenia się do niej Rossyi i ztąd wyprowadzali wniosek, że tym Polakom nie Kościół katolicki, ale polityczne agitacye leżą na sercu. Ta okoliczność, obok znanej roztropności papiezkiej dyplomacyi, nakazała rozpatrzeć się bliżej w rossyjskich propozycyach. Zasięgnięto więc zdania dwóch mężów, obcych zupełnie Polakom ich narodowością, ale gorliwych katolików, kapłanów, a do tego zakonników, aby oni wydali sąd bezstronny w tej sprawie. Czytałem własnoręczny list nuncyusza Chigi z dnia 29 Stycznia 1873 do O. Gagarina, w którym w imieniu kard. Antonellego prosi, aby on wraz z O. Martinowem przejrzeli katolickie książki napisane po rossyjsku i naznaczyli termin, w którym przysłać mogą pisemne sprawozdanie w sprawie wprowadzenia języka rossyjskiego do liturgii. Równocześnie nie omieszkała Stolica św. zasięgnąć zdania i ze strony katolików polskich. Wyrobiwszy sobie w ten sposób sąd o całej tej sprawie, odpowiedziała Stolica św. stanowczo: *non possumus* i zerwała układy. Odwetem za ten przykry dla dyplomacyi rossyjskiej zawód, która mniemała, że już dobija targu, był ukaz carski, nakazujący wprowadzić z d. 1 Stycznia 1874 do unickiej dyecezyi chełmskiej rytuał schyzmatycki — w ślad za ukazem nastąpiło prześladowanie najprzód kleru

chełmskiego, a potem i ludu, dopokąd nie nastąpił uroczysty akt „dobrowolnego *(sic)* powrotu unitów do prawosławnej cerkwi".

Wypadki te należą już dzisiaj do historyi, wspominam jednak o nich, raz że sumaryczny ich przebieg mało znany jest szerszej publiczności, powtóre, aby raz już przynajmniej mogli się przekonać Polacy, że Stolica św. nie podejmuje nigdy nic płocho, bo wie też i o tem aż nadto dobrze, co znaczą podobne usiłowania rossyjskiego rządu, jak np. wprowadzenie rossyjskiego języka do łacińskiego rytuału, wie, że byłoby to niczem innem jak tylko wpuszczeniem nieprzyjacielskiej czaty do wnętrza obronnego zamku.

Tu jest miejsce sprostować mylne mniemanie wielu nawet dobrze i po katolicku myślących Polaków, jakoby wspomnieni wyżej dwaj rossyjscy Jezuici: OO. Gagarin i Martinow niechętni byli narodowości naszej, a w sprawie rossyjskiego języka stawali po stronie Rossyi. Pochodzi to z wrodzonej nam pobieżności w badaniu i sądach. Nie zbadawszy rzeczy do dna, łatwo rzucamy sąd krzywdzący, a przynajmniej poczynamy w wątpliwość podawać moralną wartość tych, którzy nam prawdziwe, lubo bez szumu i hałasu świadczą usługi. Z drugiej znów strony sami patryotyczni, aż do zbytku może, nie chcemy być wyrozumiałymi dla drugich i żądamy, aby ludzie niepolskiej narodowości czuli tak gorąco i występowali tak śmiało w sprawie polskiej, jak my to czynimy, acz nie wiem czy zawsze politycznie. OO. Gagarin i Martinow zostawszy katolikami, nie wyparli się swej narodowości rossyjskiej; zakon, do którego należą, nie uczynił ich kosmopolitami, owszem na tym gruncie narodowości rossyjskiej stojąc i tylko na tym gruncie, zasłużyli się dobrze Kościołowi katolickiemu i Polsce. Rzecz to jest całkiem jasna i zrozumiała. Gdyby występowali głośno z swemi sympatyami dla Polski, zdanie ich i sąd wręcz przeciwne polityce rossyjskiej, nie miałyby u przedstawicieli tej polityki żadnej wagi. Powiedzieliby ci panowie, jak to zawsze upornie o Polakach powtarzają Papieżowi, że to namiętność polityczna, polska agitacya przez usta ich przemawia. Ale widząc ich stojących na gruncie rossyjskim, całkiem obcych politycznej i narodowej walce Polski z Rossyą, chcąc nie chcąc muszą umilknąć i przyjąć sąd i zdanie rossyjskich Jezuitów, którzy w kwestyach kościelnych są zupełnie zgodni ze zdaniem najgorliwszych patryotów polskich. Stolica też święta, na ów wiecznie przez Rossyę podsuwany zarzut o politycznych agitacyach, osłonionych płaszczykiem dobra Kościoła, ma potężny kontrargument: „Patrzcie, ci dwaj mężowie, których wy sami dla

nauki i cnoty poważacie, są wasi, od was wyszli, do was się i dzisiaj przyznają, a jednak i oni potępić muszą całe wasze gospodarstwo w sprawach Kościoła katolickiego w Rossyi, i odrzucić radzą propozycye, które czynicie". Stanowisko to swoje najlepiej skreślił sam O. Gagarin. W liście do księcia W. pod d. 17 Grud. 1872, który mam przed sobą, pisze: „Nie jestem Polakiem. Stosunek mój do Polaków jest taki sam prawie, jak katolickich Anglików do Irlandczyków. Polacy są mi braćmi w wierze, ale wcale obcy jestem wielu sprawom, których oni bronią, również jak uczuciom, któremi są ożywieni". Po naznaczeniu w ten sposób swego wobec nas Polaków stanowiska, posłuchajmy jakie gorzkie prawdy wypowiada swoim współrodakom. „Muszę z drugiej strony wyznać, że nieufność ludności katolickiej do rossyjskiego rządu nietylko może być wytłumaczoną, ale jest zupełnie słuszną i sprawiedliwą. Chodzi o to, czy istnieje postanowienie, czy powzięty jest nieodwołalny zamiar rossyjskiego rządu: zniszczyć zupełnie w Rossyi katolicki Kościół, usuwając go z pod władzy świętej Stolicy, a poddając go wyłącznie władzy rządowej? Nie mniemam, aby to było pragnieniem cesarza Aleksandra II, ale koniec końcem czegożeśmy byli świadkami przez całe panowanie poprzednika jego"? Tu naszkicowawszy w dosadnych rysach zniszczenie Kościoła ruskounickiego, pisze dalej: „Przez cały ten czas widzieliśmy zastósowanie tego samego systemu do Kościoła łacińskiego, a dla każdego człowieka dobrej wiary jest rzeczą jasną, że wtenczas (za Mikołaja) zadecydowano zupełne zniszczenie katolicyzmu w Rossyi, a to przez usunięcie Kościoła katolickiego z pod supremacyi Papieża, a poddanie go pod zwierzchność państwa. Cesarz Aleksander II nie chce nic podobnego. Być to może, tymczasem pod jego rządami Milutyny i Czerkascy trzymali się względem katolickiego Kościoła tej samej polityki, co Błudowie, Protasowie, Wiegelowie i Skripiczyny, w tej chwili zaś (t. j. 1872 r.) hr. Dymitr Tołstoj, minister wychowania i prokurator Synodu porywa Kościołowi katolickiemu dyecezyę grecko-unicką Chełmską, aby ją oddać Synodowi. Ledwo dni kilka temu ogłoszono w urzędowym raporcie, że więcej jak 2000 katolików w przeciągu ostatniego roku przyjęło prawosławie, a cyfra ta od lat 10 dochodzi do 60.000. Otóż któż uwierzy, że te nawrócenia były szczere i dobrowolne? W przeciągu lat dziesięciu zniesiono trzy dyecezye, zamknięto trzy seminarya, dwa inne są prawie puste, więcej jak 150 kościołów łacińskich zamknięto albo wydano panującemu kościołowi (zamieniono

na cerkwie). Skracam to, cobym mógł w tym punkcie powiedzieć, ale jakże można domagać się, aby katolicy w obec podobnych faktów nie okazywali nieufności. Ona jest aż nadto usprawiedliwioną". Pytam, czy najzagorzalszy patryota polski mógłby śmielej i prawdziwiej przemawiać, z tą tylko różnicą, że prawda ta z ust Polaka przebrzmiałaby bez znaczenia, z pod pióra zaś Rossyanina robi wrażenie. Nie podobna mi streścić nader trafnej argumentacyi, podzielonej w trzech listach do tegoż księcia W. na trzy części, posługującej się i statystyką i literaturą i pewnikami moralnemi, a która ma wykazać słuszność tezy, postawionej zaraz z góry w pierwszym liście: „że w obecnych okolicznościach byłoby prawdziwem zgorszeniem, *ce serait un vrai scandale,* gdyby Papież i biskupi wprowadzili rossyjski język do łacińskiego rytuału, stanęliby bowiem po stronie tych najgorszych obyczajów księży katolickich, którzy chcąc przypodobać się rządowi, tę reformę samowolnie przyjęli".

Co do O. Martinowa, to ten umieścił w kwestyi rossyjskiego języka obszerną rozprawę w *Études religieuses* przedrukowaną w osobnej broszurze (in 8vo, str. 65) pod tytułem: *De la langue russe dans le culte catholique.* Lyon 1874. Rozprawa dzieli się na dwie części. Pierwsza część od str. 1—33 zajmuje się historyą i statystyką Litwy i krajów zabranych i wykazuje, w jak niesumienny sposób rząd rossyjski wyzyskiwał jedną i drugą, aby udowodnić potrzeby rossyjskiego języka w łacińskim rytuale. Część drugą (od str. 33—65) streszcza sam autor w tych słowach: „.. badaliśmy tę kwestyę (języka rossyjskiego w rytuale łacińskim) samą w sobie i przekonaliśmy się, że jej początek i źródło jest błędne *(viciées)* i jej zastósowanie jest niegodziwe *(odieuse)*, jej następstwa wydały się nam zgubnemi dla dusz ludzkich, złowrogiemi dla katolickiego Kościoła, *funestes aux âmes et fatales à la religion catholique* (str. 64)". Pytam znowu, któryż uczony polski, historyk lub publicysta mógłby bardziej gruntownie, jaśniej, żwięźlej obronić praw języka i wiary naszej, jak to uczynił O. Martinow?.. Zostawmyż tedy tych dwóch mężów na ich gruncie narodowo-rossyjskim i umiejmy ocenić, jakie nam z zajmowanego przez siebie stanowiska wyświadczyli usługi. Niedaleka może przyszłość okaże, że te ich *bona officia* będą nam bardzo potrzebne, a na teraz zaś mogę was zapewnić, że robione na nowo przez Rossyę zabiegi uwieńczone zostały tylko zdjęciem ex-kommuniki z kolegium petersburgskiego i przeniesieniem ks. biskupa Popiela z biskupstwa Płockiego na Kujawsko-Włocławskie, a wszystkie inne pogłoski o zawarciu konkordatu lub jakichkolwiek układach Rossyi z Rzymem, mają w sobie tyle prawdy, ile ma w sobie bajka o żelaznym wilku. Niedawno nawet czytałem na własne oczy list podsekretarza stanu, arcybiskupa Palmiry ks. Marini'ego, pisany przed kilkunastu dniami do O. Martinowa, w którym powiada, że wszelkie wieści o konkordacie lub jakichkolwiek układach Rossyi ze Stolicą św. pozbawione są wszelkiej podstawy.

Paryż 1 Sierpnia.

KSIĄDZ NA PARAFII
pod rossyjskim rządem.

(Z ZAPISKÓW KS. A. JOMICKIEGO.)

W czasach przedpowstańczych manifestacyj, jak i samego powstania, byłem proboszczem w mieście Ładyżynie, powiecie hajsyńskim w Podolskiej gubernii. Nie mam jednakże zamiaru kreślić epizodów tego najnieszczęśliwszego w skutkach zbrojnego ruchu, którego tajemnicze źródło potępiam: chociaż podziwiam niepraktykowane w historyi poświęcenie się i bohaterskie prawdziwie wielu ludzi czyny. Zbyt blisko jesteśmy tych czasów, zbyt łatwo tem przypomnieniem możnaby obudzić sępią czujność wroga, który czycha na każdą sposobność, aby ponawiać i przedłużać mordy nad bezbronnymi. Rozpuszczone po wszystkich powiatach głodne czynowniki, wyźlim nosem tropią choćby najmniejszy pozór, by go za winnego uznać. W takich więc okolicznościach, pomimo że byłoby co powiedzieć, i nie jednym godnym naśladowania czynem łzę współczucia wycisnąć, lepiej się zachować wedle przysłowia, które mówi: „nie budź licha, kiedy śpi".

Miasto Ładyżyn z obszernemi przyległościami należało niegdyś do zacnej rodziny Sobańskich, ale prawem mocniejszego przeszło na własność rządu. Zawiadywane przez wojskowych na ich wyłączną korzyść podług systematu Arakczejewa posileniem zwanego. Kilka mórg gruntu, na którym wybudowano kościół, dom mieszkalny, szkółkę i mały ogródek stanowiło całe moje terytoryum. Z jednej strony mego ogródka jako najbliższy sąsiad, bo tylko 15 kroków od mego domu, mieszkał podpułkownik Slikiewicz z popowiczów Polak dobrze zmoskwiczony, pełniący urząd naczelnika okręgowego tej części posilenia; z drugiej

strony mieszkał pułkownik później jenerał Boguszewski z całym pułkiem huzarów. W bliskości także była policya pod naczelnictwem dymisionowanego porucznika, każącego się nazywać majorem, niejakim Hajduszką. Podobno z pochodzenia był on Tatarem, z interesu prawosławnym, a z poczucia Moskalem. Sprytny to był i obrotny człowiek, jak knut w ręku kata: okradał rząd, wojsko, chłopów, żydów, słowem każdego kto mu pod rękę popadł; tylko odemnie nic nie miał. Nie czułem się obowiązany do płacenia haraczu, kiedy siedziałem spokojnie, i miałem pod bokiem aż dwóch takich sąsiadów, co widzieli wszystkie moje czynności i chcąc nie chcąc musieli nawet wiedzieć, co mi podano na obiad. Zła to, pokazało się, była moja zasada. Moskal na urzędzie wymaga datków, i od tego co winien, i od tego co nic nie winien, w przypuszczeniu, że jutro winnym będzie, więc by się nie przyczepiał wielu mądrych i zacnych pomnych na przysłowie: „daj psu chleba, aby nie kąsał“ opłaca się ustawicznie. Niestety! ja nie wiedziałem wówczas o tem przysłowiu i drogo to przepłaciłem, co było głównym i pierwszym moim występkiem.

Z miasta Ładyżyna cztery rozchodziły się trakty, do Bracławia, Tulczyna, Humania i Bałty, więc ciągły ruch i przejazd, tem bardziej, że tu najlepiej był urządzony przewóz, na rzece Bohu. Zajazdu wygodnego w mieście nie było, więc każdy znajomy i obcy wstąpił do księdza, bo taki był tu zwyczaj od dawna: Gość w domu, Bóg w domu — a chleba i soli w domu moim, dzięki Bogu, nigdy nie brakło. Wiedzieli to dobrze Moskale, sąsiedzi nasi, i nie gorszyli się, dopiero w roku 1863, pierwszy Hajduszka podniósł żywo głos: „ot! u księdza bywają tak często rozliczni goście, to wszystko miatieżniki, buntowniki, i ksiądz buntownik (bo mi nic nie daje, a dla gości ma)“, pomyślał sobie w duszy. A więc druga moja wina, z którą się już mógł głośno odzywać, ale nie koniec na tem. Parafia moja, jak wszystkie w zabranych dawniej prowincyach, była bardzo obszerną. Moskale pod różnemi pozorami zabierali katolickie kościoły, nowych budować zabraniali, a ztąd wypadło, że nie w jednem miejscu, szczególniej na Ukrainie, nieraz dziesięć, piętnaście, a czasem i więcej mil trzeba było pojechać, kto chciał się do kościoła dostać. U mnie szczęśliwym trafem najdalszy punkt do jej granicy było mil pięć. Ludzie zamożni, co mieli czem przyjechać, jako tako dali sobie radę, ale biedni, a takich zawsze najwięcej, jeżeli choć raz w miesiąc zapragnęli mszy św. wysłuchać i spowiedź odprawić, na noc przyjść musieli: — więc znowu każdy biedny zawitał do księdza, bo wiedział z pewnością, że tam i kącik spokojny i łyżka kaszy dla niego się znajdzie. Otóż znowu

i to boli Hajduszkę, więc głośno woła: „ksiądz buntownik, szajki urządza i z niemi do lasu pójdzie“. To znowu trzecia moja wina, którą by lepiej jeszcze usprawiedliwić, zatrzymywał ludzi na przewozie do kościoła idących, odkrywał trumny z umarłymi, bo mu się zdawało, że to nie umarłego, ale broń w trumnie dla powstańców, do kościoła prowadzą. Takie to strach ma wielkie oczy, a chciwość wielkie gardło — u niego jedno i drugie było.

Z obowiązku swojego proboszcz wiedzieć musiał o każdym chorym, by bez Sakramentów nie umarł i o każdem dziecku, kiedy się narodziło, by jak najspieszniej chrztu w domu dopełnić. A gdyby tego nie zrobił, to gotów pop, który w każdej wsi czychał na taką porę, wpaść do chaty katolickiej nieproszony, a zwykle wtedy kiedy ojca w domu nie było, bezbronną i chorą jeszcze matkę ofukać, dziecko gwałtem ochrzcić i jeszcze wszystkich mieszkańców nawet nieobecnych do księgi zapisać, że na prawosławie dobrowolnie przystali. Procesu robić o gwałt nie można mu było, bo miał rząd za sobą i zwykle katolicka strona przegrać musiała. Jedyny tylko był sposób: wykupić od popa dusze skradzione, albo go uprzedzić, by ich ukraść nie mógł. Ztąd proboszcz był obowiązany prawie ciągle jeździć po swojej parafii i to z wszelkiemi przyborami, a obecność jego zawsze pożądaną była, bo do każdej chaty wstąpił, znał potrzeby swoich owieczek i Sakramentu dopełnił i niejedną łzę otarł i pociechę w smutku przyniósł i wspólnie się pomodlił i wszystkich Bogu polecił. Znał to dobrze Hajduszka i tem się nie gorszył, dopiero kiedy mu było potrzeba znaleść przyczepkę, znowu głośno woła: „ksiądz buntownik, spiskuje, ciągle z domu wyjeżdża, szajki organizuje i wkrótce do lasu pójdzie“. I to znowu czwarta wina moja. Sąsiedzi ostrzegali mnie w sekrecie, że Hajduszka notuje mnie i raporta o mnie posyła; ale za bardzo on się już zamanifestował przeciwko mnie i trudno już było wchodzić z nim w układy. Hajduszka przyjaźni nie szukał i z nikim jej nie miał, wszyscy nim pogardzali, on śmiał się z tego, szukał tylko pieniędzy, ale kiedy tych nie dawałem mu dawniej, nie wypadało dać i dzisiaj — byłoby to w oczach jego poczuć się do winy, byłoby to dać mu broń w rękę przeciwko sobie; byłby i pieniądz zabrał i jeszcze denuncyował, żem się okupić pragnął, jak to już nieraz z innymi zrobił. W czynnościach moich widział już wszystko złe. Siedziałem w domu — źle — wyjechałem w parafię — jeszcze gorzej. Więc postanowiłem nie uważać na jego gadania i raporta, a żyć jak dawniej i robić wszystko co mi Bóg i sumienie kazało.

tego łotra więcej była warta jak rubla. Dowiedziałem się zarazem, że popi odebrali świeży sekretny ukaz, śledzić każde kroki katolickiego księdza. Wprawdzie były takie rozkazy i dawniej, ale od śmierci cara Mikołaja jakoś wszystko zwolniało i popi dosyć spokojnie siedzieli, przynajmniej nie przyczepiali się widocznie. Ukaz ten nowy ożywił ich, wyciągnął jak wilków z łożyska, bo nowe dawał do grabieży pole. Pod pozorem śledzenia nibyto w sekrecie księdza chodzili do katolickich domów, lub biedną szlachtę zapraszali do siebie, tam dopiero przy wódce rozliczne popełniali sztuki. Pijany nieraz szlachcic lub chłopek dopiero po wyspaniu się, na drugi dzień dowiedział się, kiedy go pop do cerkwi przyprowadzić kazał, że on nietylko siebie, ale i całą rodzinę na prawosławie zapisał. Co to było wtenczas płaczu i lamentu, tego i opisać trudno. Nieraz stroskana żona i matka gotową była i dom opuścić i dzieci gdzie rozdać, aby tylko wiary Bogu dochować. Wytrzeźwiony mąż do szaleństwa dochodził, a pop się zżymał, że ich wszystkich do kryminału i na Sybir pośle. W innem znowu miejscu chłopca lub dziewczynę, nibyto do służby przyjął, a wkrótce do prawosławia zmusił — tam znowu nieproszony wpadał na pogrzeb katolicki i wedle swego obrzędu i ałłełuja wyśpiewał i cara z familią wyliczył, a potem się do żywych pozostałych przyczepiał, utrzymując że nieboszczyk chciał być prawosławnym, a że umarł, więc oni za niego być muszą itd. Nie wyliczyłbym podobno wszystkich nieprawości, jakich dopuszczali się popi. Nie pomijali oni żadnej sposobności, a w środkach nigdy nie przebierali, kiedy chodziło o ucisk katolika. W każdej wsi mieszkali katolicy i w każdej wsi jest cerkiew, czasami dwie nawet, a wszędzie popi jednakowych używali środków, bo to było w ich własnym interesie. Każda więc taka sprawa musiała koniecznie obić się o księdza. Dobrze jeszcze jeżeli na popa znalazł się jaki kruczek, co mu wydrzeć zdobycz potrafił, ale jeżeli nie, to sowicie popa opłacić potrzeba było, a taką rodzinę do innej wsi przeprowadzić, by się na drugi rok znowu nie przyczepiał. Najbardziej oni starali się o to, aby kojarzyć małżeństwa tak zwane mięszane; mniejsza, że dawali śluby bez zapowiedzi i często małoletnim, wbrew woli rodziców, ale katolik wprowadzony do cerkwi na ślub, naturalnie uprzednio upojony przez popa, zawsze wychodził z niej prawosławnym, tam go gwałtem rozebrali, drugi raz ochrzcili, (miro-pomazanie) bierzmowanie i nawet komunię po pijanemu dali. Może komu zdawać się będzie to moje opowiadanie przesadą, ale najsumienniej zapewniam, że to jest prawda i nie jednego takiego w kilka dni po ślubie przychodzącego z płaczem i żalem i skruchą i pocieszyć i do kościoła

w sekrecie przyjąć musiałem, boć on naprawdę nie był winien grzechu odstępstwa, tylko pijaństwa, a i pijaństwo nie dobrowolnie popełnił. Taki nawrócony najgorliwszym później był katolikiem i najczęściej się zdarzało, że oboje małżonkowie do kościoła Bożego przyszli. A w takim razie, znowu trzeba było wyszukiwać kruczków, aby ich od napaści popów osłonić. Ale jeżeli cały rok był jednym ciągiem opędzania się od popa, to święto Bożego narodzenia sądnym dniem prawdziwie nazwaćby można.

Popi mają zwyczaj odprawiać kolędy, którą już do Wielkanocy i do wszystkich świąt większych zastosowali, a odprawiają ją w ten sposób: Pop ubrany w ryzę (rodzaj kapy); dyakon, dwóch albo trzech diaków i tyluż połamarów (dzwonników), a za nimi dwa wozy jeden z wielkim koszem na kury, drugi z torbami na zboże, kołacze i przędziwo, składają cały orszak kolędy; nie liczy się tu dzieci popowskich, które za tym taborem najwięcej na kołacze i knysze (gatunek bułek pszennych) całą gromadą polują. Pierwszy idzie połamar z dzwonkiem w ręku, jestto znak uprzedni, że pop nadchodzi, by już dla niego przysposobić datek, jakoż wkrótce wchodzi do chaty pop z dużem w ręku kropidłem, którem sowicie polewa ściany biednej chaty, a przedrzeźniając benedykcyę, na cały głos woła: dawaj kuryen, dawaj przono (proso lub kasza jaglana), dawaj hroszy, dawaj co majesz, napróżno chodzić nie budu. Gdy tak pop przemawia, dyakon kreśli kredą z pomocą linii wielki krzyż na drzwiach, obok krzyża stawia dwie chorągiewki, a na wierzchu krzyża rysuje coś podobnego do ptaka, co ma oznaczać koguta. Diaki i połamary pakują przez ten czas kołacze i zboże do torby, a kury do kosza, które dzieci popowskie ze wszystkich dziur wywłoczą i jeszcze za to największego knysza żądają, a to wszystko tak zgrabnie i zręcznie, tak wprawnie jak na komendę, każdy robi swoje i w kilka minut cała chata, a w kilka godzin cała wieś obrabowana i jakby po Tatarach pustką zostaje. Jeżeli się niekiedy diaki z torbami jeszcze nie ułatwili, a pop już ściany pokropił i dyakon kogutka na drzwiach rysować dokończył, to pop spojrzy przez okno, zaklnie swym ulubionym terminem: sukin syny i cara z całą familią wylicza, a jeżeli już wszystko gotowe, to się cara już nie liczy, bo w chacie nie masz takiego, coby go denuncyował za to, że najważniejszą część obrzędu opuścił. Bywały czasami przy takich rabunkach, kiedy się bardzo naprzykrzali lub zabrali ulubionego koguta, który budził domowników w porę i barometr zastępował w chacie, że podpity gospodarz guza komu dołożył i popa wyłajał; za to pop się nigdy nie skarżył, tylko czekał sposobności, aby się przyczepić w czasie

jakiego obrządku i sowicie obedrzeć; jeżeli tego nie mógł, to go policyi wskazał jako buntownika, a za dowód postawił swoich diaków na świadki, że chłop miał nakrytą głowę wtenczas, kiedy on przy obrzędzie cara z familią wyliczał. Gorliwa policya o cześć carosławia poswojemu już za popa dopełniła reszty. Boją się więc popa wszyscy we wsi, jak wilka szalonego; dobrem słowem nikt go nie powita, dzieci w ostatnią dziurę przed nim się kryją, za przechodzącym drogą każdy plunie i trzy razy się przeżegna, aby nieszczęście od siebie i od domu krzyżem świętym odpędzić. Ta nienawiść do popów nie jest wyjątkową, ale powszechną, bo w ogóle popi wszędzie jednacy i wszędzie ladaco, a znałem i widziałem ich wielu, od brzegów Dniestru, aż w głęboko północnej Rossyi za Wołgą i nie zdarzyło mi się widzieć ani jednego popa, któregoby przynajmniej pozornie uczciwym lub znośnym nazwać było można. Nieraz jeszcze przyjdzie mi wspomnieć ich czyny za Wołgą, a zawsze odwołuję się do świadectwa każdego nieuprzedzonego Moskala, któryby tylko chciał powiedzieć prawdę. (C. d. n.)

Wspomnienia Napoleończyka.

Ustęp z pamiętników pułkownika Gawrońskiego

streścił

K. Korabita.

(Ciąg dalszy).

III.

Po zawarciu pokoju między Napoleonem a Austryą, główne kwatery wojsk polskich i rossyjskich, w najlepszej ze sobą zaczęły żyć zgodzie, a książe Józef i Suwarów nawzajem u siebie bywali. W końcu otrzymali Rossyanie rozkaz opuszczenia miasta i kraju przed nadejściem zimy. W skutek tego główny sztab polski z częścią wojska wrócił do Warszawy, w Krakowie zaś pozostała tylko jedna brygada, dwunasty i nowo formujący się pietnasty pułk piechoty, wreszcie trzeci pułk ułanów pod wodzą generała Biegańskiego.

Gawroński obeznawszy się ze służbą w czasie kilkuletnich miesięcy, postąpił na sierżanta. Nie chcąc wraz z drugim pułkiem odbywać błotnistego już marszu do stolicy, podał się o przeniesienie do 12go pułku, zostającego na miejscu, a generał Biegański potrzebując do swego sztabu zdatnych podoficerów, powołał go do swego boku. Tak więc, gdy cała armia spieszyła na zimowe leże, on zimę z r. 1809 na 1810 spędził w Krakowie, zastępując po większej części w biurze sztabu adjutantów komendanta, Szymańskiego i Żukowskiego, którzy nieco za wiele bawić się lubili. Sam generał składał w mieście i przyjmował liczne wizyty, trzymał dobrego kucharza, powóz i konie; w mieszkaniu swojem, w domu starostwa Skotnickich, Morsztynów, przy ulicy floryańskiej dawał częste obiady, na które i Gawrońskiego lubo podoficera, zapraszał.

Zima roku 1810 przeszła dość spokojnie na pracy w biurze dowodzącego generała i na mustrach pułkowych, które od wiosny odbywały się na błoniach.

Na wiosnę nadeszła wiadomość, że król saski, Fryderyk August, ma nową posiadłość swoją, przyłączoną do księstwa Warszawskiego Galicyą zachodnią z Krakowem, odwiedzić z rodziną swoją i dworem i ztąd na sejm do Warszawy pospieszyć. Wcześnie już czyniono przygotowania do godnego przyjęcia dostojnego gościa. Wysadzono na pamiątkę tych odwiedzin w rynku szpaler z drzew świeżych; kwaterę dla monarchy przygotowano w domu pod baranami, który początkowo był własnością braci Kitków, wówczas zaś należał do hr. Przerębskiego.

W Czerwcu nadjechali królewstwo z Drezna do Krakowa, zabawili tu dni kilkanaście, zwiedzali miasto i Wieliczkę, bo ta wcieloną była do księstwa warszawskiego razem z okręgiem podgórskim, poczem odjechali do Warszawy.

W r. 1811 z powodu wojennych widoków Napoleona otrzymało wojsko polskie nakaz skoncentrowania wszystkich sił pod Warszawą, wzmocnienia i zaopatrzenia we wszystkie zapasy Modlina i Zamościa. I brygada stojąca w Krakowie miała z początkiem Maja ruszyć do Modlina, na miejscu miał tylko pozostać generał Biegański ze szczupłym garnizonem.

Powszechny żal ogarnął Krakowian, gdy im się rozstawać przyszło z wojskiem, z którem tak mile czas spędzali. Kiedy już wszystko było przygotowane do wymarszu, zgromadził się cały oddział na rynku, gdzie się uszykowano, poskładano broń w kozły i chwilowy wyznaczono spoczynek. Oficerowie pospieszyli wówczas na śniadanie do pani wojewodziny Małachowskiej, gdzie się z rozczuleniem żegnano.

Piękna pogoda sprzyjała podróży; wszystkie okna zapełniły się paniami, a gdy zabębniono do wymarszu i pułki z muzyką na

czele ruszyły, zanosili się gościnni Krakowianie od płaczu. Szale i chustki powiewały w oknach, rozlegały się okrzyki ludu, a cały szereg powozów odprowadzał wojsko aż do pierwszej stacyi, w Iwanowicach, gdzie przyjmowali oficerów państwo Walewscy.

Tutaj mianowany już od kilku miesięcy oficerem Gawroński, otrzymał rozkaz, aby wracał do Krakowa dla zabrania nowozaciężnych z podprefektury, z którymi w kilka tygodni miał podążyć za pułkiem. Po miesiącu z popisowymi, których mu oddał podprefekt Stefan Wielogłowski, i z końmi do furgonów, udał się innym bo lubelskim traktem na Nowe miasto i Staszów, do Warszawy.

Stanąwszy szczęśliwie w stolicy, zapytał nasamprzód o tak zwany pałac pod blachą, bo wiedział, że tam rezydował minister wojny książę Józef Poniatowski. Zameldował się generałowi Fiszerowi, szefowi głównego sztabu, który go przyjął bardzo dobrze i poleciwszy mu zredagować raport, rozkazał odprowadzić popisowych do Modlina. Został tu pułk dwunasty stojący obozem przy Nowymdworze pod laskiem, i tu też po raz pierwszy przyszło mu pełnić służbę obozową, i sypiać w barakach uplecionych z chrustu i gałęzi, pokrytych ziemią; wraz z podkomendnymi sypać wały. Przykra to, mówi, była robota, a nadewszystko wilgotne w barakach mieszkanie.

Dowódzcą 12go i 15go pułku był generał Michał Grabowski, podobno syn króla Stanisława, człowiek nader miły i grzeczny. Na obiadach i herbatach, jakie dawał dla znajomych oficerów, bywał często Gawroński. Pułkiem dowodził awansowany na gros-Majora Morawski.

Tymczasem musiał nasz autor porzucić na czas niejaki służbę z niezależnych od siebie przyczyn. W miesiącu Lipcu z powodu upałów, pracy uciążliwej oraz wilgotnego mieszkania nabawił się tyfusu. Stało się to, czego się wielce obawiał — odesłano go do lazaretu. To też kazał się niebawem odwieść do swego dobrego znajomego a trochę i krewnego, Józefa Dembińskiego, podpułkownika *en retraite* z wyprawy hiszpańskiej. Ten przyjął go do swojego mieszkania na krakowskiem przedmieściu, w domu Wasilewskich. Przywołany na pomoc do chorego słynny swojego czasu, lecz już stary lekarz, Lafontaine, nie dość pilnie doń chodził. Wezwano więc na jego miejsce młodego doktora Fijałkowskiego, który wyleczywszy Gawrońskiego w przeciągu dwóch tygodni, polecił mu wziąść urlop i pojechać do wzmocniających wód, dopóki jeszcze ciepło. Pospieszył też pacyent naprzód do rodziców, a następnie wraz z nimi na miesiąc do wód węgierskich w Bardyowie, gdzie zupełnie siły

odzyskał i zabawiwszy jeszcze czas niejaki u rodziców, powrócił do służby.

Niezadługo też już ustały roboty około twierdzy, a kompanie pułkowe rozłożyły się w okolicy po wsiach na zimowe leże. Nie musiały to być najwygodniejsze kwatery, jak świadczy los Gawrońskiego. Otrzymał on na zimową siedzibę dość smutno uposażoną wieś rządową. Lubo dla niego przeznaczono jednę z lepszych chałup wieśniaczych, musiał przecież mieszkać w jednej izbie z jej właścicielami i z krową....

Brzydka okolica nie dostarczała nigdzie miłego widoku dla oka. Była to jednostajna, pusta równina, otoczona lasami ścinanemi po większej części wysoko, dla utrudnienia przystępu do twierdzy. Lecz największe nieszczęście Gawrońskiego stanowiło towarzystwo, na jakie był skazany — wiecznie pijany i najobrzydliwszą wódkę pić zmuszający gospodarz. Opór był tu niebezpieczny, gdyż pijanica w gniew wpadał a wówczas trudno mu było dać radę.

Nieszczęśliwy młodzieniec różnych próbował sposobów, aby odzwyczaić swojego współlokatora od fatalnego nałogu. Prawił mu o złych skutkach pijaństwa i o korzyściach płynących z wstrzemięźliwości; winowajca słuchał uważnie, chętnie przyjmował upomnienia i przestrogi, powtarzając zawsze, że „dobrze to pan oficer mówi“ — lecz ku rozpaczy swego apostoła pić nie przestawał...

W Styczniu r. 1812 odebrał Gawroński gołosłowny rozkaz od zamieszkałego wraz ze sztabem pułku w Warszawie pułkownika Weissenhof, aby się niezwłocznie stawił u niego. Zawiadomił on o tem otrzymanem piśmie kapitana Chmielewskiego, a koledzy zaczęli zeń żartować, że tak niezwykły rozkaz coś złego wróży, że widocznie musiał coś zawinić, kiedy mu się wprost do sztabu stawić każą, że może się gospodarz na niego poskarżył itp. Takie żartobliwe domysły zaniepokoiły w istocie wezwanego, tak że z niejaką obawą zgłosił się do pułkownika.

Weissenhof przyjął go wszakże jak najuprzejmiej i oświadczył mu, że go mianuje porucznikiem, lecz pod warunkiem, że będzie dowodzić pół bateryą artyleryi świeżo formującej się przy każdym pułku. Gawroński zakłopotany propozycyą, odparł, że nie służył nigdy w tej broni, obawia się przeto że nie uczyni zadość wymaganiom. Ale pułkownik nie zważając na to tłómaczenie oświadczył, że „liczy na jego zdolności i sądzi, że chcącemu nie masz nic niepodobnego, że trzeba trudności przełamać, że mu dostarczy dzieł

traktujących o tym przedmiocie, sam wreszcie nauczać będzie i przyda podkomendnego oficera z artyleryi i zdatnych podoficerów — wspomniał w końcu, że się wyprawa na Moskwę gotuje, z czego już nie robi tajemnicy, a więc będzie obszerne pole do odznaczania się".

Czuł Gawroński dobrze, iż go łaska spotyka, a lubo wolałby był zostać przy kompanii niż podejmować się służby, której nie znał, trudno było opierać się woli przełożonego. Dodano mu do pomocy podporucznika, Michała Lebowskiego z artyleryi i bardzo zdatnego, starszego sierżanta, Fellenberga; zaraz też zabrał się do tworzenia owej pół bateryi. W Warszawie zaczął bywać w domach znajomych, najczęściej u województwa Wielhorskich, gdzie go sam generał zawsze chętnie widywał, u pani Chmielewskiej, p. Jakubowej Wodzickiej i p. p. Dembowskich — lecz później nieustanne mustry i służba nie zostawiały mu czasu do zabawy.

Po skoncentrowaniu wojska polskiego, uporządkowaniu zaprzęgów, i wyznaczeniu pułków do dywizyi, nadał Napoleon całej sile wojennej Polaków nazwę ósmego korpusu wielkiej armii i poddał ją pod dowództwo najmłodszego swego brata Hieronima Bonapartego, króla Westfalskiego. Adjutantami jego zostali: posunięci na generałów Staś Potocki i Pakosz.

Ów ósmy korpus miał stanowić prawe skrzydło wielkiej armii, przeznaczonej na wyprawę do Moskwy. Trzema jego dywizyami: 16tą, 17tą i 18tą dowodzili generałowie: Zajączek, Dąbrowski i Kniaziewicz, przywołany ze swojego wiejskiego zacisza, gdzie świeżo był zaślubił wdowę po Steckim, z domu Morsztynównę.

Nigdy kraj nasz, mówi Gawroński, nie miał równie pięknego w każdym rodzaju broni wojska. Pułki były kompletne; piechota liczyła po trzy bataliony, z których każdy po sześć kompanii, jazda po cztery szwadrony, dział sto szesnaście. Uporządkowanie i ubranie wraz z uzbrojeniem wzorowe, konie wyśmienite — park artyleryi dobrze zaopatrzony. Świetny to był widok, gdy pod Modlinem wystąpiło wojsko na rewię przed księciem Józefem!

(C. d. n.)

Adela Spitzeder.

Upadek banku założonego przez tę głośną w całych Niemczech awanturnicę, która udaną pobożnością potrafiła wyzyskać dobrą wiarę katolików w Bawaryi, posłużył przed kilkoma laty dziennikom liberalnym do znieważania katolików. Na te napaści liberalnej prasy odpowiedziały wówczas organa katolickie, wykazując, że w całej tej sprawie liberały główną odegrali rolę. Tę prawdę stwierdziły dzisiaj akta sądowe. Pokazuje się z nich bowiem, czem była owa awanturnica, za ultramontankę przedstawiona. Oto co o tej całej sprawie pisze p. Żmigrodzki w swych nader umiejętnie i w zajmujący sposób napisanych *Notatkach z Bawaryi*, umieszczonych w ostatnim zeszycie *Przeglądu Polskiego:*

Panna Adela Spitzeder jest córką sławnego aktora berlińskiego tegoż imienia, członka towarzystwa wolnomularzy i również słynnej śpiewaczki. W dzieciństwie rozwijała się nadzwyczaj pomału. W 11 roku życia nie umiała czytać, potem jednakże okazał się w niej wielki talent do języków, tak że dorastając posiadała już wyśmienicie sześć języków. Rodzice nie chcieli jej zezwolić na obranie sobie zawodu aktorki, jednakże Adela nie posłuchała tej woli rodziców. Znajomość z jedną aktorką podziałała bardzo źle na jej charakter niegdyś bez żadnego zarzutu, jak o tem świadczyły przy sądzie przyjaciółki jej matki. W Monachium nie znalazła wielkiego uznania, mimo to jednak życie jej było znośne, była lubioną od Ludwika I, któremu czytywała wieczorami. Pędząc za sławą, wyjechała do Zurichu, gdzie w końcu musiała poprostu opłacać falangę klakerów teatralnych, czego ostatnim rezultatem były dość wielkie długi i ucieczka napowrót do Monachium. O życiu jej w Zurichu krążyły bardzo niepochlebne wieści. Wróciwszy do Monachium była w biedzie, matka dawała jej tylko 50 guldenów miesięcznie, i powiadają, że ona wtedy przebrana za mężczyznę zarabiała na życie jako posługacz w domach komisowych. Dziewczyna, która jej usługiwała, opowiadała przed sądem, iż słyszała parę razy jak Adela mówiła: „o gdybym ja tylko mogła pieniężne interesa prowadzić!" lub „obaczycie iż Adela odegra jeszcze wielką rolę." Na początku 1867 roku spełniły się jej życzenia. W skutek anonsu w gazecie obiecującego 10% miesięcznie zjawił się pierwszy wierzyciel — żyd. Wkrótce potem liczba przychodzących wierzycieli tak się powiększyła, iż Adela musiała szukać innego pomieszkania, a w roku 1871 bank stanął tak wysoko, że Adela kupiła dwupiętrowy dom, w rok jeszcze później była właścicielką kilku domów i była zmuszoną kupić gospodę piwną obok stojącą, taki bowiem był nacisk przychodzących z pieniędzmi, że często więcej niż dobę trzeba było czekać na posłuchanie. Towarzyszką jej i przyjaciółką w tej epoce była Roza Echinger. Jaki był stosunek Adeli do Rozy, wiedzą dokładnie tylko ci, którzy mieli prawo wglądnąć w korespondencyę tych przyjaciółek. Epoka od 1870 do Listopada 1872 roku była zabójczą w życiu Adeli. Wkładki podniosły się do bajecznej wielkości. Przecięciowo wpływało dziennie 50,000 co najmniej 25,000 a dochodziło czasem i do 100,000. Mimo nadzwyczajnej zarozumiałości i zaślepienia, wir który ją porwał, budził w niej od czasu do czasu chwile strachu. Wtedy wyrywały się jej słowa: „ta sprawa

poczyna mi nad głowę wyrastać — ja tracę przytomność". W końcu roku 1871 poczęło się szemranie na Dachauerbank, nacierano na Adelę, by się wpisała w księgi kupieckie. Broniła się wszekimi siłami i rzeczywiście sąd handlowy uznał, że ona nie jest obowiazaną do podobnego wpisu. Adwokat, który ten proces prowadził, otrzymał wielkie honoraryum. Z początkiem jesieni 1872 roku począł się drugi szturm. Ministeryum wydało odezwę ostrzegającą ludność przed *Schwindlem* i poczęły się przedwstępne kroki do rozbicia banku. Wtedy spotykano czasami Adelę na klęczniku z kodeksem karnym w jednej a książką do nabożeństwa w drugiej ręce. Sztylet nosiła zawsze przy sobie i powiadała, iż jeźli żydzi, którym przypisywała cały ten krzyk, rozbiją jej bank, to ona się zabije. Jednakże te chwile strachu przemijały pod wrażeniem uczt, które z książęcym przepychem odbywały się w jej domu. Żyła wciąż pod wrażeniem szczerego ubóstwiania ze strony oszukanych włościan i biedaków z robotniczej klasy, którzy jej wtedy jeszcze krzyczeli *hoch!* gdy ona już w sali sądowej siedziała, pod wrażeniem pochlebstw, których jej nie szczędziło kilku pasożytów rozmaitych fachów — dziennikarzy, literatów i t. p. Okradano ją często bezczelnie. Cały personal administracyjny był prawie bez wyjątku złożony z wyrzutków społeczeństwa. Raz zginęło 10,000, a kradzież była tak śmiało w żywe oczy dokonana, że Adela chwyciła spicrut i całe biuro smagać zaczęła. W godzinę potem pieniądze były już zwrócone. Redaktor czasopisma *Freier Landes-Bote*, który za motto swego dziennika postawił: „mów prawdę, rób dobrze i nie bój się nikogo"[1]) za 14000 guld. dał wprost rewers na swoje sumienie[2]), obowiązując się w swojem i swoich następców imieniu popierać bank Adeli. Jeden z literatów za 6000 guld. sprzedał jej skrypt powieści, szkalującej jej całe życie[3]). Schultze, jeden z najbogatszych tutejszych kupców przy pewnej sprzedaży domu wyłudził od niej kilka tysięcy, a ona mu ustąpiła, bo się go bała. Wiedeńskie dzienniki zapytywały ją, co zapłaci za reklamy dla jej banku. Kilku z jej personalu, niedawno biedaków, pokupowało domy i dziś żyją jak najspokojniej. Jednakże mimo wszelkie pochlebstwa Adela w ostatnich czasach zeznawała, iż na takiej podstawie bank jej nie może egzystować. W połowie 1871 roku zniżyła stopę procentową na $8_0/^0$ od sta miesięcznie, poczęła zakupywać domy i jako jedna z poszlak, iż zamyślała o ucieczce, było skupowanie brylantów, których wartość przechodziła 34,000 guld. Również gdy poczęły się krzyki, tak manewrowała swoim personalem, iż nigdy jeden i ten sam nie zajmował się długo tą samą gałęzią administracyjną oczywiście dlatego, by nie mógł bliżej wglądnąć w stan

[1]) W imię podobnych haseł występują i u nas odważni redaktorowie dobrze zasłużonego Polsce *Dziennika Polskiego*. (Przyp. Red).

[2]) Zawsze daleko znaczniejszą wziął on kwotę od tej, jaką pobierają gdzieindziej wydawcy pewnego dziennika, którzy zadowalniają się ośmioma tysiącami płaconego im rocznego haraczu za wierną służbę wrogom ich kraju i Kościoła. (Przyp. Red).

[3]) Coś podobnego stało się także przed dwoma laty i w pewnej prowincyi. Wychodzący tam dziennik jął się rzucać na pewnego księcia. Aż tu w tym samym czasie zgłasza się wydawca tego dziennika do sekretarza szkalowanego przezeń księcia z żądaniem, aby mu dano bodaj tysiąc guldenów, a z pewnością założy kaganiec swoim redaktorom. *Non è trovato, ma vero!* (Przyp. Red).

banku. Po ostrzeżeniu ministeryalnem powstał popłoch i poczęto cofać wkładki tak, że 8 Listop. wpłynęło tylko 15.000, a trzeba było wypłacić 40.000 a 11 listopada wpłynęło tylko 8,500 a trzeba było wypłacić 65,000. Adela obawiając się zanadto szybkiej ruiny ogłosiła, iż wypłaca tylko 6—7 godziny z rana. To wzięto już jako zapowiedź bankructwa i na żądanie 40tu wierzycieli z 60 wekslami w sumie 13.000 guldenów przystąpiono do rewizyi banku 12 listopada 1872. Oczywiście Adela w tejże chwili została aresztowaną, Roza poszła z własnej woli towarzyszyć jej w więzieniu, lecz później okazało się że miała czynny udział w tej sprawie, w skutek czego została i ona także uwięzioną, a wraz z nią jeszcze kilka osób należących do personalu. Śledztwo okazało, iż księgi były prowadzone tylko dla pozoru. Wyszło na jaw, że rozrzutność była nie do uwierzenia, wprost idiotyczna. Tak n. p. jeden ze służących miał prawo brać sobie na własność każdy pieniądz, który przypadkiem upadł na ziemię. Pieniądze i papiery wartościowe były literalnie porozrzucane po stolikach i szufladach bez rachunku i kontroli. W ostatnich dniach Adela darowała (!) Rozie 50.000 guldenów. Oczywiście nie ma słów na opisanie przepychu wycieczek, uczt, które wyprawiała, rozmaitych podarunków które rozrzucała. W ciągu ostatnich lat Adela była sześćdziesiąt kilka razy chrzestną matką, a podarunki jej w takim razie dochodziły do 1000 guldenów.

W więzieniu Adela dostała tyfusu, a będąc bliską śmierci spowiadała się. W czasie, gdy siedziała w więzieniu pod śledztwem, matka jej, która nigdy nie przyzwalała na to przedsiębiorstwo, umarła ze zgryzoty. Złamana zupełnie na siłach Adela wysiedziała 3 dni przed sądem, a następnie poszła na trzy lata do domu poprawy. Roza, młoda, piękna, dziewiętnastoletnia panna była skazaną na pół roku więzienia, lecz że pod śledztwem więcej jak pół roku siedziała, wyszła z sali sądu wolną. Czterech innych towarzyszy osądzono na podobną karę. Dopiero przed parą miesiącami nareszcie skończyła się cała ta sprawa i wierzyciele otrzymali około 7 krajcarów za guldena. Oczywiście ci, którzy procentami wybrali sumę daleko większą niż była włożoną, zostali zupełnie od podziału usunięci. Tak więc Dachauerbank nie był jeszcze największem bankructwem w teraźniejszym czasie w Niemczech, bo weksle jego nie spadły na $^1/_{730}$. Passywa banku wyniosły 10,099,766 a aktywa tylko 1,974,008. Przepadło zatem 8,115,758 guldenów.

Podałem tu opis tej sprawy tak, jak ona się na pierwszy rzut oka przedstawiała; proszę mi teraz pozwolić zestawić pewne okoliczności jej towarzyszące, które rzucą na nią zupełnie inne światło. Ta sprawa jest tak ciemną i zagmatwaną z umysłu, że jej nikt zupełnie dośledzić nie jest w stanie. Tyle zaszło tutaj sprzeczności niewytłumaczonych, iż nie podobna brać jej za to, czem się zewnętrznie być zdaje.

Zacznijmy naprzód od samej osobistości. Jak pogodzić te sprzeczności. Panna Adela grała rolę ultra-ultrakatoliczki, nie pokazywała się inaczej jak z krzyżem na piersiach, który, mówiąc nawiasem, był wartości 13,000 fl., chodziła zawsze w czarnej niby zakonnej sukni, w domu co krok to czytałeś napis: „Boże wspieraj mą pracę" — „Boże zachowaj ten dom od zguby" itp.; chciała odbyć jakąś pielgrzymkę z całą ostentacyą, ale ordynaryat nie pozwolił. Jednakże trzeba zważyć, że ten katolicyzm Adeli był bardzo świeżej daty, że o życiu jej w Szwajcaryi wcale niezgodne z moralnością katolicką chodziły

pogłoski, że w końcu — mały wprawdzie lecz sądzę trochę mówiący fakt — fartuch wolnomularski ojca był u niej w wielkiej czci. Nie można zaprzeczyć, iż ona miała to przeczucie, iż bank jej utrzymać się nie może, a jednak coraz to przybywały nowe reklamy zachęcające do wiary w rzetelność tego banku. Tak n. p. już w jesieni 1872 roku założyła kuchnię ludową bajecznie tanią, gdzie również na każdym kroku spotykałeś napisy: „z narodu dla narodu." Przejdźmy teraz do samej sprawy i trybu postępowania. Adela płaciła miesięcznie 10%. Zaraz przy wkładaniu sumy wierzyciel otrzymywał procenta za dwa miesiące naprzód, a nadto ten, który namowił do wkładki, otrzymywał honoraryum kilku procentów. Proszę spróbować na papierze podobną manipulacyę, proszę przyjmować dziennie tak wielkie wkładki jak można sobie wyobrazić, proszę odliczać wspomniane procenta, a okaże się iż do kilku miesięcy taki bank musi upaść — a przecież w rzeczywistości w banku nie idzie tak gładko jak na papierze. Mogłyby pomódz spekulacye giełdowe, lecz przedewszystkiem trzebaby te spekulacye prowadzić, a tymczasem papiery leżały u Adeli nawet nieliczone. Po drugie trzeba znać tę manipulacyę giełdową, a tego od ex-aktorki trudno wymagać; trzeba żyć w zgodzie z miejscowemi bankami, a Adela była solą w oku wszystkim bankierom, wreszcie trzeba się znać na rachunkowości, czego Adeli zupełnie brakowało. Słowem przy tych wszystkich warunkach nie podobna myśleć, iżby bank jaki mógł egzystować. Dowodem na to, iż żaden z sześciu innych banków nie wytrwał kilku miesięcy. Paulina Dosch miała już 250,000 złr. było więc czem obracać, a jednak musiała się w końcu uciec do fałszowania weksli. Tymczasem bank Adeli egzystował w całej sile blisko trzy lata. Czy mogło to być bez jakiej pomocy pośredniej lub bezpośredniej? Czy była jaka? Tego z całą pewnością nikt wiedzieć nie będzie. To tylko jest faktem, że wielka ilość wierzycieli prawie bez wyjątku wszyscy, którzy mieli wpływ na ten bank, byli to liberalni czystej wody. Faktem jest, że ktoś z Austryi ofiarował jej pomoc w sumie 500,000 r. a to w czasie, gdy przeciw niej podniosła się burza. Bank taki mógł się tylko utrzymać na tej podstawie, że kapitały wchodzące były używane na opłatę procentów, lecz oczywiście przy tem trzeba przypuścić, iż było dużo takich, którzy procenta ciągle tylko dopisywali do kapitału, a to mogli oczywiście robić nie biedacy tylko kapitaliści, w interesie których było ten bank przez pewien czas podtrzymywać. Komiczny w tym względzie jest fakt do zapisania. Pod jesień r. 1872 ordynaryat biskupi wydał upomnienie do ludu, potepiające lichwę oczywiście tak aktywną jak passywną. Dwóch arcyliberałów na złość ordynaryatowi złożyło do banku Adeli 16 i 20,000 guldenów.

Rozważmy przytem postępowanie oficyalne liberalnego rządu. Powstała najprzód jedna burza lecz dość słaba. Adela wyszła zwycięzko, oczywiście bank podniósł się przez to jeszcze więcej. Nastąpiła druga burza lecz była to istna komedya. Zdarzało się że urzędowe dzienniki na pierwszej stronnicy drukowały ostrzeżenie ministeryalne przeciw Adeli, a na ostatniej stronicy były jej anonsy i reklamy. Toż samo w organie liberałów *Neueste Nachrichten* wstępny artykuł gromił Dachauerbank, a w anonsach były ogłoszenia lichwiarskie. Następnie jak zrozumieć ten fakt. W jesieni 1872 roku krzyczano na gwałt, że bank upadnie, tymczasem żydzi kręcili się po gospodach i skupowali weksle Dachauerbanku. Te weksle wyszły potem na wierzch w ręku tych, którzy żądali rewizyi. Wyszło na jaw przy sądzie, iż nawet komisarz

policyi ściągnął taki weksel od jednej włościanki. Ostatecznie rząd zamknął bank na żądanie 40 ludzi posiadających 13,000 gul. w 60 wekslach, których jednakże termin jeszcze nie był zapadł, zrobił to zaś na fundamencie jakiegoś wyjątkowego prawa. Panom komisarzom wcale nie szło o dobro wierzycieli, bo podczas rewizyi jedli i pili w najlepsze i można było śmiało wynieść pieniędzy, ile kto chciał. Prokurator powiedział przy sądzie, iż Dachauerbank dlatego zwrócił uwagę rządu, że wkładki do kasy oszczędności upadły tak, że zarząd kasy musiał ściągnąć kapitały umieszczone na hypotece na ziemskich gruntach. Tymczasem urzędowe sprawozdanie wykazało, iż w ostatnim roku wkładki do kasy oszczędności przewyższyły sumę wkładek z poprzedniego roku.

Jakżeż dziwnem było postępowanie Adeli w ciągu całej tej burzy jesiennej. Nie przestaje zupełnie trybu swego postępowania, groźba bankructwa nie pobudza jej do przepatrzenia przynajmniej ksiąg — co zresztą prawda nie na wieleby się zdało — ostatecznie nie próbuje ucieczki. Nie zrozumiały także fakt stał się na parę tygodni przed upadkiem banku. Do redakcyi *Vaterlandu*, katolickiego czasopisma, które podczas owej burzy twierdziło, że rząd zupełnie bezprawnie postępuje, dwa razy przychodził jakiś żyd z propozycyą, by redaktor Sigl pośredniczył mu do Adeli, gdyż on chce jej bank ratować. Była to oczywiście umyślna komedya, by nadać jeszcze bardziej katolicki charakter temu bankowi. W tej sprawie miały udział osobistości wysoko postawione, a faktem jest, że pewna ilość papierów dotyczących tego procesu zginęła w biurze magistratu bez śladu — i o cuda! złodzieja nie odszukano.

Nim przejdę do możebnych wniosków z tych wszystkich sprzeczności, muszę tu jeszcze dwa punkta poruszyć, które mają związek z tą sprawą. W ostatnim roku, gdy bank najbardziej szczególnie miejską ludność owładnął, kapitaliści uskarżali się, że robotnik ogromnie drożeje, bo który sobie złożył paręset guldenów, ten oddał je do Adeli i już nie wiele dbał o robotę. W parę miesięcy zaś po rozbiciu banku nastały wybory do rady miejskiej i Dachauerbank to był konik, na którym liberalni jeździli w przedwyborczej walce z katolikami; gdyż było to powszechnym głosem wszystkich liberalnych dzienników, że cały ten bank, to katolicka sprawa, chociaż śledztwo pokazało, że główny udział w nim brali liberalni. To też nie można się oprzeć podejrzeniu, zważywszy na towarzyszące temu bankructwu okoliczności, że to był z góry ułożony manewr. Bank podtrzymywano pokąd nie objął całej Bawaryi, dopiero gdy to się stało i zbliżały się wybory do rady miejskiej, uznano za stosowne zezwolić na jego rozbicie.

Nadano temu bankowi katolicki charakter, aby był tem lepszą łapką na tutejszych wieśniaków i wyrobników i żeby później przez bankructwo osławić w ich oczach katolicyzm. Zarazem podali rękę do tego przedsiębiorstwa tutejsi kapitaliści, by odebrawszy ostatni grosz wyrobnikowi i wieśniakowi, mieć ich w zupełnem poddaństwie swego kapitału, co wszystko nie wyklucza, że Spitzeder mogła awanturować się na swoją rękę, a liberalny rząd i kapitaliści nie omieszkali z tego skorzystać.

Była to w skutkach swoich, a może i w zarodzie socyalno-pruska sprawa z przymieszką *Kulturkampfu*, a pod względem moralnym straszny ucywilizowany rozbój, większy niż Stronsberga i Wagenera, bo to r o z b ó j w d ó w i s i e r ó t.

O ile jednak reakcya bawarska już była wtedy rozwinęła się, niech będzie to dowodem, że w parę miesięcy potem nastały wybory do rady miejskiej i mimo takiego skandalu, jak mówiono, w łonie partyi katolickiej, wybory wypadły o wiele przychylniej dla niej, niż przed trzema laty.

List Ojca Aleksandra Jełowickiego

DO KS. EDWARDA PODOLSKIEGO.

(Jeszcze w rzeczy Matki Serca Jezusowego.)

Paryż 20 Lipca 1875.

Wielebny i kochany księże Edwardzie!

Nasz pan Bronisław Zaleski przeczytał mi dzisiaj rzewne słowo, skreślone zapewne ręką twoją w *Przeglądzie Lwowskim*, z powodu mego zachorzenia w powrocie z Rzymu do Paryża. Bóg ci zapłać za miłosierdzie twoje nademną, które niewątpliwie zjednało mi niejedno westchnienie do Matki Serca Jezusowego, będącej oraz uzdrowieniem chorych. Jeżeli kiedy, to w chorobie mojej nauczył mię Pan Bóg, że niczem jesteśmy i że sami z siebie nic dobrego uczynić nie możemy. A jeżeli do apostołów rzekł Chrystus: *Gdy uczynicie wszystko co wam rozkazano, mówcie: Słudzy nieużyteczni jesteśmy, cośmy byli winni uczynić, uczyniliśmy (Łuk. XVII. 10);* o jakże za nic się mając, powinniśmy, coraz pilniej, powierzone nam sprawy Boże sprawiać! Dla tej powinności, czuję się w obowiązku napisania niniejszego listu, o którego umieszczenie w najbliższym poszycie *Przeglądu Lwowskiego* uniżenie proszę.

Albo prześlepiłem, albo rzeczywiście, wielebny i kochany księże Edwardzie nie dałeś jeszcze miejsca, w tak oddanem Kościołowi piśmie twojem, dwom kościelnym aktom, które oddawna cały już świat katolicki, oprócz Polskiego, ogniście obiegły. Mówię tu o prośbie biskupa Przemyskiego do Papieża w rzeczy nazwania *Notre-Dame du Sacré Coeur* Królową Serca Jezusowego, zamiast MATKĄ SERCA JEZUSOWEGO tudzież o liście kardynała Patrizzi, w odpowiedzi na tę prośbę [1]). Spieszę więc z podaniem, przy pomocy waszej, całej Polsce słów,

[1]) Dwóch tych dokumentów nie podaliśmy dlatego: raz, że *Przegląd* nasz zanadto szczupłe ma ramy, aby mógł podejmować kwestye specyalnie liturgiczno-teologicznej natury, a powtóre że nikt u nas nie upierał się i nie upiera przy nazwie Królowej Serca Jezusowego w obec orzeczenia kongregacyi Inkwizycyi;

które z ust Piusa IX, na osobnem posłuchaniu, 18 Maja roku bieżącego, w tej uroczystej sprawie do serca przyjąłem.

Gdym podziękował Ojcu Świętemu za list kardynała Patrizzi do biskupa Przemyskiego, Ojciec Święty znaczenie tego listu wykładając, rzekł z naciskiem:

— *La Madonna non è Signora del Sacro Cuore, è Signora nostra: dunque non si pue dire, regina del Sacro Cuore.*

To znaczy:

Nasza Pani nie jest Panią Serca Jezusowego, lecz jest Panią naszą, więc nie można Jej nazywać Królową Serca Jezusowego.

— Ale Matką Serca Jezusowego, możem ją nazywać? rzekłem.

— Możecie do niej wołać: MATER CORDIS JESU — odpowiedział Papież.

Oto są powody naszego milczenia. Czyby zaś nabożeństwo do Matki Najświętszej Serca Zbawiciela mogło się u nas powiększyć, gdybyśmy byli sprawę tę poruszyli, o tem wątpimy. Zresztą taki dostojnik Kościoła, jak arcybiskup z Bourges książę de la Tour d'Auvergne w świeżo ogłoszonym (*l'Univers* z dnia 2 Sierpnia) liście pasterskim dziś nawet jeszcze wyrażeniu *Notre-Dam du Sacré Coeur* daje znaczenie Królowej Serca Jezusowego. Oczywiście, że słowa tego Dostojnika nie mogą w niczem osłabiać dekretu kongregacyi Inkwizycyi, a tem bardziej słów Ojca Św. wypowiedzianych do Czcigodnego Ojca. Nie będzie jednakże od rzeczy przytoczyć tutaj wyjątek z tego listu. Oto co tam czytamy:

Ce titre de Notre-Dame du Sacré-Coeur peut-il se justifier en lui-même?

„*Oui, nous l'affirmons sans crainte.*

„*Dans le langage de l'Eglise, Dame veut dire souveraine, maîtresse, reine. C'est le mot latin Domina, que nos pères ont traduit par cette populaire et naïve expression. Appeler Marie Notre-Dame du Sacré-Coeur, c'est donc lui donner un titre de la plus rigoureuse exactitude. Ce titre, en effet, signifie maîtresse, reine du Coeur de Jésus.*

Sans doute, en nous servant d'une pareille expression, nous n'entendons pas attribuer à Marie sur le Coeur du Fils de Dieu un pouvoir absolu, irrésistible, nécessaire, qui ne pourrait se concilier ni avec sa condition de créature, ni avec la dignité de son divin Fils, ni, par conséquent, avec les notions de la saine theologie; nous entendons simplement parler de cette toute-puissance de supplication, comme disent les saints docteurs, omnipotens supplex, à laquelle Notre-Seigneur ne refuse rien; qui donne par conséquent à Marie sur le Coeur de Jésus un crédit incontestable".

Nie w innem znaczeniu brano i u nas dotąd słowa: Królowo Serca Jezusowego. Bądźcobądź słowa Papieża są dla nas najwyższą w tej sprawie wyrocznią. (Przyp. red.).

Potem Pius IX powstał przeciwko posągom, medalikom i obrazkom przedstawiającym dotąd Matkę Serca Jezusowego, podług posągu, co jest w Issoudun i rzekł:

— *Nie można wyobrażać Dziecięcia Jezus u nóg Matki Jego, ale na Jej ręku.*

— Cóż uczynić z tysiącami posągów i milionami medalików i obrazków na wzór posągu Matki Serca Jezusowego w Issoudun? — zapytałem.

— *Bissogna distruggerle.*

— *Trzeba je zniszczyć* — odpowiedział Papież.

A więc: bądźcobądź, potrzeba je zniszczyć.

Jeżeliby jeszcze komu świadectwo to moje zdało się niedostatecznem, niech uprosi której ze Sióstr Miłosierdzia, aby wezwała świadectwa swojego Ojca jenerała. A odpowie: że gdy był tej wiosny na posłuchaniu u Piusa IX, sam Papież wszczął rozmowę o posągu Matki Serca Jezusowego w Issoudun i nazwał go najniewłaściwszym i przeciwnym podaniom kościelnym i samejże sztuce, a nawet prawemu uczuciu chrześcijańskiemu, wzdrygającemu się na to, by widzieć Dziecię Jezus przed nogami Matki Jego, nie zaś na Jej łonie.

I to jeszcze odpowie tenże Ojciec jenerał Lazarystów i Sióstr Miłosierdzia, że gdy jeden z jego Missionarzy miał podać Ojcu Św. Obraz Serca Jezusowego, przeznaczony do Nowicyatu, a z prośbą o odpusty, nie czekając nazwania tego obrazu, rzekł Pius IX: „Byleby to nie był obraz de *Notre-Dame du Sacré Coeur* co jest w Issoudun, bo takich obrazów nie błogosławię i odpustów do nich nie przywiązuję". I użalił się Papież na upieranie się księdza Chevalier, założyciela Bractwa Matki Serca Jezusowego w Issoudun, przy onym posągu.

Lecz i ksiądz Chevalier już się upamiętał; bo chociaż zażarcie i nad miarę bronił tego posągu, kazał jednak wykonać nowy posąg *de Notre-Dame du Sacré-Coeur*, według myśli Piusa IX i ogłosił go drukiem. Szkoda tylko, że obyczajem francuzkim, zawarował sobie nad tym rysunkiem prawo własności, jakoby nad utworem własnym. Albowiem myśl tego utworu, jako będąca Piusa IX, należy do nas wszystkich i każdy z nas ma katolickie prawo do jej wykonania.

I ja też w krótce, według myśli Papieża podam Polsce rysunek Matki Serca Jezusowego, w tem, zdaje mi się, szczęśliwiej pojęty: że Matka Serca Jezusowego nie trzyma tego Serca w swem ręku, lecz na Nie, gorejące na piersiach Jezusa wskazuje.

Przed wyjazdem z Rzymu, doniesiono mi jakoby w objaśnieniach podanych przez wspomnionego księdza Chevalier, kardynał Patrizzi cofnął swe postanowienie, zakazujące posągów itd. na wzór tych co są

w Issoudun. Wnet zaniosłem tę bajkę do kardynała, który tego postanowienia ani cofnął, ani mógł cofnąć, jako wydanego nie przez niego samego, ale przez najwyższą w Kościele kongregacyę świętej Inkwizycyi, a z przyzwoleniem samegoż Papieża. Kardynał oświadczył tylko arcybiskupowi w Bourges, że to postanowienie obowiązuje na przyszłość. Zapytałem przeto, czy i w Krakowie zachowaćby można na ołtarzu posąg, na wzór tego co jest w Issoudun? Jeżeli tam stał przed zakazem zostawić go można, odpowiedział kardynał. A ja zapytałem: Ale czy bez grzechu? Skoro można, więc bez grzechu, odrzekł mi kardynał, a jam dodał: i bez zasługi. Czego mi kardynał zgoła nie zaprzeczył.

Jakże pogodzić pozwolenie zachowania przed onem postanowieniem istniejących posągów owych Issoudúńskich, z tem słowem Ojca Świętego *Bisogna distruggerle?* Oto tym sposobem, że Ojciec Święty nie oznaczył czasu, w którym je zniszczyć potrzeba; bo też trzeba czasu na ich zastąpienie. Do czego jakeśmy to wyżej powiedzieli, bez dalszej odwłoki już się i ksiądz Chevalier zabrał; bo jemu, jak i każdemu dobremu katolikowi, będzie brzmieć w uszach, póki go niespełni, ten Papiezki wyrok: BISOGNA DISTRUGGERLE!

Ku temu, najusilniej upraszam, ażebyście jak najrychlej, a z należytem uczczeniem wydrukowali w *Przeglądzie Lwowskim* i prośbę biskupa przemyskiego do Ojca Św. w rzeczy Matki Serca Jezusowego i list kardynała Patrizzi w odpowiedzi na tę prośbę [1]).

Zaś waszych zacnych czytelników, zwłaszcza Czcigodnych kapłanów najpokorniej błagam, ażeby znaczenia obu tych listów nauczyli wierny i pobożny lud polski, by nie zaprzestawał w duchu i w prawdzie modlić się i wierzyć.

W końcu z życzeniem łask Bożych przesyłam Wam z serca Piusa IX Apostolskie Jego błogosławieństwo.

Z głębokiem uszanowaniem, Wielebności waszej

Uniżony w Chrystusie sługa

Ks. A. JEŁOWICKI.

---

[1]) Obadwa te dokumenta zostały już dawno ogłoszone w *Kurendach* konsystorskich i znane są duchowieństwu.

RÓŻNOŚCI.

BAJKI

JENERAŁA FRANCISZKA MORAWSKIEGO.

(Dokończenie).

ORZECHY.

„Kupcie dla dziatek uciechy,
Orzechy, świeże orzechy“!
Tak na wszystkie wołał strony
Żyd ich worem obarczony.
Jakoż znęcił się w istocie
Jaś lubiący te łakocie.
A że pięknie wyglądały,
Więc zakupił wór ich cały.
Codzień cząstkę ich odkładał,
Tłukł łupinki, jądra zjadał,
A znajdując je smacznemi,
Niezmiernie się cieszył niemi.
Lecz gdy głębiej dłoń zanurzył,
Jakżeż strasznie się oburzył!
Bo żyd, by swój zysk podwoił,
Najlepszemi wierzch przystroił,
Spodem pokładł liche, stare,
I zepsutych całą miarę.
Taką w świata przekonaniu
Bywa panna na wydaniu.
Ojciec, matka, wuje, ciocie,
Mówią tylko o jej cnocie,
Tają skryte wady, grzeszki.
Żydowskie to są orzeszki.

OSIEŁ I JELEŃ.

Uciekłszy osieł z pod Bartka dozoru,
Latał i brykał wśród boru,
Tarzał się, wierzgał, cały błocił w kale
I „wiwat wolność“! w oślim ryczał szale.
Zbiegło się zwierząt niemało,
Każde oczy wytrzeszczało,

I śmiech w wielkim powstał zgiełku.
Sam jeleń tknięty litością,
„Głupiś (rzecze) mój osiołku,
Wierzganie nie jest wolnością,
Śliczna mi wolność, żeś się w błocie zwalał,
I nawierzgał i naryczał.
Nie — tyś nie wolny... tyś tylko rozdziczał
I w tej dzikości oszalał“.
Osieł mądremi uderzony słowy,
Pojął swe głupstwo i nad niem się zdumiał.
Pojmąż je równie nasze wartogłowy?
Osieł, choć osieł zrozumiał.

NA BAJKĘ.

Bajka jest istnym róży obrazem,
Bo ma jej kolce i woń zarazem.

CHWAŁA BAJEK.

Można i drobną bajką zyskać poklask świata,
Ptaszek małemi skrzydełki aż pod niebo wzlata.

LISTY z WIEDNIA.

(Serya II.)

XI.

Wiedeń 5 Sierpnia.

(Włochy i Austrya — Książę biskup Pogacar — Zgromadzenie katolików w Prachaticach — Nieco o szkołach — Starokatolicy — Zdanie protestanta o dziennikarstwie katolickiem — *Volksfreund* — Dąsy profesorów w Pradze — Dostojni goście — Zamierzone publikacye — Probostwo dla Czechów — Książki).

Dzienniki liberalne od dłuższego już czasu podnoszą z widocznem zadowoleniem fakt serdecznego zbliżenia się Austryi do tak zwanych zjednoczonych Włoch; pieją hymny radości, iż hr. Wimpfen, poseł austryacki przy królu piemonckim Wiktorze Emanuelu, otrzymał od tegoż zaproszenie na łowy w Alpach, iż hr. Robillant, poseł włoski w Wiedniu obdarzony został portretem cesarza Franciszka Józefa naturalnej wielkości. Te same dzienniki, które uparcie milczały, gdy przed trzema laty arcyksiążę Toskanii, Jan Salvator,

nie widział w tem żadnej niestosowności złożyć wizytę Wiktorowi Emanuelowi w tym samym florenckim pałacu, zkąd jego ojca wypędzono, teraz zapisują z uznaniem, iż tenże arcyksiążę w czasie pogrzebu cesarza Ferdynanda w Wiedniu pospieszył na powitanie przybywającego do Wiednia następcy tronu włoskiego, księcia Humberta. Te same dzienniki w końcu sypią kadzidła pochwały prasie włoskiej, iż ta nie podniosła krzyków oburzenia i przestała mówić o anneksyi Tryestu, i to właśnie w chwili, gdy ludność sławiańska poturbowała nad brzegami Adryatyku robotników włoskich. Z czego wnoszą, że Włochy staną się sojusznikiem Austryi. Ma się więc z czego szczycić hr. Andrassy, iż tak wielkiego dokonał wreszcie dzieła. Tak piszą dzienniki. Atoli dla myślących polityków inaczej przedstawiają się rzeczy. Ów, według lwowskiej *Ojczyzny*, wielki mąż stanu madziarski p. Andrassy, został poprostu wyprowadzony w pole przez swego włoskiego kolegę, p. Visconti Venosta. Koszta tej nowej przyjaźni zapłaci nie kto inny, tylko Austrya. Kto zna zjednoczone Włochy, tego rzezimieszka między państwami Europy, temu nie tajno, dokąd zmierza ich polityka, nacechowana taką niby sympatyą dla Austryi. Na oko oddalać się należy od Prus, aby w umysłach dobrze myślących lecz krótkowidzących utwierdzać przekonania, iż zawartem zostało przymierze mocarstw katolickich przeciw bucie protestanckiej; na pozór więc zbliżać się wypada do Austryi, aby w danej chwili, wedle okoliczności, wytargować w Wiedniu lub Berlinie za przyrzeczoną tu, lub tam neutralność sowite wynagrodzenie. Oto cel tej włoskiej polityki, jasnej dla każdego, kto niema liberalnego bielma na oczach. Hr. Andrassy fraternizując z Włochami, z tym rabusiem Stolicy Apostolskiej, zranił głęboko uczucia katolików i przygotowuje państwu, którem steruje, ciężkie przejścia, lecz dla liberałów austryackich każdy sojusznik, choćby godzący na byt monarchii, dobry i pożądany, byle tylko był nieprzyjacielem Kościoła, a Włochy przecież pod tym względem złożyły już egzamin dojrzałości; jakże więc nie zaintonować rozgłośny *Jubel* z takiego sprzymierzeńca? O! grabarzem Austryi nie będzie kto inny, tylko sławiony liberalizm.

Przedwczesne były okrzyki tryumfu liberalnych dzienników, głoszących, iż udało się przecie w Austryi wyszukać wiernokonstytucyjnego biskupa. Tym oczekiwanym i tak pożądanym przez liberałów mężem, miał być nowomianowany książę biskup Lublany, Dr. Pogacar. Na karb nominata, folgując żydowsko-oryentalnej wyobraźni, nakłamano co niemiara; i tak ułożono cały dyalog, jaki miał

się toczyć między J. Excell. ks. nuncyuszem Jacobini, a Dr. Pogacarem przy składaniu *professionis fidei*, cytowano jakieś ustępy z listu ks. biskupa, w których tenże miał potępiać kierunek dziennika *Vaterland* i żywy udział kleru słoweńskiego w polityce; sfałszowano słowa księcia biskupa, wyrzeczone przez niego w Lublanie do witającej go Rady miejskiej i do Wydziału krajowego i z tej mozajki kłamstw, nawet dość niezręcznie skleconej, wydobyto wniosek, iż Dr. Pogacar uznaje prawa konfesyjne za obowiązujące bezwarunkowo, iż wpływ Kościoła na szkoły pomimo znanych ustaw szkolnych poczytuje za wystarczający, iż w końcu przyłoży wszelkich starań, by stłumić ruch narodowy Słoweńców, którego potężną dźwignią jest kler właśnie. Książę biskup nie prostuje tych o nim rozpuszczanych fałszów, gdyż w istocie ubliża to nawet godności nietylko dostojnika kościelnego, lecz każdego szanującego się nieco człowieka, zapuszczać się w polemikę z tą zgrają żydowskich pismaków; zresztą sprostowania takie dla ludu i kleru słoweńskiego są zbyteczne, gdyż ten lud i duchowieństwo wiedzą aż nadto dobrze, jak gorliwego pasterza a gorącego miłośnika ojczyzny w duchu Bożym, dały im nieba w osobie ks. Pogacara. Jak książę-biskup ocenia ustawy konfesyjne i jak się zapatruje na udział kleru w sprawach politycznych, jest najlepszą rękojmią ów protest, wystósowany do ministeryum, a napisany właśnie przez ks. Pogacara, naówczas prałata kapituły. Protest ten wywołał swego czasu wielkie oburzenie w kołach liberalnych, zbija on bowiem w energiczny sposób zarzuty czynione klerowi przez Radę miejską, iż tenże podtrzymuje waśń między Słoweńcami i Niemcami i że był pośrednim sprawcą tych licznych guzów, jakie się dostały w udziale od ludności wiejskiej bankietującym germańskim turnerom, a zarazem wykazuje nieustraszenie te gwałty, zadane prawom Kościoła przez uchwalenie ustaw wyznaniowych. Co napisał niegdyś ks. kanonik Pogacar, tego wyznawcą będzie zapewne i jako biskup, a jeżeli reporterzy liberalni kładą mu w usta te słowa: „przychodzę z poselstwem pokoju“ — to niech będą pewni, iż ks. nominat pamięta i na to, co Zbawiciel powiedział: *non veni pacem mittere — sed gladium.* I w istocie, jakby w przeczuciu, że ten tak gołębio pokojowy biskup może w danej chwili stać się wojowniczym, ostyga już nieco zapał liberałów dla tego dostojnika kościelnego; miasto kategorycznych twierdzeń o przypisywanej mu wiernokonstytucyjności, mówią tylko, iż spodziewać się należy, że nowy biskup będzie powolniejszy ustawom konfesyjnym, bo przecież p. Stremayer, na którego wyłączny wniosek

bez zwykłego kanonicznego prezentowania, nominacya ta nastąpiła, nie mógłby się pomylić w wyborze. Cała więc otucha liberałów z powodu Dr. Pogacara polega na tem, iż na ogłoszeniu o nominacyi tegoż, umieszczonem w urzędowej *Wiener-Zeitung* figuruje podpis p. Stremayera, zdaje im się przeto, iż p. minister sam go nominuje. Płonna to nadzieja liberałów; daremnie się łudzą, iż w nowomianowanym biskupie znaleźli choć jedną jaskółkę, zwiastującą wiosnę upragnionego *modus vivendi*. Ten tak entuzyastycznie przez nich powitany prałat będzie tak dobrym ultramontaninem, jak i inni jego bracia na stolicach biskupich.

Katolicy w Czechach przy żywym udziale arystokracyi i duchowieństwa rozwijają niezwykłą czynność w stowarzyszeniach katolicko-politycznych. Aby i lud wiejski i ludność małomiejską zagrzać do obrony praw Kościoła, przestrzedz przed nieprzyjaciołmi, w tym celu organizują oni co roku, zwłaszcza w porze letniej, tak zwane wędrowne zebrania, w miejscowościach odleglejszych od głównej siedziby stowarzyszenia. Takie zebranie odbyło się świeżo w Prachaticach. Atoli w miejscowości tej, zaludnionej w połowie przez Niemców, a uchodzącej przez to za wiernokonstytucyjną, stawiano mnogie przeszkody, by tylko zebranie nie przyszło do skutku. Odmówiono sali miejskiej, teroryzowano innych groźbami, by lokalu odpowiedniego nie wynajęli, między lud wiejski rozpuszczono potwarcze pogłoski, iż zebranie to ma uchwalić przywrócenie pańszczyzny, grożono chcącym w niem uczestniczyć, iż wyprawią burdę, słowem tałałajstwo liberalne uciekało się do najpodlejszych środków, byle tylko udaremnić zabiegi katolików. Silna jednakże wola przezwyciężyła wszelkie trudności — lokal się znalazł, zebranie było nader liczne, niemal tłumne i odbyło się świetnie. Uczestniczyli w niem krom prezydującego księcia Jerzego Lobkowic, także książę Karol Schwarzenberg z synami, starosta miejscowy i mnogo liberalnej gawiedzi, pragnącej gorąco wywołać jaki skandal. Mowy miano w języku czeskim i niemieckim, gdyż tu ludność jest mięszana. Poruszano najważniejsze kwestye, a wszystko w sposób arcy-przystępny dla mniej wykształconego słuchacza. Ks. dziekan z Prachatic mówił o wolności, kładąc szczególniejszy nacisk na to, iż Kościół jest nieprzyjacielem wolności, ale tej tylko, która otwiera szranki swobodnego działania zarówno dla prawdy jak i dla kłamstwa, dla cnoty jak i dla występku. Proboszcz Bumba rozwinął bolesny obraz prześladowań, jakich doświadcza katolicyzm, wskazując źródło takowych w tem, iż hasłem postępowania Kościoła było, jest i będzie

zawsze: słuchać więcej Boga niż ludzi. Katecheta Langier dotknął pociech Kościoła, jakie mu sprawiają rozbudzenie się gorliwości wśród katolików i odrodzenie się Francyi, radził zarazem, aby się nie dać uśpić pozornem bezrobociem liberałów w Austryi przeciw Kościołowi, gdyż wkrótce i tu pies pokaże swe zęby, zrzuci nałożony mu koniecznością kaganiec. Profesor Drozd wyjaśniał, dlaczego dzienniki katolickie są dla wielu tak mało zajmujące? oto, bo w dziennikach tych niema liberalnych kłamstw historycznych, nie ma tego, co namiętnościom schlebia i zmysły łechce, co rozciekawia jako zuchwała choć niedowiedziona hipoteza, bo w nich jest tylko prawda, a prawda jak uczciwa kobieta, ubiera się skromnie, nie rzuca się jaskrawo w oczy, ztąd też nie zwraca na siebie uwagi. Ostatni mówił książę Schwarzenberg, wykazując logicznie a zajmująco straszną przewrotność doktryn liberalnych. Ks. biskup Jirsik przesłał zebraniu telegraficznie swe pasterskie błogosławieństwo. Więcej takich zebrań, częściej takiego pouczenia dla ludu katolickiego, a lud ten nie da się obałamucić frazesowiczom gazeciarskim, nie pójdzie na lep żydowsko-pruskiej propagandy, lecz stać będzie wiernie przy Kościele i dynastyi.

Obok tych prac i zabiegów że strony katolików, wzrasta zarazem w groźny nadzwyczaj sposób posiew bezwyznaniowości, propagowanej przez missyonarzy rewolucyi i ateizmu nietylko w uniwersytetach, ale i szkołach ludowych. I dziwić się temu wcale nie można, jeśli się zauważy, że w samych jedynie Czechach 236 posad profesorskich i 170 kantorów zajmują żydzi. To nam daje wyobrażenie, w jak smutnym stanie znajdują się tam szkoły. Czyż może być coś potworniejszego nad to, gdy nauczycielem w szkole ludowej jest żyd, który naucza przeważnie chrześcijańską młodzież, a przecież wiadomo aż nadto dobrze, czem jest cywilizowany żyd pod względem religijnym! Sam rząd przyczynia się wreszcie do rozwoju bezkonfesyjnego w szkołach, skoro wedle zatwierdzonych planów nauczania dla szkół miejskich i ludowych przeznaczono na wykład religii zaledwie jedną godzinę na tydzień, gdy codzienne słuchanie mszy św. zniesiono pod pozorem *quotidiana vilescunt*, a przez wzgląd na Hebrajczyków zakazano uczniom witać wchodzącego nauczyciela używanem dotąd pozdrowieniem: niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!—gdy wreszcie jakby na wyszydzenie uczuć katolickich zaprowadzono dla dzieci katolickich jako czytankę, książkę ułożoną przez Dr. Jacobi, dyrektora szkół protestanckich, książkę, w której Luter, Kalwin, Melanchton i tym podobne osobistości stają w promieniach chwały i wielkości. Tak się dzieje w szkołach nie-

mieckich w Austryi, u was zapewne nieco może lepiej pod tym względem, chociaż nie wątpię, iż i tam, zwłaszcza wśród niedochowanych światłodawców, czerpiących swą wiedzę z *Dziennika Polskiego* nie zbywa na ochotnikach, którzyby radzi „ten wrzód, tę strychninę“ t. j. żywioł i wpływ religijny wyrugować ze szkół zupełnie. Jeżeli więc pedagogia nowoczesna widocznie zdąża do szczepienia ateizmu, jakże się dziwić, iż kler usuwa się od udziału w Radach szkolnych, nie chcąc obecnością swą bezsilną przeciw liberalnej większości sankcyonować niejako antireligijne rozporządzenia takowych. Władza przeto państwowa, chcąc przełamać ten upor (jak mówi) kleru dość solidarny, mianowicie w Czechach i Morawie, ucieka się do tego środka, iż od księży kompetujących o jałmużnę, o tak zwaną zapomogę, domaga się poręczenia na piśmie, iż każdy z nich, skoroby go wybrano do której z tak licznych rad szkolnych, będzie bezwarunkowo ulegał ustawom szkolnym z dnia 12 Stycznia 1870, ukutym przez p. Stremayera. Liberalizm więc wiedeński praktykuje już na małą skalę pruskie *Brodkorbgesetz*, grożąc nieudzieleniem subwencyi tym, którym sumienie kapłańskie nie dozwala pracować przy budowie nowej wieży Babel, jaką niestety stała się liberalna szkoła.

Dzienniki doniosły o upadku urządzonego przez starokatolików w Bernie wydziału teologicznego. Było do przewidzenia, na czem się skończy ta z wielkim hałasem urządzona farsa. Sekciarze ci bowiem, według najskrupulatniejszego obliczenia, liczą w całej Europie zaledwie 17. 74 członków. Ale i na tę liczbę potrzebują przecież pastorów. W tym celu talary pruskie *currens quem devoret* zwabiły do siebie aż dziesięciu młodych drabów, tych kształcić chciano na przyszłych pastorów w nowo utworzonym berneńskim teologicznym wydziale; lecz o dziwy, twórca tej uczelni, wielki (!?) Dr. Friedrich rezygnuje nagle z posady profesora, a właściwie fałszerza historyi kościelnej i udaje się do Monachium, aby tam studyować dobroć piwa bawarskiego; za nim czyni podobnie Dr. Gareis, przenosząc się na uniwersytet w Giessen; za swymi mistrzami pogubili się tedy i uczniowie, wielu z nich wydaliła sama policya za złe życie i opilstwo, a reszta z tych 10 sprawiedliwych, przeznaczonych do walczenia „z kłamstwami rzymskiemi“, ulotniła się bez wieści. *Nec locus, ubi Troja* — hodowla antiinfallibilistów w oczach nawet samych protestantów zabita moralnie, a stary Döllinger musi się rumienić za swoich wyznawców! W istocie trafnie choć trywialnie określił ten instytut Dr. Friedricha jeden

z profesorów protestanckich, berneńskiego uniwersytetu temi słowami: „fakultet teologiczny starokatolików, to fabryka, wyrabiająca maszyny do czytania mszy za pozwoleniem Bismarka“.

Przytaczając wyżej słowa protestanta o starokatolickim wydziale teologicznym, nie od rzeczy będzie powołać się tutaj na zdanie innego uczonego protestanta, wypowiedziane o dziennikarstwie. Uczony Wuttke tak się np. wyraża o prasie katolickiej: „Publicystom katolickim zawdzięczyć wyłącznie należy, iż dotąd istnieje samodzielność myśli, wolność słowa, nieprzedajność przekonań. Odwaga i stanowczość cechuje każdy dziennik katolicki; pisma katolickie jedynie zdolne są wznieść groblę przeciw falom korupcyi różnorodnej, jakie się piętrzą w łamach prasy liberalnej“. W dobitniejszych daleko od Wuttke'go słowach wyraża się o liberalnych dziennikach inny znów protestant, znany dobrze literackiemu światu, Lasalle. Oto jego słowa: „Jak pod względem kłamstwa, znikczemnienia i wyuzdania nic nie sprosta prasie liberalnej, tak i pod względem największego umysłowego ubóstwa nic z nią porównać się nie da. W istocie, jeżeli nie nastąpi zupełne odrodzenie się tych dzienników, jeżeli owa zaraza gazeciarska będzie szaleć z jakie pół wieku ponad ludzkością, to trzeba będzie ręce załamać, bo gangrena moralna i umysłowa stoczy ludzkość do samego rdzenia. Trudno doprawdy pojąć, jak mogą znaleść się ludzie, którzy dla zarobku jedynie zatruwają wszystkie źródła wiedzy, a racząc tym jadem swoich czytelników, zabijają na duchu ludy i społeczeństwa. Prasa liberalna to bezwstydna publicznica, każdy kto chce, kupić ją może“. Tak mówią protestanci. Radziłbym teraz *Dziennikowi Polskiemu* odczytać te wyrazy. Nie będę wcale winien temu, jeśli słowa Lassala zechce wziąść do siebie.

Sprawiedliwe uznanie dziennikarstwa katolickiego ze strony Wuttkego tyczyć się jednakże może tylko pism tak zwanych ultramontańskich, a nie da się bynajmniej rozciągnąć i na owe dwupłciowe pisemka, będące u nas bastardami liberalizmu, jeśli nie echami józefińskiemi, które roszcząc sobie prawo do prawowierności katolickiej, radeby żyć i z szatanem w zgodzie, a tryumf Kościoła upatrują w przeprowadzeniu zdrożnej zasady: *modus vivendi*.

Volksfreund przebył obecnie kryzis redakcyjną. Ks. Wiesinger na rozkaz JEmin. księcia kardynała ustąpił jako naczelny redaktor, gdyż stał się niewygodny ks. arcybiskupowi Rauscherowi. Gardłując aż do przesady za utworzeniem stronnictwa państwowego, manifestując jaskrawo swój c. k. katolicyzm, zdziałał ks. Wiesinger to, iż jego

osobiste zapatrywania semikatolickie poczęto uważać jako emanacye księcia kardynała, *Volksfreund* bowiem słusznie czy nie, dość że uchodził i dotąd jeszcze jest uważanym za organ J. Eminencyi. Aby więc zapobiedz mylnym wnioskom, uznał książę-kardynał za stosowne, niemal za konieczne przekazać redakcyę w inne ręce. Nowa redakcya nie zdradziła dotąd swej barwy, spodziewać się atoli należy, iż *Volksfreund* pouczony doświadczeniem, odstąpi od swej dotychczasowej połowicznej polityki na polu kościelnem i od swej fanatycznej nienawiści względem innych narodowości, wchodzących w skład monarchii Habsburgów. *Vederemo.* Ks. Wiesinger ustępując z tronu redakcyjnego, obdarzył czytelników słowem pożegnawczem, nazwał się w niem wytrawnym dziennikarzem, męczennikiem idei *modus vivendi*, rozprawiał coś górnie o postępie, strzelił jeszcze z za płotu do *Vaterlandu*, a w końcu pocieszył zasmuconych, iż pióra swego nie kruszy, lecz iż je poświęca gazetce polityczno-rolniczej: *Gemeinde-Zeitung*. Życzymy ks. redaktorowi powodzenia na tem nowem polu; może w artykułach, traktujących o sadzeniu jarzyn prędzej i skuteczniej da się przeprowadzić owa wzniosła doktryna: *modus vivendi*,

Importowani z Prus do Pragi profesorowie wydziału lekarskiego rozpoczęli swary z namiestnikiem o postawienie pieca w chemicznem laboratoryum i wnet ten drobny zatarg podniesiono z wrzawą do wysokości prześladowania niemieckiej kultury. Wyraźnie tak nacechował tę sprawę jeden z tych profesorów, zowiąc się męczennikiem narodowym na bankiecie pożegnawczym, a przytem ten umęczony mówca zdradził jeszcze tak grubą niewiadomość geografii i historyi, iż bez zająknienia palnął sobie tę niedorzeczność, że zajmując katedrę na uniwersytecie pragskim, stoi się na gruncie czysto-niemieckim. Cóż niemieckość ma do czynienia z medycyną, z tą umiejętnością jak najbardziej kosmopolityczną, a zresztą któż nie wie, iż medycyna w Austryi rozgłośną swą sławę właśnie zawdzięcza rodowitym Czechom, dość gdy przytoczę nazwiska takie jak Rokitańsky, Skoda, Hebra i inni. Dzienniki stanęły po stronie zbuntowanych profesorów, a p. Stremayer tak rezolutny wobec kleru, z ujmą powagi rządowej spotulniał, przeprosił panów eskulapów i Austrya może się nadal cieszyć tymi pruskimi jeniuszami.

W Baden pod Wiedniem bawi już od dłuższego czasu dla poratowania swego nadwątlonego zdrowia monsignor Hassun, Najczcig. patryarcha ormiański z Cylicyi. Któż nie zna zasług tego dostojnika Kościoła? On to, staczając mężnie bój święty przeciw rządowi tureckiemu w obronie wolności Kościoła ormiańskiego i unii z Rzymem,

nie ustąpił ani na cal, choć wiedział, iż go za to na sędziwe lata czeka wygnanie. W towarzystwie tego męża Bożego przebywa O. Feragian, przełożony wielkiego klasztoru ormiańskiego Bzommar na Libanie. Zakonnik ten to także znakomity szermierz o dobrą sprawę; jego mężna a nieustraszona wytrwałość ocaliła słynny klasztor przed grabieżą schyzmatyków, wspieranych w swej napaści jawnie i czynnie przez rząd muzułmański.

Do Węgier w skutek zaprosin JEmin. księcia-kardynała Simor, udaje się temi dniami na kilkutygodniowy pobyt Jego Excell. ks. nuncyusz Jacobini. Przy tej sposobności ma się także rozstrzygnąć kwestya co do mianowania biskupa sufragana dla sędziwego pasterza z Ostrzyhomia. Wybranym ma być podobno ks. Józef Boltizar, wikaryusz z Tyrnawy.

Mówiąc o Węgrzech, chciałbym zaznaczyć dwie biografie, ważne do dziejów Kościoła węgierskiego, jakie wkrótce mają wyjść z druku. Minister wyznań Trefort poruszył myśl wydania żywota znakomitego biskupa z Erlau hr. Karola Esterhazy'ego. Obecnie rządzący tą dyecezyą Czcigodny ks. arcybiskup Dr. Józef Samassa przeznaczył na ten cel sto dukatów jako honoraryum autorskie. Radca zaś dworu Ignacy Utiesenowic zebrał materyały, by ogłosić drukiem wyczerpujący opis żywota swego przodka kardynała Jerzego Utiesenovic. Dostojnik ten Kościoła, znany w dziejach pod imieniem Martinusius albo Martinuzzi, był swego czasu jednym z najznakomitszych mężów stanu. Żył on za czasów króla Jana Zapolyego i pozostałej po nim wdowy królowej Izabelli od roku 1528–1551; wpływ jego na rządy królestwa węgierskiego był prawie nieograniczony, a w ostatnich latach walczył piórem i orężnie jakko *summus dux* po większej części zwycięzko z najpotężniejszym z sułtanów tureckich Sulejmanem Wielkim.

Wielutysięczna ludność czeska, zamieszkała i osiadła w Wiedniu, kołatała już kilkakrotnie do tutejszego konsystorza z prośbą o ustanowienie odrębnej parafii czeskiej, lecz napróżno. Nie wiedzieć czemu tę odmowę przypisać, bo każdy nie czechożerca przyzna, iż ona jest całkowicie uzasadnioną. Mają wprawdzie Czesi jak i Polacy kaznodzieję i spowiednika rodaka, przyczepionego do kościoła, w którym atoli gospodarzem ksiądz niemiecki; a któż nie wie, jak nierównie zbawienniejszym jest wpływ rzetelnego plebana, niż księdza ograniczonego w swej działalności tylko na wygłoszenie kazania co niedziela. Pominąwszy już to, że urządzając jakiekolwiek nabożeństwo, trzeba płacić i za użycie aparatów i za światło i za organy

i niemal za ministranta, to nieposiadanie osobnego kościoła jest bardzo często przyczyną, iż tak ksiądz czeski jak i polski nie mogą nawet nabożeństw kościelnych odprawić, jak to jest zwyczajem w kraju. I tak na pasyjne nabożeństwo dla Polaków brakło czasu, gdyż ten czas zabrało nabożeństwo odprawiane dla ludności niemieckiej, a w miesiącu Maju zaledwie wyżebrał sobie ksiądz polski pół godziny, aby społem z ziomkami uwielbić królowę nieba. W istocie podziwiać potrzeba, jak przy nader skąpej dotacyi, przy braku właściwych zajęć kapłańskich, przy licznych nieprzyjemnościach, wynikających z tego podwójnego rządu, może jaki ksiądz długo wytrwać na podobnem stanowisku? O uregulowanie tego anormalnego stosunku względem kościoła polskiego nikt się nie troszczy, choć jest tu na miejscu minister rodak — lecz prawda, kościół to nie szkoła koszykarstwa. Czesi przeciwnie osiągną to, czego pragną, gdyż najpierwsze rody arystokratyczne zajęły się tą sprawą gorąco, a nawet udano się już w tym celu z petycyą do Stolicy Apostolskiej.

Z półki księgarskiej poleciłbym nauczycielom przeczytać z uwagą pisemko zatytułowane: *Ein Jugendfeind;* tam poznają, co unicestwia najgorliwsze nieraz zabiegi, podejmowane około wychowania, a zarazem, jak tego nieprzyjaciela młodocianego wieku pokonać. Autor wypowiada, iż w pracy tej korzystał z poglądów wielkiego pedagoga ś. p. księcia arcybiskupa wiedeńskiego, Milde.

Ci wszyscy, którzy powtarzają bezmyślnie ów fałsz liberalny o próżniaczem życiu zakonników, którzy radziby każdego zakonnika odsądzić nietylko od rozumu, lecz wyżyłować z niego wszystko, co zacne, co poczciwe, ci możeby odmienili nieco swe zdanie, gdyby zechcieli przeczytać nader zajmującą biografię: *Ojciec Gall Morell. Żywot zakonnika z IX stulecia.* Ojciec Gall, Szwajcar, to skromny tylko Benedyktyn, lecz przytem jaki to umysł potężny, jaka rozległa wiedza, jaka niestrudzona pracowitość; Ojciec Gall to poeta, polihistor, estetyk, muzyk, pedagog, lecz przytem co najważniejsza, zakonnik w całem a pięknem tego słowa znaczeniu.

Do obalenia fałszu, o bezużyteczności zakonów, przyczynić się może wielce praca statystyczna p. Józefa Pilat świeżo wyszła z druku *Die katholischen Männer- und Frauen-Klöster.* W książeczce tej zestawione są same cyfry i nazwiska lecz i z tych suchych dat dowie się czytelnik, ile to zakonników i zakonnic pracuje w duszstarownictwie w szkołach i obsługuje szpitale. Zgromadzeń zakonnych w Austro-Węgrzech jest męzkich 28, żeńskich 44, pierwsze liczą członków

700 drugie 630. Dodatek tego dziełka podającego także miejsce, rok założenia i działalność każdego zgromadzenia, mieści treściwie zebraną, a wielce interesującą jeografię kościelną. Ważną tę książeczkę można nabyć za pośrednictwem księgarni Sartorego.

Korespondencye z Paryża.

I.

Paryż 2 Sierpnia 1875.

L'Univers skazany został na cztery tysięcy franków grzywny i na zapłacenie kosztów procesu za to, że odradzał chrześcijańskim matkom, aby nie kupowały domowych drobiazgów u niejakiego p. Valentin, który na swym sklepie taki wywiesił napis: „Z powodu naprawiania domu wewnątrz sklep dzis'aj w niedzielę zamknięty". Mimo przegrania jednak sprawy w pierwszej i drugiej instancyi, p. Ludwik Veuillot wniósł rekurs do najwyższego trybunału — szło mu bowiem nie o cztery tysiące franków ofiarowanych mu oddawna przez czytelników *l'Univers'a*, ale o zasadę święcenia niedzieli, która tym wyrokiem sądowym mocno została zachwianą. Wiem o tem, że wielu katolików we Francyi i u nas w Polsce krzywem okiem pogląda na p. Veuillot'a i odpycha od siebie tak zwany „weilotyzm", ale trudno nieuznać niepospolitej odwagi cywilnej i wytrwałości męża, który przez lat 42, jawnie, śmiało, odważnie broni zasad i prawdy i nie wchodzi w żaden kompromis z nowoczesnemi pojęciami i doktrynami mimo ponętnych pokus z obozu przeciwnego.

Civilta cattolica z d. 15 Maja 1875 umieściła niedawno bardzo ciekawy artykuł p. t. *Rossya mistrzynią a Prusy uczniem w sprawie kościelnej.* Powód do tego dało jej dzieło księdza Tondini: *Regulamin kościelny Piotra Wielkiego*, o którem wspomniał w feiletonie *Czas*, a którego obszerny rozbiór podał *Przegląd Lwowski* z d. 1 Kwietnia 1875 r. W obszernym tym artykule dowodzi *Civilta*, że rząd pruski w walce kościelnej naśladuje ślepo Rossyę. Dwojaka tylko zachodzi różnica, że w Rossyi jedna osoba car, w Prusiech zaś zbiorowa jednostka „państwo" zagarnąć pragnie najwyższą nad katolickim Kościołem władzę, ale gdy w Rossyi podjęta przeciwko schyzmatyckiej cerkwi kampania udać się musiała, bo cerkiew nie miała już oddawna żywotnej siły, to w Prusiech przegrana będzie po stronie rządu, bo tam katolicyzm opiera się na niespożytej wyższej potędze, bo potędze Chrystusowej. Zdaje mi się, że podobną analogię odszukaćby można w każdem prześladowaniu Kościoła, zmieniają się wprawdzie daty i nazwy, ale rzecz pozostaje ta sama.

W Londynie niezmordowany Wolsey wniósł projekt, aby wysadzić osobną komisyę do zbadania jezuickiego instytutu. Zdawałoby się, że szanowny ten poseł należy do pruskiego stronnictwa i wojuje przeciw Jezuitom z przyjaźni dla księcia Bismarka. Tak jednak nie jest. Ludzie, którzy go znają osobiście, upewniają, że p. Wolsey ma małego w tej materyi zajączka. To też, gdy mówił arcydługę swą oracyą, Izba słuchała go cierpliwie, ale gdy prezydent zapytał, czy wniosek dostatecznie poparty? wtedy nie podniósł się ani

jeden głos w Izbie. Wtenczas dopiero nie było końca głośnym śmiechom i klaskaniu w dłonie. Tak agitacya anti-jezuicka w Londynie zabitą została śmiesznością.

Nasza emigracya dogorywa. Zasługa to czy wina komuny, do której się kilka imion polskich wmieszało. W Paryżu zostaje zaledwie 400 Polaków; kto może wraca do kraju, pragnąc na ojczystej ziemi złożyć swe kości.

Na wystawie jeograficznej, umieszczonej w wyrestaurowanej części Tuilleryów, figuruje kilkaset map rossyjskich, cztery małe sale niemi zajęte. Zwraca wszystkich uwagę mapa Kaukazu, wygotowana trudem i staraniem p. Józefa Chodźki, który jako szef inżynieryi w kaukazkim kraju wiele tam lat przepędził. Przykre jednak i nad wszelki wyraz bolesne wyniosłem z onej wystawy wrażenie: z kilkudziesięciu tysięcy map, któremi poobwieszane 4 piętra obszernego gmachu, nie masz ani jednej mapy polskiej: są finlandzkie, tureckie, chińskie i japońskie — Polska nieszczęśliwa figuruje wszędzie jako zachodnia prowincya Rosyi. Czyż spełnić się na nas mają słowa proroka: *Delebo nomen ejus a facie terrae?*

II.

Paryż dnia 9 Sierpnia.

Trudno znaleść miasto, z wyjątkiem może Rzymu, któreby miało fizyognomię więcej chrześcijańską jak Paryż dzisiejszy, okrzyknięty do niedawna za nowy Babilon. Znaczącą i arcypouczającą jest statystyka korporacyj i zakładów wszelkiego rodzaju z cechą wybitnie katolicką, podana w szematyzmie paryzkim. Któżby uwierzył, a jednak tak jest, że w samym Paryżu znajduje się: 920 księży kleru świeckiego, 27 zakonów męzkich, 76 zgromadzeń żeńskich. różnej reguły poświęconych Bogu, oddających się szczerze wychowaniu dzieci, pielęgnowaniu chorych, starców i zakładów chrześcijańskiego miłosierdzia 56, nie licząc seminaryów, w których kształci się młodzież wyłącznie do duchownego stanu; szkół średnich i niższych (*primaires*), zostających pod zarządem księży świeckich i zakonnych 37. A są to szkoły liczne, bo np. w zakładzie Braci Szkół Chrześcijańskich w Passy 800 uczniów, w jezuickim pensyonacie w Vaugirard 800 uczniów, w drugim pensyonacie jezuickim na *rue de Poste* przygotowującym do szkoły wojskowej i centralnej dróg i mostów blisko 600, w zakładzie Stanisława (Leszczyńskiego króla Lotaryngii i Baru) zostającym po części pod nadzorem świeckiego kleru uczniów 700, w zakładzie OO. Dominikanów, założonym przed niewielu laty przez O. Lacordaire'a w Arqueil, uczniów 260.

Nie już nie mówię o tej drobnej dziatwie, która całemi setkami pobiera początkowe wychowanie, wywierające bądź co bądź stanowczy wpływ na życie człowieka, w szkółkach i ochronkach: Sióstr miłosierdzia, Dam syońskich, Sióstr i Braci szkół chrześcijańskich itd. itd. Siostry miłosierdzia na wielką moją, a sądzę i wszystkich ludzi katolickich, pociechę rozgospodarowały się na dobre w Paryżu, nazwałbym też to miasto *ville des soeurs de la charité*. Ujrzysz ich każdej chwili po dwie, po trzy, na każdej ulicy, na każdym placu, w dorożkach omnibusach, powozach i wagonach. Jedne z nich prowadzą drobną dziatwę na przechadzkę, lub towarzyszą im do szkoły i rodzicielskiego domu, drugie odwiedzają chorych, ubogich, a inne jeszcze idą na nabożeństwo do tego lub owego

kościoła, lub spieszą za sprawunkami swych zakładów. Czekając na omnibus naliczyłem w przeciągu nie więcej jak 5 minut siedm sióstr miłosierdzia, które przesunęły się przed memi oczyma ulicą. Spotkasz się także co chwila z siostrami innych kongregacyj, obiegającemi w różnych kierunkach miasto. Strój ich czarny, różnica tylko w nakryciu głowy, które zwykle jest białe. Któż policzy te setki księży francuzkich w kapeluszach o ogromnych kresach, z czarnym rabatem u szyi, jednych starannie ogolonych, a drugich z potężną brodą, szparkim krokiem przemykających przez place i ulice? Nikogo to nie uderza, nikogo nie dziwi, nikt tym duchownym i zakonnym osobom najmniejszej choćby tylko lekceważącem wejrzeniem nie czyni zniewagi. I to się dzieje na przestrzeni całej Francyi. Widziałem jadąc z Nancy do Paryża na każdej niemal stacyi, a jest ich 43, wsiadające lub wysiadające różnych reguł zakonnice; są pewne i bezpieczne siebie, jadą drugą a nawet trzecią klasą często same jedne, pojedyńczo. Nie bez przyczyny zatrzymuję się nad tym objawem; potrzeba znać psychologią serca ludzkiego, a łatwo się pojmie, że już sama obecność tych osób duchownych i zakonnych, występujących wszędzie w swym stroju a zawsze z powagą i godnością, śmiało i bezpiecznie, wywierać musi wpływ moralizujący, oswajający z chrześcijaństwem umysły ludności. Wnieść też loicznie można, że ludność ta czy społeczność jest daleką od wszelkiego fanatyzmu antireligijnego, co w dzisiejszym czasie jest już stroną dodatnią, pocieszającym symptomem. Dopieroż gdyby kto chciał choć w przybliżeniu obliczyć i ocenić doniosłość jaką ma pod względem religijno-moralnym zbiorowa praca tylu duchownych i zakonnych zgromadzeń w różnym kierunku nauki i chrześcijańskiego miłosierdzia. Z góry *à priori* rzecz rozstrzygając, wnieśćby należało, że w krótkim lat przeciągu, w ćwierć wieku najdalej przeważna część społeczności odrodzi się duchowo, zostanie c h r z e ś c i j a ń s k ą w całem znaczeniu tego słowa. Wzgląd jednak mieć wypada na prądy przeciwne, na wpływ starszych pokoleń wychowanych bez Boga, albo wcale nie wychowanych, jeno wyrosłych jak stado zwierząt, rozumnych wprawdzie, ale zawsze zwierząt.

Zarzucano francuzkiemu duchowieństwu, że się odosobnia, zamyka zanadto w sobie, że nie wywiera i nie chce wywierać wpływu na dom, na rodzinę, na szerszą publiczność jak na tę, która przychodzi do kościoła na kazanie, lub zbliża się do kratek konfesyonału. Rzeczywiście powierzchowność francuzkich księży wydaje się nieco sztywną, wymanierowaną i wymuszoną, razić ona może nawet dobrych katolików cudzoziemców, ale potrzeba znać stosunki miejscowe. Duch wielkiej rewolucyi pokutuje jeszcze potężnie w społeczeństwie francuzkiem, a pomnijmy że to duch niewiary, a co zatem iść musi i niemoralności. Obecność więc katolickich księży, bywanie ich po domach i familiach naraziłoby bardzo często ich dobre imię na niesławę, a rewolucyjne dzienniki, których tu liczba bezmierna, pochwyciłyby w lot każdą bajkę, każdy komerażyk i do setnej podniosłyby potęgi. Z tych więc przyczyn francuzcy księża muszą być niezmiernie ostrożni, (jak Polacy przed rossyjską policyą) i ostrożność ta wyrodziła w nich pewną sztywność i stała się przyczyną onego zamknięcia się w sobie, ograniczyła ich na mury kościoła lub zakładu, któremu przewodniczą. Z czasem da Bóg zmienią się stosunki, w każdym jednak razie wolę widzieć francuzkich księży wymuszonych i z zasznurowanemi ustami, jak polskich lub niemieckich udzielających się zbyt wiele i wybijających hołupce na zabawach lub trawiących na nich całe godziny. *De duobus malis minus eligendum.* Nie przeczę jednak, że

tak w Polsce jak i w Niemczech znajdziesz i to nie rzadko księży dziwnej roztropności w udzieleniu się na zewnątrz. Zresztą i we Francyi znam kapłanów, którzy bywają w uczciwych domach i zakres swej działalności rozciągają znacznie po za granicę Kościoła. Tym antichrześcijańskim a niestety licznym jeszcze i silnym prądom w społeczeństwie francuzkiem przypisać należy, że mimo licznego nadzwyczaj moralnego i gorliwego duchowieństwa, mimo tylu instytucyj chrześcijańskich naukowych i dobroczynnych, znajdziesz parafie, gdzie ledwo dziesiąty, ledwo piąty procent ludności przystępuje do wielkanocnej spowiedzi i komunii, że mimo tysiące obojej płci młodzieży, wychowanej pod sterem księży lub zakonnic, nie naliczysz zwłaszcza między wyrobniczą i średnią klasą wielu spełniających praktyki wiary katolickiej. Duch czasu oddziaływa potężnie. Wnet po pierwszej komunii św. oddają chłopczyka lub dziewczynkę do rzemiosła i fabryk. Praca i to ciężka praca, a do tego niedostatek i nędza, zły przykład otoczenia, złe dzienniki za dwa centy sprzedawane, a nawet bezpłatnie rozrzucane w magazynach, warsztatach i fabrykach, rozwijające się z wiekiem namiętności — wszystko to razem wyziębia powoli uczucia religijne, zaciera zasady moralne, które w tak dziecięcych jeszcze główkach nie mogły się przyjąć gruntownie. Tym sposobem wzrasta i dojrzewa klasa robotników, rzemieślników i przemysłowców, klasa ludzi najbardziej obojętnych w wierze, chociaż pracowitych a nie rzadko nawet i wysoce prawych i uczciwych. Troskliwość i kłopotliwe zabiegi o chleb codzienny, o życie, pochłania całą uwagę i działalność umysłu, *de die in diem vivitur*, z dnia na dzień bez myśli o czemś wyższem, nadziemskiem, duchowem i bożem. Jestem głęboko przekonany, że gdyby taką pracę łożono około duchownego i religijnego wykształcenia polskiego ludu po wsiach i miasteczkach, jak we Francyi, toby ten lud wiarą i czystością swych obyczajów przypomniał pierwsze wieki chrześcijańskie. Ale we Francyi praca religijna napotyka na grunt twardy. Chłop francuzki zamożny i dostatni, czytający od lat wielu dzienniki i pisma podtrzymujące tradycyą wielkiej rewolucyi, nie czuje potrzeby pójść do kościoła, a ksiądz jest dla niego takim zwyczajnym *monsieur*, jak szewc, który mu buty robi, lub kowal okuwający jego powózkę. Nie broni on wprawdzie swej żonie pójść na mszą, chętnie widzi gdy jego dzieci wystrojone i uwieńczone do pierwszej przystąpią komunii, ale też i na tem koniec. Dopokąd więc ludność wiejska pracująca i przemysłowa karmioną będzie bezreligijnemi pismami, dopokąd wielkie zakłady przemysłowe i fabryki nie przestaną być, tem czem są — tylko jarzmem, w którem człowiek, by wół pracujący wprzągniony, dopóty wielka część religijnej pracy duchowieństwa i zakonów zostanie zmarnowaną. Pragnąc zaradzić złemu, zawiązano od czterech lat olbrzymie stowarzyszenie katolickie robotników, pod opieką biskupów, którzy w liczbie 30 zapowiedzieli swój przyjazd na wielki kongres robotniczego stowarzyszenia, mający się odbyć w Reims od 23 — 28 Sierpnia b. r.

Z pociechą także zaznaczyć wypada, że młodzież szkół średnich, która po ukończeniu nauk w zakładach duchownych wstąpiła do szkół wyższych, nie zrywa stosunków z dawnymi mistrzami, tworzy między sobą kółka z wybitną cechą katolicką, praktykuje po dawnemu swą wiarę, a co większa poczytuje sobie za zaszczyt nienależeć do wolnodumców i nieoglądać się na prądy opinii. Zastęp ten wzmaga się z każdym rokiem znacznie i nie mylę się, gdy mniemam, że w tej odradzającej się duchowo młodzieży złożone nadzieje lepszej przyszłości dla Francyi.

O tych szkołach średnich i o kierunku, jaki przybiera we Francyi wychowanie w ogóle, słów kilka powiem w następnym liście, na teraz tych kilka krótkich wiadomości.

Emigracya nasza ma się ku skonaniu. Rząd zniżył roczną subwencyę dla emigracyi wszystkich narodów z 2 milionów franków do pół miliona, to też szkoła batiniolska stopniała z 350 do 80 uczniów, a szkoła żeńska w hotelu Lambert do 12 panienek utrzymywanych kosztem hr. Wład. Zamojskiej. Książę Wład. Czartoryski ma stale zamieszkać w Krakowie. Szeregi starej emigracyi z 30 roku śmierć znacznie przerzedziła; kto może wynosi się do kraju. Biblioteka polska licząca do 50.000 tomów dzieł rzadkich i ważnych bardzo mało odwiedzana. Kościółek Polski N. P. Wniebowzięcia w niedzielę i święta nawet na pół pusty, ledwo 60 słuchaczów naliczysz na kazaniu.

Odwiedziłem przed kilku dniami historyka Morawskiego. Ośmdziesięcioletni ten starzec, niegdyś minister spraw zewnętrznych w listopadowej Polsce dzisiaj już do żadnej umysłowej pracy niezdolny; cieszy się, że inni zajmują się drugiem wydaniem jego historyi, która w 6 tomach w 700 egzemplarzach w świat puszczona w lat zaledwie trzy zupełnie z księgarskiego handlu wyczerpniętą została; najlepsza to rekomendacya dla poważnego dzieła.

Ukraiński nasz spiewak Bohdan, grozi że lutnię zawiesi na dębie, bo ręce kostnieją od starości. Napróżno mu dowodzę, że muzy nie starzeją się wcale a Apollo wiecznie młody. Mam nadzieję że te pogróżki okażą się płonnemi. Świeżo wydał nowy tomik swoich poezyj.

Z zacniejszych rodzin ledwo kilka pozostało. Emigranckiego proletariatu naliczyć można do 300 osób; wielu poczciwą pracą zarabia na życie, ale są też i indywidua próżniacze, spuszczające się na miłosierdzie Francuzów a bardziej jeszcze na ofiarność bawiących tu dam polskich.

Wizytki polskie w Wersalu (jest ich 45) urządziły sobie skromny ale gustowny klasztorek, od lat kilku otworzyły konwikt na 40 panienek polskich; liczba ta tylko w połowie zapełnioną. Tyle o naszej Polsce w Paryżu. Smutno powiedzieć, od czasu komuny straciliśmy wiele na sympatyi Francuzów, ale bo też i ci Francuzi w przeważnej liczbie zgoła pojęcia nie mają o Polsce i Polakach. Rozmawiając z Polakami biorą ich za Rosyan. *Alors vous-etez un Russe,* powiedział mi ten komplement niedawno jeden Francuz i to człowiek od książki i pióra. Uczą się też przecie chociaż po raz pierwszy na dobre geografii. Wprawdzie może zapóźno, bo już kawał ziemi zabrali im Niemcy. Kongres jeograficzny i wystawa map w Tuilleriach ma podnieść tę naukę. Kończąc muszę nadmienić, że wszystkie wiadomości, które wziął z tutejszych liberalnych gazet korespondent paryzki do *Czasu*, o otwarciu akademii katolickiej w Paryżu przez Jezuitów i biskupa z Louvain są sobie po prostu gazeciarską kaczką.

AGENOR HR. GOŁUCHOWSKI.

Aby skreślić życiorys ś. p. Agenora hr. Gołuchowskiego, trzebaby przedstawić całą historyę naszego kraju i to nie od ćwierćwiekowego okresu jego naczelnej władzy, krótkim podlegającej przerwom, ale od czasu oderwania tej dzielnicy narodu i stworzenia nowej nieznanej dotąd w historyi i w geografii krainy, Galicyą zwanej, bo postać zmarłego namiestnika stanowi przełom w tych stuletnich dziejach administracyjnych, politycznych i społecznych; trzebaby nadto zachwycić także kęs historyi monarchii habsburgskiej w jej przeobrażeniu od starej Austryi metternichowskiej do dzisiejszych stosunków noszących jeszcze piętno przejściowe. Zewsząd sypią się już dziennikarskie wyroki, najczęściej pełne jeszcze namiętności stronniczej, tendencyjności lub obawy, a po większej części nacechowane powierzchownym sądem. Historya jeszcze czeka z swojemi wyrokami i czekać będzie tak długo, dopokąd nie zamknie się epoka, w której tak przeważne wobec państwa, kraju i społeczności zajmował stanowisko ten wierny sługa monarchy, a dzielny kierownik i rzecznik kraju; dopokąd nie znikną uprzedzenia i względy, a z oddali nie wystąpi ta postać na tle minionych czasów, tak odrębnego wśród naszego narodu charakteru, a nawet wyróżniająca się w pośród współczesnych ludzi politycznych. Jeśli przeto niepodobna dziś wyprzedzać sądów historyi, pouczającem byłoby może studyum psychologiczne tego charakteru tak wytrwałego, a tak niepodległego, tego hartu duszy i silnej woli połączonej z giętkością dyplomaty. Kiedy Polacy w trzech złomach swej ojczyzny są ustawicznie rządzeni przez obcych i tylko bierne zmuszeni zajmować stanowisko, tylko odporne wyrabiają w sobie siły, ciekawem i pouczającem byłoby przedstawić, jak Polak dochodzi do władzy i rządzi. Położenie narodu wdrażało nas ustawicznie w negacyę władzy i pchało siłą wypadków *nolens volens* w kolej rewolucyjną, lub też wiodło na stanowisko protestacyi i bezskutecznego afirmowania praw zaprzeczanych: wyjątkiem też jest i antitezą tego kierunku ogółu naszej społeczności mąż, co stworzony do rządów, przebywa wszystkie stopnie hierarchii urzędnika austryackiego, aż wreszcie ujmuje w potężną swą dłoń ster rządu w państwie i ten pierwiastek władzy, legalności, ładu, karności, utwierdza nietylko wobec własnego kraju, ale także wobec przewrotów politycznych na widowni szerszej stosunków całej monarchii.

Lecz i na podobne studyum indywidualne dziś jeszcze nie pora, bo któż oddzielić już zdoła prywatny charakter od publicznej działalności. To też nie myślimy świeżego grobu namiestnika zasypywać ni wieńcami pochwał, choćby najszczerszych, ni żałobnemi wieńcami najtkliwszych skarg po jego zgonie. Strata okazuje się tem większą, że niełatwą będzie do zastąpienia, bo niemal niepodobnem okazuje się znaleźć tak połączonych w jednej osobistości wszystkich warunków i przymiotów, jakich wymaga władza w ogóle, jakie są potrzebne w szczególności na wyjątkowo najeżonem trudnościami stanowisku namiestnika Galicyi.

Powiedzmy całą prawdę: ona negacya władzy odziedziczona po części z naszej przeszłości, a rozwinięta w skutek położenia naszego narodu, doprowadza do tego, że aby Polak mógł rządzić Polakami, musi być bezwzględnym. Z drugiej zaś strony trzeba także hartu niezłomnego, trzeba wpływów wyjątkowych, wyjątkowych antecedencyj, trzeba zręczności połączonej z godnością, przebiegłości politycznej z darem impozycyi, aby módz utrzymać władzę Polakowi wobec zmieniających się systematów u góry, aby umieć zasłonić kraj od nieprzyjaznego nacisku. Ztąd też pochodzi, że nawet te strony charakteru w zmarłym namiestniku, które wielu do niego zrażały, dopomagały mu do sprostania ciężkiemu zadaniu. Dobrze już powiedziano, że hr. Gołuchowski nie był kochanym i nie szukał miłości, bo też władza na miłości się nie opiera, a miękka natura polska nie lubi mężów żelaznej woli stworzonych do władzy. Popularnością społeczność nasza niezwykła otaczać tych, co wyższą przynoszą myśl i chcą ją przeprowadzić z wytrwałością niezachwianą. Natrafiał często hr. Gołuchowski na pochlebstwo opinii, nierzadko używał jej za narzędzie, ale prawdziwa popularność zamanifestowała się dopiero w czasie choroby, gdy kraj zatrwożył się następstwami straty, która mu zagrażała Po śmierci będą mu wznosić pomniki; to rzecz dość zwyczajna u nas, za życia nie ułatwiano mu spełnienia trudnych obowiązków.

Lecz jeśli niełatwem jest zadanie rządzić Polakowi, utrzymać władzę wobec Niemców i wobec własnych, pogodzić interesa kraju i narodowości z obowiązkami wobec monarchii i warunkami wobec rządu naczelnego — to niemniej w dzisiejszych czasach trudnem zadaniem bywa dla katolika nie zachwiać się w wierności Kościołowi, a przetrwać wszystkie pokusy w samej już władzy z natury rzeczy spoczywające, pogodzić sumienie katolickie z kierunkami i wpływami, które dziś mają przewagę w sferze politycznej.

Nie śmielibyśmy też twierdzić, aby hr. Gołuchowski zawsze z tej trudności wychodził zwycięzko, aby niekiedy nie czynił pewnych transakcyj w wewnętrznych przekonaniach i ustępstw od zasad. Nie powiemy także, aby w tych zasadach katolickich, które go w gruncie ożywiały doszedł był do ostatnich konsekwencyj. Niebył to zapewne ultramontanin, to jest mąż, który sprawy ludzkie z wyżyn sprawy bożej, bezwzględnego dobra, absolutnej ocenia prawdy. Lecz gdzież są u steru ludzie podobni; zasady chrześcijańskie wykluczone dziś ze świata politycznego, wyznawstwo zasad nakłada obecnie tylko bierny opór, a między ludźmi władzy rzecz to już wielka jeśli nie są przeciwnikami Kościoła i umieją zachować, choćby tylko tolerancyę.

Hr. Gołuchowski nie tylko nie był przeciwnikiem Kościoła, ale gdzie tylko mógł i o ile mógł stawał w obronie interesów religijnych. Wychowaniec konwiktu OO. Jezuitów w Tarnopolu, odebrał wykształcenie chrześcijańskie, nie przestał żyć w Kościele jako praktykujący katolik, wszelako bardziej zwrócony do praktycznych wielkich celów władzy niż zgłębiający jej moralne podstawy, wypróbowany wśród zmieniających się we wszystkiem szkół rządzenia, tylko niezmiennych we współzawodnictwie państwowej wszechwładzy z moralnym rządem Kościoła, hr. Gołuchowski nie zeszedł ze stanowiska katolickiego, ani za Metternicha, ani za Bacha, ani za ery konstytucyjnej. Stawał on tylko wobec Kościoła i jego spraw jako pośrednik, a niekiedy nawet jako protektor. Nierzadko atoli usłyszyć można było z jego ust, jakieś utyskiwania, że w tem Stolica św. idzie za daleko, lub że w tej kwestyi należy się ustępstwo duchowi czasu i warunkom politycznym. Właściwość ta wspólna ludziom, co wrzuceni w wir polityczny nie miarą bezwzględnej prawdy, ale miarą możebności chwilowej oceniają najwyższe zagadnienia społeczeństw i państw i ich stosunek do Kościoła.

Mimo to nie był nigdy hr. Gołuchowski bezwzględnym zwolennikiem józefinizmu, lubo wyszedł najpierw ze szkoły metternichowskiej, józefinizmem zarażonej do gruntu. Niejednokrotnie mieliśmy sposobność przekonać się, że potępiał ten kierunek zmieniający duchownych na urzędników, wydający takie następstwa, jak wychowańców w seminaryach unickich, uciekających do Rossyi dla uciskania swego ludu. Wobec bezwyznaniowości był jej jawnym nieprzyjacielem, karcił jej objawy u podwładnych, niereligijnych profesorów usuwał ze szkół, w podróżach swych i objazdach kraju zaczynał zawsze od zwiedzania kościołów i przyjmowania duchownych, zwiedzając szkoły pytał dziatwę przedewszystkiem o postępy

w katechizmie. Karcąc bezwyznaniowość w kraju, umiał czoło stawić naciskom w tym kierunku z góry, a nie wahał się, o ile charakter urzędowy na to pozwalał, wystąpić w opozycyi jawnej przeciw antireligijnym reformom. Wspomnieć tutaj należy, jako jeden z pierwszych aktów niezawisłości zachowania się hr. Gołuchowskiego wobec ustaw gruchocących konkordat. Przybył on do Wiednia powołany przez ministra, który na walną bitwę przeciw ultramontanom w Izbie panów chciał zgromadzić wszystkich od rządu zawisłych parów. Lecz zamiast udać się do Izby, poszedł do cesarza i oświadczył: „N. Panie, jako urzędnik nie mogę występować przeciw mym przełożonym, ale jako katolik nie mogę za ustawą głosować, czy dozwolisz N. Panie, abym nie był na posiedzeniu obecnym“. Oczywiście, że oświadczenie to zwiększyło tylko szacunek i zaufanie cesarza, a hr. Gołuchowski nie pojawił się w Izbie, narażając się na niechęć gabinetu i na krzyki dziennikarstwa liberalnego stolicy.

Wspomnieć nam też należy, iż zachowywał wdzięczną pamięć i ścisłe stosunki z członkami zakonu, któremu zawdzięczał swoje wykształcenie. Otaczał zwłaszcza najwyższą czcią jednego z ich grona bliskiego mu pokrewieństwem świątobliwego staruszka O. Baworowskiego. Okazywał życzliwość dla zgromadzenia Zmartwychwstańców i pragnął ich powrotu do kraju. Chciał on oddać zakonnikom polskim kierownictwo małego seminaryum we Lwowie i znosił się w tym celu z ś. p. O. Hieronimem Kaysiewiczem. Biedni zakonnicy-tułacze przyjmowani w kraju częstokroć uprzedzeniami, a nierzadko obrzucani błotem, szczuci przez sforę dziennikarską, która miotała się na tych prawdziwych patryotów-kapłanów, jak gdyby była z siepaczów moskiewskich złożona — z obawą zbliżali się do namiestnika, a odchodzili z otuchą. Poczucie polskie i poczucie katolickie wzbudzało w hr. Gołuchowskim uznanie ich wartości i zasług tak wobec narodu, jak i Kościoła.

Gdy zaczęto wyganiać najpierw zakony żeńskie z Rossyi, a potem z Prus, hr. Gołuchowski niekiedy może szorstki w pierwszem zetknięciu, zawsze jednak dał się zmiękczyć i ułatwiał osiedlenie prześladowanym. Jemu to zawdzięcza zgromadzenie panien Felicyanek opiekę. Poznawszy zbawienny wpływ pracy i poświęcenia tych zakonnic oddawał im wbrew agitacyi bezwyznaniowców i dziennikarskim protestom zarząd szkółek, jak w Żółkwi.

Oskarżają hr. Gołuchowskiego centraliści o prześladowanie unitów, mieniąc go zarazem twórcą kwestyi ruskiej. Nie znamy tajników

rządowych, aby ten ostatni zarzut módz dostatecznie odeprzeć, ale to pewna, że hr. Gołuchowski był pierwszym z Polaków, co uznał ważność kwestyi ruskiej i co zawsze okazywał się skłonnym do ustępstw pod względem języka; a że z drugiej strony był pierwszym i bodaj czy nie jedynym z urzędników austryackich, co widział jasno haniebne dążności stronnictwa św. Jura, zgubne równie dla kraju jak dla monarchii. Przedewszystkiem tendencya schyzmatycko-moskiewska, niestety tak silnie występująca, oburzała go do żywego. Pragnął on też wzmocnić Unię kościelną, ale nie mając prawa i atrybucyi skutecznego skrócenia agitacyi schyzmatyckiej, odwoływał się pod tym względem kilkakrotnie do władz duchownych i pisał listy ostrzegające do nuncyusza apostolskiego w Wiedniu. Jedynem prześladowaniem Rusinów przez namiestnika, o którem tak wiele piszą w *Słowie*, rossyjskich dziennikach i wiedeńskich *Pressach* było tylko energiczne śledzenie emisaryuszów moskiewskich, którzy przybywali do Galicyi, aby werbować zbiegów z duchowieństwa na propagatorów schyzmy w Chełmskiem. Drugą zbrodnią hr. Gołuchowskiego wobec Rusi było, że wygnanych księży unickich z Chełmu przyjął do kraju, że kiedy w skutek intryg nie znachodzili umieszczenia w dyecezyach swego obrządku ci dzielni wyznawcy Unii św. i sprawy ruskiej, to hr. Gołuchowski wyszukiwał im posady rządowe i umieszczał ich jako nauczycieli szkół ludowych.

Wszystko to są wymowne dowody głębokiego religijnego uczucia, jakie hr. Gołuchowski wyniósł z tradycyi i wychowania, a które zachował i rozwijał w życiu prywatnem. Zwykle gdy się zaczną bóle, ciosy spadają a koniec się zbliża, to i ten powiew uczuć religijnych silniej wyrasta i góruje nad innemi uczuciami, co miotały życiem czynnem i ruchliwem. Padł taki cios w roku przeszłym, palec Boży dotknął boleśnie czcigodny dom spojony czułą miłością rodzinną. Hr. Gołuchowski po stracie syna długo podźwignąć się nie mógł, ale wyraził pragnienie, że jedna tylko pociecha pokrzepiłby go mogła w ciężkiej boleści, a pociechą tą błogosławieństwo Ojca Św. Kiedy życzeniu temu stało się zadość i błogosławieństwo dla całej rodziny z własnoręcznym podpisem Ojca Św. nadeszło, czule dziękując kapłanowi, który bez wiedzy namiestnika pośredniczył w wyjednaniu tej łaski, rzekł: „dzień dzisiejszy należy do najpiękniejszych mego życia; dokument ten zostanie najdroższą w domu moim pamiątką, przekażę go dzieciom jako najpiękniejszą spuściznę“. Na drugi zaś dzień cała rodzina namiestnika przystępowała do stołu Pańskiego.

Hr. Gołuchowski, jakeśmy już powiedzieli, przeciwnik bezwyznaniowości, z oburzeniem wspominał często w ostatnich czasach o pruskim

Kulturkampfie, a z uwielbieniem dla prześladowanego duchowieństwa, zwłaszcza zaś dla kardynała Ledóchowskiego i biskupów niemieckich. Słyszeliśmy jak wyrażał obawy, że w razie gdyby podobna walka wszczęła się w państwie austryackiem, nie znalazłaby się tutaj równa moc i stałość w duchowieństwie, gdyż jak mówił, „niema ono w sobie kości męczenników“. To też gdy się dowiedział, że nasi Czcigodni Pasterze z Galicyi za inicyatywą J. Excell. Najprzew. Arcybiskupa i Metropolity ks. Wierzchlejskiego napisali listy do J. Emin. kardynała Ledóchowskiego, hr. Gołuchowski nie taił wcale radości, jaką mu sprawiło to wspaniałe dwukrotne odezwanie się przedstawicieli episkopatu polskiego.

Zbliżał się koniec, więc coraz goręcej zwracał się obłożnie już chory do pociech religijnych. Kilkakrotnie przyjmował Sakramenta, a w uroczystość 16 Czerwca z całą rodziną przyjmował komunię św.

Ograniczyliśmy się na tych kilku rysach ze strony może najmniej znanej i najmniej cenionej, a najważniejszej, bo ze strony uczuć religijnych. Potężny ten charakter, hardy nieraz wobec ludzi, był kornym wobec Boga.

Kronika.

Irlandya wolna i używająca pokoju, wysławia dzisiaj swego Oswobodziciela. Zgromadziła się ona cała, aby pochować w łonie swej obiecanej ziemi zwłoki tego, który urodzony w chwili srogiego jej ucisku, otworzył jej na oścież bramy wolności. Przyznaje mu ona dzisiaj grób żywy, przeznaczony dla ludzi, których dzieła nie zwykły nigdy ginąć. W tej uroczystości przewodniczy jej kwitnący jej Kościół, który w tym kraju rządzonym prawem banicyi ustroił się dzisiaj w rzymską purpurę. Wokół niego cisną się tłumy obywateli przybranych w purpury obywatelskie i w purpurę po tylu walkach zdobytej wolności. Taką jest chwała grobu O'Connell'a. Po tym pośmiertnym blasku każdy poznać już może tego pracownika sprawiedliwości. A jednak często niedowierzano mu za życia, odpychano, a ileż to razy został od własnych zapoznany braci? Atoli dla tego, że umiłował sprawiedliwość, stał się ojcem swego narodu, a hołd składany jego pamięci, znajduje dzisiaj poklask u całego rodzaju ludzkiego.

Tak mówi Ludwik Veuillot o wielkim Oswobodzicielu Irlandyi, którego stuletnią rocznicę urodzin obchodził dzielny lud zielonego Erinu, 7 b. m.

Dzienniki podają nam obszerne opisy tej wspaniałej uroczystości, w której obok trzydziestu biskupów pod przewodnictwem kardynała Cullen, lorda prymasa Irlandyi i lorda-majora miasta Dublinu wzięli udział wszyscy najznakomitsi mężowie pióra, nauki i wymowy, biskupi Francyi i Szwajcaryi, prałaci i dostojnicy rzymscy, słowem najgłośniejsze imiona w świecie katolickim.

Kościół polski, siostrzycę Irlandyi, Polskę naszą przedstawiał potomek głośnego w całym świecie książęcego rodu, członek pobożnej i dostojnej rodziny, ksiądz Edmund książę Radziwiłł. Czterykroć stotysięcy dzieci Irlandyi, strojnych w zieleń i wstęgi zielone zbiegło się ze wszystkich miast całego niemal świata, aby wraz z nimi złożyć hołd swemu Oswobodzicielowi. Blisko pięć godzin potrzeba było czasu, aby to morze rozradowanego a pełnego żywej i głębokiej wiary ludu przesunęło się po ulicach i placach Dublinu, zanim zebrało się około wystawionego O'Connellowi pomnika. Brak jednakże miejsca, a nadewszystko brak czasu nie pozwala nam dać szczegółowego opisu tej wspaniałej uroczystości. Napomknąwszy o pomniku, nie myślmy, aby on był w rodzaju pomników stojących po naszych placach i ulicach miast Europy środkowej — nie, lud wiary, lud dla wiary trzechwiekową nędzę i katusze znoszący, innego rodzaju postawił pomnik swemu oswobodzicielowi — pomnik, w którego formie i jakości wyraża się już dusza tak O'Connella jak i irlandzkiego ludu. Pomnik na cześć O'Connella wystawiony w formie wieży strzelającej w Niebiosa, uwieńczonej złocistym krzyżem, wewnątrz której znajduje się obszerna wspaniała świątynia, cała wyłożona drogiemi marmurami, w której złożono szczątki O'Connella. Na czterech stronach wieży, na zewnątrz czytamy następujący, złotemi literami wyryty napis:

I. DANIEL O'CONNELL
HIBERNIAE LIBERATOR
AD LIMINA APOSTOLORUM PERGENS
DIE XV MAII
GENUAE OBDORMIVIT IN DOMINO
ANNOS NATUS SEPTUAGINTA TRES
R. I. P.

Oto wszystko, co napisano na pochwałę wielkiemu mężowi. A jednak jakaż to chwała zawarta w tych pełnej prostoty wyrazach. Z każdego słowa wysnućby można świetny na cześć O'Connella panegiryk. Tak robi lud wiary, lud, którego ojczyzna słusznie wyspą świętych się zowie.

Na uczcie, do której zasiadło sześćset przeszło osób, wzniósł Lord-Major pierwszy toast na cześć Ojca Św. Obiegł on dzisiaj cały świat katolicki. Słowa czcigodnego przedstawiciela Irlandzkiego ludu wzruszyły od radości serca wszystkich katolików. Oddawna już żaden z hierarchów świeckich, piastujących najwyższe urzędy w społeczeństwach w takich nie odezwał się słowach, w tak gorący sposób nie złożył publicznie czci swej Głowie Kościoła! Po toaście Lorda Majora rozpoczął się szereg mów wspaniałych. Mgr. Nardi pierwszy rozpoczął, dziękując za toast na cześć Ojca Św. W imieniu zaś Kościoła polskiego i koła poselskiego zabrał głos ksiądz Edmund książę Radziwiłł poseł na sejm berliński. Dziękując za zaproszenie Polaków do wzięcia udziału w uroczystości, wspomniał, że Polska z Irlandyą były zawsze połączone węzłem wspólnych cierpień, napomknął o ucisku w niej Kościoła i narodowości, położył nacisk na zajęte stanowisko przez Jego Eminencyę kardynała Ledóchowskiego i tak zakończył tę przedziwnie piękną swą mowę: „Polska niejednokrotnie występowała do boju w celu wywalczenia sobie niepodległości, lecz za każdym razem stan rzeczy się pogorszał. Dziś przyznać musimy że potęga cichego cierpienia większą jest od siły zbrojnej. Mieliśmy wielkich patryotów, wielkich wojowników i bohaterów ale nie mieliśmy dotychczas męża, któryby d o t e g o s t o p n i a, jak wielki Wasz ziomek O'Connell umiał połączyć w doskonałą harmonię, miłość ojczyzny i przywiązanie do wolności z miłością wiary i Kościoła katolickiego

Dziś, zdaje się, wzbudził Pan Bóg wśród nas takiego męża w osobie Jego Eminencyi Kardynała Ledóchowskiego. Wiem dobrze, Panowie, że przez te słowa, narażam się na zarzut, od którego i Wasz O'Connell nie był wolnym, choć we wszystkich swych usiłowaniach i czynach był tak szczerym, otwartym i lojalnym, na zarzut rewolucyjnych dążności. Odpowiadać jednakże na podobny zarzut uważałbym za ubliżenie mej osobistej godności. Polacy katolicy nie posuną się nigdy do rewolucyi, ale też nigdy nie zrobią tego, czego im Bóg, Kościół i honor zakazują, nie poddadzą się jarzmu gwałcącemu wolność Kościoła, niweczącemu wolność sumienia, zniżającemu człowieka do stopnia niewolnika. Cierpieć będziemy, co nam Bóg cierpieć każe, ale żadna przemoc nie zdoła nas zepchnąć z drogi wiary i honoru. A choćby nam zginąć przyszło w tej walce, sprawdzimy słowa poety:

„O krwawy znaku w strasznej dziejów nocy!
Nie opłakana od ludów, a czysta,
Kraina Polska uległa przemocy,
Bez zmazy hańby, jako łza przeczysta".

Teofil Lenartowicz. Dziwnie to smutny opanował duch wyższe sfery społeczeństwa polskiego za czasów Mikołajowskich w Polsce i na Litwie. Życie religijne jakby zamarło zupełnie, brak wiary coraz większe szerzył spustoszenie w duszach i umysłach polskich. Były to resztki tej nieszczęśliwej spuścizny, zostawionej społeczeństwu przez ducha obojętności religijnej z czasów przedlistopadowego powstania. Mikołaj skorzystał z tego. Robił co można, aby stan ten pogorszyć. Księgarzom, literatom i dziennikarzom wolno było wydawać dzieła i pisma, które w czytelnikach mogły do reszty zamrozić tlejące religijne uczucia, ale bronić prawdy i zasad wiary, najsurowiej było wzbronione. Zresztą któż miał i mógł bronić. Nie było nawet takich ludzi, coby potrafili wywołać religijne życie. Tak było niemal do 1850 roku. Ależ w sercu Polaka jednego jeszcze uczucia zniweczyć nie zdołały Mikołajowskie rządy. Miłość ojczyzny acz ukryta pilnie, gorzała jeszcze na dnie serca polskiego. Wszystko stracone; nawet moralność domowa i publiczna poszła w poniewierkę, tylko ten jeden talizman przechowanym został. Oczywiście były wyjątki, wyjątki szlachetne i liczne, ale ogół ludności, którąby dziś nazwano intelligencyą, w takim znajdował się stanie. W takich to chwilach, kiedy nikt nie był pewnym, czy kładąc się spać, nie znajdzie się nazajutrz w kaźni lub w kibitce pędzącej na Sybir, naraz nowy duch powiał, nowe życie budzić się poczęło. Jak Polska długa i szeroka, wszędy pod panowaniem Rossyi wyszeptywano sobie śpiew naszych poetów. Student w drugiej klasie przepisywał już w ukryciu od swego kolegi ustępy z Mickiewicza, Krasińskiego Koźmiana i Bohdana Zalewskiego. A robił to w przekonaniu, że spełnia czyn patryotyczny. I takim on był rzeczywiście, bo się przyczynił do zamiłowania literatury, do rozbudzenia miłości do rzeczy ojczystych, do pogardzania brudem, do skierowania umysłów w sfery duchowe i religijne. I dlatego wpływ ten ośmielamy się nazwać opatrznościowym. Czy zaś wszyscy korzystali z niego jak należy, czy nie wpłynął on później na wypadki 1863 roku, o tem mówić nie mamy

zamiaru, niech inni w tej sprawie sąd swój wydadzą. My zaś chcemy tutaj zaznaczyć, że śpiew wieszczów naszych oddziałał wtedy zbawiennie na ducha polskiego. Należy się więc i od nas, nawet ze stanowiska religijnego wdzięczna pamięć i cześć narodowym piewcom naszym, tym mianowicie, w których śpiewie żadna fałszywa nie odezwała się nuta, którzy dźwięki ojczyste przystrajali w przecudne tony religijnie nastrojonego ducha polskiego ludu. Do takiego pocztu narodowych ale chrześcijańskich nawskróś poetów należał i mazowiecki lirnik Teofil Lenartowicz. Jego śpiewy obiegały po dworach panów i domkach mieszczańskich. Rzewne, serdeczne, coś dziewiczego mające w sobie chwytały za serca, budziły miłość dla wiary, Kościoła, ojczyzny, ludu i ziemi polskiej. Lenartowiczowi pod względem czystości religijnego ducha należy się miejsce zaraz po Bohdanie Zalewskim, Krasińskim, Stanisławie Koźmianie i Wincentym Polu. A jeśli o *Boskiej Komedyi* Dantego powiedziano, że ona nie jest czem innem, jeno wyrazem ducha katolickiej wiary i katolickiej mądrości, to o Lenartowiczu powiedzieć możemy, że śpiewy jego są wyrazem ducha religijnego ludu polskiego. Na poparcie naszego zdania przytaczamy wyjątki z bardzo mało niestety znanego, przedziwnie pięknego jego wiersza p. t. *Na dzień św. Piotra*, jaki drukowaliśmy w *Przeglądzie* roku 1871 (Tom I, str. 666). Lenartowicz składając w nim hołd czci i miłości Ojcu Św. z powodu uroczystości papiezkiego jubileuszu, w tych między innemi słowach odzywa się do Ojca Św.:

Tułacz od Polski, widząc wielkie rzesze,
Do Rzymu w drogę za drugimi spieszę;
Żeby przed bramą upadłszy Piotrową,
Od braci mojej ponieść wierne słowo;
I temu starcu, co bram niebios strzeże,
Na klęczkach, wlokąc się zawołać: Wierzę!

Pójdę, niebacząc, czy kto pójdzie ze mną,
W tę noc bez gwiazdy, burzliwą i ciemną,
. . . . . .
Przyniosę do tych rzymskich tam smętarzy,
Na twarzy mojej smutek polskich twarzy...
Na duszy mojej po matce — żałości,
I połamane długą troską kości.

Lecz kromie nędzy, przyniosęć też Piotrze,
Niby jagniątko od trzody najmłodsze,
Serce ubogiej, nadwiślańskiej kmieci,
Twoich baranków, twoich dobrych dzieci,
. . . . . .
Oni przychodzą wypłakać się Tobie,
Z kraju co w grobie, do Ciebie coś w grobie,
I przed ubogim kładąc się pasterzem
Krzykiem do Nieba powtarzają! Wierzym!

Wierzym! chociażby nikt w świecie nie wierzył,
Wierzym! chociażby srożej Pan uderzył,

Wierzym! chociażby zamknął matek łona!
I będziem!.... pokąd ostatni nie skona!...
Wierzymy w Boga Ojca, Syna, Ducha,
I chociaż łódką miota zawierucha,
Nigdy w Piotrowe nie zwątpimy sfery...

W tych słowach „wierzym“ zamknął Lenartowicz całe dzieje Polski, czyny naszego rycerstwa, modlitwę naszych ojców, życie polskiego ludu, i cierpienia sierocej naszej ojczyzny. Przez jego usta zabrzmiało na nowo echo minionych czasów, echo bojujących za wiarę polskich rycerzy, śpiew Boga-Rodzicy, zamarły na ustach poległych w boju z pohańcami srebrnoskrzydlnych husarzy naszych i konfederatów Barskich. O! kto takie wypowiada słowa, w tym musi bić tętno katolickiej Polski, ten żyje duchem polskiego ludu. To też powiedzmy prawdę, poecie chrześcijańskiemu, należało się od nas serdeczne przyjęcie po tylu latach tułaczego jego życia. Dopełnili tego Krakowianie. Ze wszystkich wierszy, jakie wygłoszono na sprawionej mu uczcie, podług nas najpiękniejszym był wiersz p. Gawalewicza, bo pełen prostoty, rzewny, serdeczny, bez pretensyi odpowiadający duchowi autora *Lirenki*. Nasze Polki powinny być zadowolone, że w panu Gawalewiczu znalazły wiernego tłómacza swoich uczuć i swojego przywiązania do wiary.

* * *

Biskupi w Prusiech a *Dziennik Poznański* — Oracye i wybryki *Dziennika* — OO. Jezuici — Biskup Strossmayer — O'Connell — Owoce missyj Jezuickich na Kaszubach — Wtorowanie *Dziennika* Prusakom — Bajka o Auguście II — Nowe przysłowie — Posądzanie Stolicy św. o przyzwalanie na wprowadzenie do liturgii języka rossyjskiego — Zkąd grozi niebezpieczeństwo? — P. Kraszewski o Galicyi i Wielkopolsce — Co jest cywilną odwagą według p. Kraszewskiego?

Z Wielkopolski piszą nam (9 Sierpnia) co następuje: Biskupi katoliccy w państwie pruskiem jeden po drugim występują ze stanowczem oświadczeniem, że się nie będą sprzeciwiali udziałowi gmin w zarządzie majątku kościelnego. Widać więc, że do wszystkich nadeszło jednakowe rozporządzenie z Rzymu. Cóż się więc teraz stanie z owem junackiem wystąpieniem *Dziennika Poznańskiego*, który, za pojawieniem się pierwszej wiadomości w *Kuryerze* o tem rozporządzeniu śmiał twierdzić, że gdyby nie postawa stanowcza jego stronników, odpowiedź z Rzymu ani taka ani tak szybko nie byłaby przyszła? *Dziennik* też przycichł po tej rodomontudzie. Napisał nawet artykuł o potrzebie zgody, o wspólnem działaniu wszystkich naszych stronnictw tak na polu religijnem jak narodowem, o wielkiej szkodzie i ciosie, zadawanym naszej sprawie przez swary, z których tylko wróg korzysta. Byłoby to pocieszającem, gdyby można wierzyć w szczerość i wytrwałość *Dziennika* w tym kierunku. Ale on już nas zwiódł tyle razy układną i skruszoną postawą. Jak nabroi, tak wtedy dla zamazania swej winy występuje z oracyą pełną najlepszych zasad, lecz zgoła przeciwnych dotychczasowej jego praktyce. Być także może że osoby, od których najwięcej zależy, a które z lenistwa czy pobłażliwości tylko, w ostatecznym razie poskramiają jego zapędy, uznały w obecnym przypadku za konieczne, na zbyt wartkie koło założyć hamulec. Za ten jednak chwilowy przymus krnąbny swawolnik odbija się w pobocznych wybrykach. Oto co pisze w parę dni po owym pojednawczym i pokornym artykule;

„Ganganeli, jak wiadomo, po długiej rozwadze, idąc za radą i doświadczeniem wszystkich katolickich państw, w interesie Kościoła, uwolnił katolicyzm od jego najniebezpieczniejszego wroga, od Jezuitów."

Co w tem zdaniu przeważa, czy złośliwość czy upor nieuctwa? — trudno powiedzieć. Dziś chyba tylko w przesądach zakuta stronniczość może i chce niewiedzieć, że kasatę zakonu Jezusowego sprowadziła najnikczemniejsza intryga polityczna zmowa massonów, niedowiarków i wolnodumców najniższego rzędu, i że za nią nastąpiła najstraszniejsza rewolucya, królobójstwo i narodobójstwo, wywrót wszelkich zasad uczciwości i sprawiedliwości, którego krwawą ofiarą stała się najprzód nasza Polska. A komuż to sądzić, kto jest najniebezpieczniejszym wrogiem katolicyzmu, czy lada pierwszemu pismakowi politycznemu, czy biskupom całego świata? Jestże dziś choć jeden biskup, któryby przeciw Jezuitom powstawał? Długo liberalizm uważał biskupa Strossmayera za zatkniętą swoją chorągiew w Kościele. A czyż dostojnik ten nie sprzyja Jezuitom, czyż nie oddaje pod ich zarząd wszystkich swych zakładów naukowych i dobroczynnych? *Dziennik* sławi dziś O'Connella, jako człowieka który najdzielniej przyczynił się do rozbudzenia w ludach pierwiastku narodowego. A przecież mąż ten był wychowańcem Jezuitów, zawsze się tem chlubił, zawsze im aż do grobu sprzyjał, z ich rady i podniety działał. Czy może u nas w Wielkopolsce, postępowali oni inaczej i tłumili pierwiastek narodowy? Rękę na sercu położywszy, niech każdy sumienny człowiek, choćby liberał i bezwyznaniowiec odpowie, czyli się oni swemi missyami nie przyczyniali do ożywiania u nas ducha narodowego, czyż to nie oni w Prusach zachodnich, na Kaszubach, w dalekich zakątkach nad morzem Baltyckiem, orzeźwili w ludzie swemi kazaniami miłość ku mowie naszej i świadomość, że jego ojczyzną jest Polska? I cóż przyszło Wielkopolsce z wypędzenia tych sług Bożych? Chyba to, że się stało według życzeń *Dziennika*, który najprzód na nich nastawał. Niema Jezuitów, toście sobie stworzyli ultramontanów, tych nie starczy, to sobie wymyślicie inne przezwisko na szczerych i gorliwych katolików i będziecie ich ścigali. Rząd najprzód uderzył swym taranem w zakon Loyoli, potem pod swój miecz przybierał coraz więcej zakonów, pod pozorem że są z tamtym spokrewnione, wreszcie zniósł wszystkie. Kubek w kubek (a raczej, jak teraz u nas mówią: kubeczak w kubeczak) tak samo i nasze radykały. Mierzą niby tylko w Jezuitów, ale za nimi i we wszystkie inne zakony, a w istocie w sam Kościół. Wiedzą bowiem dobrze, że gdyby dziś przestał zakon ten istnieć, natomiast wstąpiłby jutro inny, czy który z dawniejszych czy całkiem nowy, co karnością, gorliwością, poświęceniem, nauką, stanąłby w pierwszym rzędzie, by zbierać pociski nieprzyjaciół Kościoła. Ale sama już przyzwoitość nakazywałaby pismu polskiemu nie wtórować dziś prześladowcom narodowości naszej i katolicyzmu, i ślepo nie powtarzać zużytych formułek massońskich. Może jednak i ta jest zbyt trudną dla ochotnika piszącego przeglądy polityczne w *Dzienniku*, kiedy jeden ze starszych i rozumniejszych redaktorów nie wahał się w poważnej pracy historycznej zamieścić bajkę, że król nasz August II po nawróceniu, dla okazania swej gorliwości zawiesił psu swemu różaniec na szyi. Teraz znów *Dziennik*, w braku innej broni, ciska na Stolicę Apostolską posądzenie, że ta się skłania do zgody na zaprowadzenie języka rossyjskiego w kościele polskim. Zarzut ten powtarza się od lat wielu. Można być pewnym, że póki Polacy wytrwają w oporze,

Papież nigdy nie przystanie na taką zmianę. Lepiej więc zrobi *Dziennik* i inne pisma, tak skore w podejrzywaniu Stolicy Apostolskiej, jeźli całą swą wymowę i grozę obrócą ku wstrzymaniu rodaków na Litwie od podpisywania podsuwanych im przez rząd petycyj, gdyż ztamtąd tylko grozić nam może niebezpieczeństwo. P a m i ę t a j m y: — z t a m t ą d t y l k o!

W tychże samych ostatnich numerach *Dziennika* znajduje się artykuł p. Kraszewskiego, w którym gderliwy ten pisarz powiada: „W Galicyi może się życie rodzi, rozwija — w Poznańskiem jest zgrzybiałość ze wszystkiemi cechami zrzędności i... Brat bratu nos i uszy obrzyna *ad majorem Dei gloriam*". Jeszcze przed pięcioma laty p. Kraszewski daleko wyżej stawiał Poznańskie nad Galicyę. Lecz od czasu, w którym nie udało mu się wtargnąć do nas z całym swym przyborem politycznym i anti-kościelnym, Wielkopolska z łask jego wypadła. Przepowiadano to zaraz i jakoś nie wiele się tem martwiono. Zbyt często jednak te docinki powtarzają się we wszystkich publikacyach, do których p. Kraszewski pisuje, aby raz przynajmniej ich nieodeprzeć. Jeśli co u nas rozbudziło swarliwość, to *Rachunki, Tydzień Drezdeński* i wycieczki p. Kraszewskiego w *Dzienniku Poznańskim*. Ale u niego napadać bezwzględnie na katolików, na konserwatystów nazywa się odwagą cywilną, odpierać zaś choćby najpoważniej takowe zarzuty jest obrzynaniem bratu nosa i uszów *ad majorem Dei gloriam*. Niedawno jeden z naszych młodych pisarzy wydał książkę, w której między innemi niby wizerunkami naszego społeczeństwa wystawia pobożnego katolika w najohydniejszej postaci, to znów wyśmiewa własnego krewniaka za to, że jest nieudolnym synem znakomitego ojca. Nuż p. Kraszewski zaraz pod niebiosa wynosić ten poroniony utwór, do którego sam autor już się dziś nie przyznaje i wychwalać jako wzór odwagi cywilnej. Piękna to odwaga dziś napadać na katolików. Zresztą, prawda że u nas jest zanadto sporów i kłótliwości, ale czyż w Galicyi, daleko szczęśliwiej położonej, nie jest ich więcej? A gdyby zrzędność miała wiek oznaczać to sam p. Kraszewski musiałby już liczyć sobie chyba lata Matuzalowe. Nie! nie jesteśmy zgrzybiałymi — choćby tylko spojrzeć na ten zastęp osiwiałych kapłanów, co dla wiary po więzieniach tak wytrwale cierpią, na tę rzeszę młodych lewitów, co z narażeniem zdrowia i życia, ubodzy i ścigani, noszą chyłkiem pociechę i sakramenta parafianom, ogołoconym z pasterzy, to już widać dość życia, wiośnianego życia, co zapowiada wzrost, zdrowie i siłę.

Karliści. Pewien Anglik, korespondent do niepodejrzanej wcale o sympatyę do katolików lub Karlistów *Pall-Mall-Gazette* pisze z wnętrza cytadeli Seo d'Urgel co następuje:

Gdy wszedłem do cytadeli, trzymał właśnie Lizarraga różaniec w ręku, a cała załoga otaczała go w rozległych przedsionkach. Zabrzmiał wnet w kościele śpiew pobożny. Ja spojrzałem do koła dziedzińca. Naliczyłem dwa działa Kruppa ciężkiego kalibru w najlepszym stanie, trzy inne ciężkie działa na swoich lawetach, dwa moździerze i około tuzina mniejszych dział. Jeszcze podczas nabożeństwa w kościele się odprawiającego, pracowali kowale i cieśle, aby ukończyć podkłady pod te działa. Inne armaty wyglądały z pośród kazamatów i wież warownych, a zdala leżały niezmierne stosy kul, bomb i granatów.

Dwie inne warownie mają być w równie dobrym stanie. Magazyn prochu zabezpieczony jest od wszelkiego niebezpieczeństwa.

Trębacze dali znak do podwyższenia krzyża. Już się zmroczyło, i deszcz w gęstych kroplach padać zaczął. Lizarraga odkrywszy siwą głowę z twarzą rozpromienioną szlachetnym entuzyazmem w te odezwał się słowa:

„Biedni Hiszpanie! stoimy naprzeciw wolnym mularzom, i jeśli tego potrzeba, będziemy męczennikami za sprawę Bożą. My wszyscy, jeśli nas tutaj śmierć zmiecie, będziemy uczestnikami wiecznego szczęścia w niebie. Bóg jest z nami, bo za Niego walczymy. Powiedzcie, czy jesteście gotowi przelać ostatnią kroplę krwi waszej w obliczu całej Europy, by zachować cześć waszego kraju i drogi skarb naszej religii i nasze wolności"?

Na każde z tych pytań rozlegały się jednozgodne odpowiedzi: „Tak! gotowi jesteśmy! a wreszcie zagrzmiały huczne okrzyki: *Viva Dios! Viva la Virgen! Viva Santa Teresa! Viva Espanna! Vva los fueros!*

Poczem wyciosano wielki krzyż z surowego drzewa i wzniesiono go pośrodku warowni, aby każdy żołnierz mógł jeszcze przy skonaniu nań spojrzeć. Mowa Lizarragi była pełną i dobitną jak wyprawnego mowcy. Wzrok jego ognisty długo był utkwiony w krzyż biały.

Statystyka Starokatolików. Według dziennika *Times* sekta starokatolików liczy 150 gmin w Niemczech, ale tylko sto gmin podało swe cyfry statystyczne. Otóż z cyfer tych pokazuje się, że starokatolików jest 47,737, między tymi 54 księży. Mimo takich wysileń rządu przybyło do sekty w przeciągu roku ledwo 1,727 osób. Najwięcej stosunkowo sekciarzy znajduje się w wielkiem księstwie Badeńskiem, bo na 940.000 katolików, 14.000 sekciarzy; najmniej zaś w Bawaryi, bo na 3.500.000 kat. ledwo 13.000 starokatolików. Księży apostatów w ostatnim roku przybyło 6; kleryków jest 11. biskup jeden. Przyjąwszy że w onych 50 gminach, które nie podały swej statystyki znajduje się 25.000 dusz, będziemy mieli ogólną cyfrę starokatolików: 72.737 dusz. Tymczasem zbiorowa cyfra katolików całego świata dochodzi do 250,000,000.

— We Włoszech rząd, zabrawszy majątki kościelne, zabiera teraz pałace i dochody biskupom. Dotąd 127 biskupów włoskich utrzymywanych jest przez Ojca Św. który im roczną zapomogę daje w sumie 6,000 lirów t. j. 2.500 guld. Łakomy rząd nakazał biskupom płacić podatek od tej jałmużny t. j. po 792 lir rocznie. Zapewne że ks. Bismark uzna tę gorliwość włoskich ministrów.

— Korespondent nasz z Wielkopolski mówił w przeszłym liście o *Echu Poznańskiem*, potępiając to pismo, jako nieudolne w formie, a trudniące się skandalami. I w samej rzeczy zasługiwało ono dotąd na ten sąd surowy. Ale widzimy znaczną poprawę w numerze ostatnim z 1 Sierpnia. Może się też i wyrobi na coś porządnego. Pomysł karykatury „Naród w Żałobie", niezły, ale wykonanie liche. Słyszymy że się dobrze to pisemko opłaca. Kiedy społeczność lubi bawić się takiemi pustotami, niechże przynajmniej one szanują ją i nie przekraczają nigdy granic przyzwoitości.

— Ostrzegamy katolików przed obrzydliwym falsyfikatem, niby przekładem *Voix prophetique* księdza Curique. Jestto zbiór sfałszowanych przepowiedni, zaprawionych żółcią sekciarską i wycieczkami na Kościół. Książka ta wydrukowaną została we Lwowie w drukarni Związkowej.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor ks. Edward Podolski.

Rok V. — Zeszyt 17. **Września 1875 r.**

POLSKA
W CHWILI SWEGO UPADKU

przez

Romualda Kaczyńskiego.

(Polska w czasie trzech rozbiorów 1772—1779. Studya do historyi ducha i obyczajów przez J. I. Kraszewskiego. Tom III 1791—1799. Poznań, nakładem I. Żupańskiego 1875).

(Ciąg dalszy).

Przystąpienie Stanisława Augusta do Targowicy wywołało pomiędzy wojskiem nadzwyczajne wrażenie. Z początku i wierzyć temu nie chciano; gdy zaś wieść stawała się coraz pewniejszą, nie tajono swego oburzenia.

Pod wpływem bolesnej wiadomości oficerowie wraz z księciem Józefem wysyłają do króla list, w którym między innemi piszą: „Dozwól nam Najjaśniejszy Panie raczej ginąć od oręża nieprzyjacielskiego, lub traktuj jak przystało panującemu z panującą, ale się nie poniżaj, równając ze zdrajcami". Oprócz tego listu wysłano drugi do marszałków sejmu z prośbą, aby nakłonili Stanisława Augusta, by udał się do obozu i raczej padł pod gruzami ojczyzny, niżby wraz z narodem miał pójść w upodlającą niewolę.

Prawie jednocześnie z wystosowaniem pomienionych listów przychodzi do obozu urzędowne potwierdzenie złowrogiej nowiny. Wtedy książę Józef, Kościuszko, Zajączek, Wielhorski i Mokronowski, przytem przeszło dwustu jenerałów i oficerów podają się do dymisyi.

W chwili rozstania się wszyscy oficerowie w dowód czci i uznania dla księcia Józefa postanawiają wybić dlań medal pamiątkowy, na jednej stronie z popiersiem wodza, na drugiej z napisem: *Miles Imperatori.*

Tak się skończyła ta wyprawa wojenna, co — przedsięwzięta z całym zapałem i prowadzona prawie z nadludzkim wysiłkiem — jakkolwiek nie przyniosła żadnych korzyści materyalnych, uratowała przynajmniej honor oręża polskiego.

O ile połączenie się Stanisława Augusta z konfederacyą Targowicką było niespodzianem dla wojska, o tyle znowu przewidzianem być ono mogło w Warszawie, osobliwie od chwili powrotu Ignacego Potockiego z Berlina, który wysłany z przypomnieniem królowi pruskiemu dawnych jego przyrzeczeń, przywiózł od Fryderyka Wilhelma tylko ofiarę pośrednictwa, *bona officia*.

Taka postawa Prus, przytem zręczne zabiegi moskiewskiego posła Bułhakowa, a wreszcie — co najbardziej — prośby familii królewskiej skłaniają Stanisława Augusta, że wobec nie bardzo pomyślnych wiadomości z placu boju, wysyła w dniu 22 Czerwca do Katarzyny list, gdzie — słabo broniąc praw Rzeczypospolitej — daje carycy do zrozumienia, iż radby połączyć się z Targowicą.

Gorliwsi wprawdzie patryoci namawiają króla, aby zwołał pospolite ruszenie, wydał walną, ostatnią bitwę, a w razie przegranej uchodził za przykładem Jana Kazimierza choćby do Galicyi. Jednakże błagania rodziny oraz namowy niektórych z samychże twórców konstytucyi (podkanclerza Chreptowicza i Hugona Kołłątaja), radzących przystąpienie do konfederacyi, przeważają.

Ztąd gdy przychodzi odpowiedź cesarzowej, stanowczo żądającej połączenia się z Targowicą, król — zapominając o dawnych uroczystych swoich przysięgach i oświadczeniach publicznych — na posiedzeniu rady czyli straży oświadcza: „Wziąłem silną rezolucyę pisać się do konfederacyi Targowickiej — i tej rezolucyi już nie zmienię“. Rada, wyjąwszy Ignacego Potockiego i Stan. Małachowskiego, pochwala zamiar Stanisława Augusta — król kładzie swój podpis na akcie konfederacyjnym.

Na wiadomość o tem w mieście samem poczęły się groźne zbiegowiska. „Król zdrajca! Król wiarołomny! — wołano. Napadnięto na kilku niewinnych przechodniów z groźbą i łajaniem. Tłumy rozjątrzone coraz się zwiększając i rosnąc, rozlały się po mieście, śmiercią i szubienicami grożąc zdrajcom... W mieszkaniu Jacka Małachowskiego, kanclerza, okna powybijano kamieniami“.

Twórcy konstytucyi zaczęli się rozjeżdżać. Kołłątaj, zostawiwszy akces do Targowicy, pod pozorem choroby wyjechał do wód; Ignacy i Stanisław Potoccy, złożywszy urzęda, udali się do Saksonii; Stanisław Małachowski — do Włoch; Niemcewicz — do Wiednia. Reszta rozpierzchła się, uchodząc za granicę. Warszawa opustoszała. Król siedział zamknięty na zamku, nie śmiejąc się na świat pokazać. Obawiał się spotykać z objawami pogardy, na jaką teraz zasłużył. Autorka *Pamiętników Polki*, Trębicka, przytacza młodą osobę.

zależną od króla, która — gdy się do niej zbliżał z powitaniem — odwróciła się doń plecami.

W Rzpltej rozpoczęły się teraz rządy konfederacyi Targowickiej. Z Tulczyna, rezydencyi Szczęsnego Potockiego, płynęły uniwersały do narodu, pełne obelg na „hersztów spisku Majowego“. Terroryzm dyktatorów konfederacyi był niesłychany; jednakże oni ten terroryzm zwali „ojczystą wolnością“.

Na Litwie Kossakowscy, zaraz po zajęciu Wilna przez wojska moskiewskie, przymusem zawiązali osobną konfederacyę, przez którą postanowili o ile możności uczynić się niezależnymi od Szczęsnego. Akt konfederacyi litewskiej mianował zaraz jenerała wojsk rossyjskich Kossakowskiego, brata biskupa, hetmanem polnym. Ztąd potem Kossakowski pisał się bezwstydnie: „Z ogłoszenia narodu litewskiego hetman polny“. Rządy Kossakowskich na Litwie odznaczały się uciskiem nie do opisania.

W ogóle Targowica rządziła z większą samowolą i butą, aniżeliby to robił zwycięzca w zawojowanym kraju. A jeszcze despotyzm swój osłaniała gorącym patryotyzmem. Szczęsny każe bić medal dla *obrońców Rzpltej od konstytucyi 3 Maja*. Bito go w kształcie i wielkości talara, z napisami z obu stron.

Skoro medale te, talary ośmiozłotowe ukazały się w Wilnie, po rogach ulic i ogrodach poprzylepiano i tysiącami rozrzucano następujące wiersze:

Chwałaż Bogu! już wiemy treść głównej nauki,
Którą nam ogłaszają najjaśniejsze druki —
Jeśli chcesz w potomności zostać znakomitym,
Sobie i swoim rozdaj po talarze bitym.
Ksiądz biskup Kossakowski za szczególne cnoty
Z stolicy petersburgskiej odebrał klejnoty...
A wy drobniejsze łotry, co mniej jadu macie,
Po osiem tylko złotych weźmiecie w zapłacie.

W dniu 2 Sierpnia ogłoszono w Warszawie akt konfederacyi. Marszałkiem jej wybrany został Onufry Kicki, koniuszy W. koronny. Niechętnie jednak z początku przystępowano do nowego związku, choć „Bułhakow głosił dla dodania apetytu, iż sześć tysięcy szlachty lubelskiej, co wprzód na konstytucyę przysięgała, w jednym dniu podpisało akces do Targowicy“.

W kilka dni po ogłoszeniu aktu, dywizya wojsk moskiewskich pod dowództwem jenerała Kossakowskiego przyciągnęła pod Warszawę i założyła obóz na Pradze. Ósmego Sierpnia stało już

w obozie 10,000 wojska, a dnia 16 t. m. Kachowski z armią rossyjską stanął pod Warszawą w Czerniakowie. Konfederacya i Rossyanie zaczęli się rozgaszczać w stolicy, pomijając całkiem króla. Akcesa do związku płynęły teraz obficie; wśród powszechnej trwogi wypierał się każdy sympatyi i wszelkiego udziału w konstytucyi 3 Maja.

W pierwszych dniach Września obie konfederacye t. j. koronna i litewska połączyły się z sobą. Połączenie to miało miejsce w Brześciu litewskim, gdzie Szczęsnego, przybywającego w licznej assystencyi wojsk koronnych i litewskich przyjmowano z honorami prawdziwie królewskiemi. Akt zjednoczenia zaczął się nabożeństwem. W czasie Ewangelii chciano wskrzesić obyczaj dawny staropolski, dobywania szabel z pochew, na znak gotowości do obrony wiary... „Hetman Rzewuski — pisze Niemcewicz — który w ciągu życia nigdy z pochew nie dobył żelaza, namocowawszy się próżno z buntowniczą szpadą, wreszcie z pochwą razem podniosł ją do góry". Po odbytem nabożeństwie rozpoczęły się obrady, wynikiem których oprócz zjednoczenia konfederacyj było i to jeszcze, że wyznaczono delegacyę dziękczynną do carowej Katarzyny, a jednocześnie wyprawiono do króla z podziękowaniem za przystąpienie oraz z oznajmieniem o unii dwojga konfederacyj. W instrukcyi danej delegatom do Petersburga kazano dziękować Imperatorowej *„za powrócenie jestestwa staropolskiego Polski stanu"*.

W Październiku konfederacya przeniosła się z Brześcia do Grodna, gdzie bawiono się jak najlepiej. Dnia 3 t. m. obchodzono rocznicę koronacyi *Wielkiej Katarzyny*. Hetman Kossakowski dał bal i kolacyę z tańcami. Jaśniały cyfry:

Prospera sors gentis et amico foederi junctis...

Zabawy przeplatano pracami prawodawczemi: wyznaczono komisyę do przejrzenia i poprawienia statutu litewskiego. Potocki układał program dla deputacyi, która miała obmyśleć nową formę rządu.

Jak na te rządy Targowicy zapatrywali się poczciwi obywatele i większa część narodu, najlepiej pokazują liczne z tego czasu pokątne paszkwile i piosenki. Wszystkie one malują wiernie uczucia prawdziwych patryotów. I tak śpiewano: Pieśń do Nieszczęsnego Potockiego:

Patrzcie Polacy, patrzcie,
Jak mało wam potrzeba,
Do niewoli, którą macie,
Kajdan, wody i chleba...

Śpiewano i hymn na nutę: Do Ciebie Boże.

Do Ciebie Boże wznosim nasze modły,
Spuść karę na ten związek ludzi podły,
Niechaj po ziemi ojczystej swobodnie
Nie chodzą zbrodnie.

Ostatnia zwrotka tego hymnu brzmi:

A gdy Cię wzruszą nasze losy srogie,
Chowaj Kościuszko życie wszystkim drogie,
On jeden pęta tak haniebne zrzuci...
I wolność wróci...

Na początku 1793 r. zjawiły się po rogach ulic w Warszawie afisze:

Za pozwoleniem Konfederacyi
Obojga narodów.

Entrepryza Austryacka, Moskiewska i Pruska będą miały honor w przyszły Piątek dać reprezentacyę komedyi we trzech aktach oryginalnie przez niegdy Fryderyka ułożonej, a w Polsce od roku 1772 niewidzianej, pod tytułem:

Rozbiór Kraju.

Akt I. poprzedzać będzie Trio:

Wolność, Równość, Niepodległość.

Akt II:

„Więcej niezgody niż zgody".

Przed Aktem III nastąpi balet, pod tytułem:

Szpital Wariatów.

Teatr cały illuminowany będzie przy biciu z armat, a miasta i wsie palić się będą...

W czasie kiedy konfederacya pod osłoną moskiewskich bagnetów zajmuje się przywróceniem dawnego porządku w Rzeczypospolitej, Moskwa i Prusy dochodzą do końca swych układów, przedmiotem których — nowy rozbiór Polski. Przy końcu Grudnia t. r. dwory petersburgski i berliński, z pominięciem wiedeńskiego, stanowczo się ułożyły co do nowego podziału. Prusy pragnęły się w Polsce *zaokrąglić (arrondiren)*, Rossya w zamierzonym zaborze szukała jedynie *własnego bezpieczeństwa!* Tylko Austrya, zajęta teraz wojną z Francyą, nie miała być przypuszczoną do tej nowej na Polsce grabieży.

Skutkiem tych układów przychodzi do Grodna 16 Stycznia 1793 roku nota pruskiego posła Buchholza, oznajmiająca o wnijściu

wojsk pruskich do ziem wielkopolskich. Wiadomość ta jak piorun spada na głowy Targowiczan. Teraz dopiero ujrzeli oni przepaść, nad którą poprowadzili ojczyznę i siebie. Tymczasem Prusacy podstępują pod Toruń, a w miesiąc potem zajmują Gdańsk.

Jednocześnie z notą Buchholza konfederacya otrzymuje wiadomość o naznaczeniu na posła Jakóba Sieversa w miejsce Bułhakowa, oraz o mianowaniu jenerałem hr. Igelströma w miejsce jenerała Kachowskiego. Jakoż obaj oni przybywają wkrótce do Grodna. Sievers kłamiąc, uspokaja konfederacyę, że *„wspaniałomyślna monarchini“* nie myśli o nowym podziale Rzpltej, kładzie on jednak swoje *veto*, gdy zrozpaczona konfederacya wydaje 11 Lutego uniwersał do narodu względem pospolitego ruszenia przeciw Prusom.

Ta bezsilna protestacya konfederacyi wywołuje *Uwagi zakordonowego obywatela pruskiego*, w których między innemi pisze: „Zżymacie się na kilkanaście tysięcy wchodzących Prusaków, a wprowadziliście sami sto tysięcy Moskwy? Król pruski to tylko naśladuje, co mu wasza *boska* Katarzyna wskazała swym przykładem... Wy Targowiczanie protestować nawet nie macie prawa“.

Sievers z Igelströmem wyjechawszy z Grodna, stają w Warszawie. Pierwszy nakłania króla, aby zwołał sejm, którego sobie cesarzowa życzyła. Jako miejsce, gdzie sejm ma się odbyć, Sievers wskazuje Grodno. Król przeczuwając, co ów sejm zapowiadał, opiera się do czasu temu żądaniu ambasadora. Gdy jednakże Sievers — odebrawszy z Petersburga stanowczy rozkaz, ażeby króla wyprawił tam, „gdzie odegrać się miała ostatnia scena zamierzonego dramatu“ (słowa listu cesarzowej) — nalega ustawicznie na króla o wyjazd, przyciśnięty Stanisław August, obiecuje wyjechać, wołając tylko, „że woli być wtrąconym do więzienia, zesłanym na Sybir, aniżeli podpisać podział nowy, to jest hańbę własną“.

Sievers zapewniwszy się teraz o wyjeździe króla, sam uprzedzając go, opuszcza Warszawę i 21 Marca staje w Grodnie. Nie zastał tu już Szczęsnego, który wyjechał do Petersburga z instrukcyą od konfederacyi, nalegającą na całość Rzpltej. Gdy Potocki przybył do stolicy Rossyi, następna scena miała się odbyć na prywatnem posłuchaniu u cesarzowej:

— Jak się masz? — odezwała się cesarzowa, witając go.

— Ja mam się dobrze Najj. Pani — odpowiedział Szczęsny — ale ojczyzna moja...

Cesarzowa dokończyć mu nie dała.

— Ojczyzna twoja tu — zawołała tupiąc nogą....

Konfederacya zawadzała teraz ambasadorowi; wniósł więc do Petersburga o jej rozwiązanie. Cesarzowa warunkowo zgodziła się na to. „Jednem z ostatnich postanowień staro-szlacheckiej reakcyi dziwną ironią losu, było uwolnienie od osobnych opłat win szampańskich i burgundzkich“.

Dnia 22 Kwietnia stanął w Grodnie Stanisław August. Przyjmowali go przy huku dział jenerałowie rossyjscy, konfederacya istniejąca tylko tytularnie, ministrowie, senatorowie i wiele dam. Sievers dla zachowania powagi udał chorego i nie stawił się. Przybycie króla było niejako hasłem do rozpoczęcia czynności. Sejmiki naznaczono na 27 Maja, otwarcie sejmu na dzień 17 Czerwca.

Zwołane sejmiki rozpoczęły swoje czynności. Od udziału w obradach wyłączeni całkiem zostali ci, co jeszcze nie połączyli się z Targowicą. Wybrani zaś kandydaci byli to ludzie bez czci i wiary, „bez podkówek u butów“, gotowi za pieniądze — sypane przez Rossyą i Prusy — do spełnienia choćby najnikczemniejszej rzeczy. Czego zresztą nie zrobił pieniądz, tego dokonały postrach i groźby Sieversa, na rozkaz którego miejsca, gdzie się sejmiki odbywały, otoczono żołdactwem. Pod osłoną tedy bagnetów, wśród biesiad, na których spełniano kielichy za zdrowie cesarzowej, przy dźwiękach moskiewskiej muzyki dokonały się wybory posłów na sejm.

II.

Nadeszła wreszcie chwila, w której miał się odegrać bolesny dramat. Grodno zaczęło się zapełniać przybywającymi na sejm. W ślad za dworem spieszą tu z różnych stron Korony i Litwy ludzie, pragnący w mętnej wodzie łowić ryby — karyerowicze, co spodziewali się kosztem własnego spodlenia i hańby zaskarbić na przyszłość względy „północnej Semiramis“, a przytem swoją kieszeń, istną beczkę Danaid, napełnić rublami. Warszawa dostarcza liczny kontyngens graczów i pięknych twarzyczek, modniarek i kupców, włoskich muzykantów i aktorek. Spokojne zwykle miasto roi się teraz od przybyszów. Nie wpuszczano doń tylko, a nawet wywożono ztąd obywateli, coby mogli połamać szyki ambasadorowi rossyjskiemu. Sievers usilnie się stara sejmujących i ich otoczenie wprawić o ile możności w szał, by nie poczuli śmiertelnych cięć, jakie wola Imperatorowej miała przez jego ręce zadać teraz Rzpltej. Zresztą wojska rossyjskie przez cały ciąg sejmu stojące pod bronią, odejmują każdemu odwagę sprzeciwić się w czemkolwiek działaniom ambasadora.

Wszystko też z początku szło po myśli Sieversa. Bawiono się na zabój, a raczej szalano.

„Ochocki w pamiętnikach swych daje najsmutniejszy obraz życia w czasie sejmu tego, Szekspirowskich scen szału obok najtragiczniejszej rozpaczy... Gdy Krasnodębski, biedny Mazur, w mizernym dworku u murarza marzł bez ciepłej odzieży, żył ostatkami grosza goniąc i protestując... Ochocki i jemu podobni tysiące przegrywali i przepijali jednej nocy... Mnóstwo panien szukało mężów na tych ruinach. Była to chwila, gdy z Francyi przybyły mody greckie, suknie przezroczyste, muślinowe, wdziewane bez koszuli na niczem nie okryte wdzięki, podpinane wieńcami z kwiatów tak, aby noga po kolano była odsłonioną, obnażone nóżki pierścieniami okryte... Markiza Lullie, jakoby emigrantka francuzka, pierwsza zjawiła się w tym stroju, stan natury przypominającym. W Grodnie równie ją jak jej brylanty wielbiono... Król nie miał czem długów płacić, które go w niewolę zaprzedały, a Lullie metressa *en titre*, chodziła od stóp do głowy w brylantach“...

Bale, reduty, illuminacye i ognie sztuczne, hazardowne gry i pijatyka, a przytem bezwstydne na wyścigi z jenerałami moskiewskimi do kobiet zalecanki — to najjaskrawsze sceny ostatniego sejmu w Polsce!

W czasie tych uczt i zabaw Sievers nie zapomina ani na chwilę o swej roli. Za wskazówką swego szpiega Boskampa, szambelana królewskiego, przedtem rezydenta Rzpltej w Turcyi, gromadzi koło siebie ludzi niecnych i sprzedajnych, którzy stanowią jego sekretną radę. W jej skład wchodzą: Raczyński, Ożarowski i Moszyński, a z Litwy — Kossakowski i Zabiełło. Liczbę ich zwiększają: Bieliński, Ankwicz, Ogiński, Miączyński, Załuski i inni. Każdy z tych popleczników ambasadora pobiera miesięczną pensyę — większą lub mniejszą, odpowiednio do znaczenia i zdolności swojej. Oprócz tej rady Sievers posługuje się liczną zgrają osobistości mniej wybitnych, używanych przez niego w czasie sejmu do najpodlejszych robót. Takimi np. są: wspomniany Boskamp, Tęgoborski, sekretarz króla Friese i Józefowicz.

Nie sam tylko Sievers jest tak czynnym. Równie jak on nie zasypiają sprawy najzdolniejsi ze wszystkich przywódców konfederacyi — Kossakowscy. Mając nad Newą silne poparcie ze strony ostatniego ulubieńca carowej, Platona Zubowa, usiłują oni stanąć w czasie sejmu niezawiśle od ambasadora; pracują przytem skrycie nad zerwaniem obrad.

Obok tych dwóch partyj, tj. zaprzedanych Moskwie i Kossakowskich, występuje jeszcze garstka patryotów, zwanych wtedy zelantami. Należą do nich głównie posłowie: Kimbar, Krasnodębski, Szydłowski, Ciemniewski i ks. Stoiński.

Sam król zajmuje stanowisko niewyraźne, jak zwykle — chwiejne. Od czasu połączenia się z konfederacyą Stanisław August prawie jakby znika z widowni politycznej. Targowica strąca go na drugie miejsce, na którem, wobec despotycznego postępowania Sieversa, gra on rolę czysto figuranta. Ambasador wtedy tylko przypomina sobie, że istnieje król, gdy ten potrzebny mu do przeprowadzenia ukartowanego przez siebie planu. Pani Krakowska oraz siostrzenice Stan. Augusta, Mniszchowa i Tyszkiewiczowa, są w Grodnie niejako pośrednikami pomiędzy Sieversem a królem. Wpływ tych kobiet, przytem ogromne długi i troskliwość o rodzinę zmuszają Stanisława Augusta, przy jego małoduszności, słuchać więcej rozkazów, płynących z Petersburga, aniżeli głosu własnego sumienia. Wprawdzie, idąc niekiedy za szlachetniejszym popędem i za radą wiernego towarzysza koniuszego Kickiego, Stanisław August radby zrzucić z siebie ohydne jarzmo, gniotące go ku ziemi, lecz w tejże chwili wpływ otaczających go innych doradzców, troska o przyszłość, a co główna — pensya, jaką w kwocie trzech tysięcy dukatów miesięcznie od ambasadora pobierał, każą mu i nadal trzymać się Rossyi! „...Król stary, obłąkany z bólu, zmizerowany, żółty, ściągnięty, jak po chorobie, oczów podnosić nie śmiejąc, stał bezwładny, bezwiedny, politowania godzien, gdyby nie cierpiał winą własną. Rossyanie obchodzili się z nim jak z niewolnikiem, poddani jak ze zdrajcą“. (C. d. n.)

GALICYJSKI LIBERALIZM.

Tempora mutantur et nos mutamur in illis. Z ludźmi zmieniają się i pojęcia o rzeczach — a same nawet słowa odmienne zupełnie przybierają znaczenie. I nic w tem dziwnego. „Wyrazy bowiem są produkcyą życia“, jak to ktoś mądrze powiedział. W nich tkwi wierne odbicie panującego w pewnych epokach ducha. Czem więc jest stępel wyciśnięty na monecie, tem wyrazy używane za hasła. Pierwszy oznacza wartość monety, drugie mówią czem są ci, którzy się do nich przyznają. Dawniej być liberalnym, znaczyło to samo, co być człowiekiem wyrozumiałym, gościnnym, wspaniałomyślnym, miłosiernym. Liberalność szła w parze z żywą i gorącą wiarą — była nawet ostatniej wykwitem, nie miała nic wspólnego z warcholstwem w polityce ani

z obłędami w sprawach wiary i nauki — dziś wprost przeciwne oznacza rzeczy. Człowieka liberalnego dawnej daty przezwano dzisiaj wstecznikiem, ultramontaninem, obskurantem, a ci tylko co uderzają w Kościół, śmieją się z wiary lub się nie liczą z nią wcale w życiu prywatnem i politycznem, którzy strzelają epitetami, nie mającemi w sobie żadnego sensu, zowią się liberalnymi. Znakomicie scharakteryzował ich wartość p. Stanisław Koźmian w liście do p. Skrochowskiego, w ostatnim zeszycie *Przeglądu Polskiego*. Wrzawa, jakiej oni narobili z powodu *Dramatu bez nazwy*, podała sposobność poznania niektórych charakterystycznych rysów ich liberalizmu. Oto co o tem mówi p. Koźmian [1]):

„Obecny liberalizm, mówi on, szczególniej w Galicyi, nie jest płodem rodzinnym, że to po prostu import, który rzecz dziwna, przyjmuje się i rozkwita na naszym tak jałowym gruncie. Tłomaczę to sobie tą niezaprzeczoną prawdą, że o ile nie umiemy niczego nauczyć się od obcych, o tyle niesłychaną mamy zdolność do naśladowania ich; i dla tego przyswoiliśmy sobie z tak śmieszną łatwością wszystkie formułki i końcowe wyrażenia nowożytnego a wszechpotężnego dziś w świecie liberalizmu. Wprawdzie wygląda on tu u nas pociesznie, bo jak mody paryzkie, tak i on jest zawsze nieco spóźniony, przecież jest to ten sam europejski, a dziś żydowsko-niemiecki liberalizm, przykrojony tylko niezgrabnie do miejscowego użytku. W tem przykrojeniu podobny on często do pajaca najniższego rzędu, a nieraz wykrzywia się tak pospolicie, tak trywialnie, że doprawdy aż żal biedaka, który nie ma poczucia płaskości w jaką wpada, jak również należy to powiedzieć na jego pochwałę, zwykle nie wie sam i nie domyśla się, że patryotyzując w swój sposób, judaizuje tylko.

Naśladownictwo to bezwiedne nadaje naszemu liberalizmowi w oczach spostrzegacza znaczenie, bo pozwala jednocześnie śledzić i badać na rodzinnym gruncie obyczaje i zwyczaje dzisiejszego pana świata, oraz ocenić wartość kopij. Czasem najmniejsze zdarzenie, najdrobniejszy wypadek służy naszemu liberalizmowi do zamanifestowania się w całej świetności, jak to się obecnie stało“ [2]).

„Czy nie zwróciłeś pan nigdy na to uwagi, że nasz liberalizm, oskarżając wszystkich zawsze i wszędzie o s e r w i l i z m — jestto wyrażenie jego wynalazku — nie ma poczucia godności człowieka? Rozprawiając wiele o wyswobodzeniu ludzkości z pod różnych wpływów, poniża on zawsze naturę ludzką, przypisując jej ciągłą i niepohamowaną żądzę zginania karku. Niech się odbędzie zebranie w najobojętniejszej sprawie, niech zapadnie tam najniewinniejsza i mało znacząca uchwała, a zaraz ściąga ona ze strony naszego liberalizmu podejrzenie, iż zapadła w skutku uniżoności, pochlebstwa, faworytyzmu i serwilizmu! Smutne i mizerne zaiste wyobrażenie mają o naturze ludzkiej ci nasi liberalni! Czyżby własne doświadczenie miało ich doprowadzić do tak przykrego i upokarzającego dla niej przekonania? Nie wiem, ale zdaje mi się, że kto wszystkim i zawsze skory jest przypisywać serwilizm, nie małą chyba

[1]) Podajemy tutaj same tylko wyjątki z listu — te mianowicie, gdzie jest mowa o liberalizmie, a opuszczamy to wszystko, co się odnosi do krytycznego ocenienia *Dramatu bez nazwy*. (Przyp. Red.)

[2]) Krzyki z powodu *Dramatu bez nazwy*. (Przyp. Red.)

musi sam do niego czuć skłonność. I doprawdy na wielkiej widowni świata nieraz wymowne mamy przykłady, jak liberalizm umie bić czołem przed siłą i jak swobodnie służy jej za narzędzie [1]), jak doskonale zgina kolano przed władzą, byle tylko mógł ją wyzyskiwać i to tak doskonale, że niejeden dworak dawnych czasów mógłby się od niego wiele nauczyć. U nas, na naszej małej scenie, liberalizm mniej ma jeszcze do tego sposobności, a przecież gdy się ona nadarzy, nie może się oprzeć pokusie, a czekając z upragnieniem lepszej, oskarża wszystkich o serwilizm i wszędzie go widzi, tropi i pod pręgierzem stawia“.

„Konformacya mózgu naszego liberalizmu nadzwyczaj jest podobną do układu dramatów bulwarowych. Wytwarza on zawsze i wszędzie sytuacye straszne, przepełnione sztyletami, trucizną, piekielnemi machinacyami, czarnemi intrygami, c z a r n y m i n t e r n a t i o n a l e m ! A przecież są to tylko próby wolnomularskie, przez które liberalne dziennikarstwo nasze przeprowadza niekiedy potężnie wystraszoną publiczność. Czasami znów pierwotność i naiwność środków i sposobików, przypomina jarmaczne farsy i świadczy o braku wszelkiej twórczości lub o wielkiem lekceważeniu publiczności“.

„Rzucić podejrzenie czarnej intrygi, pobocznych zamiarów i spisku politycznego z powodu niewinnego i skromnego konkursu dramatycznego, nie było wobec naszego społeczeństwa zbyt trudnem, mniej łatwo było wskazać cel i powód. Otóż tu zaczyna się farsa, tu bowiem szumne frazesa nie wystarczały, trzeba było wskazać osobę, domyślić się kto jest autorem *Dramatu bez nazwy*, domyślić koniecznie, odgadnąć bądźcobądź. Złożono też niepospolite dowody domyślności i zdrowego sądu o rzeczy“!

„Ktokolwiek czytał *Dramat bez nazwy*, a umie — że już tak powiem — zdać sobie sprawę z tego co czyta, ten dostrzegł przedewszystkiem, że jestto wierna fotografia epizodu smutnego dramatu 1863 roku. Trzeba było być na miejscu, trzeba było poniekąd należeć do owego epizodu, aby tak dokładnie zdjąć z niego fotografię. Czuje się to od początku do końca i aby o tem być przekonanym, nie potrzeba ani zbytniej przenikliwości ani intuicyi, potrzeba tylko zdrowego rozsądku. Powyższe moje przypuszczenia o osobie autora, powtarzające się mniej albo więcej delikatnie, we wszystkich zaczepkach przeciw *Dramatowi bez nazwy*, już je zatem dostatecznie cechują i świadczą o bystrości, przenikliwości, znajomości stosunków, ludzi i wypadków! I czy mniemasz Pan, że te przypuszczenia rzucone zostały ze złą wiarą? Bynajmniej, pochodzą one z głębokiego przekonania, z przeświadczenia o uczynionem odkryciu, bo wierzaj Pan, że w naszym liberalizmie nierównie więcej jest niedorzeczności jak złości“.

„W *Dramacie bez nazwy* jest tyle uroczej prostoty, tyle wdzięku prawdy, tyle nie sztucznego ciepła, że temi zaletami staje się on niemal artystycznem dziełem, aczkolwiek nie czuć w jego budowie znajomości sztuki, ani w jego treści głębszej myśli, nadającej znaczenie charakterom lub też wyższego poetyckiego natchnienia. Ta prostota, ta prawda, których zawsze a tak często bezowocnie pragniemy i szukamy w dziełach sztuki, a mianowicie w teatrze, królują tu wszechwładnie, nie porównam ich oczywiście z prawdą i prostotą homeryczną, ale są one im pokrewne tem, że i tu nago, bez ozdób i pretensyj

[1]) Wyjątek stanowią redaktorowie *Dziennika Polskiego*. (Przyp. Red.)

przedstawione są czyny ludzkie nie tak, jakby je sobie mogła wystawić bogata i świetna wyobraźnia, ale jakiemi były w rzeczywistości. Nie mówi tu przez ludzi autor, ale przez autora przemawiają ludzie i ich epoka. Jest tam przedstawiony i streszczony psychologiczny proces, za pomocą którego kolejno wszyscy w narodzie, z wyjątkiem zaledwie kilku stojących wytrwale przy margrabim Wielopolskim, wciągnięci zostali fatalnie w zaklęte koło ruchu 1863 roku i popchnięci do brania w nim udziału lub wspierania i przedłużania krwawego a strasznego w swych następstwach dramatu".

„Zdawać się mogło, że wypadki 1863 roku osądzone już zostały i potępione, nie ze stronniczego ale z polskiego stanowiska, że nikt nie wątpi, iż one bezpośrednio wtrąciły nas niebacznie a niepotrzebnie w opłakany stan rzeczy dzisiejszy — a pośrednio przyczyniły się do wytworzenia w Europie tego położenia politycznego, które gniecie nas i otacza żelazną obręczą. — Zdawać się więc mogło, że nagie przedstawienie owych wypadków, wystarczające niestety aby je potępić, nie może ściągnąć zarzutu niepatryotyzmu, lecz przeciwnie uważanem być powinno jako czyn obywatelski. Było to złudzeniem. Pod grozą odstępstwa i pod groźbą klątwy, nakazują nam uważać owe wypadki za nietykalną świętość narodową i są tacy, którzy obchodząc się z nimi jak z fałszywą wiarą i z fałszywem bóstwem, radziby, aby je zakryła mgła czasu i opromieniła aureola legendy. Realistyczne ich przedstawienie to profanacya, nagie ich zestawienie — to świętokradztwo!

I pytam się, czy w tem bałwochwalstwie, w tym fetyszyzmie destrukcyjnego żywiołu więcej jest niedorzeczności, czy złości"?

„*Dramat bez nazwy* nie został dopuszczonym na scenę, teatralna cenzura nie dała zezwolenia na jego przedstawienie. Nie do mnie należy wchodzić w powody tego zakazu i władza ze swojego stanowiska mogła mieć słuszność, choćby z powodu wrażenia i wzburzenia, jakie przedstawienie tego utworu wywołaćby musiało w umysłach, choćby, jak ktoś powiedział, dla zasłonięcia przed oburzeniem ogólnem tak sprawców, jak popieraczy nieszczęsnych wypadków 1863 roku. Ale nam wolno wyrazić zdziwienie z powodu jednogłośnego uznania i pochwalenia zakazu przez liberalne dziennikarstwo. Nie należę do tych, dla których zakaz policyjny czy cenzuralny jest dostatecznym dowodem i świadectwem wartości utworu. Wypadki i okoliczności tak dalece się zmieniły, że taki zakaz nie jest obecnie nawet świadectwem, choćby pseudopatryotyzmu dzieła, ale uznanie i pochwalenie jakiejkolwiek cenzury ze stanowiska liberalizmu, jakiegokolwiek zakazu rozpowszechnienia zdań, przekonań i myśli, jest szczególnym objawem i godnem zastanowienia zjawiskiem. A przecież ani jeden organ z tego u nas obozu nie zawahał się, ani jeden nie mógł się powstrzymać od złożenia podziękowania i wynurzenia zupełnego a gorącego uznania dla zakazu, który usuwał — niemiłą rzecz.

Objaw ten tak sprzeczny z nazwą stronnictwa, nie jest bynajmniej sprzecznym z jego dzisiejszą naturą i treścią, a nasz lokalny liberalizm był w tem tylko wiernem odbiciem obecnego liberalizmu europejskiego, wszechwładnego i wszechpotężnego.

Dzisiejszy europejski liberalizm czuje wszędzie i zawsze potrzebę policyi i o nią najchętniej się opiera, ma on do niej jakiś niczem nie wstrzymany pociąg, jest między nim a nią coś na kształt *Wahl-Verwandtschaft*, europejski liberalizm w policyi szuka poparcia, podpory, a jak w wielkich sprawach tego świata oparł się o największego dzisiejszej epoki policyanta, tak i w najdrobniejszych czuje się bez policyi słabym i chętnieby się nią posługiwał. Przyczyna tego prosta: liberalizm jest dziś panującym, jest władcą, przestał być walczącym obozem, stał się zwycięzcą; przestał być prześladowanym, a stał się zbyt spiesznie prześladującym i dlatego potrzebuje policyi. Lecz prędko, prędzej jak inni władcy zużywa się on, poczyna się już dla niego pora karłowacenia, dlatego właśnie czuje potrzebę policyi; władza, która tylko w policyę wierzy, jest władzą upadającą; a dzisiejszy liberalizm nigdzie obejść się bez niej nie może, tak dobrze w wielkiej walce religijnej, jak w liliputowych walkach galicyjskich, tam jej używa, tu nie mogąc nią jeszcze rozporządzać, spieszy z wynurzeniem jej swojego uznania i wdzięczności. I nic w tem dziwnego, bo od chwili zwycięztwa i wszechwładzy liberalizmu, nie ma dwóch bardziej sprzecznych z sobą wyrazów, jak liberalizm i wolność, a na szczęście o ile pierwszy jest obcym o tyle drugi jest rodzimym.

Z takim więc przeciwnikiem walka trudniejszą jest jak z każdym innym, a zwycięztwo nad nim nie obfitych pozwala się spodziewać zdobyczy. Kontorsye i konwulsye, przez które przechodzi liberalizm, spolszczając się, wpływają oczywiście na jego cerebralny organizm. Walka z takim przeciwnikiem aczkolwiek niebezpieczna, musi pozostać jałową. Dziwić się tylko można i żałować, że jest ona jeszcze potrzebną. I zaprawdę dla obojętnych widzów arcyśmieszną musi się wydawać rola odgrywana u nas przez szczerych i otwartych obrońców zasad zdrowych i konserwatywnych, szczególniej dopóki z młodzieńczym zapałem i poczuciem ważności zadania biorą się do dzieła i walki z nieprzyjacielem nieujętym i niedosiągniętym bronią, której oni używają. Są oni w położeniu bateryi, która przenosi i której kule padają po za plecami przeciwników, gdy jednocześnie z powodu gruntu i terenu zawsze są odsłonięci i wystawieni na strzały niedonośnej broni przeciwników. Dodać do tego i to należy, że zastępy stojące za nimi, a którym jeżeli już nie przekonania, to interesa nakazywaćby powinny wspieranie ich z całą energią, zdemoralizowane i niekarne, zamiast walczyć w szeregu z wspólnym nieprzyjacielem, oddają się warcholstwu, pragną rozejmu lub nawet pokoju, a często, zbyt często w popłochu czy też z innych przyczyn, których dociekać nie chcę, prażą nie nieprzyjaciela, ale staczających z nim w odosobnieniu rozpaczliwe boje".

Z NOTATEK
ośmdziesięcio-letniego starca
LITWINA-UNITY.

(Ciąg dalszy).

IV.

W tymże czasie księżom unickim wyraźnie już otworzyły się oczy i poczęli domyślać się i wyraźnie między sobą mówić, do

czego ich biskupi zmierzają, że łagodnym, głaskającym i nieznacznym sposobem unitów chcą przeprowadzić czyli nawrócić na schyzmatyków. Poczęli więc opierać się niektórzy temu kolegialnemu nakazowi i oświadczyli, że nie będą uczyć się tych ceremonij ze mszału grecko-rossyjskiego, ani też nie będą odprawiać mszy z tychże rossyjskich mszałów.

Roku 1834 Siemaszko niektóre cerkwie, będące blisko gościńca, wizytował na Litwie w gubernii grodzieńskiej i dał rozkaz przez konsystorz żyrowicki dziekanowi dekanatu nowogrodzkiego, ażeby wszyscy księża z całego dekanatu zebrali się po wizycie na dzień oznaczony do cerkwi bazyliańskiej w Nowogródku i aby tam była msza śpiewana z dyakonami, i kazanie aby było. O tem rozeszła się zaraz pogłoska: więc z nabożeństwa i ciekawości liczne zgromadzenie zebrało się do tej cerkwi na dzień oznaczony, a prawie większa połowa z dystyngowańszych osób. Gdy się i księża zebrali i Siemaszko przyjechał o 10 godzinie, spotkali go wszyscy zebrani i wprowadzili do cerkwi, a gdy już wszystko było przygotowane i rozpoczęło się nabożeństwo czyli msza śpiewana, słuchał jej siedząc na tronie do końca. Ks. Pawłowski, unita, doktor św. teologii, był przeznaczony z kazaniem i mówił je na dwa tematy: 1) „*Synaczkowie ostateczna godzina jest, już antychryst idzie, teraz ci się stało antychrystów wiele: z nas ci wyszli, ale nie byli z nas, bo gdyby z nas byli, równoćby byli z nami trwali*“ (z listu I św. Jana). 2) „*Niepodobna jest, aby człowiek, który nie jest stałym w religii swojej, miał prawdziwą poczciwość; i znowu nie jest podobna, aby człowiek niemający gruntu poczciwości, był stałym i miał prawdziwą religię*“.

W dalszym ciągu dowodzenia, ostrzegając słuchaczów, cytował ze św. ewangelii: „*Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, kto nie wchodzi przez drzwi do owczarni owiec, ale wchodzi którędy inąd, ten jest złodziej i zbójca*“ i dalej „*Strzeżcie się pilnie fałszywych proroków, którzy przychodzą do was w odzieniu owczem, a wewnątrz są wilkami drapieżnemi*“. A przy końcu kazania w tej myśli mówił: *Utwierdzajcie, zachęcajcie i ostrzegajcie jeden drugiego, abyśmy nie wiązali przyjaźni z bezbożnymi, mieli się na baczności przeciwko ich zasadzkom, unikali ich towarzystwa jako od zarazy i nie polegali na ich mamiących przyrzeczeniach, ale raczej szanujmy naszą religią, którą wyznawamy, trzymając się jej przepisów, a idąc za duchem powszechnego apostolskiego Kościoła, nie zbłądzimy*“. Mówił on to ze skryptu, ale wiele

dodawał z pamięci, co nie było napisane, dając przytyczki blisko siedzącemu Siemaszce, który wdarł się nieprawą drogą do owczarni Chrystusowej i jako wilk drapieżny zdradliwym podstępem postanowił ją rozszarpać. Siemaszko, słuchając, zgrzytał zębami, dorozumiewał się bowiem, że to jemu daje przytyczki, i tak wielką zapalił się pasyą na mówiącego, że mu z tej aprehensyi krew z nosa się polała. Po skończonem też nabożeństwie na korytarzu klasztornym ks. Pawłowskiego haniebnie strofował, odebrał od niego napisane kazanie, i powiedział mu: „Tobie to bezkarnie nie ujdzie“. Ks. Pawłowski miał kopię kazania, i ta potem przechodziła przepisywana z rąk do rąk, którą i ja, o tem piszący, miałem sposobność przeczytać i wynotować.

W tymże czasie ci wszyscy księża dekanatu nowogrodzkiego mieli już od siebie napisane podanie do Siemaszki, w którem go prosili, aby ich uwolnił od odprawiania ze mszału grecko-rossyjskiego i od nakazanych ceremonij, jako też i używania onych we mszy św., a natomiast aby im nie wzbraniał odprawiać mszy św. i innych nabożeństw według zwyczaju cerkwi grecko-unickiej. Podał ks. dziekan Homolicki takową prośbę, ale że Siemaszko był jeszcze w niepohamowanej złości, rzucił nią o ziemię i rzekł: „Może taka prośba, jakie było kazanie“ i odszedł z klasztoru Bazyliańskiego na drugą stronę cerkwi do Bazylianek. W pół godziny znowu ks. Homolicki podał tę prośbę. Siemaszko przyjął ją wprawdzie, lecz groźno zaczął mówić do wszystkich księży: „Napróżno wasze te prośby i buntowanie się, co rozkazano, to spełniać musicie, bo tak car chce, a ja każę i tak być musi. A któryby z kapłanów opierał się temu, będę go ćwiczył rózgami, bez względu na wiek, urząd i nauki, a naostatek upornych i nieposłusznych władzy odsądzę od administrowania wszystkich sakramentów, skażę ich na zawsze w diaczki, żony ich i dzieci z plebanii won wypędzę, a innych księży na ich miejsce dam i ile będzie potrzeba, z Rossyi sprowadzę“. Ks. Homolicki widząc rozgniewanego Siemaszkę za prośbę niby buntowniczą, uniewinniał się i złożył winę na ks. Pawłowskiego i innych dwóch. Tych Siemaszko natychmiast zasuspendował i dał rozkaz konsystorzowi żyrowickiemu, aby ich wysłano natychmiast na trzymiesięczną pokutę do klasztoru księży Bazylianów byteńskich. Po upłynionych trzech miesiącach posłano ich do innego klasztoru i więcej jak rok byli na pokucie. Jeden z nich skłonił się do żądania Siemaszki, przywrócił go więc do pierwszego jego beneficyum, ale ks. doktora i kaznodzieję

Pawłowskiego i ks. Dylewskiego, ponieważ nie przyjęli schyzmy, skazał do innej gubernii do świeckich księży ex-unitów na diaczków, a żony i dzieci ich wypędził z plebanii, bez żadnego względu: bez funduszu, przytułku i utrzymania.

Siemaszko chcąc zemścić się na ks. Pawłowskim za kazanie w Nowogródku, jeszcze przed dekretowaniem go w diaczki, nie czytając tego kazania i sądząc o niem z treści, jak je słyszał, posłał je do grodzieńskiego gubernatora, Murawiewa, który za kilka lat czynności swojej publicznej uzyskał od narodu zasłużony przydomek Wieszatiela, oskarżył ks. Pawłowskiego, że mówił przeciw tronowi, duchowieństwu i panującej religii i prosił, żeby go jako buntownika osądził według jego przewinienia. Na udowodnienie posłał do przeczytania jego własnej kompozycyi skrypt, z którego z ambony mówił, a który mu odebrał był. Lecz po przeczytaniu pisma tego Murawiew odpisał, że nic występnego w niem nie upatrzył, ani przeciw tronowi ani duchowieństwu, ani też co przeciw religii i owszem zauważył, że zwięźle i do zbudowania się dobrze ułożone i do słów ewangelii św. zastosowane. Żadnej więc decyzyi z tego kazania na ks. Pawłowskiego nie dał.

W r. 1835 Siemaszko i koledzy jego w Justic-kolegium ułożyli między sobą, aby kilkadziesiąt mniejszych klasztorów Bazylianów w trzech prowincyach zupełnie skasować i w tych miejscach księży podpisków poosadzać, fundusze zaś tych klasztorów pieniężne jako też ziemne, tak ruchome jak i nieruchome, całe zbiory i zapasy, cerkiew, zakrystyę i folwarki z poddanemi i ich powinnościami opisać w inwentarzu i przeznaczonemu do tego miejsca księdzu do zarządzenia i używalności oddać, Bazylianów zaś powysyłać do innych klasztorów.

Wiedząc już z osobistej odpowiedzi Bazylianów, z jaką który jest przychylnością do prawosławia i jakim duchem tchnie do niego, nękał nieprzychylnych dysunii rozmaitemi sposobami i bez żadnego względu na wiek, zasługi, przykrość zimy i odległość miejsca przemieszczał ich z klasztorów Litwy i Białorusi na Wołyń, a z Wołynia do litewskich lub białoruskich. Trzech opatów litewskiej prowincyi wysłużonych, którzy nie przyjęli dysunii, usunął z opactw: ks. Józefata Słobockiego, rzymskiego teologa, z opactwa miasta Kobrynia, któremu naznaczył rocznej pensyi 50 rsr. i kazał mu się przenieść do klasztoru torokańskiego; z grodzieńskiego opactwa usunął opata Wiktora Buczyńskiego, któremu także naznaczył rocznej pensyi 50 rsr. i przesłał go do klasztoru byteńskiego na

wikt klasztorny; toż i opata Benedykta Lernartowicza usunął od trockiego opactwa i przesłał go z innymi Bazylianami i świeckimi presbyterami, do miasta Kurska, do wynajętej kamienicy z napisem „obytel papistów“ pod nadzór miejscowego gubernatora. Na ich miejsce zaś dał pięciu Bazylianów przychylnych dysunii: na grodzieńskie opactwo Ignacego Żelazowskiego; w Supraślu, po śmierci godnego biskupa Jaworowskiego, który razem był i opatem, a którego śmierci przyczyną był Siemaszko swemi brutalskiemi ugryzkami, ks. Marcinkowskiego; na mieleckie opactwo w gubernii żytomierskiej ks. Jaskulskiego; w tejże gubernii w miasteczku Lubarze w klasztorze został opatem Józef Ordanowicz; w Tryhurze zaś został opatem Leonty Skibowski. Oprócz tego w pięciu klasztorach pobazyliańskich na Litwie założył szkoły dla kapłańskich synów: w wileńskiej gubernii w Wilnie i w miasteczku Borunach, w grodzieńskiej gubernii w Żyrowicach i w Kobryniu, a w obwodzie białostockim w klasztorze supraskim i w każdym klasztorze naznaczył po kilku Bazylianów za professorów. Podobnież i na Białorusi w kilku klasztorach innych, zaspokajając ich potrzeby z funduszów bazyliańskich pokasowanych. Sam też Siemaszko w klasztorze wileńskim rezydował.

W dyecezyi białoruskiej biskup Bazyli Łoziński ukazem na imię cara nakazał także księżom, aby pełnili zalecony rozkaz i uczyli się ceremonij podług typiku położonego we mszale rossyjskim, który im poprzednio poprzesyłano i według tych ceremonij mszę i inne nabożeństwo prawili nieodmiennie. Księża białoruscy, prawie wszystkich dekanatów, konsystorzowi odpowiedzieli, nie tylko że tych ceremonij uczyć się, ale nawet że przyjąć tych mszałów obcej sobie cerkwi nie chcą, tem bardziej gdy poznali do czego biskup i konsystorz zmierzają i że ich do zguby religijnej chcą podejściem wplątać. Zatem też te mszały konsystorzowi napowrót oddali, jako im niepotrzebne, gdyż nie zgadzały się i przeciwne były unickim mszałom, przez synody przejrzanym i potwierdzonym.

Tenże białoruski konsystorz i biskup delikatnie i nie bardzo na swoich księży nalegali, względem uczenia się tych ceremonij. Dowiedział się o tem Siemaszko, że ozięble działają i nie nakazują surowo dziekanom i innym księżom uczyć się tychto ceremonij z przysłanych im mszałów. Dał więc powtórnie ukaz z kolegium, aby wziąść się do tego dzieła gorliwiej, nakazać księżom, aby stosowali się do ukazu od zwierzchności danego i spełniali go bez oporu i oświadczył im, że jeśliby którzy okazali się nieposłusznymi,

jako buntownicy karani będą. Konsystorz nakazał tedy przez dziekanów raz drugi, aby księża uczyli się nakazanych ceremonij, przed naznaczoną konsystorską osobą egzamina z onych zdawali i z tych grecko-rossyjskich mszałów mszę św. prawili. Księża unici jednak jednogłośnie znowu odpowiedzieli, że ani tych ceremonij uczyć się, ani z mszału grecko-rossyjskiego mszy św. odprawiać nie będą.

Zauważywszy księża, że to na nich srożenie się zwierzchności duchownej może w przyszłości istotnie się spełnić i stać się nieznośną dla nich klęską: więc z kilkunastu dekanatów umówili się między sobą sekretnie r. 1836, aby posłać jednego z pomiędzy siebie do Petersburga z prośbą do metropolity Józefa Bułhaka, aby raczył białoruskiej dyecezyi księży uwolnić od zmiany rytuału cerkiewnego grecko-rossyjskiego, gdyż wszyscy pragną trwać niezmiennie w jedności z cerkwią rzymsko-powszechną, w obrzędach i rytuale unickim. Dalej opisali czego od nich wymagają Bazyli Łoziński i konsystorz, aby przyjęli rytuał i dogma cerkwi rossyjskiej.

Po przeczytaniu tej prośby metropolita zdziwił się niezmiernie, co w jego metropolii biskupi działają, a on o tem nie wie; Siemaszko bowiem metropolicie w tej kategoryi co innego mówił, a co innego działał i przedstawiał, jakoby księża uniccy z własnej ochoty i przekonania chcieli religią prawosławną przyjąć. Wypytawszy się więc metropolita od tego księdza o wszystkiem dobrze i po szczególe, pochwalił ich stałość, kazał mu powrócić do domu i dodał, że w krótce do Białorusi przyjedzie, aby przekonać się o tem, co piszą. A trzeba wiedzieć, że księża Białoruscy uprzednio już podawali prośby przez pocztę do metropolity, ale że wszystkie pisma przez przezorność Siemaszki nie dochodziły do niego, księdzu zaś, który prosił w konsystorzu o pozwolenie, aby mógł pojechać do Petersburga we własnym interesie, nie pozwolono tego i paszportu nie dano. Ten zaś ksiądz pod imieniem cywilno-obcem, wziął w urzędzie cywilnym paszport do Petersburga za furmana z pewnym kupcem i tym sposobem skrycie tam i nazad powrócił, o czem nie wszystkim wiadomo było. (C. d. n.)

KSIĄDZ NA PARAFII
pod rossyjskim rządem.

(Z zapisków ks. A. Jomickiego).

(Ciąg dalszy).

Synody katolickiego Kościoła, mając na celu dobro i zbawienie udu, zobowiązują proboszczów, aby rok rocznie wizytowali domy swoich parafian, aby rozpoznawszy się z ich potrzebami, mogli łacniej nieść im radę i naukę. W tym to celu odprawiać się u nas rok rocznie w całej Polsce zwykły tak zwane kolędy w pierwszych dniach po nowym roku. Otóż jeśli gdzie, to w prowincyach polskich pod rządem rossyjskim żaden z proboszczów nie zaniedbywał nigdy dopełnić tych mądrych Kościoła przepisów, chociażby już dlatego jedynie, aby przeciwstawić wizytę katolickiego kapłana popowskiej kolędzie i przedrzeźnianiu obrzędu. Ksiądz katolicki nigdy nie przyjeżdżał z torbami, od nikogo nic nie wziął, a tem więcej nic nie wymagał, owszem w każdym domu ojca szkaplerzem, matkę różańcem, dzieci medalikiem lub obrazkiem obdarzył, a często i smutnych pocieszył i groszem się podzielił i tak o nich pamiętał, że uboga rodzina koniecznie na nogi podnieść się musiała. Cara wprawdzie i familii nie wyliczał, ale Boga pochwalił i domek poświęcił, dzieci pocieszył i katechizmu wysłuchał, nieraz zwaśnionych pogodził, ze wszystkimi wspólnie się pomodlił i Bogu wszystkich polecił. A w miejscu na drzwiach, gdzie pop kogutka rysował kredą święconą, w Trzy króle, jak tego zwyczaj wymaga, trzy pierwsze litery św. Królów postawił, a dalej jeszcze imiona najświętsze J. M. J. i rok bieżący wypisał i zaraz to wszystko w sposób najprostszy obecnym tłumaczył, że pierwsze litery G. M. B. są imiona świętych królów, co pierwsi za nas pokłon Jezusowi w betleemskiej grocie oddali, a byli wówczas w grocie Jezus, Marya i Józef św., co oznaczają te oto litery. Niechżeż ten Jezus, Marya i Józef św. będą na zawsze w domu twoim, w sercu twojem, niech cię bronią od grzechu i każdej złej przygody na zawsze, a szczególniej w godzinę śmierci i t. d. I każdy westchnął szczerze i duchem wzniósł się w niebo — Bogu za wiarę, a księdzu za wizytę dziękując.

Do domów prawosławnych ksiądz już, rozumie się, nie wchodził, chyba że był zaproszony, ale za to żadnej nie opuścił chaty, gdzie było

małżeństwo mieszane, lub choć jedna starsza katolicka dusza. Co to było radości w tym domu, to i wypowiedzieć trudno. Trzeba tu było kapłanowi wiele mieć mocy nad sobą, bo nieraz i śmiech do duszy i łza do oka z rozrzewnienia się cisnęły. Skoro tylko kapłan przybyły powitał domowników tem Bożem naszem powitaniem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, gospodyni prawosławna rzuca swoje zajęcia i, zanim powita księdza, spiesznie i starannie zmywa na drzwiach owego koguta i wszystko co jej diak nakreślił, a potem w pokorze przyjmuje życzenia i błogosławieństwo, i dzieci sprowadza, by je błogosławić i o napisy na drzwiach uprasza, bo wierzy, że to złego ducha, a może i popa odżegna. Zwykle przy takich wizytach gromadzą się sąsiedzi prawosławni, a każda matka przynosi lub przyprowadza dziecko i prosi, by je błogosławić i pozwolić mu ucałować krzyż albo relikwie święte, a kapłan wszystkich przyjmuje i każdemu coś powie, a zawsze o Bogu, i dla każdego ma poświęcany podarek, czy to medalik, czy koronkę, czy szkaplerz. Z temi darami to już zawsze trzeba było jeździć, bo skoro ksiądz pokazał się we wsi, to pełno dzieci przychodziło go witać, jedno z radośną minką, że ma jeszcze swój dawny medalik, inne zapłakane, że już swój utraciło, więc znowu trzeba było każdego obdarzyć, a najlepiej się cieszyli, kiedy patrona lub patronkę swoją dostali.

W niedziele lub święta, kiedy pusto było w cerkwi, bo pop przed świtem nabożeństwo swoje odprawił, pełno prawosławnych bywało w kościele, a choć każdy odwrotnie, po schyzmatycku się żegnał, to przecież szczerze i pokornie po katolicku się modlił. Bo też to naprawdę lud czysto katolicki — oni żadnemu dogmatowi nie przeczą, nawet go nie znają, a jeżeli znają, to pewno po katolicku; pamiętają zaś dobrze, że ich dziad lub ojciec żandarmami do cerkwi zapędzony został; a o ile nienawidzą popa, o tyle z księdzem katolickim się łączą i nieraz przychodzą w sekrecie prosić o pomoc i radę w każdej potrzebie, bo popu swojemu nie wierzą. Inaczej być nie może: popi znają wszystkie sposoby ucisku, tylko miłości nie znają, bo ta nie od cara, ale od Boga pochodzi. To też ciągle z nimi trzeba było prowadzić podjazdową wojnę, nigdy zaczepną a zawsze odporną, co nadzwyczaj nuży i wyczerpuje człowieka. Wojna z popem, wojna z policyą, ciągle i zawsze, oto konieczny pokarm każdego pod rządem moskiewskim kapłana. Oni napadają bezprawiem pod zasłoną prawa: księdzu pozostaje tylko — albo się opłacić albo przyjąć i cierpieć najniesprawiedliwszy wyrok, albo czasem, jeżeli się uda, kruczkiem wykręcić.

Pamiętam, pewnego razu przyjechał do mnie sąsiad kapłan świątobliwy, poważny i wiekowy, któregom bardzo szanował, ale tak zmartwiony i zasmucony, że mnie przeraził samym swoim widokiem. Po chwili powitania opowiedział mi następujący wypadek. Miał u siebie dziewczynę, sierotę, wychowaną przy familii pewnego szlachcica. A że zwykle tak bywa, gdy Bóg zabierze rodziców, to sierotą sam się opiekuje, więc dziewczę pod ręką Bożą wyrastało pięknie i we wdzięki i w cnoty. Bywało, codziennie na każdy głos dzwonka ten aniołek Boży pierwszy był w kościele, bo opiekunowie blisko mieszkali. A kiedy uklękła ze złożonemi rączkami i podniesioną twarzą ku *Tabernaculum*, to, zdaje się, całe niebo stanęło w jej oczkach. A takie to pokorne, posłuszne, usłużne było, że nietylko opiekunowie, ale wszyscy sąsiedzi kochali ją jak swoją. Każdy jej coś poradził, każdy coś dodał, że owa dziecina, choć nigdzie nie była na pensyi, nauczyła się czytać płynnie i pisać bez błędów i robót pięknych i wszystkiego tego, co ułatwia i uprzyjemnia życie. Opiekunowie wyuczyli ją gospodarstwa i bojaźni Boga. Proboszcz staruszek obeznał z katechizmem, do komunii pierwszej poprowadził, a odtąd zawsze w kościele, po Bogu, był jej pierwszym doradcą. Upłynęło lat kilka od śmierci jej rodziców, którzy w jednym tygodniu na cholerę pomarli; z owej dzieciny sierotki wyrosła panna piękna, poważna, wesoła i mądra. Nie tą mądrością świata, co tylko jest blichtrem, ale mądrością Bożą, co w każdej potrzebie w domu i za domem radzić sobie potrafi. To też choć nikt się o to nie starał i gości nie spraszał i panienki po balach nie wodził, znalazł się młodzieniec odpowiedni wiekiem, statecznością i cnotą, który o jej rękę opiekunów poprosił. Dziewczynie także przypadł on do serca, więc po odbytej domowej radzie, wszyscy gromadką przyszli do Kościoła, by im Bóg jeszcze poradził, co dalej robić wypada. Zachodziła albowiem kwestya, że sierota była tylko ubogą sierotą, a pan młody także był niebogaty, ale pracować i chciał i potrafił. Po skończonej modlitwie w kościele nie poszli już do domu, tylko wprost do starego proboszcza z oświadczeniem, co zaszło, że widzą w tem wolę Bożą, więc o błogosławieństwo ojcowskie dzisiaj, a sakramentalne w właściwym czasie proszą. Rozrzewniony staruszek ucieszył się bardzo, bo znał dobrze wszystkich w swej parafii, jak pasterz zna owieczki swoje, a widząc w tem tylko większą chwałę Bożą, z rękami podniesionemi wzniósł się duchem świątobliwym w niebo, jakby ztamtąd pragnął zaczerpać siły skutecznej, i udzielił im błogosławieństwo rodzicielskie w zastępstwie zmarłych rodziców. Potem jakoś wszystko i pięknie i spiesznie się skończyło, że za kilka tygodni nastąpił ślub,

któremu także błogosławił proboszcz i młoda para zamieszkała w parafii, gdzie pan młody w jednym z większych majątków otrzymał miejsce oficyalisty. Szczęścia i radości całej tej rodziny nie podobna opisać! Ale od góry Oliwnej do Kalwaryi, od radości do utrapienia, to nie wielki przedział.

Jest na Ukrainie przysłowie: „gdzie szatan nie może, tam popa poszle"; tak się i tu stało. Dwa miesiące jeszcze nie upłynęły po ślubie, kiedy ten sam proboszcz odbiera najprzód prywatne od popa, a w dwa dni urzędowe już od sprawnika zapytanie, na mocy jakiego prawa dał ślub i przeciągnął na katolicką wiarę ową młodą małżonkę, kiedy matka jej była unitką, a zatem córka winna być prawosławną, a to stosownie do artykułów takich i takich, najwyższego postanowienia. Razem z zapytaniem sprawnik oznajmia, że sprawa ta już jest posłaną do gubernatora i żąda, aby natychmiast młoda para przyszła do cerkwi wyrzec się katolickiej wiary i carosławie przyjęła. Tu powiedzieć trzeba, że była to sprawka popa, który chciał się zemścić na panu młodym, iż ten nie mógł dać popu jakiejś łąki, należącej do skarbu. Gdyby grom spadł na proboszcza, mniejby go jeszcze przeraził; znał doniosłość całej tej sprawy, wiedział że z popem wszelkie traktowania daremne, bo sprawa już była w ręku policyi, a sprawnik wielkie ladaco; a kiedy poszło już do gubernatora, to cała surowość prawa wymierzoną być może. Zgodził się już z góry z położeniem swojem, że kiedy tak trzeba, to pójdzie na Sybir. Ale jak oddać w carosławie tak poczciwe dusze i całe życie im zatruć? to go więcej bolało jak wszystko, bo bardzo się do domu tego przywiązał. A i państwo młodzi odebrali także podobne wezwanie, aby się stawili do cerkwi, zanim przeciwko nim urzędowe śledztwo rozpoczną. Wtenczas w tym domu powstały lament i trwoga, jak w dzień sądu Bożego. Postanowili raczej umrzeć oboje, niż przejść na carosławie, więc tylko o siłę, łaskę i wytrwanie Boga gorąco prosili. Przezacny staruszek proboszcz najprzód odchorował dni kilka, a potem tak przybity przyjechał do mnie, ażali jakiej rady nie znajdzie.

Jeszcze ś. p. ks. arcybiskup Hołowiński, metropolita za czasów ministra Turkułła, widząc niepraktykowane napaści i gwałty popów nad katolikami, wymógł u rządu, że każda sprawa pomiędzy katolikami a schyzmą musiała być indagowaną i sądzoną wobec deputatów duchownych. W każdym więc powiecie był wyznaczony przez władzę deputat do podobnych spraw, tak ze strony katolickiej, jak i ze strony schyzmy. Był to pewien rodzaj obrońców pokrzywdzonej strony, którzy do roku 1862 jakiej takiej jeszcze używali powagi. Później i to znie-

sionem zostało, bo Moskale przyszli do tego, że wszelakich gwałtów już nawet pozorem prawa nie osłaniali. Na ten raz w powiecie Hajsenskim byłem ja deputatem. A chociaż sprawa, o którą tu chodzi, była w innym powiecie, to staruszek proboszcz, który mnie bardzo lubił i miał zaufanie, przypuszczał, że jako deputat, muszę znać jaki artykuł prawa, któryby go z obecnej wyprowadził biedy i po to do mnie przyjechał. Ale trudna była tu rada: proboszcz dziecinę ochrzcił, katechizmu wyuczył, do spowiedzi przysposabiał, a w końcu ślub dał, a ta dziecina była córką matki, którą ochrzcił unita, a więc figurowała w księgach, będących w ręku popa, jako unitka, a dzieci jej podług najwyższych ukazów, winny być schyzmatykami; wiadomo bowiem, że Moskale w urzędowem znaczeniu carosławie i unię za jedno biorą. Prawnej więc dla niego żadnej nie było obrony, a jednakże bronić potrzeba tu było. Był w Hajsenie czynownik bardzo niskiej rangi, prawosławny, łotr najpierwszej próby, rodzonego ojca i matkę za pieniądzeby przedał. Dziewięć razy z bióra wygnany, dziesięty raz do urzędu przyszedł, a to wszystko za pomocą kruczków i wykrętów, któremi w całem powiecie celował. Ale choć on sam taki łotr, to dzieci chciał mieć poczciwsze, a widząc, że w katolickiej szkółce więcej nauczyć się można, więc cichaczem zmówił się z nauczycielem mej szkółki, o której później powiem, i prosił, by mu dzieci przyjąć. Nauczyciel naturalnie odwołał się do mnie. Ja zaś z uwagi, by może dobre jeszcze dzieci wyrwać z przepaści, a nadto, że mając takiego kruczka w powiecie interesowanego o szkółkę, gdzie dzieci jego się uczą, będę miał łatwość od niejednej zasłonić się napaści, pomimo że świeżo odebrany ukaz pod najsurowszą odpowiedzialnością zabraniał przyjmowania dzieci prawosławnych, kazałem przyjąć jego dwóch chłopców, bez żadnej opłaty, jak wszystkich innych. Naturalnie działo się to wszystko w sekrecie, nawet niby przedemną. Sam ojciec-kruczek zakazał dzieciom wspominać, że są prawosławnymi i już nie do cerkwi, ale do kościoła chodzić nakazał. Otóż kiedy nic w swojej głowie ani prawie na obronę strapionego sąsiada znaleść nie mogłem, szczęśliwym trafem przyszedł mi na myśl ów czynownik-kruczek. A że go niby nie znałem i słowa nawet z nim nie mówiłem, nie chciałem i teraz się zbliżać. Przywołałem więc nauczyciela, któremu mogłem zaufać, że interes załatwi, a osób interesowanych nie wyda, i zaopatrzywszy go w kilka rubli, bo bez tego nic się nie robi, do Hajsena, do owego czynownika-kruczka, po radę posłałem.

Późno już w nocy powrócił nauczyciel i przewybornie się sprawił. Za kwartę wódki i trzy ruble pieniędzy czynownik-kruczek taką dał radę:

Przecież wam musi być to wiadomem — mówił on — że nasze popy podlecy ciągle szachrowali aktami za pieniądze i niejedną prawosławną odprzedali duszę. Wyszedł więc w roku zeszłym najwyższy ukaz, „że jeżeliby który pop był przekonany, że sfałszował akta lub dopuścił że je kto inny sfałszował, nawet pomimo jego woli, bez żadnego tłumaczenia od parafii odpędzony zostanie", a nasze pismo, *sława Bogu harosze,* z największą łatwością, za dodaniem zakrętu u dołu litery lub kreski obok czy w górze, całą literę i wyraz przemienia — my się taką sztuką ciągle posiłkujemy i żleby człowiek wyszedł, gdyby tego nie znał; trzeba więc książkę poprawić w sekrecie przed popem, on do niej patrzeć już teraz nie będzie, a przy śledztwie choć pozna poprawkę, to się pewno do niej nie przyzna, bo ukaz zamknie mu usta i całe dzieło (sprawa) inny weźmie obrót, bo przeciwko niemu. Do tego można użyć podleca diaka, tylko nie trzeba mu wiele dawać, bo myślałby, że to wielkie dzieło i mógłby się cofnąć. Za pół rubla on książkę przyniesie do domu i sami poprawcie jak trzeba. Dosyć nam na tem było, bo znowu nowe słońce stanęło w oczach. Postanowiliśmy na pozór traktować tę sprawę *en bagatelle*, chociaż bardzo spiesznie, bo śledztwo mogło nastąpić wkrótce; pocieszony choć w części stroskany proboszcz powrócił do domu. W kilka dni pouczony interesowany pan młody, przywołał do siebie diaka, obiecał pół rubla i kwartę wódki; diak przyniósł mu, w sekrecie przed popem, potrzebną księgę, sam pan młody poprawił jak było potrzeba: tam zakręt u dołu litery, tam kreskę dopisał, inną znowu przedłużył, a to wszystko już miał ułożone i w moment stanęły imię i nazwisko zupełnie inne od tego, jakie zmarła matka pani młodej miała. Po tej sztuce pani młoda dodała nibyto w sekrecie jakąś miarę szczególnych na nasienie ziemniaków. Wszyscy więc byli zadowolnieni, i pop że sprawę dobrze zakończy i diak, że dostał kubana i państwo młodzi, że się od napaści, a proboszcz stary, że się od Syberyi uwolni.

W cztery tygodnie po tej sztuce nakazano formalne śledztwo przeciw staremu proboszczowi obwinionemu, że gwałtem przyciągnął duszę prawosławną do katolickiego Kościoła. Dla zachowania wszelkiej formy nibyto prawa, w imieniu obwinionego był obowiązany stanąć deputat powiatu i bronić praw jego, któren właśnie w tym czasie był chory, a że wolno było wzywać zastępcę z drugiego powiatu — wezwano więc mnie. Tym razem jakoś się to stało bez żadnych starań. W dzień więc naznaczony zjeżdża do miasteczka wielki sąd, a mianowicie sprawnik, prokurator tak zwany strapczy, pierwsze oko carskie, członek z dworzańskiej opieki, jakiś stupajko do pisania i ja wielki deputat.

Założono kancelaryę w centralnem miejscu w zajeździe u żyda. Wkrótce nadbiegł zawezwany pop z wielką księgą pod pachą, którą konwulsyjnie przyciskał łokciem do boku, jakby z obawy, by mu jej kto nie wyrwał. Zasiedliśmy urzędownie właściwe sobie miejsca, pop tylko widocznie niespokojny, jakby wyrzutem sumienia dręczony, kroczył po podłodze, której deski uginały się za każdym krokiem, jakby ziemia pod nim rozstąpić sie chciała. Pierwszy przerwałem milczenie i w narzeczu rusińskiem (bo nie wolno było przy śledztwie mówić po polsku) zapytałem popa, na jakiej zasadzie obwinia swego poczciwego sąsiada o tak wielki występek? Uśmiechnięty po szatańsku pop, chwyta za książkę i z najpewniejszą miną dodaje:

— U mnie są dowody — i otworzoną księgę, która kilka kart zagiętych zapewne dla łatwiejszego odszukania pożądanego przedmiotu tu miała, składa na stole.

Niby od niechcenia, a przecież nie bez wewnętrznego drżenia, powoli przysunąłem bliżej księgę i widzę, że poprawione jest dobrze, ale udaję, że sprawy nie rozumię, ciekawiej przypatruję się to księdzu, to zapozwowi, który leżał przedemną i z flegmą, na jaką tylko zdobyć się mogłem, odezwałem się do popa:

— Batiuszka! to nie jest nazwisko matki obwinionej, tu napisany zupełnie kto inny, a matka obwinionej, którą chrzcił unita nazywała się inaczej.

— *Kak-że* nie — oburzony już zerwał się pop.

— No przeczytaj — i posunąłem mu księgę.

Pop rzucił na księgę okiem, ale w zapale liter nie dowidział, więc dobył okularów, nacisnął dobrze na nos i czyta, długo, pocichu — coś wyjąknął, ale już ust nie złożył i jeszcze księgę przed nosem trzyma. Straszna to, bo prawdziwie szatańska i zarazem śmieszna była jego mina. Usta otwarte, oczy wytrzeszczone, twarz pobladła z wyrazem dzikiej jakiejś trwogi, przypominały raczej zaklęte widmo, aniżeli żywego człowieka. Poznał on poprawkę, ale obok niej świeży ukaz wilać stanął mu w oczach, namyślał się, widać w nim było walkę straszną. Ja zwróciłem oczy w inną stronę, bo śmiech mnie brał pusty. Trwało to więcej minuty, aż zniecierpliwiony sprawnik zawołał głośniej: *nu sztoż dumajecie?*

— *Nie znaju szto zdziełałoś* — odpowiedział pop i machinalnie puścił księgę na stół.

Pochwycili ją po kolei wszyscy, każden się roześmiał, bo poprawkę poznał. Pop tylko jeden miał minę smutną, jak pod szubienicą. Ale gdy strapczy, pierwsze oko carskie, zrobił uwagę, że księga sfałszowana,

ożył pop na nowo i najuroczyściej zaprzeczył — że nie, bo on księgi swoje sam pod klucz dobrze chowa i nawet żona jego do nich przystępu niema.

— A więc dlaczegoż zrobiłeś donos (skargę) i sprowadziłeś śledztwo bez potrzeby? zapytał sprawnik.

— *Nie znaju ze wsiem nie znaju* — zaklinał się pop. Strapczy ciągle widział poprawkę i sfałszowanie ksiąg, pop już pod przysięgą zaprzeczał i cała ta scena hałaśliwa, groźna i śmieszna trwała więcej kwadransa, aż zniecierpliwiony sprawnik załajał po swojemu i dodał:

— *Wy nie znajecie* zwracając się do popa, *to ja znaju szto zdzielałoś. Wy wierno w pijanom widie byli w eto wremia, kagda wy pisali donos* (tyś pewno był wtenczas piany, kiedy pisałeś skargę)?

— Być może, powiedział pop, bo to był dla niego nateraz najprostszy sposób obrony.

Długo jeszcze ta śmieszna przeciągała się scena, ale trzeba było jakoś urzędownie śledztwo zakończyć i raport do gubernii posłać. A ponieważ pop przyznał się do winy, że po pijanemu pisał skargę, więc też taki spisano protokół, z dodatkiem by pop zapłacił kary rs. 25, za niewłaściwe zwołanie komisyi. Strapczy chciał w protokóle zamieścić sfałszowanie księgi, ale pop z płaczem już prosił, by jego i dzieci nie pozbawiać chleba i już nie 25 rubli ale 50 zapłacił zaraz; to było wymowniejsze jak wszystkie prośby i płacze. Z tego wziął Sprawnik rs. 25, Strapczy rs. 20, a dwóch asystentów rs. 5. Ja sam już na seryo przemawiałem za popem, by mu krzywdy nie robić, za co mnie pop dwa razy pocałował w rękę; a więc i ja mam kubana pomyślałem w duszy. Zmiękczony strapczy datkiem zamilkł, ale udał, że to tylko na moją robi prośbę, bo mnie bardzo wysoko ceni (jestto zwykły bas Moskala, kiedy wziął kubana, udawać, że to ze szlachetnych tylko zrobił pobudek). Korzystałem z tego basu i jeszcze przed popisem protokółu, zmusiłem ich grzecznie, co mi nie było trudno, że dołożono uwagę, aby w tym razie kara urzędowa rs. 25 do popa zastosowaną nie była, z uwagi, że on to zrobił z najszczerszej ku prawosławiu gorliwości. A głównie chodziło mi o to, aby wybić strapczemu z głowy ochotę robienia śledztwa o sfałszowanie księgi. Projekt ten mój przyjęto chętnie, a pop jeszcze raz ucałował ręce i stał się taki pokorny i nadskakujący jak pudel.

Już zabierałem się do pożegnania wysokiej komissyi, kiedy sprawnik przymówił się, że ma zamiar odwiedzić proboszcza i powinszować mu, że sprawa szczęśliwy wzięła obrot. Nie bardzo mi to było do smaku, ale wymówić się już nie można było, więc przystałem na projekt

pójścia tam razem, a w dodatku zaprosiłem strapczego. Naturalnie szanowny proboszcz przyjął nas bardzo gościnnie. Tutaj dopiero rozwiązały im się usta i łajali popa na wszystkie moskiewskie i tatarskie sposoby, a naturalnie bronili niewinnego proboszcza i chwalili mnie. Zaklinali się na wszystko, że gdyby nie moje za popem wstawiennictwo, byliby go pod sąd oddali, z parafii wyrzucili i jeszcze do kryminału posłali za to, że się przyczepia do niewinnych ludzi. Udawałem, że wszystko wierzę, dziękowałem za ich litościwe serce, choć w duszy byłem pewien, że to ani ja, ani ich litościwe serce, ale 50 rubli, które wydarli popu, zamknęły im usta. Jest u Moskali jeszcze zwyczaj, że po skończonem już śledztwie, strona, której obedrzeć nie mogli, niby wygrywająca, jest moralnie zmuszona do datku, co nazywa się wdzięcznością, za wyświadczone dobrodziejstwo. Jeżeli tej wdzięczności Moskal się nie dotyka na razie, to przy pierwszej sposobności tak znowu kruczkami zamęci owego niewdzięcznego, że dziesięć razy więcej to opłacić musi. Więc by nie być w ich oczach tym owym niewdzięcznym szanowny proboszcz dał im po 10 rubli do ręki. Więc niby szczęśliwi, zabierali się do drogi. Wtem strapczy przypomniał sobie, że przed obiadem podano wódkę, której naturalnie nie wypili, bo nikt ich o to nie prosił, a chociaż przy obiedzie był i kieliszek wina, on jednak wódki zażądał, którą dla gładszego przymówienia się wyśmienitą starką nazywał, choć wcale ani starą, ani wyśmienitą nie była. Ale oni tak się do niej zapalili, tyle wyliczyli jej pochwał, że i powtórzyć trudno, a niby się spiesząc do drogi, już z czapkami w ręku, od siebie do ciebie, a zawsze za zdrowie gościnnego proboszcza wytrąbili do dna ledwo rozpoczętą butelkę. Nikt ich nie zatrzymywał, nie prosił, więc jako ludzie dobrze wychowani nie domawiali się już o drugą butelkę, lecz po odmówionych komplementach i pokłonach, które każdy Moskal lepiej umie na pamięć jak Ojcze nasz, bo cywilizowany, pojechali przecież z Bogiem, zapewne na drugie gdzie śledztwo, szukać wdzięcznych i niewdzięcznych, by ich na nowo obdzierać. Za odjeżdżającymi jednocześnie w górę podnieśliśmy ręce i obydwaj jednym wiedzeni uczuciem, zrobiliśmy za nimi krzyże, jak się robi za szatanem, aby wygnany więcej do domu nie wracał.

Takim to więc sposobem, z takiemi sztukami, a zawsze z rublem w ręku odbywają się wszystkie procesa i śledztwa pod moskiewskim rządem. Dzisiaj już i proboszcz stary i sprawnik i czynownik ów kruczek i mój nauczyciel dawno już w grobie. Z popem i innymi nie wiem co się stało, ale żyje owa niegdyś młoda para, rozmnaża się i bogaci pod błogosławieństwem Bożem. Więc szanując ich pokój

wszystkich zamilczam imiona, chociaż mam przekonanie, że gdyby mi wolno było i imiona interesowanych osób i miejsca owego wypadku opisać, sprawa ta i jaśniej dla oka i boleśniej dla duszy przedstawićby się musiała. Aby więc nagrodzić czytelnikowi tę moją niedokładność opiszę następny fakt, którego także naocznym byłem świadkiem.

(C. d. n.)

Notatki literacko-bibliograficzne.

Wspomnienia o duchowieństwie polskiem, znajdującem się na wygnaniu w Syberyi, w Tunce, przez E. z S. Poznań, u Daszkiewicza 1875.

Maleńka to ale przedziwna książeczka, rzucająca nowe światło na smutne i ciemne sybirskie równiny. Od tak dawna idziemy już tą drogą krzyżową, którą wedle świeżych słów Piusa IX przeznaczeniem jest Polski postępować, jak jej głównym udziałem męczeństwo — że już przestaliśmy spisywać i roczniki cierpień naszych i martyrologium tych wszystkich wyznawców, którzy w kaźniach, katorgach i więzieniach, na Syberyi lub wygnaniu, na Podlasiu lub Białorusi dali życie za wiarę i ojczyznę. Nie tylko nie wspominamy o nich wobec Europy, którą prędzej wstrząśnie los dalekich Maronitów jak nasza stuletnia niedola, ale nawet między sobą przestaliśmy liczyć ofiary, zapisywać męczeństwa, boć to nasz chleb powszedni, bośmy tak przywykli do ucisku, że już chyba szczęśliwi stanowią wyjątki, bo nareszcie ból pióro z ręki wytrąca, a przez łzy pisać trudno. Giną tedy niepowrotnie ślady cierpień, imiona wyznawców i wygnańców tak, że gdy kiedyś Polska, odkupiona ich krwią i cierpieniem, zmartwychwstanie, nie będzie wiedziała, czyjej błogosławić pamięci, czyje nazwiska w złotej zapisać księdze. Tem wdzięczniej powinniśmy przyjmować i witać każdą pracę, odnoszącą się do tego przedmiotu. Niestety! mimo ogromnej liczby zasłanych w daleki Sybir, literatura sybirska dotąd skąpych nam tylko udziela zasobów, co więcej, nowszej daty wygnańcy jeszcze mniej skorzy do pióra od swych poprzedników. *Pamiętniki Ewy Felińskiej, Listy Adolfa Januszkiewicza, Pamiętnik Rufina Piotrowskiego* — oto główniejsze skarby wspomnień sybirskich. A przecież wiemy, że się ta ziemia cieniów śmierci nie wyludniła wcale, owszem coraz to nowe pochody posieleńców zdążają ku północy bezsłonecznej, beznadziejnej. Niechby ztamtąd razporaz jęk przynajmniej dolatywał

do uszu braci, niechby się przynajmniej nazwali, przypomnieli ojczyźnie, a przykładami swemi pokrzepili słabych i upadających na duchu! Książeczka, o której dziś wspomnieć pragnę, jest przedrukiem z *Kuryera Poznańskiego* i od razu powszechne zbudziła zajęcie w czytającej publiczności. Jestto krótki rys losu zasłanych na Sybir kapłanów polskich, świeckich i zakonnych, których po niejakim czasie spędzono na jedno miejsco do Tunki. Nędza, graniczącą z głodem, przymusiła nieszczęśliwych do chwytania się ręcznej pracy i ci mężowie, których powołaniem było uprawiać rolę serc ludzkich, dziś rękę do pługa przyłożyć musieli, w pocie czoła zarabiając na chleb powszedni. Tym sposobem powstała osada rolna i rzemieślnicza; potrzeba i przemysł wyrodziły założenie spółki pracy i kapitału i na dwumilowym blisko obszarze, w dolinie zewsząd górami zamkniętej, zakwitła kolonia kapłańska, przypominająca poniekąd *Laury* Tebaidy albo jeszcze pierwotne osady zakonne Benedyktynów i Cystersów, tych wielkich cywilizatorów wpół dzikiej Europy. I tutaj praca ręczna nie wykluczała życia duchownego. Trudno bez wzruszenia czytać opis tych nabożeństw, odprawianych potajemnie na smutnej Tunieckiej dolinie, niby bazylice o kilkudziesięciu kaplicach, bo każdy domek zamienia się co rano w świątynię — i stokilkadziesiąt mszy św. codziennie się tu odprawia. Ach! jeżeli gdzie, to tam pociechą przejmować musi katolicki dogmat o świętych obcowaniu, o jedności dusz wszystkich w jednym Kościele, o łączności serc chrześcijańskich z Rzymem i Papieżem. Dowiadujemy się, że i tam, na tym dalekim krańcu świata w dzień rozpoczęcia Soboru Watykańskiego odprawiło się solenne nabożeństwo, że odtąd przez cały ciąg trwania Soboru, jeden z księży kolejno codziennie na intencyę Soboru miewał mszę św. Podobnie w 25letni jubileusz Ojca Św. Tak więc życie kościelne, katolickie obejmuje świat cały i staje nieraz za dom, ojczyznę i pociechę jedyną tym, którzy wszystko co ziemskie utracili... Nie podobna bez łez czytać opisu tych smutnych świąt, wspólnych kolęd śpiewem rozweselanych, albo tych nabożeństw dorocznych, gdy w czasie odwiedzin proboszcza irkuckiego wolno było publicznie się gromadzić i choć raz w rok uprzytomniać sobie uroczystości kościelne, obchodzone niegdyś solennie w wiejskich Polski kościółkach. Starania około uczciwego pogrzebania zwłok wymierających na wygnaniu braci, stanowią także rzewny ustęp w tem krótkiem opowiadaniu. A ztąd autor bierze pochop do wnioskowania, że te kości rozsiane po dalekim Sybirze, po głębokiej Rossyi wydadzą kiedyś stokrotny owoc i plon bogaty. „Kiedy Kommendoni w czasie bytności swej w Berlinie chorował i naigrawano się z niego, że będzie

musiał leżeć w luterskiej ziemi, spokojnie mógł odpowiedzieć: że każe tylko o jeden łokieć głębszy dół wykopać, a trafi na ziemię katolicką. Tutaj zaś możnaby raczej i lepiej powiedzieć, że przez złożenie w tej ziemi katolickich kapłanów rokuje się dla niej przyszłość katolicką i złożone ich tu ciała będą kamieniem węgielnym, fundamentem katolickiej przyszłości".

A przez to samo i nasz los stanowczej uległby zmianie. Albowiem, zdaniem autora, Moskale głównie w Polakach nienawidzą piętna katolickiego, z całą zaciekłością schyzmy przedewszystkiem nas prześladują jako wiernych Kościoła synów. Z ich tedy nawróceniem ustałby główny powód okrutnego względem Polski postępowania, a wszakże krew męczeńska nie od dzisiaj jest *Semen christianorum*.

Autor na początku rozświeca historycznie dzieje Syberyi, okrutne Rossyi podboje, tępienie krajowców. Zaprzecza stanowczo ogólnemu w Europie mniemaniu, jakoby Rossyanie podbijając azyatyckie plemiona, mieli wśród nich cywilizacyę zaprowadzać. Owszem z umysłu trzymają ich w ślepocie i ciemności, odgraniczają ich od świata, nie dopuszczając przystąpić cywilizacyi. Prawosławie nie mało im w tem dopomaga; narzucają je gwałtem, za nagrodą pieniężną. Krajowi Buddhyści frymarczą pozornie sumieniem, zachowując cześć dla dawnych bożków, a stąd upadek moralny coraz niższy.

Cała książeczka napisana jest z dziwną prostotą i uspokojeniem. Snadź ten, który te wspomnienia układał „posiadł duszę swą w cierpliwości". Żadne słowo gorzkie się tu nie zabłąkało, choć autor z pewnością „pił tylko z krynic mętnych łzami". Nieraz, czytając te kartki, tak przedziwną napiętnowane słodyczą, przychodził mi na myśl podobny płód pokrewnego ducha — *Mie Prigioni* nieporównanego więźnia z Spielbergu Silvia Pellico. I tu i tam nie ma skargi na ludzi, nie ma wyrzekania na losy, nie ma zwłaszcza jadu nienawiści. Silvio modlił się za nieprzyjaciół, wdzięczny im był, że go drogą cierpienia doprowadzili do wyższego poznania Boga i umiłowania Go nad wszystko. Autor niniejszej książeczki do tego stopnia szlachetne posuwa przebaczenie, że tym wrogom, którzy tak mało na nazwę bliźnich zasługują, życzy najwyższego daru łaski, światła i wiary.

W końcu znajdujemy wyszczególniony katalog zasłanych do Tunki duchownych. Jakże ich wielu, jak smutne nieraz do każdego nazwiska przypiski! Ten umarł, tamten dogorywa, ów na pomięszanie zmysłów zapadł, tamten w drodze z powrotem zakończył życie. Ostatnie słowa na najwyższą dostrojone nutę, świadczą że „miłującym Boga wszystko dopomaga ku dobremu" *(ad Rom)*. To domówienie, błagające Boga i Najświętszej Panny o wiarę żywszą, o miłość i ufność gorętszą, zostawia wrażenie tak podniosłe, jak gdyby się zamykało księgi święte. Polecamy gorąco tę książeczkę czytelnikom polskim, znajduje się ona w komisie Tytusa Daszkiewicza i kosztuje 15 srg., na dochód autora, Sybiraka.

RÓŻNOŚCI.

Wiersz p. M. Gawalewicza

WYGŁOSZONY NA UCZCIE DANEJ NA CZEŚĆ LENARTOWICZA
w Krakowie w d. 7. Sierpnia r. b.

Za górami za cudzemi,
Płakał, tęsknił do swej ziemi,
A na lirę, na jedyną,
Łzy tułacza rzewnie płyną...
Niby nic mu już nie trzeba
Za górami za obcemi —
Tylko chciałby krzynkę nieba
I wietrzyka z swojej ziemi.

Niby nic mu już nie trzeba...
Ale sercu czegoś braknie,
Ale dusza czegoś łaknie —
Bo choć cudne cudze nieba,
To tęsknoty nie ukoją
Za tą ziemią polską, swoją!
Polakowi daj pół świata,
Daj mu skarby, złota bryłę —
To on jeszcze zakołata,
O piędź ziemi na mogiłę!

Tużył, kwilił słowiczeńko
Do tych wikli nadwiślanych,
I słał piosnkę za piosenką
Do ojczys'ych stron kochanych.
Bo nie ciągle nam potrzeba
Iść za chlebem i dla chleba,
I nie pełzać nam przy ziemi
Ze skrzydłami zwieszonemi...
Więc piosenka gońcem leci
I do bratnich serc przypada,
I nam tutaj wśród zamieci,
Gwiazdką błyśnie i zaświeci,
Ptakiem zlata, kwiatem spada,
I z tęsknoty się spowiada...

Kołatało serce złote,
Wtórowała lira w dłoni:
— Do mac'erzy na pieszczotę,
Ej, powlokę ja się do niej...
Na te kwietne łąki, pola,
Pójdę rozwiać ból mój wszystek;
Niechby chwilę... szczęsna dola!
Kalinowy niechby listek
Zerwać pośród mych ustroni,
Choćby tylko okiem zmierzyć
Tę ojczyznę — paść i nie żyć...
Ej, powlokę ja się do niej!

I porzucił włoskie słońce,
A po latach kędy ptakiem
Pieśń latała odeń w gońce —
Wyglądanym wracał szlakiem,
Z lirą — w ręku kij tułaczy...
A wytężał wzrok strudzony,
Rychłoż, rychło raz obaczy
Przez mgłę łzawą swoje strony,
Gdzie się dzielił polskiem sercem,
Dzielił polskiem słowem,
Oj tęsknoż mu za tą Polską,
W Polsce za Krakowem!

Toż dziś na krakowskiej ziemi,
Wita macierz syna —

Ze słowami serdecznemi
Wybiegła drużyna:
Piewco naszych pól i chat!
Kiedyś wrócił w nasze strony,
Więc ci każden sercem rad
Po staremu i po Bogu
Na ojczystym wita progu:
„Niechaj będzie pochwalony"!

By cię przyjąć uroczyście,
Z polskich dębów niesiem liście —
Nieraz w nich twa pieśń szemrała
Polskich dziewic dłoń je rwała...
Głosząc one wieść radosną,
Jakie jeszcze dęby rosną;
Że nietylko nam na trumnę
Wznoszą swoje czoło dumne,
Lecz że starczą ich ostatki
Jeszcze i na tron dla Matki!...
Wiochny Twoje i Kaliny
Z pod rodzinnej, cichej strzechy
Szlą ci róże i wawrzyny,
Dla czci twojej i pociechy.

Póty Polski póki jeszcze
Stara wiara, wielcy wieszcze,
Wielka miłość w synach Piasta,
I nasz anioł-stróż — niewiasta!
Kiedyś przecie Bóg pozwoli
Szczęsnej znów zabłysnąć doli....
Dawny zwyczaj wróci może,
I znów, jak przed laty wielu,
Lirnik będzie na Wawelu
Miał gościnę... co daj Boże!

LISTY z WIEDNIA.

(Serya II.)

XII.

Wiedeń 17 Sierpnia.

(Przyjęcie ustawy o zarządzie majątków kościelnych, a głosy tutejszych dzienników — Liberalizm a powstanie w Hercegowinie — Liberalizm w sali sądowej — *Kulturkampf* austryacki w miniaturze — Jubileusze: w Pradze, w Wyszehradzie, w Wiedniu, w Dublinie — Świeża insultacya Don Alfonsa — *Słowo* lwowskie i jego protektorowie — Przyszły namiestnik Galicyi — Wydatki na kler a na kogo innego — Upadek rolnictwa).

W skutek porozumienia się biskupów niemieckich ze Stolicą św., otrzymali katolicy w Prusiech pozwolenie brania udziału w zarządzie majątków kościelnych. Fakt ten spowodowany prawdziwie pasterską roztropnością, by funduszów kościelnych nie rozdrapało nigdy łupów niesyte krzyżactwo, wywołał w tutejszych dziennikach liberalnych okrzyki niemal tryumfalne. Wróżąc, iż rychło kler będzie zmuszony przyjąć i inne ustawy majowe, czołgają się prawie od pochlebstwa przed Bismarkiem, a równocześnie doradzają rządowi, by podobne Prusom rozwinął brutalstwo w prześladowaniu Kościoła katolickiego. Żwawo do dzieła, krzyczą żydkowie w *Pressach* i *Blattach*. Jak Bismark tak i my nie pójdziem do Kanossy! Frazesem tym wypowiedzianym przez żelaznego księcia wśród obrad parlamentarnych nad ustawami anti-

kościelnymi, dodają sobie otuchy do nowych rozbojów, wymierzonych na katolicyzm. Frazes ten odnosi się do Henryka IV; nie chciał on pójść do Kanossy, stanął do walki z niezłomnym jak miedziana kolumna, wiekopomnej sławy papieżem Grzegorzem VII, nie myślał się upokorzyć, a jednak w końcu musiał to uczynić. Tak się stało z Henrykiem. W historyi, twierdzą niektórzy, że się nigdy podobne sobie nie powtarzają zdarzenia, kto wie czy się one teraz nie powtórzą. Czekajmy. Może nie p. Bismark, to kto inny po nim będzie musiał odbyć tę przymusową pielgrzymkę wprawdzie nie do Kanossy, ale tam, gdzie sobie dzisiaj tego nie życzy. Ruina i upadek prawdziwą będzie Kanossą. Taki bowiem koniec spotyka zwykle ciemiężców Kościoła. I tak Fryderyk Rudobrody usiłuje względem Stolicy apostolskiej przeprowadzić w czyn zasadę: „siła przed prawem", aż wreszcie po daremnych bojach rzuca się w Wenecyi do stóp papieża, błaga i otrzymuje przebaczenie. Wnuk jego Fryderyk II podejmuje tę samą walkę, toczy ją orężem, popiera gwałtami, zdradą i fałszem, aż w końcu obciążony klątwą, kończy w Firenznoli w opuszczeniu i zapomnieniu swój niesławny żywot. Francya dostarcza także kilka wybitnych przykładów, jak palec Boży dotyka koronowanych buntowników przeciw Kościołowi. Ludwik XIV przy pomocy parlamentu i pewnej części niegodnego kleru uprawnia artykuły gallikańskie, przeczy nieomylności Papieża, lecz rychło klęski wojny, nieurodzaj, zdziesiątkowanie ludności głodem, zmusiły go udać się do Kanossy. W piśmie błagalnem do Innocentego XII wyrzeka się swych błędów i błaga o przebaczenie. Napoleon I, który nie wzdrygnął się przed osobistem znieważeniem Ojca Św. poszedł wprawdzie nie do Kanossy, ale na skalistą podrównikową wyspę św. Heleny. Napoleon III, który przyłożył rękę do odarcia Stolicy apostolskiej, znalazł swoją Kanossę pod Sedanem i skończył w Chislehurst. I dzisiaj parlamenty, czy to austryacki, czy pruski, parlamenty liberalne, których przewaga trafnie wyrażona w tym dwuwierszu:

Nos numerus sumus, fruges consumere nati
Et prudentiorum rationes vincere risu

może prędzej niż sądzą, będą znaglone powędrować do Kanossy: wrócić Kościołowi jego odwieczne prawa, jeżeli nie zechcą państw, przez siebie reprezentowanych, narazić na rewolucyjne ruchy i przewroty społeczne. Takim to głosem Kassandry odzywają się doświadczenia dziejowe. Czy z nich korzystać zechcą?

Dzisiejszy liberalizm, będący niczem innem, jak tylko umiejętnie sformułowaną rewolucyjną doktryną, mającą na celu: *exploitation de l'homme par l'homme*, nietylko zasłania sobie oczy na wszelką

prawdę, ale szydzi z niej nawet, bo wywieszając zacne i wspaniałe godła, w rzeczywistości zadaje im kłam. Cóż pospolitszego jak traktaty o ludzkości, których pełno w katechizmach liberałów; przypatrzeć się atoli warto, jak ta ludzkość w praktyce wygląda. Dowodu na to dostarcza powstanie na półwyspie bałkańskim. Jeżeli chodzi o ucisk mniemany plemion indyjskich, lub negrów, albo o skargi i żałoby Aszantów i Kafrów pióra liberałów rozpływają się w czułościach dla tych nieszczęśliwych. Tkliwość ta wzrasta jeszcze bardziej, skoro doleci wieść o jakim poturbowanym żydku. Lecz gdy ludność chrześcijańska i słowiańska, barbarzyństwem i zdzierstwy muzułmańskich rządów przywiedziona do rozpaczy, chwyta za oręż, wtedy miasto współczucia słychać tylko dziki syk szyderstwa, iż to są ludy, które dotąd jeszcze nie używają chustek do nosa, wtedy dzwoni się ciągle rządowi w uszy, by nie myślał o żadnej pomocy dla tych plemion, dobijających się swobody, lecz by przestrzegał bacznie nieinterwencyi i kierował się przychylną dla Osmanów neutralnością. Zkąd u liberałów ta obojętność, a prawie nienawiść ku tym plemionom, związanym z nami przez najważniejszy czynnik cywilizacyi europejskiej, bo przez chrześcijaństwo, a zkąd u nich ta sympatya dla wyznawców proroka, moralnie i fizycznie upadłych? Odpowiedź jasna i łatwa, kto zważy, iż liberałów obóz rekrutuje się z żydów i niemców. Tym *kulturträgerom* milszy poganin, Turczyn, niż chrześcijanin, a do tego Słowianin. Lecz jakże tu żądać zwykłej ludzkości od liberalizmu, gdy tenże bezczelnie nawet w sali sądowej manifestuje swą niesprawiedliwość przeciw wszystkiemu, co chrześcijańskie, a tem więcej co katolickie.

Przed tygodniem zasądzono tu pewnego urzędnika, który swemu szefowi skradł z zamkniętego biurka kilkaset reńskich. Fakt sam nie zawiera w sobie nic nadzwyczajnego, kradną bowiem i u nas. Winowajca został skondemnowany; lecz p. obrońca miał odwagę przytoczyć jako łagodzącą wielkość winy tę okoliczność, że oskarżony przebywał dłuższy czas w zakładzie wychowawczym OO. Jezuitów w Kalksburgu. Tak więc nawet i w sali sądowej żydowski paragrafowicz uzuchwala się oskarżać niejako kapłanów i zakłady katolickie o wdrażanie do zbrodni. Niezadługo więc w skutek takiej taktyki liberałów, panowie złodzieje i mordercy dla uwolnienia się od odpowiedzialności nie będą potrzebowali co innego zrobić, jak tylko przed wykonaniem swych zbrodniczych zamiarów, wśliznąć się w roli sług do tego lub owego klasztoru, bo gdy później staną przed kratkami sądowymi, mogą być pewni, iż znajdą sympatyę u surdutowego motłochu, który część winy zdejmie z nich i wtłoczy na biodra zgromadzenia, w którem ich trzymano.

Trwoga zdejmuje pomyśleć, co to będzie z takiego społeczeństwa, w którem podobna niegodziwa sofistyka, podająca w poniewierkę co katolickie, nie wywołuje oburzenia, uchodzi bezkarnie, a nawet znajduje poklask.

Ile razy sąd potępi jakiego księdza katolickiego za brak uszanowania dla ustaw bezkonfesyjnych, tyle razy zapisują ten wypadek żydowskie gazety. Atoli ostatniemi czasy radość tych podszczuwaczy przeciw klerowi była nie mała, w Gracu albowiem roki przysięgłych skazały ks. Fluchera, kapelana w Wiel, na cztery miesiące ciężkiego więzienia za wygłoszoną z ambony w duchu Bożym ostrą lecz sprawiedliwą krytykę nowoczesnej szkoły; przedtem już za tę samą zbrodnię „zaburzenia spokojności publicznej“ zasądzony został proboszcz Watschinger, a podobny proces czeka ks. Kreicirik, plebana z Piwin w Morawii, iż pomimo interwencyi starosty odmówił kluczy od cmentarza, gdzie chciano pochować samobójcę, strażnika kolejowego. Proboszcz, opierając się na przepisach Kościoła, nie uląkł się nawet pogróżek tłuszczy roznamiętnionej, której przewodził żyd konduktor, i za ten mniemany bunt ma być w moc § 279 k. karn. pociągnięty do odpowiedzialności. Jeżeli nie można biskupów dosięgnąć, dobrze przynajmniej na młodszem duchowieństwie wywierać swą nienawiść względem Kościoła.

Niemałe wawrzyny liberalnych pochwał zebrała rada miejska w Gracu: uchwalono bowiem, bez odniesienia się do ordynaryatu usunąć z rynku wspaniały pomnik religijny — prześliczną statuę Trójcy Przenajświętszej. Uchwała ta to nowy dowód samowoli liberalnej, rozporządzającej nie swoją własnością. Za pozwoleniem cesarza Leopolda I w r. 1680 postawiono ten pomnik, spełniając ślub Bogu uczyniony. Przez dwieście lat rok rocznie obchodzono uroczystą procesyą pamiątkę dźwignienia tej statuy. W r. 1857 złożyli katolicy 10,905 złr. w celu odnowy tego pomnika, który przyozdobiono mistrzowską marmurową statuą ku uwielbieniu Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny. Jak więc rodowód tego pomnika wykazuje, jest on własnością kościoła, a nie miasta, mimo tego dokonano z niezwykłym pośpiechem zburzenia. Cóż robić! takie to dzisiaj czasy: posąg jest religijny, a więc wandalizm ma do niego prawo. Precz ze wszystkiem, co chrześcijańskie! Ordynaryat udawał się do namiestnictwa z prośbą o powstrzymanie tej uchwały, przypominającej ikonoklastów. Odpowiedzią na prośbę było zniszczenie pomnika; a teraz rada liberalna, gdy już statua zupełnie uszkodzoną i niemal zdruzgotaną została, zapytuje konsystorz, jakby na urąganie, gdzie sobie życzy mieć ją postawioną?

Oto *modus vivendi*: zamykanie kapłanów do kryminału, burzenie pamiątek katolickich. A jednak są to dopiero *initia dolorum*. Przyjdą bowiem cięższe niezawodnie próby!

Wobec tak zapowiadającej się przyszłości przygotować się nam i zahartować na prześladowania potrzeba i szukać przeciw nim siły w coraz szczelniejszem spajaniu owego błogosławionego węzła wiernych z klerem, a kleru z episkopatem. Takiej pięknej, a zbawiennej łączności świadkiem była w dzień Wniebowzięcia Praga. J. Eminen. książę-kard. Fryderyk Szwarcenberg święcił dwudziestopięciolecie swego gorliwego, prawdziwie apostolskiego pasterzowania. Uroczystość ta była w całem tego słowa znaczeniu okazałą, wspaniałą; cała ludność katolicka Czech od pierwszych imion arystokratycznych do pracownika przy pługu, od dostojników Kościoła do plebana w ustroniu wiejskiem, prześcigała się prawie w złożeniu hołdów czci, poszanowania i miłości dla księcia Kościoła, a zarazem dla niezłomnego obrońcy praw korony św. Wacława. W przeddzień samej uroczystości wspaniały orszak z pochodniami, złożony z mieszczaństwa i z licznych stowarzyszeń, stanął przed pałacem prymasa Czech; odśpiewano na ten cel ułożoną kantatę, poczem dostojny jubilat przemówił w języku czeskim i niemieckim. Przemówienie to wywarło ogromne wrażenie, i z piersi tysiąców rozległy się okrzyki radosne, pełne uniesienia. W sam zaś dzień prócz uroczystości kościelnej odbywało się przyjmowanie niezliczonych deputacyj. Kapituła ofiarowała w upominku drogocenny i nader misternej roboty pastorał, kler złożył uzbieraną przez siebie kwotę w wysokości 10.000 złr. na wsparcie emerytów i nieodpowiednio uposażonych współbraci. W imieniu szlachty odczytał adres pełen prawowierności katolickiej książę Lobkowic. Rady miejskie pospieszyły z darami. Z adresów złożonych Jego Emin. godzien odrębnej wzmianki adres stowarzyszenia katolicko-politycznego: karta tytułowa celuje prześliczną ornamentyką, a jeszcze bardziej wielce trafnem zestawieniem słów ewangelicznych z lewej strony wypisano: *veritas liberabit vos* — z prawej: *quid est veritas*? a w pośrodku jako chrześcijańska odpowiedź na to pytanie wznosi się postać Zbawiciela, okolona temi słowy: *ego sum via, veritas et vita*. Ze wszystkich atoli upominków najcenniejszy był dla Jego Emin. dar Ojca Św. i dołączone doń życzenia. Dar ten to arcydzieło sztuki, przedstawiające zdjęcie z krzyża wedle Rubensa, wyrobione ze słoniowej kości. Daj Boże, by był wróżbą iż i Kościół w Austryi zstąpi rychło z krzyża prześladowań liberalnych. Nawet p. Lasser przesłał w imieniu całego ministeryum swą gratulacyę, za co ściągnął na siebie gromy ze strony żydków, zuchwale domagających się,

by tłómaczył się z tego kroku przed ich redaktorskim sanhedrynem. Tak! Doszło już do tego, że i ministrom nie wolno dziś zachowywać przepisów zwykłej grzeczności względem książąt Kościoła. Wrzawa ta, podniesiona z powodu tej ministeryalnej gratulacyi, byłaby w gruncie śmieszną, gdyby nie ta smutna bardzo okoliczność, iż się jej pp. ministrowie lękają a nawet nią kierują. Jubileusz J. Emin. jest rękojmią pełną otuchy, iż gdzie lud i duchowieństwo tak umie uczcić i ukochać swego pasterza, tam *portae inferi*, zamachy liberalizmu *non praevalebunt*. Przy tej sposobności podaję ważniejsze daty z żywota księcia-kardynała. Urodzony w Wiedniu r. 1809, zaledwie miał lat 26, wybrany został arcybiskupem w Solnogrodzie, papież Grzegorz XVI r. 1842 mianował go kardynałem rzymskiego kollegium z tytułem św. Augustyna choć liczył dopiero lat 33. Na stolicę arcybiskupią w Pradze, choć już po śmierci arcybiskupa Ankwicza w r. 1838 miał na niej zasiąść, wstąpił dopiero w r. 1850. Książę-kardynał znany jest i w Galicyi, gdyż od r. 1852 do 1859 mianowany wizytatorem apostolskim wszystkich klasztorów w Austryi, często tamże gościł. Zasługi J. Emin. około Kościoła i narodu czeskiego są ogromne, dość gdy wspomnę, iż konkordat z r. 1856, nad którym społem z innymi biskupami monarchii pracował, przeważnie jego staraniem przyszedł do skutku. I nam przeto jako pismu katolickiemu miło zawołać dostojnemu jubilatowi: *ad multos annos!*

W sam dzień jubileuszu kardynała inaugurowano w Pradze otwarcie akademii chrześcijańskiej, której celem uprawiać sztuki umiejętności w duchu Kościoła katolickiego, pracować nad zreformowaniem i podniesieniem muzyki kościelnej, czuwać nad konserwacyą starożytnych zabytków kościelnych. Po żywym udziale kleru i świeckich katolików w tej instytucyi można jej wróżyć wielkie powodzenie.

Od jubileuszu świetnego przejdę do uroczystości podobnej, mniej wprawdzie okazałej, ale równie pięknej, równie serdecznej. W dyecezyach tutejszych ustalił się zwyczaj, iż kapłani, którzy w tym samym roku przyjęli święcenia, zbierają się po 25 latach swych prac w pewnem oznaczonem miejscu, by społem złożyć Bogu dziękczynienia, społem uprosić łaskę do dalszych trudów, społem pomodlić się za tych, którzy ubyli i społem odświeżyć wspomnienia lat seminaryjskich, jednem słowem, by zakosztować, jak prawdziwem jest, co powiedział psalmista: *ecce quam bonum et jucundum, habitare fratres in unum*. Jeden jubileusz taki odbył się w Wiedniu w kościele św. Piotra, drugi w Welhradzie dla kapłanów z ołomunieckiej i wrocławskiej dyecezyi. Na obchód taki składają się ćwiczenia religijne i skromna towarzyska

zabawa. Zwyczaj to piękny i pożyteczny już przez to, że zbliżając braci do braci, potęguje wzajemną miłość, a z nią razem i jedność, a nikt nie zaprzeczy, iż jeżeli kiedy, to w czasie walk przeciw Kościołowi, tej jedności wielce potrzeba, gdyż pozostanie zawsze prawdą, iż zjednoczenie wytwarza siłę. Możeby tam u was w Galicyi dały się wprowadzić takie jubileusze, możebyśmy wtedy nie chodzili tak luzem, jak obcy sobie, tak rozbici, możeby wówczas kler był tą siłą, na którąby się nie śmiał rzucać lada studencina wypędzony z gimnazyum, a najęty do pisania artykułów wstępnych o strychninie katolicyzmu. Rzucam myśl — czy się przyjmie, to zależy od tego gospodarza z góry, który jak ziarnu tak i myślom *dat incrementum*.

Napomknąć mi jeszcze wypada o jubileuszu O'Connella, a to dlatego, by zaznaczyć, iż tutejsze stowarzyszenia katolickie przesłały telegramy; a wątpię, czy kto w Polsce austryackiej o tem pomyślał, chociaż już samo podobieństwo losów Irlandyi z Polską powinno było do tego zachęcić. Demokraci wasi, wielbiący Garibaldego, a sławiący Bismarka za jego *Kulturkampf*, pewnie tego nie uczynili, gdyż O'Connell to patryota nie wedle ich kroju, ale patryota, u którego najprzód katolicyzm, a potem ojczyzna, a u tych monopolistów patryotyzmu wprost przeciwnie się dzieje, u nich najprzód idzie pamięć na fundusz dyspozycyjny, a potem dopiero frazesa o ojczyźnie.

Motłoch liberalny, podjudzony przez motłoch gazeciarski, wyprawiał znów swe hece przeciw Don Alfonsowi i jego małżonce. Polem tych heroicznych popisów liberalnej zgrai była Translitawia, a mianowicie miasto Fiume. Zaledwie infant hiszpański stanął w hotelu „Europa", zgromadzona przed hotelem tłuszcza kilkutysięczna poczęła wyć, gwizdać, wykrzykując: *Pereat Don Alphonso! Abbasso il bandito!* Że znieważami najnikczemniejszego kalibru obrzucono i infantkę Donnę Maryę, można się spodziewać, gdyż rozpasanej zgrai obce jest poszanowanie godności niewieściej, które cechuje każdego człowieka okrzesanego choć nieco przynajmniej z dzikości. Smutna rzecz, iż wśród tumultantów rolę agitatorów odgrywali urzędnicy miejscy. Władza zamiast energicznie rozpędzić tych łotrzyków, zachowała się całkiem biernie. Wrzaski, przypominające krzyki potępieńców, trwały od 12tej do 2giej w nocy. W nieobecności gubernatora hr. Szapary, udał się do dostojnej pary radca nadworny Valentsic z przeprosinami; niepotrzebnie atoli trudził się reprezentant rządu, który nie ma dość energii do poskromienia wybryków pospólstwa; kondolencya dla infantów hiszpańskich była zbyteczna, na ustach ich znalazł się uśmiech pogardy, bo w istocie tego tylko warta hołota liberalna. Cesarz, dowiedziawszy się o tem pogwałceniu

praw gościnności względem swego kuzyna, nakazał jak najściślejsze śledztwo, a liberalny p. Tisza z ciężkiem sercem musiał polecić, by winnych z całą surowością ukarano. Powtórzy się i tu, iż ukarzą narzędzie, a ręka, która niem kierowała, wyjdzie bez szwanku. Ręką tą, któż nie wie, iż to ta czerń pismaków, która uderza na Tiszę, jak może ujmować się za tak dziwnym (!) gościem hiszpańskim. Z otwartym więc cynizmem wyznają te organa liberalne, iż kanalia uliczna, wyprawiająca hece w Gracu i w Fiume, zostaje pod ich protekcyą.

Taką samą protekcyę rozciągają ci pismacy i nad moskiewskiem *Słowem*, a właściwie nad stojącymi za niem świętojurcami i szkalują na wyścigi Polaków, iż niesłusznie, potwarczo obwiniają Rusinów o dążności schyzmatyckie, gdyż oto *Słowo* w programie niby narodowym wyraźnie kładzie jako jeden z punktów; „utrzymanie unii z Rzymem". Tak wylewając swą żółć na tych niegodziwych polskich ultramontanów, zręcznie opuszczają słówko „na dziś", które okazuje całą wartość owej unii. Zresztą choćby i tego *nyni* i tej klauzuli nie było, to katolikom nie jest wcale dostateczną rękojmią ani owo wyparcie się dążeń do schyzmy ze strony kleru ruskiego, ani program *Słowa*, ani adresy wyrażające uległość dla Stolicy apostolskiej, skoro w praktyce przeciwnie się robi; ultramontanie wtedy dopiero uwierzą w katolicyzm szczery kleru ruskiego, jeśli ten poprzestanie czytywać i prenumerować schyzmatyckie *Słowo*, jeśli nie będzie pałać nienawiścią do kleru łacińskiego, jeżeli wreszcie jego reprezentanci, deputowani księża do Rady Państwa naprawią zgorszenie, odwołując dane (ze złamaniem swej przysięgi kapłańskiej i z podeptaniem kapłańskiego charakteru) wota za ustawami antikościelnemi, lub też gromadnie złożą mandaty. Bez tego wszelkie przysięgania na unię to tylko pełen bizantyńskiego podstępu *vox*, to tylko zręczny manewr, który prędzej czy później stwierdzi to stare zdanie, iż *graeca fides* równa się zeru.

Kiedy pisząc z Wiednia zabłąkałem się już w wasze strony, wypada mi dotknąć i kwestyi obsadzenia opróżnionego miejsca w namiestnictwie. O ile tu z różnych krzyżujących się zdań, a pochodzących ze sfer kompetentnych w tym względzie, wywnioskować można, to przyszłym namiestnikiem, gdyby się tylko nie chciał zrazić warcholstwem pewnych koteryjek w kraju, i przyjął ofiarowaną mu posadę, byłby hr. Alfred Potocki. (?) W przeciwnym razie ważyłaby się kandydatura między p. Ziemiałkowskim i baronem Possingerem. Korespondent wasz, jak zwykle otwarty, tak i teraz otwarcie wypowiada zdanie, iż pod każdym względem życzyćby sobie należało, by się utrzymał ostatni. Powody, jakie za nim przemawiają, są bardzo

liczne. A mianowicie p. Possinger nie jest obcy krajowi; w długiej urzędowej jego działalności w Galicyi, czy to jako wiceprezydenta, czy jako komisarza w sejmie, nie znajdzie nikt nic takiego, coby świadczyło o jego niechęci ku Polakom; a jeżeliby i co znaleziono, to nie należy zapominać, iż i namiestnik ma kogoś nad sobą. Wszakże i ś. p. hr. Gołuchowskiemu zarzucano, iż rozwiązał opiekę narodową, iż wydalał emigrantów i wiele, wiele innych rzeczy; p. Possinger nie kokietował nigdy z żydami, nie potrzebował ich głosów, by otrzymać mandat poselski, p. Possinger jako urzędnik łączy sprężystość z niezwykłą uprzejmością, na czem tylko administracya zyskać może, p. Possinger, co dla nas najważniejsza, był i jest dobrym katolikiem. A tymczasem o p. Ziemiałkowskim czyż można to powiedzieć? O jego przywiązaniu do Kościoła świadczyć tylko może chyba *Dziennik Polski*, zwiący katolicyzm „rzymską strychniną“. Co się zaś tyczy owego gorącego patryotyzmu p. Ziemiałkowskiego, to o nim znowu mówią *Tagblatt* i *Neue freie Presse*. Zresztą p. Ziemiałkowskiego, widać, dobrze znają sami liberali, skoro nawet takie dzienniki jak: *Dziennik Polski* we Lwowie, *Tagblatt* i *Neue freie Presse* w Wiedniu popierają jego kandydaturę. *Dziennik Polski* popiera go, bo spodziewa się porosnąć w umiłowane przez niego pióra i otrzymać jakąś remuneracyę za swe gardłowanie, wyjednać dla różnych klubowców, jeżeli już nie urząd dyrektorski biura statystycznego, to przynajmniej posady woźnych przy namiestnictwie. Żydowskie świstki popierają go, bo widocznie liczą albo muszą być pewne o sympatyach p. ministra dla biednych, prześladowanych przez polonizm feudalno-klerykalny synów Izraela.

Ale dajmy temu pokój. Wola Monarchy niedługo rozstrzygnie tę kwestyę. Niech sobie p. Ziemiałkowski obejmie zresztą ster pod kawkami, byle tylko nie przeszedł na etat pensyonistów, bo strach pomyśleć, że Austrya ma już 96 ministrów na pensyi, którzy za swe dłuższe lub krótsze uszczęśliwianie ludów pobierają rocznie tę okrągłą sumkę 360.000 zł. Czyliż obok tej kwoty, wypłacanej ludziom po większej części zasobnym, zdolnym jeszcze do pracy, nie wygląda na ironię ta zapomoga dla kleru, rozdzielana po 50, 70 a najwyżej 200 zł., z której się rząd chełpi, jakby z jakiego dobrodziejstwa i za której udzielenie domaga się ślubowania na Ewangelię wiernokonstytucyjną, czyli co na jedno wychodzi, zdrady na Kościele. Lecz taka to już taktyka liberałów.

Ze wszystkich niemal prowincyj nadchodzą wieści o nieurodzajach, o powolnym upadku gospodarstw rolnych. Czas wielki, by rolnicy,

więksi i mniejsi pomyśleli dla obrony żywotnych swych interesów o zorganizowaniu stowarzyszenia agraryjnego. Liberalizm to ruina dla stosunków ekonomicznych. Wszakże to jasno jak na dłoni, iż jeżeli obywatelowi uprzyjemni się pobyt na wsi przez zdrowe stosunki polityczne, przez niekrępowany samorząd, jeżeli centralizm nie będzie go wabił do stolicy, ani też rzucał w ramiona modnych spekulacyj, to wtedy obywatel przykładem swej racyonalnej, dzielnej gospodarki będzie oddziaływał skutecznie i na właściciela mniejszej posiadłości, a ten wpływ sprowadzi za sobą w następstwie rozkwit gospodarczy, dobrobyt ludu wiejskiego, jak tego przykłady widzimy w Anglii, Belgii i Hollandyi. Tam atoli, gdzie ołowiany biurokratyczny rząd położy swą ciężką dłoń na ludy, gdzie liberalizm popiera rozprzężenie węzłów społecznych, gdzie plutokracya uczy pogardzać pracą poczciwą i zbogacać się chyżo przez wyzyskiwanie drugich; tam gdzie przez niesłychane podatki konfiskuje się mienie wieśniaka prawie do połowy, tam łudzą się jeszcze, iż potrafią żywot zdrowy zastąpić przez ministeryum rolnictwa, przez akademie rolnicze i tym podobne mechanizmy biurokratyczne, gdyż właśnie te same liberalne środki wygnębiają prawie zupełnie resztki męzkiej samodzielności. Przez powszechny upadek rolnictwa składa liberalna doktryna świeży dowód, iż umie tylko burzyć, ale nie budować. Społeczeństwa i kraje, idąc za instrukcyami liberalizmu, jedne po drugich doświadczają klęski, a jednak brak im energii zawołać: *quousque tandem*. Niestety *habent oculos — et non vident*. Oby tylko nie za późno spadła łuska z oczu!

Listy z Wielkopolski.

(Serya II).

VIII.

Wypuszczeni z więzień kapłani i parafianie — Jego Eminencya kardynał-prymas — Ks. kanonik Kurowski i ks. prałat Koźmian — Ks. Enn i jego rodzina — Ojcowie nowo-wyświęconych kapłanów — Broszura Kirchmanna przeciw *Kulturkampfowi* — Dr. Szymański i sądy — Wiece — Hr. Łubieński, książę Roman Czartoryski, p. Szoldrski, ks. Zingler i ślusarz — Następstwa z odbywania wieców.

Poznań 24 Sierpnia.

Coraz trudniej przychodzi mi do was ztąd pisać, odkąd stosunki iście moskiewskie nakazują ostrożność krępującą pióro, a z drugiej strony doniosłość wypadków przerasta niejako i zakres i zdolności korespondenta. Jednych rzeczy nie śmiem dotykać, drugich nie mogę i tak albo się ograniczać trzeba

na banalnych ogólnikach, albo zupełnie przestać wam donosić, co się dzieje w tej biednej Wielkopolsce, tylu ciosami obecnie nawiedzanej. Ostatnie dni przyniosły nam niemałą pociechę, z powodu nieprzewidzianego uwolnienia wszystkich kapłanów więzionych w sprawie delegata. Pozostali tylko za kratami: Najdostojniejszy kardynał prymas, księża kanonicy: Kurowski i Koźmian, nareszcie ks. Stagraczyński, który w tym tygodniu kończy odsiadywać w Kościanie sześciomiesięczne więzienie. Powód uwolnienia hurtownego księży dziekanów, ks. regensa Likowskiego, ks. Giemzickiego i ks. Janke dotąd nie zupełnie jest wytłumaczonym. Zdaje się jednak, że rząd gwałtem chce upatrywać w ks. kanoniku Kurowskim tajemną delegata osobę i że ztąd z rozpoczęciem jego procesu wypuszczono wszystkich więźniów, trzymanych dotąd za kratami o świadectwo w sprawie delegata. Można sobie wystawić, z jaką radością długo osierocone parafie witały swych pasterzy, z jaką gorliwością owi czcigodni wyznawcy zabrali się na nowo do tej pracy w winnicy Pańskiej, która nie zarosła ostem w ich nieobecności, dzięki tej przedziwnej łączności z pasterzami, która strzeże wierności owieczek i zagrzewa ich pobożność. Im większa z jednej strony radość, tem z drugiej tęskniejsza myśl zwraca się ku pozostałym za kratami więźniom, zwłaszcza iż się znajdują w wyjątkowo przykrych warunkach. Odosobnienie Jego Eminencyi kardynała-prymasa coraz to surowszemi zastrzeżone bywa rozkazami. Nikogo do jego obecności nie przypuszczają, z wyjątkiem kapelana i spowiednika. Ostateczny wyrok sądu pozwala wnosić, że z dniem 3 Lutego, to jest w drugą rocznicę uwięzienia, skończy się niewola naszego Najprzewielebniejszego arcypasterza. Ale co później nastąpi? odgadnąć trudno, a zwłaszcza niczego dobrego spodziewać się nie można. Kanonicy zamknięci w Poznaniu znoszą tysiączne niedogodności, przywiązane do miejsca; ksiądz kanonik Kurowski dotąd trzymanym jest *au secret*, w zupełnem odosobnieniu; ks. prałatowi Koźmianowi odmówiono stanowczo urlopu mimo koniecznej potrzeby kuracyi w ciągu szybko upływającego lata. I zdrowie i wzrok czcigodnego więźnia wystawione są na szwank niemały z powodu przeciągającego się zamknięcia. Zamknięcie to niczem wytłómaczyć ani uzasadnić się nie daje: ks. Koźmian bowiem uwięzionym został o świadectwo w sprawie exkommuniki, rzuconej na Kicka przez nieznajomego kapłana. Otóż dzisiaj, gdy nazwisko owego kapłana powszechnie jest wiadomem, znachodzimy w tej całej sprawie jedną z tych kontradykcyj, na których nie zbywa wśród obecnych stosunków. Z jednej strony i nadal trzymają w więzieniu ks. Koźmiana i co sześć tygodni badają o świadectwo w sprawie rzeczonej ex-kommuniki, pytając o nazwisko kapłana, który ją wygłosił, z drugiej ścigają ks. Enna listami gończemi i poszukują go na wszystkie strony. Z wyjątkową zawziętością, nie szanując nawet pokoju jego własnej rodziny i to z pominięciem wyraźnego prawa pruskiego, które zabrania żądać świadectwa od krewnych przeciw krewnym. Otóż już po dwakroć podobne u nas zaszły przypadki: brata ks. Enna wtrącono w Gnieźnie do więzienia na kilkanaście godzin, dlatego że nie dał adresu młodego kapłana. Teraz słyszymy, że ojcu jednemu z duchownych, wyświęconych po ogłoszeniu praw majowych, zagrożono podobnież uwięzieniem, jeżeli na drugim terminie sądowym odmówi podania wyraźnego adresu syna. Podobne gwałcenie wolności osobistej i praw państwowych słuszne wywołują oburzenie w prasie zagranicznej.

Odezwał się świeżo głos wymowny i poważny z najniespodziewańszej strony, bo z łona *Fortschritts-Partei*, dzwoniący na alarm z powodu tego właśnie *Kulturkampfu*, który ma nibyto sprawę cywilizacyi i wolności popierać i przeprowadzać. Jestto broszura p. t. *Der Kulturkamf in Preussen und seine Bedenken. Leipzig, Verlag von Bidder, 1875* przez I. H. von Kirchmann. Autor bardzo znany z dzieł wielu, wybitny myśliciel, wydawca biblioteki filozoficznej, członek Reichstagu i Izby pruskiej, były prezes sądu apelacyjnego w Górnym Szląsku, protestant z urodzenia, z zasad zaś liberał niepodległy (bo nieraz przeciw liberałom w Izbie głosował), członek i przodownik partyi postępowców, p. von Kirchmann ze wszech miar zasługuje, aby głos jego nie przebrzmiał bez zwrócenia na siebie uwagi. Przeciwnik pod wielu względami Kościoła katolickiego, nie szczędzi mu zwykłych ze strony protestantów zarzutów, zwłaszcza przemawia przeciwko jego wpływom na szkołę. W czem tem bardziej jest niekonsekwentnym, że koniec końcem tylko od Kościoła katolickiego wygląda ratunku przeciw grożącemu socyalizmowi. Jako były prezes sądu apelacyjnego w polskim Szlązku, Kirchmann przyznaje, że w katolickich stronach cesarstwa mniej bywa zbrodni, że harmonia socyalna lepsza, pijaństwa mało, co wszystko przypisuje wpływom duchowieństwa. Przeciw socyalizmowi potrzebne są charaktery; wiedza i oświata nie wystarcza. Autor przyznaje, że tylko Kościół katolicki jest prawdziwą szkołą uszanowania dla powagi. Zadaniem Kościoła jest ratować społeczeństwo od socyalnych wstrząśnień, dlatego nie należy jego działania krępować. Protestancki autor uczciwie przyznaje, że Kościół mocniej niż kiedykolwiek dziś stoi, i co materyalnie stracił, to w trójnasób moralnie odzyskał. Dalej twierdzi, że indywidualizm w religii bez korporacyi rozbija państwo, że nowe kroki rządu prowadzą do handlu przekonaniami, że poczucie hańby przywiązane dotąd do kar sądowych niechybnie się zatrzeć musi, skoro zupełnie niewinne ofiary ze zbrodniarzami bywają zrównane. Najciekawszą atoli część broszury Kirchmanna stanowią jego uwagi o początkach i powodach *Kulturkampfu*. Przypisuje on dzisiejszą walkę głównie osobistemu rozdrażnieniu nerwów kanclerza niemieckiego państwa. Po wojnie francuzkiej spodziewał się on bezwarunkowego entuzyazmu, a tu napotkał opozycyę ze strony *centrum*. Nie sądził, aby mu świeccy opor stawiali, duchownych stałość myślał złamać. A tu duchowni stają jak mur w wierności z swymi pasterzami, a w Niemczech nigdy religia katolicka takiego rozgrzania się nie była doczekała, żadna parafia dotąd nie użyła prawa wyboru pasterza, starokatolicy żadnej nie stanowią siły, nie mając w sobie nic pozytywnego, żywotnego. Taka jest mniej więcej treść ciekawej broszury p. von Kirchmann, tem ciekawszej, że dziś wśród ogólnie serwilistycznego usposobienia koryfeuszów protestanckich Niemiec, tak trudno o głos uczciwy i sumienny, któryby niepodległe śmiał swe zapatrywania i zdania ogłaszać.

Wiadomo wam, w jak gwałtowny i doraźny sposób Dr. Szymański, redaktor *Orędownika* został aresztowanym i skazanym na rok jeden więzienia za wydanie mowy Dr. Niegolewskiego w książeczce p. t. *Bieda narodu polskiego i polskiego języka*. Pierwsza instancya sądu powiatowego w Poznaniu uzasadniła wyrok tem: że Dr. Szymański mowy posła Niegolewskiego nie podał jako wierne sprawozdanie z uchwał sejmowych, ale jej użył jako środka agitacyjnego (*hat sich angeeignet als Agitationsmittel*) i dlatego za treść tej

mowy sam jest odpowiedzialnym. Dr. Szymański postanowił apelować, udał się więc do czterech adwokatów, ale mu wszyscy odmówili, zastawiając się podróżą do wód. Dr. Szymański uzasadnił przeto sam apelacyę i poprosił do obrony p. referendaryusza Büttnera w tej nadziei, że i jemu będzie wolno się bronić. Tymczasem sąd mu tego wzbronił i gdy się Dr. Szymański po drugi raz udał do sądu apelacyjnego, żeby go na termin z więzienia wypuszczono, albowiem p. Büttner nic po polsku nie rozumie, a w tłómaczeniu przedmowy jego zachodzą grube błędy, które sens na niekorzyść oskarżonego zmieniają, odpowiedziano mu, że go zawezwą, gdy się okaże tego potrzeba, a ostatecznie nie zawezwali go na termin przypadły w zeszłym tygodniu. Taka teraz u nas sprawiedliwość.

Tymczasem sprawa wieców, tak dzielnie podniesiona w *Orędowniku*, najpiękniejszego nareszcie doczekała się rozwoju, przechodząc wszystkie najświetniejsze nasze nadzieje zespoleniem wszystkich sił i stanów. Tak jest — ową wymarzoną jedność, której dotąd nic nam dać nie mogło: ani dawna pomyślność, ani długoletnie klęski — tę jedność znaleźliśmy dziś skutkiem prześladowania, które zarazem wiarę naszą i narodowość obejmuje. Ostatnie tygodnie przyniosły nam jak najbardziej pocieszające w tym kierunku objawy; rzecby można, że echo uroczystości Dublińskich ożywiało naszą społeczność, że duch tego O'Connella tak często w naszych zebraniach wspominanego, wszystkich zagrzewał i podnosił, wszystkim przypominał, że w życiu politycznem należy pamiętać o duszy, a w życiu religijnem o ojczyźnie.

Ziemia Krobska dotąd głównie w tym ruchu przoduje, tam najczęstsze bywają wiece, ztamtąd płynie pochop do coraz to nowych zgromadzeń. Dwa ostatnie wiece najświetniej wypadły, z powodu napływu ludu, obywatelstwa okolicznego i udziału duchowieństwa. Pierwszy odbył się w Osiecznie pod przewodnictwem hr. Witolda Łubieńskiego. Drugi w Gostyniu pod przewodnictwem księcia Romana Czartoryskiego, który jednocześnie zdawał sprawę z swej poselskiej czynności. Po długiej jego mowie zabrał głos ślusarz z Gostynia w sprawie równouprawnienia polskiej narodowości, tak srodze dziś krzywdzonej mimo krwi w tylu wojnach hojnie w szeregach pruskich wylewanej. Dalej odzywał się p. Emil Szołdrski, a nareszcie przemówił ksiądz Zingler, oświecając słuchaczów co do kwestyi bardzo ważnej, a będącej obecnie na porządku dziennym, bo w kwestyi administracyi majątków kościelnych. W Osiecznie zaś oprócz sprawozdania z czynności sejmowej posła Wojczewskiego, zabrali z kolei głos ks. Bluemel, Dr. Hejnowicz i włościanin z okolicy, który w serdecznych słowach podziękował tym wszystkim, którzy podobne zebrania układają i podają ludowi sposobność oświecenia się i pokrzepienia w ciężkich obecnych czasach. Sam skład mówców najlepiej świadczy o tej przedziwnej jedności, która dziś u nas na łonie jedności z Kościołem się rozwinęła i dojrzała, zakwitając tą harmonią iście katolicką, której żaden systemat ziemski dać nie może. Płonne tedy były obawy nasze, aby niektóre sfery usuwały się z pola czynnego poświęcenia i działania. Wszyscy dziś jednym porwani prądem idą ręka w rękę, za radą którą już ongi pierwszym chrześcijanom dawał Apostoł narodów: *Et consideremus invicem in provocationem caritatis et bonorum operum. Non deserentes collectionem nostram, sed consolantes et tanto magis quando videritis appropinquantem diem.* (*Ad Hebr.*

X 24. 25.) Gdzie nasz tekst pisze: *consolantes* inna wersya opiewa: *exhortantes.* A więc jak wtedy, i więcej jak wtedy, boć bliższy dzień Pański, potrzeba nam się zbierać, wzajemnie pocieszać i nauczać, jednem słowem sposobić nadejście tego królestwa Bożego na ziemi, o które codziennie wołamy. Niemasz ku temu lepszego środka po modlitwie, jak te wiece, te zgromadzenia chrześcijańskie, które po całym świecie dziś widzimy, a które są główną obroną w obecnym ucisku, przez zjednoczenie sił i serc w wspólności dążeń i wyobrażeń. Z tego wzajemnego spotykania się, poznawania, gromadzenia, najwyższe płyną korzyści, żeby tylko przypomnieć co dopiero przytoczone słowa Apostoła, który upomina małodusznych, aby się od owych zebrań nie usuwali, ale w obopólnem zapatrywaniu się na braci czerpali pochop do miłości i dobrych uczynków. Ażeby użyć wspaniałego orzeczenia św. Jana Złotoustego: „jeżeli z uderzenia wzajemnego dwóch kamieni wytryska iskra ognista, jakoż daleko więcej z zetknięcia się dwóch dusz ludzkich". *Nam si lapis lapidi attritus ignem emittit, quanto magis anima animae admixta.* (*Homil. XIX in ep. ad Heb. X.*)

Wiece te mniej więcej zawsze jednakim urządzane bywają porządkiem. Głównym ich bezpośrednim skutkiem zawiązanie stowarzyszeń, mających na celu szerzenie dobrych pism polsko-katolickich. Miło patrzeć, z jakim zapałem lud się do zapisywania garnie, jak chętnie składa grosze w pocie czoła zapracowane, byle sobie zapewnić odbieranie tych pism peryodycznych, które tak czytać lubi i pragnie, a których potrzebę coraz to lepiej przez owe zgromadzenia poznawać będzie. To pewna że wiece zadadzą cios śmiertelny prasie pseudo-liberalnej, a w rzeczy samej anti-katolickiej i przez to samo nie-polskiej. Każdy wiec kończy się zwykle rezolucyami jednakiej treści, świadczącej gorąco o wierności ku prawowitej władzy kościelnej i miłości ojczyzny zebranych; naostatek telegram zanosi do stóp dostojnego więźnia w Ostrowie wyraz czci, przywiązania i niezmiennej wierności. Taki mniej więcej jest porządek wieców, zewsząd słychać zapowiedzi licznych tego rodzaju zgromadzeń. W najbliższym czasie mają być wiece: w Kościanu z sprawozdaniem z czynności sejmowej posła Stanisława Chłapowskiego, w Książu, w Krzywiniu, Rydzynie, itd. itd. Nie łudzimy się nadzieją, aby nasze zebrania polsko-katolickie miały tak prędko uzyskać nam jakiekolwiek wymierzenie ludzkiej sprawiedliwości. Atoli widzimy w nich pewne moralne uzbrojenie, potrzebne na czas ucisku, widzimy środek niezrównany łączności społecznej, gdy nas zewsząd socyalizm otacza i zgniłemi wyziewy próbuje zatruć ten lud poczciwy, stanowiący dotąd najzdrowszą część naszego społeczeństwa. Pamiętamy zresztą zawsze, iż ojcowie nasi przez trzysta lat zbierali się w katakombach, zanim krzyż Pański jawnie nad światem mógł zapanować. Pod wielu względami katakomby, do jakich nowożytne pogaństwo zepchnąć nas usiłuje, nie są ani mniej ciemne, ani mniej głębokie. Jednoczmyż się tedy w pracy i usiłowaniach, o ile będzie w mocy naszej, a da Bóg doczekać ujrzymy raz więcej *Labarum* Chrześcijaństwa zwycięzko roztaczające nad światem swe tryumfujące znaki.

P. S. W tej chwili dochodzi mnie *Kuryer* z nader pięknym opisem ostatniego Gostyńskiego wiecu, pozwólcie mi dodać do listu już i tak przydługiego, końcowy ustęp owej korrespondencyi, którąbym całą rad powtórzyć, tak jest serdecznie, ślicznie, wymownie i gorąco napisana.

„Wiece polsko-katolickie stały się już faktem; należą one już teraz do roboty narodowej, i tego charakteru już im nikt nie odbierze mimo wszystkich rzucanych na nie podejrzeń i niegodziwych insynuacyj".

„Na wiecach takich z charakterem wybitnie polskim wybitnie katolickim, to jest takim, jaki ma nasza społeczność polska w Prusach, ufamy mocno dokona się zdziałanie, zjednoczenie się, zespolenie wszystkich stanów i żywiołów u nas na wspólnej podstawie miłości Boga, Kościoła i Ojczyzny — Na wiecach poczujemy się dziećmi jednej matki Kościoła rzymsko-katolickiego, dziećmi jednej matki Polski. Czyż nie dodaje otuchy ten wiec Gostyński, któremu przewodniczy książę należący do znakomitej rodziny, której losy łączą się z losami naszej Ojczyzny od blisko dwóch wieków, która stawała tam zawsze, gdzie można było przynieść ulgę i pożytek zdrowy Ojczyźnie; ten wiec, do którego się garnie szlachta pięknego imienia, patryotyczne zawsze nasze mieszczaństwo, i do którego przystępuje z coraz większą ufnością nasz chłopek polski w sukmanie swojej poczciwej; któremu nadają uświęcenie i nastrój wyższy duchowni nasi, będący zawsze tam, gdzie jest robota około rzetelnego dobra Ojczyzny, strzegący jako talizmanu naszego narodowego tej ośmiowiekowej świętej Unii narodu naszego z Kościołem katolickim. Wiece polsko-katolickie sprawią, da Bóg, że się zagoją rozdwojenia, że nie będzie już u nas jak dotąd, tu liberał — tu ultramontanin — że w każdym towarzystwie i liczniejszem zebraniu nie będą na siebie patrzeć złowrogiem okiem dzieci jednej matki Ojczyzny, jakby do wrogich sobie obozów należeli, że zespolimy serca nasze, umysły i roboty nasze około dobra i obrony Kościoła i narodu. Wiece polsko-katolickie sprawią, że zrzucimy ze siebie tę pleśń i rdzę, jaka osiadła w ostatnich latach na naszem życiu narodowem, na naszych pracach narodowych, a która trawiła nasze soki żywotne; one sprawią, że życie narodowe mimo przeszkód odtąd popłynie pełnem korytem, że odtąd wspólnie razem wszyscy będziemy znosić trudy, mozoły i zawody doznawane w naszem życiu publicznem. Wiece polsko-katolickie ziszczą spełnienie przepowiedni wieszcza Zygmunta Krasińskiego:

Z szlachtą polską — polski lud!"

Korespondencya z Paryża.

Paryż 20 Sierpnia 1875.

Ludzkie rzeczy, a często i ludzie mają to do siebie, że zdaleka zdają się czemś wielkiem, ale gdy się im zbliska przypatrzysz, stają się małemi, karłowacieją. Dnia 9go t. m. odbyło się rozdanie nagród *des grands concours* w akademii francuzkiej w Sorbonie. Wielkie słowa i szumne zapowiedzi. Czytając je na błękitnych ozdobnych biletach wejścia albo w dziennikach sądziłbyś, że Bóg wie, co to za morze mądrości i wiedzy ludzkiej, zwłaszcza że profesor filologii na Sorbonie i minister oświecenia p. Wallon mają przemawiać, pierwszy

w łacińskim, drugi we francuzkim języku o znaczeniu i doniosłości współzawodnictwa w szkołach. Zdjęła mnie ciekawość, a powiem szczerze i prawdziwa chęć dowiedzenia się czegoś nowego. Prosiłem tedy grzecznym listem o kartę wejścia, nazajutrz otrzymałem od ministra oświecenia aż dwa bilety. Grzeczność ta podbiła do reszty me serce, przyszedłem więc najlepiej i najkorzystniej usposobiony dla tej naukowej korporacyi. Niestety biletów wydano więcej jak sala i galerye objąć mogły i lubo kwadrans przed oznaczoną godziną przyszedłem, znalazłem wszystkie miejsca nie już zajęte, ale zapchane. Oddać należy słuszność francuzkiej społeczności; nie jest ona obojętną na naukowe zebrania, przekonałem się o tem aż na cztery zawody z wielką pociechą, ale i z wielkiem zawstydzeniem, bo mimowolnie nasunęło mi się na myśl, jak też to u nas w Polsce mimo drobnych rozmiarów i sal i naukowych posiedzeń, publiczność „świeci nieobecnością". Tu przeciwnie dobrą godziną pierwej już miejsca zapełnione, a kto zbyt skrupulatny w naznaczonym stanie terminie ten albo odejść musi z kwitkiem, albo gdzieś na ostatniem miejscu stojąc przetrwa całe godziny. Coś podobnego niemal że się i mnie nie wydarzyło. U wszystkich bram i drzwi powiada mi trzymająca porządek milicya: nie ma miejsca. Napróżno pokazuję mój bilet, napróżno dowodzę, żem cudzoziemiec, a więc nie będę miał sposobności przypatrzenia się tym cudom francuzkiej mądrości. Odebrano bilet ale miejsca nie dano. Nie tracę jednak nadziei. Widzę że liczny pensyonat w uniformie granatowym o złotych guzikach i gwiazdach wchodzi na naznaczone sobie miejsce. Stojący obok mnie tłum młodzików przyjął tych chłopców świstaniem. To dobry znak, coś to poczciwego być musi. I nie omyliłem się. Był to pensyonat Stanisława, będący pod zarządem księży Maryawitów *Pères de St. Marie*. Jakiś poważny jegomość, towarzyszący elewom pensyonatu, zgromił ostro onych świstających paniczów, policya, a było tam ze czterech tej straży bezpieczeństwa, milczała. Oto coś tak jak u nas, myślę sobie, ale poważna powierzchowność owego jegomości ośmieliła mnie, podszedłem więc do niego i opowiadam mu mój kłopot. „Ha, ja tu nic nie mogę, ale idź pan za tymi młodymi, jak pana wpuszczą, to pańskie szczęście". I wpuścił. Miasto na galeryi siedziałem tedy w parterze obok młodzieży szkolnej z jednej strony, a z drugiej obok wojskowej muzyki, która kilka pięknych kawałków odegrała. Było nas jakie 3.000 osób. Około 12tej rozpoczął się ów akt uroczysty. Sorbona zachowała dotychczas scholastyczny strój nietylko swych mistrzów, ale i profesorów z liceum, a nawet i bedelów. Poprzedzony insigniami wszedł

najprzód dziekan fakultetu medycznego, następnie inni dziekani i rektor. Czarna toga podobna do sukni, jakiej u nas używają protestanccy pastorowie, rabat biały i szarfa żółta lub amarantowa zarzucona przez lewe ramię, kołpak amarantowy, żółty albo czarny podobny do kołpaka ruskich władyków, oto ubiór mistrzów, dziekani i rektor noszą nadto płaszcz amarantowy lub kanarkowy w guście kardynałów, a rektor złoty łańcuch. Strój ten ma wiele powagi i powabu w sobie. Przewodniczył aktowi minister Wallon we fraku republiki francuskiej (granatowym, którego kołnierz i wyłogi wyszywane zielonym jedwabiem) przy szpadzie; po prawej jego stronie w podobnymże stroju prefekt Paryża p. Duval, dalej pięcioma orderami dekorowany niezmiernie ujmującej postaci admirał, którego nazwiska dowiedzieć się nie mogłem, po lewej zaś stronie trzech poważnych panów z ministerstwa jak mniemam oświecenia, biskup *in partibus*, ks. Maret, dziekan fakultetu teologicznego i jeszcze jakiś dygnitarz podeszłego wieku w jedwabnym kanarkowym płaszczu czy todze, bo już rozróżnić dokładnie nie mogłem. Na samym wstępie przeraziła wszystkich bolesna wiadomość. Profesor, który miał wygłosić mowę łacińską, stracił tegoż poranku ukochaną córkę. Wyręczył go więc któryś z jego kolegów i odczytał jego mowę. Czystą piękną napisana łaciną, ale wygłoszona francuskim akcentem dla nas przynajmniej Polaków straciła wiele z swego powabu i wdzięku. Co innego do treści, nie miała ona wielkiej wartości. Na wstępie zwyczajne oratorskie komplementa ministrowi, rektorowi młodzieży i kobietom. Tym ostatnim poświęcił mówca długi okres, przepraszając, że musi przemawiać mową, która wchodzi do ich uszu, ale nie do umysłu i prosząc, aby go nie miały za barbarzyńcę, gdyż według Horacyusza *„barbarus is ego sum dum non intelligor ulli“*. Kurtuazya ta, mem zdaniem, nie na miejscu, przyjętą została przez swawolną młodzież galeryi przedłużonemi oklaskami. Po takim prologu zatrzymał się mówca dłużej nad igrzyskami wyprawianemi u Greków, olimpijskiemi, pytyjskiemi itd. dowodził że emulacyi tej podtrzymywanej zainteresowaniem się całego narodu Grecya winna swą naukową wyższość, że nawet krwi i boju chciwi Rzymianie umieli oceniać niespożytą potęgę współzawodnictwa i ustanowili dlatego nagrodę „korony obywatelskiej“ *(corona civilis, muralis)*. Utrzymywał dalej, że złe jakie podobna „niekrwawa i niewinna walka“, jaką jest współzawodnictwo naukowe, wyrodzić może, t. j. pycha i zarozumiałość nie jest złem prawdziwem. Bo co się jego tyczy, to mniema, że zadowolnienie z siebie pochodzące z przeświadczenia że się swój

obowiązek spełniło nie jest występnem, a trochę próżności przebacza się łatwo młodemu wiekowi. W epilogu podniósł jeszcze raz użyteczność i zacność naukowej pracy w każdym składzie państwa i wskazał na żywy przykład, na Mac Machona, który „królewskim żołnierzem będąc, powołany został głosem narodu na prezydenta Rzeczypospolitej“. Epilog był coś ni w pięć ni w dziewięć, mimo wytężonej uwagi nie mogłem uchwycić jego wątku. Przeszkadzało mi także, przyznam się, zachowanie się młodzieży, która widocznie nie rozumiejąc natury języka łacińskiego, a tylko pojedyńcze słowa pochwytując, klaskała przy każdym niemal peryodzie lub nawet przestanku mówiącego. I tak wyrazy, które są tylko formułą krasomowską jak: *egregia juventus; auditores ornatissimi; viri ingenio, doctrina, virtute praestantissimi, chara spes patriae* albo wyraz *respublica* w znaczeniu „sprawy publiczne“, wywoływały każdym razem żywe przeciągłe oklaski. Gdy mówca, jak jest zwyczaj w prologu zapowiedział, że niedługo będzie mówił, to oklaskom nie było końca. Widocznem było aż nadto lekceważenie całego aktu. Ruszałem ramionami na ten brak taktu, ale i bolałem nad tem szczerze. Minister Wallon w francuskiej swej mowie powtórzył niemal wszystko, co było powiedziane w łacińskiej, dodał tylko, że i Chrystus Pan w swej ewangelii uczniom swoim polecił coś podobnego jak współzawodnictwo, ale tej myśli nie rozwinął dokładniej. Dodać winienem, że ten p. Wallon jest człowiekiem religijnym [1]), wydał nawet dzieło opisujące żywot Chrystusa Pana. Po mowie ministra rozdano nagrody uczniom ośmiu lyceów miasta Paryża i Wersalu. Minister sam wieńczył, jak tu jest zwyczaj, wiankiem dębowym skronie młodzieńca, składał pocałunek na jego czole i wręczał owe księgi. Często odstępował tego zaszczytu siedzącym obok siebie mecenasom i mistrzom, raz także biskupowi Maret. Było oprócz tego kilka nagród honorowych dla naj-

[1]) Za czasów Napoleona III odznaczał się jaskrawem występowaniem w obronie rzekomych praw i swobód Kościoła gallikańskiego. Napoleon schlebiał mu i używał go za taran do zgruchotania zasad rzymskich. P. Wallon, w wydawanym przez siebie dzienniku p. t. *Sztandar*, występował przeciwko ultramontanom i idąc za natchnieniem Napoleona przygotowywał grunt dla narodowego Kościoła francuzkiego. W dzienniku swym, zasilanym przez kieszeń cesarską, zgromadził liczne grono księży gallikańskim duchem przejętych, którzy nie wahali się nawet uciekać się do paszkwilów. Ks. biskup Maret, o którym wspomina korespondent, miał także brać udział w tem piśmie. Była to przednia czata antiinfallibilistów francuzkich, gotujących się do uderzenia na nieomylność papiezką w oczekiwanym już wtenczas Soborze Watykańskim. (Przyp. Red.)

lepiej zasłużonych starszych uczniów. Zauważyłem 14letniego delikatnej, ale miłej postawy chłopczyka, ucznia retoryki, który obdarzony został aż pięciu nagrodami; stos książek równie prawie wysoki jak on sam leżał obok niego. Gdy ostatnią nagrodę wręczał mu sędziwy admirał, cała sala grzmiała oklaskami, bo też to dziwnie rzewny był kontrast, tego posiwiałego w walce z żywiołami, schodzącego już z pola marynarza, a tego drobnego dzieciaka, który tak honorowo i zaszczytnie wstępuje dopiero na drogę życia, pracy i walki. Jakiś żydek Salomon odniósł także cztery nagrody. Było jeszcze kilka nagród „zachęty“ do nauk. Jakkolwiek jest sprzeczność w samem słowie *prix d'encouragement*, bo nagroda daje się za czyn dokonany, a zachęta zmierza do przyszłości, to jednak uznać trzeba wysoką zaletę podobnych nagród, czyli raczej podarunków. O 2giej z południa uroczystość skończyła się. Kompania piechoty na dziedzińcu, a szwadron konnej gwardyi narodowej w gali oczekiwał ministra. Gdy wyszedł, piechota prezentowała broń, a konnica konwojowała powóz ministra aż do jego mieszkania. Psuły harmonię tego aktu niesforność i niekarność młodzieży.

Byłem jeszcze na sześciu innych uroczystościach rozdania nagród, gdzie słyszałem aż jedenaście mów. Wszyscy mówcy podnosili tę wielką prawdę, że prawdziwe wykształcenie t. j. wiedza bogacąca rozum, i zacność moralna zdobiąca serca ludzkie, opierać się musi na Kościele katolickim, który sam jeden podaje i głosi prawdy i którego zasady same już z siebie wzniosłe i wielkie.

Na rozdawaniu nagród w kolegium Stanisława prezydował z polecenia ministra biskup Maret. Zakład ten nazwany *collége de Stanislas* według jednych od króla Leszczyńskiego, którego znaczne fundusze temu zakładowi przekazano, według innych od Ludwika XVIII, który to drugie miał nosić imię, uchodzi za klerykalny, chociaż profesorowie Sorbony w nim wykładają. Liczy 400 internów, a jakie 250 dochodzących. I jest w stanie kwitnącym.

Zasługują też na uwagę początkowe szkoły *(primaires)* „braci szkół chrześcijańskich“. Oprócz kilkunastu szkół, liczących po 400 dzieci, które odpowiadają naszym szkołom ludowym, mają dwie szkoły niby nasze wydziałowe o ośmiu klasach, w których uczą z wyjątkiem łaciny i greki wszystkich przedmiotów, tak że ze szkół tych można mieć wstęp do szkoły centralnej, dróg i mostów. Właściwym celem tych szkół jest dać szersze wykształcenie młodzieży, która zawodowi przemysłowemu poświęcić się zamyśla.

W SPRAWIE DYPLOMU DOKTORSKIEGO

protegowanej przez liberalne dzienniki osobistości.

W zeszycie piętnastym naszego pisma, odpowiadając *Dziennikowi Polskiemu* z powodu rzucanych przez niego potwarzy na biskupa i kapłanów, wspomnieliśmy o doktoracie pewnej uwielbianej przez niego osobistości. Otóż w tej właśnie sprawie, w chwili gdy druk ostatniego poszytu był już ukończony, odebraliśmy list następujący:

Kochany księże Edwardzie!

Przesyłając Ci słowo serdecznego podziękowania za obronę mojej osoby przeciw napaściom *Dziennika Polskiego*, muszę Cię jednocześnie prosić o sprostowanie pewnych wyrażeń Twego pisma, dotyczących dyplomu doktorskiego pewnej osobistości, której apoteozy podejmowane przez wspomniony organ są nieodłączne od poniewierania mojej i mego biskupa osoby.

Czy osobistość ta posiada doktorat wydany przez *breve* papiezkie? Na to zapytanie gotowa odpowiedź w prostem i logicznem zdaniu, że *Dziennik* sam przez się na tę myśl by nie przyszedł, tylko miał sobie tę wiadomość przez stronę kompetentną zakomunikowaną. Kto był tą stroną, łatwo się domyślić. Być może, że redakcya *Dziennika* zażądała nawet, aby jej przedstawiono pergamin, przez jego właściciela. W każdym razie *Dziennik* był dobrze poinformowany.

Sprowadzić tę kwestyę na grunt możebności lub niemożebności podobnego aktu, było z Twej strony naiwnością, na którą sądziłem, że przeciwnik zbyt śmiało rachował. Ależ uważaj, że tu nie o to chodzi, czy podobny dyplom jest możebny lub nie; a nawet nie o to, czy go klient *Dziennika* posiada lub nie — tylko o to, czy taki dyplom świadczy koniecznie z samej swej istoty o kwalifikacyach umysłowych i naukowych osoby, na rzecz której został wydany. Mnie się zdaje, że o moim dyplomie *Dziennik* tem mniej wątpi, im go to mniej obchodzi. Nie o to więc szło, kto jest doktorem, a kto nim nie jest, tylko na mocy jakiego aktu ja jestem doktorem, a na mocy jakiego aktu jest doktorem dzisiejszy klient *Dziennika*. Trzeba więc było tylko wyjaśnić, kiedy raczyłeś tę sprawę podjąć, że ks. Golian jest doktorem

w moc dyplomu wydanego sobie przez uniwersytet Rzymski w r. 1854 po odbytych studyach w Lowanium i w Rzymie, po złożonych trzech egzaminach ścisłych, klient zaś *Dziennika* został doktorem o jakie siedem lat później w moc (jak twierdzi) papiezkiego *breve* wydanego nie w następstwie złożonych egzaminów, ani też nie *motu prioprio*, tylko na prośby i rekomendacye przesłane z Krakowa.

Doktoraty nadawane *brevem* papiezkiem miewają rzeczywiście miejsce i używają wszystkich właściwych sobie przywilejów, w uniwersytecie jednak noszą nazwę doktoratu *ad honores*. Bywają one nadawane albo za położone w Kościele zasługi, albo za prace naukowe, albo na prośbę i zalecenie rządzcy dyecezalnego. Naturalnie, że dyplom taki nie może być ścisłem świadectwem naukowych uzdolnień doktoryzowanego, ale jest przecież pewnem odznaczeniem, które, byle nie było uzyskane, że tak powiem *modo obreptitio*, to jest na mocy przedstawień niezgodnych z rzeczywistością, jest w sobie prawdziwym zaszczytem.

Wszystko tu jednak zależy od przedstawień, bo jak Ci wiadomo, kwestya uzdolnień naukowych czyichkolwiekbądź, a tembardziej osób setkami mil oddalonych od Rzymu i całkiem w Rzymie nieznanych, nie wchodzi w zakres spraw, będących przedmiotem nieomylności. Komuż zaś nie wiadomo, jak i wiele razy Rzym żalił się na to, że go w sprawach daleko ważniejszych, niż doktorat *ad honores*, bo w sprawie np. kanonii, prelatur i biskupstw usiłowano w błąd wprowadzić lub i całkiem wprowadzono. Znaną jest sprawa unifikacyi dwóch kanonii w pewnej polskiej kapitule, uzyskanej w Rzymie na mocy fałszywych przedstawień; sprawa, za którą owa kapituła była na zażalenie biskupa surowo z Rzymu karconą, a która się skończyła zniesieniem aktu unifikacyi. Sprawa biskupstwa Chełmskiego jest także pod tym względem zbyt smutnym i świeżym przykładem. Rzym tego prekonizował, którego mu najwięcej ukwalifikowanym przedstawiono.

Doktór protegowany przez *Dziennik Polski* posiada rzeczywiście dyplom wydany z Rzymu na przedstawienie uczynione z Krakowa przed kilkunastu laty, jeszcze za administracyi ś. p. ks. Gładyszewicza. Nie jest on nagrodą prac naukowych, bo o takowych nikt nigdy nie słyszał, ani im żadne dzieło napisane przez klienta dziennikarskiego świadectwa nie oddaje. Jakich zaś zasług położonych w sprawie Kościoła dyplom ten jest nagrodą, moglibyśmy tylko dowiedzieć się z przedstawień, na mocy których dyplom ten został udzielony. Była wprawdzie w owym czasie sposobność razem i wykazania zdolności umysłowych i zasłużenia się Kościołowi przez odpowiednie wyjaśniania i obrony pogwałconej przez rewolucyę i Piemont doczesnej własności Papieztwa, ale kandydat do doktoratu z tej sposobności korzystać nie chciał albo nie umiał. JW. ks. kanonik Scypio nie do niego udał się z żądaniem napisania rozprawy, któraby położyła koniec wszczętej przeciw ordynaryatowi krakowskiemu walce z powodu adresu Krakowian do Papieża, tylko się o to fatygował do mnie, choć ów kandydat szczycił się jego przyjaźnią. Rozprawa, przez którą ja załatwiłem tę sprawę, była drukowaną kosztem kapituły. Ja za nią doktorem nie zostałem, bo już nim od 7 lat byłem, ale przez jej napisanie dałem się poznać i we Lwowie, bo zaraz potem dwaj biskupi: ś. p. ks. Jasiński biskup przemyski i Najprzewielebniejszy dzisiejszy arcybiskup lwowski ksiądz Wierzchlejski wezwali mnie, abym objął naczelną redakcyę nad proponowanym przez nich dziennikiem katolickim, który to jednakże dziennik nie przyszedł później do skutku. Ta także rozprawa z kilku innemi wówczas przezemnie wydanemi dała mnie poznać w Warszawie, dokąd przez arcybiskupa zostałem wezwany na profesora teologii w akademii duchownej. Mógł był zatem i dzisiejszy klient *Dziennika Polskiego* korzystać z tej sposobności, aby dowiódł i swej miłości dla Kościoła i swych kwalifikacyj, mogących usprawiedliwić prośbę przesłaną do Rzymu o doktorat. Ale powtarzam, że z tej sposobności nie korzystał i żadną publikacyą nie dał się poznać. Jego więc zasługi i zdolności były tylko znane tym, którzy dla niego prosili o doktorat. Czy zresztą *Dziennikowi*, zwiącemu katolicyzm „rzymską strychniną“ może chodzić o zasługi położone w Kościele? On doktorat swego klienta z tego tylko tytułu podnosi, iż dyplom, w moc którego ów klient jest doktorem, ma świadczyć o uzdolnieniach naukowych wyższych nad kwalifikacye innego doktora.

Chętniebym się na ten sąd zgodził, gdyby *Dziennik* na seryo położył nacisk takiej doniosłości na *breve* doktoryzujące *ad honores*. Ale nie byłbym szczerym, gdybym chciał

coś podobnego przypuszczać. Wszakże to podobno u niego i u innych mecenasów jego klienta mój biskup dlatego popadł w niełaskę, że był zawsze infalibilistą i że wiary swej w nieomylność Papieża jako Najwyższego doktora Kościoła w przedmiotach dogmatu i zasad moralności, dał niewątpliwe dowody jeszcze nawet przed deklaracyą dogmatyczną. Wprawdzie *Dziennik* przemilcza, że to doktorat tylko *ad honores*, za podjęcie zaś tego rodzaju aktu sądzi się być sowicie nagrodzonym, mogąc choć z boku rzucić *Przeglądowi* w twarz to zapytanie: „Możnaż to według *Przeglądu* do Papieża przystąpić z kubanami“?

Jestto niby odpowiedź na słówko o pergaminie za 100 guldenów. Trzeba to słówko wyjaśnić. Nie znaczy ono, że Rzym sprzedaje dyplomy, *Dziennik* o tem dobrze wie, ale znaczy, że doktor przezeń dziś protegowany, został niegdyś doktorem nie w skutek studyów i egzaminów, ale w skutek próśb i przedstawień czynionych z Krakowa. Takie akta pociągają za sobą koszta korespondencyi i kancelaryi, jakby pociągała za sobą koszta podróż do Rzymu, podjęta w celu załatwienia czyjegoś osobistego interesu. Klient *Dziennika*, nie mogąc podjąć kosztów pracy, mógł i chętnie podjął koszta, których za niego nikt nie był obowiązany podejmować. Rzym nietylko za pieniądze nie doktoryzuje, ale owszem tym, którzy stawają do egzaminów konkursowych o doktorat i wychodzą zwycięzko, prócz złotych medali zapewnia dożywotnie pensye dosyć nawet znakomite. Jedyny to przykład w świecie uniwersytetów — a był on praktykowany aż do chwili zaboru piemonckiego. Żyje jeszcze jeden z mych kolegów, Polak, bardzo szanowny kapłan, który pokonawszy w egzaminach wszystkich współubiegających się — miał sobie zapewnioną dożywotnią pensyę 100 skudów rocznie.

Tyle co do pergaminu. Obrony mojej osobistej podejmowaćbym nie chciał, bo tę sprawę Bogu powierzyłem i wiem komum zaufał. Ale w korespondencyi krakowskiej do *Dziennika*, przeciw której raczyłeś podjąć moją obronę, są jeszcze dwa punkta, których pominąć nie mogę ze względu na wyższe powody, a mianowicie w chęci zapobieżenia skandalom, mogącym wyniknąć z dłuższego mojego pod tym względem milczenia. Pierwszą jest, nie wiem już wiele razy podejmowany przez moich nieprzyjaciół zarzut, jakobym

w któremś z moich kazań warszawskich miał powiedzieć, że Matka Boska nie jest Królową Korony Polskiej, tylko nią jest carowa rossyjska. Przedewszystkiem trzeba przyznać, że to nie jest zarzut uczyniony mi przez sam *Dziennik*. Za małą się czuję figurą, abym mógł bezpośrednio tych panów obchodzić. Oni znowu są dużo uczciwsi od swoich krakowskich korespondentów, aby się na coś podobnego sami zdobyli. I przeciwnikom należy oddać sprawiedliwość. Wszystkie oskarżenia i zniewagi, jakich jestem przedmiotem bądź w *Dzienniku* bądź w *Gazecie Narodowej*, bądź w dziennikach liberalnych wiedeńskich, pochodzą nie z redakcyi tych dzienników, tylko z biura korespondencyj krakowskich. Pierwszy ten zarzut owego bluźnierstwa został mi zrobiony, kiedy szło o obsadzenie w kapitule miejsca prałata dziekana. Z innymi dwoma kandydatami byłem i ja podany. Wtenczas to biuro krakowskich korespondencyj otwarło swoją działalność. Naturalnie szło o uniemożebnienie mojej kandydatury. Wówczas milczałem, bo podobnie jak Ty dziś naiwny, sądziłem, że zarzut taki nie znajdzie u nikogo wiary, że potwarz zanadto się wyraźnie sama napiętnowała. Nie wiedziałem, że mogą być ludzie, którzy nie z przekonania, ale z pewnych sobie właściwych powodów czują się powodowani do uwierzenia choćby i najoczywistszym kłamstwom i potwarzom. W lat kilka potem, kiedy przyszła na stół kandydatura Maryacka, biuro korespondencyj krakowskich znowu poczęło działać. Wnet się posypały wszystkie dawne zarzuty, a na ich czele ów zarzut bluźnierstwa o królowej polskiej. *Czas* krakowski zapytał wówczas, kiedy to i w którym kościele ksiądz Golian coś podobnego powiedział? *Dziennik Polski* odpowiedział, że to ks. Golian nie w kazaniu wyrzekł, tylko w prywatnej rozmowie. Na powtórzone zapytanie, w jakiemby towarzystwie ta rozmowa miała miejsce, *Dziennik* już nie odpowiedział nic. Dał tem do zrozunienia, że w żadnem. *Dziennik* więc sam zaprzeczył prawdziwości owego zarzutu. Korespondent krakowski musiał o tem pamiętać, kiedy po mowie mojej na pogrzebie biskupa Wojtarowicza, odgrzewając na nowo tę bezecną potwarz, nie śmiał już napisać, że owo bluźnierstwo z ust moich rzeczywiście wyszło, tylko napisał, że: „choćby ks. Golian tego nie powiedział, to biorąc na uwagę jego usposobienie, można dać rękę na to, że zdolny był to

powiedzieć". Naturalnie, rękę na to mógłby dać tylko ten, który to napisał, ale redaktorowie *Dziennika Polskiego* pewnieby na tę rękę patrzyli z oburzeniem i wzgardą. W korespondencyi, na którą odpowiadasz, znowu ten zarzut występuje jako twierdzenie nie zaś przypuszczenie. To byłoby dostateczne, aby dać wszystkim do zrozumienia, co to za ludzie wchodzą w skład owego biura krakowskich korespondencyj i jak uważać należy ich twierdzenia lub przeczenia. Co się tyczy samego zarzutu, komu wiadomo, że ja rok w rok przez ciąg mojego kaznodziejskiego działania po sto lub więcej kazań powiedziałem o Matce Boskiej, że byłem obwiniany o przesadę w podnoszeniu jej godności i chwały, że w Warszawie między innemi powodami prześladowania, jakie znosiłem, ten właśnie główną odgrywał rolę, że ja w kazaniach jakieś szczególniejsze znaczenie przyznawałem Matce Bożej względem narodu polskiego, a mianowicie, że o niej mawiałem jako o królowej polskiej — ten łatwo zrozumieć może, jakim sposobem mogło się pomieścić w mej głowie, że oskarżeniu, iż ja dopuściłem się względem Matki Boskiej podobnie niegodziwego, podłego i głupiego bluźnierstwa, nikt rozumny na seryo uwierzyć nie może.

Drugi zarzut przez tegoż korespondenta uporczywie mi czyniony, to, że ubliżyłem ś. p. biskupowi Wojtarowiczowi, twierdząc w mowie, którą miałem na jego pogrzebie, iż biskup ten największe boleści swoje zawdzięczał nieprzyjaciołom, których znalazł *inter falsos fratres*. Korespondent kategorycznie powiada, że to nieprawda, bo biskup ten był powszechnie kochany i wielbiony. Takiego zaprzeczenia nie mógłby sobie nikt pozwolić, ktoby nie był wtajemniczony w stosunki duchowieństwa tarnowskiego. Jestto ktoś, kto z tamtej dyecezyi przeniósł się do krakowskiej. Szkoda, że o nim nie wiedział szanowny ks. Tryba, sekretarz i przyjaciel ś. p. biskupa. Może jego a nie mnie byłby zaprosił z kazaniem pogrzebowem. Być może, że tak doskonale obeznany z tą sprawą były Tarnowianin (chociaż od kilku lat jest koryfeuszem krakowskiego biura korespondencyjnego o sprawach duchownych do *Dziennika Polskiego*) nie był na podorędziu albo może nie w samym mieszka Krakowie — albo — że chociaż tak jest wymownym i takim znakomitym tekstów świętych egzegetą znajduje jakąś zawadę w wystąpieniu na ambonę, w nauczycielstwie kościelnem. Nie! — mówiąc bez ironii, czcigodny przyjaciel zmarłego biskupa zanadto do tego biskupa był podobny, aby mógł do tej czynności zapraszać choćby jeszcze i dwa razy większego mówcę i erudytę i choćby jego oświadczenia się z uwielbieniem dla czynów zmarłego sto razy były gorętsze jak te wydrukowane w *Dzienniku*, skoro ten mówca, erudyta biblijny i cnót biskupich wielbiciel — jest razem korespondentem *Dziennika Polskiego* i potwarcą własnego swojego biskupa! Otóż ksiądz Tryba, ledwie że oczy zamknął biskupowi, jeszcze swych oczu z łez boleści nie otarłszy, posłał do mnie z żądaniem mowy pogrzebowej, a gdym się do niego udał natychmiast z prośbą o informacye — między innymi faktami on sam mi powiedział, że największą boleścią dla serca biskupa było postępowanie, jakiego doznał od dwóch kapłanów swej dyecezyi. Jeżeli Judasz nie rzucił swą zbrodnią cienia ani na Tego, Którego zdradziwszy sprzedał, ani na maluczkie grono apostolskie, do którego był należał, tylko sam się na wieki shańbił swoim czynem — to cóż miałoby ubliżać świętobliwemu biskupowi przytaczanie czynu podłej zdrady, spełnionej na nim przez dwóch wyrodnych kapłanów, albo coby to mogło ubliżyć całemu gronu tarnowskiego duchowieństwa tak licznego i taką miłością, taką czcią umiejącego otaczać swych pasterzy w szczęśliwej czy w bolesnej doli! To też z duchownych tarnowskich nikt mi tego przytoczenia za złe nie wziął — było ono bowiem potrzebnem do przedstawienia piękności pasterskiego serca tem wyższej, im była obrzydliwszą podłość i zdrada jego przeciwników. Jeden z tych przeciwników zdradziwszy zaufanie biskupie na stanowisku profesora seminaryjskiego, chciał się ratować fałszywemi denuncyacyami i chcąc się utrzymać na stanowisku, z którego usunął go biskup jako niegodnego i niebezpiecznego, wywoływał przeciw niemu niechęci władz świeckich — drugi chcąc koniecznie wziąść probostwo prawnie sobie odmawiane przez biskupa i nie mogąc o to walczyć oskarżeniami po dziennikach — bo jeszcze liberalnych organów nie było — walczył oskarżeniami przed rządem — i stał się ostatecznie powodem, że biskup nie chcąc ustąpić ze stanowiska prawa i sprawiedliwości, wolał się od rządów dyecezyi usunąć. To są dobrze znane fakta. Korespondent krakowski do *Dziennika Polskiego*

powiada, że to nieprawda. Oczywiście, że w tem zaprzeczeniu musi mieć swój interes. Jakiby był ten interes, dowodzą kłamliwe jego oskarżenia przeciw jego własnemu dzisiejszemu biskupowi — dowodzi to straszliwe rozdrażnienie, to wzięcie do serca wyrażenia *falsi fratres* i *acusatores fratrum*. Uderz w stół!... Gdyby dzisiejsze czasy były jak owe po czterdziestym szóstym roku, korespondent krak. inaczejby sformułował swe przeciw biskupowi oskarżenia i przed inny zaniósłby je trybunał — byłoby to o wiele dla niego dogodniejsze niż trybunał opinii reprezentowanej przez dzienniki liberalne, które się dadzą własną ich bronią zwalczyć, tj. bronią jawności. O trudno! jawność nie da się tak wziąść w monopol kłamstwa i potwarzy i zdrady, jak się pozwalała nadużywać tajemniczość! Owi panowie chcieliby tę sławioną jawność tak skombinować z tajemniczością, żeby im służyła za wygodny płot, z poza którego możnaby bez narażenia się na hańbę fałszerzy wojować przeciw sprawiedliwości i prawdzie, bezecnie nadużytą bronią wolności.

Mówiąc o fałszywych braciach, którzy swem postępowaniem tak zakrwawiali serce zmarłego biskupa, zrobiłem prawda, zastosowanie i do obecnej chwili, oraz do krzyżów, jakiemi obciążają swoich biskupów, gdzieindziej przewrotni księża czyli *falsi fratres*. Słuchali tej mowy zgromadzeni na pogrzebie duchowni Tarnowscy, Przemyscy i Krakowscy a przecież nie wzięli gorzko do serca moich zastosowań. Czemu? Bo im sumienie nic pod tym względem nie wyrzucało a uczucie kapłańskie potakiwało w ich sercach słuszności mojego słowa. Tylko członek korespondencyjnego biura dla dzienników antikatolickich wystósował przeciw mnie skargę pełną obelg i obrzydliwych insynuacyj. Czemu znowu? Bo czuł, że mowa *de falsis fratribus* i *de accusatoribus fratrum* gwałtem mu lezie w sumienie, że odsłania brzydotę postępowania tak jego jak jego współpracowników. Nie mogąc ukryć rumieńca wstydu, chce go wytłómaczyć potwarzami. Ja tych panów wytykać nie chciałem, ale chciałem o ile mogłem pocieszyć zmęczone serce Pasterza, a obok tego pragnąłem, aby to słowo doszedłszy uszu tych, którzy mu za miłość żółcią odpłacali, spowodowało ich do jakiejś zbawiennej refleksyi. I cóż w tej myśli mogło być zdrożnego?

Półtrzecia roku blisko trwa i potęguje się burza wywołana ich ambicyą i nieuległością, przeszła ona nawet zakres dziennikarstwa stolicy całej monarchii, które wyjąwszy sprawę Ubrykównej nigdy się przedtem i potem duchownych krakowskich sprawami nie zajmowało. Odkąd naszemu pasterzowi pewne indywiduum zuchwale zagroziło, że jeżeli woli jego nie uczyni zadosyć i nie uwzględni jego pretensyi, to użyje wszelkich możebnych środków, aby go do tego zniewolił, odtąd bezbożne dzienniki podjąwszy obronę tego indywiduum przez swych krakowskich korespondentów, wciąż potęgują niecne potwarze przeciw biskupowi, aby złamać jego stałość i wierność tak sumieniu jak i prawom. I wobec tego nie wolnoż nam się nawet odezwać z słowem piętnującem podobne postępowanie, z słowem bolesnego oburzenia — z słowem pociechy dla prześladowanych, a upomnienia dla prześladowców?

Oni mówili, a myśmy milczeli — oni nas bili, a myśmy cierpieli, oni nas deptali, a myśmy sprawę naszą Bogu powierzali. Ale jest czas milczenia i jest czas mówienia. Ja, którym od nich najwięcej obok Pasterza ucierpiał, miałbym się za szczęśliwego, gdybym mógł zostać milczącym. Ale prawda i sumienie mają przecież podobno jakieś jeszcze prawa, a te prawa nakazując milczenie, nakazują i mówienie. Jeżeli ci panowie nie przestaną nas niewolić, odezwiemy się — i odezwiemy się inaczej jak teraz. Oddawna mam przygotowane słowo — znasz je — i znają je nasi przyjaciele we Lwowie. Dzisiaj ono zbogacone urzędowemi dokumentami nabrało siły i znaczenia. Raz począwszy mówić, nie przestaniemy, póki sprawy nie wyczerpiemy. Daj Boże, abyśmy mogli rzucić wszystko w przepaść zapomnienia.

Bądź zdrów kochany Edwardzie, a tymczasem pisząc i drukując módl się we wspólnej z nami intencyi i uważaj lepiej na manewra, któremi by Cię chciano w zarzut nielojalności względem Rzymu uwikłać. U tych panów wszystko jest możebne.

Twój

Ks. Zygmunt Golian.

Zamieszczając list powyższy czynimy zadość obowiązkowi naszemu, który, gdybyśmy nawet nie odebrali tego listu, samby nas zniewolił do sprostowania wypowiedzianego w piśmie naszem zdania, iż Rzym nikomu nie wydaje doktoratów *sub annulo piscatoris*. O złą

intencyę względem Rzymu w całej tej sprawie mogłaby nas posądzić chyba zła tylko wiara naszych przeciwników. Nie wątpimy, że oni na to czyhają, mamy jednakże w Bogu nadzieję, że tej uciechy nie będą mieli nigdy. Gotowi jesteśmy zawsze, natychmiast, uderzyć się w piersi chociażby z największem własnem upokorzeniem, gdyby nas kiedykolwiek i ktokolwiek choćby nawet *Dziennik Polski* przekonał, żeśmy coś niezgodnie z uczuciem posłuszeństwa lub czci należnej dla Stolicy świętej powiedzieli, bo mamy to najsilniejsze przekonanie, że nad wszelkie wpływy zbawienne, jakieby chciano przyznać naszemu pismu najzbawienniejszym wpływem jest przykład bezwarunkowej umysłu i serca jedności z Głową widzialną naszego św. Kościoła.

Obok tego zadosyćuczynienia naszemu redaktorskiemu obowiązkowi czynimy także zadość i sumieniu katolickiemu, które błąd sprostować rozkazuje. Sumienie bowiem katolickie tem się właśnie różni od sumienia, a raczej bezsumienności liberalnej publicystyki, że ta przekonana nawet o rozmyślne fałszerstwa udaje, że nie wie o co chodzi. Dowiedliśmy np. *Dziennikowi Polskiemu*, że jego korespondent krakowski wojuje przeciwko nam fałszerstwem, że przez przemianę słów w naszych zdaniach, a liter w słowie z wielbicieli cnoty biskupiej ś. p. ks. biskupa Wojtarowicza przedstawić nas chciał za potwarców i znieważycieli tej cnoty. Czy *Dziennik* odpowiedział nam na to, jakby tego wymagała najprostsza uczciwość? Czy zażądał przynajmniej, aby sam korespondent czyniący mu krzywdę podobnem postępowaniem (bo jesteśmy przekonani, że *Dziennik* nie może sobie tego nie mieć za krzywdę choćby nas jeszcze z całym katolicyzmem sto razy więcej nienawidził jak nienawidzi) wytłumaczył się z tego? Nie, — tego nie uczynił. Otóż jakkolwiek bylibyśmy przekonani, iż on sam nawet gardzi podobnem postępowaniem swego korespondenta, dopóki jednakże odpowiednio nie załatwi tej sprawy będziemy mu ustawicznie przypominać, iż się dopuszcza „hańbiącego fałszerstwa“.

Aby mu zaś należne zadosyćuczynienie ułatwić, poruszymy go siłą jeszcze jednego dobrego przykładu. Czytelnicy nasi przypominają sobie, że w jednej z naszych korespondencyj z Krakowa, gdzie była mowa o wielkim doktorze protegowanym przez Dzienniki akatolickie, znajdowało się przypuszczenie iż w pewnej trudnej sprawie przyjdzie zapewne *Dziennikowi Polskiemu* w pomoc ktoś, który doń pisuje z Krakowa lub może z pod Alwerni w charakterze korespondenta krakowskiego. Otóż wyrażenie „z pod Alwerni“

wzięła do siebie pewna osobistość i wystąpiła z dość kategorycznem żądaniem wymienienia jej naszego korespondenta. Nie widząc jednakże żadnej słusznej podstawy, gdyż pod Alwernią nie ona sama przebywa, ale wiele innych jeszcze osób, którym nawet przez głowę nie przeszło, aby to wyrażenie do siebie miały stosować, odpowiedzieliśmy, że zrobić tego nie widzimy potrzeby, dodaliśmy atoli, że aby szlachetną jej drażliwość uspokoić, gotowi jesteśmy zamieścić jej list, do nas pisany, w którym w dobitnych wyrazach piętnując korespondencye *Dziennika Polskiego* z Krakowa, nazywa je „plugawą przeciw ks. biskupowi (Najprzew. ks. Gałeckiemu) walką gazeciarską“, „intrygą i kopaniem dołków pod biskupem“ etc... Aliści zaledwie odpowiedź nasza odebraną przez nią została, wnet otrzymaliśmy od niej list drugi, w którym nietylko że nas błaga abyśmy nie ogłaszali jej listu, ale usiłuje nas przekonać, że to dałoby powód do „nowych szkalowań dziennikom świeckim“, a wreszcie stanowczo odmawia swego przyzwolenia. Przyznajemy się, że z niemałym żalem przychodzi nam tym razem zadosyć uczynić jej prośbie. Spełniamy atoli jej życzenia nie dlatego, abyśmy lękali się nowych „szkalowań“, gdyż do tych przywykliśmy już oddawna, tak że one najmniejszego nie robią na nas wrażenia, nie dlatego aby żądanie tej osobistości mogło nas zobowiązywać, gdyż listy jej dotyczą ważnej nader publicznie wiadomej już sprawy, ale chcemy ją uchronić od nieprzyjemności spotkać ją mogących. Robiąc to nie zrzekamy się jednakże podjęcia na nowo jej listów, gdyby nas okoliczności do tego kiedykolwiek zmusiły. Zachowamy je obok innych dokumentów, może się na co przydadzą.

Kronika.

W czasie panowania komuny w Paryżu, krwiożerczy motłoch w imię miłości ojczyzny bluźnił Bogu i szydził był z wiary. Wszystkich inaczej myślących wrogami kraju ogłaszał. Do takich zaliczeni zostali katolicy, przezwani jezuitami. Otoż zdarzyło się, że w czasie szalonych tego rodzaju orgij, na jednem zebraniu podniósł się głos w obronie znieważonej wiary w Boga. Komuniści odezwali się na to okrzykiem udanej zgrozy, wołając: *a bas le jesuite — vous etez jesuite!* Nie, nie był to głos jezuity, ni głos katolika, ale człowieka należącego do tego rozproszonego po całym świecie narodu, na któ-

rym piętno Bogobójcy, od tylu już wieków spoczywa — był to głos żyda... *Vous etez Jesuite* wołano na niego — bo w jego głosie odbijało się słabiuchne echo wiary.

Zdawałoby się, że ten okrzyk niepowtórzy się więcej, a przynajmniej u nas w Polsce nie usłyszymy go nigdy. Gdzie tam! Z ostatniem skonaniem odbłysku krwawej łuny dopalającego się Paryża przeniósł się on do niektórych dzienników polskich, aby w ich szpaltach świadczyć, że ród komunistów wszędzie rozkrzewiać się może. Wierzysz w Boga, on cię jezuitą zrobi, chociażbyś żydem był nawet; mówisz o Kościele, on cię ultramontaninem nazwie, wtedy nawet, gdy nadużywasz, przekręcasz i wypaczasz zasady katolickie; co więcej: on za zdania twoje uczyni odpowiedzialnym nawet Stolicę św. Oto co znaczy logicznie rozumować i mądrą rządzić się sprawiedliwością. Genialna zaprawdę loika — wyborna sprawiedliwość. Za pana Kaletę niech odpowiada pan Lam, a za kasyera stowarzyszenia zaliczkowego pana Medweczky[1]) p. Tadeusz Romanowicz z całym postępowym klubem.

Oddawna już p. Walewskiego nie lubiło wielu. Dziś napisał on broszurę p. t. *Filozofia dziejów polskich*, którą *Czas* nazwał paszkwilem. My nazwalibyśmy ją kupą rumowiska, gdzie obok brzydoty znajdują się i pewnej wartości rzeczy. Któż jednak zechce ztamtąd je wyciągać. Ludzie szanujący siebie podobne rumowiska omijać zwykli. *Guarda è passa.* To najlepszy w takim razie sposób. Milczenie ma także zabójczą moc w sobie. Ale nie wszyscy umieją tak postępować. Woń przykra dla jednych, drugich przyciąga do siebie; jedni unikać jej zwykli, a drudzy rozkoszują się w niej natomiast. Pan Walewski przystroił swą broszurę w katolicką barwę. To już wystarcza, aby u pewnych ludzi na nazwę ultramontanina zasłużył. Wprawdzie, wbrew nauce katolickiej, wbrew Syllabusowi uznaje on za rzecz prawną spełnienie czynów niegodziwych. Ale cóż to szkodzi, skoro broszura jego jest pełną tej woni, która przyciąga do siebie tych przedewszystkiem ludzi, którzy w imię patryotyzmu wrogom kraju za pieniądze pisali. Przyciągnięci, krzyczą najgłośniej i nie posiadają się z radości, bo się nietylko mogą za gorących patryotów przedstawić, ale co więcej, rzucić obelgę na katolików i znieważać Najświętszy na ziemi Majestat bo samego Papieża! Pan Walewski powinien

[1]) Pp. Kaleta i Medweczky, zostawiwszy wielki niedobór w powierzonej im kasie, uciekli za granicę. Obadwaj podobno byli zwolennikami *Dziennika Polskiego*.

być zadowolonym. Dopiął celu. Postawił na równi niecną rozpustnicę Katarzynę i srogiego prześladowcę wiary Mikołaja I z największym i z najmędrszym z królów polskich Zygmuntem III. Bijąc w anarchię, swawolę szlachecką i politykę, sławi i uwielbia jednocześnie terroryzm rewolucyjnej Moskwy, jej gwałty i bezprawia! A robi to wszystko niby w imię katolickich zasad. Nie mógł pan Walewski oddać większej przysługi wrogom Kościoła! Rewolucyonistom dostarczył on u nas, na długi może czas, dość znaczną ilość obrzydliwego materyału, którego w swych celach użyć oni potrafią. Na rozognione rany nieszczęśliwej naszej Ojczyzny leją oni już dzisiaj strumienie żrącej lawiny słów, aby do reszty zachwiać w Polsce wiarę, osłabić miłość i przywiązanie do Stolicy św., zohydzić katolicyzm i takim sposobem rychlej i łacniej razem z p. Walewskim, rzucić biedną Polskę pod stopy srogich i krwawych ciemiężców naszej wiary i naszej narodowości. Czy tego chce p. Walewski?

* * *

Z Rzymu. Jedność włoską nadzwyczaj drogo opłacać muszą ludy Italii. Niedawno *Unitta Cattolica* ciekawy zamieściła artykuł o długach państwa. W roku 1860 kiedy to jeszcze rząd Wiktora Emmanuela spoglądał dopiero, pożądliwem okiem na Rzym i posiadłości kościelne, opłacano od długów państwa piętnaście milionów franków rocznego procentu, a dziś po zrabowaniu kolosalnych sum będących własnością zakładów miłosierdzia, po złupieniu ogromnych własności klasztornych, kościelnych i papieskich, dług państwa wzrósł do tak szalonych rozmiarów, że od niego opłacać dzisiaj muszą czterysta dziesięć milionów franków rocznego procentu. *Italia una va dunque crescendo.* I gdyby to sam dług tylko wzrastał, ale niestety oprócz niego wzmaga się jeszcze z każdym dniem i liczba morderstw, kradzieży, rozbojów. Dawniej oskarżano rząd papieski o brak energii w tłumieniu brygantów, dzisiaj pod okiem ministrów połączonych Włoch, pod murami niemal stolicy, nie można być pewnym o swoją własność i życie. Rozboje coraz większe przybierają rozmiary, brygantyzm pokazuje się wszędzie jak grzyby po deszczu. *Unitta Cattolica* powiada, że aż 82.000 zbrodniarzy zapełnia dzisiaj więzienia włoskie. Piękna to illustracya stosunków tamtejszych i moralnej rządu wartości! Włochy o dwanaście milionów mniej mają ludności od Francyi, a jednak w tej ostatniej mimo gorączkowej propagandy rewolucyonistów i ich dzienników, zaledwie pięćdziesiąt jeden tysięcy obojga płci osób skazano wyrokiem sądów na więzienie i to w znacznej części za obrazę honoru, lub obrazę moralności publicznej. Oto do jakiego upadku przyprowadzone zostały Włochy przez ową wysławianą wolność włoską. Skasowano klasztory, zrabowano kościoły, uciśnięto Kościół, muszą więc dzisiaj powiększać liczbę więzień. A za tym upadkiem moralnym idzie zaraz i bankructwo publicznego grosza.

Niedawno jeden z illustrowanych dzienniczków przedstawił w karykaturze p. v. Keudell ambasadora pruskiego w Rzymie. Pan Keudell, stojąc,

zdaje sprawozdanie księciu Bismarkowi ze swoich czynności. Scena odbywa się w Warzinie. Kanclerz pyta go, jakie mu przywozi nowiny, na co w odpowiedzi pokazuje mu p. Keudell kapelusz i liberyą lokaja, której minister włoski dlatego przyjąć nie może, bo jest zanadto ciasną. Nie można było lepiej przedstawić polityki włoskiej. Włosi z Prusami zerwać stanowczo nie chcą, ale też i oddać się im zupełnie nie myślą. Nie przeszkadza im to jednak ustawicznie prześladować Kościół. Niedawno zmusili biskupów do wyprowadzenia się z ich pałaców pod pozorem, że nie otrzymali *Exequatur* królewskiego, co więcej, każą im płacić podatek od bardzo skromnej pensyi, jaką od Ojca św. pobierają.

Ojciec św. mimo podeszłego wieku, licznych trosk i cierpień najlepszem cieszy się wciąż zdrowiem. Pamięć, swoboda umysłu i właściwy Mu spokój ducha nie opuszcza Go nigdy. Niedawno w wigilię św. Bartłomieja Apostoła, gdy przyszedł do niego mgr. Pacca, rzekł do niego: „Każdego roku dawałem Ci w tym dniu upominek na twoje imieniny, jutro dam ci piękniejszy od poprzednich, bo cię powitam członkiem mego senatu, kardynałem św. Rzymskiego Kościoła".

Mówią, że około 20 Września ma Ojciec św. wielu dostojników Kościoła kreować kardynałami, a równocześnie wręczyć kardynalskie oznaki Jego Eminencyi kardynałowi Mac-Closkey arcybiskupowi New-Jorku, który w tych dniach przybywa do Rzymu.

Żaden może z Papieży nie erygował tak wielkiej ilości biskupstw jak Pius IX. W roku 1850 mimo podniesionej w Anglii burzy, przywrócił On w niej dawną hierarchię. Teraz znowu utworzy nowe biskupstwa w królestwie greckiem. Mgr Marengo, biskup in partibus i wikaryusz Apostolski w Atenach, ma być prekonizowanym na arcybiskupa metropolitę, nowo utworzyć się mającej prowincyi greckiej ze swą metropolitalną stolicą w Atenach.

Pod koniec Lipca mieszkańcy trzech parafij z Transtawere, mając na czele proboszczów swoich i przedstawicieli zakładów dobroczynnych, jakie się tam znajdują, udali się do Ojca św., który po mowie proboszcza Angelo Coletti przemówił do nich w słowach, jakie tutaj z *Kuryera Poznańskiego* przytaczamy:

„Dobrzeście zrobili i wy moje dzieci, żeście przyszli zobaczyć Papieża. Wam łatwiej, niż innym, bo jesteście najbliższymi sąsiadami Watykanu. Teraz widzicie własnemi oczyma, że Papież żyje i możecie się przekonać, czy chodzi na szczudłach, czy o lasce. Gdy ztąd wyjdziecie, każdy z was będzie mógł zaświadczyć, jak się Papież miewa czy zdrów, czy rzeźwy.

Co się tyczy mego zdrowia, wiele się skarżyć nie mogę, bo z łaski Najwyższego mam się dobrze. Ale, jeżeli się zwrócę do innych rzeczy, to wiecie i łatwo sobie wyobrazicie, ile cierpię, odkiedy nowi panowie przyszli tutaj urzeczywistnić swoje złe zamiary. A jednak ci ludzie mówią, że oni wszystko dobrze robią, a że my wszystko źle robimy, że oni umieją wszystko robić, a że my nic robić nie umiemy. Stara to mowa i znamy ją od dziewiętnastu wieków, bo już święty Paweł uczył: *nos nobiles, vos autem ignobiles.*

Podobni oni do tego faryzeusza, o którym było w dzisiejszej ewangelii: chwalił on się z dobrych uczynków swoich: *jejunio bis in sabatho.* Zaprawdę oni trzy razy w tydzień do postu zmuszają, *jejunare faciunt ter in hebdomade* podatkami, taksami, przez które nędzę sprowadzili. Mówią, że umieją wszystko robić a budują dzieła swoje na kłamstwie, jak na piasku i dlatego ich roboty zapadają się. Są mistrzami a uczą błędów, przyznają się do postępu a wskrzeszają barbarzyństwo, wołają, że kochają światło, a ciemnotę szerzą.

Co do nas, naśladujmy celnika i wyznawajmy przed Panem, żeśmy zgrzeszyli. Bijmy się w piersi i błagajmy, aby się nad nami zmiłował, powtarzając z serdeczną pokorą *propitius esto mihi peccatori*, abyśmy usprawiedliwienia dostąpili.

Prośmy też Pana, by oświecił naszych nieprzyjaciół i sprowadził ich ze złej drogi, po której chodzą. Oni się czują albo wmawiają w siebie, że się czują bezpiecznymi w sumieniu, spostrzegą, że zbłądzili, kiedy już nie będzie sposobu naprawić złego i pójdą na zatracenie wieczne.

Co do nas, mamy nadzieję, że przez zasługi Jezusa Chrystusa i Najśw. Maryi Panny i za pośrednictwem dobrych uczynków otrzymamy chwałę wiekuistą a tu na ziemi zwycięztwo, kiedy się spodoba Panu Bogu.

Tymczasem błogosławię wam i pragnę, aby moje błogosławieństwo towarzyszyło wam w życiu i przy śmierci, abyście dusze wasze w pokoju Bogu oddali i mogli Go w niebie na wieki chwalić".

Ze Lwowa. Potwarz lub sztylet, oto jedyna broń wszystkich rewolucyonistów. Katolik stojący im na przeszkodzie, pada zazwyczaj od jednej z tych broni. Zohydzić, aby go strącić, a jeśli to nie pomaga, zamordować. Tak robią rewolucyoniści. Od takiej broni padł dni temu niewiele wielki mąż stanu, wielki dobroczyńca swej ojczyzny i wielki mąż w Kościele, prezydent rzeczypospolitej Ekwatorskiej w południowej Ameryce. Zamordowali go zbrodniarze! Najęty przez nich skrytobójca utopił sztylet w jego sercu. Gabryel Garcia Moreno, tak się nazywał zamordowany prezydent, był w istocie nadzwyczajnem zjawiskiem w dzisiejszym politycznym świecie. Mądry, bystrego umysłu, czynny, energiczny, stworzył z republiki Ekwatorskiej prawdziwy ideał chrześcijańskiego państwa, które jak jaka oaza wśród pustyni, tak ono z pomiędzy wszystkich krajów południowej Ameryki, samo jedno świeciło bogactwem, licznemi zakładami naukowemi, oświatą, kwitnącym nader dobrobytem mieszkańców i cieszyło się pokojem. Ale że konstytucya wzbraniała osiedlać się tam akatolikom, że massoneryi wzbroniony był przystęp, że Garcia Moreno miał odwagę w imieniu swego kraju i rządu kilkakrotnie potępiać gwałty spełniane na ojcowiznie Piotrowej, na Kościele, że śmiał ojczyznę swoją poświęcić Najświętszemu Sercu Zbawiciela, dlatego sekta, nie mogąc się go pozbyć, zamordowała skrycie. O! ród Kaimów nie wyginie nigdy! „Garcia Moreno (pisze *Le Monde*), walcząc przeciw rewolucyi, oddawna uważał się za ofiarę, wystawioną na ciosy skrytobojców. Znał on niebezpieczeństwa, na które się narażał – ale mimo to szedł odważnie drogą sprawiedliwości. Dzieło przezeń rozpoczęte nie pozostanie czczą tylko próbą, ale będzie wzorem i przykładem, bo zabłysło ono jako cień rządów Bożych na ziemi, w czasie, w którym Wiktor Emanuel zasiadł na tronie w Rzymie, a kardynał Arcybiskup Gnieznieńsko-Poznański siedzi wśród czterech ścian więzienia. Kiedyś, w przyszłości, jaśnieć będzie aureolą królewska postać Piusa IX, a między głośnymi sławą mężami dobrej sprawy niepoślednie miejsce zajmie Garcia Moreno, przed którym potomni ze czcią schylą czoło".

— Lud unicki w Chełmskiem w niektórych zwłaszcza parafiach stawia dotąd niezłomny opór apostołom schizmy i do cerkwi uczęszczać nie chce. Moskale otoczyli wiele wsi kordonem, tak że nikomu z nich wychodzić i wyjeżdżać nie pozwalają. Popi wyszukują tymczasem tych wszystkich, którzy kiedykolwiek przez unickiego kapłana ochrzczeni zostali i bez względu, że byli i są łacinnikami, zmuszają ich za pośrednictwem rządu do przyjęcia prawosławia. Jeden z takich, nagabywany przez gubernatora, aby „powrócił“ na łono rossyjskiej cerkwi udał się z zażaleniem do Petersburga; na otrzymanem tedy posłuchaniu, gdy się skarżył przed carem na doznawane z tego powodu prześladowania, usłyszał taką odpowiedź: „mój panie! bardzo się dziwię, że będąc poddanym rossyjskim, nie uważasz sobie za szczęście i zaszczyt należeć do wyznawców tej religii, którą twój monarcha za jedynie prawdziwą uważa; wolno ci robić, co chcesz, przymuszać cię nie będę, daję ci pół roku do namysłu po upływie jednak tego czasu nie mógłbym cię uważać za mego poddanego, gdybyś miał gardzić religią, wyznawaną przez twego monarchę“.

— W połowie bież. mies., około 20 Września wybiera się kilku z naszej Archidyecezyi kapłanów do Rzymu. Między innymi ma jechać jeden z Przewielebnych księży kanoników metropolitalnych i redaktor *Wiadomości Kościelnych* i *Chaty*, ks. Otton Hołyński. Słyszeliśmy, że Nasz Najczcigodniejszy Arcypasterz, korzystając ze sposobności, ma przesłać świętopietrze Ojcu św. Od redaktora *Przeglądu* zabierze również ks. Hołyński znaczną ilość zebranego przezeń świętopietrza, które wraz z listem, do Ojca świętego napisanym, złoży u stóp papieskiego tronu. — Dobrze byłoby, gdyby się więcej jeszcze kapłanów z Galicyi przyłączyć chciało do gromadki naszych pątników, by razem z nimi zwiedzić miejsca święte, przy grobie Apostołów uprosić Boga o lepsze dla Kościoła i ojczyzny czasy, złożyć hołd Ojcu Św. i powiedzieć Mu o naszych biedach i o grożących Kościołowi niebezpieczeństwach. Czytelnicy naszego pisma, gdyby kto z nich chciał, niechaj przyślą jeszcze co mogą świętopietrza, aby dołączone do już zebranego, pokaźniejszą zrobiło sumę tego istotnie sierocego od Polski katolickiej grosza.

— *Wieniec* i *Pszczółka*, dwa pisemka ludowe, wychodzące dotąd pod redakcyą p. Pieniążka, przeszły obecnie na własność ks. Stanisława Stojałowskiego. Nowa redakcya wydała już pierwsze numera. *Wieniec* pozostał w dawnym formacie i właściwy sobie zachował koloryt ludowego pisma, ale na tle katolickiem, natomiast zaś *Pszczółkę* zamienił ks. Stojałowski na tego rodzaju pismo, jak n. p. *Missiones Catholiques*, tylko że redagowana w sposób przystępny dla ludu. Nowa ta zmiana redakcyi tak oburzyła redaktorów *Dziennika Polskiego*, że formalnie dostali konwulsyjnych kurczy. Co do nas, życzymy powodzenia ks. Stojałowskiemu.

— *Czas* krakowski przedrukował z *Przeglądu Lwow.* artykuł O. Martynowa: „Rozbój w Chełmskiem“ bez wspomnienia, że to nasz przekład. Poprzednio tak samo zrobił *Dziennik Polski*, podał całą rzecz za swoją własną, obciąwszy tylko dwa ustępy z artykułu. Te same ustępy i *Czas* pominął. Już to cudzoziemskie dzienniki więcej zwracają na to uwagi; niedawno, korespondencya nasza z Przemyśla o stanie Unii w Galicyi, powtórzona została przez *Germanię* i *Voce della Verita* w Rzymie. Obadwa te poważne europejskie dzienniki nietylko że nie uważały sobie za ubliżenie zacytować *Przegląd Lwowski*, ale w zrobionych od siebie uwagach nie szczędziły mu pochwał. Świeżo znowu podała *Germania* wyjątki z naszego artykułu o ś p. Agenorze hr. Gołuchowskim, odwołując się na *Przegląd Lwowski.*

* * *

— *Warta*, dla której zresztą prawdziwą mamy życzliwość, umieściła (w numerze 60) artykuł wstępny, pełen ciekawej nadzwyczaj argumentacyi. Podajemy z niego wyjątki wraz z przysłaną nam na nie odpowiedzią Krakowianina.

Czy są u nas liberały?

Razem z importowanemi ideami przynieśli nam panowie „niezawiśli“ importowany tytuł „ultramontanizmu.“ Panowie „nieomylni“ nie długo się namyślali i w lot odkryli „liberałów“ — i otóż mamy „*Soplice*,“ i „*Horeszki.*“

Zakasali rękawy zawiści, pogasili rozumu i miłości światła, i hajże Saki na kurniki Zosi!.... Istna wojna kokosza..... albo ślepa babka!....

Gdy jednak ten animusz cietrzewi dotąd nie wyszumiał, gdy nie zanosi się nawet na zawieszenie broni wyzwiskowej, więc choćby „literacki,“ ale obowiązek zmusza nas znowu do zboczenia w dziedzinę społeczną:

Dziś sprobujemy udowodnić tego, że
U nas liberałów niema!

Dla ludzi światłych wystarczyłby już następujący prosty a zwięzły syllogizm:

Liberalizm = to systemat;
Polacy mają wstręt = do wszelkich systematów;
więc Polacy = mają wstręt do liberalizmu.

Albo i tak:

Nie może być prawdziwym liberałem = kto nie lubi myśleć i działać wytrwale;
Polacy = nie lubią nic robić wytrwale; więc
Polacy = nie mogą być prawdziwymi liberałami.

Człowiekowi obeznanemu z dziejami naszemi wystarczyłoby nawet i to mniej sztuczne rozumowanie, że na ziemi użyźnionej kośćmi Czarnieckich Kordeckich, Sobieskich, Marków, Pułaskich, Kościuszków, zapłodnionej słowami Mickiewiczów, Krasińskich Woroniczów, Hołowińskich, Antonie-

Czy są u nas katolicy?

Razem z importowanemi ideami, przynieśli nam panowie liberały importowany tytuł *ultramontanizmu.* Panowie znów *moderanci* i „omylnicy“ niedługo się namyślali, i w lot dowiedli, że u nas liberałów niema i otóż mamy „Soplice“ i „Horeszki.“

Zakasali rękawy zawiści, *pogasili rozumu* i miłości światła, i hajże Saki na kurniki Zosi!.... Istna wojna kokosza.... *albo ślepa babka!...*

Gdy jednak ten animusz cietrzewi dotąd nie wyszumiał, gdy nie zanosi się nawet na zawieszenie broni wyzwiskowej, więc choćby „literacki“ (*fantazya* a nie) obowiązek zmusza nas *znowu do zboczenia* w dziedzinę społeczną:

Dziś sprobujemy udowodnić tego że
U nas katolików nie ma!

Dla ludzi światłych wystarczyłby już następujący prosty a zwięzły syllogizm:

Katolicyzm = to systemat:
Polacy mają wstręt = do wszelkich systematów;
więc Polacy = mają wstręt do katolicyzmu.

Albo i tak:

Nie może być prawdziwym katolikiem = kto nie lubi myśleć i działać wytrwale;
Polacy = nie lubią nic robić wytrwale; więc
Polacy = nie mogą być prawdziwymi katolikami.

Człowiekowi obeznanemu z dziejami naszemi wystarczyłoby nawet i to mniej *sztuczne rozumowanie* że na tej ziemi użyźnionej kośćmi Ostrogskich, Kisielów, Górków, Rejów, Modrzewskich i innych licznych heretyków, zapłodnionej słowami Węgierskich, Trembeckich, Słowackich, na

wiczów, na ziemi takiej nie ma i miejsca dla bezdusznej mary liberalizmu....

Ale my nie wiemy, czy wszyscy nasi Czytelnicy posiadają ten zmysł czytania w dziejach.

Dla tych więc trzeba — argumentów.

Więc je tu dajem.

Prawdziwy liberalizm, to nie sama *bezbożność* — bo na tej i w Polsce nie zbywa; nie samo tylko *dogadzanie* namiętnościom pychy, ciała i oczu, bo tego i w Polsce nie kupić; nie samo tylko *lekceważenie* postów, modlitw, nabożeństw, Sakramentów, a stąd i całego stanu duchownego, bo któż i tego u nas nie znalazł we wszystkich stanach wyższych, nawet i w demoralizowanym wieśniaku; to nie same tylko rozmowy *lekkie, dwuznaczne i rozpustne*, bez których żadne „wesołe“ towarzystwo polskie obyć się nie może; słowem to nie sama tylko *skala grzechów* śmiertelnych in superlativo gradu — bo tego wszystkiego i u katolików aż w bród! —

Ale to *uparte, systematyczne dobrowolne i samowiedne zaparcie się Boga* — i nietylko *zaparcie*; to otwarta *walka przeciw Bogu*, wszędzie i zawsze, na polu bitwy, z mównicy, w salonie, w rodzinie — to miotanie *bluźnierstw* przeciw jego nie już *mocy* tylko — lecz przeciw *istnieniu*.

Pytam was — panowie „nieomylni,“ gdzieżeście w Polsce takiego liberała widzieli?. ....

Prawdziwy liberał musi dążyć do *ujarzmienia*, do *zagłady* wiary i opartego na niej Kościoła. Czy może który z naszych posłów, lub dzienników głosował z tymi, co tej zagłady oczywiście pragnęli?....

. . . . . .

Więc u nas nie ma liberałów.

(*Argumentacya Warty.*)

ziemi takiej nie ma i miejsca dla rozumnego ducha katolicyzmu.

Ale my nie wiemy, czy wszyscy nasi czytelnicy posiadają *ten zmysł* czytania w dziejach.

Dla tych więc trzeba — argumentów.

Więc je tu dajem.

Prawdziwy katolicyzm, to nie samo tylko zachowanie *praktyk religijnych* — bo na tem i w Polsce nie zbywa; nie samo tylko *panowanie* nad namiętnościami pychy, ciała i oczu bo to i u pogan bywało, nie samo *przestrzeganie* postów, modlitw, nabożeństw, Sakramentów i całego stanu duchownego, bo któż tego nie znajduje we wszystkich stanach heretyckiej Anglii lub schyzmatyckiej Moskwie nawet wśród tamtejszych najbardziej zdemoralizowanych wieśniaków; to nie same tylko rozmowy *poważne skromne i przyzwoite*, które w wesołem a nawet w liberalnem towarzystwie polskiem mają często miejsce, to *nie samo tylko unikanie skali grzechów in superlativo gradu*, bo to wszystko zachowywali nawet niektórzy poganie nietylko nasi liberali!

Ale to *wytrwałe systematyczne* — dobrowolne i całkowite stanie przy Stolicy św. i głoszonej nam przez Nią nauce, przy zasadach i nauce Kościoła św. — i nietylko *stanie*, to otwarta *walka* przeciw wszelkiego rodzaju fałszywym a nauce i Głowie Kościoła przeciwnym nowinkom, wszędzie i zawsze, na polu bitwy, z mównicy, w salonie, w rodzinie — to ustawiczne walczenie przeciw *mocom* wrogim nie już Papieżowi i Kościołowi tylko — lecz samym podstawom katolicyzmu.

Pytam was panowie „omylnicy“ ilużeście w Polsce takich katolików widzieli?...

Prawdziwy, szczery, rozumny katolik musi dążyć do *ujarzmienia*, do zagłady nietylko niewiary, ale umizgającego się do niej moderantyzmu i opartego na niej liberalizmu — Czy może który z naszych posłów lub dzienników głosował z tymi co tej zagłady oczywiście pragnęli?...

. . . . . .

Więc u nas niema katolików!...

(*Argumentacya Krakowianina*).

Ciekawy dokument i ks. Malinowski. Konsystorz od św. Jura żali się na *Przegląd Lwowski*. Ciekawi jesteśmy, jakie mianowicie słowa mogły urazić przewielebnego ks. Malinowskiego. Myśmy mówili o schyzmatyckich objawach w łonie ruskiego kleru, czego przecież ks. oficyał Malinowski do siebie nietylko brać nie może, ale powinienby nam być wdzięcznym, że staramy się ułatwić Mu zgniecenie dążności schyzmatyckich. Zdaje nam się, że tak być powinno. Czy tak jest, to inna rzecz — naszym atoli obowiązkiem stać nietylko w obronie interesów Kościoła, ale wskazywać jeszcze na grożące im niebezpieczeństwo i to bez powodowania się jakiemiś niechęciami narodowościowemi lub politycznemi. W Kościele katolickim *nec Hebreus neque Graecus* wszyscy we wzajemnej, wspólnej żyć powinniśmy zgodzie. Snać inaczej pojmują to niektórzy, skoro samo czytanie *Przeglądu Lwowskiego* przez kapłanów ruskiego obrządku bywa uważane za coś zdrożnego, jak się o tem przekonaliśmy z dokumentu, wystósowanego do pewnej zacnej bardzo osoby. Mieliśmy cały ten dokument w ręku i przytaczamy z niego ten wyjątek, gdzie są dotknięte ważne bardzo sprawy. Czytamy tam między innemi co następuje:

Такъ Ваше Благородіе доставлялъ ту зешиты польской часописи: „Przegląd Lwowski“, такъ ваше Благородіе видитея безъ всякого розбора поступати ведля поглядôвъ сей часописи, котора инымъ духомъ водится, какъ приписуе такъ звана конкордія, для тукрасвыхъ католическихъ обрядôвъ, папискаго и Греческо-католического „datto Romae ex aedibus S. Congregationis de Propaganda Fido pro negotiis ritus orientalis die 6. Octobris 1863“ выданна, и которой то часописи сама тая конкордія стопъ судне на завадѣ. (Zeszyt 13. str. 67)

„Tak Pan Dobrodziej dostarczał tutaj zeszyty polskiego czasopisma, *Przeglądu Lwowskiego*, tak Pan Dobrodziej bez żadnej krytyki zdaje się postępować wedle poglądów tego czasopisma, które innym duchem kieruje się, aniżeli przepisuje tak zwana *Konkordya* dla tutejszo-krajowych katolickich obrządków: **papieskiego** i grecko-katolickiego *„datto Romae ex aedibus S. Congregationis de Propaganda Fide pro negotiis ritus orientalis die 6 Octobris* 1863“ wydana, a która to *Konkordya* stoi tutaj na przeszkodzie owemu czasopismu. (Zeszyt 13 str. 67).

Najciekawszą dla nas katolików jest tutaj nazwa obrządku rzymsko-katolickiego, obrządkiem papieskim (папискаго). Dotychczas nazywali nas tak, jedynie kalwini, heretycy w Anglii i schyzmatycy w Moskwie. Ostatni dalej nawet idą w swej nienawiści do Papieża, gdyż kładli go zawsze na równi z byłym chanem Krymu, jak świadczy o tem moskiewskie przysłowie: Папа римскій да Ханъ кримскій. Ztąd u Moskali przezwisko папистъ, papista, rzucane bywa zawsze niby obelga katolikowi w oczy. Te rzeczy znane nam są oddawna, jak znanym jest okrzyk kalwińskiej Anglii *no popery*, będący

wynikiem nienawiści do katolicyzmu. Ale co ma oznaczać podobne wyrażenie się osób wliczających się do jedności z Kościołem rzymskim? Tego zrozumieć niepodobna. Przecież nie możemy przypuszczać, aby w urzędowym nawet dokumencie przewielebnego konsystorza ruskiego unickiego odbijać się mogło echo wzgardy schyzmatyckiej do katolickiego rzymskiego Kościoła. Bylibyśmy więc niewypowiedzianie wdzięczni wielebnemu ks. oficyałowi Malinowskiemu gdyby nam to zechciał wyjaśnić.

Drugą rzeczą, jaka nas tu uderza, jest zarzut uczyniony osobie, do której to pismo konsystorza zostało wystosowane, że kieruje się poglądami *Przeglądu Lwowskiego*. Co to ma znaczyć? *Przegląd Lwowski* jest pismem nawskróś katolickim — broni Kościoła i zasad Kościoła bez względu na narodowości i opinje polityczne — poglądy jego są wynikiem albo miłości i przywiązania do Stolicy św. albo nauki i zasad katolickich, — miałżeby więc konsystorz ruski uważać za złe, że ktoś wedle tego rodzaju poglądów zapatruje się na rzeczy? Nie, wierzyć temu nie chcemy — wierzyć niepodobna, aby katolicka władza duchowna mogła kiedybądź i gdziekolwiekbądź strofować kogo za to, że wierny jest katolickim zasadom. A jednak konsystorz ruski nietylko z tego robi tej osobie zarzut, ale co więcej, wyrzuca jej niejako to, że ona dawała do czytania zeszyty *Przeglądu Lwowskiego* innej, dostojnej i wysoko nadzwyczaj w hierarchii Kościoła ruskiego postawionej osobie. Ależ bo to ta uczyniona wzmianka w zeszycie 13 str. 67 o *Konkordyi*, taką ściągnęła niełaskę na pismo nasze. Sprawę tę wyjaśnić należy. My łacinnicy szanujemy i zachowujemy ściśle przepisy *Konkordyi*, ale *Konkordya* nie jest dogmatem, jeno że się tak wyrazimy przepisem dyscypliny kościelnej. Skutki płynące z *Konkordyi* mogłyby być najzbawienniejsze, gdyby zaciekli jej zwolennicy zachowywali ją nietylko na papierze, i gdyby niektórzy z księży unickich nie nasuwali nam słusznych swojem postępowaniem wątpliwości o ich katolickiem usposobieniu — ale skoro widzimy np. wielebnego księdza oficyała Malinowskiego, że nawet w udzielonem pozwoleniu na przystępowanie do sakramentów świętych odwołuje się na antikościelne, przez Głowę Kościoła potępione prawa, kiedy widzimy ks. Naumowicza bratającego się ze schyzmatyckimi popami Andrejczukiem i Kubaczanką na zebraniu w Haliczu, kiedy widzimy te kumania się z brodatymi popami z Bukowiny, głoszącymi zebranemu ludowi niestworzone rzeczy, a wobec tego wszystkiego spostrzegamy znowu, że przewielebny konsystorz ruski milczące zachowuje stanowisko, ha, w takim razie nie dziwimy się wcale, że dusze przywiązane do Kościoła słusznie lękają się o przyszłość Unii i że w zawartej *Konkordyi* upatrują przeszkodę w schronieniu się gdzieindziej przed stojącą im przed oczyma straszną schyzmy marą. W takim więc stanie rzeczy nam katolikom nietylko wolno pragnąć, ale nawet obowiązkiem jest naszym starać się o wynalezienie środka do usunięcia tej trudności.

* * *

Odyniec, Maurycy Dzieduszycki, Barte's, w Krakowie. Kronikarz krakowski do *Kuryera Poznańskiego* w nader wdzięczny sposób opowiada nam o zapoznaniu się z sobą trzech wyżej wspomnionych mężów: „Było nam danem, mówi on, znajdować się na wieczorze[1]), gdzie Odyniec z ciepłem mu właściwem

[1]) W domu hrabstwa Dębickich (przyp. Red.)

jakąś literacką kwestyą obrabiał i wobec kupiącego się koło niego grona, twierdzenia swoje żywym gestem i gorącem słowem popierał. W tem gospodarz podchodzi do Odyńca i mówi: pan Maurycy Dzieduszycki jest tutaj. — Urywa się w połowie gorący argument: „Co — jestże w Krakowie autor *Zbigniewa Oleśnickiego* i *Piotra Skargi*, gdzież ja go odszukać będę mógł, aby go poznać.“ „Stoi za panem.“ — Szybki, jakby młodzieńców zwrót, rzucił obu znakomitych pisarzy w objęcia: Dzieduszycki! Odyniec! i obaj ściskali się wzajem, nieznani a znajomi sobie, oceniali się oddawna, i łącznością duchową spojeni, nie potrzebowali tylko zbliżyć się do siebie, aby równą odczuć sympatyą.

Hr. Maurycy Dzieduszycki, ten erudyt, historyk, którego nauka i praca monumentami zostaną w historyi naszej, ten poważny i głęboki myśliciel katolicki, w potocznem życiu jest wesoły, łatwy, miły, pełen dowcipu i humoru. Fizyonomia pełna życia, ruchy prędkie, rozmowa łatwa, zajmująca, pełna połysków dowcipu; przy tem taka prostota: tak badacz i mędrzec schowany, zostaje tylko człowiek rozumny i miły, z dobrym humorem i swobodą myśli, zazdrości godną.

Nieznany także niektórym z różnych stron zebranym gościom wszedł pan Bartels, i zaraz humorystycznego pieśniarza obskoczono, prosząc o coś z obfitego repertuaru Część piosenek pana Bartelsa wraz z muzyką wydana już i rozpowszechniona bardzo: *Małpy i ludzie*, *Departament niższej Sekwany*, *Panna Maryanna i pan pisarz prowentowy*, *Ideały*, *Dziewczynki* i tyle innych czy to rzewnych, czy humorystycznych, śpiewane są i do śmiechu pobudzają, ale aby całą ich wartość poznać, trzeba je słyszeć z ust autora. Bo ta mimika i ta żywość *du débit* nie da się naśladować. Już sama powierzchowność dobrana do tej satyrycznej, miłej humoreski, oczy pełne życia pod gęstemi brwiami, ruchliwe, a rysy przybierają wszystkie wyrazy tak szybko po sobie następujące. Równie zajmujące jak piosenki, były fizyonomie znakomitych słuchaczy, którzy z dziecinną ciekawością otoczyli pieśniarza i wybuchy śmiechu tłumili z trudnością, aby nie przerywać deklamacyi“.

---

† **Ś. p. ks. Wojciech Morawski.** Smutną nader przyniosły nam dzienniki wiadomość. Czczony i kochany od wszystkich i we wszystkich dzielnicach ojczyzny naszej ks. Wojciech Morawski po długiej i ciężkiej chorobie zakończył pełen cnót i zasług swój żywot dnia 26go sierpnia w dziedzicznej swej wsi Oporowie w Wielkopolsce. Rok temu podupadł on już znacznie na zdrowiu. W tym czasie będąc ostatni raz we Lwowie, gdyśmy zwrócili jego uwagę, aby więcej pamiętał o swem zdrowiu, odrzekł nam: to wszystko nic nie pomoże — Pan Bóg woła, trzeba się w drogę wybierać. Ś. p. ksiądz Wojciech należał do najszlachetniejszych synów Wielkopolski. Wszyscy, co mieli szczęście poznać go bliżej, lgnęli do niego. Żywot jego spleciony z prac położonych w usługach kraju, Kościoła i dusz Chrystusowych, jest najprześliczniejszym wizerunkiem cnoty i świątobliwości. Potomek zacnej rodziny, wyniósł z rodzicielskiego domu grunt wiary i skłonność do wszystkiego, co piękne i wzniosłe. Znakomicie wykształcony, wielkiej nauki i rozległych wiadomości, nigdy nie urósł w pychę. Był on mężem w całem znaczeniu chrześcijańskim: mężem nauki i pokory. Zanim będziemy mogli podać kiedyś obszerniejszy jego życiorys, przytaczamy tutaj bodaj niektóre z jego życia szcze-

góły z *Czasu* i *Kuryera Poznańskiego*. Żołnierz z 1831 r., czynny gospodarz pełen bystrości umysłu a gorącości serca, przed trzydziestoma laty ożenił się był z Maryą Grocholską, po śmierci której czworo zostało mu dzieci. Wtedy to właśnie postanowił opuścić świat i poświęcić się stanowi duchownemu. Teologię skończył w Rzymie, w tem ognisku katolickiego świata, gdzie tryskają ustawicznie czyste, żadną przymieszką błędów niezamącone krynice nauk teologicznych. Jako ksiądz osiadł w Warszawie i tam w r. 1863 złożył liczne dowody heroicznego prawdziwie poświęcenia się dla dusz bliźnich. O każdej porze oddawał posługę duchowną nieszczęśliwym więźniom w cytadeli. Nieraz wiele znosić musiał przykrości tak od Moskali jak od więźniów, niedowierzających mu z początku, zanim potrafił pozyskać Bogu zbłąkaną duszę nieszczęśliwego, pocieszyć ją, wzmocnić i dodać otuchy. Opowiadano nam, że jednego razu wielkie jego zabiegi, prośby, błagania nie mogły przełamać uporu jednego z tych nieszczęśliwych, aby go do spowiedzi skłonić. Ks. Wojciech nie traci nadziei — idzie nazajutrz do cytadeli, pyta się o niego. Aż tu powiadają mu, że w tej chwili wywiezionym został. Ks. Wojciech nie namyśla się długo, wsiada do dorożki i pędzi za wywiezionymi — dogonił ich — twardy oficer nietylko że nie pozwala zobaczyć mu się z więźniem, ale gdy ks. Wojciech prosić go nie przestaje, zgniewany rozkazuje kozactwu wyrzucić precz księdza! Jak kozacy spełnili rozkaz oficera, łatwo się domyśleć, dość, że świątobliwy kapłan miał wtedy zawołać: „no to dla mnie, pozwólże mi teraz panie majorze wyspowiadać tego młodego człowieka". Ten heroizm rozbroił Moskala — z ócz patrzących na to więźniów, obfite łzy popłynęły — wszyscy co do jednego pod gołem wyspowiadali się niebem. Były to cuda miłosierdzia Bożego, wywołane heroicznem poświęceniem się i pokorą świętego kapłana. Ależ służba ta skończyła się niebawem uwięzieniem ks. Wojciecha i rozkazem opuszczenia Polski. Odtąd przemieszkiwał w Wielkopolsce. Ostatnie prześladowania Kościoła smuciły go i bolały, bolały tem więcej, że stargane zdrowie nie pozwalało mu wziąść czynnego udziału w toczącej się w Wielkopolsce duchownej walce. Przed śmiercią na 3 dni otrzymał błogosławieństwo od Ojca Św. Opatrzony świętemi sakramentami skończył na ręku swej sędziwej matki, czcigodnej wielce matrony, na ręku swej ciotki i trzech sióstr swoich, oddając Bogu piękną swą duszę. Zmarły liczył lat 65, był kanonikiem Płockim i Kamienieckim. Cześć jego pamięci! Cześć jego cnocie, świątobliwości i heroizmowi kapłańskiemu! *Requiescat in pace!*

ŚWIĘTOPIETRZE

(Serya IV)

ZŁOŻYLI W REDAKCYI:

Ojcze Święty ratuj nas od schyzmy.

N. N.	franków 50	— złr.	— ct.
P. Stanisława Fedorowiczowa	10	„ —	„
Ks. Jan Szymonowicz	dwa dukaty w złocie	—	„ — „
N. N. Więźniowi w Watykanie	rubli 2 kop. 50	—	„ — „
N. N.	franków 3	—	„ — „
Razem dwa dukaty, rubli 2 kop. 50, franków 53 i 10 złr. — ct.			
Z przeniesienia duk. 23, półimper. 4, marek 10, rub. 32, kop. 30 i 856		„ 87	„
Razem duk. 25, 4 półimper. 10 marek, rub. 34, kop. 80, frank. 53 i 866 złr. 87 ct.			

Wydawca i odpowiedzialny redaktor ks. Edward Podolski.

WALERY WIELOGŁOWSKI

przez

LUDWIKA HR. DĘBICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

IV.

(Powrót emigracyi do kraju — Bruksella i jenerał Skrzynecki — Pobyt na Szlązku — Powrót do Krakowa — Pierwsza inicyatywa — Zasady polityczne Wielogłowskiego — Rozgałęziona działalność — Pożar Krakowa — Założenie Towarzystwa sztuk pięknych — Dom Towarzystwa Naukowego — Towarzystwo rolnicze i szkoła Czernichowska — Rada miejska — Stosunek z ludem wiejskim.)

Zawierucha 1848 r. poruszyła jak tumanem zeschłych liści, wychodźtwem polskiem. Różnie różni przebyli tę kaźń wygnania, ale wszyscy żyli jedną tylko myślą i jednem uczuciem tęsknoty, jak mówiła piosneczka emigracyjna: *„na wschóa patrząc swym zwyczajem"*... Lubo na Wschodzie jeszcze nie widniało, rozpoczęła się już ta powrotna emigracya emigracyi do kraju, a mianowicie do Poznania, Krakowa i Lwowa.

Rodzina naszego wygnańca, co z największem utęsknieniem nie przestała patrzeć ciągle na Wschód, ażali tam, jeżeli już nie jutrzenka swobody, to brzask jakiej takiej tolerancyi nie świta, jedna z pierwszych opuściła Paryż. Etapami jednak zbliżali się państwo Wielogłowscy do kraju, a pierwsza stacya wypadła w Brukselli, bo pominąć nie można było naczelnego wodza ostatniego powstania, jenerała Skrzyneckiego, z którego rodziną łączyły stosunki pokrewieństwa, a nadto wspólność zasad i ta gorąca wiara, która według pięknych słów ks. Adama Czartoryskiego nie wypływa z patryotyzmu, ale przeciwnie sama jest źródłem miłości ojczyzny. Jenerał Skrzynecki, którego stronnicza krytyka na emigracyi częstokroć wybierała za kozła ofiarnego niepowodzeń powstania,

pomimo tylu czynów swego osobistego bohaterstwa nie doznał dotąd i po śmierci odpowiedniego ocenienia. Był to rycerz chrześcijański w całem znaczeniu tego słowa, nie stworzony na czasy rewolucyjne, ale któryby godnie mógł piastować buławę hetmańską po takich jak Tarnowski, Rewera Potocki, Chodkiewicz, Żółkiewski, Czarniecki a nawet po hetmanie królu Janie III. Była w nim bowiem ta sama obok waleczności łagodność, obok nieustraszonej odwagi wobec wroga cierpliwość i pobłażliwość dla swoich, od których niemniej doznał niewdzięczności, zawiści i potwarzy, jak oni wielcy, oni starzy, a znosił to wszystko bez wyrzekania, bo równie jak u tamtych gorąca religijność była pobudką czynów i podstawą życia jego.

Państwo Wielogłowscy w domu jeneralstwa Skrzyneckich w Brukselli przepędzili dni kilkanaście, a dom to był pełen powagi i znaczenia w stolicy belgijskiej. Nasz wódz naczelny, jak wiadomo, został naczelnym wodzem w tem małem królestwie belgijskiem, które równocześnie z nami dobijając się wolności, dzięki szczęśliwszemu położeniu i okolicznościom korzystniejszym, doszło do swego celu, gdy myśmy runęli. Ta analogia lubo odwrotna losów młodej a szczęśliwej Belgii ze starą a nieszczęsną Polską, wprowadzała pewien związek sympatyi, zwłaszcza w kołach i stronnictwach katolickich, które tam tak silnie się rozwinęły. Rodziny hr. Merode, książąt Chimay i książąt de Ligne szukały związków z rodzinami polskiemi. Oprócz jenerała Skrzyneckiego waleczny i zdolny pułkownik Kruszewski dosłużył się w Belgii stopnia jenerała. Pobyt Wielogłowskich w Brukselli wypadł na Wielkanoc. Czem bywało dla Paryża święcone polskie w hotelu Lambert, tem dla Brukselli święcone u jeneralstwa Skrzyneckich — to jest punktem zbornym i doroczną uroczystością dla Polaków tak emigrantów jak i paszportowych, dla wyższych zaś sfer arystokracyi i znakomitości miejscowych poniekąd ciekawem widowiskiem, a w znacznej części sposobnością zamanifestowania sympatyi swych dla Polski.

Z Brukselli udali się państwo Wielogłowscy do Wrocławia, gdzie mieli się spotkać z kilkoma domami rodzinnemi, jak pani Amelii Dembińskiej, Rokosowskich i Białeckich. Znów więc wyruszyć było trudno i wyrwać się z serdecznego otoczenia, zwłaszcza, że pierwsze chwile wybuchami rewolucyi

wywołanych zwolnień mijały w Austryi. Już Kraków doznał najpierw skutków systemu bombardowania miast, a emigracya ztamtąd wydaloną została. Trzeba było więc czekać na Szlązku, na wpół już w Polsce, bo wśród codzień przybywających z Poznańskiego, z Królestwa i z Galicyi. Czas wakacyj spędziła rodzina wygnańców w licznem gronie krewnych w Altwasser koło Salzbrun. Tu znów korzystając z ciszy, a mając wziąść rozbrat z emigracyą, u wstępu do kraju, chwycił p. Walery za pioro i w tym samym nieco mistycznym nastroju ducha, co poprzednią pracę paryską *Polska wobec Boga*, skreślił nową broszurkę *Emigracya wobec Boga*. Osobny rozdział poświęcimy ocenieniu pisarskiego zawodu p. Walerego. Tutaj powiemy tylko, że *Emigracya wobec Boga* stanowi jakby pomost rzucony między kierunkiem nieco abstrakcyjnym, ku któremu umysł p. Walerego okazywał nieraz skłonność, a publicystycznym zawodem, jakiemu się miał następnie przeważnie poświęcić. Żegnał on tem pismem życie tułacze i podawał towarzyszom wygnania podarek jakby na pamiątkę zdrowych rad i głębszych poglądów, pismo zaś to dedykował naczelnemu wodzowi jenerałowi Skrzyneckiemu.

Do Altwasser na powitanie Wielogłowskich przybył między innymi p. Paweł Popiel, bliski krewny, kolega z zakładu wychowawczego u Sołtykowicza, czynny opiekun w czasach emigracyjnych, przyszły *socius* polityczny p. Walerego w pracach, jakie miał podjąć za powrotem do Krakowa. Jego to zabiegom zawdzięczali państwo Wielogłowscy, że po konfiskacie dóbr Zborów resztki mienia zdołał wydostać, zgromadzić i w chwilach największej potrzeby zasilić niemi rodzinę tułaczą. Teraz p. Paweł Popiel użył swego wpływu, aby wyrobić państwu Wielogłowskim pozwolenie powrotu i pobytu w Galicyi. W tym celu z Altwasser udał się do Lwowa, gdzie właśnie hr. Gołuchowski objął rządy kraju. Po wybrykach wielu wychodźców w czasie agitacyi i gorączki politycznej 1848 roku nie byłoby to łatwem, gdyby z jednej strony p. Popiel nie był zapewnił namiestnika o konserwatywnych zasadach Wielogłowskiego, gdyby z drugiej nie dopomogła ta okoliczność, że Walery rodził się w Galicyi i ztąd miał prawo upomnieć się o rewindykacyę obywatelstwa austryackiego.

Nadeszło wreszcie oczekiwane z gorączkową niecierpliwością pozwolenie powrotu.

Uroczysta to była chwila, opowiada córka Walerego, gdy w wagonie z bijącemi sercami, przez mgłę łez dziękczynienia Bogu i dziecinnej niemal radości oczekiwali tułacze drogiego widoku wieżyc maryackich, Wawelu, mogiły Kościuszki. Wszystkie wspomnienia lat młodych, wszystkie tęsknoty lat tułaczych przepełniały pierś, i cała przeszłość, wszystkie obłędy i złudzenia rozpraszały się za powiewem rodzinnego powietrza. Wrażenia te pierwsze powrotu do kraju bywają często miarą prawdziwej jego miłości: wszyscy ulegają wzruszeniu, ale wielu przybywa z uprzedzeniami i pretensyami, wielu powraca ze skargą na ustach lub z doktryną obcą w głowie, z żółcią w sercu, a uporną dumą w woli. Wielogłowski nie przybywał jako apostoł jakiejś misyi, nie rościł sobie praw do pierwszorzędnych stanowisk; choć okiem przywykłem do przepychu miast zagranicznych patrzał na nasze niedostatki, zasłaniał przed sobą strony ujemne, spieszył tylko do kościołów podziękować Bogu, to też zaaklimatyzował się odrazu po wielu latach tułactwa.

Gorącu uczuć wewnętrznych nie zawsze odpowiada sposób przyjęcia, jakiego się doznaje w kraju w pierwszej chwili. Ś. p. Wielogłowski przybył do Krakowa prawie już zupełnie zapomniany, ubogi, z chęcią tylko dobrą i wielkim zasobem pracowitości i wytrwałości. Zastał całą społeczność zniechęconą pod wrażeniem świeżych przejść i fajerwercznych wybuchów, przytem bez tego ożywczego ducha, co wznosi i ubogaca w mgnieniu oka stolice zachodu. To podupadłe miasto królów (jak je nazwał jeden pisarz niemiecki) zamykało się w pamiątkach przeszłości, nieśmiałe tylko stawiając kroki ku jakiemukolwiek postępowi. Apatya z jednej, a lekkomyślność z drugiej strony naprzemian opanowywała umysły.

Zanim przystąpimy do przeglądu wszechstronnej działalności, jaką rozwinął Wielogłowski w Krakowie, zapisać winniśmy, że pierwsza jego inicyatywa, była spełnieniem owego wotum, powziętego w czasie choroby córki w Rzymie. W kilka miesięcy po powrocie, bo już w maju 1849 r. w skutek zabiegów Wielogłowskiego duchowieństwo urządziło pierwsze nabożeństwo majowe w kościele Panny Maryi. Zrazu mało ludzi się zgromadzało, bo każda nowość nawet religijna

w nabożnym lecz przedewszystkiem tradycyjnym Krakowie oporem idzie z początku. Wielogłowski wydał więc książkę z nabożeństwem majowem, a zachęcając najpierw znajomych i przyjaciół, przyczynił się on głównie, że nabożeństwo to weszło w końcu w zwyczaj, zwłaszcza gdy gorliwi kapłani i kaznodzieje poszli za tym impulsem świeckiego.

Rzućmy teraz okiem na stanowisko, jakie zajął Wielogłowski w kraju.

Powróciwszy z tułactwa do kraju, ś. p. Wielogłowski przyniósł z sobą zasób doświadczeń, zebranych wśród obcych i w walce wyobrażeń, wrzącej między wychodźtwem, przyniósł ducha inicyatywy i niezmordowanej pracy. Stanowił przeto żywioł dodatni, twórczy, czynny. Działalności swojej nie ograniczył na jedną sferę, ale w kraju, który znał tylko dwie fazy, stan chwilowej gorączki, mijającej równie spiesznie jak wznosiła się gwałtownie i stan apatyi, pan Walery wysilał się w dwóch kierunkach, aby gorączkę słowem rozsądku i rozwagi uśmierzać i z apatyi ciągłą inicyatywą i niezmordowaną pracą budzić.

Program jego polityczny, rzec można, leżał w jego swobodzie działania i da się scharakteryzować w ten sposób: to co jest podnieść, wzmocnić, utrwalić, nowych instytucyj się dorabiać, nowe pola działalności zapełniać, organizm społeczny wzmacniać i rozwijać. Nie pominąć przytem żadnego pola, choćby zdawna leżącego odłogiem, któreby można pracą użyźnić; nie odtrącić choć najsłabszych sił, któreby się dały zużytkować; ani najmniejszych zasobów, z którychby można dla kraju korzyść wydostać. Schorzałe i wyniszczone społeczeństwo, tylko na drodze „dorobku politycznego“, jak się często zwykł był wyrażać ś. p. Walery, może dojść do siły i znaczenia. Jestto mniej więcej zwykła teorya i zwykły program stronnictwa tak zwanej „pracy organicznej“, z tą różnicą, że ją najczęściej w teoryi tylko wyznają, a Wielogłowski, który do jej utrwalenia teoretycznego się przyczynił, praktykował ją ściśle w życiu i czynach własnych. Można bez przesady powiedzieć, że w Galicyi on dotychczas bodaj czy nie sam jeden pozostał politycznym przedstawicielem pracy organicznej. Czyż jednak wtedy i później zmienił się ten cel, to pragnienie, ta nadzieja, ta miłość, która za młodu pchała Wielogłowskiego do konspiracyi, która była

powodem, że z taką pochopnością chwytał wszystkie złudne teorye, które mu podsuwano jako niewątpliwy środek do wybawienia ojczyzny? Nie, i ta miłość nie wygasła i te nadzieje go nie opuściły, owszem pozostał optymistą do końca życia i choć już utwierdzony w zasadach odtrącał zgubne teorye i odważnie przed niemi ostrzegał, zachował jednak tę samą pochopność do tworzenia sobie kombinacyj, choćby nieuzasadnionych, byle rokujących ziszczenie nadziei. Można do Wielogłowskiego zastosować tę dowcipną a głęboko prawdziwą anegdotę o szlachcicu polskim, który dostawszy się w swych peregrynacyach do piekła, pod dantejskim napisem „tu niema nadziei“ dopisał: „jeszcze Polska nie zginęła“. Mimo to jednak, że nie zwątpił w przyszłość narodu, w najczarniejszych chwilach nie wahał się Walery wypowiadać najbardziej gorzkich ostrzeżeń, gdy widział, że naród daje się porywać zgubnym obłędom. On to pierwszy napisał te słowa, które później przyjął za godło jedyny mąż stanu, jakiegośmy mieli w ostatnich czasach, że Polskę nie wywalczyć, nie wykonspirować, ale wypracować trzeba, aby kiedyś jak owoc dojrzały sama z drzewa niewoli odpadła.

O ile wyznanie wiary politycznej Wielogłowskiego było krótkie i proste, bez szumnych zapowiedzi i wielkich haseł, o tyle jego działalność społeczna i polityczna była rozgałęzioną, wytrwałą i zbyt może wszechstronną. Nie było to tyle skutkiem jego własnej żądzy politycznej, ile ogólnego instynktu, chcącego wyzyskać zdolność i wytrwałość p. Walerego. Nie powiemy, aby korzystano należycie z prac Wielogłowskiego, aby go popierano w jego usiłowaniach, aby zwłaszcza w czemkolwiek posłuchano jego rad i pokierowano się wpływem jego niepopularnych zawsze, bo nie schlebiających ogółowi opinij; umiano tylko na jego barki zwalać obowiązki i jego pracą dać się zastąpić.

Dla Galicyi i Krakowa epoka między dwoma katastrofami 1846—1848 a 1863 r. nawet na zagojenie ran społecznych, na zapełnienie uszczerbków materyalnych nie wystarczyła. Kraj ten był w stanie bierności i apatyi, bo przygnieciony ręką biurokracyi, miał odjętą możność wszelkiego samoistnego działania. Cokolwiek rozpoczęto, to wnet znachodziło przeszkody, aby się mogło rozwinąć. Ś. p. Wielogłowski wśród tej epoki krzepi ducha w kraju, budzi zamiłowanie do literatury jako

pisarz i wydawca, do sztuk pięknych założeniem Towarzystwa sztuk pięknych, przemawia ciągle za potrzebą zwrotu do przemysłu i handlu, sam otwierając dom komisowy i księgarnię. Chwyta ustawicznie przemijające porywy, budzące się w odrętwiałem społeczeństwie, aby z nich jakąś realną korzyść wyprowadzić, coś dodatniego, choćby drobnego postawić. Jestto praca łączenia atomów, ale z atomów powstają wielkie dzieła.

Tułacz bez mienia, zapomniany od swoich, owszem napotykający uprzedzenie częstokroć, bo Wielogłowski wyszedł rewolucyonistą i spiskowcem z kraju, radykałem i socyalistą, mógłże on budzić zaufanie? Zasługa łatwo się zapomina, słaby cień winy lub błędu zatrzeć ją może; ale pamięć błędów i win pozostaje w społeczeństwie przywykłem do nieufności. Nieufność to jedno z następstw naszego nieszczęsnego położenia, naszych waśni wewnętrznych i rozbicia moralnego. Iluż ludzi słabego serca doznana nieufność w chwili zwrotu w przekonaniach ku dobremu znów w błędne napowrót drogi spycha. Ona szerzy kwas i jest źródłem jadu, wyrabiającego się w ranach ciała narodowego. Nieufność iluż braci, w gruncie jednem uczuciem tchnących, w nieprzyjaciół zamienia. Zwłaszcza zaś nieufność wychodźców do kraju, a kraju do emigracyi łatwo da się wytłumaczyć, choć ciężkie częstokroć zadaje ciosy. Wielogłowski również przeszedł przez tę próbę nieufności. Duch jego jednak dodatni, serce miłujące, raczej gotowe się było ukorzyć, niż powodowane miłością własną i dumą, postawić raz na zawsze przepaść między sobą a krajem. Czuł on się zresztą winnym, miał sumienie gotowe przyznać się do błędów młodości — a kochał tę ziemię ojczystą i wiedział, że jeśli sam na tułactwie doznawał niedoli, to i w kraju przebywano ciężkie próby i nie obfitowano w pomyślności. Wiedział, że dobry syn nie powraca do rodziny jako sędzia jej postępowania, że powraca nie na to, aby wytoczyć proces o ojcowiznę, ale, że sam powinien zdać tej rodzinie sprawę z swych czynów, przynieść to, co zebrał na obczyźnie, usprawiedliwić się z błędów i pracą i zasługą napowrót zdobyć sobie prawa do miłości rodzicielskiej. Niebawem też ta próba nieufności przeszła, a ś. p. Walery odnalazł niejednego przyjaciela młodości i zespolił się z całem

gronem ludzi, którzy różnemi drogami doszli do tych samych przekonań, jakie on okupił ciężką próbą życia.

Powróciwszy do Krakowa, za pożyczone pieniądze wydał pierwszą książkę. Niebawem ludzie dopomogli, a kiedy z ojcowizny skonfiskowanej przez rząd rossyjski nic już odebrać nie można było, to resztki posagu żony zrealizowane służyły za pierwszą podstawę dorobku dla męża, który całemu społeczeństwu dorobek za program polityczny stawiał.

Społeczność krakowska ma to do siebie, że w pierwszej chwili na pozór zimna i obojętna, próbuje ludzi przybywających, stopniowo wciąga ich w koło swoje, a po kilku latach zamienia się im w rodzinę.

Nic tak jednak nie zbliża ludzi, jak próba nieszczęścia. Nie brak niestety podobnych okazyj do zbratania serc w naszem biednem mieście. Pożar 1851 r. niszczący miasto jakby na to, aby pokazać jakie uczucie miłosierdzia tkwi w narodzie i jaką on ma cześć dla pamiątek, jest wypadkiem, nową dla Krakowa stanowiącym epokę.

Całe miasto jeszcze w płomieniach, kiedy hr. Arturowa Potocka w domu swoim zawiązuje komitet ratunku dla pogorzelców. Wielogłowski jest jednym z najczynniejszych członków tego komitetu. Hojność i miłosierdzie możnej pani pobłogosławione tutaj cudownym niemal skutkiem. Miłosierdzie chrześcijańskie ma tę moc, że odtwarza cud siedmiu chlebów i siedmiu ryb; ludność Krakowa po pogorzeli wyżywiona, odziana, a miasto niebawem dźwiga się na nowo. Ulice się prostują i ozdobniej niż wpierw zabudowują, ze zgliszcz i popiołów dźwigają się stare świątynie, pomniki i nagrobki odnawiają. Pożar Krakowa odżywił ducha miłosierdzia, a równocześnie przypomniał niszczejące pomniki i zabytki królewskiej stolicy.

Zbyt wiele na archeologię krakowską wymyślano, abyśmy tutaj nie mieli przypomnieć, że ta archeologia istotnie była produkcyjną, że na tem polu nie tyle może pod względem samych studyów naukowych, ile dla uratowania zabytków zrobiono więcej przez ostatnie lat dwadzieścia niż przez cały wiek przedtem.

Wielogłowski nie był archeologiem, że tak powiemy, z profesyi, ale czcił narodową tradycyę i kochał groby — i on także swoją cząstkę dorzucił do zbiorowej pracy.

Czuł jednak instynktowo, że po za zabytkami przeszłości potrzeba narodowi czegoś żywego, młodego, coby rwało ducha w sferę wyższego ideału. Poezya już się wyszeptała ze wszystkich swoich tajemnic. Zbierały się duchowe motywa, które miały wydać dzieła sztuki. W Warszawie zwracano się do muzyki i w braku możności wypowiedzenia słowy swoich uczuć, wlewano je w tony.

W Krakowie podrastał w szkołach Matejko, Grottger, Grabowski i tylu nieznanych jeszcze młodzieńców, którzy mieli utworzyć malarstwo polskie.

W społeczeństwie panowała jednak zupełna dla sztuk pięknych obojętność, wspierana zupełniejszą jeszcze ignorancyą. Nawet głębsze umysły nie domyślały się, jakiem życiem ten nieznany kwiat na glebie polskiej wyróść może. Klaczko pisał rozprawę, co tyle wywołała admiracyi *O sztuce w Polsce*, przestrzegając przed zbytniem rzuceniem się w sferę oderwanego ideału i przepowiadał zbyt arbitralnie, że sztuka niema przyszłości w Polsce.

Wielogłowski podnosi myśl założenia Towarzystwa sztuk pięknych. Pomysł ten wzięty za dziwactwo i chimerę; z największym trudem zdołał on narzucić akcye swoim znajomym, nie wierzącym w skutek. Skutek jednak nie zawodzi. Zrazu nieudałe próby rodzimego pędzla nie odstraszają publiczności, nie znającej się jeszcze. Powoli porównanie z dziełami zagranicznemi wzbudza współzawodnictwo własnych malarzy, a rodzi się zajęcie w kraju. Towarzystwo zakupuje i ułatwia sprzedaże obrazów początkującym malarzom, często z nędzą walczącym. Powoli, powoli przybywają lepsze coraz dzieła. Zgoła, nie Towarzystwo stwarza sztukę, ale prąd, który sam się wyrodził, znalazł w Towarzystwie dzielną pomoc, ognisko.

Towarzystwo sztuk pięknych jedno z pierwszych stowarzyszeń zawiązanych w Krakowie, powstało bez reklam i wielkich zapowiedzi, nie wypotrzebowało szumnych i demonstracyjnych oznak, licznych i wielomownych zebrań, żyło cicho, spokojnie, ale ustawicznie się rozwijało i wydawało owoce. Bez przesady rzec można, że Wielogłowski, twórca tej instytucyi i kierownik (do śmierci bowiem jako sekretarz Towarzystwa), był istotną jego duszą, a dobrał sobie z trafnością wyboru ludzi, która go odznaczała, za pomocnika nie-

zwykłej pracowitości i nieskazitelnej aż do przesady skrupulatności ś. p. Kołosowskiego, towarzysza wygnania.—Za Towarzystwem sztuk pięknych odżyło Towarzystwo naukowe pod kierownictwem ś. p. kasztelana Wężyka. Dla rozwoju jakiejś instytucyi potrzeba jak dla pomyślności rodziny dachu własnego. Jakoż równocześnie kiedy z składkowego grosza wznosiły się z zgliszczów kościoły OO. Dominikanów, Franciszkanów i kościół św. Katarzyny, zakładano kamień węgielny pod muzeum narodowe, jakiem niebawem miał się stać dom Towarzystwa Naukowego. Jednym z najczynniejszych agentów składki na dom Towarzystwa był znów pan Walery, nie przeczuwając, że kiedyś dom ten będzie siedzibą akademii. Wreszcie za wzorem Królestwa, Towarzystwa rolnicze nabierają znaczenia i niebawem w rolniczym kraju pierwsze mają zająć miejsce, zjednoczyć wszystkie siły rolniczego społeczeństwa. Stowarzyszenia tyle w ogóle przynoszą pożytku, ile warta praca ludzi niemi kierujących. W towarzystwach rolniczych galicyjskich na ogólnych zgromadzeniach bywają rozprawy, mowy, popisy — ale pracuje jedynie komitet. Więc znów p. Walery potrzebny w komitecie. Zasiadał on też w nim od chwili zawiązania się Towarzystwa aż do śmierci. Głównem dziełem i trwałym pomnikiem prac Towarzystw rolniczych galicyjskich pozostanie założenie szkół rolniczych. Wielogłowski założył kamień węgielny szkoły czernichowskiej, zakupiwszy z własnej inicyatywy i na własną odpowiedzialność realność czernichowską. *Post factum* poszły składki na spłatę korzystnego nabytku i stanęła szkoła, dla której Wielogłowski dobrał kierownika, namówiwszy swego przyjaciela, szacownego majora Korzelińskiego, do objęcia dyrekcyi. Żołnierz albo zakonnik bywa najlepszym pedagogiem; zakład naukowy potrzebuje albo karności wojskowej albo rygoru klasztornego. To też szkoła pod kierunkiem majora polskiego, który przebył w piątej części świata dzieje Robinsona, wnet rozwinęła się pod czujną opieką prezesa Towarzystwa ś. p. Michała Badeniego, bliskiego krewnego Wielogłowskiego.

Miasto Kraków otrzymało oktrojowany statut i reprezentacyę miejską, krępowaną wprawdzie w swoich czynnościach, wszelako mogącą służyć za pierwszy szczebel autonomicznego życia. I tu znów wybór nie pominął Wielogłowskiego. W archiwach miejskich spoczywa niejeden projekt pana Walerego, dotąd niewprowadzony w życie, a wiele reform z jego powstało inicyatywy. Przeciwnym on był demonstracyjnej abstynencyi, a wierny polityce praktycznej, korzystania z każdego ustępstwa, chociaż koledzy w Radzie miejskiej, ulegając prądowi opozycyjnemu, wystąpili z Rady, on pozostał, pozostał nawet czas jakiś sam jeden, nie poprzestawszy gorliwie ujmować się za interesami miasta, a tak powoli doczekał się powrotu swoich towarzyszy.

Najbliżej jednak zespolił się Wielogłowski z ludem wiejskim. Sam za młodu rolnik, z tradycyi znający dawny związek dworu z gromadą, w zmienionych warunkach starał się go odnowić. Wielogłowski zostawił daleko po za sobą, w epoce młodzieńczej duszy wyobrażeń tę czułostkową i chorobliwą demokracyę ludzi, co ludu nie znają; daleki od teoryj zwodniczych, zwrócił się do ludu z uczuciem chrześcijańskiem i tradycyjnem zarazem, niósł mu miłość, ale miłość trzeźwą, zdrową, płodną w czyny i pomoc praktyczną. Znał on mowę, obyczaj, znał wady i cnoty ludu, rozumiał jego język i jego pojęcia, czuł jego potrzeby; nie agitując w imieniu ludu przeciwko innym warstwom społeczeństwa, nie schlebiając jego żądzom, szedł doń z uczuciem patryarchalnem, szedł z prawdą i zdrową radą — uzyskał też pierwszy w kraju, jeśli nie jedyny, zaufanie chłopów w Galicyi przez wybór na sejm.

(C. d. n.)

OBRAZEK

z życia rossyjskich czynowników

przez

S. A. Tomickiego.

Przy parafialnym kościele w Ładyżynie, mieszkał sobie podeszły w leciech staruszek nazwiskiem Stampek. Z początku był dziadkiem kościelnym, ale gdy się wódką zalewać począł, więc go oddaliłem ze służby i odtąd żył sobie tak luźno, utrzymując się z jałmużny. Cóż się tedy dzieje. W dzień zaduszny 1860 r., wedle zwyczaju i obrzędu Kościoła, poszedłem z pobożnym ludem, który się w ten dzień licznie

zgromadził procesyonalnie z kościoła na grzebalny cmentarz. Smutny to i rzewny zarazem jest ten dzień zaduszny, a szczególniej modlitwa na cmentarzu. Widok tylu grobów, pod któremi spoczywają prochy ojców i braci naszych, za któremi dusza nasza tęskni, mimo woli do serdeczniejszej i szczerszej podnosi nas modlitwy, a pamięć, że może za rok, może jutro obok nich kości nasze złożą, obudza w nas jakąś wysoką obojętność, do tego co ziemskie. Wobec tych prochów człowiek się upokarza, i duszę podnosi w niebo jakby tam chciał uprosić i dla tych, co nas uprzedzili, i dla siebie samego miejsce na wieczny spoczynek. To też ludu naówczas zebrało się wiele, a za niemi podążyli wszystkie dziady i babki, co z jałmużny żyli. Naturalnie, nie brakło tam i naszego dziadka. Rozrzewniony ludek boży długo się modlił i płakał, i sowitą dawał jałmużnę, bo lżej jakoś i weselej w duszy, kiedy się uczynek miłosierny spełni. A że nasz dziadek był jakoś i pokorniejszy, i lepsze umiał wybrać dla siebie miejsce, bo już to pomiędzy dziadami zawsze rej wodził, więc i obfitszą dostał jałmużnę. Późno już z południa ostatni opuścił cmentarz, i widać postanowił zakończyć dzień ten bankietem, bo sporą kupił kiełbasę i słoniny wędzonej także nie małą porcyę, a z tym zapasem wstąpił do szynku, w którym bogaty gospodarzył żyd, i miał różne truneczki; bo chciał, jak mawiał, być usłużnym i grzecznym dla każdego podniebienia. Był to szynk więcej arystokratyczny, miał dwie komórki, niby pokoje oddzielne dla sekretnych pijaków, których żyd nazywał piękniejszemi gośćmi. Tam się zwykle schodzili czynownicy, i układali jak komu kruczka zakręcić, lub niejedną skargę fałszywie napisać; znalazł się tam i szlachcic niejeden na jarmark przybyły, i chłopek bogaty, i niemiec wędrowny, słowem zawsze gości było tam pełno, bo żyd usłużny, domyślny, dowcipny do każdej rady należał i niby każdemu dogodził. Mówiły nawet złe języki, że kradzione przechowywał rzeczy, ale ktoby temu wierzył, kiedy każdy czynownik, a szczególniej z policyi, poczciwość żyda na wszystkie tony wychwalał. Zwykle przebywał tu nasz dziadek, bo częściej dostał od gości kopiejkę, a co użebrał, wszystko u żyda zostawił. Czasem się żyd nim posłużył, czasem go połajał, ale tym razem ze szczególniejszą atencyą go przyjął. Przejrzał on okiem kota, że dziad ma kopiejki, gdyż był dzień zaduszny, więc z uśmiechem podniósłszy jarmułkę, odezwał się do dziada:

— Witajcie mi witajcie — wam się nie godzi pić dzisiaj prostej siwuchy, napracowaliście się od samego rana, należy się wam więc feines *ratafija*.

Właśnie dziad o tem myślał i kazał sobie podać podwójną porcyą, którą jednym haustem wypróżnił. Ale niestety żołądek jego był próżny, więc i alkohol gwałtowniej cisnął się do głowy, dziad dobył tedy kiełbasy by głód zaspokoić. Na nieszczęście kiełbasa była twarda, dziad już zębów nie miał, a apetyt po wódce się wzmagał, więc żuł długo twarde mięso, ale go nie pogryzł i tak nieszczęśliwie połknął, że się nim udusił, upadł na ziemię i zanim przybiegli podać mu pomoc, dziad już nie żył. Straszny to był koniec tej biednej duszy i zarazem straszny dla żyda.

Prawo nakazywało nie ruszać trupa z miejsca, dopokąd nie obejrzy go sąd i nie pozwoli na wyniesienie. Sąd zaś jest w rękach policyi ziemskiej i pierwszy sprawnik lub jego zastępca winien wyprowadzić na gruncie śledztwo, które jako najpewniejsza podstawa prawdy, uważane jest przez wszystkie, nawet najwyższe władze. Co napisze sprawnik na pierwszem śledztwie, zmienionem być nie może i podług tego ferują się wyroki, za najwyższym ukazem na Syberyą, katorgę, więzienia, lub knuty, które jeszcze w tym roku praktyczne tam miały zastosowanie. W następnym dopiero roku zamieniono knuty na szubienicę. Pozostawiono tedy przy umarłym wartę i o całym tym wypadku zdano raport sprawnikowi.

Sprawnik zwykle jest najpierwszym gospodarzem i wielkorządcą powiatu. Powiat dzieli się na części, tak nazwane stany, w każdym takim stanie mieszka pomocnik sprawnika zwany stanowym, albo prystawem (przystawiony pomocnik do sprawnika). Ładyżyn należał do pierwszego stanu, a było takich w powiecie cztery. Stanowy mieszkał w Ziatkowcach, w majątku Chołoniewskiego, o 25 wiorst od Ładyżyna i nazywał się Rudoff, inaczej Gula, z tytułu ogromnego jak największa śliwka nad prawem okiem guza, którego dostał w jakiejsiś nocnej ze żydami wyprawie. Był to urwisz najpierwszej próby, na śledztwie każdego obdarł do ostatniej nitki, a za pieniądze sprzedałby ojca, matkę i Boga samego. On to więc miał przyjechać na śledztwo, o czem zawiadomił na piśmie, a wszyscy sołtysi, radni i rozselnicy już dwa dni całą gromadą czekali na godnego reprezentanta wielkiego cara, w którego ręku złożone było *jus gladii*. Reprezentant pił dzień cały w Bobnówce u popa, aby naumyślnie już pod wieczór do Ładyżyna przybyć: tak wypadało z jego rachuby. Skoro tylko stanął na kwaterę w lichym zajeździe u żyda, bo tam zwykle odprawiał kadencye, głośno, gromko i z gniewem zakrzyknął na sołtysów, aby natychmiast dostawili owego rozbójnika żyda, u którego dziad umarł. I nie wyszło

pięciu minut, jak silne chłopy nie już przyprowadzili, ale przynieśli bladego jak trup i trzęsącego się od strachu jak liść na osinie żyda.

— A! ty sukin syn, newiera, czarnaja dusza, poganin, ty ubił carską chrześcijańską duszę i pieniądze zabrał — krzyknął stanowy na żyda — ja ciebie knutować będę, a żonę, dzieci i całą twoję familią w Sybir w katorgi na zawsze poślę. Ej! sotskij — kandały (kajdany)!

Nie pomogły drżące i bez związku tłumaczenia się żyda, ani prośby jego, których nie szczędził, choć go już jaśnie wielmożnym i najjaśniejszym panem nazywał, nie pomogły głośne lamenta żony i ośmiu bachorów, ani wstawiennictwa gromady żydów, co z całego miasta jakby na dzień sądny się zeszli; mniemanego rozbójnika w kajdany zakuli i do więzienia zamknęli.

Po takiem zaczęciu śledztwa, kazał sołtysom batami żydów rozpędzić i sam jako utrudzony wielką już pracą, którą aż w nocy dla dobra publicznego podejmować musiał, wychyliwszy jeszcze niby dla posiłku (bo jak utrzymywał, cały dzień nic nie jadł) całą butelkę nalewki, spać się położył.

Nazajutrz zaledwie pierwsze promienie słońca pokazały się na horyzoncie, już cała gromada żydów, jak na wiedeńskiej giełdzie zalegała dom, w którym wypoczywał wielki reprezentant cara i prawa. Literalnie przez ulicę przechodzącym nawet przebić się nie podobna było. W tym samym zajeździe jakoby na straży przy wielkim urzędniku dziesięciu chłopów nazwanych sockiemi, ławnikami, rozsylnemi i t. d. w czasie takiej kadencyi ciągle na zawołanie stać musiało. Wielki dygnitarz spał, upojony nalewką i widokiem bankowych papierów, które jak motyle w tęczowych kolorach migały mu w oczach. Dziesiąta już na zegarze, kiedy się przebudził. A rozgniewany na żydów, że mu spać nie pozwolą, gromko rozkazał chłopom, by znowu batami rozpędzili żydów. Trudniej to było dzisiaj jak wczoraj, ale jak się zaczął gniewać, krzyczeć, łajać, odgrażać, że po wojsko pośle, co byłoby łatwo, żydzi poznali, że wstępnym bojem nic nie dokażą, zaczęli ustępować z placu, a tylko kilkunastu nibyto z parlamentarstwem zostało i po jednemu chciało się do niego wcisnąć. Ale p. sprawnik nikogo nie przyjmuje, wszystkich wypędza i nibyto protokóły pisze, a w samej rzeczy trąbi z butelki najlepszą nalewkę i zajada najpiękniejsze ryby, które żyd gospodarz szabasowym sposobem podług jego gustu przyrządził.

Tymczasem żona uwięzionego rozbójnika wraz z bachorami głośny na wszystkie tony zawodzi na ulicy lament, a jej mąż jęczy jak przed skonaniem w kajdanach. Był on pewny, że jeżeli taki łotr napisze raport obwiniający go o zabójstwo carskiej duszy i w kajdanach odeszle

do sądu, to albo go tracić będą, albo co najmniej dziesięć lat w więzieniu pod śledztwem zostanie i nawet w niem umrzeć może.

Późno dopiero pod wieczór pan sprawnik niby zmiękczony prośbą żyda, gospodarza, pozwala najłaskawiej wpuścić do pokoju samą tylko żonę; a złajawszy i sfukawszy ją naprzód, wypowiedziawszy całą okropność zbrodni jej męża i całe następstwo kary, jaką wszyscy ponieść muszą za ubicie rozmyślne carskiej chrześcijańskiej duszy, udając, że ich chce bronić powiada:

— Z litości nad twojemi dziećmi i na prośby gospodarza chcę ci przyjść w pomoc, ale wiesz, że to kosztować mnie będzie i sam się na wielkie rzeczy narażę, daj więc 300 rubli, a i to nie wystarczy na opłacenie sądów — wszak już raporta poskładane, a ty wiesz nasze przysłowie: *„że pokłonem szuby nie zdzierżajesz"*.

Wymowne były jego argumenta i od ceny nałożonej nie odstępował, więc zapłakana żydówka pobiegła do domu i w kilka chwil 300 rubli już były w jego kieszeni — ma się rozumieć, takie rzeczy robią się bez świadka. Poczem przywoławszy sołtysów, głośno oswiadczył żydówce:

— A więc wypuszczę twego męża na twoje poręczenie, kiedy mówisz, że on jest niewinny, ale pamiętaj, że za niego odpowiadać będziesz i majątkiem i duszą i dziećmi twojemi. Sotskij przyprowadź mi z więzienia żyda bez kajdan!

W mgnieniu oka rozkaz został spełniony i żyd staje przed strasznym praw rossyjskich wykonawcą.

— No! uwolniłem cię na poręczenie żony twojej, ale sprawa jeszcze nie skończona i musisz mi się dobrze sprawić — pamiętaj! pa-mię-taj! — woła, grożąc palcem po nosie, bo jak nie, to kajdany gotowe, rozumiesz?...

— Ny, wszystkiego zrobić, co Najjaśniejszy Pan każe — aj waj! takiego dobrodzieja jakby nie służyć, czemu nie — i przebiegły żyd nadstawił ucha, jakby chciał się dowiedzieć, co mu robić każe.

— Oto — rzekł cichym głosem dygnitarz — zaniesiesz w nocy tego trupa do domu swego sąsiada i położysz na progu, rozumiesz?...

Skinął żyd głową na znak potwierdzenia, ucałował z udanem uszanowaniem rękę dygnitarza i spiesznie poszedł do domu.

Na drugi dzień rano jeszcze daleko do świtu, a czynny nasz urzędnik już na nogach w mundurze, pilne sprawy spać mu nie pozwolą, ważna sprawa o zabójstwo się toczy, więc znowu woła na sotskich i rozkazuje, aby mu w tej chwili dostawili żyda (owego sąsiada, któremu trupa podłożyć kazał, a był to żydek bogaty) i w kilka

minut wyćwiczone batem chłopy jak Herody, budzą zaspanego żyda, z łóżka ściągają i do urzędu, gdzie odbywał kadencyę dygnitarz, wiodą.

Nie opierał się żyd, bo to było daremnem, ale gdy wychodząc z domu, zobaczył na progu trupa, zemdlał. Więc go na rękach przynieśli. Dygnitarz go łaje, wymyśla, wspólnikiem zbrodni nazywa, w kajdany kuje i do więzienia wrzuca, a to wszystko tak się zrobiło i wprawnie i prędko, że zanim słońce weszło, żyd już był w więzieniu, a dygnitarz głośno opowiadał każdemu, że w nocy trafił na ślady wykrycia zbrodni zabójstwa.

Przez dzień cały podobna wczorajszej odbyła się scena, wieczorem znowu na prośby gospodarza pozwolił wpuścić do pokoju żonę obwinionego, wyrwał jej 200 rubli i uwięzionego uwolnił, nibyto na poręczenie żony, pod tym jednakże warunkiem, ażeby do trzeciego domu owego trupa zaniósł. I tak się stało.

Biedny dziad po śmierci aż trzy wizyty do żydów odprawił.

Czynny urzędnik od trzeciego żyda wziął tylko 100 rubli i jeszcze mu dogadywał, że łaskę zrobił, bo powinien wszystkich trzech łajdaków, rozbójników, jako szajkę zbrodniarzy w kandałach do kryminału posłać. Następnie sprowadził wszystkich szynkarzy, a było ich przeszło 30 i pod pozorem, że dziad u nich bywał i nieraz się upił, każdemu po 10 rubli kary zapłacić sobie kazał, a to stosownie do artykułu prawa, który zabrania szynkarzom dawania trunków aż do zupełnego stracenia rozumu, pod powyższą karą; i wszyscy zapłacili. Nareszcie zabrał się niby w końcu do właściwego śledztwa i wysłuchał postawionych przez żyda świadków. A dowiedziawszy się, że dziad umarł w skutek uduszenia się twardą i niedogotowaną kiełbasą, jako czynny i doświadczony policyant, domyślił się odrazu, że przyczyną śmierci dziada był rzeźnik, co kiełbasy robił, kazał ich więc wszystkich przywołać, a było ich więcej jak 20, a że żaden przyznać się nie chciał, że dziadowi kiełbasy sprzedał, więc wszystkich na karę skazał i każdy po 5 rubli zapłacić mu musiał i znowu do jego kieszeni 100 rubli wpadło.

Pomiędzy rzeźnikami było trzech katolików z Biłgoraja dawno już tu osiadłych: poczciwi, pracowici ale biedni, a że w każdej sprawie nawykli byli udawać się po radę do księdza, więc i tym razem przyszli, aby ich ratować. Nie warto było robić za nimi starania u łotra, a tem mniej sprawy tej procesem dochodzić, więc dałem im po 5 rubli, aby ich od napaści zasłonić. I ja więc mimowoli zapłaciłem kontrybucyę łotrowi i dlatego jako świadek naoczny, zarówno z innymi

obdarty, mam prawo opisać fakt, którego i dzisiaj żaden żyjący nie zaprzeczy tam człowiek.

Czwartego dopiero dnia po ukończeniu tego mozolnego śledztwa, odebrałem urzędowne pod pieczęcią pismo, że mogę pochować dziada, który przypadkową i niespodziewaną umarł śmiercią.

Takim to sposobem odbywają się pod rządem moskiewskim wszystkie śledztwa, chociażby one były najważniejszej treści. Nikt podobno z ludzi uczciwych nie uwierzyłby temu, bo trudno przypuścić, by coś podobnego działo się w powiecie, a władze wyższe nie wiedziały o tem. Ależ tak w samej rzeczy dzieje się zwykle i wyższe władze, wiedząc o tem dobrze, udają że nie wiedzą, bo taki łotr opłaca się we wszystkich biurach i kancelaryach, a nawet samemu gubernatorowi czy to wprost czy przez jego żonę umie i wie kiedy i jaki zrobić prezent. A im lepiej się opłaca, tem silniej go protegują i nowe, zyskowniejsze dają mu posady, a każda posada urzędowa, to patent na publiczny rozbój w narodzie. Zwykle tam przyjęta jest forma, że każdy niższy urzędnik kwituje swego naczelnika z odebranej pensyi, choć grosza nie bierze, a za to żywi się *bohom*, jak nazywają, z dochodów, to jest z kradzieży i bezkarnego obdzierania narodu.

Czasami udawało się pokrzywdzonej stronie i takiego łotra zachwycić, ale to bywało bardzo rzadko, a nadto trzeba się było ciągle już mieć na baczności, by w jego ręce nie popaść. Jedno takie za mego tam pobytu, przypominam sobie zdarzenie.

Ten sam stanowy, Rudoff, miał zwyczaj zapewne z humanitarnych pobudek, dawać złodziejom żydom urzędowe świadectwa na skradzione konie, które miały dowodzić, że je prawnie posiadają. Nie trzeba było robić wielkich zachodów, by od niego świadectwo uzyskać, dosyć było nawet w nocy zapukać do jego okna i przez otwarty lufcik podać mu 10 rs., powiedzieć dokładnie maść, wiek i ilość koni. Zawsze czynny, wierny i sumienny urzędnik, ruble schował, jak rzecz gorliwie, bo w nocy zapracowaną i przez ten sam lufcik żądane świadectwo podał. Ci mniemani handlarze, a w rzeczy samej najdowcipniejsi złodzieje koni, oddawna żyli z nim w spółce. Ale pomiędzy łotrami to i spółka utrzymać się nie może. Pewnego razu ten sam Rudoff miał obiecane od pewnego obywatela 100 rubli pod warunkiem, aby wyśledził skradzione konie. Nie potrzebował szukać i śledzić, bo o kradzieży wiedział, więc podał sposoby, naprowadził na ślady, że i konie i złodzieja schwytano i do niego jako do pierwszej dostawiono władzy. A wierny urzędnik pomimo znajomości i przyjaźni ze złodziejami, obdarł ich bez litości, tłómacząc się przed niemi, że obywatelowi szkodę

zwrócić musi, bo to jest figura znaczna i u gubernatora ma wielkie zachowanie. Wszystko to było kłamstwem, a on pieniądze do kieszeni schował.

Upłynęło już pół roku od owego zdarzenia, o którem on już zupełnie zapomniał, aliści podczas jednej ciemnej nocy, ktoś tajemniczo zapukał w jego okienko; poznał to dowcipny urzędnik: lufcik otworzył, 10 rubli zabrał i podał świadectwo w najbardziej szczegółowy sposób napisane, na cztery doskonałe swoje własne konie, które żydzi tej samej nocy u niego ukradli. Rano wielki się zrobił rumor, bo właśnie miał wyjeżdżać na ważne podobne innym śledztwo, a nie było czem. Nie przypuszczał jednakże, by to mogli zrobić nocni jego kamraci, chociaż rysopis koni, jaki napisał w świadectwie, bardzo był podobny do koni jego; ale sobie myślał, że za ich pośrednictwem odszuka prawdziwego złodzieja i już w duszy układał zemstę.

Właśnie w tym czasie wielki był w Bałcie jarmark, na który sprowadzano tysiące tabunowych koni z ukraińskich i chersońskich stepów, więc szukanie koni odłożył na później, będąc pewnym, że je zawsze odbierze, a może nawet na jarmarku znajdzie. Nakazał więc podwodę i w moment cztery chłopskie, ale dzielne konie równo z wiatrem niosły go po stepie do Bałty. Sto wiorst tylko było drogi, więc jeszcze w nocy tam stanął. Następnego dnia, kiedy jeszcze na miękkiej spoczywał pościeli, raportuje mu jego własny furman, że skradzione konie odszukał na publicznym targu. Uradowany urzędnik spieszy z furmanem na wskazane miejsce i w samej rzeczy poznaje swoje konie. Ale niestety poznaje zarazem, że są one w ręku tych samych żydów złodziei, którym w nocy świadectwo napisał. A więc na własne napisał je konie. Sam sobie nie wierzy, obchodzi, przypatruje się, bada — a w samej rzeczy namyśla się, co zrobić z tym fantem. Aż w końcu wyparł się swoich własnych koni.

Furman przekonywa go, zaklina się na duszę i ciało, że to konie jego.

— Wriosz, odpowiada, eto nie mai. — I wszelkimi sposobami usiłuje go koniecznie przekonać, że się grubo myli.

Gdy się tak pomiędzy sobą głośno sprzeczają, zbiera się około nich tłum ciekawych i przysłuchuje się ich rozmowie. Wkrótce całe miasto wiedziało i o sztuce żyda i o przezornym urzędniku i śmiech był niemały, bo łotr trafił na łotra. Chciał kupić własne konie od tegoż żyda, bo były dobre, ale złodziej zacenił dwa razy tyle co były warte, więc i od tego odstąpić musiał.

Nie było to jednakże bez pewnej dla powiatu korzyści, bo złodziej żyd, lękając się wpaść w jego ręce, wyniósł się aż za Berdyczew na granicę gubernii — i więcej nie wrócił; a od tego czasu rzadsze już były kradzieże koni, bo jeden główny złodziej ubył z powiatu.

POLSKA
W CHWILI SWEGO UPADKU

przez

Romualda Kaczyńskiego.

(Polska w czasie trzech rozbiorów 1772—1779. Studya do historyi ducha i obyczajów przez J. I. Kraszewskiego. Tom III 1791—1799. Poznań, nakładem I. Żupańskiego 1875).

(Ciąg dalszy).

Nadszedł wreszcie dzień 17go Czerwca, naznaczony na otwarcie sejmu. Dawnym zwyczajem idą wszyscy na pokoje króla, a ztamtąd do zamkowej kaplicy, aby wysłuchać mszy św. Po nabożeństwie, odprawionem przez Józefa Kossakowskiego, biskupa Inflantskiego, sejm rozpoczyna swe czynności.

Zaraz na wstępie obrad Sievers daje uczuć, że on tu panem położenia, żąda bowiem stanowczo, aby publiczności (arbitrów) na posiedzenia nie wpuszczano. To wymaganie ambasadora jak również pewne punkta w rocie przysięgi, którą miał składać obrany — raczej narzucony przez Sieversa — marszałek, Franciszek Bieliński, wywołują w Izbie ogromną wrzawę. Bieliński po dwakroć przyklęka do przysięgi — za każdym razem jednak powstające krzyki nie dają mu jej wykonać. Kilka godzin upływa jedynie na sporach i posiedzenie odroczone na dzień następny.

Taki początek wprawia ambasadora w gniew niesłychany. Zżyma się on i na króla i na Kossakowskich, podejrzywając tak pierwszego jak i drugich o wpływy na posłów. Decyduje się już nawet na usunięcie z przysięgi owych drażliwych wyrazów, co wywołały taką burzę między „zelantami“; to jednak ustępstwo ze strony Sieversa nie kładzie tamy sporom, powstałym na nowo w czasie drugiego posiedzenia, w chwili gdy przyszła na stół sprawa usunięcia

z sali arbitrów. Opór w Izbie objawia się coraz żywiej, przez co i ta druga sesya spełza na niczem.

Sievers bierze się wreszcie na sposób. Trzeciego dnia każe on sześciu „zelantów“, dopóki sprawa przysięgi załatwioną nie będzie, zatrzymać w ich własnem mieszkaniu, a jednocześnie otacza zamek batalionem strzelców — miasto zaś pułkiem jazdy. Takie wzięcie się do rzeczy odniosło na razie skutek pożądany dla ambasadora: Bieliński na trzeciem posiedzeniu mógł już wykonać przysięgę.

Usuniętą została jedna z przeszkód w obradowaniu: kwestya przysięgi, pozostawała jeszcze druga — znajdowanie się na galeryach arbitrów, których obecność onieśmielała zaprzedanych, pobudzała patryotów. Tego to właśnie obawiając się Sievers przez parę posiedzeń z rzędu usilnie domagał się usunięcia widzów, gdy zaś żądanie jego pozostaje bez skutku, ucieka się do siły i sam w towarzystwie dwóch jenerałów zajmuje się oczyszczeniem sali z publiczności.

Tak więc sejm powinienby teraz pójść po myśli ambasadora. Rozpoczyna tedy Bieliński czytanie not podanych przez posłów cesarzowej i króla pruskiego o ratyfikacyę ich zaborów. Na to Stanisław August odzywa się, że przystąpił do konfederacyi targowickiej z wyraźnem zastrzeżeniem zachowania całości Rzplitej, i że od tego odstąpić nie chce, owszem wnosi o podanie not do mocarstw, ażeby zwróciły zabrane prowincye. Znaczna część posłów popiera ten wniosek króla i dopomina się, aby noty zostały wręczone rezydentom znajdującym się w Grodnie. Poseł Karski woła: „Umrzeć trzeba lub ojczyznę ratować, a jeśli mamy ginąć, ginmyż ze czcią nie z hańbą“. Stosownie więc do tego życzenia większości Izby, odczytano na następnem posiedzeniu projekt odpowiedzi obu posłom. W notach tych — odwołując się na gwarancyę całości Rzplitej, daną przez trzy sąsiednie dwory, opierając się na dawnych traktatach — odmówiono wręcz uszczuplenia granic. Sejm przyjął tę odpowiedź.

Nie zważając na to, Sievers i Buchholz występują (24 Czerwca) z żądaniem wyznaczenia delegacyi dla zawarcia traktatów, w podobny sposób, jak to już miało miejsce przy pierwszym rozbiorze Rzplitej. Wtedy w Izbie zdania i głosy poczynają się krzyżować. Jedni wręcz sprzeciwiają się wyznaczeniu delegacyi, drudzy się na nią zgadzają. Powstaje ztąd spór i wrzawa. W czasie tego biskup Kossakowski stawia wniosek wyznaczenia delegacyi, jednak nie do zawierania traktatu, ale do narady i układów. Izba przystaje na to z zastrzeżeniem, ażeby z Rossyą umawiać się osobno, a dla delegatów wygotować instrukcyę.

Ta uchwała sejmu nie podobała się rezydentom Moskwy i Prus; występują też oni z notą wspólną, domagając się, aby ich nie rozdzielano. Izba silnie opiera się temu. Większa część obradujących, powodując się zdaniem Kossakowskich, objawia głośno, że woli raczej na przekór Prusom wiekuistą Unię z Rossyą, niż zgodzić się na nowy rozbiór Rzplitej. Sievers wobec tego znalazł się w położeniu nader drażliwem: z jednej strony nie mógł nie dopuścić takiego wniosku, z drugiej zaś obowiązkiem jego było iść ręka w rękę z Buchholzem, stosownie do traktatu zawartego między Rossyą a Prusami. Ten ostatni wzgląd każe mu bądź co bądź zmusić sejm do wyznaczenia delegacyi dla podpisania traktatów.

Chcąc to przyspieszyć, nakłada Sievers sekwestr na dochody króla oraz na dobra marszałka lit. Tyszkiewicza, gdy zaś to nie pomaga, rozkazuje znowu siedmiu posłów zatrzymać, po ich mieszkaniach i nie wpuszczać na posiedzenia. Despotyczny krok ambasadora wywołuje pomiędzy „zelantami“ tak wielkie oburzenie, że ten — spostrzegłszy iż się za daleko posunął — poleca uwolnić posłów. Ambasador jeszcze nie raz potem uciekał się do aresztowania posłów jako do jednego z środków postrachu, skoro jednak okazywał się on bezskutecznym, postanowił usłuchać rady Igelströma. Opasał więc miasto wojskiem jeszcze ściślej, porozstawiał pikiety kozackie po drogach, obsadził żołnierstwem majątek Tyszkiewicza, naostatek zagroził Izbie, że ją zatrzyma w sali, nie wypuszczając nikogo, dopóki nie zostanie wyznaczoną delegacya z pełną mocą do traktowania.

Tymczasem w Izbie wzięty pod obrady projekt instrukcyi dla delegatów, ułożony w myśl opozycyi, przeszedł przy sekretnem głosowaniu, ale z poprawkami poczynionemi stosownie do wniosków Kossakowskich. Nastąpiła teraz sprawa naznaczenia osób do delegacyi. Szło o to, kto miał mianować — król czy stany sejmujące? Wśród tych roztrząsań nadsyła Sievers nową notę naglącą, w której zapowiada, że jeżeli w połowie Lipca delegaci nie zostaną naznaczeni, on będzie zmuszonym „do usunięcia zapaleńców, burzycieli i nieprzyjaciół ojczyzny“.

Zastraszona tem Izba żąda wysłania do ambasadora deputacyi w osobie marszałka Bielińskiego; ten jednak, wypowiadając sejmowi posłuszeństwo, usuwa się od wkładanego nań obowiązku. Wtedy kanclerze posyłają Sieversowi (11 Lipca) notę, w której wstawiają się za posłami, za królem i Tyszkiewiczem. Przychodzi odpowiedź rezydenta Moskwy, przyrzekającego zdjąć sekwestr, jeżeli delegacya wyznaczoną zostanie nazajutrz. Poczynają się znowu długie a nada-

remne spory. Zabiera wreszcie głos Stanisław August. Ubolewając płaczliwie nad własnym losem, radzi on co rychlej wybrać delegacyę. Popiera go w tem Bieliński, życząc uledz przemocy. Na to odzywa się Gosławski, sandomierski poseł: — „Ginie ojczyzna, mało mamy do stracenia. Stójmy przy prawie“!

Stoinski (poseł lubelski) dodaje: — „Cóż mi mogą wydrzeć? Majątek i życie? Ojczyźnie winienem więcej, a dać jej więcej nie mogę, co mam — i życie poświęcę.... Niech trupem padnę, przysięgi nie złamię.... ojczyzny nie zdradzę — na złamanie praw nie dozwolę.“

Głos tych patryotów oddziałał prawie na całą Izbę; widząc to rossyjska partya, stara się na gwałt skłonić sejmujących do wyboru delegatów przez króla. Kossakowski poddaje zręcznie myśl, ażeby N. Pan sposobem rady podkreślił imiona, a Izba by je potwierdziła.

Izba zgodziła się na mianowanie przez króla, a ten wyznaczył osoby — według wskazówek ambasadora.

W skład delegacyi weszli albo znani Sieversowi ze swych sympatyj dla Moskwy, albo też przez niego płatni najemnicy. Mimo oporu posłów Kimbara, Karskiego i Szydłowskiego, przeszło mianowanie tych pożądanych dla Sieversa kandydatów.

Naznaczona delegacya rozpoczęła układy z Moskwą, i już 15 Lipca po raz pierwszy odzywa się Massalski, biskup wileński, zdając sprawę z traktowania z Sieversem. Odczytano projekt traktatu z Rossyą, przez który między innemi Rzplta zawierała z Rossyą wieczysty pokój, ustępowała krajów już przez nią zagarniętych; cesarzowa zaś ze swej strony zrzekała się na przyszłość wszelkich zaborów i pretensyj.

Sievers domagał się teraz nieograniczonego pełnomocnictwa dla delegatów (jak w r. 1773) i przyspieszenia końca układów.... w razie odmowy groził wysłaniem wojska na egzekucyę wojenną do ekonomij królewskich, do dóbr, mieszkań i wszelkich posiadłości członków sejmu — konfiskatą dóbr Rzpltej i t. p.

Rolę wznioskodawcy w duchu żądań ambasadora przyjął na siebie major wojsk rossyjskich Łobarzewski. Na posiedzeniu dnia 17 Lipca wystąpił on z projektem, ażeby pomnąc na niemoc kraju zdać się na łaskę i niełaskę Wielkiej Monarchini. Odzywa się na to Stanisław August, iż przystąpił do konfederacyi „na fundamencie deklaracyi Imperatorowej, że kraj nie będzie rozdzielony.“ Radził

król wreszcie starać się o ścisły aljans z Rossyą, czekać odpowiedzi dworów. Z tem kanclerze poszli do Sieversa.

Tymczasem w Izbie zdania się ważą: jedni przemawiają za poddaniem się przemocy, drudzy za niezłomnym oporem do ostatka. Kanclerze wracają z odpowiedzią ambasadora, że od wymagania tego odstąpić nie może, bo od dworu swego odebrał rozkazy i na żadną nie zgodzi się zwłokę. „Cała Izba, słysząc to, podniosła się oburzona do najwyższego stopnia.

— Czekajmy więc spełnienia groźby! — zaczęto wołać — gwałt dokonany przynajmniej nas usprawiedliwi! Zelanci wtórowali z zapałem: Gińmy! niech nas na Sybir wywożą! prowadź na Sybir!

Karski odgraża się, że pierwszemu kto na rozbiór pozwoli, pokaże jakiego losu godzien jest zdrajca... Niektórzy zwrócili się do króla — król świadczy, że sejm gwałtu doznaje.“

W czasie rozprawy o traktowaniu Kimbar (poseł upicki) woła:

— Traktowanie niepotrzebne! Dosyć jest spytać ambasadora co każe.... Gwałt zaczął i gwałt skończy.

„Do północy przeciągnęła się wrzawa i spory, a w końcu przeszedł wniosek Łobarzewskiego, upoważniający deputacyę do podpisania traktatu. — Stało się“!

W sam dzień urodzin wnuczki carowej, księżniczki Olgi, 22 Lipca, jak chciał Sievers, podpisano traktat z Rossyą. Baron Hindelhof, krewny ambasadora, zawiózł go natychmiast cesarzowej do Petersburga.

Dokonała się więc pierwsza czynność sejmu 1793 r. pozostawały układy z Prusami, które napotykać miały na daleko większe trudności, aniżeli traktat z Moskwą, gdyż prawie cała Izba — z wyjątkiem kilku klientów Buchholza, stawała murem przeciw ustąpieniu choćby piędzi ziemi na korzyść króla pruskiego. Żądano nawet noty do Buchholza, aby wojska z zajętych prowincyj ustąpiły.

Wobec takiej postawy sejmujących Sievers wystąpił mocniej, dopominając się, aby ta sama delegacya niezwłocznie przystąpiła do układów z Prusami.

„Zabawy tymczasem szły swoim trybem. D. 28 Lipca był obiad u p. regimentarza dla Sieversa, wieczorem bal i *assamble*. 1 Sierpnia fetował Puławski posłów, obywateli i mnogich oficerów rossyjskich — na Horodnicy. W chwili gdy nadjeżdżał Sievers, Ożarowski kasztelan wojnicki własną ręką zapala fajerwerk z cyfrą *J. S.* — przepych wielki, całe ogrody oświecone, wieczerza pod namiotami, toasty i okrzyki... Stoły coraz nowe zastawiają. Sievers raczył pierwszy

pójść poloneza z gospodynią... W kilka dni potem uczta u młodszego Zubowa, dam pełno, ministrowie wszyscy.... Na jednym z tych wieczorów w transparencie jaśnieją czułe wyrazy: „Wiwat Jakób Sievers, co przyniósł spokojność i rząd, a wolność narodowi polskiemu".

Pod naciskiem ambasadora przeszedł nareszcie po kilku dniach z wielką trudnością projekt traktatu z Prusami.

Naradzano się teraz w Izbie nad pełnomocnictwem dla delegatów. Opozycya stawiała ciągle opór, podnosząc na króla głosy o „zdrady pruskie". Andrzej Ciemniewski, poseł rożański, obraca się do króla; w poruszających wyrazach przebiega wszystkie klęski jego panowania, ostrzega go że potomność łzami oblewać będzie „niewinne jego popioły". „Królu! — rzekł w końcu — wszystkie dzieje panowania twojego na czarnych zapisane kartach; ale masz czas jeszcze zająć w nich kartę złotą: wzdrygnij się tylko od ściągnienia ręki do ukowania więzów na dzieci twoje" Zamknął: „Winieneś coś znakomitszego narodowi poświęcić, niż same traktatów rozbiorowych podpisy".

Nieprzygotowany na to Stanisław August, zebrawszy myśli obszernie, mówił sam w swojej obronie, a w mowie swojej przebiegł także cały ciąg panowania.

Po uciszeniu się opozycyi oznaczono w projekcie linię nowych granic od Prus; postanowiono przytem, skoro układy stały się nieuchronnemi, prosić Sieversa o pośrednictwo i wzięcie w nich udziału.

W czasie tego nadeszła ratyfikacya traktatu z Rossyą. Wielu się jej do ostatka sprzeciwiało. Szydłowski poseł wprost przeciwko niej mówił: „My przyzwyczajeni do podłości na sam odgłos postrachu oddajemy kraje nasze z obłudną nadzieją, że ocalimy resztę... Niech cnota przy nas zostanie, niech Europa wie, żeśmy nieustraszenie nie chcieli oddać ziomków swych podle cudzemu panowaniu".

Po długich rozprawach wśród wołań wrzawy i zamętu przyszło na posiedzeniu dnia 17 Sierpnia do głosowania i ratyfikacya głosami 67 przeciw 21 utrzymała się.

Nazajutrz była niedziela. Traktaty wymieniono w poniedziałek.

„Sievers przez litość poszedł do króla, ktory ledwie się trzymał na nogach, ten zobaczywszy go, zapytał z uśmiechem: — Czy on jest zadowolony i czy Cesarzowa zadowoloną będzie?

Zapewnił go o tem Sievers, dodawszy mentorską prawdziwie przestrogę. — Jeżeli WK. Mość i nadal będziesz spełniać jej wolę"!

Załatwiwszy sprawę ratyfikacyi traktatu z Moskwą, powróciła Izba do traktatu z Prusami. Ścierano się zażarcie, szczególniej o granicę, którą Prusacy posunąć chcieli nad umowę daleko.

„Biskupi Massalski, Skarszewski, Kossakowski, wiedząc jak bolesne na narodzie wrażenie uczyni zabranie Częstochowy z cudownym Matki Boskiej obrazem, czczonym jako *palladium* narodowe, obstali mocno, aby w razie zaboru miejsca wydano obraz i skarbiec. Pruski poseł uważał go za własność kościoła". Pisarze obcy, przesiąkli już na wskróś zasadami bezbożności, dziwili się nadzwyczaj, iż Polacy oddawali prowincye całe, a tak silnie stali przy posiadaniu jednego wizerunku cudownego.

Nie pomógł jednak nic opór partyotów. Zbliżała się chwila stanowcza, a groźna podpisania traktatu z Prusami. 26go Sierpnia przedstawiono sejmowi protokół z czynności delegacyi, układającej się z Buchholzem. Na następnem posiedzeniu Podhorski poseł kupiony przez rezydenta pruskiego „gracz z rzemiosła, człek nędzny i bez wstydu" podał wniosek o wygotowanie traktatu. Izba przyjęła go z największem obrzydzeniem — zaczęto wołać zewsząd, zdrajca! zdrajca!

Godaczewski krzyknął — rozsiekać!

Podobne sceny powtarzały się przez parę posiedzeń z rzędu. Ile razy Podhorski próbował czytać swój wniosek, wtedy powstawała w Izbie tak wielka wrzawa — takie oburzenie pomiędzy zelantami, iż wnioskodawca nietylko musiał chować swój wniosek, ale sam nawet uciekać z sali, gdyż mu groziło niebezpieczeństwo.

Wreszcie w skutek groźb Sieversa zgodzono się na czytanie nieszczęsnego wniosku, mimo krzyku zelantów, pomimo popychania marszałków, łajania i groźb śmierci przeciw sekretarzowi... Czytania nikt nie słuchał i nie słyszał taka panowała wrzawa... „Uprzedzając Izbę Drewnowski i posłowie inflantscy okrzyknęli, że go biorą *ad liberandum*".

Sievers widząc, że rozpaczliwej opozycyi nie złamie inaczej jak siłą i przemocą, postanowił uciec się do nich. Aby zaś nadać temu jakiś pozór legalny rozpuścił umyślnie wieść, iż odkryto spisek, uknuty na życie króla. Tem się więc zasłaniając, w czasie posiedzenia w d. 2gim Września otacza miasto wojskiem, osadza zamek dokoła, nikomu z mieszkańców z domu wyjść nie pozwala bez biletu komendanta. Dwa bataliony grenadyerów z czterema działami, przy których stali kanonierowie z zapalonemi lontami uszykowano w podwórzu zamkowem... Na korytarzach gęste i silne rozłożono szyldwachy... Pikieta z dwunastu oficerów rossyjskich złożona z jenerałem

Rautenfeldem weszła do Izby sejmowej i rozłożyła się za ławkami poselskiemi, a tuż pod oknami stanęli grenadyerowie.

Posłów wpuszczano wszystkich, ale wychodzić nikomu nie było wolno. Gdy król wszedł podniosły się głosy. Domagano się usunięcia wojska z sali obrad. Odwołano się do króla, aby oświadczył, że ufa narodowi, iż się nikt na niego nie targnie. Stanisław August odpowiada, że wszystko to stało się bez jego woli i wiedzy. Uchwalono wreszcie wysłać deputacyę do Sieversa, aby wojsko odstąpiło. Izba przez dwie godziny zostawała *in passivitate*, czekając na ich powrót. Zgodził się wreszcie Sievers, ażeby oficerowie wyszli z sali, ale wojsko miało otaczać zamek dokoła, aż do podpisania traktatu z Prusami.

Przystąpiono teraz do obradowania. Wniosek Podhorskiego stanowczo odrzucony; przyjęto zaś inny Szydłowskiego, w którym się mieścił zarazem manifest przeciw gwałtowi, z zaleceniem aby deputacya zastrzegła gwarancyę cesarzowej na zwrot obrazu N. Panny Częstochowskiej, zachowanie praw i posiadłości prymasa itp.

Po długich sporach o wniosek Szydłowskiego, Izba z trudnością wielką, pod naciskiem zaprzedanych, napróżno starając się oprzeć — musiała go przyjąć. Naznaczoną tedy została delegacya do traktowania, ale pod pewnemi warunkami.

Zawiadomiony o tem Buchholz, nie upoważniony przez dwór swój do poczynienia jakichkolwiek ustępstw, wysłał do Berlina z zapytaniem, jak ma sobie w tym razie postąpić.

Tymczasem, zanim nadejdzie odpowiedź z Berlina, sejm rozstrząsa sprawy podrzędnej wagi. Jedną z ważniejszych bardziej jest urzędowne rozwiązanie konfederacyi targowickiej, która jak się wyrażał akt: „w najzbawienniejszych dla ojczyzny zamiarach była zawiązaną“. W miejsce tej rozwiązanej utworzoną została nowa konfederacya grodzieńska, której akt podpisali wszyscy wraz z królem.

Nadeszła wreszcie z Berlina odpowiedź, ale zawierająca odmowę zmiany warunków traktatu, jakiej się Polska domagała. Znowu Sievers i Buchholz podali wspólną notę.

Izba stanowczo odmawia przyjęcia takiego traktatu, jakiego pragnie Buchholz.

Wtedy rezydent pruski grozi zajęciem reszty kraju — Sievers żołnierzami i zamknięciem posłów na zamku. Groźby ambasadora rossyjskiego zamieniają się wkrótce w czyn. Każe on Rautenfeldowi czterech najzapaleńszych posłów: Krasnodębskiego, Szydłowskiego, Mikorskiego i Skarżyńskiego, uwięzić i wywieść z Grodna. Przez cały dzień trzymani byli pod strażą, w nocy dopiero ich wywieziono.

„Pora już była chłodna, Krasnodębski nie miał nic oprócz płaszcza; zobaczywszy to oficer życzył mu, aby sobie futro kupił.

— Na Syberyi tańsze — rzekł Krasnodębski.

Oficer mu odpowiedział:

— Ale ja was na Sybir nie wiozę, tylko do domu, lub gdzie sobie życzycie.

Zmiłujże się — odparł wesoło poseł — wieź mnię do Włoch, tam ciepło i futra nie będę potrzebował kupować“...

Nazajutrz zrana gruchnęła po mieście wiadomość o aresztowaniu czterech zelantów. Ulice też i zamek wcale niezwyczajnie tego dnia wyglądały. „Dwa bataliony grenadyerów stały znowu przy zamku, naprzeciw bramy wymierzone były cztery działa — kanonierowie przy nich stali z zapalonemi lontami“.

Zaczęło się posiedzenie.

Skoro król wszedł, Bieliński zawołał: — Sesya zagajona!

— Nie zagajona! odpowiedziano mu wrzawliwie. Nie zagajona dopóki czterej posłowie uwolnieni nie będą. Posypały się protestacye. Hałas i wzburzenie trwały przez parę godzin. Uchwalono wysłać deputacyę do Sieversa. Wysłannicy wrócili dopiero o dziewiątej wieczorem, przynosząc z sobą własnoręczną notę ambasadora. Sekretarz zaczął ją czytać.... „Zaledwie doszedł do miejsca, gdzie była mowa o traktacie z Prusami — oponenci dalej czytać nie dozwolili“. Powstają znowu krzyki z powodu wywiezienia posłów. Kimbar woła: „Jeżeli w czem zgrzeszyli nasi posłowie, mamy prawo na przypadek przekroczenia przepisane, mamy sąd... Lecz reprezentanci narodu, obok prawa, obok najwyższej narodowej władzy, aby obcej podlegali egzekucyi, to bez spodlenia narodu stać się nie może. Nie ustąpię, aż powróceni będą“.

Kimbara popierają inni, król więc prosi kanclerzów, aby raz jeszcze jechali do ambasadora; wraz z kanclerzami udali się na Horodnicę i czterej posłowie.

Izba w milczeniu oczekiwała do północy, około dwunastej wrócili wysłani, przynosząc odpowiedź Sieversa, iż gdyby nawet z Petersburga odebrał rozkaz uwolnienia, nie spełniłby tego tłumacząc się koniecznością; co więcej groził, iż jeśliby projekt traktatu nie został przyjęty, Rautenfeld ma na przypadek wydane rozkazy.

Mimo tej groźby opozycya nie pozwala czytać projektu, Kimbar i Bogucki oświadczają, iż sesya nie jest zagajoną i zagaić jej nie dadzą — jest więc *in passivitate*. „Marszałek każe czytać, wrzawa

nie dopuszcza. Wtem Raczyński, poseł sandomierski wśrod tego sporu zabrał głos.

— Zwracając mowę swoją do tej Izby, widzę ją *in passivitate*, patrzę na senat, na osobę WK. Mości, na całe posłów zgromadzenie, jak na niewolników. Jednego tu tylko jenerała russkiego Rautenfelda znajduję posiadającego *activitatem*.

Wychodząc z tego założenia i szukając jakiegoś środka Raczyński radził zaprotestować, ogłosić deklaracyę o gwałtach i nie uciekając się ani do *turnum*, ani do jednomyślności zamknąć się w absolutnem milczeniu. Niech projekt czytają, milczenie nasze będzie wymowniejsze niż bezmyślna opozycya. Będzie ono najlepszym tłumaczem uczuć naszych i położenia".

Myśl tę pochwycono, poparł ją Ankwicz. Nastąpiło głuche milczenie. Naprożno Rautenfeld groził, krzyczał, próżno straszył bagnetami grenadyerów swoich — milczenia nic przerwać nie zdołało. Nieprzygotowany na to jenerał pobiegł do ambasadora; powrócił wreszcie z nową grożbą: że nikogo nie wypuści, że noc na słomie przepędzić wszyscy będą musieli, że upoważniony do wszelkiego gwałtu.

Groźby te przyjęto także milczeniem. Czytano deklaracyę Ankwicza, wyliczającą gwałty, tłumaczącą położenie i konieczność ulegnięcia przemocy. I po tej cisza nieprzerwana trwała.

Korzystając z niej sekretarz odczytał wniosek, upoważniający delegacyę do podpisania traktatu z Prusami.

„Milczenie... Zegar wybił trzecią po północy... Posłowie siedzieli jak posągi, nikt nie rzekł słowa. Rautenfeld zmięszany zbliżył się do króla, prosząc, aby zwykłym trybem projekt oddał pod głosowanie.

— Nie mam władzy zmuszenia posłów, aby przerwali milczenie — odparł król sucho".

Zniecierpliwiony Rautenfeld wypada po siepaków swoich, gdy Bieliński pospiesznie, jednym tchem prawie powtórzył trzykrotnie pytanie: czy sejm przyzwala na podpis traktatu z Prusami. Milczenie poczytano za jednomyślną zgodę. Rautenfeld porwał za rękę królewską i pociągnął imię jego ołówkiem na akcie.

To „nieme" posiedzenie (25 Września) zamknął król wśród grobowej ciszy o godzinie w pół do czwartej rano.

Znaczna liczba posłów zaniosła do akt grodzkich manifest przeciw popełnionemu nad Izbą gwałtowi. Była to jednak bezsilna protestacya.

Traktat tym sposobem zdobyty, powiózł teraz do Petersburga podpułkownik hr. Morelli, brat ulubionej śpiewaczki Sieversa hrabiny Camelli.

Sejm trwał jeszcze po tem posiedzeniu. Uchwały teraz szły szybkim krokiem jedna po drugiej. Ważniejszemi z nich były: zawarcie aliansu z Rossyą, a raczej poddanie się jej zupełne — Zniesienie sancitów konfederacyi targowickiej i wreszcie ustawa nowej formy rządu dla resztek Rzplitej polskiej, ustawa którą bardzo gorliwie zajmował się Sievers, przywiązując do niej wielką wagę i przypisując sobie pewną zasługę z tego. Ostatnie sprawy prywatne przyjmowano już *en bloc*.

Przed samem zamknięciem sejmu odezwał się jeszcze Ciemniewski:

„Już dochodzi godzina, co urzędowaniu naszemu zakreśla koniec, już zamykamy tę okropną dla Polski epokę, od której narody zniszczenie naszej ojczyzny, a my i potomkowie dni łez i nieszczęść liczyć możemy... Zostawione nam jedynie nędza, łzy, rozpacz"...

Ostatnie posiedzenie (24 Listopada), trwało przez noc całą do 9tej z rana. Ucałowano rękę pańską i sejm i król poszli do kaplicy na odśpiewanie *Te Deum*. Łkania sejmujących przy pożegnaniu poruszyły do łez samychże oprawców.

„Świadczą wszyscy, że sejm się rozszedł smutno, ponuro ze wstydem i upokorzeniem. Król przez te kilka miesięcy zestarzał nagle, zbladł, oczy mu zapadły — obudzał swą powierzchownością litość nawet w tych, co mu wyrzuty czynili".

Tak się zakończył ostatni sejm polskiej Rzplitej! (D. n.)

PRZEGLĄD NAUKOWO-LITERACKI

i

Notatki bibliograficzne.

*Monsigneur Miecislas Halka Comte Ledóchowski, Cardinal Archeveque de Gnesen et Posen, par M*** Bruxelles, H. Goemare Libraire editeur, 1875.*

Niema zwykle nic niesmaczniejszego jak panegiryki żyjących osób, nawet gdy te wybitniejszą rolę w dziejach świata odgrywają, należą poniekąd do historyi i powszechną na siebie zwracają uwagę. Z tem tedy uprzedzeniem

braliśmy do ręki nową biografią polskiego Prymasa i tem większą przyznajemy zasługę autorowi, który rzeczywiście wybornie potrafił wywiązać się ze swego zadania, tak skwapliwem zebraniem dokumentów jak starannem zestawieniem wszystkich rysów i szczegółów, które kiedyś posłużą do odtworzenia tej promiennej postaci godnego następcy Śgo Wojciecha. W ostatnich latach pojawiły się z kolei w różnych językach biografie kardynała Ledóchowskiego. Autor niniejszego dzieła rozszerzył ich zakrój, uzupełnił szacownemi materyałami, a nareszcie użył języka francuskiego, najbardziej upowszechnionego obecnie, w tej zapewne myśli, tkwiącej na dnie każdego polskiego serca: żeby też siostra nasza Francya poznała raz więcej ucisk nasz i bohaterów naszych, żeby świat cały dał się zbudzić ze snu obojętnego materyalizmu, widokiem tak wielkich cnót i tak krzyczącej niesprawiedliwości... Atoli niema dziś komu upominać się o krzywdy nasze, o krzywdy Kościoła Bożego: odkąd Francyi zabrakło, zimno się w całej Europie zrobiło, mawiał jeden z naszych najznakomitszych mężów, przedwcześnie do grobu zstępując. Chłód ten my dziś czujemy; wieje on zarówno z północy i z Marchii Branderburgskiej, wyziębia uczucia ludzkości, sprawiedliwości i prawa, zaciera sumienie w rządzących, ostudza miłość w sercach... Jak był wiek złoty, peryody żelazne w dziejach, możnaby dzisiejsze czasy nazwać epoką lodu, bo zaiste pod wielu względami znajdujemy się jakoby w tem ostatniem Dantejskiem kole, ścieśnionem zewsząd lodowiskami, gdzie wszechwładnie panuje:

Lo imperator del doloroso regno.

Tak zimno, tak smutno, tak ciemno naokoł, że tylko od Kościoła Bożego płynie ciepło ożywcze i tylko na łonie jego macierzyńskiem rozgrzać się i pocieszyć można... Takie ciepło wieje i z tej księgi, napisanej z wielką serdecznością i wdziękiem, a do tego z sumienną dobrą wolą. Może pióro trochę miękkie nie zawsze podołało doniosłości opisywanych faktów — może styl hartowniejszy byłby nieraz pożądanym. Nie mniej należy oddać sprawiedliwość niepospolitym zaletom biografii, która w jedną całość ujmuje rozsypane szczegóły i rysy żywota, na jaki zbliska patrzeć nam przyszło, budując się i radując, że nam w dzień ucisku Pan podobnego zesłał pasterza.

Autor w sposób nader wdzięczny maluje nam dziecinne lata dzisiejszego kardynała, staropolski obyczaj jego rodu, w którym starcy i sędziwe matrony cofać się zwykły pod koniec żywota w ustronie klasztorne, ażeby tam modlitwą i dobremi uczynkami sposobić się do szczęśliwej śmierci *). Dalej pięknie dotyka rozwijającego się wcześnie powołania, opisuje pierwsze kroki na drodze życia duchownego, pobyt w Rzymie, ćwiczenia w miłosierdziu chrześcijańskiem, wstąpienie w zawód dyplomatyczny itd. Tutaj dwa głównie rysy podnieść pragniemy. Raz odwagę z jaką młody Monsignor w Lizbonie przechadzał się w kapłańskich szatach, wbrew obyczajom miejscowym, przez co dał przykład stanowczy duchownym portugalskim noszenia rewerendy, a powtóre jego ścisłe stosunki z matką Makryną, męczennicą Unii, która dlań macierzyńskie chowała uczucia i w samej koincedencyi imion Mieczysława i Mieczysławskiej upatrywała ze zwykłą prostotą pewne Opatrznościowe powinowactwo. Kto wypowie ile jej modlitwy wpłynęły na wewnętrzne uświęcenie i podniesienie młodego

*) Podamy później w streszczeniu te ciekawe z tego dzieła ustępy.

kapłana? Autor z nadzwyczajną delikatnością i jasnem zrozumieniem chrześcijańskiej nauki „o świętych obcowaniu“ pięknie na tem miejscu pisze:

„We wszystkich żywotach ŚŚ. Pańskich głównie zaś w żywotach mężów apostolskich widzimy poczet dusz wybranych, które się za nich i dla nich poświęcają, modlitwami, łzami i ofiarą wypraszając im owe nadprzyrodzone łaski, które ich do tak wysokiej podnoszą doskonałości. Zasługi tych dusz ukrytych ludzkie nie dopatrzy oko, dopiero w dniu ostatecznym zajaśnieją w całym blasku i przyjdzie nam podziwiać w pokornych i nieznanych duszyczkach iście apostolskie trofea. Oby naszemu umiłowanemu pasterzowi, nigdy na podobnych duszach, ofiarnych i modlących się nieustannie nie zabrakło w ciągu jego ziemskiej pielgrzymki“!

Ksiądz Prymas znał dobrze całą wartość, podobnej pomocy i pośrednictwa z niebem; jakoż zaledwie objął stolicę Poznańską, sprowadził do swej dyecezyi corki św. Teresy, któreby na wyżynach Karmelu nie przestawały mu wypraszać owych łask światła i mocy tyle potrzebnych dusz-pasterzowi.

W ślad za apostolską wędrówką ks. Ledóchowskiego, autor prowadzi nas do Lizbony, Madrytu, do Nowej Grenady i Bruxelli. Opowiadanie okraszonem tu jest raz po raz przytoczeniami słów samegoż ks. Ledóchowskiego, który bliższym i poufałym chętnie udzielał szczegółów z swej przeszłości. Dalej autor opisuje cały przebieg elekcyi kapitulnych, przybycia ks. Prymasa do kraju, a z tą chwilą od razu poznajesz naocznego tych wypadków świadka, tak się tok opowiadania rozgrzewa i ożywia, tak widocznie autor obrazy swoje wysnuwa z życia, z przesuwających się pod jego oczyma wypadków, tak nareszcie pełnemi rękoma czerpie, w dokumentach służących do rozjaśnienia i uzupełnienia przedmiotu jaki traktuje. Piękny artykuł hr. Stan. Tarnowskiego z Przeglądu Polskiego doczekał się tu licznych i zaszczytnych cytat. Najbardziej zajmującym ustępem jest bezwątpienia szczegółowy opis wizyt pasterskich, tudzież błogiej działalności ks. arcybiskupa wśród duchowieństwa swych dyecezyj, które w tak krótkim czasie potrafił doskonale przysposobić na obecne trudności i prześladowanie. Stanowisko zajęte dziś nieomal bez żadnych wyjątków przez kapłanów Wielkopolskich najpiękniejsze daje świadectwo o tych siedmioletnich rządach, które tak dalece potrafiły uzbroić i uduchownić szeregi zacnych zapaśników w dzisiejszej walce.

Odsyłamy czytelników do samej książki, z której pobieżne sprawozdanie nie zdoła wycisnąć mnóstwa ciekawych szczegółów i objaśnień. Mamy tu między innymi korespondencyę ks. Prymasa z Rzymu, malującą dosadnie stanowisko jakie od razu na Soborze zajął. Czytamy szeroki opis podróży Wersalskiej i wytłumaczenie pobudek tejże, tak niegodziwie i z tak widoczną, złą wiarą zapoznanych przez liberalną prasę naszą. Wybija godzina walki, patrzymy na jej przebieg, podziwiamy konsekwencyę i roztropność każdego kroku każdego postanowienia, każdej odpowiedzi arcybiskupa Gnieźnieńsko-Poznańskiego. Cieszymy się z autorem tą miłością wiernych, którzy w miarę rosnącego niebezpieczeństwa coraz tkliwsze jej oddają świadectwa. Widzimy nareszcie gwałty następujące po gwałtach, aż w końcu oprawcy porywają w nocy niewinną ofiarę „gotową dać duszę swą, za owce swoje“, pędzą ku Ostrowu, dla wtrącenia jej do tej kaźni, gdzie po dziś dzień zostaje. Tutaj autor pozwala nam wniknąć w tajniki więzienne, rozświeca przed oczyma naszemi ciemnice niewoli i maluje nam to życie ukryte, cierpiące i rozmodlone chwalebnego

wyznawcy Chrystusowego. Dowiadujemy się jakim trybem jakoby pustelniczym i zakonnym uchodzą tu dni samotne więźnia, a przez to samo odgadujemy tajemnicę nie jednej łaski umocnienia i światła, spływającej na osierocone dyecezye, które posiadają dziś na swej ziemi nietylko Ofiarnika, ale i Ofiarę iście Ablową, której modlitwy i cierpienia podnoszą się w niebo błagając o zmiłowanie dla owieczek swoich. Z za tych krat, z tych kajdan cierpliwie i słodko dla imienia Pańskiego ponoszonych, płynie dziś przykład i pokrzepienie, nie dziw tedy, że tak mało zaznaczamy upadków, tak nadprzyrodzoną podziwiamy moc i siłę.

Autor tej pięknej książki na kilku miejscach poświęcił słowa wymownego uznania dla osoby ks. prałata Koźmiana, który jak dawniej swą niespożytą czynnością głównie popierał błogą działalność księdza arcybiskupa. w kraju naszym, tak dziś powołanym został do udziału w tych chwalebnych pętach, które jakkolwiek obfitując w zasługi osobiste, tak boleśnie wiernym dają uczuć ich coraz to większe osierocenie. Żywa wiara, jasne pojęcie doniosłości i znaczenia prześladowania w Kościele Bożym, nareszcie szczytne zrozumienie idei męczeństwa, w duchu prawdziwie chrześcijańskim, oto główne cechy tej książki, oto co wionie z każdej nieomal karty. A tu niech mi będzie wolno dodać słów parę. Niektóre pisma z oburzeniem przyjęły samo pobieżne przypuszczenie, że wracamy się w czasy dawnych prześladowań, że tą drogą dochodzi się zwykle do krwawego ucisku i męczeństwa. Zaczepiono nawet i pismo nasze, za to że jeden z korrespondentów *Przeglądu* napomknął o prawdopodobieństwie rozlewu krwi męczeńskiej, z której dopiero zwykle podnosi się przedświt lepszych czasów i następuje pokój Boży. *Sine sanguinis emissione non fit remissio.* Może tym razem rzeczy odmiennym pójdą torem, może wyjątkowe prześladowanie wyjątkowo też ograniczy się na moralnem nękaniu i roztrąci się o siłę ducha, zanim do ostatecznych przyjdzie ciosów... Nie przesądzamy biegu wypadków, ani śmiemy przyszłości odgadnąć. To pewna że owa idea męczeńska, tak zrosła z duszami prawdziwie chrześcijańskiemi, nurtuje dziś w sercach wyznawców naszych i z najpoważniejszych odzywa się źródeł. Po kilkakroć spotykamy się z tą myślą w ciągu biografii kardynała Ledóchowskiego. Dowiadujemy się, że pobożna matka nieraz synowi powtarzała: jako z całego serca dlań pragnie męczeńskiej korony. Dostojny więzień Ostrowski po dziś dzień przeczuwa, że się obecna walka rozlaniem krwi męczeńskiej rozstrzygnie: „Nie godzien jestem, aby na mnie ten zaszczyt przypadł powtarza często, ale poczytałbym to sobie za największe szczęście". Gdy nadeszła do Ostrowa wiadomość o wysokiej godności, jaką Ojciec św. pragnął wyznawcę ozdobić, dostojny więzień zrazu jej nie dowierzał, powtarzając: „Inna bo purpura mnie czeka, inna mi jest przeznaczoną", przez co rozumiał krew męczeńską, którą dla Chrystusa do ostatniej kropli wylać pragnie. To co arcypasterz przeczuwa dla siebie, wymowne znajduje echo w sercach tak duchownych jak wiernych, którzy wszyscy starają się mieć przepasane biodra i pochodnie gorejące trzymać w ręku, ażeby dzień Pański nie zaskoczył ich jako złodziej. Przytoczmy jeszcze słowa płynące z poważnego źródła, a które tymże samym tchną duchem. Jest to piękne zakończenie drugiej części dzieła o bezżeństwie kapłańskiem przez ks. biskupa Janiszewskiego: „Dzisiejsze prześladowanie, powiada dostojny autor, chociaż krwi chrześcijańskiej nie przelewa jeszcze, do czego i prześladowania pogańskie dochodziły stopniowo, jest jednak nie mniej okrutne, a z wielu względów dokuczliwsze, gdyż organizacye państw nowoczesnych dostarczają rządom tysiące środków, cesarstwu Rzymskiemu całkiem nieznanych, któremi nietylko niweczą, ale zatruwają życie religijne. Poruszono wszystkie sprężyny, jakiemi tylko na słabości ludzkie działać można, aby dzieło Boskie jedności Kościoła zrujnować, zetrzeć z nas to właśnie piętno, po którem świat ma poznać, żeśmy uczniami Chrystusa Pana. Biskupów podżegano przeciw Głowie Kościoła, duchownych przeciw biskupom, a wiernych przeciw duchownym. Jakiż tych knowań i zamachów skutek? Nigdy biskupi tak silnie nie stanęli przy opoce Piotrowej, jak w chwili tego niebezpieczeństwa; nigdy kapłani tak statecznie nie dochowywali swej wierności biskupom, jak teraz; nigdy wierni nie okazali więcej przywiązania swoim pasterzom, jak kiedy ich widzą prześladowanych dla ratowania najdroższych skarbów ludzkości. Wielki, wspaniały to widok tej jedności, spojonej nieśmiertelnym węzłem wspólności wiary, nadziei i miłości: Bramy piekielne nie przezwyciężą go. Nie chełpimy się, że to naszem dziełem, bo to widoczny palec Boży, pierwszy promyk jutrzenki zapowiadającej wschód słońca miłosierdzia. Naszą rzeczą: modlitwa o dar wytrwałości".

Zapewne, tudzież modlitwa za tych, którzy tej wytrwałości najpiękniejsze nam dają przykłady, do czego niniejsza książka nie mało pobudzić może. Polecamy ją gorąco tym wszystkim, którzy nie ograniczając się na bieżących doniesieniach dziennikarskich pragną poznać gruntowniej i objąć całość tego prześladowania, które wokoło dostojnej osoby Prymasa Polski się skupia.

Dr. N.

* * *

Titusa Macciusza Plauta Menechmy (Bliźniaki) przekładał i objaśnił ks. A. Kantecki, filozofii doktor. W Poznaniu 1875, str. XXXII i 72 (164).

Rzymianie, o czem wiadomo powszechnie, podobnie w innych rodzajach literatury, jak mianowicie w sztuce dramatycznej z braku samodzielnej twórczości, pozostali w tyle za zwyciężonymi przez siebie orężem Grekami i zamiast kusić się o oryginalność, szli wiernie w ich ślady, przyswajając sobie bez skrupułu to, co tamci zdobyli krwawym trudem. Terencyusz i Plaut nie łamali też sobie głów nad obmyśleniem nowego tematu, lecz brali go zwykle ryczałtem z dramatu greckiego, w czem tem mniej zasługują na potępienie, że z nich w takiż sam sposób korzystali koryfeusze nowoczesnej sztuki dramatycznej Molière i Szekspir...

Już sam ten fakt, że Plaut dostarczył materyału dwom tak wielkim pisarzom, dowodzi, że jest niepospolitym komedyopisarzem i może posłużyć za wskazówkę, że warto się z nim zapoznać. Bliższe rozpatrzenie się w jego utworach nie sprawia w tym względzie zawodu, lecz raczej tem lepiej dlań usposabia czytelnika. Lektura taka nietylko jest przyjemną, ale i wysoce pożyteczną: nietylko że cię wprawi w przewyborny humor i do serdecznego śmiechu pobudzi, nietylko że powiększy twój repertoar klasycznej literatury ale nadto lepsze ci da wyobrażenie o towarzyskiem życiu Rzymian, aniżeli przestudyowanie jakiej ciężkiej i suchej rozprawy o starożytnościach rzymskich, przy której dziesięć razy zaśniesz, nim ją ukończysz.

Wprawdzie Plaut ma jedną i to niemałą wadę: oto stosownie do pojęć wieku pełno w nim tłustych i cynicznych ustępów, ale na szczęście tak M e n e c h m y, jak przełożone przez ś. p. Wolframa *Jeńcy i Trojak* wolne są od tej skazy. Przekład Cieklińskiego z XVII wieku jest udatny, choć zbyt swobodny; wcale dobrem jest tłómaczenie Wolframa, lubo tłumacz nie bada krytycznie tekstu, co rzecz ważna i czasem podaje niezupełnie ścisłe w przypiskach uwagi. Do powyższych przybył świeżo przekład *Menechmów*, dokonany przez znanego już czytelnikom *Przeglądu* młodego pisarzą, ks. Dra Kanteckiego, której to pracy słów kilka właśnie poświęcić zamierzamy.

Komedya ta pełna życia i werwy, chociaż nie odpowiadająca warunkom, jakich się po dzisiejszym dramaturgu wymaga, bo pozbawiona głębszej charakterystyki wprowadzonych do niej figur, z fabułą na grze ślepej przypadkowości opartą, celuje wszakże taką żywością akcyi, taką obfitością prawdziwie humorystycznych momentów i ruchliwością całej maszyneryi, że dziś jeszcze, gdy najwięcej ruch a życie na deskach teatralnych popłacają, mogłaby być z wielkiem powodzeniem wprowadzoną na scenę. Sama faktura sztuki, choć nie dorównywająca wykwintnym płodom nowoczesnej szkoły francuzkiej, wcale zręczna, zdradza rękę zdolną i wprawną. Aby czytelnikom naszym dać pojęcie o sposobie pisania *Plauta*, przytaczamy wyjątek ze sceny, gdy na rozkaz starca niewolnicy zabierają się do Menechma I, którego w skutek łudzącego podobieństwa biorą za bliźniego jego brata, chcąc go zawieść do domu czubków jako waryata:

MENECHM.

Przebóg! Co to znaczy?
Po co ci ludzie biegną do mnie? Co wy chcecie?
Czego szukacie? Cóż mnie otaczacie kołem?
(*Niewolnicy biorą go za ramiona*)
Dokąd mnie porywacie? Gdzie niesiecie? Gwałtu!
Ratujcie! Epidamnu cni obywatele!
Puszczajcie mnie, wy łotry!

MESSENION.

Bogi nieśmiertelne!
Co ja widzę? Czy wzrok mnie zawodzi? Ha! jacyś
Urwisze mego Pana na ramionach niosą.

MENECHM.

Czyż nikt się nie odważy przyjść mi w pomoc?

MESSENION.

Panie!
Ja ci na pomoc spieszę. O hańbo nad hańby!
Mieszkańcy Epidamnu! Smiecież pana mego,
W o l n e g o m ę ż a w m i e ś c i e s p o k o j n e m, w dzień b i a ł y
Na u l i c y napadać!

MENECHM.

Ktośkolwiek jest, proszęć,
Broń mnie i nie pozwalaj tak straszliwie krzywdzić.

MESSENION.

Przyjdęć w pomoc, mój panie, i bronić cię będę,
Nigdy w życiu nie ścierpię, byś miał zginąć, raczej
Niech ja ginę! Wyrwijże temu oko, Panie,
Co cię trzyma za plecy! Już ja reszcie gęby
Pobrazduję i pięścią ponaznaczam. Łotry!
Na wasze go nieszczęście napadliście.

MENECHM.

Już ja
Swego trzymam za oko!

MESSENION.

Wyrwij mu ślep Panie!

NIEWOLNICY.

Zmiłujcie się!

MESSENION (*bijąc*).

A puszczaj!

MENECHM.

Nie waż się mnie ruszyć!
Bij a dobrze!

MESSENION.

Won! precz ztąd! zmykajcie do biesa!
(*grzmocąc ostatniego*)
Nażci jeszcze! ostatniś, weźmij to na drogę.
(*do Menechma*)
Dobrzem im skiereszował buzie! To mi gratka!
Lecz żarty na bok. Panie! w sam czas pomoc przyszła.

Powyższy cytat może zarazem służyć za przykład języka tłómacza. Możemy śmiało powiedzieć, że przekład jego jest pod każdym względem wzorowym, jednym z tych nielicznych, co łączą swobodę i naturalność wyrażenia z jak największą wiernością. Ks. Dr. Kantecki włada językiem gładkim, płynnym a przytem jędrnym, wolnym od zawiłości i archaicznych zwrotów, któremi inni pisarze, chcąc zachować rzekomo koloryt złotego wieku, szpikują swe pisma. Jakąż to np. siłą i giętkością słowa nacechowany poniższy ustęp:

MENECHM.

Mnogie mi Apollinie, wydajesz rozkazy.
Teraz na rydwan każesz, czwórką zaprzężony,
Nieuchodzonych, dzikich rumaków, mi wstąpić,
Bym tego lwa starego bez zębów, co cuchnie,
Stratował! Jaż wstępuję na rydwan, już dzierżę
W ręku lejce wraz z biczem. Dalej w lot dżanety!
Niechaj kopyta zabrzmią, a w nieścigłym locie
Raźnie nogi migają.

Z tak niezwykłą udatnością formy, z tak ujmującą potoczystością dykcyi, połączył tłómacz, jako się rzekło, wielką wierność i krytyczność. Widać tu na każdym kroku znakomitą znajomość nietylko najlepszych i najnowszych edycyj, ale i wszystkich niemal rozpraw, odnoszących się do *Menechmów*,

a rozrzuconych po przeróżnych pismach filologicznych niemieckich. Tłumacz badając krytycznie konjektury Ritschla, zajmującego się Plautem od lat 40, Gepperta, Vahlena, Müllera, Madwiga (filologa kopenhagskiego) czyni wybór szczęśliwy i trafny.

Zasługują też na uwagę obszerne *Prolegomena*, w których ks K. wszechstronnie rozbiera i ocenia *Menechmy* i porównywa je z dwiema komedyami Szekspira. Porównanie to dowodzi gruntownej znajomości wszystkich utworów Plauta. Przedmowie tej wszakże, choć świadczy o prawdziwej nauce i talencie pisarskim, nie możemy już oddać tak wielkich pochwał, jak samemu przewybornemu tłómaczeniu. Znać tu już, że pisarz dokonywał tej pracy „w Koźminie", jak podaje na końcu, t. j. w pruskiem więzieniu. Jak sam objaśnia, większą część cytatów podaje z pamięci; w takim razie podziwiać przychodzi erudycyę, ale z drugiej strony i żałować, bo pamięć choćby najlepsza, nie zawsze wystarcza. Z tego też powodu nie porównał szanowny tłómacz z *Menechmami* naśladowań francuzkich i włoskich, choć zbyt dokładne zapuszczanie się w te porównania i wywody, zbytecznieby było rozszerzyło obszerną i tak przedmowę. Dalej ustęp traktujący o czasie, w którym napisane były *Menechmy* i z jakiego oryginału greckiego przełożone, powinien był następować dopiero po ocenieniu Plautowego utworu. Bylibyśmy też sobie życzyli w przedmowie raczej polskich, niż łacińskich cytatów, co jednak o tyle mniej wadzi, że czytelnik może zajrzeć do tekstu

W końcu słówko jeszcze o pisowni, zastósowanej w tej szacownej pracy. Ks. Dr. K. idzie tu śladem ks. Malinowskiego, zapewne ze względu na pismo, w którem drukował *Menechmy*, t. j. *Wartę*, wierną adherentkę ortograficznych zasad szanownego plebana z Komornik, a więc trzymając się zasady fonetycznej, pisze „s każdym", „s panem" itd., w narzędniku liczby pojedyńczej i mnogiej nie robi różnicy wprowadzonej do gramatyki polskiej przez ks. Kopczyńskiego, między rodzajem męzkim i nijakim, o co mu nie myślimy wytaczać procesu. Uderzyło nas jednak, że ks. K. wbrew powszechnej praktyce pisze stare „pasorzyt". Przypuszczaliśmy na razie, że to błąd, ale systematyczność w ortografii szanownego autora, jako członka wielkopolskiej komisyi, wstrzymała nas w tym sądzie. Czyby ks. Dr. Kantecki nie zechciał w *Warcie* uzasadnić tej swojej odrębnej pisowni? *Dr.* ***.

* * *

— *Filip Buonacorsi* (*Kallimach*). Owa zgrzybiała staruszka, ciężka i nudna, jak zapewniają pewne gazety warszawskie, *Biblioteka Warszawska*, jest jednak najpoważniejszą z peryodycznych publikacyj stołecznych, a dzięki rzadkiej u nas wytrwałości wydawców, liczy już sto trzydzieści dziewięć tomów (nie zeszytów). W ciągu długiego swego żywota widziała ona całe falangi pism czasowych, zstępujące do tajemniczych głębin Hadesu. Wprawdzie ostatniemi czasy siły jej znacznie osłabły, wprawdzie wiele utraciła na ustąpieniu pp. Pawińskiego, Korzona itd.; pomimo to jednak o całe niebo jeszcze stoi wyżej od *Niwy* i innych swoich rywalek.

W dwóch ostatnich zeszytach *Biblioteki* znajdujemy przekład ciekawy monografii Filipa Kallimacha, znakomitego pióra byłego profesora lwowskiego uniwersytetu, Henryka Zeissberga. Jestto wyjątek z pomnikowego jego dzieła

p. n. *Die polnische Geschichtsschreibung des Mittelalters*, które ma się wkrótce pojawić w Warszawie w całości i po polsku. Rzecz profesora Z., opracowana wedle nieznanych dotąd włoskich manuskryptów, rzuca wielkie światło na tę zagadkową osobistość, obfituje w wiele nowych szczegółów i celuje zwykłemi zaletami autora, chociaż śmielibyśmy dodać, nie łączy wszystkich tych drobnych rysów w jedną całość, w skutek czego mimo całe bogactwo faktów, daje się czuć brak ogólnej charakterystyki. Powyższe spostrzeżenie wypowiadamy z całą szczerością ze względu na świetne już stanowisko Zeissberga w historyografii nowoczesnej; nie uwłacza ono zresztą wcale wysokim jego zasługom. Wybitną bowiem jego cechą, jak to wiadomo każdemu, komu nie obce prace tego uczonego, jest niepospolita gruntowność i krytyczność, zalety właściwe germańskiemu geniuszowi; brak mu zaś tego *par excellence* francuzkiego talentu: artystycznego powiązania szczegółów w całość organiczną i plastyki w charakterystyce.

Do historyi Kallimacha przed ujściem z Włoch zebrał Zeissberg wszystko, co się tylko zgromadzić dało; niemniej przecież wypadki karnawału z r. 1468 i stosunek głośnego humanisty do Pawła II z braku danych nie jest tu dość jasno wystawionym. Tyle tylko jest rzeczą pewną, że Kallimach był najważniejszym sprawcą katastrofy, bo o jego schwycenie najwięcej chodzi Ojcu Św. i że nie sam pogańskim duchem tchnący klassycyzm skłonił ostatniego do ścigania winowajcy, lecz polityczne „mrzonki" ambitnego młodzieńca. Pobyt Filipa w Polsce, jego stosunek do Kazimierza Jagiellończyka, królewiczów i magnatów polskich, missye dyplomatyczne do Włoch: Wenecyi i Rzymu, działalność na polu naukowem i poetycznem przedstawione wybornie. W kwestyi owych rad, jakie Kallimach miał dawać Olbrachtowi, życzylibyśmy sobie obszerniejszej nieco dyskusyi. Ustęp o Fanii Swentochnie dość krótki i ogólnikowy, lubo z początku zdawało nam się, że prof. Z. zechce kruszyć kopię w obronie urodnej Lwowianki, podobnie jak tylu innych rehabilitatorów słynnych kobiet, posądzanych o zbyt poufałe stosunki z wielkimi ludźmi. Uczony autor wypowiedziawszy zdanie różne od dotychczasowych, zaniechał jednak gruntowniejszego uzasadnienia swej opinii. To też wystawienie Fannii w dwojakim charakterze uważając za niewystarczające, obstajemy przy dawnej wersyi. Jedynym argumentem przeciw temu mogłaby być okoliczność, że Grzegorz z Sanoka zapraszał ową piękność do swego stołu; lecz kwestya, czy tego właśnie szczegółu nie należy uważać za poetycką fikcyę... Szkoda, że Zeissberg w sprawie tej tak zwięzły.

Tłómaczenie p. K. P. do pożałowania słabe, tak słabe, że nie rozumiemy, jak je bez korekty puścić mogła redakcya poważnego pisma. Nie dość, że język przekładu ciężki, często ciemny i zawiły, pełno tu błędów gramatycznych; mianowicie grzeszy autor, stawiając biernik przy słowach, rządzących dopełniaczem i przy negacyach, a w dodatku nie zna nawet warunków, potrzebnych w razie użycia zdania imiesłowowego. I tak pisze: „Po śmierci Kazimierza Kallimach znaczne wpływy posiadsł u następcy jego, Jana Alberta i w skutek tego taką nienawiść przeciw sobie wywołał, że o s k a r ż a j ą c g o, iż spowodował klęskę wołoską i że doradzał królowi użycie środków tyrańskich w państwie z d w o r u z o s t a ł w y r u g o w a n y". *Dr.* ***.

— *Mistrz Twardowski.* O słynnym, szatanowi zaprzedanym czarodzieju tak żywo odmalowanym w wyobraźni ludu, pisano u nas już wiele, bardzo wiele, lecz nikt nie oparł się na głębszej, racyonalniejszej podstawie, nikt nie zadał sobie trudu niemałego wprawdzie, lecz zapowiadającego obfity owoc, nikt nie poświęcił Twardowskiemu wyczerpującego, gruntownego studyum, mającego za podstawę umiejętne badanie, odpowiednie dzisiejszemu postępowi nauki. W takim tylko razie możnaby się spodziewać rzetelnego wyjaśnienia historyosoficznej doniosłości podania, podczas gdy dotychczasowi pisarze przystąpiwszy do przedmiotu bez przygotowania szukali tylko po omacku i rzucali dość stanowczo hipotezy, z których jedna wątlejszą była od drugiej. Nie można tego bezwarunkowo powiedzieć o panu Erneście Świeżawskim, autorze rozprawki (*vide Bbl. War.*) p. t. „Przyczynek do studyów nad podaniem o Twardowskim". Przyniósł on znaczny zapas erudycyi, którym szafuje bardzo hojnie, a nie obcą mu też jest metoda używana w tej materyi za granicą, więc głębokie studya Steinthala, Kuhna, Manhardta, Maxa Müllera i innych etnopsychologistów. Praca jego może przeto posłużyć za próbkę i materyał innym, ale według naszego zdania szan. autor nie podchwycił jeszcze nici, po którejby mógł dojść do kłębka mytu. Przyznać też trzeba ku jego chlubie, że wolny od pysznej zarozumiałości mówi owszem skromnie, iż do wyjaśnienia historyosoficznego znaczenia postaci czarodzieja przystąpi wówczas dopiero, „gdy sam lub przez innych się upewni, że powyższe wywody spoczywają na umiejętnej podstawie". Nie ulega kwestyi że o tem rozstrzygać może specyalna wiedza, a nie „koncept dziennikarza". Co jednak i nie specyalistę w niniejszym artykule uderzyć musi, to to, że pan Ś. władając niepoślednim kramem uczoności w danym kierunku i znając właściwą metodę poszukiwania, jest wszakże zbyt pochopnym do chwytania pozornych analogij, które zresztą bardzo zręcznie zestawia. Jak ułudne i zawodne są takie zewnętrzne podobieństwa, liczne już mieliśmy przykłady. Najciekawszym ale i najdziwniejszym z całego studyum wydaje nam się początkowy ustęp, zestawiający legendy o N. M. Pannie z pogańsko-słowiańskiemi podaniami o Marzannie (*sic!*); wysnuwane też dalej ztąd wnioski nazwalibyśmy: *licentia poëtica.* I tak grzeszy niepewnością i dowolnością twierdzenie, jakoby wyrazy: Tvashtri, Tugaryn, Twardowski, miały pierwiastek sanskrycki *tu* (*facere*) „lub jemu podobny", dalej zdanie o bliskim związku Twardowskiego z wodą, z greckim Hefajstosem i t. d. Nie przysądzając sobie zresztą prawa rozstrzygania w tak trudnej sprawie, zwracamy tylko uwagę specyalistów na rozprawę pana Świeżowskiego, domagającą się poważnego ocenienia z właściwej strony, a może w ślad za nią pójdą dalsze badania w tym kierunku, których nam tak brakuje.

Dr. ***.

RÓŻNOŚCI.

ŁÓDKA PIOTROWA.

Łódko spokojna śród wirów morza,
Tobą steruje Twój Bóg i Pan,
W cieniach On nocy świeci jak zorza:
Zbawczą krwią swoich Najświętszych Ran.

Z Królem Przeczysta niebios Dziewica
Wszechmocą modłów ster trzyma twój;
U nóg Jej srebrny księżyc przyświeca,
U głowy płonie gwiaździsty zwój.

Choćby dziś w nocy świat ginął cały,
Choćby piorunów zachuczał grom,
Chociażby ziemia prysła w kawały:
Spokojnaś łodzi, boś Boży Dom!

Święty staruszek — sternik widomy
Wiosłem swej wiary rozcina toń;
Niepokalana wstrzymuje gromy,
Starcowi świętą podaje dłoń.

Łódko szczęśliwa — ty Arko Boża!...
Noe twój święty zapłakał łzą;
Płacze i dziatwa, a po nad morza
Lotne gołębie ku niebu mkną.

Chwilka po chwilce przejdzie w boleści
Wreszcie powrócą gołębie twe,
Przyniosą z nieba te szczęsne wieści;
Wysłuchał Ojciec już — syny swe!

Wiara roztęczy znów światło Boże —
Pierzchnie duch nocy w piekielny gród;
Wtenczas ty łodzi przepłyniesz morze,
Z tobą w port wpłynie Chrystusa lud.

LISTY z WIEDNIA.

(Serya II.)

XIII.

Wiedeń 10 Września.

(J. Excell. monsignor Jacobini — Buta liberalnych organów — Gdzie jej źródło — Różne odcienia konserwatystów — Nieco z *Kulturkampfu* w Austryi — Jubileusz ks. biskupa Strossmayera — Jezuita wynalazcą — Statystyka żydów — System więzienny — Nawrócenia — Mania hr. Andrassy'ego — Delegacye — Rada Państwa).

Fabrykanci papierowej opinii, wychodząc z zasady, iż zuchwałe kłamstwa właśnie dla swego zuchwalstwa znajdują zawsze wiarę, głoszą i piszą, co im tylko gienialna ich fantazya przedstawić jest zdolną. A osią, około której obracają się ich kłamliwe przypuszczenia, jest obecnie J. Excell. ks. nuncyusz. Widocznie jest on im wielce niewygodny, częścią dlatego, iż wierny otrzymanym instrukcyom nie czyni ani na cal żadnego ustępstwa na polu niezmiennych

zasad kościelnych, częścią zaś dlatego, iż czyni wszystko co można bez uszczerbku dla praw Kościoła, byle tylko zażegnać ową walkę między państwem i Kościołem, której są widownią Niemcy. Aby więc reprezentanta Stolicy apostolskiej zdyskredytować w obliczu gorliwych katolików, rozpuszczają najśmieszniejsze pogłoski. To donoszą, że ks. nuncyusz ma pośredniczyć między Berlinem a Watykanem, to znowu twierdzą, że monsignor Jacobini ma pracować zad wytworzeniem stronnictwa katolickiego skłonnego do *modus vivendi*. Jeden dziennik głosi, iż Jego Ekscelencya zostaje pod zupełnym wpływem hr. Andrassyego, inny nadmienia, iż ks. Nuncyusz wedle wskazówek otrzymanych z Watykanu ma działać na korzyść powstania w Hercegowinie. I tak bez końca *in dulce infinitum*. Że w tych elukubracyach nie ma i źdźbła prawdy, sądzę, iż nie potrzebuję dodawać. Monsignor Jacobini pod-sekretarz watykańskiego soboru, sekretarz propagandy, które to oba urzędy, ku największemu zadowoleniu Ojca św. piastował, znanym jest tak w świecie dyplomatycznym jak i kościelnym jak najzaszczytniej. Nie byłby zresztą żadną miarą zdolny do podobnej akcyi, jaką mu naznaczyć pragną. Monsignor Jacobini jest nadto Rzymianinem; szkołą jego dyplomatyczną, był papieski sekretaryat państwowy pod kierownictwem kardynała Antonellego. Ksiądz Nuncyusz zna dobrze swego zwierzchnika, zna także i Ojca św. i wie, iż żaden z nich nie upoważniłby go do podjęcia podobnych kroków; do przeprowadzenia zgody między prawem i bezprawiem, co jest wręcz niemożebne. Zachowanie się na pozór bierne w Wiedniu ks. Nuncyusza, da się łatwo wytłumaczyć. Ustawy konfesyjne austryackie są ze stanowiska kościelnego równie potępienia godne jak pruskie; postępowanie jednak rządu austryackiego nie jest tak drapieżne, dozwala przeto ks. Nuncyuszowi nie występować wręcz nieprzyaźnie względem władzy państwowej. Od tej atoli chwili, w którejby minister austryacki, zapominając na wyraźnie objawione życzenie monarchy, pokusił się naśladować niegodziwy przykład Berlina, od tej chwili zmieniłoby się szybko zachowanie się monsignora Jacobini i tak dla Nuncyusza papieskiego w Wiedniu, jak i dla austryackiego posła przy Stolicy św. w Rzymie, nie byłoby już więcej miejsca. Do tego jeszcze nie doszło i sądząc z obecnej sytuacyi, nie dojdzie. Z jednej bowiem strony poznano, iż już nadużyto cierpliwości Ojca św., a chcąc uniknąć zerwania z Rzymem, nie myśli się iść dalej na polu gwałtów, chciałem powiedzieć ustaw kościelnych. Zresztą książę Bismark na teraz nie życzy sobie zmiany ministeryum w Austryi, ztąd też w uderzaniu na Kościół pewne zawieszenie broni. Z drugiej strony Rzym umie uznać i ocenić wszelki opór przeciw antikatolickim wpływom i naciskom i dlatego też stosunki między Wiedniem a Rzymem nie są takie, jakiemiby być powinny, lecz są przynajmiej znośne i możebne. Wszystko to jasne jak na dłoni, lecz liberałom dowodzić tego, to znaczy siano młócić: pycha albowiem ma to do siebie, iż nietylko nie może widzieć promieni światła, lecz zarazem staje się głuchą na głos prawdy, na zdrowe argumenta logiki.

Pycha liberalnego dziennikarstwa zdaje się, iż już wszelkie przekroczyła granice i weszła na najwyższe obłędów szczyty, zkąd runąć tylko może w otchłań kataklizmów, ale cofnąć się z nich nie może. Liberalne dziennikarstwo dzisiejsze jest jej wyrazem. Miasto być objawem publicznego sumienia było ono zawsze i jest i dzisiaj jeszcze jedynie przedstawicielem rewolucyjnej lub liberalnej gawiedzi. Miasto podnosić czytelników swych na wyżyny ideału, strąca ich w kał

i brudy; miasto strzedz nietykalnego przybytku stosunków rodzinnych, ono go znieważa, brudzi i unikczemnia. I niedość na tem, że to dziennikarstwo zachwalając pewne banki, polecając pewne przedsiębiorstwa, pokazało się gorszem od rzezimieszka i rabusia, bo wydzierało oszczędzony grosz starca, spuściznę małoletnich i chleb wdów; niedość na tem, że dla celów swego stronnictwa piętnowało prawdę jako kłam, sprawiedliwość jako bezprawie; ale przyszło ono do tego już zuchwalstwa, że na tej drodze nikczemności, przyswaja sobie godło najwyższej władzy państwowej, ogłasza się za wyłącznego władcę monarchii. Oto jak wołają semickiego rodzaju pismaki w swych nadobnych *Pressach* i *Blatach*: My to (*majestaticus*), wołają oni, stargaliśmy przywileje Kościoła, my to przycisnęliśmy Czechów do muru, my Polaków i Słoweńców zmusili do marszu pod jarzmo kaudyńskie wyborów bezpośrednich; my to to wszystko co nie niemieckie zamienimy w najemników wielkiej germańskiej idei i jej właściciela Bismarka. Takie umizgi otwartej zdrady stanu wysyłają liberalne dzienniki do Berlina i to uchodzi bezkarnie; nie dziwić się przeto, iż pycha ich nie zna hamulca. Gdy katolicki „*Vaterland*“ w jednym tygodniu trzykrotnej uległ konfiskacie, za rozbiór kwestyi ekonomicznej i barbarzyńskich stosunków na Wschodzie, to na palcach możnaby policzyć z całego roku konfiskaty dzienników liberalnych za obelgi miotane na Kościół, lub za jawne wdzięczenie się do cara pruskiego. A ta to bezkarność, rozzuchwalająca dotyla liberalne dziennikarstwo, ma źródło swe, przykro to wyznać, w jakiejś nieuzasadnionej, a nawet śmiesznej trwodze przed jego pociskami. Gdyby się nie obawiano wycieczek i napaści dziennikarskich, gdyby je, jak na to zasługują, lekceważono lub pogardą częstowano, naówczas runąłby wpływ tej prasy liberalnej, a tem samem unicestwiłoby się jej zgubne skutki. Skoro zaś lękają się jej widocznie, a więc w takim razie mieć ona będzie niezaprzeczone znaczenie.

Dziennikarzy z zawodu i to wcale miernych talentów jest tu w Wiedniu 40 lub 50, i oni to wyrabiają ów produkt zwany opinią publiczną. Za temi jednak firmami jest cała zgraja tak zwanych reporterów: liche te indywidua mają sobie poruczone, szpiegować i wykrywać wszelkiego rodzaju nowinki i znosić je do swych panów, już w takim przedstawione duchu, jak sobie tego redakcya życzy. Reporterzy ci umieją się wcisnąć wszędzie, umieją od osób urzędowych, a nawet wysoko postawionych, otrzymać nowiny z pierwszej ręki, zmuszając ich do tego nawet groźbą, w razie bowiem ich odmowy pierwszy lepszy pisarek interesowanej redakcyi uderzy na nich, odsądzi ich od wiernokonstytucyjności, napiętnuje jako feudałów; a takie pociski zwykle skutkują. W taki to sposób utrzymują dzienniki, tak zwane informacye. Rosną tedy w powagę, a z nimi i liberalne stronnictwo utrzymuje się nie tylko przy życiu, lecz i przy znaczeniu. Zrzucić z siebie jarzmo trwogi przed szydzącą krytyką liberalnych pismaków, a tak zamknąć to źródło wiadomości reporterom, to powinno być żądaniem konserwatystów, jacy są przy władzy; w ślad za tem dzienniki liberalne skończą swój żywot śmiercią głodową, a ich zgon spowoduje rozkład stronnictwa liberalnego, które jedynie na nich się opiera i z nich siły czerpie.

Ale czyż można nawet marzyć, aby się to łatwo urzeczywistnić mogło? niestety nie — gdyż i w samym obozie konserwatystów są pewne odcienia. Pierwszą grupę stanowią rzeczywiści konserwatyści. Ci nie myślą wcale, jak

to twierdzą dzienniki żydowskie, o utrzymaniu zbutwiałych przywilejów i z treści wydrążonych form politycznych, lecz zmierzają do tego, by zjednoczyć prawowitość historyczną, z wymogami teraźniejszości, ale na podstawie katolickiej. Tacy konserwatyści wyznają jawnie, iż są katolikami, iż najwyższą dla nich powagą Papież, Kościół i Dekalog; nie używają postępowej lub ekonomicznej nomenklatury dla rozboju, uzurpacyi, świętokradztwa; wygłaszają swe przekonania mężnie nietylko wtedy, gdy ich nikt nie słyszy, lub gdy im nic nie zagraża, lecz jawnie wobec całego świata, w końcu nie lękają się wcale za swe wyznanie cierpieć i znosić prześladowanie. Druga warstwa konserwatystów, to już letnia woda. Ta warstwa rozpada się na dwa działy. Wierzchni zgadzają się na wszystkie zasady konserwatystów rzeczywistych, tylko nie na ich odwagę. Są to ludzie, którzy ukochali tylko słodkie wczasy: w oczach ich wszelkie wyznanie słowem, pismem lub czynem uchodzi jeśli nie za brak roztropności i zbyteczną porywczość, to co najmniej za nierozsądną i niebezpieczną demonstracyę. Sami więc ukryci jak zające pod miedzą, siedząc cichuteńko i czekając, aż inni pierwsi krok zrobią; ale i wtenczas nie ruszą oni za nimi, dość dla nich szczęścia, że im inni dopomogą, aby mogli zażywać niczem niezamąconego pokoju. Nienawidzą oni wszelkiego przewrotu, lecz mimo tego czytują sami pilnie liberalne piśmidła i nie troszczą się wcale, iż tą trucizną karmią się i dzieci i domownicy [1]). Dolny zaś dział tej drugiej grupy konserwatystów; jeszcze bardziej godzien litości. To są entuzyaści do pośredniczenia. Wszystkiego u nich potrosze: katolicyzm obok Kościoła państwowego, budowa konserwatywna z cementem liberalnym na gruncie naznaczonym przez wszechwładzę państwową z masoneryą, a przy tem wszystkiem wiara wolnomurarska: iż stosunki społeczne rozwiną się „*comme dans le meilleur des mondes*". Biedni oni, godni litości czy wzgardy! Nie wiedzą i wiedzieć nawet nie chcą, iż są dzielnymi współpracownikami liberalizmu, iż są jak owi *sacrificati* i *thurificati*, którzy za prześladowania Decyusza rzucali ziarnka kadzidła na ogniska płonące przed bałwanami i obrazami cesarza, jak owi *libellatici*, którym rząd pogański wystawiał poświadczenie, iż bogom ofiarowali, t. j. iż uznali wszechwładzę państwa — jak owi jednem słowem *lapsi* — odpadli, o których wyborny traktat zostawił św. Cyprian, biskup Kartaginy. Na nazwę rzetelnych konserwatystów zasługują tylko pierwsi, lecz z tych po biurach ministeryalnych i na wyższych posadach zaledwie rzadkie wyjątki; ztąd też i liberalne dzienniki wyprawiają dalej bez przeszkody swe łamańce kosztem prawdy, sumienia i moralności. A całe liberalne stronnictwo z rozwiniętym sztandarem zwycięztwa, stacza w Austryi podjazdowe utarczki, jakby się zaprawiało do stanowczego boju! Kilka faktów, jako illustracya tej walki na małą skalę.

Niedawno z powodu kapłańskiego jubileuszu kardynała księcia Szwarcenberga, napisał doń Najj. Pan list gratulacyjny. Otóż któżby mógł przypuszczać, że krzewiciele *Kulturkampfu* w Austryi, będą mogli i przeciw temu wystąpić. A jednak tak się stało. Oburzają się niemal, jak cesarz mógł napisać list gratulacyjny do takiego ultramontanina! Ale aby listowi odjąć zarazem wszelkie wyższe znaczenie polityczne poczytują go za akt przyjętej kurtoazyi, a sami nie wierzą tym argumentom, lamentując, dlaczego ten list nie jest kontrasygnowany przez ministra; jakby akt jaki urzędowy. Dzika

[1]) O jakże wielu tego rodzaju konserwatystów w Galicyi! (Przyp. Red.)

pretensya tych żydków, żądać od Monarchy, by swe łaski i względy normował wedle ich sympatyj i antypatyj do tych lub owych osób. Przeboleli wreszcie list, ale natomiast nie mogą przeboleć, iż proboszcz ks. List wyrokiem sądów przysięgłych uwolniony został od winy, z powodu utonięcia kilkudziesięciu osób, wracających z procesyi jubileuszowej, przy przeprawie przez rzekę. Na proces ten przygotowywano się już oddawna w obozie liberalnym. Wtrącić sędziwego kapłana do więzienia, czyliż to nie rozkosz? Proces ten odbył się w Gracu, a prokurator, którzy oskarżał proboszcza, jako przewodnika procesyi, iż przez zaniedbanie nadzoru przyjmując na łódź więcej osób, niż takowa pomieścić mogła, spowodował katastrofę przy Gratvein, prokurator był z obozu postępowców; mimo atoli wszelakiej argumentacyi, mimo klamrowania się różnemi paragrafami, winy nie znaleziono i osądzony został tylko nieprzezorny przewoźnik. Chcąc jednak powetować sobie popsutą radość, już po zapadłym wyroku uderzają na księdza prowadzącego procesyą, podsuwając mu chciwość jako motyw, dlaczego nie bronił pątnikom wstępować na tram i tak już przepełniony? Nikczemne kramarskie dusze mierzą innych tym łokciem, jaki do nich przystaje.

Liberałom pożądaną jest każda sposobność, oskarżać księży o chciwość, a zapominają o owych królach kolejowych, zdobywających miliony zręczną szacherką; zapominają o owych wojnach zaborczych, gdy krocie ludzi pędzi się na jatki, aby miliardami naładować kieszenie kilku oszustów zwanych mężami stanu. W istocie podziwiać potrzeba u czytelników liberalnych piśmideł tę owczą cierpliwość, z jaką pozwalają traktować się dzień za dniem siekaniną najniedorzeczniejszych bredni. Lecz prawda, tu idzie o to, aby szarpnąć, ukąsić, oplwać Kościół i jego instytucyę, a w takim razie kłam przestaje być fałszem bezczelność nie jest niegodziwością, nieuczciwość nie zowie się nikczemnością, gdyż to wszystko nosi urzędową nazwę powszechnie przyjętej taktyki, dobrze użytego manewru dla podkopania czarnego internacyonału, jak w *Dzienniku Polskim* nazywa katolików p. Tadeusz Romanowicz. Jakże zresztą ta chciwość nie ma oburzać liberalnych organów, kiedy sam wysoki rząd zwrócił już na nią baczne swe oko. Na Morawie jak i zapewne w innych krajach koronnych jest zwyczaj, iż ludność wiejska za wpis do ksiąg metrykalnych czy to z powodu chrztu, czy pogrzebu, składa dobrowolny dziesięcio centowy datek. Otóż bogacenie się kleru tą ofiarą niemile widziała władza; pojawia się przeto ukaz z 15 Kwietnia 1875 do l. 4763, odwołujący się na dwa rozporządzenia z 15 Czerwca 1749 i z 14 Lipca 1784 do l. 13.451, ukaz tej treści: iż dusz starownikom nie wolno przyjmować tego dobrowolnego datku, a zarazem, iż polecono wójtom zawiadamiać bezwłocznie starostwa o przekroczeniu tego ukazu. Wójci i liberalni burmistrze rozrastają się jak widać w powagę — dotąd mieli zaszczytny urząd być żandarmami kazalnicy, odtąd mogą i muszą nadzorować kieszeń swych plebanów. Rząd klerowi zadaje takie ukłucia szpilkowe, których pewnie więcej jeszcze przybędzie w tym widocznym celu, by tenże zniechęcony takiem prześladowaniem zrzekł się zupełnie prowadzenia ksiąg metrykalnych. Kler nie straciłby na tem wcale, gdyby mu odjęto tę cząstkę biurokratycznych zajęć, która mu sporo czasu zabiera, a w dochodach bardzo mało co przysparza; ale czy ludność podatkująca zyskałaby na tem, gdyby jej przyszło opłacać jednego urzędnika więcej, a za wystawienie potrzebnych dokumentów, zmuszoną była płacić mu sowicie, mniemam, że nie byłaby mu wdzięczną za ten kosztowny eksperyment.

Oprócz sekwestru położonego przez rząd na dziesięciocentówki, *Kulturkampf* ma do zapisania inny jeszcze czyn bohaterski. Widownią boju jest ustronna wioska w Krainie, walczącymi wiernokonstytucyjny starosta i wiernokościelny sędziwy, a prawie zgrzybiały pleban ks. Józef Lesjak, powodem boju, kazanie na temat, iż Kościół potępia samobójstwa i żadną miarą pozwolić nie może, aby takim z pola walki życiowej uciekającym nikczemnikom sprawiać pogrzeby religijne lub ich grzebać na miejscu poświęconem. W kazaniu tem znaleziono zbrodnię naruszenia spokojności publicznej, za co też proboszcz skazany został na trzy miesiące więzienia. Starosta tymczasem zażądał, by skazanego dziekana usunął z probostwa i naznaczył tymczasowo administratora. Ksiądz Józef Župan, dziekan kapituły, na zasadzie praw kościelnych, iż nie wolno rugować z probostwa bez przeprowadzonego pierwej procesu kanonicznego, oparł się stanowczo temu zuchwałemu żądaniu, za co też obłożony został grzywną stu złr; i kto wie jakby się skończył ten spór na manier pruski, gdyby ksiądz Lesjak nie był dobrowolnie zrezygnował. Cesarz także darowawszy aktem łaski skazanemu i karę więzienną i następstwa jej prawne, dał wcale niedwuznacznie do poznania, iż w Austryi nie ma jeszcze dojrzałych gron dla siepaczy biurokratycznych, chcących popisywać się gorliwością w prześladowaniu sług ołtarza, jak to praktykuje czynownictwo pruskie. Smutno jednak zawsze, iż w Austryi są pomiędzy urzędnikami, okazy obdarzone węchem wyżlim, by wytropić, gdzie jakie kazanie podkłada miny pod byt monarchii.

Korrupacya moralna szerzona drukiem i obrazem, przybiera zastraszające rozmiary. Po publicznych nawet niemal pierwszorzędnych restauracyach dziewczęta żydowskie, z natręctwem prawdziwie żydowskiem obnoszą na sprzedaż bezwstydne, bezecne fotografie, z których jedna mianowicie, przedstawiająca Jezuitę, bardzo licznych znajduje nabywców. W istocie pod tym względem stoi nierównie wyżej od szczycącej się postępem Europy, Ameryka. Tam nie biorą tak lekko tej książkami i rycinami szerzonej propagandy bezwstydu, tam wydano nawet niedawno prawo orzekające, iż osoby trudniące się handlem takiego trującego towaru, podlegają karze ciężkiego więzienia, sięgającego do lat dwóch, a oprócz tego i karze pieniężnej wynoszącej nawet 5000 dolarów. Jużto przyznać należy, iż Stany Zjednoczone Ameryki poczynają zwracać dziś swą uwagę, aby rak zepsucia nie zgangrenował do reszty ich społeczeństwa. Ale bo też rząd tamtejszy nie toczy wcale owych lucyferowych bojów w imię kultury i do tyla jest jeszcze ograniczony, tak mało postępowy, iż pragnąc poszanowania dla swych praw, umie i chce także poszanować prawa Kościoła. W Ameryce nawet innowiercy poważają dostojników katolicyzmu, gdy tu nawet rzekomi katolicy umieją ich brać za cel pocisków złośliwych i szyderczych.

Obfitego materyału do popisania się zwietrzałemi *á la* Lam konceptami, dostarczają obecnie wielkim i małym dziennikom, dwa jubileusze biskupie, które przypadają w tym miesiącu. Jeden księcia kardynała Tarnoczy, odbędzie się w Solnogrodzie, drugi ks. biskupa Strossmayera z Diakowaru został zaniechany, a to na wyraźne żądanie jubilata, z powodów, jak to ogłosił w ślicznym liście pasterskim do kleru, iż wątłe zdrowie staje na przeszkodzie; powtóre, iż gdy pobratymcy Kroatów za słupami granicznemi krew przelewają, nie godzi się radości oddawać, lecz raczej pamiętać o pomocy dla wdów sierot po poległych, których zapewne nie zabraknie. Ten ustęp listu świadczący tak pięknie, iż patryotyzm w pojęciu katolickiem zależy nie na zadawaniu, lecz na

gojeniu ran, posłużył jednemu żydkowi, iż stworzył monstrum niedorzeczności, utrzymując w swym *Blacie* z całą powagą wtajemniczonego w wielką politykę, iż sprężyną powstania nie jest kto inny, tylko — zgadnijcie — tylko biskup Strossmayer, a dla czego? bo powstanie wybuchło w dyecezyi ks. biskupa. Tym kandydatom do domu obłąkanych zdaje się, iż, gdy ks. Strossmayer nosi tytuł „biskupa Bośnii", to Bośnia musi już być jego dyecezyą, a nie wiedzą o tem, iż tam rządy dyecezalne piastuje inny biskup. Ucisk do niezniesienia rządów muzułmańskich, rządy prawdziwie tureckie, ale nie ludzkie, oto jedyne źródło ruchawki powstańczej na półwyspie bałkańskim. I rzecz dziwna, ta i taka Turcya ma byt swój niejako zagwarantowany przez mocarstwa, ma przywilej na to, by istniała. Dyplomacya europejska zdradza wielki brak konsekwencyi: na wszelki ruch rewolucyjny zamyka oczy, uznaje bez skrupułu każdą formę rządu, dziś republikę z Seraną, jutro Amadeusza, pojutrze Alfonsa, gotowaby uznać i Garibaldego nawet prezydentem Stanów Zjednoczonych Włoch, gdyby rzecz przyszła do skutku; powodzenie dla dyplomacyi odkąd przestała być chrześcijańską, oto jeden i jedyny tytuł prawny. Dyplomacyą w ostatnim dziesiątku lat wszelką niegodziwość byle ukoronowaną powodzeniem aprobowała: milczała na grabież ojcowizny Piotrowej, milczała na tyle we Włoszech obalonych tronów, na tyle przez Prusy z władzy wyzutych dynastyj; a gdy idzie o półksiężyc, który miliony chrześcijan ujarzmił i w niewoli dzierży, gdy idzie o państwo na wskróś zbutwiałe, nie mogące się ostać o własnych siłach, taż sama dyplomacya staje się krańcową, konserwatywną. Zazdrość wzajemna, by które z mocarstw przy rozpadnięciu się Turcyi, nie zagarnęło dla siebie znaczniejszej cząstki łupów, każe im podtrzymywać półksiężyc, tę wielką plamę na karcie Europy.

Jakby na przekór liberałom, dokonał niedawno niesłychanej doniosłości i następstw wynalazku, jeden z uczonych Jezuitów O. Marcin Egger. Przez lat piętnaście pracował on nad tem, jakby siłę elektro-magnetyczną, na wzór siły parowej zastosować do poruszania maszyn. Praca ta nie pozostała bez rezultatu; wynalazł odpowiednią maszynę, nazwaną już nie elektromotorem. Projekt jego przedłożony ces. akademii sztuk umiejętności uznano za praktyczny. Wynalazcy udzielono odpowiedni zasiłek do ukończenia elektromotoru; po ukończeniu ma być ten eleklomotor wystawiony na widok publiczny w Wiedniu, a następnie przesłany na powszechną wystawę do Filadelfii. Wynalazek ten, na który ks. Egger otrzymał przywilej, skoro się nie okaże kosztowny, sprowadzi zapewne wielkie zmiany w dziedzinie maszyn i komunikacyi. O. Egger, rodem Tyrolczyk, zajmował dłuższy czas posadę profesora matematyki i fizyki w prywatnem gimnazyum OO. Jezuitów w Mariaschein w Czechach. Jakże nie mają się teraz gniewać liberały, jak nie mają żółknąć od złości, gdy trzeba bądźcobądź oddać uznanie pracy i wiedzy, członkowi tego właśnie stowarzyszenia, które się okrzyczało i potępiało, jako zbiór ludzi wyklinających umiejętności i oddanych pobożnej bezczynności. Przykro to sobie samemu dać policzek, lecz darmo, kłamstwa liberałów postawiły ich w tak niewygodnej sytuacyi. Notują więc fakt o Jezuicie, lecz bez zwykłych szyderstw, owszem z pochwałami, tak jak z drugiej strony zaznaczają z niedającą się ukryć niechęcią, iż w Siedmiogrodzie w gminie Maggaros 60 rodzin przeszło równocześnie z protestantyzmu na łono Kościoła katolickiego.

Nowe obliczenia statystyczne Brachellego wykazują, iż Izrael rozmnaża się w Austryi na wzór piasku w morzu lub gwiazd na niebie. Z końcem roku 1869 było w monarchii austryackiej żydów 1.375.861, a z tych na samą Galicyę przypada 575.333, gdy w roku 1830 było kochanych braci *Dziennika Polskiego* tylko 249.208. Ale zawsze po Galicyi, Mekką i Eldorado dla żydków to Wiedeń; w roku 1830 w całej Niższej Austryi wraz z Wiedniem było tej rasy semickiej tylko 1869 egzemplarzy, przed sześciu laty wzmogła się ta skromna cyfra do poważnej liczby 51.880, a od sześciu lat przybyło ich jeszcze sporo. Brachelli udowadnia w swej statystyce szczegółowemi cyframi z każdej prowincyi, iż populacya Izraela w przeciągu 30 lat była o pięć procent silniejszą w porównaniu do zwiększenia się ludności ogółem wziętej. Ale co najciekawsze, iż z całej tej massy żydowstwa, przechodzącej milion, w wojsku było w r. 1869 zaledwie 3.528. A i ta uwaga godna zastanowienia, iż w proporcyi tej, jak państwu przybywało tych wiernokonstytucyjnych obywateli, przybywało także i zbrodni; nie chcę przez to twierdzić, iż wyborcy p. Zbyszewskiego wyłącznie uprawiają czyny podpadające §§. kodeksu karnego, nie, ale bądźcobądź pozostanie to niezbitym faktem, iż gdzie więcej żydów, tam i kryminałów mamy więcej, niż dawniej. Co za *nexus logicus* między tymi dwoma zjawiskami? Dla was tam w Galicyi odgadnąć to nie trudno.

Mówiąc o zbrodniach, musi przyjść na myśl więzienie; otóż pod tym względem stosownie do uchwały zapadłej 1 Kwietnia 1872, ma się w całej monarchii już rozpocząć i to teraz przekształcenie dotychczasowego systemu więziennego na system odosobnienia czyli celkowy, który więcej działa na poprawę moralną zbłąkanych, niż gromadne spólne pożycie, które często było szkołą zupełnego zepsucia, jak tego mnogie dowodzą przykłady. Poprawa powinna być głównym celem i zadaniem więzienia, zgadzają się na to i liberaliści i w tym celu powołują się na powagę takiego męża, jak Papież Klemens XIV, który na jednym z gmachów więziennych kazał te wyryć słowa: *Parum est improbos coërcere poena, nisi probos efficias disciplina.* A więzień potrzeba, gdyż jeżeli i w Austryi *Kulturkampf* pocznie wypuszczać swe pączki, to o kandydatów do nich nie będzie trudno.

PS. Wielki polityk węgierski hr. Andrassy chce się całkiem upodobnić na wzór żelaznego księcia, jest między nimi nawet pewne powinowactwo: książę Bismark cierpi na manię, iż w każdym katoliku widzi skrytobójcę, hr. Andrassy podobnej ulega chorobie, widząc w feudałach i klerykałach spiskowych, godzących na to, by go wysadzić z fotelu ministeryalnego. Zkąd ta trwoga przed feudałami, czy to z powodu zbliżających się posiedzeń delegacyj wspólnych, zwołanych do Wiednia w połowie t. m.? bliska przyszłość okaże. Razem z delegacyami odbywać się będą posiedzenia Rady państwa.

Korespondencya Przeglądu.

Paryż dnia 8 Września.

Dzisiaj uroczystość Narodzenia N. Panny. U was co żyje i wierzy, spieszy do kościołów i świątyń, a tutaj nie znają tego wszystkiego,

praca w polu, na ulicach i w warsztatach; dzień Narodzenia Matki Bożej jest tu dniem powszednim. Oprócz niedzieli Francuzi nie znają tylko cztery święta, odwołując się w tem na konkordat Napoleona I z Piusem VII, który jak wszystkie konkordaty, był ulegalizowaniem krzywd wyrządzonych Kościołowi. Przyczyną tego skąpstwa względem Boga ma być żądza pracy, chęć ułatwienia zarobku pracującej ludności. Tymczasem ogromna większość tej pracującej klasy często przepędza dni powszednie na próżniactwie i pijatyce, a natomiast nie zachowuje nietylko dni niedzielnych, ale nawet tych czterech świąt, które w skutek konkordatu święcić obowiązana. W każdym razie zdawaćby się powinno, rozumując wedle zasad nowoczesnych ekonomistów i filozofów przeszłego i obecnego wieku, że ta część ludności powinnaby się mieć arcydobrze, być bogatą i zamożną, a tymczasem przeciwnie się dzieje; jest ona z dniem każdym uboższą. Z niej to wytwarza się proletaryat niebezpieczny dla społeczności, pod jakąkolwiek ona byłaby formą rządu. Jak się to dzieje? Oto, bo nie ma błogosławieństwa bożego dla pracy niezbożnej, bo zaniedbaniem modlitwy, słuchania kazań i innych praktyk zwyczajnych w niedziele i święta, umysł robotnika dziczeje, człowiek przestraja się powoli w juczne zwierzę, pracuje jak zwierzę, ale też oddaje się pociągom instynktów zwierzęcia. A więc rozkiełznanie obyczajów i pijaństwo wyniszcza siły, marnotrawi grosz zapracowany w niedzielę i święto. Zaprawdę, jestto wielka i otwarta rana, która się nie prędko da zaskiepić mimo wysileń ze strony francuzkiego kleru. Nie dalej jak tydzień temu, młoda dziewczyna pracując w jednej z tutejszych fabryk, w skutek łatwej do odgadnięcia przyczyny, biegała wzdłuż brzegu Sekwany, chcąc rzucić się do wody. Odstraszona zapytaniem konduktora, czego tu chce? pobiegła do farbiarza, kupiła sinku potażu, wypiła go w szklance wody i w godzin kilka wśród najokropniejszych konwulsyj zakończyła życie. Przed miesiącem inny robotnik, spotkawszy w *quartier d'Amerique* swoją dawną przyjaciółkę z jego własnem dziecięciem na ręku, ale zaprzyjaźnioną znowu z innym, zaprosił ją do swego pomieszkania i w nocy zamordował ją, dziecię, a w końcu i siebie. Takich okropności liczyć można na tysiące. Idąc ulicami Paryża około 6tej wieczorem, napotkasz tłumy podrostków wracających z fabryki. Istne zwierzątka; czoło bez myśli, oko szklanne, cera wybladła, chód niepewny — wszystko ślady przedwczesnego zepsucia.

Robotników *(ouvriers)* i to tylko mężczyzn liczą w samym Paryżu na 250.000; żyją oni po największej części w dzikiem małżeństwie. Ileżto tysięcy młodych osób pada ofiarą tego anormalnego składu rzeczy, ile tysięcy biednych dzieci traci zdrowie, życie i droższą nad wszystko

niewinność! Powtarzam: to wielka rana Francyi — bo stosunki robotników na prowincyi nie o wiele są lepsze, a tych robotników liczą na kilka milionów.

Pisałem w ostatnim liście, że przygotowuje się kongres „kółek robotniczych“ *cercles des ouvriers* w Rheims. Rzeczywiście w ostatnich dniach Sierpnia zjechało się do tego miasta, pamiętnego chrztem króla Klodoweusza i koronacyą królów Francyi kilku biskupów, kilkudziesięciu księży i katolickich panów ze wszystkich niemal departamentow, aby obmyśleć środki w celu rozkrzewienia „kółek robotniczych“. Rezultat jaki? Doprawdy, mimo że pilnie śledziłem w dziennikach przebieg obrad, nie umiem powiedzieć. Wygłoszono mów kilkanaście, bo Francuzi to naród oratorski, bardziej jeszcze jak my Polacy za Sasa II. Monsign. Nardi opowiedział dosyć szczegółowo cierpienia katolików we Włoszech, ale i na tych „dyskursach“ podobno skończyło się; praktycznego nic nie uchwalono. Bo też i nie tak łatwo w tak zawiłej kwestyi, jak kwestya robotników, zadecydować coś stanowczego.

„Kółka robotników“ to jeszcze nie instytucya, to dopiero próba, która miejscami się udaje, ale częściej idzie oporem, bo grunt nadzwyczaj zapuszczony chwastem, a twardy jak skała. Czemże jednak są te kółka robotników? Kilku katolickich zamożnych panów, przywoławszy sobie do pomocy biskupa lub księdza, zawiązuje się w komitet. Każdy z nich przynosi z sobą znaczną wkładkę pieniężną. Z tych wkładek powiększonych dobroczynnym datkiem innych katolickich osób, wynajmują lub budują gmach. Jest tam i sala bilardowa i sala w gry, jak szachy, warcaby, dalej sala obrad i rozpraw, czytelnia z biblioteczką, kaplica i bufet, obok gmachu plac gimnastyki i zabaw w bulę (rodzaj gry kulami drewnianemi). Gdy stanął gmach, komitet ogląda się za robotnikami, szuka ich po fabrykach, namawia, prosi, przedstawia korzyści materyalne. To „polowanie“ za robotnikami wymaga wiele poświęcenia i wielkiego talentu. Skoro już zebrano jakich 20 robotników, ogłasza komitet otwarcie „kółka robotniczego“, zwykle pod wezwaniem jakiego świętego, np. *cercle de St. Louis*, z grona swego deleguje „dyrektora“ tego nowego kółka. Nie lada to zadanie być dyrektorem kółka. Działalność jego rozwija się szczególnie w niedziele i święta. Już o 7mej rano dyrektor znajduje się w kółku i zostaje tam aż do 10tej wieczór. Nie wiem, czyby tyle poświęcenia znalazł kto u naszych polskich panów. Porządek taki: O godz. 8mej msza św. i nauka, potem na śniadanie ci, którzy mają rodzinę, wracają do siebie, inni biorą je w bufecie. Koło 11tej rano zbierają się na wspólne czytanie duchowne, poczem zabawy trwają aż do 3ciej lub 4tej,

następuje ono sławne francuzkie *Salut* tj. nabożeństwo nieszporne, na którem śpiewają w towarzystwie własnej muzyki robotnicy — i znów zabawy aż do 10tej wieczór. Główny cel kółek jest odciągnąć zwłaszcza młodzież robotniczą od złego towarzystwa, a zaszczepić w nią zasady wiary i moralności.

Znajdowałem się raz na zebraniu takiego kółka w niedzielę, na przedmieściu Clichy. Dyrektorem jego jest sekretarz w ministerstwie spraw wewnętrznych, człowiek młody, bardzo dobrze wychowany, spełniający z rzadką prostotą i uprzejmością trudny obowiązek gospodarza domu. Młodzież robotnicza bawiła się arcywybornie na placu: starsi grali w bilard, karty, ale nie o pieniądze; inni rozmawiali z kapelanem kółka, lub czytali książki, powieści, illustrowane pisma, żywoty i t. p. Wy tam we Lwowie możecie mieć dosyć dokładne o tem pojęcie, bo istniejące u was „stowarzyszenie czeladzi katolickiej“ pod zarządem ks. Odelgiewicza, ma wiele podobieństwa do tych *cercles des ouvriers*.

Wielka trudność w „polowaniu“ na robotników ztąd pochodzi, że członkowie „kółek“ są prześladowani od swoich kolegów, nie należących do kółka, a bardzo często ich radykalni chlebodawcy wypowiadają im miejsce. Obowiązkiem więc jest komitetu wyszukać robotę dla członków kółek, co niekiedy z trudnością wielką przychodzi. Dla przyciągnięcia robotników żonatych do „kółka“, komitet ma staranie i o ich rodzinie. I tak w każdem kółku jest raz do roku rozdanie nagród dla dzieci robotników, które chodzą do szkół „braci“ *frères des ecôles chretiennes*, albo do ochronek zgromadzeń zakonnych.

„Bracia“ mają w samym Paryżu 79 szkół, w każdej po 400 i więcej chłopców. Żeńskie zakonne zgromadzenia uczą więcej jak w stu zakładach. Na to rozdanie nagród wysyła komitet delegata, który powie mówkę, prezyduje zaś miejscowy proboszcz i on rozdaje premiowe książki. Obecni są rodzice i krewni. Akt rozdania nagród kończy się uroczystem *Salut*.

W wielu kółkach założono już kasę robotniczą dla wspomagania rodzin zwłaszcza w czasie choroby robotnika, albo kogo z jego rodziny. „Kółko“ zapewnia opiekę dzieciom w razie śmierci robotnika, dopomaga mu w ich edukacyi, umieszcza, gdy podrosną w dobrych domach lub fermach, słowem czyni wszystko, aby ulżyć robotnikowi zmiejszyć jego nędzę, która zawsze złym będąc doradcą, popycha często do występku i zbrodni.

Aby dać pojęcie o moralnej doniosłości „kółek“ dosyć będzie, gdy powiem, co słyszałem z ust samego kapelana kółka Clichy, że w tem kółku założonem dopiero w Styczniu t. r. na 61 dorosłych

robotników, przystępujących do wielkanocnej komunii tylko trzech odbyło pierwszą swą spowiedź, wszyscy inni, a byli tam i 60letni starcy, pierwszy raz przystąpili do stołu pańskiego. „Ale wnet, dodał żywo kapelan, poprowadziłem ich drugi raz wraz z wszystkiemi kółkami robotników do komunii św. do Notre-Dame (katedry Paryża), a potem raz trzeci na Zielone święta, a teraz co miesiąc spowiadają się i komunikują".

Mając tyle trudności do zwalczenia, nic dziwnego, że mimo trzechletnich wysileń komitet kółek paryzkich zdołał zebrać w 10 kółkach miasta Paryża ledwo 1.700 robotników; — 1,700 na 250.000 to doprawdy cyfra bardzo skąpa, ale *omne initium durum*, a Francuzom trzeba oddać słuszność, iż nie zrażają się trudnościami, ale zapaliwszy się raz do jakiegoś projektu, złego lub dobrego, wykonywują go nieustraszenie. Cyfra wszystkich robotników należących do *„cercles ouvriers"*, na przestrzeni całej Francyi nie przenosi o wiele 10.000, sprawdzić jej dokładnie nie mogłem [1]).

Pisząc o Francyi, mimowolnie wymyka się myśl i do Polski. U nas klasa robotnicza ogranicza się na kilku miastach większych a właściwie na Warszawie, Lwowie, Krakowie i kilku innych jeszcze. Klasa ta dotąd mimo wybryków i zboczeń, które mają swe źródło w pijaństwie, ma wiarę, szanuje Kościół — ale szerzy się i u nas w śród niej zwłaszcza we Lwowie, propaganda niewiary pod osłoną postępu, tak że nie mylę się, gdy powiem, iż cała młoda generacya rzemieślników i robotników zarażoną już jest indyfferentyzmem, a w części nawet i fanatyzmem antireligijnym. Koniecznem następstwem tej bezreligijności musi być niemoralność w prywatnem życiu, ta wyradza charaktery niepewne, gotowe na wszystko co niecne i występne. A jednak ani księża, ani ludzie konserwatywnych zasad nie myślą o położeniu tamy. Są tu i owdzie wysilenia pojedyńczych ludzi, ale te rozstrzelone, bez wspólnej myśli i planu, nie poparte od świeckich. Czy ma pozostać tak dalej? Trudno z Paryża pisać programy dla Lwowa lub Krakowa, ale to pewna, że jeżeli rzeczy pójdą tym torem jak dotąd, to nie dalej jak za lat 10 będziemy mieli w Galicyi tę samą wielką ranę, która dzisiaj kaleczy ciało Francyi.

[1]) O tych rzemieślniczych kółkach mówiliśmy obszernie roku zeszłego, w rozprawie znakomitego pióra umieszczonej pod tytułem: Ruch ku reformie socyalnej w społeczeństwie katolickiem przez Dr. Mutinę. (Patrz *Przegląd Lwowski* z r. 1874 tom VIII str. 705, 802, 977). (Przyp. Red.)

Kronika.

W epokach przejściowych wszystko w nadzwyczajnych występowało zwykle kształtach. Obok lśniących się cnót ukazywały się czarne i straszne jak ciemności nocy występki, obok sceptycyzmu zabobon, obok niewiary fanatyczna w najpotworniejsze niedorzeczności wiara. Za taką przejściową w dziejach ludzkości epokę, uchodzić kiedyś będzie i wiek nasz XIX. Bo i dzisiaj jesteśmy świadkami podobnego nastroju ludzkich umysłów, w jakim się one znajdowały w ostatnich chwilach konania rzeczypospolitej rzymskiej i w czasach wszechwładnie panujących w pogańskiej Romie Cezarów. Wszystkiemu dziś wierzą i wszystkiemu przeczą zarazem, złorzeczą i błogosławią naprzemian, przed jedną tylko wysłanką niebios — Bożą prawdą czoła schylić nie chcą. Ta jedna nie znajduje w ogóle miru, przeciw niej jednoczą się zaraz wszyscy; bunt z tyranią, sceptycyzm z zabobonem, butna mądrość człowiecza z wiarą w niedorzeczności, zawierają z sobą ślubne nawet związki, aby Bożą prawdę zagładzić zupełnie. Jestto rzeczywiście godna zastanowienia się ta charakterystyka czasów dzisiejszych. Na te rzeczy patrzymy się wszyscy. Pewna część społeczeństwa starej Europy, znajduje się już w takim stanie, że jeśli co jeszcze, to chyba baśń najpotworniejsza zająć ją i ożywić chwilowo potrafi. A nie masz takiej, aby w nią wielu nie uwierzyło ślepo. Wiara w przechodzenie dusz (*metampsichosis*), rozmowa z umarłymi za pomocą lawirowania stołów, nawet pochodzenie człowieka od małpy, wszystko to miało gorliwych wyznawców i zaciekłych obrońców. I przyszło nawet do tego, iż znaleźli się i tacy, co uwierzyli jakoby jakiś tam fotograf potrafił na zawołanie wywołać, jak ongi owa wieszczka Saulowa, ducha zmarłej osoby, aby ująć jej rysy na płycie fotograficznej. Cóż więc dziwnego, że w chwili takiego usposobienia umysłów, najobfitsze żniwo zbierają Lucyfera wysłańcy. Prasa akatolicka, rewolucyoniści, liberali i różnego rodzaju sekciarze, skrzętnie niosą im pomoc, zamącając do reszty pojęcia, głoszonemi codziennie różnego rodzaju plotkami i niedorzecznościami, aby w mętnej wodzie łacniej łowić ryby. Wszystkiego oni użyć potrafią, nawet samemi prawdami Bożemi tak się posłużą, że je śmiesznemi przedstawią i rzecz świętą świętemi niby rzeczami w okruchy zdruzgoczą. Lucyfer pierwszy użył takiej broni w zasadzce swej na Ewę, taką bronią chciał zwalczyć samego nawet Chrystusa, w chwilach trzykrotnego kuszenia Go na puszczy. I od niego to wszyscy sekciarze i wszyscy nieprzyjaciele nauki katolickiej, nauczyli się tej sztuki walczenia przeciw Kościołowi. A u nas w Polsce, jeśli jakiej, to tej ostatniej właśnie z największym skutkiem użyć jeszcze można. I dlatego to u nas taki nawet niemądry mistycyzm jak Towiańskiego, spirityzm i zagrobowe światła wielu ludzi opanować zdołały.

Te myśli nasunęły nam się po przeczytaniu książki p. t. *Zestawienie objawionych w Kościele rzymsko-katolickim, (?) a w znacznej części już spełnionych przepowiedni o losach ziemi, ludzkości ziemskiej i wszechświata*, (wydanej we Lwowie nakładem i drukiem Związkowej Drukani 1875), którą nietylko że za bezcen sprzedawano, ale nawet każdemu kto chciał, darmo wpychano w rękę. *Przegląd Lwowski*, pierwszy z pism polskich, ostrzegł publiczność przed tym plagiatem sekciarza, który dla uwiedzenia dusz wierzących, przystroił

najobrzydliwsze swe doktryny dziełem ks. Curique, pismem świętem i objawieniami dusz świątobliwych, które w najpotworniejszy sposób sfałszował i przekręcił.

Plagiat ten posiadający wszystkie kwalifikacye, aby mógł się znajdować *in Indice librorum prohibitorum*, mieści w sobie tyle niedorzeczności i tyle zdań sekciarskich, że chcąc je wszystkie wytknąć musielibyśmy niemało miejsca poświęcić na to w *Przeglądzie*. A czy na ten zaszczyt może zasługiwać ta ze wszech miar licha, pełna fałszerstwa nędzota? Nam się zdaje, że już dosyć będzie dla niej to, cośmy tutaj powiedzieli. Zresztą prościuchne nawet dusze, na które właśnie obliczoną była, poznały się na niej. I tylko jedno, jedyne tylko z pism lwowskich, mające pretensye być wyrazem wykształcenia i nauki, nie poznało się widocznie na jej dążnościach, skoro przeciw niej powstając, przypisało autorstwo kapłanom katolickim. Nie pojmujemy zkąd i dlaczego podobna myśl nasunąć mu się mogła? Wszak w fałszowaniu tekstów i przypisywaniu komuś najbardziej wstrętnego mu zdania dotychczas tylko *Dziennik Polski* celuje. Taki więc plagiat, jak wspomniona książka, mogliby chyba wydać, jeśli już nie redaktorowie *Dziennika* lub *Tygodnia*, to co najmniej naturalni ich na polu religijnych zasad alianci, ale nigdy wierni Kościołowi kapłani. Redaktorowie wspomnianego pisma nie spostrzegli się widocznie, że uderzają w swego alianta. Błogosławimy tę ich pomyłkę. Taka to bieda nieznać katechizmu.

Z Rzymu. Za czasów rządów papiezkich w Rzymie krzyczano wszędy w liberalnych dziennikach na demoralizacyę i rozboje w Ojcowiźnie Piotrowej. Doczesne rządy miały się przyczyniać do rozkrzewiania wszelkiego rodzaju demoralizacyi. Argumentowano zupełnie w ten sposób, jakto robi u nas *Dziennik Polski*, ilekroć przeciwko nauce lub instytucyom Kościoła powstaje. Dzisiaj rządów papiezkich niema, zdawałoby się więc, że w całych Włoszech lud cały zanielił się i stał się wzorem innym narodom pod względem moralności. Tak niby powinno wypadać. Tymczasem wprost przeciwnie się robi. To trudno. *A capite pisces sordent.* Za przykładem króla i bohatera wolnej Italii, niewolnoży było iść senatorom jak Satriano i całej gromadzie mieszkańców ulicy? *Exempla trahunt*, to darmo. Więc nic dziwnego, że tam jakiś surowej garybaldowskiej moralności wyznawca, mniej może od pierwszych zważa na etykietę i wprost przywabia do siebie małe dzieciaki, dopuszcza się z nimi zbrodni ohydnej, a następnie obdziera je z ubrania i morduje w swym domu. To nic złego. Przed paru dopiero dniami wyszły na jaw, te bohaterskie czyny wielkiego wielbiciela Garybaldego. Do takich bowiem należał ów zbrodniarz, który dawniej jakiś czas przemieszkiwał w wiosce D'Incisa, położonej przy Florencyi.

Wzmianka o Garybaldym przypomina nam jego pobyt w mieście Frascati, o którym tyle teraz piszą gazety, wszystkich niemal odcieni politycznych we Włoszech. Stowarzyszenie robotników, chcąc uczcić bohatera z Kaprery, ofiarowało mu się ze swemi usługami, w chwili gdy tego lata zamieszkał w tem rozkosznem miasteczku. Nietylko więc, że wydział stowarzyszenia dostarczał do kuchni ex-dyktatora 25 funtów mięsa i 2 kury dziennie, ale gdy ten opuszczał Frascati, udając się do Civitta-Vecchia, stowarzyszenie zaspokoiło jeszcze wszystkie zaciągnięte przez niego po różnych sklepach długi. Zapomniało ono jednak niestety o gospodarzu hotelu, u którego mieszkał Garybaldy, a raczej nie przypuszczało, aby jenerałowi nie wystarczała jeszcze dzienna racya 25

funtów mięsa. I cóż się pokazało? Oto gospodarz hotelu zażądał teraz od stowarzyszenia zapłacenia mu 7726 lirów za zjadane w ciągu miesiąca obiady i wypijane wino w ilości 18 litrów dziennie przez rodzinę Garybaldego, składającą się z jego rzekomej żony (właściwie trzeciej już z kolei metresy, z którą jeszcze za życia prawej swej żony miał syna i córkę) i sześciu jeszcze osób. Jak więc widzimy, pustelnik z Kaprery, mąż wielkiej surowości i cnoty patryotycznej, niesłychanie trzeźwy i powściągliwy, umie żywot prowadzić.

W uroczystość Narodzenia N. M. Panny przyjmował Ojciec Św. bardzo znaczną ilość pielgrzymów francuzkch z dyecezyi Laval, którzy wręczyli Mu zebrane przez nich świętopietrze w ilości 80.000 franków. Kanonik Sauve odczytał w imieniu zgromadzonych po mistrzowsku prawdziwie ułożony adres, na który Ojciec Św. odpowiedział przedziwnie wspaniałą mową, jedną z najpiękniejszych bezwątpienia ze wszystkich improwizowanych przez siebie przemówień. *Osservatore Romano* podał ją natychmiast w streszczeniu. Postać przemawiającego Piusa miała w sobie coś nadzwyczajnego. Twarz rozpromieniona, w oczach pełnych dzisiaj jeszcze młodzieńczego blasku świeciły niby czyste kryształy łzy, gdy mówił o prześladowaniu Kościoła katolickiego w Rossyi, w Niemczech Szwajcaryi, a gdy wreszcie wspomniał o zabójstwie Gabryela Garcia Moreno, prezydenta rzeczypospolitej Podzwrotnikowej w Ameryce, czuć było w Jego słowach wielką boleść serca po stracie tego chrześcijańskiego męża stanu i wiernego syna Kościoła. Mówiąc o Rossyi dodał, że „potężne to państwo, przywłaszczywszy sobie nazwę **prawosławnego** *d'orthodoxe* w sposób wprost przeciwny właściwemu znaczeniu tego wyrazu, usiłuje ono od wielu już lat zniszczyć zupełnie u siebie katolicyzm". Wspaniałą tę mowę podamy w całości.

Kardynał Mac-Closkey przybył do Wiecznego Miasta. Na dworcu kolejowym przyjmowali Go: kardynał Franchi wysłany przez Ojca Św. i niezliczona ilość osób należących do pierwszych illustracyj w świecie katolickim. Nazajutrz przedstawiali się Jego Eminencyi w kolegium amerykańskiem, gdzie zamieszkuje wszyscy Amerykanie bawiący obecnie w Rzymie i złożyli Mu od siebie w hołdzie kosztowne nader dary, a mianowicie: kosztowne ornaty, kapę, pastorał, mitrę bogato sadzoną drogiemi kamieniami i cały ubiór kardynalski. Tego samego dnia (8 Września) wieczorem o godzinie 7 udał się kardynał do Watykanu, gdzie nadzwyczaj długie miał posłuchanie u Ojca św.

Posłowie z Neapolu i Sycylii zasiadający na lewicy w parlamencie Włoskim, swem zachowywaniem się wobec prześladowanych biskupów wprowadzają rząd piemoncki w Rzymie w bardzo przykre położenie. Na ich jak wiadomo żądanie odebrano biskupom ich pałace, a tymczasem dzisiaj, oni pierwsi niosą takim biskupom pomoc i oddają im do rozporządzenia swe własne mieszkania. W ostatnich n. p. czasach p. Cesari, Sycylijczyk, ofiarował biskupowi Girgenti swój pałac, powóz, konie i oddał na jego rozkazy liczną swą służbę.

Ze Lwowa. P. Bronisław Zawadzki, naczelny i odpowiedzialny redaktor *Ruchu*, zwiącego się *literackim*, usiłuje widocznie zrehabilitować się w oczach redaktorów *Dziennika Polskiego* i zaskarbić sobie względy p. Lama i p. Rogosza. Próżna praca — p. Lam jako człowiek rozumny nie będzie na to zważał — w chwili wesołego humoru gotów go jeszcze sto razy nazwać Aldebaranem, jak to już raz było. A tak przylepionego mu brzydkiego epitetu i on sam nawet nie potrafi odlepić. — To trudno. Praca tutaj stracona, chociażby

p. B. Zawadzki sto razy jeszcze uderzał na pisma jezuickie, jak mu się podoba nazywać katolickie pisemka, chociażby nawet sto razy jeszcze robił z księdza Stojałowskiego Jezuitę, to p. Lam nie będzie miał innego o nim wyobrażenia nad to, jakie ma. P. Lama może to tylko ubawić, skoro spostrzeże, że p. Bronisł. Zawadzki chcąc się koniecznie z nim zrównać, krzyczy z całego gardła *anch'io sarò presidente!* — P. Bronisław Zawadzki, potępiając wydawane przez ks. Stojałowskiego pisma, powinien był powiedzieć, co w nich złego widzi, — a za to, gdyby się pokazało, że ma za sobą słuszność, nie mielibyśmy do niego żadnej pretensyi; ale potępiać pisma dla tego jedynie, że jak mniema, są pismami jezuickiemi, to takie wystąpienie z sumiennością pisarską pogodzić się nie da. My o p. Zawadzkim, jak i o *Ruchu Literackim* troszkę lepsze mieliśmy wyobrażenie. Pokazuje się, że byliśmy w błędzie. — Postaramy się więc niebawem dać obszerniejszą odpowiedź *Ruchowi*. Jest w nim dosyć materyału, z którego skorzystać potrafimy. A tymczasem, skoro z wydawanych przez ks. Stojałowskiego pism *Wieńca* i *Pszczółki* zrobiono kwestyę stronnictwa, więc nam katolikom popierać je wypada. *Pszczółka* mianowicie zasługuje na to, aby w rękach wszystkich się znajdowała. Ostatni n. p. numer zawiera pełno ciekawych i z życiem napisanych sprawozdań z missyj katolickich.

— *Dziennik Polski* z każdym dniem przybiera coraz jaskrawszą barwę ultramontanizmu. Z taką gorliwością broni on Unii, a bije w dążności schyzmatyckie, że aż serce rośnie. Ktoby się tego spodziewał po p. Romanowiczu! Ale cóż kiedy niestety ta obrona *Dziennika* najbardziej właśnie dobrej sprawie szkodzi. Świętojurcy gdyby tylko chcieli dowieść, że to wszystko, co na nich *Dziennik Polski* pisze, jest czystą paszkwiladą, nie potrzebują nic więcej zrobić, jak tylko te same numera, gdzie są ich sprawy opisane, złożyć w Rzymie i wskazać na znajdujące się obok tego pełne brudu i fałszów artykuły, wymierzone przeciw najpiękniejszemu wykwitowi życia katolickiego, bo nawet zakonom żeńskim, przeciw nauce Kościoła i religijnemu nauczaniu dziewcząt. To już wystarczy, aby nietylko Rzym, ale wszystkich rozumnych i wierzących katolików przekonać, czem jest *Dziennik Polski* i na co zasługuje. Źle służą Unii ci, którzy w takiem piśmie stają w jej obronie.

— Wyszła niedawno w Paryżu książka ks. Roche, p. t. *Harmonies du culte de la Très-Sainte Vierge*, która na siebie powszechną zwróciła uwagę. Pełno w niej ważnych, ciekawych i pięknych nader rzeczy. Obok tych znajdujemy tutaj nieznaną dotąd historyę, jakim to sposobem wspaniała paryska bazylika Notre-Dame ocalała przed zniszczeniem w czasie komuny. Ciekawy ten wyjątek wspomnianego dzieła, podajemy tutaj według przekładu *Kuryera Poznańskiego*. Oto, jak o tem mówi ks. Roche:

W dniu 25 maja 71 r. powstanie było już stłumione, ale jeszcze wrzała walka w okolicach kościoła Notre-Dame. W Luksemburgskim pałacu zasiadał sąd doraźny, a ks. Roche polecono, aby gotował na śmierć powstańców, ujętych z bronią w ręku. Z kolei przyprowadzono mu młodzieńca z rękoma czarnemi od prochu, ubranego w podartą bluzę, poplamioną naftą. Nie wiedział on, że jest skazany na śmierć, bo nie zrozumiał użytego przez sąd wyrazu: *classé*, co znaczyło, że ma być rozstrzelany. Ks. Roche spotrzegł to i przejęty żałością oświadczył mu, że mu tylko godzina życia zostaje. Powstaniec jak piorunem rażony sunął się na ścianę, a potem uderzając się gwałtownie pięścią w czoło, zawołał: „Dobrze wiedziałem, że mi to przyniesie nieszczęście.“

Zdziwiony tym rozdzierającym serce okrzykiem ks. Roche, zachęcił oskarżonego, aby się całkowicie zwierzył. Nieszczęśliwy wahał się kilka minut, potem rzekł: „Wyznam wszystko, ale trzeba się spieszyć, bo za godzinę będzie zapóźno. Wczoraj wieczór sam zaniosłem do Notre-Dame dwie beczułki prochu i dwie banie nafty. Proch umieściłem w rurach od kaloriferu. Jednę z bań z naftą zaniósłem tam, gdzie siada arcybiskup, a drugą na chórek od organ. Tylko się spieszcie, bo czas upływa. Ale która godzina?“ — „Wpół do dziesiątej“, odpowiedział ks. Roche. — „Przed 10 podłożą tam ogień.“ Ks. Roche nie stracił ani chwili i przestrzegł profosa. Wysłano zaraz batalion stróżów pokoju, a z nimi skazanego. Wszystko pokazało się prawdziwem. W godzinę potem wrócił profos do ks. Roche: „Na sam czas przybyliśmy do kościoła, proch i naftę znaleźliśmy we wskazanych miejscach, a dwa krzesła już się paliły“. Wtedy ks. Roche w prawdziwie chrześcijańskiem natchnieniu rzekł do profosa: „Przecież nie możecie kazać rozstrzelać człowieka, którego zeznanie zachowało nam kościół Notre-Dame. Pamiętaj pan, że o kilka kroków od Notre-Dame znajduje się szpital Hôtel-Dieu, napełniony choremi. Uniknęliśmy okropnego nieszczęścia. Temu człowiekowi trzeba koniecznie przebaczyć.“ Ks. Roche dokazał swego, powstańca nie rozstrzelano.

— **W sprawie umieszczonego wyjątku z dokumentu** konsystorza od św. Jura, otrzymujemy od jednego z przyjaciół naszego pisma, szanownego bardzo kapłana, ruskiego obrządku, list następujący:

Wielebny księże redaktorze!

Umieszczony w ostatnim zeszycie *Przeglądu Lwowskiego*, wyimek z pisma przewielebnego konsystorza lwowskiego *r. grae.* i dołączone doń uwagi bolesne we mnie obudziły zajęcie, tem bardziej, iż znajoma mi jest sprawa, którą owo pismo zostało spowodowane. Zdjęty ciekawością zapragnąłem sam odczytać ten smutny dokument. Uderzony byłem szczególnie nazwaniem łacińskiego obrządku „papieskim“ jakby to i Unia nie była papieską. Niestety, nie rzadko słyszeć można epiteta „papista“, „papieski“ dawane przez naszych ruskich księży, nietylko łacinnikom, lecz nawet nam wszystkim, którzy będąc wierni Unii św., jesteśmy szczerymi synami katolickiego Kościoła i jako tacy do Stolicy Apostolskiej silnie przywiązani. Mimo to nie śmiałem jednak przypuszczać, aby podobne w pogardliwem znaczeniu u innowierców przyjęte nazwanie, mogło było w urzędowym konsystorskim dokumencie znaleść miejsce. Prawda, że dzisiaj tak daleko już rzeczy zaszły, iż są pomiędzy nami i tacy co mówili, że św. Jozafat za polskie pieniądze świętym został, że nawet ksiądz officiał Malinowski miał odwagę w urzędowej odpowiedzi, ogłoszonej także w *Przeglądzie*, powoływać się na potępione przez Ojca św. prawa wyznaniowe, ale nie podobna mi znowu było przypuszczać, aby dopóki jeszcze w związku z Kościołem jesteśmy, mógł pisać o „papieskim“ obrządku. Takby mogli pisać prywatnie ci, co się w Haliczu ze schyzmatyckimi popami bratali, ale nie mógłby pisać wysoki dostojnik unicki w piśmie urzędowem. Odczytałem umyślnie z uwagą pismo to dwuarkuszowe. Znalazłem w niem niezwyczajne rzeczy np. przytoczone tego rodzaju polskie przysłowia, że: „stworzył pan Bóg popa dla chłopa, a plebana dla pana“ i to w piśmie urzędowem! Ale wyznaję z radością, nie znalazłem wydrukowanego w *Przeglądzie* wyrażenia папескаго. Na pierwszy rzut oka, ponieważ pismo zawiłe, czytać każdy może папескаго, przy bliższem prze-

cież rozpatrzeniu się można ten wyraz odcyfrować латинскаго. Nie dziwię się wcale pomyłkom *Przeglądu*. Ortografia nasza osobliwie w piśmie jest bardzo rozmaita. W dokumencie, o którym mowa, litera Л zupełnie napisana jak ruskie П, natomiast łacińskie **n**, użyte raz za ruskie Н, drugi raz za ruskie П. O pomyłkę więc w takim razie nie trudno. Mam nadzieję wielebny księże Redaktorze, iż sprostowanie niniejsze przyjmiesz, abyś przekonał twoich przeciwników, że broniąc zasad katolickich zawsze prawdą się posługujesz, wierny swemu godłu *fide ac veritate* i nie lękasz się nawet do mimowolnej przyznać omyłki, którą pominąwszy, to i tak pismo naszego konsystorza lwowskiego *rit. gr.* nie przestaje najprzykrzejszego robić wrażenia. Wszak uważa ono za rzecz naganną udzielanie do czytania *Przeglądu Lwowskiego* pewnej osobie bardzo dostojnej w hierarchi i unickiego Kościoła.

Przyjm wielebny księże Redaktorze wyraz szacunku

Twój brat i sługa
ks. N. N. ritus graeci.

ŚWIĘTOPIETRZE
(Serya IV)

ZŁOŻYLI W REDAKCYI:

Ks. St. F.		2 złr.	— ct.
Parafianie ks. St. F.		6 „	— „
Tekla N.		2 „	— „
Maryanna		1 „	— „
	„Błogosław Ojcze Św. całej rodzinie mojej“		
N. N.		7 „	— „
	„Serdecznie Ukochanemu Ojcu“		
Minasiewicze: Franciszek, Julia i ich dzieci		11 „	— „
Ks. Motykiewicz	1 cwancygier i w srebrze	1 „	— „
Ks. Ludwik Orzechowicz z Łopatyna		10 „	— „
Ks. Józef Bąba od włościan, parafian w Wojniczu		37 „	— „
	Razem 1 cwancygier	77 złr.	— ct.
Z przeniesienia duk. 25, półimper. 4, marek 10, rub. 34, fr. 53 i 866		„ 87	„
Razem duk. 25, 4 półimper. 10 marek, rub. 34, frank. 53, cwanc. 1 i 943		złr. 87	ct.

Korespondencya.

Krakowianin *Warcie.* Czterech wyliczonych „nonsensów“ niema, bo tego, co *Warta* pisze, nie było w naszej antytezie. Przyznajemy się natomiast, że całość była „nonsensem“ w rodzaju *argumentum ad absurdum*.

Gdzie się kwalifikuje nasza antyteza, sprzeczać się o to nie będziemy, zgadzamy się nawet z *Wartą*, że mogłaby pomieszczoną być i w *Diable*, ale w takim razie cóż z tezą *Warty* zrobimy?...

Warta twierdzi, że „Chrystus nie był filozofem“ więc „katolicyzm nie jest systematem“ *(sic)*.

Odpowiadamy: *quo ad primum distinguo, quo ad secundum nego.* Konkluzya jest zupełnym „nonsensem“. O katolicyzmie bowiem można powiedzieć słowami poety:

Wszak nasze państwo, to gotycka wieża
Z tysiąca kolumn składa się i wiąże,
Niechaj się jedna usunie kolumna,
Gmach cały runie, cały się rozprzęże.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor ks. Edward Podolski.

POLSKA
W CHWILI SWEGO UPADKU

przez

Romualda Kaczyńskiego.

(Polska w czasie trzech rozbiorów 1772—1779. Studya do historyi ducha i obyczajów przez J. I. Kraszewskiego. Tom III 1791—1799. Poznań, nakładem I. Żupańskiego 1875).

(Ciąg dalszy).

III.

Po sejmie Grodzieńskim, który ulegając przemocy, podpisał drugi rozbiór, pozostała resztka Rzpltej znalazła się w nader opłakanem położeniu. Ster rządu w rękach ludzi niegodziwych, podłych najemników Moskwy; postoje wojsk rossyjskich, gospodarujących jak u siebie, wyciskających ostatni grosz z mieszkańców; upadek banków, do których szlachta przyzwyczajała się składać gotowiznę; ciągłe przytem upokorzenia ze strony Katarzyny, postępującej samowolnie i brutalnie przez swoich ambasadorów: oto co się teraz dostało w udziale narodowi, który niegdyś oddychał swobodą i wolnością, obfitował w bogactwa i dostatki!

Takie nie do zniesienia przykre obecne położenie, zaprawne żalem za utraconą przeszłością, pogrążało wszystkich, co jeszcze czuć byli zdolni, w stan okrutnej rozpaczy. Pod wpływem tego uczucia szlachetniejsza część narodu decydowała się już na wszystko. *„Una salus victis nullam sperare salutem“*, mawiano powszechnie. To niejako biorąc za godło, patrząc przytem na wypadki zaszłe świeżo we Francyi, myślano o powstaniu i w głuchem milczeniu sposobiono się do niego. Rewolucya była w powietrzu, „czuli ją ci nawet, co w nią nie wierzyli“. Doradzający powstanie przypuszczali, że choćby nawet całkiem upaść przyszło, honor narodu, protestującego orężem, zostanie ocalonym. Zdanie to odtąd powtarzali zawsze późniejsi przywódcy powstań oraz naczelnicy konspiracyj. Tymczasem owo ratowanie honoru kończyło się zwykle coraz to większemi materyalnemi i moralnemi klęskami, jakie na kraj spadały. Ale wracajmy do rzeczy. Liczono tedy, jak to zresztą zwykle u nas bywa, i trochę na

sympatyę Francyi i na neutralność Austryi, a co najważniejsza — na powstanie mas mieszczaństwa i włościan *(sic)*, których to ostatnich postanowiono usamowolnić.

Tę myśl powstania „z kraju przyniesiono wygnańcom, którzy ją przyjąć musieli". Wygnańcami zaś owymi (exulantami) byli po większej części twórcy konstytucyi 3 Maja, co — z wyjątkiem Kołłątaja — nie chcąc przystąpić do konfederacyi Targowickiej, uszli za granicę i tam łączyli się w kółka. Lipsk i Drezno stały się teraz punktami zbornemi dla exulantów, wyczekujących sposobnej chwili do działania na korzyść nieszczęśliwej ojczyzny. Kościuszko, książę Józef, Ignacy Potocki, Zajączek, Niemcewicz, Kołłątaj i inni, zostając w ciągłych stosunkach z krajem, osobliwie z Warszawą i Krakowem, po za granicami kraju pracowali w celu wywalczenia napowrót utraconej niepodległości Polski.

Pora obecna nie wszystkim z wygnańców wydawała się stosowną do zbrojnego powstania, a to ze względu, że trzeba będzie walczyć przeciw połączonym siłom rossyjskim i pruskim, że kraj był wyniszczony i znękany, a nadzieja zwycięztwa słaba. Tylko otaczający Kościuszkę, Ign. Potocki i Kołłątaj, skłaniali się do przyjęcia planu rewolucyi. Skłaniać się zaś tem chętniej można teraz było, bo kraj z każdą chwilą prawie doznawał coraz sroższego ucisku. A ucisk ten zwiększył się osobliwie gdy po Sieversie, który popadłszy w niełaskę u dworu petersburgskiego został z Warszawy odwołanym, sprawy rossyjskie objął jenerał Igelström.

Samowolne i obrażające w najdelikatniejszych uczuciach postępowanie nowego ambasadora Moskwy popchnęło do reszty naród polski na drogę orężnej rewolucyi. Słano więc teraz do Kościuszki do Lipska gońca za gońcem, aby przyspieszyć wybuch, tembardziej że zbliżała się chwila zapowiedzianej jeszcze na sejmie redukcyi wojska polskiego.

Najpierwej zamierzano zredukować brygadę wielkopolską, której jenerałem był Antoni Madaliński. Kiedy rozkazy redukcyi zostały wydane, Madaliński, nie zważając na następstwa, pierwszy podniósł oręż. Wyruszywszy z Pułtuska, poszedł on na Mławę, przez Srzeńsk i Wyszogród dążąc do Galicyi ku Krakowu dla połączenia się z Wodzickim, dowódcą dwutysięcznego korpusu.

Ten ruch brygady Madalińskiego był niejako hasłem powstania. Teraz Kościuszko, przebywający w Saksonii „już nie wezwania odbierał, ale groźby, iż bez niego rozpocznie się ruch cały". Tak przynaglony Kościuszko wyjechał z Drezna pierwszych dni Marca (1794 r.) i na lewym brzegu Wisły pod Brzeskiem oczekiwał na wiadomości od jenerała Wodzickiego.

Tymczasem jenerał-major Józef Wodzicki sam przygotował wszystko w Krakowie. „Jego staraniem miasto, okolica, szlachta, lud usposobiony był do wojny narodowej — i pełen zapału". Wyglądano tylko z niecierpliwością Kościuszki".

W d. 24 Marca Wodzicki i Kościuszko w wolnym już Krakowie (stojąca tu bowiem załoga moskiewska pod dowództwem pułkownika Łykoszyna ustąpiła na wiadomość o ruchu Madalińskiego) złożyli uroczystą przysięgę, a następnie ogłosili akt powstania narodowego.

Akt ten mianował naczelnikiem siły zbrojnej narodowej Kościuszkę, powoływał do broni wszystkich od lat 18 do 27, przywracał wreszcie siłę konstytucyi 3 Maja.

„Pierwszego dnia przy składaniu na rynku przysięgi tłumy się zebrały. Miasto całe przybrało powierzchowność niezwykłą, świąteczną. Damy i młodzież z uniesieniem i zapałem otaczały naczelnika narodu, który w szarej sukmance poprzysięgał nie rzucić oręża, póki nie odkupi ojczyzny lub nie zginie".

W ślad za aktem powstania poszła odezwa do narodu. Wydawszy ją Kościuszko, gotował się do wyciągnięcia w pole, lękając się być pochwyconym w Krakowie przez siedmiotysięczny korpus Denisowa i Tormasowa, już spieszących naprzeciw niemu.

Po Kościuszce dopiero zjechał do Krakowa Kołłątaj, „którego poprzedzała sława drugiego Robespierra". Z jego przyjazdem dał się czuć w mieście terroryzm. Pierwszą ofiarą tego terroryzmu padł niejaki ksiądz Dziewoński, z powodu swych stosunków z oficerem rossyjskim, który miał się żenić z jego siostrą. „Osądzony przez trybunał kryminalny na śmierć, ścięty został przed szarą kamienicą na rynku".

Powstanie w Krakowie znalazło odgłos we wszystkich prowincyach Rzpltej. Za przykładem brygady wielkopolskiej i inne oddziały wojska polskiego poczęły spieszyć w celu połączenia się przeciw nieprzyjacielowi. Brygadyer Kopeć cudem prawie wywodzi, z pośrodka otaczających ją wojsk rossyjskich, garstkę żołnierzy polskich, których w Uszomierzu błogosławi natchniony kapłan ks. Marek. Tak samo pułkownik Dzierżek bez broni, bez żywności rzuca się na Moskali, zagwożdża im działa, zabiera magazyny i kassę, a przedarłszy się po trupach, brygadę swą przeprowadza na obronę kraju. Oprócz tych dwie jeszcze brygady: Łaźnińskiego i Wyszkowskiego zdołały połączyć się z powstaniem

Tymczasem Igelström w Warszawie z początku i wierzyć nie chce w możność powstania. Dopiero nadchodzące z prowincyi coraz częstsze wiadomości o zbrojnym ruchu każą mu przedsiębrać środki ostrożności. Codziennie więc kogoś przytrzymywano i badano. Igelström żadnej nocy nie spał i miał zamiar wyciągnąć z miasta, będąc pewnym, że wojsko polskie jest w porozumieniu z mieszkańcami. Niepokój z każdym dniem się wzmagał. „Pruski rezydent utrzymywał, że niezmiernie czynni w Warszawie, bankier Kapostas i Węgrzecki od trzech miesięcy około 15 tysięcy czerw. zł. rozsypali na przygotowania“. Węgrzeckiego aresztowano. Kapostas w porę jeszcze umknął do Krakowa.

Stanisław August na wieść o powstaniu oświadcza wraz z Radą obu rezydentom (Moskwy i Prus), że z tym ruchem nie chce mieć nic wspólnego, że się go stanowczo wypiera. Zalecono przytem ze strony króla większą surowość miejskiej policyi, wyznaczając fundusz na zwiększenie dozoru i strażników. Komisyi wojskowej poruczono uśmierzać fermentacyę, jaką mógł wywołać postępek Madalińskiego.

Madalińskiego tymczasem ścigali ciągle Prusacy i to na terytoryum Rzpltej. Wkrótce i Igelström wysłał przeciw niemu jenerała Denisowa. Ten, zatrzymawszy się w Skalmierzu, oddział tylko pod dowództwem Tormasowa na Madalińskiego wyprawił.

Kościuszko, wyruszywszy z Krakowa dnia 1 Kwietnia, ciągnął ku Skalmierzowi. Po drodze zastęp naczelnego wodza zwiększali już to przybywający kosynierzy, już żołnierze różnych brygad, co zdołali się wyrwać z pośrodka wojska moskiewskiego, otaczającego ich.

W dniu 4 Kwietnia Kościuszko z oddziałem swoim, składającym się z 3000 pieszych i 1200 konnicy, zbliżył się pod wieś Racławice, gdzie już znajdujący się Rossyanie zajmowali dosyć silną pozycyę na nieprzystępnem wzgórzu, zwanem Kościejowską górą. Przez parę godzin oba wojska stały naprzeciw siebie, nic nie poczynając. Nareszcie Tormasów posunął się naprzód. Wszczęła się walka, trwająca od trzeciej popołudniu do ósmej wieczór. Rezultat jej był nader świetnym dla oręża polskiego. Moskwa pierzchła w nieładzie, zostawiając na polu bitwy jedenaście armat, sztandar jazdy, kilkaset trupów, przytem ranionych i jeńców. Straty ze strony polskiej były stosunkowo małe. Najwięcej odznaczyli się kosynierzy, dniem wprzódy do obozu przybyli, o których Tormasów sam mówił, że „szli nie do uwierzenia mężnie“. Bohaterami zaś dnia tego byli szczególniej (oprócz samego wodza) włościanie: Bartosz zwany Głowackim, Świtacki i Gwizdzicki.

„Sławna ta bitwa pod Racławicami stoczona, miała szczególniej wielkie znaczenie moralne, niezmierną wagę dla przyszłego powstania, dodała otuchy, wznieciła zapał, dowiodła, że wojsko z mężnego ludu złożone, mogło skutecznie walczyć z nieprzyjacielem, acz młode i niedoświadczone“.

W czasie tego w Warszawie, w miarę nadchodzących z pola wojennych działań prawdziwych i fałszywych wieści, niecierpliwość rosła. Mieszczaństwo szczególniej pragnęło jak najprędzej wybuchu. Szewc Kiliński, rzeźnik Sierakowski, adwokat Wulfers byli duszą w skrytości gotującego się rokoszu. Z mieszczanami połączyli się następnie i oficerowie artyleryi. Związkowi schodzili się na narady w samym arsenale.

Król i jego otoczenie, przeczuwając co się święci, wszelkiemi sposobami starali się temu zapobiedz. Ztąd od pierwszych dni Kwietnia mnożą się odezwy Stan. Augusta i Rady do narodu, głoszące, że wszczęte powstanie jest intrygą obcą, owocem maksym francuzkich, dążących do wywrotu ołtarza, rządu i własności.

Jednocześnie z temi odezwami pojawiły się w *Gazecie Krajowej*, wychodzącej w Warszawie, niby wiarogodne raporta z pola walki. Raporta te, układane zapewne w kancelaryi Igelströma, jak zwykle urzędowe moskiewskie, rozbijały w puch wojska powstańcze i kazały czytającym wierzyć, że ruch zbrojny przez wojska Imperatorowej całkiem przytłumiony został.

Jednakże Igelström, pomimo że umiał tak stanowczo uspakajać innych, sam „rzucał się niespokojny i coraz podejrzliwszy“. Odebrawszy wiadomość o pobiciu Tormasowa, zupełnie stracił głowę. Chciał z całą siłą wyruszyć z Warszawy przeciw Kościuszce; ledwie go powstrzymał od tego zostający pod rozkazami jenerała Pistor. Rozdrażniony aresztował, odgrażał się i rzucał, nie wiedząc co począć. Umówił się wreszcie z Prusakami, aby mu w razie potrzeby nadesłali posiłki. Prusacy skwapliwie zastosowali się do życzenia ambasadora Moskwy i z jenerałem Wolki szybko zbliżali się ku Warszawie. Ledwie magistrat uprosił Igelströma, aby ich do miasta nie wpuszczał.

Warszawa tymczasem na pozór była spokojną zupełnie. Nawet zwykłe zabawy zimowe w niej nie ustały. W przededniu rewolucyi, nie bez myśli zapewne, zaczął przedstawiać Bogusławski *Krakowiaków i Górali*. Sztuka ta jeszcze bardziej rozżarzyła zapalone umysły. Kuplety z niej, zastosowane do okoliczności, śpiewano po całej Warszawie, lotem błyskawicy rozchodziły się one pomiędzy ludem.

„Wspomnienie *Krakowiaków i Górali* jest nierozłącznie związane z rewolucyą 1794 r.“ Do tego czasu rownież należy owa oryginalna, zagadkowa figura żebraka, pół-waryata, zwanego Baranim kożuszkiem, „który z małą gilotynką siadał pod Kapucynami naprzeciw pałacu Igelströma i śmiejąc się różnym lalkom główki ukręcał“.

Pomimo tej pozornej spokojności stolicy, obawa powstania w niej wzrastała pomiędzy Moskwą i jej stronnikami. Pistor doradzał Igelstromowi opanowanie arsenału. Jenerał z początku opierał się temu. Wreszcie postanowionem zostało rozbrojenie wojska i zajęcie arsenałów w czasie wielkopiątkowego nabożeństwa, gdy lud znajduje się w kościołach. Z zamiarem tym zwierzył się Igelström Ożarowskiemu i Zabielle. Hetman Ożarowski pod sekretem opowiedział plan ambasadora jenerałowi Cichockiemu, a ten „że więcej był sercem z narodem niż z Rossyanami, odkrył co grozi spiskowym“. Postanowiono tedy uprzedzić zamach Moskwy i naznaczono wybuch powstania na Wielką Środę. (Dok. nast.)

KSIĄDZ NA PARAFII

pod rossyjskim rządem.

(Z ZAPISKÓW KS. A. JOMICKIEGO).

(Ciąg dalszy).

II.

(Moskwa po kampanii Sewastopolskiej — Ignatiew minister oświecenia — Cywilizowanie się Moskwy — Ukaz o szkołach — Księża katoliccy wobec ukazu — Stan rzeczy po bitwie pod Solferino — Metropolita Żyliński — Ukaz o ochronkach — Tercyarki Sióstr Felicyanek — Ks. Maciej Brudzyński — Prześladowanie Unitów za Mikołaja — Sobański Ludwik — Róża Sobańska — Krakowska i podolska ziemia — Charaktery tych dwóch prowincyj — Ś. p. ks. biskup Majerczak w Kielcach — Seminaryum kieleckie).

Moskal pobity zaraz pokornieje, jak niedwiedź na łancuszku, kiedy kijem dostanie; a chcąc ukryć swoje upokorzenie, staje się nagle humanitarnym, naukowym, liberalnym, sprawiedliwym nawet, łaje dzisiaj wszystkich i wszystko swoje co wczoraj zrobił, aby przed światem pokazał się tem, czem nie jest, to jest cywilizowanym i mądrym. To się znaczy, że naciąga na ręce glancowne rękawiczki, aby niedźwiedzie przykryć pazury. Ale kiedy tylko zdarzy mu się sposobność, on je zaraz pokaże, bo się nie przerodził, ale zataił; i dzisiaj jest

tem, czem był przed stu laty i sto lat jeszcze upłynie, on będzie tem, czem jest dzisiaj; i zawsze na nim spełni się to przysłowie: „że choćby się przestroił za pawia, to poskrob go po grzbiecie, a szczecina zaraz się pokaże.“

Po kampanii sewastopolskiej, Europa widziała, że Moskal jest słabym i niedołężnym, że ten wielki kolos, jest tylko wielki kadłub, który miał ręce i nogi, ale głowy nie miał. Więc wszyscy nowi pochlebcy nowego cara Aleksandra, zaczęli ganić na wszystkie sposoby rządy Mikołaja, a oświadczać się za nową reformą. Pierwszy Ignatiew minister wówczas spraw zagranicznych, podpisując traktat w Paryżu, urzędownie i głośno zapewnił, że odtąd Moskwa wstępuje na drogę wewnętrznej reformy i oświaty, a za nim wszyscy liberały, jak cerkiewne dzwonki na wszystkie tony: oświaty, oświaty; szkół i szkółek wołali. Zapadł więc najwyższy ukaz nowego cara Aleksandra, któremu się także zdawało, że ma rozum, aby we wszystkich miastach i miasteczkach zakładano szkoły i szkółki. Wyznaczono nawet na to dość znaczną sumę ze skarbu państwa, ale ta zanim z ministeryum (fałszywie nazwanego) oświaty wyszła, stopniała do połowy, a pozostała reszta przechodząc przez ręce gubernatorów i sprawników tak zmalała, że tylko w niektórych miejscowościach postawiono domy, które nazwano szkółkami, pod dozorem diaka, zwykle nic nieumiejącego.

Moskale prawie wszyscy są tego przekonania, że im nie potrzebna ani głowa, ani serce, dosyć im, że mają nogi i ręce, aby mogli leźć tam, gdzie niepotrzebni i grabić co się da. Z tem wszystkiem, spełniona była jak zawsze forma ukazu. Ogłoszono go nawet we wszystkich gazetach miejscowych i zagranicznych, aby Europa wiedziała, że Moskwa się cywilizuje, ale nie napisano tego, że żadnej szkółki nie było, i że zaraz za ukazem, przysłano sekretne rozporządzenie do gubernatorów, którzy także w sekrecie polecili sprawnikom, aby pod żadnym pozorem nie pozwolić zakładać katolickich i polskich szkółek.

Księża katoliccy widząc publicznie ogłoszony ukaz, wzięli się z całą gorliwością do zakładania szkółek, a policya z całą gwałtownością rozpędza je; nie pomogły wszelkie zażalania do władz wyższych; powiedziano im w końcu: — ukaz nie dla was, co znaczy innemi słowy, że wy katolicy jesteście wyjęci z pod prawa. Wam się nic nie należy, tylko knut i Sybir, jeżeli nie przestaniecie odwoływać się do prawa. I kiedy kilkunastu księży srogo za to ukarano, przyszło znowu do tego, że pod rządami nibyto najliberalniejszemi nowego cara, w obec całej zgrai liberałów krzyczących oświaty, kapłani katoliccy jak pierwej za

najgroźniejszego prześladowania cara Mikołaja i Bibikowa, w własnym pokoju, w sekrecie, przy drzwiach zamkniętych uczyli dziatwę pierwszych przynajmniej początków, by Boga chwalić i kraj miłować umiała. Z pomiędzy wielu odznaczył się tu najwięcej gorliwością ks. Maciej Brudzyński pierwszy w Ładyżynie proboszcz, a mój poprzednik. Narażał on się na wszystko i był wszystkiem dla każdego, w każdym wypadku; a prócz tego, że w własnym pokoju utrzymywał sekretnie szkółkę, jeździł po domach i w sekrecie uczył dzieci, gdzie tylko było można, a to wszystko jak w czasach pierwszych chrześcijan kryjąc się z poczciwym czynem jakby ze zbrodnią jaką. Złodziej na ulicy w jasny dzień i to z urzędu, rozbijał bezkarnie, ale kapłanom wypełnianie obowiązków sumienia zabronionem było. I to się nazywały rządy najłaskawszego, liberalnego i mądrego nowego cara Aleksandra.

Po kampanii włoskiej, kiedy pod Solferino zwycięzki sztandar Francuzów, zaimponował Europie, a zasada wolnych narodowości wygłoszona przez Napoleona III lotem błyskawicy obiegła całe nasze półkule; przypomniała sobie dopiero Moskwa Sewastopol i szerokie cywilizacyjne obietnice na traktacie w Paryżu i jakoś nieco zwolniała w prześladowaniu swojem. Ukazy jednak stały, ale o ich egzekucyę nikt się już niby nie troszczył. Jeżeli jaki czynownik na swoją rękę działając w moc ukazu obdarł kogo, władze wyższe nie ganiły go, ale jeżeli wiedzieli, że gdzie działano przeciwko ukazowi, patrzano niby przez szpary, w każdym razie była to epoka, że za niewielkie pieniądze, można było wiele dobrego zrobić. Mawiano wówczas zwykle, że mamy dwóch carów, jeżeli opłacisz urzędnika, masz łaskawego cara Aleksandra i wolno ci robić co chcesz; jeżeli nie opłacisz, masz srogiego cara Mikołaja, bo żaden ukaz swej potęgi nie stracił i odwołany nie był. Bądź co bądź, była to chwila wolniejszego oddechu, popy przycichły, więc i donosów i szpiegostwa nie było, a kiedy jeszcze archirej (biskup schyzmatycki) w Kamieńcu, który także bawił się w liberała, ukarał kilku popów za to, że się do spraw katolickich mięszali, to już się stali tak pokornemi jak pudle. A ponieważ zrozumieli, że tylko z łaski mogą dostać kubana, więc jak pudle nadskakiwali na wszystkie strony. Można było wtenczas za 10 rubli całą familię zabraną gwałtem niedawno do schyzmy od popa wykupić i wiele, wiele dobrego zrobić. Tu zaczęto wtenczas i nowe kościoły budować i stare reperować i nabożeństwo publicznie z okazałością odprawiać i figury przy drogach stawiać i ze szkółkami już się tak nie kryto, a chociaż każdą czynność trzeba było opłacić, aby policyant zamknął

oczy, płaciło się przecież ochotnie, bo się przychodziło do pewnych rezultatów.

W tym to właśnie czasie, udało się metropolicie Wacławowi Żylińskiemu, wyjednać u ministra Wałujewa pozwolenie, które stało się ukazem, bo je podpisał car, że wolno jest kapłanom katolickim utrzymywać przy kościele ochronkę, ale szkółki nigdy. W ochronce zaś wolno było uczyć tylko pacierza, katechizmu, śpiewów kościelnych i do mszy posłużyć, ale czytać i pisać nie wolno. Były atoli w tym ukazie, jak we wszystkich innych, dwa przeciwne sobie ukazy. Uczyć i nie uczyć. Bo pytam się, jak nauczyć dziecko katechizmu, spiewów, i do mszy św. służyć, kiedy czytać nie umie? jak znowu uczyć czytać, kiedy to zabronionem wyraźnie było? więc znowu rubel musiał tu być najważniejszym komentarzem. Z tem wszystkiem, jakby jaką rosę z nieba na spieczoną ziemię, lub mannę głodnym żydom spuszczoną na puszczy z radością odebraliśmy ten ukaz. W moment powstały w wielu miejscach ochronki, znalazły się i tercyarki podobne Felicyankom w Warszawie. Szkoda, że zamilczeć muszę, kto był pierwszym motorem do założenia nowicyatu tych improwizowanych Felicyanek na Podolu, gdzie, jak i jakiemi sztukami przychodzono do tego. To tylko dodam, że na jedno zawołanie sekretne, w krótkim przeciągu czasu, stawiło się 40 dziewic, które przykładnem i czystem życiem, umartwieniem i ofiarą przypominały pierwszych chrześcijan Kościoła. Pomimo że reguła nie obowiązywała je do wielkiej surowości, bo przeznaczenie ich było do życia czynnego i pracy, same sobie zadawały takie utrapienia, że często potrzeba było surowym zakazem powstrzymywać gorliwość tych świątobliwych dusz, które w grubym na gołem ciele noszonym habicie, opasane paskiem św. Franciszka, boso lub w drewnianych sandałach dla dobra dusz poświęcały swe życie. Ale dla zasłony przed policyą nosiły one na wierzchu czarną i skromną sukienkę. Gotowe zawsze do wszelkiej ofiary; gotowe pójść wszędzie i robić wszystko co się Bogu podoba, bo miłość Boża pędziła je. Pomiędzy niemi było wiele takich, co za pieniądze, lub sztuką wyrwane z carosławia, świątobliwością swoją nie raz zdumiewały mnie i do gorącej podnosiły modlitwy, by dziękować Bogu za miłosierdzie i za łaski Ducha świętego, które tak obficie spływały na tę nową gromadkę wiernych, w kraju prześladowania od lat stu.

Z pomocą innych kapłanów byłem ojcem duchownym tych dusz świątobliwych. Atoli z pokorą wyznać tu muszę, że prawiąc im konferencye i lekcye duchowne, za każdym razem sam od nich wychodziłem lepszym. Wpajając w nie życie Chrystusowe, utwierdziłem je w sobie,

a patrząc na ich postępy w pokorze i abnegacyi, nie znajdowałem dla nich w głębi mej duszy dosyć uwielbienia i czci.... A tę wielką ich świątobliwość i widoczną łaskę Bożą przypisywały one tylko modlitwom owego świątobliwego kapłana, który był pierwszym założycielem ich zgromadzenia. Całe ich zajęcie było nieustanną pracą na usługi chorych i uczenie dzieci, a całą siłą — modlitwa. To też nie było chorego, któregoby nie odwiedzały, choć nie miały szpitala, a każdy chory, którego one ciepłem swojem ogrzały, powstawał z choroby więcej wierzącem i gorliwszem niż dotąd dzieckiem Kościoła. A jeżeli chory musiał już zakończyć ten ziemski żywot, to za ich staraniem i modlitwą stawał przed Bogiem jak święty. To też nic dziwnego, że cała tam ludność nietylko katolicka, ale schyzmatycka i żydowska nawet, czciła, szanowała i uwielbiała je. Każdy dom miał sobie za największe szczęście, jeżeliby siostra odwiedzić go chciała, ale siostra bez koniecznej potrzeby, nie przestąpiła cudzego progu, bo w domku swoim zajęta uczeniem dzieci, nawet w chwilach odpoczynku uważała sobie za rzecz najkonieczniejszą, czas ten na modlitwie i rozmowie z Bogiem przepędzić.

Kiedy już ów improwizowany nowicyat, ta święta pepinierka znacznie pomnożyła się, rozesłaliśmy je po trzy, po dwie najmniej, po wszystkich prawie większych miasteczkach Podola, Wołynia i Ukrainy. Jedna z nich zwykle więcej podniesiona duchowo była w charakterze przełożonej małego domu i w ciągłym zostawała związku z głównym domem i nic na swoją rękę bez pozwolenia działać nie mogła. W miarę ich pomnażania się rozsełaliśmy je coraz dalej, a zawsze tam, gdzie proboszcz parafii odznaczał się więcej gorliwością i świątobliwym żywotem. Taki bowiem z ochotą prócz obowiązku załatwiania najpierwszych ich potrzeb, przyjmował obowiązek moralnej opieki nad ich sumieniem, więc gorliwiej i słowem Bożem i Chlebem Żywota karmił. I każdy Bogu i nam dziękował za nie, bo i parafia taka, gdzie mieszkały tercyarki, lepszą i gorliwszą stawać się musiała.

Wspomniałem wyżej o szczególniejszej gorliwości ś. p. księdza Macieja Brudzyńskiego, proboszcza przy Ładyżyńskim kościele, a poprzednika mojego. Był to szczególniejszy człowiek; prawdziwy sługa boży na ciężkie prześladowania cara Mikołaja z Opatrzności tu dany. Kapłan ten obok świątobliwego żywota i gorącej wiary, pełen miłości i wysokiej pokory, jak niegdyś święty Wincenty à Paulo w całej tej okolicy był wszystkiem dla wszystkich. Nie było chorego i ubogiego, którego by on nie znał, nie poradził, nie wspomógł; nie było nieszczęścia i przygody w domu, którejby on nie odczuł i nie podzielał,

a we dnie i w nocy zawsze gotowy, to z datkiem, to z pociechą, to z radą jakby Anioł Boży, tam przybywał najwcześniej, gdzie było najgorzej. Już to wszystkie dzieci w całej okolicy sam do pierwszej spowiedzi i komunii św. przysposobiać musiał. Pomimo najsurowszego carskim ukazem zabronienia, on jeździł z kaplicą podróżną po parafii i niejednemu choremu przy drzwiach zamkniętych i mszą św. odprawił i świętemi Sakramentami opatrzył i wszystkiego co było potrzeba dopełnił, a to wszystko z taką ostrożnością i rezygnacyą, jak za czasów Dyoklecyana lub Nerona, bo gdyby to wiadomem było rządowi, to nie tylko on, ale wszyscy co brali udział w obrzędach od srogiej odpowiedzialności i kary wolnymiby nie byli. Ale widać dawał mu Bóg szczególniejszą łaskę, że się jakoś wszystko udawało, co drudzy nie mogli. Miał on jakiś dziwny talent, zjednania sobie czynowników moskiewskich, tego zapłacił, tamtego uprosił, w trzeciego wmówił, że poczciwy i mądry i Moskal uwierzył i chociaż to nieraz był łotr najpierwszej próby, to względem niego zawsze się pokazywał, że mądry i poczciwy i nigdy mu nie szkodził. A jeźli kiedy i jaki pop zrobił na niego denuncyacyę, to i ten wiary nie miał, tak osobę ks. Macieja poważano. Była to epoka, kiedy car Mikołaj gwałtem, knutem i żandarmami nawracał Unitów do carosławnej cerkwi. Wielu niegodnych popów wyszukanych w Galicyi, zupełnie tak samo jak się to i dzisiaj dzieje w Lubelskiem, z całą zaciekłością dopomagali rządowi. Ale wielu starych i poczciwych Unitów, nie widząc sposobu uniknienia gwałtów i nie mając dosyć odwagi, by siebie, żonę i dzieci na męczeństwo wystawić, przyjęło formę prawosławia, ale w duchu wszystko zgodnie z Kościołem spełniało. Źle zrobili, to prawda, ale koniec końcem było takich wielu. Ksiądz Maciej wszystkich takich znał, w sekrecie spowiadał i na ostatnią ich życia godzinę świętemi opatrywał Sakramentami, a pozostałe po nich dzieci na swoją brał opiekę i tak się niemi zajmował, osłaniał i bronił, że im i nauki podał i z prawosławia wykręcił i w dalekich gdzieś guberniach Litwy lub Korony ze wszystkiemi legalnemi metrykami i dowodami koniecznego szlachectwa na poczciwych posadach umieścił. Szczególniej w takich potrzebach umiał on bardzo korzystać z szerokich i świetnych stosunków nad wyraz zacnych kolatorów swoich, jak to zobaczymy niżej. I któżby policzył wszystkie czyny i wielkie a ukryte cnoty tego pokornego, cichego, a pełnego ognia miłości Bożej, prawdziwie apostolskiego męża. Śmierć jego nieprzewidziana w Kamieńcu otworzyła dopiero usta tym, którzy od niego w sekrecie dobrodziejstwa doznali, a długo zawodzony płacz,

przez wszystkie sieroty i wdowy, był najświetniejszym pomnikiem jego krótkiego, ale pełnego ofiary i cichych cnót żywota.

Ksiądz Maciej Brudzyński pochodził z krakowskiej ziemi. Urodził się d. 26 Lutego 1801 r., a umarł d. 26 Czerwca 1857 r. w Kamieńcu, przeżywszy lat 56 i miesięcy 4.

Przedwczesna śmierć ks. Macieja, jeżeli w całej okolicy wywołała smutek i żałobę, to najbolesniej odbiła się w rodzinie kolatorów Sobańskich. Stracili bowiem w nim najszczerszego przyjaciela, doradcę i że tak powiem brata i ojca. On wszystkie ich dzieci chrzcił, wychował i śluby podawał. Ojca i głowę familii ś. p. Ludwika Sobańskiego, włóczonego przez Moskali po wszystkich warszawskich i petersburgskich więzieniach, od roku 1825 odwiedzał. Na wygnaniu w Permie pocieszał, a w końcu strudzonego w prześladowaniach ducha wielkiego obywatela, na śmiertelnej pościeli Bogu polecił. Możnaby powiedzieć, że życie jego było złączone z ich życiem, jak struny na jednej lutni, co zawsze jeden zgodny i miły wydają akord. Ze śmiercią jego ta struna pękła, w akordzie została się próżnia, a ich przywyknienie, potrzeby i serce wymagało, aby ją zapełnić. Niełatwy to był wybór kapłana do osieroconej parafii, bo chociaż wielu było w dyecezyi prawdziwie znakomitych i świątobliwych kapłanów, to jedni już byli związani obowiązkami, inni znowu nie łączyli w sobie tak, jak to umiał ks. Maciej i gładkości w obejściu się i roztropności w działaniu.

Kolatorka Róża z hrabiów Łubieńskich Sobańska, pochodziła z krakowskiej ziemi. Syn jej Feliks, później marszałek gubernii, właśnie wtenczas dochodził do pełnoletności i pojął w związki małżeńskie hrabiankę Łubieńską kuzynę swoją, także zamieszkałą w krakowskiej ziemi, a ztąd wypadło, że rodzina Sobańskich z głębokiej Ukrainy i oddawna i teraz widziała się w Krakowskiem jakby w własnym domu. Te dwie szczególniej polskie prowincye mają w swym charakterze coś wspólnego, coś bardzo podobnego, co je nawzajem jednoczy. Ta szczerość postępowania, gościnność w przyjęciu, gotowość do wszelkiej ofiary; porywczość nawet gwałtowna do wszystkiego co piękne i dobre, jest wybitną cechą tych oddalonych od siebie prowincyj, tak dalece, że twierdzićby należało, iż dwaj rodzeni bracia zaludnili je. Nic więc dziwnego, że serce kolatorów zapragnęło znaleźć dla swojej parafii proboszcza w Krakowskiem, tem bardziej, że i ś. p. ks. Maciej ztamtąd właśnie pochodził. Napisali więc listy do ks. Macieja Majerczaka, wówczas administratora dyecezyi kielecko-krakowskiej, a później biskupa w Kielcach i do ks. Wincentego Popiela, wonczas professora w seminarium kieleckiem, a później biskupa dyecezyi płockiej, który

jeszcze dzisiaj jest na wygnaniu moskiewskiem w Nowogrodzie, aby im wskazali i przysłali, z tej dyecezyi księdza. Byłem wtenczas jako młody, bo dopiero trzeci rok wyświęcony kapłan, wikaryuszem w Bendzinie, była to pierwsza moja posada, a chociaż parafia liczyła 6000 dusz, nie przykrzyłem sobie, bo widocznie na każdym kroku P. Bóg błogosławił i o żadnej nie myślałem zmianie. Wtem pewnego razu odbieram wezwanie z konsystorza, abym natychmiast przyjeżdżał do Kielc w własnym moim interesie. Naturalnie nie bez wewnętrznego wzruszenia pojechałem tam. W Kielcach powiedziano mi, że nie konsystorz, ale ks. Administrator Majerczak ma do mnie interes; w kilka chwil już byłem w jego mieszkaniu i jak zwykle przyjął mnie bardzo łaskawie.

Ś. p. ks. biskup Majerczak, był to człowiek nad wyraz zacny, serca prostego, ducha pokornego, nauki wysokiej, życia świątobliwego, a wiary i miłości pełen. Pomijam, że pod jego rządami dyecezya zakwitła była w znakomitych kapłanów, że seminaryum kieleckie pod względem panującego w niem ducha zarządu i wykładów (pod takimi profesorami jak ks. Wincenty Popiel dzisiejszy biskup Włocławski, a wówczas profesor Teologii i vicerektor, ks. kanonik Wnorowski kilkoletni syberyjski wygnaniec, a przedtem profesor akademii duchownej, ks. Tomasz Kuliński dzisiejszy biskup i wielu innych kapłanów znanych z nauk, będących w ogóle doktorami, lowańskiemi lub rzymskiemi) mogło było wówczas iść w zawody o pierszeństwo z najpierwszemi tego rodzaju zakładami w Europie, ale to rzeczy wszystkim znane, chciałem tylko nadmienić, że jeszcze w czasie mego pobytu w seminaryum, był na mnie ks. biskup bardzo łaskawym może dlatego, że widział we mnie nie młodzieńaszka z ławki szkolnej, ale człowieka około lat 30 mającego, który z przekonania chciał służyć Bogu. Lubił mnie więc bardzo, a miał przysłowie: tedy... Więc zaraz po powitaniu oświadcza mi:

— Tedy, jest żądaniem p. Sobańskich z Podola, aby ksiądz z ziemi krakowskiej był u nich proboszczem, a ja ciebie tedy tam przeznaczam... Ale jednakżeż to wszystko od ciebie zależy, bo ja zmuszać cię nie chcę, więc tedy powiedz czy masz ochotę? czy pojedziesz na Podole czy nie?..

Podziękowałem mu najprzód za okazaną życzliwość, a potem powiedziałem stanowczo, że namyślić się muszę.

— Dobrze tedy, podoba mi się, że lekko sprawy nie bierzesz, ale, tedy, długoż to namyślać się będziesz?

— Ja nie wiem, kilka dni zapewne, odpowiedziałem, boć to nie mała rzecz opuścić swoich i łaskawość ks. Administratora, a szukać w świecie pomiędzy obcymi tego, com nie zgubił.

— Tedy, masz racyę i dla tego namyślaj się, ale to jest pewna, że czy długo, czy krótko myśleć będziesz, nic nie wymyślisz, jeżeli ci nie poradzi Bóg. Słuchaj tedy mnie starego, wszak wiesz, że ci dobrze życzę: oto tedy jutro odpraw mszę św. na tę intencyę, a co ci Bóg każe to zrobisz. Nie krępuj się moją propozycyą, bo wcale za złe uważać nie będę, jeżeli tam nie pojedziesz.

Przez cały dzień oddalałem od siebie nawet myśl wyjazdu, a tem bardziej stanowczej decyzyi, chociaż przyznać muszę, że wiele miałem w duchu pokus, aby na miejscu pozostać. Tyle stosunków, które tu miałem, pobyt pomiędzy swoimi, jakie takie już w dyecezyi zasługi, życzliwość kolegów i przełożonych, nakoniec dziwny jakiś pociąg, do tej bożej Krakowskiej ziemi, gdzie ludek tak poczciwy i goręcej może jak gdzie indziej Boga chwalić pragnie, jakby łańcuchami do miejsca przykowało mnie. Ale chłop strzela P. Bóg kule nosi, mówi dawne przysłowie, więc i ze mną tak samo się stało. Na drugi dzień, kiedy po odbytej na tę intencyę spowiedzi, stanąłem ze świętą ofiarą przed ołtarzem Pańskim, inna zupełnie przedstawiła mi się myśl, takiej nabrałem ochoty, że gotów byłem wprost od ołtarza na Podole pojechać. Pobiegłem więc najprzód do ks. Majerczaka, a gdym mu opowiedział z niekłamaną radością, że projekt przyjmuję i jadę:

— Tedy, dziękuję ci, rzekł szanowny pasterz, mam nadzieję, że mi wstydu nie zrobisz. (C. d. n.)

JAN BAPTYSTA SIGL

przez

MICHAŁA ŻMIGRODZKIEGO.

Zwykle tak dzieje się na świecie, iż dopiero po śmierci poczynają ludzie mówić i pisać o tych, którzy walcząc za świętą sprawę, sącząc krew z serca kroplę po kropli, złożyli krwawą ofiarę na ołtarzu Boga i bliźnich. Dobre i to! — czasami lata przechodzą, a nikt i słowem nie wspomni. Sądzę więc, iż mi słuszność będzie przyznaną, jeśli dziś koło czytelników *Przeglądu* poznajomię z postacią, obcej wprawdzie narodowości, lecz walczącej za sprawę drogiej nam wszystkim religii; z postacią wprawdzie nie umarłą, lecz na długi czas wyrwaną z koła żyjących. Tem bardziej ta myśl była mi na sercu, iż rodacy właśni nie odpłacili mu powinnem uznaniem.

Rzadko spotkać człowieka, nie stojącego u steru rządu, a jednak w tak ścisłym związku z dziejami swego narodu, iż każda ogólna sprawa była zarazem jego najbardziej osobistą sprawą — człowieka takiego, ogromnego

wpływu na każdą sprawę, iż osobistości bezpośrednio przy władzy stojące, jak Bismark, uznały go „jednym z głównych swoich przeciwników i poprzysięgły go zgubić".

Wysokiego wzrostu, szczupły, długie blond włosy, twarzy nadzwyczaj wyrazistej, usta przycięte z małym odcieniem pogardy i bolu. Do całości charakterystyki tej twarzy dodajmy okulary — oto w małych rysach portret Dra Sigla, redaktora wychodzącego w Monachium czasopisma *Baierisches Vaterland*.

Wspomniawszy tylko, iż się urodził w Górnej Frankonii, że ma obecnie lat 33, a studya odbywał na tutejszym uniwersytecie, przechodzę do właściwej biografii Sigla, poczynając opowiadanie od 1869 roku. W Marcu owego roku pojawił się pierwszy numer dziś zarówno znienawidzonego jak i uwielbianego dziennika p. t. *Das Baierische Vaterland*.

Pora była nader odpowiednią. Wpływy pruskie grasowały w Bawaryi, jak zaraza morowa, za parę miesięcy następowały wybory do Izby posłów — na niej miały poledz losy Bawaryi na długie lata, do niej powinni byli wejść posłowie przekonań katolickich, bawarskich, a tymczasem w tak ważnej chwili przeciw wściekłej prasie liberałów wołało ledwo parę dzienników katolickich, — wprawdzie szlachetnym lecz słabym głosem. — *Kurier* i *Volksbote* były to jedyne organa katolickie. Sigl nawet był przez pewien czas redaktorem *Volksbote* lecz był zapewne zależnym; ustąpił więc, był przez pewien czas korespondentem do gazet, a następnie założył na własne imię wspomniane czasopismo, którego zagłówek związał się w organiczną całość z imieniem redaktora — Sigla *Vaterland*, to zwykłe wyrażenie się wśród ogółu.

Nie chcąc następnie przerywać ciągu właściwej historyi pisma i wydawcy, muszę najpierw określić jego wyznanie polityczne wiary, i stanowisko jakie wśród prasy zajął *Vaterland*. Na początku 69 roku obóz katolicko-patryotyczny był jeszcze w pozornej jedności, — jednak ci co znali lepiej miejscowe stosunki, przewidywali przyszłość i to było właściwą przyczyną pojawienia się nowego organu. Następnie, gdy przyszedł 70 i 71 rok, gdy potem w 73 roku *Vaterland* został nadzwyczaj boleśnie zaczepionym od reszty prasy katolickiej, całe jego wyłączne stanowisko stanęło w pełnem świetle. W pierwszej zaś chwili postawił taki program: „Chcemy całych połączonych Niemiec, lecz na podstawie wolnej federacyi ludów. Jeżeli taka przyszłość jest niemożebną, to chcemy, by Bawarya była członkiem samodzielnego południowego związku, by zachowała godności jej odpowiednie, a niezależne stanowisko w Europie, by nie była tylko prowincyą lub satrapią Prusaków. Nadzieje nasze pokładamy w ludzie wiernie katolickim, nie związanym niczem w swych sądach — jeżeli taki kierunek podoba się komu nazwać demokratycznym, to odpowiadamy jak najbardziej stanowczo: tak! jesteśmy demokratami!" Już w tej zapowiedzi nowo powstającego pisma widać, iż się przygotowywała walka wewnątrz samego obozu. Słowa: „w ludzie nie związanym niczem w sądach" były cierpką wymówką, iż nie lud działa niestanowczo, bowiem stosunki rodzinne, majątkowe i t. p. wiążą go na każdym kroku. Zapowiedź walki już była, *Vaterland* jednak jej nie wyzywał. Od roku 69 do 73 wszędzie, gdzie trzeba było walczyć, stał zawsze na pierwszej placówce lewicy, walczył po swojemu, a tych którzy zaniedbywali sprawę, pomijał milczeniem i tylko gdy niedbalstwo dochodziło zdrady mandatu i kraju,

wtedy smagał bez serca. Warto czytać *Vaterland* w 1870 około 15 Lipca i następnie 1871 roku około 21 Stycznia. Był to jednak głos wołającego na puszczy. Serce żal ściska, czytając te smutne a i brudne karty historyi! Do naszych rozbiorowych dziejów ogromne podobieństwo. 21 Stycznia — przyjęcie traktatu wersalskiego, to niby sejm Grodzieński. 47 patryotów wiernych mandatowi ludu pozostało w sercach Bawarów — na 44 zdrajcach legło ich przekleństwo. Brakło 4 głosów. Protest 51 posłów byłby protestem więcej niż jednej trzeciej i traktaty nie byłyby przyjęte. Nastały później skutki zbratania się z Prusakami. *Vaterland* stał się sumieniem partyi czterdziestu czterech i ściągnął na siebie nienawiści. Hrabiowie Fugger i Preysing zaczepili *Vaterland* nadzwyczaj boleśnie. Przedstawili go w spółce z Dachauerbankiem z owem bezczelnem oszustwem. *Germania* ośmieliła się go nazwać *Reptile*, rozeszły się pogłoski, iż *Vaterland* kupiony i przez Dachauerbank i przez Bismarka i przez rząd francuzki i przez Jezuitów — wszystko na raz. Wtedy już zabrakło cierpliwości i przez parę tygodni niemal, numer po numerze sypały się gorzkie artykuły od współpracowników *Vaterlandu*. Przytaczam tu jeden niemal w całości, najlepiej bowiem określa on stanowisko tego dziennika w sprawie katolickiej Bawaryi: „W całym ruchu katolickim w naszym kraju są dwie partye. Najbardziej odpowiednią ich nazwą będzie: partya: arystokratyczna i ludowa. Nie mówię, by pierwszą wyłącznie składała szlachta a drugą wyłącznie mieszczaństwo i lud, nie twierdzę również, by która z tych partyi dążyła do wyłącznej władzy, obie partye mają na oku jedyną tylko sprawę, sprawę Kościoła i ojczyzny. Partya jednak arystokratyczna chce tę sprawę przeprowadzić z góry ręka w rękę z państwem dzisiejszych zasad, ludowa partya prowadzi to z dołu — ludem i przez lud. Dlaczego członkowie, arystokratycznej partyi w przeważnej liczbie stawili opór sankcyi dogmatu nieomylności? Dlaczego partya ludowa z całym entuzyazmem wołała o tę sankcyę? Was straszył otwarty rozbrat Kościoła z państwem, wyście się bali stanąć w opozycyi przeciwko państwu i rządom! My, widzieliśmy w tym dogmacie stanowcze i z gruntu potępienie liberalizmu, a wraz z nim państwo na jego zasadach! Wybyście chcieli w zgodzie pozostać z ministeryum i rządem, zanadto prędko zgodziliście się z dokonanym faktem 66 i 70 roku — ha! nawet rękę podaliście mężowi żelaza i krwi. Myśmy ani jednej chwili nie myśleli o zgodzie! ciągły uparty bój przeciw skutkom wszelkich robót waszych to nasza droga!“ Ta zasadnicza różnica partyj odbija się na każdym kroku. „Partya arystokratyczna popiera towarzystwa dobroczynne, partya ludowa organizuje towarzystwa katolicko-polityczne, wierzy bowiem iż skoro lud katolicki stanie jako uorganizowana polityczna partya, wtedy na zasadach Chrystusa muszą stanąć rządy i Izby posłów! Inne bardziej szczegółowe sprawy, a najbardziej sprawa socyalizmu i szkół same przez się będą już wtedy rozwiązane. Ani od dynastyi, ani od mocarzów świata, ani od państwa liberalizmu i traktatów z nim zawartych nie oczekujem i nie chcemy zbawienia! Nadzieja nasza to miłosierdzie boże i lud po katolicku wyćwiczony w swobodzie prawdzie i sprawiedliwości... Niech lud do głębi duszy stanie się katolickim, będzie miał wtedy i rząd katolicki... Wszak narody zawsze to mają, na co zasłużyły: rózgę żelazną gdy się Boga zaprą, berło łaskawe — gdy u nóg jego w pokorze legną“ „Z Bogiem i ludem katolickim! — naprzód!“

Kilkanaście artykułów takich raz po razie były nadzwyczaj gorzką pigułką dla partyi arystokratycznej — to była głośna spowiedź! Fugger i Preysing zamilkli zbici na wszystkich punktach, aż się gazetki liberalne śmiały: „Ho! kto się z Siglem chce pojedynkować, musi być rębaczem nielada, a kto się niebacznie posunie, to go tak posiecze jak chłop kapustę.“ Liberalne dzienniki znały całą wartość i siłę tego pisma. Oto co pisze *Allgemeine Zeitung*: „Z literackiej siekaniny jakiegoś biskupa (Ketteler) nie wiele się dowiesz. *Historisch-politische Blätter* zanadto pachną paczulą *à la Richelieu — Mazarini*, by mogły być wiernem zwierciadłem ludowych dążeń. *Donau-Zeitung* cierpi halucynacye, a pismo Hutlera *(Kurier)* ot! prosto pismo Hutlera. Tylko Pius IX i Sigl — twierdzimy zupełnie na seryo — mówią nam otwarcie i jasno, czego żąda polityka nieomylności! — Tych dwóch słuchaj i wedle ich słów działaj! — Polecam jak najgoręcej *Vaterland* temu, kto chce poznać życzenia, nadzieje i cele europejskiego ultramontanizmu“. Trudno spotkać z ust wroga podobnie chlubne świadectwo. O! znają go liberali! W skutek ogromnych stosunków, ogromnego koła korespondentów, w liczbie których znajduje się dwóch posłów z centrum Rady państwa, w skutek niezmordowanego śledzenia za każdym krokiem liberalizmu — nikt go nie uprzedził w podaniu do ogólnej wiadomości każdego nowego bezprawia, które się gdziekolwiek stało, a jeśli przytem dodał artykuł, to często tak palący jak witryol w ranie ciała. Spotykałem ludzi, którzy się trzęśli na samo wspomnienie, na sam widok *Vaterlandu*. Nikt tak nie umiał własną bronią bić wroga jak on. Znany liberał Kaulbach wystawił obraz p. t. *Nero*, przedstawiający straszny kontrast rozpasanego pogaństwa i podniosłego do męczeństwa Chrystyanizmu. Sigl pisze artykuł w kilku numerach, w którym wskazuje jak Kaulbach, stawiąc w apoteozie chrystyanizm, zadał kłam swoim własnym liberalnym zasadom. Podobnego rodzaju były artykuł Liberalizm i Socyalizm. Ogromnego wrażenia były artykuły Bismark i Kościół katolicki, w których wykazuje jak brudnym był protestantyzm, wychwalany przez Bismarka.

Zarzucają niektórzy Siglowi szorstkość wyrażeń się. To prawda! czasami był nadzwyczaj szorstkim. Raz mówiąc o liberałach, iż oni, jeżeli tego własny ich interes wymaga, podtrzymują tron, a w przeciwnym razie kopią pod nim dołki, kończy ten ustęp takim wykrzyknikiem: wy łotry! wy grabieżcy złodzieje! mordercy i podpalacze! Grubiańsko — to prawda; lecz trza znać tutejszy lud. Mów mu, iż on niedaleko widzi, że on dość ograniczony, będzie cię słuchał najspokojniej; dopiero gdy mu krzykniesz wprost do ucha: jesteś głupi! dopiero cię zrozumie i oburzy się. Lud tutejszy nadzwyczaj twardy na wszelkie wrażenia, do niego nie mówić lecz krzyczeć potrzeba. Kto silniej krzyczy, ten więcej jest pojętym. Gdyby *Vaterland* mówił spokojnie, toby stracił ogromną ilość prenumeratorów, najlepszym dowodem jest *Volkszeitung*, która dopiero, gdy poczęła łajać, zyskała tysiące abonentów. Tu trzeba prawdę wypowiadać bez cienia konwenansów, tak otwarcie i z taką siłą, na jakiej skale po stronie liberalizmu stoi bezczelność, przewrotność i kłamstwo, inaczej nie będzie żadnego wpływu.

Z innej strony patrząc, Sigl znanym jest ze swego dowcipu. Często przy swoich procesach prowadził całą obronę w tak komicznej formie, iż sąd i publika śmiać się musiały. Niektóre powiedzenia jego stały się przysłowiem. Znanym jest wiersz Szillera: Dzieje świata, toż sąd jego *(Weltgeschichte ist*

Weltgericht). Sigl dodał: a lud płaci koszta procesu! W pisemku humorystycznem *Bremse*, redagowanem również przez niego, znakomity był wiersz o Prusakach, w którym Prusak opowiada, jak oni wszędzie biorą, gdzie co mogą i kończy słowami: *Ich bin doch Preusse, lass mich Preusse sein.* Jeden z artykułów zakończył suplikacyą: od powietrza, głodu, ognia i od Knora Juliusza (sławny liberał redaktor) zachowaj nas Panie! Jeden z dzienników zarzucał mu, iż on wszystkich liberałów nazywa łotrami. „Nie prawda! nie tak! — odpowiedział Sigl — nie każdy liberał jest łotrem, ale każdy łotr musi być liberałem, bo inaczej nie mógłby zostać łotrem". Z drugiej jednak strony ileż razy spotykają się w tem piśmie całe ustępy uczucia pełne, pełne boleści, smutku, często poezyi w nastroju religijnym. Oto ustęp na Boże Narodzenie w 1873 roku. „Chwała bądź Bogu na wysokości, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!... Tak piały głosy anielskie w ową świętą noc, piały pasterzom biednym na polach Betleemu. Nie Herodowi mężobójcy w koronie, nie dumnym twardego serca kapłanom świątyni Jeruzalem, nie mocarzom, nie bogaczom, nie mędrkom piśmiennym i faryzeuszom głosiły usta aniołów tę pieśń pociechy, spokoju,... to nie byli owi ludzie dobrej woli!... Ich serca były pełne zazdrości i gniewu, pełne miłości własnej i dumy, ich głowy pełne ciemnoty i niewiary... Nie im!... pasterzom na polu, mężom z łona ludu, ubogim w duchu i ziemskich dostatkach nieśli aniołowie pociechy, spokoju i ulgi wieść! wieść przyjścia Zbawcy świata, wcielenia Syna Bożego, co biednym Ewangelię i niebo przyniósł, a zatwardziałym dumnym władzcom ziemi i chciwcom, ciemnym mędrkom piśmiennym, kramarzom słowa i faryzeuszom... miecz, walkę i sąd, bo oni są ludźmi złej woli". W tymże dniu w roku 1870, gdy tysiące matek płakało po kraju, gdy kości tysiące jego rodaków, co na nędzę własnej ojczyzny walczyli, próchniały gdzieś na obcej ziemi, tak pisze: „Panie! to święto spokoju, zbawienia! a my żyjemy wśród mordów, ognia i krwi! Tysiące matek okryły się żałobą, tysiące rodzin w niedoli! Swobody kraju giną. Ciężkoś nas Panie dotknął! Panie! pozostań z nami bo się ma ku wieczorowi i dzień się już nachylił".

Muszę tu jeszcze wspomnieć jeden punkt: *Vaterland* jest jedynem tutejszem pismem, które o każdej bez wyjątku ważnej sprawie polskiej bodaj kilku słowami zrobiło wzmiankę. Gdy w 1869 roku, w Węgrzech krążyła myśl o podniesieniu Polski, w *Vaterlandzie* pojawił się cały szereg artykułów w tej sprawie, zaklinających Węgrów, na pamięć ich króla patrona, by nie odstępowali tej myśli. „Państwo na podstawach liberalizmu zabiło Polskę, bo Polska katolicka była wrogiem jego, upadła Polska, a za nią do grobu wstąpiło dawne państwo Niemieckie! Dziś Węgrzy w waszym ręku przyszłość Europy! podnieście Polskę! podnieście koronę cesarską! Pełna sławy dziejowa droga odkryta przed wami! Od Wiednia po Carogród granice wasze! nie opuszczajcie tylko sprawy, nie odstępujcie chorągwi, na której hasło: swobody Polsce! Głoście te słowa wszystkim żydom liberałom w Wiedniu... a my Bawarowie na was Prusacy, na was współgrabieżców Rossyi krzyczeć będziemy: swobody Polsce!

Gdy Miaka został aresztowanym, Sigl otworzył składkę na jego rodzinę i zebrał około 160 guldenów. Artykuł, który wtedy napisał był niby przeczuciem własnego losu w przyszłości. „Rozpacz bierze, myśląc o naszem społeczeństwie, jak nie umie ocenić pracy, być wdzięcznym za nią. Miarka odrzucił 70.000 talarów, choć sam *Armer Teufel* obarczony rodziną. Cóż społeczeństwo? Odpłaca mu uwagami o zanadto radykalnym charakterze jego pisma... ha! wedle przysłowia: murzyn wypełnił powinność, murzyn może odejść, a choćby i z głodu ginął". Gdy w 1869 roku, wieści oficyalne doniosły, że biskup Łubieński umarł na drodze do Syberyi, *Vaterland* zaprotestował: „nie prawda! nie umarł! otruty!" Gdy w ostatnich czasach gazety liberalne rozpisywały się o wypadkach na Podlasiu, przedstawiając je jako reakcyę anti-rzymską, prowadzoną przez sam lud własną jego wolą, gdy wielu bardzo nie śledząc wiele za prawdą szczerze wierzyło tej wieści, *Vaterland*, jako protest kłamstwu, na całej stronnicy odmiennemi literami wypisał kilkadziesiąt nazwisk uwięzionych i skazanych księży unickich na Podlasiu, przy czem oczewiście nie zaniedbał dodać sarkazmów o prawdziwości liberalnych wieści. Polska i jej dzieje były bardzo często w myśli tego człowieka, jako analogia do dziejów jego własnej ojczyzny, to też parę razy kończył ustęp wykrzyknikiem: *Noch ist Polen nicht verloren! Baiern auch!*

(C. d. n)

Doktor Strauss

i wojna przeciw księgom świętym w Niemczech.

(Ciąg dalszy).

Nie naśladując Straussa, Baur poddaje najprzód krytycznemu rozbiorowi *Listy* i to jest początek jego badań nad pierwocinami chrześcijańskiemi. A ponieważ założył sobie budować, a nie burzyć, jakto uczynił autor *Żywota Jezusa*, potrzebuje więc punktu wyjścia trwałego i zaprzeczenia takiego, któreby nie podlegało wątpliwości. Przekonany, że krytyka Straussa w wątpliwość podała dzieje ewangeliczne, zwraca się do św. Pawła. Data i autentyczność niektórych z jego listów wydają się mu pewnemi i służą mu za podstawę.

Zasadniczą ideą jego krytyki, ideą, która mu zapewniła rozgłos, jest mniemanie, że w łonie chrześcijaństwa pierwotnego istniały dwa przeciwne sobie stronnictwa: ebijonityzm czyli petrynizm, początek swój biorący od essenizmu, i paulizm. Przeciwieństwo między stronnikami Piotra a zwolennikami Pawła, oto klucz, otwierający wszystkie podwoje, zamknięte aż dotąd dla dociekań krytycznych, oto rozwiązanie wszelkich zagadnień, odnoszących się do pierwotnych dziejów chrześcijaństwa. Dowolność więc, którą znieść i wytępić było zadaniem Baura, wchodzi pod inną tylko nazwą do krytyki szkoły tybing-

skiej. Nieuleczona słabość błędu nie może się utrzymać inaczej, jeno przyzywając imaginacyę ku pomocy. Strauss odrzuca wyjaśnianie naturalne Eichhorna i Paulusa, gdyż słusznie widzi w niem jeno grę imaginacyi i na miejscu tego wyjaśniania stawia mit. Baur znów robi bardzo słuszną uwagę, że mit Straussowy jest w innej tylko formie fikcyą umysłu i potępia go w imię doświadczenia. Ideał, są słowa jego, nie istnieje w dziejach ludzkości. Lud nie tworzy typu, któryby nie miał podstawy. Społeczność, jak Kościół pierwotny, nie jest wynikiem ideału zgóry obmyślanego i stałego, lecz jest wypadkową najrozmaitszych czynników syntezą pierwiastków różnorodnych, które zrazu w walce między sobą, w końcu jednak łączą się w całość harmonijną. Ewangelie są odbiciem nie przedmiotu, o którym opowiadają, lecz dążności wojowniczych lub pokojowych autorów, piszących je. Rozpowiadają nam nie tyle dzieje Jezusa, ile dzieje Kościoła i różne teorye każdego stronnictwa w Kościele o Jego Założycielu. Po raz to pierwszy od czasu ukazania się *Fragmentów z Wolfenbüttel* cud usunięto na drugi plan. Krytycy tybingscy tak samo jak racyonaliści nie przypuszczają pierwiastku nadprzyrodzonego, atoli teorya Straussa zawisła jedynie na kwestyi daty i autorów Ewangelii, której aż dotąd nie poddano w wątpliwość, na tę właśnie szczególniej i przedewszystkiem kwestyę zwrócili swą uwagę. Nie tyle im chodzi o wyjaśnienie faktów nadprzyrodzonych, których ważność zmniejszyć się starają, ile o odnalezienie różnych pierwiastków, z których powstał Kościół. A że pierwiastków tych nie znają zupełnie dzieje, przeto imaginacya kusi się o ich odkrycie.

Baur, przesiąkły ideami Hegla, utworzył sobie pojęcie *a priori* z dziejów chrześcijaństwa pierwotnego, starał się potem pomieścić fakta istotne w ramach zgóry ułożonych. Sam streścił rezultat swych poszukiwań w *Dziejach Kościoła chrześcijańskiego w pierwszych trzech wiekach*. Oto treść tej pracy: Chrześcijaństwo nie wyszło nagle i odrazu z umysłu jednego człowieka, jak Minerwa z głowy Jowisza. Nie zstąpiło z niebios z Chrystusem i nie objawiło się w całości w Jego słowie. Jezus był jego punktem wyjścia, Założycielem, jeżeli chcemy, atoli dzieło Jego rozwinęło się tylko postępowo, powoli, nie bez gwałtownych walk i wewnętrznych boleści. Ta roślina, zrazu wątła nader, zrodziła się na gruncie judaizmu i o mało co nie zwiędła tu i nie zamarła. Chrystyanizm pierwotny jest judeo-chrystyjanizmem, ebijonityzmem, którego przedstawicielami jest dwunastu apostołów, lecz przedewszystkiem Piotr, Jakób i Jan. Można go nazwać także petrynizmem od imienia głównego przywódcy. Streścić się daje

w tym jedynym punkcie wiary: Jezus jest Messyaszem, na którym spełniły się wypadki, przepowiedziane przez proroków. Nie zrywał On bynajmniej z judaizmem, był tylko jakby dalszym jego ciągiem, niby odmłodzeniem i zaledwie różnił się od niego, przejął od niego i zachował prawa i obrzędy zasadnicze.

Gdyby pierwiastek żywszy, liberalniejszy, o szerszej podstawie nie był wlał w sektę ebionicką siły udzielania się na zewnątrz i sprężytości, której w zupełności jej zbywało, wnetby była zagasła w tak ciasnej atmosferze, w jakiej się była zrodziła. Paweł — paulinizm — wlał w nią energię, której właśnie jej brakowało: życie bujne, ducha prozelityzmu i zdobyczy; on to złamał cisnące ją więzy; zerwał jawnie z judaizmem, świątynią i prawem Mojżeszowem; przesadził na łono cesarstwa rzymskiego słabą, omdlewającą roślinę, która na tej żyźnej glebie, na gruncie cywilizacyi grecko-rzymskiej rozwinęła się z gwałtownością cudowną i zapuściła trwałe i głębokie korzenie.

Tak powstało chrześcijaństwo. Pawłowi to zawdzięcza piętno powszechności, o którem pierwotni jego założyciele nie marzyli nawet. Przeciwnie, dwunastu, dalecy od sprzyjania ambitnym zamiarom i widokom Apostoła Narodów, najzupełniej zadowoleni, granicami widnokręgu palestyńskiego, wytężyli wszystkie siły przeciw projektom powiększania. Przeciwieństwo więc między petrynizmem a paulinizmem zajmuje całe tło dziejów Kościoła w pierwszem stuleciu. Przeciwieństwo to było o wiele głębsze, żywsze, o wiele dalej sięgające i dłużej trwające niżby wnosić można z podania kościelnego, a mianowicie z Akt apostolskich.

Przeciwieństwo to służy do oznaczenia autentyczności pism kanonicznych. Dzielą się one na trzy klasy: pisma stronników Dwunastu, pisma stronnictwa paulinistów i wreszcie pisma stronnictwa pośredniczego, to znaczy stronnictwa zlania się i pogodzenia, które stara się złączyć dwa pierwsze i pomaga im do zgody, gładząc drobne różnice, pełniąc obowiązek łącznika. Ostatnie to stronnictwo utworzyć się mogło wtedy dopiero, gdy pierwszy gniew i pierwsza zapalczywość obu nieprzyjaźnych sobie stronnictw jęły się uspakajać, w łagodniejszą przechodzić fazę; a co za tem idzie, pisma, które natchnęła, są „pismami dążnościowemi“ *Tendenzschriften*, które powinne były powstać znacznie później i po wszystkich innych.

Przyjąwszy i ustaliwszy w ten sposób zasadę tej krytyki dziejowej *a priori* i polegającej jedynie tylko na przypuszczeniu czysto imaginacyjnem zasadniczych jakoby różnic między Dwunastoma

a św. Pawłem i zgodziwszy się na tę zasadę, wszystko wynikło samo ze siebie. Odtąd dla oznaczenia w przybliżeniu epoki utworzenia jakiego pisma chrześcijańskiego z pierwszych wieków, potrzeba jeno roztrząsnąć, do jakiego należy kierunku, jak przedstawia dążność. Listy do Rzymian, do Galatów, dwa do Koryntyan są objawem paulinizmu. Ewangelie ułamkowe Hebrajczyków, Piotra, Ebionitów, Egipcyan wyrażają idee żydowsko-chrześcijańskie. Pisma te i te opowieści legendowe są najstarszemi pomnikami myśli chrześcijańskiej. Cztery Ewangelie są świeższej daty. Napisane były zaledwie w połowie drugiego stulecia, tak samo jak Akta i inne Listy rzekomo apostolskie, które bez żadnego skrupułu podszywano pod autorstwo imion szanowanych, gdyż uważano, że podobne pobożne zdrady nie będą miały żadnych następstw. Pisma te winny swój początek koniecznościom chwili, zmuszających petrynistów, aż dotąd liczniejszych, do robienia ustępstw paulinistom dla pozyskania ich do walki przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, gnostycyzmowi i zarazem do tego, by wspólnemi siłami łatwiej się oprzeć prześladowaniom cezarów rzymskich. Ślady rokowań odnajdujemy najprzód w Ewangelii Mateusza, która jest jeszcze żydowsko-chrześcijańską, lecz już zmodyfikowaną i zmienioną dodatkami i ciągłemi przeróbkami. Spostrzedz je można i w Łukaszu, którego Ewangelia jest pochodzenia paulińskiego, atoli została wygładzona i przerobiona dla niezrażania stronnictwa Dwunastu. Marek jest najświeższem z trzech skróceń; najbardziej ze wszystkich nie podoba się przywódcy szkoły tybingskiej, gdyż nie mógł w nim odnaleść jakiegokolwiek śladu dobrowolnej ugody, a nawet, co gorsza, najmniejszego śladu wojny między Piotrem i Pawłem. Za to dzieje apostolskie dają szkole krytycznej dobrą sposobność do popisania się z erudycyą! Tam to przedewszystkiem szkoła ta spodziewa się tryumfować. Dzieje apostolskie są dziełem Paulinijczyka o duchu pojednawczym, którego dążności w dziejach apostolskich jak najlepiej się przebijają. Usiłując pogodzić dwa stronnictwa, paulinijczyk ten czyni Pawła petrynijczykiem, a Piotra paulinijczykiem: Paweł u niego zachowuje obrzędy prawne, a Piotr chrzci poganina. Dziwne zaślepienie przesądu! Baur mniema, że znajduje najmocniejsze poparcie swych przywidzeń w księdze, która właśnie najlepiej dowodzi ich nicości! Żadnej księgi Nowego Testamentu autentyczność nie jest dowiedzioną z większą siłą i w sposób bardziej niezbity, co autentyczność dziejów apostolskich, pisanych przez towarzysza św. Pawła, przez jego ucznia św. Łukasza, który był świadkiem naocznym czynów, jakie opowiada. Jeżeli nam pokazuje w św. Piotrze paulinizm,

a w św. Pawle petrynizm, to dlatego, iż tak było w rzeczy samej, to dlatego, iż antagonizm, jaki Baur przypuszcza pomiędzy dwoma wielkiemi apostołami, nigdy nie istniał, chyba w jego jeno imaginacyi [1]).

Ewangelia, która nosi imię Jana, jest stosunkowo nowszą. Jan może być autorem Apokalipsy, księgi żydowsko-chrześcijańskiej, lecz nie może być autorem Ewangelii, która, jak to widać z jej dążności, jest późniejszą od epoki, w której żył apostoł. Nie pisano jej wedle planu metodycznego i przepełniono efektami silnie dramatycznemi. Wszystkie osoby, grające w niej rolę, przedstawiają idee, mniemania, wzajemnie się zwalczające. Jesteśmy już w epoce montanizmu.

Co się tyczy listów, noszących imię Pawła, to oprócz czterech wyżej wspomnianych wielkich listów, które są autentycznemi, wszystkie inne są apokryfami, gdyż nie przedstawiają już w całej prawdzie walki z judeo-chrystyanizmem. Listy do Efezów, do Kolossów, do Filipensów, do Filomona pokazują już dążność zbliżenia się do teoryi petrynizmu o zbawieniu przez uczynki, a nie przez wiarę. Listy pasterskie są jeszcze świeższej daty: w nich widzimy już Kościół uorganizowany, episkopat ustalony; wnosić należy, że były pisane około tego samego czasu, co te, które przypisują św. Polikarpowi i św. Ignacemu.

Takie są główne idee Baura o utworzeniu się Nowego Testamentu. Sam naucza, że oryginalność jego systematu polega na wytłómaczeniu czysto dziejowem początków chrześcijaństwa, wyłonionego z walki wrogich sobie stronnictw, a nie z objawienia nadprzyrodzonego Jezusa Chrystusa, jak chce stara teologia, ani też nie z zapału Kościoła pierwotnego, obdarzonego władzą stwarzania mitów, jak twierdził Strauss.

Baur nie pokusił się o wytłómaczenie zmartwychwstania Zbawiciela, ani też nawrócenia się św. Pawła. Nie starał się nawet zbadać, jaka była prawdziwa nauka Jezusa; nie ocenił nawet roli Mistrza Dwunastu w zaprowadzeniu chrześcijaństwa. Wnioski, jakie

---

[1]) Obacz w pięknej książce Wallon'a: *De la croyance due à l'Evangile* (1858 r.) str. 100 i nast. dowody jasne, rozstrzygające o autentyczności dziejów apostolskich. Św. Piotr więcej się skłaniał ku żydom, św. Paweł ku poganom, lecz nie było między niemi żadnej różnicy w nauce co do wiary. Baur i jego szkoła z różnicy przechodniej, przypadkowej, tyczącej się kwestyi podrzędnej, karności, zrobili opozycyę radykalną, bezwzględną, z ptaka zrobili wołu. Obacz: H. Vatroger, Wstęp, II, 550.

wyprowadza, są systematyczne, lecz nie są bynajmniej historyczne, dziejowe. Walka między petrynizmem a paulinizmem jest urojoną; dlatego też we wszystkich pracach imaginacya zajmuje pierwsze miejsce. Gdyby wszystko, cośmy dotąd mówili, nie wystarczyło do dowiedzenia tego, dość byłoby wspomnieć, co sądzą o Baurze właśni jego uczniowie. Otóż zdania uczniów o mistrzu tak są sprzeczne między sobą i tak różne od przekonań, głoszonych przez ich przywódcę, iż same najlepiej świadczą o swej dowolności.

Dla Baura Ewangelia św. Marka jest trzecią wedle daty; dla Hilgenfelda jest drugą; dla Volkmara jest pierwszą; dla Köstlina jest zarazem pierwszą, drugą i trzecią, gdyż, wedle niego, św. Mateusz jest tylko pomnożonem wydaniem św. Marka pierwotnego, św. Łukasz jest edycyą jeszcze bardziej przerobioną i przekształconą proto-Marka; św. Marek prawdziwy nie był wydany w tej formie, w jakiej dziś go posiadamy wedle skróceń innych autorów tak, że św. Marek jest zarazem punktem wyjścia, środkiem i końcem dziejów ewangelicznych. Hilgenfeld uznaje więcej niż Baur za listy autentyczne św. Pawła: pierwszy do Tessalończyków, list do Filipensów i list do Filemona. Gdyby wierzyć Volkmarowi, apokalipsa jest jedynem pismem autentycznem Nowego Testamentu. Zdaniem Schweglera czwarta Ewangelia pochodzi z drugiego wieku; podług Hilgenfelda odnieść ją należy do roku mniej więcej 130; Tobler twierdzi, że odnieść ją należy do tego samego czasu co Ewangelię św. Jana i że napisał ją Apolles z Efezu dla kościoła korynckiego. Systemat, prowadzący swych zwolennikow do takich rezultatów, nie zasługuje na to, by go zbijano. Rzec można, iż nikt nie wykazał lepiej fałszywości twierdzeń szkoły tybingskiej, jak sami jej członkowie. Jeden z nich Wojciech Ritschl zwalczał wprost najskrajniejsze zdania Baura i wykazał w swoich *Początkach dawnego Kościoła katolickiego* [1]), że najmniejszej nie miało podstawy owo nadużycie, którem Baur wojował, mówiąc o rzekomej różnicy między petrynizmem a paulinizmem. Dowiódł także, że mistrz szkoły tybingskiej przywiązywał wagę zupełnie przesadzoną do romansu, zatytułowanego: *Homilie Klementyńskie*, z których uczynił dla siebie punkt wyjścia w całej tej krytyce i że co najmniej, przesadzał solidarność, która jakoby istnieć miała między Ebionitami, Esseńczykami i apostołami.

Na przekór twierdzeniom Baura większa część innowierczych egzegietów przypuszcza dziś, że Ewangelia Marka jest najstarszą ze

[1]) A. Ritschl, *Die Entstehung der alt-katholischen Kirche.* Bonn, 1850.

wszystkich. Przypomnijmy sobie, że sam Baur uznał, iż niepodobna odkryć w niej śladów rzekomych różnic między św. Piotrem a św. Pawłem. Nie może się zatem, mówiąc po prostu, nic ostać z podstaw jego systematu. (C. d. n.)

O Reformie Stosunków Społecznych w Wielkopolsce.

Społeczeństwo czy naród cały podlega w duchowym i materyalnym swym rozwoju tym samym niemal prawom, co i grupa roślin, rosnących obok odmiennych od siebie krzewów. Ginąć lub marnieć one muszą, jak skoro przestają wydawać z pośród siebie nowe zarodki, zdolne żywotnością swoją nietylko stare rośliny zastąpić, ale nawet wśród krzewów zapuścić swoje korzenie. Komu nie obcem jest gospodarstwo leśne, ten wie o tem dobrze, że tam, gdzie się on z samych starych drzew składa, a nowe nie wyrastają już wcale, tam istnienie lasu jest tylko kwestyą czasu. Zależy on od łaski czerwia, który go wcześniej lub później stoczy, lub od łaski siekiery, która po nim może nawet i śladu nie pozostawi. Tak samo dzieje się z każdym narodem, z każdem społeczeństwem, znajdującem się w podobnych, jak ów las warunkach. Obce, najczęściej wrogie mu żywioły posiądą miejsca, jakie z natury rzeczy zająć powinny były młode latorośle usychającego już od starości drzewa.

Takiem starem drzewem, na gruncie każdego prawie kraju i narodu najpierwej wyrosłem, jest bez wątpienia rolnictwo. Potrzebuje więc ono — osobliwie w chwili dzisiejszej — wydawać z siebie coraz to nowe gałęzie produkcyi; w przeciwnym bowiem razie samo zupełnie zniszczeje, a nowe działy produkcyi koniecznej w każdym kraju powstaną z nasienia przyniesionego z dala, często wrogiego żywiołowi narodowemu, które samą siłą rzeczy wyrugować musi wszelki szczep rodzinny.

Zresztą dawno to już wyrzekli ekonomiści, iż różnorodność zajęć pomiędzy ludźmi jest nieskończenie wyższą od jednostajności; a i to również od dawna stwierdziło doświadczenie, iż produkcya w różnorodnych kierunkach wpływa nader korzystnie i na stan oświaty całego narodu i na harmonię pojedyńczych warstw jego.

Rolnictwo w ojczyźnie naszej, gdzie ono nie dobiegło jeszcze ostatecznych granic swego rozwoju, jest głównym elementem i najważniejszą życia społecznego podporą. Posiadanie więc znaczniejszego obszaru ziemi stanowi u nas pewien rodzaj odosobnionej powagi; każde zaś większe gospodarstwo tworzy niby małe, izolowane państewko, które wtedy tylko wchodzi w stosunki z innemi czynnikami ekonomii krajowej, kiedy potrzebuje kupca na swoje produkta.

Taki jednak stan rzeczy w niektórych prowincyach naszej Polski oddawna już przeszedł w dziedzinę mitów. Mamy tu na myśli Zachodnią Galicyę, a co najbardziej Wielkopolskę.

Wspomnienie o Wielkopolsce budzi zawsze żal w sercu naszem, przywołuje łzę do oka. Płaczemy nad nią oddawna, nietylko dlatego że ze strony niemieckich kulturtregerów znosi srogie prześladowanie religii i narodowości, ale dlatego najwięcej, iż od bardzo dawna, z powodu jej społecznego i ekonomicznego położenia, z własnej niestety winy najznaczniejsze w niej majątki przeszły już w ręce niemieckie, o których niestety nie mamy nawet nadziei, aby kiedy bądź powróciły one znów do nas. Źródłem tego nieszczęścia był źle zrozumiany patryotyzm, zalecający nam niby oddawanie się zawsze jednym i tymże samym zajęciom.

Po dokonanym zaborze, w obec oczywistej od samego początku rządów pruskich w księstwie Poznańskiem tendencyi zgermanizowania tej prowincyi, było naturalnem, za tradycyjne w Polakach przywiązanie do włości swych ojców musiało się podwoić. Uczucie, a po części zdrowy rozum, wskazywał jako najświętszy obowiązek: bądź co bądź utrzymać się przy odziedziczonym ziemskim majątku, a pracę na takowym — jako jedyną broń przeciw przewadze możnego sąsiada. Było to niezawodnie zdrowem ale nie zawsze wystarczającem, bo naród, żyć pragnący, winien unikać jednostronności w swych pojęciach praktycznych.

Niemcy zakupujący naszą ziemię zdobywali ją sobie siłą znacznej potęgi kapitałowej: wypadało więc i nam o takową się postarać, aby tąż samą siłą odzyskiwać stanowiska stracone. Chcąc zaś mieć kapitał, potrzeba było rzucić się do źródeł jego a zatem: handlu, banków i każdego rodzaju industryi.

Praca licznych Polaków w tych kierunkach byłaby zatrzymała miastom Wielkopolski ich cechę dawną, polską. Na różnych punktach, gdzie życie zewnętrzne narodu ma większą sposobność do objawiania swej egzystencyi, znajdowalibyśmy więcej Polaków a i kraj cały zachowałby więcej narodowego charakteru.

Ta polska cecha w całym ekonomicznym ustroju społeczeństwa, więcejby znaczyła, aniżeli największa liczba urzędów i profesorskich katedr w ręku dobrze myślących Polaków. Ostatni bowiem, zależni od rządu, w każdej chwili mogą ulegać przeniesieniu z miejsca na miejsce, gdy pierwsi na raz zajętych stanowiskach mają zawsze możność działania zgodnie z dążeniem patryotycznem. Lecz, ażeby te stanowiska były zajęte, potrzeba było użyć dość znacznych sił kapitałowych. Potrzebny w tym razie kapitał łatwo mógł się znaleść u niejednego właściciela ziemskiego, któryby na takim obrocie swej gotówki lepiej wyszedł, aniżeli używając jej w chęci utrzymania się choćby przy jednej z odziedziczonych wiosek.

Takie ratowanie pewnej części ojcowizny kosztem sprzedaży innych tylko dla zamożniejszych posiadaczy ziemskich było pożytecznem, a nawet z biegiem czasu, po przetrzymanej kryzys doprowadzało ono do świetnych rezultatów. Inni mniejszych majątków właściciele w takim razie zwyciężani bywali pieniędzmi Niemca, czyhającego na sposobną do kupna chwilę.

Niemiec najczęściej kupuje. Nieraz przepłaca on ziemski majątek temi pieniędzmi, które właśnie zarobił na przedsiębiorstwach, jakiemi dotychczas gardzili Polacy — przepłaca go, bo on tylko małą cząstkę kolosalnej fortuny poświęca na zakupno kawałka ziemi, dającej mu przyjemność wiejskiego mieszkania. Ztąd sprzedaż każdej wsi polskiej Niemcowi jest zawsze jednem więcej utraconem przez Polaków w Poznańskiem stanowiskiem, nie ma bowiem miedzy nami tak wielkich kapitalistów, którzyby się decydowali zakupować tak drogą ziemię, jak dzisiejsza wielkopolska.

Uważamy za pomyślne dla nas, gdy Niemiec zbankrutuje u nas na gospodarstwie, co — mówiąc nawiasem — w ostatnich czasach przydarzyło się niejednemu z osiadłych w Księstwie Poznańskiem. Niezawodnie; niema się tutaj z czego smucić, sam fakt bankructwa jest już pomyślnem zjawiskiem, który jako smutny przykład odstręczyć może od nas innych. O wiele jednak byłoby pomyślniejszem, gdyby zaraz znajdował się liczny zastęp Polaków, kompetujących o odzyskanie straconego miejsca. Mogłoby to zaś nastąpić, jeżeliby Polacy starali się więcej o stworzenie znacznych sił kapitałowych.

Może nam kto zarzucić, że zapominamy zupełnie o pięknych i dobrych chęciach obywateli wielkopolskich, którzy w patryotycznym celu założyli bank, mający za zadanie to właśnie, o czem mówimy. Przyznajemy się otwarcie, że radzibyśmy o nim zupełnie zamilczeć, bo wolimy widzieć raczej polskich obywateli całkiem bezczynnych, jak

działających jedynie z pobudek dobrych chęci. A właśnie rzeczony bank był jedną z instytucyj, mających za podstawę głównie takie dobre chęci.

Instytucya finansowa może być prawdziwie pożyteczną wtedy, gdy jest czysto finansową, bo naówczas tylko ma ona warunki bytu i powodzenia. Ale instytucya finansowa, z celem ubocznych, filantropijnych, patryotycznych lub jakichkolwiek inych tendencyj, żywi od samego początku swego istnienia zaród upadku. Z tej przyczyny bank ów, dzisiaj już nieistniejący, więcej skarg i żalów aniżeli prawdziwych korzyści sprowadził.

To, cośmy powiedzieli o banku, odnosi sie w ogólności do każdego przedsiębiorstwa i zawodu w życiu ekonomicznem. Tam tylko jest pomyślność, gdzie jest możebność; o tej ostatniej zapewnić się możemy jedynie przez dobry i ścisły rachunek, a na nieszczęście dobrego rachunku i gruntownej znajomości stosunków nie było pomiędzy tymi właścicielami, którzy przez chęć zbyt gwałtowną utrzymania się przy ziemi takową utracili, i do smutnego stanu doszli.

Gdyśmy już tyle powiedzieli o tych smutnych zjawiskach przeszłości, nie dających się dzisiaj naprawić, zobaczmyż jakie możebne są w teraźniejszych okolicznościach środki do zabezpieczenia i uratowania, choć bardzo nadwerężonych ale zawsze jeszcze świetnych resztek bytu narodowego w Wielkopolsce. Wszak tam cały lud do dziś polski. Wszak tam i bardzo nawet znaczne majątki w ręku dobrych i zacnych rodzin polskich. Wypada więc koniecznie zabezpieczyć silnie mienie tego polskiego elementu, stojącego jakby ustawicznie nad brzegiem, podrywanym falą germańskiego napływu. Zabezpieczyć zaś to mienie można, przerywając straszną jednostajność, jaka w tej krawędzi ziemi naszej dotąd panowała — jednostajność może więcej społeczną niż czysto ekonomiczną,

Pod względem ekonomicznym, a osobliwie samego rolnictwa, Wielkopolska przedstawia się nader świetnie. Ziemia tu z natury trudna do uprawy, wydaje bardzo piękne plony, a to dzięki licznym fabrykom połączonym z gospodarstwem i sile nowoczesnych maszyn rolniczych. Ale ten postęp i ten rozwój gospodarstw wielkopolskich, jakkolwiek dla pomyślności kraju nadzwyczaj korzystny, nie przyczynia się bynajmniej do rozbudzenia w klasie właścicieli ziemskich silniejszego życia. Owszem przebija się tu, jak i w całej zewnętrznej tego kraju powierzchowności, straszna jednostajność. Przy nadzwyczajnem podobieństwie stosunków i położeniu jednej okolicy względem drugiej, przy mniej więcej wszędzie jednogatunkowości ziemi, bardzo naturalnie że

prawie wszędzie warunki i wymagania dobrego gospodarstwa są jednakowe. Ztąd nie potrzeba wielkiego natężenia umysłowego i głębszych jakichś w gospodarskim zawodzie poglądów, ażeby swój majątek doprowadzić do kwitnącego stanu.

Powiedzieliśmy wyżej, że po największej części tylko znaczniejsze fortuny w rękach polskich się utrzymały. Te do dziś dnia prawie wszystkie w świetnym będąc stanie, tem samem i odpowiedni dochód przynoszą. Przy takich warunkach rozumie się, że i materyalna strona życia obchodząca samego właściciela oraz jego rodzinę, cieszy się powodzeniem. To też wielkopolskie domy odznaczają się niezwykłym konfortem w swem urządzeniu. Żyjące pokolenie starsze i młodsze używa tutaj swobodnie materyalnego dobrobytu. A ponieważ bardzo mało znajduje się otwartych dla Polaka miejsc, odpowiadających ambicyi szlacheckiej, więc po największej części nikt tu nie dba prawie o nabycie specyalniejszych wiadomości i jedynie cieszy się błogą nadzieją swobodnego pędzenia wszystkich dni żywota w rodzinnem zaciszu. Z tego miłego spokoju wyciągnie obywatela wielkopolskiego czasem tylko potrzeba jakiejś silniejszej agitacyi politycznej w obronie praw religii i narodowości, lub też jakaś nieszczęsna, we własnym obozie wszczęta walka, tocząca się około kwestyi ogólnikowych zasad, a w której, stojący po stronie partyi liberalnej, najczynniejszy udział biorą zwykle nie ludzie mądrzy ale najwięcej ambitni. Na polu więc politycznem działanie w Wielkopolsce jest tylko bierne, obronne, lub ku szkodzie własnej zwrócone, a bez wątpienia mielibyśmy i w tym razie więcej powagi, gdyby wyraźniej znać było działanie, ruch i rozmaitość na polu ekonomicznem.

Czyżby jeszcze i dzisiaj taka działalność nie dała się rozwinąć z jednej strony przez urządzenie stosunków majętności ziemskich w ten sposób, ażeby je ochronić skutecznie od zgubnych wpływów żywiołu cudzoziemskiego, z drugiej zaś przez uprawianie innych czynników ekonomicznych?

Powiadają (i teorya ta liczy bardzo wielu zwolenników), że siła produkcyi ziemi stoi w prostym stosunku do coraz mniejszego jej podziału na drobne cząstki. Ze stanowiska teoryi czysto ekonomicznej, zwłaszcza abstrakcyjnie wziętej, jestto prawda najzupełniejsza, tylko na nieszczęście nie zawsze praktyczna. Ziemia w małych cząstkach może być poczęści przedmiotem handlu, lecz u nas, zwłaszcza w Wielkopolsce, gdzie są znaczne przestrzenie i duże gospodarstwa, taki podział ziemi na małe cząstki byłby z jednej strony połączony ze stratą raz włożonego w ziemię kapitału, powtóre narażałby nas na jeszcze

większą inwazyę germanizacyjną. A więc niechże majątki wielkopolskie trzymają się jak najbardziej w kupie i niech jak najstaranniej unikają podziału.

Wyrażając to życzenie oświadczamy się także szczerze i otwarcie za mało dzisiaj popularną, najczęściej potępianą, zasadą majoratów.

Ten system dziedzictwa w majątkach razi może nieraz uczucie rodzicielskiego dla dzieci przywiązania; ztąd u nas, gdzie uczuciowa strona zawsze na względzie, jest on dla niejednego wstrętnym. Razi on również delikatne poczucie ekonomicznego doktrynera, bo się sprzeciwia zasadzie wielbionego systemu konkurencyi wolnej. Mimo to wszystko system ten jednak, osobliwie u nas z powodu swej doniosłości w kwestyach społecznych i politycznych, zasługuje na pewne uwzględnienie.

Popierając system majoratów przypuszczamy oczywiście, że właściciele ich ożywieni będą tylko dobremi chęciami i zdrowym poglądem na stosunki i że pod wpływem tego nadawać oni będą należyty kierunek interesom majątkowym i wychowaniu swych dzieci. Przy tych warunkach można tuszyć sobie, że stosunki nasze mogłyby przybrać charakter stosunków angielskich, gdzie młodszy syn zamożnej i arystokratycznej rodziny, bez względu na wysokie rodowe pochodzenie oddaje się pracy na polu przemysłu, handlu i t. p.

W stosunkach angielskich przebija przedewszystkiem ta charakterystyczna cecha, będąca główną bronią przeciwko wszelkim nienawiściom i zajściom socyalnym, iż wielka zachodzi harmonia między ludźmi różnych klas i zajęć. U nas niestety tej jedności niema. Słusznie więc wobec tego obawiać się można i to silnych zajść socyalnych. Tylko wejście znacznego elementu polskiego i szlacheckiego na drogi uprawiane dotychczas najwięcej przez niemieckich kapitalistów może zapobiedz owemu niebezpieczeństwu.

Naśladujemy bardzo często Anglików w rzeczach powierzchownych, małej doniosłości lub zupełnie podrzędnych, nie wahajmy się więc iść za ich przykładem i w żywotnych kwestyach, osobliwie w oddawaniu się więcej wiadomościom specyalnym.

W dzisiejszym stanie rzeczy większość znaczniejszych majątków przechodzi w równych działach na każde dziecko. Jedna taka część wielkiej fortuny jest zwykle jeszcze tak dużą, iż zapewnia każdemu z dzieci egzystencyę przyjemną. Każde też z nich myśli tylko o tem, jakby najswobodniej żyć, natomiast mało przyswaja sobie wiadomości. Przy majoracie młodszy syn rodziny, nie mogący spodziewać się

hojnego uposażenia, daleko prędzej da się nakłonić do użycia czasu na zajęcia odrębne, zapewniające mu w przyszłości znaczne zyski.

Pod względem politycznym łączność między pojedynczemi sferami wynikająca z podobnego ustroju społecznego przyczyniłaby się wielce do wzmocnienia stronnictwa konserwatywnego, przysporzyłaby nam nie mało nowej siły, nam, którzy bronić naszych praw i zasad możemy jedynie tylko w imię konserwatywnych przekonań. Każde bowiem stronnictwo, aby było silnem, musi koniecznie w różnych klasach i sferach znajdować zwolenników. O ileż więc, czy to jako partya konserwatywna, czy też jako partya jedynie tylko polska, staniemy się silniejsi, gdy będziemy zasobni w różne sposoby widzenia rzeczy, w rozmaite poglądy, zbierane z różnych stanowisk, zmierzające do jednego głównego celu!

Prawda, że prąd jednego kierunku w społecznym ustroju narodu, czerpiący swe siły z tradycyi, nie łatwo i nie prędko da się wykorzenić, i na inny tór wprowadzić. To prawda! Lecz tylko początek w każdej rzeczy jest trudny, a tu właśnie początek narodowej sprawie obiecuje korzyści. Dla tego namawiamy bardzo gorąco tych obywateli wielkopolskich, dla których to jest możliwem, aby jak najwięcej majoratów tworzyli, a synów swoich kształcili nietylko na rolników.

Do tworzenia majoratów jest u nas ochota, bo to podchlebia rodowej próżności. Niechże więc będzie ochota i do postępowania w kierunku sprzyjającym wyższym, a dobrze zrozumi nym interesom całego społeczeństwa.

W tych kilku wypowiedzianych uwagach użyliśmy może cierpkich wyrazów dla naszych i tak zkądinąd gnębionych współbraci. Spodziewamy się jednak, iż nam to przebaczą, bośmy tylko dobry cel i dobrą sprawę mieli na względzie.

My, Polacy, żyjąc porozdzielani, w tak różnych politycznych stosunkach, mamy przed innemi narodami tę korzyść, iż możemy łatwiej spostrzegać swoje wzajemne błędy, i takowe sobie wytykać. Jesteśmy więc jedni względem drugich w tem położeniu, w jakiem są względem siebie obce narody, które krytykując się wzajemnie, są względem siebie, że użyjemy słów jednego ze znakomitych pisarzy francuzkich: „potomnością sądzącą współczesnych“.

I my tutaj w Galicyi sąd i zdrową radę, pochodzące od Wielkopolanina chętnie również przyjmiemy, a nawet uprzejmie o nie prosimy.

PRZEGLĄD NAUKOWO-LITERACKI
i
Notatki bibliograficzne.

Pan Kraszewski w ostatnich zwłaszcza czasach, przy schyłku niemal pracowitego swego pisarskiego zawodu, rzucił się w najskrajniejszy kierunek zainaugurowany jeszcze w Warszawie, w chwili gdy stanął na czele *Gazety Codziennej* nazwanej później *Polską*. Sprawa władzy doczesnej Ojca Św., której nie rozumiejąc lub nie chcąc zrozumieć, była dla niego tarpejską niby skałą, z której spadł w otchłań, nie powiemy niewiary, ale akatolicyzmu. A tutaj się dostawszy, coraz głębiej zanurzał się w radykalizmie. Gniewny zaś, iż wszystko, co wierzyło i kochało Kościół, odwróciło się od niego, rzucał w swiat coraz to nowe zaprawione żółcią i wycieczkami przeciw ludziom lub nauce Kościoła, pisma, z których nie jedno do rzędu zwykłych pamfletów wypadałoby zaliczyć. Sądziliśmy przeto, że i w trzecim tomie wydanego przezeń poważnego dzieła: *Polska w czasie trzech rozbiorów* (z którego podajemy wyjątki w streszczeniu w rozprawie naszej, położonej na czele *Przeglądu* p. t. *Polska w ostatnich chwilach swego upadku*) będziemy czytali te same co w tomie pierwszym na nowo odegrzane dawne skrajne jego kierunki i inkryminacye stronnicze. Atoli z przyjemnością wyznać nam należy, żeśmy doznali nad wyraz błogiego zawodu. P. Kraszewski ukazał nam się tutaj dawnym, bardzo dawnym p. Kraszewskim, tym mianowicie, który nie wydawał jeszcze ani bezimiennych broszur, przeciw władzy doczesnej Papieża, ani nie znieważał Stolicy Śtej, ani redagował *Tygodnia* i takich ślicznotek, jak obecnie *Dziennik Serafiny* w *Gazecie Narodowej*, godnych chyba samego tylko Lama, ale wierzył i kochał razem z całym narodem. W pracy tej, powtarzamy z przyjemnością, widzimy dobrą wiarę, sumienne usiłowanie w przedstawieniu faktów bez uprzedzenia i zgóry ułożonego planu. P. Kraszewski pokazuje się tutaj z małemi wyjątkami umiarkowanym w sądzie i sprawiedliwy dla wszystkich. Oto główna i, powiedzmy prawdę, niemała zaleta dzieła. Nowych źródeł oprócz pamiętników Michała Zalewskiego, wojskiego litewskiego nie wiele, natomniast wszystkie te, które dotąd drukiem ogłoszone były, autor przejrzał, porównał, krytycznie obrobił. Zapewnie i tutaj nie jeden ważniejszy moment pominął, mniej ważny uwydatnił, są to atoli niedostatki, ale nie wina. Bardzo wiele faktów zbył autor pobieżnie, nie wytłumaczył i nie wyjaśnił przyczyn wielu objawów politycznych i obyczajowych, mianowicie takich, które były wiekowem złem i za które ostatniej generacyi, będącej więcej świadkiem niż motorem katastrofy, wyłącznie obwiniać nie należy. Na upadek pracowaliśmy cztery wieki, skutków od przyczyn odłączać nie można, inaczej postępując, autor stanie się albo niesprawiedliwym, albo niezrozumiałym. Ludzie jednej epoki nie wytłumaczą wszystkiego, co się za nich i przez nich stało, jedna generacya jest spadkobierczynią drugiej, często nawet bez dobrodziejstwa inwentarza, to wszystko uwzględnić należy. Życie zbiorowe narodu jak życie pojedyńczego człowieka, jest łańcuchem przyczyn i skutków. Przypatrzmy się np. portretowi, jaki autor skreślił ostatniego króla: byłto, powiada, człowiek oświecony z najlepszemi chęciami dla kraju, ale bez tęgości woli niezdolny poświęcić się i na

razie. Niema co mówić, podobieństwo wielkie, prawie zupełne, w dziele pędzla lub dłuta taki konterfekt wystarczy, w dziele pióra, gdzie się nie jest ograniczonym jednym momentem, trzeba było naznaczyć i przyczyny tego zjawiska. Król nie miał charakteru żelaznego, to rzecz wiadoma, że jednak ten brak woli spotęgowany u niego został stanem całej społeczności polskiej, to także nie ulega wątpliwości. Niekiedy człowiek lękliwy wśród odważnych nabiera otuchy. W początkach swego panowania widzimy go energicznym nawet, w Petersburgu już narzekano, że się na jego charakterze zawiedli: on, który Rossyi tron swój zawdzięcza, nie ogląda się na nią, gdy idzie o dobro i niezależność Polski, gotów z Rossyą doprowadzić do ostateczności, aby swoją Ojczyznę uczynić rządną i niezawisłą. Czyż znalazł jednak poparcie w kraju? Nie, kraj odpowiedział Konfederacyą Radomską! Radom króla i Polskę rzucił pod nogi Rossyi. Mógł mimo tego wytrwać, powie nie jeden, ale w takim razie oprócz wojny postronnej, groziła wojna domowa. W takim kraju i wśród takiej społeczności najtęższy charakter zużyje się i omdleje. Król na kraj rachować nie mógł, musiał oglądać się na wszystkie strony i oto klucz do tej chwiejności, która może więcej była wypadkami wytworzoną niż przyrodzoną.

Radom stworzył Bar, Bar poczytują za moralnego ojca konstytucyi 3go Maja, a Targowica to powtórzenie historyi Radomskiej. Jak się wśród takiej społeczności mógł wyrobić charakter? Jak mógł się nie złamać, gdyby nawet materyał był po temu? Ksiądz Kołłątaj, książę Nestor Sapieha to żywe ilustracye ówczesnego stanu moralnego. Barszczanin Szymon Kossakowski rozbija za Targowicy, Walewski także Barszczanin jej dworuje, kasztelanowa Kossakowska gorliwa stronniczka Baru bierze udział w robocie radomskiej, sam Ignacy Potocki jedzie do Kaniowa złożyć czołobitność carowej. Takie są czasy i ludzie! Z tego stanowiska należało króla portretować; w oderwaniu ma on wszelkie podobieństwa w rysach, brakuje mu tylko właściwego wyrazu, a to podobno rzecz główna. Tak się ma z wielu innemi osobami i wypadkami, które nam maluje, niema w tem fałszywego tonu, jest brak w kompozycyi.

Niektóre anegdoty zamieszczone w dziele są nadzwyczaj charakterystyczne i dosadne, przytoczę tu tylko jedną. Michał Zalewski człowiek prawy lecz w dawnych przesądach skostniały, narzekał raz w obec księcia jenerała ziem podolskich, że rozszerzona władza królewska będzie grobem wolności, wstępem do tyranii królewskiej, na co mu książę: wy wszyscy panowie, którzy się tyranii obawiacie, podobni jesteście do tej panny, która bojąc się, aby jej nie pocałowano, podniosła koszulę i twarz nią sobie zakryła. Szczęsny Potocki zawiązując konfederacyę targowicką był niczem innem, tylko ową panną, o której mówił Adam Czartoryski, z tą tylko różnicą, że nie czekała aż ją pocałować chciano. W anegdoty, w ciekawe fakta obfituje dzieło; dodawszy do tego obrazowość w opisach, ciepło wiejące z każdej karty, spodziewamy się, że każdy przeczytawszy tę krótką naszą wzmiankę, zechce się zapoznać z całem dziełem.

Krótki historyczno-statystyczny opis miast i wsi w dzisiejszym powiecie krotoszyńskim od najdawniejszych czasów aż po rok 1794. Tom, II. stron. 263, przez Józefa Łukasiewicza.

Praca ta nie zawiera w sobie nic ciekawego ani pod względem historycznym, ani obyczajowym ani ekonomicznym. Jednak i tutaj zwracają uwagę

daty statystyczne, świadczące o stopniowym upadku miast po obu wojnach szwedzkich. Ciekawą jest bardzo przedmowa wydawcy, w której podnosi wielką pobożność, prawie żarliwość w wierze nieboszczyka autora. My temu przeczyć nie chcemy, nie pojmujemy tylko pobożności, któraby nie wypływała z wiary, nauczanej przez jakikolwiek Kościół. Autor opisu protestantem nie był, do mozaizmu ani otomanizmu się nie przyznawał, Kościołowi zaś katolickiemu był przez całe życie więcej jak nieprzyjazny. Tak też i w tem pośmiertnem dziele, mówiąc o obrazie cudownym w Zdzieżu, powiada, że cuda wynaleźli Jezuici (*sic.*) Doprawdy, nie zazdrościmy erudycyi autorowi. Chrystus Pan cudami świętość swojej nauki i swojej osoby udowodnił, a uczony i pobożny człowiek powinien był wiedzieć, że za czasów Chrystusa Jezuitów nie było. Bóg przez Mojżesza czynił cuda, a i Mojżesz, o ile nam wiadomo, Jezuitą nie był. Strauss poprzednik Renana powiedział: *Was wir vom Christo wissen, gehört zu den Vorstellungen der Christenwelt.* Łukasiewicz o mało Jezusa nie czyni dziełem i wymysłem Jezuitów. Z tem wszystkiem był pobożnym, powiada wydawca. Niech i tak będzie. Widzimy w tem wyznaniu przynajmniej wstręt do bezwyznaniowości i chęć ratowania zmarłego przyjaciela od zarzutu, iż bezwyznaniowość pismami swojemi krzewił. Na dzisiejsze czasy i to dobrze! Gdzie bluźnierstwo stało się modą, unikanie zgorszenia jest prawie zasługą.

Pan E. Roniecki wydał we Lwowie niby tragedyą p. t. *Wielki Rabin Abraham.* Tragedya. *Wielki Rabin* jest dopełnieniem *Barbary* także tragedyi, tegoż samego autora. W *Barbarze* ksiądz katolicki odgrywa rolę intryganta, jest on w całem znaczeniu czarnym charakterem, rozpustnikiem i nielitościwym świętoszkiem, który mszcząc się wzgardzonej miłości ofiarowanej zakonnicy, korzysta z jej chwilowej słabości i każe ją żywcem w celi zamurować. Pozytywista rabin Abraham jest bohaterem drugiej tragedyi, dlatego, że w nic nie wierzy, jest on wzorem wszystkich cnot ludzkich: światły, dobroczynny, kochający — on zabrania chrześcijan wyzyskiwać, nakazuje miłować bliźniego. Hazaka i Merope mają w nim nieubłaganego prześladowcę, zfanatyzowany, starowierczy tłum truje go za to. Tendencya tu wyraźna: niewiara uszlachetnia, wiara zezwierzęca lud. Do ilustracyi tych dwóch tendencyj zabrakło autorowi fantazyi, nawet fabuły stworzyć nie umiał, historya *Barbary* Ubryk przykrojona do potrzeby dostarczyła mu wątku do pierwszej tragedyi; drugą osnuł na wypadku rabina Kohna strutego we Lwowie przez współwyznawców podobno z prywatnej zemsty. Artyzmu w traktowaniu przedmiotu nie ma żadnego, dyalogi rozwlekłe i nudne, o dramatyczność nie pytać, styl jest wprawdzie poprawny, ale to nie stylistyczne ćwiczenie, to ma pretensyę do dzieła sztuki. Ludzie tacy jak p. Roniecki, którzy czują w sobie posłannictwo torowania ludzkości nowych dróg, o formę nie potrzebują się troszczyć. Powiedzieli światu prawdę, to dosyć; stary, zużyty świat dawny niech się posługuje formami, bo w nim treści nie ma, świat nowy bez formy się obejdzie, jemu wystarcza idea. Panu Ronieckiemu winszujemy *Idei*, powiemy nawet że reprezentuje ją godnie. *Idea* i reprezentant jej, zupełnie odpowiadają sobie. Pod tym względem jest całość i harmonia. *L. K.*

Czytelnia Ludowa, prowadzona przez księgarza krakowskiego Alex. Nowoleckiego, wydała w ubiegłym miesiącu *Zaklęte skarby* Michała Bałuckiego.

Rzecz co do tendencyi stoi na równi z *Wykładem snów* Kazimierza Goralczyka, ale co do formy stoi niżej. Pan Bałucki nie umiał i nie mógł nawet przyswoić sobie w takim stopniu pojęcia, wyobrażenia i języka ludu jak Goralczyk. To trudno. Kto pisze pełne niemoralnej tendencyi i treści powieści, ten nie potrafi nigdy wywierać na innych wpływu zbawiennego. Chcący lud moralizować, potrzebuje koniecznie być człowiekiem wiary — inaczej słowa jego będą echem pustego dzwonu. Nie był i nie będzie nigdy *ex sutore medicus.*

Obrazki historyczne Grajnerta ani grzeją ani ziębią, ale tendencya nie zła

Przewodnik po Krakowie pod względem historyczno-archeologicznym wyborny, ale co się tyczy informacyj, odnoszących się do dzisiejszego Krakowa, niedostateczny. Nakładca dopiero od kilku lat w Krakowie osiadły, zdaje się go tylko znać z ogłoszeń przemysłowców w Inseratach *Przewodnika* umieszczonych. Dla amatorów jednak pamiątek narodowych *Przewodnik* ten jest prawdziwym skarbem, i sumiennie go polecić można. *L. K.*

Urwane akordy. Poezye St. G. We Lwowie nakł. M. Darowskiego 1875 r.

Panuje pośród dziennikarskich arystarchów naszych pewna rutyna, której się trzymają stale i solidarnie przy ocenieniu zbiorów poezyi. Zanim jednak z olimpijskich wyżyn rzucą wyrocznię, zanim słowami uznania zaszczycą poetyckiego weterana, zwanego w takim razie „Nestorem narodowej poezyi", „wieszczem" itp, lub też dopełnią romantycznego aktu pasowania na rycerza na bezwąsem pacholęciu, pierwej piszą całe estetyczne kodeksa, całe przemądre traktaty o poezyi, rozstrząsając z namaszczeniem: „czy poezya wchodzi koniecznie do składu machiny narodowej? Czy gra w niej tak ważną rolę, że jej zboczenie może narazić społeczność na wielkie niebezpieczeństwa, a jakie jest prawdziwe jej przeznaczenie w ruchu społeczności? co to jest poezya"? itp., a potem: czy dzisiejsze społeczeństwo dostarcza jeszcze poetyckiego elementu, czy są jeszcze poeci i czy być mogą, czy też zniknęli już z powierzchni globu, jak niektóre wymarłe pokolenia Indyan?

Zagadnienia te przeróżnie bywają rozwiązywane i do przedziwnych często doprowadzają rezultatów. W tej kwestyi przemawiają niekiedy sami synowie Apolla, usprawiedliwiając tem samem tę wielką prawdę, że najgorętsze zwykle o to toczą się spory, co już dziś należy do krainy mytów. Malkontenci, bo gdzież ich brakuje, powstają przeciw „wieszczom" i słowami Asnyka gromią ich za powtarzanie starej nuty — zaatakowani, bronią się gorąco, składając winę swojej niemocy na publiczność, na czasy, na ostateczne zużycie i wyczerpanie wszystkich tematów i każą się podziwiać, że dotąd lir swoich nie zawiesili na wierzbach, aby nie wystawiać społeczeństwa pozbawionego „kapłanów" i „proroków" na płacz i zgrzytanie zębów. I ani chcą słuchać głosu jednego ze znanych i starych poetów, brzmiącego im w uszach wyrzutem: „pole wasze bogate jak stworzenie, niewyczerpane jak czas, niezmierne jak przestrzeń, swobodne, otwarte jak duch dla ducha". Mniej jeszcze zważają na słowa „starszego brata", ogłaszającego im poważnie, że prawdziwie piękne i wielkie pomysły mogą jeszcze zadrgnąć w piersiach człowieka, ale „nie w tłumie rozpustników bez serc i myśli, nie w hałasie bezrządnego życia, nie wśród zbytków jadła i napoju, nie pod jarzmem zmysłów i namiętności, nie w zamęcie uczuć sprzecznych, nienawistnych, przechodzących bez śladu, albo napełniających serce czadem kału."

Ztąd też nie wiele mamy pociechy z tych rymotwórców, co rosną jak grzyby po deszczu, zaostrzających bystrość swego rozumu na wyszukiwaniu najmniej już nadużytych końcówek. Wybrawszy najzdolniejszych z całego tego pseudo-poetycznego zastępu, grasującego tłumnie po jałowych niwach dzisiejszego czaso-piśmiennictwa, widzimy, że ci nieliczni ulubieńcy publiczności zwani „muzykami, czarodziejami języka“ kryją przerażające ubóstwo treści pod nastrzępioną szatą zewnętrzną, że uwielbiani z powodu siły kolorytu i potęgi słowa, są „poetami zmysłów, namiętności cielesnej“, że „ich natchnienia, są natchnieniami zwierzęcemi ze krwi“, że skupili wszystkie swoje władze dla sztucznego rozdmuchania ognia, co pali a nie grzeje, co bucha kłębami duszącego dymu, a nie jasnym i ożywczym płomieniem. A ich język, ten język, którym się tak chełpią, pewni że Adama, Krasińskiego, Słowackiego i Bohdana zostawili w tyle, mimo całej jaskrawości kolorytu, mimo przeładowania barw mających olśnić i oślepić czytelnika, jakżeż niesmacznie pretensyonalny, połamany, pokoszlawiony, zeszpecony w konwulsyjnych podrygach, że aż wstręt budzi i odrazę. Szkoda, że ci panowie nie znają Kożmiana i innych tak do zbytku lekceważonych klasyków, gdyżby się od nich mogli nauczyć pisać przynajmniej po polsku, a gdyby po tej dopiero nauce starli połowę farb ze swej palety, jeszczeby im i tak pozostało za wiele.

Ależ nie o rozprawę o poezyi dzisiejszej tu idzie, lecz o sprawozdanie z książeczki p. St. G. Należy nam więc złe naprawić tem bardziej, że niewiele z powyższych uwag zastosować wypada do tego rekruta w wielkiej armi rymotwórców. Drugi on już rok harcuje podobno na Rossynancie, nie miał więc jeszcze czasu wziąść szturmem publiczności, a nawet w ogólnym koncercie „braci lirników“, przygłuszony przez druhów o szerszych piersiach nie mógł zwrócić na siebie uwagi. Ale cierpliwości, a wnet zajaśnieje na naszem niebie to światło; już, już kraniec horyzontu rumieni się zorzą wschodzącego słońca. Jeden ze sterników umysłowego życia uderzył już w wielki dzwon! Słuchaj narodzie i wiedz o tem, że w pewnym wierszyku pana G., „skupiło się dziesięcioro przykazań narodowych“. Inne za to wiersze „wydały się“ wielkiemu krytykowi „mniej porywające“, ale on sam na nieszczęście party wewnętrzną walką, on sam nie wie, co mu się ma zdawać, więc aby nie obrażać druha dodaje: „wydały nam się mówimy tylko warunkowo, bo apodyktycznie twierdzić tego nie moglibyśmy żadną miarą“. O! niezrównany Stańczyku, przybywaj, przybywaj i obwieść lwowskiemu Jule Janin'owi, co mu się ma „wydawać“.

Z kornie schylonem czołem wstępujemy do przybytku, gdzie według owej krytycznej wskazówki zaczerpniemy nauki katechizmu. A więc pokłońmy się godłu na wstępie, zamieszczonemu na czele gmachu. Po „zgruchotanych gęślach“ i „strzaskanych lutniach“ *Urwane akordy* wcale nie wydają się dziwnemi. Zresztą wspomniany już wyżej estetyk zaręcza, że choć „urwane“ „nie brak im pełni tonów“. Posłuchajmy tej muzyki. Jej melodya nadzwyczaj podniosła, gdyż się rozpoczyna od *Sursum corda*.

Gdyby nas kto zapytał, w jakim charakterze występuje autor *Urwanych akordów*, nie potrafilibyśmy mu jednem odpowiedzieć słowem. Zdaje nam się, że równocześnie chce on być i kaznodzieją i rycerzem, systematycznie bowiem prawiąc morały (r. 1863 miał także swoją moralność), przeplata je wojenną pobudką, dowodzącą, że łaknie krwi i innych chciałby popchnąć... na bagnety... z kijami. Jak w tej podwójnej roli do twarzy młodociannemu „pieśniarzowi“,

łatwo odgadnąć. Czuje on się powołanym do ciągłego karcenia, nieustannego chłostania bez przerwy i wytchnienia, zapominając, że taki ton wobec społeczeństwa nie przystoi młokosom bez zasług i przeszłości, że morały, zwłaszcza w tak niesmacznej jak tu podane formie, nie są wcale poezyą. Szczególniej przykre nadzwyczaj robi wrażenie rzucająca się pewnego rodzaju zuchwała odwaga, pewne stawianie siebie samego po nad wszystkich i odgrywanie roli bociana. Stosowny to ton do *Szczutka*, a co najwięcej do farsy, ale nigdy do poezyi. Kością w gardle stają czytelnikowi ustawiczne utyskiwania, a raczej wymyślania na „wymoczków ród skarlały“, na „moralnych inwalidów“, „smutnych niedołęgów“, na „istną hołotę“, na braci rówieśnych, wołających w razie matrymonialnych zamiarów:

— Masz gotówkę? — Mam — więc kwita!
A gdy nie masz idź do czarta!

p. G. odwołuje się wprawdzie do przeszłości, upewnia że dawniej lepiej było:

Dawniej żyło się inaczej!
I — *niech każdy mi wybaczy*
Według mnie żyło się lepiej.

Tęskni on za wiekami „karabel damasceńskich“, za czasem, gdy jak mówi:

Nad okutym w stal rycerzem,
Biły gromy; *on z pancerzem (!)*
I odwagą lwa wychodził...
...Dziś...! my smutne niedołęgi
Nie tak ciężkie biorąc cięgi...

P. G. ma więc cześć dla przeszłości, bardzo to rzecz chwalebna i dobrze świadcząca o jego duszy i pojęciach, ale cóż, kiedy ta cześć osobliwszego jest gatunku, poczytuje on bowiem za wielką przodkom zasługę „namiętność“ i twierdzi, że to właśnie uczucie krew polską.

Przetwarzało *w lawę*, *w wary*,
Im (!) nadając *przez swe czary*,
Cechę wielką staropolską!

Gdzie tu sens, gdzie gramatyka, gdzie jakakolwiek zręczność wiersza! Dziękujemy za apostolstwo *nadane przez czary* namiętności. W oratorskim zapale popada się łatwo w takie nonsensa, nieodosobnione zresztą, gdyż czytamy znów dalej:

Więc żyć trzeba i czuć trzeba,
Szczęścia, bólu, zażyć chleba
Pasmo doli wysnuć całe
A nie jakieś strzępki małe
Nie *maluczką ćwierć*...

Wspinając się na kazalnicę, autor zapomniał nietylko o wielkich regułach estetycznych, ale nawet o przestrodze Krasickiego: „trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty“ i dlatego dopuszcza się trywializmów i zdań nadzwyczaj rażących, chociaż tu i ówdzie widać w nim pewien talent, spowity w długie zwoje niepowstrzymanego gadulstwa, zeszpecony nieznośną manierą zdolną zepsuć wszystko. Ztąd też lubo w następnych wierszach obok banalności i powtarzania odwiecznych frazesów znajdzie się jakiś piękniejszy ustęp, to jednak ginie on bez śladu zalany oceanem niesmacznych wykrzykników. Sam nawet bardzo udatny, gorąco

i ze szlachetnym zapałem wypowiedziany wiersz: *Nam niewolno* osobno wydrukowany wydałby się bardzo ładnym, tutaj zaś ponieważ uderza w tęż samą nutę co sąsiednie ustępy, acz nierówniej szczęśliwiej, nie sprawia wrażenia. Że jednak jest perłą wśród innych, przytaczamy go na dowód, iż względem pana G. wcale nie kieruje nami uprzedzenie. Mamy nadto nadzieję, że pan G. po wyjściu z choroby jaką dziś złożony, napisze nam jeszcze nie jedną rzecz wcale udatną i piękną. Wierszyk, o którym wspomnieliśmy, brzmi jak następuje:

Gdy z postępu nowym wiekiem,
W proch runęły dawne bogi,
Wszystko, co się zwie człowiekiem,
Spieszy raźno w nowe drogi.
Nowe hasła błysły światu,
Nowa gwiazda ludom świeci...
I dziś szydzą nawet dzieci,
Ze swych dziadów majestatu!
Lecz choć świat dzisiejszy cały,
Łaje przeszłość nieudolną,
Z przeminionej szydzić chwały:
Nam niewolno!

Dzika przemoc co nas gnębi,
Wie to dobrze, zbyt rozumna,
Że gdy serca nam wyziębi,
Z ziemi naszej będzie trumna!
I rozumie dobrze ona,
Że w Polaku zabić ducha
Rzecz pewniejsza od łańcucha:
Bo bez ducha naród skona!
Lecz się łudzą środki temi,
Chcąc nam zadać śmierć powolną:
Bo my wiemy, że iść z niemi
Nam niewolno!

Niechaj ludy pasożytne,
Co się naszej krwi opiły,
Rwą sztandary starożytne
I bezczeszczą nam mogiły!
Niechaj szydzą z naszych marzeń,
I nas w swoje ciągnąc błoto,
Sami pełni zbrodni, skażeń,
Po nad wszystko stawią złoto...
Dosyć złota Polska miała,
By ich kupić była zdolną!
Sprzedać dumy co została —
Nam niewolno!

Chociaż orła skuto w pęta
I podcięto silne skrzydła,
Dawny lot swój on pamięta,
I niewola mu obrzydła!

Z wężem zległym w norze ciemnej,
Nie zamieni swojej doli!
Bo on więzy swoje woli,
Od wolności tak nikczemnej!
Ludy co się zbyły ducha,
Mogą wiarę mieć dowolną,
Iść wraz z niemi do łańcucha:
Nam niewolno!

My — rycerskich rodów syny,
Mamy inne od nich drogi!
Drogie ojców nam wawrzyny,
Drogie ojców stare bogi!
Pierś okujem w stal wytrwania,
Serce wiara nam rozpali!
Gmach niewoli gdy się zwali,
Przyjdzie chwila zmartwychwstania!
Ale pókiśmy w niewoli,
Póki matka nie jest wolną:
Synom dzielić zbójców doli —
Nam — niewolno!!

LISTY z WIEDNIA.

(Serya II.)

XIV.

Wiedeń 18 Września.

(Ruch parlamentarny — Wiece katolickie i liberalne — Dr. Pogacar — Jubileusz ks. biskupa Strossmayera — Ksiądz Ranolder — Nieco o szkołach — Uroczystość Sedańska — Bank konserwatywny — Nowe książki.)

Zarozumiałość, to właściwa cecha wszystkich półtalentów; dowodem tej prawdy sejm węgierski z p. Tiszą na czele. W przeciągu trzechletniej działalności obiecują sobie ci panowie dokonać zupełnej reformy na każdem polu publicznego życia, a reformy te pozbawione wszelkiego wpływu kościelnego, mają królestwo św. Szczepana i Władysława zamienić na eldorado doktryn liberalnych. P. Tisza z gwardyą swoją przyboczną, składającą się z 80 deputowanych, chce się zabawić w kuglarza w dziedzinie reform i liczy na pewny tryumf, mając przed sobą słabych przeciwników. Obóz bowiem konserwatystów wynosi zaledwie 40 głosów, a posłów ściśle katolickich można z łatwością na palcach obu rąk obrachować. A ponieważ liberalizm wszędzie sobie podobny, więc i w Węgrzech władza państwowa zamierza targnąć się na

Kościół i jego prawa i nieeny swój zamiar usiłuje dość zręcznie przeprowadzić, domagając się od kleru, by tenże dla bożyszcza, zwanego patryotyzmem, krzywdy zadane Kościołowi zakrywał swą suknią kapłańską. Perspektywa więc dla Kościoła za Litawą wcale nie jest pomyślniejszą, niż w tej połowie monarchii. Jedyna otucha, iż te zapędy reformatorskie natrafią na niezłomny opór samego Cesarza. Dziwne doprawdy te dzisiejsze rządy parlamentarne. Co chwila tworzą one nowe projekta i plany, pełne różnorodnych barw i kształtów, które jednakże za lekkiem potrąceniem jakby w jakim kalejdoskopie rozlatują się, by ustąpić miejsca innym.

W Czechach rozwój katolickiego życia z każdym dniem potężnieje. Ostatniemi czasy w miasteczku Trybow odbył się znowu meeting katolicki. Po odśpiewaniu hymnu papiezkiego, zagaił zebranie książę Jerzy Lobkovic, kładąc szczególniejszy nacisk na to, iż ten system rządzenia tylko dobry i sprawiedliwy, który i na cal nie odstępuje od zasad, głoszonych przez Kościół katolicki. Następnie przemówił baron Zeszner, wykazując w wielce trafny sposób, jak rewolucya francuzka z r. 1789 powiła dwóch synów: liberalizm i socyalizm, którzy choć na oko nieprzyjaźnie względem siebie usposobieni, w gruncie atoli zgadzają się ze sobą na trzy zasady, z których jedną wygłosił Rousseau: o wolności i równości wszystkich; drugą Adam Smith: wyrywając człowieka ze społeczeństwa i taksując go wedle jego siły zarobkowej i zasobów pieniężnych; trzecią narzucił mu Montesquieu, propagując teoryę o rozdziale władzy prawodawczej, wykonawczej i sędziowskiej. Rozbiór o ile te zasady przyczyniły się do obecnych tak arcysmutnych stosunków społecznych, państwowych i ekonomicznych był mistrzowski. Równie zajmująco rozwinął Dr. Borowy tezę, iż Kościół był i jest obrońcą praw historycznych.

Drugi podobny wiec odbył się 8 t. m. w Wyższej Austryi w St. Georgen, na którym po hr. Brandis i bar. Mann przemówił ks. Pflügel, delegat do Rady Państwa. Wspominając, iż stowarzyszenia katolickie w Wyższej Austryi liczą do 20.000 członków, dodał on: „potężny ten zastęp nie ulęknie się walki na kościelnem, politycznem i socyalnem polu, wystąpi on do niej, jeśli niegodziwy liberalizm nie poprzestając na dotychczasowych swych łupach, będzie się jeszcze kusił o nowe w Radzie państwa zdobycze“. Słowa te były niejako odpowiedzią na uchwały zapadłe w Nowym Iczynie na Morawie, gdzie gromadka adwokatów i żydków, należących do skrachowanych rycerzy, układała plan przyszłej kampanii konfesyjnej w Radzie państwa. Jednym tchem uchwalono tam domagać się od parlamentu wiedeńskiego

zaprowadzenia ślubów cywilnych, uznania starokatolików, bezwzględnego wykonania ustaw szkolnych z cechą bezwyznaniową; wszystkie te tak postępowe postulata uznano za najskuteczniejszy plaster na zagojenie ran, jakie szwindel krachowy zadał.

Ludność atoli w Austryi, nawet w samym zjudaizowanym Wiedniu, nie pójdzie więcej na lep frazesowiczów liberalnych; ludność ta woła: pracy — chleba, i poczyna nawet oburzać się na swych nieproszonych mentorów i uszczęśliwiaczy.

Czytaliście już zapewne w dziennikach, jakie wyśpiewują hymny liberały wiedeńskie na cześć ks. biskupa Lublany za jego list pasterski, w którym najmniejszego nie dał im do tego powodu. Ależ im chodzi o to, by im wierzono w Berlinie, iż znalazł się w Austryi katolicki biskup, który gotów przystać na Kościół wedle fasonu *Kulturkampfu*, a jeżeli ich sofizmata wykażą się jako kłamstwa, to sprostowanie kilkuwierszowe nie zatrze wrażenia tysiąca potwarczych artykułów i ten, który czerpie swą wiedzę czy to z *Neue freie Presse*, czy to z berlińskiej *Vossische Zeitung* czy z *Republique Française*, będzie wierzył, iż przecie liberalizm to potęga, kiedy i wśród biskupów katolickich znajduje sprzymierzeńców. Tymczasem katolicy Krainy mają nie nadzieję, lecz pewność, iż gdyby godzina próby na Kościół katolicki w Austryi wybiła, ks. biskup Pogacar znajdzie się w szeregu niezłomnych szermierzy, potykających się się o prawa Kościoła, choćby mitra biskupia zamieniła się w koronę cierniową. Już niejednego z biskupów potwarzali liberalne pismaki, iż mogą liczyć na niego, a zawsze zawód ich spotykał, spotka ich i teraz z całą pewnością.

Niedawno, bo zaledwie w czasie Soboru Watykańskiego wynosili liberalni ks. biskupa Strossmayera pod same niebiosa, aż tu teraz nie mają dlań nic innego nad same tylko szyderstwa. Zaciekłość semicka, nie pojmująca co to szlachetność, natrząsa się z ks. biskupa z Djakowaru, iż zachęcał wiernych, by zamiast święcić jego jubileusz biskupi, raczej pamiętali o braciach walczących w Hercegowinie z dziczą muzułmańską. Mimo tego kler i wierni, przywiązani do swego pasterza, obchodzili 8 t. m. dzień ten jubileuszowy uroczyście. Duchowieństwo wręczyło swemu Ojcu przepysznie ze słoniowej kości wyrobiony pastorał i wieczorem Djakowar jaśniał od rzęsistej illuminacyi; mieszczaństwo zjawiło się przed pałacem biskupim z pochodniami, a towarzystwo śpiewaków wykonało serenadę. Nazajutrz ze świtem rozlegały się wystrzały moździerzowe. Mszę uroczystą i kazanie wygłosił sam jubilat, następnie przyjmował liczne deputacye, a wieczorem spalono sztuczne ognie, przedstawiające nowy kościół katedralny.

Przed kilkoma dniami jedna więcej biskupia stolica opróżnioną została w Austryi. Dwunastego b. m. zmarł siedemdziesięcioletni starzec, ks. biskup z Veszprimu Ranolder, powszechnie ceniony i żałowany pasterz. W r. 1850 prekonizowany biskupem Veszprimu rozpoczął on swe pasterzowanie od tego, iż sprowadził Siostry Miłosierdzia do szpitalów, a zarazem, iż przyznany mu kapitał indemnizacyjny w wysokości 739.793 zł. przeznaczył na cele dobroczynne i kościelne. Dla swych prac na polu umiejętności teologicznych zaszczycony został złotym medalem *litteris et artibus*, a główne jego dzieło niepośledniej wartości nosi tytuł: *„Hermeneuticae biblicae generalis principia rationalia, christiana et catholica“*.

Ze szkołami w niemieckich prowincyach Austryi coraz to gorzej. Z jednej strony naukę religii obcinają do najmniejszej liczby godzin, z drugiej znowu coraz częściej przy szkołach o przeważnie katolickich uczniach nadają posady nauczycielskie żydom. I tak gdy w Insbruku odjęto od dawna istniejącej szkole przy klasztorze Urszulinek charakter zakładu publicznego, czem skrzywdzono rodziców dbających o religijne wychowanie dla swych dziewcząt, to przyjęto natomiast w Gablonz i w samej Pradze dwóch żydków, jednego z zawodu szklarza, drugiego skrachowanego giełdziarza, jako nauczycieli do szkół wyłącznie katolickich, przyjęto wbrew protestowi założonemu przeciw tym wyborom, przez duchownych katolickich, będących członkami rad szkolnych. Nie dość jednak na tych gwałtach, zadawanych uczuciom religijnym rodziców i dzieci; liberalne rady szkolne podnoszą nawet bunt przeciwko rozporządzeniom ministerstwa, ilekroć takowe uwzględniają choć nieco potrzeby duchowe uczącej się generacyi. W Penzing poleca przewodniczący rady szkolnej, stosownie do okólnika p. Stremayera, rozpocząć nowy rok szkolny nabożeństwem kościelnem, a wnet powstaje krzyk oburzenia i zgrozy na ten występek przeciw bezwyznaniowości; w Reichenbergu usuwa p. minister niejakiego ajenta pruskiego A. Polzer z posady profesora przy realnem gimnazyum, a wydział krajowy Niższej Austryi jakby drwiąc sobie z zakazu ministeryalnego, promowuje tego pana na intratniejszą profesurę przy gimnazyum w Horn; ksiądz biskup Zwerger wzywa katechetów, by z uczniami, którzy mogą już przystępować do śś. Sakramentów, odbywali gromadne procesye jubileuszowe, a żydkowie od gazet, jedni ronią łzy, iż dziatwa zedrze sobie bezpotrzebnie obuwie, drudzy szydzą z tych „pobożnych spacerów“, a wszyscy wznieciwszy bóżnicowy rajwach, wołają o policyę — o interwencyę p. ministra przeciw tym nadużyciom ultramontanizmu. Na tak zwanych majówkach, na wycieczkach turnerskich, na innych festynach

wolno dziatwie pod okiem pp. profesorów wychylać kufle z piwem, śpiewać kuplety nieraz podejrzanej treści, ale odwiedzić trzy kościoły i pomodlić się — to zgroza. Do czego to prowadzi? łatwo odgadnąć: oto, iż dzieci rozwijają się, dojrzewają przedwcześnie. Sami inspektorowie szkół przykładają do tego rękę. Niedawno liberalny inspektor w Korneuburg, zachęcając dzieci do pilnego uczęszczania do szkoły, na taki zdobył się argument: „Dzieci moje, powiedzcie, czy nie gniewałybyście się na dzieci, które kiedyś mieć będziecie, gdyby zamiast chodzić do szkoły, próżnowały“? Po takich przemowach należałoby koniecznie dla uzupełnienia nauki zaprowadzić po szkołach ludowych prelekcye z anatomii.

Pedagogia liberalna, upośledzając naukę religijną, przygotowuje społeczeństwu na przyszłość straszne kataklizmy; grzeszy ona nadto zupełną nieznajomością psychologii, obarczając dziecinne umysły mnogością przedmiotów wykładanych. Jak długo organizm fizyczny przebywa fazę ukształcenia, dusza wtedy spoczywa, działa się więc przeciw planom natury, gdy się tę duszę przed czasem zaprząta pracą nie jedną, ale wieluprzedmiotową. Dziecię nieraz w spóźnionej porze imające się książki, robi nadzwyczajne postępy, gdy przeciwnie zaraz prawie z pieluch zaprzągnięte do nauki, może czasem zabłysnąć bogactwem wiedzy, lecz rychło też stoczy się w objęcia grobu. Tak np. Piotr Ramus do 10 roku nie umiał ani czytać ani pisać, a przecie podziwiany jako znamienity mędrzec; gdy znowu słynny Baratier w 4 roku już mówił płynnie z ojcem po łacinie, z matką po francuzku, ze służącą po niemiecku, ale też, mając 19 lat, rozstał się z tym żwiatem. Nie bez przyczyny przeto Paweł Aegineta*) potępiał zbyt wczesne nauczanie, na co się zgadza i w nowszych czasach Dr. Frank, odwołując się w swem dziele: *System policyi lekarskiej* tak do władzy świeckiej jak i duchownej, by właściwą naukę rozpoczynano z 12 rokiem, przed tym zaś terminem poprzestając na początkach prawd religijnych i na nauce czytania i pisania. Liberalizm, jak wszelkiej tak i tej prawdy uwzględnić nie chce, jemu się spieszy z wyhodowaniem niedouczonych lub dyletantów nauki, bo tego rodzaju generacya z łatwością zasili kontyngens bezwyznaniowców. Bez uprzedzenia można zatwierdzić, iż wśród młodzieży tak szkół średnich, jak tem bardziej uniwersyteckiej mnogo jest już kandydatów na obrońców *Kulturkampfu*, nauki rzetelnej w pośród niej nie szukać, a jeżeli jest, to taka odrobina, jak makowe ziarnko. Obok rozpanoszonej blagi, znajdziesz tam w tych zielo-

*) Znakomity lekarz w średnich wiekach.

nych głowach nienawiść prawie Neronową przeciw Kościołowi i łaszenie się niewolnicze niby szczeniąt przed swym panem z Warzynu.

Burszenszaft tutejszy „Germania“, zapragnął tu w Wiedniu obchodzić szumnie i dumnie uroczystość krzyżackiego świętego „Sedanu“; rząd atoli austryacki, jakkolwiek pod egidą p. Andrassyego bardzo jest potulny i powolny grymasom Bismarka, nie mógł atoli ścierpieć tak jawnej propagandy własnych poddanych na rzecz połączenia się z wielkim niemieckim „Reichem“; zakazał przeto tej pruskiej manifestacyi. Cóż atoli czyni młodzież austryacka — do czego uzuchwala się „Germania“? Oto przed posłem obcego mocarstwa, przed p. Schweinitz, zanosi żałobę, oskarżając własny rząd. P. Schweinitz na oko niby szorstko przyjął deputacyę, lecz ręczyć można, iż w duchu radował się ze zwycięztwa idei pruskiej nad Dunajem. Wobec tego faktu, jaka to bezczelność liberałów, iż oskarżają katolików o brak patryotyzmu, o przekładanie spraw Rzymu papiezkiego nad sprawy monarchii; sami jawnie, w biały dzień popełniają zdradę przeciw całości państwa, a czernią tych, którzy zawsze byli wiernymi tronowi Habsburgów. Rząd miał rozwiązać „Germanię“ za tę jaskrawą nielojalność, to atoli nie przeszkadza wcale liberałom austryackim pracować i nadal nad osłabieniem przywiązania do dynastyi.

W całej tej aferze najciekawszem jest wystąpienie żydowskich dzienników. Zakaz zamierzonej demonstracyi przypisują one, odgadniecie komu, oto tym tak dla nich strasznym Jezuitom. Chluba wielka, iż cokolwiek dobrego i pożytecznego dla monarchii się stanie, za sprawców tego, słusznie czy nie słusznie, poczytują Ojców tego znakomitego i zasłużonego zakonu. Znają potegę tego zgromadzenia nieprzyjaciele Kościoła, znają jego wpływy i dlatego chcąc w życie wprowadzić nowy szwindel, obrachowany na obdarcie kół arystokratycznych, puścili w świat pogłoskę, iż od Jezuitów wyszła myśl założenia banku konserwatywnego, aby sparaliżować działania obozu liberalnego, który właśnie przez swe operacye finansowe tak się rozrósł w znaczenie i takie zajął decydujące stanowisko w sprawach publicznych.

Aby i w kraju nie dał się kto ułowić poczciwą nazwą „banku konserwatywnego“, uważam za obowiązek obywatelski powiedzieć nieco bliżej o tej spekulacyi. W Paryżu 6 Sierpnia zawiązało się akcyjne towarzystwo pod firmą: *Union Generale;* po wszystkich stolicach mają być otworzone jego filie, a w Wiedniu powstały w tym celu komitet wzywa do subskrypcyi, zwracając się szczególniej do kół konserwatywnych i prawiąc wiele o popieraniu w ten sposób interesów zachowawczych i katolickich. Nieraz już przystępowano do katolików i

konserwatystów z podobnym projektem, dość wspomnąć aferę Langrand i tak zwany „Bank książęcy“, który miał powstać w r. 1868 ze zlania kapitałów różnych wydziedziczonych książąt. Teraz wydano hasło: assocyacya konserwatywnych kapitałów — hasło nęcące, ale w treści nie prawdziwe. Kapitał sam w sobie jest bezwyznaniowy i bezojczyzniany. Kapitał nie troszczy się ani o religię ani o politykę; co innego posiadacze kapitałów, ci mogą być katolicy i konserwatyści i od nich to zawisło, czy te kapitały celom katolickim i konserwatywnym mają służyć. Dwie wręcz różniące się od siebie są to rzeczy: osobista assocyacya kapitalistów i rzeczone zlanie się kapitałów. Przy osobistej assocyacyi jeżeli członkowie są katolicy i konserwatyści, to kapitały mogą służyć ich zacnym celom; przy rzeczowej zaś, która jest dzieckiem liberalnego systemu ekonomicznego, osobisty sposób myślenia nic nie znaczy, tam rozstrzyga tylko akcya. Niech więc komitet przygotowawczy czy założycieli składa się z mężów o zasadach jak najbardziej zachowawczych, skoro przedsiębiorstwo finansowe wejdzie w życie, to komitet tyle ma tylko wpływu i praw, ile go nadaje akcya zarówno konserwatyście jak i komuniście, zarówno katolikowi jak i żydowi. Gdzież tu więc rękojmia, iż towarzystwo akcyjne inne a nie interesa kapitału, który nie zna ni ojczyzny ni wiary, popierać zechce? Konserwatyści uznają potrzebę wyemancypowania się z pod tego liberalnego systemu ekonomicznego, oni rozpoczęli przeciwko niemu bój wszędzie, gdziekolwiek zjednał sobie obywatelstwo. Nie można przeto szatana przez Belzebuba wypędzić, nie można zwalczać ekonomii liberalnej, popierając równocześnie ten zgubny i nieuczciwy system. Aby tę walkę przeciw liberalnym teoryom ekonomicznym skutecznie przeprowadzić, do tego potrzeba assocyacyi konserwatystów, ale tylko osobistej. Ale i ten projekt, chociażby był podjęty w najlepszych celach, nie rokuje on wcale, aby cele zostały osiągnięte: teren, na którym się je szczepi, z łatwością da się zdobyć przez nieprzyjaciół katolików i konserwatystów. Koniec końcem, kto ma kapitały, niech je zużytkuje w kraju a nie puszcza się z niemi na bankierskie zyski, które tyle razy uwieńczone już zostały krachem i szwindlem.

Z książki *Statistisches Jahrbuch für das Jahr 1873*, zeszyt 8, dowiadujemy się, iż w tym roku było już akcyjnych towarzystw 98, z których 82 zbankrutowały, obdzierając łatwowiernych, chcących się łatwo zbogacić, z olbrzymiej sumy, wynoszącej 39,114.069 zł. Nauka tak dotkliwa powinnaby skutkować, i spodziewać się należy, iż gründerstwa choćby z najpoczciwszym szyldem, nie znajdą pochopnych amatorów.

Od książki tak suchej, lecz zarazem tak przerażającej, co do następstw wywołanych spekulacyami, przejdę do kilku dzieł wartych zalecenia. Między innemi nowościami zwraca na siebie uwagę wyborny przekład trzech utworów nowołacińskiej poezyi. Dziełko to zatytułowane: *Drei Perlen der neulateinischen Poesie* zawiera: Jak. Sannazaro: „Narodzenie Jezusa“ — tegoż „Treny na mękę i śmierć Chrystusa“ i Dondina: „Samsona zgon“. O poezyach tych za całą krytykę można przytoczyć te dwa wyrazy: *tolle-lege*. W istocie ubolewać należy, iż tak mało są znani poeci chrześcijańscy piszący po łacinie, tacy: Balde, Sarbiewski, Vida, Sannazaro, Ceva słynny przez swój poemat *Puer Jesu*, iż utwory pogańskich klassyków schyłkowych, jak Statius, Silius, a z greckich Nonus, Musaens zalegają pułki bibliotek. W jednem nieraz słowie tych poetów więcej jest natchnienia i treści, niż w całych tuzinach różnych próbek literackich naszych domorosłych wierszorobów. Przekładu na język niemiecki powyżej wspomnianych prawdziwych pereł dokonał zręcznie a wiernie Dr. Farznacht z Lipska.

Niemniej cenną pracą jest książka, której tytuł: *Das Naturschöne* von Carl Berthold. Autor tego dzieła, wielce zasłużony redaktor pisma: *Natur und Offenbarung* wziął sobie za zadanie wykazać, iż pomimo przekleństwa, jakie w skutek grzechu padło na tę ziemię, przyroda jest zawsze widomem choć ułamkowem odbiciem nieskończonej piękności Boga. W porywających obrazach, przeplatanych podniosłemi refleksyami, odsłania autor przed oczyma naszemi we wszystkich trzech królestwach taki ogrom wdzięku i piękności, iż czytelnik ukończywszy to miłe i pożyteczne czytanie, musi się przyznać, iż miał oczy, a wiele bardzo wiele nie widział.

Ks. Brucker S. J. wydał dzieło kontemplacyjne: *Die Kunst mit Gott zu verkehren*. Zawiera ono dwie rozprawy: pierwsza z nich stanowi wyjątek z mało znanego dzieła O. Rogacci, napisanego po łacinie: *De Uno Necessario*.

Z nowszych książek szkolnych chciałbym zanotować: *Biblische Geschichte des alten und neuen Testamentes*, opracował ksiądz Businger, rektor seminaryum w Solothurn, wydanie 13te. Ta znaczna ilość edycyj świadczy o wartości tego kompendyum, a podnosi takową aprobata biskupów szwajcarskich, niemieckich, austryackich i amerykańskich. Dotąd książkę tę przetłómaczono na języki francuzki, włoski, angielski, bretoński, portugalski. Możeby się znalazł i tłómacz polski, bo lubo używany w szkołach krajowych przekład historyi biblijnej Schustera ma także swe zalety, to bezstronność każe przyznać, iż podręcznik ks. Businger nie ma sobie równego.

Z kalendarzy katolickich, które już teraz na rok następny się pojawiły, wyszczególnia się tak zewnętrzną piękną formą, jak i bogactwem treści: *„der Hausfreund“* ułożył i wydał ks. Pachtler S. J. Z obfitości artykułów przytaczam niektóre: prześliczna powiastka — Jan Jodocus, szkic biograficzny szlachetnej małżonki Don Alfonsa, Donny Marji de las Nieves, następnie pouczający i pociechą darzący rys życia czcigodnej Karmelitanki Ludwiki Maryi, córki Ludwika XV, popularne zbicie teoryi Darwina, i wiele wiele innych rzeczy pięknych, budujących częścią prozą, częścią wierszem. Kalendarz ten ma jeszcze i tę niepoślednią wartość, iż podaje starannie zebraną hierarchię katolickiego Kościoła we wszystkich państwach całego ziemiokręgu. Równie piękny i zalecający się treścią jest *„Sonntags-Kalender“*.

LIST Z WARSZAWY.

Ostatni przybytek Unii w Polsce pod panowaniem moskiewskiem na Podlasiu już jest zajęty przez prawosławie. Smutna to historya, która czeka swego historyografa. Nie tu dla niej miejsce, bo ją podać należy ze wszystkiemi ciekawemi i wielce nauczającemi szczegółami. Tutaj jednakże powiem to tylko, że myli się bardzo, kto sądzi, iż do ostatniego zamachu na Unię ośmieliła Moskali teraźniejsza wojna z Kościołem w Niemczech. Rząd moskiewski we wszystkich swoich krokach, wymierzanych od czasu do czasu przeciwko Kościołowi katolickiemu, nie ogląda się wcale, jak to wielu wprost przeciwnie sądzi, na to co się dzieje za granicą, udaje on tylko, że na to zwraca swą uwagę. Obalenie Unii w Królestwie Polskiem, czyli tak zwanym kraju nadwiślańskim, obmyślanem zostało najzupełniej jeszcze lat temu osiem. Jestto dzieło pamiętnego w tym kraju diejatela Moskwy, księcia Czerkaskiego. Przeprowadzali je konsekwentnie wedle wydawanych i zatwierdzanych z góry rozkazów wszyscy piastujący tu władzę. I były namiestnik hr. Berg, pomimo że dzięki niektórym domowym wpływom okazywał w pewnych razach usposobienie przyjazne katolickiemu duchowieństwu i jego następca teraźniejszy jenerał-gubernator hr. Kotzebue, który udając, że nie chce naśladować Niemców, udawał zarazem, że jest niechętnym ostatnim krokom gwałtownym i prześladowczym i gubernator Siedlecki Gromeka oddawna już zobowiązali się wykonać i uskutecznić plan nakreślony przez Czerkaskiego a sankcyonowany przez cara. Wszyscy oni jednakże spodziewali się, że wszystko pójdzie dobrze, że wszystko będzie wykonanem bez żadnych gwałtów, wstrząśnień i ze skutkiem pożądanym, jak to zwykle bywa ze wszystkiemi robotami moskiewskiemi w Polsce. A zato zawczasu obiecano ich sowicie nagrodzić. Jakoż cała rzecz na pozór powiodła się najzupełniej. Unii niema, lud zdradzony przez swoje duchowieństwo, przybyłe z Galilei, męczeństwem, prześladowaniami, przeprowadzony gwałtem na schizmę. Tego nie dosyć. Rząd w przezorności swojej

obawiając się, aby na lud nie wpływali kapłani łacińscy, zabrał na cerkwie schizmatyckie 6 czy 8 kościołów katolickich łacińskich, położonych w pośrodku Unitów, między nimi słynące z cudownych obrazów Matki Boskiej, jak kościół w Leśnie (niedaleko Janowa) i sławny kościół w Kodniu. O utrzymanie tego ostatniego wielkie były starania i tu i w Petersburgu dziedziców Kodnia hr. Krasińskich. Nie żałowali na to i pieniędzy; ale i wszechwładne w Rossyi przekupstwo nic nie pomogło. Na ten raz interes narodowy pokonał narodowe skłonności. Najprzód pozbawiono kościół proboszcza. Był nim stary ksiądz już oddawna tam będący, a więc znany dobrze całej okolicy. Zarzucono mu, że spowiadał i pochował Unitę, który, jak się okazało, już od lat kilkunastu i bez wiadomości swego teraźniejszego proboszcza przeszedł na obrządek łaciński. Proboszcza za to wywieźli, następca jego wikaryusz także za coś wypędzonym został z parafii, kościół najprzód zamknięto, a następnie w skutek rozkazu Jego Cesarskiej Mości, podpisanego w Warszawie przed wydanym na jego cześć balem, zabrano na cerkiew schyzmatycką. Tego jedynie dokazali Krasińscy, że obraz cudowny Matki Boskiej, malowany w końcu VI wieku na rozkaz św. Grzegorza W. Papieża przez Augustyna Rzymskiego i wykradziony z Rzymu przez Mikołaja Sapiehę r. 1632, a następnie darowany zbudowanemu przez niego kościołowi [1]), wywieziono do Częstochowy. Dokazano w tem rzeczy niemałej, bo pierwszy to przykład, jakiego nie było ani w Poczajewie, ani zgoła w żadnem z miejsc cudownych, zabranych przez schyzmę.

Tymczasem obraz cudowny Leśnieński dostawszy się Moskwie, zaczyna ją niepokoić, jak arka zabrana przez Filistynów. Ukazują się tam widzenia Matki Boskiej, które poświadczają różni i katolicy i schyzmatycy, a nawet żydzi. Władze miejscowe miotają się, chwytają i batożą wszystkich powiadających, że Matkę Boską widzieli. Miało to spotkać niedawno i pewną żydówkę, utrzymującą, że widziała wychodzącą z kościoła niewiastę w jasności. Ile w tych widzeniach jest prawdy i jakie są one rzeczywiście, czas to dopiero pokaże. To pewna, iż w obec prześladowania za ich ogłaszanie niepodobna upatrywać w nich jakichkolwiek podstępnych knowań na pobożną łatwowierność prostaczej ciemnoty, jakie zwykle widzi w takich razach oświecony i wolny od przesądów religijnych rozum naszego wieku. Władze rządowe zaniepokojone są tem silnie, i za dowód tego może służyć odezwa jenerał-gubernatora hr. Kotzebue do biskupów i administratorów dyecezyi z 21 Czerwca b. r. będąca ciekawym pomnikiem światłej wiedzy, liberalnego wykształcenia i tolerancyjnego usposobienia Moskwy dla religii i Kościoła opanowanego przez nią kraju. Przytaczamy w wiernym przekładzie z języka rossyjskiego ten dokument, który wart jest podania do wiadomości publicznej, a następnie zamieszczenia w źródłach do przyszłej historyi Polski tegoczesnej.

---

[1]) Czytaj o tem bardzo piękne dzieło: *Monumenta albo Zebranie starożytnych ozdób Przenajświętszej Bogarodzicy Panny Maryi w dawnym wielce obrazie Kodeńskim de Gwadeluppe, rzeczonym przez JW. Jana Fryderyka Łukasza Hrabię Sapiehę wprzód po łacinie, a teraz po polsku z przydatkiem wielu rzeczy wypisane y na dwie części podzielone za staraniem X. Albrychta Stawskiego do druku podane r. 1723. Varsaviae.*

„Warszawski jenerał-gubernator do biskupa N.

Od niejakiego czasu w różnych miejscowościach tutejszego kraju rozchodzą się wieści o wydarzających się jakoby cudach i nadprzyrodzonych zjawiskach zsyłanych z nieba.

Każda taka wieść obudza wrzenie umysłów w masach nieoświeconego prostego ludu, który zbiega się tłumnie na miejsce mniemanego cudu i nie mając żadnego wykształcenia i wiadomości naukowych, łatwo daje się uwodzić zdaniom błędnym i poczytuje następstwa przyczyn najnaturalniejszych za oznaki nadprzyrodzonych i cudownych działań sił niebieskich.

Fakta, jakie okazały się, każą wnosić z pewnością, że pomienione niedorzeczne wieści rozsiewane są rozmyślnie i że to wszystko jest dziełem skrytych knowań ludzi złej woli, dążących do tego, by wskazując na pojawiające się jakoby oznaki gniewu Bożego albo żałości Bożej, podburzać lud przez obudzanie w nim dusznego niepokoju.

Rozszerzanie takich wieści zaczęło się szczególniej od czasu przyłączenia napowrót tutejszych greko-unitów do Cerkwi prawosławnej. Występna w tej sprawie agitacya, kiełkując naprzód w miejscowościach zamieszkałych przez byłych Unitów, ma na celu obudzić w nich wątpliwości religijne co do dokonanego przez nich przyłączenia się, a następnie rozpościerając swoje zamysły i na ludność innych miejscowości kraju tutejszego, wywołać ogólne wzburzenie umysłów, skierowane tak przeciw zdrowym pojęciom społecznym jako i przeciw prawym wymaganiom władzy państwa.

Odpowiedzialność za łatwą wiarę, z jaką nieoświecone prostactwo słucha takich wieści, spada szczególniej na duchowieństwo. Proboszczowie jako moralni przewodnicy ludu, powinni stać na straży prawdziwych pojęć religijnych i w danym razie przedsiębrać wszystkie zależne od nich środki dla oświecenia swoich owieczek wobec błędnych zdań i uchronienia ich od niebezpieczeństwa, do którego je ciągną ludzie złej woli. Nieczynność zaś duchowieństwa w takich razach równa się dopomaganiu z jego strony zamysłom agitatorów; albowiem jeśli lud prosty i łatwowierny łatwo się poddaje błędom, to w rzeczach dotyczących religii niewątpliwie głos pasterza duchownego ma dość powagi i wpływu do rozświecania ciemności takich błędów i przekonania ludu o mylności poddawanych mu zdań.

Mając na uwadze, że duchowieństwo wedle pierwszych warunków swego pasterskiego powołania obowiązane jest dopomagać czynnie do odwracania zgubnego dla ludu wrzenia umysłów i rozbudzania namiętności religijnych, upraszam Waszą Przewielebność, abyś raczyła uprzedzić niezwłocznie wszystkich podległych jej księży, że w razie pojawienia się gdziekolwiek wieści o jakimbądź mniemanym cudzie lub innym podobnym wypadku nadprzyrodzonym, bierne zachowanie się miejscowego parafialnego duchowieństwa i zaniedbanie przez niego stanowczych kroków ku zbyt łatwemu objaśnieniu ludowi, że w tem co zaszło, nie masz nic cudownego lub że wieści o tem są zmyślone i fałszywe, będzie w moich oczach dostateczną oznaką złej woli duchowieństwa i że w takim razie nie omieszkam pociągnąć do najsurowszej odpowiedzialności takich księży jako wspólników w sprawie podjętej w celu naruszenia prawnego porządku i spokoju publicznego w kraju. Dla uniknienia takich następstw proboszcze obowiązani są wnet po otrzymaniu wiadomości o wieściach tego rodzaju, które przed nimi utaić się nie mogą, objaśniać ludowi z całą siłą

przekonania tak z ambony jako i na samem miejscu mniemanego cudu o nieprawdzie takich wieści, tłumacząc przytem w miarę potrzeby prawdziwy stan rzeczy i upominać wiernych, by unikali wszelkich gromadzeń się i nie odrywali się od swoich zwykłych zajęć, a przez to chronili się występków, pochodzących z próżnowania i zabobonności.

O rozporządzeniu, jakie Wasza Przewielebność w tej mierze uczynić raczysz, proszę mię zawiadomić.

Podpisał jenerał-adjutant *hr. Kotzebue*".

Widać z tego, że szanowny rząd, przedstawiany przez hr. Kotzebue, bardzo się obawia bezpośredniego głosu nieba do ciemiężonego przez siebie ludu, chociaż usiłuje wmówić w siebie i w drugich, iż to są rzeczy niepodobne.

Na taką odezwę mógłby odpowiedzieć biskup, przedewszystkiem powołując władzę świecką do porządku, że pan jenerał-gubernator wdaje się nie w swoją rzecz, ucząc duchowieństwo jego obowiązków w sprawach czysto duchownej natury, w których on raczej władzy duchownej słuchać powinien. Ale Moskale chcą traktować naszych biskupów jak swoich archirejów i popów. Ciekawa jednak rzecz, coby powiedział pan jenerał-gubernator, gdyby biskup wystąpił np. do niego z odezwą, że oto teraz w całem powierzonym Jego Wielmożności kraju tak się rozpowszechniły kradzieże, rozboje, nadużycia administracyjne i sądowe, że znieść niepodobna tego, co oczywiście pochodzi od ludzi postawionych dla dobra kraju i jego mieszkańców, coby rzekł, gdyby mu powiedziano, iż tego wszystkiego nie można przypisać czemu innemu, jak tylko niedbalstwu i umyślnej pobłażliwości rządu dla wszystkich podobnych bezprawi. Nie wdając się jednak w nie swoją rzecz uczenia władzy świeckiej jej obowiązków, mógł a może i powinien był biskup odpowiedzieć p. jenerał-gubernatorowi, że jego napomnienia udzielane duchowieństwu są nietylko niewłaściwe, ale i zupełnie błędne. Co do cudów w ogóle i ich możebności, o tem wydawać sądy nie należy wcale do osoby świeckiej, będącej jeszcze lutrem czy schyzmatykiem, czy tam jakimś bezwyznaniowcem. Do władzy świeckiej należy tylko w takich okolicznościach dochodzić prawdy i istotnego stanu rzeczy, a duchowieństwo wie, jak powinno spełnić swoją powinność.

Takiego rodzaju odezwy, chociaż w jak najłagodniejszym i pełnym pobłażania i wyrozumiałości tonie, pisywał niegdyś ks. biskup Rzewuski do wszechwładnego księcia Czerkawskiego, w skutek różnych jego rozporządzeń, które jemu jako rządcy archidyecezyi zbyć milczeniem było trudno i pewnie każdą z nich obudzał homeryczny śmiech tego moskala radykalisty, aż w końcu poszedł na wygnanie jako stary pełen średniowiecznych wyobrażeń fanatyk, który niczego się nie nauczył i niczego nie zapomniał, i z którym nie mógł trafić do ładu, oświecony geniusz naszych tutejszych cywilizatorów. Teraźniejszy administrator archidyecezyi tego nie zrobi bo i na co to się przyda. Zakomunikował on dziekanom i proboszczom treść otrzymanego od jenerał gubernatora zlecenia i rozkazał postępować we wskazanych razach według przepisów teologii pasterskiej i prawideł roztropności, co uważamy za najwłaściwsze. Jakoż w takich czasach i z takim rządem, duchowieństwu naszemu nadewszystko zalecać należy wężową roztropność.

Kiedy tak Kościół katolicki obrządku ruskiego istnieje już tylko w przekonaniu wewnętrznem swoich wyznawców, to i Kościół obrządku łacińskiego cierpiany jest tylko jako wyznanie państwu wstrętne i nieprzyjazne, do czasu

i dla pewnych względów tolerowane. Rząd ma go na oku, ogranicza we wszystkich swoich czynnościach i zostawia pod surową opieką i kontrolą. Niemasz tu wprawdzie takich jeszcze innowacyj w nabożeństwie kościelnem, jakie już mają miejsce w Litwie, i może do nich i nie przyjdzie, bo też mamy nadzieję, że nie pojawią się tutaj na zawołanie tacy pasterze jak ksiądz biskup Kuziemski, prałaci i proboszcze, jakich dla tutejszych Unitów dostarczyła Galicya i tacy księża, jakich kilku znalazło się na Litwie, ale bądź co bądź rząd pracuje nad tem, aby podobnych ludzi i wśród nas wytworzyć. A tymczasem każdego katolickiego kapłana, który rządowi zaprzedać się nie myśli, uważa za członka jakiegoś sprzysiężenia wrogiego państwu i dlatego nie mogąc jeszcze dla różnych przeważnych względów wywieść lub wypędzić wszystkich księży od razu z kraju, przynajmniej ile możności krępuje i ogranicza ich działalności i wpływy. I tak być musi, kiedy rząd moskiewski zawsze uważa Kościół podległy Papieżowi, jako państwo w państwie i znieść nie może tej zwierzchniczej władzy, której ten Kościół trzyma się, a którą on poczytuje za władzę obcego monarchy. Bo też w istocie to państwo w państwie, które istnieć musi i jest w porządku rzeczy jako państwo duchowne w państwie świeckiem, przeciwi się najmocniej rządowi mającemu dziką pretensyę panować nad sumieniem swoich poddanych. Wiadomo, iż w Rossyi wszelkie znoszenia się z Rzymem bez wiadomości rządu wzbronione są najsurowiej, a za pośrednictwem rządu droga tam i długa i trudna. Przebąkują nawet o zniesieniu Warszawskiej archidyecezyi i o poddaniu jej wraz z innemi dyecezyami królestwa arcybiskupowi Mohylowskiemu. I gdyby do tego przyszło, wtedy dopiero takie nastaną dla Kościoła katolickiego w Rossyi i królestwie czasy, że przyjdzie w nich zawołać: *vae nobis!* zwłaszcza jeśli ujrzymy na czele Kościoła nie Hołowińskiego, ale jakiego drugiego Siestrzeńcewicza, lub znękanego cierpieniami i niedołężnego starca, na jakich Moskale zawsze rachują. Wszak już i dzisiaj podobno Najprzew. ks. Metropolita Fijałkowski, nietylko wiele fałszywych zrobił kroków, ale co więcej przyznał sobie prawo zwierzchnictwa nad metropolią Warszawską i podobno popierał w Rzymie, Rossyę, żądającą zniesienia archidyecezyi Warszawskiej, cóżby to więc dopiero było, gdyby w całem państwie rossyjskiem jeden tylko był Metropolita. A chybaby podtrzymywane przez rząd katolickie kolegium Petersburgskie zdołało jak niegdyś za czasów Siestrzeńcewicza wstrzymać zgubne zamiary, któregobądź z jego następców.

Zanim jednak do tego przyjdzie, to tymczasem zarząd duchowny zostaje tu pod bardzo ścisłą kontrolą władzy świeckiej. Sprawy Kościoła katolickiego poddane zostały zwierzchniczej władzy krajowej przedtem namiestnika, obecnie jenerał-gubernatora i miejscowych gubernatorów, którzy jak i ich poprzednicy wglądają we wszystko i śledzą za wszystkiem. Wszelkie rozporządzenie administratora archidyecezyi, podlega uprzedniej sankcyi jenerał-gubernatora, każde pismo z konsystorza, nim będzie podpisanem, idzie naprzód do jenerał-gubernatorskiej kancelaryi. Podobnież i inne dyecezye zostają pod kontrolą miejscowych gubernatorów. Jak ci mają pod swoją strażą biskupów, konsystorze i ich rządy dyecezalne, tak proboszcze i ich rządy parafialne, zostają pod dozorem i kontrolą naczelników powiatowych. A ten dozór tak jest ścisłym, iż jedni tylko księża katoliccy, nie mogą nawet z jednej do drugiej parafii wydalać się bez paszportu i wiedzy naczelnika swojego powiatu.

Nabożeństwo katolickie zwłaszcza w Warszawie, gdzie stosunkowo jeszcze dość jest kościołów, razi rząd schyzmatycki, który teraz podążając za postępem wieku, przybrał polor liberalny i bezwyznaniowy. W skutek tego teraźniejszy wielkorządca, wkrótce po objęciu swoich rządów, miał zauważyć, że niepotrzebnie księża katoliccy od rana, aż prawie do południa odprawiają mszę, mianowicie w katedrze i ściągają przez to tłumy ludności, które w taki sposób odrywają się od pracy i zwykłych zajęć i przyuczają do próżnowania, Mówiąc to, dodał wreszcie, że tym sposobem wytwarza się fanatyzm niezgodny z postępowemi wyobrażeniami wieku[1]). W samej rzeczy, miał on wielką racyę — dopóty Polski, dopóki będzie ultramontańską t. j. katolicką. Dlaczegożby zresztą nasi księża nie mieli już pozbyć się swojej zacofanej i w naszych czasach niepotrzebnej, a nawet rażącej gorliwości i nie naśladować popów moskiewskich, pojmujących należycie swoje prerogatywy zapisane przez Hercena:

Nikagda nie brit'sia i nie striczsia
I w Boha nie wierit', da lisz za caria malit'sia.

Powyższa uwaga p. wielkorządcy może dziwić, bo przecież Warszawa dobrze mu jest znaną oddawna, jeszcze z czasów Paskiewicza i Gorczakowa. Ależ z postępem czasu nabieramy coraz to nowych wyobrażeń i coraz większego rozumu.

Niestety! u nas w Warszawie, coraz bardziej daje się czuć mała liczba księży. Nabożeństwo kościelne wprawdzie odprawia się w godzinach przepisanych, ale spowiadać się można tylko w dni powszednie, w święto już trudno, a w czasie odpustu, ani myśleć docisnąć się do konfesyonałów, w których siedzi księży rzadko więcej nad dwóch, bo inni zajęci.

W niezmiernej swojej pieczołowitośei o księży katolickich, rząd raczył zwrócić baczną uwagę i na rekolekcye i tym podobne ćwiczenia duchowne, bez których ci księża obejść się żadną miarą nie mogą, jakkolwiek duchowni innych wyznań, mogący im we wszystkiem służyć za przykład, obchodzą się bez nich doskonale. W r. 1866 wiekopomnej sławy książę Czerkaski, wówczas dyrektor główny byłej tutejszej komissyi rządowej spraw wewnętrznych i duchownych, pozwolił wprawdzie zbierać się księżom na rekolekcye, ale tylko w miastach powiatowych. Dozwolenie to, a raczej ograniczenie zatwierdzone przez byłego namiestnika, zachowywane jest ze wszelką ścisłością.

Wieści o tłumnych zebraniach się ludu na odpusty zaniepokoiły w ostatnich czasach aż ministra spraw wewnętrznych w Petersburgu tak, iż nie omieszkał on dać o tem zaraz stosowne rozkazy jenerał-gubernatorowi Kotzebue i ten reskryptem z 7 (19) Maja 1874 r., zawiadomił biskupów i administratorów dyecezyi, że dotąd za łaskawem przyzwoleniem byłego namiestnika wolno było proboszczom na uroczystości odpustowe, zbierać u siebie księży w ilości jaką sami uznają za potrzebną, ale obecnie rząd przekonał się z żalem,

[1]) U nas we Lwowie w podobny sposób odzywa się także, w polskim niestety języku redagowana gazeta, zwiąca się *Dziennikiem Polskim*. Ta zadziwiająca zgoda w wygłaszanych przez nią i rząd moskiewski słowach, każdego kochającego Ojczyznę męża uderzyć powinna. Nie chcemy jednakże mimo to przypuszczać, aby było w tem coś prawdy, co pisał o naczelnym redaktorze *Dziennika* p. Tadeuszu Romanowiczu p. Śliwiński, wydawca *Głosu Wolnego*, w swej „Odprawie *Dziennikowi Polskiemu*“ pod dniem 15 Maja r. b.

że księża nadużywają tego łaskawego dozwolenia, że miewają do ludu kazania, w których prawią o jakiemś prześladowaniu Kościoła, którego w cesarstwie rossyjskiem wcale niemasz i dla tego rząd postanawia (dnia 16 Kwietnia r. 1874.), iż odtąd liczba księży przybywających do posług duchownych na odpusty ogranicza się do jak najmniejszej ilości, i że najsurowiej zostaje wzbronionem miewanie kazań na zewnątrz kościoła, jak to dotąd było w użyciu w chwilach wielkiego zebrania się ludu.

O ogłoszonym w tym roku przez Ojca Śgo jubileuszu wiemy tylko z gazet i książeczki jubileuszowej wydanej za granicą, a której jak i innych podobnych rzeczy, przy całej czujności i cenzury i policyi i straży granicznych niedopuścić tu było niepodobna. Po kościołach jednakże w całym kraju, ani widać nawet, że cały świat katolicki obchodzi teraz wielki jubileusz. Jak tylko został on ogłoszonym przez Papieża, wszyscy biskupi i administratorowie dyecezyi otrzymali tu od rządu zawiadomienie, iż żaden zgoła obchód tego jubileuszu po kościołach nie jest dozwolonym. Wierni przeto, którzy o tem wiedzą, a wiedzieć kiedy chcą mogą, odbywają sami nakazane przez Ojca Śgo nabożeństwo.

Warszawa oddawna już pozbawioną została znakomitego kaznodziei, któremu warszawski ober-policmajster swoją odezwą do konsystorza wzbronił miewać kazań... z przyczyny, że są w duchu... zbyt ultramontańskim. Niechże kto jeszcze mówi, że ten rząd nie jest liberalnym?

Bractwo Serca Jezusowego zostało także u nas surowo zakazanem. Mimo to dość rozeszło się tu nowych szkaplerzy poświęconych w Rzymie. Dawne natomiast bractwa rząd zostawia zupełnie w spokoju, albowiem przez lat tyle przekonał się, że są *błahonamierennyje*. Doprawdy pojąć nawet trudno, jak tak potężne jak Rossya państwo, może się lękać bractwa Serca Jezusowego? ? ? ! ! ! Tak — odpowiedzieć na to człowiekowi rozumnemu jest bezwątpienia trudno, ale nie głupocie, a zwłaszcza moskiewskiej. Słuchać jej dowodzeń *à propos des bottes*, brakuje naprawdę cierpliwości. Ale niestety cierpliwość ta wystawianą bywa na cięższe daleko próby, kiedy zdarza się słuchać naszych Polaków, katolików prawiących w najlepszej wierze takie same rzeczy, o świeżem naprzykład zniesieniu Unii i o innych sprawach Moskwy, tak, jak o tem rozumują moskiewskie urzędowe lub Moskwie zaprzedane organa[1]). Okazuje się, że głupota Moskali jest zaraźliwą i chwyta się szczególniej głów słabych i pomiędzy nami, których nie broni od tego i patryotyzm i uczucie narodowe. Jakże smutno widzieć udzielanie się jej, niektórym z naszych wygnańców powróconych teraz krajowi, ale nie ojczyźnie i jej sprawie!

Kiedy niemiłe są temu nieoszacowanemu rządowi odpusty i na nich nabożeństwa i nauki, to rozumie się, że nie mogą mu być miłe i pielgrzymki ludu do miejsc cudownych, a zwłaszcza do Częstochowy, które rok rocznie powtarzają się dawnym obyczajem. Ale cóż tu z tym fantem robić? Wiele jeszcze rzeczy rząd ten musi u nas tolerować. I chociaż postanowił on oddawna zruszczyć nas zupełnie i zeschizmatyczyć, ale koniec końcem dotąd jeszcze nie wielkie w tem zrobił postępy. Wiele rzeczy zatem musi odłożyć na później. To tylko wielka bieda, że czas nie jest w jego posiadaniu. I pielgrzym-

[1]) Co to za szczęście, że szan. korespondent nie czyta *Dziennika Polskiego*, bo cóżby wtedy musiał o nim powiedzieć! (Przyp. Red.)

kom tedy dano pokój, jakkolwiek w początkach teraźniejszych cywilizatorskich, moskiewskich robót, do których podało hasło nasze nieszczęsne powstanie, dawały się słyszeć często gęsto w obozie moskiewskim głosy: *nada uniczтożyt' pontniczestwo!* Potrzeba znieść pielgrzymowanie!

Wiele jeszcze da się powiedzieć o naszem życiu teraźniejszem i w kościele i w szkole i wszędzie, gdzie to życie się pojawia i sili się wzmagać nie zawsze we właściwym kierunku, ale jak go prowadzi Opatrzność drogami trudnemi do swoich celów. O czem w następnych listach. *K. M.*

10 Września 1875.

Listy z Wielkopolski.

(Serya II).

VIII.

Odpusty — Lud — Świadek rozdzierającej serce sceny — Zakony — Filipini — Szczegóły statystyczne z przebiegu walki rządu z Kościołem — Wiece katolickie — Spółki pożyczkowe — Kółka rolnicze — Prasa: *Kuryer Poznański, Dziennik Poznański, Echo* i p. Dobrowolski — *Warta* — Kwestya żydowska i *Germania* — O Dawidzie Straussie.

Poznań 23 Września.

Początek tego miesiąca naznaczony jest na Wielkopolskiej ziemi uroczystemi odpustami, które w różnych miejscach ściągają tłumy pielgrzymów do stóp Najśw. Panny. Nigdy może napływ wiernych nie był tak znacznym, co w tym roku. Ucisk pobożność roznieca, trwoga ku Bogu zwraca, a nadto głuche wieści, że może w bliskiej przyszłości i tych nawet pociech nam zabronią, ściągały niezliczone mnóstwo pątników do miejsc cudownych. Głównie święta Góra Gostyńska, a więcej jeszcze Górka Duchowna stały się ogniskami tego pobożnego ruchu. Kapłani odważnie przybywający pracować około dusz zbawienia, mimo że bywanie na odpustach pociąga dziś za sobą niemałe kary, ledwie siłami podołać mogli, tak się zewsząd ciśnięto do konfessyonałów, tak się mnożyły spowiedzie generalne, takie cuda miłosierdzia Bożego i owoce prawdziwego nawrócenia objawiały się w duszach rozgrzanych gorącemi słowy kaznodziejów, a więcej jeszcze tą szczerą wiarą i miłością, która ich do stóp Maryi przywiodła, otrzymując im w zamian łaski zbawienia. Niepodobna obliczyć nawet w przybliżeniu ilości tegorocznych pątników. Wszystkie drogi i ścieżki do świętych miejsc prowadzące, przez wiele dni ożywiły się tłumami snujących się pielgrzymów, którzy w świąteczne przybrani szaty, zdążali na odpusta, pobożne śpiewając pieśni. Te śpiewy nie ustawały ani dniem ani nocą, i zewsząd podnosiły się w niebo, błagając o zmiłowanie, o pomoc i łaskę. W samej tylko np. Górce Duchownej, w czasie oktawy, poprzedzającej Narodzenie Najśw. Panny, liczba Komunii doszła do 16.000, a jednocześnie na iluż to punktach Wielkopolskiej ziemi garnęły się tłumy uciśnionych do stóp Najśw. Panny Pocieszenia! na ilu miejscach robotnicy Pańscy obfite zbierali żniwo i zbroili dusze wiernych na czas walki! Ach! zaiste, Matka Boska Siewna, pełnemi rękoma siała w dusze nasienia łaski i zbawienia: pod Jej opieką, za Jej pomocą, dojrzeją one i przyjmą się na poczciwej roli serc polskich, serc wieśniaczych i chociaż nieprzyjaciel usiłuje wszczepić kąkol i chwasty, nie zdoła on wyplenić tego dobrego ziarna, którego strzeże zarazem i wiara i wierność Kościołowi. Zacna, dzielna czynność naszego duchowieństwa dziś się uwydatnia usposobieniem tego ludu przezeń wychowanego. Nietylko pobożność wiernych rośnie w miarę prześladowania, ale zarazem i miłość do pasterzy w trójnasób się zwiększa. Dość widzieć z jaką boleścią ich żegnają, z jakiem uniesieniem witają za powrotem z więzienia lub wygnania, aby poznać miarę owego przywiązania. Znam parafie, gdzie owieczki wciąż składały się na Msze „o zachowanie pasterza", inne, gdzie pielgrzymki pobożne wyłącznie na tę samą intencyę były odprawiane, inne jeszcze, gdzie (odkąd *„Brodkorbgesetze"* pozbawiło księdza wszelkich dochodów) powstał rzewny zwyczaj składania podczas Offertoryum licznych ofiar na stopniach Ołtarza. Pewien kapłan obcej narodowości obecny rozdzierającemu pożegnaniu skazanego na wygnanie proboszcza ze swemi parafianami, w najżywszem wzruszeniu powtarzał: *Nein, einem solchen Volke kann man alles vertrauen!*

Ale co będzie, jak nam zabraknie tych Bożych strażników wiary naszej, tych kapłanów, którzy o nas Bogu, a nam o Bogu mówią; tych apostołów, którzy podwajają dziś pracy, aby siłą dobrego siłę złego pokonać? W ręku Najwyższego przyszłość, i wiemy, że nas nie da kusić po nad siły nasze. Niemniej jednak ciężkość i trwoga wkradają się do duszy na widok ciosów, walących się na nasz Kościół: więzienie i wygnanie przerzedza szeregi wojska Chrystusowego, obecnie przychodzi nam patrzeć z boleścią na wykonanie prawa przeciwko klasztorom, i żegnać z kolei te wszystkie zakonne zgromadzenia, które przez lat tyle wśród nas pracowały i za nas się modliły. Ojcowie Jezuici pierwsi przed trzema laty poszli na wygnanie, później wypędzono zakonnice Serca Jezusowego, Franciszkanki

czci nieustającej Najśw. Sakramentu, Wizytki, Karmelitki zagraniczne. Teraz ostatnie Córki św. Teresy nas opuszczają, tudzież Urszulanki, Reformaci, a nawet kongregacya XX. Filipinów, którzy pod opieką Maryi na świętej Górze Gostyńskiej tyle burz przetrwali, i nawet Opatrznościowem zrządzeniem jedni uszli byli ogólnej kassacie zakonów w zaborze Pruskim. Dzisiaj i dla nich wybiła godzina rozproszenia, a kto zna ich błogą działalność na lud okoliczny, ich niewyczerpane miłosierdzie i roztropność, z jaką na cele szlachetne i dobroczynne umieli znacznego używać majątku, kto nareszcie widział ten wspaniały ich kościół, przypominający Wenecką świątynię *Santa Maria della Salute*, a przez nich tak umiejętnie odnowiony i ozdobiony, ten pojmie, jak dotkliwy cios ziemia Wielkopolska ponosi dzisiaj przez zniesienie Filipińskiego zgromadzenia. Zaciekłość wojowników *(Kulturkampf'u)* o nikim nie przepomina, i oto nawet biedne, pokorne Służebniczki Najśw. Panny zmuszone są pójść w rozsypkę i przestać dziatwę polską po ochronkach nauczać. Z dniem 1go Października wszystkie zakony i stowarzyszenia zakonne opuszczą nasz kraj osierocony, w którym zostaną już tylko jedne Siostry Miłosierdzia, a i te bodaj czy długo między nami zatrzymać się będą mogły, tak im mnożą przykrości, a co gorsza, tak się władza świecka do wszystkiego próbuje wtrącać.

Warto zestawić dziś niektóre szczegóły a raczej statystyczne obrachowania z przebiegu walki rządu z Kościołem. Walka ta rozpoczęła się skasowaniem profesorów religii w gimnazyach katolickich. W Poznaniu, Ostrowie, Lesznie, Gnieźnie, Szremie, Wągrowcu niema dziś nauczycieli księży do udzielania religii. Wyjątek stanowi Poznań, ale tylko dla klas wyższych gimnazyum św. Maryi Magdaleny. Równocześnie zaś zaprowadzono naukę religii żydowskiej w gimnazyach Ostrowskiem, Gnieźnieńskiem i Leszczyńskiem. Prymas Polski, a kardynał Arcybiskup obu naszych dyecezyj, od blisko dwóch lat pozostaje w więzieniu, ogołocony z wszelkiego dochodu i własności. Ten sam los spotkał obu wikar. generalnych Poznańskiego i Gnieźnieńskiego, ks. biskupa Janiszewskiego i ś. p. kanonika Wojciechowskiego, którzy obydwaj po sześć miesięcy spędzili w celi więziennej. Ten ostatni zaś powrócił z tak skołatanem zdrowiem, że po kilku tygodniach wolności w sile wieku żywot zakończył. Obydwaj biskupi suffragani znajdują się obecnie na wygnaniu, ks. biskup Janiszewski za bierzmowanie, ks. biskup Cybichowski za święcenie Olejów św. w Wielki Czwartek; obydwóch czeka za powrotem dziewięciomiesięczne więzienie. Ks. kanonik Korytkowski tyleż odsiedział i chleba

wygnańczego już też zakosztował. Ks. prałat Koźmian po raz drugi o odmowę świadectwa aresztowany, długie trawi miesiące w kryminale Poznańskim. Tamże pozostaje od kilku również miesięcy ks. kanonik Kurowski, którego termin sądowy naznaczono na dzień 6ty Października. W więzieniu trzymano dotąd — i to nieraz po kilka razy — 87 kapłanów, między tymi 29 dziekanów. Większa połowa tych więźniów została z Księstwa wypędzoną, bardzo wielu na zdrowiu srodze ucierpiało. Atoli wszystko to ochotnie znoszą i przyjmują, kwapiąc się na wygnanie i więzienie, i nie oglądając się na żadne ludzkie trwogi i względy, gdy chodzi o wypełnienie najświętszych obowiązków. Zresztą czeka ich za to nietylko najwyższa nagroda, ale i pociechy wewnętrzne i obfitość łask Bożych, które nigdzie tak szerokim nie płyną kanałem, jak w serca wygnańców i więźniów dla Imienia Chrystusowego. Gdzież ich posłać, gdzieby tego Boga, dla którego cierpią, nie należli? „Jeśli szukasz na wygnanie chrześcijaninowi miejsca, powiada Skarga, takie najdź jeśli możesz, z któregobyś Chrystusa wygnać mógł: ten, który w ciele, na każdem miejscu przychodniem jest, od Chrystusa nigdy wygnanym być nie może". Niejedną celę więzienną rozświecały wyjątkowe pociechy Boże, a ztąd choć ciało upadało, duch krzepił się i podnosił. Dzienniki urzędowe pełne są listów gończych, któremi ścigają kapłanów porówno z zbiegłymi zbrodniarzami i złodziejami. Obecnie jest u nas 32 parafie bez pasterza, w 21 nie odbyło się nabożeństwo w czasie Bożego Narodzenia, Wielkanocy, Zielonych Świątek i Bożego Ciała. Chorych wożą nieraz daleko, aby im zapewnić ostatnie pociechy wiary św., chyba że wśród cieniów nocy który kapłan z sąsiedniej parafii pokryjomu zawita pod dach konającego i zaopatrzy na drogę wieczności. Pogrzeby odbywają się bez kościelnych ceremonij: ludzie chowają się sami, znacząc kamieniami świeże groby, ażeby je w lepszych, da Bóg doczekać, czasach dać poświęcić kapłanowi. Około 400 proboszczów płaci kary panom Massenbach i Nollau, niektórym zabrano wszystko, aż do ostatniego sprzętu, nawet futra itp. Położono areszt na dochody, dzierżawy, missalia, na całe lata naprzód. T. z. *„Brodkorbgesetze"* i tutaj nie rzadkie dotknęło ofiary: XX. dziekani Tomaszewski z Trzemeszna, Kessler z Poznania i wielu innych, całkiem utrzymania pozbawieni. I świeckich *Kulturkampf* nie oszczędza, dość wymienić pp. Mańkowskiego z Rudek, Kazimierza Niegolewskiego z Włościejewek, hr. Mielżyńskiego z Iwna, którzy przeszli już przez więzienie; liczba osób powoływanych przed kratki sądowe określić się nie da, zwłaszcza

w stronach nawiedzonych intruzem, który z samej natury rzeczy staje się donosicielem. W znikczemnieniu i podłości stopnia niema. Kubeczak, Kick i Gołębiowski zarówno oddają się szpiegostwu i mściwemu prześladowaniu tych owieczek, które roztropnie wystrzegają się zarówno wilka jak i najemnika. W jednej Płużnicy temi dniami przeszło sześćdziesiąt osób ma stawać przed sądem skutkiem oskarżeń Gołębiowskiego, w Kamionnie rzeczy podobnym idą trybem, i Kick całej okolicy uczuć się daje, gwałcąc sumienia i próbując przełamać opór wiernych, stroniących jednomyślnie od wyklętego. I w Książu nikt w zbeszczeszczonym kościele nie bywa, a najsrożej i najświeżej dziś dotknięta parafia Mogilnicka powstała jak jeden mąż, aby oświadczyć w gorących słowach, że odtąd nic wspólnego mieć nie chce z dawnym swym pasterzem, który zaparł się wszelkiej wierności Kościołowi i zatarł swój kapłański charakter. Uderzyło to wszystkich, iż opatrzna dobroć Boża tam właśnie najcięższe dopuszcza próby, gdzie najlepiej przygotowane były serca do ich zniesienia. Jak dawniej Książ tak dziś Mogilno odrazu umiały stanąć na wysokości bolesnego stanowiska, jakie im zająć przypadło. Kto inny niech wam opowie smutną ks. Suszczyńskiego sprawę: to gorszy ból od wszystkich ciosów ręką nieprzyjacielską zadanych. Oprócz jawnego skandalu, jaki dał w ostatnich czasach, oprócz niegodziwych oświadczeń, gdzie daremnie fałszywemi sofizmatami próbował dowieść, że ani kapłanem, ani nawet katolikiem być nie przestaje, ks. Suszczyński ma pono zamiar korzystania z nowego prawa, dotyczącego starokatolików, a które zapewnia proboszczom przystępującym do altkatolików zachowanie całkowite beneficyów dotychczasowych. Łatwo pojąć można, jak chytrą tym sposobem stawiają zasadzkę słabnącym na duchu i uwikłanym w ziemskich rzeczach i materyalnych interesach. We wszystkich prześladowaniach zaznaczyć można gwałty dochodzące do krwi rozlewu, poganie chrześcijan palili, katowali, wyrzucali na pastwę dzikim zwierzętom. Ale tylko protestanci umieją tak podstępnie i chytrze dręczyć, zastawiać sidła, nękać moralnie, kusić, uwodzić i zatruwać ducha.

Do powyższych obliczeń i zestawień należy dodać jeszcze przeniesienie seminaryum nauczycielskiego z Poznania do Rawicza, gdzie z katolickiego przedzierzgnięto je na symultanne. Seminaryum duchowne w Poznaniu, gdzie do stu kleryków się kształciło i mieszkało, jest zamknięte: seminaryum praktyczne w Gnieźnie pustkami stoi. Zacne dusze, które mimo trudności obecnych, idą za wyższem powołaniem i rwą się do apostolskiego a bodaj czy nie męczeńskiego

zawodu, w zagranicznych kollegiach odbierają teologiczne wykształcenie, a później i kapłańskie święcenia. Owi młodzi kapłani są solą w oku władzom miejscowym, które wszelkich dokładają starań, wszystkie poruszają sprężyny, aby ich do tego świętego zniechęcić stanu. Jednemu z nich, gdy był jeszcze klerykiem, landrat powiatowy obiecywał znaczne fundusze i zapewnienie kilkoletniej zapomogi, byle nie wracał do seminaryum zagranicznego, gdzie miał kończyć swe studya teologiczne. Gdy obietnice nie skutkowały, jął się groźby, powtarzając, że nietylko jego rząd będzie prześladować, ale i jego rodziców i rodzinę. Nic nie zdołało poruszyć stałego postanowienia młodego Lewity, ani materyalne korzyści, ani targanie za przyrodzone uczucia, a „wszystko mogąc w Tym, który go umacniał“, zwalczył zręcznie stawiane pokusy i odebrał owe ostatnie święcenia, których mu zazdroszczono.

Ale jeśli nas cieszy każdy nowy i cenny zabytek w szeregach zapaśników Chrystusowych, jeśli z podwójną a rzewną radością witamy każde nowe powołania, co za ból widzieć tylu kapłanów gorliwych i czynnych, usuniętych poniekąd z pola czynnej pracy, skrępowanych okolicznościami, i że się tak wyrażę zupełnie wykolejonych. Kiedy w zwykłych czasach i zwyczajnych warunkach nowo wyświęcony kapłan odrazu przechodził na parafię i zaprawiał się w pracy regularnej, dziś ukradkiem tylko sprawować może swe święte posłannictwo, szczęśliw jeszcze, kiedy go pod karabin nie zaciągną. Ach! to utrudnienie w pracy, ta nieczynność konieczna, to jeden z najcięższych krzyżów obecnego prześladowania, a ten tylko pojąć może onego ciężar i doniosłość, kto wie, jaki ogień płonie w sercach prawdziwych kapłanów, prawdziwych apostołów, pożądających żądzą wielką zbawienia i nawrócenia dusz ludzkich. Te pęta nałożone na ich gorliwość, wyrównają poniekąd kajdanom rzeczywistym, a goryczą one przewyższają. Obecnie główne poszukiwania i śledztwa ścigają kapłanów, oskarżonych o udział w odpustach okolicznych. Nazwisk ich ściśle dochodzą, żandarmami obstawiają kościoły i cmentarze w czasie nabożeństwa, wytaczając następnie procesa i nakładając grzywny wedle dowolnego ocenienia przestępstwa. I tak np. ks. Woliński, proboszcz z Oporowa, skazanym został na kilkodniową bannicyę i cztery talary grzywien za jedno kazanie, ks. Tomasz Muszyński na rok więzienia za 53 wyraźnie pięćdziesiąt trzy Mszy cichych, inny kapłan, jeśli się nie mylę ks. Rakowski, za słuchanie spowiedzi w Borku, na talar jeden kary od każdego wyspowiadanego

penitenta; ks. Merkel za poświęcenie jajka wielkanocnego kilku znajomym w parafii książskiej na bannicyę itp.

Co rzeczywiście zadziwić może, oto że ten rosnący ucisk nie wyczerpuje wcale żywotności polskiej na naszej ziemi: przeciwnie, nigdy tyle nie było ruchu, pracy i czynności w różnych kierunkach, jak to właśnie teraz. Zewsząd słychać o coraz to nowych wiecach katolickich, o zakładaniu kółek rolniczych i spółek pożyczkowych, o zawiązywaniu stowarzyszeń i popieraniu działania dobrej prasy. Równocześnie też prasa podnosi się i rozwija: zaznaczamy z chlubą widoczny postęp w *Kuryerze Poznańskim*, który zawsze zacny i poważny, staje się nadto pismem nader zajmującem, tak przez znakomite artykuły wstępne, jak przez obfitość wiadomości z pola walki obecnej między Kościołem a rządem. Nadto spotykamy się w *Kuryerze* z cennemi krytykami i sprawozdaniami z najnowszych publikacyj bądź krajowych, bądź zagranicznych. W ogóle znać w nim pewne ożywienie i odnowienie sił, coby i podwojenie liczby prenumeratorów sprowadzić powinno. *Dziennik* jak zawsze wojuje bronią złej wiary, wszakże musiał się pomiarkować, i mniej gwałtownie, a przynajmniej mniej otwarcie przeciw Kościołowi występuje. *Echo Poznańskie* chłosta go nielitościwie w osobie jego redaktorów, nieraz nawet bardzo dowcipnie, jak np. kiedy proponuje w udatnym wierszyku p. Dobrowolskiego na namiestnika Galicyi, obiecując, że go wam nawet *franco* do Lwowa odeślemy. Poważniejsza *Warta* uchybia niekiedy tej swojej powadze, wojując na prawo i lewo z wszystkiemi; dalej nieskończone dyskussye kommisyi ortograficznej zapełniają część jej łamów, w których wolelibyśmy widzieć którą z prac historycznych ks. Kujota, lub klassyczne tłómaczenia ks. Kanteckiego. Obecnie *Warta* drukuje piękną powieść z angielskiego, osnutą na historycznych szczegółach z czasów prześladowania w Anglii, co jej nadaje charakter pewnej aktualności i nasuwa ciągłe porównania do naszych czasów.

Zresztą cisza zalega dziedzinę literatury, nie słychać o żadnych nowych publikacyach, ani u nas, ani nawet w sąsiednich Niemcach. Raz po raz wymowna broszura piorunem wystrzeli i rozciekawi chwilowo publiczność czytającą, palących dotykając kwestyj. Do tych ostatnich należy niewątpliwie kwestya żydowska, coraz częściej poruszana, w miarę jak rośnie oburzenie przeciw tej pladze, ogarniającej świat cały polipowym uściskiem. Znakomite artykuły *Germanii*, broszury Franz'a tudzież mnóstwo prac i obliczeń, wykazują dobitnie, zkąd głównie światu zagraża niebezpieczeństwo i ostrzegają, że pono

nadeszły czasy, w których wedle Lechnińskiego *Weissagung:* „Izrael dopełni miarę swych niegodziwości".

Znakomity apologeta chrześcijański, ks. Hettinger, profesor Würzburgski, wydał także ostatniemi czasy króciuchną ale wyczerpującą pracę o Dawidzie Straussie, w której jasno określa ten umysł „Herostratesowy, zrodzony aby burzyć, nie zaś aby budować". Nie zapowiada też jego bluźnierczym naukom żadnej trwałości ani wpływu żadnego: ludu Strauss nie lubił ani rozumiał; odejmując mu wiarę w religię objawioną i wiekuiste nagrody, radził szukać nieba na ziemi w rozkoszach ubogim zagrodzonych, żeby użyć wyrażeń Hettingera, który powiada: *Der Strauss'sche Himmel, das ist der rechte Himmel des Philisters.* Najciekawszą część pracy Hettingera stanowią niewątpliwie jego uwagi nad rozwojem umysłu Strauss'a, który zacząwszy od skrajnego idealizmu panteistycznego Hegla, doszedł powolną transformacyą aż do również skrajnego racyonalizmu i zmateryalizowania. Chociaż po śmierci mistrza ateizmu powstała zupełna *Strauss-literatur*, śmiało twierdzić możem, że ta książeczka, nosząca skromny tytuł obrazka: *Ein Lebens-und Literaturbild* dokładniej wyczerpuje przedmiot od wszystkich innych w tym kierunku publikacyj.

List do Redaktora Przeglądu

w sprawie nabożeństwa

do Królowej Serca Jezusowego.

List Ojca Aleksandra Jełowickiego w sprawie nazwy Królowej Serca Jezusowego umieszczony w zeszycie XVI z 15 Sierpnia, wywołał liczne bardzo z różnych stron kraju odpowiedzi z żądaniem umieszczenia ich w *Przeglądzie Lwowskim.* Nie mogliśmy jednakże żadną miarą uczynić tego dla tej prostej przyczyny, iż z powodu nader obszernie traktowanego przedmiotu, musielibyśmy większą część naszego pisma, zapełniać rozprawami czysto teologicznemi, co ani celowi ani dążnościom naszym nie odpowiada zupełnie. Zresztą ogłaszając list Ojca Aleksandra Jełowickiego, nie myśleliśmy wcale robić pismo nasze odpowiedzialnem za wyniknąć mogące następstwa. Dlatego przytoczyliśmy z naszej strony wyjątki z listu pasterskiego arcybiskupa z Bourges, w tej samej sprawie odzywającego się do swych wiernych, w przekonaniu, że każdy z czytelników *Przeglądu* odgadnie łacno myśl naszą, iż sama tylko cześć i szacunek, jakie mamy dla czcigodnego Ojca Jełowickiego, zniewoliła nas, aby uczynić Jego żądaniom zadosyć, ogłoszeniem wystosowanego do nas przez Niego listu. My zaś sami w całej tej sprawie występować wcale nie myśleliśmy. Skoro jednakże pokazało się, że nas nie zrozumiano, zmuszeni przeto jesteśmy dla usunięcia

wszelkich nieporozumień i uśmierzenia wywołanego w skutek tego zamięszania, zadosyć uczynić słusznym żadaniom wielce zacnej, uczonej i pobożnej osobistości i przytoczyć tutaj wyjątek z jej listu, do nas wystosowanego:

Szanowny księże Redaktorze!

List Ojca Jełowickiego wydał już swoje owoce. Nabożeństwo do Królowej Serca Jezusowego, które w tak zadziwiający rozkrzewiło się u nas sposób, że po kilku zaledwie istnienia swego latach liczy już przeszło milion członków we wszystkich zakątkach Polski, ciężkiego doznało ciosu. Wszyscy są teraz w przykrej niepewności, czego się nadal trzymać mają. Obiegających z tego powodu wieści, przytaczać tutaj nie myślę, wiele z nich jest złośliwych a więcej jeszcze niesłychanie głupich. W każdym razie zdawało nam się, że Ojciec Jełowicki powinien był uzasadnić swoje zdania urzędowemi dokumentami, a nie samem tylko przytoczeniem prywatnej z nim rozmowy Ojca Św., bo chociaż każde słowo papieskie jest dla nas świętem i drogiem, to przecież nie powinniśmy my katolicy i o tem zapominać, że w sprawach tego rodzaju listy i relacye osób prywatnych nie są jeszcze i być nie mogą obowiązującemi nas wyrokami papieskiemi. Ojciec Św. ogłasza swą wolę, albo pismem bezpośrednio od siebie przez kongregacye lub kardynała stanu wystosowanem, albo przez biskupów miejscowych, ale nie przez osoby prywatne. W sprawie nazwy Królowej Serca Jezusowego nietylko że nic przeciwnego dotąd powiedzianem nie było, i to nawet w liście do najprzewielebniejszego ks. Biskupa przemyskiego, na który odwołuje się Ojciec Jełowicki, ale przeciwnie, kongregacya Śtej Inkwizycyi najwyraźniej na przedłożone jej (widocznie przez samegoż Ojca Jełowickiego) zapytanie, azali wyraz *Notre-Dame du Sacré-Coeur*, należy tłumaczyć: Królowo Serca Jezusowego *Regina Cordis Jesu*, czy też Matko Serca Jezusowego *Mater Cordis Jesu*, odpowiedziała pod dniem 9 Lipca 1873, iż *servandam esse invocationem Notre-Dame du Sacré-Coeur*, tj. zachowanem być powinno znaczenie tego wezwania. Oto tekst tych dwóch nader ważnych dla nas dokumentów:

Eminentissimi principes!

A. Sacerdos.... quaerens utrum licitum sit verba gallica: Notre-Dame du Sacré-Coeur, reddere verbis polonis KRÓLOWA SERCA JEZUSOWEGO, *quae significant* REGINA CORDIS JESU; *an potius verba illa gallica reddenda sint verbis polonis* MATKA SERCA JEZUSOWEGO, *id est:* MATER CORDIS JESU, *etc.*

Otóż na to pytanie święta kongregacya Inkwizycyi odpowiedziała co następuje:

Fer. IV die 9 jullii 1873.

In Congregatione generali S. Romanae et universalis Inquisitionis habita coram Eminentisimis ac Reverendissimis DD. S. R. E. Cardinalibus generalibus Inquisitoribus, proposita suprascripta instantia iidem Eminentissimi ac Reverendissimi DD. dixerunt: Detur Decretum latum super suprascripto Dubio Fer. IV die 7 Maii currentis anni, nempe **Servandam esse invocationem, Notre-Dame du Sacré-Coeur, sub quocumque idiomate.**

L. S. — J. Pelami S. Rom. et univers. Inquisitionis Notarius.

Cała więc trudność w tem jedynie mogłaby polegać, w jaki sposób przełożyć na język polski *Notre-Dame du Sacré-Coeur* — otóż nie ulega najmniejszej wątpliwości, że *Notre-Dame* nie oznacza Matkę, ale Panią, Królowę Monarchinię, jak to wykłada w swym pasterskim liście Arcybiskup z Bourges, który przytoczyliście. *Ab Omnipotente Filio Omnipotens Mater facta est* — woła Bernard św. — Nadto przeciw temu nazwaniu *Notre-Dame du Sacré-Coeur*, Królowo Serca Jezusowego nietylko, że nie mamy dotychczas żadnego od Stolicy św. urzędowego rozporządzenia, ale przeciwnie: do tych wyrazów przywiązane zostały, nadane przez Ojca Św. odpusty. Dopóki więc albo Stolica św. albo nasi Najprzewielebniejsi księża Biskupi w sprawie tej nie orzekną, co mamy robić, dopóty nie tylko się godzi ale i należy się trzymać nazwy: Królowej Serca Jezusowego.

Sądzę, Szanowny księże Redaktorze, że zechcesz umieścić tych słów kilka w Twym szacownym *Przeglądzie*. Cała ta sprawa została na nowo przedłożoną do rozstrzygnięcia Świętej Apostolskiej Stolicy.

Przyjm Szanowny księże zapewnienie mojego dla Ciebie szacunku

Twój brat w Chrystusie

N. N.

Czyniąc zadość słusznym żądaniom szanownego autora przytoczonego listu, oświadczamy zarazem, że dopóki Stolica święta nie wyda ostatecznego w tej sprawie wyroku nie przyjmiemy więcej żadnych od nikogo w tej materyi listów lub rozpraw. Na tem w piśmie naszem zamykamy rozbiór tej kwestyi.

MOWA OJCA ŚW.

o prześladowaniu Kościoła.

Wspomnieliśmy w ostatnim poszycie *Przeglądu* o wspaniałej mowie Ojca Św. mianej do pątników z Laval w samo święto Narodzenia N. Maryi Panny. Przytaczamy ją tutaj w całości wedle przekładu zamieszczonego w *Czasie*. Oto słowa Ojca Św:

„Obecność wasza, najmilsi synowie, jest mi radości i pociechy pobudką, przypomina mi ona bowiem pierwsze dni chrześcijaństwa, gdy jednorodzony Syn Boski, przyjąwszy ciało ludzkie, zstąpił obcować z ludźmi i ustanowić religię swą przenajświętszą. Po wszystkich, które przebiegał, Judei okolicach pozostawiał ślady nieograniczonej miłości swej, szerzył niebiańskiej nauki swej światło i mnożył jeden

po drugim cuda prawicy swej wszechmocnej: *Pertransiit benefaciendo et sanando.*

Ludy zdumione, widząc moc posłannika Bożego nad przyrodzeniem, wołały: *Propheta magnus surrexit in nobis!* A słuchając nauki płynącej z ust Jego w sposób najwięcej przekonywający i pociągający, czuły się napawanemi radością i szły za Nim w pielgrzymkach Jego z dobrej woli, w licznych nawet rzeszach, z taką wytrwałością i przywiązaniem, że zapominały o strawie cielesnej i niezbędnym spoczynku.

Ta wielka u ludu wziętość nie podobała się nabożnisiom owego czasu i wszyscy jęli się usiłowań, by podać w pogardę Boskiego mistrza wobec ludu. Bluźniąc, twierdzili, że cuda przezeń działane są dziełem tylko szatana. Takiemi to i wielu innemi bluźnierstwy starali się uwłaczać cudom przezeń czynionym, aby oderwać odeń lud. Ale nie osiągnęli oni skutku. To też widząc płonność usiłowań swoich, pomyśleli o zwróceniu się ku rządowi, i w ten sposób, za pomocą siły połączonej z oszczerstwem, powiodło się im zgubić Boskiego Zbawiciela. O bezmyślni i ślepotą rażeni! Nie dostrzegli, że stali się narzędziem Opatrzności, która w odwiecznych wyrokach swoich postanowiła już była spełnienie wielkiej ofiary na odkupienie rodu ludzkiego. I tak się też stało.

Apostołom i uczniom dana była moc czynienia cudów, a stawszy się głosicielami tej samej nauki, oświecali świat i w sposób dziwny przymnażali uczniów Jezusowi Chrystusowi. Z drugiej strony niezadługo nastała chwila, że na miasto bogobójcze z niedowiarkami jego i chytrymi faryzeuszami przykładna spadła kara.

I w naszych także czasach Jezus Chrystus prześladowan jest w sługach swoich i w swojej religii przenajświętszej; a nie zadowalając się prześladowaniem Kościoła, faryzeusze nowożytni na wzór dawnych pragnęliby ujrzeć ją zburzoną. Tym zamysłom burzycielskim opierają się biskupi, słudzy namaszczeni i ludy. Oto dlaczego szkolarze, niedowiarkowie i wolnodumcy, widząc płonność usiłowań swych, zbliżyli się do mocarzy, zażądali ich pomocy i niestety! w nadmiar tylko powiodło się im ją uzyskać.

Ta wspólność mocarza z sekciarzem występuje na jaw w wielu okolicach. Ja atoli, który jestem we Włoszech, wspomnę kilku słowy o Włoszech; albowiem widzę tu, rzekłbym, że na własne oczy, smutne tej łączności chytrej wyniki. Zrabowawszy Kościół i naprześladowawszy się sług jego, zapragnęła ta spółka stworzyć sobie monopol godnej ubolewania oświaty publicznej, która zdąża do

znieważenia wiary, wypracowała ustawę, która utrudnia a nawet niepodobną czyni ordynacyę duchownych; wzgardziła prawami Kościoła nawet pod względem sakramentu małżeństwa; wzięła w obronę apostatów, nietylko dla uczynienia z nich kamienia obrazy, lecz także dla posłużenia się nimi dla szerzenia zepsucia; a nakoniec napiętrzyła przeszkód swobodnemu wykonywaniu nauki świętej. Oto potworne owoce, które wydała straszliwa spółka nowych faryzeuszów z siłą.

A ponieważ chciwość złota pożera serce wszystkich nowatorów politycznych i religijnych, nie zadawalając się przywłaszczycielstwem i rabunkami dotychczas popełnionemi, zwracają się sekciarze obecnie przeciw zarządom dobroczynności t. j. przeciw źródłom pomocy dla słabego na zdrowiu, dla dziewczynki niezamożnej, dla nędzarza i dla młodzieńca poświęcającego się nauce i sztuce. Wszystkie te środki zapomogi są znacznie uszczuplone i po części zniweczone, aby zaspokoić zgłodniałe gardła i aby zamilkło ujadanie samozwańczych przyjaciół ojczyzny, którzy są prawdziwymi saduceuszami naszych czasów.

Jednocześnie episkopat jest tarczą ich pocisków. Biskupi są wygnani z mieszkań do nich należących, pozbawieni swoich dochodów, wystawieni jak najbardziej na kaprysy. Tutaj łączy się jeszcze chciwość złota z nienawiścią ku Kościołowi i tak to coraz jaskrawiej występuje na jaw charakter rewolucyi. Nienawiść ku Kościołowi sprawia, że wyganiają z mieszkań biskupów, których rząd uznawać jako takich nie chce, podczas gdy ten sam rząd uznaje ich i przyznaje im ich tytuły, gdy uważa za stosowną obłożyć ich nowemi podatkami.

Smutny ten obraz, który kreślę tylko z grubszego, staje się coraz ciemniejszym, gdy się zważy nietylko opuszczenie, w jakiem znajduje się Kościół: *non est, qui consoletur eam,* lecz, co gorsza jeszcze, zajadłość, z jaką jest zwalczany przez potężnych nieprzyjaciół. Spojrzyjcie na rozmaite punkta kuli ziemskiej, a ujrzycie nieprzyjaźnie, przeciw którym Kościół bronić się jest zniewolony.

Na północy cesarstwo potężne, które wbrew znaczeniu tego wyrazu nazywa się prawowiernem (*l'ortodoxe* prawosławnem), jęło się od kilku lat, z stałością i wytrwałością, niestety wciąż podtrzymywaną, zburzenia katolicyzmu w rozległych dzierżawach swych, nie wahając się zastosowywać wszelkich środków, które do tego celu doprowadzą.

Inne cesarstwo, świeżo założone, które otwarcie wyznaje się protestanckiem, dąży do zniweczenia religii katolickiej nietylko w swych

granicach, lecz nawet na całej kuli ziemskiej. Aby dojść do tego celu, wszelkich używa środków, wybierając z lubością najgwałtowniejsze sposoby niszczycielskie, najwstrętniejsze i najniesprawiedliwsze, na jakie zdobyć się może szalony fanatyzm.

W pewnej republice, zwanej Kantonami, istnieje rząd, który w sposób wiarołomny naśladuje prześladowanie niemieckie.

Jeśli żałoba tego widowiska, tak rozdzierającego serce, zniewala was zwrócić oczy ku innej stronie, szukajmy tedy przedmiotu pociechy po za Oceanem, a zobaczymy tu... Cóż zobaczymy tu? Nowe pobudki smutku i żałości. Tam, gdzie Hiszpania i Portugalia zatknęły krzyż Jezusa Chrystusa, ujrzymy biskupów i sług świętych jęczących wśród zgrozy więzień, ofiary wydane na pastwę wściekłości masońskiej, wykluczającej wszelki wpływ katolicki. Ujrzymy, jak niektóre z tych republik popisują się swą siłą, wyganiając biskupów, wypędzając zakonników i wyrywając oblubienice Jezusa Chrystusa z spokojnych schronień, aby posiąść następnie święte dziedzictwo Kościoła.

Jeśli wśród tych państw oddających się szaleństwom wznosi się dziwnym sposobem pod równikiem republika, wyróżniająca się rzetelnością tych, którzy nią rządzą i niewzruszoną wiarą jej prezydenta, który okazał się coraz więcej uległym Kościołowi, pełnym nieograniczonego ku Stolicy św. przywiązania i pragnącym zachować w łonie republiki ducha pobożności i religii, to bezbożność oburza się i poczytuje to za policzek dany wrzekomej cywilizacyi nowożytnej; znieść ona nie może istnienia rządu, który poświęcając się materyalnemu dobrobytowi ludu, dokłada zarazem starań około zapewnienia mu dobrobytu moralnego i duchownego, w przekonaniu, że to jest dobro prawdziwe, bo odnosi się ono nietylko do znikomego życia obecnego, lecz i do życia przyszłego, które jest wieczne. Oto dlaczego bezbożnicy zgromadzili się w ciemnościach jednej z republik sąsiednich i tam jako dzielni sekciarze wyrzekli wyrok śmierci na czcigodnego prezydenta, który padł pod ciosem żelaza zabójcy, padł ofiarą swej wiary i swej chrześcijańskiej ku ojczyźnie miłości.

Muzułmanin, który przez lat kilka paradował tolerancyą, stawszy się wolnym, ogłosił się także opiekunem neoschyzmatyków i powtarza czyny dawnej dzikości antichrześcijańskiej.

Na widok tyla złego zdawaćby się mogło, że słabość ludzka powinnaby się ugiąć i uledz pod ogromnym ciężarem tylu nieszczęść. Nie. W pierwszych dniach chrześcijaństwa bezbożność ujrzała wysiłki swe uwieńczone skutkiem; ale rozkrzewienie wiary i ukaranie bezbożnych pocieszyło serca prawowierne, które błyszczały chwa-

lebnemi czynami swemi i bohaterską cierpliwością. Barbarzyństwo tyranów zrodziło męczenników, którzy liczą się w niebie na miliony, a których my uwielbiamy na ziemi. W ten sposób, przez czyny heroiczne i przez cierpliwość, Kościół mógł zażywać owoców pokoju. Temi samemi środkami dojdzie on i dziś do tego celu.

Tak, synowie najmilsi, pokładajmy całą ufność naszą w Bogu, który udzieli nam siły do spełnienia dzieł Jego chwały: *omnia possum in eo, qui me confortat.* Przyłóżmy więc rękę do dzieła i czyńmy wszelkie wysiłki, aby uchronić młodzież od nieszczęsnych skutków zgorszenia, aby rozwiać u słabych niepomiarkowaną trwogę, u ludzi zaś żyjących ułudą — płonną nadzieję przyjaznego pożycia.

Przemawiajcie za tem, aby Kościół był wolny w wyborze sług swych i aby ujrzał znikające przeszkody, które zabraniają młodym lewitom wstępu do świątyni. Przemawiajcie za tem, aby ten sam Kościół mógł swobodnie wykonywać prawo nauczania, które posiada tak prawowicie, bo nadał mu je sam Jezus Chrystus. Przemawiajcie za tem, aby nałożono wędzidła wolności prasy, która wszędzie stała się szkołą niemoralności i zepsucia. Przemawiajcie za tem, aby stała się naprawa pokrzywdzonemu prawu i aby to prawo na nowo mogło swobodnie być wykonywane.

Wszystko to dziać się powinno z wytrwałością, bez względu na to, czy ona na czasie czy nie na czasie, dopóki przy pomocy boskiej nie będzie można osiągnąć swobody Kościoła. Mâcie przed oczyma przykład, godny naśladowania w Danielu O'Connellu, którego uwielbioną pamięć obchodziła Irlandya uroczyście w zeszłym miesiącu. Nie omieszkał on nigdy podtrzymywać w ludzie ducha dochodzenia praw swoich, a wytrwałość jego uwieńczona była upragnionym tryumfem, który przywrócił ojczyźnie niemal swobodę. Przez wierność w naśladowaniu pierwszych pasterzy Kościoła, przez stateczność wielkoduszną, a nadewszystko przez modły wznoszone do Boga i przez wzywanie Dziewicy Niepokalanej i Świętych otrzymamy to, iż się Bóg ulituje nad nami i pocieszy nas wysłuchaniem próśb naszych.

Kończę jak zacząłem. Cieszę się z wami, którzy przybywając jednym owiani duchem do Rzymu, dajecie przykład zgody, która tak konieczna w dzisiejszych okolicznościach i tak przestrasza wspólnych nam nieprzyjaciół. Co wy czynicie, pragnę, aby wszyscy czynili, pragnę, aby w jednomyślności się modlono, aby jednomyślne czyniono żądania i aby nie pozwolono się powstrzymać przez trudności, albowiem im większe one będą, tem większa powinna być ufność w Bogu. Jako na obrońców sprawy najsprawiedliwszej z wszystkich

Pan Bóg, spodziewam się, zawsze spoglądać będzie na nas okiem ojcowskiem. Bóg otaczał opieką swą pierwsze we Francyi wysiłki zgody, a dzięki tej opiece dopięto swobody nauki; i słodko to spodziewać się, że skutek tego tryumfu będzie ten, iż przez jednolitość nauki ścieśnią się coraz więcej węzły łączące ten sławny i katolicki naród z Stolicą Świętą.

O Panie! wysłuchaj modły, które zasyłają i zasyłać będą wszystkie te dusze dobrej woli, które pragną widzieć w zażywaniu całkowitej swobody ten Kościół, któryś Ty ustanowił i zrosił przenajdroższą krwią swoją. Udziel sługom jego siły, męztwa i wytrwałości, których im potrzeba. Zachowaj po wszech ludach tego ducha, którym je natchnąłeś, ducha jedności pomiędzy sobą i uległości Kościołowi. Widzisz tu cząstkę ludu wybranego, która stanowi świetną koronę naokoło niegodnego namiestnika Twego. Błogosław temu ludowi, o Boże! i oddalaj od Kościoła Twego ciemności niewiary, które oblegają go z jednej strony i nauki zaślepionych pośredników, którzy z drugiej strony chcą się jemu narzucić.

Błogosław o Boże, błogosław Francyi, temu narodowi szlachetnemu, jego biskupom, jego ministrom, jego rządom. Błogosław także Włochom i wspomagaj je wśród tylu nieszczęść, które na nie zwalają. Błogosław wielkiej rodzinie ludzkiej, która wzdycha do pokoju wobec wielkich przygotowań wojennych, czynionych ze wszech stron i wobec powszechnej niepewności przyszłych wypadków. Od Ciebie tylko wyczekujemy pociechy; Tyś sam lekarzem prawdziwym i po Tobie samym spodziewamy się uzdrowienia duszy i ciała, która uczyni nas sposobnymi do połączenia się z Tobą. Bądź światłością naszą i wskaż nam drogę, którą postępować winniśmy, drogę, która prowadzi do nieba, gdzie znajdziemy Ciebie, byś nam był nagrodą.

Benedictio Dei itd.“

DR. WALEWSKI I AKADEMIA KRAKOWSKA.

Dla pięciu sprawiedliwych Bóg chciał odpuścić Sodomie wszystkie zbrodnie i sprosności — a za jednego p. Walewskiego wzywają dziennikarze lwowscy ognia siarczystego na całe miasto Kraków, jego Akademią, Uniwersytet, jego uczonych i polityków. Bardzo to budujący i piękny patryotyzm, który nie posiada się dziś z radości, iż nasunęła

mu się sposobność rzucania za winę jednostki piorunami potępienia na całe miasto i to na starą stolicę polską. Zaprawdę nie mógł p. Walewski większej sprawić uciechy krzykaczom dziennikarskim, jak rzuciwszy im na pastwę szereg sofizmatów historycznych, przeciwnych uczuciu polskiemu i zasadom katolickim, pokrywając je płaszczem prawowierności, konserwatyzmu i legitymizmu. Popełnił on rzecz niegodną i niesumienną, bo nie pisze się historyi jedynie w duchu sprzeczności, z intencyą drażnienia uczuć narodowych i nie podsuwa się pod zacne zasady wybryków chorej wyobraźni. Książkę jego scharakteryzowaliście trafnie, nazywając ją kupą rumowiska, gdzie między śmieciem można znaleść i rzeczy pewnej wartości. My jednak nie lubimy szukać prawd w śmiecisku sofizmatów. Najlepszą krytyką poglądów autora byłoby zestawienie jego zmieniających się za każdą zmianą położenia zapatrywań historyozoficznych. Niezmienny w głównych swych przekonaniach, zwłaszcza w teoryi legitymizmu i absolutyzmu, autor *Filozofii dziejów polskich* stawia zawsze na czele hierarchii w rzeczypospolitej chrześcijańskiej obok tronu papieskiego tron cesarzów rzymskich, cóż kiedy tym ostatnim rozporządza dowolnie, według chwilowego „widzi mi się“. Uznał najpierw jedynym jego dziedzicem cesarza austryackiego, później jednak nie detronizując Habsburgów kazał im stopniowo dzielić dziedzictwo cesarstwa rzymskiego to z imperyalizmem bonapartystowskim, to przed trzema laty jeszcze z Hohenzollernami, uznając cesarza Wilhelma w pierwszej chwili po pogromie Francyi prawowitym następcą Ottonów — cóż dziwnego, że z kolei strąciwszy Hohenzollernów posadził na tronie cesarskim także i Romanowych-Gotorpów, a to tytułem spadku po cesarzach bizantyńskich. Pan Walewski zaprawił sosem katolickim i legitymistycznym poglądy antichrześcijańskie i antipolskie Michała Czajkowskiego i radcy stanu. Książka taż jego większą nas boleścią napawa, niż wystąpienia prostych renegatów lub pozytywnych polityków, wielbiących tylko siłę. Większe też zgorszenie musiało jego dzieło wywołać, bo pierwszy to pokłon dla caratu ze strony katolika, pierwsze usprawiedliwienie gwałtów dokonanych na prawach narodowych i apologia prześladowców Kościoła ze strony tego, który prawa i wiary mieni się obrońcą, a jak katolicyzm tak i polskość po swojemu pojmuje. Pan Walewski nieprzyjaciel anarchii, rewolucyi i liberalizmu wielbi potworny despotyzm, biorąc go za porządek i legitymizm, wielbi siłę, biorąc ją za prawo. Cała jego książka nosi na sobie cechę czysto indywidualną, należy do rzędu tych dziwacznych pomysłów, do których obrony użył tylko bogatego zasobu swej wiedzy,

niekiedy zręcznych spostrzeżeń, zawsze śmiałości w zdaniu posuniętej aż do cynizmu. Solidaryzować podobne poglądy starca, co zawsze żył w odosobnieniu, który w naturze swojej ma ducha sprzeczności, podnosić to wystąpienie do wysokości programu całego stronnictwa, lub do znaczenia ostatecznej konkluzyi zasad katolickich i konserwatywnych, może tylko zła wiara lub bezczelna głupota. Tak jednak uczynili dziennikarze lwowscy, a *Gazeta Narodowa* na czele. Według niej p. Walewski wypowiedział to, co myślą i czują wszyscy katolicy i konserwatyści polscy, którzy nie chcą uznać w konspiracyi europejskiej siły zbawczej dla narodu, którzy potępiają szalony wybuch 1863 r. i nie uznają doktryny o nieprzerwalności powstania. Jak p. Walewski oddał usługę radykałom, tak na odwrót radykały dziennikarskie czynią olbrzymi zaszczyt autorowi *Filozofii dziejów polskich*. Nie przypuszczał on bowiem nawet, aby jego opinie były brane za wyraz przekonań całego stronnictwa, z którem zresztą nic nie miał w życiu swojem wspólnego. Lecz trzeba było koniecznie uderzyć znów na ultramontanów, konserwatystów i stańczyków i książką p. Walewskiego rzucić im w twarz, jakoby zawierała w sobie ich *Credo* polityczne. Nie wiemy zaiste co gorsze i bardziej na potępienie zasługujące: czy taki indywidualny, pełen sprzeczności umysł, poniewierający uczuciami narodu i przekręcający zasady dla chorobliwej tendencyi, czy też ten faryzeizm patryotyczny, który kłamie, a wie, że kłamie, jak mówi poeta, i którego znamieniem obłuda. P. Walewski zbyt często zmienia zdanie, a zawsze z całą szczerością rzuca się w ostateczności, aby i tym razem wychwalając intencye i czyny carów rossyjskich nie pisał z przekonaniem. To co napisał, podpisał swojem imieniem. Dziennikarze lwowscy wydobyli na jaw paszkwil i zrobili zeń kamień obrazy w narodzie, bo im dogadzało spróbować nieco teroryzmu i wystąpić w roli surowych Katonów patryotyzmu. Wrzawa jaka powstała znów jak gdyby na komendę, użycie tej sposobności do wspólnego ataku na stronnictwo sobie przeciwne, insynuacye kłamliwe, jakie się sypią po wszystkich *Szkicach*, *Diabłach*, *Szczutkach* i *Gazetach Narodowych*, świadczą tylko, że czuwa ustawicznie owa reakcya rewolucyjna, którąby rada znów po dwunastoletniej reakcyi konserwatywnej wystąpić na wierzch i zawładnąć opinią. Przypomniał się też żywo przy tej sposobności, styl odezw i wyroków z 1863 r., wieszanie *in effigie* gdy nie można inaczej, rysowanie szubienic po rogach ulic i podniecanie namiętności w imię, jakoby jakiejś wielkiej zdrady dokonanej, odstępstwa już nie

indywidualnego, ale całej instytucyi, trzymającej ster umysłowości w Polsce.

Rozumiemy bardzo niechęć, jaką do akademii żywią krzykacze dziennikarscy. Cięży im bowiem ta instytucya, dlatego, że się do niej dotąd nie dostali. *Inde irae*. A więc podkopać ją, zohydzić w opinii, lub pchnąć na niebezpieczne tory polityczne, któreby jej bytem zachwiały: oto ustawiczne od samego początku dążenie tych ultrapatryotycznych organów.

Akademia krakowska, uformowana na wzór Akademii francuskiej i innych tego rodzaju uczonych nowoczesnych instytucyj, będących aglomeratami złożonemi z różnego rodzaju żywiołów naukowych, nie żąda wcale wyznania wiary od swych członków tak w sprawach religijnych jak i politycznych, ale w tych rzeczach najwyższą zachować musi tolerancyę. Tymczasem liberały biorą jej to właśnie za złe, na co sami ustawicznie wskazują jako na owoc dzisiejszej cywilizacyi; wbrew więc głoszonym przez siebie zasadom, żądają oni dzisiaj od Akademii krakowskiej, aby ona jedna tylko z pośród wielu swoich siostrzyc w Europie stanęła na gruncie czysto katolickim t. j. zaprowadziła cenzurę nad dziełami i pismami swoich członków, coś w rodzaju kościelnego indexu, na który tyle skarg i utyskiwań z ich strony. Zapominają jednak, że takiej cenzury Akademia w dzisiejszym składzie rzeczy rozpościerać nie może, a gdyby ją i rozpostrzeć chciała, nie wiemy, czy taka cenzura wyszłaby na korzyść liberałom. A więc Akademia odpowiedzialną dzisiaj za to jedynie być może, co na jej publicznych posiedzeniach bywa odczytanem, lub co wydaje swoim nakładem. Wiemy zaś z najautentyczniejszego źródła, że pan Walewski nie na publicznem, ale na sekcyjnem posiedzeniu Akademii czytał jeden rozdział najniewinniejszy swego dzieła, a mianowicie o Wincentym Kadłubku. Wiadomo wszystkim, że sekretarz Akademii za porozumieniem się z komitetem redakcyjnym wstrzymał druk całego dzieła, gdy spostrzegł zaraz w pierwszych rozdziałach wciśnięte tendencye polityczne, jakie w czytaniu autor pominął. Cóż mogła Akademia uczynić więcej?

Bylibyśmy pominęli dzieło pana Walewskiego, jak ono zresztą zdrożną swoją tendencyą zasługuje całkowicie na wieczne milczenie. Nie mogliśmy jednak pominąć owego symptomatu czuwania partyi i organów destrukcyjnych, aby szerzyć waśń, podkopywać najważniejsze narodowe instytucye, rzucać oskarżenia oszczercze na stronnictwa i osobistości i przy każdej sposobności powracać do swojej doktryny o nieprzerwalności powstania, bohaterstwie wielkich mężów

z tajnego rządu i zbawienności szalonego powstania, które ojczyznę w tak głęboką wepchnęło przepaść. My katolicy nie pójdziemy składać hołdu carom rossyjskim, jako następcom cesarzów bizantyńskich i prawym królom polskim — nie! nie pójdziemy, pamiętajcie o tem panowie liberali, ale nie wejdziemy także i w sojusz z rewolucyą europejską i nie poprzestaniemy nigdy zdzierać maski z faryzeizmu patryotycznego.

Kraków 28 Września.

Kronika.

Z powodu mowy mgra Nardi'ego, mianej na odbytem niedawno w Poitiers kongresie katolickim, wystąpił massoński dziennik *Journal des Debats* z sążnistym artykułem, zarzucając rzymskiemu prałatowi rozszerzanie zasad niemoralnych i trujących społeczeństwo. W dobitnych słowach odpowiedział mu na to sławny redaktor *Voce della Verita:* „Kto sądzić będzie, pyta się on, gdzie jest trucizna? Nie wiem, czy *Journal des Debats* uznaje istnienie Kościoła na ziemi, jeśli bowiem przeczy jego władzy, w takim razie trudno się z nim w kilku wierszach rozprawić, jeśli zaś uznaje Kościół katolicki jako instytucyę od Boga ustanowioną, w takim razie Kościół tylko jeden jest nieomylnym sędzią trucizny".

Słowa rzymskiego prałata dadzą się żywcem zastosować w odpowiedzi liberalnym dziennikom naszym, które tyle o „truciznie ultramontańskiej" i „niemoralności zasad jezuickich" rozprawiać zwykły. Kto sędzią trucizny? Czy pisma, nieuznające żadnej powagi Kościoła? Czy dziennik zwiący katolicyzm rzymską strychniną, ma o tem wyrokować? A jednak u nas w katolickim narodzie tak się niestety dzieje. Liberały przywłaszczają sobie katedrę nauki moralności, aby jak ongi pełni brudu i występków faryzeusze zarzucać Chrystusowej nauce, że lud zwodzi. Zwodziciel, wołali oni na Zbawiciela. Pokazuje się, że do końca świata będzie zawsze dwóch nauczycieli, którzy się wzajemnie o zatruwanie świata oskarżać będą: Bóg i szatan. Bóg w kościele i szatan w oddanych sobie sekciarzach. A liberały nasze świadomie lub nie, do ostatnich należą i ostatnim służą — mają więc swój dekalog tak, jak go ma swój Bóg, Kościół i katolicy. — W imię tego to dekalogu uderzyły niedawno liberalne nasze dzienniki na ks. Stojałowskiego za przytoczoną przez niego w *Pszczółce* historyę o heroicznej cnocie pewnych rodziców. Ślub zrobiony Bogu ze swego dziecięcia, ofiarowanie go za życie Ojca Św., nazwały dzieciobójstwem. Co za przestraszający zaprawdę objaw pomięszania pojęć. Z cnoty zbrodnię zrobić... Nie dowodziż to, że i one trzymają się dekalogu szatana. Ależ w takim razie, jakaż to przyszłość czeka nieszczęśliwą ojczyznę naszą, jeśli podobnych doktryn propagatorowie znajdują w kraju naszym odgłos. O, prawdę powiedział poeta:

Niczem Sybir niczem knuty
Lecz narodu duch zatruty
To dopiero bolów bol!

Liberalne dziennikarstwo polskie na polu zasad religijnych idzie ręka w rękę z Moskwą i Prusami. Doszliśmy już do tego, że taki np. *Dziennik Polski* (Nr 217 z dnia 22 Września), ma odwagę nazywać katolickie duchowieństwo czarnym internacyonałem, a Papieża wstecznikiem. Słowo w słowo tak samo wyrażają się i polakożercze dzienniki pruskie i moskiewskie pisma. Tym ludziom bezczeszczącym uczucia polskie i gruchocącym podstawy narodowości naszej, o to tylko idzie widocznie, aby jak największe oddać usługi Moskwie i Bismarkowi, aby jak najrychlej rzucić biedną Polskę pod kopyta koni kozackich. A my katolicy jakie wobec tego zajmujemy stanowisko? Przyznajmy się, nic prawie nie robimy, aby wrogiej propagandzie zapobiedz. A jednak nie powinniśmy zapominać, że chociażbyśmy sto razy większą jeszcze mieli wzgardę dla tych apostołów niegodziwości, sto razy więcej gardzili takim *Dziennikiem Polskim*, sto razy więcej utyskiwali nad szczepioną w sercach polskich niechęcią do Kościoła i obojętnością religijną, jednakże jeśli nic nie będziemy robić, to całe młode pokolenie czytające taki *Dziennik Polski*, takie *Szczutki* lub *Diabły* wyrośnie z czasem na zabójców własnej ojczyzny. Stu Walewskich, stu nikczemników polskich tarzających się w prochu przed obliczem cara, nie zrobi jeszcze tyle dla kraju złego, nigdy takich klęsk nie zada Polsce, ile jej zadały i zadadzą tego rodzaju pisma i dzienniki. Ach! pamiętajmy na Boga, że nietylko one same będą w takim razie winnemi zbrodni moralnego zabójstwa ojczyzny naszej, ale i wszyscy dobrej nawet woli ludzie, którzy mogąc złemu zapobiedz nic jednak nie robią! *Vae vobis canes muti!* wołał niegdyś Bóg do przedniejszych w Izraelu. Biada wam psy nieme. Oby to straszne biada nie spadło kiedyś i na głowy nasze!

* * *

Autor książki „Naśladowania Chrystusa Pana". Od dwóch wieków toczy się zacięty spór, w kwestyi, kto jest autorem przedziwnego i niezrównanego dzieła O naśladowaniu Chrystusa Pana. Powstał w tej sprawie osobny i liczny dział literacki. Jak wiadomo zdania są podzielone. Jedni przypisują autorstwo Tomaszowi z Kempis (1380—1471), inni kanclerzowi francuzkiemu Janowi Gersonowi, współczesnemu Tomasza, inni jeszcze opatowi Gersen. To ostatnie zdanie, które dotąd najmniej liczyło stronników i opierało się tylko na zapisku manuskryptu Arońskiego znajdującego się w Turynie, zaczyna obecnie przeważać. Opat Gersen urodzony w Cavoglia w Piemoncie, przewodniczył klasztorowi w Vercelli od r. 1220 do r. 1240. Z porównania rękopisów wypada, że rękopis Aroński istniał jeszcze przed przyjściem na świat Tomasza z Kempis i Gersona. Pierwszy, który się za Gersenem w sposób umiejętny upomniał, był Kasper de Gregori w swojej historyi nauk i sztuk w Vercelli i w osobnym memoryale. W Niemczech Jan Weigl wydał ważną i dobrze uzasadnioną książkę w roku 1852. P. Weigl jest także za Gersenem. Teraz dyskusya toczy się dalej i we Włoszech i we Francyi.

Podział czasu Piusa IX. *Journal des Debats* podaje następujące szczegóły o trybie codziennego życia Papieża: Pius IX. wstaje zawsze o 5 rano; o 7 odprawia sam mszę w swojej prywatnej kaplicy i słucha jednej mszy dziękczynnej. O 8 pije lekkie śniadanie, złożone z filiżanki bulionu i filiżanki

kawy, ubiera się i o 10 daje posłuchanie kardynałowi Antonellemu, z którym traktuje bieżące sprawy Kościoła. Między 12 a 1 Ojciec św. udziela audyencyj publicznych i prywatnych a o 2 je obiad, w towarzystwie Msgra Cenni, który mu odczytuje dzienniki rzymskie. Po obiedzie Papież przywdziewa białą sutannę i aż do 4 pracuje w swej bibliotece prywatnej, która jest położoną koło jego sypialni. W tym czasie Papież załatwia swą korespondencyę i zajmuje się najważniejszemi sprawami. Następnie odbywa przechadzkę w ogrodzie lub bibliotece watykańskiej, w towarzystwie kilku kardynałów i szambelanów. W chwili nieszporów Papież wraca do swych pokojów odprawia nabożeństwo do Najświętszej Maryi, i do kolacyi pozostaje w towarzystwie ks. Torlonia i hr. Cenni, lub jednego z prałatów. O 10 Papież zawsze kładzie się spać. Taki jest niezmienny tryb codziennego życia Ojca św., który pomimo, iż jest najstarszym z żyjących monarchów, zachował dotąd zadziwiającą na wiek jego świeżość umysłu, pamięć i trzeźwość. (*Kur. Pozn.*)

* * *

Ze świata katolickiego. Słowa Zbawiciela o przenoszeniu Jego królestwa od narodu do narodu nigdy w bardziej widoczny nie sprawdzają się sposób, jak właśnie w chwilach ciężkich prześladowań Kościoła. Za czasów powstałego w Niemczech, Anglii i Szwecyi protestantyzmu, Kościół katolicki porobił takie zdobycze w Azyi i Ameryce, że liczba nowo nawróconych do Kościoła ludów przenosiła w trójnasób ilość zbuntowanych jego dzieci. Dziś taż sama powtarza się historya. W Niemczech ucisk Kościoła, a w tej samej chwili ogromny zwrot umysłów do katolicyzmu w Anglii, liczne nawrócenia się pogan w Chinach, i w samej (nieprzystępnej dotąd ewangielicznej nowinie) środkowej i południowej Afryce. Niedawno z tych ostatnich krain przybyli do Rzymu misyonarze, zadziwiające opowiadają rzeczy o rozszerzaniu się katolicyzmu w tych stronach, gdzie dotąd wszechwładnie panował szatan, i w krwawych ofiarach ludzkich cześć dla siebie odbierał. Dzienniki katolickie przepełnione są nadzwyczaj ciekawemi opisami tych mało dotąd znanych krain. Największem polem prac missyonarskich i środkowym niemal punktem rozrzuconych po olbrzymich obszarach środkowo-wschodniej Afryki missyj jest ogromne państwo Dahomey graniczące na północ z Sęnegambią i krajem Galasów, a przytykające na południe do brzegów Oceanu. Granice jego na zachód giną gdzieś w bezbrzeżnej pustyni, zamieszkałej przez nieznane dotąd rozlicznego rodzaju ludy. Ojciec Planque wikaryusz Apostolski środkowej Afryki powiada, że w głębi pustyni znajdują się setkami mil oddzielone od siebie wielkie miasta, liczące niekiedy po sto i więcej tysięcy mieszkańców. W każdem z nich odbiera niemal boską cześć panujący krwiożerczy królik, któremu poddani w dowód hołdu i wierności tysiące zabijają w ciągu roku nieszczęśliwych ofiar ludzkich. Stokroć straszniejsi od owych małych tyranów są jeszcze niektóre plemiona, zamieszkujące okolice między miastami Palma i rzeką Niger; tam ludożerstwo w całej swej szkaradzie dotąd się utrzymuje. To też Anglicy którzy zwykle nie lękają się żadnych niebezpieczeństw, tam jednak dotychczas nie zapuścili się wcale. Tylko missyonarze katoliccy nie zlękli się śmierci, poszli jakby dlatego jedynie, aby ciała ich, stawszy się pokarmem ludożerczych plemion, wzbudziły zarazem plon obfity w ich duszy.

Missya katolicka środkowej Afryki założona dopiero 1867 roku dzieli się na cztery główne stacye, a z pięciu większych składa się rezydencyj. Obok kapłanów missyonarzy i braci zakonnych św. Franciszka Serafickiego, pracują nad nawróceniem tych nieszczęśliwych ludożerczych plemion murzyńskich Siostry Miłosierdzia, Siostrzyczki Ubogich i siostry Franciszkanki.

— Znakomitsi katolicy włoscy zebrani na kongresie katolickim we Florencyi, uchwalili między innemi zakładanie szkół katolickich, wydawanie dzieł i pism w obronie nauki i praw Kościoła, wreszcie wspieranie katolickiego dziennikarstwa. Na ostatniem zaś posiedzeniu wyrazili cześć i uznanie dla kapłanów Towarzystwa Jezusowego.

— Ojciec Św. kreował na dwóch ostatnich konsystorzach 17 i 23 Września sześciu nowych kardynałów jako to: kardynała Antici Matei dotychczasowego patryarchę Carogrodzkiego, kardynała Nobili-Vitelleschi arcybiskupa Seleucyi, kardynała Simeoni nuncyusza w Madrycie, kardynała Randi wice-kamerlinga św. Kościoła rzymskiego, kardynała Pacca i kardynała Saint-Marc arcybiskupa z Rennes. Krom tego prekonizował Ojciec św. wielu arcybiskupów i biskupów w różnych częściach świata.

— Liberalne dzienniki rozpisywały się nieraz o znacznej liczbie nagromadzonych w Watykanie stronników Ojca Św., o mnogiej liczbie sług, dworzan i żołnierzy zamieszkujących pałace papieskie. Niektóre z dzienników tak daleko zaszły w powiększaniu tej liczby watykańskich mieszkańców, że ją, aż do trzech tysięcy osób posunęły. Wprawdzie Watykan, liczący jedenaście tysięcy ogromnych komnat, mógłby najwygodniej i tę ilość tak w sobie pomieścić, iżby jej wcale nawet znać nie było, jednakże tak nie jest. Ze sprawozdań bowiem urzędowych pokazuje się, że w całym Watykanie zaledwie 537 znajduje się osób, a mianowicie: Ojciec Św., kardynał Anntonelli, podkomorzy papieski, marszałek pałacu watykańskiego, wielki jałmużnik, sekretarz, intendent, gubernator, jenerał Kanzler, pięciu szambelanów, czyli razem 14 osób. Bióro zaś kardynała Anntonellego liczy 20 urzędników, zarząd pałacu 15, drukarnia watykańska ma 8 pracowników, Ojciec Św. jednego kamerdynera, i sześciu służących. Tak zwana *Anticamera Apostolica* składa się z jednego dziekana, 23 kuryerów, 3 służących i 3 ordonansów. Co wszystko stanowi liczbę 103 osób. Gdy do tego dodamy świtę kardynała Anntonellego i służących jenerała Kanzlera, w liczbie 48 osób, żandarmów i szwajcarów papieskich 233, będziemy mieli liczbę 537 osób zamieszkujących w gmachach watykańskich, które zajmują dzisiaj taki obszar ziemi, jakie zajmowało miasto Turyn przed 1842 rokiem.

— Dnia dwudziestego pierwszego wyjechali ze Lwowa do Rzymu: Przew. ks. kanonik Turzański, proboszcz kościoła Metropolitalnego we Lwowie, ksiądz Otton Hołyński, ksiądz Kalikst Turkuł proboszcz z Jazłowca, ksiądz Jahner proboszcz z Tarnopola i dwóch jeszcze kapłanów z dyecezyi Przemyskiej. Przed wyjazdem swoim otrzymali oni błogosławieństwo na drogę od Naszego Najczcigodniejszego Arcypasterza, Jego Excellencyi księdza Metropolity Wierzchleyskiego. W Rzymie ma się z nimi połączyć kilka rodzin z wyższych sfer naszego społeczeństwa, które również wyjechały już do Wiecznego Miasta i znany naukowemu światu pan Bernard Kalicki. Ostatni od jakiegoś już czasu słaby będąc na piersi, zamyśla całą zimę pod włoskiem przepędzić niebem,

Ks. Hołyński zabrał z sobą zebrane przez nas świętopietrze, na które pobożne i szanowane powszechnie pewne panie ze Lwowa, uszyły bardzo piękną o papieskich barwach torebkę. Mniemamy, że pobyt naszych pątników w Rzymie oprócz łask i pociech osobistych, jakich doznają na grobie Apostołów śś., nie pozostanie bez pożytku dla kraju i Kościoła naszego.

ŚWIĘTOPIETRZE

(Serya IV)

ZŁOŻYLI W REDAKCYI:

Państwo P.	fr. 30 w złocie	— złr.	— ct.
P. Kalikst Orłowski		25 „	— „
P. M. N.		25 „	— „
Hr. K.	fr. 20	— „	— „
N. N.		1 „	— „
Ks. Placyd Krupiński		10 „	— „
Franciszka Palewicz		1 „	— „
Marya Odżogo		5 „	— „
Członkowie Bractwa N. Sakram. we Lwowie		8 „	50 „
Ks. Szczęsny Niwiński proboszcz ze Śniatyna		4 „	— „
Grosz sierocy od ubogiej osoby		— „	20 „
Ks. Józef Bąba z Wojnicza		11 „	20 „
	Razem franków 50,	90 złr.	90 ct.
Z przeniesienia duk. 25, półimper. 4, marek 10, rub. 34, fr. 53 i 943		„ 87	„
Razem duk. 25, 4 półimper. 10 marek, rub. 34, frank. 103, cwanc. 1 i 1034		złr. 77	ct.

Na tem zamykamy Seryę IV zebranego przez nas świętopietrza. Mamy nadzieję, że wraz z dawcami otrzymamy niebowem Apostolskie od Ojca Św. błogosławieństwo; wtedy ogłosimy tekst przesłanego przez nas do Ojca Św. listu.

A kiedy już mowa o świętopietrzu, wspomnieć nam wypada, że i z innej strony naszego kraju odeszła niedawno do Rzymu znaczna kwota świętopietrza, umieszczona w misternie nader zrobionym woreczku, na którym czytaliśmy następujący złotem wyhaftowany napis:

PIO IX
PATRI SANCTISSIMO
PIENTISSIMO
TANQUAM. EGENTI.
MULTOS. AUTEM.
LOCUPLETANTI
CORDIS OBSEQUA FERUNT.
FILII DEVOTISSIMI
SACERDOTES POLONI.

Korespondencya Redakcyi.

Wny pan Daszkiewicz w Poznaniu. — Pisaliśmy dwa listy, co się znaczy że nie mamy odpowiedzi, czy nie przysyłać więcej?

Wny pan Domżalski w Prusach. — Zgubiliśmy adres i dlatego nie wiemy gdzie posyłać.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor ks. Edward Podolski.

POLSKA
W CHWILI SWEGO UPADKU

przez

Romualda Kaczyńskiego.

(Polska w czasie trzech rozbiorów 1772—1779. Studya do historyi ducha i obyczajów przez J. I. Kraszewskiego. Tom III 1791—1799. Poznań, nakładem I. Żupańskiego 1875).

(Dokończenie).

Zbliżała się już chwila wybuchu, który miał się skończyć pogrzebaniem politycznej wolności kawałka ziemi, noszącego tytuł Rzpltj polskiej, i rzuceniem pod stopy zaborców prawa, religii, narodowości. Nadeszła Wielka Środa. Wieczorem dnia tego spiskowi poczynili wszelkie przygotowania do wybuchu. Umówiono się ostatecznie rozpocząć powstanie nazajutrz rano z uderzeniem godziny trzeciej. Działano przytem tak oględnie, iż większa część mieszkańców Warszawy — jakkolwiek przeczuwała, że się coś święci — nie przypuszczała „aby mające zejść słońce oświeciło miasto jako miejsce walki despotyzmu z wolnością".

O świcie w Wielki Czwartek (17 kwietnia) na dany znak spiskowcy pospieszyli do arsenału. Dostawszy się tutaj, wytoczyli funtowe działo, z którego kilkanaście razy powtórzono wystrzały, jako hasło rozpoczęcia. Równocześnie prawie jęknęły osadzone przez Kilińskiego dzwony na kościołach: Dominikańskim, Paulińskim, Bernardyńskim i św. Krzyża....

„Do broni! do broni! rozległ się okrzyk powszechny".

Regiment Działyńskich, wołając jak jeden człowiek: „umrzemy poczciwie lub pobijemy"! z dowódzcą swoim, pułkownikiem Haumanem, wyruszył spiesznie z koszar. Do uszu, biegnących naprzeciw nieprzyjacielowi, żołnierzy dolatuje z miasta odgłos dzwonów, huk strzałów i głucha wrzawa. Naraz regiment musiał stanąć: wojska moskiewskie broniły mu dalej przejścia. Pułkownik Hauman przez

parlamentarza domaga się od jenerała rossyjskiego Miłaszewicza wolnego przejścia do zamku. Parlamentowanie spełza na niczem. Rozpoczyna się więc walka. Żołnierze wraz z ludem atakują odważnie Moskwę. Ta, krótko stawiając czoło, poczyna się cofać. Uchodzących rażą dokoła strzały gęste. Czternastoletnie wyrostki uliczne nawet strzelają z nieustraszoną odwagą. Wszczyna się nieład pomiędzy rejterującymi Rossyanami. Wreszcie powstańcy przecinają im odwrót i, wziętych teraz we dwa ognie, znoszą prawie do szczętu. Książę Gagaryn (pułkownik) zabity przez kowalczyka rozpaloną szyną żelaza; jenerał Miłaszewicz raniony dostaje się do niewoli, a wraz z nim pięć armat i wiele amunicyi.

Utorowawszy sobie w taki sposób drogę regiment Działyńskich podążył teraz w stronę pałacu Igelströma (na ulicy Miodowej), gdzie także nadciągnęli powstańcy ze Starego Miasta pod wodzą Kilińskiego i Sierakowskiego... „Tłumy, pisze Wojda, składały się z rzemieślników, ich czeladzi, służących, dozorców, parobków i żydów, którzy się zaszczytnie odznaczyli". Siły polskie zwiększyły się jeszcze z przybyciem kawaleryi narodowej z Pragi. Przypuszczono teraz szturm do domu rezydenta Moskwy. Musieli jednak cofnąć się powstańcy, gdyż znaleźli tu silnie zorganizowaną obronę.

Igelström jeszcze o czwartej z rana, gdy go zawiadomiono o wybuchu, żartował z niego, odpowiadając „że szczutkiem w nos to uspokoi". Dopiero gdy go zaczęły dochodzić coraz groźniejsze wieści, polecił Zubowi i Apraksynowi ściągać wszystkie siły moskiewskie pod swój pałac. Sam siadł na koń. Powiernik jego Pistor, radził mu zawezwać Prusaków, którzy z jenerałem Wolky stali w okolicy Warszawy. Igelström oparł się, sądząc że się to skończy na małem.

Tymczasem tłum uzbrojony począł powtórnie nacierać od ulic Długiej i Senatorskiej, ale tu i tam odparty ograniczył się na blokowaniu nieprzyjaciela. Osadzono pobliskie domy i z okien strzelano do wojska moskiewskiego.

Na innych ulicach miasta wrzała również walka. Lud zrazu nieśmiały, nabrawszy odwagi, mężnie i zręcznie popierał żołnierza, przecinał styczność batalionów rossyjskich. Krew lała się strumieniami po bruku, powstanie zajęło już ważniejsze stanowiska, jak przy arsenale, w pałacu Prymasa, prochowni itp.

Na zamku król i poplecznicy Moskwy oczekiwali w trwodze, co dalej będzie. Gwardya piesza koronna oraz ułani królewscy na odgłos strzałów w mieście spieszyli w pomoc braciom. Stanisław

August „pobiegł sam, ręką i słowy usiłując powstrzymać ich, aby pozostali. Żołnierze wstrzymali się na chwilę, ale oficer Strzałkowski odezwał się do króla:

— Jesteśmy ci wierni N. Panie, ale musimy iść, gdzie honor wzywa.

— Honor wasz i obowiązek, zawołał Stan. August, przywiązują was do stanowiska — tu — przy osobie mojej:

Wtem strzały coraz silniejsze i gęstsze dały się słyszeć od strony domu Igelströma i oddział cały rzucił się z taką gwałtownością naprzód, iż oficer Leszczyński króla silnie potrącił, tak że o mało go nie obalono".

Król wysłał do Igelströma brata swego, ks. ex-podkomorzego, prosząc i zaklinając ambasadora, aby wyszedł z wojskiem z miasta. Igelström przyrzekł zrazu, ale nie dotrzymał słowa. Liczył on na to, że rozproszone po mieście bataliony wojsk jego zdołają połączyć się z sobą i razem w znacznej sile przybędą mu na pomoc.

Rachuba ta zawiodła ambasadora. Pojedyncze oddziały żołdactwa moskiewskiego w części pobite, w części upadłe na duchu, potraciwszy swoich dowódzców, nie mając nawzajem żadnej w sobie wiadomości, poczęły co rychlej opuszczać Warszawę. Jeden z takich batalionów nie mogąc umknąć, schronił się do cerkwi na Lesznie. Lud mając na czele Kilińskiego, Umińskiego i Królikiewicza wyrżnął co do nogi żołnierzy tego batalionu.

Najgorętsza i można powiedzieć cała niemal walka skupiła się teraz koło ambasady, gdzie Igelström napróżno oczekiwał na posiłki. Zdecydował się on wreszcie posłać oddział jazdy po Prusaków, bo miał się już czas przekonać, że się utrzymać i obronić nie potrafi.

Zawezwani na pomoc Prusacy nie spieszyli wcale. Owszem Wolky postanowił nie mięszać się do walki.

Tymczasem w mieście pomimo nadchodzącej nocy walka nie ustawała. „Bliski i odległy grzmot armat rozlegający się po ulicach, wtorujący im rzęsisty huk ręcznej broni, głuchy głos bębna, jęk dzwonów do szturmu zwołujących, świst kul, wycie psów, szczęk pałaszów, dzikie okrzyki powstańców: hura! ciche rannych i konających jęki — oto jest okropny obraz owej jasnej, strasznej nocy — pisze naoczny świadek Seume".

Wreszcie gdy świtać poczęło, Igelström poleciwszy pewnej części swego wojska bronić się do upadłego, sam pod gradem strzałów z trzystu żołnierzami zdołał się przerżnąć przez otaczających powstańców i uszedł z Warszawy cało.

Pozostawieni z pułkownikiem Parfentiewem w domu Igelströma żołnierze rossyjscy opierali się jeszcze jak mogli. „Podpalono dom ze wszystkich stron. Żołnierze przebijać się chcieli, ale na wychodzących uderzono... Po drabinach wewnątrz dobywali się powstańcy, nie zważając na płomienie, które ich obejmowały. Wzięto w niewolę wielu, reszta padła ofiarą rozdrażnionego tłumu".

Igelström, uciekając, pozostawił w ambasadzie beczki rubli pełne, srebra, pieniądze w papierach, niedopalone i pozapominane szczątki archiwum. Wszystko to teraz stało się łupem powstańców. Zdobycz jednak na proste wezwanie prezydenta złożono co do grosza na ratuszu.

Pomimo że nieprzyjaciel wyparty już został z miasta, przez cały ten dzień i pół następnego trwały jeszcze pożary i strzelanie. Jakiś szał opanował powstańców. Zabijano się po ulicach, chwytano, łapano, walczono. Cała ludność, rzec można, była pod bronią: pospólstwo, rzemieślnicy, żydzi i dzieci. „Zdarzało mi się widzieć — pisze Seume — mężczyzn mających pistolety za pasem, pałasz w ręku a drugą prowadzących ciekawe damy".

Wzburzony ciągle tłum zniszczył pałace Branickiego, hetmanowej Ogińskiej, hetmana Ożarowskiego, starosty Szydłowskiego i wielu innych osób, stronników Moskwy. Znani ze swych stosunków z ambasadą, pensyonowani przez Rossyę, osadzeni zostali w więzieniach w pałacu Brühlowskich, w prochowni i t. d. Najbardziej zagrożeni: Ankwicz, Ożarowski, biskup Kossakowski, Massalski i Moszyński znaleźli schronienie na zamku królewskim.

Wreszcie powoli, powoli zaczęły się uspokajać rozgorączkowane umysły powstańców. Zakrzewski i Mokronowski (jeszcze w Wielki Czwartek okrzyknięci przez lud — pierwszy prezydentem miasta, a drugi komendantem Warszawy) z mianowaną tymczasową Radą zajęli się wszystkiem, czego stan miasta wymagał. Pomyślano o obwarowaniu Pragi, rozpoczęto formowanie pułków ochotniczych, naznaczono im dowódzców.

Wyswobodzona stolica w sam dzień Zmartwychwstania Pańskiego zaśpiewała *Te Deum* na uroczystem nabożeństwie, jakie się odbyło u św. Jana w obecności króla. Bawiący w Warszawie panowie ukazali się tu w orderach na dowod, że w powstaniu nie było nic Jakóbińskiego. Wszyscy mieszkańcy podpisali wtedy akt powstania — akt posłuszeństwa naczelnikowi Kościuszce, któremu już listem wysłanym oznajmiono o wyswobodzeniu Warszawy.

Już 22 Kwietnia porządek w mieście był w znacznej części przywrócony; nikomu oprócz ustanowionej milicyi miejskiej nie wolno było z palną bronią ani gołym pałaszem ukazywać się na ulicy. Do spraw zewnętrznych wyznaczono osobną komisyę. Utworzono również rodzaj komitetu bezpieczeństwa publicznego pod nazwaniem deputacyi indagacyjnej „dla odkrycia zdrajców krajowych, spisków na zgubę ojczyzny, planów nieprzyjacielskich". Temu to komitetowi dano do rozpatrzenia papiery osób osadzonych po więzieniach.

Z królem obchodzono się z jak największemi względami; odjęto mu jednakże wszelką siłę — zostawiono tylko dostojność. Po dwu z mieszczaństwa przeznaczono do pilnowania każdego kroku Stanisława Augusta. Wobec tego król i jego otoczenie starali się pogodzić z nowym stanem rzeczy. Siostra Stan. Augusta, pani Krakowska, miała nawet zapraszać na obiady, będących na straży w zamku, Kilińskiego i Morawskiego. „Z tego to czasu jest owa anegdota o ucałowaniu ręki pani Krakowskiej, którą Kiliński przyjął okrytą rękawiczką, a Morawski rzeźnik miał się odezwać: — Jaśnie Wielmożna Pani nie ma dziwu, że szewc skórę lubi, ja proszę o mięso. I pani kasztelanowa śmiejąc się zdjęła rękawiczkę".

Powstanie to, jak każda rewolucya, miało niestety smutne wybryki, które zrazu ograniczały się tylko na słowach. „Tak raz ks. Gabryel karmelita, słynny kaznodzieja, utrzymywał z ambony, iż gdyby się nie powiodło powstanie, przyszłoby zwątpić o sprawiedliwości Bożej (?); inny, kaznodzieja królewski na egzekucyach za dusze poległych w boju, u św. Krzyża w przytomności króla wysławiał Robespierra (!). Ks. Jana Bohomolca (autora *Diabła*), który przeciwko Jakóbinom z kazalnicy prawił — nie bez zastosowania do wypadków miejscowych — uwięziono niepotrzebnie i zagryzł się tem biedny".

Równocześnie prawie z powstaniem Warszawskiem, bo w Wielką Sobotę, wybuchła rewolucya w Wilnie. Duszą związku tutaj był Jakób Jasiński, podpułkownik inżynierów, okrzyknięty następnie naczelnikiem powstania narodowego na Litwie. Pod jego to dowództwem napadnięto na Rossyan w mieście, wzięto do niewoli naczelnika sił rossyjskich jenerała Arseniewa, uwięziono podejrzanych o sympatyę dla Moskwy, a między tymi — jawnego zdrajcę hetmana Kossakowskiego. Dokonawszy oswobodzenia Wilna Jasiński, już jako naczelnik, podpisał wyrok śmierci na Kossakowskiego, skazanego sądem wojennym na powieszenie. Egzekucya wyroku na hetmanie odbyła się we Czwartek świąteczny na placu ratuszowym.

W ślad za Warszawą i Wilnem na różnych punktach Korony i Litwy podniesiono oręż przeciw srogim najeźdzcom. W tej pierwszej chwili szczęście zdawało się wszędzie służyć sprawie, prześladowanej tak długo od losu, wrogów i swoich. „Kościuszko w sukmanie zyskiwał łatwo serca pojedynczych ludzi". Pomimo to jednak tłumów, jak sobie obiecywano, pociągnąć nie było podobna.

Kościuszko, nie mając dostatecznych sił do zaczepnego działania, stał bezczynnie pod Krakowem. Oczekiwał tu napróżno na ochotników; wydał wreszcie rozporządzenie uzbrojenia całych mas ludu wiejskiego — wieśniak jednak szedł jakby z przymusu. Całą siłę naczelnika stanowiło 9 tysięcy żołnierza. Z tem to wojskiem Kościuszko, oczyściwszy Krakowskie z Rossyan, stanął obozem pod Połańcem, gdzie w d. 7 Maja podpisał uniwersał, uwłaszczający włościan. Z pod Połańca wojsko polskie — zwiększone przez przyłączenie się korpusu jenerała Grabowskiego, do 15 tysięcy — poszło ścigać jenerała Moskwy Denisowa. Pod Szczekocinami w d. 6 Czerwca przyszło do bitwy. Denisów wsparty przez korpus Chruszczewa i Rachmanowa, oraz wojsko pruskie z królem na czele, zwyciężył. Polacy, straciwszy około tysiąca ludzi i dział ośm, zmuszeni byli cofnąć się. Tutaj to właśnie zginął ów „rzymskiej cnoty" jenerał Józef Wodzicki i jenerał Grochowski.

Oprócz przegranej pod Szczekocinami i inne klęski spadły na powstanie. W d. 15 Maja, nieudolnie broniony przez Wieniawskiego Kraków poddaje się Prusakom. 8 Czerwca Zajączek, pod Chełmem pobity przez Moskwę, cofa się aż do Lublina.

W Warszawie tymczasem panowało ciągle gorączkowe usposobienie. Najzapaleńsi, nieradzi z tego, co się działo, podejrzywali innych. Królowi najmniej ufano, posądzając go, że ma zamiar opuścić Warszawę. Aby to podejrzenie usunąć od siebie, Stanisław August musiał od czasu do czasu pokazywać się ludowi na ulicach. Ciągle było słychać odgróżki na zdrajców, osadzonych po więzieniach. Zakrzewski ustawicznie upewniał burzących się, iż sąd kryminalny wymierzy sprawiedliwość zdrajcom. Aby zapalone umysły zająć czemś inszem, Zakrzewski wydaje odezwę do mieszkańców Warszawy, wzywającą ich na okopy do sypania szańców na obronę. Słowa odezwy przemówiły do wszystkich: już nazajutrz tłumy posypały się na okopy. „Okopy! stały się hasłem, modą, zabawą, obowiązkiem, środkiem pobratania. Spieszyli wszyscy... Sam król zaraz wyruszył, dla dania dobrego przykładu i kilka razy, ująwszy rydel, ziemię rzucił."

Wzburzenie jednak wciąż trwało; przykład wileński podobał się Warszawie Na gwałt zaczęto się domagać śmierci na zdrajców. Nastąpiły nowe aresztowania Chełmskiego biskupa Skarszewskiego, marszałka koronnego Moszyńskiego i innych. Tych co się na początku rozruchów schronili pod skrzydła opieki królewskiej wydobyto z zamku i osadzono w pałacu Brühla.

W sam dzień imienin króla (8 Maja) rozdrażnienie ludności doszło do najwyższego stopnia. Ktoś puścił wieść, że Stanisław August wyjechał. „Lud pochwycił za broń, otoczono arsenał, wołając — broni! uderzono na gwałt w bębny... Ruszyły się warty i odwachy... Popłoch był widocznie wywołany, lecz sam już jak pożar podrzucony się rozżarzał". Król, który tylko na Pragę pojechał, musiał wracać do miasta blady i przelękniony. Wracającego omało nie zabito, gdyby nie Kicki, jadący obok karety, co wytrącił z rąk strzelbę mierzącemu do Stanisława Augusta.

„Kitowicz pisze, że dnia tego nocą już, wpadli mieszczanie zbrojni, chcąc króla widzieć koniecznie, tak że musiał wstać, włożyć szlafrok i wyjść do nich".

Wreszcie lud powoli zaczął się uspokajać, ale tylko na pozór. Całą noc trwał na ulicach niepokój. Nazajutrz o świcie, w rozmaitych punktach miasta, stały już gotowe szubienice z napisami: Kara na zdrajców Ojczyzny. Rada, tak zwana zastępcza, nie widząc innego środka do zapobieżenia niechybnemu gwałtowi, na prędce złożyła trybunał, który *brevi manu* odsądził od czci i skazał na śmierć: hetmana Ożarowskiego, Zabiełłę, Ankwicza i biskupa Kossakowskiego. Wszystkich czterech powieszono na przygotowanych już szubienicach. Z Kossakowskiego zdjął sakrę (!) w progu kościoła Bernardyńskiego biskup Malinowski, nie mając do tego ani prawa ani władzy!

Po dokonaniu egzekucyi: „Niech żyje rewolucya" — zawołały tłumy zdziczałe. Słowa się spełniły; rewolucya żyje: Moskwa i Prusy uciskają do dzisiaj Polskę. Ciała wisiały do ósmej wieczór, a tłumy snuły się około nich krzycząc: „Taki los wszystkich zdrajców spotkać powinien"!

W całym tym ruchu upatrywano sprawę rewolucyonistów, a nawet rękę przejętego na wskróś zasadami rewolucyi francuzkiej Kołłątaja, który za pośrednictwem byłego swego sekretarza Kazimierza Konopki i Dembowskiego rozjątrzał lud, aby go popchnąć na drogę teroryzmu, gwałtów i zbrodni, jakby na to tylko, by na konającą już ojczyznę rzucić straszliwą plamę, zohydzić ją wobec wierzącej

Europy, przejętej grozą wypadków francuzkich. Kołłątaj, kapłan katolicki, popchnął lud warszawski do świętokradzkiego zamordowania biskupów! Ale mówią niektórzy pisarze: Kołłątaj chciał tym sposobem obudzić i podnieść ducha patryotycznego. Sztyletnicy i twórcy ruchu z r. 1863 tak samo nam prawili. W imię podobnej teoryi, upadlającej sumienie, honor i ducha patryotycznego, dopuszczali się skrytobójstw. To też słusznie nazwać ich należy uczniami księdza podkanclerzego, owego na małą skalę Robespierra polskiego.

Po tym rozruchu długo popłoch był ogromny, obawiano się straszniejszych rzeczy. „Myśleliśmy, pisze bezimienny korespondent, że Kościuszko ukarze tych zapaleńców, a on tylko wydał proklamacyę do tej szui ulicznej *(cette lie du peuple)*. Konopkę i Dembowskiego miano aresztować, ale do tego nie przyszło".

W kilkanaście dni po owej egzekucyi Kołłątaj i Potocki Ignacy, dotąd bawiący przy Kościuszce w obozie, zjechali do Warszawy. Lud stolicy przyjmował ich z najżywszemi oznakami radości.

Kołłątaj, upewniwszy się niejako o swoim wpływie na mieszkańców Warszawy, przybywał tu, aby sam i według swego sposobu widzenia rzeczy popędzić prędzej sprawę narodową, choćby przyszło nie przebierać w środkach. Zaraz też zawładnął on częścią administracyjno-finansową spraw Rzpltej. Rada narodowa tymczasowa została zniesioną. Na jej miejsce zorganizowano inną, skład której stanowił naczelnik siły zbrojnej narodowej i ośmiu radców z 32 zastępcami. Nominacye na członków nowej rady były tak porozdzielane, że Kołłątaj mógł łatwo nią kierować.

Na prowincyi powstanie leniwym szło krokiem. Pomimo uniwersałów Kościuszki, pomimo ogłoszenia manifestu, uwłaszczającego włościan, niechętnie spieszono pod sztandary narodowe. Naglono, wyzywano, przyspieszano pospolite ruszenie, które miało iść w dawne posiadłości Rzpltej, dla poparcia w nich poruszeń, jakich się spodziewano. Szlachta jednakże jak i wieśniacy nie kwapili się do pospolitego ruszenia. Jedno jeszcze mieszczaństwo dawało najwięcej dowodów ochoty i poświęcenia. W takim stanie rzeczy pocieszać trochę mogło to, że 10 Czerwca akt powstania uczyniło księstwo Żmudzkie, a dnia 27 Czerwca Kurlandczycy w Lipawie oświadczyli się z akcesem do rewolucyi.

Rewolucyoniści w Warszawie tymczasem nową gotują burzę, zapewne w przekonaniu, że nią ducha rozbudzą. A i tym razem głównem narzędziem był ów zausznik Kołłątaja — Konopka. „Dnia 27 Czerwca wieczorem zjawił się Konopka w chwili, gdy ochotnicy

z trzech cyrkułów miasta Warszawy uczyli się musztry. Ludu było siła. Żołnierz jeden stał boso. Zobaczywszy to Konopka, wziął za powód do wyrzekania przeciw rządowi, uciskowi i nędzy ludu.

— A co kosztuje utrzymanie, karmienie i pojenie zdrajców, więźniów, na których pieniądze idą darmo, gdy żołnierz, co służy ojczyźnie, butów niema. Dla ludu sprawiedliwości nigdzie! Macie bracia w ręku broń... nie składajcie jej póki sprawiedliwości nie wymierzą".

Lud, podburzony tą mową, idzie na ratusz. Tłumy zwiększają się po drodze. Agitatorowie Kołłątaja rozpalają już i tak rozgorączkowane umysły. Motłoch krzyczy: śmierć zdrajcom! i z tym okrzykiem przy świetle pochodni stawia jedenaście szubienic. Całą noc zgiełk i wrzawa napełniają ulice Warszawy. Ze świtem tłumy jeszcze liczniejsze oblegają mieszkanie prezydenta, domagając się kary na winowajców. Szał nie do opisania opanowywa tłuszczę... Wdzierają się do więzień i wywlekają ztamtąd aresztowanych. Napróżno Zakrzewski z Potockim usiłują wpłynąć na rewolucyonistów. Tłuszcza zakosztowawszy już raz krwi, dyszy żądzą spełnienia nowych zbrodni i ciągnie swoje ofiary pod szubienice: Boskamp, Roguski, Grabowski i Piętka obwinieni o szpiegostwo, biskup Massalski (tak jest, biskup zły i niedobry, ale zawsze biskup, pomazaniec Boży) i kasztelan Czetwertyński jeszcze nawet nie pozwani, całkiem niewinny wreszcie Wulfers zostają powieszeni przez oprawców na ochotnika. Takąż śmiercią ginie złapany przypadkowo na ulicy, a zupełnie niewinny, instygator marszałkowski Józef Majewski. „Skarszewskiego biskupa ciągnęli już także; dziwnym trafem miał się uratować, dwuzłotówkę wetknąwszy jakiemuś lokajowi, który począł wołać:

— Dajmy mu pokój, to dobry pan..."

Lud rozwścieczony, podobny do tygrysa, co krwi już zasmakował, radby wieszać i wieszać — winnych czy niewinnych. Wciska się tłum szalony do pałacu Moszyńskiego, rabuje sprzęty, chwyta rzeczy i zagarnia nawet wiśnie na talerzu stojące. Drudzy Moszyńskiemu zarzucają stryczek na szyję... Wtem wpada Zakrzewski, zasłania sobą marszałka i rozjuszoną zgrają łagodzi.

Po ocaleniu Moszyńskiego Zakrzewski pobiegł na miasto przed pałac Brühlowskich i tu przyrzeczeniami prędkiego wymiaru sprawiedliwości, zaklęciami, prośbami wstrzymał lud od dalszego morderstwa. „Do przywrócenia spokojności przyczynił się też i ulewny deszcz, który nagle lunął tak, że lud nucąc latarniane piosenki rozbiegł się po domach".

Dzień 28 Czerwca 1794 stanowi czarną plamę na powstaniu Kościuszkowskiem. To co zaszło wtedy, było tak sprosnem, obcem i nieprzystępnem uczuciu narodowości naszej, że doprawdy trzeba przypuszczać, iż Bóg chcąc nas do reszty ukarać, przed ostatecznym upadkiem ojczyzny dopuścił na nas jeszcze chwilę najwyższego upadku moralnego. „To co się stało na dniu wczorajszym w Warszawie — pisał Kościuszko — napełniło serce moje goryczą i smutkiem... Obywatele zastanówcie się, skryte i złośliwe duchy w zmowie z nieprzyjaciółmi naszemi obłąkały was, wzburzyły umysły".

Wobec tych wypadków Prusacy i Moskale zacierali pewnie z radości ręce. Na ofiarę, na biedną Polskę, którą oni zdusić pragnęli, rzucili pierwej ohydę właśni jej synowie. Ks. Kołłątaj oddał swą agitacyą niemałą wrogom Polski usługę. W owej pełnej smutku dla Polski chwili, Prusacy i Moskale mogli powiedzieć o księdzu podkanclerzym: *Bene nobis meritus!*

Po tym dopiero rozruchu winnych aresztowano i oddano pod sąd, bardziej zaś zapalonych i niespokojnych wysłano do obozu.

Rewolucya, dokazując cudów waleczności na ulicy wobec bezbronnych, spuszczała z uwagi grożące jej niebezpieczeństwo ze strony Moskwy i Prus, których połączone wojska spieszyły pod Warszawę i w dniu 9 Lipca zbliżyły się już ku stolicy od lewego brzegu Wisły. Na obronę swoją Warszawa miała zaledwie 22 tysiące wojska, które podzielone na trzy główne obozy (ks. Józefa i Mokronowskiego, Zajączka oraz Kościuszki), zajmowały stanowiska w przyległych do miasta wioskach.

Nieprzyjaciele rozpoczęli oblężenie, a równocześnie prawie Rada najwyższa odebrała zawiadomienie o wkroczeniu Austryaków w granice polskie.

Oblężeni mieszkańcy Warszawy nie tracili bynajmniej ducha. Drobne utarczki z pruskiemi forpocztami dodawały odwagi. Oswojono się prędko z hukiem dział bombardujących miasto. Wśród gradu pocisków nieprzyjacielskich osądzono spokojnie zdrajców ojczyzny, wymierzono sprawiedliwość na burzycieli z dnia 28 Czerwca. Prusacy, liczący na łatwą kapitulacyę ze strachu, zawiedli się zupełnie. Zawiedli się również na Moskwie; ta bowiem z początku niby szła w pomoc sprzymierzeńcom, teraz zaś jawnie dawała poznać, że nie myśli pomagać Prusakom do zdobycia Warszawy.

Próżno król Fryderyk Wilhelm, dowodzący wojskiem, kazał strzelać na wiatraki, chcąc ogłodzić miasto, próżno sypał szańce,

sprowadzał działa coraz cięższego kalibru, daremnie po kilkakroć kusił się, szturmując na wszystkich punktach, wtargnąć do miasta — nie mógł opanować Warszawy. Brat Stanisława Augusta, książę prymas w tajemnym liście podawał wprawdzie Prusakom rady i wskazówki, jak najłatwiej zdobyć miasto, ale na szczęście list przejęto, a prymas obawiając się śmierci na szubienicy, sam się otruł. Tak skończył on brat królewski, prymas polski, zakała polskiego episkopatu. Niestety sam król miał mu posłać truciznę, aby jemu i sobie oszczędzić niby hańby z powodu kary, jaka tego zniewieściałego biskupa i złego Polaka czekała. Z tego powodu śpiewano po ulicach:

Książę prymas zwąchał linę,
Wolał proszek niż drabinę.

Tymczasem w pruskim zaborze wybuchło powstanie, które przygotował Mniewski, kasztelan kujawski. Na wiadomość o tem król pruski zmuszony był część wojska z pod Warszawy oderwać i posłać ją do Wielkopolski, wkrótce i sam też (w nocy z 5 na 6 Września) z resztą sił swoich odstąpił całkiem od stolicy.

Odwrót Prusaków z pod Warszawy i wiadomość o powstaniu Wielkopolski dodały ducha wszystkim. Wobec tego mniej smutnemi już wydały się opanowanie przez Moskali Wilna i klęski, jakie na Litwie poniosło wojsko polskie.

Jeden Kościuszko tylko trapił się mocno niepowodzeniem w tamtej stronie, tembardziej skoro mu doniesiono o świeżej klęsce pod Brześciem. To nowe niepowodzenie skłoniło naczelnika bądźcobądź stoczyć walną bitwę z nieprzyjacielem. W tym celu wyruszył z Warszawy, spiesząc naprzeciw Fersenowi, nimby ten zdołał się połączyć z Suworowem, któremu całe Podlasie stało teraz otworem. 9 Października stanął Kościuszko pod Maciejowicami, gdzie wkrótce nadciągnął i Fersen. Przyszło do bitwy. Rossyanie cztery razy silniejsi ludźmi i działami, mimo że Polacy niezłomnym murem nadstawiali pierś nieprzyjacielowi, posuwali się wciąż naprzód. Przez kilka godzin trwał bój morderczy. Wojsko moskiewskie następowało i otaczało dokoła nieliczne już zastępy polskie. Kozactwo cisnęło się zewsząd i poczęło nacierać na samego Kościuszkę. Koń pada pod wodzem. Do leżącego przypadają dwaj Kozacy i poczynają go mordować! Nadbiegły dopiero oficer Elizawetgrodzkiego pułku Smorodski, poznawszy Kościuszkę, ratuje go od śmierci. Bitwa Maciejowicka kończy się ogólną klęską wojsk polskich. Wraz z Kościuszką dostają się do niewoli Niemcewicz, Kopeć, Kniaziewicz, 2070 żołnierza,

wszystkie działa i dwie chorągwie. Straty w zabitych i ranionych ogromne.

W Warszawie na wiadomość o klęsce Maciejowickiej boleść i rozżalenie zapanowały. Trzeba jednak było myśleć o środkach obrony przeciw zwycięzkiemu nieprzyjacielowi, zdążającemu teraz spiesznie pod stolicę. Zaczęto więc na Pradze sypać okopy. Rada odezwała się do wojska, wzywając je do wytrwania i stałości. W kościołach otwartych odbywały się uroczyste błagalne nabożeństwa, brzmiały pieśni śpiewane piersią, łkającą od płaczu. Postanowiono „wszelkiemi siłami opierać się *usque ad finem*“. Naczelnikiem mianowano Tomasza Wawrzeckiego, gorącego patryotę, ale człowieka bez talentu i zdolności potrzebnych w takim razie.

Dnia 2 Listopada Rossyanie pokazali się pod Pragą i zaraz prawie silny ogień zaczęli sypać na stolicę. Dowódzcą sił moskiewskich był Suworow. Pod jego komendą zostawali jenerałowie: Fersen, Tormasow, Rachmanow, Denisów, Derfelden i Patiomkin. Oddziały moskiewskie, rozłożone umiejętnie, w d. 4 Listopada o świcie przypuściły atak. Napadnięci niespodzianie strzelcy polscy zaczęli cofać się w nieładzie. Rossyanie opanowali wały, a następnie i samo przedmieście Warszawy. W parę godzin baterye rossyjskie z Pragi sypały ogień na Warszawę.

Zdobyta Praga stała się teraz pastwą rozhukanego żołdactwa moskiewskiego, sceną barbarzyńskich postępków, na samo wspomnienie których myśl się wdryga, krew w żyłach krzepnie. „Moskale — pisze Kitowicz — na Pradze ogniem i mieczem dokazywali, bez braku osób dzieci nawet małe kozacy na dzidy wzięte po ulicach nosili“. Nie uszanowano tu ani wieku ani stanu ani płci. Mordowano i hańbiono. W tej rzezi miało zginąć do 21 tysięcy ludzi, nie licząc tych, co ratując się potonęli w Wiśle. „Całe miasto Praga — pisze pruski urzędnik Nufer — stało w płomieniach i dymie, a dachy zawalały się z trzaskiem, któremu odpowiadało przeraźliwe wycie kozaków i klątwy rozjuszonego żołdactwa... kupami leżały krwią zbroczone łupy zwycięzców“.

Po zdobyciu Pragi nie było już żadnej nadziei dla samej Warszawy. Poczęto więc wchodzić w układy z Suworowem i 7 Listopada magistrat obwieścił kapitulacyę stolicy. Wojsku dozwolił Suworow wyciągnąć z miasta i zabrać z sobą ciężary. W parę dni potem (9 Listopada) o godzinie jedenastej rano kilkanaście tysięcy Rossyan weszło do Warszawy. „U mostu czekała deputacya z chlebem i solą. Magistrat oddawał Suworowi klucze“.

Z poddaniem się stolicy, rzec można, zakończyło się i powstanie r. 1794. Wprawdzie Dąbrowski w Wielkopolsce a Wawrzecki koło Tarczyna przez czas jakiś wzmagali się jeszcze na ostatnie wysiłki, usiłowania ich jednakże musiały spełznąć na niczem. Moskwa, Prusacy, Austryacy, opasywali niedobitków. Żołnierz upadł na duchu, demoralizacya wkradła się w szeregi. Dezercya wzmagała się prawie co chwila, tem bardziej gdy Suworow za pośrednictwem Stanisława Augusta obiecał amnestyę wszystkim wojskowym. Rozpuszczano więc brygady jednę po drugiej. Ostatnie rozpuszczono — Dąbrowskiego i Madalińskiego.

Trzy mocarstwa teraz na grobie Rzpltej, zaczęły się dzielić jej posiadłościami. Rossya zabierała Kurlandyę, całą Litwę aż po Niemen i granice województw Brzeskiego i Nowogrodzkiego, a ztąd do Bugu, oprócz tego część Żmujdzi, z Małopolski Chełmskie i resztę Wołynia. Austryi dostała się większa część województwa Krakowskiego, województwa Sandomierskie i Lubelskie, część Chełmskiego, Brzeskiego, Podlasia i Mazowsza po lewej stronie Bugu. Prusy wzięły resztę.

Tak więc wypełniły się prorocze niejako słowa Skargi złotoustego: „Bym był Jeremiaszem, wziąłbym pęta na nogi i okowy i łańcuch na szyję i wołałbym na was grzeszne jako on wołał: Tak spętają Pany i pożeną jako barany w cudze strony... i wziąwszy garniec gliniany, a zwoławszy was wszystkich, uderzyłbym go mocno o ścianę w oczach waszych mówiąc: Tak was pogruchocę, mówi Pan Bóg, jako ten garniec, którego skorupki spoić się i naprawić nie mogą...“

Już po dokonaniu ostatecznego zaboru Katarzyna wyznacza Stanisławowi Augustowi Grodno za miejsce pobytu. Straż nad królem powierza Repninowi, teraz gubernatorowi Litwy. Zamek, w którym podpisano drugi podział, miał służyć królowi za więzienie, „karmiąc go wspomnieniami upokorzenia własnego“.

Stanisław August z dworem, liczącym do półtorasta osób, przybył do Grodna w połowie Stycznia 1795 r. Otoczono króla ściśle strażą moskiewską. Był on teraz jeńcem rossyjskim w całem znaczeniu tego słowa, choć oddawano mu honory wojskowe i okazywano należne uszanowanie. Wyznaczono przeszło 6 tysięcy dukatów na utrzymanie miesięczne króla, a około 5,000 na osobiste jego wydatki.

Do uwięzionego króla cisnęli się ciągle jedni z prośbami o pośrednictwa, drudzy z żalami. „Wielu przybywało, pisze Kitowicz, aby sobie wyjednać order Św. Stanisława lub Orła, a tym dawano patenta z dawniejszą datą“. Tradycya mówi o takich patentach z okienkami, które u kamerdynera królewskiego Ryxa po pięć dukatów na ostatku kupowano.

Imperatorowa żądała od króla aby abdykował. Stanisław przez jakiś czas wahał się i opierał, wreszcie w dniu 25 Listopada uczynił to, usprawiedliwiając we własnych oczach tę uległość względami na dobro ojczyzny. „Abdykacya nie czem innem była, jak podpisaniem i potwierdzeniem trzeciego rozbioru Polski“.

Tak upłynął rok więzienia Stan. Augusta. Życie króla ciągnęło się w cichości, zwykłym trybem, urozmaicały je tylko „przejażdżki, zabawy, plotki i listy“. W 16 Listopada 1796 r. nadeszła tu wiadomość o śmierci Katarzyny. W króla wstąpiła otucha, jakaś nadzieja zmiany na lepsze. Jakoż w samej rzeczy pensyę jego podniesiono z sześciu do jedenastu tysięcy miesięcznie i polecono mu przybyć do Petersburga. Król ściągał wyjazd swój, wolałby się spotkać z Cesarzem nie w stolicy jego, ale po koronacyi w Wilnie albo Rydze. Zwlekanie nie pomogło. Podróż z góry żądana musiała przyjść do skutku.

Stanisław August w 17 Lutego znajduje się już w Petersburgu, jest obecnym na koronacyi cesarza Pawła w Moskwie, ciągnie jeszcze znękany swój żywot przez rok cały, wreszcie w Lutym 1798 r., przeziębiwszy się w czasie obchodu święta Trzech Króli, czyli Jordanu — umiera. Zmarłego z wielką pompą pochowano w kościele katolickim św. Katarzyny w Petersburgu.

Z NOTATEK
ośmdziesięcio-letniego starca
LITWINA-UNITY.

(Ciąg dalszy).

V.

Siemaszko dowiedziawszy się o treści prośby czyli skargi, jaką księża białorusey do metropolity podali, dowiedziawszy się nadto, że metropolita chce jechać do dyecezyi białoruskiej, zapobiegł więc temu

wcześnie, udał się osobiście do cara Mikołaja, opowiedział mu cały interes księży białoruskich i prosił, aby z tego powodu metropolicie z Petersburga nie pozwolił nigdzie wyjechać, ale raczej, aby jemu samemu polecił tam udać się, żeby to wszystko zaspokoił, na co też Mikołaj zezwolił. Gdy więc metropolita Mikołaja prosił, aby mu pozwolił wyjechać w gubernią witebską i połocką, gdyż ma potrzebę zwiedzić dyecezyę, bo tameczni księża podali do niego skargę na nadużycia, car delikatnym sposobem odmówił mu pozwolenia i powiedział niech ksiądz Siemaszko jako młodszy jedzie, on tam we wszystko dobrze wejrzy, i księży zaspokoi.

Wiedząc o tem dobrze car Mikołaj, że nie wszyscy księża uniccy chętni są zjednoczyć się z cerkwią rossyjską, dał Siemaszcze w pomoc jeszcze senatora Skrypityna. Gdy przyjechali do Witebska, ulokowali się w mieszkaniu biskupiem i rozpoczęli w trójkę komisyę, rozpytawszy się o tych księżach, którzy bardziej opierają się i nie chcą przyjąć obrzędów i mszałów rossyjskich. Dali więc pisemny nakaz do obwinionych i do tych, którzy należeli do podanej metropolicie prośby (a było ich kilkudziesięciu z ośmiu dekanatów, za co ich Siemaszko nazwał buntownikami), aby natychmiast stawili się do konsystorza. Którzy bliżej mieszkali, prędzej przybyli, i tych Siemaszko na explikacyę po jednemu wołał do swego tryumwiratu. Po zapytaniu, jak się Waspan nazywasz? to to Waspan jesteś buntownik i nieposłuszny swojej władzy, łżył go słowami brutalskiemi za nieuległość zwierzchności. Biskup i senator Skrypityn powtarzali to, napominali go, przedstawiali mu karę za nieposłuszeństwo władzy. Skoro zauważyli, że ksiądz się nastraszył, łagodniej już do niego przemawiali, obiecując mu swoją łaskę i obdarzenie honorami. A gdy go już pochlebnym sposobem ugłaskali, kazali mu na piśmie własnoręcznie usprawiedliwić się w tym sensie: „Ja niżej podpisany nie należałem do żadnego spisku przeciw władzy, zawsze byłem i będę posłuszny mojej zwierzchności i moim biskupom, z własnej ochoty i przekonania o prawdziwości cerkwi rossyjskiej przyjmuję jej obrzędy, w niczem nie będę jej się sprzeciwiać, co tylko rozkażą mi, najwierniej to zachować na zawsze obowiązuję się, na co własnoręcznie daję podpis.“ Taki cyrograf dawali przestraszeni na przyjęcie schyzmy. Wypuszczano ich zatem z kancelaryi tylnemi drzwiami, kazano powracać spokojnie do domu, nikomu nie mówić, o czem była mowa, i o czem dali na piśmie słowo, w sekrecie zachować.

Podobnym sposobem z innymi kapłanami postępowali, a skoro spostrzegli w rozmowie, że który nie skłaniał się do ich żądania i sprzeciwił się, tedy nazywali go buntownikiem i nieposłusznym zwierzchności, choć owszem oświadczał, że był i będzie posłusznym i rozkazy biskupów we wszystkiem wypełniać będzie, co się nie przeciwi jego religii i sumieniu, tych zaś nowych cerkiewnych ceremonij uczyć się i z mszału grecko-rossyjskiego mszy św. prawić nie może. Po najsroższem więc według rossyjskiego zwyczaju napomnieniu i przedstawieniu, co go za ten upór czeka, wypędzano go tylnemi drzwiami, i wtrącano w przygotowane ciemne miejsca, na kilka dni na chleb i wodę; niektórych zaś, co się bardziej sprzeciwiali i o dogmatach dysputowali, kazał Siemaszko w dodatku w lochach rózgami ćwiczyć.

Inni księża czekali powrotu tych, którzy na zawołanie Siemaszki już poszli byli, aby od nich mogli dowiedzieć się, o czem tam rzecz była, i od nich poinformować się, jak w potrzebie mają się tłómaczyć. Ale czekali daremnie dzień cały, i dopiero na drugi dzień nie mogąc się doczekać, dowiedzieli się w domostwie ich i stanowisku, że niektórzy księża już pojechali do swoich domów, a niektórych konie i furmani są, ale o panach ich nic nie wiadomo, gdzieby byli. Zaczęli więc domyślać się o nich, gdzie są, a w części dowiedzieli się po sekrecie, że Siemaszko wtrącił ich do karceresu na niewiadomy czas.

Porozumieli się tedy ze sobą, i nie czekając na zawołanie z obawy, ażeby i z nimi podobnież nie postąpiono, czemprędzej do domów odjechali.

Z innych dekanatów którzy na trzeci dzień przybyli, nie wiedząc o tym traktamencie, stawili się przed Siemaszką, i doświadczyli podobnego losu. Z odleglejszych zaś okolic księża, którzy daleko od konsystorza mieszkali, w kilka dni dopiero przyjechali, a dowiedziawszy się zaraz, na co są zawołani, i jak z tamtymi postąpiono, nie stawili się, lecz powrócili także do domów. Gdy z konsystorza doniesiono Siemaszce o tem, nakazał powtórnie pod najsroższą odpowiedzialnością, aby natychmiast księża, którzy się jeszcze nie explikowali, stawili się do konsystorza. Na ten powtórny nakaz jednak odpowiedzieli księża przez swoich dziekanów rozmaitemi sposobami, że nie mogą stawić się.

Tryumwirat z miejscowymi urzędnikami uradził zatem, aby wysłać gońca za kozakami, żeby pewny oddział czem prędzej do Witebska przyszedł na uśmierzenie buntu przez księży, który się,

w tych okolicach przeciw zwierzchności okazał. Gdy przybyli kozacy, dano im rozkaz pisemny, aby po jednemu lub dwóch jechali na miejsce każdego księdza nieposłusznego zwierzchności, i aby ich jako buntowników pędzili przed sobą do konsystorza, a jeśliby który z tych księży nie chciał jechać lub sprzeciwiał się, aby go do konia swego przywiązali, i z koniem razem pędzili. Kozacy więc gdy przyjechali do przeznaczonych sobie księży, postępowali tam tak, jak im się podobało. Po zapytaniu najprzód: „Czy ty świaszczennik tutejszy? ja prisłan od episkopow waszich po tebia otcze“, moralizowali księdza stylem kozacko-rossyjskim, a potem i pletnią po plecach: „dla czewo nie słuchajesz swojewo naczalstwa“, wypędzali go z domu i przed sobą do konsystorza prowadzili według danej instrukcyi. Księża w takim razie, mając gości tak nieprzyjemnych, starali się ich czemkolwiek utraktować i ułagodzić; lecz gdy kozacy podpili sobie, tem bardziej warjowali, bili, rozpędzali domowych i rabowali. Po wsiach i miasteczkach przez tych brutalskich kozaków rozruch się zrobił, gdyż nie wiedziano, co się to dzieje.

W tymże czasie w pewnem miejscu, kozak gdy przyjechał do plebanii, nie zastał miejscowego księdza w domu, tylko żonę, zapytał „gdie świaszczennik“, a ona odpowiedziała, że pojechał na parafię do chorego i zaraz przyjedzie. Natychmiast też posłała po księdza, a kozaka huczącego zaczęła poić i karmić uprzejmie, aby się uśmierzył w niepohamowanej passyi. Lecz kozak tem bardziej hałasował i z nahajką uwijał się po stancyi: „dawaj świaszczennika, ty pochowała jeho“. Na ostatek podpił już dobrze i zaczyna księdza żonę pletnią bić: „dawaj świaszczennika“. Ta ucieka ze stancyi do ogrodu, widzi za sobą pędzącego kozaka, ucieka dalej tuż do bliskiego dworu, i wprost wbiega do pokoju obywatelskiego, gdzie natenczas znajdowało się grono gości. Kozak rozjuszony, trzymając pletnię w ręku, wbiega w ślad za księdzową. Przestraszona woła: „ratujcie!“ i dalej ucieka do drugiego pokoju, kozak bieży za nią, ale miejscowy obywatel i gospodarz domu, z tego raptownego krzyku „ratujcie“ i nagłego pędzenia kozaka za księdza żoną, którą znał, przestraszony, nie wiedząc co się to dzieje, zatrzymał uchwyciwszy w pół kozaka, i zapytał czego chce. Zapamiętały kozak i zgrzytający wściekłą passyą, że go obywatel wstrzymał w ataku, pociągnął go pletnią przez plecy. W tym impecie obywatel porywa ze ściany nabity pistolet, wypalił w łeb kozakowi i zabił go na śmierć. Zebrani goście, którzy przybyli na imieniny do obywatela, między nimi także urzędnicy z Witebska, jako przytomni tego nieszczęśliwego rapto-

wnego zdarzenia, natychmiast po krótkiej radzie, opisali całą rzecz i do powiatu przesłali, prosząc o najprędsze śledztwo. Załagodził wprawdzie obywatel zabicie kozaka, ale wiele go to pieniężnie kosztowało. Wracam do rzeczy:

Wszystkich księży przystawionych strzegli kozacy, i na zawołanie po jednemu do tryumwiratu przyprowadzali. Po danem więc srogiem napomnieniu i przedstawieniu kary, jaka ich czeka za bunt i nieposłuszeństwo swojej zwierzchności, jeśli ksiądz uląkł się i dał się nakłonić do ich żądania, mówili do niego już łagodnym sposobem, i powagą swoją upewniali go, że darowano mu to przestępstwo, kazali mu wszakże uniewinnić się z tego buntu, i dać na piśmie według podanej formułki podpiskę na przyjęcie dysunii; pozwolili mu też powracać do domu i parafii, ale już z obowiązkiem, aby parafian swoich nakłaniał do religii rossyjskiej i obrzędów onej, i żeby zupełnie zachowywał wszystko według rytuału położonego we mszale rossyjskim. Przeciwnie zaś, jeśli który z księży nie chciał ani swego, ani swoich parafian sumienia zdradzać, i na te warunki łowiące do dyzunii nie chciał podpisać się, a poruczając się Opatrzności Boskiej, otwarcie i śmiało przed Siemaszką powiadał, że nie chce być wiarołomcą sam, i drugich do wiarołomstwa przyprowadzać, i z tego powodu wiary swojej nie odmieni i dysunii nie przyjmie, tego natychmiast rozkazał Siemaszko wziąść do ciemnego aresztu, i dać mu czas do namysłu przy najściślejszej dyecie. Tym sposobem nie tylko w białoruskiej ale i w litewskiej dyecezyi ze wszystkimi księżmi unitami postępował.

W kilka dni znowu byli ci księża po jednemu z ciemnicy wyprowadzani, i przez Siemaszkę zapytywani, czyli namyślili się i chcą spełniać wolę cara Mikołaja i biskupów dyecezalnych rozkazy? Śmiało w tym względzie odpowiadali, i nie dali się niektórzy z nich omamić, ani podchlebnemi namowami, ani łechcącemi doczesnemi błyskotkami, ani nakoniec nie dali się nastraszyć więzieniem o chłodzie i głodzie, ale wzywając ku wytrwaniu pomocy Bożej, i ciesząc się, że za religią cierpią, postanowili stale i dalej cierpieć za przykładem Świętych Pańskich, przekonani, że lepiej cierpieć doczesnie, aniżeli zostać wiarołomcami, i być doczesnie i wiecznie karanymi od Boga i od własnego sumienia dręczonymi.

Po skończonej tej komisyi, gdy Siemaszko po wielu napróżno używanych środkach zobaczył, że wielu księży na schyzmę nie można nawrócić, kilkudziesięciu z nich z białoruskiej dyecezyi zasuspendował, odsądził od parafii i od administrowania śś. sakramentów, porozsyłał ich w rozmaite odległe gubernie rossyjskie do klasztorów lub popów, a niektórych przy ex-unickich księżach i cerkwiach przeznaczył za diaków. Księży tych transportowano od wsi do wsi pod strażą aż na miejsce przeznaczone: a żony i dzieci ich natychmiast z ruchomościami powyrzucano z probostwa, bez względu na to, że nie miały sposobu z czego się żywić i utrzymać.

Ja, opisujący ten gwałt także w tę porę, byłem jako ksiądz suspendowany za nieprzyjęcie dysunii i byłem przesyłany przez litewski konsystorz z jednego klasztoru do drugiego. W roku 1840 z Litwy na Wołyń przejeżdżając przez Polesie przypadkowo na noclegu widziałem się z księdzem z Białorusi, nazwiskiem Hołyniec magistrem filozofii. Ten za nieprzyjęcie dysunii był suspendowany, nie wolno mu było sprawować św. Sakramentów, odsądzony został od parafii i dekretowany przez Siemaszkę w diaczki. Opowiadał mi ten stały religiant o niegodziwem postępowaniu Siemaszki, i jakie było nawrócenie na schyzmę w dyecezyi białoruskiej z księżmi unitami.

(C. d. n.)

KSIĄDZ NA PARAFII

pod rossyjskim rządem.

(Z ZAPISKÓW KS. A. JOMICKIEGO).

(Ciąg dalszy).

III.

(Podróż — Łuck i Dubno — Krzemieniec i ks. Szczepanowski — Brailów — Kamieniec — Gubernator Feller — Ks. Budzyński — Ks. Dymkowicz — Pałac biskupi — Katedra — Traktat z Turkami).

Smutno mi było przenieść się z krakowskiej ziemi na same niemal kresy dawnej rzeczypospolitej Polskiej. Pomodliwszy się jednak przed cudownym obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, puściłem się w drogę. Po drodze wstępowałem do kościołów w czasie popasów koni, by mszę św. odprawić. Ale im bliżej przybliżałem się do rzeki Bugu, tem więcej napotykałem księży, którzy nibyto z przyjacielskiej usługi, rozpowiadali tysiączne prześladowania rządu i popów za Bugiem i litowali się nademną, że dobrowolnie szukam, jak oni powiadali guza. Dziękowałem im niby za życzliwość, ale w duszy cieszyłem się nawet nadzieją guza, aby go tylko dla Chrystusa ponieść. Przed samym już Uściługiem sześć koni pocztowych w poczwórnej karecie dogoniły mnie,

Jechała to p. Róża Sobańska, co w kilka dni po mnie opuściła Warszawę. Parę tylko chwil byliśmy razem, a ponieważ nie było potrzeby zatrzymywania się, bo jechaliśmy szczęśliwie bez wypadku, więc wkrótce pożegnaliśmy się i każde w swoją pojechało drogę. Ona przez stary Konstantynów, a ja przez Dubno, Krzemieniec, do Kamieńca, boć wypadało mi pierwej przedstawić się mej nowej władzy duchownej. W Łucku zmuszony byłem popasać. By nie siedzieć w zajeździe, poszedłem obejrzeć miasto, ale gdym zobaczył tyle pięknych niegdyś katolickich kościołów, jedne w ruinach, drugie zamienione na magazyny siana i słomy dla wojska, inne znowu na cerkwie prawosławne, jakiś głęboki opanował mię smutek. Takiego samego wrażenia doznałem w Dubnie. Niestety czekały mnie daleko smutniejsze jeszcze widoki, przybyłem do Krzemieńca. Miły Boże, coż tam za ruina okropna! Miasto było prawie czysto katolickie, prawosławnych dusz mało; a przecież wszystkie kościoły literalnie zabrano na cerkwie tak dalece, że nabożeństwo dla katolików odprawiało się w domu proboszcza ks. Szczepańskiego. Kapłan ten, nad wyraz zacna dusza, sam w dziadowskim pomieścił się domku, a dom swój mieszkalny, powyrzucawszy możebne wewnętrzne ściany, na kościół przeznaczył. Takie to smutne napotykało się ślady, okropnej prześladowania cara Mikołaja ręki. Dopiero wtedy, kiedy car Aleksander zaczął się bawić w liberała, szanowny proboszcz korzystał z tej chwili i za użebrane pieniądze wybudował wcale piękny średniej wielkości kościołek, który właśnie wtenczas był na dokończeniu. Obrócone na cerkwie kościoły stały pustkami, nie było bowiem ludności prawosławnej. Byłem w kilku takich cerkwiach przez pomyłkę, sądząc, że to są kościoły katolickie, zastałem je nawet w niczem niezmienione, tylko stojący pulpit na boku nakryty brudnem płótnem, krzyż schyzmatycki i dziad przy drzwiach wchodowych oznajmiali mi, że to już nie katolicki kościół. Ale gdym przybył do owego sławnego kolegium Jezuickiego, gdym zobaczył ten przepiękny gmach, gdzie tylu znakomitych mężów kształciło rozum i serce na usługi Kościoła i kraju, zapłakałem jak dzieciak. Zdawało mi się, że widzę owe wielkie postacie Czartoryskiego, Czackiego, Michała Sobańskiego i tylu innych mężów co przewodniczyli tej szkole, jak oni dzisiaj rzucają groźne z grobu spojrzenia na nowych kilkudziesięciu przybyszów, co świętokradzko depczą ten świętej nauki przybytek. Po pięknych salach i korytarzach wspaniałego gmachu przechodziło tu i ówdzie kilkunastu brudnych i obdartych chłopaków, wieku lat 16 i więcej mających, byli to uczniowie znajdującej się tutaj szkoły diaków, a powiadano mi, że ich było zaledwie trzydziestu. Cały zresztą

gmach stał próżny, może dlatego, by wcześniej obrócił się w ruinę i dał nową sposobność godziwych dla policyi zysków, za miedziane dachy, piękne marmury i ciosowe kamienie, które składały całą tę piękną budowę. Odwróciłem oczy od wstrętnego widoku, zmówiłem pacierz za dusze zmarłych, którzy w tych murach przeżyli, ale nie mogłem w sercu przytłumić uczucia, które gwałtem mnie opanowywało i musiałem wyjęknąć: o, biedna Polsko, jakżeś była wielką i piękną zanim cię barbarzyniec najechał, kiedy gruzami swemi dziś jeszcze nakazujesz cześć i poszanowanie nawet temu, co je pierwszy raz w życiu ogląda! Po wyjściu z gmachu pełen smutku udałem się do miejscowego wikaryusza, a po zapoznaniu się z nim zapytałem go, dlaczego z takim mozołem budują nowy kościół, kiedy możeby się udało w drodze łaski od najliberalniejszego cara wyjednać, by oddali choć jeden zabrany kościół, kiedy ich tyle pustkami stoi. „Ot, widać, żeś nowicyusz i nie znasz moskiewskich dogmatów, odpowiedział mi, a toż to kiedy pierwszy lepszy pop ze sprawnikiem do kościoła wpadnie i świeczkę swoją zapaloną postawi, cara wyliczy, brodą potrzęsie i kropidłem pokropi, to już nabiera takiej ważności, że w żaden sposób powrócony być na kościół katolicki nie może, łatwiej pozwolą dziś nowy zbudować, może dlatego, aby go później zabrać, ale zabranego pewno już, ani w drodze prawa, ani w drodze łaski nie oddadzą". Przekonałem się później o prawdziwości tych słów, a nawet patrzyłem na gorsze jeszcze rzeczy. W Braiłowie np. na Podolu był śliczny katolicki kościół, a w nim Ukrzyżowany Pan Jezus łaskami i cudami daleko słynący. Moskale upatrzyli sposobną chwilę, właśnie kiedy ludzie i kapłani po skończonem nabożeństwie z kościoła wyszli, a został tylko zakrystyan, aby gasić świece, wpadło tedy dwóch popów z policyą i po swojemu kościół poświęcili i na cerkiew w mgnieniu oka zabrali; a kiedy po wielu staraniach gubernator powiedział, że już kościół powróconym być nie może, proszono, aby wolno im było postawić nowy. Zgodził się gubernator na to z warunkiem, aby katolicy pierwej jeszcze wybudowali cerkiew, utrzymując, że i zabrany kościół jest dla nich za mało, chociaż tam prawosławnych nie wiele było. Biedny więc proboszcz Braiłowski, chcąc co rychlej mieć kościół, wystawił im żądaną cerkiew i materyał do budowy kościoła zgromadził. Ale, że nic nie dał sprawnikowi, bo był pewny, że wystawieniem cerkwi dopełnił rozkazu i nabył prawa do budowli kościoła sprawę tę tak zamącili, tyle nastawiali trudności, w końcu wyraźnie zabronienie budowli przysłali. Parafia więc straciła kościół, okok którego stanęła kosztem proboszcza cerkiew, a nabożeństwo katolickie odbywa się do dzisiaj w maleńkiej kaplicy

cmentarnej, w której umieszczono cudowną figurę Zbawiciela, do której tysiące z różnych okolic zbiera się pobożnego ludu. Takich wypadków wiele można naliczyć w zabranych prowincyach, ale wyliczać je, byłoby to toż samo co przelewać bez przestanku wodę, z jednego naczynia w drugie. Wieczorem opuściłem piękny niegdyś jak raj, a dziś zburzony jak Troja Krzemieniec.

Piękna noc księżycowa, powietrze odświeżone wieczorną rosą, zapach rozlicznych ziół polnych, mimowoli skłaniały umysł do marzeń; ale o czem tu dumać, po tak smutnych wrażeniach, jeżeli nie o tej biednej ziemi naszej, która pamięta i tyle pięknych dni swoich i tyle bolesnego przejścia... a im więcej zbliżałem się do granic Podola, tym więcej przychodziły mi na myśl rozliczne najazdy: Turków, Tatarów, Wołochów, Szwedów i hajdamaków kozackich, którzy chociaż tyle krwi naszej przelali i kraj zrabowali, to po nich i śladu niemal dziś niepozostało, sam Moskal pozostał, co jak wąż oplótł się na ciele Polski i jak hyena ostatnią kroplę krwi wysysa z niej dzisiaj. O! biedny narodzie, ciebie tylko Bóg jeden oswobodzić może i oswobodzi jeżeli Mu wiernym zostaniesz. I znów zabrałem się do pokornej modlitwy, o pomnożenie wiary, o wytrwanie w męczeństwie i o wieczny pokój duszom tych, co w obronie kraju zginęli. W tych i podobnych dumaniach, pomiędzy łanami jak morze prześlicznej pszenicy trzeciego dnia już pod wieczór stanąłem w Kamieńcu. Zadługo może jechałem ten niewielki przedział, ale deszcz padał ulewny przez kilka godzin, a na tłustych gruntach droga bardzo obciążała więc i jechać musiałem powoli.

W Kamieńcu, po śmierci ks. biskupa Górskiego, rządził dyecezyą administrator ks. Paweł Budzyński, nad wyraz zacny i poważny kapłan, szanowany i kochany od wszystkich. Przyjął mnie był łaskawie i wszystko co było potrzeba ułatwił, ale tylko prywatnie, bo potrzeba było pierwej uzyskać pozwolenie rządu do wolnego zamieszkania w Gubernii. Gubernatorem w Kamieńcu, był na ówczas Feller, niemiec. Wiele on felerów w swoich rządach popełnił, ale ze mną zakończył jakoś gładko. Trzeba było mu się przedstawić, aby uzyskać owo pozwolenie. Na tej urzędowej wizycie zastałem go jakoś bardzo pomięszanym, widocznie nie wiedział, co ze mną robić, mówił po moskiewsku, akcentem niemieckim, alem go nie rozumiał dobrze, więc zadzwonił na sekretarza, który nibyto był tłumaczem, oddałem mu mój paszport i zgodził się na to, bym zamieszkał w gubernii, a jednakże kazał mi równocześnie zrobić podanie do ministra, na które w sześć dopiero miesięcy odebrałem przychylną odpowiedź. Wtenczas dopiero urzędownie objąłem parafię.

W Kamieńcu musiałem dłużej wypocząć, przejechałem bowiem bez przerwy zgórą wiorst tysiąc. Przez ten czas starałem się poznać kościoły i duchowieństwo; wszystko mi się podobało bardzo, wyjąwszy księdza Dymkowicza, do którego od pierwszego spotkania uczułem jakiś nieznany mi wstręt; może dlatego, że mi się przedstawił z krzyżem od Moskali otrzymanym, z którego się był szczycił. Dziwne to było przeczucie, ten nieszczęśliwy kapłan na złą drogę wstąpił, dziś służy Moskalom na szkodę Kościoła i wiernych. Wielu w tę porę kapłanów wyjechało na ferye, więc wielu zacnych poźniej dopiero poznałem. Ale jeżeli wszyscy, których poznałem wtedy podobali mi się bardzo, to przecież najwięcej przylgnąłem do Ojca Hilariona przeora Karmelitów i ks. administratora Budzyńskiego, który także mieszkał w klasztorze u Karmelitów. Pałac bowiem biskupów zabrano na żądanie archireja schyzmatyckiego, który dopiero w roku 1839 pierwszy raz tu przybył ze swoją carosławną świtą. Do tego roku żadnego w Kamieńcu prawosławnego nie było. Lud piękny i czysto mówił po polsku tak, że nawet w akcencie nie znajdowałem różnicy. Ale najwięcej uchwyciły mię za serce kościoły zawsze przepełnione pobożnym ludem szczerze modlącym sie do Boga.

Miasto Kamieniec położone w kotlinie pomiędzy górami nad rzeką Smotrycz, było niegdyś dość znaczną fortecą, opatrzoną pięknemi i silnemi bramami, które wybudować kazał jeszcze król Stefan Batory, więc je też bramami Batorego zwano. Cały pokład miasta i okoliczne góry, obfitują w prześliczny marmur w tak wielkiej ilości, że rzec by należało, iż z marmuru i na marmurze całe miasto zbudowanem zostało; a ponieważ położone jest w kotlinie i rozszerzać się nie mogło, więc z potrzeby budowano się za rzeką Smotryczem na pięknych już równinach, gdzie uformowało się miasto o wiele większe od właściwego Kamieńca, Folwarkami zwane, z których jedne polskiemi, a drugie ruskiemi nazwano. Kościołów jest tu kilkanaście starych i prześlicznej budowy, ale pomiędzy innemi szczególniej zwraca uwagę oryginalnością swoją katedra. Na jednym z jej szczytów wznosi się wysoki minaret, który jakby wieża jaka wystrzeliła w niebiosa i sterczy po nad wszystkiemi okolicznych nawet kościołów wieżami. A historya tego minaretu taka. Jeszcze za nieszczęśliwego panowania króla Michała Korybuta, Turcy zabrali tę przepiękną część Polskiej ziemi i zdobyli Kamieniec i jak dzisiaj Moskale zabierają kościoły na cerkwie, tak i oni wówczas zabrali katedrę przemieniając na meczet; ta tylko pomiędzy niemi różnica, że Moskale zabierą i zniszczą, a Turcy przy katedrze wielki przybudowali minaret, na którym zatknięto księżyc

dwurożny. Więc kiedy po latach wielu zmuszeni byli opuścić Kamieniec, zastrzegli sobie traktatem, aby zmurowany przez nich minaret z księżycem przy katedrze pozostał. Polacy dotrzymali w zupełności warunku owego traktatu, minaret z księżycem pozostał; ale na księżycu postawili prześliczną Boga Rodzicy statuę, która w koronie z dwunastu gwiazd, mając pod nogami księżyc, unosi się po nad miastem i po nad wszystkie okoliczne góry. Nie potrzeba tu być ani egzaltowanym, ani poetą, aby podniosłszy oczy w górę nie uczuć w sobie głosu, który się mimowoli wyrywa: Królowo nieba! Królowo ziemi! Królowo korony Polskiej! ratuj nas. Mimo woli rozniecа się w duszy jakaś gorąca wiara, że jak nie masz dziś Turka, tak i Moskala nie będzie, jeżeli tylko Bogu pozostaniemy wierni.

Ależ wypadałoby mi się rozszerzyć, aż do kilku tomów, gdybym chciał każdy opisywać przedmiot, który napotkałem po drodze; tak wszystko piękne i wspaniałe, jakby wczoraj z ręki Bożej wyszło, a wszystko tak złączone z życiem narodu Polskiego, że choćbyś historyi nigdy nie czytał, to po kamieniach i kurhanach każdy z mieszkańców ci wskaże, gdzie, kiedy i z kim jaka była bitwa. Tam niedaleko za Dniestrem widać pola Cecory, jeszcze krwią Żółkiewskiego zlane. Tu znowu dotykasz się miasteczka Baru i patrzysz ciekawie czy nie ujrzysz biskupa Krasińskiego w gronie senatorów, lub księdza Marka co z krzyżem w ręku, idzie na czele konfederatów na odżegnanie wroga Kościoła i najezdzcę narodu. Tu znowu pod Mohilowem nad Dniestrem napotkasz wieś Serby, a w niej każde pokaże ci dziecko, na których miejscach zawieszone były cztery części ciała rozćwiartowanego hajdamaka Gonty. Tam znowu w powiecie Jampolskim, pokażą ci miejsce, gdzie ostatni nasz rycerz pan Mohort zasłaniał i bronił Polskiej ziemi na kresach. I tyle tutaj pamiątek rozrzuconych wszędzie, że choćby Moskal tysiąc razy powiedział i napisał i wydrukował, że to było jego, to każdy kamień, każdy kurhan, kłamstwo mu w żywe oczy wykaże. I nie dziw, że ta szeroka ziemia jest tak piękną i urodzajną i żyzną, bo tak głęboko przesiąkła krwią naszą. Jest tam, jak mówię i czem się poszczycić i nad czem zapłakać; bo obok tylu pięknych śladów, które krwią swoją i mieczem znaczyli Zamojscy, Lubomirscy, Sieniawscy, Żółkiewscy, Chodkiewicze, Tarnowscy i tylu hetmanów naszej polskiej korony, napotyka się i Targowicę w szerokiej Ukrainie, gdzie Katarzyna carowa drugi akt swej intrygi z pomocą Szczęsnego Potockiego tak po szatańsku zręcznie odegrała; i Motroński monaster, w którym pop Bazyli poświęcał noże dla Żeleźniaka

oraz Gonty i Humań jakby świeżo po ich rzezi jeszcze krwią rumiany [1]). A dalej jeszcze ku Chersońskim stepom, w powiatach Czechryńskim i Czerkawskim jeszcze napotkać można jamy po rozsypanych już w ziemi budowanych norach, w których Bohdan Chmielnicki, ze swą dziczą kozacką koczując, tyle krwi rozlał i tyle zniszczenia na ziemi naszej posiał. A wszakżeż i on nie działał swoim konceptem, ale podburzany, jak to każdemu wiadomo. Widziałem te nory i smutno zrobiło mi się na sercu. Dziś już niemasz Chmielnickiego i dzicz jego przepadła, nory nawet, w których się gnieździli, czas zaciera; wkrótce i śladu nie będzie. (C. d. n.)

SOBAŃSCY.

I.

(Wasylówka — P. Róża Sobańska — Hr. Łubieńscy — Dwór w Wasylówce — Państwo Ludwikowie Sobańscy w Permie na Syberyi).

Było to w początku Lipca 1858 r., gdy przybyłem do Wasylówki, majątku p. Sobańskich. Komuż w Polsce nie jest dobrze znanem imię Sobańskich? W Sybirskich kopalniach Nerczyńska, zarówno jak i w krakowskiej ziemi używa ono rozgłosu i czci powszechnej.

Marszałek pałacu p. Wiktor Papczenko wskazując mi pokoje, oświadczył, by w każdej potrzebie udawać się do niego. Podziękowałem mu za uprzejmość i zaraz prosiłem, by mnie prowadził do pani domu. „Z ochotą odrzekł poczciwy marszałek, ale pierwej odszukać jej muszę“ — i poszedł na zwiady, a ja tymczasem zająłem się uporządkowaniem po drodze. W godzinę dopiero powrócił Papczenko, a dowiedziawszy się, że byłem w kaplicy pałacowej podziękować Bogu za szczęśliwą drogę, nie wchodził już do mnie, ale pobiegł powiedzieć o tem pani, która nadchodziła z ogrodu i drzwi jej do kaplicy otworzył. Powitanie było szczere i serdeczne, zdawało mi się, że własną powitałem matkę, i że w swoim zostaję już domu. Wkrótce przedstawiła mnie ona swemu synowi p. Feliksowi właściwemu kolatorowi, rodzinie i niektórym gościom i w kilka godzin nie byłem już nikomu obcym. Poważna ta matrona w całej Polsce znana, bawiła w Warszawie rok cały, to też kiedy powróciła do domu, to wszyscy sąsiedzi i krewni, bliscy i dalecy zjechali się na jej powitanie. A zdarzyło się także, że i pan

[1]) Miasto Humań jest zbudowane na gruncie gliniastym koloru pomarańczowego, który obok ogólnego ukraińskiego czarnoziemu bardzo wyróżnia się.

Feliks Sobański jej syn, ożeniony z hr. Emilią z Łubieńskich pierwszy raz przywiózł żonę do majątku swego na Ukrainie, którą odprowadzili jej rodzice hr. Kazimierz i Marya z hr. Krasińskich Łubieńscy. Piękna więc Wasylówka przedstawiała się jakby jakie miasto. Co krok można było napotkać nowe towarzystwo w prześlicznych ubiorach i przy rozlicznych zajęciach. Przeszło sto osób zasiadało do stołu, a każdy gość przybywał ze swoim splendorem i dworem i nie doliczyłbym owej gromady sług i służebnic, bon i guwernantek, metrów i artystów, rezydentów i panien respektowych i Bóg już tylko wie, jakich tytułów i zajęć nie dostawało tu ludzi. A to wszystko mieściło się w obszernym Wasylowskim pałacu i każdy miał oddzielne pokoje, a każdy kto tu zawitał nie odjeżdżał zaraz, ale zamieszkał miesiące, kwartały i lata; skoro raz przyjęty przez panią domu został, już był jak u siebie i nie potrzebował tam o nic się troszczyć. Czytałem kiedyś opisy życia i zwyczajów księcia Radziwiłła panie kochanku i przepychu i wygód Nieświeżskiego zamku, a zdawało mi się wówczas, że w wielu miejscach była przesada w opisie może dla podniesienia splendoru, wielkiego i pełnego dobrych fantazyj litewskiego pana. Ale gdym się przypatrzył i poznał bliżej dom podolskiego magnata, znalazłem wiele rzeczy takich, których może w Nieświeżu niebyło. Tam nadskakiwano panu, bo hojnie za to płacił, tu starano się na wyścigi odgadnąć nawet myśl pani, bo obok dobrej opłaty, sercem jeszcze swojem przedziwnie każdego darzyć umiała. I nie jeden chudy pachołek, co ze strachem i drżeniem wstępował na pałacu progi, skoro tylko zobaczył się z panią, to i opatrzony i pocieszony i nie poniżony wychodził i błogosławił Boga za miłosierną rękę. Czasem się zdarzało, że jakiś frant ladaco przybrawszy nieszczęśliwego minę nadużył jej dobroci i zmarnotrawił hojną jej jałmużnę. A gdy inni się śmiali z tej łatwowierności, zwykła odpowiadać z wyrazem twarzy, co jej boleść zdradzał: „Tem gorzej dla niego, że źle sobie postąpił“. Pewnego razu odbiera ona taki list: „Pani! znam twoją szlachetność i dlatego z zaufaniem udaję się; potrzebuję koniecznie tysiąc rubli, których jeżeli mieć nie będę, życie sobie odebrać muszę. Mniejsza już o mnie, bo mi życie ciężarem, ale żona i dzieci zostaną itd.“ Takie alarmujące wezwanie wymagało wczesnej pomocy, pokazała mi więc list z żądaniem, aby to załatwić i nieszczęśliwego ratować. Pojechałem aż do Niemirowa, naturalnie z pomocą i przekonałem się, że to był pierwszy szuler jarmarczny, wielkie ladaco, który, ani żony, ani dzieci nigdy nie miał i tylko próbował jakby kogo oszukać. Odtąd więc ułożono, by na później każdą nieznaną i podejrzaną figurę sprawdzić i to już było moim obowiązkiem.

W obszernym tym majątku prawie wszystkim oficyalistom dzieci do chrztu trzymać musiała i wszystkich zaopatrywała potrzeby. To też prawie wszyscy tacy synowie chrzestni jej kosztem i szkoły kończyli i dalszą życia zabezpieczali sobie drogę, a takie córki znaczne odbierały posagi. Ale przed wszystkiemi, pierwsze tam mieli posłuchanie wieśniacy i żaden bez pomocy i pociechy nie odszedł; bo kiedy nie mogła któremu uczynić co pragnął, by nie naruszać zasad gospodarczych, to w inny sposób dopomódz mu umiała. To też nie dziw, że czczoną i szanowaną była od wszystkich jak święta. W ogóle nazywano ją matką, bo w samej rzeczy była nią dla każdego. Jeżeli kiedy wypadało jej na dłuższy czas wyjechać z domu, to już wszyscy o tem wiedzieć musieli, gromadami schodzili się na jej pożegnanie i długo po jej wyjeździe jakby na pogrzebie zawodzili lament. Liczono chwile jej powrotu, a wtedy bez żadnego nakazu i drogi naprawiali i chaty zdobili, bo każdy z radością chciał zrobić przyjemność nawet dla jej oka. Mąż jej, ś. p. Ludwik, jakby jedno z nią posiadał i duszę i serce; uważał on za stracony dzień każdy, w którymby dobrodziejstwa nie zrobił; a mieli oni oboje ten piękny zwyczaj, by za każdą odebraną łaskę publicznie Bogu dziękować. Już to w początkach swego małżeństwa jakby na uproszenie błogosławieństwa, piękny w Ładyżynie wystawili kościół [1]). Zdaje się, że czuli oni potrzebę tej opieki Bożej. I kto wie, czy nie tą ofiarą wysłużyli sobie, że po tyloletniej więzienia męczarni, pan Ludwik powrócił szczęśliwie do domu. Urodził im się syn, to na jego intencyą założyli szpital. Urodziła się córka i znów powstał drugi szpital w drugim majątku. I znowu Bóg im dał córkę, a piękna ochronka dla 15 dziewcząt, sierot w Wasylówce stanęła, gdzie odbierały wychowanie, ubranie, nauki i całkowitą opiekę; a gdy zostały wydoskonalone w robotach właściwych płci swojej, wychodziły na panny służące, tylko do tych domów, które im przez panią wskazane były; bo wypuszczając je ze szkoły, nie wypuszczała z opieki swojej. Bywały nawet zdarzenia, żeby uzyskać pozwolenie tylko od rządu utrzymania jakiegoś pożytecznego zakładu, wielkie sumy na podobne zakłady moskiewskie dawała.

---

[1]) Ładyżyn z przyległościami kupił pan Michał Sobański od Seweryna Potockiego jeszcze w r. 1805, w którym była tylko licha kaplica drewniana. Syn jego pan Ludwik ożeniony właśnie z panną Różą z hr. Łubieńskich, razem założyli tam fundamenta kościoła w r. 1825 w jesieni. A że w następnym roku pan Ludwik obwiniony o współudział w rewolucyi Grudniowej Pestla i Rylejewa, był aresztowany i więziony to u Karmelitów w Warszawie, to w petro-pawłowskiej cytadeli w Petersburgu, robota się wstrzymała, dopiero kiedy

Wspomniałem wyżej, że ś. p. Ludwik w roku 1831 był wywieziony do Permy, żona p. Róża pojechała za nim. Po roku 1831, jak to nam wiadomo, tysiące rodzin z Litwy i Korony srogi car Mikołaj ukazem swoim pędził w głąb Syberyi. A wszyscy zakuci w kajdanach, bo wszyscy winni za to, że wiary i ojczyzny bronili, musieli przechodzić przez Permę, bo jedna jest tylko w głąb Syberyi droga, a Perma jest jednem z główniejszych miast, na tym długim krwią i łzami polskiemi wyrobionym szlaku. Wszyscy więźniowie tutaj się zatrzymywać musieli i czas niejaki wypocząć. Sobańscy umieli sobie zjednać zaufanie i powolność gubernatora Permy. A kiedy taki królik na Syberyi jest na kogo łaskaw, to już wszyscy czynownicy mu służą i na wszystkie nadskakują sposoby. Wyrobili więc sobie, że wszystkie partye biednych więźniów naszych do ich wstępowały domu i niejeden, po całorocznej może już podróży skuty łańcuchem do jakiego zbrodniarza, pod nadzorem brutalnej straży, pierwszy raz dopiero uczuł w ich towarzystwie to rodzinne ciepło, którego od chwili wyrwania z domowego ogniska nie doznał. Nie dla jednego wyjednali oni, że i kajdany zdjęto i roboty ulżono i traktować lepiej zaczęto. Ale jak ich dom i serce, tak i kasa ich była otwartą dla wszystkich biednych. I dziwna rzecz, że im nigdy nie brakło, jak wody u źródła. W majątkach ich, choć tylko rządziła czeladź, ani żadnego nieszczęścia ani żadnej złej przygody nie było, bo widać Bóg nad czeladzią czuwał, od złego bronił, a dobre pomnażał tak, że wielkie sumy odbierali z domu, których nie na swoje, ale na wszystkich więźniów używali potrzeby. A kiedy Syberya coraz więcej koloniami polskiemi zaludniała się, p. Ludwik wyrobił sobie u gubernatora wolność wyjazdu kiedy chciał i gdzie chciał, i jak drugi Tobiasz w niewoli assyryjskiej, tak on po szerokich stepach odszukiwał biednych współbraci wygnańców i wszędzie słowo pociechy i wytrwania, wiary, miłości i ufności w Boga wlać umiał. A niosąc słowo pociechy, nie zapominał o potrzebach ciała i nikomu

powrócił w roku 1829, z pomocą ks. Macieja Brudzyńskiego, o którym wspomniałem wyżej, dalej prowadzono budowlę. W roku 1831 pan Ludwik znowu aresztowany i wywieziony do Permy, aby nie brał udziału w rewolucyi Listopadowej, a za nim pojechała i żona, więc dokończenie budowli już tylko staraniom ks. Macieja zostawionem było. Po powrocie dopiero z Permy, w której przemieszkali lat 3 i pięknie kościół nowy ozdobili i znakomitemi obdarzyli funduszami. Pisząc o p. Ludwiku i jego więzieniach, mimowoli nasuwa mi się uwaga, jak to dziwnem zrządzeniem nieraz, syn po ojcu smutną odbiera sukcesyę. W tej samej petro-pawłowskiej cytadeli w Petersburgu, w której był więziony p. Ludwik, syn jego p. Feliks Sobański odsiedział także 3 lata za to, że jako marszałek gubernii podał wiadomy adres w Kamieńcu w roku 1862.

tam w nędzy żyć nie pozwolił. W czasie tych wycieczek umiał on korzystać ze stosunków, które z gubernatorami porobił, że nie w jednej katordze i robót ulżono i więcej po ludzku traktowano więźniów. I każdy błogosławił nawiedzenie jego i w duchu ożył i człowiekiem się poczuł ten, co wyzuty ze wszystkich praw, obdarty nawet z nazwiska, nosił tylko numer i choć miał postać szlachetną człowieka na obraz Boży, zarówno ze zwierzęciem, a czasami gorzej jeszcze traktowany był. Boć zaprawdę, więcej tam dzisiaj jeszcze jest szanowany i ochraniany kazienny koń, jak człowiek, a jeszcze Polak buntowczyk, co piersią swoją wiary i ojczyzny od najezdzców bronił. Nie wyliczyłbym podobno wszystkiego, co uczynili Sobańscy na wygnaniu w Permie, bo każdy dzień ich tam pobytu, jest pięknemi głoskami zapisany w niebie. To jeszcze dodam, że za ich insynuacyą w Irkucku, gdzie w początkach najwięcej gromadzono Polaków, zrobiono podanie i uzyskano pozwolenie i wybudowano katolicki kościół, na którego fundament oni pierwsi znaczny swój położyli grosz, a resztę jakoś dał P. Bóg. Ale nadeszła chwila, że carowi Mikołajowi urodził się syn, już nie pamiętam który, a więc wspaniały w miłosierdziu swojem car kazał ogłosić amnestyę, którą doskonale streścił w nakazanym na cześć cara kazaniu swojem ś. p. ks. biskup Maćkiewicz w Kamieńcu — że winnych ukarał, niewinnym darował, a umarłych od podatków uwolnił [1]). Więc i Sobańscy jako niewinni uzyskali wolność powrotu. Naturalnie korzystali z tego, ale wyjeżdżając, zabrali z sobą wszystkie serca, wszystkie nazwiska, wszystkie potrzeby biednych wygnańców po szerokiej rozrzuconych Syberyi.

(Dok. nast.)

JAN BAPTYSTA SIGL

przez

MICHAŁA ŻMIGRODZKIEGO.

(Dokończenie).

Pismo takich tendencyj jak *Vaterland* Sigla nie mogło zostać w spokoju, tak ze strony jawnie pogańskiego rządu Prus, jak i ze strony obecnego rządu

[1]) Pod rządem moskiewskim każda dusza opłaca podatek, oprócz innych, tak zwany poduszne. Co lat 25 obliczają dusze, taki wykaz nazywa się skazką i jest podstawą do opłaty na lat 25. Car każe — więc tyle powinno się urodzić, co umrze. Wiadomo, że w r. 1831 była ogromna cholera i ludność się bardzo zmniejszyła, a że długo jeszcze trzeba było czekać roku skazki, płacono więc podatek za umarłych; tym to więc duszom car podatek darował i nowe skazki zrobić nakazał.

Bawaryi z konieczności tylko umiarkowanie liberalnego. Jakoż zaraz na pierwszym wstępie poczęły się prześladowania. W przeciągu czterech miesięcy pismo skonfiskowano pięć razy. Była to zabawka w porównaniu z przyszłością. W tymże czasie Sigl odbył trzy pierwsze procesa za przestępstwo popełnione jeszcze w redakcyi *Volksbote*. Został następnie po raz czwarty postawiony pod śledztwo za to, iż dając sprawozdanie ze swego sądu, powtórzył ustęp inkryminowany (?). Wszystko to jednak było jeszcze zabawką. Rok 1870 począł się pod smutną przepowiednią. Sigl za obrazę Knorra redaktora liberalnej gazetki, posła do sejmu i radcy miasta, został osądzony na na 42 dni więzienia i 100 guld. kary. Przyszła wojna. Sigl rozwinął całą siłę słowa, wołając przeciw przyłączeniu się, wołał w niebogłosy o neutralność. „Zbliża się zemsta za Sadowę! Oto odwieczna Sprawiedliwość podniosła miecz na głowę zbrodniarzy na głowę łupieżców z 66 roku. Nie bądźmy tamą kary ręki Bożej! Niech idzie swą drogą! niech spadnie na głowę Prusaków morderców, na pomstę rozlanej krwi braci i synów naszych! Przed działa Francuzów niech się stawi Prusak, Kaim, nie my, których braci i synów on pomordował i których zagrabił ziemię i miliony!“ Oczywiście po takiego rodzaju artykułach nastąpiły konfiskata i zakaz roznoszenia po mieście dziennika. Dziennik dochodził tylko do prenumeratorów, a dochód z około 5.000 egzemplarzy sprzedawanych dziennie przez kolporterów został odciętym. W przeciągu 7 dni dziennik był 19 razy skonfiskowanym. Podczas całej wojny dziennik był 85 razy skonfiskowanym. Zdarzyło się, iż jednego dnia tenże numer zabrano pięć razy. W pierwszych miesiącach wojny ogromna liczba numerów wyszła na pół białych, bo już nie podobna było wydołać wymaganiom policyi. Skoro się znalazło słowo jedno przeciw Prusakom, już numer przepadał. Sigl żądał, by mu powiedziano dlaczego? — powoływał się na prawa, iż pokąd sejm nie przystąpił do sojuszu, on ma prawo przeciw temu wołać. Odpowiadano mu, iż teraz wojna „a więc prawa tracą swoją siłę“ (?). Było to tylko prostem dokuczaniem, wszystkie numera były następnie oddane bez śledztwa. Trudno uwierzyć, a jednak faktem jest, iż 6 numerów zabranych w 1870 roku oddano dopiero w 1875 roku. W tym to czasie była jedna chwila dość groźna dla Sigla. W pierwszych dniach wojny każdy numer podlegał często kilkakrotnej konfiskacie tak, że pewnego dnia wśród bieżących wiadomości Sigl postawił „nadzwyczajną wiadomość! Dziś *Vaterland* nie został skonfiskowanym!“ W ciągu tych dni Sigl musiał odbywać straż ciągłą w expedycyi, by w razie danym radzić co można. Kilku politechników skorzystało z tego, by zrobić skandal. Kupiwszy numer dziennika, stanęli przed expedycyą na ulicy i poczęli go głośno czytać. Poczęli następnie łajać, gwizdać, tłum począł się zbierać i hajże w ślady młodych postępowców! ostatecznie cała ta zgraja z krzykiem: „powiesić, powiesić łotra!“ cisnęła się do drzwi expedycyi, aż dopiero nadszedł żandarm i uśmierzył trochę umysły, Sigl nie widział innego sposobu wyjścia jak tylko pod rękę z żandarmem udać się do policyi. Za nim i obok niego biegli owi politechnicy i rozjuszony tłum gwiżdżąc, piszcząc, miotając przekleństwa i obelgi. Od policyi tłum się wrócił do expedycyi, chcąc ją bombardować, lecz oddział zielonych aniołów stróżów, czyli żandarmów uśmierzył trochę ową patryotyczną ekstazę.

Ciągłem prześladowaniem ze strony policyi, Sigl był zmuszonym niemal zaprzestać ogłaszania większych artykułów i ograniczył się prawie wyłącznie na wiadomościach telegraficznych i biuletynach wojennych.

Nowy 1871 rok począł pięknym pełnym uczucia wierszem, zakończonym modlitwą, a jako wstępny artykuł były słowa, które tłum wówczas przyjął ze wzgardą lub uśmiechem politowania jako przesadę, a które dziś niestety ziściły się do joty. „Szczęśliwy naród, któremu danem pędzić swój żywot w spokoju, na którym owo błogosławieństwo spoczywa. Troska, niedostatek, nędza — są tam nieznanymi gośćmi!... Inaczej wśród ludu, którego mocarze na krwawych polach zbierają wawrzynu wieńce. Do wieńców tych się wplotły młodzieży krew, starców i dzieci jęki, płacz matek i wdów! Zniszczenie niosą przed sobą, a po za niemi ginie ich własny kraj! Nauka i artyzm pada, handel wstrzymuje swój bieg, dobrobyt znika, nędza się wkrada do rodziny, a po za nią pełznie poczwara w śmiertelnej koszuli z zapadłemi oczy, to głód! Wszystkie węzły społeczne rwą się i najstraszniejsze zdziczenie, zdziczenie moralne owłada całym narodem“ — Wszystko co do joty się sprawdziło.

Przyszedł 12 Stycznia, początek rozpraw nad przyjęciem traktatu Wersalskiego. Izbę otoczono wojskiem, by tłum nie robił nacisku krzykiem tak jak to było w 1870 roku, gdy debatowano o przystąpieniu do wojny. Darmo przemawiali Jörg, Greil, Ruland, Kolb! Darmo Kolb wydał broszurę w tym względzie! Darmo wszystkie ich mowy pomieszczał *Vaterland* dosłownie! Darmo sam wołał, zaklinał, nic nie pomogło! 21 Stycznia po mowie Jörga, która była tak pełną smutku jak mowa pogrzebowa, przyszło do głosowania i 44 zdradzając mandat poselski, zdradziło kraj. Od tego czasu *Vaterland* stał się dla tych ludzi ciągłem upokarzającem wspomnieniem tego plamiącego kroku. Te ciągłe wskazywania na zgubne skutki nowego stanu rzeczy złożyły się na wielką burzę, którą Sigl musiał przecierpieć na początku 1873 roku. O roku 1871 mam jeszcze to do zanotowania, iż miał proces o obrazę Wiktora Emanuela (?).

Najfatalniejszą rzeczą w dziennikarskim zawodzie Sigla był jego stosunek do banku Adeli Spitzeder. Sigl postąpił sobie tutaj nadzwyczaj nieostrożnie, zabierając głos w tej sprawie. To też koniec owego oszustwa był wielkim ciosem dla Sigla. Wprawdzie Sigl nigdy nie popierał tego banku to prawda, lecz wołał na żydów, że oni nie mają prawa nazywać bank ten oszustwem, bowiem oni sami znieśli prawo o lichwie. Jeśli im wolno brać lichwę to Spitzeder wolno ją dawać. Nigdy inaczej się nie odzywał w tej sprawie. Jak daleko stał od całego tego banku dowodem, iż przy sądzie nie był nawet na świadka wzywanym. Stróż domu świadczył, iż Sigla tylko dwa razy widział u Spitzeder. Oczywiście starano się wszelkiemi sposobami wciągnąć go w tę sprawę. Tak naprzykład na parę dni przed rozbiciem banku, przychodził do niego jakiś żyd prosząc go o pośrednictwo, on bowiem chce ratować Spitzeder, ale nie ma sposobu przystąpić do niej z propozycyą, bo ona wszystkich żydów wypędza z domu. Sigl poznawszy ptaszka, napędził go również. Mimo tego dosyć było, iż Sigl w tej sprawie mówił przeciw liberałom, liberali puścili w obieg, iż Sigl popierał oszustwo, stworzyli przysłowie Spitzeder Sigl, a wszelkie protestacye ze strony Sigla, wszelkie żądania dowodów tego twierdzenie, były daremne. Tłum kontent, iż nie potrzebując myśleć, dostał w podarku jeszcze jedno *bon môt* więcej powtarzał i powtarza to słowo do dziś. Gdy w końcu 72 roku w kilka tygodni po rozbiciu banku, w dzień wyborów do rady miejskiej szedł do urny wyborców, liberali w około szykanowali go, śmieli się lecz nikt się nie ważył zaczepić, bowiem wiadomo, iż od owej na-

pąści w 1870 roku ma zawsze z sobą rewolwer w pogotowiu. Wszystko to jednak było tylko zapowiedzią — śmiem powiedzieć, największej burzy, jaką ten człowiek przetrwał w swem życiu. Na samym początku 1873 roku powstała właśnie owa sprzeczka Sigla z Fuggerem, Preissingem i *Germanią*. W wielu dekanatach powstała propaganda przeciw Siglowi i jego pismu. Rzucano nań potwarz, iż on jest przekupionym od Spitzeder za 20.000 złr. od rządu francuskiego również za 20.000 złr. i od rządu pruskiego za 1.000 frydrychsdorów. Jak to charakteryzuje nasze czasy zmateryalizowane do szpiku kości! Nikt nie chce wierzyć, by ktoś mógł tylko dla idei walczyć o jaką sprawę i stawić za nią swą głowę na hazard, każdy posądza o chęć korzyści, nawet i ci, co w jednym obozie z nim stoją. Jeden z liberalnych dzienników rzucił podejrzenie na Sigla, iż on świętopietrza, które zbierał i zbiera ciągle, używa na spekulacye. Tymczasem wyszło na jaw, iż nigdy więcej nad kilkaset do tysiąca reńskich nie leżało u niego, odsyłał je bowiem w małych nieraz ilościach do Rzymu przez ręce prezesa katolickiego kasyna. Mówiąc nawiasowo, Sigl do dziś przesłał do Rzymu 26.958 złr. Całej tej burzy nie wiele się przestraszył Sigl. Było mu bolesnem, iż ciosy te padały z ręki współrodaków, lecz wiedział, że zwycięży. Była jednak chwila, w której mógł zginąć na zawsze. W tej właśnie chwili, gdy mu zarzucano żołd z ręki Bismarka, Bismark wytoczył mu proces o obrazę honoru. Sigl był pewien, iż cała ta intryga ukartowana z góry, tak z pozoru zdawało się wszystko być umówionem. Przyszedł dzień sądu! Cały czas Sigl siedział jak na rozpalonem żelazie — nareszcie wyrok zapadł. Sigl osądzony na miesiąc więzienia... „Brawo! Bismark brawo! – wołał Sigl z radością w następnym numerze, miałeś przeciwnika w ręku, mogłeś go zgnieść na zawsze i puściłeś z ręki. Jedno słowo twoje, tylko cofnięcie skargi — a ja byłbym zgubionym na zawsze! któżby mi wtedy uwierzył, iż nie pobieram żołdu z Berlina?. . Straszna pomyłka! nigdym nie sądził, iżby taki polityk jak Bismark mógł zrobić podobnie fałszywy krok!“ I rzeczywiście to był przełom, od którego poprzestano rozszerzać owe baśnie o przekupieniu Sigla i co najwięcej to powiadano, iż stoi na żołdzie partyi katolickiej.

Minęła burza! Sigl wyszedł zwycięzcą, a w nagrodę nastała epoka, w której on tryumfował. Był to czas, gdy po całych Niemczech walka robotników z kapitalistami wrzała z całą siłą. Poczęło się to od drukarzy. W Monachium doszło do tego stopnia, iż noszono się z myślą wspólnego dziennika, bo nie było zecerów. Jeden tylko *Vaterland* nie był w kłopocie, robotnicy wiedzieli, iż on jest wrogiem socyalizmu, lecz on zawsze bronił pracy, on zawsze wytykał eksploatacyę, on wrogiem mieszczaństwa, jego zasady według socyalistów są nie praktyczne, ale uczciwe i warte szacunku. Gdy więc ze wszystkiemi wojna, z nim zgoda! Warto wtedy było czytać *Vaterland*, z jaką rozkoszą szydził z zakłopotania mieszczaństwa, tak liberalnego jak i katolickiego! z jaką emfazą przyjmując na siebie rolę mieszczanina wołał: *laissez passez! laissez faire!* Socyaliści uznali go za przyjaciela robotników, lecz niestety to było jedną więcej bronią w ręku wrogów Sigla. Od tego czasu Sigl jest podejrzanym o socyalizm i podczas ostatnich wyborów, liberali ciągle zarzucali partyi katolickiej, iż łączy się z socyalistami, a ludową partyę nazywali niemal ukrytymi socyalistami.

Wpływ i znaczenie Sigla zanadto były wielkie, by Berlin spokojnie mógł patrzeć na to. Przeczuwał to Sigl. Bismark zaprzysiągł zgnieść *Vaterland*. Zbliżała się niechybna katastrofa. W lecie 1874 roku wypowiedział to jasno: „wiem co mię czeka! ugiąć się lub upaść! Ugiąć się — to mi za trudno! przyjmuję odpowiedzialność i jeśli taka wola Boża, to padnę w walce za prawdę, swobodę, prawo Boga, Kościoła i ojczyzny mojej“!! Dziwnym trafem podobny tegoż samego dnia napisał artykuł, za który w kilka miesięcy potem stanął przed sądem. Doszła właśnie wieść o strzale Kulmana wraz z komentarzami przedstawiającemi to jako intrygę katolicką. Sigl w widocznem rozdrażnieniu napisał artykuł, w którym postawił domysł, iż właśnie liberali, chcąc podtrzymać popularność Bismarka, ułożyli całą tę komedyę. To było podstawą procesu. Na drodze sądowej wyszło, iż o zamachu przedtem jeszcze była rozmowa między jakimś adwokatem liberałem i żydem. To acz niechętnie przyznawały jednak i same liberalne dzienniki. Sąd okręgowy uznał Sigla niewinnym, odrzucił skargę niemal we wszystkich punktach ale pan Leonrod prokurator, położył protest i Sigl musiał stanąć przed sądem przysięgłych. Innym razem opowiem jak się to dzieje, że od kiedy istnieje liberalny rząd, nigdy zgromadzenie sędziów przysięgłych, nie było złożone z katolików. Sigl, redaktor dziennika, który był solą w oku liberałów i żydów, stał przed sądem przysięgłych, złożonym z 9 liberałów i 3 żydów. Wprawdzie oni przysięgali na bezstronność, ale w imię jakiego Boga przysięga była złożoną? to dla mnie zagadką! Wszak i prokurator przysięga na sumienność, a warto było słyszeć mowę pana hrabiego Leonroda, jak była pełna żółci, sarkazmu! Sąd uznał Sigla winnym, prokurator proponował 13 miesięcy więzienia, a sąd przyznał 10 miesięcy i koszta procesu wynoszące około 10.000 guld. jak pisał sam Sigl. Każdy sądzę przyzna, jak ciężkim ten wyrok, a jednak inaczej być nie mogło. Tu nie szło o sprawiedliwość, tu szło o przyszłe wybory. Wyrok wydany był ostatniego Listopada roku przeszłego, a tego roku w Lipcu miały nastąpić wybory, trzeba więc było taką karę naznaczyć, by Sigl żadną miarą nie mógł się wmieszać do agitacyi wyborczej. Gdy sąd skazał Sigla na 10 tylko miesięcy, więc aby czas uwięzienia go przedłużyć, pan prokurator rozpoczął w parę dni drugi proces znowu o obrazę Bismarka. Już nawet i bezstronne dzienniki poczęły wołać, że ta sprawa poczyna być więcej niż zabawną. Rzecz prosta! Bismark poprzysiągł zrujnować dziennik Sigla i musi dopełnić swego dzieła. Pan Leonrod nazwał Sigla niepoprawnym, a ten na drugi dzień tak pisał: „Pan Leonrod prawdę powiedział — jestem byłem i będę, aż do śmierci niepoprawnym! Nienawidzę was Prusaków z głębi serca mojego boście ciemiężcami ojczyzny mojej. Los rodziny mojej trochę mię smuci, lecz więzienia się nie lękam — szczycę się, iż będę za kraj mój cierpiał, a cierpiał w jednymże czasie z pasterzami mojego narodu“.

Dziesięć miesięcy więzienia już były przyznane, nad głową wisiał drugi proces z nadzieją kilkumiesięcznego dodatku. Cóż zostawało Siglowi? Jedno z dwojga. Przyjąć karę i wyzuć się z wszelkiej działalności w czasie przyszłych wyborów, lub uciec na pewien czas, a potem co Bóg da! Sigl więc oczekując wyborów, wyjechał do Salcburga, nie robiąc z tego żadnej tajemnicy. Liberali wściekli, iż ofiara wymknęła się im z rąk, posłali za nim w pogoń do prokuratoryi w Salcburgu wszystkie te numera *Vaterlandu* i *Bremzy*, w których były artykuły obrażające cesarza Austryi. Nadto rząd tutejszy zażądał wydania Sigla. Sigl został aresztowanym.

Sąd uznał go niewinnym. Pozostawiono go jednak w więzieniu, oczekując decyzyi ministeryalnej względem wydania go rządowi Bawaryi. Nikt pytania nawet nie zadawał sobie, jak ta decyzya może wypaść, tak dla każdego było jasnem, iż Sigl jest przestępcą politycznym, a jako taki wydanym być nie powinien. Jak grom spadła wieść, że Sigla już transportują do Monachium, że ministeryum wiedeńskie dało ten rozkaz na mocy jakichś traktatów z 1856 r. Czuć doskonale, że i w Austryi ręka rządu berlińskiego ma swoją wielką siłę. Sam proces przed sądem przysięgłych w Salcburgu, był jak najjawniej stronnie prowadzonym. Prezes sądu nie pozwolił publiczności, aby mogła być obecną na posiedzeniach sądu, a to pod pozorem zapobieżenia niby wszelkim możliwym rozruchom. Dla tej samej przyczyny nie pozwolono sprawozdawcy notować w sali przebiegu sądu. Oto ostatni fakt z życia tego człowieka.

Jeszcze jedna droga ratunku była pozostała dla Sigla, a jeśli to się nie stało, to wina leży na partyi katolickiej, która za serdeczną pracę nie odpłaciła się wdzięcznością. Gdyby Sigl był wybranym do sejmu, musiałby być uwolnionym, a po sześciu latach poselstwa kto wie jakie nastąpiłyby czasy? Sigl jest już po raz dziesiąty aresztowany. Ile pieniędzy zapłacił — tego nie wiem. Obecnie toczy się jeszcze jeden proces o obrazę majestatu, za którą oczywiście trzeba się spodziewać kilku miesięcy kary, tak, że około półtora roku, co najmniej, człowiek ten zostanie po za obrębem wszystkich stosunków społecznych. Oto krótki życiorys jego. Kto tyle przecierpiał, kto tyle doznał zawodów i to jeszcze od tych, dla których pracował, kto jednak mimo tego wszystkiego nie ugiął się pod ciężarem pracy i prześladowań — temu choć jeszcze za życia godzi się powiedzieć: cześć pamięci twojej! cześć twemu cierpieniu i pracy!

MISCELANEA Z NAD ATLANTYKU.

(Wrażenia: wschód i zachód słońca nad brzegami Oceanu — Noc — Cezar o mieszkańcach Bretonii — Wojny Cezara z Bretończykami — Wenetowie — Walki z barbarzyńcami i domowe — Bretonia a Polska — Ofiary z ludzi składane w Bretonii — Druidowie — Dolmeny — Bogini małżeństwa — Mitologia Celtów — *Menhiry* — Ojczyzna jenerała Trochu — Kolonia armii Gracyana — Drogi rzymskie i Towarzystwo archeologiczne bretońskie — Głowa kozła — Skamieniałe wojsko — Pogrzeby celtyckie — Świątynie z VI wieku — Śmierć św. Wincentego Ferreryusza — Krwawa egzekucya za rewolucyi — Pole męczenników — Opactwo Kartuzów — Zakład głuchoniemych — Syn jenerała de Charette — Żydzi w Bretonii — Chłopi Bretońscy — Księża sekretarze Towarzystwa — Mowa Bretońska — Ubiory ludowe i zwyczaje — Św. Anna — Katolicy we Francyi — P. Lalmand i archeologia).

Penboch nad Oceanem.

Z nad brzegów Oceanu, z ziemi bretońskiej wysyłam do was tych wierszy kilka. Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi, mawiali starzy. I mnie też przez myśl nie przeszło, opuszczając was, że przez dni kilkanaście zamieszkam na ziemi historycznej, która dzisiaj jeszcze jest przedmiotem archeologicznych badań, że na wiotkiej łódce przecinać będę spienione fale Oceanu i jego zdrowodajną wodą krzepić będę słabe me siły. Trudno opisać, ile duchowych, prawdziwie bożych doznałem tu przyjemności. Cisza i spokój tem pożądańsze, że po gwarze i wirze wielkiego Paryża; a jednak jesteś nie na pustyni, bo wzdłuż brzegu rozsiadły się rozkosznie wille i zameczki z swemi angielskimi ogrodami, z ponad których wysoko wystrzelił w górę gotycki kościołek św. Józefa z swoją wieżą, wznoszącą się majestatycznie wśród pięknego krajobrazu. O czem kiedyś w dziecięcych latach marzyłem, co najżywsza poezya opisać usiłowała, to tu widzę w rzeczywistości: wschód i zachód słońca, łamiącego swoje promienie w spokojnych, czystych jak kryształ wodach Oceanu. Mimowolnie przyszły mi na myśl, patrząc na te cuda natury, owe wiersze poety:

Słońce już wówczas łuk swój zbiegając szeroki,
Czerwonym blaskiem szare barwiło obłoki,
A żółtym drgając światłem po ziemi i wodzie,
Na swym bogatym tronie płynęło w zachodzie.

I ledwo przybiło do przystani, ledwo ukryło ostatni rąbek swej złocistej szaty, już zjawia się na horyzoncie księżyc zrazu blady, jakby się lękał, że nie dotrzyma placu piękności słońca, potem coraz czerstwiejszy, pełen rumieńca, jakby już pewny siebie, że jak słońce jest „*śliczném okiem dnia pięknego*“, tak do niego należy władztwo nad nocą. I wnet stają na nieba błękicie, jakby powołane jego rozkazem, tysiące, miliony gwiazd jaskrawych i nie masz nic cudniejszego nad to nocne gwiazd i księżyca towarzystwo. Nie podobna nie zwrócić wtedy swej myśli ku Bogu, zwłaszcza że dolatujący głos dzwonu kościelnego z wyspy d'Arz zlewa się cudownie w tę harmonię nocy i nawołuje do modlitwy. Tu czuje się człowiek tak bliskim Boga, a wśród tych wód i nieba przestrzeni tak małym, że mu nie trudno z całem wewnętrznem przeświadczeniem powtórzyć słowa Psalmu: *Quid est homo, quo memor sis ejus.* I czemże jest człowiek, że pamiętasz na niego Panie? Robaczkiem, i mniej niż robaczkiem ziemi, pyłkiem, *pulvis terrae.* To poczucie swej małości ma jednak w sobie coś uroczego i potężnego — uroczem jest jak każda prawda rozumem i sercem pojęta, potężnem jest, bo wlewa otuchę, wiarę w pomoc Boga, który tak wielki i tak dobry, niepodobna, aby mnie, bądźcobądź najprzedniejsze stworzenie swoje, zostawił w zapomnieniu i sieroctwie. I ta wiara w pomoc Boga rodzi wiarę i ufność w swoje własne siły, czyni człowieka, jak się wyrażał Skarga: „dużym i wielkiego, szerokiego serca“.

Cezar w swoich komentarzach *de bello Gallico* poświęca znaczny ustęp (liber III), miastu Vannes i wybrzeżu znanemu dzisiaj pod nazwą Morbihan, na którem leży willa Penboch, miejsce mego zamieszkania. Z jakiem uczuciem odczytałem te karty rzymskiego wodza-historyka, łatwo pojąć, ale trudno opisać. Już był Cezar całą „uspokoił“ Gallię, gdy go dochodzi wieść, że Wenetowie, mieszkańcy miasta Vannes, wysłanych po żywność dla wojska oficerów rzymskich, obciążywszy kajdanami, wrzucili do więzienia i podnieśli rokosz. Wnet rokoszowy okrzyk, podany z ust do ust zwyczajem Gallów, przebiegł wszystkie miasteczka i sioła, powołał pod broń całe dawne Armoricum (*ad mare*), czyli Pomorze, dzisiejszą Bretonię. Wenetowie rej tam wodzili, byli wszystkich niemal portów Oceanu i zatoki panami, flota ich liczyła kilkaset wielkich z dębowego drzewa o skórzanych żaglach statków, świadomi wiatrów i prądów, byli „panami morza“. Cezar rozporządzał samą armią lądową, ale dla tej forteczki Wenetów z jednej strony morzem oblane, z drugiej, najeżone palisadą ze skał i granitu, były prawie nieprzystępne, a nawet zdobycie ich na nicby się nie przydało, bo mieszkańce ubiwszy w dzielnej obronie kilkuset legionistów, wsiedli na łodzie z rodziną i mieniem i urągali rzymskiemu

orężowi. Potrzeba było wystawić flotyllę, ale rzymskie okręta nie dotrzymują placu łodziom wenetyńskim, majtkowie rzymscy nieświadomi natury wiatrów i morza, które tu jest dziwnie kapryśne, nic odważnego przedsięwziąść nie mogą. Cóż robi przemyślny Cezar? Oto ogromne żelazne sierpy osadza na żerdziach, te miasto broni daje żołnierzowi do ręki. Wioślarze, co sił staje, pędzą wiosłami, okręt rzymski wpada na łódź weneteńską, wtedy żołnierz rzymski przecina onemi sierpami sznury żaglowe i maszty — łodzie weneteńskie szukają ratunku w sile wiatru, ale i ten, jak często się wydarza w zatoce, nagle ustaje. Niema ratunku, żołnierz rzymski wciska się tłumem na łodzie nieprzyjacielskie, bitwa morska zamienia się w walkę lądową — los Wenetów rozstrzygnięty, zupełna przegrana. Następuje sroga zemsta Cezara; sam ją opowiada w krótkich, ale wiele mówiących słowach: „*Itaque omni senatu necato, reliquos sub corona vendidit* (*lib. 3. cap. 10*); wyrżnąwszy w pień wszystką starszyznę, resztę pospolitego gminu sprzedał na targach niewolników.

Na wiotkiej łódce rybackiej płynąłem po tych morskich wodach, na których lat temu prawie 2000 toczyła się walka, a z okien pokoju mego patrzę na tę weneteńską ziemię, zbroczoną niestety nie ostatni raz krwią starszyzny ludu, który nie chciał być niewolnikiem.

Nietylko więc o naszych polskich południowych prowincyach Rusi, Podolu i Ukrainie powiedzieć można, że przesiąkłe są krwią ludzką. Każda bryłka ziemi bretońskiej piła także nieraz krew do syta, a szczególniej też okolice pomorskie, zwane dziś Morbihan, obejmujące ledwo mil kilka w promieniu. Po wojnach rzymskich, nastąpiły wojny z barbarzyństwem, które od Wschodu jak brudna lawina na Zachód postępując, wywołało wszędzie krwawe starcia. Walki te plemienne kończą się z wiekiem, gdzie Bretonia występuje jako udzielne księstwo, ale w zamian za nie nastają równie krwawe wojny domowe, przeciągające się w całe lat dziesiątki, gdy o koronę książęcą dobija się naraz dwóch lub trzech pretendentów, a po za nimi ważą się polityczne interesa Francyi i Anglii.

Czytając historyę krwawych dziejów Bretonii, a są one dziejami całego wówczas Zachodu, historye tych zdrad i srogości zemsty, dokonywanej przez swoich nad swoimi, mimowolnie nasuwa się na myśl, jakże w tej dobie w XIV i XV wieku nieporównanie wyżej moralnie i politycznie stała nasza Polska. Tam książęta wyzyskują krew i mienie swoich ludów, u nas Jagiełło opowiada Ewangelię Litwinom; same księżniczki w dogodzeniu ambicyi krwawym przewodzą bojom — u nas królowa Jadwiga strofuje łagodnego męża za chwilową krzywdę, wyrządzoną Gdańszczanom: „pieniądze i mienie im przywrócone, ale łzy przelane kto im powróci“? tam wojny dla celów dynastycznych, u nas wojny w obronie chrześcijaństwa i cywilizacyi. Tam rzymscy Papieże grożą klątwą za poniewieranie praw kościelnych, u nas biskupi kanclerzami i senatorami państwa.

Atoli nie w samych tylko wojnach lub w krwawej zemście zwycięzcy płynęła na tej ziemi krew ludzka; sączyła się ona bogatym strumieniem jako ofiara bóstwu. Napotykamy tam rodzaj ofiary z ludzi u wszystkich ludów pogańskich, składali ją nawet oświeceni Rzymianie, gdy trzem z kolei Decyuszom, ojcu, synowi i wnukowi kazali się poświęcić na przebłaganie zagniewanego jeniusza Romy, ale nigdzie może nie był on tak upowszechniony i tak głęboko zakorzeniony, jak w Gallii, jak mianowicie w onej części w Armoricum,

które się Morbihan zowie. Rozwielmożniła się w narodach celtyckich kasta Druidów. Byli oni kapłanami uczonymi, lekarzami i książętami zarazem, a dzierżąc w swoim ręku naukę, władzę i wiarę, wzrośli w bogactwo i potęgę. Ich to wpływowi głównie przypisać należy opór Gallii stawiany Romie i wielokrotne zrywania się do broni, oni też utrzymywali w ludzie obok surowej jak dla pogan moralności, oną srogość ludzkich ofiar. Wyspy Morbihanu jak Arz, wyspa mnichów, która była własnością opactwa św. Gilda, Gavrinis, wyspa długa, dalej półwyspy św. Gilda de Rhuy, Locmariaquer i Carnac przepełnione są jeszcze dzisiaj po 2000 lat dolmenami, tj. ołtarzami, na których zabijano ludzi na ofiarę bóstwu. Widziałem kilkanaście takich ołtarzy, największy w Locmariaquer. Ogromny kamień, długi sześć metrów, szeroki blisko cztery metry spoczywa poziomo na trzech płytach kamiennych, które stojąc pionowo w ziemi, formują jakby izdebkę kwadratową, istna kamienna chata, to też jeden taki dolmen na wyspie mnichów służył długi czas za mieszkanie ubogiej rybackiej rodzinie. Wszystkie dolmeny są tego samego kształtu, różnią się tylko objętością. Mój miły Boże! iluż to jeńców rzymskich, rozciągniętych na tym kamieniu, uderzonych toporem Druida w krzyże, konało wśród najokropniejszych konwulsyj, z których owi krwawi kapłani wróżyli o losie przyszłych bitew. Na niektórych dolmenach widoczne są na głównym kamieniu rowki, któremi krew ofiary spływała, a u ściany poprzecznej ujrzysz wykute w kamieniu kółko, do którego jeńców skazanych na ofiarę przywiązywano. Okrutne te obrzędy odprawiały się pod gołem niebem, wśród nieprzeliczonych tłumów „pobożnych Celtów“ i wśród takiego milczenia, żeś dosłyszał sączenie się krwi ofiary, spadającej kroplami w naczynie ofiarne. Inny rodzaj ofiary odbywał się w „świętych gajach“ dębowych, których nigdy nie tknęła siekiera. I tam ofiarowano, ale już nie ludzi tylko woły. Największą uroczystością było ucięcie bluszczu wijącego się koło świętego dębu. Naczelnik Druidów, w bieli ubrany, odcinał złotym sierpem ów bluszcz, chwytali spadające gałązki inni Druidzi, bo nie godziło się, aby święta roślinka upadła na ziemię, a po ofierze dwóch wołów rozdzielano ów bluszcz, jako najświętszą relikwię i talizman najpewniejszy pomiędzy lud zebrany. Oddawano też cześć religijną źródłom i rzekom. Taką świętą rzeką, boginią małżeństwa, była rzeka Rodan. Podejrzaną o złamanie wiary żonę, prowadzono wraz z dziecięciem na brzeg rzeki, rzucano dziecię w wodę, gdy się utrzymało na powierzchni wody, małżonek uznawał żonę za niewinną, a dziecię przyjął za własne, w razie przeciwnym nieszczęśliwą kobietę osądzono za wiarołomną i zabijano pałkami. Zżyma się uczucie na tyle nieraz okropności popełnianych w jednym obrzędzie! Ileż niewinnych ofiar pochłonął w swych nurtach święty Rhodanus. Kto opisać zdoła katusze serca matki, którą prowadzono na to, aby wyrwawszy z jej objęć ukochane dziecię, oddać ją na śmierć równie okrutną jak niesławną? Doprawdy! szatan strasznych dla siebie domagał się ofiar. A takich świętych rzek, stróżów wierności małżeńskiej, było w Gallii kilkanaście! W razie niepowodzeń wojennych czyniono ofiary na przebłaganie gniewu bóstwa, mówię bóstwa nie „bogów“, bo wszystkie celtyckie ludy wierzyły tylko w jedno bóstwo, a lubo później w skutek zetknięcia się z Rzymianami, przyjęły od nich całą mitologię, z wyjątkiem Wenery i Bachusa, to jednak uważały je raczej za różny objaw własności jednego i tego samego bóstwa, aniżeli za kilka różnych od siebie bogów. Otóż na takie ofiary expiacyjne wybierano w braku jeńców wojennych,

ludzi z swego plemienia, mianowicie tych, których Druidowie jako przyczynę gniewu bożego wskazali. Z dziwną rezygnacyą, godną lepszej sprawy, szedł taki skazaniec na śmierć. Prowadzono go na jedną z wysepek Morbihanu, a tych wysp jest blisko 100, stawiano go na najwyższej skale, tak iż cały lud, który na swych łodziach przypłynął, mógł go widzieć, związywano ręce na krzyż i przeszyto strzałami, albo też zabito uderzając w krzyże toporem. Dzisiaj podróżny stąpa obojętnie po nagich kamieniach tych wysepek i ani pomyśli, ile niewinnej krwi po nich spłynęło. Nieokrzesany Bretończyk pruje dziś pługiem tę ziemię, na której popełniono tyle krwawych zbrodni w szalonej myśli, że się przez to rzecz miłą wyrządza bóstwu.

Jest jeszcze inny rodzaj religijnych pomników, z których uczeni nie umieją sobie zdać sprawy. Są to tak zwane *menhir*, kamienie olbrzymich nieraz rozmiarów, które były osadzone pionowo w ziemi. Czas, burze i niepogody powaliły niektóre z nich i rozbiły w kawały. Największy menhir widziałem w Locmariaquer, mający 25 metr. wysokości a 5 metr. grubości, dziś przełamany na trzy kawały. Być może, że te obeliski służyły za pomniki grobowe, może je też dźwignęła potężna ręka Celtów na cześć swoich bohaterów, a może były punktem zbornym ofiar z krwi ludzkiej. Któż to odgadnie?

Wywindowawszy się na największy odłam obelisku w Locmariaquer, ujrzysz przed sobą nieskończoną przestrzeń Oceanu, wśród której pływa rozkoszna wyspa Belle-Isle, ojczyzna jenerała Trochu. Krótkość dnia jesiennego nie pozwoliła nam w rybackiej łodzi puścić się na morze, aby się dostać na nią. Tuż obok obelisku resztki cyrku rzymskiego. Archeologowie utrzymują, że tu gdzie dzisiaj Locmariaquer (*locus mariae cordis*, nazwa przez mnichów św. Gilda nadana), wznosiło się ono wspomniane często przez Cezara Dariorigum. To pewna, że o małą milę od tego miasta u wrót Oceanu wybudował Cezar port obronny. Dzisiaj jeszcze miejscowość tę nazywają *Porte navale* (*portus navalis*), że wszystkie ważniejsze punkta Morbihanu miały wojenną załogę rzymską, to nie ulega wątpliwości. Cała Bretonia z końcem IV wieku otrzymała liczne kolonie armii Gracyana. To też przechowują jeszcze dzisiaj nie skąpe pamiątki architektury rzymskiej, a bretońskie Towarzystwo archeologiczne naznaczyło wysoką nagrodę temu, kto napisze najlepszą rozprawę o kierunku, o militarnej i cywilizacyjnej doniosłości dróg rzymskich, któremi jeszcze dzisiaj odbywa się wygodna podróż. W Penboch (*tête-boc*, głowa kozła), gdy przed laty 20 jezuicki rektor z Vannes, O. Pillot, nagi brzeg zamienił w ogród angielski z letnim pałacykiem i wzdłuż morza dźwignąć kazał mur potężny dla utrzymania w ryzach kapryśnych oscylacyj morbihańskiej zatoki, napotkano na mury grube z cegły rzymskiej, których fundamenta dowodzą, że tu istniały *termae*, kąpiele rzymskie. Na wysepkach archipelagu morbihańskiego, z których kilka pokryło się rozkosznemi siołami, znajdowano przed kilkudziesięciu laty medale, naczynia, sprzęty robocze, które noszą na sobie wybitną cechę czasów rzymskich. Wielka część tych zabytków architektury i sztuki zmarniała, dzięki tej samej obojętności, jaka i u nas jest w Polsce, która wielu narodowym pamiątkom i zabytkom starożytnym niszczeć dozwoliła. Dzisiaj jedynie Carnac bogaty jest w resztki olbrzymich menhirów i rzymskiej architektury, lubo ogromną liczbę tych antyków użył nieokrzesany Bretończyk na budowę swych domostw lub ogrodzenie swego pola, a zostawił jedynie nietknięte wielkie cmentarzysko celtyckie, nie przez szacunek dla kości nieboszczyków, ale, że jak chce pobożna

legenda, te kilkometrowe sterczące kamienie są to pogańscy żołnierze, którym skamienieć się kazał św. Korneliusz, Papież, przez nich ścigany. Innym niemniej ciekawym pomnikiem religijnym są kurhany, zwane *tumulus*. Są to owalne, w kształcie jaja na pół przeciętego pagórki porosłe krzewem i drzewiną. Niektóre z nich mają w swem wnętrzu dolmeny takie, jak je opisałem wyżej, a gęsto obsadzona drzewem alea prowadzi do tego świętego przybytku. Uczeni mniemają, że to były grobowce znakomitych Druidów, inni są tego zdania, że to były ołtarze ofiarne; to pewna, że na kurhanach z dolmenami w swem wnętrzu składano przynajmniej w dzień pogrzebu ofiarę o spokój duszy nieboszczyka. Celtowie wierzyli w wędrówkę dusz, metampsychozę i dlatego na grobie nieboszczyka składali ofiarę z wszystkiego, co mu za życia miłem było, zabijali jego żonę, ulubionego konia lub psa, znosili mu narzędzia robocze lub zbroję, rozumiejąc że i po śmierci, tem co mu za życia miłem było, bawić się i zatrudniać będzie. Największy i najlepiej zachowany kurhan z dolmenem i aleą krytą znajduje się na wyspie Gavrinis. Dziwne jakieś uczucie wstrętu i trwogi zarazem ogarnia, stąpając z kagankiem w ręku po tem uroczysku.

Nie podobna mi zapuszczać się w chrześcijańskie dzieje Morbihanu. Są one tak bogate a tak rozmaite, że najtreściwszy opis zająłby przynajmniej 100 stronic *Przeglądu*. Stolicą Morbihanu jest miasto Vannes, które dzisiaj jeszcze nosi odrębną cechę starożytności. Domy z granitu i ciosu o niskich drzwiach i oknach, o wysokich dachach, ulice wązkie, dwa główne kościoły, sięgające jeszcze VI wieku, w jednym z nich odbył się w tymże wieku pierwszy synod prowincyonalny Bretonii, zakazujący surowo oddawać cześć religijną gajom i źródłom. Prawie wszystkie kościoły Morbihanu sięgają tak dalekich czasów; najpóźniejsze są z XI wieku, najliczniejsze z IX wieku, naturalnie że pierwotny ich styl popsuty został różnemi dodatkami i przebudowaniami następnych wieków, tak że dzisiaj są bez żadnego stylu i gustu.

Vannes pamiętne jest śmiercią św. Wincentego Fereryusza r. 1419, którego ciało w tutejszej katedrze spoczywa. Byłem w jego celi tak szczupłej, że nawet kapucyńskie cele obszerniejsze mi się wydają; skromny ołtarzyk jest jedyną jej ozdobą. Wiadomo, że ten apostoł Francyi, podczas wielkiej schyzmy Kościoła, świadom swego bliskiego zejścia, chciał uciec z Vannes przed tą czcią religijną, jaką mu już za życia tu oddawano. Wyszedł tedy późnym wieczorem z miasta i po kilkugodzinnej pielgrzymce ujrzał się nad rankiem w tejże samej bramie miasta, którą był wyszedł. Zrozumiał tedy, że wola boża, aby tu umarł. Brama ta, równie jak znaczna część dawnych murów i wieża zwana *tour du connetable* dlatego, że podstępnie osadził tam w więzieniu Jan IV hetmana Clisson, zachowaną jest w bardzo dobrym stanie. Północno-wschodnia część wałów zamieniona, jak u nas w Krakowie, na plantacye, pamiętna jest krwawą egzekucyą, jaką żołnierze rewolucyi wielkiej wykonali r. 1795 na emigrantach Wandei. Podobna krwawa egzekucya spełniła się w tymże roku w Quiberon, trzy mile od Vannes, na polach zwanych *champ des martyrs*. Zginęli tu jenerałowie Wandei: Sombreuil, de Soulanges, Talhouët, d'Hervilly, biskup de Herce i 947 innych. W lat 32 potem księżna d'Angoulême dźwignęła na tem miejscu kaplicę z piękną frontową kolumnadą z granitu i położyła napis: *Gallia moerens hoc monumentum posuit.* Kości

pobitych kazała przenieść do bliskiego kościoła niegdyś Kartuzów i postawiła tam drugą grobową kaplicę z okazałym pomnikiem z białego marmuru w pośrodku. Na frontonie grobowca czytam: *Perierunt fratres mei, omnes propter Israël.*

Opactwo Kartuzów, o którem wspomniałem wyżej, zniszczone przez rewolucyę, oddane zostało jeszcze 1814 r. zakonnicom de la Sagesse, zajmującym się edukacyą głuchoniemych dziewcząteк. Właśnie cały orszak tych rozmawiających na migi panienek wychodził na przechadzkę, gdy wstępowaliśmy do bramy klasztoru. Przykra i bolesna rzecz widzieć tyle kalek naraz, ale snać one czują się szczęśliwe, bo wyraz twarzy wesoły i niema rozmowa toczyła się żywo. Furtyanka zakonna oprowadziła nas po krużgankach klasztoru, ozdobionych obrazami włoskiego pędzla, przedstawiającemi żywot św. Brunona.

Za czasów księstwa Bretonii t. j. aż do roku 1524, w którym to czasie przez zaślubienie ostatniej księżnej bretońskiej, Klaudyi z Franciszkiem I to księstwo przeszło do korony Francyi, odbywały się w mieście Vannes częste zjazdy biskupów, panów i szlachty. Przybywał na nie od połowy XIV wieku także i trzeci stan, tj. mieszczański, a głównym celem tych zjazdów było oznaczenie podatków, których książę dowolnie nakładać nie mógł. Rzecz jasna, że Bretonia nie ma swojej historyi, mimo to zachowuje ona po dziś dzień swoją odrębność. Szlachta trzyma się wiernie dawnych tradycyj katolickich, rycerskich, a w jenerale la Charette znalazła godnego swego reprezentanta. Dwunastoletni synaczek tego jenerała kształci się w konwikcie w Vannes, a jest on usposobienia niezmiernie żywego a upartego, gdy go więc strofują profesorowie, on odpowiada zwykle: „mój ojciec w moich latach był dziesięć razy gorszym diabełkiem, a patrzcie jaki dzisiaj z niego człowiek, miejcie tedy cierpliwość, bo i ze mnie będą ludzie". I da Bóg będą.

Żydów wypędziła ztąd księżna bretońska i królowa Francyi Anna jeszcze w XV wieku; nie znajdziesz ich tu więc ani na lekarstwo, mimo to lud bretoński ulega nałogowi pijaństwa. Przechodząc przez miasteczko d'Auray, napotkałem prawie na każdym domu jak na naszej ulicy Sykstuskiej szyldy z napisem: tu się sprzedaje wino, *l'eau de vie*, wódka i likiery! Czemu ten brzydki nałóg przypisać, nie umiem powiedzieć, bo wino tu się rodzi i wcale nie złe. Księża pracują nad wykorzenieniem złego, co tem łatwiej im przychodzi, że lud bretoński prawie zupełnie uchroniony został od wpływu wielkiej rewolucyi; przeszumiała ona nad nim jako burza. Zato dzisiaj sekretne towarzystwa, które we Francyi, dzięki wolności republikańskiej, prosperują w najlepsze, wysyłają tutaj całe regimenta agitatorów, jako do prowincyi najbardziej zacofanej w tem co oni zowią „cywilizacyą".

Mowa bretońska będąc mieszaniną z dawnej celtyckiej i łacińskiej mowy, jest zgoła niezrozumiałą dla Francuza, ale prawie wszystka ludność mówi oprócz rodzinnego, francuzkim językiem. Strój ludu prawdziwie starożytny. Ogromny czarny kapelusz przepasany szeroką, długą aksamitką, kaftan czarny lub szary wyszywany na piersiach w desenie, o srebrnych guzikach, spodnie szerokie i trzewiki, oto strój mężczyzn. Kobiety istne zakonnice, noszą ciemne suknie o krótkim staniku i czarna chustka służy miasto manteli, a głowa, szyja i ramiona okryte potężnym białym czepkiem, który przy powiewie wiatru rozdziela się jak skrzydła największego, jakiego znają zoologowie motyla, na dwa płaty. Widziałem w Paryżu zakonnice w podobnem ubraniu, tylko że

czarna chustka spada aż po kostki. Wytrwałość w pracy i zamiłowanie do niej obok pewnej poczciwej rubaszności należą do charakterystyki bretońskiego ludu. Nie znają i tutaj jak i w całej Francyi onego chrześcijańskiego pozdrowienia, powszechnego w Polsce i niektórych niemieckich krajach: niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Najpobożniejsza chłopka spotkawszy czy swego proboszcza czy poganiacza wołów, pozdrawia go: *bon jour monsieur*, a on jej na to: *bon jour madame*, chociaż ta *madame* w drewnianych trzewikach, zaszargana nieraz idzie z koszem bielizny lub trawy na głowie. Takto i najbardziej cywilizowane narody mają swoje śmieszności.

Wielką cześć odbiera tu św. Anna, zwłaszcza odkąd biskup z Vannes na miejscu niewielkiego kościółka Karmelitów dźwignął okazałą bazylikę z granitu. Na szczycie wieży, z której przecudny widok na mil kilkanaście w promieniu, świeci miasto krzyża olbrzymia statua św. Anny z bronzu. Na same murarskie roboty wydano 2,000.000 fr., które złożyła pobożna Bretonia, a jeszcze oceniają dokończyć się mające roboty na 300.000 fr. Doprawdy, wydziwić się nie można, zkąd katoliey we Francyi czerpią te nie milionowe, ale miliardowe sumy na utrzymanie kilkunastu tysięcy klasztorów żeńskich, żyjących głównie z jałmużny, na budowanie okazałych świątyń i kaplic, na missye zagraniczne i wszelakiego rodzaju zakłady dobroczynne, a krom tego nie zapominają o Papieżu, a nawet o księżach polskich w Syberyi, którym dość znaczne datki posyłają na ręce hr. Platera w Raperswillu. Co do mnie, wierzę mocno, że Bóg, który miłosierdzie doczesnem także błogosławieństwem wynagradza, już dla tych jedynie uczynków miłosierdzia chrześcijańskiego, któremi się odznacza Francya, dozwoli jej podnieść się politycznie.

P.S. Już po napisaniu poznałem p. Lalmand, członka Towarzystwa archeologicznego w Morbihan, który upewniał mnie, że najnowsze badania archeologów do następujących doprowadziły rezultatów:

1. Dolmeny nie są, jak dotąd mniemano, ołtarzami, ale grobowcami, a każdy taki dolmen był pierwotnie nakryty ziemią, tak jak teraz jeszcze tak zwane *tumulus*, czyli kurhany mieszczą w swem wnętrzu dolmeny.

2. Menhir tj. stojące olbrzymie kamienie są pomnikami. Wiadomość o polskich żydach, którzy na grobach swoich stawiają pionowo kamienne tablice, jeszcze bardziej utwierdziła tego uczonego archeologa w tem mniemaniu.

3. Nietylko w francuzkiej Bretonii, ale w Anglii, Algierze, w Indyach napotkano podobne dolmeny. P. Lalmand pokazywał mi rysunki zdjęte z tych monumentów, w których znaleziono nawet szkielety nieboszczyków w siedzącej postawie, jak dotąd chowają u nas żydów. Uczeni zajmują się teraz wyśledzeniem wspólności religijnych obrzędów i pojęć pomiędzy ludami tak odległych krajów.

4. Celtowie, jak prawie wszystkie ludy pogańskie, czynili także ofiary z ludzi, ale te krwawe obrzędy odbywały się w lasach i świętych gajach.

Uważałem za stosowne przesłać wam te najnowsze mniemania bretońskich archeologów. Być może, że za lat 20 uczeni ci inaczej mniemać będą, ale archeologia to jest jedna z nauk, gdzie rozum ludzki pod osłoną nadmiaru erudycyi i wiedzy podaje się często w śmieszność, a zawsze tylko do prawdopodobnych przychodzi wniosków.

PRZEGLĄD NAUKOWO-LITERACKI
i
Notatki bibliograficzne.

Opactwo pelplińskie, napisał ks. Kujot. Pelplin, nakładem autora, 1875, str. 496 in 8vo, z kilku rycinami.

Nie mógł lepszej przysługi wyświadczyć naszej literaturze historycznej ks. Kujot, jak podejmując zaniedbane dzieje jednego ze starszych klasztorów i rozświecając jego przeszłość, związaną z przeszłością kraju, a obfitą w wypadki, nieobojętne dla badacza, bo dające mu materyał do prac o większym zakroju i szerszych ramach. Pietyzm szanownego autora dla pięknego gniazda pelplińskich Cystersów skłonił go do przerwania na czas pewien rozleglejszego dzieła o całem rodzinnem Pomorzu, aby uczcić sześćsetletni jubileusz wspomnianego klasztoru. Jakkolwiek ten kierunek w pracy czcigodnego autora mógł być połączony z pewnego rodzaju literackiem poświęceniem, bo rzecz wiadoma, jak to boleśnie porzucać choćby na krótko przedmiot ukochany, dla którego się żyje, któryby się jak najrychlej pragnęło ukończyć i wysłać na świat między ludzi, toć z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że im mniejszy, im ściślej ograniczony zakres, tem większa dla nauki korzyść, tem snadniejsze zgłębienie i wyczerpanie materyi. Podobnie mozaika tem udatniejsza i misterniejsza, im mniejsze składają ją kamyki.

U nas do lat ostatnich mało na tę prawdę zwracano uwagi; to też nie kamyczek przy kamyczku umiejętnie spojone, ale głaz leżał obok głazu, zwykle gruby, brudny i nieociosany, między jednym zaś a drugim szczerba a czasem przepaść zawrotna — tak że pracownik, chcący z tego rozsypanego w nieładzie materyału utworzyć całość, z rozpaczą załamuje ręce...

Nie wyjdzie owa przerwa na złe ks. Kujotowi i dlatego, że z doświadczeń porobionych przy pierwszej swej obszerniejszej pracy skorzysta przy drugiej, głównej, pomnikowej niejako, mającej w swych ramach objąć dzieje całej dzielnicy, a przyznać trzeba, że najzdolniejsze nawet pióro od razu nie powinno się porywać na tak wielkie zadanie, nie spróbowawszy wpierw sił swoich na mniejszą skalę. Wszakżeż nie wolno brać się do wznoszenia niebotycznego gmachu temu, co na mniejszym budynku nie pokazał, co umie. Wielki to zapewne tryumf za pierwszym zamachem utworzyć *monumentum aere perennius*, ale bywa to jedynie fenomenem, bywa udziałem osobistości wyjątkowych.

Ks. Kujot książką swoją dowiódł, że sprosta wielkości wytkniętego sobie zadania, że Pomorze polskie znajdzie w nim długo oczekiwanego historyka, ale zarazem uzasadnił zdanie nasze, że z uchybień popełnionych tutaj, będzie mógł w przyszłości korzystać, są bowiem tego rodzaju, iż łatwo usunąć się dadzą, pozostawione zaś nadal raziłyby i zamącały dobre wrażenie, jakie czytelnik wynosi. Ks. K. opracował swój przedmiot wszechstronnie; to też porusza tyle różnolitych kwestyj, wchodzących w skład przedmiotu do opracowania przeznaczonego, że daremniebyśmy się kusili streszczać rezultaty jego badań. Zdaje nam się zresztą, że recenzent powinien być wolnym od tego, obowiązkiem jego bowiem jedynie oznaczyć miarę wartości dzieła i wskazać, czego w niej szukać należy. Streszczenie *Opactwa pelplińskiego* (którego tytuł, jak to czytelnik zauważy, nieco błędnie podany, bo opactwa napisać nie można, tylko rzecz o niem) byłoby tu tem mniej właściwem i potrzebnem, że je lubo niewolne od zarzutów, gorąco i serdecznie polecić możemy czytelnikom naszym.

Rzecz o *Opactwie pelplińskiem* — lubo napisana przez kapłana, co u większości prasy, niedobrze bywa widzianem, często zaś sprowadza potępienie bez wysłuchania — doczekała się już kilku ogólnych a przychylnych wzmianek oraz szczegółowej krytyki ks. dra Łukowskiego, na którą odpowiedział „Erazm“. Na obydwa artykuły, drukowane w szanownem z wielu względów piśmie poznańskiem *Warcie*, będziemy się niżej powoływali.

Przedewszystkiem zasługuje na pochwałę staranne i umiejętne rozgatunkowanie przedmiotów, dobrze obmyślany i praktyczny podział na rozdziały, jako też niezbędny dla wygody czytających a tak często przez naszych pisarzy opuszczany spis paragrafów. Zalety te książki potrafi ocenić należycie każdy, któremu się zdarzało błąkać jak po lesie w dziele chaotycznem, pozbawionem wszelkiej klasyfikacyi, napisanem jakoby za jednym tchem, bez należytego rozmysłu, bez dyspozycyi i planu. Są to niejako zarosłe gęstwiną i krzewami ostępy, w które wejść straszno, bo nigdzie nie dojrzysz śladu gościńca, ani nawet ścieżki, nigdzie nie rozświeci ci drogi światełko, za którembyś mógł zdążać do celu.

Książka księdza K. podobna raczej do urządzonego troskliwą dłonią lasu, oczyszczonego z zawad, zapierających przejście, po którym przechadzasz się z roskoszą, bo z łatwością trafisz wszędzie, gdzie

zechcesz i wyjdziesz z niego, kiedy ci się spodoba, obejrzawszy tę tylko część, która cię zajmuje.

Po krótkim wstępie do czytelnika znajdziesz tu zwięzły opis Pomorza, historyę rządów i zaprowadzenia chrześcijaństwa w tej ziemi, krótki pogląd na rozwój zakonu Cystersów w ogóle, a mianowicie na ziemiach słowiańskich. „Cystersi w Pogutkach“, „Cystersi w Pelplinie“, „Historyczne i gospodarcze wiadomości o pojedynczych wioskach osadniczych“, „Wiadomości historyczne i gospodarskie o dobrach czyli folwarkach klasztornych“ — oto treść następnych działów, rozpadających się znowu na liczne poddziały. W tych dowiadujesz się o hojnem wyposażeniu zakonników przez Sambora, Wojsława, Mestwina, króla Przemysława i Władysława Łokietka, o kościele i zabudowaniach klasztornych, o samych mieszkańcach klasztoru, o opatach, zakonnikach braciszkach i laikach, o ich zachowaniu się, o zarządzie rozległego majątku, o dochodach, o zewnętrznej historyi klasztoru aż do chwili zniesienia konwentu a więc i za rządów krzyżackich i w burzliwej porze wojen szwedzkich i t. d. Gdy dodam, że książka zaopatrzona jest w ładną rycinę wspaniałego Kościoła poklasztornego, w szczegółowy plan, zdjęty z obrazu olejnego sięgającego prawdopodobnie schyłku XVII wieku i t. p., zrozumie czytelnik, ile mozołu i trudu kosztowało skrzętnego autora zebranie i opracowanie tak obfitego i rozmaitego materyału, jak wszechstronnie i gruntownie wywiązał się on ze swego zadania.

Losy Cystersów od chwili, gdy z kijem pielgrzymim stanęli na pomorskiej ziemi aż do końca opowiedziane szczegółowo, z uwzględnieniem wszystkiego tego, co ich się tyczyło i co z nimi w jakimkolwiek zostawało związku. Pięknie i obrazowo, w treściwym zarysie przedstawia sam autor na str. 449 to, co na poprzednich kartkach szeroko rozprowadził. „Dotąd — powiada — staraliśmy się rozpoznać na tle ogólnych dziejów i stosunków Pomorza polskiego odrębne od reszty swiata, niby osobiste życie pelplińskich Cysterów. W tym celu zajmowaliśmy się dziejami pysznej świątyni, której każdy nieomal ołtarz i obraz powiedziećby mógł o duchu pobożności, władającym zakonnikami i świeckiemi przez długie stulecia. Obejrzeliśmy się też po obszernem gmachu klasztornym oceniając wygodę i piękność wystawionych z czasem domostw. Poczęliśmy tedy przechadzać się po korytarzach i salach o różnych godzinach, ciekawi przypatrzyć się zatrudnieniom i rozrywkom ojców a przysłuchać się cichej modlitwie, harmonijnemu śpiewowi, hałaśliwej muzyce rzniętej i dętej, poważnym procesyom i witaniom osób dostojnych, pracy duchownej, studyom i rozmyślaniu, tajemnym czasem rozmowom, fukaniom i szemraniom. Widzieliśmy liczny poczet surowych oblicz, które znikomą postać już od kilkuset lat, choć nieomal wszystkie obce[1]), złożyły w ziemi naszej; odwracaliśmy się od twarzy nabrzękłych i oczu pałających grzesznym żarem, aż nasunął się zastęp nowy, na czele: Kostkowie, Kosowie, Rembowscy, Czapscy, Lescy, a w środku niejedno nazwisko dziś jeszcze nam znane, bo wiążące się z osobą krewnego, przyjaciela, a przynajmniej znajomego. W otoczeniu szli poważnie dostojnicy kościelni w mitrach i złotych krzyżach, i świeccy z berłami, buławami i szablami, w bogatych fioletach i kontuszach, a obok nich spieszył z darem w ręku włościanin w dostatniej siermiędze. Pytaliśmy się znaczniejszych z obu gron o koleje życia, o ciekawe zdarzenia. A któremu liczne wieki nie starły jeszcze z czoła znamienia odrębności od innych trupów, ten opowiadał nam o licznych ofiarach, o długoletnich pracach na chwałę boską łożonych, lub o mozołach na korzyść pokrewnych, ziemi swej, a często społeczeństwa. Nakoniec zajrzeliśmy do ksiąg gospodarczych, pytając się o liczbę włości klasztornych, sposób zarządzania majątkiem, o ciężary i obowiązki poddanych“.

Dopełniają obrazu „ramki historyczne“, wiążące część z całością tak, iż nie wydają się oderwanemi, lecz zlewają się raczej z nią i zasilają szczegółami, wyjaśniającemi nieraz to, co dotychczas ogólnie tylko było znanem.

Z rozmaitych stanów składała się ludność klasztorna w Pelplinie. Nie brakło przyjmowanych w charakterze laika rzemieślników. Klasztor miał wiele potrzeb do zaspokojenia; przyjmowano więc malarzy, szewców, stolarzy, krawców, bednarzy, kuśnierzy, kucharzy, ogrodników, aptekarczyków i t. d. Ale z ludku tego nie zawsze mieli ojcowie pociechę, bo często jeden i drugi pod pozorem, że krew mu się puściła nosem, opuszczał towarzyszów zebranych na chórze i przesadziwszy mur, uchodził. „Czasem lekkomyślny rzemieślnik, protoplasta naszych wiecznie podróżujących z łaski miłosiernych ludzi, zgłosił się u bramy, że chciałby się pożegnać ze światem. Ledwie jednak minął roczek jeden i drugi życia zakonnego, a jaskółka świegotliwa nucić zaczęła nad oknem klasztornem, już i świątobliwe zamiary i spokojne życie przestały go wiązać i wnet czarny habit leżał gdzieś na boku, czasem w pokrzywach, a dawny brat podróżny czmychnął w starym ubiorze oknem do kanału — a ztąd w daleki świat, gdzie policyant nie pytał się o papiery. Żałośliwy kronikarz zwykł przy takich zda-

[1]) Cystersi składali się głównie z cudzoziemców i to przeważnie z Niemców. Obok nich spotykałeś tu Szkotów, Duńczyków, Francuzów, Włochów, i t. d.

rzeniach powiadać: wrócił brat N. do świata, by kielich jego do dna wychylić".

Cóż się dziwić rzemieślnikom, gdy w skutek rozbudzonych chrapliwą surmą namiętności w czasie reformacyi i sami zakonnicy sprzeniewierzali się swojemu powołaniu, a wśród murów, które do tej pory słyszały tylko korne słowa modlitwy, rozlegały się „dziki okrzyk szału i bluźniercza pieśń rozpusty". Przychodziło do tego, że jeden z nich nie dostawszy zaraz trunku, „porwał topór i cięciem w głowę zabił szafarza". Na szczęście udało się gorliwym zabiegom biskupów zatamować zepsucie, wprowadzić znów do zakonu dawniejszy porządek, starą obyczajność i świątobliwość.

Tyle to ciekawego materyału skrzętnie nagromadził i pracowicie obrobił ks. Kujot; zobaczmy, czy opracowanie zawsze stosownie i umiejętnie dokonane, a przedewszystkiem zapoznajmy się z przedmową autora, zwłaszcza zaś „z zasadami i źródłami, na których pracował". Za podstawę do niniejszego dzieła z pośród rzeczy rękopiśmiennych służyły mu zbiory dokumentów pelplińskich, przechowane w gdańskiej miejskiej bibliotece i w bibliotece seminaryjskiej pelplińskiej, akta odkryte przezeń w kancelaryi (a nie „*na* kancelaryi") biskupiej a najwięcej „kronika pelplińska w łacińskim języku napisana, obejmująca dwa spore tomy w ćwiartce i przechowująca się w bibliotece seminaryum duchownego". Kronice tej, jak słusznie zauważył ks. dr. Łukowski, należałe poświęcić kilka słów krytycznej oceny, bo od jej wiarogodności zależy także większa część jego opowiadania. Ks. Kujot zdaje się wierzyć owej księdze bezwzględnie; trzebaż było tę wiarę umotywować. Uczynił jednak wbrew przeciwnie, bo lubo na całej stronnicy o niej mówi, dotyka rzeczy całkiem obojętnych, nie uważa wcale za stosowne, aby orzec, w której porze była pisaną. Świadczy to o nieumiejętności obchodzenia się ze źródłami i o braku metody krytycznej. A napróżno broni go stronniczy p. „Erazm", kwestyonując zdanie, czy „obszerna krytyka i ściśle naukowe ocenienie jakiegoś źródła w książce, przeznaczonej dla większej puliczności a napisanej przystępnie, jest koniecznem" i oświadcza kategorycznie że zwyczajnie „ocenia się podobne zabytki albo przy ich wydaniu, albo też w osobnem jakiem fachowem czasopiśmie". Wyznajemy, że tłómaczenie to, wypowiedziane z godną lepszej sprawy stanowczością, nie wytrzymuje wcale krytyki. Możemy zapewnić pana Erazma, jeśli go to interesuje, że na całym cywilizowanym świecie autor popularnego nawet dzieła historycznego, zużytkowując jakiś niedrukowany materyał, poddaje go zawsze krytycznemu rozbiorowi, jeśli się nie chce narazić na zarzut dyletantyzmu i niekrytyczności. Nie potrzebuje tego

robić w sposób ciężko-uczony, jakby może uczynił, drukując samo źródło lub roztrząsając je w piśmie fachowem, niemniej jednak krótko a zwięźle, lekko i zajmująco, jeśli o to chodzi, może wyłuszczyć powody, skłaniające go do przyznania swojemu źródłu autentyczności. Wywód taki, jeśli tylko zgrabnie napisany, najprostszego czytelnika nie zmęczy i nie odstraszy. Najfałszywszem jest mniemanie p. Erazma, że ks. Kujot „na tę kwestyą d o s t a t e c z n i e na str. II i III odpowiedział", bo w ustępie wspomnianym właśnie autor nic nie powiedział, co był powinien powiedzieć, a zapełnił jedynie miejsce, które mógł lepiej zużytkować, nic nie mówiącemi wiadomostkami.

Brak krytyczności księdza K. przebija się w kilku jeszcze miejscach. Dla przykładu wymienimy ustęp o fałszowanych dokumentach, tem chętniej, że się wiąże z poprzednim. Autor mówiąc o kronice, nie poczytywał za potrzebne wykazać jej prawdomowności; widocznie jednak to miał na myśli, oświadczając, że „pierwszą część opracował kronikarz bardzo starannie na podstawie dokumentów i zapisków, które sumiennie cytuje na brzegu". Czegoż jednak dowodzi takie cytowanie, skoro niektóre z owych dokumentów sam ksiądz K. uznał za podrobione?!

Szanowny autor nie wie wogóle, jak sobie z podrobionemi dokumentami poczynać, nie rozumie, w jakim celu podrabiano i dopuszcza się w tym przedmiocie bałamuctw. Co n. p. mają znaczyć słowa, zawarte na str. 47: „Z kopii pierwszego dokumentu podaliśmy ograniczenie dóbr, choć pewnie w XIV wieku *przy*robione, ale odpowiadające rzeczywistości. Ksiądz K. kilkakrotnie przyznaje podrobienie, powiada ogólnie, „że któryś z późniejszych mnichów u z u p e ł n i ł pierwotne dokumenty pelplińskie", przyznaje że „zmiana ta nie była godziwa ze względu na prawdę historyczną", ale nie widzi w tym celu wyraźnego ani fałszu, „bo klasztor posiadał tę darowiznę aż do ostatnich chwil bez reklamacyi, „zapewniając, że to jeszcze niczego nie dowodzi, gdyż były sposoby na usunięcie reklamacyi, co zresztą widać z przykładu na str. 66.

Przystępujemy teraz do rzeczy wielkiej wagi, lubo drobnej na pozór. Autor pisze: „Nie było moim zamiarem, spisać historyę klasztoru we formie czysto-naukowej. Dziejopisarze nowsi starają się nieomal wszyscy o wykład przystępny dla ogółu wykształconych ludzi, unikając przynajmniej w toku opowiadania cytatów i obszerniejszych uwag krytycznych. Chcąc sobie uzyskać szersze koło czytelników, osobliwie na rodzinnem Pomorzu, puściłem się tym torem, który niemało przysparza pracy autorowi, ale natomiast ułatwia czytelnikowi pogląd na owoce poszukiwań i badań. A tuszę, iż wątek, na którym usnułem rzecz

całą, w ogóle wytrzyma próbę teoryi historycznej *(sic)* choć tu i owdzie pokażą się usterki".

Musimy oświadczyć z żalem, ale w imię bezstronności i życzliwości dla szan. autora, jakiej dowód złożyliśmy już powyżej, że przytoczone tu słowa zdają nam się rzuconemi na papier bez najmniejszego zastanowienia i nieopatrznie. Policzmy się z niemi. Nie mamy wcale pretensyi do księdza K., że nie napisał rozprawy czysto-naukowej, ależ nie należało z drugiej strony pisać anti-naukowo. Autor zastawia się „nowszemi dziejopisami" najfałszywiej w świecie i mylnie też twierdzi, jakoby się „puścił tym torem". Powiada, że starał się o „wykład przystępny" — zgoda, bo i któż się dziś o wykład przystępny nie stara? Ten tylko, kto nie zna dziś dość trudnej sztuki przystępnego wykładu. Powiada dalej, że unika „przynajmniej w toku opowiadania cytatów i obszerniejszych uwag krytycznych". Zgoda i na to, choć warunkowa — ależ autor wcale ich w tem nie naśladuje. Oni w tekscie tylko nie pomieszczają „cytatów i obszerniejszych uwag" t. j. pomieszczają je na końcu, tak że profanom nie zawadzają a ludziom światlejszym są wielce pomocne. Czemuż tak szanowny autor nie zrobił? Wszakżeż dlatego, że na końcu dzieła byłoby przybyło kilkanaście kartek petitu, szersze koło publiczności nie byłoby się zmniejszyło, a byłoby może wzięło książkę do ręki nie mało i takich ludzi, ubolewających teraz, że ks. K. właśnie nie ułatwił im „poglądu na owoce poszukiwań i badań". W Niemczech czynią tak ci tylko pisarze, co się puszczają na bystrą wodę plagiatu; szanownego autora posądzić o to nie można.

Księdzu K. zdaje się, że napisał dzieło jak najprzystępniejsze dlatego, że nie daje przypisków i odsyłaczów na końcu — myli się jednak. Zamiast być stałym swemu przedsięwzięciu popularności najfatalniej mu się sprzeniewierza, bo nie dość, że w tekście rozbiera choć niedokładnie kwestyę wiarogodności dokumentów (str. 47, 48, 60) ale, o zgrozo, kilkanaście stronnic tegoż tekstu (od strony 5 do 11, 43 — 46, 56 — 59, 61 — 65) poświęca, cytowaniu całych dokumentów *in extenso* po łacinie i po polsku!

To już jest nadużycie jakiego się żaden z „nowszych dziejopisarzy" nie dopuszcza. Tu dopiero widać, jak kruchą jest „próbka teoryi(!) historycznej", z której tak dumny ks. Kujot. A przecież można było tak łatwo zapobiedz złemu, cytując dokumenta na końcu dzieła raz tylko po łacinie, a w tekscie podając w cudzysłowach ważniejsze tylko ustępy, a resztę streścić własnemi słowy. Byłoby to może „nie mało przysporzyło pracy", ale by było przyjemniejszem dla czytelnika i zaokrągliłoby się w formę opowiadania. Taki zaś sposób ułatwiania sobie pracy dosłownem cytowaniem dziś już wcale nie uchodzi.

W ogólności, w pracy niniejszej znać wielką nierówność, a miejscami pośpiech zbyteczny. Niektóre ustępy napisane bardzo udatnie i wdzięcznie; widać, że się do nich autor zabierał z pewnem zamiłowaniem. Inne znów grzeszą rażącą niedbałością.

Przytoczyliśmy powyżej z umysłu kilka piękniejszych ustępów dla pokazania, jak szczęśliwie autor piórem włada, kiedy zechce. Gdyby nie brak miejsca, zacytowalibyśmy jeszcze cały nader powabnie skreślony pierwszy rozdział dzieła p. t. *Pomorze*. Niestety takich ustępów mało; przeważna większość napisana pobieżnie i odniechcenia, dowodzi, że szanowny autor, obdarzony talentem pisarskim, nie lubi tej „igiełkowej" pracy, sprawiającej za granicą tak wielkie effekta.

Dr. ***

Wspomnienia z wygnania (1865 — 1874) przez hr. Zygmunta Kierdeja. Poznań 1875.

Obok znakomitych usług, jakie w tej chwili *Kuryer Poznański* najświętszym oddaje sprawom, zajmując w toczącej się walce chlubne stanowisko narodowego sumienia, ma on jeszcze niemałą zasługę, że umie zręcznie a szczęśliwie dobierać fejletony. Dział ten — w innych pismach peryodycznych zwykle tak nędznie zapełniony lichemi tłómaczeniami lichszych jeszcze zagranicznych powieści, albo też fabrykatami na obstalunek znamienitego pisarza, który piękny talent do rzędu prostego zniżył rzemiosła — w *Kuryerze* całkiem inny przybrał charakter. Spotykamy się tutaj z cennemi sprawozdaniami z ruchu literackiego w kraju i za granicą, czytamy ciekawe rozbiory najważniejszych i najświeższych książek, widzimy nieraz i powieści, ale umiejętnie dobierane. Zamiast nas wtajemniczać w stosunki angielskie, francuskie, ba nawet i amerykańskie, redakcya *Kuryera* najczęściej nam podaje bliżej obchodzące nas sprawy, wyzyskując dziedzinę naszej literatury, dotychczas leżącą odłogiem. Pominąwszy już fantastyczne utwory księcia Józefa Lubomirskiego, który wprost rzeczy polskich nie dotyka ale dosadnie maluje wewnętrzny ustrój lub rozstrój Rossyi, podboje jej w Azyi, Sybirskie równiny, *Kuryer* z rzadką zabiegliwością wyszukuje i drukuje cenne nabytki dla Polskiego martyrologium i wzbogaca skąpy nasz zasób wiadomości o tych mękach i cierpieniach, które podnosząc się coraz w wyższą mogiłę, budują

zwolna podwaliny przyszłej, odkupionej Polski. Tak mało stosunkowo wiemy o naszych męczennikach i wyznawcach, że chociaż dzisiaj

. . . . . *Polska żyje, kwitnie w ziemi cieniach*
Jej dzieje na Sybirze, w twierdzach i więzieniach,

niema może narodu, któryby mniej posiadał takich bolesnych pamiętników. Czemuż to należy przypisać? może tej cierpliwej słodyczy natury słowiańskiej, tak gotowej do ofiar, że w nich nic nadzwyczajnego nie upatruje. Może tej przedziwnej pokorze serc chrześcijańskich, które nierade z poświęceniem wobec świata się popisywać; może i nadmiarowi ucisku, który tak przygnębia, że się powoli traci pamięć własnych cierpień, że ta pamięć stała się:

Jak księga Herkulańska pod ziemią spróchniała.

Sam autor zmartwychwstały nie umie w niej czytać i będzie dopiero o to „Boga pytać", który „to wszystko zapisał, wszystko mu opowie". Ach! zaiste, Pan Bóg policzy każdą łzę nieszczęśliwych zagnanych w te dalekie pustynie, ale i nam, braciom ich należy się wiedzieć, co oni za nas i dla nas wycierpieli, wzbogacając skarbnicę tych zasług narodowych, które wypełniają powoli należącą się za przeszłość miarę pokuty! Dopiero co *Kuryer* podał nam rzewne wspomnienie o Tunce i zesłanych tam polskich duchownych, teraz drukował w odcinku *Wspomnienia z wygnania*, o których właśnie dzisiaj pomówić chcemy, ponieważ wyszły co dopiero w osobnym tomiku.

Głównie co w tej małej książeczce nęci i pociąga to to, że autor tak mało sobą zajęty, tak nie wiele o sobie mówi, nie powłóczy hałaśnie pętami swemi, nie paraduje przeminioną niedolą, jak to nieraz bywa w pamiętnikach więziennych lub wygnańczych. Owszem, podziwiać nam przychodzi abnegacyę, z jaką zapominając o sobie, nie folgując wrodzonej skłonności do mówienia o sobie i wylewaniu osobistych na papier zwierzeń, autor miał na oku zajęcie czytelnika obrazami nieznanego kraju i stosunków. Przesuwają się przed oczyma naszemi te obrazy Sybirskie, a przesuwają z taką jaskrawością kolorytu, że nas żywcem przenoszą w tę krainę

dello eterno dolore

i w tajemniczają nas dokładnie w tęsknoty, boleści, biedy i udręczenia *nieszczastliwych*, jak litościwsi od swego rządu Moskale zwykli Polskich nazywać wygnańców. Pióro lekkie naszkicowało owe wspomnienia bez systematu i układu, wysuwają się one z kolei tak, jak je pamięć autorowi przywodziła. Nie jest to dziennik, nie dyaryusz dziesięcioletniego wygnania, ale raczej luźne kartki, ulotne przypomnienia: tu poważny i ciekawy rozdział o religii krajowców, tam *skazka* rossyjska z niewypowiedzianym powtórzona humorem, tu rzewny „zwrot w siebie", tam weselsze anegdoty z wygnańczego życia. Prostota, szczerość opowiadania, szlachetne uczucia, przebijające się w każdem niemal słowie, nadają tej książeczce urok nie mały, urok prawdy i cierpienia, tych dwóch najwznioślejszych na ziemi idei. Ale jakież to cierpienia! Myśmy sobie wyrobili o Syberyi jakieś fałszywe wyobrażenie, wiemy, że tam i źle i pusto i smutno, ale wystawiamy sobie owe białe równiny w świetle mistyczno-poetycznem i przypomnienia Anhellego, gotowe nam uanielić nawet tę krainę niedoli i niewoli. Ach! jak dalekie owe idealne poetów mrzonki od zimnej, twardej, bezbarwnej i beznadziejnej rzeczywistości. Słowacki nam przedstawił n. p. noc sybirską, jako coś tajemniczego i wspaniałego zarazem; posłuchajmy, jak ją nam młody wygnaniec opisuje, gdy długie wieczory zimowe bez światła należało przepędzać, przy odblasku tego śniegu wieczystego, który duszę napełnia takiem znużeniem i wstrętem. Ach! w rzeczywistości niemasz szamanów, ani proroków na ziemi sybirskiej. Na wszystkie pytania co do przyszłości, urzędnik rossyjski odpowiada jedną formułką: *nie znaju*, która zabija powoli wszelką nadzieję w sercach wygnańczych. Najtragiczniejszą może częścią *Wspomnień* hr. Kierdeja jest jeden z ustępów końcowych, gdy opisuje tę rzekomą mogiłę zapomnienia, w jaką powoli wygnaniec sybirski zstępuje. Zrazu i rodzina i znajomi pamiętają, ratują i piszą. Powoli ludzkich rzeczy koleją, listy coraz bywają rzadsze, przesyłki ustają, pamięć się zaciera i po latach dziesiątku, ci biedni, ci żywi, czują, że dla świata, dla swoich zamarli, że:

Do godów życia nigdy nie zasiędą
I nawet biedni zapomnieni będą.

Mijają długie lata w biedzie i osieroceniu, o jakiem wyobrażenia mieć nie może, kto tego nie odczuł i nie przebolał, nędza zmusza do wyłącznie ręcznej pracy, do robót najtwardszych i najpospolitszych, zniskąd pomocy, podniesienia, ani duchowego pokarmu. Marnieją daremnie bogate zdolności, gasną władze umysłowe, znękane serce zamiera, wyjątkowe natury zdolne się oprzeć podobnej próbie, zdolne ją przetrwać zwycięzko — ogół upada pod brzemieniem, a młodzian, który przybywa w daleki Sybir, nie przeczuwa nieraz, że „on będzie jego grobem, gdzie pogrzebie wszystkie dane mu od Boga dary: młodość, wiarę, marzenia przyszłości, natomiast dając tylko rozpacz, znudzenie i zwątpienie. Do takiego przeistoczenia potrzeba wiele czasu. Amerykanie nazywają czas pieniądzem, Moskal czas powinien nazwać burzycielem". Nie wierzymy jednak, aby autor tak zupełnie miał słuszność, gdy owe skutki dziewięcioletniego wygnania, w samym sobie z boleścią upatruje,

Kto z takiem uczuciem mówi o rzeczach wiary, o Bogu, ojczyźnie i matce, ten jeszcze ani stracony, ani zgubiony. Niemniej z bólem przyznajemy, że to straszne wygnanie, moralnie zabija i ubezwładnia ogół nieszczęśliwych tamże zasłanych i żywcem na długie pogrzebanych lata.

Niektóre skreślone tutaj ustępy zawierają wypadki ciekawe i charakterystyczne, a ujęte w zgrabną formę żywej narracyi, czytają się niemal jak romans. Należy do nich wyśmienita i z wielką werwą skreślona *Wycieczka z przeszkodami*. Lud moskiewski wystawiony tu z fotograficzną wiernością i z prawdziwym humorem. Zdaje nam się że z wizyt u dygnitarzy wiejskich, sąsiadów Girkonta, nie trudno byłoby ułożyć nader zabawną komedyę w guście *Rewizora* Gogola. Cała historya i wszystkie szczegóły tej podróży, pobudzą do serdecznego śmiechu. Żałujemy mocno, że brak miejsca nie dozwala nam przytoczyć ustępu tego w całości; przy wyborze wyjątku jesteśmy w kłopocie, bo wszystkie równie pocieszne. Podajemy odwiedziny u popa jako najkrótsze [1]).

„Około godziny czwartej pojechaliśmy tedy do popa, nie spodziewając się, co nas tam czeka. Pop uwiadomiony o kilka minut przedtem, że już jesteśmy w drodze, pospieszył do cerkwi, kazał bić w dzwony i w bramie nas przyjął w pontyfikalnem ubraniu, w asystencyi dyaka, dyaczka i ponamarya. Proszę sobie wystawić nasze położenie; chciałbym się był w tej chwili w myszą jamę schować. Wysoki (imię socyusza) szturchnąwszy mię w bok, rzecze: „tylko śmiało“. Cóż było począć? wchodzimy. Pop daje nam do pocałowania krzyż, całujemy; daje następnie Ewangelię, całujemy także. Cerkiew była pełną chłopstwa, a szczególniej bab. Prowadzą nas do carskich wrot i tam stawiają na umyślnie dla nas rozpostartym dywanie, a pop i dyak intonują pieśń, „*Dołgija lieta* (długich lat) Sigismundu Iwanowiczu i Adolfu Nikołajewiczu“. Pop dowiedział się przedtem od Girkonta, jak się nazywamy po imieniu i z ojca. Pieśń tę śpiewa się wyłącznie za cesarza i jego familię. Taki mnie wstyd ogarnął, że nie wiedziałem, co z sobą zrobić; chciałem już uciekać, ale Wysoki mię trzymał i sprawiał się jak najlepiej, tak jak gdyby mu się naprawdę należały te hołdy. Po odśpiewaniu *Dołgich liet*, pop nam podał wody święconej i odprowadził z powrotem do bramy. Bawiliśmy następnie u niego z godzinę. Obejście nasze zgadzało się z ceremonialnem przyjęciem, ale nie mogliśmy spojrzeć na siebie z Wysokim, bo mimowoli brała nas chęć parsknięcia głośnym śmiechem, a trzeba było zachować powagę“.

[1]) Uprzedzić musimy, że tak pop, jak starszyna, pisarz i inni mieszkańcy wioski w skutek przechwałki Girkonta, uważali hr. Kierdeja i jego towarzysza za bardzo wysokie figury.

„Skazka o rossyjskim kapitanie Fiumce i o jego dieńszczyku Jeromce“ bardzo w rzeczy samej charakteryzuje Moskali, podobnie jak tragiczne dzieje Nikołki.

Ciekawe również podaje nam autor szczegóły o zajęciach krajowców, o myśliwstwie i rybołowstwie, nareszcie o tej niesłychanej ciemnocie, która w jedno tylko wierzy i jedno miłuje: c a r a i m a t u s z k ę R o s s y ę, ale szczególnie cara. Szkoda tego ludu, bo grunt dobry, litościwy i uczciwy, brak wszelkiej oświeceńszej religii, brak dźwigni moralnych i przykładów, nareszcie zabijające wpływy samowładzy i prawosławia zarazem, oto co go spycha w coraz bliższe kretynizmu otchłanie.

Śmierć hr. Berga, zabiegi dobrej matki wyprowadziły niespodzianie biednego wygnańca z dalekiego Sołwyczegodska, gdzie najpiękniejsze lata pogrzebał. Pierwsze pociechy, jakie go w powrocie czekały, znalazł u stóp ołtarzy i stóp kapłańskich. Pobieżne wspomnienia kończy pół obietnicą opisania kiedyś osobno swego pobytu w Ustiugu. Chwytamy go za słowo, boć to obowiązek względem kraju, a nadto nie wolno zagrzebywać powierzonego sobie talentu, który jest niezaprzeczony, o ile sądzić możemy po tej pierwszej próbie, pierwszym kroku w zawodzie piśmienniczym. *Dr. N.*

LISTY z WIEDNIA.

(S e r y a II.)

XV.

Wiedeń 3 Października.

Delegacye — Rada Państwa — Kwestya socyalna i jej rozwiązanie — Ruchliwość stowarzyszeń katolickich — Zjazd przyrodników w Gracu — Nieco o uczciwości dziennikarskiej — Proces *Vaterlandu* — Sprawa kanonii u św. Szczepana — Nieco z *Kulturkampfu* — Starokatolicy — Dom missyjny austryacki — Dwuwiekowy jubileusz Urszulinek — Literacka spuścizna Dr. Costa — Z Tyrolu.

Postęp dzisiejszy, uprawiany przez liberałów, zmuszonym został ostatecznie oprzeć się na milionach bagnetów. Odtąd wolność przez liberałów głoszona ukazała się tem, czem jest w istocie, wolnością pięści. Kto silniej pięścią uderzać może, ten jest tej wolności wierniejszem uosobieniem. Wracamy się więc w czasy barbarzyństwa. Prawem jest siła i wolnością siła. Oto ostatnie wyniki doktryn liberalnych, Europa zamienia się tedy stopniowo w koszary. Osią rozpraw różnych parlamentów są z jednej strony budżety wojskowe, rosnące

olbrzymio, a z drugiej bój przeciw Kościołowi. Bo też sam tylko Kościół zawadza tym teoryom liberalnym, nie przestając wołać: nie kradnij, nie zabijaj — a właśnie na nienawiści do tych dwóch przykazań zbudowanym jest dzisiejszy antikatolicki postęp, ta świątynia z tektury gazeciarskiej, ten panteon z błota wolnomularzy.

Delegacye austryackie zajmują się także przeważnie budżetem militarnym, ale i przeciw Kościołowi mają w zapasie pociski. Jeden z koryfeuszów liberalnych zamierza wystąpić z propozycyą, by z budżetu wykreślono płacę dla posła austryackiego przy Stolicy apostolskiej. Wniosek ten niezawodnie nie utrzyma się, nie o to też idzie; wniosek bowiem do tego przedewszystkiem zmierza, aby p. Bismark mógł zobaczyć, czy w austryackich politykach znajdzie zawsze powolne dla swych planów narzędzia.

Prezes delegacyi austryackiej p. Schmerling w przemowie swej, nie będącej czem innem jak tyralierką oklepanych frazesów, dotknął także i obrzydliwego „krachu“, lecz obszedł się z tym bezprzykładnym rozbojem wielce łagodnie, zowiąc go komedyą złudzeń. O wiele trafniej ocenił ten liberalny rozkwit ekonomiczny p. Lasser, wypowiedziawszy raz: „wszyscyśmy zgrzeszyli“, lecz niestety po tak głośnem wyznaniu tego *peccavi* nie widać wcale poprawy, owszem pp. Lasser, Schmerling i cała klika liberalna zdaje się wierzyć z Lutrem, iż można grzeszyć bez końca i miary, a sama wiara w miłosierdzie Boże usprawiedliwi. Na dowód, że liberały nie myślą wcale o nawróceniu się do zasad słuszności, dość przytoczyć, iż do wydziałów nie wybrano żadnego z delegatów polskich, gdy tymczasem do komisyi finansowej powołano dwóch panów, którzy z procesu w Lincu w sprawie banku szwindlerskiego nienajpochlebniejsze dla swej uczciwości wynieśli wspomnienie. Delegaci nasi w tem ignorowaniu całego kraju mają tę gorzką naukę, iż złoty kołnierz ministra rodaka i kilka koncesyj administracyjnych zresztą wielce problematycznej wartości nie wyrównają nigdy tym szkodom, jakie kraj już poniósł i jakie dlań centrały noszą w zanadrzu, opuściwszy jedynie prawdziwy grunt polityki federacyjnej i katolickiej, a kokietując z wiarołomnym liberalizmem.

Na zapytanie arcybiskupa Haynolda co do zamieszek na półwyspie bałkańskim, odpowiedział p. Andrassy utartemi formułkami, prorokując pokój — jeżeli wojny nie będzie. Ta wróżba niezawodnie się sprawdzi, i dlatego nie można brać za złe *Ojczyźnie*, iż swego patrona w dolmanie, mającego dla Polaków batóg albo owies, sławi jako nieomylnika.

Omylił się natomiast bardzo p. Rechbauer, prezes Izby posłów, licząc na łaskawe przyjęcie ze strony monarchy w czasie recepcyi delegatów; cesarz rozmawiając prawie ze wszystkiemi, jakby z umysłu ignorował tego ulubieńca *Dziennika Polskiego*. Ztąd w obozie liberalnym niemała konsternacya. Śledząc za przyczyną tej niełaski monarszej, wyśledzili, iż nie co innego, tylko burda uliczna motłochu przeciw Don Alfonsowi, którą p. Rechbauer w liberalny sposób na bankiecie, danym dla burmistrza, usiłował uniewinnić, a nawet upiększyć, wywołała to niezadowolenie cesarza. Możecie sobie wyobrazić, jak z tego powodu błogosławią Don Alfonsa tutejsi żydkowie od pióra.

Delegacye mają jeszcze obradować ze dwa tygodnie, a na 19 t. m. zwołana jest Rada Państwa. Zapowiadają przedłożenie nowych ustaw konfesyjnych. P. Stremayer zamierza wyżebrać sobie u liberałów nowych kilka wawrzynów, występując z projektem do uregulowania patronatu, do urządzenia katolickich gmin parafialnych i do administracyi majątku kościelnego. Te projekta zadowolnią pewnie rycerzy krachu; jak długo bowiem *Kulturkampf* odprawia swe orgie, tak długo baranie tłumy nie zwracają uwagi na szalbierstwa i oszustwa kapitalistów mojżeszowych. Czy atoli te przedłożenia zaradzą drobnemu przemysłowi, który prawie całkiem upada, czy zaradzą ludności rolniczej, przeciążonej podatkami i klasie robotniczej, wyzyskiwanej przez arystokracyę fabrykantów, nad tem, sądzę, nie potrzeba wiele słów tracić, możnaby tylko zapytać się przy tej sposobności, po co właściwie istnieje jakiś odrębny minister rolnictwa? Nadmieniają wprawdzie, iż na nadchodzącej sesyi Rady Państwa rząd wniesie cały szereg przedłożeń ekonomicznych, a między innemi ustawę o kolejach ustawę przemysłową, lecz czy na tej drodze liberalnych ustaw zażegna się przynajmniej, bo o rozwiązaniu ani mówić, coraz groźniej występującą kwestyę socyalną, temu z całą stanowczością można zaprzeczyć. Jedynym kodeksem społecznym, jedyną receptą na rany socyalne jest zastosowanie w praktyce przepisów Kościoła. Wszelkie inne środki uchwalane przez parlamenta liberalne okażą się o tyle skuteczne, o ile skutecznemi są owe leki, roznoszone przez szarlatanów; leki te pospolicie pogorszają stan choroby, a jeszcze częściej dobijają chorego. Nie będąc fałszywym prorokiem, można na pewno przewidzieć, iż kilka czy kilkadziesiąt paragrafów, tyczących się kwestyi socyalnej, a zawotowanych przez Radę Państwa złego nie usunie, to czegoż się spodziewać można od prawodawców, którzy chrzcielnicy lub nie widzieli, lub też, jeżeli niemowlętami zanurzono ich w niej, to jako mężowie jej się wypierają; czegoż można się spodziewać od takich reprezentantów ludu, którzy mandat do Rady Państwa uważają jako ponętną sposobność do uzyskania zyskownych koncesyj, lub też w erze pokrachowej, jako środek spłacenia drobnych

długów za pomocą dyet poselskich. Nie jestem wcale złośliwy tak utrzymując, gdyż właśnie temi dniami wniesiono do prezydyum Izby poselskiej 17 sekwestrów na dyety kilku deputowanych z powodu niepłacenia należytości. Nazwiska tych panów czytałem i sądząc wedle ich działalności parlamentarnej są to na wskróś liberalne dusze; ani jednego feudała i klerykała nie mogłem się doszukać w tym spisie. Nie od takich to mężów spodziewać się należy zaradzenia objawom niebezpiecznym groźnie występującej socyalnej dezorganizacyi, mężowie tylko zasad ściśle katolickich zdolni są podołać temu trudnemu zadaniu.

Katolicy pojmują dobrze ważność rozwiązania kwestyi socyalnej i rozumieją, jak wielkie grozi tutaj niebezpieczeństwo społeczności — to też na wszystkich prawie teraz tak licznie w różnych prowincyach odbywanych zebraniach stowarzyszeń konserwatywno-katolickich rozbiór tej kwestyi pierwszorzędne zajmuje miejsce. I tak w Marburgu na dorocznem zebraniu, zaszczyconem obecnością księcia biskupa z Lavantu, rozbierał tę kwestyę książę Lichtenstein, wzywając zebranych do uchwalenia rezolucyi, by na wzór izb handlowych utworzono podobne izby dla drobnego przemysłu, dla klasy robotniczej i rolniczej. Następnie baron Reyer zagrzewał do odpierania wszelkich pokuszeń o *modus vivendi* między Chrystusem a Belialem, w końcu ks. Bergles uzasadniał, iż w obec projektowanej przez centralistów unii osobistej z Węgrami, którąby dokonała rozbicia monarchii, jedynym dla dobra i całości monarchii odpowiednim systemem rządzenia jest federalizm czyli powrót do dyplomu październikowego. W Celowcu na zebraniu katolików, przyjęto także jednogłośnie powyższą rezolucyę księcia Lichtensteina, następnie odczytano wspaniałe słowa Piusa IX, wypowiedziane do francuzkich pielgrzymów z Laval i wysłano telegram do Florencyi z pozdrowieniem kongresu katolickiego tamże zebranego.

W Gracu, w Liebnitz i w Wies, traktowano kwestyę socyalną i zgodzono się jednomyślnie, iż dla tej zawiłej sprawy niema innego wyjścia, krom zasad katolickich.

Tak więc na różnych kończynach monarchii, rozwija się niezwykła działalność katolików, tylko wy tam jacyś senni, jak gdyby wobec trucizny, jaką rozpowszechnia sławetny *Dziennik Polski*. Spijcie sobie spijcie, przecież to tak wygodne, dla kraju pożyteczne, a dla wrogów Kościoła arcypożądane, mogą się oni bowiem bezpiecznie skradać i zasiewać kąkol wśród pszenicy.

Nie wiem, ile w tem prawdy, ale jak się dowiaduję z listów z kraju otrzymywanych, liberalizm ma już i na nasz lud poczciwy zarzucać sieci, bądź to przez postępowych pedagogów wielkiego i małego

abecadła, bądź to przez rozpowszechnienie pisemek niby patryotycznych, a w gruncie antikościelnych. Gdyby tak w istocie było, możeby się przyjął u plebanów dobrej woli i chętnej pracy projekt zakładania izb pogadankowych. Powstały one w niemieckich prowincyach Austryi z inicyatywy wielce zasłużonego monsignora Greuter, który wychodząc z zasady, iż lud wiejski chętniej słucha niż czyta, polecił gorąco konfratrom urządzanie tak zwanych „*Plauderstuben*“. Rezultaty takich izb okazały się wszędzie nader pocieszające dla katolików; lud pouczany w sprawach polityki, przestrzegany przed fałszami gazet, daje na każdym kroku dowody przywiązania niezłomnego do Kościoła, a mianowicie przy wyborach nie potrafi go obałamucić pierwszy lepszy przybłęda, agitator. Wprawdzie moc ciemności ma tylko godzinę panowania, a Kościoła *et regni ejus non erit finis*, lecz i tę godzinę złowrogą, o ile możem skrócić, nie powinniśmy gardzić i pomiatać na pozór nawet drobnym środkiem.

Nieprzyjaciele Kościoła tem zwyciężają, iż wszędzie ruchliwi, czynni, szukają gruntu dla swych destrukcyjnych celów i nam tą bronią, tą ruchliwością tem łatwiej przyjdzie ich zwojować, iż pragniemy nie burzyć lecz budować. Świeżo tę ruchliwość zamanifestowali bezwiarowcy, zwołując zjazd przyrodników do Gracu. Komedya ta zjazdowa, której i wy tam mieliście próbkę, imponuje zawsze tłumom, choć w człowieku myślącym wywołuje tylko uśmiech politowania. Zjazdy te już się przeżyły. Prawdziwi uczeni mężowie, nie biorą w nich udziału, wychodząc z tej sprawiedliwej zasady, iż wiedza na takiem małżeństwie festynów, balów, uczt i posiedzeń naukowych, nie wiele, albo nic nie zyskuje, prawdziwi uczeni usuwają się nawet od nich, przekonani doświadczeniem, iż tu szyld naukowych badań służy do manifestacyj politycznych, lub wycieczek antireligijnych. Dla nauki z takich zjazdów zero, dla szerszego koła publiczności mniej niż zero, jedynie dla podniebienia i żołądków przyrodników korzyść. Postarano się o nią i dla zgromadzonych w Gracu, dostarczając przeszło cztery tysiące butelek niepróżnych. Zjazd liczył do 2250 uczestników, same wielkości naukowe zagadkowej wartości. Z koryfeuszów Dr. Nachtigall wymówił się chorobą, a małpiarz Dr. Vogt wykręcił się dowcipami. Jak było dobrane towarzystwo, można z tego wziąść miarę, iż w gronie badaczów przyrody znaleźli się i badacze cudzych kieszeni. Zebraniu prezydował niejaki Dr. Rollet, c. kr. austryacki profesor, który w przemowie swej od kłamstwa zaczął i na kłamstwie skończył, zaliczył bowiem Gradec do zjednoczonych Niemiec, i uderzył wytartemi frazesami na Jezuitów, z których winy, wiedza na uniwersytecie w Gracu całe wieki miała

odłogiem leżyć. Miernostki literackie i naukowe chcąc zyskać popularność u bezmyślnej tłuszczy, wyprawiają zwykle harce na Jezuitów; nie dziw więc, iż taki karzełek jak Dr. Rollet uciekł się do tego wypróbowanego środka, by sobie zjednać poklask gawiedzi. Z innych tematów, niby naukowych, wypada zanotować, iż zajmowano się pracą kobiet i dzieci w fabrykach; nie wiem, czy nauka, czy inne jakie argumentum kazały tym panom rozstrzygnąć to pytanie na korzyść kapitalistów fabrycznych. Inna wielkość Dr. Benedict z Wiednia, tłumaczył zbrodnię, jako niewinne zjawisko patologiczne; karę śmierci nazwał pogwałceniem prawa, i widocznie w całym swym wykładzie, wiele pięknych materyalistycznych sentencyj przechował *in petto*, snać ujrzał obecnego komisarza policyi. Sprawa palenia zwłok nie przyszła na porządek dzienny, chociaż kilku naturalistów miało już wygotowane filipiki przeciw ultramontańskim agitacyom, przeciw chciwości czarnego internacyonału, który wszystko potępia i odrzuca, gdzie widzi uszczerbek dla swych dochodów. Z radością natomiast mogli panowie przyrodnicy zrobić tę obserwacyę, iż kult natury zyskuje adeptów; młodzi albowiem gimnazyaliści, chcąc się wyzuć z przesądów religijnych, poodtrącali świętym Pańskim na górze Kalwaryi w Schwanberg, to głowy, to ręce. Obok tych tak zadowalniających postępów wiedzy, ma nie mały powód do radości z tego zjazdu i Bismark; prusofilizm bowiem wystąpił tu z odchyloną przyłbicą. Chorągwie niemieckie dominowały przeważnie, a nawet na gmachu ratuszowym; chorągwie zaś o barwach austryackich, gdzieniegdzie nieśmiało powiewały. Ta demonstracya nie wystarczała jednak austryackim czcicielom Bismarka; musiano jeszcze wywołać skandal. Na uczcie pożegnawczej prusak Rinecken wzniósł toast na Gradec jako miasto niemieckie; obecny namiestnik baron Kübeck, zaprotestował tej toastowej anneksyi, pijąc na pomyślność Gracu jako miasta austryackiego; na to zrywa się Dr. Kosjek, adwokat bez klijentów, z egzegezą, iż niemieckie i austryackie to jednoznaczniki, to całość niepodzielna. Dotknięty tą jawną zdradą stanu namiestnik opuścił natychmiast demonstracyjnie zapitych, po większej części, przyrodników. Rozważając tę burdę liberalno-niemiecką, mimowoli nasuwa się następnie refleksya. Nic pospolitszego dla katolików jak spotkać się ze strony liberałów z tym zarzutem, iż ultramontanie są złymi poddanymi, bo ich ojczyzną Rzym. Zjazd w Gracu wykazał dobitnie, kto jest właściwie bezojczyznianym. Tam nie było, ani jednego feudała ani klerykała.

Ale co najwięcej w obec tych demonstracyj przyrodników zastanawia, to zachowanie się dziennikarstwa związcego się austryackiem.

Nie znalazło ono ani jednego słowa skarcenia dla tych prusofilów. Trudno. Kruk krukowi oka nie wykłuje.

Uczciwość dzienników liberalnych jest słynną, nie darmo p. Auersperg uszlachcił ją przydomkiem: skandalicznej. Jak zaś jest skandaliczną, dwa tylko przykłady. Zdarzył się tu wypadek, iż mąż, chcąc się pozbyć żony, by w nowe wejść śluby, zamordował ją. Cóż czynią dzienniki liberalne? zamiast wyrazić swe oburzenie na ten czyn zbrodniczy, opisują z widoczną predylekcyą wszystkie drobiazgi i szczegóły tego nieszczęśliwego małżeństwa, a w końcu uderzają na Kościół, tłómacząc zbrodniarza i zamordowaną tem, iż oboje są ofiarą dogmatu katolickiego, o nierozwiązalności małżeństwa. Zbrodniarz musiał ją zamordować, bo inaczej nie mógł dojść do celu swych życzeń, by inną poślubić. Tak argumentują. Wedle tej potwornej ohydnej logiki, wszyscy złodzieje mogą żądać zniesienia kar kryminalnych, gdyż takowe są im na zawadzie, aby dojść do celu życzeń; zresztą mogą być pewni, iż rabując i łupiąc znajdą w redaktorach życzliwych sobie patronów.

Prasa liberalna tak dziko nielitościwa, gdy idzie o karmienie czytelników skandalicznemi powiastkami, umie się jednak litować, wołać w niebogłosy o pomoc, gdy jakiego żydka skrzywdzą lub spalą, jak to się stało w Teheranie. Cała falanga dzienników tutejszych, wzywa gabinety francuski, londyński, berliński, wiedeński do interwencyi przeciw Persyi. *Tant de bruit pour — un juif* możnaby powtórzyć, czytając te lamenta. W sprawie rzymskiej, w sprawie wschodniej, niewolno interweniować, ale gdy idzie o żyda, mocarstwa obowiązane nie trzymać się tej zasady. Gdy Garcia Moreno padł pod ciosem zabójczym przyjaciół naszych liberałów, w dziennikach nie znalazłeś ani słowa zgrozy, ale gdy wzburzone pospólstwo, kto wie jeszcze za jakie zbrodnie, żyda nieznanego spaliło żywcem, to mocarstwa muszą interweniować. Tak sobie życzą tutejsze *Zeitungi;* lecz zdaje się, iż ich życzenia skończą się na życzeniach tylko.

Zawsze to jest i będzie poniekąd prawdą, iż jacy są czytelnicy taką jest i prasa. Dowodem tego świeże zdarzenie. Pisma propagujące *modus vivendi*, jedno po drugiem upadają, jak niedawno zakończył swój żywot w Węgrzech *Jelenkor*, dziennik katolicki z podszewką liberalną, coś nakształt *Volksfreundu*. Przeciwnie znowu dzienniki ściśle katolickich zasad utrzymują się pomimo konfiskat, procesów i innych prześladowań, gdyż mają racyę bytu swego w tych czytelnikach, których są organem. Najlepszym tego przykładem *Vaterland*. Konfiskata za konfiskatą to jego udział; a ostatni nawet proces skazujący redaktora na czteromiesięczne więzienie i na dotkliwą grzywnę, wcale nie zachwiał

jego egzystencyi. Proces ten miał widocznie cechę tendencyjną: *Vaterland* niewygodny — zawadza — gniewa tą prawdą, którą wypowiada — trzeba mu więc dokuczyć, jeżeli go trudno zabić; a wyrok przysięgłych, jakby już gotowy przyniesiony do sali sądowej przed wysłuchaniem rozprawy, udowadnia jaskrawo, iż instytucya ta, w werdyktach swych kieruje się niestety pobudkami politycznemi, względami stronniczemi. Redaktorzy pism ziejących nienawiścią przeciw Kościołowi, zostających na żołdzie Bismarka, podkopując systematycznie węzły społeczne, są na dobrej stopie z prokuratoryą, lub co najwięcej, doświadczają skutków objektywnego postępowania, ale taki dziennik jak *Vaterland*, za swe przywiązanie do Kościoła i do dynastyi, pokutować musi w więzieniu dlatego, iż potępia liberalną gospodarkę.

Oprócz kondemnaty przysporzył sobie jeszcze *Vaterland* kilku nieprzyjaciół, a to z przyczyny, iż na wakujące kanonie u św. Szczepana podniósł i poleca ultramontańskich kandydatów, a pominął zupełnie kompetentów pochopnych do *modus vivendi*, o których nadto wiadomo, iż są nadwornymi teologami „*Press* i *Blatów*".

Jako przyczynek do *Kulturkampfu* w Austryi zaznaczam, iż sędziwy proboszcz ks. Lesiak, o którym w poprzednim liście wspominałem, że został skazany na kilkumiesięczne więzienie, a później ułaskawiony, właśnie w skutek cierpień moralnych, jakie przebył widząc godność kapłańską tak sponiewieraną, temi dniami nagle dokonał żywota. Śmierć ta zrobiła wielkie wrażenie, a tem bardziej, iż jeden z głównych świadków przeciw proboszczowi, także nagle umarł. *Digitus Dei est hic.* Liberalizm jednak i po śmierci znęcał się nad zgrzybiałym, ale pełnym ducha kościelnego plebanem. Zwłoki jego do parafii (umarł bowiem w podróży) eksportował żandarm; a gdy je chciano wnieść do kościoła parafialnego, wydobył stróż bezpieczeństwa dekret starostwa wzbraniający złożenia trumny w kościele dla odprawienia modłów pogrzebowych. Pochowano więc w cichości jedną ofiarę *Kulturkampfu* — ale wnet postarano się o nową. Oto, jak donoszą, zasłużony kapłan i dziekan ks. Schubert z Morawy zacytowany został przed kratki sądowe, oskarżony o obrazę członka cesarskiej rodziny. Kapłan ten miał niestety to nieszczęście, powiedzieć w kazaniu tę prawdę, iż Cesarz Józef II nie poszanował własności kościelnej. Pamięć katolickiego Ferdynanda I wolno liberałom znieważać do syta i to uchodzi bezkarnie, o Józefie przytoczyć szczegół historycznie sprawdzony, zowie się zbrodnią.

Mimo jednak tych próbek *Kulturkampfu*, zżymają się liberały na rząd za to mianowicie, iż ten wręcz oświadczył, że w sporze

ks. biskupa Förstera z rządem pruskim, zachowa się całkiem neutralnie, uznając go zawsze za biskupa dla austryackiej części jego dyecezyi.

Gmina młodych protestantów zwanych starokatolikami wraz z swym pastorem p. Kürzinger nie więcej jak z 136 wyznawców złożona, znieważa ciągle Kościół katolicki ze swej ambony i w swym organie: *Der freie Staat.* Te obelgi, miotane wciąż na instytucye katolickie, spowodowały prokuratoryę do wytoczenia procesu, a to zgodnie z § 303 k. k. który traktuje o zniewagach wymierzonych przeciw prawnie uznanemu Kościołowi. Jakich wyrazów używa p. Kürzinger, mówiąc o katolikach, przytaczam na próbkę tylko dwa kwiaty elokwencyi starokatolickiej: oto wyznawcy rzymsko-katolickiego Kościoła nazywani są nie inaczej tylko: pachołcy Syllabusa, lokaje Jezuitów, i tak dalej w tym guście. Proces wypadnie zapewnie niepomyślnie dla p. pastora; a jego owieczki radują się, iż przecie będą mieć męczennika o kilkudniowym areszcie. Żydkowie pomimo tygodnia świątecznego zajmują się gorąco tą sprawą i jak łatwo zrozumieć kruszą kopie w obronie starokatolickich insultów. Nie darmo to mówią: pozna swój swego.

Nie jednokrotnie ubolewano nad tem, iż katolicka Austrya nie posiada dotąd odrębnego domu dla missyi wśród pogan. Temu zaradzono właśnie, otwierając w miasteczku Steyl w Limburgu dom w tym celu dla Austryi, Niemiec i Hollandyi. Otwarcie i poświęcenie odbyło się w uroczysty i okazały sposób. Kazanie wygłosił rektor domu ks. Arnold Janssen, właściwy fundator tego instytutu, który pierwszy tę myśl poruszył, i nie spoczął w pracy, aż się stała czynem. Kardynał prefekt propagandy w Rzymie, ks. Franchi, przesłał młodemu zakładowi błogosławieństwo Ojca św. Ponieważ instytut ten zjednał sobie aprobatę wielu kardynałów, biskupów Austryi Niemiec i całego episkopatu holenderskiego, to należy się spodziewać, iż będzie się pomyślnie rozwijać, i sprawom missyjnym znakomite odda usługi.

Miłą wielce, a dość rzadką uroczystość obchodzić będą wkrótce Urszulinki, uroczystość dwuwiekowego istnienia w Wiedniu, i dwuwiekowej wychowawczej swej działalności. Sprowadziła je do stolicy rakuzkiej w r. 1675, cesarzowa Eleonora wdowa po cesarzu Ferdynandzie III, a w szkółce ich, jak to stwierdzają przechowane dokładne spisy, odebrało przez ten czas wychowanie przeszło sto tysięcy dziewcząt. Cyfra ta wymowniej niż wszelkie argumenta zbija owe wyszarzałe komunały, o próżniaczem życiu i o niepożyteczności zgromadzeń zakonnych.

Dla liberałów tutejszych wszystko co kościelne, lub co nie jest niemieckiem, niema snać żadnej wartości skoro aż uniwersytet petersburski

zakupuje cenną słoweńską bibliotekę, zbiory i pozostałe literackie prace zmarłego Dr. Costy. Biblioteka jest niezmiernej wagi dla dziejów Krainy, a jeszcze ojciec Dr. Costy w czasie inwazyi francuzkiej zajął się był jej wzbogacaniem. Dla czego rząd austryacki dozwala, by podobne skarby piśmiennicze wywieziono za granicę? Lecz prawda Dr. Costa — to Słowieniec a nadto ultramontanin, a zresztą rząd niema funduszów, gdyż wiele takowych pochłaniają przedajne pióra, jak o tem mogą poświadczyć i niektóre z dzienników lwowskich, cieszące się względami funduszu dyspozycyjnego.

Pomimo ustaw szkolnych i konfesyjnych Tyrol dzielnie stoi przy chorągwi katolickiej. Wybrani przez wydział krajowy członkowie do rady szkolnej złożyli otwarte zastrzeżenie, że tylko w tych uchwałach będą brać udział, które nie ukracają w niczem praw Kościoła i rodziny do szkoły. Tak to Tyrolczycy nie mogą zasmakować w łakociach zwanych *modus vivendi*, owszem wierzą i wedle tej wiary postępują, że dla katolików niema żadnej pośredniej drogi, tylko stanowczy wybór między uległością bezwarunkową dla Stolicy Apostolskiej, a petroleum doktryn liberalno-katolickich.

LIST Z MONACHIUM.

(Cztery pierwsze sesye sejmu bawarskiego — Katolicy i liberały — Adres i ministrowie — Zarzuty liberałów — Wołania dzienników — Proces Sigla — Wygrana).

Dnia 28 Września popołudniu zeszli się po raz pierwszy zapaśnicy polityczni do sali sejmowej. Książę Luitpold przy dźwięku muzyki, przy eskorcie wojska i gwardyi przybył do sali sejmowej, by w imieniu króla otworzyć sejm i przyjąć przysięgę od posłów i nowowybranych radców państwa. Na drugi dzień zrana o 10tej padła pierwsza potyczka i pierwsza wygrana katolików. Najstarszy członek Izby otworzył posiedzenie, podzielił posłów na siedm sekcyj i poczęło się głosowanie na prezesa kartkami. Wedle tego, jak byli wezwani, szli posłowie do urny. Ale zaledwie część wracała do ław; reszta zaś pozostała na środku, jak gdyby pragnęła obecnością swoją przysporzyć liczby wrzuconych kartek. Ostatni z wezwanych musieli przebijać się przez tłum. Poczęło się skrutynium. Jak postacie z kamienia z zwróconym ku prezesowi wzrokiem, stali naprzeciw siebie liberali i katolicy. Wśród ciszy największej powtarzały się monotonnie dwa tylko imiona: *Freiherr von Ow! — Freiherr von Staufenberg!* Ostatnia padła karta... zliczono głosy... 78 *Ow* — 76 przeciwnik. Siedziałem nad ławami katolików, słyszałem niemal jak piersi odetchnęły głębiej po chwili niepewności, chwili męczarni, widziałem jak ręce zbiegły się w uścisku, winszując sobie tej pierwszej wygranej. Tam w dali przedemną wśród szeregów lewicy cichy szmer, na twarzach wyraz zakłopotania, zwykły po dotkliwem upokorzeniu, w oczach trochę obawy, więcej szyderstwa i złości. Wśród zupełnej ciszy powstaje hr. Ow, dziękuje za zaufanie i oświadcza, że przewodnictwo przyjmuje. Hr. Staufenberg przez cały ten czas zdawał się być bardzo zajętym gładzeniem paznogci u swej dość pulchnej ręki. Nastały wybory drugiego prezesa i znowu 78 i 76. Przy ostatnich wyborach w obozie liberałów widoczne zamieszanie, połowa siedziała w drugim pokoju, zajęta gwarną rozprawą, ledwo można było dowołać się, by przyszli do urny. Drugim prezesem wybrany Kurtz z Aschaffenburg. Pierwszym sekretarzem Jorg, dobrze już liberałom znany przeciwnik, najgorętszy mówca opozycyi w roku 1871, gdy szło o przyjęcie traktatów wersalskich. Drugim sekretarzem obrany hr. von Loden, młody dwudziestokilkuletni człowiek. W czasie gdy głosowano na niego, kręcił się w drugim pokoju wśród liberałów, i jak widać było z twarzy, drwił potrocha z ich zakłopotania. Skrutynium wyborów na dwóch jeszcze sekretarzy pozostawiono już dyrektoryum, a nazajutrz okazały się znowu też same liczby 78 i 76 i znowu dwóch ultramontanów: hrabia von Griesenbeck i Hauser. Ale nietylko własna wola katolików dała im zwycięztwo, nawet sekcye rozlosowane po 22 członków w każdej, wypadły tak, iż w czterech większość katolików, w jednej równość głosów i tylko w dwóch padła większość po stronie liberałów. Na drugi dzień przybyło 6 skarg na postępowanie bezprawne podczas ostatnich wyborów. Losowano znowu i tylko jedną skargę oddano do osądzenia liberalnej sekcyi. Skarga na wybory w okręgu Monachium miasto przypadła sekcyi, w której Jorg, Freitag, Kurtz. Na tę wieść monachijscy posłowie opuścili głowy — godziny ich poselstwa już policzone. Przyszło do obioru komisyj sejmowych. W trzech: do porządku spraw, do petycyi, do zażaleń większość katolików; jedna tylko do spraw finansowych w ręku liberałów. Tak więc cała Izba znalazła się w rękach katolików. W dwóch szturmach wzięto wszystkie forty, a jutro szturm do cytadelli — do ministeryum. Już po tych pierwszych potyczkach prasa liberalna spazmów dostała. *M. Nachr.* to wyrzucało katolikom, iż oni się nie znają na grzeszności, to że nie mają pojęcia o tem, co to jest *courtoisie (!)*

bo nawet drugiego prezesa i drugiego sekretarza nie zostawili liberałom — to znowu wołało, że wybory takie to nadużycie większości (?!!!). Ten sam organ podczas wyborów, gdy katolicy krzyczeli na ową sławną geometryę wyborczą, ów podział bezprawny okręgów, tak że setki gmin katolickich musiały przepaść przy głosowaniu — ten organ wołał z emfazą, że to wcale nie bezprawie, a tylko użycie dzierżonej w tej chwili władzy.

Po pierwszem walnem zwycięztwie poczęły się podjazdowe utarczki i przygotowania do stanowczego kroku. Na trzeciem posiedzeniu 2 Października Kurtz podał wniosek adresu do króla, Staufenberg w imieniu lewicy protestował. Przyszło na głosy i cóż?... 79 i 77. Z prawicy wołane tak, z lewicy nie... Wybory do komisyi adresowej dały 8 katolików i 7 liberałów. Drażliwą następnie podniesiono kwestyę, a to mianowicie, jak się ma odbywać kontrola wyborów. Katolicy zażądali, by okręgi szły pod debaty w tym porządku, w jakim je sam rząd postawił. Monachium miasto szło na pierwszy ogień. Liberali zaprotestowali dowodząc, że prawica dlatego to żądanie stawia, by wnet otrzymać sześć głosów więcej, wybory bowiem w Monachium będą na pewno unieważnione. Złapał ich za to słowo poseł Hank, wskazując, że widocznie sami to czują, że wybory w Monachium mieście odbywały się wbrew prawu. Przyszło do głosowania i... czyż mam mówić, jakie liczby wypadły?... Prasa liberalna po tem posiedzeniu dostała recydywy spazmów. Jak szalona wołała o rozwiązanie Izby. Wołanie bezpodstawne — Izba nic przeciw konstytucyi państwowej nie zrobiła, a król Ludwik zanadto znany ze swego konstytucyonalizmu, by mógł zadać kłam swoim zasadom i zadać cios swobodom narodu.

Lecz wszystko to było jeszcze niczem w porównaniu z wrażeniem, jakie wywarła wiadomość o treści adresu do króla. Do 7 Października prócz autora Jorga i kilku jeszcze członków prawicy, nikt nie wiedział, co on ma zawierać. Domyślano się i bardzo trafnie, lecz nie śmiano mówić. We czwartek na posiedzeniu komisyi Jorg odczytał swój projekt. Adres woła na króla słowami ojca jego Maksymiliana II (którego pomnik za kilka dni zostanie odkrytym na jednym z placów miasta): „Ja chcę zgody z narodem moim“, zanosi skargi na rządy liberalne i żąda usunięcia ministeryum, które otwarcie wyznało, iż przedstawia stronnictwo. Dowodem zaś tego fakt, iż minister Faustle jest zarazem posłem w obozie liberałów, a całe ministeryum oświadczyło, iż jest solidarnem, a więc otwarcie przyjęło stronę liberałów. Drugim faktem jest podział okręgów

wyborczych, owa sławna geometrya wyborcza. I to, to właśnie podnosi najotwarciej adres. Wrażenie, jakie bliższa wiadomość treści adresu zrobiła na jedno i drugie stronnictwo, odbiło się jawnie na posiedzeniu ogólnem nazajutrz. Rzecz szła o dwa projekta praw w dziedzinie finansów. Katolicy żądali, by odesłać ją pod obrady komisyi finansowej, liberali żądali, aby natychmiast obradowano, udając, że im idzie o pospiech spraw sejmowych. Spór się rozpalił naraz. Dr. Frankenburg posunął się aż do wyrażenia, że prawica skoro nie chce odrazu obradować nad tak łatwą rzeczą, daje więc przez to Izbie świadectwo bankructwa! Ksiądz Nusswurm z pogardą niemal wspomniał, że na ten zarzut nie myśli odpowiadać, wykazał potrzebę bliższego rozpatrzenia, „a jeśli wam o czas chodzi panowie, to tam spytajcie tych panów! — krzyknął basowym głosem, wskazując na stół ministrów — dlaczego zwołują sejm Bawaryi w przeddzień sejmu całego państwa Niemiec? Dlaczego sejm musi na gwałt kończyć swe prace“? Skrzywiły się usta ministeryalne na to nie w salonowym tonie zrobione wezwanie. I znów dwa razy głosowano i znów po prawicy padło 79 głosów, ale po lewicy już tylko 71. Opadły skrzydła liberałom. I stało się, że nie w skutek kontroli wyborów, bo ta jeszcze nie skończoną, lecz w skutek prostego rozumowania: po co stać w szeregu, gdy i bezemnie będzie na pewno porażka, sześciu posłów z lewicy nie przyszło do Izby. Na temże posiedzeniu prezes oznajmił, iż król przyjął łaskawie prośbę dyrektoryum o osobistą audencyę, dla której zjedzie wkrótce do Monachium. Na drugi dzień doszła wieść, iż projekt adresu, zredagowany przez Jorga, przyjęty został w komissyi adresowej. W obozie liberałów zamieszanie ogromne, prasa liberalna straciła zmysły w całem znaczeniu tego słowa. Na gwałt woła na ministeryum, by spieszyło z rozwiązaniem Izby, a posłów zaklina na wszystko, aby wszyscy opuścili salę poselską, jeśli tylko w skutek kontroli choć jednego z ich grona unieważnią wybór. Wołania te podaję tylko jako symptom zastraszający w stanie umysłowym tej biednej spazmatycznej istoty — nikt nawet z liberałów nie patrzy na to inaczej...

Straszniejszem jest jednak to, co najrozumniejsi z liberałów knują w swoim obozie po za kulisami publicznych działań. Powiadają: puśćmy teraz ultramontanów do rządu — wpływów, jakie mamy na lud, nie potrafią nas pozbawić. Oni będą u rządu, a my swemi wpływami będziem nurtowali pod niemi i potrafimy ich tak zaplątać, że się zdyskredytują na wieki, lud uzna ich za bankrutów moralnych, a wtedy my chwycim rządy na nowo.

Wśród takich to wołań, wśród takich gróźb prowadzą patryoci swą pracę. Nie dziw więc, jeżeli dziś już tracą krew zimną, którą umieli jeszcze zachować na pierwszych sesyach Izby. Oto obecna pozycya katolików w Bawaryi! Teraz mi staje jasno cała doniosłość słów umieszczonych w programie wyborczym katolików: „Idziemy na ostatni bój, jeżeli my padniem, to nikt już po nas walczyć nie będzie w obronie swobód Bawaryi“!!

Co się stanie z adresem i jak wygląda zgromadzenie sejmu, opowiem w następnym numerze — tu nadmienię tylko, iż zwyciężyła partya katolicko-ludowa.

PS. Przed tygodniem zaledwo pod eskortą żandarmów przywieziono tutaj Sigla z Norymbergi, by jeszcze raz stanął przed sądem przysięgłych, za obrazę Bismarka. Ze smutkiem ciągnęło do sali sądowej kółko jego osobistych i literackich przyjaciół, więcej by obaczyć tylko, jak wygląda, jak się miewa, a nie w nadziei dobrego rozwiązania sprawy. Drzwi się otwarły. Cała publiczność, by go lepiej widzieć, ruszyła się z miejsc. W towarzystwie żandarmów pokazał się Sigl. Takiż sam jak był: żywy, ruchliwy, twarz tylko zmieniona, rysy zaostrzyły się nieco. To skutki więzienia, których nikt nigdy uniknąć nie może. Przy stole prokuratora pokazała się znowu taż sama co zawsze przy procesach Sigla, wstrętna nadzwyczaj katolikom, postać hr. Leonrod. Pewny on, widać, wygranej, bo oblicze jego przybrało wyraz zimny, obojętny. A jednak bystre oko snadnie spostrzedz mogło, jak drgają na skroniach i ręku muszkuły — czyżby w głębi duszy jego miał jakiś panować niepokój?... Rozpoczęło się losowanie sędziów. Pan Leonrod odrzuca pięciu. A skoro prezes wyciągnął z urny sędziego, jakiegoś obywatela ze wsi, prawdopodobnie szczerego katolika, p. Leonrod wygłasza z pospiechem: *abgelehnt!* Sigl nie korzysta z prawa, nie odrzuca żadnego z sędziów. Prezes nadzwyczaj bezstronnie rozpoczyna prowadzenie sprawy, toczącej się o artykuł: *książę Bismark i Kościół katolicki.* W artykule tym autor dziękował Bismarkowi za to, że on prześladowaniem swojem nietylko poparł sprawę Kościoła, ale obudził jeszcze uśpione duchy i rzucił ich do ofiary i pracy. Głównie inkryminowanym ustępem były te słowa: „Książe! nie spostrzegłeś się w jaką puściłeś się grę! Tak! ale ty możesz zwyciężyć. Tam! gdzie pomoc, żelazo i krew idą w sojuszu z *szalbierstwem politycznem*, z ludźmi *à la* Klapka i Garybaldi, z przekupną prasą i służalcami, tak, temi środkami możesz chwilowo zwyciężyć... ale Kościoła dosięgnąć nie zdołasz niemi nigdy“. Sigl bronił się sam. Twierdzi on, iż słowa te oznaczają przypuszczenie, ale nie postawił ich jako fakt dokonany i daje przysięgłym taki przykład: „Gdyby ktoś o mnie tak mówił: jeżeli ciągłe sadzanie do więzienia w sojuszu z dobrymi uczynkami, modlitwą i postem prowadzą do nieba, to Sigl może być zbawionym... ale do Izby wybranym nie będzie... czy z tego wypada, że ja rzeczywiście modlę się i poszczę i pełnię dobre uczynki“? Cała sala trzęsła się od śmiechu. Dwa razy przemawiał p. Leonrod, a dwa razy Sigl. Ostatecznie sędziowie odeszli na ustęp i po kwadransie narady na zapytanie, czy znajdują winę w postępku Sigla, jednogłośnie odpowiedzieli nie! Sala krzyknęła sędziom brawo! Prezes zawołał: nie wolno! ale już było po niewczasie. Pan Leonrod zakłopotany schował się w głąb swego kurulnego krzesła.

Od pięciu lat nie pamiętają, by sprawa obrazy Prusaków skończyła się tak pomyślnie. Dziwna zaprawdę rzecz, jak osobiste koleje tego człowieka splatają się z losami jego ojczyzny. Przy wyjściu z sali gromadka przyjaciół cisnęła się ku Siglowi, winszując mu tego powodzenia, opowiadając o zwycięztwach katolików na sejmie. Wówczas przyszły mi na myśl słowa jednego z korespondentów, który go żegnał w jego własnem piśmie wtedy, gdy z Salzburga wiezli go żandarmi do Norymbergii. „Na dziś przy nich jest zwycięztwo, ale nie na długo! Krzep się na siłach wierny obrońco sprawy! Bóg da, że gdy wyjdziesz z więzienia, witać cię będziemy słowami: my zwyciężyli!“ W dziedzińcu przy świetle latarni jeszcze raz uścisnął ręce przyjaciół, siadł do powozu z żandarmem, a turkot kół po bruku zagłuszony został okrzykiem zgromadzanego ludu: *Hoch Sigl! Hoch Vaterland!*

Michał Żmigrodzki.

Kronika.

W kielnię i miecz uzbroić się musieli Izraelici po powrocie swoim z niewoli babilońskiej, chcąc na nowo odbudować świątynię Salomonową i zburzone miasto Jeruzalem. Kielnią wznosili mury, a mieczem odpierali napady uderzających na nich ludów. Takie samo zadanie dostało się dzisiaj i nam katolikom. Równocześnie musimy mozolnie pracować i ciężki bój toczyć. Pracować nad zaprowadzeniem zburzonego w pojęciach chrześcijańskiego ładu i walczyć bez wytchnienia z nieprzyjaciołmi Chrystusowego Kościoła! Ależ ta walka mozolna i ta praca ustawiczna, są właśnie najpiękniejszym charakterem katolicyzmu, który jakby zakuty zawsze w rycerską zbroję Chrystusowej wiary, potyka się śmiało z zastępami licznych wrogów Boga. Placem boju

świat cały. W Ameryce południowej równie jak i w północnej Europie wre bój straszliwy, na śmierć lub życie. Tam i tutaj biskupi i wierni ponoszą więzienia, kary i wygnania, za to tylko, że ustąpić nie chcą, ani zawrzeć pokoju z tymi, o których powiada pismo, że *non est pax impiis*. Ostatni, zdają się być dziś górą. *Haec est enim hora eorum et potestas tenebrarum*. Ale ta godzina przejdzie, przejść musi, a od nas nawet katolików po części zależy, aby jej koniec przyspieszyć! Katolicy we Francyi, pierwsi zrozumieli to swoje zadanie. W zwartym bojowym szyku, wystąpili oni do walki z rewolucyą. I po pięćdziesięciu latach mężnego boju, wywalczyli wolność wyższego nauczania. Jestto już niemałe nad rewolucyą zwycięztwo. Przyszłe dopiero czasy okażą, jakie korzyści przyniosą Kościołowi zakładane obecnie katolickie uniwersytety we Francyi. Przewidują też to dobrze rewolucyoniści. Czują, że z czasem utracić muszą grunt pod swemi nogami i dlatego wraz z liberałami wszelkich polityczno-religijnych odcieni podnoszą przeciwko temu wrzask niewypowiedziany. Oni, którzy niedawno jeszcze wolność na ustach mieli, przeciw tej samej wolności oświadczają się dzisiaj. Za przykładem katolickiej Francyi, pójdą i inne narody. Już i we Włoszech, żwawiej biorą się do dzieła. Odbyty niedawno kongres katolicki we Florencyi te same wytknął sobie cele. Wielka postać O'Connella postawiona tam była za wzór katolikom włoskim. Brak miejsca nie pozwala nam opisać szczegółowo tego nadzwyczaj świetnego zebrania, w którem najpierwsze katolickich Włoch illustracye udział wzięły. Wspomnimy tylko, że w samych obradach kongresu przeszło tysiąc członków uczestniczyło. — Wspaniała mowa margrabiego Sasoli-Tomba, piętnująca opłakane skutki liberalnego gospodarstwa we Włoszech, niesłychane wywarła na zgromadzonych wrażenie. — Książę Salvietti przewodniczył zebraniu. A jeden z najpierwszych zapaśników pióra w katolickim obozie słynny ksiądz Alberi, redaktor *Osservatore Cattolico* w Medyolanie, nie szczędził katolikom ostrych wyrzutów za ich ospałość i zaniedbanie się w spełnianiu służby publicznej na polu dziennikarstwa. „Niemasz wołał on, potężniejszej w tej chwili broni do wywalczenia sobie wolności religijnej i obywatelskiej nad dziennikarstwo. Patrzcie na Francyą, po 50 latach zwyciężyła ona tam, gdzie dzisiaj jedynie zwyciężać można: w wyborach, w parlamencie, tam, gdzie się dzisiaj rozstrzygają zwykle losy ludów, a zwyciężyła nie samą modlitwą, ale przez zespolenie się katedry dziennikarskiej z kazalnicą kościelną". Kongres rozpoczął swe prace od wysłuchania mszy św., w starożytnej florenckiej archikatedrze. Mnóstwo telegramów z całego świata odebrano na samym początku. Najznakomitsze w świecie katolickim osoby, słały pozdrowienie zgromadzonym swym braciom. W chwili, gdy na nie uchwalano odpowiedź, jeden z członków kongresu zażądał, aby uwięzionemu kardynałowi, Prymasowi Polskiemu, przesłano wyrazy współczucia. Na te słowa, skoro imię Ledóchowskiego usłyszały tłumy zebranego ludu, wnet z kilku tysięcy piersi rozległ się po ogromnej bazylice grzmot głosu: *E viva il cardinale Ledóchowski!* Po zakończeniu obrad kongresu, wybrana poprzednio przez członków deputacya, udała się natychmiast do Rzymu, aby zdać sprawę z podjętych tam prac Ojcu Św. Książę Salvietti przewodniczył deputacyi. Ojciec Św. po odczytaniu adresu pochwalił prace kongresu i w dobitnych wyrazach potępił zasady liberalnych katolików. W parę dni po tej audyencyi, stanęli przed Ojcem Św. przybyli do Rzymu liczni nader pielgrzymi Belgijscy. W mowie, do nich powiedzianej, zachęcał

ich Ojciec Św. do ustawicznego walczenia w obronie swobód i praw św. Kościoła.

— Zmarły przed niedawnemi czasy świątobliwy, a dzielny arcybiskup de Mérode jeszcze w roku 1863 zakupił był od gminy rzymskiej ogromne obszary ziemi, zawalone ruinami między bazyliką Maria Maggiore, a dworcem kolei żelaznej leżące, gdzie za jego staraniem i jego kosztem powstała nowa dzielnica miasta. Otóż municypium rzymskie po wejściu już Piemontczyków do Wiecznego Miasta postanowiło przeprowadzić nową w tem miejscu ulicę zwaną *Via nazionale* — należało jednakże spłacić zabrany pod nią grunt właścicielowi. Ś. p. arcybiskup de Merode zrzekł się jednak wszelkiego wynagrodzenia z warunkiem, aby miasto w przeciągu trzech lat wybudowało ulicę i złożyło sto tysięcy franków kaucyi w banku, jako rękojmię, że tego warunku dotrzyma; w przeciwnym razie tak kaucya jak i grunt zabrany wraca do właściciela. Miasto ugodę podpisało. Tymczasem trzy lata już ubiegły, a zadłużona po same uszy gmina zaledwie rozpoczęła robotę. Spadkobiercom więc przysługiwało wszelkie prawo zabrania gruntu i kaucyi na swoją własność. Atoli hr. Werner de Merode, spadkobierca majątku po zmarłym arcybiskupie, miasto praw swoich dochodzić, grunt cały i kaucyę darował miastu. Dar to prawdziwie królewski. Należało mu się za to podziękowanie. Jednakże rajcy rzymscy nie poczuli się wcale do tego obowiązku, jakby dlatego, aby raz jeszcze całemu światu dowieść, że niewdzięczność jest także jedną z głównych cech charakteru wszystkich liberałów. Natomiast wybito złoty medal na cześć Garibaldego, by uczcić pamięć przybycia do włoskiego parlamentu tego starego kondotiera rewolucyi.

* * *

Pątnicy polscy w Rzymie. „Pielgrzymi rzymscy szczęśliwie stanęli na miejscu. Najprzód przybyli: ks. kanonik Turzański, ks. Sobczyński i ks. Jan Jasiński, proboszcz z Sassowa, który się w Wiedniu przyłączył do pielgrzymki; za nimi podążyli niebawem ks. Hołyński, ks. Jahner i ks. Turkułł. Przybycie sześciu kapłanów polskich miłe sprawiło wrażenie w Rzymie u tych, którzy Polsce sprzyjają. Ze wszystkich stron świata schodzą się kapłani *ad limina apostolorum*; z Polski nie często kogo z duchowieństwa się spotyka. Nasi pielgrzymi zaraz nazajutrz po swem przybyciu mieli naznaczoną sobie audyencyą u Ojca Św. Było to w sobotę, dnia 2 Października. „O godzinie 12" pisze nam jeden z pielgrzymów „wprowadzono nas na salę audyencyonalną, gdzieśmy zastali wielką liczbę kapłanów francuzkich i kilkanaście osób świeckich. Byliśmy przekonani, że wspólnie mieć będziemy posłuchanie, tymczasem po chwili zawezwano nas do osobnego pokoju. Tu wkrótce ukazał się Pius IX, wsparty na lasce, w licznem otoczeniu swego dworu, mianowicie kard. Pacca i t. d. Ksiądz Przewłocki ze Zgrom. Zmartwychwstania Pańskiego, który nam towarzyszył, przedstawił nas jako kapłanów polskich, a ks. kan. Turzański wyraził kilku słowy cel naszego przybycia do Rzymu. Ojciec Św. dowiedziawszy się, żeśmy Polacy, widocznie ucieszył się wielce, a zwróciwszy się ku ks. Przewłockiemu, zapytał z największą słodyczą: „cóż mam dla tych biednych moich Polaków uczynić?" — „Oto proszą" rzekł ks. Przewłocki „o błogosławieństwo dla siebie, swych parafian, krewnych, znajomych". Na co Ojciec Św. udzielił wszystkim błogosławieństwa, mówiąc: błogosławię was,

wasze rodziny, waszych parafian. Gdy Ojciec Św., przechodząc koło nas klęczących, zbliżył się do ks. Hołyńskiego, ks. Przewłocki rzekł, iż tenże przynosi świętopietrze, zebrane przez redaktora *Przeglądu Lwowskiego*. Ojciec Św. przeżegnał grosz wdowi i zwrócił się ku jednemu z monsignorów, który odebrał od ks. Hołyńskiego woreczek z pieniędzmi w złocie i list ks. Podolskiego do Ojca Św. Gdy przyszła kolej na ks. Turkułła, rzekł ks. Przewłocki, iż to jest proboszcz z miejsca, gdzie są Siostry Niepokalanego Poczęcia N. P. M. Ojciec Św. przypomniał sobie to zgromadzenie, a patrząc na ks. Turkułła, rzekł, uśmiechając się, że on najmłodszy jest z pośród nas przybyłych. W końcu upoważnił Ojciec Św. nas wszystkich do udzielenia apostolskiego błogosławieństwa parafianom, pobłogosławił krzyżyki *cum indulgentia in articulo mortis*, i odszedł do sali konsystorza, gdzie go oczekiwały przybyłe panie, my zaś ucieszeni i napełnieni szczęściem, jakie katolikowi, a w szczególności kapłanowi, daje widok zastępcy Chrystusa, opuściliśmy Watykan".

Już po złożeniu tego artykułu z *Wiadomości Kościelnych* doszły nas listy z Rzymu, w których nam piszą, że ks. Otton Hołyński, ks. Turkułł, proboszcz z Jazłowca i ks. Jahner proboszcz z Tarnopola, zanim przybyli do Rzymu, zwiedzali i po drodze miejsca uświęcone grobami wielkich świętych, lub sławne z dzieł sztuki chrześcijańskiej. „W Padwie, pisze nam jeden z kapłanów, zwiedziliśmy pyszny kościół św. Antoniego i inne świątynie; w Bolonii oglądaliśmy 8 kościołów; przy ołtarzu św. Katarzyny miałem mszą św., a że zwiedzał ten kościół wtedy właśnie biskup z Osimo, przyłączyliśmy się do niego i jemu zawdzięczamy, żeśmy wszystko — rozumie się i św. Katarzynę — jak najdokładniej mogli oglądnąć. Z Bolonii puściliśmy się na Ankonę do Loreto, gdzieśmy cały dzień zabawili. Francuzkich księży zastaliśmy tak wiele, że do godziny 4 popoł. od rana był ołtarz w domku przez nich zajęty. Mieliśmy mszą św. przy oknie domku. Przy pomocy O. Norasa, spowiednika polskiego, oglądaliśmy wszystko, był to dzień dla nas może najprzyjemniejszy. Z Loreto przybyliśmy rano do Asyżu, gdzie miałem z ks. Turkułłem mszą św. na grobie św. Franciszka. Przykre wrażenie zrobił na mnie górny kościół zabrany przez rząd, który wyrzuca ołtarze, ławki i tym podobnie. Kościołem Porcynkuli nie mogliśmy się dość nacieszyć. Zwiedziliśmy też kościół św. Klary, która tam spoczywa i innych kilka kościołów. Widok z Asyżu i Loretu na okolicę nie da się z niczem porównać, również widok miasteczek zawieszonych po skałach i urwiskach, wzbudza podziwienie. W Rzymie wszystko, cośmy dotąd widzieli, przeszło nasze oczekiwanie. Jesteśmy jakby zaczarowani. Kościół św. Piotra im częściej zwiedzany, większe wzbudza podziwienie; zmierzyłem go już wzdłuż i wszerz, od dołu do góry, bo byłem aż w owem jabłku pod samym krzyżem. Dla OO. Zmartwychwstańców czujemy niezmierną wdzięczność, wszędzie nam towarzyszą — bez nich nicbyśmy nie widzieli, dlatego też skoro wczoraj rozpoczęli pięciodniowe rekolekcye — jedziemy do Neapolu zkąd powrócimy we Czwartek, aby dalsze w ich towarzystwie robić wycieczki. Dotąd 20 kościołów zwiedziliśmy, stary Rzym, Kapitol i t. p. wszystko wzbudza podziw i podnosi ducha — szczególnie pobożność ludu modlącego się po kościołach. Dotąd nic nas nie raziło — nie zgorszyło — i da Bóg z tem samem uczuciem będziemy dalej pielgrzymować."

Ze Lwowa. Niech żyje redaktor *Tygodnia!* Wypalił serdeczną dla swego pisma pochwałę. „Pochwały nas nie zepsuły", woła on w wydanej od siebie do swych czytelników odezwie *Tydzień*, „bezustannie rozwija się i ulepsza", „angażując" (*sic*) „nowych pisarzy" i „jeżeli był dotąd dobrym (*sic*) odtąd będzie lepszym". Ba...ga...te...la! Przezacny pan Rogosz! Nikt go nie chwali, to on przynajmniej sam się chwalić musi. *E viva!* Stare Rzymian przysłowie: *propria laus sordet* nic go nie obchodzi!

Mówiąc o p. Rogoszu, przychodzi na myśl i p. Jan Dobrzański. Tak jest, p. Dobrzański, redaktor *Gazety Narodowej*. Dotychczas nie wiedzieliśmy wcale, że on jest wielkim zwolennikiem *kankana*. *Gazeta Narodowa* wydała go z tego. W artykule przeciwko *Warcie* broni ona tej arcyskromnej rozrywki. Biedna *Warta*! Napróżno dowodziła niedawno, że u nas w Polsce niema ani liberałów ani ultramontanów. P. Jan Dobrzański nie zważał na te jej filozoficzne argumenta. Oburzony do żywego, że śmie potępiać ulubiony mu taniec, zrobił ją pismem ultramontańskiem. Co na to powie *Warta?* Sprawdza się na niej wyznawane przez nią *credo: fatis agimur cedite fatis*, które na czele swych kolumn umieszcza w tych słowach: „Czy chcemy czy nie chcemy, czem Bóg chce, tem będziemy". I stało się, że nawet i p. Jan Dobrzański chce ją widzieć ultramontańską. Daj Boże, aby taką została. Panu Dobrzańskiemu powinszować należy wybrednego nadzwyczaj gustu. Potępiać go nie można. Oddawien dawna przyzwyczajony on wyprawiać kankana w swej *Gazecie*. Wszystko jednakże winno mieć granice. Tymczasem pan Dobrzański nie chce o tem wiedzieć. Bijąc w *Wartę*, rzuca się na katolików i potakuje Bismarkowi. Srogie prześladowanie Kościoła w Poznańskiem jest wedle niego tylko sporem rządu z hierarchią, skutkiem którego zaledwie kilkudziesięciu uwięziono księży. Tak więc książę Bismark znalazł jednego więcej w panu Dobrzańskim zwolennika swego systemu. Powinien teraz dać mu order. Szczęśliwy p. Dobrzański. Niech kankanuje!

— *Dziennik Polski* w numerze 235 napisał pełen obawy o przyszłość katolicyzmu artykuł. Pozwala on sobie jednak dawać tutaj nauczkę naszemu sędziwemu i pobożnemu Arcypasterzowi, a to — za urządzenie trzechdniowego przebłagalnego nabożeństwa z powodu, skradzenia Najświętszego Sakramentu w szpitalu Hofmana. *Dziennik* twierdzi, że Pan Bóg nie jest mściwym, aby za takie zbrodnie karał miasta i narody i dodaje, że „takie pojęcia chyba w pogańskich czasach byłyby na miejscu, a nie w XIX wieku"! Zaprawdę trudno z *Dziennikiem* wchodzić w rozprawę. *Lingua fallax non amat veritatem.* Kto zresztą niedawno nazywał katolicyzm rzymską strychniną, ten o zasadach nauki chrześcijańskiej nie może mieć pojęcia. Więc mu się nie dziwić, że największe nawet w świecie zbrodnie znajdują w nim zawsze gorliwego obrońcę. Dziwić się chyba temu tylko należy, że p. Tadeusz Romanowicz, naczelny redaktor *Dziennika*, umie dotąd znosić sąsiedztwo kapłanów tej religii, do której w swem piśmie taką nienawiścią pała, i że nie uważa za stosowne porzucić zajmowanego dotąd przez siebie mieszkania w domu kapitulnym. *Dziennikowi* wszystko dzisiaj wolno. Niedawno znieważył Ojca Św., teraz rzuca się na innego czcigodnego Starca, naszego Arcypasterza. Zapomniał on snać o reprymendzie, jaką wyciął niedawno (w Nr. 184) djaczkom przemyskim za to, iż śmieli, jak donosiło *Słowo*, żądać od Najprzewielebniejszego ks. biskupa Stupnickiego wytłumaczenia się ze zmiany wyrazu prawosławnaja na prawowier-

naja. O biedny narodzie ruski! wołał on wtedy, kiedy u ciebie djakowie więcej mają znajomości w obrządku, aniżeli biskupi. Otóż i nam dzisiaj wobec tego rzucania się *Dziennika Polskiego* na naszego Arcypasterza, niemal jego słowami, zawołać przychodzi: o biedni mieszkańcy Lwowa, kiedy pomiędzy wami takie nawet pismaki, jak redaktorowie *Dziennika* mają smutną odwagę dawać naukę Waszemu Ojcu i Nauczycielowi! Zaprawdę kiedy Beranger śpiewał te słowa:

Parlons bas,
Parlons bas,
Ici près j'ai vu Judas
J'ai vu Judas, j'ai vu Judas,
Curieux et nouveliste,
Cet observateur moral
Il se dit journaliste,
Et tranche du liberal
Enfin sa bouche flétrie
Ose prendre un noble accent
Et des meaux de la patrie
Ne parle qu'en gémissant

mimo wiedzy podał w nich wierny bardzo obraz redaktorów *Dziennika Polskiego!*

† Na dniu 9 b. m. zmarł niespodziewanie po krótkiej chorobie Aleksander Vogel — dzierżawca drukarni Ossolińskich. Od pierwszego tutaj zawiązku Towarzystwa Św. Wincentego à Paulo był on czynnym i gorliwym jego członkiem, znali go dobrze ubodzy i oni najlepiej ocenić potrafią stratę, jaką ponieśli. Ś. p. Aleksander Vogel należał do liczby tych prościuchnych, ale pełnych cnót ludzi, którym zawsze w szczególniejszy sposób łaska Boża daje rozpoznanie prawdy od fałszu i sprawia, że najsubtelniejsze kwestye religijne stają się dla nich zrozumiałemi. Jako drukarz, doszedłszy od prostego maszynisty do znacznego osobistą pracą i zabiegliwością zebranego majątku, nigdy nie wdał się w żadne przedsiębiorstwa, mogące obrazić głęboko religijne jego sumienie — proponowaną mu nawet w ostatnich czasach niemałej materyalnej korzyści spółkę odrzucił, bo, jak mówił chce z czystem sumieniem stanąć przed sądem bożym. W wydawnictwie *Unii* znaczne również poniósł ofiary. Cześć jego pamięci! pokój jego duszy!

ŚWIĘTOPIETRZE

(Serya V)

ZŁOŻYLI W REDAKCYI:

Z ziemi łez i ucisku z głębi Litwy rubli 6 i jeden dukat w złocie	— złr.	— ct.
N. N.	— „	50 „
Z prośbą o błogosławieństwo		
Ks. Józef Kozik od siebie i od swych parafian z Cieszanowa 1 talar austr. w sr. i 46	„ —	„
Razem rubli 6, talar 1 dukat 1. 46 złr. 50 ct.		

Korespondencya Redakcyi.

Wiel. Dr. N. w Wielkopolsce — Upraszamy o obszerny opis procesu księdza kanonika Kurowskiego.
Wiel. ks. Gołda w Krakowskiem — Zrobimy wszystko.
Wiel. ks. Grabowski — Bóg zapłać, za pamięć serdecznie dziękujemy.
Wiel. ks Siemieński w Krakowie — *Chata* wysłana — Zrobimy chętnie — Wysyłamy.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor ks. Edward Podolski.

List Ojca Świętego.

Otrzymać pochwałę i zachętę do pracy z ust Chrystusowego Namiestnika było i będzie zawsze dla każdego z wiernych, a tembardziej kapłana, niemałą pociechą i najpiękniejszą chlubą. Takie szczęście już po raz trzeci spotyka nas znowu. Tak! Po raz trzeci w ciągu pięcioletniej pracy naszej na polu katolickiej publicystyki podoba się Ojcu Świętemu błogosławić nam z wysokości Tronu Swojego i zaszczycać nas listem Swoim. A nie naszym to pracom, ale niewypowiedzianej ojcowskiej dobroci Jego i Jego gorącej do nas Polaków miłości zawdzięczamy tę łaskę. Jego to słowa i Jego Apostolskie błogosławieństwo sprawiły, że nasz *Przegląd* mimo licznych swych usterek, mimo tylu nieprzyjaciół, jacy zguby jego pragną, rozwinął się, pozyskał większe, niż mogliśmy się kiedybądź tego spodziewać, koło czytelników i przyjaciół swoich i zajął takie w świecie katolickiej publicystyki stanowisko, że zarówno niemieckie, jak francuzkie i włoskie katolickie pisma nie rzadko przytaczają zeń całe nawet artykuły. Błogosławieństwu to Ojca Świętego zawdzięczamy to wszystko. Jego głos wzmocnił nas, dodał nam męztwa do przebywania pełnej cierni, bied i kłopotów drogi, właściwej zresztą wszystkim niemal w dzisiejszych czasach katolickim pisarzom. W Jego błogosławieństwie znaleźliśmy pociechę i siłę, a w otrzymaniu pochwały najwyższą i najdroższą dla nas tutaj na ziemi nagrodę! Korzystając przeto z nadarzającej nam się sposobności, napisaliśmy przed kilkoma tygodniami list do Ojca Świętego, w którym ośmieliliśmy się złożyć u stóp Jego Tronu nasze podziękowanie za tyle łask od Niego otrzymanych. List ten wraz z zebraną przez nas skromną kwotą świętopietrza złożył Ojcu Świętemu ks. Otton Hołyński w czasie swego pobytu w Wiecznem Mieście.

Dziękując w nim za otrzymane błogosławieństwo i zachętę do pracy, pisaliśmy: *Nam licet perniciosissimae doctrinae ac falsi liberalismi principia aliunde ad nos propagata haud exiguam inter Polonos animabus stragem intulerint, tamen pars multo major gentis polonae, ac imprimis totus populus noster Christo Ejusque in terris Vicario fidem integram servat. Imo Deo sic de nobis disponente ii etiam fratres nostri, qui liberalismi illecebris seducti fuerant, nunc salutem patriae non nisi in orthodoxa fide repositam esse ingenue fatentur. Quamobrem omnium Polonorum corda ad Sedem Petri hodie sunt conversa, Teque, Beatissime Pater, servatorem suum respiciunt, quippe qui solus velut alter Noë inter errorum fluctus late diffusos societatem civilem, nationesque Christo auctoratas ab interitu servare vales. Idcirco licet in Polonia fideles nostri saepe vim et vincula et asperrima quaeque imo caedes ipsas pro fide et religione perpeti debeant, in dies tamen firmius adhaerent uni verae Ecclesiae ac Apostolicae Sedi.*

Accedit, quod Sanctitas Vestra novo quodam ac singulari beneficio genti nostrae collato corda omnium nostrum intime sibi obstrinxit, quum nimirum primarium regni Poloniae Episcopum ac imperterritum Ecclesiae defensorem, Miecislaum Comitem Ledochowski, ad sublimem Cardinalis dignitatem evexit, atque adeo Suae in nos clementiae ac paterni amoris illud publicum documentum reliquit. Honorando scilicet Praesulem nostrum, pro fide in vincula conjectum, Sanctitas Vestra totam quodammodo infelicem nostram patriam fortiter tamen pro sancta religione tum in regno Borussiae tum in imperio rossiaco omnes aerumnas sustinentem, honore dignam judicavit. „U nas, Ojcze Święty, acz przybyłe do nas zkądinąd zgubne doktryny i fałszywego liberalizmu zasady niemałą pomiędzy Polakami w ich duszach klęskę sprawiły, to jednak niezmierna większość polskiego narodu, a w szczególności lud cały Chrystusowi i Jego Namiestnikowi na ziemi nienaruszenie swej wiary dochowuje. Co więcej, dziwnem Boga zrządzeniem, ci nawet z pomiędzy braci naszych, którzy zwodniczemi zasadami liberalizmu uwiedzeni zostali, dzisiaj spostrzegli się, że zbawienie ojczyzny naszej nie od czego innego, jeno od zachowania nienaruszenie i całkowicie prawdziwej wiary zależy. Dlatego to Ojcze Święty serca wszystkich Polaków są dziś ku Piotrowej Stolicy zwrócone, w Tobie, Ojcze Święty,

upatrują opiekuna swego, który jako drugi Noe, wśród tych wzburzonych i szeroko rozlanych fal różnorodnych błędów, sam jeden od zguby ochronić możesz nietylko społeczeństwa, ale i ludy Chrystusowi pozyskane. To też w Polsce naszej mimo cierpień, więzów i srogich prześladowań, jakie wierni za wiarę ponoszą, z każdym dniem jednak silniej i wytrwalej stoją oni w swej wierności dla Jedynego Prawdziwego Kościoła i świętej Apostolskiej Stolicy.

Daleko zaś silniej jeszcze przywiązałeś do siebie Ojcze Święty serca wszystkich braci naszych wyświadczywszy całemu narodowi naszemu nadzwyczajny zaszczyt przez wyniesienie pierwszego Polski biskupa, nieustraszonego Obrońcę Kościoła, Mieczysława hrabiego Ledóchowskiego, do najwyższej w Kościele po Tobie kardynalskiej godności. W uczczeniu pozostającego w więzach za wiarę naszego Prymasa nietylko Ojcze Święty dałeś niejako jeden więcej dowód Twojej ojcowskiej dla nas łaskawości i miłości, ale całą zarazem nieszczęśliwą ojczyznę naszą, tak pod panowaniem Prus jak i Rossyi srodze za wiarę świętą prześladowaną, za godną czci uznać raczyłeś".

Otóż na te słowa w liście do nas wystósowanym, po wspomnieniu o objawiających się dzisiaj odstępstwach i niechętnych do Kościoła usposobieniach, odpowiada nam Ojciec Święty co następuje: *Dum vero Deus ita purgat aream suam splendidissima simul fidelibus praebet exempla constantiae in sacerdotibus, qui tanto impediti furore manent in officio; et ad extremam egestatem redacti, solaque sustentati publica caritate, facto docent efficacius quam verbis, omnia fidei integritati esse posthabenda. „Gdy tak oczyszcza Bóg winnicę swoją, jednocześnie daje On zarazem najpiękniejsze wiernym przykłady wytrwałości w kapłanach, którzy srogiego doznając ucisku, do największego niedostatku przywiedzeni, utrzymując się tylko z publicznej ofiarności wiernych, wierni jednak pozostają swoim obowiązkom i zachowaniem się swoim uczą wszystkich daleko wymowniej niż słowami: iż wiarę cenić należy więcej po nad wszystko".* Następnie zwraca się Ojciec Święty do nas i do naszego pisma. Słów tych nie mieliśmy przytaczać z obawy, aby nam tego nie wzięto za przechwalanie się. Wzgląd jednakże na naszych przyjaciół, na wiernych Kościołowi katolików, z którymi należy nam się podzielić szczęściem, jakie nas spotkało, wzgląd na

to, że w słowach tych najuroczystsze zarazem znajdują potępienie panujące i u nas doktryny liberalizmu i moderantyzmu, że w nich wytyka nam Ojciec Święty ścieżkę, jakiej się nam trzymać należy, że wreszcie nietylko nam, ale wszystkim naszym współpracownikom, przyjaciołom i dawcom świętopietrza udziela tutaj Ojciec Święty Apostolskie swe błogosławieństwo, zniewala nas do przytoczenia dalszych słów Jego. Wspomniawszy tedy Ojciec Święty o zachowaniu się kapłanów wobec prześladowań, o wierności Kościołowi osób świeckich i o podniesieniu się ducha religijnego, mówi co następuje: *Adde quae eadem Providentia perfecit per ephemeridem tuam. Ipsa certe cum errores hodie vigentes insectetur, ac nominatim liberalismum tot inditum mentibus, non modo non profecisse, sed communi ferme odio explosa esse debuisse videretur. Atqui, e converso, licet inter obstacula procedens, novos illexit lectores, multos ex ipsis liberalibus sibi conciliavit, dilatata est, lucemque veritatis mentibus sic passim offudit, ut plurimi tandem resipiscentes intellexerint, non aliunde sperari posse salutem, quam a catholica fide, cujus infallibilis magistra est haec Petri Cathedra. Quae sane non a sola factorum notitia didicimus sed ab ipso munere tuis litteris adjecto, quod cum ab inope populo collatum fuerit evidenter ostendit, permultos sentire tecum, totoque animo sanae doctrinae Nobisque adhaerere. Strenue igitur discutere perge tenebras errorum, liberalismum urge, eumque praesertim, qui moderationis velo obductus, insano nisu verum cum falso, Christum cum Belial componere conatur. Deus enim, qui proposito studioque tuo hactenus favit, uberiore etiam fructu labores pro suo nomine susceptos ditabit. Id tibi toto corde ominamur, dum gratissimi tuis ac piorum oblatorum officiis supernorum munerum auspicem tibi, Dilecte Fili, et iis omnibus Apostolicam Benedictionem paternae nostrae benevolentiae testem peramanter impertimus.* „*Dodaj jeszcze do tego i to, co Opatrzność przez twe pismo sprawia. Zdawałoby się, że gromiąc panujące błędy, a osobliwie liberalizm tak szeroko dzisiaj rozpostarty, nietylko zaradzić złemu nie zdołasz, ale że w skutek powszechnej nienawiści pójdzie twe pismo w pogardę i pośmiewisko, a tymczasem przeciwnie się stało. Mimo tylu przeciwności zwiększyło się koło jego czytelników a nawet dzięki jawnie wyświecanej prawdzie wielu także z liberalnego obozu spostrzegło się wreszcie i poznało, że niemasz dla nich gdzieindziej*

ocalenia jeno w katolickiej wierze, której nieomylną nauczycielką jest Stolica Piotra. A o tem nie z samych tylko wiadomych nam wypadków przekonać się mogliśmy, ale i z tego świętopietrza do listu przyłączonego. Skoro bowiem od ubogiego narodu złożonem ono zostało, to jawny mamy w tem dowód, jak wielu wpośród niego jest takich, którzy twoje podzielają uczucia i całem sercem do nas i zdrowej nauki są przywiązani. A przeto nie przestawaj usilnie rozpraszać ciemności błędów, na liberalizm nacieraj a osobliwie na ten, który pod osłoną moderantyzmu, chciałby w daremnem usiłowaniu fałsz z prawdą, Chrystusa z Belialem pogodzić. Bóg bowiem, który dotąd wspierał łaskawie zamiary i usiłowania twoje obfitszym jeszcze owocem uwieńczy prace dla Imienia Jego podjęte. Tego ci z całego serca życzymy, a przyjmując ze szczególną wdzięcznością objawy twego przywiązania i tych, co się do świętopietrza przyczynili, Tobie ukochany synu i im wszystkim błogosławieństwo apostolskie, jako dobrą wróżbę i ojcowskiej naszej życzliwości świadectwo najłaskawiej udzielamy".

Oto słowa Ojca Świętego. Odczytaliśmy je ze czcią i bijącem od radości sercem, przechowamy je w głębi duszy, jako najdroższy i najcenniejszy dla nas upominek, jako prawo i wskazówkę, których się ściśle trzymać będziemy w ciągu pisarskiego naszego zawodu.

List ten opatrzony pieczęcią i własnoręcznym podpisem Ojca Świętego (*Datum Romae apud Stum Petrum die 11 Octobris Anno 1875 Pontificatus Anno Tricesimo*) będzie dla nas nową do dalszej pracy podnietą, tak jak jest hojną nagrodą, chlubą i chwałą naszą! Ks. Edward Podolski.

Czy Shakespeare był Katolikiem?

przez

KAZIMIERZA hr. STADNICKIEGO.

(*Henryk ósmy — Pogląd Shakespeare'a na początki reformacyi w Anglii*).

Henryk ósmy, tragedya Shakespeare'a, wartością swoją ani w dziesiątej części nie dorównywa innym utworom tego wielkiego poety i dramaturga Albionu. Organicznie jest ona tak słabą całością, że zaledwie nazwać ją można dramatem.

Nawet potężny geniusz Shakespeare'a nie zdołał z Henryka ósmego stworzyć postaci nawskróś tragicznej. Bo też ów król Anglii to osobistość, nie tylko że nie imponująca wcale, ale w wysokim nawet stopniu niesympatyczna. Srogi despota w domowem pożyciu, bezsilny i łatwo dający się powodować innym, kiedy szło o sprawy państwa, Henryk ósmy, od wstąpienia na tron aż do śmierci nie odznaczył się żadnym czynem, któryby mógł u potomnych zjednać mu nazwę *wielkiego*. Długich lat panowania jego nie okrywa ani blask sławy wojennej, ani chmura srogich ciosów losu. Marnował on siły państwa na prowadzeniu wojen nieświetnych, a przytem bezowocnych i na ciągłem przerzucaniu się to na stronę Francyi, to cesarstwa niemieckiego, z któremi szukał przymierza. Panowanie Henryka ósmego pozostanie na zawsze pamiętnem w Anglii jedynie z powodu stanowczego rozbratu z Rzymem i przyjęcia kalwinizmu, chociaż przyczyną tego była z początku jedynie namiętność i despotyczny kaprys, które go wciągnęły w antikatolicki wir wieku szesnastego.

Ten to właśnie smutny, ale zarazem najważniejszy fakt w nowoczesnych dziejach Anglii postanowił Shakespeare udramatyzować. Fakt ów nadawał się do udramatyzowania przez okoliczności, jakie mu towarzyszyły. Nie co innego bowiem tylko miłostki Henryka z Anną Boleyen, a następnie poślubienie jej wbrew protestacyi Papieża, potępiającego opuszczenie pierwszej żony, Katarzyny Arragońskiej, było powodem głównym do odszczepieństwa.

Shakespeare, aby stworzyć efektowny dramat, nie potrzebował zapuszczać się w głębiny historyczne, ani śledzić tajemnych sprężyn wypadków. W tym razie wystarczało mu przedstawić sprawę tak, jak ona przedstawiała się światu. Śledztwo wywołane przez króla, a zagajone w skutek rozkazu Stolicy apostolskiej, co do ważności ślubu z Katarzyną Arragońską, wstrzymanie tego śledztwa (skoro kardynał Wolsey doniósł do Rzymu, że tu nie idzie o skrupuły sumienia królewskiego, ale o poślubienie Anny Boleyen), zwołanie pseudosoboru angielskich biskupów, którzy króla ogłosili wtedy głową Kościoła w Anglii, potajemne poślubiny Anny Boleyen, pozew Papieża, żądającego, aby Henryk usprawiedliwił się ze swego kroku, dalej klątwa rzucona na króla, skoro ten ignorować zaczął pozew papiezki, wreszcie koronacya

Anny Bolleyen — oto wszystko, co się złożyło na dramat Shakespeare'a.

Twórca *Króla Jana* dałdowód, jak umie po mistrzowsku uwydatniać starcia władzy świeckiej z duchowną. W *Henryku ósmym* na daleko szerszem polu nie podołał on zadaniu swemu.

Akt pierwszy i część drugiego (tak zwaną *ekspozycyę*, w której Shakespeare jest mistrzem), zajmują tu sprawy z główną akcyą w żadnym albo nader odległym stojące związku. Ekspozycyę ową stanowią: manifestacye wielkich lenników państwa przeciw przymierzu z Francyą, zapasy dwóch rywalów księcia Bukingham i kardynała Wolsey, wreszcie proces wytoczony pierwszemu o zbrodnię stanu, skazanie go na śmierć i ścięcie. Jedna tylko scena (4ta 1go aktu), gdzie ma miejsce spotkanie się króla z Anną Boleyen, stanowi wyjątek z całej ekspozycyi. Anna przedstawioną jest w niej z niezrównaną wiernością tak właśnie, jak mówi o niej historya: że tylko piękności swojej mogła zawdzięczać, iż została małżonką króla.

W następnych aktach sprawa rozwodu królowej Katarzyny i jako wynik onej: upadek wszechwładnego kardynała Wolsey, przytem ślub potajemny Henryka z Anną oddane zostały przez Shakespeare'a zupełnie zgodnie z kroniką Holinsheda i biografią Wolsey'a.

Nie spotykamy się tu jednak ani z jednem słówkiem, mówiącem cokolwiek o wielkim przewrocie religijnym. A przecież król przywłaszczył sobie tytuł i władzę głowy Kościoła w Anglii, zwołane przez niego zgromadzenie biskupów — choć pod pewnemi warunkami — przyznało mu ten tytuł. Henryk VIII mianuje arcybiskupa z Kanterbury prymasem państwa, a ten pseudo-prymas zwołuje t. z. sobór biskupów, który unieważnia pierwsze małżeństwo króla.

W oczach katolików wszystkie te czyny króla były pogwałceniem praw boskich i ludzkich, jednakże wobec zwolenników nowej wiary owo zgorszenie, wywołane potajemnem powtórnem małżeństwem, zanim unieważniono pierwsze, łagodziła całkiem interwencya władzy duchownej odszczepieńczej. Shakespeare więc *ein echt protestantischer Dichter* — jak go zwie krytyka niemiecka — nie powinien był o tem milczeć. Ale niedość, że milczał. On rzecz tak przedstawia, jakby władza Kościoła rzymskiego stała jeszcze nietkniętą.

W tragedyi *Henryk ósmy* nowy ¡ rymas Kranmer stawać musi przed kratkami rady najwyższej, jako zapalony sekciarz, rozkrzewiający po kraju szkodliwe kacerstwa, „które — mówi oskarżyciel Kranmera — jeżeli w początku stłumionemi nie będą, staną się źródłem niepokoju, buntów, a ostatecznie: niemocy i upadku państwa, jak to ma już miejsce w Niemczech“ [1]).

Kardynał Kampejus — przysłany z Rzymu w charakterze legata, aby wspólnie z Wolseyem orzekł w sprawie ważności małżeństwa króla z Katarzyną — występuje tutaj (akt II scena 2ga) z odpowiednim majestatem i samowiedzą swej władzy. Anna Boleyen tymczasem otrzymuje tytuł Markizy de Pembroke ze stosownem uposażeniem (akt II scena 3cia). Proces rozwodowy z powodu mężnego oporu królowej idzie w odwłokę. Zniecierpliwiony Henryk VIII, nie czekając na wyrok, żeni się potajemnie z Anną (akt III scena 2ga). Następuje koronacya nowej królowej, z wielką pompą, według odwiecznego ceremoniału (akt IV scena 1sza). Jednocześnie z pobieżnej rozmowy dwóch dworaków dowiadujemy się, że arcybiskup Kantaureński wraz z kilku innymi wielkiej nauki i pobożności biskupami wydali wyrok, unieważniający pierwsze małżeństwo króla.

Wiadomo, że zaraz w parę miesięcy po zaślubinach Anna powiła córkę, przyszłą królowę Elżbietę. Otóż narodziny Elżbiety i jej apoteoza zakończają tragedyę Shakespeare'a.

Cudzołóztwo, *jawną bigamię*, *bękarctwo*, te trzy gwiazdy świecące nad kolebką tak zwanej Westalki północnej, wita czarodziejski piewca Albionu, jako zwiastuny nowej ery, w którą wstępuje jego ojczyzna. Chcąc zaś niby uzupełnić obraz, mówi jeszcze Shakespeare przez usta dworzanina (akt IV scena 1sza), z jakiem namaszczeniem ukoronowana metresa zbliżyła się do ołtarza, na stopniach którego modliła się jak święta.

Obok uzurpatorki Anny jakże odbija tu majestatyczna postać zdetronizowanej królowej Katarzyny. Shakespeare kreśli tę postać z widocznem upodobaniem, przedstawiając ją nietylko jako męczennicę, co na łożu śmiertelnem przebaczyła wszystkim swoim nieprzyjaciołom (akt IV scena 2ga), ale jako żonę i królowę śmiało z godnością przy prawie swojem obstającą, wreszcie — jako niewiastę wielkiego serca, wstawiającą się do króla-tyrana i wszechwładnego ministra Wolsey'a (akt I scena 2ga) za uciśnionym ludem, oraz za księciem Bukingham'em, na którego czekał już kat.

[1]) Powiedzieć trzeba, że proces ów miał miejsce dopiero o dziesięć lat później. Okoliczność ta dowodzi najlepiej jak mało troszczył się Shakespeare o chronologię nawet bliskich siebie czasów.

Wobec takiego otoczenia aureolą pierwszej żony Henryka VIII w tragedyi Shakespeare'a, uzasadnioną jest hypotezą, że angielski poeta w tej najpiękniejszej i najczystszej z postaci kobiecych w dramatach jego chciał zarazem uświetnić i sam katolicyzm. To przypuszczenie tem większy zaszczyt przynosi Shakespeare'owi, jeżeli się ma na względzie, że dramat jego powstał już w czasach, kiedy wiara katolicka w Anglii była pokonaną.

W tem miejscu zastanowić się warto — co Shakespeare'a, który królowę Elżbietę, póki panowała ubóstwiał, a sławę jej opiewał, mogło spowodować, że w dramacie swoim po jej śmierci poruszał kałużę, otaczającą za życia też królowę? Wprawdzie tragedya *Henryk VIII* kończy się apoteozą Elżbiety, ale owa apoteoza traci całą wartość, skoro obok niej mieści się druga na cześć następcy Elżbiety, króla Jakóba, którego Shakespeare nazywa „Feniksem, co gdyby gwiazda jaśniejący wylęga się z popiołów Elżbiety, którego sława jakby gałęzie olbrzymiego cedrowego drzewa rozchodzić się będzie, gdzie tylko świeci się słońce“.

Owo dwulicowe zachowanie się angielskiego dramaturga chyba możnaby tak sobie wytłumaczyć: Współczesny Shakespear'owi poeta Samuel Rowley napisał dramat *Henryk VIII*, używający na scenie wielkiego powodzenia. Niejako w szranki z Rowley'em wystąpił Shakespeare ze swoją tragedyą, która (jak mówi poeta w prologu) opartą została na *samej prawdzie*. Ta prawda, samochcąc, stała się ostrą satyrą początków reformacyi w Anglii.

Może też Shakespeare, stojący już na schyłku swej produkcyjnej siły, chcąc zaskarbić sobie względy panującego Jakóba, napisał dramat, który przypominał narodowi, jaką drogą morderczyni matki króla Jakóba „dobra królowa Elżbieta“ doszła do tronu?...

Musimy jeszcze poświęcić tu słów parę kwestyi dotąd spornej: czy Shakespeare był *katolikiem* czy też *protestantem*?

Naszem zdaniem kwestya ta nigdy już stanowczo rozstrzygniętą nie będzie, pomimo poważnych głosów i apodyktycznych twierdzeń tak za katolicyzmem Shakespeare'a jak i przeciw niemu się odzywających.

Metryka Shakespeare'a, która się dotąd dochowała, powiada tylko, że Sakrament chrztu nad poetą odbył się w roku 1564, ale nic nie mówi, kto mu go udzielił, w jakiej religii ochrzczonym został. Rok chrztu poety był już czwartym panowania Elżbiety i protestantyzm wtedy rozszerzać się zaczął w Anglii. Lecz i reakcya katolicka, dzieło poprzedniczki Elżbiety — królowej Maryi — była jeszcze silną. Oba wyznania więc walczyły z sobą i obydwa liczyły swoich zwolenników. Nie wiadomo zaś nam, jakiego wyznania trzymało się miasto Stratford?

Szczegóły z życia Shakespeare'a tak mało są nam znane, że z nich niepodobna nic wyrokować o religii poety. Pozostają więc tylko dzieła dramatyczne.

Bezstronna i samodzielna krytyka i na tem polu nie dochodzi do żadnych rezultatów, chyba tylko do jednego: że ze wszystkich utworów Shakespeare'a wieje duch *bezwzględnego indyferentyzmu*.

W tragedyi *Romeo i Julia* z ust ckliwej heroiny, dziewczyny czternastoletniej, dowiadujemy się, jak poeta lekceważył Sakrament spowiedzi. Chociaż w innym znowu dramacie, jak zobaczymy niżej, z dziwnem uczuciem i czcią mówi o tym samym Sakramencie. Zimny najbardziej nawet katolik nie ośmieliłby się nigdy do rzucenia mimochodem takiej na Stolicę rzymską obelgi, jaką się napotyka w dramacie historycznym *Henryk piąty* (akt II scena 3cia). W każdym jednak razie niesłychanie gorzej obchodzi się Shakespeare z protestantyzmem, który sobie niesłusznie poetę przywłaszcza.

W dramacie *Henryk ósmy* przedstawił nam on początki reformacyi w Anglii w świetle wcale niekorzystnem i nader niepochlebnem. Co więcej; nie podpada wątpliwości, że w osobie błazna i nikczemnika Falstaffa zamknął Shakespeare osobistość niejakiego sekciarza „Oldeastle", gorliwego zwolennika herezyi Wiklefa, który to Oldeastle ściętym został za panowania Henryka piątego.

Gdyby nie ten indyferentyzm Shakespeare'a, byłyby się światu dostały w spuściźnie po nim celniejsze jeszcze utwory od tych, jakie posiadamy. Pomimo to jednak geniusz tak wysokiego polotu, mający pociąg do wszystkiego, co wielkie i wzniosłe, musiał też odgadywać i tę wielkość w katolicyzmie, a ztąd i hołd mu oddawać.

W dramatach historycznych Shakespeare'a np. moralna potęga papieztwa w wiekach średnich, jego wyższość nad wszystkiem, co go otaczało, oddane dobitnie nadzwyczaj. Ale nie tylko to: sama nawet nauka katolicka nie była mu obcą, owszem zapuszczał się on w jej misterya.

W tragedyi n. p. *Hamlet*, słusznie czy nie uważanej za arcydzieło Shakespeare'a, najpiękniejszem w samej rzeczy jest: wyprowadzenie na światło dzienne mieszkańca czyścca, obraz jego pokuty tamże, śpiew żałobny obłąkanej Ofelii, skarżącej się, że ojca jej, co zginął z ręki mordercy, nie złożono do grobu z kościelnemi obrzędami. Przedewszystkiem zaś z niezrównaną siłą oddana jest w *Hamlecie* scena, gdzie król (zabójca brata oraz przywłaściciel pozostałych po nim wdowy i tronu) ma szczerą chęć modlenia się, a nie jest w stanie się modlić. Tu poeta godzi się zupełnie na zasadę nauki katolickiej: że sama, bodaj najgorętsza modlitwa bez rzeczywistej skruchy i wyrzeczenia się tego, co się przez grzech nabyło, nie sięga nigdy do nieba.

W innym znowu prawie nieznanym, a z wyjątkiem kilku celniejszych ustępów mało sympatycznym dramacie p. t. *Miara za miarę* spowiedź upadłej dziewczyny oddana jest z prostotą, namaszczeniem, a przytem z głębokiem przyjęciem się ważnością tego aktu. Tym duchem wiary prawdziwie katolickiej tchnie osobliwie ustęp, gdzie książę — udający spowiednika — mówi:

„Ale nie tylko żałuj grzechu dlatego, iż pokrył ciebie hańbą. Taki żal jest samolubnym, bo tyczy się jedynie naszej osoby, a nie nieba, bo mówi, że służymy Bogu z bojaźni przed gromami Jego, a nie z miłości ku Niemu".

Julia zaś na to:

„Czuję skruchę, żem zgrzeszyła i chętnie znosić będę hańbę, którą zawiniłam".

Jakiż to znowu podniosły duch anachorety z pierwszych czasów chrześcijaństwa wieje ze słów ustępu tegoż samego

dramatu, gdzie przyjaciel skazanego na śmierć, chcąc mu dodać odwagi, powiada:

„Przemów tak do życia — tracąc ciebie stracę tylko to, do czego lgnie bezrozumny. Jesteś tchnieniem, które powiew zmiata. Śmierć śmieje się z ciebie. Siłujesz się jej umknąć, a zbliżasz się coraz więcej ku niej. Szukasz snu, a drżysz przed śmiercią która także jest snem. Szczęśliwym nie jesteś, bo dążąc zawsze do tego, czego nie posiadasz, nie baczysz na to, co masz. Usposobienie twoje jest zmiennem, jak fazy miesiąca. Bogatym jesteś, a pomimo to ubogim. Ze skarbami twojemi nosisz się chwilę, bo śmierć zajdzie ci drogę i złupi je. . . . . .

. . . . . .

Nie masz ni młodości ni starości, bo szczęśliwe chwile młodości więdną i starzeją się z dnia na dzień, nakoniec stają się jałmużną podeszłego wieku, a gdy starzec obfitować będziesz w dostatki, cieszyć się niemi już nie będziesz.

Cóż więc jest życie? A jednak boisz się śmierci, która wszystko to gładzi".

Wtedy skazany na śmierć Klaudio odpowiada:

„Dzięki tobie! przekonałeś mnie. Lgnąc do życia, szukam śmierci, idąc na śmierć znajdę życie".

Te słowa przypominają żywo dawne wieki, w których — o tych, co pomarli świątobliwie — mówiono: „przestał umierać, zaczął żyć" — *Morire desiit, vivere incipit*".

Doktor Strauss

I wojna przeciw księgom świętym w Niemczech.

(Dokończenie).

VI.

Strauss, rzecz naturalna, szedł bardzo uważnie, ręka w rękę z rozwojem szkoły tybingskiej, której właściwy początek dał jego *Żywot Jezusa*. Podczas gdy szkoła ta ogłaszała jego pierwsze płody, Strauss odpowiadał na niektóre zarzuty, z jakiemi spotykał się jego systemat mityczny, oraz przygotowywał nowe wydanie swej książki,

w której złagodził niektóre ze zbyt ostrych twierdzeń. Na zewnątrz starał się okazywać wielki spokój, a rozprawom z przeciwnikami usiłował nadać ten chłód i tę zimną krew, które cechują *Żywot Jezusa*, a cecha to była tak dla wielu niespodziewaną, że podczas ukazania się tej książki większa część jej czytelników spodziewała się znaleść w wyrażaniu zaprzeczeń tak śmiałych, coś z zapalczywości i namiętności Samuela Reimarusa w jego *Apologii*. Wewnątrz tymczasem burzyło się w nim; gwałtowność ta przebijała się nieco, gdy w swoich *Kleine Schriften* mówił: że matkę jego obrzucano obelgami w pewnem miejscu kąpielowem, że zła pogłoska o jego dziele ciosem śmiertelnym uderzyła w zdrowie tej, co mu dała życie, że rozjątrzył ojca na siebie. Żółć jego, długo wstrzymywana, wybuchnęła dopiero wtedy, gdy nowe zawody zupełnie zatruły jego usposobienie; wtedy już niepodobna było mu się maskować i z zimną krwią mówić o chrześcijaństwie. W roku 1839 stronnictwo radykalne w Zürichu, mimo okrzyków niezadowolenia, jakie się podniosły przeciw temu projektowi, zamianowało Straussa profesorem dogmatyki i dziejów kościelnych na wszechnicy tegoż miasta. Oburzenie było tak żywe, że Strauss nie mógł zasiąść na katedrze. Petycya, pokryta niemal czterdziestoma tysiącami podpisów, zmusiła radykałów do cofnięcia się; wynagrodzili za to swego protegowanego pensyą tysiąca franków; atoli sami nie mogli się utrzymać u władzy, wnet ich obalono. Profesor zaś, którego się w ten sposób grzecznie pozbyto, uczuł bardzo ranę, zadaną jego miłości własnej, jął tedy przemyśliwać o zemście na tych chrześcijanach, którzy go byli odsunęli: z czwartego wydania *Żywota Jezusa* wyrzucił wszystkie łagodniejsze wyrażenia, które był wprowadził, w drugiej i trzeciej edycyi; wypuścił nawet ostatni rozdział o dziejowym charakterze Jezusa. Takie to są przekonania tych ludzi, co się tak popisują ze swoją bezstronnością i krytyką!

Odtąd dopiero Strauss zaczął się ukazywać jako jawny i nieprzejednany wróg chrześcijaństwa, a gorycze, jakich doznawał w świecie, w miarę, jak padał ich ofiarą, pomnażały jego odrazę i nienawiść do religii. W r. 1840 ogłosił swą *Dogmatykę chrześcijańską* [1]). Scharakteryzowano ją krótko, ale dosadnie, mówiąc, że tak podobna do dogmatyki, jak cmentarz do miasta. Strauss potępia w niej dumnych teologów, nie oceniających jak należy zarzutów krytyki przeciw teologii i którzy zaledwie mają słabe pojęcie o wyłomach,

[1]) *Die christliche Glaubenslehre in ihrer geschichtlichen Entwickelung und im Kampfe mit der modernen Wissenschaft dargestellt.* Tübingen. 1840

jakie już racyonalizm porobił w walących się murach prawowierności. Napróżno się silą, by tego nie widzieć: Bóg i Jezus Chrystus pomarli, w Ich miejsce wstąpiła ludzkość, czyli innemi słowy: panteizm wysadził chrześcijaństwo. Chrystus taki, jakiego sobie wyobraża Kościół, jest Chrystusem niemożebnym; prawdziwy Chrystus, wydobywający się z obsłon mitycznych, któremi pierwsze wieki spowiły swój ideał, to — że uzupełnimy ich myśl ideą nowoczesną — ludzkość! Ludzkość jest rzeczywiście zjednoczeniem dwóch natur; Bogiem wcielonym i dzieckiem matki widzialnej, natury, i ojca niewidzialnego, ducha; ludzkość czyni cuda przez postęp wiedzy, które podbijają żywioły w niewolę; ludzkość jest bez grzechu, albowiem rozwój jej jest czysty i niepokalany; ludzkość umiera i zmartwychwstaje, gdyż:

primo avulso non deficit alter

ludzkość wstępuje w niebo, wznosząc się po nad byt jednostkowy, narodowy i planetarny. W niej to jest nieśmiertelność, innej nie masz wcale. Przepaść, w którą logicznie pchają zaprzeczenia przeciwchrześcijańskie, ukazuje się już jasno w tej książce. Pokazało się to jak najdobitniej i najwyraźniej w ostatniem dziele autora: *Stara i nowa wiara*, które wyszło w r. 1872.

W epoce lat trzydziestu, rozdzielającej dwie książki o treści bezpośrednio religijnej, Strauss próbował życia politycznego. W roku 1848 nie powiodło mu się na wyborach do parlamentu frankfurtskiego, lecz za to wybrano go na członka drugiej Izby wirtembergskiej. Ku wielkiemu wszystkich zdziwieniu, zasiadał w niej pomiędzy konserwatystami. Wyborcy skarżyli się o to i zmusili go do złożenia mandatu. Niemcy niemniej były zdziwione, widząc tego teologa, który udawał taką powagę, łączącego swe losy z losami aktorki [1]). Aż do roku 1864 ogłaszał tylko studya biograficzne i literackie, graniczące z teologią i historyą. W roku 1864 obudzony hałasem, jakiego narobił *Żywot Jezusa* Renan'a, ogłosił Strauss nawzajem: *Żywot Jezusa dla ludu niemieckiego*. Nie mamy potrzeby zatrzymywać się nad tym drugim żywotem. W gruncie nie różni się od pierwszego, chyba jeno zapożyczoną od szkoły tybingskiej rzeczą o powstaniu pism kanonicznych i sposobem przedstawienia rzeczy. Gwałtowny ton przedmowy pokazuje, jak Strauss był głęboko strutym. Wnioski, do jakich dochodzi w tej pracy, są niemal te same, co *Dogmatyki*. „Rozróżnić, mówi, Chrystusa historycznego od Chrystusa idealnego, to jest od idei bezwzględnej człowieka, wrodzonej rozumowi ludzkiemu i przenieść z pierwszego na drugiego wiarę, która zbawia, taki będzie konieczny rezultat ruchu ducha nowożytnego, taki jest postęp, do którego pną się wszelkie szlachetne dążenia naszej epoki i przez który religia Chrystusa ma się rozwinąć w religię ludzkości... Wśród tych, co w górę wznosili sztandar ideału ludzkości, Jezus stoi w pierwszym rzędzie... Społeczność religijna, wyszła od niego, przysposobiła dla tego ideału przestrzeń jak najszerszą w ludzkości. Kwestyi nie ulega, że społeczność ta zawdzięcza swój początek całkiem czemu innemu, a nie wartości moralnej swego założyciela i obraz jego, jaki społeczność ta stworzyła sobie w pierwszych chwilach swego istnienia, nie był niczem innem, jak mitem... Atoli zasady tolerancyi, słodyczy i miłości ludzi, które Jezus zalecał przedewszystkiem, zwolna zaledwie zdoła sobie przyswoić natura ludzka, a przez nie to mogło się zrodzić i rozwinąć wszystko to, co dziś zowiemy ludzkością. Zresztą jakkolwiek zaszczytne miejsce przyznać należy Jezusowi pośród tych, którzy ukazali ludzkości obraz najczystszy i najwyraźniejszy tego, czem ona ma być, to przecież ani pierwszy ani ostatni on to objawił. W Izraelu i w Grecyi, nad Gangesem i Oksusem miał poprzedników, a tem samem nie został bez następców... Krytyk wierzy, że nie popełnia żadnej profanacyi, lecz owszem, że spełnia dzieło użyteczne i konieczne, gdyż odrzuca jako złudzenie, zrazu może w dobrej stworzone myśli, a może nawet dobroczynne, atoli szkodliwe na potem i na długo, a jak dziś to już zupełnie zgubne, wszystko to, co czyni z Jezusa istotę nadludzką; gdy przywraca, o ile to jeszcze podobna, postać Jezusa dziejową o rysach czysto ludzkich i gdy zaprasza ludzkość, by prosiła o zbawienie Chrystusa idealnego, tego typu doskonałości moralnej, której Jezus dziejowy pierwszy rzucił kilka najgłówniejszych zarysów, lecz których żywotność jest prawem wrodzonem i powszechnem rodzaju ludzkiego i których stopniowe urzeczywistnianie i ostateczne dopełnienie może być jeno posłannictwem i dziełem całej ludzkości“ [1]).

Myśli te spotykamy rozwinięte jeszcze ostrzej w *Starej i nowej wierze*, którą Strauss uważa za swe wyznanie [2]). Często mu mówiono,

[1]) Małżeństwo to ośmieszono w romansie bezimiennym, wymierzonym przeciw szkole tybingskiej, a przypisywanym pewnemu panteiście nawróconemu: *Eritis sicut Deus*. Romans ten narobił wiele hałasu w Niemczech. Saint-Réné Taillandier rozbierał go i streścił w *Revue des deux mondes* w Czerwcu 1855. Obacz Saint-Réné Taillandier: *Histoire et philosophie religieuse*. Paryż. 1859, VI ustęp.

[1]) *Nowy żywot Jezusa*, Nefftzer i Dollfus, II. 420—424.

[2]) Strauss, *Der alte und der neue Glaube. Ein Bekenntniss*. Lipsk. 1872.

iż tylko burzy; dlatego też teraz chce budować i objawić myśl swą całą. Ma już blisko sześćdziesiąt pięć lat wieku, jest prawie ociemniałym, przeżył wiele i stopniowo coraz bardziej wyzuwał się z wszelkiej formy religijnej. Rzecby można, że Bóg mu udzielił dosyć życia w tym celu, iżby skreślił te smutne objawy stanu swej duszy dla otworzenia oczu nawet najbardziej zaślepionym i pokazania wszystkim przepaści, w jaką wtrąca zaprzeczenie chrześcijaństwa i bóstwa Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Ażali jesteśmy jeszcze chrześcijanami, pyta się Strauss, mniemając, że jest jeno echem mnóstwa niedowiarków? Nie, odpowiada. Racyonalizm czyli wyjaśnianie naturalne Paulusa podkopało objawienie; teologia krytyczna zwaliła je i w kupę gruzów zmieniła. Osoba Chrystusa jest już jeno tylko zagadką do rozwiązania, a w zagadki wierzyć nie można. Umiejętność, zdarłszy z Jezusa płaszcz Boski, w jaki go były przyodziały łatwowierność i przesąd, zniszczyła chrześcijaństwo.

Ażali jesteśmy jeszcze religijnemi? — pyta się dalej autor. Nie, już niemi nie jesteśmy. Szaloną trwogę wymyślili bogowie politeizmu; wysokie rozumienie, jakie miała sama o sobie, kazało wymyśleć koczującej tłuszczy monoteizm. Astronomia wypędziła Boga z nieba, jego pałacu; rozwaga pozbawiła go jego dworu, aniołów i świętych. Już Kant zrobił słuszną uwagę, że w modlitwie wszystko, nawet postawa modlącego się, jest śmieszne. Po co się modlić? Nie masz Boga różnego od nas. Nic nie istnieje krom wszechświata, a we wszechświecie bytuje jeno materya. Dusza jest materyą albo raczej nie ma duszy, gdyż niecielesnem jest tylko to, co nie ma bytu, co nie istnieje. Nieśmiertelność duszy, nagroda przyszła, są to po prostu majaczenia, utwory wyrafinowanego egoizmu. Świat niema „lokalu na pomieszczenie wszystkich tych dusz ludzi zmarłych“. Uczucie religijne istniało w wieku dziecięcym ludzkości, lecz zmniejszało się wraz z postępem cywilizacyi, tak jak z roku na rok zmniejsza się terytoryum czerwonoskórców przed parciem ludzi białych. Rozum dokonał dziś dzieła swego, skończył z religią, zwyciężył ją. Religia wydaje ostatnie tchnienia, nie ma już swych czcicieli.

Jak więc należy pojmować świat i jak tedy należy urządzać życie, gdy już wyjaśnienie świata przez stworzenie, a rządu człowieka przez prawo boże żadnej zgoła niema podstawy?

Swiat jest zbiorem sfer niebieskich o rozmaitych stopniach rozwoju. Jedne powiększają się, inne starzeją się, atoli w tem kółku

cudownem suma życia jest zawsze taż sama: wszystko się zmienia, lecz nic nie ginie; wszystko się odnawia, nic przecież nie umiera. Śmierć, z której wszystkie religie chciały zrobić straszydło dla człowieka, śmierć nie istnieje. Gdy istota jaka znika, to po to jedynie, by się odrodzić w innym kształcie.

Strauss wynosi pod niebiosa Darwina. Wyznaje, że krytyka nie zdołała obalić cudu, gdyż nie zdołała uznać go za zbyteczny, za niepotrzebny, atoli Darwin uwolnił świat i to raz na zawsze od wiary w cuda i wyjaśnił bez Boga się obywając, początek i rozwój wszechświata. Widzimy więc, do czego zmierza ta pyszna umiejętność: do najwstrętniejszego materyalizmu.

Jaką moralność można zbudować na tym gruncie fatalizmu? Posłuchajmy: przeznaczeniem człowieka jest urzeczywistnić ideał ludzkości, to znaczy panować nad przyrodą i rządzić nią. Wszelka moralność praktyczna zawiera się w tych słowach: nie czynić na przekór nikomu, pomagać bliźniemu, nigdy nie zapominać, że się jest człowiekiem. A co uświęca tę moralność? Strauss tego nie mówi, Strauss tego powiedzieć nie może, gdyż Strauss nie ma o tem pojęcia. A gdy spotka kogo, kto się nie może obejść bez wiary w nieśmiertelność, powie mu z miną człeka zadowolonego z siebie: tyś jeszcze nie dorósł do mojej teoryi — na tem koniec. Komu nie dosyć ożywiać w sobie ideał wszechświata i nieskończony rozwój tegoż, ten niech się zwróci do Mojżesza i proroków!

Jakże śmierć musi być smutną dla człowieka, który tak bardzo postradał wszelką nadzieję! O! tak my pójdziemy jeszcze do Mojżesza i do proroków, pójdziemy także do Ewangelii, do naszego Ojca w niebiesiech, do Jezusa Chrystusa, do Zbawiciela naszego, do Tego, który nam przykazał kochać Boga z całego serca, z całych sił i ze wszystkiej duszy, a bliźniego jak siebie samego.

Jaki wpływ wywrą te idee w Niemczech? Bóg to wie jeden, to pewna, że straszne będą ich skutki nie dla jednego. Niezdrowa ciekawość zapewniła *Starej i nowej wierze* powodzenie wyjątkowe. W ciągu trzech miesięcy książka ta miała cztery wydania. A to dlatego, że Strauss napadając na religię z rodzajem zapału, pochlebia tem samem namiętnościom chwili. I to jest charakterystyczne: książki jego zieją nienawiścią ku Francyi, czołem bije przed Moltkem i Bismarkiem, przed jednością niemiecką. Z całym zapałem klaszcze w ręce na widok prześladowania katolików. O ile ma sarkazmu dla katolicyzmu, dla ultramontanizmu, o tyle po-

chlebia, głaska, pieści, pada plackiem przed cezaryzmem [1]). A przecież sam czuje, że burząc uczucie religijne, popuszcza cugle najniższym popędom człowieka, a wtedy trzeba już miecza lub knuta do powstrzymania go na tej drodze. Apoteozuje wojnę i kata i zdaje mu się, że władza nigdy nie będzie za silną do zapanowania nad temi istotami, z których chciałby zrobić dzikie zwierzęta. Gdyby te tak poniżające doktryny miały kiedy odnieść zwycięztwo, dzieje musiałyby zanotować że służalstwo i podłość (jakich przeszłość nigdy nie przedstawiła przykładu, gdyż w przeszłości zawsze była religia, która była przeciwwagą złości ludzkiej) panowały jedynie.

Gdy się tylko ukazała *Stara i nowa wiara*, Gladstone, naówczas prezes ministrów angielskich, uznał, że doktryny w niej zawarte są tak niebezpieczne dla Kościoła i dla Państwa, iż uważał za obowiązek ostrzedz przed temi sofizmatami, w mowie publicznej młodzież Wielkiej Brytanii [2]). Miejmy nadzieję, że sam ogrom zbyt wielki złego stanie się jemu przeciwwagą.

VII.

Pozostaje nam powiedzieć słów kilka o tem, w jakim stanie jest w Niemczech wojna przeciw księgom świętym w chwili obecnej. Strauss umarł, atoli duch jego długo może jeszcze pożyje. Jego ideje przesadzili jedni, złagodziła i wycieniowała największa część wolnomyślicieli. Nikt nie przyjął jego systematu mitycznego. Wielu przyjęło rodzaj mniemań mieszanych, nieco tego, nieco owego i zachowało się po eklektycku [3]). Przyjęto trochę z idei zwolenników naturalnego wyjaśniania cudów, trochę z pojęć Straussowych i trochę z myśli szkoły tybingskiej. Doprawdy, przysłowie: *Quot capita, tot sensus*, nigdzie podobno nie znalazło lepszego zastósowania. Nie

[1]) O stosunku tych dwóch idei zobacz arcyznakomitą pracę J. Eminencyi kardynała Manning'a: „*Cezaryzm, a katolicyzm*".

[2]) Gladstone, *Address delivered at the Liverpoel College*, December 21, 1872. London. John Murray. 1873.

[3]) Niektórzy z nich nie wahali się nawet powtórzyć, przy sposobności potwarzy Reimarusa. Tak np. Hitzig, którego Dr. Delitsch nazywa Henrykiem Heine egzegiezy, utrzymuje, jakoby drzewo, które prorok Eliasz położył był na ołtarzu (III. Reg. XVIII, 38) nie zapaliło się było cudownie, jak wierzył lud, lecz, że prorok wylał nań nie wodę, jak mówi tekst, lecz oliwę petrolejową. Wprawdzie zaraz potem dodaje, że nie należy bynajmniej przez to oskarżać Eliasza o pobożne oszustwo! (*Geschichte des Volkes Israel.* Lipsk. 1869, str. 176.)

kierując się ostatecznie niczem, krom przywidzeń własnej fantazyi, nic dziwnego, że krytycy nie mogli się pogodzić. Takiemi byli: baron Bunsen, panowie: Hitzig, Nöldelce, Schenkel i mnóstwo innych. Ewalda można uważać za typ tego rodzaju teologów niemieckich. Talent niezaprzeczony, płodność cudowna, zmysł krytyczny głęboki, z żadną się nie łączy szkołą i popełnia błędy takie, że zaledwie wierzyć można. Dogmatyczny, stanowczy, rozcinający kwestyę jednem słowem, ani pomyśli nawet, żeby przecież posłużyć się jakimś dowodem (złym czy dobrym) ku poparciu swych twierdzeń nieraz najbardziej nieprawdopodobnych. Znieść nie może, by im inni zaprzeczali, a jednak nie robi sobie z tego zarzutu, iż jest często w sprzeczności sam z sobą. Broń Boże, żeby kto śmiał go dotknąć! Może być pewny, że go dosięgnie pamflet straszliwy. Postępowanie najdziwaczniejsze wydaje się dlań bardzo naturalnem i kiedy Ojciec Św. zwołał Sobór Watykański, Ewald napisał do Piusa IX list otwarty, w którym dowodzi, że Papież powinien zostać protestantem.

Oto egzegiet niemiecki dni naszych: niedowiarek, pełen dobrego o sobie mniemania, często nauki, dumny, zaślepiony, dający się powodować wszelkim kaprysom wyobraźni w sferze myśli, łączący w swej osobie pierwiastki najsprzeczniejsze, a któremu brak tego najważniejszego przymiotu, który my zwykliśmy zwać: zdrowym rozsądkiem.

Już od pół wieku Dr. Ewald bezprzestannie wydaje swe prace nad Pismem świętem. Popisał o wszystkich częściach Biblii dzieła pełne niepospolitych poglądów i grubych błędów. Największem jego dziełem, w którem streszczają się wszystkie jego przymioty i błędy wszystkie, będące jakby zwierciadłem, w którem najlepiej się odbija umysł wolnomyśliciela niemieckiego, są jego wielkie *Dzieje ludu Izraelskiego* [1]), które się wiele przyczyniły do przewagi tego rodzaju eklektyzmu krytycznego nad Renem, który jest obecnie cechą egzegezy racyonalistycznej w tym kraju. Autor stara się o utrzymanie pewnego środka między naturalistami, którzy idąc za Biblią krok w krok, poddają wyraz każdy pewnego rodzaju rozbiorowi chemicznemu, chcąc gwałtem wyciągnąć z nich same jeno pierwiastki naturalne; między sceptykami, którzy w księgach świętych widzieć chcą same jeno mity: między nadnaturalistami, którzy pojmują Pismo święte po swojemu. Dla niego Stary Testament jest zbiorem dokumentów dobrej wiary,

[1]) H. Ewald, *die Geschichte des Volkes Israel*, 3cie wyd. 7 tomów. W nich się zawierają Dzieje Jezusa Chrystusa i Apostołów (1864—1868).

owoców nie natchnienia bożego, lecz pamiątek podaniowych plemienia żydowskiego, które rozumieć i wyjaśniać trzeba na podstawie znajomości społeczeństwa, wśród którego je napisano, stanu cywilizacyi i charakteru właściwego Izraelowi. Dawny profesor getyngski ma to szczególnego, że nie rozprawia nigdy; wykłada jeno wyniki swych poszukiwań lub swych marzeń, nie poucza nas, jaką drogą doszedł do tych wniosków. Co najwięcej, można się tylko domyśleć, idąc ślad w ślad za jego myślą, jakie mogą być zasady, które nim kierują. Atoli te zasady są tak niepewne, albo, że tak powiem, tak uprzejme, że wnioski, jakie z nich wyprowadza, rozmaite są bardzo. To nam tłumaczy, że w każdem z trzech wydań swoich *Dziejów ludu Izraelskiego*, powiększał liczbę układaczów Pięcioksięgu i przemieniał porządek chronologiczny układów. Dlaczego? *Magister dixit.*

Celem jego głównym (a to jest roszczeniem wszystkich dzisiaj krytyków niemieckich) jest pozbawienie ksiąg hebrajskich jądra dziejowego, dookoła którego utworzyła się roślinność legendowa czy mityczna, która je otoczyła. We wszystkich pismach dziejowych Starego Testamentu jest pierwiastek prawdy. Tak np. wyjście Izraela z Egiptu jest faktem rzeczywistym. Atoli nie mogło się ono odbyć tak, jak opowiada księga wyjścia: część wypadków towarzyszących temu zdarzeniu, wypadków bardzo naturalnych, odmalowano później barwami nadprzyrodzonemi, jak przejście przez morze czerwone, które się odbyło nie żadnym cudem, ale w czasie odpływu morza i przejście przez Jordan, które się odbyło w sposób najprostszy w świecie, bo przez most, którego pamięć przechowała się w podaniu o dwunastu kamieniach poustawianych w poprzek rzeki [1]). Inne wypadki są mitami. Tak więc różczka Aaronowa, która zakwitła, jest ani wątpić, jeno symbolem poetycznym. Rzecz sama, jądro dziejowe zamyka się w tych wyrazach: Mojżesz był mężem wielkiego rozumu i wielką znakomitością moralną. Talentem swym, charakterem, energią, a jeżeli chcecie na rozkaz Opatrzności, natchnął lud swój wielkim zapałem. Potrafił wyciągnąć cząstkę cudowną ze zjawisk naturalnych, znanych pod nazwą plag egipskich i pociągnął za sobą Izraelitów na drogę ziemi obiecanej.

Ewald, wiedziony osobistą nieprzyjaźnią przeciw Straussowi, unikał, jak tylko mógł, uciekania się, przynajmniej wyraźnego do mitu. Ztąd znaczne bardzo przerwy w jego dziejach. Wiele faktów

[1]) Zresztą Ewald nie czuje się na siłach, gdy idzie o wyjaśnienie tych wielkich faktów. Mówi o nich w odsyłaczach i często wywija się w sposób wymijający.

zbywa milczeniem, albo wyraża się o nich w sposób tak nijaki, nieokreślony, że doprawdy trudno zrozumieć, jaka jest właściwie myśl jego. Inni egzegieci wolno-myśliciele nie są tak wstrzemięźliwi bynajmniej, i nie obawiają się nazwy mitu; wogóle mniej faktów tłumaczą wyjaśnieniem naturalnem, a więcej mitem. Tradycya, mówią oni, np. zachowała jedynie słaby zaledwie zarys, szkielet faktów; mit zapełnił próżnie, pozostawione w opowieści wypadków i on to ożywił życiem prawdziwem jego wyschnięte kości. Tak więc imię Mojżesza przetrwało wieki całe, tak jak pamięć pobytu w Egipcie, wyjścia prawodawstwa mojżeszowego i t. d. Imaginacya ludu nie mogła się zadowolnić temi faktami nieokreślonemi i że tak powiem bezcielesnemi, które jej nie zaspakajały dostatecznie. Mit ze swemi płochemi wymysły zaspokoił ją i zapewnił, że wypadki tak wielkie w jego dziejach musiały się zrodzić z przyczyn cudownych; ztąd okoliczności towarzyszące przejściu przez morze czerwone, obłok cudowny. Lud, który je i pije, i który się bardzo przedewszystkiem zajmuje swemi najpierwszemi potrzebami, życia pytał się jeszcze: Jakże to ojcowie nasi żyć mogli na pustyni bez zapasów, bez strawy? Na to niewyczerpany mit odpowiadał mu znowu: Manna spadała z nieba i żywiła ich, przepiórki spadały obficie i zaspakajały ich głód, nawet skała się rozpadała dla ugaszenia ich pragnienia. W ten sposób wyjaśniają się wszystkie fakty nadprzyrodzone starego Testamentu, zestawiając wyjaśnienia naturalne z mitem. Mit przyoblekł tradycye w ciało: tradycya dostarczyła tła, mit je dohaftował. Pisarz po prostu opowiedział jeno co słyszał od ludzi: był jeno, że tak powiem, sekretarzem fantazyi ludu.

Niekiedy wolnomyśliciele dalej się posuwają w swych marzeniach. Tak np. p. Schenkel nie może przypuścić, aby Adam miał być osobistością dziejową: to poprostu wymysł mityczny, mający na celu wyjaśnienie pochodzenia człowieka w sposób zgodny z uczuciem religijnem [1]). A. Bernstein, żyd, w swojem dziele: *Źródła podań o Abrahamie, Izaaku i Jakubie*, widzi w dziejach patryarchów jeno „paszkwil pełen żółci i jadu przeciw Dawidowi“, ułożony po oddzieleniu się dziesięciu pokoleń przez stronnika Jeroboama. Wedle niego, żona Judy, córka swego *Bath-Sua* to Betsabeja, *Bethseba*; Sela najmłodszy syn Judy — to Salomon; Onan — to Amnon itd. [2])

[1]) Schenkel, *Bibel-lexicon*, zeszyt pierwszy, 1868 str. 46.

[2]) A. Bernstein, *Ursprung der Sagen von Abraham, Isaak und Jakob;* Kritische Untersuchung, Berlin. 1871.

Te przesady systematu mitycznego mają przynajmniej tę dobrą stronę, że pokazują najlepiej całą jego fałszywość i bezpodstawność.

Jest punkt, co do którego wolnomyśliciele niemieccy w większej są zgodzie — a mianowicie orzeczenie autentyczności większej części ksiąg starego Testamentu, a szczególniej pięcioksięgu; atoli jednozgodni w zasadzie, są jak nie można więcej różniący się co do szczegółów, każdy ma swe zdanie i jedni drugich ciągle zbijają.

W kwestyi Nowego Testamentu to nikt prawie nie posuwa się tak daleko, co Strauss. Dr. Ewalda można tu jeszcze uważać za przedstawiciela umiarkowanych. Strauss w ten sposób streszcza i sądzi jego *Dzieje Chrystusa*: „Widzimy w nich tę pół-filozofię i oną pół-odwagę, tę mieszaninę zdrowej krytyki i przywidzenia dyletanckie, będące ogólną cechą Ewalda, i które sprawiają, że prace jego nad Ewangieliami przedstawiają jeno prosty interes ciekawości [1])... Jego pojmowanie osoby Jezusa i zapatrywanie się na cudowne uleczenia przez niego dokonywane trzymają środek między poglądami Schleiermachera i Paulusa. Co do innych cudów, to żartuje sobie, jakkolwiek tego nie mówi, z poglądu mitycznego. W rzeczy zmartwychwstania długa jego i pretensyonalna rozprawa nie wyjaśnia ani odrobiny więcej nad to, com powiedział o tem we właściwym rozdziale mego dzieła, wprawdzie z daleko mniejszem namaszczeniem, lecz także i z mniejszą plątaniną bez ładu i składu. Trzask wyrazów, huk frazesów, jakie Ewald podnosi naokoło tych kwestyj, dla mnie jest tylko znakiem ostateczności, do jakiej doprowadził się ten rodzaj teologii, co to chce być na poły zachowawczą, na poły krytyczną. Sztuczne chyba powijaki nadętej retoryki mogą jeszcze tylko ukrywać to, co jest widoczne, osłaniać i bronić tego, co jest nieuniknione, jak tylko chmury ustąpią przed jasnością pojęć zrozumiałych i dokładnych, wnet też się okażą i na jaw wyjdą rezultaty krytyki i wszystkich uderzą“ [2]).

Poprzestańmy na tym sądzie i na tej próbce względów, jakie wolnomyśliciele niemieccy żywią wzajem dla siebie. Widzieliśmy już jak z przeczenia do przeczenia, niewiara raz stąpiwszy na fatalny grunt wątpienia, zeszła aż do nihilizmu, głoszonego w *Starej i nowej wierze*. Wielka to dla nas nauka. Krytycy, którzyby chcieli zachować jeszcze jakąś cząstkę starej wiary, nie będą w stanie tego uczynić. Strauss mówi do nich bardzo słusznie: „Wszystko albo

[1]) Wprawdzie pierwszą część tego sądu stosuje Strauss bezpośrednio do Weissa, atoli dodaje, że da się to samo powiedzieć i o Ewaldzie.

[2]) Strauss, *Nowy żywot Jezusa*, I. 42.

nic“ [1]). Szczęśliwi więc jesteśmy, my, którzy mamy wszystko; jakże bowiem człowiek mógłby się obejść bez wiary? Daumer opowiada w dziejach swego nawrócenia się, że jak tylko poznał fałszywość sceptycyzmu, ani chwili się nie wahał z przyjęciem wiary rzymskiej, gdyż on także zrozumiał doskonale, że to było „wszystko lub nic“ [2]). Widząc te wewnętrzne rozdwojenia, obalenie wzajemne swych doktryn, to znikanie prawdy w łonie racyonalizmu, cieszymy się bardziej niż kiedykolwiek, że mamy szczęście być katolikami, rozkoszujemy się coraz bardziej darem wiary, błogosławimy z serca całego Jezusowi Chrystusowi, Bogu wcielonemu, że ustanowił Kościół, w którym powaga nieomylna uwalnia nas od tych wszystkich niepewności i męczarni. Zaprawdę, nie podobna się oprzeć smutkowi, widząc to opadanie wiary nadprzyrodzonej w kraju, w którym praca myśli jest tak czynną, a mogłaby być tak płodną. My odczuwamy w Polsce, jakby przez odbicie to dzieło zniszczenia, a nigdy nie należy zapominać, że ciosy zadawane w ten sposób bezpośrednio protestantyzmowi, dosięgają pośrednio katolicyzm. Ci, co wyziębili w duszach swych uczucie religijne, są dalej od nas niż heretycy, którzy wierzą jeszcze. Luter narobił wiele złego Kościołowi, wciągając do swego buntu wiele państw; ale Strauss narobił złego nierównie jeszcze więcej, jeżeli dzieło jego i uczniów jego wyrwały z serca protestantów to, co jeszcze w nich było pozostało chrześcijańskiego. Strzeżmy się więc przed zasadzkami fałszywej umiejętności, strzeżmy się obojętności w rzeczach wiary, a tem bardziej przyklaskiwania postępom racyonalizmu w Niemczech lub w krajach niekatolickich Europy; owszem niech każdy, o ile sił, stara się opierać mu na każdym kroku: gdyż jestto dziś najstraszniejszy nieprzyjaciel dla przyszłości Kościoła i cywilizacyi.

[1]) Strauss, *Die Halben und die Ganzen. Eine Streitschrift gegen die HH. Schenkel und Hengstenberg.* Berlin. 1865.

[2]) Rosenthal, *Convertitenbilder*, I. 94I.

Starożytność Człowieka

wedle archeologii, paleontologii i geologii.

(Ciąg dalszy).

(L'ancienneté de l'homme, prouvée par la géologie et remarques sur les théories rélatives à l'origine des espèces par variation par sir Charles LYELL, traduit par M. CHAPER. Deuxime édition, revue annotée et augmentée d'un Précis de *Paléonthologie humaine* par E. Th, HAMY, docteur en médecine. Paris, 1870. — P. GERVAIS. *Recherches sur l'ancienneté de l'homme et la période quaternaire.* Paris. 1868. — Ed. LARTET. *Nouvelles récherches sur la coexistence de l'homme et des grands mammifères réputes caractéristiques de la dernière période géologique* w *Annales des sciences naturelles,* 4 serya 1861. — G. de MORTILLET. *Matériaux pour l'histoire positive et philosophique de l'homme,* 1864—1874. — C. VOGT. *Leçons sur l'homme* Paris, 1865 in 8vo. — CHABAS. *Etude sur l'antiquité historique, d'après les sources égyptiennes et les monuments réputés préhistoriques.* Paris. 1871. — *Les origines de la terre et de l'homme, d'aprés la Bible et d'aprés la science,* par l'abbé FABRE d'EUVIEU, Paris, Thorin, in 8vo. 1873 i t. d.).

Wielu bardzo geologów utrzymywać zwykło, że okres uspokojenia i względnego utrwalenia się globu ziemskiego rozpoczął się jednocześnie na wszystkich jego punktach. Zjawiska lodowe i potopowe, drgania wahające się skorupy ziemskiej, bardzo często w okresach trzecio- i czwartorzędnym mogły przedłużać mniej lub więce swoje przygotowawcze działania na różnych częściach kuli ziemskiej, podczas gdy pierwsze kroki cywilizacyjne popotopowe rozwijały się w Azyi i zwolna dostawały się do Europy.

Nawet w okresie obecnym, mówi p. Quatrefages, mogły mieć miejsce takie wypadki, które przeobrażają powierzchowność i warunki bytu bądźto całego lądu stałego, bądź jego części tylko. Badania panów Humphreys i Abbot dowodzą, że Ameryka północna miała jeszcze przed czterema do pięciu tysiącami lat wielkie morze wody słodkiej, o którem świadczą istniejące tam wielkie jeziora... Może to dopiero od czasów istotnie historycznych rzeki Mississippi niższa, Missouri i t. d. wyżłobiły sobie teraźniejsze łożyska i pozostawiły widzialnemi owe łąki, na których kołysanie się wysokich traw przypomina jeszcze, podług opowiadań podróżników, fale wodne, które niegdyś przepływały po nich [1]).

Pan Lyell sam wyrzekł w swojem dziele: *l'Ancienneté de l'homme* na stronnicy 210:

„Jestto zwykłą własnością powierzchni kuli ziemskiej, ulegać wielkim wstrząśnieniom i zmianom w jednym punkcie, podczas gdy inne kraje, często w najbliższem nawet sąsiedztwie, pozostają przez

[1]) Zdanie sprawy o postępie w antropologii.

wieki następne bez żadnej przemiany. W jednej okolicy łożysko rzeki rozszerza się i zagłębia, fale morskie podmywają brzegi swoje, ziemia zapada się pod wodę, lub wydobywa się z niej przez następujące po sobie wieki, wulkan wyrzuca potoki błota lub popiołów, gdy tymczasem w tej samej chwili istnieją obok tego wszystkiego starożytne lasy, obszerne stepy lub bogate miasta, nie ulegając żadnym przewrotom i wolne od klęsk wszelkich".

„Nie należy nigdy, woła p. Milne Edwards, zbyt pochopnie orzekać, kiedy i jak miały miejsce owe wylewy wód, które jak się zdaje, spowodowały zatracenie ludzi, słoni, rynocerosów i innych zwierząt, jakich ślady odkrywane bywają w pokładzie ziemi, zwanym przez większą część geologow *diluvium.* Mnie się zdaje, że wszystkie te zwierzęta istniały w tej okolicy w owej epoce, kiedy ląd stały Europy nie miał jeszcze utworzonego teraźniejszego ukształtowania; wolno jednakże zrobić mi pytanie, czy wyniszczenie tych zwierząt nie powinno było uprzedzić czasy historyczne i czy zjawisko, które tak głęboko zmieniło stan tej części powierzchni kuli ziemskiej, nie powinno było mieć koniecznie jakiegoś odgłosu w tych częściach Azyi, w których historya umieszcza kolebkę rodzaju ludzkiego i w których podania z pierwszych wieków zostały przechowane" [1]).

Żaden uczony nie może nam oznaczyć daty i podług jakiej miary czasu powoli lub szybko działającego, dawne klimaty okolic północnych przeobraziły się. Cóż my wiemy z historyi wewnętrznej Gallii przed Cezarem, o historyi Germanii przed Tacytem? Kiedy jutrzenka historyi powstaje nad temi okolicami, widzimy tam jeszcze wówczas zimy bardzo długie i mroźne, pory letnie zwykle dżdżyste, rzeki, jak Ren, pokryte co rok grubemi lodami, lasy bagniste, zamieszkałe przez reny, łosie, żubry i bobry. Słowo w słowo wieków temu kilka tak samo niemal było i u nas w Polsce. Tak więc acz wybitne charaktery okresu lodowego zatarte były w połowie, nie zatraciły się jednak i wtenczas zupełnie [2]).

[1]) Raport o wykopaliskach w Moulin-Quignon. *Comptés rendus des séances de l'Académie des sciences,* 18 Maja 1863.

[2]) W badaniach swoich nad renami Buffon powiedział: „Gallowie pod tym samym stopniem szerokości geograficznej jak Kanada, byli przed dwoma tysiącami, lat tem czem Kanada jest za naszych czasów, to jest klimatem dość zimnym, ażeby w nim żyły zwierzęta, które dziś znajdują się jedynie na północy". Pan Ch. Gérard zupełnie usprawiedliwił to zdanie w dziele swojem: *Opis historyczny zwierząt ssących Alzacyi,* I. vol. in 8, mianowicie p. 307—324.

Mylnie również dowodzono, że skamieniałości tak zwane żwirowe w niektórych wielkich rzekach zostały tam złożone w bardzo odległej epoce przed czasami historycznemi. Tymczasem największa np. we Francyi żwirownia w dolinie Amiens ma w sobie jedne i też same części składowe, zupełnie jednorodne w swoich cechach mineralnych i organicznych. Wylewy, których skutkiem powstały te żwirownie, musiały dochodzić do wysokości dwudziestu sześciu metrów „i dowodzą, mówi p. Taylor, okresu deszczowego tak widocznie jak niekształtne, nieokrzesane kloce wskazują okres lodowy. Ten okres deszczowy musiał bezpośrednio poprzedzać rzeczywisty początek czasów historycznych. Gdybyśmy mieli wyrokować o wieku tych pokładów, zaliczylibyśmy ich formacye nawet już do czasów historycznych".

Badania geologiczne i historyczne p. Michała Rossi w dolinie Tybru zdają się dowodzić, że nawet we Włoszech zjawiska, cechujące okres czwartorzędny, nie przestały działać w zmniejszających się rozmiarach o wiele później, jak powszechne jest o tem mniemanie. W epoce założenia Rzymu, nie zbyt odległym był czas, w którym Tyber zapełniał całą dolinę swym biegiem popotopowym; bagna, które po sobie zostawił, opadając z pierwotnej powierzchni, były jeszcze spławnemi; klimat był zimny; starożytni historycy łacińscy robią wzmianki o śniegach, spadających do znacznej wysokości, które pokrywały ziemię przez ciąg dni czterdziestu i więcej; w piątym wieku po założeniu Rzymu, rzeka Tyber dwa razy zamarzła; między rokiem 505 i rokiem 531 naliczono i zapisano trzydzieści wielkich wylewów, które przechodziły miarę dwudziestu metrów nad stan zwyczajny wody. Zdawałoby się więc, że okres popotopowy Tybru przedłużał się w tym stanie do okresu historycznego Rzymu [1]).

III.

Początek epoki teraźniejszej pod względem geologicznym i paleontologicznym jest równie niejasny, jak historya czasów trzecio- i czwartorzędnych.

Wielu geologów i paleontologistów utrzymuje, że epoka teraźniejsza miała rozpocząć się razem z wyniszczeniem gatunków, wydobywanych z ziemi, które podług nich nadały cechę opisowi zwierząt czwartorzędnemu. Ale niewiadomym zupełnie jest dla nas czas, w którym gatunki te zaginęły, niemniej nie wiemy, w jakim czasie zjawiska lodowe i potopowe ustały w naszych okolicach i w każdej innej części kuli ziemskiej. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wyniszczenie onych nie musiało być jednoczesne; mogły one utrzymywać się jeszcze w pewnych miejscach przez długi czas po zniknieniu w większej części krajów, w których żyły i które zaścielone są ich kośćmi; a nie mamy żadnego środka do oznaczenia ścisłej daty, w której wymarli ostatni ich przedstawiciele.

P. Lyell i uczniowie jego mają przekonanie, że dowiedli przeciwnej powszechnemu zdaniu starożytności naszego rodzaju, kiedy wykazują, że nasi przodkowie byli zapewne [1]) współczesnymi ze zwierzęciem *Elephas primigenius* i z innemi zwierzętami, znajdowanemi często w pokładach potopowych. Ale w jaki sposób mogliby dowieść, że mamut, rynoceros, wielki jaskiniowy niedźwiedź i t. p. zupełnie zniknęły z naszych krajów za czasów Abrahama, Mojżesza, Salomona albo w czasach późniejszych?

---

[1]) P. Michał Rossi zebrał badania swoje w dolinie Tybru, w pamiętniku, który był czytany w dniu 12 Sierpnia 1871 roku w akademii *Nouvi Lyncei*. Ksiądz Moigno ogłosił w zeszycie pisma *les Mondes* z 5 Czerwca 1873 r. rozbiór tego pamiętnika. Możnaby znaleźć w nim wywody, które przechodziłyby zakres, w którym ograniczyć się muszę. Horacy w zimie jeszcze widział *Soracte* pokrytą śniegiem. „Dziś, mówi p. Ampère, Soracte pokryta śniegiem jest rzadkim wypadkiem, choć niekiedy zdarzać się to zwykło; ale wiele innych opisów szczegółowych dowodzą, że zima dawniej była sroższą w Rzymie, jak za naszych czasów". (J. J. Ampère — *Rome sous Auguste, d'aprés les poëtes contemporains*).

[1]) Powtarzam prawdopodobnie, nie mówię z pewnością, gdyż w tych przedmiotach nie możemy dojść do pewności. Nie będąc koniecznie współczesnymi z mamutami i rynocerosami, przodkowie Gallów mogli byli wynajdywać one w śniegach i lodach gór swoich, jak niegdyś znaleziono jednego dobrze zachowanego w śniegach na ziemi, która nosi nazwę *Wrangel;* artyści gallijscy nawet w stanie dzikości mogli byli rzeźbić rysy zewnętrzne mamutów wykopywanych, na kości ich kłów, jak również mogli rysować na kamieniu łupkowym postać wielkiego jaskiniowego niedźwiedzia. Nie znajduję żadnej dostatecznej przyczyny do zaprzeczenia współczesnego istnienia prawdopodobnego mamuta z człowiekiem. Ale p. Lyell przyznaje (p. 252—253), że wobec posiadanych dzisiaj wiadomości „niepodobieństwem jest stanowczo orzec, czy Europa była lub nie zaludnioną przez rodzaj człowieczy w czasach istnienia mamuta i innych zwierząt ssących teraz zaginionych podczas przemiany, która zamyka okres lodowy"? Przyznaje on, „że najdawniejsze ślady naszego rodzaju w Wielkiej Brytanii są z czasów okresu po-lodowego (p. 250)". Przeciwnie, jego tłumacz francuzki utrzymuje, że człowiek jest bliskim tego okresu (*l'homme est pré-glaciaire*). Jakże zrozumieć tak dziwną niezgodność?

Do utrzymujących, że człowiek żył w naszych krajach wspólnie ze zwierzętami zaginionemi od niepamiętnych czasów, jeden z uczonych geologów w te odzywa się słowa: „Nie wiemy, w którym właściwie czasie zwierzęta te wyginęły, lub przeniosły się w inne strony. Bo to, że pozostałe po nich szczątki znajdują się obok szczątek ludzkich, niczego jeszcze nie dowodzi na korzyść starożytności człowieka, w ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Czy wyrażenie kopalny, wydobywany z ziemi, jest dostatecznie określone, ażeby go nie można nadużyć?.. Niema nawet powszechnej zgody na zrozumienie znaczenia wyrazu *diluvium;* każdy zastosowuje to wyrażenie podług chwilowego własnego wrażenia, gdyż jest ono, równie jak tyle innych, bardzo źle określonem. W ogólnem pojęciu, *diluvium* jest pokład ziemi naniesiony, w którym zgromadzają się szczątki... Rodzaje zwierzęce, z któremi widzieć się dają połączone szczątki ludzkie, niczego nie dowodzą, chyba jednego tylko przewrotu w porządku natury, który stał się powodem ich wyniszczenia“ [1]).

Że rodzaje wynajdywane w stanie wykopalisk w pokładach czwartorzędnych istniały przez długi czas, temu nie zaprzeczam, jak niemniej nie chcę przeczyć długiej trwałości zjawisk lodowych i potopowych; zaprzeczam tylko prawa wyprowadzania ztąd wniosków o niedającej się obliczyć starożytności naszego rodzaju. Fauna czwartorzędna niewątpliwie stworzoną była znacznie pierwej przed stworzeniem człowieka. „Szczątki mamutów i wielkich niedźwiedzi zajmują w pokładach czwartorzędnych takie miejsce, w którem dotychczas nie znaleziono jeszcze szczątek ludzkich. A to właśnie nie pozwala nawet wątpić o dawniejszem istnieniu mamuta“ [2]).

Zwierzęta ziemskie, zagrzebane w pokładach potopowych, kto wie czy nie zostały stworzone w pierwszej połowie ostatniego okresu, kończącego się stworzeniem człowieka [3]). Pamiętać zaś należy, że nie możemy z całą ścisłością wymierzyć długości tych dni boskich.

[1]) *Appendice*, dodatek do książki Lyella *O starożytności człowieka* (1 ed.) pag. 114—115.

[2]) M. Rimbaud, w dziele *Réfutation du transformisme* (pag. 38, I vol. 1873). P. Lyell przyznaje, że „brak szczątków naszego rodzaju objawia się we wszystkich częściach Europy, w których badano pokłady ziemi naniesionej w epoce poplioceniczej. A jednak kości rodzajów czy żyjących jeszcze czy zaginionych, obficie w nich znajdują się. Od ćwierć wieku zebrano ich tysiące w dolinach, w których nie odszukano ani cząstki jednej szkieletu ludzkiego, nawet ani jednego zęba“. (*L'ancienneté de l'homme* p. 156—157).

[3]) *Genes.* I. 24—23. Jeżeli się nie mylę, mówi p. Contejean: zwierzęta ziemskie z opisu trzeciorzędnego musiały być stworzone w poranku szóstego dnia czyli w ostatnim, jak mówimy okresie. (*Eléments de géologie et de paléontologie*, p. 675).

Bo chociaż zachodzi pewne podobieństwo między tajemniczemi dniami stworzenia, a dniami naszego tygodnia, ale podobieństwo nie wyklucza wcale różnic nie dających się obliczyć. Wszak i rozmiary postaci najpodobniejszych do siebie mogą się jeszcze różnić między sobą w sposób nieokreślony? Ani objawienie nadprzyrodzone, ani nauki przyrodzone nie dają nam poznać miary czasu, jaki upłynął między końcem panowania zwierzęcego, a początkiem panowania człowieka. Brakuje nam także wiadomości historycznych i chronologicznych o stopniowem znikaniu rodzajów, które mogły zaginąć już w obecności człowieka, pod jego przemocą, albo daleko za jego oczami, aż do niezbyt odległej epoki, w której historya naturalna rozwinęła się.

Pomiędzy rodzajami zaginionemi, z któremi, jak się zdaje, żył jednocześnie człowiek, rodzaj mamuta zwykle podawany jest jako wyniszczony najdawniej; jednak dzienniki naukowe niedawno ogłaszały, że mamut żyje jeszcze w lasach Syberyi, do których żaden jeszcze ze zwiedzających dostrzegaczy nie dostał się. Przypuśćmy, że ta wiadomość potwierdzoną nie będzie, niemniej jednak prawdziwem zostanie twierdzenie, że w żaden sposób nie można stanowczo oznaczyć okresu, w którym wymarły mamuty współczesne z przodkami naszymi. Stworzone o wiele przed człowiekiem, mogły żyć z nim w tym samym czasie, długo jeszcze po Noem, po Abrahamie, po Mojżeszu i później jeszcze, choć żaden z historyków nie wspomina o ich istnieniu. Historya Gallii zaczyna się od Juliusza Cezara, historye Wielkiej Brytanii, Germanii, Polski, Rossyi rozpoczynają się w czasach o wiele późniejszych.

Znaczna ilość zwierząt ssących, zagrzebanych po potopie w pokładach pozostałych po ustąpieniu wód, w jaskiniach, musiała pochodzić z czasów znacznie od siebie różnych. Pierwsza serya musiała zaginąć przed stworzeniem człowieka; druga serya musiała być współczesna z pierwszemi patryarchalnemi pokoleniami; serya najmniej starożytna jest późniejsza od potopu biblijnego. Ale odróżnienie chronologiczne tych trzech seryj przedstawia trudności niepokonane. Pokłady ruchome, w których znajdują się te wykopaliska, musiały istotnie uledz przemianom, których historya jest nieznaną i być nią nie może [1]).

[1]) Nawet w okresie teraźniejszym, częściowe, wahające się ruchy powierzchni ziemi były częstsze i głębsze, jak to powszechnie utrzymują. Nie

Okresy utworzone wyobraźnią p. Lartet, a powtarzane jak za panią matką pacierz przez wielu uczonych, dla oznaczenia chronologicznego podziału tak zwanych potopowych wykopalisk: wiek wielkiego niedźwiedzia jaskiniowego, wiek mamuta, wiek renifera, wiek żubra, w przekonaniu tego samego uczonego, miały tylko wartość wątpliwą i względną, stosownie do niektórych okolic. „Te podziały systematyczne, dające zastosować się do pewnego kraju danego, traciłyby często, mówi on [1]), całą swą wartość po za temi ograniczeniami; i tak wiek żubra trwa jeszcze na Litwie, a renifer żył jeszcze w lesie hercynejskim za czasów Cezara“, dzisiaj żyje on jeszcze w Rossyi. Wedle tej więc metody potężne carów państwo znajduje się dopiero w wieku renifera. Uczeni mieliby może słuszność w swych wyrokach, ich podziały chronologiczne mogłyby być prawdą, gdyby historya nie dostarczała nam takich dowodów, że te całe ich głębokiej nauki rusztowania obalają zupełnie. Historya bowiem poucza nas, że różne rodzaje zwierząt dzisiaj nawet przed oczyma naszemi nikną zupełnie. Czasy najmniej odległe dostarczają nam dosyć licznych przykładów tego zjawiska, które bez żadnego powodu przypisywano wyłącznie wiekom bardzo dawnym, oddzielonym od naszego przez ogólne przewroty na kuli ziemskiej albo przez zmiany klimatyczne, poprzedzające opisy kwiatów i zwierząt obecnie istniejących [2]). (Dok. nast.)

---

można twierdzić, ażeby od najodleglejszych czasów historycznych poziom morza i ziemi został taki sam, jak był i że w tem żadna znacząca zmiana nie zaszła, czy to w pokładach wierzchnich, czy w dziejach kwiatów i zwierząt najlepiej znanych. Znajdują tego rozliczne dowody nawet w dziele p. Lyell p. t. *l'ancienneté de l'homme*, p. 38, 52, 53, 54, 59, 122, 196, 222, 261, 386.

[1]) *Appendice*, przyczynek do dzieła p. Lyell, cytowanego wyżej. (1 ed. 1864, p. 196—247).

[2]) P. Radau i p. E. Blanchard ogłosili w piśmie *Revue des deux mondes* w 1866 r. (T. LXIV p. 211 i t. d.) oraz w r. 1870 (T. XCIX p. 684 itd.) dwa artykuły bardzo pouczające o rodzajach, które wyginęły od pierwszego zarania czasów historycznych. Dzieło późniejsze p. Ch. Gérard (*sur la faune historique de l'Alsace*, I vol. 1871) obejmuje wyjaśnienia bardziej szczegółowe o zwierzętach ssących dzikich, które przebywały w Alzacyi na początku naszego okresu, a które od tego czasu przeniosły się w inne strony, albo których rodzaje zupełnie zaginęły.

Z NOTATEK
ośmdziesięcio-letniego starca
LITWINA-UNITY.

(Ciąg dalszy).

VI.

W r. 1836 na Litwie konsystorz w Żyrowicach i biskup Antoni Zupko zaczęli na nowo z dekanatów należących do Żyrowickiego konsystorza dziekanów i innych kapłanów do siebie zwoływać, mamiąc ich rozmaitemi sposobami, i przekonywując rytuałem dawnym greckim, aby się skłonili do żądania tronu. Przyjąć to musicie — powiadano im — teraz lub później niezawodnie, i napróżno opieracie się, gdyż najwyższa władza tak postanowiła i tak być musi, ażeby wszystkich w ogóle zjednoczyć z grecko-rossyjską cerkwią nie tylko unitów, ale i łacińskiego obrządku wyznawców. Gdy tym pochlebnym sposobem i błyskotkami nakłonili którego, czemprędzej z wielką radością, mając już w formie przygotowanej cyrograf, dawali mu go do własnoręcznego podpisu i oświadczali mu, że podpiskę tę poszlą Siemaszce, i będzie miał zachowanie u niego, jako przychylny tronowi carskiemu, i zgadzający się z wolą swojej zwierzchności. Podpiska była tej treści: „Ja niżej na podpisie wyrażony oświadczam, że zupełnie przekonałem się o prawdziwości religii cerkwi rossyjskiej, którą dobrowolnie z własnej ochoty i przekonania przyjmuję; obrzędy i ceremonie tejże cerkwi zachować obowiązuję się, biskupów zaś moich jako o dobro doczesne i wieczne dusz trzody sobie powierzonej starających się, we wszystkiem i w każdym względzie słuchać i drugich do tego zachęcać będę, w dowód czego własną ręką podpisuję się *N. N.*“

Tym zatem sposobem nowi biskupi dysuniccy, powodowani doczesnem panowaniem zdradzili i swoje i drugich sumienie, podstępnie zmuszając do odszczepieństwa od Kościoła powszechnego katolickiego. Z tych też księży co dali na siebie taki cyrograf, im który więcej osób z unitów na dysunię nawrócił, tem większą za to nagrodę pieniężną albo duchowny znak honorowy, lub lepsze beneficyum otrzymał. Dawał zaś Siemaszko księżom tym honory takie: 1) skufij to jest czapeczkę nakształt biretu; 2) nakrycie w kształcie kapelusza bez daszku, pokryte aksamitem lub atłasem seledynowym, mające przywilej, że nie zdejmuje się go ani w cerkwi, ani przed

carem, ani przed biskupem; 3) nabedrnik w kształcie biskupiej palicy, podługowatej jak torba, za 2 rogi przyczepiony do pasa, używany tylko z ubiorem cerkiewnym w czasie nabożeństwa: 4) krzyże złote lub srebrne.

W r. 1837 nakazano z konsystorza litewskiego, ażeby z tej dyecezyi przełożeni księży Bazylianów ze wszystkich klasztorów przybyli do Żyrowickiego konsystorza. Gdy więc przybyli i po jednemu przed biskupem stawili się, wmawiał im i przykazywał przyjęcie rytuału schyzmatyckiego, jaki jest przepisany we mszałach rossyjskich. Porzuciliście — mówił im — własne greckie ceremonie i zbliżyliście się do ceremonii Kościoła łacińskiego [1]), przypatrzcie się, w naszej katedralnej cerkwi żyrowickiej, jak pięknie z temi ceremoniami msze św. prawią. Te i tym podobne biskup Zupko pochwały dawał, radził i nakazywał przyjąć one. Niektórzy przełożeni przyjęli też wtenczas dysunię, dali na to podpiskę i zostali na dalszy czas na swojem miejscu przełożonymi, a którzy nie dali jej, zostali wkrótce usunięci z przełożeństwa. Z tego powodu rozdzielili się duchowni na 2 klasy i nazywali się podpiskowi i niepodpiskowi. Podpiskowi prawili mszę z ceremoniami nakazanemi, a niepodpiskowi opierali się nowościom, i nastąpiła między nimi nienawiść, kłótnia i skargi. Naznaczeni byli nawet sekretni postrzegacze nad duchownymi, jak też odprawiają msze śpiewane, z ceremoniami czyli też po unicku.

Nakazano również z Justickolegium przez konsystorz wszystkim księżom w dwóch dyecezyach, ażeby w każdej cerkwi bez wyjątku i wymówki był ikonostas i carskie wrota, a w którejby cerkwi był mały fundusz, wolno było półikonostas i carskie wrota, ale w najprędszym czasie zbudować. Ołtarz wielki, jeśliby w której cerkwi był przy ścianie, nakazano odsunąć go i dać wolne miejsce dla obchodu, gradusów zaś żadnych ażeby nie było koło ołtarza, cyborye z ołtarzów pozdejmować, ławki, ławeczki, które są w cerkwi do siedzenia, wszystkie powyrzucać, obrazy św. Pańskich łacińskiego obrządku jako też i błogosławionego Józefata powynosić i popalić; a to aby wszystko w krótkim czasie dopełniono, a dziekani prawosławni wyegzekwowali. A gdy to wszystko według rozkazu zaczęto rujnować w cerkwiach, parafianie widząc w cerkwi nowe ceremonie, odmianę znaczną, ogołocenie z ozdób, szemrali, i publicznie do księdza mówili: „My nie chcemy, ażeby naszą cerkiew przerabiać na

[1]) Słowo w słowo tak samo twierdzą u nas świętojurcy. (Przyp. Red.)

schyzmatycką, i jeśli ksiądz będziesz mszą św. odprawiać po schyzmatycku, to my cerkiew zamkniemy i księdza do niej nie puścimy". Ksiądz najłagodniej tłómaczył parafianom, że to greckie ceremonie, które poprzednicy porzucili i zbliżyli się do łacinników, że teraz biskupi chcą ceremonie przywrócić tylko, ażeby tak było, jak za pradziadów. My nie wiemy — mówili parafianie — jak tam dawniej było, ale chcemy, ażeby nam ksiądz dobrodziej mszę św. prawił sposobem zwyczajnym, po unicku, a tych nowych obrzędów i mszy nowej nie chcemy znać. Taka prawie w każdej cerkwi parafian ze swoim księdzem była rozmowa.

Ukazem kolegialnym przez konsystorz przykazano dalej księżom, ażeby po wszystkich cerkwiach ornaty były powiększone, humerałów nie używać, miasto alby podryznika czyli stychara z materyi kolorowej, miasto paska zaś pasa materyalnego używać; dla dyakonów miasto alb i dalmatyk stycharów materyalnych; dla służatelów miasto komży stycharczyków kolorowych, na kielich i dyskos osobno po jednej palce ze czterema klapami wiszącemi porobić i używać; patyna czyli dyskos, ażeby były z sedesem na trzy palce wysokim, kopije ażeby były używane w proskomidyi i w rozdrobieniu na cząstki hostyi przed „So strachom Bożym" dla komunikujących się ludzi, ciepłej wody koniecznie po „Wonmim świataja światym" do kielicha wlewać; carskie wrota według przepisów we mszy św. w swoim czasie zamykać i odmykać. Czytanej mszy zabroniono wszystkim księżom prawić: w jednej cerkwi w jednym dniu jedna tylko msza powinna być przed wielkim ołtarzem, i ta śpiewana, a jeśliby w tej cerkwi przed pobocznym ołtarzem były carskie wrota, to jednego dnia wolno i drugą mszę św. spiewaną mieć przed tym ołtarzem. Antymisy unickie nakazano poprzysyłać do konsystorza, lub popalić, a rossyjskie antymisy na atłasie kupić i na tych mszy prawić; dzwonki będące przy zakrystyi i przy ołtarzach porozbijać lub sprzedać i nie używać przy nabożeństwie; mszałów, trebników i innych ksiąg unickich nie używać, ale pokupywać księgi potrzebne do cerkwi z moskiewskiej lub kijowskiej drukarni. „Wiruju" mówić, w miejscu od „otca i syna schodiaszczaho" tylko mówić od „otca schodiaszczaho". W niedzielę i święta soborną mszę we trzech lub pięciu kapłanów, a w niedostatku kapłanów, to z jednym lub z dwoma dyakonami odprawiać rytuałem w służebniku rossyjskim. Dziekani w dekanatach mieli obowiązek po cerkwiach tego wszystkiego przestrzegać, a nieposłusznych kapłanów, i nie zachowujących tego porządku raportować do konsystorza.

Bazylianie w wielu klasztorach mocno temu wszystkiemu i rozkazowi Siemaszki i konystorza opierali się, i nie chcieli według rytuału cerkwi rossyjskiej mszy prawić. Nie wyszczególniając innych, nadmienię tylko o klasztorze byteńskim, w którym mieszkał ks. biskup Józefat Żarski, ostatni prowincyał Bazylianów. Kilku Bazylianów w tymże klasztorze wbrew uparło się, i nie chcieli z nowemi ceremoniami mszy prawić. Trzymano ich za karę po kilka dni w lochu zamkniętych o chlebie i wodzie, naostatek jako nieposłusznych zakonników powysyłano ich do innych klasztorów, a Żarskiemu przysłano od biskupa Zupki naganę, że dał z siebie zły przykład zakonnikom podległym, i nazwano go nieczynnym, że nie zmuszał zakonników swoich do prawosławia. Za te przysyłane mu ciągłe przygany i rozmaite nie do zniesienia ugryzki, ciągle się martwił, a nie bez tego aby go i sumienie nie gryzło, że dał się namowami ułudzić i dysunią przyjął, za którą na biskupstwo tytularne go wynieśli. Mając tyle jawnych nieprzyjemności, nie raz się też uskarżał prawie z płaczem przed swoimi zakonnikami, że go ci biskupi swoimi ugryzkami zabijają. Tak się też spełniło, bo po przysłanem piśmie od Siemaszki przez konsystorz, gdy przeczytał je, tak się zmartwił, że prawie tego dnia zachorował i po trzech tygodniach jako dysunita umarł, 25 Stycznia 1838 r. mając lat 50 z górą. Pogrzebany przy cerkwi klasztoru byteńskiego.

Tegoż roku umarł i metropolita Józefat Bułhak, to jest r. 1838 dnia 23 Lutego. Żył lat 90 z górą, pogrzebiony w Petersburgu w cerkwi dysunickiej. Po śmierci jego Siemaszce odkryło się pole do wszechwładnych rządów. Zaczął więc częstsze odbierać od cara Mikołaja ordery, i nieograniczoną władzę dano mu w nawracaniu. Tem też spieszniej zaczął działać, a nie mając już od nikogo w swoich układach przeszkody, samowładnie i groźno postępował, w nieposłuszeństwie zaś miał prawo natychmiast zawezwać pomocy gubernatorów, urzędników cyrkularnych lub wojskowych żołnierzy do wykonania swoich rozkazów, tyczących się nawrócenia unitów-katolików do schyzmy.

Tegoż 1838 r. Siemaszko poświęcił w Petersburgu na biskupa pod tytułem pińskiego Michała Hołubowicza na swego wikarego i oddano mu po biskupie Żarskim w zarząd klasztor byteński i majątek tegoż na stołowe, prócz tego dano mu majątek opactwa pińskiego po Bazylianach. Roku tegoż biskupa Antoniego Zupka z dyecezyi brzeskiej przeniesiono do Mińska na dyecezalnego przy zwyczajnej pensyi, dano mu majątek klasztoru Torokańskiego na stołowe i utrzymanie

kilku zakonników w tymże klasztorze, a arcybiskupa schyzmatyckiego Nikanora przeniesiono do gubernii żytomierskiej do Poczajowa.

W roku tymże z Justickolegium wydano rozkaz imieniem cara Mikołaja do trzech dyecezyj, ażeby księża świeccy i zakonnicy we wszystkich cerkwiach, w których są monstrancye, puszki, kielichy, patyny, relikwiarze, krzyże, wota, tace, ampułki, lichtarze i t. d. wszystko rzetelnie pod najsroższą odpowiedzialnością z rejestrem onych niezwłocznie do konsystorza przywieźli.

Nowi biskupi ex-uniccy dla ułowienia duchownych i cywilnych osób do dezercyi, rozmaitych używali sposobów, stosując się do ich pojęcia i stanu, już to łagodnością, zdradliwą chytrością, obietnicami, jeśli zaś to nie udawało się, odsądzali ich od urzędowania, i skazywali na pokutę, zmuszając chłodem, głodem, pracą i bolesnemi razami, chociażby te tyrańskie sposoby widocznie były przyczyną nagłej ich śmierci. Za to nie odpowiadali przed sądem, i sprawcom zabójstwa bezkarnie takowe uchodziły. Oto przykład: r. 1839 w gubernii grodzieńskiej powiecie i dekanacie lidzkim zbrodnia przez popa nowego dysunitę popełniona, którego osobiście znałem. Pewien z Wołynia obywatel posłał swego wiernego i poczciwego człowieka jednokonnym wózkiem, z listem i 300 rublami sr. na Litwę do pewnego obywatela, aby mu wręczył list z pieniądzmi, i dał mu przestrogę, gdzie i jak dla ostrożności ma nocować. W drodze już będąc człowiek ten, przyjechał do pewnej wsi i wstąpił do karczmy, a że w karczmie dla wielkiej ciżby i pijanych ludzi obawiał się nocować, wstąpił do popa Rozdziałowskiego bezżennego, i prosił go, aby pozwolił mu w plebanii przenocować. Najsamprzód oburzył się pop i nie chciał go przyjąć na nocleg; lecz gdy człowiek prosił i opowiedział zkąd jest, i dokąd jedzie, jako posłany z pieniądzmi boi się w karczmie nocować, przyjął go z jednokonnym wózkiem, i był rad gościowi. Dał mu jeść i pić i dobrze go uraczył, a potem dał mu miejsce w samotnej swojej stancyi. Gdy późno w nocy zasnął i czeladź spała, pop mając ułożony projekt, zabrał się sam jeden do operacyi spiącego człowieka podróżnego. Zamknięte były okiennice i drzwi stancyi, więc śmiało nożem go w gardło zarżnął, krew płynącą do miski wpuścił i w tejże stancyi pod podłogą miskę postawił, pieniądze i pismo od niego zabrał, trupa zaś do zaprzężonego jednokonnego wózka włożył, za bramę konia wyprowadził, i pod karczmę napędził. Ale nadspodziewane zrządzenie Boże tę zbrodnię wykryło. W tej wsi stali żołnierze, porucznik ich dał był rubla swemu służącemu, aby mu kupił cielątko, ten zaś żołnierz mówi do drugiego żołnierza:

„chodźmy w nocy, ukradniemy cielę dla pana, a rubla przepijemy“. Zgodzili się też oba na to, i poszli do popa kraść cielę, w tymże czasie, gdy pop zabierał się do operacyi. Przez długi więc czas nie doczekawszy się nim zgasi świecę w stancyi, przyszli do okna, i przez szparę okiennicy patrzyli, jak pop zarżnął człowieka, i miskę z krwią wstawił pod podłogę. To wszystko widząc, już nie kradli, ale dali o tem wiadomość swojemu oficerowi, a oficer natychmiast zawiadomił powiatową władzę. Nazajutrz przyszli urzędnicy i oficer do stancyi popa, niby z wizytą a przechadzając się spostrzegli pokapaną podłogę krwią, i pytali popa, co to się znaczy. Pop mówił, że dnia wczorajszego wieprza zarżnął; ci urzędnicy mówią, czy tłusty ten wieprz, chcielibyśmy go widzieć. Pop długi czas się wzbraniał, ale gdy mu w krótkości najakuratniej z żołnierzami udowodnili, i miskę z krwią człowieka z pod podłogi wydobyli, już dalej nie mógł się wymawiać, do winy zabójstwa przed temi urzędnikami się przyznał, i zaraz oddał pieniądze i list adresowany do obywatela. Urzędnicy raportowali o tej zbrodni popa wyższemu urzędowi. Krótko mówiąc, pieniądze zwrócili właścicielowi, ale jak z tym popem rząd i ks. biskup Siemaszko postąpili, niewiadomo.

Przyjęcie schyzmy i danie na to wymaganej podpiski, tak duchownym jako i cywilnym osobom wielkie udręczenie na sumieniu sprawiało, i przez to wiele osób do desperacyi przyprowadziło. Jednego księdza nazywającego się Olifirowicz w gubernii grodzieńskiej w powiecie wołkowickim osobiście znałem, który bardzo się opierał i nie chciał przyjąć dysunii; kazano mu stawić się do konsystorza żyrowickiego. Gdy przybył, namawiał go Zupko, aby dał podpiskę na prawosławie. Odpowiedział: „nie dam podpiski i nie przyjmę dysunii, bo jeślibym przyjął dysunię, to bym tem samem sprzeciwił się dogmatom powszechnego Kościoła i synodom, a przytem własnemu sumieniu i przekonaniu o dobrej, o prawdziwej wierze katolickiego unickiego Kościoła“. Z wielkim hałasem wytrącił go biskup za drzwi, kazał zamknąć w stancyi na kilka dni o chlebie i wodzie, ale każdego dnia przysyłał do niego księży judaszowskiego sumienia, aby wmawiali mu pochlebnemi sposobami przyjęcie schyzmy. Naostatek zdradliwie uwiedziony przeciw własnemu sumieniu i chęci dał się nakłonić, i dał podpiskę na schyzmę, i natychmiast uwolniony został. Przyjechał do domu bardzo zdesperowany, kilka dni pobył w domu, w najlepszej był harmonii ze swoją żoną, oboje byli jeszcze młodzi, ale że przyjął schyzmę, był na sumieniu niespokojny, z przyczyny tej wpadł w desperacyę i nieprzytomność umysłu, porwał dwururną fuzyę, zabił w izbie swą żonę i natychmiast wyszedł do ogrodu, gdzie sobie w łeb wystrzelił i żyć przestał. Takie to okropne skutki zmuszenie na schyzmę, dla wielu doczesne i wieczne nieszczęście sprawiło.

Po wielu miejscach przez parafian wielki opór był, niektórzy schyzmy nie przyjmowali i do cerkwi nie chodzili, niektórzy z tego powodu po lat kilka u spowiedzi nie byli, bez chrztu i spowiedzi ludzi bardzo wielu poumierało, sami parafianie bez księdza grzebali, niektórzy w sekrecie na łaciński obrzęd przeszli, chociaż łacińskim księżom pod największą zakazano odpowiedzialnością unitom sakramentów udzielać. W niektórych parafiach ludzi, którzy bardziej za religią unicką obstawali, za buntowników uważano, brano do aresztu, o chlebie i wodzie trzymano, i ćwiczono, aby nie sprzeciwiali się i przyjęli panującą religię, aby chodzili do cerkwi, i aby drugich nie buntowali! Niektórzy księża parochowie exuniccy dla zachęty swoim parafianom pieniądze dawali, poili gorzałką, obiady dawali, a gdy spostrzegli głowy ich zagrzane wódką, wtenczas namawiali ich do dania podpiski, na której wyrażone było, że z dobrowolnej chęci i przekonania przyjmują prawosławie i krzyżykami podpisują się. W kilka dni po podpisaniu się ich na schyzmę ksiądz widząc, że już parafian swoich przez podpiskę ułowił, i że nie wyprą się tego, policzył wydany ekspens na ich przyjęcie czyli traktament, rozłożył sumę po części na parafian, i chociaż z wielkiem przekleństwem na księdza za podejście, jednak od nich pieniądze wyegzekwował. W niektórych miejscach na skargę księdza do urzędu, kompanie żołnierzy przychodziły, i ludzi, którzy się opierali przyjęciu schyzmy i do cerkwi nie chodzili, tych żołnierze nahajkami do cerkwi pędzili. (C. d. n.)

LISTY z WIEDNIA.

(Serya II.)

XVI.

Wiedeń 19 Października.

(Jeszcze o żydach — Z *Kulturkampfu* — Ze stowarzyszeń katolickich — Kwestya socyalna — Upadek przemysłu — Sprawa nowego katechizmu — Synod dyecezalny w Budziejowicach — List pasterski monsignora Dobrilla — Delegacye — Collegium germanicum w Rzymie — Epilog do zjazdu naturalistów w Gracu — Kościół św. Szczepana — Rada państwa — Zwrot w zapatrywaniach).

Berlińska *Germania* szeregiem wybornych artykułów o spustoszeniach, jakie zrządza supremacya Izraela, położyła niemałą zasługę w sprawach swej niemieckiej ojczyzny. Zdawaćby się przeto mogło, iż i dla monarchii Habs-

burgów dotkniętej tą plagą judaizmu, byłoby pożądanem wyjaśnienie wszechstronne, o ile ten pasożyt karmiący się dobrobytem moralnym i materyalnym, pracuje ciągle a niestrudzenie nad ruiną w dziedzinie polityki — nad rozprzęganiem stosunków społecznych i ekonomicznych. Przypuszczenie to ma atoli pozornie tylko prawdę za sobą. Być może, iż w Prusiech ta praca wyda owoce, ale w Austryi byłaby zupełnie daremną. U nas ten wrzód powstał zewnątrz, i obsypał cały korpus społeczny. U nas judaizm panuje nie tylko dla tego, iż kraj jest zalany żydami, lecz przeważnie i głównie z tej przyczyny, ponieważ liberalne doktryny, wychodowane przez potomków Izraela, dzierżą berło władzy. Gdyby jakim cudem pewnego poranku błogosławionego ulotniły się gdzieś owe dwa miliony pejsatych i bezjarmułkowych braci *Dziennika Polskiego* — nie wieleby to pomogło, społeczeństwo albowiem samo zatrute jest duchem judaizmu; wcielił się ten pierwiastek w instytucye, stał się modłą sposobu myślenia, przejawia się w czynach i dążeniach, a mało zależy na tem, czy znajduje swój wyraz w czynach ludzi ochrzczonych, czy też obrzezanych. Wybijając pokłony przed liberalizmem, nie różnimy się w niczem od żydów, przeciwnie upodobnieni im jesteśmy zupełnie, negując to, co w naszej religii najświętsze, co jest jej częścią, negując podwaliny chrześcijańskiego ładu społecznego. Nie ma nic zgubniejszego, jak poznawszy złe, ukrywać jego źródło, lub przez egoizm szukać go nie w sobie lecz w drugich. Cóż to jest właściwie, co nam ku chlubie służy w porównaniu z Żydowinem? Oto nie co innego, tylko to przeświadczenie, iżeśmy wzrośli wśród owej atmosfery duchowej, jaka w społeczeństwach opartych i ukształtowanych na prawdach i prawach ewangelicznych, wyrobiła wytworzyła się ze zespolenia się miłości bliźniego ze sprawiedliwością. Judaizm nie zna tego, judaizm we wszelkich swych sprawach kieruje się tylko maksymą osobistego interesu chwilowej korzyści, a właśnie te dwie wybitne cechy egoizmu są jakby zrosłe z wszelkiemi eksperymentami liberalizmu na polu ekonomicznem, socyalnem i politycznem. Dopóki tych doktryn liberalnych, dopóty i tryumf judaizmu zapewniony, niech one ustąpią przez powrót społeczeństwa do zasad miłości i sprawiedliwości Chrystusowej, a straszny pustoszący wylew judaizmu znajdzie tamę, odpadnie z orszakiem swych klęsk od narodów, jak odpada pryszcz szpetny, gdy rana już zagojona. A rany te zadane przez judaizm, czyli przez liberalizm, są równo znaczne, są mnogie, są przerażające. Krwawe wojny następują jedna po drugiej. Między narodami wzrasta, potężnieje wzajemna nienawiść. W stosunkach społecznych ciągła bitwa, coraz bardziej wzrasta zdziczenie ludu, przybierające pomimo narzucanej oświaty straszne niekiedy rozmiary. Po stolicach mnożą się samobójstwa często nawet wśród dzieci. W istocie zrozpaczyćby przyszło o społeczeństwie, gdyby nie ta wiara, iż ten liberalizm to godzina, ale tylko godzina ciemności dana szatanowi, iż on sromotnie runąć musi, i w końcu runie. Co w tych orgiach liberalizmu najsmutniejsze, to to, iż rządy tak postępują jakby miały kataraktę na oczach. Nie mogąc, czy nie chcąc widzieć zgubnych następstw tego żydowskiego systemu, wdzierają się jednak gdzie tylko mogą i jak im się uda w obręb praw przysługujących Kościołowi. Dążąc do podkopania jego powagi, narzucają gwałtem szkołom cechę bezkonfesyjną. Przyszło już nawet do tego, że w Hermastowicach, w Czechach, prywatną szkółkę żydowską, ukazem rady szkolnej, uznano za zakład publiczny, zmuszając podatkującą ludność katolicką do utrzymywania go swoim kosztem. W Igławie znów na Morawie, żydzi zajmują posady nauczycielskie, a gdy rodzice uczniów, dotknięci w swych uczuciach religijnych, wnieśli z tego powodu żałobę do ministeryum, prośba ich powędrowała do kosza. We wszystkich prowincyach monarchii, z wyjątkiem Galicyi, zmniejszył p. Stremayer liczbę godzin przeznaczonych na udzielanie religii w szkołach ludowych, w pierwszej klasie na jedną, w drugiej najmiłościwiej na dwie godziny, i to *notabene* bez poprzedniego porozumienia się z ordynaryatami. Czytając to rozporządzenie mimowoli nasuwa się pytanie, jak przy takiem zredukowaniu nauki religijnej *ad minimum*, stanie się zadość §. I. ustawy dla szkół ludowych, który orzeka, iż ich głównem zadaniem jest, wychowywać dziatwę w duchu moralno-religijnym. Nigdzie w całym świecie katolickim nie uwierzonoby pewnie, że istnieje takie państwo, w którem p. minister wyznań wtrąca się w sprawę czysto kościelnej natury i przywłaszcza sobie prerogatywy przełożonego zakrystyi. A jednak tak jest w Austryi. Czasy Józefa wracają. Kler Tryesteński otrzymał wezwanie od namiestnictwa, by przesłał dokładną konsygnacyę mszy funduszowych z wykazaniem, kto je fundował, jak wielki jest kapitał, ile niesie procentu, i jacy księża je odprawiają. Pan minister chce o tem wiedzieć — w razie bowiem zaległości sam msze przyrzeka odprawiać. Przy końcu bowiem o rozporządzeniu p. namiestnik tak się wyraża: „Ponieważ każdy niezależny pleban obowiązany jest w roku odprawić 265 mszy funduszowych, przeto, gdyby której nie odprawił sam, ma się wylegitymować lub zezwoleniem ordynaryatu, lub podać przyczynę, z jakich powodów inny ksiądz je odprawił". W istocie namiestnictwo tryesteńskie przekroczyło znacznie tę granicę, którą prawa wydane i potrzeby państwowe określają. Msze nie są przecie żadną sprawą państwową, a ciekawość władzy politycznej, jaki ksiądz odprawił jaką mszę fundacyjną, jest nietylko zanadto śmiałą, ale co więcej zupełnie bezpodstawną, bo na żadnym paragrafie istniejących ustaw bezkonfesyjnych nie opartą. Widocznie dochody plebańskie nie dają tym panom kancelaryjnym spokojnie usnąć, i wywołują tego rodzaju akta, które świadczyć mogą, że w Turcyi nawet większą swobodą cieszy się Kościół jak w katolickiej Austryi.

W dwóch głównych miastach wyższej Austryi i Tyrolu, w Lincu i Inspruku odbyły się walne zebrania licznych tamże stowarzyszeń katolickich. W Lincu posiedzenia poprzedziło solenne nabożeństwo odprawione przez samego nieustraszonego ks. biskupa Rudygiera. O godzinie 12 zebrano się w obszernej i okazałej sali bazaru ludowego. Wnętrze przyozdobiono herbami krajów koronnych i sztandarami o barwach państwa. Nad trybuną z wieńca kwiatów wychylało się słodkie oblicze Piusa, a po obu bokach zawieszono portrety cesarza i cesarzowej. Grupę tych wizerunków okalał napis: „za Boga, za naszą wiarę, za monarchę i za ojczyznę". Rząd zebraniu temu poświęcił zbyt wiele łaskawej opieki, bo wysłał aż dwóch komisarzy policyjnych, i kilku pachołków. Stowarzyszenie to liczy po różnych miejscowościach przeszło 20.000 członków, sala była przepełniona, natłoczona, zebrało się w przybliżeniu do 3 tysięcy osób. Posiedzenie zagaił prezes hr. Brandis tą radośną wieścią, iż wedle otrzymanego telegramu od kardynała Antonellego, Ojciec Św. upoważnia ks. biskupa do udzielenia zgromadzonym apostolskiego błogosławieństwa. Pierwszy przemówił ks. Rudygier. W przepysznej mowie swojej w żywych barwach przedstawił liberalizmu zasady, dążności i skutki. Po nim wstąpił na mownicę Mgr Greuter. Liberalizm, mówił on, zdruzgotał tablicę z dziesięciu

przykazaniami, jeden atoli z niej odłam, na którym wyryte 7 przykazań zachował i przybił na swoich pałacach i swoich szkatułach. W całym świecie pięć razy pięć czyni dwadzieścia pięć, tylko u liberałów nie. U nas w Tyrolu przy urnie wyborczej jeden mieszczuch znaczy tyle co 7 wieśniaków; widocznie liberalizm zacofany w świecie, gdyż dotąd nie umie jeszcze tabliczki mnożenia. Bez wolności Kościoła, kończy ks. Greuter, wszelka inna wolność, to tylko szalbierstwo obrachowane na szkodę ludu.

W Inspruku na walnem zebraniu, trwającem przez dwa dni, pierwszego dnia 13 Października rozbierano na posiedzeniu sekcyjnem ważną kwestyę wspierania materyalnie pism katolickich. Posiedzenie publiczne odbyło się o godzinie 5. Prezydujący Dr. J. Riccabona odczytuje telegram kardynała Antonellego, iż Ojciec Św. zebranym udziela apostolskiego błogosławieństwa. Zabiera głos proboszcz kapituły monsignor Gaszner z Prixen, zdając sprawę z audyencyi Tyrolczyków u Ojca Św. przytacza, jak ich Pius IX wielce kocha, opisuje smutny stan Rzymu pod każdym względem od chwili, gdy popadł w szpony szajki liberałów, dowodzi przekonywająco, iż liberalny kierunek rządów wtrącił ludy w straszniejsze pogaństwo, niż było starożytne, i kończy uwagą ironiczną, iż ruinie Włoch nie pomoże i zapowiedziana wizyta starego Wilhelma. Następnie przemawiał deputowany do rady państwa Zalinger, wzywając do popierania dzienników katolickich, bądź to przez współpracownictwo, bądź przez prenumeratę. Kto kupuje dzienniki liberalne, mówi zacny mowca, ten płaci haracz wrogowi. Nalegał on także o rozszerzanie kalendarzy katolickich. Koroną atoli tego dnia była mowa monsignora Greuter. W słowach swych jędrnych, miejscami pełnych niezrównanego humoru, smaga nielitościwie faryzaizm liberalnych uszczęśliwiaczy. Kończąc, przyrównał dzisiejsze rządy do owych niemądrych panien Ewangelicznych, które już rychło może kołatać będą do stolicy Piotrowej, prosząc o kroplę oliwy, o podparcie ich powagi, gdyż ją zrujnowano już zupełnie. Drugiego dnia przemawiał ks. Knoflach o stosunkach szkolnych, zalecając stowarzyszenia matek chrześcijańskich, które tak się nie podobały moralnemu *Dziennikowi Polskiemu*, i bractwa szkolnej młodzieży katolickiej.

Pisząc o tem, żal mnie zbiera głęboki, iż tam u wes tak cicho i głucho na polu stowarzyszeń katolickich, a przecież to sam Papież powiedział „iż czasy obecne nie pozwalają wcale na to, aby bezczynnie ręce założyć“. Na obu tych zebraniach zajmowano się szczegółowo kwestyą socyalną, która nie rozwiązana póki czas kryje w swem łonie groźne kataklizmy. Na to zgadzają się wszyscy, iż taryfa, jaką szkoła liberalna taksuje pracę, jest umiejętnie fałszywą, a moralnie niesprawiedliwą, bo taryfa ta stawia na równi człowieka pracującego z bezduszną maszyną i z nieżywotną siłą przyrody. Przyznał to podziwiany przez liberałów sam Lassalle, ów olbrzym krytyczny, ów bohater negacyi. Nikomu nie wolno dziś zapoznawać, iż pracy równe przysługują prawa jak własności. Podwójne a opłakane to zboczenie, wołać o wyłączną prawną opiekę dla kapitału, jak znowu w imię pokrzywdzonej pracy roznosić żagiew nasyconą naftą. Jedno i drugie niemoralne, a jeżeliby chodziło o wyznaczenie stopnia niemoralności, to mniej nim jest petreolejnik, gdyż praca silniej zrosła z człowiekiem, bardziej nieodłączną jest cząstką jego istoty, niż własność. Aby atoli tę zawiłą kwestyę rozwiązać, nie dość przeczyć — trzeba koniecznie postawić coś pozytywnego. Gdy egoizm jak czerw stoczył ów

piękny porządek społeczny, jaki wedle nauki Chrystusowej średnie wieki wyrobiły, poczęły także obumierać owe socyalne instytucye, które narody na polu ekonomii i polityki powołały do życia. Resztki tego porządku społecznego zniwelowała pierwsza rewolucya francuzka, stawiając na miejscu wzajemnego uspołecznienia brutalny a bezwzględny indywidualizm. I ztąd popłynęło wszystko złe. Państwa i ludy, jeżeli nie chcą runąć w barbarzyństwo, muszą koniecznie wrócić do owej średniowiecznej, chrześcijańskiej podstawy uspołecznienia i na niej oprzeć porządek prawny. Teorya ta ogłasza za pierwszą i jedyną swą zasadę, iż nikomu nie wolno nic podejmować, coby było ze szkodą lub jednostki lub pewnej warstwy społecznej. Że dotąd ta zasada nie znalazła zastosowania gwoli rozstrzygnięcia kwestyi co do słusznego wynagradzania pracy, to da się chyba w ten sposób wytłómaczyć, iż człowieczeństwo dotąd pozostaje w jasyrze jednego z swych wielkich wynalazków, w niewoli maszyny parowej i jej następstw. Nie ludzie panują nad maszyną, ona panuje nad nimi, ona włada życiem socyalnem i ekonomicznem, a sama będąc bezduszną, bez woli włada też, poniżając człowieka. Maszyna parowa, ta pani nad czasem i przestrzenią, zamieniła ludzkość nie w społeczeństwo, lecz w tłum producentów i konsumentów; w tłumie tym są tylko luźne indywidua, które nieubłaganie walczą o byt wedle praw dla królestwa zwierzęcego. Państwa więc muszą temu wyzyskiwaniu pracy przez maszynę postawić zaporę, przywracając owe tak potępiane cechy i inne związki, które rozwinęły się na gruncie uspołecznienia chrześcijańskiego, a które zawsze gwarantowały robotnikom tego lub owego rzemiosła wystarczający kęs chleba pomimo wszelakiej, choćby najbardziej wygórowanej konkurencyi. Ubodzy zawsze się znajdą, lecz ubóstwo będzie tylko indywidualne. Do gojenia tej rany wystarczy chrześcijańska miłość bliźniego. Nędza atoli nie będzie klątwą rzuconą i spoczywającą na pracy. W pocie czoła pożywać będzie człowiek i nadal kawał chleba, lecz natomiast nie będzie więcej w pocie swego oblicza głód cierpiał, nędznie marniejąc moralnie i fizycznie. Oto jedyne praktyczne rozwiązanie kwestyi socyalnej. Koryfeusze liberalizmu nie chcą widzieć tej prawdy i obracają się ciągle w tem błędnem kółku, utrzymując, iż kwestyę tę mianowicie w Austryi, zrodził upadek przemysłu. Tymczasem dla przemysłu któż grób wykopał, czyliż nie te same doktryny liberalne? — lud karmiono, tumaniono frazesami o niebezpieczeństwie Jezuitów dla państwa, o potrzebie prawa dla starokatolików, a gdy wybuchła w skutek gospodarki matadorów liberalizmu kryzis finansowa, wywierając ciągle straszne spustoszenia, stoją ci mistrze parlamentarni bezradnie, bo burzyć, to ich rzemiosło — ale budować, do tego niezdolni. Gdy po wojnie prusko-francuzkiej fabryki tych krajów zajęte były zamówieniami, by szkody wojną zrządzone ponaprawiać, przemysł austryacki wolny był od niebezpiecznej konkurencyi z za granicą; do rozkwitu przemysłu austryackiego więcej się przyczynił paryzki komunista, i pruski żołdak, niż ci panowie, którzy w radzie państwa śpiewali hymny na cześć liberalizmu, iż on to ojcem dobrobytu. Gdy atoli zagranica przyszła do ładu u siebie, zalała swemi wyrobami targi austryackie, poczęły fabryki wiedeńskie i czeskie świątkować. Wtedy przemysłowcy, korzystając z katechizmu liberalnego, rzucili się na pole szwindlów — powstawały najróżnorodniejsze akcyjne towarzystwa, zachwalane przez pióra przedajne. Lud grosz zamiast znosić do kas oszczędności, powierzał tym pijawkom, obiecującym wielkie a pewne zyski, a gdy w końcu przyszło, co przyjść musiało,

liberalizm w swych reprezentantach zgarnął bogate łupy, a pytany o ratunek, o lekarstwo, by przemysł podźwignąć ze stagnacyi, porusza filozoficznie ramionami.

Ludność poznała już, że nie liberalizm odkrył złotą żyłę dobrego bytu, lecz że prasa żydowska za pomocą złota utrzymała liberalizm przy panowaniu. Skoro to źródło złotodajne poczęło wysychać, i liberalizm obecnie chwieje się jakby stał na glinianych nogach. Nędza ogólna, jaka się rozpościera w samej stolicy monarchii nie zwraca uwagi rządu, on woli zajmować się zatargami z Kościołem, jak tego świeży dał dowód w sprawie zaprowadzenia nowego katechizmu. Urzędowe dzienniki powtarzają aż do przesytu, iż Kościół katolicki w Austryi, cieszy się zupełną swobodą w zarządzie swych spraw wewnętrznych. Nikt nie zaprzeczy, iż nadzór nad udzielaniem nauki religijnej w szkołach ludowych jest wewnętrzną sprawą katolickiego Kościoła, nietylko według zdania ultramontanów, lecz nawet według brzmienia ustaw zasadniczych Art. 15 z dnia 21 Grudnia 1867, i według późniejszych uchwał dodatkowych z dnia 25 Maja 1868, prawo zaś z 14 Maja 1869 wyraźnie orzeka, iż plan i podział nauki religijnej na pojedyncze kursa, zawisł wyłącznie od władz kościelnych. Samo przez się powinnoby się rozumieć, iż wyznaczanie książek, służących do wykładów nauki religijnej, zależy także tylko od ordynaryatów. Lecz co logika dyktuje, to obala rozporządzenie p. Stremayera, domagające się krom aprobaty biskupiej, jeszcze zezwolenia p. ministra. I w praktyce tak się też dzieje. W Czechach uznano używany dotychczas katechizm, ułożony przez Felbingera wedle Kanizjusza, za nieodpowiedni, częścią dla niedokładnej treści, częścią dla systemu niezgodnego z przepisami dydaktyki. Z wiedzą więc i z aprobatą biskupów Pragi, i Budziejowic ułożono inny katechizm, którego też katecheci w wielu szkołach używać poczęli. Rychło jednak inspektorzy szkolni proskrybowali tę książkę, opierając się na tem, iż nie posiada zezwolenia p. ministra. Biskupi udają się o takowe do ministeryum. P. Stremayer przez sześć miesięcy nie znalazł czasu, by dać odpowiedź, snać jej dać niechcą; a tymczasem uczą wedle Kanizjusza. Śliczna swoboda Kościoła, gdy biskupi nawet co do katechizmu nie mają decydującego głosu. W całym świecie biskup zaleca dyecezyi swej ten katechizm, który uznaje za najlepszy; lecz prawda, w tamtych stronach Kościół nie jest tak wolny jak w Austryi. *Volksfreund*, który pomimo zmiany redakcyi nie zmienił wcale swych poglądów, lecz nurza się w mętnych wodach — *modus vivendi* — bierze rząd niejako w obronę, i ciekawa rzecz, powołuje się na *breve* papiezkie z 5 Listopada 1855 do austryackiego episkopatu, zostające w związku z konkordatem, gdzie czytamy: *Si gubernium idem sibi aliquid in votis esse significaverit, quo ad formam et methodum, qua libri ad religionem pertinentes sint scripti in scholarum usum, ejus modi votorum ratio vobis erit habenda, salvo tamen semper, incolumique vestro judicio ac jure circa doctrinam, quae iisdem libris continentur*". *Volksfreund* taki gorliwy rzecznik p. Stremayera powinienby atoli pamiętać, iż to *breve* jak i pewne koncesye dla państwa, zawarte w konkordacie, wydane zostały wówczas, gdy Austrya miała rząd katolicki, a nie bezkonfesyjny jak obecny, powinienby pamiętać, iż chcąc być dziennikiem prawdziwie katolickim, nie można nigdy dwom panom służyć. Centralizm niemiecki natchnął „*Volksfreunda*" do tej obrony, bo sprawa katechizmu poruszona była w Czechach, a *Volksfreund* broni wszystkiego, co się tam dzieje pod niemieckim

naciskiem, lub też ignoruje każdy objaw gorącego życia, jakiem katolicyzm tam tętni. I tak, choć się zowie pismem katolickiem, nie wzmiankował ani słówkiem o odbytym synodzie dyecezalnym w Budziejowicach. Synod ten stwierdził ponownie, iż te starożytności sięgające zebrania uwydatniają w nader piękny sposób duchową jedność biskupa z swymi współpracownikami, wyjaśniają wiele ważnych zagadnień z dziedziny dusz starownictwa, pokrzepiają i umacniają do mężnej obrony zagrożonych praw Kościoła, słowem przynoszą niepoliczone pożytki.

Oprócz spraw czysto duchownych, także w wysokim stopniu upośledzone materyalne położenie kleru dostarczyłoby synodom materyału do obrad, a takie zbiorowe wystąpienie kleru nie mogłoby pozostać bez skutku u władz rządowych. Biskup z Budziejowic, Jan Waleryan, zgromadził w około siebie przeszło 80 sług Kościoła, którzy na wezwanie jego pospieszyli ochotnie z najodleglejszych stron. Przez czas kilkudniowych posiedzeń zapadło więcej niż 20 uchwał, tyczących się bądź to obowiązków pasterskich bądź uprawy nauk teologicznych, bądź wykonywania uczynków miłosierdzia. Szczególną uchwałą zalecono skrzętne zawiązywanie towarzystwa „matek chrześcijańskich", które *Dziennik Polski*, jako wymysł jezuicki wyklina, a jego teolog nadworny wyszydza. W tym celu wychodzić będzie z przyszłym rokiem odrębne pismo w języku czeskim pod nazwą: *Ludmila*. Resztę obrad zajęły wnioski o uregulowaniu płac duchowieństwa, zredagowany w tym duchu memoryał, podpisany przez wszystkich zgromadzonych, wysłano do ministeryum wyznań i oświecenia. Ta manifestacya życia kościelnego nie podoba się bardzo tutejszym pismakom żydowskim, jak również ściągnął na siebie gromy monsignor Dobrilla za list pasterski, który ogłosił, obejmując zarząd dyecezyi Tryesteńskiej. Mnóstwo w tym liście widzą czarnych ultramontańskich plam. Dostojny pasterz wstęp swego pisma poświęca serdecznemu wspomnieniu swego poprzednika, monsignora Lavat, następnie uderza na doktryny materyalistyczne a mianowicie na teoryę Darwina, przestrzega wiernych przed ową plugawą belletrystyką, i przed dziennikarstwem, które jadem swoim zatruwa już i chatę wieśniaczą; prawo do szkoły, reklamuje dla Kościoła, bo szkoła to jego córka; wyznaje, iż chlubi się być ultramontanem, bo tam za górami siedziba Piotrowa, stolica Apostolska, tam pasterz nad wszystkie pasterze, od którego nikomu odłączać się nie wolno, kto chce nosić nazwę katolika i być nim. W końcu żali się ks. biskup, iż tak mało garnie się do służby ołtarza, iż w dyecezyi przeszło 50 miejsc opróżnionych dla braku kleru. Brak ten w dyecezyach austryackich w istocie zwiększa się z każdym rokiem, a jedną z przyczyn, iż i nad kandydatami stanu duchownego cięży obowiązek służby wojskowej. Pojął to dzielny delegat z Tyrolu, deputowany Ocer, gdy na zebraniu delegacyi wspólnych, wytykał rządowi, iż ślepo naśladując Prusy protestanckie, uczynił to, czego Austrya przeważnie katolicka uczynić nie była powinna, pociągając młodzież z seminaryów pod karabin. Francya i Rossya, którym zapewne zależy na pomnożeniu sił zbrojnych, nie poszły w ślad za Prusami, niech rząd pamięta, iż lud już dość składa ofiar z grosza i z własnych synów Molochowi wojny, niech nie domaga się od niego i tej dotkliwej ofiary, jaką będzie prędzej czy później powszechny brak kleru.

Głos ten tak sprawiedliwy będzie prawdopodobnie głosem wołającego na puszczy. Delegacye są albowiem na to tylko, aby uchwalać ogromne bud-

lata wojenne, aby uchwalać miliony na mordercze działa. Delegaci wyprawili sobie bankiet i wszystko poszło bardzo gładko. Dziwić się należy, iż nikt z delegatów nie interpelował p. Andrassy'ego, czy poczynił jakie kroki, by kolegium *Germanicum* istniejące w Rzymie, a zostające pod opieką Austro-Węgier, zabezpieczyć przed grabieżą króla Piemontu. Że rząd sabaudzki zwrócił swe pożądliwe oczy na ten zakład, da się to wytłumaczyć tem, iż Austrya nigdy dotąd przeciw żadnym gwałtom włoskich opryszków nie protestowała. Gdy miano znosić klasztory i zakłady cieszące się opieką mocarstw zagranicznych, porozumiewała się Francya z mocarstwami innemi, by je nakłonić do kroku zbiorowego. Na projekt ten Austrya dała całkiem nieprzychylną odpowiedź. Czy i teraz milczeć będzie? Czy i teraz dozwoli, by jej prawa do zakładu deptał nogami awanturniczy rząd, który sam nie wierzy w Rzym, jako w stolicę, kiedy monarchów przybywających w gościnę, przyjmuje bądź w Wenecyi, bądź w Medyolanie! Jeżeli mogła protestancka Anglia obronić własność swych poddanych przed łupieztwem sabaudzkiem, czyż nie zdobędzie się na to Austrya katolicka? Spodziewaćby się należało, lecz wątpić można; Bismark potrzebuje Włoch, Andrassy potrzebuje Bismarka, ot i jasno dlaczego zakład, którego Austrya była opiekunką, pójdzie bez protestacyi z jej strony na cele rewolucyi włoskiej. Radbym, aby się inaczej stało, ale dotychczasowa polityka dyplomaty madziarskiego taki a nie inny stawia horoskop. Pod egidą p. Andrassy'ego w Austryi może tylko to prosperować i liczyć na zupełną bezkarność, co się Bismarkowi podoba, co Prusom miłe. Dlategoto wolno na różnych zjazdach wywieszać chorągwie niemieckie z gmachów nawet rządowych, a austryackie gdzieś tylko w kącie, wolno wychylać toasty na rychłe połączenie się braci Niemców w Austryi — z macierzą Germanią — jak tego dowodem był i zjazd naturalistów w Gracu, o którym już wspominałem. Tu tylko jako epilog tego sławetnego zjazdu przytaczam, iż pozostał deficyt w wysokości 2.000 złr., których nikt zapłacić nie chce, a nadto, iż na posiedzeniu rady miejskiej w Gracu jeden z radnych z zawodu kramarz i kominiarz domagał się na gwałt uchwały co do palenia zwłok i to, jak twierdził, z głębokiego przekonania, które mu wpoił na bankiecie jeden z przyrodników. Prawdopodobnie przy tej dyskusyi paliło się i p. naturaliście i radnemu kominiarzowi w głowach.

Restauracya tumu św. Szczepana postępuje raźno; dotąd wydano na ten cel milion 116 tysięcy; znaczne jeszcze koszta ma pokryć dotacya ze strony państwa, komuny Wiednia, tudzież dobrowolne datki.

Rada państwa dziś została otwartą; liberalni posłowie trudną mają pozycyę, gdyż na zgromadzeniach, w których zdawali sprawę z swych czynności, liczni wyborcy wcale nie dwuznacznie dawali im poznać, iż dotychczasowe ich łamańce na polu ustaw konfesyjnych, już się ludowi przejadły, iż ten lud pragnie, by się jego wybrańcy zajęli sprawami mającemi istotne dobro na celu a nie jak dotąd walką z Kościołem. Daj Boże, by ten zwrot pożądany w zapatrywaniach ludu, natchnął deputowanych prawdziwie pożyteczną działalnością.

Listy z Wielkopolski.

(Serya II).

VIII.

(Proces ks. kanonika Kurowskiego — *Jesus autem tacebat* — Judasze — Jeden nawrócony — Świeccy ludzie w konsystorzach — P. Wyczyński — P. prokurator von Dressler — Kogo czekać może Sedan? — Wyrok — Grabież majątków zakonnych — 50.000 dni — Talar u Niemców — Sprawa w Płużnicy — Kubeczak, Kick i Gołembiowski — *Omne trinum* — Lud uwięziony — Zwołanie sejmu — *Rednerliste* — Windhorst z Meppen — Mówcy katoliccy i *Kulturkampfu* — Mania stawiania pomników — *Pour le Roi de Prusse* — Posąg Arminiusza — Heine — Prototyp dyplomaty z Bismarkowskiej szkoły — Apologia Nerona — Spalenie Rzymu — Poppea i żydzi — *Germania*).

Poznań 20 Października.

Proces ks. kanonika Kurowskiego najważniejszym był wypadkiem na polu walki rządu z Kościołem w ciągu ostatnich tygodni. Po czteromiesięcznem więzieniu i śledztwie, po wielokrotnych odroczeniach i opóźnieniach, naznaczono nareszcie termin na dzień 6 Października. Że zaś liczba powoływanych świadków i spodziewany napływ publiczności nie byłby się pomieścił w zwykłym lokalu sądowym, postanowiono przenieść sprawę na obszerną salę sądu apelacyjnego. Cały ten proces udowodnił raz więcej, do czego doszedł dziś serwilizm sądownictwa w Prusiech i o ile sprawiedliwość zeń wygnaną została stanowczo. Ks. kanonik Kurowski na wzór Najdostojniejszego arcypasterza postanowił nie bronić się wcale; cierpliwe i poważne jego milczenie w czasie dwudniowej sesyi mimowoli każdemu nasuwało przypomnienie słów ewangelicznych: *Jesus autem tacebat*. Daremnie po wielokroć sędzia i prokurator wzywali go, aby odstąpił od powziętego zamiaru, i przemówił ku własnej obronie, przedstawiając mu, że milczeniem tylko sprawę swą pogorszyć może, daremnie przywodzeni świadkowie boleśnie rozdzierali jego serce kapłańskie, czcigodny więzień wytrwał stale i pogodnie w pierwotnem postanowieniu swojem. Akt oskarżenia dochodził do zupełnego *absurdum*, opierając się między innemi na podsłuchanej rozmowie w wagonie kolei żelaznej, gdzie dwóch podróżnych miało sobie opowiadać, iż ks. Kurowski jest rzeczywiście tajnym delegatem — na bezimiennej denuncyacyi z Ostrowa, twierdzącej, iż oskarżony znosi się z uwięzionym arcybiskupem, na prawdopodobieństwie tożsamości pisma oskarżonego z listami, podpisanemi: *Deleg. S. S. Apost.* itp. itp. Listy owe, zawierające upomnienia władzy kościelnej do kapłanów, którzy z prawej zboczyli drogi, tak pełne były powagi,

namaszczenia i chrześcijańskiej miłości, że trudno je czytać bez najwyższego wzruszenia. Któżby przypuścił, iż podobny głos miał wręcz przeciwnie oddziałać i miasto zwrócić ku prawdzie zbłąkanych, rzucić ich w objęcia rządu, przedzierzgnąć na Judaszów! To właśnie stanowiło najboleśniejszą stronę procesu ks. Kurowskiego, że głównie kapłańskich świadectw użyto, aby go skazać. Nie przytaczam tu nazwisk tych nieszczęśliwych, stokroć godniejszych pożałowania od samego wyznawcy, do którego uwięzienia stanowczo się przyczynili: zgryzoty sumienia, pogarda własnych owieczek, stokroć dokuczliwsze od pętów dla Chrystusa noszonych. Nie wymieniam ich, w nadziei, że się może rychlej aniżeli się spodziewamy, upamiętają. Podobno już jeden z owych kapłanów, tknięty prawdziwym żalem, wzruszony do żywego poważnem milczeniem dostojnego więźnia, uczuł błąd swój i publicznie się w obec parafian oskarżając, oświadczył swą gotowość do przyjęcia w pokorze wszelkich kar kościelnych, na jakie zasłużył. Daj Boże, aby i inni poszli za jego przykładem i naprawili publicznie bolesne zgorszenie, jakie nam dali!

Powoływano także na świadków urzędników świeckich konsystorza, z których zwłaszcza jeden bardzo smutnie w tej całej występował sprawie. Kardynał-arcybiskup w swej niezrównanej roztropności przeczuł był zaiste obecne trudności, gdy zajmując stolicę archidyecezalną, odrazu chciał usunąć z konsystorza wszystkich świeckich urzędników. Przedstawiono mu wtedy, że byli to ludzie wysłużeni, obarczeni familią, że należało powoli takową przeprowadzić reformę. Otóż cóż się stało? Kiedy pp. Massenbach i Nollau położyli areszt na oba konsystorze i zaczęli się sprawami dyecezalnemi zajmować, nigdyby sobie nie byli dali rady w zupełnie nieznajomym sobie odmęcie interesów, gdyby nie uczynność dotychczasowych świeckich urzędników, którzy zagłuszając głos sumienia, pozostali na usłudze wdzierających się w rządy Kościoła prześladowców. Jeden tylko poświęcił ochotnie ziemskie korzyści dla wyraźnego obowiązku prawego katolika i nie oglądając się na materyalne trudności, które go czekały, ani na liczną i nie odchowaną jeszcze dziatwę, w tej chwili wystąpił ze służby czynnej. Jest nim p. syndyk Wyczyński, którego zacne imię tem szlachetniej dziś odbija w obec stanowiska, jakie zajęli dotychczasowi jego koledzy. A nietylko ludzki szacunek i poważanie sobie zjednał, ale wyraźnie sam Bóg przyjął i wynagrodził jego ofiarę zacnej rodzinie, dając niejako zadatek bliższego z niebem przymierza, przez powołanie jednej z córek jego na wyżyny Karmelu.

Mimo że akt oskarżenia raczej na przypuszczeniach jak na pewnikach się opierał, mimo że żaden z przywiedzionych zarzutów stanowczo udowodnić się nie dał, a milczenie obżałowanego, nie chcącego się uciekać do łatwej zresztą obrony, nadawało sędziom i oskarżycielom hańbiące stanowisko, prokurator nie wahał się wnieść o trzy lata więzienia, uporczywie w osobie ks. kanonika Kurowskiego upatrując tajemną postać delegata apostolskiego. Zrazu pan v. Dressler przemawiał spokojnie, atoli zagrzany świętym zapałem *Kulturkampfu*, wnet dał się porwać jakoby proroczemu natchnieniu. Streściwszy powody, dla których obżałowanego uznaje winnym wobec państwa i wnosi o trzyletnią karę; następnemi powodami takową usprawiedliwiał surowość: „Nigdzie podobnie stanowcze nie nastąpiły przemiany w okresie siedmdziesięciu lat, jak w Prusiech. A nigdzie historya nie przedstawia przykładu równej opozycyi duchowieństwa katolickiego przeciw nowym prawom państwa. Aliści godzina Sedanu wnet i dla Kościoła katolickiego wybije! Co najwięcej za lat trzydzieści pochyli On dumne czoło wobec wszechwładzy państwa, a wtedy wierny prawom lud pruski wzniesie sobie ołtarze w tajnikach serc własnych, nie troszcząc się o świątynie i obrządki zewnętrzne. A gdyby i natenczas miały się jeszcze znaleść rozbitki rzymskiej hierarchii, trwające upornie w buncie przeciw woli rządu, następca mój na tem miejscu z równym zapałem i jednakiem przekonaniem domagałby się ukarania winnych, jak ja to czynię dzisiaj w sprawie ks. kanonika Kurowskiego“.

Przytaczam wam dosłownie prorocze słowa prokuratora poznańskiego, jako próbkę tej buty krzyżackiej, która się zawsze odgraża na niewzruszoną opokę Piotrową. My wiemy, że prześladowanie zamiast kruszyć podwaliny Kościoła Bożego, utwierdza je zawsze zasługami męczenników i wyznawców, a że tylko ziemskim potęgom i mocarstwom, kiedy się targają na nieśmiertelną Chrystusa Oblubienicę, przychodzi ginąć pod Sedanem. Sąd wiernopoddańczy bez względu na brak dowodów, a stósownie do litery praw majowych, których przekroczenie pociąga za sobą co najdłużej dwuletnie więzienie, skazał obżałowanego na lat dwa, bez odrachowania czterech miesięcy śledztwa i z dołączeniem kosztów procesu, które będą bardzo znaczne, zważywszy ilość świadków. Ks. kanonik Kurowski opuścił salę, błogosławiąc zdala publiczności, która się cisnęła, aby jego ręce ucałować. Niewiadomo dotąd, gdzie go osadzą, ale zwykle w takich razach można się spodziewać zupełnej bezwzględności i wyraźnej złej woli [1]).

[1]) Już go odwieźli do więzienia w Koźminie. (Przyp. Red.)

Podobną złą wolę i złośliwe zamiary upatrujemy jeszcze z innej strony w wyroku, skazującym dostojnego więźnia. Mimo braku stanowczych dowodów, sąd uznaje go winnym co do wszystkich przywiedzionych przeciw niemu zarzutów, z wyraźnem wyłączeniem sprawy ex-kommuniki Kicka, a to najwidoczniej dla zachowania sobie pretekstu więzienia i nadal ks. prałata Koźmiana i ks. Poszwińskiego, obu trzymanych za kratami dla odmowy świadectwa w tejże sprawie.

Tymczasem dzieło grabieży i zniszczenia coraz dalej postępuje. Rząd wierny tradycyom aneksyjnym, przywłaszcza sobie domy i majątki wypędzonych zakonów, ściąga grzywny, nowe nakłada kary, pilnie baczy na ich wykonanie Dzienniki świeżo podały w przybliżeniu sumę grzywien nałożonych dotąd w Prusiech na biskupów, kapłanów, redaktorów itd. Suma ta wynosi jeden milion dwakroćstotysięcy marek, ewentualnie 50.000 dni więzienia. Cyfry to poważne, a w swoim rodzaju charakterystyczne, boć u Niemców wszystko się na talarze zaczyna i kończy.

Prawie jednocześnie z procesem ks. Kurowskiego, toczyła się w Płużnicy sprawa 63 oskarżonych przez niecnego Gołębiowskiego, który srodze się mści dziś za sposób, w jaki wierny lud katolicki przyjął intruza, wdzierającego się w ich kościół parafialny. Już trzeci tego rodzaju widzimy proces. Kubeczak zaciągnął przed kratki i wtrącił do więzienia dwóch poczciwych włościan, Kick w Kamionnie już ośmiu ma na sumieniu. Gołębiewski na większą skalę prowadzi swe denuncyacye, bo na 63 oskarżonych, sąd trzydziestu ośmiu uznał winnymi, skazując ich na trzy, sześć, dwanaście, a nawet ośmnaście miesięcy bądź zwykłego więzienia, bądź nawet *Zuchthausu*, tak surowo rząd dziś karze wszelakie uchybienia osobie apostaty. Zważywszy położenie tych biednych ludzi, po większej części rzemieślników lub włościan obarczonych rodziną, wspomniawszy na trującą atmosferę pruskich więzień, serce niewymownym ściska się żalem i współczuciem dla tych nieszczęśliwych ofiar nienawiści odstępców.

Zwołanie sejmu nowe zapowiada nam ciosy: już słychać o przysposobionych prawach, które mają być poddane dyskusyi służalczych Izb. Ogłoszona świeżo *Rednerliste* z ostatniej kadencyi pruskiego sejmu (od 16go Stycznia do 15go Czerwca 1875 r.) ciekawe podaje liczby. Z ministrów najczęściej przemawiał minister handlu Dr. Achenbach bo razy 62, najrzadziej kanclerz, książę Bismark bo tylko 4 razy. Na 452 posłów przemawiało 209, a więc blisko połowa. Główny i najczęstszy mowca Lasker, tylko cztery razy się odezwał, ponieważ ciężka choroba nie pozwoliła mu brać udziału w dyskusyach. Najczęściej mówił dzielny szermierz *centrum* Windthorst (Mippen) bo 207 razy z tegoż stronnictwa, Reichensperges odezwał się 19 razy, baron Gerlach 16 razy, Freihers von Schorlemeralst 57 razy. Zacne te katolickie głosy przygłuszyły wrzaski bezwyznaniowców przywódców innych stronnictw. Miquel mówił 135 razy, Wehrenpfennig 92 razy, Eugeni Richter 88 razy, Windthorst (Bielefeld) 72 razy, starokatolik Petri 38 razy. I zastęp berlińskiej szkoły uczonych czysto pruskiego ducha nie zamilkł wcale. Virchow, Sybel i Gneist wielokrotnie z mownicy gwałtownie występowali przeciw Kościołowi, pierwszy mówił 68 razy, drugi 23, trzeci 49 razy. Rozpoczną się tedy na nowo bluźniercze dyskusye, które mając na celu pokonanie niezwyciężonego Kościoła, sposobią tylko upadek pogańskiego cezaryzmu i Nabuchodonozorowej pychy olbrzymiego państwa. Rozpoczną się zarazem i szlachetne zapasy tej garstki szermierzy prawdy, przedstawiających w Izbach berlińskich ową przegraną:

. . . . . *której cel daleki,*
A która w końcu wygrywa na wieki.

Modlić się za nich należy o *„miecz ducha, tarczę wiary i pancerz sprawiedliwości“*, aby *„przepasawszy biodra swe prawdą, mogli sprzeciwić się w dzień zły“*; bo zaprawdę mają *„biedzenie przeciwko książętom i władzom, przeciwko rządcom świata tych ciemności, przeciwko duchownym złościom w powietrzu“* (ad Ephes. VI).

A gdy tak Izby w Berlinie dążą do przysposobienia bezwyznaniowego społeczeństwa i państwa, z drugiej strony liczne mamy dowody, że lud niemiecki ulega prawom koniecznym, wrodzonej naturze człowieczej potrzebie pewnego kultu, stawiając nowe bałwany na ołtarzach, z których Boga usiłują zrzucić. Nigdy nie widzieliśmy podobnej manii wznoszenia pomników dawno zapomnianym, lub dotąd nieuprawnionym wielkościom. Uroczystości te mają najczęściej i cel polityczny, wywołując affirmacyjne manifestacye łączności z rządem, z ideami czasu itp. Z innej strony lud ma wynosić z tych uroczystości wrażenia zbawienne, utwierdzać się w swych zasadach, przekonaniach, wierności. Wszystko bowiem im Deutschen Reiche m u s i pracować *pour le Roi de Prusse*. Najświetniejszą z podobnych manifestacyj była niewątpliwie erekcya posągu Arminiusza w teutoburgskich lasach. Dawny zwycięzca Rzymian wedle pojęć dzisiejszych ma być duchowym praojcem dzisiejszego *Kulturkampfu* i walki z Rzymem. U stóp jego zgromadzeni reprezentanci wszystkich szczepów zjednoczonych Niemiec mieli niby to ową jedność zatwierdzać w przeciwstawieniu do romańskich plemion. Myśl owego kultu na cześć Arminiusza oddawna w Niemczech nurtowała.

Już w 1837 r. wykonawca posągu Ernest von Bandel podniósł ją był, a Heine w dowcipnych przedrwiwał wierszach. Dziś po Sedanie i Sadowie dojrzała ostatecznie i oto spiżowy Arminiusz stanął na piedestale niemieckiej jedności. Złośliwe języki twierdzą, że całość pomnika jest nieudaną, że posąg miał zrazu stanąć w piedestale, tworzącym rodzaj kapliczki, i że dopiero gdy ta okazała się za ciasną, postawiono germańskiego zwycięzcę na wierzchu, gdzie wygląda jak somnambul, łażący po dachu, z którego gotów spaść, gdy go lada zbudzi hałas. Mimo tych usterek zapał był ogromny, a wrzawa ztąd powstała trwa dotąd po niemieckich dziennikach. Arminiusz ma zdaje się zastąpić dziś św. Bonifacego w kalendarzu niemieckim, zewsząd stawią go jako ideał cnót rycerskich i chrześcijańskich (!). A gdyby przynajmniej ten nowy bożek miał za sobą pochlebne świadectwo spółczesnych! Ale przeciwnie, wszyscy jednomyślnie przedstawiają go, jako człowieka bez czci i wiary, chytrego i podstępnego, słowem — istny prototyp dyplomaty pruskiego z Bismarkowskiej szkoły.

Zresztą krytyka niemiecka nie troszczy się o świadectwo Tacyta, twierdząc bezczelnie, że poważny historyk rzymskiego cesarstwa na to tylko spisywał dzieje, aby piękne oczerniać charaktery. Najprzód zaczepiono o niesłuszne zohydzenie postaci Tyberyusza, teraz znaleźli się nawet tacy, którzy się za Neronem ujmują. Głównie Hermann Schiller podjął się owej apologii, zakrawającej na jakiś potworny paradoks. Winy, z których nie zdołał obmyć swego bohatera, zrzuca na wychowanie; na prześladowanie zaś chrześcijan trudno, aby się obruszał Niemiec tegoczesny. Dotąd nierozwikłaną było zagadką historyczną, czy rzeczywiście Nero sam Rzym podpalił i dlaczego potem tak gwałtownie przeciw chrześcijanom się obrócił. Nam się zdaje, że ten ukoronowany zbrodniarz zdolnym był do podobnego czynu: chciał Rzym mieć nowszym i wspanialszym i zamiast powoli przetwarzać stolicę, Hausmanowskim procederem burząc, aby budować, wolał ogniem dawny Rzym zniszczyć odrazu i na gruzach i zgliszczach założyć podwaliny złotego pałacu. Co do drugiej, a wynikającej z pierwszej kwestyi, to wielu historyków dziś mniema, że straszne prześladowanie chrześcijan nastąpiło skutkiem złośliwej denuncyacyi nienawistnych żydów. Już za Kaliguli i Klaudyusza żydzi się potrafili wcisnąć na dwór cesarski, a sławna Nerona kochanka, Poppea, prawdopodobnie była żydówką. Mimowoli przypomina to obecnie czasy, w których bezwątpienia prześladowanie Kościoła w Niemczech z żydowskich inspiracyj początek swój wzięło. Trzeba wiedzieć, że cała niemal prasa niemiecka spoczywa w rękach żydowskich i że większa część praw kościelnych z inicyatywy

i agitacyi gazet wyszła, aby to dokładnie zrozumieć. Dzisiaj, gdy *Germania* berlińska zwróciła uwagę na wielkie niebezpieczeństwo społeczeństwu od żydów grożące, wywołało to na nią burzę całej prasy. Dowodzi to wymownie, gdzie jej pociski najwięcej były dolegliwemi.

LIST Z MONACHIUM.

(Dalsze sesye sejmu bawarskiego — Miasto i wieś — Biskup Spegern Haneberg i biskup Regensburgu Senestreg).

Gdym pierwszy list wysyłał do Was, nie myślałem i nie spodziewałem się, iż drugi w dwa tygodnie potem będzie dość smutnym. Jednak wiele rzeczy niebywałych dzieje się na świecie, tembardziej one możebne w Bawaryi. Wspomniałem w przeszłym liście o adresie do króla. Już podczas rozpraw nad nim w komisyi czuć było, iż się zabiera na burzę. Projekt adresu został przyjętym 8 głosami przeciw 7 i nareszcie 13 i 14 Października przyszedł pod obrady pełnej Izby. Natłok widzów na galeryach i w trybunach był niesłychany — ba! nawet w przedpokoju wiodącym do trybun nie było gdzie szpilki wetknąć. Od roku 1871, gdy odbywały się narady nad traktatami wersalskiemi nie pamiętają nigdy takiego natłoku. Prezydent otworzył posiedzenie i Jorg jako sprawozdawca komisyi zabrał pierwszy głos. Dowodził, iż adres w formie niemal skargi jest koniecznym, bo obecnie stosunki Bawaryi stworzone przez dzisiejsze ministeryum są takie, że tylko skarga im odpowiada. Katolicy mieli nadzieję, że i dzisiejsze ministeryum tak jak poprzednie w 1869 roku, skoro wybory nie wypadły po jego myśli, samo ustąpi, ministeryum jednak pozostało, i katolicy nie widzą innej drogi, jak tylko odezwę do najwyższej instancyi w kraju. Dzisiejsze ministeryum zawsze i wszędzie szuka wojny z Kościołem, lud tego nie chce i prosi króla o ministeryum, któreby chciało spokoju i szukało go wszelkiemi środkami. Po Jorgu począł mówić minister wyznań i oświaty Dr. Lutz. W więcej niż godzinnej mowie z widoczną żółcią rzucał prawicy w oczy na każdym kroku, że ona jest narzędziem papizmu, który z Rzymu swój rząd kościelny *(Kirchenregiment)* chce rozciągnąć na całe Niemcy. Powtórzył prawie dosłownie owe słowa Bismarka, że to walka między *Königthum* i *Priesterthum*. Przy usprawiedliwianiu owych dawnych podziałów okręgów wyborczych ciągle robił przycinki prawicy, że oni są ludźmi, którzy nie mają własnego zdania, nie zdolni myśleć i sądzić zdrowo. Wszystko to było powiedzianem w parlamentarnej

formie, zarzutu zrobić nie można było, mimo że te słowa jak najdotkliwiej biły w twarz prawicę. Powiadał, iż te kroki były koniecznością, bo duchowieństwo agitowało wśród ludu w niesłychany sposób. Tu wpadł na listy pasterskie, wydane przez biskupów przed wyborami. „Ha! co więcej jeszcze — powiadał minister — w jednej dyecezyi wyszedł taki okólnik do kleru: Starajcie się dzisiejsze zawikłane społeczne i polityczne stosunki zużyć na skłonienie ludu do obioru ludzi przychylnych Kościołowi"!... Trudno opisać, jakie zamieszanie powstało w sali. Wokoło wołano: Słyszycie! słyszycie! Kto taki! imię! imię! Pan Lutz skłonił się w stronę prawicy, i z całą ironią wycedzał przez zęby: biskup Senestreg *(Regensburg)*. Sala zatrzęsła się od oklasków. Z lewicy wołano brawo! Z galeryi: burzyciele! burzyciele! Wśród prawicy zamieszanie do najwyższego stopnia. Pan Lutz wyzyskał tę chwilę, i wygłosił tyradę o gwałceniu sumienia wyborców, o fałszowaniu opinii publicznej i t. p. Potem począł mówić br. Stauffenberg, przewódzca liberałów, spokojniej niż Lutz to prawda, lecz również nie szczędził przycinków autorowi adresu. Ponieważ zaś adres wprawdzie pośrednio, lecz wyrzuca liberałom brak patryotyzmu i przywiązania do króla, w skutek tego uważa on postawienie tego adresu pod debaty, jako kompletne zerwanie stosunków obu stronnictw, i dla tego liberali oświadczają piśmiennie, że nie będą się wcale mięszali do rozpraw nad adresem. Protest ów na żądanie całego stronnictwa został wciągnięty do protokołu. Był to jeszcze jeden policzek, który musiała ścierpieć prawica. O drugiej popołudniu posiedzenie zostało odroczonem do jutra. Brat biskupa Senestrega — poseł — telegrafował wnet do Regensburga zapytując, czy prawdą to, co powiedział Lutz? Biskup odpowiedział najsolenniej że to kłamstwo, i że publicznie zapyta ministra o dowody, co rzeczywiście uczynił przed kilkoma dniami. Można sobie wyobrazić w jakiem wzburzeniu przyszli nazajutrz posłowie prawicy do sali sejmowej. Pierwszy głos zabrał ks. Russwurm, dowodząc, że nie listy pasterskie były przyczyną wyborczej geometryi, lecz właśnie przeciwnie, listy wyszły już po dokonanych pomiarach. Cytował niektórym liberałom ich własne słowa, wypowiedziane przy różnych zgromadzeniach ludowych, w których oni sami gadali, że Bawarya musi być mediatyzowaną, skoro przestanie być liberalną. Na te zarzuty lewica odpowiadała lub uśmiechem, lub wprost przyznawaniem prawdy. „Jeżeli jednej z wysoko położonych osobistości z lewicy — tak kończył mowę Russwurm — wolno było powiedzieć: precz z teologami ze wsi! (w znaczeniu z koła posłów) to ja odpowiadam: precz z geometrami z ministeryum"! Potem począł mówić Schels — sędzia z jednego z miast na prowincyi. Po pierwszych słowach znać było, że bardzo gorąca osobistość — liberali nie zaniechali zużyć tego na swoją korzyść. Dwudziestu może liberałów wyszło z ław, stanęło przed oczyma mówcy, i mimo ustawicznego nawoływania: „na miejsca! na miejsca" nie wracało, lecz ciągłym uśmiechem lub trącaniem się łokciami, szydziło wprost z mówcy. Schels stawił im przed oczy, że oni popierają prasę liberalną, która już tyle razy ośmielała się osobę ich króla błotem obryzgiwać. Tu rzeczywiście pozwolił sobie rzeczy nieparlamentarnych, wspomniał kilka nieprzyzwoitych konceptów z humorystycznych pism, szydzących z króla. Liberali tylko się zaśmieli, lecz słuchali dalej, przerywając co chwila. „Panowie mi przerywacie ciągle — odezwał się Schels — jeżeli wy, starsi członkowie parlamentu tak postępujecie, to ja nie wiem, gdzie się obecnie znajduję". Krzyk podniósł się po lewicy: „wychodźmy! wychodźmy"! Na galeryach tłum bił brawo, a liberali z ostentacyą wyszli z Izby. Schels woła na prezydenta, by mu udzielił naganę, jeżeli na nią zasługuje — prezydent odpowiada, że w skutek ciągłego krzyku nic dosłyszeć nie mógł. „Ci panowie wyszli dla tego, że ich prasę stawiłem im przed oczy"! rzekł Schels. Z drugiego pokoju wysunął głowę jeden z posłów wołając: *o ja! er lügt noch einmal!* Dość że się stał skandal, o jaki trudno w dziejach parlamentów. Tymczasem przyniesiono stenogramy prezydentowi, a ten był zmuszony udzielić mówcy naganę za niewłaściwe wciągnienie do dysputy osoby króla. Liberali wrócili do sali. Skandal ten był na rękę liberałom, oni użyli go jako broń przeciw katolikom. Po Schelsie przemawiali z kolei wszyscy ministrowie i cóż się okazało? Wszystko, co liberałom zarzucali katolicy, wszystko było prawdą. Gorączka opanowała i ministeryalny stół — w uniesieniu nie potrafili już układać słów w frazesy, i wypowiedzieli wszystko, co mieli na sercu. Minister Pfeifer przyznał, iż okręgi były dzielone z myślą dania części intelligentnej narodu jeśli nie przewagi to równego głosu. Minister Faustl wygłosił, iż zasadę federalizmu tylko *centrum* popiera, a żadna inna partya, że unitaryzm to zasada, którą oni wszyscy potępiać powinni. Dość powiedzieć, że mowa Faustlego więcej się podobała katolikom, niż liberałom. Na następnej sesyi, gdy spostrzegł co wypowiedział, usprawiedliwiał się biedak ze swojej mowy, tłumacząc ją w innem znaczeniu, lecz to nie wiele pomogło. Po ministrach zabrał głos Freitag, dowodząc, iż całe dzisiejsze zawikłanie w kraju powstało w skutek rozdziału Kościoła i państwa, gdy według prawdy obie te wielkie instytucye świata powinny iść razem we wspólnej sprawie kształcenia ludzkości. Mowa

była nadzwyczaj spokojnie wygłoszona, pełna treści, głębokiego uczucia religijnego, w skutek czego, podobnie jak balsam na rany, wpłynęła na uspokojenie umysłów. Nawet wśród liberałów było ciszej. Nic bardziej obrażającego nie widziałem, jak zachowanie się ogółu liberałów na tutejszym sejmie. Na wszelki jawny zarzut ich przewrotności odpowiadali tylko — uśmiechem. Każdą mowę z prawicy, choćby tak spokojną jak mowę Freitaga, przerywali jakby umyślnie śmiechem lub wykrzykami pełnemi ironii. To ma być strona inteligencyi, a przecież do ukształcenia należy wysłuchać zdania obcego, choćby się było największym jego przeciwnikiem. Jeszcze raz Jorg zabrał głos, jako sprawozdawca komisyi i przystąpiono do głosowania. Adres przeszedł większością trzech głosów, bowiem jeden z lewicy w wilię tego dnia umarł na tyfus. Ministeryum po naradzie podało się do dymisyi. W rzeczywistości więc było zwycięztwo katolików, wszystko to, co oni twierdzili, powtórzyli ministrowie, adres poszedł do króla, lecz z drugiej strony stał się skandal, który zniweczył te wszystkie korzyści. W Bawaryi w takich razach ostatnie słowo ma król; on ma prawo trzy razy rozwiązać Izbę. Przy takich warunkach cały konstytucyonalizm Bawaryi wydaje mi się śmieszną igraszką a obrady parlamentu stratą czasu i pieniędzy. Tak się i dziś stało. Król odrzucił adres, odrzucił prośbę ministrów o dymisyę i wypowiedział niezadowolenie z dysputy nad adresem. Cała walka parlamentarna kilku dni była na darmo. Liberali tryumfują, rezolucya królewska ma być w tysiącach egzemplarzy porozlepiana jako plakat we wszystkich miastach Bawaryi. Ostatecznie krążą pogłoski, że Izba ma być rozwiązaną. Jeżeli to rzeczywiści nastąpi, to jak pójdą następne wybory, tego dziś nikt odgadnąć nie może. Obecnie z powodu poczynającego się sejmu państwa niemieckiego sejm został odroczonym do Nowego Roku.

Gdzie trzeba szukać przyczyn tej porażki? Przyczyna leży w składzie samej Izby. W przeszłym numerze powiedziałem, iż w tym parlamencie zwycięża partya katolicka ludowa. Otóż właśnie ta partya występując po raz pierwszy mimo swej organizacyi za mało jeszcze posiada wytrwałości i chłodnej krwi... prawdę powiedziawszy trudno ją zachować.

Kto chce wiedzieć, jak wygląda Izba, musiałby przyjrzeć się obrazowi Piloty'ego: *tryumf Germanika*? Jakie tam wyraziste, inteligentne twarze Rzymian — ale jak są zarazem przeżyte?... to naród, który umiera... natomiast twarze German dzikie, pełne życia?... to naród, który żyć poczyna... ku którym postaciom skłania się serce widza? Do którychże należy przyszłość?... Ten naród dziś poniewierany —

jutro zwycięży.... Po lewicy widać twarze ogromnie wyraziste z otwartem czołem, z wyrazem dumy, sarkazmu lub czasem znudzenia na ustach. Ruchy postaci udatne, strój modny. To adwokaci i burmistrze wielkich miast, to właściciele domów handlowych, to byli ministrowie lub kandydaci tych posad; ledwie paru włościan i biedniejszych mieszczan. Po prawicy twarze okrągłe, opalone od słońca, niekształtnych rysów, ruchy rubaszne, strój na pół wiejski. Kto składa tę stronę? Około 20 włościan 20 i kiku księży ze wsi i przedmieść, kilkunastu urzędników ze wsi lub katolickich miast i około 10 hrabiów i szlachty ze wsi. To partya katolicka — ludowa! — To przedstawiciele wsi a tamto przedstawiciele miast.

W ostatnich dziesiątkach lat dzieje narodu leżały w ręku mieszczan, wioska siedziała cicho, spokojnie, szczęśliwa na swoim zagonie, i przy swoim kościele. Miasto rząd wiodło, a wioska nie przeczyła, aż pokąd miasto nie wydało kraju na łup absolutyzmowi Prus w 1866 roku, i w następnych. Wioska odezwała się wtedy do swej klasy inteligencyi i 1869 roku wysłała do sejmu większość patryotów-katolików. Wieś się zawiodła — jej inteligencya, szlachta pokrewna jej przekonaniem, nie dotrwała kroku, i upadła po dwakroć w 70 i 71 roku — miasto znowu wzięło górę i targnęło się na rzecz najświętszą dla wioski, na jej Kościół. Teraz już wieśniak, niedowierzając nikomu, sam wszedł do parlamentu, choć mu tu i ciasno i nudno. Z inteligencyi, ze szlachty wezwał tylko tych, o których był święcie przekonanym, że dotrwają kroku. Ten obraz, który tu daję, to nie moje zapatrywanie się, to ich własne. Obie strony nie inaczej odzywają się do siebie. Z prawicy mowią: „wy panowie z miasta nie znacie potrzeb wioski". Lewica mówi o sobie: „my przedstawiciele miast". Cały dzisiejszy sejm bawarski można scharakteryzować temi dwoma słowy: miasto i wieś. Z tego przeciwieństwa wynikła cała historya tych trzech tygodni sejmowych. Mieszczanie do dziś przywykli do nieograniczonej władzy, naraz widzą iż wioska sięga po tę władzę! ba! wioska w większości! wioska zwycięża! Miasto się burzy, a w bezsilnym gniewie walczy sarkazmem i drażnieniem z umysłu. Wioska po raz pierwszy staje do walki, ministeryum mieszczańskie swoją geometryą usunęło z izby przedstawicieli 800,000 ludu katolickiego, zamiast więc stu posłów katolickich, staje tylko 79. Wioska na każdym kroku spotyka docinki ze strony miasta — to wyrzut iż jest umysłowym bankrutem, to wyrzut zdrady kraju na rzecz Rzymu, to szkalowanie publiczne biskupów, to nareszcie w prasie krajcarowej dowcipy z ich strojów, z ich twarzy. Patrzmy bacznie na charakter wieśniaka — milczy i cierpi długo,

bardzo długo — lecz gdy poczne mówić, to słów nie przebiera. Tak się i tu stało, a miasto zużyło to na swoją korzyść, wywołało skandal.

Biskup Spegern Haneberg został pociągniętym do odpowiedzialności za to, iż prosił biskupa Kettelera, by wstąpił do parafii Oggenheim, i miał kazanie w dniu stuletniej rocznicy założenia tamtejszego Kościoła. Biskup Regensburgu Senestreg napisał publiczny list w gazetach, żądając od Lutza dowodów, na jego kalumnię rzuconą na posiedzeniu sejmowem. „Żądam dowodów lub wyjaśnienia źródła, zkąd to p. minister posiada, a sądzę że i ministrowie rządzą się prawami honoru, i odpowiadają wymaganiom jego“ — tak zakończył swój list. O przebiegu obu spraw nie zaniecham Wam donieść.

Michał Żmigrodzki.

PRZEGLĄD NAUKOWO-LITERACKI
i
Notatki bibliograficzne.

Uczony, poemat B. Czerwieńskiego. Lwów 1875, nakładem redakcyi Tygodnia, 1875.

Poważnej krytyce wypadałoby niekiedy naśladować Wirgilego, spotykającego pewne cienie, „co żyły bez hańby i bez chwały“ i jak ten do Dantego, powinnaby się w obec pewnego rodzaju pism odzywać do publiczności:

Non ragionar di lor, ma guarda e passa!...

System milczenia w wielu, bardzo wielu razach byłby najwłaściwszym i najskuteczniejszym, gdybyśmy posiadali normalnie rozwijającą się, sumiennie i rozumnie sądzącą prasę peryodyczną. Ale niestety konstellacye dziennikarstwa naszego są tego rodzaju, że każdy, choćby najbardziej poroniony płód jeśli nie w tem, to w owem piśmie z pewnością doczeka się komplementu, a czasem cała gawiedź pobłażliwych matadorów literackich z wysokości trójnogów zawtóruje jednogłośnie wielki hymn pochwalny, skoro tylko twórca owego płodu odznacza się barwą liberalizmu lub wyznaje zasady liberalne. Co więcej, im mierniejszy, im nieudolniejszy utwór, tem pewniejszym być może autor kadzideł; bracia po piórze i po duchu chwalą go całą gębą.

Rzeczą więc ludzi, stojących po za organami wzajemnej adoracyi, wyrzec od czasu do czasu słów kilka o tem, o czemby w innym razie milczeli i przestrzedz publiczność przed manipulacyą, zasługującą na wysmaganie przez jakiego polskiego Wuttke'go. Poczuwamy się zresztą do obowiązku dania bodaj krótkiej wzmianki o książkach, nadsyłanych nam do recenzyi przez autorów lub nakładców.

P. Czerwieński, raczący obecnie czytelników „poematem“, od roku, jeśli się nie mylimy, hasa już na Pegazie i grasuje po dziennikach, które nie mając czem zapełnić swych łamów, pozwalają mu chętnie tej zabawy. Do

tak uprzejmej gościnności ma on tem większe prawo, że należy do szczupłej liczby poetyckich tubylców, że jest czerwonoruskim „wieszczem“ i jednym z tych, co chorągiew liberalnych zdrożności wysoko trzymają.

Jestto więc wielkość parafialna, zaściankowa, wielkość nadzwyczajna i ztąd to na lwowskim gruncie w pewnych kołach zyskała ona prawo obywatelstwa. Młody literata (trzymamy się terminologii lwowskiej) od chwili, gdy uczuł podrastające zęby pisarskie i skrzydła rozwinął do lotu, zapłonął nieposkromioną żądzą uszczęśliwiania ludzkości za pomocą druku szczytnemi płodami swojego ducha. Debiutował tedy w suterynach *Narodówki*, gdzie na komende szefa piętnował obelżywemi słowy pewnego publicznego męża lwowskiego, posądzanego o nieuznanie siódmego bożego przykazania — wyparty zaś z tej twierdzy, przerzucił się bez namysłu do *Dziennika Polskiego*, zawarł rozczulającą przyjaźń z p. Rogoszem i został filarem *Tygodnia*. Obydwa te pisma zasypuje swemi utworami, pisując jako prawdziwy dziennikarz i encyklopedysta wierszem i prozą, rozprawiając o literaturze, historyi, sztuce dramatycznej, malarstwie i muzyce, a o każdym z tych rodzajów zawsze stanowcze i nieodwołalne wydając wyroki.

W chwilach wolnych od tych zajęć, p. Cz. oddaje się pracom większego zakroju, i tak w przeszłym roku wydał *Aliquid*, teraz zaś *Uczonego*. Pierwszej robocie, która wytknęła sobie skromne zadanie obalenia tronów i ołtarzy, wyświadczyła policya nie zasłużony doprawdy zaszczyt konfiskaty, druga bez przeszkody dostała się do rąk publiczności w osobnej odbitce, wprzód zaś zdobiła kolumny *Tygodnia*.

Jestto fabrykat spłodzony widocznie w pocie czoła, a nie będący niczem innem, jak najniedorzeczniejszem przedrzeźnianiem Goethowskiego Fausta. To co genialny poeta niemiecki wypowiedział w sposób zdumiewający siłą i pięknością, malując przepysznie rozdarcie zwątpiałego choć potężnego umysłu, to samo powtórzył wieszcz lwowski tak karykaturalnie i nieudolnie, że czytając, oburzać się i śmiać zarazem trzeba.

Ale wyrządziliśmy mu krzywdę, twierdząc, że w *Uczonym* nie ma nic nie-Faustowskiego. Zapominamy, że Goethe w swojem arcydziele nie wspomina wcale o „brudnej izdebce“, „kulawym stole“ i „podartym kilimku“, wśród których p. Czerwiński umieścił swego bohatera. Dodał też pewien motyw, pominięty przez wejmarskiego poetę, a tłumaczący nam wybornie chorobliwe ekspektoracye i niedorzeczne jego wybryki — głód. Nasz uczony przypomina kilkakrotnie, że uczucie to nie dozwala mu zbawić świata, że „głód straszny do snu go koleba“ — i piorunuje na podłą ludzkość, że dla takiego jak on człowieka, nie obmyśliła chleba.

Ha! (dodaje) *jeśli szczęściem miałby być stół suty —*
Lepiej niż myśleć, byłoby szyć buty!

W istocie użyteczniej szyć buty, niż pisać podobne poemata! Te więc ustępy są już wyłączną własnością pana C. wraz ze wszystkiemi niedorzecznościami, których na karb Goethego składać nie można. Może i uczony autor ma pretensyą do kraju, że w zamian za tyle poświęcenia, za współpracownictwo w dwóch tak szacownych pismach, nie otoczył go przepychem i wszystkiemi marnościami światowemi..

Pan Cz. uważał za stosowne kilkakrotnie objaśnić czytelników, że bohater mówi niekiedy „jakby w bezprzytomności“; nam zaś zdaje się, że cała ta

niesmaczna do obrzydzenia monologowa halucynacya, lubo znakomity wzór mająca przed sobą, popełnioną została w chwili bezprzytomności, nie wiem czy naturalnej, czy też sztucznemi środkami wywołanej... *Uczony* bredzi we wcale nieuczony sposób *de omnibus rebus*, o „półbożu z Stagiry“ o fatum, o myśli ludzkiej, co

. . . . . *jak Bóg niepojęta,*
Wielka jak światy, niż świat bardziej święta (!) —
o duchu, „co pioruny uwięził w swej woli łańcuchu“,
Co bezpiecznie na morza grzywie stopą stawa —
a choć morze ściąga „swe niebem napełnione łono“
Człowiek (nie duch) nie stchórzy“ (!) z głową pochyłą
Nie będzie błagał, by go ominąć zechciały, (t. j. gromy)
Tylko żelaznym prętem skinąwszy do góry,
Gromy weźmie w wędzidła, okulbaczy(!) chmury...

Nasz *Uczony* uważający się naprzód za Boga, wkrótce ubolewa nad tem, że nic nie wie i pyta:

Czyż wiem przynajmniej, czemu złote ziarno,
W jesieni ziemią otulone czarną,
Na wiosnę listki zielone ubiera...

czem okazuje, że nietylko ze zdrowym rozsądkiem, ale i z najprostszemi regułami gramatyki nie jest w zgodzie.

Nie będziemy już dłużej męczyli czytelników cytatami, bo musielibyśmy przytoczyć cały poemat; wspomnimy tylko jeszcze, jak się *Uczony* pana Cz. obchodzi z Panem Bogiem, którego często powołuje do sprawy. Rzecz jasna, że ze Stwórcą wszech świata stoi na poufałej stopie i rozprawia się z nim za pan brat, jak równy z równym.

Powiada naprzód, że duch jego
. . . . . *światami włada —*
Na tronie niebios obok Boga siada (co za poufałość!)
I z Bogiem razem dzierżąc rządy świata...

chce mu „w oczy cisnąć pytanie“:

Zkąd, po co, na co twoje panowanie?“

zagaduje „tajemniczą siłę“, po co

Na świat go z łona matki wyrzuciła,
Czy ją prosił (em), by mi życie dała?

a rozgniewany na Stwórcę i stworzenie, miota ohydne bluźnierstwo, mówiąc:

Ludzkość — to plemię zbękarcone Boga!

Na tym charakterystycznym cytacie kończymy sprawozdanie z rzeczy, którąbyśmy byli pominęli grobowem milczeniem, gdyby jej z innej strony nie był pewien arystarcha traktował na seryo. *The rest is silent.*

Rzut oka na beneficya Kościoła ruskiego za czasów Rzeczypospolitej polskiej pod względem historyi (ma być: historycznym) przedewszystkiem o stosunku świeckiego duchowieństwa ruskiego w Galicyi do ziemi w tej okresie. Przez Dra. Izydora Szaraniewicza. We Lwowie 1875 z drukarni instytutu Stauropigiańskiego.

W śród chaotycznego zamętu pojęć i gorliwie propagowanego systemu fałszerstw, podsycanego przez złą wiarę i przewrotność, miło zaprawdę spotkać

się ze zdaniem nieuprzedzonem i bezstronnem, ze szlachetną dążnością wyśledzenia prawdy bez względu na to, czy rezultat odpowie roszczeniom koteryi i schlebi namiętnościom agitatorów. Tem milej, gdy ta zacna praca ma na celu umiecenie pola umiejętności historycznej od brudnych naleciałości fanatycznej nienawiści, — gdy dąży do przywrócenia dobrej sławy tej wzniosłej mistrzyni życia, w której poważną togę przybierają się często uwodziciele i samozwańcy.

Takie myśli nasunął nam *Rzut oka* dra. Szaraniewicza, rzecz pozbawiona wszelkich zalet kompozycyi, daru grupowania faktów i perspektywy, napisana ciężko i oschle, wyładowana balastem erudycyjnego kramu, a mimo to czytająca się ciekawie, bo wszystkie te ujemne strony okupuje treść niezmiernie zajmująca i dla naszego społeczeństwa nader żywotna.

Gdyby tę książkę napisał Polak, byłaby użyteczną z powodu zużytkowania nieznanych dotąd dokumentów i stanowczego odparcia niesłusznych zarzutów, ale nie stałaby się tak silnym ciosem przeciw tendencyjnym fałszerzom partyi, jakim jest dlatego, że wyszła z pod pióra Rusina, którego jedyną tendencyą przedstawienie przeszłości w jej prawdziwem, żadnemi ubocznemi względy nie zamęconem świetle. Niech więc posłuchają pana Szaraniewicza ci, co takie dziwy prawią o stosunku za czasów Rzeczypospolitej Rusinów do Polaków, wyznawców obrządku greckiego i łacińskiego — a przekonają się, ile tych powieści z tysiąca nocy i jednej złożyć trzeba na karb bujnej fantazyi i koteryjnej zapamiętałości — ile to dobrodziejstw spływało na kler ruski ze strony tej właśnie szlachty polskiej, która dla krzykaczy z pod św. Jura stała się celem obelg i urągowiska, do której wymierzali swe strzały nakształt polskich pacholąt, zaprawiających się do wojennego rzemiosła strzelaniem malowane łby tatarskie.

Ile wagi przywiązywać wypada do wielu, a wielu opowieści o religijnem prześladowaniu Rusinów, można ocenić z jednego tylko, lecz wielce wymownego przykładu, z głośnej na Rusi tradycyi, o żydzie z Drohobyczy Zelmanie. Nie wiele więcej jak stulecie minęło od jego zgonu, a jakżeż dziwnie przez czas tak stosunkowo krótki przekształcono rolę, jaką wówczas odgrywał, robiąc z pospolitego oszustwa i zbrodniarza, którego dosięgło ramię sprawiedliwości, narzędzie ucisku Kościoła ruskiego, używane rzekomo niecnie przez szlachtę polską. Do dnia dzisiejszego tysiące wierzyły mocno, że owemu żydowinowi „wypuszczano w arendę cerkwie ruskie“ on zaś „otwierał je w święta wielkanocne za uciążliwym okupem“, dziś pierzcha cały urok legendy, która tak dogodziła „naszym najserdeczniejszym“, za jednym podmuchem zdrowej krytyki do Szaraniewicza. Oto przytoczone przezeń, a na dokumentach oparte dowody: „*a)* Artykuł komisyi hadjackiej już r. 1663 zastosowany był do cerkwi i beneficyów starostwa drohobyckiego, jak wskazuje dokument przez Jana Kazimierza tego roku wydany dla cerkwi i duchownych w Modryczu, wsi starostwa drohobyckiego. *b)* Akta wojtowskie i radzieckie drohobyckie nic nie wspominają o uciemiężeniu ruskich cerkwi przez Zelmana. Tenże będąc od r. 1740—1753 faktorem starościny Tarłowej, wdowy po staroście Chomentowskim, i naczelnikiem żydowskiego kahału w Drohobyczy, dzierżawił niektóre starościńskie dochody, jako to propinacyą, młyny, żupy, folwarki i wsie starostwa drohobyckiego i na tych to stanowiskach oprócz rozmaitych nadużyć w mieście Drohobyczy uciemiężał lud we włościach do starostwa drohobyckiego

należących za nie odrabianie służebności zamkowych, za przydybaną sól skarbową itp. *c)* Pieśni śpiewane przy haiłkach t. j. grach wielkanocnych, o Zelmanie są treści odmiennej od owej tradycyi. W jednej z tych pieśni przez lud ruski na pół po polsku śpiewywanej, Zelman nakłania obietnicami dziewkę kmiecia do wydania się na grunt królewski czyli starościński. Dziewka zostaje nieszczęśliwą, opuściwszy dom rodzicielski, matka tęskni za nią, chór niewiast towarzyszy jej w tęsknocie, Zelmanowi i jego wiedźmom złorzeczy. Druga po rusku śpiewywana pieśń brzmi: „*Nudyt* (t. j. męczy) *ludej Zelman, bije ludej Zelman, ne panuje Zelman, na pohybel Zelman*“, jest oczywistym wyrazem radości ludu, z powodu skazania Zelmana na śmierć za czyny zbrodnicze, które nastąpiło r. 1755 przez sąd wójtowski w Drohobyczy. Po ogłoszeniu wyroku w sam szabas pod szubienicę prowadzony Zelman, przez gminę żydowską wykupiony za złożeniem znacznej kwoty *in subsidium* miasta uwolniony i wydarty niemal z rąk mistrza sprawiedliwości na wieczne skazany został więzienie. Po upływie kilku miesięcy przyjął chrzest a z nim imię Jędrzeja, poczem przesiedlony do klasztoru Karmelitów, większej zażywał wolności, lecz niedługo, bo wnet życia dokonał“. Przypiski, jakie autor daje dla uzupełnienia powyższych wiadomości, są tak obfite i w zwięzłem streszczeniu dostarczają tylu szczegółów, że wartoby je zużytkować, rozszerzyć po przejrzeniu samych dokumentów i utworzyć tak biografię sławnego żyda, za którego niegodziwe czyny kazano odpowiadać całemu społeczeństwu.

Książkę pana Sz. mimo uchybień formy gorąco polecamy tym czytelnikom, co się nie zrażają zewnętrzną szatą przedmiotu, którym chodzi o treść i istotę rzeczy. Radzibyśmy jak najrychlej ujrzeć w rozleglejszym obrazie to, co tu autor zaledwie naszkicował, dotykając głównie punktów spornych i zbijając nielitościwie wszelkie baśnie, choćby takowe już przeszły na wyznanie wiary pewnej kasty i zaliczane były do urzędu dogmatów. Rzetelne uznanie należy się szanownemu autorowi za to, że historyi nie zniża do rzędu służebnicy politycznych doktryn i ubocznych widoków, że dlań *amicus Plato amicus Aristoteles, sed maxime amica Veritas.* *X.*

Sobór Watykański
i
Nauka niemiecka.

Dwadzieścia cztery miliony Niemców, mieniących się katolikami, mimo wiedzy swojej zostawało pod wpływem protestantyzmu. W polityce zasady pokoju westfalskiego stały się podstawą prawa publicznego, w nauce panteizm żyda Spinozy zniemczał za pomocą Kanta, Fichtego i Schellinga. Ten ostatni swoje rozmiłowanie się w racyonalizmie potrafił przelać w swego ucznia Maksymiliana II króla bawarskiego sprowadzając go tym sposobem, w raz z jego nadwornym teologiem Dölingerem na bezdroża umysłowe. Racyonalizm zawarty już pierwotnie w „wolnem badaniu protestanckiem“, jakby w jadrze

swojem, zapanował niebawem w całej dziedzinie teologii protestanckiej. Bruno Bauer nic nie zostawił z biblii prócz tytułu i okładki, a Strauss popularyzował wyparcie się Chrystusa historycznego, co więcej, przeczył nawet bóstwu Zbawiciela.

W najnowszych czasach *Protestantenverein* wziął sobie za zadanie, szerzyć te negacye pomiędzy ludami. Naturalnie, że katolicy spostrzegli ten wpływ wywierany na nich przez sąsiedztwo, tem bardziej, że ustawy rządowe dążyły widocznie do pozbawienia państwa charakteru chrześcijańskiego za pomocą przywłaszczonego sobie monopolu szkół. Zostawiając jeszcze duchowieństwu dozór nad szkołami ludowemi, pracowano tem usilniej i tem skuteczniej nad wyrugowaniem z gimnazyów i wszechnic nauki i zasad chrześcijańskich pozytywnych. Wessenberg, Hermes, Günther i ich systemata służyły za dowód, że racyonalizm rządowy nie działał bez skutku. Nowe metody teologiczne usamowolniły umiejętność z pod wszelkiej powagi, zrobiły w niej wyłom na korzyść „wolnego badania“ i zamieniły *criterium* prawdy chrześcijańskiej w swawolę filozoficzną, wiodącą umysły w krainy uczonych fantazyi teologicznych.

Myślano na chwilę, że można będzie ten prąd szkodliwy odepchnąć, gdy pod berłem Ludwika I. króla bawarskiego wszechnica monachijska miała promieniami swej sławy zaćmić blask wszystkich uczelni niemieckich.

Rzeczywiście okazałe grono ultramontańskich uczonych, takich jak Görres, jeden i drugi, Moeller, Klee, Ringseis, Windischmann, Lassaulz, dodajmy jeszcze Döllingera z onych czasów, nabawiło nie małej obawy stronnictwo liberalne. Niestety nie długo jednak trwała ta świetna reakcya katolicka. Następca Ludwika I. Maksymilian II, który był sam uczniem filozofa Schellinga, uznał za stosowne powierzać katedry uniwersyteckie znakomitościom protestanckim i liberalnym, takim, jak Sybel i inni otwarci wrogowie katolicyzmu. Na nieszczęście udało się aż nadto tym nowym przybyszom zdyskredytować naukę katolicką przez swe teorye naukowe i polityczne wichrzenia, i zatrzeć w znacznej liczbie swych uczniów wszelkie uczucia patryotyczne bawarskie. Stolica św. pojęła dobrze sytuacyę, gdy odmówiła zatwierdzenia swego zebraniu uczonych, przez Döllingera r. 1860. zwołanemu, a następne wypadki pokazały najlepiej jak słusznie sobie postąpiła. Konferencye dawane następnie przez teologa nadwornego w Odeonie monachijskim, były tylko zapowiedzią następstw, jakie się objawiły w *Janusie*, w *Listach z Soboru*, a wreszcie w smutnym upadku starca.

Sobór watykański przyniósł w samą porę lekarstwo na rany grożące już gangreną. Skoro chory tak bardzo w tym czasie krzyczał, znak to był niezawodny, że była rzeczywiście rana. Mimo wszystkich krzyków i głosów przerażenia Duch św. mówiąc przez jednozgodność Ojców Kościoła na Soborze zebranych uznał to za potrzebne dla katolickiego świata, a konieczne dla Niemiec, aby prąd zniszczeniem grożący, a bardzo już silny pohamować przez ogłoszenie nieomylności nauczycielskiego urzędu papieża, naznaczając tym sposobem w Jego uchwałach i wyrokach właściwą granicę między rozumem a wiarą.

Było to dla nauki niemieckiej prawdziwe *Hic Rhodus, hic salta.* To też widzieliśmy, jak się koryfeusze racyonalizmu niemieckiego krzątali i skupiali, aby przywieść do skutku odstępstwa sztucznie wywołane. Wyrocznia monachijska dała się w końcu słyszeć, wymawiając z głębokiem namaszczeniem

owe słowa: „Tysiące kapłanów myśli podobnie jak ja“. Nastała między naukowymi powagami chwila milczenia, skoro garstka profesorów zawotowała na korzyść wolnego badania protestanckiego, zaprzeczając tym sposobem nieomylności Kościoła.

Ojcowie soboru po dokonaniu wielkiego dzieła mogli już wtedy odpocząć. Niesforna bowiem nauka zrobiła już ze swej strony koniecznem to, co mieniła być nie na czasie. *Salutem ex inimicis.*

Cóżby się było stało, gdyby Sobór spełniając oczekiwania nieprzyjaciół swoich był zawiesił swój ostateczny wyrok? Przerażenie, jakie sama bojaźń możliwego orzeczenia zrządziła w obozie naukowych powag, dowodzi dostatecznie, że wiedziano dobrze, iż lud chrześcijański, tj. sumienie publiczne, przywiązuje pewną wagę do tego zaszczytnego przywileju papiezkiego. Przebiegła chytrość nie miała jeszcze czasu zniweczyć w masach tej powszechnej tradycyjnej wiary. Ileż to jeszcze było adresów do podpisania, ile intryg, ile efektownych sztuczek, ażeby ten wielki wyrok w zawieszeniu utrzymać!

Skoro tenże stał się już czynem dokonanym, jeszcze tylko marodery ginteryanizmu, hermesianizmu i febronianizmu wznosili sztandar rokoszu przeciw uchwale powszechnego Kościoła w ślad za bożyszczem monachijskiem. Baltzer, Elwenich, Hilgers, wszyscy trzej dawni uczniowie Hermesa; Knoodt, Reinkens i kilku z ich kolegów w Bonn i we Wrocławiu, przejęci zasadami Güntera; Michelis, Friedrich i kilku innych profesorów z Bonn dowiedli samą opozycyą swoją, że już przed odstępstwem swojem nie wierzyli wcale nawet w nieomylność Kościoła w ogóle. Ci starzy nie zdołali jeszcze odszukać swej metryki chrztu w archiwach starych czasów i dlatego zmuszeni byli w tem trudnem położeniu zlać w jeden spólny amalgam religie moskiewską anglikańską i protestancką, których średnia proporcyonalna, dotąd jeszcze ilość nieznajoma, nazywać się będzie „starokatolicką“.

Bez orzeczenia dogmatu nieomylności papieża nauczającego *ex cathedra* musiałyby Niemcy popaść w zamęt pojęć, któryby doprowadził do schyzmy nierównie powszechniejszej, niż ta, jaką mały Kościoł janistowski (Janusa) zdołał utworzyć. Bez Soboru wszystkie systemata filozoficzno-teologiczne uznałyby tę zasadę, że posłuszeństwo grzecznościowe wystarcza, a odwołanie się do przyszłego Soboru dałoby im dosyć czasu do przebierania w doktrynach, do zatruwania obyczajów i tłumienia uczuć religijnych między masami ludności.

Bez powagi Kościoła powszechnego, orzekającego o piastunie nieomylności józefinizm i teorye febronianskie odżyłyby na powrót w Niemczech, a we Francyi galikanizm i ateizm racyonalistyczny popierane przez monopol rządowy jużby nie miały więcej żadnej przeciwwagi; hermesianizm i ginterianizm powstałyby z grobu i przyczyniłyby się do religijnej i naukowej wieży Babel, znanej już pod nazwą mgły niemieckiej.

Dzięki Bogu głos Soboru zdołał rozgraniczyć od siebie dwa obozy przeciwne, stawiając dla synów Kościoła przegrody, których mężowie nauki przekraczać nie mogą. Odtąd państwo niemieckie będzie miało katolików, będzie miało swą naukę. Co do nas, mniemamy, że obecne prześladowanie uprząta tylko wszelkie przeszkody do przyszłej restauracyi państwa według zasad Sylabusa i uchwał ostatniego Soboru. Żelazo prześladowców kopie fundamenta pod gmach przyszłej wolności religijnej.

Kronika.

Kto mieczem wojuje od miecza ginie. Pozbawiono Kościół nadzoru nad szkołami, aby stworzyć Radę szkolną. Dzisiaj na nią przychodzi już kolej. Polityka bez zasad innych nie przynosi następstw. Ustawiczne lawirowanie między Scyllą a Charybdą kończy się rozbiciem. Utylitarna polityka, polityka niedołęgów lub egoistów, doznaje zawsze porażki. Jej powodzenie, wynik chwilowego interesu stronnictw, długotrwałem być nie może. Murzynowi dotąd się płaci dopóki potrzebny, później może sobie odejść. Bodaj czy nie taką rolę odgrywała w Wiedniu polska delegacya. W walce parlamentarnej wodziło ją za nos kilku ludzi zdolnych wprawdzie, ale bez żadnych zasad w polityce — ludzi kierujących się tak zwanym utylitaryzmem.

Od chwili przyłożenia naszej ręki do uchwały marcowej w r 1868 zajmowaliśmy my Polacy w wiedeńskiej Radzie państwa godne pożałowania stanowisko. Mizdrzono się do bezwyznaniowych centralistów wiedeńskich, a unikano z zadziwiającą przezornością wszelkiego sojuszu ze stronnictwem federacyjnem i katolikami. Palestranckiemi kierując się wybiegami, nie umieliśmy nawet zdobyć się i wtedy na odwagę, by opuścić Radę państwa, kiedy ona, nakładając swe jarzmo na Słowian, zrobiła zarazem pierwszy w konkordacie wyłom. Polacy — owi Polacy, którzy ostatni z narodów pozostać mieli w Bazylice Watykańskiej, aby na ostrzach swych szabel podtrzymywać jej sklepienia — zachowaniem się swojem podtrzymywali wrogów Kościoła. I doszło do tego, że dla urojonego dobra ojczyzny, imię katolika, imię szanowane powszechnie Alfreda hr. Potockiego znalazło się na patencie, wyrządzającym krzywdę Kościołowi. Kto chce zjeść Papieża, umiera, mówią Francuzi. Ugodzenie w prawa Kościoła przynosi klęski narodom. Myśmy wprawdzie nie chcieli Kościoła poniżyć, ale zachowaniem się naszem za garść rzuconej nam soczewicy pomogliśmy innym do spełnienia tego świętokradztwa. Wychowani w szkole fałszywego liberalizmu, który rodzi owoce czerwiem roztoczone, gniewaliśmy się na tych, co nam to ganili. I równocześnie śmieliśmy się z drugich, jako z Donkiszotów politycznych, którzy nas nawoływali do polityki zasad. Przed klerykalizmem i federalizmem siedmioma żegnaliśmy się krzyżami, a natomiast stojącym u steru nienawidzącym nas liberałom, nadskakiwaliśmy ochoczo i staliśmy się w końcu pośmiewiskiem wszystkich. Dzisiaj mści się na nas logika faktów. A jednak był czas, że my Polacy mogliśmy w Austryi otworzyć nowy prąd, który siłą samego już przeciwieństwa, wyższością moralną byłby obalił zupełnie sztuczną jedność centralistów, zagrażających nietylko narodowości naszej, ale Kościołowi i przyszłości Austryi; ale potrzeba było wtedy iść ręka w rękę z federalistami i połączyć się na polu zasad polityki i religii ze wszystkiemi konserwatywnemi i katolickiemi żywiołami w Austryi. Taką politykę zalecał u nas jeden tylko, powiedzmy prawdę, jedyny polityczny mąż polski w Galicyi — p. Smolka. Do takiej nawoływał nas jeszcze w świetnej swej mowie na sejmie lwowskim (r. 1872) książę Jerzy Czartoryski. Nie chcieliśmy ich słuchać. Dziś odbieramy zasłużoną za nasze błędy zapłatę. Pozbawienie Rady szkolnej przywileju mianowania dyrektorów i profesorów szkół, to dopiero zapowiedź ogólnego na naszą autonomię szturmu. Solą w oku jest ona centralistom wiedeńskim. I nic dziwnego. Mogąż być innymi ci, którzy

o wolności mówią, a pęta na Kościół kładą? Nie można podobno lepiej ich scharakteryzować, jak przytoczeniem słów Zygmunta Krasińskiego, wypowiedzianych o Wiedniu 1848 roku:

Co innych zbawia, znieść tego nie może
Ta bez ojczyzny niemiecka Sodoma,
Wolność w jej wnętrzu jako pożar gorze
I od wolności pójdzie w dym jak słoma.

Dwie są bowiem wolności — jedna zbawienie, druga ucisk niesie. Pierwsza z Bogiem idzie, druga przeciw Bogu powstaje. W imię tej ostatniej pożarem gorejącej, pójdą sobie dalej centraliści wiedeńscy na polu swych parlamentarnych uchwał. Cieszmy się! Myśmy im dopomogli do zajęcia tego miejsca, Oto następstwa utylitarnej naszej polityki!

* * *

Z Rzymu. Dwa bicze Boże, cesarz Wilhelm z królem Galantuomo nacieszyć się sobą nie mogli. Medyolan płonął od milionów lamp i sztucznych ogni na cześć Teutonów Cezara spalonych. Ulice i place miasta roiły się od mrowia ludu wykrzykującego wczorajszemu *barbaro tedesco* wiwaty — słowem sprawdziło się tym razem przysłowie: *Genova la grassa ma Milano la surpassa.* Dumna była Genua, ale Medyolan przewyższył ją jeszcze. Rzeczywiście przewyższył. Duma potrafi się i poniżyć także. Najciekawszem atoli w całem tem przyjmowaniu króla pruskiego w Medyolanie było zachowanie się lóż massońskich we Włoszech. Wielki Orient włoski pospieszył złożyć pełne uniżoności pozdrowienia: „wielkiemu twórcy jedności, który od lat wielu zapisany w poczet prawdziwych pracowników i miłośników ludzkości". Niestety, brakowało księcia Bismarka tego drugiego „prawdziwego pracownika i miłośnika ludzkości". Nieobecność jego bolała wielce braci massonów. Loże Lombardyi przygotowały się zawczasu na cześć tego „miłośnika ludzkości, najznakomitszego członka" sekty wyprawić wspaniałą ucztę. Aż tu udana choroba nie pozwoliła mu stąpać po ziemi Włoskiej. O następstwach tego zjazdu trudno dziś wyrokować stanowczo. *Czas* krakowski śmieje się z tych, co zjazdowi wielkie nadawali znaczenie; a jednakże dzienniki katolickie włoskie wcale nie obiecują katolikom dobrych ztąd następstw. Dość że cesarz Wilhelm i król Emmanuel przypisują sobie messyaniczne jakieś w dzisiejszych czasach posłannictwo. „Postawieni obaj jesteśmy przez Opatrzność na czele naszych krajów", odzywa się cesarz Wilhelm w telegramie do króla Piemontu. Na co tenże odpowiada mu telegramem: „Powołani przez Opatrzność do spełnienia jednakiej missyi, możemy sobie powinszować jej rezultatu". Oj prawda, piękne rezultaty — złupienie Kościołów, ucisk sumień, prześladowanie biskupów i wiernych, a obok tego bezdeń napełniona wylaną krwią i wyciśniętemi łzami — piękna missya — Straszny Hunnów wódz Attyla miał także posłannictwo, tego nikt zaprzeczyć nie może, ale posłannictwo bicza bożego. Biada jednak tym, którzy takiemi są narzędziami! Atoli zjazd Medyolański zaćmionym został procesem Lucianiego, za którego namową zamordowanym został w sposób okrutny dziennikarski rabagas, p. Sonzogno, postrach Rzymu, redaktor nader nikczemnej gazety *La Capitale.* Z namowy Lucianiego

zamordował Sonzogna niejaki Frezzo, a zrobił to *per amore della patria*, z miłości ojczyzny, jak mówi. Coś podobnego robili i nasi nieszczęśliwi obałamuceni sztyletnicy w r. 1863. Co jednak w całym tym strasznym procesie jest ciekawego to to, że ten p. Luciani był posłem, przyjacielem Garybaldego, co nie przeszkadzało mu wcale utrzymywać się z kradzieży, popełnianej przez jego, rodzonego brata — o czem i rabagas rzymski Sonzogno wiedział doskonale, a mimo tego używał go za współredaktora do swego dziennika. Pokazuje się tedy, że nie tylko u nas mogą się znajdować tak zacni redaktorowie. Rewolucyoniści i liberały wszędzie jednakowi. Co to za szczęście dla nas katolików że takich tylko mamy zwykle wrogów!

— Stowarzyszenie młodzieży katolickiej w Bononii, korzystając z pobytu cesarza Wilhelma w Medyolanie, wystosowało do niego adres, w którym zaklina go, aby poprzestał prześladowania katolików w swem państwie. Rzecz napisana dziwnie pięknie, pełna siły i gorącej wiary, wątpimy jednakże, aby zdołała wpłynąć na wolę królewską. „Wyjechałeś (odzywa się tutaj włoska młodzież do cesarza Niemiec) z państwa twego wśród oklasków, a przybywszy do Włoch, powitany zostałeś znów oklaskami, ale jeśli nie tajno W. C. Mości, iż pozostawiłeś we łzach i boleści wielu wiernych poddanych Twojej korony, wiedz, że i we Włoszech znajdujesz odgłos tego smutku i tej skargi". Cały ten piękny adres podamy w przyszłym poszycie.

— Arcybiskup Medyolański zaproszony na ucztę, daną na cześć Wilhelma, uchylił się od tego zaszczytu. W towarzystwie królów, ciemiężycieli biskupów i Kościoła, biskup katolicki mógłby w tym jedynie zjawić się celu, aby się odezwać do nich, jak ongi św. Ambroży do Teodozyusza Wielkiego. Ale następca Ambrożego wiedział dobrze, iż słowa jego nie znalazłyby w duszach tych ucztujących monarchów żadnego odgłosu. Pozostał więc u siebie, a kapłanom polecił wynieść Najświętszy Sakrament z kościołów, które miano zwiedzać, z obawy, aby bezwyznaniowa świta dwóch monarchów nie znieważyła Go zachowaniem się swojem.

Charakterystyczne nader odezwanie się cesarza Wilhelma przytacza korespondent rzymski *Czasu.* Gdy cesarz zwiedzał katedrę Medyolańską, jeden z kapłanów, oprowadzając go po niej, zaczął opowiadać żywot świętego Karola, na co miał zawołać Cesarz: „Znam, znam dobrze historyę, tego wielkiego dobroczyńcy ludzkości. W Berlinie są zakonnice pod wezwaniem tego świętego, a moja żona w szczególnej ma ich opiece" — przy pożegnaniu ściskał za ręce duchownych.

— Wspaniała bazylika św. Franciszka w Assyżu, nad upiększeniem której siedm pracowało wieków, owo miejsce nagromadzonych arcydzieł sztuki i bogactwa, zamienioną została na seminaryum nauczycielskie. Wobec arcydzieł Cimabue'go i Giotta zasiadają dzisiaj biedni młodzieńcy do słuchania nauk, wykładanych w duchu p. Bonghi, ministra oświecenia, który na posiedzeniu parlamentu włoskiego powiedział, że wychowanie musi być ateuszowskie. Otwarcie szkoły odbyło się 4 Października. Tak więc po nad świętemi zwłokami Seraficzkiego Patryarchy, złożonemi w dolnej, podziemnej bazylice, rozlegają się dziś słowa bluźniące nietylko Bogu samemu, ale całej przeszłej chwale, i wielkości włoskiej krainy.

— Napływ katolików do Wiecznego Miasta coraz większe przybiera rozmiary. Każda niemal z licznych dyecezyj francuzkich wysyła tam swoich

pielgrzymów. Bretania, ta istna Żmudź francuzka, stanęła gromadnie przed Ojcem Św. Po Bretończykach przybyli Belgijczycy. W mowie, jaką miał do nich Ojciec Św., mówił o dzisiejszych rządcach Italii, nazywając ich propagatorami wszelakiej zdrożności, a w zrobionej do króla Emanuela wyraźnej alluzyi przypomniał mu słowa pisma, że *mors peccatorum pessima*. Najliczniejszą atoli deputacyę francuzką stanowili pątnicy z Franche-Comte, pomiędzy którymi samych księży było przeszło ośmdziesięciu. Na ich czele stał młody jeszcze kapłan sławny ks. Janin. Ojciec św. przyjmował ich w sali konsystorskiej, otoczony świtą złożoną z kardynałów i prałatów, wobec dwóch tysięcy Rzymian, zgromadzonych tam wtenczas. Ks. Janin, odczytawszy w imieniu pielgrzymów adres, złożył Ojcu Św. bogate świętopietrze. Niezwyczajny ten, chociaż prościuchny kapłan, potrafił swoją gorliwością, energią woli, rzutkością umysłu opanować umysły wszystkich katolików w Franche-Comte. Wszyscy go tam znają i wszyscy słuchają, począwszy od szlachcica starej daty, aż do ubogiego wyrobnika. Sami nawet starsi kapłani idą chętnie za jego głosem.

Po pielgrzymach z Franche-Comte mają niebawem przybyć do Wiecznego Miasta pątnicy z Hollandyi, Anglii a nawet i Ameryki. Wszystkie narody cisną się do stóp Ojca Św., każdy kraj katolicki bierze udział w tej pełnej rzewnych epizodów istnej defiladzie katolickich ludów przed Namiestnikiem Chrystusa; tylko my Polacy z Galicyi nie poczuwamy się wcale do tego obowiązku. Ale prawda, takie rzeczy wymagają ofiary i poświęcenia, a my już i tak dosyć rozprawiamy o naszym katolicyzmie!

— Nie tak dawno napisał był Ojciec Św. list do perskiego monarchy, prosząc go o opiekę nad katolikami. W odpowiedzi na to wysłał J. Mość Szach nadzwyczajnego ambasadora do Ojca Św., jenerała Nazar-Aga rodem Armeńczyka. P. Ambasador, gorliwy katolik, wręczył Ojcu Św. własnoręczny list od swego monarchy, a na drugi dzień wraz z całą swą świtą przyjmował z rąk Papieża komunię św. List Szacha, z którego mogą brać naukę katoliccy panujący, jak powinni przemawiać do Chrystusowego Namiestnika, ogłosił *Osservatore Romano*, zkąd podajemy go tutaj wedle zamieszczonego w *Czasie* przekładu:

Do J. Ś. najczcigodniejszego i najdostojniejszego Papieża, namaszczonego charakterem Messyasza, wyniesionego do rzędu mieszkańców świata niebieskiego. Oby go wspierała łaska Pana.

Doszedł nas, których ożywia uczucie szczerej przyjaźni, uprzejmy i szanowny list W. Świątobliwości, uposażonej anielskiemi darami, list pisany przez Nią w pełni swej przyjaźni, który był powierzony J. Ekscelencyi najczcigodniejszemu arcybiskupowi Augustynowi z Heraklei, którego W. Ś. wysłałeś wraz z darami, drogiem i cennem świadectwem, jako też z upominkami, mającemi być zawsze dla nas powodem zwiększenia życzliwości naszej.

Aby dać poznać w sposób wyłączny, jak wielką wagę i cześć przyznajemy temu listowi i darom W. Świątobliwości, jakoteż arcybiskupowi Augustynowi, otrzymaliśmy je w własnej osobie cesarskiej, i mówiliśmy wobec wszystkich, jak przystało, o przyjaźni i miłości W. Świątobliwości do nas.

Prócz tego uważaliśmy za potrzebne, przesyłając W. Świątobliwości ten list pełen przyjaźni, wyrazić Jej naszą serdeczną radość za ten dowód przyjaźni i szczerej życzliwości, jaki nam W. Świątobliwość dała, i zapewnić W. Świątobliwość, że według życzeń i łaskawych pragnień W. Świątobliwości, delegowani narodu katolickiego, jak również wszelkie osoby i prywatni tego

narodu, byli i będą jak dawniej przedmiotem naszej pieczołowitości, i rzec można wybranymi po ministrach naszego wysokiego państwa, i że będą w najwyższym stopniu przedmiotem wszelkiego rodzaju względów i opiek. Aby zwiększyć te względy, po ustaleniu tych stosunków, tyle przez nas pożądanych, ogłosiliśmy i przesłali do gubernatorów prowincyj formalne rozkazy, dotyczące praw, opieki i swobód katolików odnośnie do ich wyznania religijnego.

I w istocie, uważamy osoby tego narodu katolickiego, które są poddanemi cesarstwa perskiego, za zakład powierzony przez W. Świątobliwość naszej pieczy, i naturalniej podejmujemy się całkowicie strzedz tego zakładu, jaki nam W. Świątobliwość powierzyła. Również uważamy osobę W. Świątobliwości za największą między uczniami Messyasza, (niech będzie pozdrowiony) i z tego powodu godną czci.

Pragniemy, abyś dzięki czystości serca W. Świątobliwości, nie zapominał o nas w swych modłach, i aby nasze stosunki z W. Świątobliwością trwały ciągle.

Dan w naszym pałacu królewskim w Teheranie w miesiącu Ribi-ub-Sami 1292 (w maju 1875).

— Znany w niektórych katolickich pańskich domach naszych *Journal de Florence* przeszedł na własność Markiza des Baviera, dotychczasowego redaktora dziennika *Osservatore Romano* i z dniem 25 Października zaczął wychodzić w Rzymie pod tytułem: *Rome*. Imię nabywcy daje nam rękojmię, że redakcya tego dziennika odpowie żądaniom czytelników po za granicami Włoch zostającym, którzy prenumerując gazetę w Rzymie wychodzącą, pragną wiedzieć nietylko o tem, co się we Włoszech samych dzieje, ale przedewszystkiem o takich rzeczach, które wszystkich katolików obchodzą, dotychczas bowiem dzienniki włoskie najwięcej domowemi zajmowały się sprawami. *Rome*, wychodząc po francuzku, znajdzie prenumeratorów po całej kuli ziemskiej. Dodać do tego i to należy, że Markiz de Baviera nie pożałuje wcale swej fortuny na wydatki redakcyjne, znanym on jest aż nadto ze swych ofiar dla spraw Kościoła. Od dwudziestu przeszło lat służy wiernie Kościołowi i składa ustawicznie dowody swego gorącego do Stolicy św. przywiązania.

* * *

Ze Lwowa. W Drohowyżu odbyło się otwarcie zakładu dla sierot i starców. Książę Jabłonowski, kurator instytucyi ś. p. hr. Skarbka, zaprosił na tę piękną uroczystość wiele znakomitszych w kraju naszym osób. Po odprawionem pontyfikalnem nabożeństwie przez przewielebnego księdza prałata infułata Mossinga zebrani goście zasiedli do obiadu, podczas którego wygłoszono kilka mów i liczne wzniesiono toasta. Mowa p. Juliana Czerkawskiego wyróżniła się z pośród wszystkich deklamacyą i wyrachowaniem na efekt. Wszystkiego w niej podostatkiem, jak w każdej górnolotnej frazeologii. *Vox, vox praeterea nihil.* Natomiast mowa p. Sawczyńskiego, jak zwykle każda jego przemowa, pełna związłości i pięknych myśli. Po wzniesieniu różnych toastów powstał nareszcie ks. Dr. Kostek, kapłan ruski, profesor Uniwersytetu lwowskiego i po krótkiem, ale serdecznem odezwaniu się do zgromadzonych gości wzniósł toast za zdrowie Ojca Św. Zaledwie to wypowiedział, wnet z piersi obecnych tam włościan

ruskich odezwał się okrzyk *Mnohaja lita*. Rozradowani poczciwi włościanie nasi, całując ks. Kostka w rękę, dziękowali mu za wspomnienie o Ojcu Św. Okoliczność ta najlepiej dowodzi, jak lud nasz rusiński gorąco jest przywiązany do Stolicy św.

— W Jezierzanach majątku księcia Sapiehy, odbyła się niedawno missya pod sterem Ojców Jezuitów. Missya w Galicyi dzięki Bogu nie jest nowością, abyśmy o niej potrzebowali wspominać w *Przeglądzie*, ale w Jezierzanach odprawiła się ona w sposób niezwykły. Kilkunastu bowiem kapłanów ruskich wzięło w niej udział. Po całych dniach od rana do wieczora słuchały spowiedzi i komunikowały zebrane tłumy ruskiego ludu. Pierwsi najpiękniejszy z siebie dali swemu ludowi przykład, przystępując wraz z rodzinami swemi do spowiedzi do kapłanów łacińskich. Zaprawdę, gdyby takich kapłanów coraz więcej było wśród ruskiego kleru, gdyby coraz częściej objawiać się poczęła podobna jedność z kapłanami łacińskimi na polu życia religijnego, wnet zginęłaby wszelka waśń między nami. A ruski *Sion* nie potrzebowałby w swych korespondencyach żalić się ustawicznie na łacińskich księży. Pozostałoby mu nawet dosyć wtedy miejsca dla zajęcia się troszkę i sprawami Kościoła powszechnego. O Rzymie bowiem, o prześladowaniach Kościoła w Prusach, w Rossyi, w Brazylii i Szwajcaryi, niemasz w niem ani słówka. Widać że obawia się, by nie utracił czytelników wśród ruskiego kleru. I to tylko wytłumaczyć nam może to jego *altum silentium*. *Sion* jest pismem katolickiem.

— Ks. Otton Hołyński w czasie pobytu swego w Wiecznem Mieście otrzymał od Ojca Św. błogosławieństwo dla siebie, swej rodziny, współpracowników i czytelników wydawanych przez niego pism. Na udzielonem mu pisemnie błogosławieństwie Ojciec Św. napisał własnoręcznie te słowa: *die 10 Octobris 1875. Benedicat vos Deus. Pius. P. P. IX.*

Listy ks. Gołdy. Na uczynioną przez nas wzmiankę w *Przeglądzie* o możebnem w pewnej sprawie przyjściu w pomoc z pod Alwernii korespondentom *Dziennika Polskiego*, ks. proboszcz Gołda wziąwszy te słowa do siebie, zażądał od nas wymienienia mu nazwiska naszego korespondenta z Krakowa. Otóż, aby szlachetną drażliwość ks. Gołdy uspokoić, oświadczyliśmy mu, że gotowi jesteśmy ogłosić w *Przeglądzie* list jego, w którym w dobitnych wyrazach naznaczył pisane w tej sprawie do dzienników korespondencye. Po otrzymaniu tej naszej odpowiedzi, ks. Gołda napisał drugi list, prosząc nas, abyśmy pierwszego jego listu nie ogłaszali. Zrobiliśmy zadość jego żądaniom. Tymczasem dzisiaj pod zagrożeniem wytoczenia nam procesu, wymaga od nas na nowo wydrukowania go w *Przeglądzie*. Robimy to. Zaś Czytelników naszych najmocniej przepraszamy, że takiego rodzaju rzeczami zajmujemy ich uwagę. Oto listy ks. Gołdy:

Wielmożny Księże Redaktorze Dobrodzieju!

Przyjaźnią względem ks. Chełmeckiego z jednej, a szacunkiem Władzy duchownej należnym z drugiej strony powodowany, starałem się od samego początku sporu między moim przyjacielem a Jaśnie W. Ks. Biskupem Gałeckim wybuchłego, zawiązać porozumienie. Wie o tem Ks. Biskup, jakom Go po wielekroć prosił ze łzami w oczach, by pozwolił przystąpić do siebie nieszczęśliwemu, a raczył przyjąć od niego hołd. Nie udało mi się pośrednictwo moje, i nie powiodło mi się ugasić małej iskierki, która *rozniecona podmuchem* złych ludzi, zamieniła się niebawem w straszliwy pożar. Nie wątpię, że rozjemstwo przezemnie przedsiębrane w interesie powagi biskupiej, w interesie duchowieństwa, Kościoła św. i moralności byłby był uwieńczył skutek pomyślny, gdyby *falsi fratres* nie byli przeciw mnie uprzedzali Jaśnie W. Ks. Biskupa, gdyby kłamiąc nie byli wmawiali w Niego cichaczem, iż ja jestem autorem *owych opłakanych i pożałowania godnych korespondencyj*, zawalających kolumny *Dziennika*, *Narodówki*, *Pressy* i wielu innych. Wiem to z ust samego Ks. Biskupa. Żałuję tylko, że mi Ks. Biskup nie wymienił tych usłużnych braciszków, którzy tajnemi denuncyacyami Jego ku mnie zaufanie podkopując, tem samem uniemożebnili załatwienie sporu w sposób uczciwy, cichy, polubowny. Oni to *(mowa tutaj zapewne o tych, pod których inspiracyą układano paszkwile i posyłano do Gazety Narodowej, Dziennika Polskiego i Dziennika Poznańskiego)* oni są sprawcami zgorszenia, które nawiedziło maluczką naszą dyecezyę! Oni to rozdzielili duchowne nasze królestwo, *i zamącili domku naszego spokojność!*

To, com był powiedział Jaśnie W. Ks. Biskupowi, to tutaj *pro memoria* powtarzam Wielmożnemu Księdzu Redaktorowi Dobrodziejowi, że donosy podszczuwaczy, o ile mnie dotyczą, nie mają najmniejszej podstawy, *bowiem* **w plugawej** *przeciw Ks. Biskupowi walce gazeciarskiej nie brałem udziału, nie biorę go i brać nie myślę.* Jako rządca licznej parafii mam dość pilnych obowiązków do wypełnienia, bym miał marnować drogi *czas na intrygi i kopanie dołków i to jeszcze pod nogami Biskupa!*

To rzekłszy przystępuję do rzeczy: W *Przeglądzie Lwowskim*, redagowanym pod odpowiedzialnością Wielmożnego Księdza Dobrodzieja, w korespondencyi z Krakowa z 26 Czerwca b. r. wspomniany jest korespondent z pod Alwernii jako wspólnik *Dziennika Polskiego*. Czyli były w dziennikach korespondencye z pod Alwernii i jakieby były, nie umiem powiedzieć, gdyż o takich nie słyszałem. Ponieważ jednak Alwernia jest w parafii mojej i ponieważ usłużni denuncyanci wyrabiali mi opinię korespondenta, jątrząc przeciw mnie Ks. Biskupa, widzę między tem, co w *Przeglądzie* wydrukowano, a tem, co Ks. Biskupowi do ucha szeptano, bardzo bliski związek i przychodzę do przekonania, że autor w mowie będącej korespondencyi jest oraz autorem denuncyacyj tajnych na moją krzywdę fabrykowanych.

Wielmożny Ksiądz Redaktor Dobrodziej przyznasz także zapewne, że wpadłem na tropy potwarzy, a to przyznawszy raczysz mi dopomódz, bym pana korespondenta zapytał, jakie na uzasadnienie swoich donosów posiada dowody?

Raczże mi przeto Wielmożny Ksiądz Redaktor Dobr., proszę o to z całą uprzejmością, wymienić autora korespondencyi z dnia 26 Czerwca i chciej przy tej sposobności przyjąć wyrazy wysokiego poważania, z jakiem pozostaję Wielmożnego Księdza Dobrodzieja

najniższym, niepożytecznym sługą

Ks. A. Gołda
pleban parafii Poręba Żegota.

Wielmożny Księże Redaktorze Dobrodzieju!

Listem z dnia 29 Lipca raczyłeś mnie Wielmożny Ksiądz Dobrodziej zapewnić, że przytyk do korespondenta z pod Alwernii, jakiego w nawiasie mówiąc, nigdy i nigdzie nie było, nie mnie dotyczy, ale kogoś innego. To mi wystarcza, bowiem słowo Wielmożnego Księdza Dobrodzieja daje mi dostateczną

gwarancyę. *Nie widzę zatem potrzeby ogłaszania drukiem prywatneyo mojego listu* z dnia 21 Lipca, co Wielmożny Ksiądz Dobrodziej w liście do mnie pisanym *jako rzecz stanowczo* zdeterminowaną zapowiadasz.

Nie spodziewam się jednak — prawidła przyzwoitości powszechnie przestrzegane znając, żebyś Wielmożny Ksiądz Dobrodziej miał to uczynić bez upoważnienia z mojej strony.

Publikacyi zaś mojego listu nie mogę sobie żadną miarą życzyć, już to, że nie był tak ułożonym, aby mógł być drukowanym, już też, że mógłby dać powód do nowych szkalowań dziennikom świeckim, a ja miałbym wtedy na sumieniu, iżem jak mówią, z lasu wywołał wilka i dorzucił narączko suchych drewek do płonącego ognia; nakoniec nie jest płonną moja obawa, iż Jaśnie Wielmożny Ksiądz Biskup Gałecki mógłby się na mnie obrazić za to, że prywatnemu pośrednictwu nadaję rozgłos, *i że mam odwagę przyznać się publicznie i głośno do przyjaźni z ks. Chełmeckim. (Bene!)*

Mniemam, że Wielmożny ksiądz Dobrodziej lepiej może odemnie to widzisz, ileby się przez oddrukowanie mojego listu wyrządziło przykrości i ks. Biskupowi i mnie, *przeto poniechaj, proszę zamiaru umieszczenia go w Lwowskim Przeglądzie*, na co zresztą ja z mej strony po gruntownym namyśle stanowczo zezwolenia odmawiam.

Łącząc wyrazy wysokiego szacunku pozostaję Wielmożnego Księdza Redaktora Dobrodzieja

najniższym a niepożytecznym
sługą
Ks. A. Gołda
pleban parafii Poręba Żegota.

— Żaden z nowoczesnych monarchów nie doczekał się takiej po śmierci pochwały, jak zamordowany przez najętych bandytów dzielny prezydent podzwrotnikowej w Ameryce Rzeczypospolitej, Garcia Moreno. Wszyscy opłakują śmierć jego: Kościół wielkiego swego syna, ubodzy dobrodzieja, ojczyzna swego ojca, obywatele znakomitego rządcę i mądrego męża stanu. Atoli wielkości straty poniesionej przez śmierć jego i piękności jego duszy dowodzą najwięcej słowa Ojca Św., powiedziane niedawno do pielgrzymów francuzkich. O żadnym jeszcze ze zmarłych monarchów nie mówił w dzisiejszym wieku w taki pełen pochwał sposób. Bo też znakomity ten mąż stanu zasłużył sobie na to. *Osservatore Romano* z dnia 12 Października ogłasza jeden więcej dokument, świadczący jak wysoce chrześcijańską była ta wielka postać wielkiego męża. Dokumentem tym jest własnoręczny list śp. Garcia Moreny pisany do Ojca Św. na krótko przed swą śmiercią, w którym donosząc papieżowi o powtórnem wybraniu go na prezydenta Rzeczypospolitej, uprasza o modlitwę i błogosławieństwo. A jakby w przeczuciu, że niebawem padnie ofiarą nienawiści sekciarskiej, dodaje: „Ach Ojcze Św. błogosław mi, abym mógł otrzymać siłę, moc i światło z niebios, których dzisiaj więcej niż kiedykolwiekbądź dawniej potrzebuję, abym pozostał zawsze wiernem dzieckiem Zbawiciela Naszego i posłusznym synem nieomylnego Jego Namiestnika. Sekciarskie loże w kraju sąsiednim, podburzane przez Niemieckie państwo, nietylko rzucają na mnie najpotworniejsze potwarze i najsprośniejsze obelgi, ale zamierzają i życia mnie pozbawić. W takim stanie rzeczy więcej niż kiedykolwiekbądź Bożej potrzeba

Jak pragnę żyć dla obrony i pomocy Kościoła i dobra drogiej mi Ojczyzny, tak również dla nich tylko umrzeć pragnę. Ach Ojcze Św. jakie to szczęście dla mnie być nienawidzonym i lżonym dla miłości naszego boskiego Zbawcy". Ostatnie to były słowa napisane do Ojca Św. Piękny zaprawdę testament! Tak mówić i pisać mogą ci tylko, którzy jak Garcia Moreno wierzą z całej duszy; *Dios non se muere!* Garcia wierzył — to też z temi na ustach słowami piękną swą duszę Panu Bogu oddał. Zaprawdę Bóg nie umiera. *Dios non se muere!*

— Dzwon cesarski w Kolonii ulany z dział francuzkich, jak nie chce tak nie chce głosić chwały nowego cesarstwa. Tyle razy przelewany, naprawiany, milczy ustawicznie. To też lud w Kolonii nazywa go teraz *niemową cesarską*. Po zawieszeniu go na wieży, kiedy zdawało się już, że wszystko dokładnie zrobionem zostało, serce nie chciało go dotykać. Zmieniono wreszcie serce w przekonaniu, że odtąd pójdzie wszystko dobrze i postanowiono tedy 8 Października uderzyć w niego po raz pierwszy. Na tę uroczystość zaproszono mnóstwo osób ze świata urzędowego i dziennikarskiego. Nadeszła chwila oczekiwanej uroczystości. Tłumy ludu zaległy plac katedralny, dzwonnicy pochwycili za liny, aliści o dziwy — serce w jedną tylko uderza stronę, drugiej dotyka się lekko, a dzwon wydaje odgłos, przerażający podobny do jęku konających. Czyżby to jęki umierających na polu bitew francuzkich żołnierzy miały się odzywać? P. Landrat i urzędnicy ze smutną miną udali się tedy na wieżę, dla odbycia narady nad *niemową* cesarską. A tymczasem zanim wadę usunąć zdołają lud śpiewać sobie będzie tysiączne o nim piosenki obiegające już teraz po całych Niemczech. Dzwon cesarski z czasem przejdzie w legendę i poda jakiemu pisarzowi materyał do napisania ciekawej nadzwyczaj i traicznej powieści. *L'Univers* podaje zwrotkę jednej z obiegających wśród ludu piosenek:

Vaillants sonneurs, tirez les cordes	Dzwonnicy! sznur ciągnijcie wraz
Tirez plus fort, plus fort encore	Silniej! Co sił wystarczy wam!
Ainsi peut-être entendrons nous	A może być, że przecież raz
Sonner la Cloche impériale! —	Cesarski dzwon zadźwięczy nam!

— Ciekawe nadzwyczaj dziełko wydał w tych dniach w Turynie margrabia de Montemar. Jestto historya wyniesienia na tron hiszpański Don Amadeusza. Autor uchylił w niem zasłonę z intryg pruskich, prowadzonych na rzecz tego księcia, przytaczając wiele urzędowych aktów, a mianowicie znaczną ilość sekretnych i nieznanych światu dyplomatycznemu depesz księcia Bismarka.

— Jeden z dzienników pruskich: *Deutsche Eisenbahn-Zeitung*, znany od niedawna ze swego serwilizmu dla Bismarka, inspirowany przez głośnego Wagnera, a zawikłany dzisiaj w brzydki proces w sprawie akcyj kolei Rumuńskiej, ogłosił niedawno wysłany przez cara w czasie jego tegorocznego pobytu w Berlinie telegram do królowej Wirtemberskiej, w którym car tak się o Bismarku wyraża: *L'emporté de Berlin à donné touttes garanties pour le maintien de la paix* — „warjat berliński dał wszelkie rękojmie utrzymania pokoju". Czy to podobna, aby car rossyjski o księciu krwi i żelaza w tak uprzejmy wyraził się sposób.

— Oskar Kolberg wydał nowy tom (IX) swego cennego nader dzieła: *Lud polski, jego zwyczaje, mowa, podania, przysłowia, zabawy, muzyka, śpiewy, tańce*. W tomie tym rozpoczyna się opisanie Wielkopolski, a mia-

nowicie objętemi są tutaj pięć dopiero powiatów w Poznańskiem. Całe dzieło obejmować ma 25 tomów.

— Nowy obraz Matejki, *Zabójstwo króla Przemysława przez Brandeburczyków*, zakupiony już został i z tego powodu parę tylko dni, jak wspominał *Czas*, wystawionym będzie w pałacu po-biskupim w Krakowie.

— W Petersburgu, staraniem p. Iversena, wydany został zbiór portretów rodziny książąt Radziwiłłów. Wydanie to bogate i przepysznie wykończone. Pod względem bibliograficznym dawno już nie widziano czegoś podobnego. Szereg 165 portretów w formacie in 4to, rozpoczyna protoplasta rodu Wojszund, który za czasów Jagiełły pierwszy przyjąć miał religię chrześcijańską. Po nim idą inni książęta, żyjący aż do połowy XVIII wieku. Wspaniałe to dzieło nie jest jednak czem innem, jeno powtórnem wydaniem edycyi Nieświeżskiej, dokonanej przez Ojców Jezuitów.

— Dotychczas zapuszczający się w głąb Australii podróżnicy i przedsiębiorcy znajdowali jedynie ogromne obszary ziemi zarosłej trawą lub odwiecznemi lasami, w ostatnich dopiero czasach jeden z niezmordowanych podróżników, Anglik, miał odkryć w Nowej Gwinei olbrzymią spławną rzekę. Tak przynajmniej donoszą z Sydney do dzienników angielskich. Szkoda tylko, że nic nie mówią, gdzie ona wpada i zkąd wypływa? Słowem z każdym dniem przybywa geografom nowy jakiś nieznany szczegół do zanotowania. W Afryce np. wyprawa kosztem nowojorskiego dziennika *Herald* podjęta, miała dotrzeć do samego wnętrza tej od promieni słońca ogniem płonącej części świata i odkryć nowe, umiarkowanego wcale klimatu kraje; olbrzymie jeziora, rzeki i dosyć znaczne miasta opasane dookoła plemieniami ludożerczemi i tak wysokiemi trzcinami, że podróżni przedzierać się przez nie musieli, jakby przez niebotyczne jakie lasy.

— W Londynie rozpocznie się budowa nowej katedry katolickiej dla archidyecezyi Westminsterskiej. Według planu ma ona co do wielkości równać się katedrze paryzkiej Notre-Dome, wynoszącej 400 stóp długości, 144 stóp szerokości, a 130 wysokości w środkowej nawie. Atoli stylem swym owalnym angielskim z XIII wieku różnić się ona zupełnie będzie od paryskiej bazyliki. Składki na budowę posypały się już liczne. Kardynał Manning złożył 25.000 fr., a inny nieznany ofiarodawca nadesłał na ten cel kardynałowi 125.000 fr. Na liście ofiarodawców znajdują się: cesarz i cesarzowa Austryi, królowa Izabella i wiele imion najpierwszych rodzin angielskich.

— Przez dwa ostatnie u nas miesiące odbywały się nader tłumne processye jubileuszowe ze wszystkich parafii m. Lwowa. Żadna z nich jednakże nie dorównała świetnością zewnętrzną procesyom ruskim od świętego Jura odprawionym pod przewodnictwem ubranego pontifikalnie, otoczonego kapitułą i duchowieństwem najprzewielebniejszego ks. metropolity Sembratowicza. Zaprawdę wspaniały i rzewny zarazem był to widok. Tysiące ludu ze swoim pasterzem na czele, z rozwiniętemi chorągwiami, postępując po ulicach miasta zatwierdzało tym aktem wiarę swoją i jedność z Kościołem Św. Odgłos pieśni pobożnych z tysiąca wyrywający się piersi, rozlegał się po ulicach naszego grodu.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor ks. Edward Podolski.

„. . . *Strenue igitur discutere perge tenebras errorum, liberalismum urge, eumque praesertim, qui moderationis velo obductus insano nisu verum cum falso, Christum cum Belial componere conatur*“...

„. . . Nie przestawaj więc rozpraszać ciemności błędów, na liberalizm nacieraj, a osobliwie na ten, który pod osłoną moderantyzmu chciałby w daremnem usiłowaniu fałsz z prawdą, Chrystusa z Belialem pogodzić“.

(Słowa OJCA ŚW PIUSA IX w trzecim liście do REDAKTORA *Przeglądu* z dnia 11 Października 1875).

WALERY WIELOGŁOWSKI

przez

LUDWIKA HR. DĘBICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

V.

(Życie towarzyskie — Kulig — Nabycie wsi Rybny — Wielogłowski jako pisarz — Pisma religijne, polityczne, obrazki i powieści, pisma ludowe).

Dziwnie to skomplikowana była natura naszego pana Walerego. Wpośród pokolenia bogatego w indywidualności wyższej wiary, on odznaczał się tem połączeniem różnych, nader odmiennych cech i właściwości, które jednak w odrębny składały się typ. Młody konspirator od dawna już w nim zamarł, marzyciel pozostał zawsze gotowy gonić za ideałami, ale już nie po moczarach błędne ogniki, lecz na gościńcu prawdy, bo go wiodła gwiazda wiary. Pobożny głęboko i dbały o formy religijne, jak byli nasi ojcowie i jak są dziś prawdziwi katolicy na zachodzie, a jak myśmy nimi być odwykli. A przy tem wszystkiem, przy tej pracowitości niezmordowanej, przy tej inicyatywie wielostronnej, a nigdy niespoczywającej, był to najprzyjemniejszy, najweselszy towarzysz, umilający i ożywiający każde zebranie. Mistyczny nawet jego nastrój nic nie miał ponurego, był to bowiem w gruncie szlachcic starodawny otarty i wypróbowany w nowoczesnym świecie; i ten szlachcic polski stanowiący tło jego charakteru błyszczał, jak dyament wyszlifowany na wiele stron od twardych cięć losu.

Zachował też Wielogłowski mimo walk materyalnych i przejść duchownych dobrą zawsze fantazyę, tę wyłączną polską serdeczność, co wszystkich ujmuje i umie oddać każdemu stanowi, co się jemu należy, zachowując godność osobistą, ten magnetyczny dar pociągania ludzi, wreszcie ów humor szlachecki i dowcip niegryzący, a jednak przyprawiający każdą rozmowę.

Wspomnieliśmy już o zebraniach paryzkich w czwartek u pp. Wielogłowskich. Po powrocie do Krakowa zagospodarowawszy się nieco, podreperowawszy kieszeń emigracyjną, po odnowieniu dawnych stosunków, państwo Walerowie otwarli znów dom, zwłaszcza w pierwszych latach pobytu, gdy dorastającą córkę trzeba było wprowadzić w świat.

Wyższe towarzystwo krakowskie uchodzi zwykle za zbyt wyłączne i arystokratyczne, a jest niewątpliwie najmniej wymagającem ze wszystkich ognisk towarzyskich pod względem materyalnym. Na nic się tu nie przyda imponować bogactwem lub blichtrem, owszem byłby to pewny sposób okrycia się śmiesznością i zamknięcia sobie wstępu tu, gdzie najmożniejsze domy odznaczają się prostotą i łączą hojność i gościnność z wzorową skromnością. Cenzura natomiast wychowania, wymagania umysłowe, a najbardziej jedność zasad tradycyjnych i katolickich utrudnia dla wielu przystęp do starej społeczności krakowskiej. Oczywiście, że pp. Wielogłowscy znaleźli w tem gronie miejsce zaszczytne, jakie im nietylko z rodu i licznych koligacyj przypadało, a dom ubogiego wygnańca stanął w rzędzie najpierwszych salonów krakowskich. I była też chwila, kiedy się nie obywała żadna zabawa bez p. Walerego, dopokąd życie pracy nie odciągnęło od liczniejszych zebrań. Wspomnieć tu winniśmy (bo dlaczego niezapisać szczegółu w życiorysie, co ma zastąpić brak pamiętnika) o słynnym kuligu, który zapisano już w tradycyach towarzystwa krakowskiego. Była to chwila kiedy rządy zachodniej Galicyi objął hr. Clam Martinitz i po raz pierwszy magnat austryacki blisko tronu podówczas stojący, miał się zetknąć z tą arystokratyczną polską społecznością świeżo przyłączonego do monarchii Krakowa. Missyę tę różnie różni zrozumieli. Powstała nawet pseudo-patryotyczna agitacya, aby stronić od zetknięcia się z gubernatorem austryackim i nie bywać na jego salonach. Inaczej rozumiał to śp. Adam

Potocki, który świeżo wyszedł z więzień austryackich; on, a z nim większość towarzystwa, demonstracyjną abstencyę odrzucili, jako sposób niegodny gościnnego miasta. Trzeba było, właśnie okazać w całem świetle tradycye polskie, które nic rewolucyjnego nie mają, dygnitarzowi obcemu, co miał się kiedyś stać rzecznikiem praw narodu czeskiego i z dostojnika rządowego naczelnikiem federalistyczno-katolickiej opozycyi. Aby właśnie okazać ten obyczaj polski, postanowiono urządzić wielki kulig z pałacu „pod Baranami" do domu książąt Sanguszków. Świetności tej zabawy długo nic dorównać nie zdoła, bo nie prędko podobno Polska doczeka się takiego doboru piękności, jakie tam jaśniały. Dość powiedzieć, że księżniczka Helena Sanguszkówna była panną młodą, a hrabina Adamowa Potocka starościną. Hrabina Clam Martinitz także wystąpiła w gorsecie krakowskim. Dwudziestu czterech Krakowiaków, kwiat młodzieży polskiej, wiodło ochoczo w tan szereg dziewic, jakby wybranych z wdzięków. Rola organisty przypadła panu Waleremu. Wywiązał on się z niej świetnie, w długiej swej oracyi, licznych śpiewach i przemówieniach nie szczędząc przy dowcipie zręcznych aluzyj politycznych. Państwo Clamowie byli oczarowani, a wieczór ten zaważył na szali sympatyi, jakie z sobą unieśli dla Krakowa i dotąd wiernie zachowują.

Szlachcic polski długo ostać się nie może bez kawałka ziemi. Więc i p. Walery zgromadziwszy jakiś kapitalik kupił wioskę w okolicach Krakowa — Rybnę. Co lato przepędzał tam kilka miesięcy, a ciągły utrzymywał stosunek z miejscowemi włościanami. Pełen oryginalnych pomysłów lubił on działać na wyobraźnię ludu i przyciągać go bądź to zabawą, bądź nauką, pomocą, bądź radą. Kary cielesne, wówczas w powszechnem jeszcze użyciu, były wykluczone z Rybny; zastępowały je kary pieniężne na ubogich, które odciągał za nieposłuszeństwo, niedbalstwo, pijaństwo lub kradzież czeladzi folwarcznej z płacy; to znów ustanowił pewne oznaki kary, które kazał nosić przestępującym jego rozkazy, jak to bywało dawniej w zakładach edukacyjnych w użyciu. Sposób ten okazał się skuteczniejszy niż egzekucye doraźne lub odwoływania się do zawsze powolnej, a zwykle bezskutecznej interwencyi rządowej. Szkółka w Rybny stanęła natychmiast kosztem i staraniem nowego dziedzica, który wraz z małżonką

uczęszczał na popis, rozdzielał dzieciom nagrody, rodzicom zachęty. Wyrzynki odbywały się z niezwyczajną okazałością. Mniej tam było napitku, niż tu się zwykło praktykować, natomiast kolacya obfita, której przewodniczyli państwo Walerowie, przy stole obsługując całą gromadę. Oprócz tańców, którym przewodził dziedzic, bywało przyjęcie całej gromady, a pan Walery zwykł długą przemową witać gospodarzy z siedzenia na wzniesieniu. Zabawę kończyły ognie bengalskie i smolone beczki. Może niejeden wzruszy ramionami na podobne obrzędy, a jednak pan Walery umiał sobie temi sposobami tak przywiązać włościan w Rybny, że gdy w parę lat był zmuszony odprzedać tę włość, gospodarze pragnęli go odwieść od tego zamiaru, oświadczając mu nawet, że się złożą, aby mu przyjść w pomoc, byle ich nie opuszczał. Do śmierci zaś Rybniacy i chłopi okoliczni nachodzili gromadnie pana dziedzica w Krakowie, w każdej okoliczności szukając jego rady.

Trzeba było jednak ograniczyć zbyt różnorodne pola działania, zwłaszcza że obok tylu prac pociąg do pióra wzrastał. A pióro to było, co go rozumieli i prostaczkowie i mędrcy, co miało dar rozweselania i wpływ budujący, co przemawiało do przekonań, morał społeczny i polityczny umiejąc zawsze z nęcącą podać przyprawą. Wielogłowski, jako pisarz, należy do najpopularniejszych i najwięcej wpływowych, bo schwycił on ten klucz, co otwiera wszelkie inteligencye, a zarazem do wszystkich tajników prawdy sięga. Należy do tych autorów, których pod jakąś ściśle oznaczoną kategoryę podciągnąć trudno, nie jest ani erudytą, ani filozofem, ani poetą, a jednak sięga z równą łatwością do najwyższych szczytów, jak zbiera obrazki i typy na poziomie życia. Jestto pisarz improwizator, że tak powiemy; orator pióra przemawiał tylko w celu wywołania bezpośredniego wpływu na umysły i zasiadał do pogawędki z publicznością tak przy swojem biórku, jak to zwykł czynić w kole towarzyskiem, zajmując wszystkich niezrównanemi obserwacyami i spostrzeżeniami w przelocie chwytanemi. Dar intuicyi zastępuje mu pewne niedostatki systematycznej i gruntownej wiedzy; zmysł, moralne i silne zasady kierują piórem, a wyobraźnia to wszystko przybiera wzorzystą szatą stylu pełnego wdzięku i blasku a wielkiej prostoty.

Pisma Wielogłowskiego dadzą się podzielić na cztery kategorye: 1) pisma religijnej treści; 2) polityczno-społeczne; 3) powieści, obrazki i opowiadania i 4) czysto ludowe. W tymże porządku powinnyby być zebrane z rozrzuconych i wyczerpanych edycyj i ogłoszone na nowo drukiem. Jeśli czyje, to pisma Wielogłowskiego domagają się zupełnego, pośmiertnego wydania. Za życia nie przywiązywał on miłości własnej do tego, co z taką łatwością wypływało z pod pióra. Nieszukając popularności, ani dbając o literacką sławę, tyle tylko do swoich pism przywiązywał wagi, ile one okazywały się skutecznemi. Książka, która się nie rozchodzi, której publiczność nie chwyta, zwykł on był mawiać, chybia celu, jeśli nie jest ściśle naukowej treści i nie obliczona na dalszą przyszłość. Chętny i ofiarny wydawca prac innych autorów, dla swoich pism nie miał żadnej słabości ojcostwa. Cokolwiek napisał, zanim puścił w świat, zwykł był zasięgać rady przyjaciół i poddawał się chętnie ich surowym często wyrokom. Maurycy Mann i Paweł Popiel najbliżsi zasadami mieli też prawo życia i śmierci nad rękopismami pana Walerego. A szukał on rady i u innych może mniej kompetentnych, a bardziej jeszcze surowych przyjaciół. Bardzo to charakterystyczny rys pisarzy dawniejszej generacyi, że nie zwykli byli ufać sobie. Witwicki poprawiał *Pana Tadeusza* Mickiewiczowi, w Krasińskiego listach natrafiamy ustawicznie na zapytania o zdanie przyjaciół jak Cieszkowski, Garczyński, Lubomirski — o wartość przygotowanego do druku manuskryptu. Inni poeci, jak Wincenty Pol, nic nie wypuszczali z teki, coby nie było poddane pod rozbiór areopagu przyjaciół. Dzisiaj kiedy się pisze literatura na kolanie, z pospiechem dziennikarskim, rzadki to wypadek, aby ktoś zapytał o zdanie jakiejś powagi, choćby grona kolegów, a tem mniej, aby usłuchał czyichś uwag i przestróg. Wielogłowski, gdy miał coś gotowego, zwykł był odczytywać w gronie rodzinnem, a wrażenie najbliższych było mu miarą wartości rzeczy. Miał zwłaszcza jednego przyjaciela, którego sobie obrał za cenzora. Nie był to literat z profesyi, ani uczony, ale był to człowiek surowych zasad, nieugiętego charakteru, rzekłbyś starożytny stoik z gorącą wiarą katolicką, istny Kato chrześcijański, bez uśmiechu na twarzy, nieubłagany dla siebie, surowy też i dla przyjaciół. Wspomnieliśmy już o śp. Kołosowskim

mówiąc o towarzystwie sztuk pięknych. Przeciwieństwo bujnej natury Walerego z tą granitową postacią, pozbawioną wyższego polotu, pociągało właśnie Wielogłowskiego, bo pewnym był, że usłyszy prawdę bezwzględną, sąd niekiedy przesadny w skrupułach, ale dający właśnie rękojmię, że musi być moralna podstawa w tem, co przejdzie przez ręce takiego cenzora.

Do pierwszej kategoryi pism Wielogłowskiego, to jest prac treści religijnej należy: *Nabożeństwo majowe zebrane i na polskie przełożone*, *Zbiór modlitw katolickich dla młodzieży* i podobny *Zbiór* dla ludu. Szereg ten zamknąć miała książeczka do nabożeństwa także dla ludu o kilku kartkach, którą przed śmiercią skreślił, a którą zamierzał wydać w 1 milionie egzemplarzy i rozrzucić nietylko po Polsce, ale i najbliższych słowiańskich krajach, jak Szląsku, Luzacyi saskiej itp. Cenę naznaczył 1 centa. Ten prosty wykład najwyższych prawd był ulubioną myślą Wielogłowskiego, której wprowadzeniu w życie śmierć przeszkodziła. Rokował sobie, że edycya grajcarowa o milionie egzemplarzy stanie się propagandą religijną i narodową.

Wielogłowski, jako autor i wydawca książek do nabożeństwa, należy poniekąd do pisarzy kościelnych. Jakoż po Witwickim jedyny to świecki, co się odważał pisać modlitwy, poddając wszystko pod wyrok cenzury kościelnej.

Mimo porywów duszy ku medytacyi religijnej, a niekiedy mistyczno-filozoficznego nastroju, który się przebija zwłaszcza w pismach z pierwszegu okresu — abstrakcya nie odpowiadała naturze jego talentu.

Zaczął zawód pisarski w r. 1848 od prac, w których zawarł swoją syntezę religijno-polityczną, swoją, że tak powiemy, filozofię patryotyzmu. Bo rzecz to bardzo charakterystyczna, że nawet umysły filozoficzne, jakich podówczas między pisarzami polskimi nie brakło, zwykły wysnuwać cały swój systemat z zagadnień politycznych o przyszłości narodu. Filozofia jak i poezya podówczas jest polityczną w Polsce, że tylko wspomnimy z filozofów Cieszkowskiego, Libelta i Trentowskiego, a z poetów Adama i Zygmunta, tak jak znów w lat kilkadziesiąt ma powstać w Polsce malarstwo polityczne pod kredką Grotgera. Lecz Wielogłowski nie jest ani filozofem, ani poetą, on przedewszystkiem jest moralistą. Jego trylogia, że tak powiemy: *Polska wobec Boga*,

Emigracya wobec Boga i *Polska na drogach pokoju i miłości* winna zająć miejsce w dziejach emigracyjnej literatury gdzieś między *Wieczorami* Witwickiego Stefana.

Dziś, jak wówczas, pisma te mimo cechy chwilowości nie utraciły nic na wartości dydaktyczno-etycznej. Zasady bowiem, jakie wypowiada i rady, jakie podaje narodowi ten moralista katolik, stanowią dotąd program prawdziwych patryotów, co zrywając z rewolucyą europejską, chcą ścieśnić węzły z Kościołem. Zasady, o które ma się ścierać polemicznie do śmierci Wielogłowski, wypowiada je tutaj z zapałem i miłością młodzieńczej jeszcze duszy. Pojęcie missyi narodu i zadań emigracyjnych w odniesieniu do Boga, nie jest wolnem od pewnego jeszcze odbicia się tych niebezpiecznych złudzeń o wyłączności jakiejś i przywilejach w hierarchii duchowej narodów wobec Boga. Polska Chrystusowa powtarza się tu często, lubo z ciągłemi restrykcyami przeciw mesyanizmowi. Będziemy jednak wyrozumialsi na zboczenie tego rodzaju, na to zbliżanie męczeństwa Polski do Golgoty Chrystusowej, gdy zważymy, że wszyscy ci ludzie, co podówczas wśród takiej dokoła przepaści fałszu, obłędów, zwątpień, filozoficznych pokus i politycznych złudzeń odzyskali wiarę i nawrócili się do Pana Boga także przez miłość Polski. Tą drogą Bóg miłosne i tylko miłością błądzące serca ku sobie przyciągnął. W pomienionych pismach Wielogłowski nie daje się za daleko tej nowej pociągnąć pokusie. A jeśli znajduje się w nich mnóstwo jeszcze błędów i zdań, które wobec zasad katolickich usprawiedliwić się nie dadzą, to jednak w dziełach tych usiłuje już Wielogłowski stanąć na gruncie katolickim, ultramontańskim. Patryota przemawia w nich, jak Polska wystąpić winna wobec Boga, jak emigracya z swych czynności zachować się winna wobec Boga przedewszystkiem. Niejedną maksymę zdrową możnaby dziś wyciągnąć z tych pism, które tylko w tonie niemal biblijnym, w nastroju mistycznym zdradzają prąd, jaki wówczas wszystkie dodatnie umysły porywał ku ideom mesyanizmu. Wielogłowski, jakeśmy już mówili, nie poszedł za wieszczem Adamem słuchać wyroczni mistrza, ale nie zdołał się odrazu wyzwolić z wpływów tej atmosfery.

Dopiero na ziemi ojczystej, dotknąwszy się realnych stosunków, wytrzeźwiał całkowicie. W długim szeregu pism polityczno-socyalnych i polemiczno-publicystycznych wystą-

pieniach nie był już Wielogłowski politykiem uczuciowym, jak się to u nas najczęściej spotyka, ani też znów realistą utylitarystą, ekonomiczne tylko względy dobrobytu lub korzyści doraźne mającym na oku; był to przedewszystkiem moralista. Jego myśli strzelały co chwila ku niebu, ku najwyższym prawdom religijnym i szlachetnym celom narodowym, a z drugiej strony zwracały się ku ziemi, praktycznem, trzeźwem rozpoznaniem stosunków nas otaczających i materyalnych konieczności, które nas krępują. Nie żądał on nigdy abdykacyi z praw historycznych, ale doradzał zawsze rachowanie się z faktycznym stanem. Lekarz społeczny posiadał jak nikt dar diagnozy chorób naszych, żaden najdrobniejszy symptomat nie uszedł jego bystremu oku, a gdy spostrzegł zaród złego, przykładał żelazo dowcipu, niekiedy sarkazmu do rany. Ztąd wzniecał często na siebie oburzenie, ale niejednokrotnie szerzeniu się zarazy zapobiegł. Przy całej odwadze, jakiej podobne operacye wymagają, przy tej bezwzględności wypowiedzenia prawdy „niechaj boli jako chce“ i przy tym dowcipie, który jego pióro niekiedy unosił, miał on niewyczerpany zasób miłości i wyrozumienia. Nieprawda, aby kiedykolwiek walczył ironią i drwił cynicznie z nieszczęścia. Ten gorzki uśmiech szyderstwa i zimnego sarkazmu, który rzadko kiedy idzie w parze z prawdziwym dowcipem, a służy zwykle sprawie wywrotu i negacyi, nigdy nie skrzywił słodkiego oblicza śp. Walerego. Oczywiście, że ten szermierz zasad konserwatywnych i katolickich, występujący niemal samotnie, rzucający ostrzeżenia i nie wstrzymujący się żadną obawą przed opinią, musiał ściągnąć na siebie prześladowanie. Wielogłowski łamał lody, że tak powiemy, i to w najcięższych chwilach dla stronnictwa konserwatywnego. Nie popierało go jednak to ztronnictwo, choć mu potakiwało z cicha. Brak odwagi cywilnej, tak słusznie nam zarzucany, wówczas był jeszcze bardziej rażącym niż dzisiaj. Gdy się jeden odważny znalazł, musiał staczać walki samotnie.

Staczał je Wielogłowski ustawicznie, to w drobnych obrazkach, to w piśmie *Ogniśku*, którego wydawnictwo po dwakroć wznawiał.

Pierwsza serya *Ogniska* z lat 1860 i 1861 miała przeważnie cechę ekonomiczno-społeczną. Poruszał on tu mnóstwo kwestyj żywotnych, miasta, kraju i całej społeczności dotyczących. Jego *Kalendarz dla rodzin katolickich*, którego wydał trzynaście roczników, mieści znów szereg artykułów, powiastek i obrazków, jakkolwiek chwilowych, godnych zebrania, jako wierna fotografia współczesnych stosunków.

W zakresie obrazków społecznych i powieści talent naszego autora znachodzi najwłaściwsze pole i znów w tym rodzaju jest on jedynym i niezrównanym. Cóż to za werwa, jakie życie, jaka prawda — ileż typów schwyconych, że tak powiemy, na uczynku, jak podsłuchana mowa różnych warstw społecznych. Od kłócących się kucharek, do parafiańskich szlachcianek, od młodzieży poniewierających rodziców, do mężów zawojowanych cała społeczność się tam przesuwa, jak w kalejdoskopie. A obrazki te, stanowiąc zarówno zasługę dla moralisty, jednają mu miejsce między najznakomitszymi humorystami polskimi. Dialogi są jego najudatniejszą formą, lubo opisowość niemniej ponętną. Od obrazków dyalogowanych przechodzi już do powieści w *Domu mojej babki*, *Jedynaczce* i *Krakowie przed pięćdziesięciu laty* i okazuje talent zbliżający go do najpierwszych powieściowych malarzy naszych obyczajowych tradycyj.

Jeśli były książki popularne w Galicyi w owej epoce apatyi ogólnej, to były właśnie owe obrazki Wielogłowskiego. Wielu się gniewało na autora za odźwierciedlanie wad, śmieszności i ułomności ogólnych, ale wszyscy czytali i wiele tych właśnie śmieszności bronią śmieszności zostało wyleczonych. Podróżomania szlachciców i szlachcianek, podówczas trwoniących świeżo odebrane listy indemnizacyi pańszczyznianej, przesadzanie się towarzyskie i owa parafiańska próżność, lenistwo i nieuctwo, wszystko w tych satyrycznych szkicach odbiło się jak w zwierciadle, ale też od tej pory objawia się pewna korzystniejsza reakcya ku większej oszczędności, prostocie i większej zabiegliwości.

Wielogłowski, który mawiał, że każdy kawałek chleba, jaki spożywa, pochodzi od chłopów, dla nich przeważnie otwarł swoją księgarnię i wydawnictwo i pragnął stać się pisarzem ludowym, o wiele pierwej, niż w tę kolej zwrócili się inni, chcący utworzyć wyłączną ludową literaturę. Nic trudniejszego, mawiał on, jak pisać dla chłopów, bo niema zdrowszego sądu literackiego nad sąd chłopski.

Zaczął też p. Walery od portretowania ludu. Przypomni sobie czytelnik mistrzowskie obrazki w tym rodzaju i rzec można, że nikt dotąd mu nie zrównał w tym darze portretowania, przyswojenia sobie mowy, ukazania chłopa polskiego w prawdziwej jego fizyonomii.

Lecz portrety nie są nauką, zwierciadła nie lubi człowiek o zaniedbanej postaci i ubraniu prostaczem. Dziwili się też chłopi, że też ten pan taki pobożny, a tak z prostego sobie żartuje człowieka. Wnet też spostrzegł Wielogłowski, że niewłaściwą obrał drogę, że aby nauczać lud, nie trzeba się do niego zniżać, aby go podźwignąć, nie trzeba go naśladować, nie trzeba przemawiać jego językiem, bo bierze on to za przedrzeźnianie. Przeciwnie należy przemawiać językiem przystępnym i zrozumiałym, ale wykształceńszym i nauczać go poważnie choć zajmująco, a nie żartobliwie.

Niebawem Wielogłowski natrafił na tę formę odpowiednią i napisał kilka książek, które lud czyta do dziś dnia z największem upodobaniem i największym pożytkiem.

Komornica jest jedną z najpopularniejszych książek ludowych, a zarazem prawdziwie artystycznem cackiem [1]). Tylko Lenartowicz w pieśni, a Wielogłowski w powieści umieją tak poetycznie malować lud i do ludu przemawiać. *Elementarz o 4o przepisach dobrego zachowania*, jest nieocenioną książeczką dla uobyczajenia wiejskich dzieci. *Święty Izydor rolnik* jest równie budującym jak pełnym uroku obrazkiem. Wreszcie *Podróż po szerokim świecie* niedługo przed śmiercią, jakby na pożegnanie z ludem skreślona, dowodzi, że autor doszedł do szczytu w tym rodzaju ludowej literatury. Książkę tę nauczającą rozrywano sobie po wsiach, a imię dobrego i pobożnego pana, co takie piękne książki pisze, szeroko rozeszło się po Galicyi między ludem wiejskim.

Nie wierzymy w utworzenie odrębnego działu literatury ludowej, którą fabrykować było niedawno w modzie. Ale to pewna, że literatura narodowa, zbliżając się do ludu, między nim szukając motywów i naginając się do jego potrzeb i wyobrażeń, nietylko się nie poniża, ale i owszem oczyszcza. Zdrowy instynkt ludu odepchnie złą książkę i przewrotną dążność,

[1]) Chłopi w Królestwie czytać jej nie chcieli, gorsząc się opisaniem znajdującego się tam romansu. Piękna książka, ale nie dla ludu. (Przyp. red.)

frazesów czczych nie zrozumie. Chcąc do niego przemawiać, trzeba mówić o Bogu i o ziemi rodzinnej, o starych zwyczajach i przywodzić mu przykłady cnót i pobożności. Jeśli poezya, czerpiąc w pieśni gminnej, zwykła nabierać nowej siły i lotności, to prozaicy piszący dla ludu nabierają jędrności słowa i treściwości myśli, a co najważniejsza pewnej grozy moralnej. To też Walery Wielogłowski pierwszy u nas pisarz ludowy dowiódł tylko wysokiej skali swego talentu i otwarł nowe szlaki, których jednak nie zdołali odszukać jego naśladowcy, bo nie czułostkowa demokracya lub frazeologia patryotyczna zdolną jest otworzyć przystęp do ludu; trzeba tu przedewszystkiem gorącej wiary, szczerej ludu miłości i poszanowania tradycyi. (Dok. nast.)

Z NOTATEK
ośmdziesięcio-letniego starca
LITWINA-UNITY.

(Ciąg dalszy).

VII.

W gubernii Wileńskiej w miasteczku Świeczniu, po odebraniu cerkwi z klasztorem i należącym do niego tak ruchomym jak i nieruchomym majątkiem od księży Bazylianów, osadzono na tem miejscu księdza Balickiego, z dyecezyi wołyńskiej, nowego dysunitę, i oddano mu tego klasztoru majątek do użytku, konsystorz zaś Żyrowicki uczynił go dziekanem. Przez pochlebstwo i aby się pokazać czynnym i przychylnym rządowi i religii grecko-rossyjskiej, pop ten najświęciej zachowywał obrządek i ceremonie dysunickie, i w swoim dekanacie księży do tego nakłaniał, i najusilniej starał się, aby w najprędszym czasie podobnież i jego parafianie byli do tej religii i obrzędów nakłonieni. Nauczał, wmawiał, zachęcał, naostatek groził, aby chodzili do cerkwi, i zachowywali się w obrzędach tak, jak rząd przykazuje. Lecz parafianie, postrzegłszy w cerkwi nowym sposobem nabożeństwo, nie tylko że nie słuchali, co im za nowości w religii wmawiał, ale i do cerkwi chodzić przestali. Gdy zauważył, że swoją siłą parafian nie nakłoni, podał więc skargę do powiatu, że parafianie zbuntowali

się, do cerkwi nie chodzą, i żadnych sakramentów od niego przyjmować nie chcą; kilkudziesięciu też z parafian po nazwisku wymienił, którzy bardziej sprzeciwiali się dysunii i tych za buntowników podał. Przybył z powiatu urzędnik z kilkunastu żołnierzami i zawołano oskarżonych, ale za tymi przyszli wszyscy parafianie, kobiety i dzieci. Po krótkiem więc napomnieniu przez urzędnika, aby się nie sprzeciwiali woli rządu, i słuchali tego wszystkiego, czego ksiądz naucza, aby chodzili do cerkwi, sakramenta z ceremoniami przykazanemi przyjmowali i aby na to się podpisali; wszyscy parafianie jednogłośnie zawołali: „Nie przystajemy na to, czego od nas ks. dziekan wymaga, bo my wiemy, że ks. dziekan chce nas na schyzmatycką wiarę przewrócić, a my tak chcemy żyć i umierać, jak nasi ojcowie i dziadowie byli i poumierali w prawdziwej Unii, i my tak będziemy, a schyzmy nie przyjmiemy". Żołnierze rozpędzili resztę parafian, a tylko podanych przez księdza za buntowników wzięto do aresztu, namawiano ich i zachęcano rozmaicie, aby podpisali się na te wszystkie obrzędy. Lecz gdy nie dali się nakłonić na schyzmę, kilkakrotnie oćwiczono ich publicznie po tyrańsku, zwyczajem rossyjskim, tak aby żywych tylko z pod plag puścić, a najgorzej ćwiczono dwóch. Z tych jeden trzeciego dnia umarł w więzieniu, a drugi także w kilka dni umarł; obydwaj prostaczkowie okazali się prawdziwemi unitami w duchu religii, bo za Unią z rąk schyzmatyckich zostali umęczeni na śmierć. Dziedzicem tych ludzi w tym czasie był wicegubernator Wileński. Przedstawił on rządowi guberskiemu to niby religijne, ale tyrańskie nawracanie; rząd zaś guberski na podane kryminalne pismo zamilczał, dla tego, aby apostolstwa Siemaszki i podobnych jemu nie podać w niesławę, a prócz tego, aby w dalszem nawracaniu nie było przez to przeszkody.

Roku 1838 wielu z kapłanów, co przeciwni byli przyjęciu dysunii, tak na Białorusi jak i na Litwie biskupi zasuspendowali, poodsądzali ich od parafij, niektórych skazali do innych cerkwi na diaczków i pałamarzy, a niektórych do klasztorów na pokutę, czy do namyślenia się porozsyłano, familije zaś ich wypędzono z plebanij. Dwóch kapłanów starców z Lidzkiego powiatu, którzy nie przyjęli schyzmy, zawezwano do klasztoru Żyrowickiego na tłumaczenie się. Przybyli staruszkowie i wielce byli uzbrojeni w cierpliwość. Namawiano ich i zmuszano do przyjęcia schyzmy, a gdy to nie pomogło, zamknięto o chłodzie i głodzie, do posług ich skazywano, a w późną jesień kazano im iść na błota po nad rzekę, i gromadzić podściół dla koni. Gromadzili oni wprawdzie, ale przez zwątlony wiek i niewygodę

z głodu i chłodu, nieprzyzwyczajeni chodzić zwłaszcza w jesieni po błocie, przeziębli i na siłach ustali. Jeden z nich wieczorem nie mógł już powrócić do klasztoru na noc, gdyż było pół mili drogi, położył się na brzegu błota i zanocował, a drugi zawlókł się na noc do klasztoru i zachorował. Miasto zlitowania się nad osłabionymi starcami, biskup łajał ich mówiąc: „hultaje uporni i nieposłuszni zwierzchności swojej, nie chcą pracować, to słabość sobie zmyślają". Nazajutrz księdza, co nocował na błocie, znaleziono już nieżywego i strętwiałego, a drugi w kilka dni potem w klasztorze umarł. Takie to było nawracanie na dysunię; pokazali duchowni, jaką mają miłość ku bliźnim, stając się zabójcami prawych księży.

Siemaszko gdy wizytował pozostałe od kasaty klasztory bazyliańskie, bardzo się zmartwił, że jeszcze wielka jest liczba osób, tak ze świeckich księży, jak z Bazylianów, których na schyzmę nie można nakłonić. Zauważył też, że w tych prowincyach nie można tych księży unitów po klasztorach zatrzymywać, bo swoją stałością w Unii byliby tylko przeszkodą do nawrócenia świeckiego ludu. Uprojektował więc sobie i za wiadomością cara Mikołaja naznaczył cztery miejsca czyli obytele w guberniach rossyjskich, dla pewnej liczby osób duchownych, którzy prawosławia nie przyjmują, aby tam mieszkali, nigdzie nie wydalając się i tam nabożeństwo unickie aby prawili pod dozorem tamże mieszkającego prawosławnego biskupa, gubernatora i policyi, i z wyznaczonej pensyi utrzymywali się. Z tych czterech miejsc, jedno było naznaczone w guberskiem mieście Kursku, w najętej kamienicy dwupiątrowej. Roku 1839 wydał Siemaszko z Justickollegium ukaz dla tych księży, którzy mieli w Kurskiej obyteli mieszkać i naznaczył z Bazylianów urzędnikami: ks. opata Trockiego Benedykta Lenartowicza, S. Teologii doktora, przełożonym; ks. Ignacego Proniewicza wikarym, ks. Ignacego Baniańskiego spowiednikiem; ks. Onufrego Szymańskiego kasyerem; ks. Bazylego Lityńskiego i ks. Bartłomieja Sokołowskiego choralistami.

A wszystkich księży w tej obyteli było 24: 18 Bazylianów, i 6 świeckich. Przysłano ich pocztą z żandarmami do Kurska. Mieszkali oni tam podobno 3 lata, a gdy Siemaszko się dowiedział, że Mikołaj miał przejeżdżać przez Kursk, więc poprzedził cara, przyjechał do Kurska, wstąpił do obyteli „papistów", i zapytywał każdego z tych księży, czyli się nie nakłonił który do jego żądania? Gdy się żaden na to nie zgłosił, więc następnej nocy niektórych młodszych porozsyłał do schyzmatyckich klasztorów, a tylko 7 księży zgrzybiałych starców na miejscu zostawił. W kilkanaście dni po odjeździe

Siemaszki przyjechał Mikołaj do Kurska, i przysyłał dwa razy swego adjutanta, zapytując się tych księży, czy przyjmą prawosławie? czyli pozostaną w swojej religii? i czegoby żądali, czy w Kursku pozostać, czyli gdzie indziej mieszkać? Odpowiedzieli, że żądają pozostać w swojej religii i obrzędach, a co się tyczy mieszkania, to proszą, aby ich przesłano do gubernii kijowskiej i żytomirskiej na Wołyń. Po odjeździe cara wkrótce wszystkich rozesłano do monasterów dysunickich z przeznaczeniem rocznej pensyi 100 rs. Z tych, dwóch Bazylianów, to jest Ignacego Baniańskiego i Rafała Zabłockiego z Białorusi starców, według ich żądania, przysłano do Poczajowskiej Ławry, z którymi ja także w tej Ławrze rok cały 1842 mieszkałem.

Pozostałych księży w litewskiej i białoruskiej dyecezyach, przeciwnych dysunii, biskupi zaczęli straszyć (nim w Kursku obytel skasowali), że pozamykają ich w naznaczonych obytelach w Rossyi na zawsze. Księża oświadczyli, że są gotowi do tych obyteli, i za łaską Bożą wytrzymają w grecko-rzymsko-unickiej religii do końca życia swego, a innej cerkwi i reformy religijnej nie przyjmą i prawego następcy św. Piotra apostoła, papieża rzymsko-katolickiego, jako unici słuchać i uznawać za głowę widzialną będą. Jedni księża ustnie biskupom, a inni na zapytanie konsystorskie na piśmie w treści odmawiającej odpowiadali.

Na takie oświadczenie wielkiej liczby księży unitów zgrzytali zębami biskupi. Posyłać takich nieposłuszuych do uprojektowanej obyteli byłby wielki ekspens pieniężny na utrzymanie i najęcie domostw, więc innego sposobu użyli. Za wiedzą synodu petersburskiego, porozsyłali suspendowanych i dekretowanych księży tak Bazylianów, jak i świeckich po całej Rossyi po jednym i po dwóch, po odludnych pustyniach do monasterów dysunickich na pokutę. Jednych skazano na diaczków, drugich do posług monasterskich, innych do najcięższych prac, a żony i dzieci księży świeckich powyrzucano z probostw bez żadnego względu. Dla tych zaś księży „papistów“, którzy pozostali w swoich prowincyach, biskupi naznaczyli cztery klasztory na pokutę: jeden monaster w Tadulinie na Białorusi i na Litwie, w słonimskim powiecie bytyński klasztor, który nazwano klasztorem pierwszostopniowej pokuty, dla suspendowanych i dekretowanych na chleb i wodę i do lekkich robót monasterskich. Drugi na Polesiu w kobryńskim powiecie, torokański klasztor, ten nazywano drugiego stopnia cięższej pokuty dla upornych „papistów.“ W tym każdemu z pokutników dawano z kuchni na obiad 2 potrawy czeladne z wielkich kotłów, które każdy dla siebie w swe garnuszki z kuchni od

kuchcika odbierał, podobnież i na wieczerzę jedną potrawę i chleb czeladny po jednym bochenku na tydzień; pracę zaś w klasztorze i ogrodzie codziennie wikary z przeznaczenia biskupiego na piśmie każdemu ks. pokutnikowi naznaczał. Trzeci monaster był na Wołyniu w powiecie Włodzimirskim; zwano go obytelem najwyższego stopnia. W tym z pokutnikami przełożony exunicki obchodził się po tyrańsku, a nie po duchownemu i ojcowsku; o chłodzie i głodzie codziennie przeznaczał im robotę stróżów, w kuchni i t. p. najpodlejszą. Opisałem naznaczone te trzy stopniowe klasztory dla pokutników, do których i ja sam byłem skazany, spełniając wszystko cierpliwie.

Roku 1839 gdy już nierównie większą część unitów na schyzmę rossyjską nawrócono, jednych błyskotkami, pieniędzmi, urzędowaniem, innych oszukaniem czyli podejściem, a innych zamykaniem w lochach, głodem i zimnem, chłostą i t. p. i po większej części już dokonano zamiaru nawrócenia unitów na schyzmę, Siemaszko w Justic-kollegium postanowił publicznie uczynić sojedynenie, czyli przyłączenie do rossyjskiej cerkwi. Naznaczył więc dzień zebrania się biskupom i innym duchownym, którym nakazano przybyć na Białoruś do Połocka na synodzik. Zebrali się tam: Józef Siemaszko, Bazyli Łoziński biskup miejscowy, Antoni Zupko, biskup dysunicki staro-prawosławny, senator Skrypityn z Petersburga i kilkunastu księży znaczniejszych tak ze świeckich, jako i z byłych Bazylianów. Zjednoczyli się oni i podpisali za siebie i w ogóle wszystkich w trzech eparchiach przejście na dysunią rossyjską i poddanie się w zupełną władzę „prawitelstwujuszczemu światejszomu synodowi petersburskiemu“. W tej treści było ich pismo: „Naród nasz w przywróconych guberniach, tak duchowieństwo jak i lud prosty, odstąpili byli od swojego cerkiewnego rytuału i zostawali dotychczas w błędnej nauce religijnej, teraz zaś Bóg nas oświecił, i przekonaliśmy się o jedności cerkwi; więc jako z własnego przekonania i sumienia, dobrowolnie żądamy wszyscy zjednoczyć się z prawdziwą prawosławną rossyjską cerkwią, której przyjmujemy wiarę i obrzędy“. Wymienili też ogólną liczbę przyłączonych do rossyjskiej cerkwi parafij i księży, i podpisali się własnoręcznie. Wydrukowana jest ta książeczka w rossyjskim dyalekcie o tym nowo prawosławnym soborczyku, a na pamiątkę zjednoczenia się ustanowili obchodzić to święto w dzień Bożego Ciała.

Napisali też prośbę do cara Mikołaja imieniem całego narodu, aby ich raczył przyjąć i przyłączyć do swojej prawosławnej cerkwi, i podali ją w Petersburgu do rąk Mikołaja. Gdy ją przeczytał, przeżegnał się car i rzekł; „błahodar'u Boha i prynimaju“.

Z Justic-kollegium wydano potem rozkaz wszystkim księżom, ażeby w każdem nabożeństwie gdzie wypada, w miejsce papieża zawsze wspominali rządzący synod petersburski pod karą suspensy, i odprawiali nabożeństwo według położonego prawidła w mszałach petersburskich lub kijowskich. Z synodu wydano też wydrukowany list, w którym dano błogosławieństwo niby nowo-nawróconym, podziękowano za to Bogu, i dodano napomnienie wytrwania niezmiennie w onej i wyrzeczenia się herezyi łacińskiej i „chytrosti Papy rymskaho". Po ogłoszeniu tego listu, kazano się nań podpisywać, i aby księża zjechali się na naznaczony dzień do swoich konsystorzów, dla wyrzeczenia się Unii z rzymsko-katolickim Kościołem, i złożenia przysięgi na synod. (C. d. n.)

SOBAŃSCY.

(Dokończenie).

II.

Powrót z Syberyi — Urządzenie domu w Ładyżynie — Konfiskata — Kościół — Choroba i śmierć p. Ludwika — Róża Sobańska wdową — Zajęcia — P. Feliks Sobański — Wasylówka — Salon — Wypadki kwietniowe w Warszawie — Adres marszałków do cara — Porwanie i uwięzienie p. Feliksa.

Trudno byłoby opisać radość mieszkańców Ładyżyna, skoro nadeszła do nich wiadomość, że państwo Sobańcy wracają znowu do swych włości po długoletnim w sybirskie strony wygnaniu. Dla łatwych jednakże do odgadnięcia powodów pominąć tu muszę wszystkie szczegóły tego powitania ich, kiedy powrócili do domu, a natomiast w kilku bodaj słowach wspomnąć mi wypada o ich codziennem życiu domowem.

Dom ich w Ładyżynie, o którym mówiłem tak był urządzony, że dosyć było drzwi kościoła otworzyć, a z pokoi widzieć można było, jak przy wielkim ołtarzu, kapłan świętą ofiarę odprawiał. Dziś i Ładyżyn i dom ten zabrany, skonfiskowany, służy za szpital dla stojącego tam wojska. Ale nad domem unosi się pamięć szczęśliwych tam niegdyś czasów, które Moskal zrujnował, a każdy przechodzień zdejmując przed kościołem czapkę, oddaje zarazem pokłon tym murom, w których mieszkały niegdyś dusze tak wielkie, a tak pokorne zarazem. Pomijam smutną konfiskatę pięknego Ładyżyna, która dotknęła ich oboje okropnie, nietylko stratą znacznego majątku choć i tego szkoda, ale utratą wszystkich drogich pamiątek, które się z ich życiem łączyły. Tam oni

przeżyli pierwsze chwile swojego małżeństwa, tam wystawili kościół, tam własną ręką z pomocą ogrodnika Śliwińskiego na cmentarzu kościelnem piękne zasadzili drzewa, tam założyli szpital, tam wyniańczyli pierwsze swe dzieci, tam radośnie przyjmowali przyjaciół i sąsiadów, tam tyle odbierali łask Bożych nawet wśród najboleśniejszych utrapień, tam całą swoją młodość przeżyli, iż rzecby należało, że każdy kamień, każde drzewko, każda ścieżka zrosła się z ich życiem. A to życie rozdarł srogi ukaz Mikołaja cara i majątek zabrał i z własnego domu, krwią i potem uprawionego gruntu wynosić się kazał; a dlaczego? — oto dlatego, aby wszystko puścić na zniszczenie i pastwę służalcom swoim.

Są nieraz w życiu człowieka bardzo bolesne chwile, ale najboleśniejszą ze wszystkich jest ruina domowego ogniska, którą w tej chwili oboje uczuli głęboko. Najwięcej żal im było kościoła, który uważali, jako pierwiastek swojego szczęścia złożony Bogu. Zdaje się, że ten wypadek wpłynął bardzo na skołatane już zdrowie tyloletniem więzieniem, wygnaniem i ciągłą pracą wielkiego męża. P. Ludwik zaczął odtąd tęsknić, cierpieć, chorować; unikał nawet wszelkich liczniejszych towarzystw, bo najmilej było mu zostawać z Bogiem, któremu umiał ofiarować wszystko. Zapomniał nawet dla miłości Bożej o stracie Ładyżyna. Bo dusza wielka tylko wielkie nieszczęścia przenieść potrafi, ale osłabione w tylu męczeństwach ciało, musiało upaść. Po krótkiej więc, ale dotkliwej chorobie, w młodym jeszcze wieku, ale nie z próżnemi rękami stanął przed Bogiem wielki obywatel, dobry syn ojczyzny, a co najważniejsza, pobożny i wierny syn Kościoła, opatrzony świętemi Sakramentami w Warszawie dnia 16 Sierpnia 1837 r. Jego zwłoki najpierwej złożone były w Wiskitkach w familijnym grobie Łubieńskich, dopiero w roku 1858 syn jego Feliks sprowadził je do majątku swojego na Podolu i w Obodowce, gdzie dziś mieszka, w grobie familijnym Sobańskich, obok Michała, Wiktoryi i innych dziadów swoich złożył.

Przedwczesna śmierć jego, robiąc wielki wyłom w obywatelstwie, najsroższej ugodziła w serce jego żony. Młoda jeszcze wówczas pozostała wdowa, choć w pośród licznej rodziny, nagle zobaczyła się osamotnioną, jakby jedną tylko na tym ogromnym świecie; bez pociechy, bez opieki, której tak bardzo potrzebowała, bez pomocy, przy tak wielkich obowiązkach, które odtąd tylko na niej ciążyć będą. Wiedziała ona, że nie jest to małą rzeczą utrzymanie ogromnego majątku, wychowanie maleńkich jeszcze dzieci, przechowanie im dobrego imienia ojca i utrzymanie na właściwej sobie wysokości wszelkich stosunków. Zważyła

w pokorze swe siły i znalazła się za słabą do spełnienia wielkiego zadania, pod którem nie jedna męzka głowa upada. Więc w pomoc przyzwała Boga, Jemu się tylko zwierzała, Jego radziła, do Niego w każdej udawała się potrzebie.

Od pierwszej chwili wdowieństwa swojego postanowiła sobie pewne praktyki religijne, w których wytrwała aż dotąd. Nie była ona kobietą nabożną, jak to dzisiaj często napotkać można takie, jakie żyją na Bożym świecie po swojemu, to jest, po swojemu się modlą, po swojemu nawet dobre uczynki robią i po swojemu grzeszą, ale była i jest niewiastą pobożną, co żyje na świecie po Bożemu, to jest wedle woli Bożej, a nie fantazyi i zachcianek swoich. Każdą czynność, jaką tylko spełnić miała, ważyła pierwej w sumieniu swojem, czy to Bogu się podoba; bo za nic w świecie nie chciałaby stanąć na sądzie z czynem, woli Bożej przeciwnym. I nie dziw, że wszystkie sprawy i cały jej żywot podobał się ludziom. Bo one pierwej podobały się Bogu. Prawda, że często w ważniejszych szczególniej sprawach radziła się ludzi, ale w sumieniu swojem zawsze decyzyą miała. I Bóg jakoś dopomagał, że się jej wszystko udawało. A kierując tak wielkiemi sprawami niewieścią ręką, ale męzką prawdziwie energią i głową, miała dosyć czasu najmniejsze nawet załatwiać czynności. Wyuczona w szkole cierpienia, umiała drugich nieszczęścia szanować i nie zapominała nigdy o dawnych towarzyszach wygnania swojego. Ciągle z wygnańcami w Syberyi utrzymywała stosunki, musiała wiedzieć, kto, czem i jak się zajmuje, kto nowy przybył i jakie jego potrzeby. Obeznana ze wszystkiemi ówczesnemi sądami i komisyami śledczemi, tak w Warszawie jak i w Petersburgu, przez które mąż jej przechodzić musiał, często nawet wiedziała, kto i dokąd jest zasłany i zanim nieszczęśliwy więzień na miejsce przybył, już znalazł dla siebie z jej ręki pomoc. Było tam wiele osób familijnych, żonatych. Ona musiała wiedzieć, komu ma się nawet dziecię narodzić, aby własną ręką zrobione pierwsze ubranie nowonarodzonemu katorżnikowi posłać. Mała to niby rzecz na pozór, to prawda, ale ją tylko miłujące serce odszukać potrafi. A ten tylko doniosłość jej oceni, kto zna te puste stepy i dzikość nadzorców, umyślnie wyszukanych przez dowcipnego tyrana. A czyniąc tyle dobrego, pragnęła nawet zakryć swe imię przed tymi, którym dobrodziejstwa świadczyła. Kto inny zupełnie i to w swojem, a nie w jej imieniu i korespondencye prowadził i potrzeby załatwiał, ale im więcej się ukrywała, tem pewniej wszyscy wiedzieli, że ona tylko i to własną swą ręką kieruje wszystkiemi potrzebami wielkiego szpitalu, w szerokich stepach Syberyi. Trwało to przez cały czas długich i żelaznych rządów

cara Mikołaja. To też nie dziw, że tam na Syberyi jej imię jest w największej czci, a każdy powracający wygnaniec za amnestyą nowego cara Aleksandra, przy domowem ognisku opowiadał dzieciom lub rodzicom swoim o tem, co odbierał od tej, której nigdy w życiu ani znał, ani widział. Taką to jest owa poważna matrona, którą zna cały kraj.

Kiedy w roku 1858 syn jej p. Feliks przyszedł do pełnoletności, oddała mu cały majątek i wszystkie tak ważne, a trudne do załatwienia sprawy, które się toczą tym samym porządkiem, jakby jej jeszcze rządziła tam ręka. Bo ten wyssał z piersi matki rodzicielskie uczucia i zdaje się przedłużać szlachetne czyny rodziców swoich.

Sama nie mięszała się odtąd do żadnych czynności; po tylu trudach zapragnęła spoczynku, może dlatego, by więcej i ściślej być z Bogiem. Mieszkała zawsze w Wasylówce, kontentując się pewnym procentem z majątku. Tam to więc do familijnego ogniska zjeżdżali się wszyscy: i córki na słabość i cała rodzina na święta. Ba! tam ciągle było i dworno i wystawno, jakby w jakie święta, bo ciągle ktoś przyjeżdżał i jak u siebie mieszkał. Bo nikomu nigdzie lepiej i dogodniej nie było, jak u własnej i tak kochającej i kochanej matki. Zarząd tylko całkowity domu pozostał na jej głowie.

P. Róża miała od dawna ten pobożny zwyczaj, że raz na tydzień przystępowała do spowiedzi, a co dzień do komunii św. Każdego także dnia odmawiała Różaniec w naznaczonej przed wieczorem godzinie; żadne zajęcia nie potrafiły zmienić raz ułożonego w jej życiu porządku. Nieraz bywało wśród wesołej w salonach zabawy, w naznaczoną godzinę, nie mówiąc nic nikomu, niepostrzeżenie wyszła do kaplicy. Ale zaledwo rozpoczęła półgłosem odmawiać Różaniec, aliści wnet i owi weseli goście także cichaczem, jedno za drugim, zbiorą się do kaplicy i mała kaplica objąć przybyłych nie może.

Po bolesnych i nieznanych dotąd w historyi kwietniowych gwałtach moskiewskich w Kościołach i na ulicach Warszawy, na bezbronnych mieszkańcach spełnionych, cały naród Polski w obszernych swoich granicach, uczuł się spotwarzonym, zbezczeszczonym, zdeptanym, i Hiobową boleścią jęknął. Wszystkim się jednakże zdawało, że dawniejszy system ucisku cara Mikołaja przez wielkorządców spełniany, jest zupełnie wstrętny najmiłosierniejszemu cara Aleksandra sercu, że go przemienić pragnie i potrzebuje tylko prawnych motywów do zmienienia go. W całej Polsce wierzono, że głos jednej Warszawy, a choćby nawet Kongresówki jest niedostateczny, że potrzeba głosu wszystkich prowincyj polskich, że taki głos ogólny skoro przyjdzie wprost do najmiłosierniejszego Cara, znajdzie uwzględnienie i pożądany

przyniesie skutek. Tembardziej że nie żądano niepodległości, ale ulgi w Kościele, prawodawstwie i szkole. Więc prowincya po prowincyi podawały proszące, ale pełne godności adresa.

Właśnie w tym samym roku 1862 na Podolu przypadały prawem naznaczone wybory marszałków do każdego powiatu i do gubernii, a zebrani obywatele po wyborach, mieli prawo podać adres wprost do tronu, z pominięciem wszelkich władz ubocznych, przez ręce tylko nowo obranego guberskiego marszałka. I tak się też stało. Marszałkiem gubernii był wybrany Feliks Sobański, człowiek legalny i surowy, w przestrzeganiu każdego prawa. Obywatele podali adres, więc go przyjął, bo mieli do tego prawo; a on, pomijając wszelkie uboczne władze, odesłał go wprost do ręki cara. Stało się więc wszystko po formie według przepisanych ustaw przez samychże Moskali. Każdy był pewny, że tak poważny głos grona obywateli, tak poważnie i urzędownie zasłany do tronu, błogie tylko owoce dla narodu sprowadzi. Lecz jakież wielkie było wszystkich zdziwienie, gdy w kilka tygodni później gubernator odebrał sekretne rozporządzenie, ażeby (znowu w sekrecie) wszystkich marszałków pod strażą do Petersburga dostawił. Słowo carskie wypowiedziane ..... i wkrótce trzynaście kibitek a przy każdej dwóch żandarmów z wiatrem i tumanem pędzi do Petersburga, bo pilno im stanąć w Petro-Pawłowskiej fortecy.

I stało się, że Feliks Sobański znalazł się znowu w tem samem miejscu, gdzie przed laty siedział zamknięty pełen cnót rodzic jego.

(Z zapisków ks. A. Jomickiego).

KSIĄDZ NA PARAFII

pod rossyjskim rządem.

(Z zapisków ks. A. Jomickiego).

(Ciąg dalszy).

IV.

Ładyżyn — Ks. Kajetan Wisłouch — Objazd po parafii — Lud i szlachta — Charpaczka — Pp. Jełowieccy — Udzielanie religii w Charpaczce — Bogdanówka i pp. Jaroszyńscy — Panna Karolina Rakowska — Matka i jej obowiązki względem Boga i społeczeństwa — Wychowanie panien.

Pod rządem rossyjskim kapłan katolicki wystawiony na różnego rodzaju trudności i prześladowania musi się na wszystko dobrze oglądać,

na wszelkie formalności prawa pamiętać, a nadewszystko o czynownikach rossyjskich nie zapominać. Dopełniwszy tedy tego wszystkiego w Kamieńcu, pojechałem do Ładyżyna. Kościół i parafia były wówczas pod zarządem ks. Czesława Humińskiego Dominikanina, który po zniesieniu klasztorów złożył habit, przybrał rewerendę i w charakterze starszego wikarego zamieszkał w Ładyżynie. Był jeszcze przy tym kościele ks. Kajetan Wisłouch, także Dominikanin, rodem z Litwy, nad wyraz zacna i poczciwa dusza, pełen łagodności, prostoty, pokory, gorliwości i wielkiej świątobliwości, prawdziwy sługa Boży. Nie zdejmował on swojego habitu białego jak cała jego dusza, ale pragnął, by tak wszystkich przed Bogiem wybielić, więc służył każdemu, jak mógł i do Boga prowadził. Najczęściej można go było zastać w kościele, jeżeli nie w konfesyonale, to na gorącej przed *Tabernaculum* modlitwie. Później zamieszkał on w Wasylówce. Otóż nieraz bywało, kiedy wieczorem o godzinie dziesiątej, jak tam był zwyczaj, goście opuszczali salony, by udać się do swoich pomieszkań, on otworzył drzwi oświetlonej kaplicy i jak Anioł biały stanął na jej progu, obok którego wszyscy przechodzić musieli i każdemu dał krzyż pocałować i *pax tecum*, powiedział. I niejeden, co z pustą myślą może wychodził z salonu, gdy raptem ujrzał się przed Bogiem, jakby w dzień sądu swego, to i myślą spoważniał i pocałunkiem krzyża Boga przeprosił i duchem ku niebu się podniósł i w Bogu z spokojem zasypiał, aby mu jutro gorliwiej służyć. Na wielkie uroczystości i odpusta ks. Wisłouch zwykle przybywał do Ładyżyna do pomocy w kościele i znajdował tu nietknięty i szanowany swój pokój, w którym dawniej mieszkał, gdzie prócz ubogich swoich bagaży, miał mnóstwo obrazków, szkaplerzy, różańców, medalików i różnych świętości, któremi obdarzał ubogą szlachtę i chłopków tu do kościoła przybyłych. Zawsze gotował się na śmierć i trumnę zawsze miał w zapasie dla siebie, ale gdy go jaki biedny uprzedził, to mu trumnę darował i nową znowu zrobić sobie kazał. Aż nareszcie bardzo posunięty w lata, dokończył świątobliwego żywota 1865 r. w tej samej Wasylówce. Śmierć jego była tak przykładną, jak cały jego żywot. Zgromadzony na pogrzeb lud pobożny, potargał biały jego habit na kawałki i ze czcią zachował, bo każdy chciał mieć pamiątkę po świątobliwym kapłanie.

Kiedy już jako tako ulokowałem się w Ładyżynie, należało mi najpierwej poznać parafian. Więc zabrawszy z sobą kaplicę puściłem się w objazd. Odwiedziłem wszystkie domy zamożne i wszystkie chaty, nie opuściłem ani jednego domku. Naturalnie, że po pierwszem powitaniu się, pogadanka musiała się zaczynać o poprzedniku moim nieosza-

cowanym ks. Macieju i wtedy dopiero naprawdę poznałem wielkość tego na pozór cichego Bożego sługi. Pomijam zamożnych obywateli, którzy mogli mieć dla niego szczególniejszą sympatyę, jako dla człowieka wysoko wykształconego, ale gdym pomiędzy biedakami nie znalazł ani jednego, coby o nim ze łzą w oku nie wspominał, kiedy mi opowiadano z jakiej to biedy nie jednego on wyrwał, kiedy w pewnych peryodach przychodzono prosić o nabożeństwo za pokój duszy ks. Macieja, głęboko zatrwożyłem się, bom widział, że to dobry jest ludek, kiedy wdzięcznym być umie i ja mu takim ojcem, jak był ks. Maciej, już być nie potrafię. Zwątpiłem o sobie, wszystko widziałem nad moje siły i pierwszy raz dopiero żałowałem, że przyjąłem to miejsce Ale cofać się już było zapóźno, nie można było znaleść rozumnej do odwrotu racyi, a narażać się na śmieszność jak dziecko, nie wypadało. Więc całą sprawę zdałem na Boga.

O siedem wiorst od Ładyżyna leży wieś Charpaczka, tam mieszkali pp. Jełowieccy, ona sama Sobańska z domu jest córką ś. p. Ludwika i p. Róży Sobańskich. Mieli wówczas trzy córki i trzech synów, dla których trzymali guwernantkę, bonę i dwóch metrów. A że w tym nad wyraz zacnym i pobożnym domu religia była podstawą wszystkich nauk, więc każdego tygodnia przyjeżdżałem tam na lekcye religii dwa razy. Była to najpierwsza pociecha, której doznawałem w towarzystwie tej miłej, wesołej a dziwnie pojętnej dziatwy. To też z utęsknieniem oczekiwałem naznaczonych dni, aby do Charpaczki pojechać. Wszystkie lekcye wszystkich przedmiotów odbywały się w obecności matki, która jak anioł opiekuńczy czuwała nad wszystkiem, nie przerywała ona swojemi zdaniami wykładów, ani narzucała swych uwag, ale zdrowym swoim poglądem na rzeczy umiała ocenić wszystko, i właściwie nauką kierować, a powagą swoją lub czasami jednem tylko spojrzeniem, umiała nadać właściwy kierunek i metrom i dzieciom, to też wszystko odbywało się tam w prawdziwym porządku i z korzyścią. Pragnąłbym, aby taki sposób kształcenia dzieci w domu, był zastósowany wszędzie, dopokąd one w domu nauki pobierać mogą. Po skończonej lekcyi w Charpaczce, pojechałem do Wasylówki, a było tylko wiorst 10, tam już nocowałem; zwykle dnia następnego wysłuchałem spowiedzi, kto pragnął, i odprawiłem mszę św., na którą przychodziły panienki ze swoją mistrzynią z ochronki, założonej i utrzymywanej przez p. Różę Sobańską. Po mszy św. miałem lekcyę religii w kaplicy, na którą znowu przychodziły wszystkie rezydentki, panny respektowe i służące od zajęcia wolne, a nietylko domowe, ale i te, które w gościnę ze swojemi

paniami przybyły. Tego jakoś nikt nie nakazywał, nie przymuszał, ale może już z dawnego zwyczaju samo się tak składało.

Po skończonej lekcyi wyjeżdżałem zaraz do Bogdanówki, w której mieszkali wówczas pp. Jaroszyńscy, od Wasylówki wiorst dziesięć. Tam miałem jedną tylko elewkę, ale nad wyraz dziwnie pojętną i pilną. Była nią panna Karolina Rakowska, bo państwo Jaroszyńcy Edwardowie nie mieli własnych dzieci, wzięli więc na wychowanie córkę brata pani Jaroszyńskiej, Rakowskiej z domu. Patrząc z jaką starannością pani Edwardowa zajmowała się swoją przybraną córką, można tu było podziwiać zarówno dwa dziwnie piękne obrazy: najczulszej matki i najlepszej córki. Stosunek pomiędzy temi dwiema duszami był serdeczny i prosty, poważny i pełen wysokiego poszanowania. Mógłbym tu wiele powiedzieć o Bogdanówce i Charpaczce, ale zdaje mi się, że gdybym najwięcej powiedział, jeszczeby brakowało tego, co się prawdziwie należy tym dwom nieoszacowanym matkom. Jedno tylko dodam, że obie te panie na wzór p. Róży w Wasylówce często przystępowały do komunii św. i widocznie Bóg im dodawał sił, roztropności i wytrwania w tem wielkiem powołaniu matki.

Matka jest ręką Bożą, co dzieci swoje do nieba powinna prowadzić — Bóg z ręki matki duszy dziecięcia upominać się będzie, a biada tej matce, co na równi z fraszkami świata uważa duszę dziecka swojego, które Bóg najwięcej umiłował, krwią najświętszą odkupił. Obie te panie wiedziały o tem dobrze, że od matki tylko upomina się niebo Świętych, Kościół wiernych sług swoich, a ojczyzna obywateli.

Nie opisuję tutaj ich życia, ani praktyk religijnych, jakie spełniały, by nie rozszerzać ramek zadania mojego, a i te krótkie wspomnienia napisałem tylko dlatego, aby zwrócić uwagę niektórych matek na baczniejsze wychowanie swych dzieci, szczególniej za dni naszych, gdzie złe jakby po drucie telegraficznym w każdy zakątek się wciska, wzrasta i zdaje się z pokolenia na pokolenie przechodzić. Czternaście lat dopiero upłynęło od początku mojej historyi, a taką już widzę zmianę, że powróciwszy po kilku latach wygnania i tułactwa do kraju, poznać go nie mogę i nieraz pytam samego siebie, czym ja się tak zmienił, czy do obcej a nie do swojej przyjechałem ojczyzny?...

Wychowanie, to nie jest ukształcenie powierzchowne ciała, ani też wydoskonalenie we wszystkich formach wymaganych w cywilizowanym świecie. Nie jest nim nawet wysoka nauka, znajomość języków, historyi, nauk przyrodniczych, nawet talenta jak np. muzyka, malarstwo i inne, aż do podziwu i ogólnego uznania doprowadzone, nie są

wychowaniem; są to wszystko rzeczy piękne, szacowne, godne nawet wielkiej pochwały, ale tylko dodatkowe; wzbudzą one podziwienie, może i oklaski, ale szacunku nie... Podnoszą one najczęściej pychę utalentowanej osoby. Wyradzają one jakąś dziwną pewność siebie i najczęściej sprowadzają upadek w następstwach nieobliczony; bo to jest pewna, że im z wyższej wysokości nastąpił upadek, tem jest boleśniejszy, a im szersze osoba upadająca zajmowała kółko, tem dłuższy za sobą ciągnie bolesnych następstw łańcuch.

Wychowanie prawdziwe, jestto wlanie, że tak powiem, w młodą duszę zasad gruntownych, pewnych, opartych na prawdzie i sumieniu, które Bóg objawił, a nie na tem, co wymarzyła chorobliwa imaginacya lub zmieniająca się moda świata. Na takich to zasadach młoda wychowana dusza stoi jakby na silnej skale oparta całe swoje życie; i ani burze namiętności ani wiatry przemijającej opinii, ani bolesne zmiany w życiu, nie pochylą jej. Ona wyższa nad wszystko, zawsze i wszędzie zajaśnieje cnotą. Powalona nawet siłą, męczeńską przyjmie koronę, ale nie upodli się nigdy. W wątpliwościach swoich poradzi się Boga, w słabości swojej tam szukać będzie siły. Bóg i sumienie zawsze jej będzie świadkiem, a wiara busolą i żyjąc wśród świata, w obec zgubnych nawet żywiołów, jak kropla oliwy, co się to nigdy z wodą nie złączy, jasna i piękna zawsze po wierzchu popłynie. Szczęśliwy mąż, jeżeli z taką żoną dzieli trudy życia swojego, szczęśliwa społeczność, jeżeli takie liczy niewiasty, bo Bóg z wysoka, błogosławi narodowi takiemu. A jeżeli jeszcze przy takiem zasadniczem wychowaniu wzbogacimy umysł nabytą nauką i podniesiemy wrodzone talenta, to każda nauka i każdy talent wypięknieją jeszcze przy tak pięknej duszy i staną się ozdobą w życiu, a zasługą w wieczności.

Takiego wychowania nie da matka pewna swojej doskonałości, a wątpliwa i próżna każdej prawdy Bożej. Ona w najwyższem uniesieniu miłości ku dziecku zawsze widzi tylko siebie, miłuje go dla siebie, pielęgnuje i wychowuje dla siebie, a nie dla Boga, ani dla ludzkości, ani nawet dla szczęścia dziecka własnego. Taka matka wypełni wszelakie formy, ale podstawy gruntownej, życia prawdziwego nie da, bo go sama nie ma. I najczęściej dopokąd dziecko jest jeszcze maleńkiem, uważa je za dziecko Boże i prawda, że uczy pierwszych artykułów wiary, ale skoro dziecina już dorastać zaczyna, uważa je za dziecko świata; zwykle syn oddaje się do szkolnych zakładów, a córka pod okiem matki do świata się formuje i ta sama matka, co przed kilku laty wpajała jako tako w młodą duszę zasady wiary, dziś je własną ręką wyrywa, aby w to serce zaszczepić zasadę świata;

nie chodzi tu już o to, by się podobać Bogu, ale o to, by się podobać wyłącznie tylko ludziom, a w tej nauce postęp jest nad wyraz szybkim. Panienka w czternastym już roku wie, w czem, w jakim kolorze i jaki stroik jest jej do twarzy, jaką zrobić minkę, aby się podobać, jaką wymyśleć okoliczność, aby się pokazać, na siebie zwrócić uwagę i być przedmiotem próżnej pochwały. A uszczęśliwiona matka z takich postępów roztropności i mądrości, które dziełem swojem nazywa, pragnie jak najprędzej pokazać ją światu, aby z pochwał córki zbierać dla siebie laury i odtąd nie masz już ogólnego zebrania ani na placach publicznych, ani w ogrodach — nie masz balu, nie masz teatru bez względu jaka jest sztuka, nie masz koncertu, aby matka z córką tam nie była; bo gdzie tylko są ludzie, co mają oczy, potrzeba aby na córkę patrzyli, wielbili, a podziwiali matkę. Córka wszystkiego się dotyka, z zapałem młodej i nieskażonej jeszcze duszy i nawzajem wszystkie wrażenia dotykają się córki i piętnują swoje ślady na tej anielskiej duszy, a każde dotknięcie ściera ten delikatny pyłek pięknego kwiatu, który stanowił całą ozdobę, a który jednem dotknięciem starty, już więcej nie wraca. (Dok. nast.)

LIST Z WARSZAWY.

II.

Przedewszystkiem dopełniam wiadomości, podanej w mojej korespondencyi poprzedniej [1]), że proboszczem w Kodniu, którego przed zaborem kościoła wywieziono, był ks. Zegard. Jednocześnie z nim wywiezionym był i proboszcz sąsiedniej parafii ks. Dmowski. Wszystkie takie imiona nietylko należy zapisywać, jako należące do historyi, ale i zaraz podawać do wiadomości powszechnej. Księży Unitów wywiezionych do Rossyi, jeżeli poinformowano mię dokładnie, jest 29. Nazwisk ich atoli dowiedzieć się nie mogłem. Inni, którzy za granicę nie wyszli, rozsypali się po kraju i są ekonomami, leśniczymi, rządcami domów itp. i utrzymują jak mogą siebie i swoje rodziny. Po daniu takich dowodów wytrwałości w wierze, są u rządu notowani, jako ludzie niebezpieczni i dlatego zostają pod ciągłym i ścisłym nadzorem policyi i w oczach wszystkich prokonsulów Moskwy, gubernatorów, naczelników powiatowych są tolerowani tylko przez niepojętą pobłażliwość i miłosierdzie rządu; bez paszportu z czerwoną obwódką, jaki daje się osobom w przekonaniu policyi niebezpiecznym, nie wolno im się wydalać na krok z miejsca ich pobytu. A tak wystawionym na różne szykany żołdactwa i prześladowania policyi, zakazano nosić suknię duchowną i odprawiać mszę św. A wiedzieć należy, iż dokuczania i znęcania

[1]) Patrz poszyt z dnia 1 Października r. b. str. 445.

się żołdactwa i policyi bywają większe daleko po wsiach i małych miasteczkach, aniżeli po większych miastach, przez to, iż w pierwszych łatwiej tym nikczemnym służalcom tryumfującej przemocy mieć na oku swoje ofiary, na które rzucają się tem śmielej i zawzięciej, iż te nie stawią im oporu. Jakoż męztwo moskiewskie jaśnieje w całym blasku wobec przeciwnika bezbronnego, zrezygnowanego lub nieśmiałego, ale natomiast w chwili, w której niespodzianie trafia na opór, wtedy mięknie i gaśnie. Daje się to często widzieć w całym kraju tutejszym po zajazdach i oberżach. Opowiadano np., iż niedawno kilku ze szlachty w przejeździe zastało w jednej oberży zwykłych jej gości, moskiewskich oficerów, nad kuflami piwa. Polak szlachcic, obywatel ziemski, to wielce pożądany dla Moskala przeciwnik. Otóż jeden z panów oficerów rad, że będzie mógł obedrzeć szlachcica, podniósł kufel, wygłaszając zdrowie Jego Carskiej Mości, a widząc, że żaden z obecnych szlachciców na taki toast nie powstał i nie zdjął czapki, przyczepił się do nich. Aż tu jeden szlachcic nie wiele myśląc, w pysk go trzasnął. — Masz kpie za to, zawołał, że śmiesz takie zdrowie wnosić piwem i to jeszcze w szynkowni. Nauczka została przyjętą w milczeniu. Do takich nauczek Moskwa nawykła i w rozprawy honorowe się nie wdaje; a szlachcic polski łatwo się zdobywa na odwagę osobistą pojedyńczą, kiedy na odwagę zbiorową go nie stać. Kiedy przeto oficerom zadzierać ze szlachtą nie zawsze bezpiecznie, księża zaś łacińscy swoją powagą jakoś umieją sobie radzić wobec władzy wyższej, to nieszczęśliwi księża uniccy pozbawieni są wszelkiej obrony. Ich skarga, choćby i najsłuszniejsza, nie znajdzie nigdy przyjęcia. Muszą znosić wszystko: i prześladowanie i obelgi i ucisk ciągły, którym rząd myśli, że ich nakłoni do wyrzeczenia się tego, co jedna im teraz chwałę wyznawców i męczenników. Z pociechą powiedzieć należy, iż odstępców, którzy przyjęli prawosławie, znalazło się między nimi ledwo kilku. A więc nasze duchowieństwo unickie na Podlasiu wraz z ludem wytrwawszy takie próby, zrobiło, co tylko zrobić było w stanie i możeby zdołało odeprzeć nacisk na siebie schyzmy, gdyby nie zastęp zdrajców, przybyły od was z Galicyi i mający na czele biskupa, który na to objął zarząd swojej owczarni, ażeby ją wydał wilkom i pootwierawszy im na oścież wszystkie do niej wrota, sam roztropnie usunął się, a potem jeszcze miał śmiałość a raczej bezczelność usprawiedliwiać się ze swego postępowania przed Papieżem.

Sprawy Kościoła łacińskiego, bo innego katolickiego już niema, w kraju tutejszym i w całej Rossyi obecnie zamykają się głównie w stosunkach biskupów do zwierzchniej władzy, jaką jest kolegium petersburgskie. Warto jest zastanowić się nad przebiegłością schyzmy w wytworzeniu sobie takiego narzędzia. Cóż to jest bowiem owe kolegium? Jestto zgromadzenie prałatów delegowanych od wszystkich dyecezyj dla zarządu sprawami Kościoła katolickiego w całem państwie. Prezyduje w nim arcybiskup mohylewski; a więc faktycznie podlega mu i metropolia warszawska, bo i tutejsi biskupi mają tam swoich delegatów. Ale władza i powaga tego metropolity jest tylko nominalną. Rzeczywistym zaś rządcą i dyrektorem kolegium, przy którem zostaje wszelkie prawo inicyatywy, jest prokurator kolegium, urzędnik świecki i koniecznie niekatolik. Wszystkie sprawy wnoszone jedynie przez niego, idą pod głosowanie. Prałaci, członkowie kolegium, słuchają wniosków prokuratora i mogą na to, rozumie się, objawiać swoje zdanie i według niego głosować, ale w takim razie każdy z nich występuje pojedyńczo i spotyka przedewszystkiem ostry i przenikliwy wzrok p. prokuratora, w którym czyta: „A to ty śmiesz występować przeciwko zamiarom rządowym"? Czując wtedy swoją słabość a raczej nicość, lęka się i mówi sam sobie: — Dlaczegoż ja mam wysuwać się naprzód? Chociaż to, co proponują, wydaje mi się złem i sumienie każe mi protestować, ale dlaczegoż ja mam być do tego pierwszym, kiedy nie czuję się na siłach. A może wreszcie i ja się mylę. A w każdym razie, na co mi poświęcać się za drugich? Kiedy inni milczą, poco ja mam gadać? I nic nie dokażę i siebie zgubię. Ostatecznie tedy postąpiłbym tak, jak mi każe sumienie, ale się boję. Niech to inni robią, którzy więcej odemnie mogą. — I tak przechodzi wszystko. Potrzeba wiedzieć, że w tem szanownem gronie duchowieństwa, które tam daleko nad Newą radzi o sprawach naszego Kościoła, nie zasiadają wcale bohaterowie. Żaden z prałatów, celujących pobożnością, światłem, poświęceniem, jacy niewątpliwie są w każdej kapitule, tam nie pojedzie. Tacy, jeśli mają ambicyę i chęć dostąpienia wyższych godności i znaczenia, ale chęć prawą i godziwą, idą ku temu drogą właściwą; a tacy najpotrzebniejsi bywają we własnych dyecezyach. Jeśli wreszcie jaki taki i pojedzie do kolegium z tej i owej dyecezyi, to wieluż tam znajdzie się takich? Zawsze będą oni stanowić mniejszość. Każdego takiego wreszcie za pierwszem, cokolwiek śmielszem wystąpieniem, czeka natychmiast więzienie i wygnanie, często z najbłahszych powodów, jak ś. p. ks. Łubieńskiego, nim jeszcze został biskupem Augustowskim [1]).

[1]) Kościół w teraźniejszem Królestwie Polskiem zaczął podlegać kolegium petersburgskiemu dopiero od r. 1868. W roku bowiem poprzedzającym nakazano biskupom z tego Królestwa na równi z biskupami cesarstwa wysłać delegatów do rzeczonego kolegium. Ponieważ naówczas stosunki dworu rossyjskiego ze Stolicą Apostolską były zerwane, Ojciec Św. powziąwszy wiadomość o takim rozkazie, był zmuszony oświadczyć publicznie, iż rzeczonego kolegium nie uznaje. W skutek tego ks. Popiel i ks. Łubieński odmówili wręcz wysłania swoich delegatów do jurysdykcyi zaprzeczonej przez Papieża i za to poszli na wygnanie; inni biskupi spełnili rozkazy rządu; ale ci delegaci, którzy zdecydowali się naówczas jechać do tego, zostającego pod świeżą klątwą kolegium, byli to, rozumie się, prałaci nie najgodniejsi pod każdym względem. Krótko mówiąc, ci biskupi, którzy naówczas nie mieli ochoty jechać za ks. Popielem i ks. Łubieńskim w kraje hyperborejskie, wysłali na domaganie się rządu takich, których chcieli się pozbyć w kapitule. Byli to zatem w oczach rządu najlepsi członkowie kolegium, ale nie najlepsi przedstawiciele swoich kapituł i pełnomocnicy w sprawach swoich dyecezyj. Zdaje mi się, iż takie postąpienie większej części biskupów Królestwa Polskiego musiało niemało wpłynąć na ostateczną w tym względzie i już wiadomą decyzyę Stolicy Apostolskiej.

Według ostatnich wiadomości, Wielebni Ojcowie kolegium za wspólnem porozumieniem się i zgodą zrzekli się wszelkiego dyskutowania, a szczególniej głosowania nad wnoszonemi przez prokuratora propozycyami rządu, wiedząc że wszelka opozycya jest niemożebną i tylko wystawia na niebezpieczeństwo każdego mającego odwagę z nią wystąpić. Niech tedy rząd nie proponuje a rozkazuje, co mu się podoba. Lepiej jest pełnić ślepo dane rozkazy, aniżeli przyswajać je sobie na pozór wolnie, a w rzeczy samej mimowolnie i brać za to na siebie odpowiedzialność.

Rząd moskiewski z natury swojej wrogi Kościołowi katolickiemu (kto o tem wątpi, jak niektórzy z wysokich dostojników naszego Kościoła, powtarzający za biskupem Kuziemskim, iż nie ma on zamiarów nieprzyjaźnych temu Kościołowi, ten albo jest złej wiary, albo nic nie rozumie), rząd tedy moskiewski więcej ufa kolegium, aniżeli biskupom, i słusznie. Najprzód jestto jurysdykcya, która nie wyszła z Kościoła, a którą on sam utworzył. W Kościele zatem ona nie jest prawną, a jednak ma władzę. Wszelka zgoła jurysdykcya, mająca byt, już przez to samo dąży do rozszerzania swojej władzy. I kolegium, zbierając u siebie sprawy wszystkich dyecezyj, już samo z własnego popędu zechce być instancyą wyższą od biskupów i nad nimi przewodzić. A cóż gdy jeszcze ma za sobą rząd! A do tego, dzięki powszechnemu upadkowi pobożności, religijnego ducha i bardzo wolnej moralności, sama społeczność katolicka popycha je do tego, ile może. Władza duchowna, pomimo że i w tych rzadkich wypadkach społecznego życia, w których występować musi, aż nadto jest względną i pobłażliwą, dla wielu bywa nie do zniesienia. Opinia liberalna, przewodząca w imię oświaty i wolności, oburza się na takie niewolnicze uleganie księżom, ubliżające godności człowieka XIX wieku, czyli jak w Warszawie piszą, stulecia, i ci, którzy nikczemnie w codziennych stosunkach życia publicznego nie śmieją odezwać się przed byle jaką władzą policyjną i biją czołem przed byle jakim bałwanem, którego wyniosła na piedestal powszechna głupota i zrobiła powagą — ci sami ludzie nie chcą słuchać władzy kościelnej w tem, co do niej należy niewątpliwie. Bywa to najczęściej w sprawach rozwodowych i separacyjnych.

Jakkolwiek dawne to już czasy, kiedy Papież Grzegorz XVI wytknął był to nam, jako jedną z przeważnych przyczyn naszego upadku, nie wiele odtąd zaszło na naszą poprawę i takie miłe sprawy ustawicznie znajdują się na porządku dziennym po wszystkich konsystorzach. Możnaż tu zamilczeć, iż Kościół u nas w takich sprawach często dał dowody prawdziwie grzesznej uległości względom ludzkim i światowym. Ileż to pamiętnych jest tego przykładów! Oto lat temu z dziesięć, mąż zasłużony i wysoko stojący w opinii publicznej, lubiony i szanowany przez wszystkich, bo zawsze chylił czoło przed tą opinią motłochu, po kilkunastu latach pożycia ze swoją żoną i matką kilkorga swoich dzieci, sprzykrzył sobie to pożycie dlatego, że obaczył kobietę, w której kochał się przed kilkunastoma laty i która także potem wyszła za mąż i została matką kilkorga dzieci. I ów szanowny mąż nie był w stanie zapanować nad sobą, by zgasić w swem starem sercu dawną miłość, rozbudzającą się jak ogień przetrwały w próchnie. Nie uważa na to, że staje się ohydnym, nie uważa na to, że jest śmiesznym, rozwodzi się ze swoją żoną, a tamtę prowadzi do rozwodu z jej mężem i wyzyskawszy od Kościoła takie dwa rozwody, osiąga cel swoich życzeń i żeni się z przekwitłym ideałem swojej młodości. Otóż ten mąż pozujący w Warszawie na Henryka VIII, z tą różnicą, że nie ścina swoich żon, bo mu tego nie dozwoli rząd moskiewski, za bardzo jest zasłużonym i szanowanym, iżby wdzięczni ziomkowie nie mieli mu przebaczyć tej jego słabości! Wszakże i król Kazimierz był Wielkim, pomimo swoich nieprawych miłostek. Nasza władza duchowna musiała zadać gwałt swojemu sumieniu i zatwierdzić takie bezprawie. Szczęściem, że przyszło jedno tylko unieważnić małżeństwo, bo drugie należało nie do jego jurysdykcyi, ale do konsystorza luterskiego, który takie rzeczy traktuje z należnem poszanowaniem

różnych uczuć i gustów. Wszakże i w tym jednym wypadku nasze władze duchowne okazały się nazbyt pobłażliwemi. Ale bo też w imieniu świata i dla względów tegoż zanoszono do nich instancye nader silne. Do administratora dyecezyi udała się szanowna deputacya osób znakomitych i wpływowych z całą należną etykietą, zanosząc prośbę, aby raczył mieć wzgląd na godny politowania stan zasłużonego i potrzebnego krajowi męża, z którym nie wiadomo co będzie, w razie jeźli sąd kościelny odmówi swojej sankcyi jego zachceniom, gwałcącym prawa kościelne; sędziowie duchowni, jako niewątpliwie dobrzy Polacy, powinni dla tak przeważnych względów, dla dobra tej społeczności, której sami są członkami i którą pewnie kochają, zadać cokolwiek gwałtu swojemu sumieniu i zawyrokować nie tak, jak żąda prawo i sumienie, ale jak żąda nieprawość i wstawiający się za nią świat. Wszakże to rzecz tak małej wagi! Podobnych spraw bywa u nas bardzo wiele. Władza kościelna aż zanadto miewa dla nich względów i pobłażania, ale i tak nie może wszystkim dogodzić. Otóż ci, którym nieuniewaźniono ich małżeństwa, rozżaleni skarżą się do kolegium i zmuszają go do rozpatrywania ich spraw w wyższej instancyi, rozumie się, poruszając przytem na swoją korzyść i wszelkie uboczne i postronne wpływy. Oprócz rozwodowych i separacyjnych, bywają i inne sprawy. Niejeden ksiądz słusznie skarcony przez swoją władzę, udaje się ze skargą do wyższej instancyi, a najczęściej do władzy świeckiej i takie skargi na mniemane nadużycia władzy opierają się ostatecznie o kolegium. Wszystkie takie zajścia, które wywołuje samaż społeczność, prowadzą do częstych kolizyj między biskupami a kolegium. To ostatnie bowiem zwykle ma słabość więcej ufać własnemu sądowi, aniżeli biskupom dyecezalnym, którzy wprawdzie rozbierają te sprawy na miejscu i z lepszą znajomością i ludzi i rzeczy, ale pewnie nie tak są światli i bezstronni, jak szanowne kolegium mniema o sobie. W razie kolizyi między biskupem dyecezalnym a kolegium, rząd zawsze podtrzymuje to ostatnie, jako instytucyę niewątpliwie wyższą już przez to samo, że on ją ustanowił i sam ją ma za taką. Dzięki takiemu poparciu, wpływowi pojęć, ogarniających pomimowoli w samej atmosferze nadnewskiej stolicy, któremu zapewne nie ulegają umysły wyższe, ale ulegają aż nadto takie, jakich tam właśnie dobierają, i nareszcie ogromnej zarozumiałości, właściwej takim umysłom, szanowne kolegium *per fas et per nefas* drze się do rozkazywania biskupom nawet w sprawach sądownictwa i dyscypliny kościelnej. Ciekawe nader było zajście w jednej takiej sprawie między kolegium a administratorem archidyecezyi warszawskiej, które oparło się aż o Papieża i którego skutkiem było wyraźne ograniczenie atrybucyi kolegium i przyznanie mu, że jest tylko tolerowanem jedynie do spraw administracyjnych. Sprawa ta dość zajmująca, zakończyła się przyznaniem administratorowi archidyecezyi zupełnej słuszności przez Głowę Kościoła, do czego, rozumie się, przychylił się i rząd moskiewski. Ale nie zapomniał on tego, czego nie zapomniało i kolegium, i po upływie pół roku administrator archidyecezyi odebrał podobno surowe napomnienie za takie zuchwałe stawienie się przeciwko najwyższej jurysdykcyi kościelnej z ramienia władzy Jego Carskiej Mości [1]).

[1]) Według innych poważniejszych i pewniejszych informacyj, sprawa ta nie była wcale w Rzymie. Chodziło o separacyę czy rozwód. Od wyroku w tem konsystorza warszawskiego jedna strona założyła apelacyę do kolegium. Admi-

Kolegium jest nadto dla rządu moskiewskiego najlepszą szkółką biskupów. Rozumie się, iż ten rząd wybiera ich ze starannością i oględnością właściwą wszystkim rządom, pragnącym Kościół ujarzmić. Kolegium przeto jest najlepszą próbą dla prałata aspirującego do godności pasterskiej. Jeśli on jest człowiekiem prostym, słuchającym przedewszystkiem głosu prawdy, powinności i sumienia i nie umie sobie dać rady, kiedy jego obowiązki stają na przekor wymaganiom władzy świeckiej, to nie utrzyma się i jako członek kolegium. Wnet go ztamtąd usuną i żeby nie zawadzał i żeby nie dawał złego przykładu w instytucyi, mającej być najpowolniejszem narzędziem władzy świeckiej, ale natomiast człowiek, który pragnie godności tylko i honoru, a nie jakiejś tam nagrody w wieczności, ma w kolegium najlepsze pole do dojścia do nich. Rząd moskiewski, oddać mu trzeba tę sprawiedliwość, umie dobrze wynagradzać oddane mu usługi, tembardziej, że wpośród naszego duchowieństwa nie znajdujc znów wielu takich, którzyby zechcieli zaprzedać mu swą duszę i sumienie.

Zamiarów rządu moskiewskiego względem Kościoła katolickiego w jego państwie odgadnąć nie trudno. Nie myśli on (teraz) o przeciągnieniu go do swojej schyzmy, jak tego obawiają się niektóre umysły zanadto płochliwe, zadające sobie takie naprzykład pytania: co będzie, kiedy biskup taki a taki przyjmie schyzmę? bo nie oprze się z pewnością, kiedy mu każą. Tego nie będzie. Rząd moskiewski, chociażby rad był temu niezmiernie, żadnemu biskupowi tego nie nakaże, raz dlatego, że w takich rzeczach postępuje on systematycznie, a powtóre, że takie odstępstwo częściowe wzmocniłoby szereg pozostałych pasterzy, utwierdziłoby ich opór i utrudniłoby odstępstwo ogólne. To ostatnie tylko mogłoby ten rząd zadowolnić zupełnie. Obecnie jednak o tem on nie myśli, bo wie że to nie podobna, ale chce koniecznie ujarzmić ten Kościół i zapanować nad nim, zgoła we wszystkiem, jak tego chcieli wszyscy despoci na Wschodzie i na Zachodzie, podający mu w tem przykład i jak tego chce u siebie w Niemczech teraźniejszy następca Barbarossy. Zupełne poddanie Kościoła władzy świeckiej, to Kościół już nie powszechny ale państwowy, schyzmatycki, jakim jest teraźniejszy w Niemczech, starokatolicki. Taki Kościół, odpadły od powszechnego, łatwo już będzie przeciągnąć do schyzmy.

Rząd moskiewski nie występuje wprawdzie jawnie, jako wróg papieztwa, ale jest nim i takim był zawsze. Kto tego nie widzi, ten nie ma pojęcia o duchu, dążeniach i całej polityce Moskwy. Moskwa z natury swojej tak jest wrogą papieztwu, jak jest wrogą Polsce; bo jak w pierwszem tak w drugiej widzi swój upadek, jako państwa prawosławnego i zaborczego, a takiem ona pragnie pozostać, chociażby jej przyszło zginąć. Bardzo przeto mylą się ci, którzy wyobrażają sobie, że Moskwa kiedykolwiek ujmie się za Papieżem przeciwko Niemcom i Włochom. Chociażby i nastąpiły jakie kombinacye polityczne, które postawiłyby pierwszą przeciwko drugim i trzecim, czego nie przypuszczamy stanowczo, to i w takim razie nawet Moskwa teraźniejsza nie będzie podtrzymywać Papieża, jak niegdyś podtrzymywała go przeciwko Napoleonowi I. Naprzód cesarz Aleksander II wcale nie jest Aleksandrem I. Powtóre Europa monarchiczna teraźniejsza nie jest taką, jaką była lat temu sześćdziesiąt; potrzecie i co najważniejsza, dwa stronnictwa stojące obecnie przeciw sobie do walki stanowczej były wprawdzie i przedtem, ale dopiero teraz określiły się i uwydatniły zupełnie i zajęły już nie takie jak przedtem stanowisko i już nie tych, co przedtem mają opiekunów i sprzymierzeńców. Moskwa teraźniejsza pojmuje bardzo dobrze, iż obecny upadek władzy świeckiej Papieża przyczynia się niesłychanie do ograniczenia i umniejszenia Jego władzy duchownej; z prawdziwem przeto i nieukrywanem zadowoleniem mówi sobie i wszystkim, że ten upadek jest już stanowczym; gdy zaś robią jej uwagę, że papieztwo przetrwało i większe burze, odpowiada z kłamanem przekonaniem, że inne teraz niż przedtem i czasy i ludzie. Niema już Grzegorzów VII i Innocentych III i ludy teraźniejsze, to już nie ludy z czasów Grzegorza VII i Innocentego III. To wielka prawda, można powiedzieć Moskwie. Ale jeśli inne są teraz czasy i inni ludzie, to Kościół, na który biją wcale inni niźli kiedyś przeciwnicy i wcale w innych niźli kiedyś warunkach, jest zawsze jeden i tenże sam i owi Grzegorz VII i Innocenty III nigdy nie byliby zrobili tak wielkich rzeczy w sprawie innej natury, jak sprawa Kościoła.

Wszelkie układy Moskwy z Rzymem były i są robione w złej wierze, obliczane w celu wyłudzenia coraz nowych ustępstw. Wprawdzie Rzym nie ustępuje nigdy w kwestyach kardynalnych, a tylko w rzeczach drugorzędnych, ale i te Moskwa umie iście z szatańską przebiegłością wyzyskać i przeciw Kościołowi u nas użyć. W takim stanie rzeczy kto ostatecznie wygra? Po ludzku sądząc, przyszłość ukazuje się smutna. Ale trzeba i o tem pamiętać, że Pan Bóg daje wprawdzie złemu możność brojenia, jak mu się podoba, ale czas jego panowania ograniczył i ograniczenie to sobie pozostawił.

Zanim jednak Pan Bóg wyrzecze: dość tego! to wobec teraźniejszych dążeń i zgodnego z niemi postępowania Moskwy, jakże zachowują się nasi pasterze, ci wodzowie naszego Kościoła w całem znaczeniu wojującego? Daj Boże, aby oni byli takimi, jakimi być powinni, jakimi są wreszcie teraźniejsi biskupi niemieccy! Nie mówię tu, rozumie się, o tych, którzy porwani ze swoich katedr, wywiezieni zostali na wygnanie i przyświecają nam przykładami męztwa i poświęcenia. Do takich nie należy wcale ks. biskup Lubelski, na którym tyle budowali nadziei ludzie, którzy dotychczas po nad Pijarów nic lepszego nie widzą. Ks. biskup przy objęciu rządów swojej dyecezyi wydał prześliczny list pasterski, zalecający się rozległą wiadomością agronomii i spraw społecznych, który zapewne admirowaliście jak i my tutaj, ale i na tem był koniec. To też kiedy zerwała się burza na Unię, spodziewana i przewidywana od tych, którym sprawy Kościoła nie są obojętne, wielebny pasterz trzódki osiedlonej w pośród skazanej na zniszczenie Unii jakże się znalazł, kiedy biedni Unici zdradzeni i opuszczeni przez swego pasterza i dygnitarzy swojego

---

nistrator archidyecezyi warszawskiej odmówił wysłania żądanych przez to kolegium aktów procesu, nie uznając tej nowej sądowej instancyi. Powstał o to spór, w którym nominalny, jak powiedziano wyżej, prezes kolegium apelował nie do Papieża, ale do władzy świeckiej, mianowicie ministra spraw wewnętrznych. W takim stanie rzeczy nadeszła w porę z Rzymu odezwa kardynała sekretarza stanu, w skutek prowadzonej oddawna negocyacyi rządu moskiewskiego ze Stolicą Apostolską, oznajmująca ostatnią decyzyę Ojca Świętego co do rzeczonego kolegium i określająca wyraźnie dozwolone mu atrybucye. Poczem rząd moskiewski był zmuszonym do zaprzeczenia kolegium roszczonej przez niego władzy sądowej; ale jak powiedziałem, nie zapomniał tego co zrobił poniewolnie.

Kościoła, zwrócili błagalny wzrok na duchowieństwo łacińskie? Oto przedewszystkiem wydał okólnik, nakazujący duchowieństwu, by nie przyjmowali Unitów, chcących przechodzić na obrządek łaciński i poparł to przytoczeniem bull papiezkich, wzbraniających takiego przechodzenia. To bardzo dobrze, ale kiedy sprawa z ludem ciemnym a jeszcze bałamuconym przez ludzi złych i przewrotnych, należało ten swój zakaz i te bulle papiezkie, na jakich on opierał się, opatrzeć właściwem objaśnieniem, które nawet jest niezbędnem, bo zakaz Stolicy Apostolskiej obowiązuje przez wieki, a okoliczności, w których on działa, z czasem bardzo się zmieniają. Otóż wypadało powiedzieć jasno: Nie wolno wam Unici porzucać swojego obrządku dlatego, że idzie o to, iżby Unia trwała. Papież wie co robi. Kościół obrządku ruskiego, to wysunięty naprzód szaniec, a Kościół obrządku łacińskiego, to ostatnia warownia. Nie wolno wam porzucać swego szańca dlatego, że w nim zaczyna być gorąco, a chronić się do warowni. Raczej zginąć na swojem stanowisku, bo inaczej jakże się ostoi Kościół? A cóż będzie, kiedy nieprzyjaciel podstąpi i pod warownię? To i z niej ustąpić? A dokąd? Czy wy myślicie, że Pan Bóg zeszle wojska anielskie na naszą obronę, albo razporaz będzie sam zstępował na ten świat łajdacki, aby ukręcić łeb złemu? On już raz to zrobił i tego dość na wszystkie czasy. A więc trwać mężnie, pełnić tylko ściśle, co On przykazał, a zaprawdę to wystarczy. I Kościół nie zaginie i Unia nie zaginie!

Powie kto, że tak mówić lub pisać rząd nie pozwoli. Jeżeli tak, jeżeli biskup ma tylko to mówić i pisać, na co mu rząd pozwoli, to niema o czem i rozprawiać. Niechaj siedzi cicho, a będzie spokojnie pobierał nietylko swoją pensyę, ale i gratyfikacye i ordery i będzie go całował w rękę nietylko gubernator, ale i sam Wielki kniaź.

Następnie Najprzewielebniejszy pasterz zalecił okólnikiem swojemu duchowieństwu nie udzielać Unitom sakramentów. Tego zakazu nie mógł on już poprzeć żadną bullą papiezką i zdaje mi się, że był on bardzo niekanonicznym. Kto wie, czy nie ściągnął na siebie nawet surowej nagany Papieża, która jeśli miała miejsce, musi, rozumie się, być trzymaną w sekrecie. Ale to gorzej, że ów gorszący zakaz nie został odwołanym, choćby w sekrecie, kiedy nie staje odwagi działać jawnie i to komuż? biskupowi; bo księża w dyecezyi lubelskiej, jak tylko przychodzi im spowiadać nieznajomego, biorą go na śledztwo, czy też rzeczywiście jest on katolikiem obrządku łacińskiego, a nie, broń Boże, ukrytym unitą. Przyznam się, że taka gorsząca indagacya nieszczególnie usposabia biednego grzesznika, przystępującego do spowiedzi. Stawi mu ona piękny przykład do naśladowania, jak potrzeba mężnie walczyć z pokusami i nagabaniami świata, jak należy słuchać przedewszystkiem Chrystusa i ważyć wszystko, gardzić wszystkiem dla Chrystusa [1]).

[1]) Oba pomienione okólniki ks. biskupa Lubelskiego, których rząd moskiewski nie omieszkał natychmiast podać do wiadomości publicznej w pismach czasowych podlegają ścisłej krytyce, albowiem wydane zostały na wyraźny rozkaz gubernatora lubelskiego i po zredagowaniu przez ks. biskupa były przejrzane, poprawione i ostatecznie zatwierdzone przez gubernatora. Zachodzi przeto pytanie, czyli przywiedzione w nich postanowienia bull papiezkich są wierne? To wiadomo, iż ks. Baranowski podpisał, co mu podpisać kazano. Ten nieszczęśliwy pasterz naciśnięty rozkazami gubernatora, jak ów generał, któremu

Może Najprzewielebniejszy pasterz dyecezyi lubelskiej w swojej przezorności stawia sobie za wzór Klemensa XIV i powiada sobie: Unii już nikt nie uratuje. Trzeba ją poświęcić, tak jak ów Papież poświęcił Jezuitów, aby ocalić resztę. Na to możnaby powiedzieć, że kto sięga po naukę do historyi, powinien ją badać pilnie i obrany przez siebie przykład do naśladowania obejrzeć dobrze ze wszystkich stron, a szczególniej zbadać, jakie też ów przykład pociągnął za sobą następstwa? Słowem kierując się nie prostem poczuciem obowiązku, a rozumem, trzeba dobrze się zastanowić i dobrze wszystko wyrozumować, aby sprawy nie pogorszyć.

Ks. biskup Lubelski jest w łaskach u rządu i świeżo otrzymał tysiąc rubli gratyfikacyi na podróż dla poratowania nadwątlonego pracami pasterskiemi zdrowia, którą przedsięwziął nie za granicę (tam jechać podobno nie chciał), ale do Ojcowa. Słowem szanowny ten pasterz upadł bardzo w opinii swoich dyecezyan, co spostrzegłszy, uzbroił się w obojętność, dając wszystkim do zrozumienia: Nie dbam ja o was i wiem co robię. Któż wam kiedykolwiek dogodził? Komuż z mężów najbardziej zasłużonych anarchicznej od wieków Polsce, czy to duchownych czy świeckich, głupia jej opinia publiczna nie włożyła cierniowej na głowę korony? Kogoż ona nie prześladowała, a oddawała sprawiedliwość dopiero w męczeństwie lub na grobie! Nie byłże pod klątwą tej baraniej opinii i margrabia Wielopolski i arcybiskup Feliński i biskup Borowski i biskup Łubieński? Jest w tem część prawdy, ale niech szanowny biskup Lubelski nie równa się ani z Felińskim ani z Borowskim ani z Łubieńskim, bo żaden z tych nie wykroczył przeciwko swoim obowiązkom pasterskim, a ks. Baranowski wziął na siebie ciężką odpowiedzialność przez odepchnięcie od śś. Sakramentów i pociech duchownych tylu unitów i popchnięcie tem wielu z nich do schyzmy. Agenci rządu moskiewskiego nie omieszkali wyzyskać jak należy tego nader dyplomatycznego zachowania się pasterza. „Widzicie — odezwali się do ludu — Kościół katolicki was odpycha! Nawróćcie się tedy szczerze do Cerkwi prawosławnej, ta wami nietylko nie gardzi, ale otwiera wam swoje objęcia! Nie lepiejże być z nami, niż trzymać się tych Lachów, którzy sami was od siebie odtrącają“?

Ks. Popiel wrócił tedy z wygnania, i jak wiecie już z gazet, objął rządy dyecezyi kujawsko-kaliskiej. Rozpuszczono tu, nie wiedzieć na czem oparte słuchy, o przeniesieniu katedry biskupiej z Włocławka do Kalisza. Ks. Popiel

w chwili stanowczej braknie decyzyi i który w takim razie zwołuje radę wojenną, aby zwalić na nią własną odpowiedzialność, zebrał także na radę swoją kapitułę, przedłożył jej otrzymane rozkazy i wnosił podobno, aby stawić opór władzy świeckiej, wiedząc dobrze, iż znajdzie się wielu, którzy go od tego powstrzymają. Jakoż zebrana rada, jak wszystkie rady, rozdzieliła się w zdaniach. Jedni byli za obstawaniem mężnie przy prawach Kościoła, drudzy powiedzieli na to, że opór taki nie posłuży do niczego. Stracimy tylko pasterza, którego wywiozą jak wywieźli innych; na jego miejsce postawią kogo z nas, by go spotkał tenże los, albo co jeszcze gorzej, narzucą nam jakiego intruza, który zacznie rządzić nami Bóg wie po jakiemu. Powstanie zamęt w Kościele i trudno przewidzieć, jakie tego będą następstwa. Lepiej tedy uledz. Takie zdanie przemogło i ks. Baranowski przychylił się do niego chętnie czy niechętnie, o tem zapewne sam on tylko wie.

zapewnił, że nie było o tem ani mowy. Przez kilka dni, jakie zabawił tu w Warszawie, wróciwszy ze wsi, gdzie pospieszył naprzód obaczyć brata i rodzinę, udzielał on tylko Sakramentu Bierzmowania, ale jak łatwo się domyśleć, nie przemawiał nigdzie do ludu. Przyjmowano go z zapałem, który sam on miarkował uwagą, że na to patrzą.

Jednocześnie też przybył tu i dyrektor Wydziału obcych wyznań religijnych, hr. Sievers. P. hrabia zwiedzał przedewszystkiem seminarya i rozumie się, zwrócił swoją uwagę na zaprowadzenie w nich jako rzeczy najpotrzebniejszej, nauki języka rossyjskiego, która też obecnie ma być zaprowadzoną. Biskupi zamierzają podobno domagać się, by wyznaczani do tego przedmiotu nauczyciele świeccy byli brani z pomiędzy katolików. Żądanie próżne. W seminaryach będzie z pewnością tak samo, jak i w szkołach świeckich, w których język i literaturę ruską wykładają wyłącznie Moskale. Sprowadzają do tego z całej Moskwy wszystkich łotrów i pijaków, nie mających co robić we własnym kraju i dają im i zapomogi na podróż i przenosiny i dobre pensye i skrócony termin do emerytury, iżby tylko prowadzili zamierzone wielkie i zbawienne dzieło wynarodowienia. Niechaj wraz z tak zwaną nauką, krzewią i swoje zepsucie; nic to nie szkodzi, owszem pomaga widokom w Polsce moskiewskiego rządu. I ten ruski język w seminaryach, to, jak sądzę, dopiero początek zamierzonej ich reformy i zbliżenia o ile możności do szkół świeckich już zreformowanych, o których pozostawiam sobie rozpisać się obszerniej w następnych korespondencyach. Za rossyjskim językiem zapewne wprowadzone będą wykłady historyi powszechnej i rossyjskiej razem z polską w celu zupełnego przekręcenia i sfałszowania tej ostatniej; te wykłady będą w języku rossyjskim i do nich powołani będą nauczyciele świeccy i wyłącznie Moskale. Pytanie, czy jeszcze rząd następnie nie przyswoi sobie prawa wglądania do wykładu w seminaryach tych nauk świeckich, które w nich zaprowadzi, to jest czyli nie upoważni swoich urzędników oświecenia publicznego Moskali, Niemców, Żydów i bezwyznaniowców do wizytowania i seminaryów katolickich, podobnież jak i szkół prywatnych i do wtrącania się i tam jak gdzieindziej do wszystkiego i co do nich należy i co do nich nie należy? Ciekawa rzecz, co na to wszystko powiedzą biskupi?

Rząd moskiewski, który już od lat dziesięciu reformuje wszystko w tym nieszczęśliwym kraju, weźmie się teraz bezwątpienia do reformy w swoich widokach seminaryów duchownych. Tymczasem przygląda się teraz uważnie temu wszystkiemu, co robi rząd cesarski w Niemczech z Kościołem katolickim; w takich bowiem sprawach nadzwyczaj on lubi brać przykład z Zachodu. Wszak wszystko zresztą, co od czasu rozbioru Polski dokonała Moskwa na szkodę Kościoła katolickiego w krajach przez siebie zabranych, robiła według tego, co pierwej zrobiono z Kościołem w Europie zachodniej, szczególniej we Francyi. Kochana Moskwa we wszystkiem co jej dogadza, modeluje się na wzór oświeconej Europy. Dawniej zapatrywała się na rządy Napoleońskie i Burbońskie, jak to sobie poczynać z Kościołem, zrobić go sobie posłusznym a nawet oświecać i musztrować po swojemu. Teraz zapatruje się w tem na swego starego kuma i aljanta, którego jeszcze więcej kocha i szacuje, odkąd stał się tak potężnym. I to przyznać należy, że Moskwa jak chłop naśladujący pana w jego samowoli, pewnym chłopskim instynktem łamuje się w swoich zapędach i nie doprowadza jak tamten rzeczy do ostateczności. Czuje ona,

że w takich zawikłaniach, z których wyjść potrafi mocarz wielki i biegły w sztuce panowania, jak Napoleon albo monarcha z dziadów i pradziadów, jak Burbon, który ma na to rozum dziedziczny, jej despotyzm barbarzyński i nieumiejętny może potknąć się szkaradnie. Dlatego w ograniczeniach i ścieśnieniach Kościoła widzimy tu niekiedy pewne umiarkowanie, ale nigdy nic nowego. Na to nie starczy rozumu moskiewskiego, który umie tylko naśladować. Wszystkie przeto wdzierania się rządu do spraw kościelnych, jakie mają miejsce u nas, miały już lub obecnie mają miejsce w Europie. Może tam w krajach katolickich i przy większej legalności i panowaniu prawa, a nie jak tu anarchii i bezprawia, nie miało to podobnej jak tu doniosłości i szkody, ale zawsze było toż samo.

W Płocku hr. Sievers zebrał kapitułę i miał do niej mowę po łacinie, w której oznajmił osierocenie katedry biskupiej przez mianowanie rozkazem najwyższym ks. Popiela biskupem kujawsko-kaliskim i w skutek tego wezwał do wybrania na mocy przepisów kościelnych administratora dyecezyi. „Wybierzcie, rzekł pan hrabia, z pomiędzy siebie męża, któryby posiadał zupełne zaufanie nietylko w Kościele, ale i u rządu (to jest, rozumie się, żeby dobrym był dla samego rządu, bo ten rząd z Kościołem rzadko bardzo bywa w zgodzie). Takiego pożądanego męża nie potrzeba wam długo szukać. Macie go w pośrodku siebie. Jest nim ks. biskup Gintowt. Najjaśniejszy Pan mianował go biskupem i pokłada w nim najzupełniejszą ufność, której on, spodziewam się, nie zawiedzie". W całej zresztą mowie nie było ani wzmianki o Papieżu, jakby jego władza była ignorowaną. Wybór ten nakazany jest wreszcie próżną formalnością; spodziewać się bowiem można z pewnością, że już zażądano w Rzymie nominacyi ks. Gintowta na biskupa płockiego i że z tą nominacyą Rzym, nie mając nic przeciwko niej, zwlekać nie będzie [1]).

Na zakończenie z bieżących spraw podaję jedną. Oto kiedy lat temu jedenaście wyszedł najwyższy ukaz, znoszący u nas klasztory, funkcyonujący naówczas dla udobrodziejstwowania tego kraju komitet urządzający nie omieszkał na zasadzie tego postanowienia pozostawionym nadal klasztorom pod tytułem etatowych, pozabierać pewne posiadłości, jako, zdaniem rzeczonego komitetu dla nich zbyteczne. Wtedy i pozostały w Warszawie klasztor Sakramentek utracił część swoich zabudowań, które dostały się zarządowi oświecenia publicznego a ten umieścił w nich progimnazyum żeńskie. Teraz po upływie lat dziesięciu zarząd ów umyślił zabrać pomienionemu klasztorowi i pozostały mu dziedziniec. W skutek czego bez żadnych ceremonij zeszła na miejsce delegacya od kuratora okręgu naukowego, gubernatora i miasta w celu oznaczenia granicy postanowionego zaboru. Zagrożone zakonnice wywłaszczeniem ich z dziedzińca, bez którego klasztor ich nie mógłby egzystować, udały się z prośbą do administratora archidyecezyi i ten przedstawił całą rzecz generał-gubernatorowi hr. Kotzebue. Spodziewać się należy, iż klasztor utrzyma się przy swojem, bo pan generał-gubernator, należy mu oddać sprawiedliwość, w sprawach, w których nie jest związany rozkazami z góry i w których może decydować sam lub przedstawiać swoją decyzyę do zatwierdzenia władzy najwyż-

[1]) Doniesiono mi później, że hr. Sievers w swojej mowie kładł wielki nacisk na Kościół, a nie wspomniał ani słowem o Głowie tego Kościoła. To daje do myślenia. — (Hr. Sievers jest lutrem. Przyp. Red.)

szej, umie być sprawiedliwym i naprawił niejedno złe, pozostałe po jego poprzedniku. Największą i najdonioślejszą naprawą takiego rodzaju było niewątpliwie to, iż wypędził byłego dyrektora kancelaryi byłego namiestnika. Ten upadły Sejan przebywa obecnie w Warszawie, licząc, jak pisze o nim jedna z gazet petersburgskich, swoje zebrane na urzędowaniu dostatki. Obleczony godnością senatora i powszechną wzgardą i obcych i swoich, przypomina się jednym i drugim, rozbijając bruki warszawskie swoim powozem odkrytym, w którym ukazuje się wszystkim ze swoją zestarzałą metresą.

Dość na ten raz. Niech i to wydrukują i czytają, byle z uwagą; bo co się tu pisze, to wiarą a prawdą. K. M.

25 Października 1875.

PRZEGLĄD NAUKOWO-LITERACKI
i
Notatki bibliograficzne.

Fałszowanie historyi przez protestantów — *Marya Stuart* Szyllera i Słowackiego — Nowe historyczne badania — *Marie Stuart par M. Chautelause* — Łabanów — Wiesener — Jule Gauthier — Hosack — Ks. Skarga o Maryi Stuart — Ostatnie chwile — Bourgoing — Amyas Paulet — O. Morris *S. J.* — *Our Catholic Forefathers* — Pamiętniki O. Gerarda — O. Weston — Elżbieta — Czyny protestantów a wiek XIX — Podrobienie aktów procesu — Pani de Maintenon — Książę de Noailles — Dr. Allen i seminarya — Walsingham — Sesye na zamku Fotheringay — Hrabia Kent o Maryi Stuart. — Dr. Antoni Małecki i *Przewodnik naukowy i literacki.*

Jeden z najgłębszych myślicieli naszego wieku słusznie się wyraził, że od czasów reformacyi „historya stała się ciągłą i wytrwałą konspiracyą przeciw prawdzie". Spisywano dzieje w duchu nowożytnego kacerstwa, naginając wypadki i postacie historyczne według namiętności współczesnych, nie troszcząc się o rzeczywistość i słuszność przywiedzionych a raczej przekręconych faktów, ani o wierność rysowanych portretów i charakterystyki. Dziś dopiero, w tym XIX wieku, który w ogóle ani prawdzie ani sprawiedliwości nie hołduje, na jednem przynajmniej polu historycznych badań obudziła się pewna sumienność i razporaz ściślejsze dociekania, przedzierając się z umysłu przez protestantów nagromadzone fałsze i cienie, przedstawiają nam w prawdziwem świetle promienne postacie przeszłości. Powoli, bardzo powoli walą się fałszywe bożyszcza, stawiane na glinianych podstawach przez fanatycznych apostołów buntu przeciw odwiecznej, katolickiej prawdzie, a wśród gruzów na nowo się podnoszą rzeczywiste bohaterstwa i zasługi. Głębsze i szlachetniejsze umysły z upodobaniem chwytają się tego dzieła naprawy i rehabilitacyi, a szukanie prawdy historycznej nieraz ich doprowadza do znalezienia nadto i prawdy wiekuistej. Tak pewna i niezmierna czeka zawsze nagroda szczerą i uczciwą w tym kierunku pracę.

Wśród takich postaci z umysłu przyćmionych szkalowaniami fanatycznych przeciwników współczesnych, żadna może tak przeróżnych nie doznała losów, jak piękna, nieszczęśliwa Szkotów królowa, Marya Stuart. Nienawiść zabiegliwa zazdrosnej rywalki nie przestała i po śmierci jej ścigać, gromadząc pilnie najniesłuszniejsze oskarżenia, niszcząc starannie wszelkie uniewinniające świadectwa. Powoli zniknęła niepowrotnie prawdziwa, historyczna postać Maryi Stuart, a natomiast powstała jakaś fantastyczna bohaterka ludzkich namiętności, tak różna od oryginału, jak utwór chorobliwej wyobraźni bywa różnym od spiżowej prawdy dziejowej.. Przestaliśmy znać historyczną Maryę Stuart, przestaliśmy o nią pytać roczników przeszłości, na wiarę przyjmując bohaterkę Szyllera, ba nawet i Słowackiego i rozczulając się nad romansowemi dziejami, w których wspaniała postać Maryi Stuart zmalała aż do poziomu nikczemnych niewieścich słabości. Szyller choć nie katolik, jednak polotem wyższego gieniuszu, przeczuł pewną w niej wielkość i choć jej nie zrozumiał całkowicie, ani się troszczył o historyczną akuratność, niemniej przedstawił ją nam szlachetną i podniosłą. Ależ Słowacki co z niej zrobił! obdarł ją nielitościwie z wszelkiej wyższości, a bezmyślnie powtarzając oskarżenia przeciwników i wrogów pięknej królowej, najszkaradniejszemi zbrodniami usiłuje w szczególny sposób zainteresować publiczność. Niestety! utwory wyobraźni więcej bywają czytane od sumiennych prac dziejowych! *Marya Stuart* Schyllera i Słowackiego przez długi czas pozostanie w pamięci ogółu, mimo że świeże badania wcale w innem przedstawiają nam ją świetle. Jak za życia nieszczęśliwa ta pani obok zaciekłych przeciwników liczyła wielu oddanych i pełnych poświęcenia sług i wielbicieli, tak i w kilka wieków po jej śmierci znalazło się grono sumiennych badaczy, którzy raz tknąwszy się jej dziejów, zakochali się w jej uroczej postaci i z prawdziwą miłością podjęli się mozolnej roboty oczyszczenia jej pamięci z niesłusznych zarzutów, jakiemi ją nieprzyjaciele katolickiego Kościoła obrzucili. Dość tu przytoczyć tak poważne nazwiska, jak księcia Łabanowa, Wiesener'a, Jul. Gauthier, Hosack'a, a teraz i Chautelause'a. Pomijając uprawnione zwyczajem sądy, czerpane z wyłącznie protestanckich źródeł, udali się oni głębiej, korzystając

pełnemi rękoma z archiwów państwowych, z niepodejrzanych świadectw współczesnych, które jak głos Piotrowina[1]), zagrobowe podnoszą protestacye, przeciw fałszom i kłamstwom, z których w owym czasie budowano historyę, aby ją przedzierzgnąć na *politicae ancilla*. Nareszcie rozproszono ciemne obłoki, przesłaniające dzieje królowej Szkotów, i mamy sposobność oczywistego przekonania się, iż nasz Skarga się nie pomylił, umieszczając jej życie przy końcu swych *Żywotów śś.* gdzie, jako męczennicy za wiarę, słusznie należało jej się miejsce.

---

[1]) Niestety! pewna szkoła powstałych u nas niedawno historyków, pozbawiająca św. Stanisława, biskupa krakowskiego, aureoli świętości i robiąca zeń zwykłego buntownika, występującego przeciwko majestatowi władzy królewskiej, zaprzeczyła zarazem przez wieki i Kościół uznanemu za prawdę podaniu, o wskrzeszeniu Piotrowina przez świętego biskupa. W pomoc takiego rodzaju historykom przybył w ostatnich czasach — ktoby się tego spodziewał! — Dr. Ant. Małecki, W jego „Rozglądzie w dziejach", umieszczonym w ostatnim zeszycie *Przewodnika naukowego i literackieyo* na str. 1002 czytamy co następuje: „Gdyby to była prawda, że Piotrowin został z grobu wskrzeszony w taki sposób, jak to opowiada legenda, a Bolesław mimo tego śmiał prześladować dalej Stanisława św., w takim razie byłby on rzeczywiście takim zapamiętalcem. Ale czy to może być prawda? Czy nie musiałby drżeć każdy śmiertelnik na sam widok cudotworcy takiego? Prawdy w tej powieści będzie tyle, że Stanisław z Szczepanowa kupił wieś od szlachcica, który potem przepadł bez wieści tak, iż powszechnie przypuszczano, że już nie żyje. Kiedy przynależni do rodu tego szlachcica krewni, bez których przyzwolenia wieś ta została sprzedaną, mając według obyczaju tamtoczesnego wszelkie prawo do tego, zażądali tej wsi dla siebie: wytoczyła się sprawa przed sądy królewskie. Biskup odszukał (*sic*) człowieka, który za umarłego uchodził (nie przeszkadza to jednak p. Małeckiemu zacytować słów Kadłubka: „*a mortuis suscitavit*", co ma widocznie znaczyć: odszukał człowieka, który za umarłego uchodził) i postawił go na świadka, jako od niego wieś kupił"...

Najważniejszym więc argumentem Dr. Małeckiego do zadania kłamu podaniu jest, że gdyby święty Stanisław rzeczywiście był wskrzesił Piotrowina, to w takim razie „musiałby drżeć każdy śmiertelnik na sam widok cudotworcy takiego", co ma znaczyć, że Bolesław Śmiały nie byłby się nigdy poważył zamordować świętego biskupa.

Takiej samej argumentacyi użyli Strauss i Renan, zaprzeczając bóstwa Chrystusowi Panu. Gdyby mędrzec z Judei, woła pierwszy, rzeczywiście robił cuda, o jakich mówi Ewangelia, czyżby starsi i przełożeni żydowscy odważyli się skazać go na śmierć sromotną?

Ciekawa rzecz, czy takiego rodzaju Straussowe gadaniny przysporzą chwały Dr. Małeckiemu? Dotychczas, czcząc jego naukę, szanowaliśmy w nim zarazem bądźcobądź męża katolickiego. Żal nam uczonego akademika, że się puścił na pole czczych hipotez, które i nauce jego i jego katolicyzmowi niemałą przynoszą ujmę!

Tak jest, Marya Stuart jest ofiarą nie tyle polityczną co religijną; prześladowano w niej przedewszystkiem owo katolickie piętno, jakiemu wierną pozostawała. Przeciwstawiano ją jako królowę katolików, królowej protestantów Elżbiecie. Nazwisko jej było hasłem, sztandarem, w około którego kupiły się szeregi prześladowanych, a zarazem streszczały ich nadzieje. Wiedziała o tem dobrze szlachetna ta pani i jeżeli co mogło osłodzić srogą dwudziestoletnią niewolę, to właśnie owa myśl, że cierpi dla wiary św. i dla tej wiary i wierności Kościołowi swe życie położy. Dlatego wciąż widzimy w niej tak niespożytą odwagę, jednym tylko zatrutą niepokojem, aby jej nagle i podstępnie nie sprzątnięto z tego świata, rzucając na nią cień samobójstwa i odejmując jej przez to sposobność świadczenia publicznie w ostatniej chwili o swej stałości w wierze i gotowości oddania życia za prawdę. Trudno sobie wystawić straszliwszą katuszę, nad tę myśl, tę obawę dniem i nocą dręczącą umysł nieszczęsnej, zresztą tak pogodnej, mężnej! Przykład tajemniczego zgładzenia króla Ryszarda II na zamku Pontefract męczył ją jak zmora, ale zawsze z tej jedynie wzniosłej pobudki, aby jej nie odjęto okazyi uczynienia w obec wielu ofiary z swego życia dla miłości Boga i rzymskiego Kościoła.

Inni już oczyścili postać królowej Szkotów z niesłusznych szkalowań historyków i deidów reformacyi — i wyszła bez skazy z próby ognia, czyli z sumiennych dociekań badaczy. Wiemy teraz co trzymać o morderstwie Darnley'a i Riccia o gwałtach Bothwella, o mniemanych zamachach na życie Elżbiety i angielską koronę. Pan Chautelause, nie oglądając się na gruntownie już opracowaną część życia Maryi, wyłącznie się zajął procesem, który zakończył 20letnią niewolę i ograniczył swą pracę do siedmiu ostatnich miesięcy życia nieszczęśliwej królowej, wyzyskując umiejętnie cenne a nowe dokumenta, jakie po raz pierwszy ujrzały światło dzienne i zużytkować się dały w sumiennem opowiadaniu. Ciekawą stroną owych nowoodkrytych skarbów jest nadzwyczajna ich zgodność, uzupełnianie się wzajemne, mimo odcieni i różnic płynących z samejże natury rzeczy i pochodzenia z dwóch przeciwnych obozów. Z jednej strony p. Chautelause nader fortunnie odnalazł dzienniczek samegoż lekarza Maryi Stuart, Francuza Bourgoing, który w codziennych zapiskach przechował nam wierny obraz ostatnich miesięcy żywota nieszczęśliwej męczennicy. Manuskrypt ten przechowany w Cluny, dotąd powszechnie był nieznanym, mimo niezaprzeczonej autentyczności i wagi. Dziwnym zbiegiem okoliczności, odkryto go niemal jedno-

cześnie z ogłoszeniem w Londynie korespondencyi okrutnego stróża więzienia Maryi Stuart, Amyasa Paulet, odnoszącej się do identycznie tej samej epoki, co dziennik Bourgoing'a. Publikacyi tej podjął się zasłużony Ojciec Morris, z towarzystwa Jezusowego, który tak ważne oddaje usługi dziejom męczeńskim katolickiej Anglii. Wydaje on seryami skrzętnie przezeń zbierane pamiątki z czasów prześladowania i walki, bijografie niektórych wybitniejszych apostołów, ciekawe dokumenta odnalezione w archiwach domowych. Publikacye te p. t. *Our Chatholic Forefathers* wiele mogą wpłynąć na zwrót tegoczesnych Anglików ku prawowitej wierze, zagrzewając ich do ofiar najwznioślejszemi przykładami. Z pierwszej części owego dzieła, ustęp zawierający pamiętnik Ojca Gerarda doczekał się polskiego tłómaczenia. W bieżącym roku Ojciec Morris znów poświęcił całą obszerną księgę cierpieniom za wiarę Ojca Weston, który siedmnaście lat przepędził w srogiem więzieniu i upadkowi nieszczęśliwego Tyrrella, który nie dotrwał na kapłańskiem stanowisku i dał się przeciągnąć w obóz kacerzy. Jak się dowiadujemy, gotuje się obecnie w Poznańskiem tłómaczenie głównych ustępów tego szacownego dzieła, pod tylu względami podającego ciągłe porównania z Bismarkowskiem prześladowaniem.

Ogłoszenie korespondencyi Pauleta rzuca nowe światło na ciemne więzienie ponurego zamku Fotheringay. Teraz dopiero dane nam jest przeniknąć całą ohydę sieci, w jakich nieprzyjaciele usiłowali nieszczęśliwą uwikłać ofiarę. Poznajemy całą podłość środków zużytkowanych przez Elżbietę i godne jej narzędzia, Walsinghama i Burleigh'a, te zasadzki na dobrą wiarę Maryi Stuart, te ciągłe sidła zastawiane w około, aby ją niebacznie zgubić słowem i krokiem; te nikczemne sposoby podłych prowokacyj, nieustanne usiłowania aby i ją i niewinnych jej przyjaciół wplątać w mniemane spiski królobójcze. Odsłania nam się także w całej szkaradzie charakter Elżbiety, tej dziewiczej królowej, którą protestantyzm wyniósł na monarszy ideał, a która zda się być prototypem rossyjskiej Katarzyny, tylko jeszcze dzikszym. Nemezis historyczna, zachowując od zniszczenia dokumenta i poufne papiery, zdradza tajniki nikczemnej srogości godnej córy Henryka VIII i Anny Boleyn. Mamy tu hipokryzye obok obrzydliwej chciwości, ciągłe udawanie wspaniałomyślnych zamiarów, przyswajanie sobie roli niewinnej ofiary, obok zaiste nieludzkiego, nie kobiecego okrucieństwa. Kiedy skutkiem rzeczywiście szatańskich machinacyj i środków prowokacyjnych, wymyślono spisek na życie Elżbiety i wplątano weń kwiat młodzieży angielskiej Babingtona,

Titchborna i innych, nęcąc ich nadzieją odbicia z niewoli pięknej Szkotów królowej, ażeby zarazem i ich i ją zgubić, podstępnie nastawione sidła wnet liczne pochwyciły ofiary. Elżbieta z zawziętością domagała się kary i zemsty, a gdy sąd wydał ostateczny wyrok skazujący Babingtona i spólników na śmierć przez męki posunięte do ostatnich granic tego, co człowiek wytrzymać może i motłoch nawet szemrał na podobne znęcanie się nad ofiarami, Elżbieta uniosła się szalonym gniewem, wymawiając sędziom zbytnią ich łaskawość!! Później widzimy ją okradającą po prostu Maryę Stuart z ostatnich kosztowności, targującą się o utrzymanie więzienne nieszczęsnej królowej. Dalej po kilka razy wyrzeka, że jej nikt nie ułatwia sposobu pozbycia się niewygodnej rywalki, że żaden z poddanych nie zgładzi jej potajemnie. Legalny wyrok śmierci zwalał na barki Elżbiety cały ciężar odpowiedzialności wobec Europy i potomności, ona pragnęła, aby ją nóż morderczy lub trucizna zgrabnie podana od owej odpowiedzialności uwolniła. Czytamy czarno na białem podobne propozycye uczynione Pauletowi, który aczkolwiek człek srogi i fanatyczny purytanin, czuje się obrażonym w swym szlacheckim honorze i z oburzeniem odrzuca samą myśl zabójstwa, chociaż przez cały czas sprawowania urzędu nie przestawał domagać się przyspieszenia legalnego wyroku śmierci.

Już to owi reformatorzy, którzy twierdzili, że obyczaje skażone naprawiają i Kościół oczyścić z naleciałości obcych zamierzają, nie cofali się przed żadną zbrodnią i żadną nikczemnością. Nie przebierali w środkach, gdy chodziło o dopięcie celu wskazanego fanatyczną zawziętością lub dworactwem. Nieraz z zadziwieniem przychodzi pomyśleć, że to przecież czasy od nas nie tak odległe, że to epoka słynąca z oświaty i rozwoju literatury w Anglii, że to mniemany wiek złoty Albionu. Pomijając już srogości i okrucieństwa iście barbarzyńskie, rozpruwanie wnętrzności, katowanie ciał na pół żywych, za wyznawanie prześladowanej religii, spostrzegamy tak nikczemne podłości w rządzących, widzimy ich poniżających się do używania tak niegodziwych środków, że doprawdy osławiony nasz wiek XIX nie tak łatwo mógłby się do nich posunąć. Dziś bowiem podobnie tajemne knowania, podstępne gry o wiele bywają trudniejsze ze względu na rozgłos towarzyszący każdemu wypadkowi i podziemnym nawet działaniom. Co powiedzieć np. o sztuce użytej przez protestantów niejednokrotnie, celem zgubienia upatrzonych ofiar swych nienawiści, a zależącej na przerabianiu i fałszowaniu korespondencyi i dokumentów! Praca p. Chautelause obznajamia nas jawnie z tym

fortelem. Akta odnośne do procesu Maryi Stuart, listy do niej lub przez nią pisane, a mające udowodnić spiski i zbrodnie, o jakie ją oskarżano, po większej części są podrobione i to z umiejętną przebiegłością. Albowiem nigdy się nie uciekano do wymyślenia całkowitego listu, ale chwytając chytrze istniejące już korespondencye, w których najzjadliwsze oko nie umiałoby śladu winy upatrzeć, zręcznie interpolowano zgubne dodatki, zmieniające wręcz całe znaczenie i doniosłość myśli na niekorzyść oskarżonych. Takie interpolacye głównie się uwydatniają w procesie Babingtona, gdzie gwałtem usiłowano przekonać Maryę o udział w spisku przeciw Elżbiecie. Nie rzadkie to bywało w rękach protestanckich narzędzie. Tegoż samego później użyli oni sposobu, aby zgubić dobrą sławę pośmiertną zacnej pani de Maintenon. Mszcząc się za jej cnoty i pobożny wpływ na sędziwego króla, protestanci powierzyli wydanie jej poufnej korespondencyi Holendrowi La Beaumelle, który z szatańską przebiegłością wkręcił własne i dowolne interpolacye w listy poważnej matrony. Łatwowierny wiek XVIII przyjął bez krytyki owe wydanie i ztąd urosły owe kalumnie co do moralnych zasad i hipokryzyi pani de Maintenon, co do jej roli w pamiętnej rewokacyi edyktu Nantejskiego i t. d. Dzięki sumiennym poszukiwaniom księcia de Noailles wiemy dziś co trzymać o pani de Maintenon, wiemy ile należy zawierzać skwaszonym sądom księcia de Saint-Simon, wiemy zwłaszcza, co w jej korespondencyi jest złośliwym fabrykatem la Beaumelle'a.

Ale odbiegliśmy mimowoli od przedmiotu naszego. Chcąc jeszcze podnieść jeden rys szkaradny owego prześladowania katolików za Elżbiety, należy przypomnieć, do jakich środków uciekała się nienawiść Burleigh'a, fanatyzm protestancki Walsinghama. Pobożny Dr. Allen, w myśl i za pomocą katolików angielskich założył był na kontynencie seminarya duchowne pod kierownictwem Jezuitów, celem wychowania i kształcenia apostołów i męczenników dla prześladowanego angielskiego Kościoła. Zakłady takie głównie w Rheims, Rzymie i Donai znajdowały się i zakwitły. Cóż czyni Walsingham? Oto nietylko, że ogłasza karę śmierci na każdego ztamtąd przybysza, nietylko ich w kraju własnym obsacza, goni i poszukuje, ale w liczbie płatnych szpiegów znajduje i takich, którzy udają kleryków, wstępują do seminaryów, odbierają święcenia i w charakterze kapłańskim przybywają haniebne swe prowadzić rzemiosło, wkradając się w zaufanie wiernych i hurtem wydając w ręce rządu trwających w wierze ojców katolików! Prowokacyjny system Walsinghama przechodzi zaiste najczarniejsze w tej mierze przykłady: głównie on tąż bronią wojował wymyślając spiski, podżegając buntownicze zamiary, wężowym uściskiem okalając upatrzone ofiary.

Ale wróćmy do Maryi Stuart. Jakże wspaniale i promiennie jej postać odbija na ciemnem tle współczesnej historyi. Jakże wielką i szlachetną nam się wydaje wśród otaczającego ją znikczemnienia! Nie jest to zaprawdę owa Marya Stuart, którąśmy znali z pieśni i powieści, nie uczuciowa heroina Szyllera nie bohaterka bulwarowego melodramatu na modłę Słowackiego, ale poważna i pogodna męczennica chrześcijańska, znosząca swe cierpienia z godnością królowej w obec ludzi, z pokorą i poddaniem świętej wobec Boga. A waliły się też na nią ciosy i bliskie i dalekie. Zdradzali ją słudzy, odbiegali przyjaciele, syna chowano w wzgardzie i nienawiści do własnej matki, nie szczędzono codziennych upokorzeń, udręczeń, ukłuć szpilkowych przez nieskończone lata niewoli. Przedstawia nam się wśród tych przeciwnych okoliczności coraz czystsza i wznoślejsza i wyższa, piękniejsza w tych zapasach z losem, aniżeli gdy w upojeniu młodzieńczego szczęścia zasiadała na tronie francuzkim. Nie marnuje darów odebranych od Boga, używa wolnych chwil dwudziestoletniej niewoli, aby się ciągle kształcić, pracować, rozwijać umysłowo i duchowo. Gdy przychodzi do ostatecznego procesu uderza nas jasność jej wywodów, nie zbita logika jej odpowiedzi, powaga jej obejścia, znajomość praw i spokój, z jakim odpiera burzę zaprzedanych Elżbiecie sędziów, którzy odbiegając od zwykłej procedury legalnej, przerywali jej mowę, tupiąc nogami, wrzeszcząc i hałasując bez żadnego względu i litości. Nie ma może tragiczniejszego ustępu w wiernem i źródłowem opowiadaniu pana Chautelause, jak właśnie owe dwie sesye sądowe na zamku Fotheringay, gdy bezbronną niewiastę stawiono samą jedną, bez pomocy adwokatów, naprzeciw najbieglejszym i najchytrzejszym jurystom całej Anglii. Ani ich sofizmata i podstępne słowa usidlić jej nie zdołały, ani gwałtowne uniesienia nie zakłóciły jej pokoju. Podziwiamy stanowisko, jakie potrafiła zająć wśród tej nawałnicy złości ludzkiej, przypominającej aż nadto motłoch Jerozolimski i pamiętne: *Tolle! Tolle! Crucifigè!* I Marya Stuart wciąż to miała na pamięci, z upragnieniem w ślady mistrza wstępując. Zbijając tedy stanowczo przywiedzione przeciw sobie zarzuty o zdradę stanu, o zamiary królobójcze, o zamachy na tron angielski, wciąż sprowadzała dyskusyę na właściwe tory, dowodząc, że ginie za wiarę, że właściwie Kościół katolicki w jej osobie prześladują, że wierność Rzymowi główną przyczyną jej zguby. Affirmacya jej przekonań i zasad katolickich

wciąż powraca jak wyznanie wiary publiczne, tem skwapliwiej czynione, iż zawsze trwała w obawie skrytobójstwa i nagłej śmierci. Oszczędził jej Pan Bóg tej goryczy, a co więcej, wyrwał z ust samychże jej nieprzyjaciół zatwierdzenia prawdy jej świadectwa i przekonania w tej mierze. Gdy hrabia Kent, najzaciętszy jej przeciwnik, przybył jej wyrok śmierci oznajmić, dodał, wyraźnie: „iż nie mogła dłużej żyć bez ciągłego niebezpieczeństwa dla państwa, królowej i religii protestanckiej". „Życie wasze byłoby śmiercią naszej religii, śmierć wasza będzie jej życiem". Na te słowa Marya radośnie krzyknęła: „Nie mniemałam, abym podobnej śmierci była godną! przyjmuję ją pokornie, jako zadatek mego domieszczenia wśród wybranych". Cały ten końcowy ustęp, opis ostatnich chwil męczennicy naznaczony jest piętnem nieporównanej wielkości i powagi. Tak chyba pierwsi chrześcijanie w katakumbach sposobili się na zstąpienie na arenę. A jako słowami Skargi „przez lat dziewietnaście sieroctwo ono, wzgardę, nędzę i tęsknotę cierpiąc, a nabożeństwem się swojem z czeladką ciesząc, ustawicznie na modlitwie i postach i utrudzeniu cielesnem czas wszystek trawiła, a śmierci krawej od owej okrutnicze o wiarę św. męczeńską z cierpliwością w niewinności czekała", tak i w ostatnich chwilach uwydatniła bardziej jeszcze cnoty i anielską pobożność swoją, tudzież gotowość do ofiary i chęć przypieczętowania krwią własną chwalebnego świadectwa, danego swej wierze. Listy jej pożegnalne do szwagra króla francuzkiego i do innych tchną tem uczuciem i usposobieniem. Odmówiono jej pociech religijnych, rozłączono z kapelanem więziennym, nagabywano o przyjęcie kacerskiej nauki. Widzimy ją tym stalszą w trwaniu na modlitwie, w budowaniu sług swoich, w szukaniu umocnienia u stóp Chrystusa. W wilię stracenia, gdy wedle zwyczaju przed spoczynkiem czytać sobie kazała ustęp z *Żywotów św.*, zatrzymała się nad życiem dobrego łotra, obierając go sobie za szczególniejszego patrona na to ostatnie przejście. „Oby mój Zbawiciel przez wspomnienie męki swojej raczył o mnie pamiętać w raju, jak ongi dobremu obiecał łotrowi". Prześliczna pokora chrześcijańska opromienia aureolą świętości ostatnie chwile męczennicy, coraz cierpliwiej i łagodniej znosi dotkliwe udręczenia, aż nareszcie wstępuje na rusztowanie i sięga po wieniec nieśmiertelny „ta mocna, jak wieża, katolicka białogłowa, świadectwo prawdzie krwią swoją dając", żeby raz jeszcze użyć słów Skargi.

Miłujących wyczerpujące i źródłowe opracowanie dziejów odsyłamy do szacownego dzieła pana Chautelause, który uzupełnił cennemi nabytkami historyę Maryi Stuart, umiejętnie powiązał świeżo odkryte dokumenta i postawił królowę Szkotów na właściwem jej stanowisku, w martyrologium katolickiej Anglii. *N.*

* * *

Król Jan Kazimierz więźniem, Jezuitą i kardynałem. Pod takim tytułem wydrukował w odcinku ostatnich numerów *Czasu* znany chlubnie z prac swoich historycznych ks. Stanisław Załęski szkic, obejmujący dzieje tego księcia przed wstąpieniem na osierocony śmiercią brata tron polski. Najnowszy utwór naszego pisarza osnuty jest w znacznej części na nowych źródłach, odkrytych w Paryżu.

Skreśla on w nim kilku śmiałemi rzutami pędzla owoczesną sytuacyę polityczną, aby wyjaśnić czytelnikowi, jaki zbieg okoliczności sprowadził młodego Wazę do francuzkiego więzienia — opowiada, jak sroga waśń wrzała między Niemcami i Hiszpanią z jednej, a Francyą, rządzoną przez Richelieu'go z drugiej strony i jak zawziętą zemstą pałał wszechwładny kardynał przeciw wszystkim, co kiedykolwiek śmieli łączyć się z jego wrogami. Królewicz, świetnemi uposażony przymiotami, wychowany chotliwie i po katolicku, przytem żywy, wysoko, jak na owe czasy wykształcony, umysłu zdążającego do wyższych celów, bolał niepomiernie nad bezczynnością, na jaką skazywało go nieszczęśliwe nader położenie. Nie mógł myśleć o wstąpieniu do stanu małżeńskiego, jako syn króla elekcyjnego i to nie najstarszy, bo monarchowie polscy musieli z sejmami wieść przykre spory, aby dla swych dzieci wyjednać jakie takie opatrzenie, a od wysokich dostojeństw w kraju wykluczało go prawo z obawy, aby wolność braci szlachty w ten sposób nie poniosła szwanku. Do stanu duchownego nie czuł też powołania; jedynem więc polem działania było rzemiosło rycerskie. Poparłszy sam bezinteresownie elekcyę brata Władysława, pospieszył waleczny Kazimierz na wojnę moskiewską, lecz gdy tryumf polskiego oręża skłonił Moskwicina do błagania o pokój, a nadto nadzieja zmierzenia się z Turkiem zawiodła, trzeba było powracać do domu. W powrocie zapadł ciężko na zdrowiu, zatrzymawszy się we Lwowie, cudem prawie ocalał, uczyniwszy pobożne *votum* do Matki Boskiej w kościele karmelickim, co powiększyło jeszcze wyniesione z domu religijne usposobienie. Ale niedługo potem bo w r. 1635 walczy znowu pod chorągwią cesarską z Bisurmanami nad Dunajem, niebawem zaś w randze pułkownika pod Frankfurtem przeciw sprzymierzonemu z Francyą księciu Wejmarskiemu, Bernardowi, ku niezadowoleniu traktującego pod ową porę z gabinetem paryzkim króla Władysława, a tem większemu

gniewowi Richelieu'go. Odwołany z armii cesarskiej, stanął znów na rozdrożu, nie wiedząc co czynić dalej. „Ogarnęła go teraz największa z chorób ludzkich nuda. Co począć w sile wieku, w 27 wiośnie życia? Oddać się życiu familijnemu? Nie dozwalają tedy względy dynastyczne. I jakieżby wreszcie stanowisko w gronie książąt krwi zajął królewicz szwedzki *in partibus*, królewicz polski równy szlachcicowi na zagrodzie“?

Po przywiezieniu we Wrześniu r. 1637 z Wiednia zaślubionej *per procurationem* żony brata, Cecylii Renaty, puszcza się Jan Kazimierz na wojaż, którego cel osłonięty dotąd mrokiem niepewności różnie różni tłumaczą. Zbiwszy niektóre zdania, przychyla się szanowny autor do mniemania Jezuity Beaugent, wypowiedzianego w obszernej historyi traktatu westfalskiego, że „powierzone mu być miały w charakterze wice-króla wielkorządy Portugalii, ujarzmionej podtenczas przez Hiszpanię, a wymagające dla naprężonych stosunków między temi dwoma narodami osoby pewnej, którejby korona zaufać mogła“.

Chciało nieszczęcie, że dążącego ku Hiszpanii królewicza zagnała burza morska do francuzkiego portu, gdzie go pochwycono i wtrącono do turmy. Tu miał się przekonać o mściwości Richelieu'go, rozdrażnionego w wysokim stopniu tak uczestnictwem Kazimierza w wojnie, jak świeżem przychyleniem się na stronę cesarską króla polskiego. To też mimo usilnych starań warszawskiego dworu spędził dostojny więzień 21 miesięcy i 20 dni w twardej i ciężkiej niewoli, o której wiemy z relacyi Wassenberga. Nadeszła wreszcie chwila wyswobodzenia. Powolne narzędzie wielkiego kardynała, Ludwik XIII „zapłakał na widok wybladłej twarzy królewicza, Richelieu nawet przy pożegnaniu nie oszczędził mu upokorzenia; wprowadzając go do swego salonu w Ruelle, szedł po prawej jego stronie, a zbył go sztywnie i chłodno“. Nieszczęśliwy książę odzyskał wolność za cenę solennego przyrzeczenia, że wróci do Polski i będzie się trzymał zdala od „wszelkiej politycznej akcyi, w której to okoliczności dopatrywać należy przyczyn jego pozornego powołania do zakonnego życia“.

Powołanie to było w istocie pozornem, a postępowanie wysoce niezdecydowanem i chwiejnem. Tłumaczy się ono doznanemi poprzednio zawodami i rozczarowaniami, od których się niekiedy wyswobadzał, częściej im jednak ulegał, a zwątpiwszy o świeckich sukcesach, zrażony do świata i ludzi, z wychowania i z epoki więzienia nawykły do pobożności i religijnych ćwiczeń, u stóp ołtarza, w klasztornej celi myślał znaleść odpoczynek i spokój. W zamiarze swym jednak nie wytrwał, a zmiennością postanowień sprowadził tylko na głowę współ-

braci zakonnych, Ojców Stowarzyszenia Jezusowego, jednę z tych chwilowych burz, które skwapliwie wyzyskali tegoczesni literaci dla ukucia kruchej co prawda broni przeciw znienawidzonej przez nich kongregacyi. Królewicz raz z zapałem wyznaje się „niegodnym nowicyuszem św. Ignacego“ wbrew woli królewskiej zarzeka się, że nic go nie zdoła skłonić do powrotu na świat z za furty klasztornej — wzywa brata, aby zaprzestał kusić go do porzucenia sukienki, boby go w takim razie wytykano palcem jako „ex-mnicha wywłokę“ *(frate sfratato)*, a wkrótce płonie gorącą żądzą wyrzeczenia się klasztornego ustronia i zamienienia habitu na purpurę i kardynalski kapelusz. Wpierw sam się domagał, żeby go wyświęcano coprędzej; szczęściem „nie dozwolili tego starsi zakonu, którzy wiedzieli dobrze ile kłopotów, zawikłań, a często i intryg przynoszą z sobą książęce powołania“. Ciekawe peripetye psychologicznego procesu, jaki się toczył we wrażliwej duszy Kazimierza, szczegółowo, a bardzo zajmująco, opowiedział ks. Z. Dał też należytą odprawę owym literatom, co „w lot pochwycili“ niebaczne i krzywdzące Jezuitów słowa Władysława, rozdrażnionego braterskim postępkiem, wykazując, że po za tym chwilowym zatargiem najlepsza harmonia panowała pomiędzy tronem, a zakonem Jezusowym, obsypanym licznemi dowodami monarszych względów.

W połowie r. 1645 „pod płaszczem kardynalskiej purpury“ opuszcza niepowołany zakonnik klasztorną celę, aby w kilka lat później zasiąść na polskim tronie. „Kardynalska godność — objaśnia autor — w XVII wieku nie była wyłącznie kościelną godnością, owszem często nadawaną była duchownym polityczne, wpływowe, piastującym urzędy, jako nagroda albo zachęta, żeby tych wpływów na korzyść Kościoła użyli. Często też przyodziewali nią Papieże członków familii panującej podówczas bowiem królowie nie zerwali jeszcze z Kościołem i mimo swej niesumiennej często polityki i nie zawsze chrześcijańskich obyczajów, poczytali sobie za honor nazywać się „synami“ św. Stolicy. W arcy-chrześcijańskiej Francyi widział też wiek XVII dwóch kolejno kardynałów stojących u steru rządu: Richelieu'go i Mazzariniego; równocześnie wielkorządy Niderlandów sprawował kardynał Infant, a jednym z naczelnych dowódzców wojsk francuzkich przeciw Hiszpanom był kardynał de la Valette.“

X.

* * *

Z powodu „Opactwa pelplińskiego“ kilka słów odpowiedzi korespondentowi „Gazety Toruńskiej“. Recenzyę naszą dzieła ks. Kujota spotkał zaszczyt nie lada: rozwiódł się nad nią szeroko korespondent *Gaz. Tor.* △ z Kociewia, nie szczędzący nam komplementów w zamian za rzekomą niesprawiedliwość, wyrzą-

dzoną autorowi. Nie bylibyśmy może zwrócili wcale uwagi na ten wybryk pióra ze strony bezwzględnego adoratora księdza K., w którego obronie probuje swej kopii, bylibyśmy nawet pozostawili domorosłego junaka w błogiem przekonaniu, że nas żwawem natarciem wysadził z siodła, gdyby występ wojowniczego korespondenta w turniejowe szranki nie był związany z pewną bliżej nas obchodzącą i ogólniejszego znaczenia sprawą.

Już to los krytyków w ogóle nie godzien zazdrości i niewiele podobno przesady mieszczą słowa Goethego, gdy woła: *Schlagt ihn todt den Hund, das ist der Recensent!* Gdyby jaki Plato *redivivus* miał urządzać znowu idealną rzeczpospolitą, nie ulega wątpliwości, że poetów jako ogółowi nieszkodliwych, bo pozbawionych wszelkiego wpływu, zostawiłby w spokoju, a natomiast za dziesiątą górę i za dziesiątą rzekę wypędziłby on może niegodziwych Zoilów, na których ze zgrozą wielką spoglądają tysiące oczów, przeciw którym z gniewem i oburzeniem zwracają się tysiące piersi, zranionych „jadowitemi strzałami“ tej okropnej klasy ludzi. Wspólność niedoli łączy ludzi w przyjazną falangę; toż tysiącem głosów zdecydowaliby ich banicyą wszyscy ci, co kiedykolwiek doznali surowego obejścia ze strony niemiłosiernej krytyki. Nie mogąc użyć tak radykalnego środka, uciekają się prześladowani autorowie do innych; i tak w przeszłym roku założyli szacowne pismo p. n. *Antikritiker*, przyjmujące wszelkie skargi i żale uciśnionych za ... skromnem wynagrodzeniem kilku podobno centów od wiersza!

Położenie *Przeglądu* jest pod tym względem trudniejszem, aniżeli któregokolwiek innego pisma. Gdy gani książkę wydaną przez człowieka z przeciwnego obozu, składają to na karb stronniczej zaciekłości, gdy chwali pracę człowieka równych przekonań, rzucają mu w twarz zarzutem wzajemnej adoracyi, gdy jej zaś choćby najlżejsze czyni wyrzuty, naraża się na tysiączne posądzenia złej wiary, złośliwości itp. Wymowną glosą naszego twierdzenia jest trójkątny korespondent z Kociewia. My oceniając dzieło ks. Kujota, musieliśmy obok oddanych mu pochwał i uznania zasługi, położonej na polu dziejów ojczystych, wskazać zarazem i pewne w cennem dziele jego usterki. Tymczasem wspomniony korespondent nazywa to zuchwałością i ciska gromy złorzeczeń na biedną naszą głowę. Szczęściem pociski w stumilowej przestrzeni straciły wiele na mocy; wyszedłszy więc cało z pod ciężkich ciosów, możemy odpowiedzieć przeciwnikowi naszemu, a to tem spokojniej, że ceniąc w nim rycerski zapał dla uwielbianej osoby, który mu zaszczyt przynosi, nie żywimy do niego najmniejszej urazy.

Drugi z kolei obrońca księdza Kujota, nie uczestniczącego osobiście w zapasach (bo p. Erazma w *Warcie* nie śmiemy z nim identyfikować) oświadczywszy, że krytyka *Przeglądu* jest „złośliwą i niegodną wcale męża wykształconego“, nie może pojąć, że między dwiema ostatecznościami, t. j. panegirykiem, a paszkwilem, jest pewna średnica, że można książkę, gdy na to zasługuje szczerze pochwalić, a obok tego równie szczerze wytknąć jej usterki, pomawia nas o iście Machiawelskie sztuki i w rozczulający sposób maluje naszą zdradziecką przewrotność. „Pierwsze 4 stronice, powiada, zawierające różne pochwały, zdają się być tylko podstępnem do siebie zwabieniem niewinnej ptaszyny, aby tem bezpieczniej i pewniej doszły swego celu strzały jadowite na ostatnich trzech stronach, bo dziwna między niemi zachodzi sprzeczność“. Korespondent Torunianki choć człek bardzo uczony, nie wie jednak, że każdy

sumienny recenzent wymienia dodatnie i ujemne strony rozbieranych dzieł, wśród których nie wiele znajduje się doskonałości. Pomiędzy pierwszą, a drugą częścią każdej recenzyi musi więc panować taka pozorna sprzeczność, jaka zachodzi między pochwałą i naganą; gdyby zaś znalazły się w naszym artykule istotne sprzeczności, ani wątpić, że usłużny pan △ z Kociewia nie byłby ich omieszkał wymienić.

„Nie myślę tu — czytamy dalej — o replice, wykazującej gruntownie i wyczerpującej niedorzeczności *(sic)* owej krytyki — okaże się może (szkoda, że tylko m o ż e) takowa w innym czasopiśmie — uważam przecież za rzecz konieczną dlatego, iż *Gazeta Toruńska* przed kilku miesiącami bardzo się pochlebnie o *Opactwie pelplińskiem* wyrażała — kilka przynajmniej z tej krytyki poruszyć punktów“.

Otóż tamta, wyczerpująca i gruntowna, „replika“ ma nam wykazać wszystkie „niedorzeczności“, ta zaś tylko największe, najbardziej rażące „punkta“. Przejdziemy je wszystkie z kolei, aby się przekonać, o ile rozsierdzony trójkąt ma prawo do tak śmiałego wyroku. Wedle niego jesteśmy „zupełnym nowicyuszem w nauce historyi“, nie wiemy że istnieje w nauce historyi gałęź, która nosi nazwę: „teorya historyi“ i ztąd otrzymujemy uprzejmą radę, abyśmy przeczytali rozprawę Droyzena. Możemy oświadczyć co się tyczy sławnego berlińskiego profesora, że lubo nie przysięgamy zawsze na jego słowa, a na dążności wcale się nie godzimy, to jednako znamy go tak z jego wykładów uniwersyteckich, których słuchaliśmy przydłużej, jako też i ze wszystkich prac drukowanych. Cały dowód nieuctwa naszego w kwestyi „teoryi historyi“, czerpany z wyrazu: *(sic)*, niczem zgoła nieuzasadniony, bo króciuteńki ten w nawiasie umieszczony przypisek miał po prostu oznaczać, że wspomniana przez autora teorya historyczna wydaje nam się wątpliwego gatunku, co też wyrażono niżej. Dalej p. △ „odpowiedzieć sobie nie może“, jak mieliśmy „śmiałość“ żądać bliższego oznaczenia pory, w której napisaną była kronika pelplińska, skoro „wszystko, czego żąda krytyk od autora, jest w przedmowie na str. II, zawarte“. Mimo takiego zadziwienia nie wahamy się powtórzyć, że wskazany przez p. Erazma i szanownego korespondenta ustęp wcale nas nie zadowalnia i nie zdaje nam się dostatecznym; żądamy bowiem większej precyzyi i ścisłości od historyka, jak w następnem określeniu „p r z y n a j m n i e j d w u pracowało nad nią zakonników“ itd. i jaśniejszego odróżnienia dokumentów prawdziwych od falsyfikatów, czego się nie przestaniemy domagać, choćby na stłumienie naszego głosu p. △ opowiadał całą karyerę szkolną ks. K. i cytował wszystkie wyrazy „jak największego zadowolenia“ ze strony profesorów. Niech o tem pamięta p. △ raz na zawsze, że krytyk nie może się oglądać na pochwały, oddawane autorowi ze strony nauczycieli, lecz sądzi tylko z tego, co ma przed sobą. Takie argumenta, do których sprawdzania nie mamy zresztą ani sposobności, ani ochoty, okrywają śmiesznością samego adwokata.

Najlepszą jednak miarą kompetencyi naszego przeciwnika w spornej sprawie będzie następna okoliczność. Zwróciwszy uwagę czytelników na rażącą sprzeczność pomiędzy stanowczym wstrętem do jakichkolwiek cytatów, a przytoczeniem na kilkunastu stronicach w tekście dokumentów po polsku i po łacinie — powiedzieliśmy, że się ostatniego nadużycia nie dopuszcza żaden z nowszych popularnych pisarzy, pierwszym zaś torem puszczają się w Niemczech chyba plagiatorzy. Dla zupełnego, jak mniema, zbicia twierdzenia tego,

podaje p. △ dwa przykłady. Oto wymienia książkę p. Ryszarda Wegnera *Ein pommer'sches Herzogthum und eine deutsche Ordenskomturei*, wydaną przed trzema laty w Poznaniu, gdzie także wydrukowane są dokumenta w oryginale i w niemieckiem tłumaczeniu. Dzieło to jest nam dobrze znane; żałujemy tylko, że go nie ma we Lwowie, aby dowodnie wykazać, co nam pamięć przekazała, iż owe dokumenta nie są przytoczone w tekście. Przyjąwszy jednak, że przywiedziony fakt jest zupełnie prawdziwym, czyż można się powoływać jako na powagę na p. Wegnera, który troskliwie zebrał wiele archiwalnych materyałów, ale okazał się pisarzem bez metody i rozprawiał o rzeczach, na których się wcale nie zna, np. o starożytnościach słowiańskich, co mu trafnie wytknęła swojego czasu krytyka.

Mniej jeszcze rozumiemy, zkąd się dowiedział pan △, że „w trzydziestu tomach, napisanych przez Rankego, nie znajdzie się żądanych cytatów". Nasz oponent mówi: „gdyby dr. *** miał był kiedy w ręku dzieła naszego historyka, Rankego"; my zaś musimy stanowczo powiedzieć, że kociewiański korespondent nigdy ich nie widział, ale uwierzył komuś, kto z niego zażartował, bo inaczej wiedziałby, że Ranke czy to w historyi Papieży, czy w dziejach Anglii, Francyi, Niemiec lub krajów południowych, wszędzie, jeśli nie cytuje osobno obszernych materyałów, dokumentów, listów, to przynajmniej na dole podaje dość liczne przypiski. Cóż tedy sądzić o apodyktycznych sądach pana △? Taka *sancta simplicitas* rozbraja! Nie przypisując mu złej wiary, wolimy raczej wierzyć, że się stał ofiarą mistyfikacyi....

„Zarzut nareszcie — cytujemy wiernie — co do nierówności stylu, śmiesznym się wydaje. Jakże, czyż jest ktoś na świecie w stanie pisać o włokach klasztornych, o sposobie gospodarzenia na folwarkach, o urządzeniu takowych itd. tak kwiecistym i prześlicznym stylem, jakim są napisane rozdziały: Pomorze i rozdział VII, którego prześliczny początek cytuje nam krytyk? Różność przedmiotów, jakie opracował ks. Kujot, wymaga też koniecznie i różności stylu. Iż niektóre wyrażenia w *Opactwie* zastąpićby mogły podług osobistego zdania i innych pisarzy lepsze, tego nie przeczę, boć *de gustibus non est disputandum*"... Tu znów powiedzieć musimy, że jeśli się zarzut nasz mógł uprzedzonemu czytelnikowi wydać śmiesznym, to tylko dla pobłażliwości, którą kierując się, nie wyszczególnialiśmy omyłek. Teraz jednak, wyzwani do tłumaczenia, powiemy, że nie domagaliśmy się bynajmniej kwiecistości stylu, lecz pewnej gładkości języka i znajomości gramatyki, przeciw której wiele znaleźliśmy wykroczeń i to właśnie w pierwszej części, gdzie nie masz mowy o „urządzaniu folwarków".

Zapytujemy więc, czy może się ostać wobec najpierwszych prawideł, polskiej stylistyki następne zdanie np. „Od owego czasu już odpowiednia liczba braci nie została osiągnięta z przyczyny herezyi ze wszech stron tedy się jeżącej" lub czy uchodzić mogą następne grube błędy językowe, któreśmy bez długiego szukania wykryli na kilkudziesięciu pierwszych stronicach.

Str. 10 „dajemy im pozwoleństwo (ma być pozwolenie); potwierdzamy wspomnioną darowiznę, by nikomu w przyszłości wolno nie było złamać (darowiznę?) ją (m. b. jej).

Str. 19 Mistrz... prowadził nowicyuszów na (do) sypialnią. Zakrystyan zapalał zimą światło na (w) sypialni.

Str. 26 Po nieszporach była lekka wieczerza, po niej czytanie z pisma św., a w (na) koniec napój.

Str. 79 Sobór kostnicki udzielił pewne odpusty (ma być: pewnych odpustów).

Str. 80 Tam gdzie się schodzą dachy nawy środkowej i ramion poprzecznych. stojała (!stała!) już od samego pewnie początku dzwonnica.

Zdaje nam się, że wystarczą nieliczne przykłady (bo dla zebrania większej ilości nie mieliśmy ochoty czytać książki po raz drugi), aby przekonać, że nie są to same „nierówności stylu" i rzeczy, o których można „dysputować".

Zdaje się, że gościnna *Toruniańka*, która do swoich łamów nie odmówiła wstępu Kociewianinowi, nie chcąc się okazać omylną w sądzie, powątpiewała trochę o słusznosci jego sprawy, bo dodaje w końcu: „Jedno słowko zastrzeżenia: czy też doprawdy krytyka owa taka złośliwa"?

Zdaniem naszem zagadkę tę byłaby mogła z łatwością rozwiązać, mając zwłaszcza pod ręką książkę ks. Kujota i naszą krytykę...

Skończyliśmy rozprawę z pomorskim rycerzem, który nam rzucił śmiało rękawicę, a w przekonaniu może, iż jej nie podejmiemy, lub wierząc innym na słowo, tak dalece, jak wykazano powyżej, rozmijał się z prawdą. Przykro nam jednak bardzo, że z tego powodu przyszło nam pośrednio dotknąć szanownego autora *Opactwa*, dla którego talentu i nauki ile mamy szacunku, wykazały to pierwsze stronnice recenzyi naszej, a że te pochwały nie były sidłami zastawionemi na „niewinną ptaszynę", zbyteczna dowodzić. Szkoda zaprawdę, że ks. Kujot miał nieszczęście pozyskać sobie adwokata i obrońcę podobnego jak ów pielgrzym, nad którym niedźwiedź podczas snu ustawicznie czuwał.

Dr. ***

* * *

Proces królowej Jadwigi. Taki tytuł nosi rozprawa p. R. Maurera, zamieszczona w *Przewodniku Naukowym* (Zeszyt XI. Listopad. 1875). Autor jej — rozebrawszy krytycznie słowa Długoszowej kroniki, mówiące o owym procesie, dalej skonstatowawszy, że li tylko nauczyciel wnuków Jagiełły podaje przebieg tej sprawy, podczas gdy inne współczesne prawie źródła całkiem o niej milczą — twierdzi stanowczo w końcu, że ten „cały proces Długosz wysnuł sobie z fantazyi". P. Maurer zatem przychodzi tutaj, choć z małą różnicą, do tegoż samego wniosku, co i Dr. J. Caro w III tomie swojej *Geschichte Polens*. Wobec takiego kategorycznego twierdzenia straciłyby całkiem na wartości opowiadania dziejopisarzów, którzy, opierając się na Długoszu, przedstawiali nam dotąd skandaliczną scenę dysharmonii między królewską parą.

Przyznać trzeba, że argumenta użyte przez p. R. M., mówiące właśnie przeciw opowiadaniu Długosza, są trafne, a pod pewnym względem wystarczające, aby tym razem zachwiać wiarę w prawdziwość słów Długoszowej kroniki. Pomimo to wszystko odmówić całkiem autentyczności opowiadaniu Długosza nie można.

Nie chcemy bynajmniej usilnie obstawać przy tem, że przebieg procesu królowej Jadwigi, podany przez ojca naszej historyografii, nie jest utworem jego wyobraźni. Mamy jednak prawo zadać sobie nastręczających się nam parę pytań. Dlaczegoby Długosz, żyjący w czasach niezbyt odległych od owego 1389 roku (rok procesu), obcujący zapewne z ludźmi, którzy byli naocznymi

świadkami panowania Jagiełły, chciał wbrew temu, co zasłyszał, wbrew żywej jeszcze tradycyi, pomiędzy fakta ściśle historyczne wplatać płody własnej imaginacyi? Dalej — jakżeby Długosz, przebywający na dworze syna Jagiełły, gdzie wspomnienie o nieboszczyku ojcu było nazbyt świeże i połączone z pewnem poszanowaniem dla zmarłego, poważył się na karb nieżyjącego pisać rzeczy niebywałe, uwłaczające poniekąd czci jego? Dlaczegoby wreszcie ten Długosz, który o Jadwidze (jak powiada Kaz. Stadnicki) „mówi zawsze z największem uwielbieniem“ w tem miejscu właśnie, sprzeciwiając się niejako własnemu przekonaniu, chciał postać tejże Jadwigi wystawić bądź co bądź w świetle niekorzystnem?... Wprawdzie Długosz nieraz mija się z prawdą, ale czyni to prawie zawsze z nieświadomości, nigdy zaś ze złej woli. Tutaj, gdyby przyjąć wniosek p. Maurera, wypadałoby posądzać Długosza tylko o drugie.

P. Maurer uzasadnia swoje zapatrywanie głównie na tem, że inne współczesne źródła (jak np. *Hochmeisterchronik*) nic nie mówią o owym procesie. Zdaje nam się, że to naturalne; bo cały przebieg sprawy zapewne nie tak głośnej, jakby to sądzić można z opowiadania Długosza, może tylko wiadomej bliższemu otoczeniu królewskich małżonków, mógł całkiem nie dojść do uszu obcego kronikarza. Zresztą słowa tejże samej *Hochmeisterchronik* o nieporozumieniach pomiędzy Jagiełłą a Jadwigą, historycznie przytem znana podejrzliwość starego króla, czego dowodem wytoczone później procesa żonom Annie i Zofii, zdają się w części potwierdzać opowiadanie Długoszowej kroniki.

R. K.

Kronika.

Od dawnych już czasów ster rządu w Brazylii w rękach massonów spoczywał. Dzielą się oni jednakże na dwa między sobą stronnictwa: radykalnych i umiarkowanych, zwanych moderantami. Otóż ostatni przyszli znów obecnie do steru rządu, a pierwszem ich dziełem było uwolnienie dwóch biskupów i kilku kapłanów skazanych na ciężkie więzienie za to, że mieli odwagę stanąć w obronie wolności Kościoła. Akt udzielonej amnestyi ogłoszono 18 Sierpnia. Dzielny biskup z Olindy de Oliveira zaledwie opuścił więzienie swoje, położone na wyspie wężów, wnet pospieszył odezwać się do swych owieczek. „Bóg, mówi on we wspaniałym swym liście datowanym z Rio Jainero pod dniem 24 Września 1875 r., potrafił zawsze wśród najsroższego prześladowania Kościoła, wśród największych przygniatających Kościół ciemności ukazać pełną blasku chwałę swoją i roztoczyć przedziwną światłość swojej mocy. W tej samej chwili, kiedy dopuszcza, aby zerwana burza uderzyła w Kościół, podaje równocześnie Kościołowi sposobność okrycia się nowemi wieńcami chwalebnych zwycięztw i napawa go bezmiernemi pociechami. *Inter persecutiones mundi et consolationes Dei peregrinando, procurrit Ecclesia.* A jeżeli kiedy, to dzisiaj o tej prawdzie przekonać się możemy. Bo i czegoż to nie dostrzegamy obecnie? Oto z jednej strony patrzymy na wybuchy wściekłej złości, a z drugiej spostrzegamy świętość i chętne ponoszenie cierpień. Bezbożność dobiegła do najwyższego szczytu swojej potęgi, wobec niezachwianych zasad katolicyzmu bezsilną się staje. Rewolucya, wszechwładna dzisiaj w świecie pani, króluje w dziennikach, dzierży w swych rękach druty elektryczne, trzęsie rządami, rozporządza milionami bagnetów, ma na swe rozkazy kartaczownice i działa Kruppa, ustanawia prawa, wytacza procesa, rzuca do kaźni, zabiera własność, wskazuje na wygnanie, obsypuje złotem i godnościami, ozdabia orderami i do najwyższych w społeczeństwie godności swych ulubieńców wynosi; a jednak mimo takiej wszech-potęgi swojej cóż dotychczas potrafiła zrobić z Chrystusową Oblubienicą, Kościołem? Rzecz zadziwiająca i cudowna zarazem! Morduje, ale zabić nie może; gruchocze, ale do milczenia zmusić nie zdolna; krew wylewa, ale nie zwycięża; pieni się ze wściekłości, ale i drży zarazem ze strachu i trwogi! I wobec tego Kościoła, który zgubić usiłuje cała jej potęga traci naraz moc swoją. Wobec jednego ośmdziesięcio-letniego słabego opuszczonego od ludzi starca, wobec ednego biskupa nie mającego ani jednego ku swej obronie bagnetu, wobec jednego prostego kapłana, wobec wyśmianego nawet i pozbawionego wszelkiego światowego uroku ubogiego zakonnika ona wszechwładna, pełna ziemskiej potęgi, pani pieniąca się od złości i nienawiści jak bałwany oceanu naraz co dopiero szumiąca przechodzi w stan konwulsyjnych pełnych już niemocy drgań. I wobec jednego *non licet*, wobec sumienia katolickiego, wobec *non possumus* Bożego Kościoła pokazuje się cała jej nicość i niemoc zupełna!“

— Proces o zabójstwo Sonzogno'a przedstawił w całej ohydzie moralną wartość rządu piemonckiego, jego sposób działania w zagarnięciu Włoch całych, wybory do parlamentu i charakter owych patryotów sztyletu i zbrodni, którzy do zbudowania jedności włoskiej przyłożyli swą rękę, a w których oszukana Europa upatrywała ludzi poświęcenia i nieskazitelnego charakteru. Przebieg całego tego procesu wykazał jasno, że najszkaradniejszy brud i zbrodnie składały się na cement do zbudowania królestwa Włoskiego. Czy państwo, tym sposobem powstałe, potrafi jeszcze długo się utrzymać? Proces Sonzogno'a większą oddał usługę katolikom, niż wszystkie dotąd pisma i dzieła przeciwko jedności włoskiej wymierzone. Proces Sonzogno'a to wielka moralna klęska dla piemonckiego najazdu. Rząd czuje to dobrze i dlatego nie pozwolił dziennikom włoskim podawać w całości przebiegu rozpraw sądowych — zagranicznym zaś pismom, rozbierającym tę sprawę, zabronił do siebie wstępu. Poważny *Times* za to właśnie skonfiskowanym został. Francuzkie dzienniki, dowiedziawszy się o tem, jednym chórem wołają: *Les Italiens tiennent beaucoup laver leur linge sale en famille.* Włosi pragną brudną swą bieliznę wyprać u siebie. Niestety już dzisiaj zapóźno! Dopóty tylko w dzbanie wodę noszą, dopóki nie urwie się ucho. Jedności włoskiej proces Sonzogno'a oberwał już uszy i całemu światu przedstawił ją taką, jaką oddawna w istocie już była. Opryszkom w dawnych czasach obcinano uszy.

Wielkopolscy wieśniacy u biskupa. Do najczcigodniejszego ks. biskupa Janiszewskiego, mieszkającego w Krakowie w klasztorze OO. Dominikanów, przybyli w odwiedziny wieśniacy z Wielkopolski. Oto w jak dziwnie wdzięczny sposób opisuje nam *Czas* to pełne rzewności ich przybycie: „Oprowadzano już nieraz po Wawelu włościan z różnych okolic kraju, ale bywali to zwykle chłopi, że tak powiemy wybrani na okaz, których sprowadził dziedzic na własny koszt, aby się niemi pochlubić na jakiemś zebraniu. W tym roku dopiero jubi-

leuszowym zaczęły przybywać kompanie ze Szlązka, aby dokonać obchodów i procesyj po kościołach, którym rząd pruski stawiał przeszkody, a przytem zwiedzić Kraków. Znów przeto uczucie religijne wskazuje ludowi zatarte szlaki tradycyi i pamiątek narodowych. Włościanie z Wielkopolski mieli jeszcze inną pobudkę do tej dalekiej wyprawy. Przed kilkoma miesiącami w sąsiedniem ich włości miasteczku odsiadywał karę więzienną jeden z dostojników Kościoła w Wielkopolsce. Włościanie okoliczni schodzili się gromadnie w około więzienia, znosili ofiary, i okazywali najwyższe współczucie dla czcigodnego wyznawcy. Po odsiedzeniu więzienia przyszedł wyrok banicyi, i pasterz musiał się schronić do Krakowa. Więc rada w radę między okolicznemi gospodarzami: siewy już pokończone, człek swobodniejszy, więc trzeba puścić się w drogę, aby pocieszyć wygnanego kapłana, a przytem odbyć pielgrzymkę do grobu św. Stanisława, i tylu świętych patronów i tylu królów polskich. Nie mógł też większej pociechy doznać czcigodny wygnaniec, jak kiedy do celi klasztornej, w której zamieszkał, zapukali chłopi wielkopolscy, ci sami, co go w więzieniu odwiedzali, a skłoniwszy się do nóg i całując po rękach, powitali w imię Boże i dopytywali o powodzenie i zdrowie. Jeden z nich na stole złożył ofiarę zebraną w dwóch parafiach, i skłonił się ponownie z pokorną prośbą o mszę św. na intencyę tych gromad, z których przebyli; a lubo wzruszony do głębi dostojny wygnaniec, ocierając łzy oświadczył, że mszę odprawi bez wynagrodzenia, musiał jednak uledz prośbom, i tę najpiękniejszą w życiu ofiarę przyjąć z rąk włościan. Cały tydzień gospodarze ze wsi wielkopolskich przebywali w Krakowie, zwiedzając pilnie wszystkie pamiątki i korzystając z tej obfitości nabożeństw, odpustów i procesyj, jakich w każdym czasie, a zwłaszcza w roku jubileuszowym nie brak po krakowskich Kościołach. Obeszli też wszystkie Kościoły, uniwersytet jagielloński, i różne zbiory w mieście i Kopiec Kościuszki i Bielany, i wrócą do swych rodzin i do swych gromad pokrzepieni na duchu, a opowiadania z pielgrzymki zostaną na długo posiewem w całej okolicy. Jakżeż nie zawołać z ks. Markiem z Konfederatów Mickiewiczowskich o Krakowie: O ty Romo słowiańska!... Bo czyliż taka wyprawa włościan wielkopolskich, pozbawionych kapłanów i nabożeństw, przybywających dla pocieszenia wygnanego pasterza i dla odprawienia obchodów religijnych, zakazanych we własnej parafii, nie dorównywa pielgrzymkom do miejsc świętych?

Kraków jeszcze takich nie przyjmował gości. I mniej już bolą wspomnienia z czasów wielkości, która minęła, owych tradycyj o zjazdach monarchicznych, ucztach niezrównanej wspaniałości i rycerskich turniejach, których niegdyś Kraków był widownią, skoro dziś nie wszystko jeszcze zamarło i nie wszystko się w proch rozsypało, i Kraków staje się miejscem zbornem ludu katolickiego, prawdziwą Mekką polską".

Z Poznania piszą nam pod dniem 9 Listopada: Wczorajsze posiedzenie wydziału Nauk historycznych i moralnych naszego Tow. Prz. Nauk było wielce zajmującem. Najprzód komissye zdawały sprawę z artykułów, które mają być zamieszczone w *Roczniku* Towarzystwa. Między innemi odczytano bardzo pochlebne ocenienie rozprawy nader obszernej Prezesa Koźmiana: *O żywiole religijnym w dziełach Szekspira.* O rozprawie tej, jeszcze w początkach bieżącego roku odczytywanej na kilku posiedzeniach Wydziału, wspominam dla tego, że jej treść i wnioski uprzedził poniekąd w ostatnim poszycie waszego pisma

hr. Kazimierz Stadnicki. Następnie przyszedł pod obrady wniosek, co do zamieszczenia w katedrze Gnieźnieńskiej tablicy pamiątkowej nad zwłokami Arcybiskupa Ignacego Krasickiego[1]). Przewodniczący odczytał list, uwiadamiający go, że hr. Edmund Krasicki z Liska ma zamiar przesłać takową tablicę do Gniezna przed końcem bieżącego lub w początku przyszłego roku i że co do zamieszczenia jej, użyje pośrednictwa ofiarowanego mu przez Towarzystwo Prz. Nauk. Dalej wyliczono dowody świadczące o autentyczności zwłok tych. Odczytano świeżo ponowione zeznanie ks. prałata Brzezińskiego, który szczątki te przewiózł z kościoła św. Jadwigi w Berlinie do katedry Gnieźnieńskiej. Otrzymawszy w tym względzie polecenie od ś. p. Arcybiskupa Wolickiego, ks. Prałat udał się do Berlina i tam zaraz przedłożył ministrowi królewskiemu oraz dozorowi kościoła św. Jadwigi prośbę, aby mu było wolno odszukać i zabrać zwłoki Arcybiskupa Ignacego Krasickiego. Księgi kościelne okazały dowodnie, gdzie jego zwłoki były w sklepach pochowane. Otworzono też trumnę w obecności dozoru i wielu świadków, osobliwie ś. p. Radcy Michalskiego, długoletniego sekretarza Arcybiskupa Krasickiego. Znaleziono już tylko kości, paliusz arcybiskupi dość dobrze zachowany i szczątki fioletowych pończoch. Że zaś jak świadczyły księgi, żaden inny biskup nie był w tych sklepach pochowany i że kilku z obecnych świadków stwierdziło, że trumna ta niezawodnie obejmowała zwłoki Krasickiego, spisano na miejscu protokół, a trumnę opasaną sznurami i opieczętowaną przewieziono niebawem do Gniezna. W Gnieźnie pochowano ją w sklepach kaplicy Potockich, w obecności ś. p. Arcybiskupa Wolickiego i licznego duchowienstwa. Protokóły tych czynności znajdują się w księgach kościoła św. Jadwigi w Berlinie i w archiwach kapituły Gnieźnieńskiej. Pamiątkowa więc tablica, a z czasem może grobowiec, czy pomnik najwłaściwsze miejsce mieć będzie w kaplicy Potockich. Ale kaplica ta na nieszczęście psuć się poczyna. Stiuk odpada. Teraz niewielkim kosztem możnaby wszystko naprawić. Spodziewać się należy, że rodzina Potockich, pomna na chlubę swego rodu, na Prymasa Potockiego, który tak ważną w dziejach naszych za panowania Augusta II i III odegrał rolę, a który w tej kaplicy spoczywa, że zwłaszcza tyle znana z swych patryotycznych uczuć czcigodna hrabina Arturowa Potocka i wnuk jej skorzystają z tej sposobności i zajmą się odnowieniem murów i tej kaplicy, zanim umieszczoną w nich zostanie tablica pamiątkowa Ignacego Krasickiego. Warto, aby obie rodziny porozumiały się wcześnie w tym względzie. W końcu posiedzenia wczorajszego ks. prof. Łukowski odczytał wiadomość o nieznanym Synodzie Jana Odrowąża Sprowskiego, arcybiskupa w Gnieźnie 1456 r. Bardzo to zdolny, uczony i pracowity kapłan. Odczyt więc wzbudził wielkie zajęcie.

P. Rogosz we włoskiej krainie. Szanowny redaktor *Tygodnia* w dniach młodości uszczęśliwił swoją bytnością klasyczną ziemię Italii, „*gdzie buja laur i cyprys cicho stoi*", i odtąd żyje wspomnieniami owych chwil błogich, które uważa za swoje *beaux jours d'Aranjuez*... Nie dziw więc, że pamięć tych czasów postanowił zakląć w dzieło trwalsze od spiżu, że swoje uczucia i wrażenia za-

---

[1]) Zasługa poruszenia tej sprawy należy się utalentowanemu pisarzowi naszemu panu Klemensowi Kanteckiemu. Gdyby nie jego artykuł umieszczony w *Ruchu Literackim* p. t. „Brak pamięci" niktby o tem dotąd nie pomyślał.

pragnął wylać na papier ku duchownemu zbudowaniu swoich czytelników. Jakkolwiek znakomity ten utwor oddawna już zdobi łamy jego pisma, wyznajemy z pokorą, że tylko ostatnie dwa, czy trzy numera mieliśmy szczęście przeczytać. Byliśmy przekonani, że dzisiejszy turysta *Tygodniowy* a słynny korespondent *Gazety Narodowej* z Włoch, nie mogą się bardzo między sobą różnić, bo pan A. J. O. *toujours le même*. Wyznajemy jednak, żeśmy się trochę omylili, bo tenże sam mąż przed kilku latami w organie p. Jana Dobrzańskiego zaręczał, że na wieczorach i recepcyach zwierzali mu się ministrowie i dygnitarze ze swych planów, traktując go jako *fratella* — teraz zaś tylko prefekci, wydający dzienniki przeciw własnemu rządowi, przemawiają doń: *Carissimo amico...*

P. Rogosz z uwielbieniem mówi o swoich bohaterach: Wiktorze Emanuelu, Cavourze i Garibaldim; na ich cześć pieje strzeliste ody. Jako mąż szlachetny i zacny, istna personifikacya prawości, daje zdradzieckiemu królowi patent na uczciwość (podobnie jak poprzednio jednemu z głośnych pisarzów, p. Zygmuntowi Miłkowskiemu), upewniając, że to „człowiek rzadkiej dobroci serca i zacności charakteru". Myślimy, że *Re Galantuomo* gdyby wiedział, kto go tak wysławia, wcaleby się z panegiryku nie ucieszył. Jest on dla pana R. ideałem monarchy, podobnie jak Cavour ideałem ministra dlatego, że obydwaj najniegodziwszą hipokryzyą dopięli swego celu. Polski turysta przytacza liczne przykłady tej obłudy i zachwyca się nią, jakby wzorem godnym naśladowania; słowem uwielbia w Wiktorze Emanuelu przypisywaną Jezuitom zasadę, „że cel uświęca środki". Nie przeszkadza mu to jednak uderzać na ostatnich. Jezuici nie wychodzą wcale z tej elukubracyi obronną ręką. P. Rogosz, wtajemniczony we wszelkie zakulisowe sprawy, opowiada, że „dawno opanowali" hrabinę Rosinę Mirafiori, ongi metresę królewską, ale niewzruszony jak skała *Re Galantuomo*, nie uległ jej perswazyom, aby zmienić swe postępowanie względem Kościoła — obojętnie też przyjął exkomunikę, którą wedle p. R. Ojciec Św. rzucił nań imiennie, „myśląc że tym czynem zabobonny naród włoski zrewoltuje". Czemuż jednak nie wspomniał nic o głośnym przed kilku laty wypadku, gdy Wiktor Emanuel śmiertelnie chory prosił telegraficzną drogą Piusa IX o rozgrzeszenie i złożył przyrzeczenie piśmienne, że po wyzdrowieniu wszystkie szkody Kościołowi wyrządzone naprawi. Wkrótce jednak, powstawszy z choroby, nietylko nie myślał o dotrzymaniu danej obietnicy, ale zrobił tak samo, jak ów Moskal, co w chwili niebezpieczeństwa ślubuje świeczkę świętemu, a po wyzdrowieniu śmieje się w kułak. Mimo to wszystko każe sobie wierzyć p. Rogosz, że Wiktor Emanuel „w duszy nie przestał być ani chrześcijaninem, ani nawet katolikiem" — że „nikt się na niego nie skarży, wszyscy go kochają", szczególnie płeć „słaba", za którą, dodaje cynicznie, „przepada" król Donżuan. Z rozkoszą też widzi jego umizgi do dziewcząt, sprzedających cygara, a gdy jakiś Neapolitańczyk opowiada o rozpustnem życiu naczelnika zjednoczonych Włoch, poczciwy p. Rogosz ze świątobliwem oburzeniem odzywa się:

— Zechciej mnie pan uwolnić od swojego towarzystwa, bo to mnie nie obchodzi...

Znakomitym jest także p. Rogosz w idealizowaniu swoich bohaterów. Wprowadza nam tutaj zarazem i niejakiego Scotazzi, postać światu nieznaną, lecz jak autor przysięga, bardzo wpływową, kochającą „Polskę stokroć (!) więcej, jak własnych ziomków". Widocznie poczciwy p. Scotazzi musi być jakiś *pizzigarolo*, kiedy p. Rogosza darzy szczególną przyjaźnią. Za jego to pośrednictwem

poznaje p. Rogosz niejakiego pana Augusta S., do którego oczywiście wielką czuje sympatyę. Pan S. natraciwszy wiele swoich i nieswoich pieniędzy, nażywawszy się tak, że „stracił apetyt i nie mógł krzepko chodzić", żebrze wsparcia u Emanuela, zakradłszy się chyłkiem do ogrodu. Winszujemy panu R. podobnych bohaterów, idealizowanych *con amore*. *Similis simili...*

Pobyt Stanleya w środkowej Afryce. Dziennik Daily Tel. dotrzymał przyrzeczenia. Podaje pierwszy z listów, które niedawno doszły go od Stanleya, wyprawionego jak wiadomo, kosztem prywatnym redakcyi dzienników Daily Tel. i N. J. Herald w podróż naukową do środkowej Afryki, w celu doprowadzenia do końca dzieła tak chwalebnie zaczętego przez Liwingstona. Wyprawa Stanleya ma za cel główny dokładne zbadanie owych wielkich zbiorowisk wody, które swe odpływy spuszczają Nilem do Śródziemnego morza. Pierwszy list Stanleya pisany był nad brzegami wielkiego jeziora Wiktorya Nyanca (to ostatnie słowo, pisze Stanley, podług brzmienia jego w ustach krajowców Niyanza) dnia 1 marca, we dwa dni po przybyciu wyprawy nad to jezioro. Z miejscowości Mywapwa, położonej jeszcze przy drodze do Uwyamyembe, zkąd Stanley ostatnią dał był o sobie wiadomość, wyprawa opuszczając znajome już Stanleyowi z dawniejszych podróży szlaki pustynne, ruszyła w kierunku północno-zachodnim i przebyła niezbadane dotąd wcale a rozległe obszary północnego Uzogo, zamieszkane przez różne dzikie plemiona o dziwacznych nazwach. Miejscami też przedzierać się musiała przez gąszcze trzcinowe, porastające przyległe wielkiemu jezioru okolice. W żywych barwach opisuje Stanley cierpienia, jakie odważna drużyna jego znieść musiała, przebierając się przez trzęsawiska wśród największych skwarów dręczona febrą i biegunką. Do trudności, jakie już sama przyroda owej krainy stawia podróżnemu, przyłączył się niedostatek, lubo chwilowy tylko żywności, zdrada ze strony wiarołomnych przewodników, osobliwie zaś nieufność lub otwarty wstręt krajowców do europejskich przybyszów, który raz nawet stanowczo mógł być zgubnym dla całej wyprawy. Opuszczona zdradziecko przez przewodników, zabłąkała się ona w formalnej puszczy trzcinowej, w nieprzeniknionych gęstwinach krzewu euforbii i akacyi, które przebywać musiała pełzając po ziemi i torując sobie przejście nożami. Walka z dzikiem plemieniem murzyńskiem Waturu, spowodowana chciwością murzynów, skończyła się klęską napastników. Większą część ich osad obrócono w perzynę i zabrano ich trzody. Była to jednak i dla drużyny Stanleya ciężka przeprawa; straciła ona bowiem ze zbrojnego pocztu murzynów, który stanowił jej konwój, 21 ludzi. Tych kilku Europejczyków składających wyprawę, we wszystkich tych znojach i niebezpieczeństwach okazało największą wytrwałość i moc ducha. Natomiast wielu z Zanzibarczyków i murzynów uległo pod nawałem trudów. W miarę, jak znikała wątła ich siła moralna, zapadali także fizycznie i ginęli po drodze. Przyczyniły się do tego nie mało także zabójcze choroby afrykańskie. Gdy przeto Stanley przybywszy nad jezioro Nyanza, przeliczył swą drużynę, znalazł, iż z liczby przeszło 300 ludzi, z którymi podjął wyprawę, pozostało tylko 166 bądź to zbrojnych, bądź luzem idących murzynów i trzech Europejczyków. Z angielskich swych towarzyszy utracił Edwarda Pecock, który zmarł podczas pochodu i Fryderyka Barkera, który już nad jeziorem dokonał życia. Droga, jaką przebyła wyprawa Stanleya wynosiła 720 mil angielskich. List Stanleya doszedł

do Europy przez kramarzy arabskich. Inne zresztą wiadomości o sobie oddał Stanley z prośbą o wyprawienie ich do p. Bellefonds w rezydencyi Mtezy u źródeł Wiktorya-Nilu. Ów p. Bellefonds jest oficerem francuskim w wyprawie afrykańskiej pułkownika Gordona; wiadomości jednak, o których mowa, nie doszły dotychczas do Europy. W drugim liście Stanleya, dotąd jeszcze nie ogłoszonym, ma być zajmujący opis jeziora Wiktorya Nyanza, które nieustraszony podróżnik opłynął w około na przenośnej łodzi Alice, zabranej tym celem z Europy. Transport statku tego na jukach nie mało także przyczynił się do uciążliwej podróży. (*Kur. Pozn.*)

— Gabinet zoologiczny warszawski znacznie się ostatniemi laty zbogacił darami rodaków rozrzuconych po świecie, od Algieru do Kamczatki i za Atlantykiem. *Gazeta Polska* podaje niejakie szczegóły o darach nadesłanych temu zbiorowi. Od r. 1866 do 1870 p. Jelski zbierał kosztem hr. Konstantego Branickiego okazy w Gujanie francuzkiej i przysłał trzysta kilkadziesiąt gatunków ptaków, wielką liczbę zwierząt ssących, ryb, płazów, gadów, owadów, ssących zwierząt koło 50. Od r. 1870 przebywał p. Jelski aż dotąd w Peruwii, zkąd nadesłał 500 gatunków ptaków, z których 80 wcale nieznanych i dopiero w Warszawie przez p. Taczanowskiego opisanych; między zwierzętami ztamtąd przysłanemi jest jeden gatunek nieznany dotąd, nazwany *Dynomis Branickii;* przytem zbiór pająków bardzo obfity. Od 11 lat pp. Dybowski i Godlewski, przebywając w Azyi nad Bajkałem, w środkowej i wschodniej Syberyi aż do Kamczatki, zasilają gabinet warszawski rzadkiemi okazami. Od nich otrzymał gabinet około 400 gatunków ptaków, zbiór jaj, wielką liczbę zwierząt ssących, między któremi okazałe tygrysy, dalej gadów, płazów i owadów, ryb morskich, jeziorowych i rzecznych, uklasyfikowanych przez p. Dybowskiego, wreszcie osobny zbiór skorupiaków w 120 gatunkach z dokładnym ich opisem. Dzieło p. Dybowskiego o skorupiakach znalazło w świecie uczonym całej Europy uznanie. Dalsze zbiory zawdzięcza gabinet warszawski podróżom hr. Branickich w Afryce północnej; pierwsza podróż hr. Konstantego i Aleksandra Branickiego z profesorem Wagą odbyła się r. 1863, w drugiej brał udział kustosz dzisiejszy gabinetu p. Łuczanowski i Dr. Dziedzicki. Nadto hr. Konst. Branicki nadesłał zbiór ryb z morza Śródziemnego. Znaczne okazy otrzymał gabinet także od ks. Władysława Lubomirskiego. W ogóle przed kilkunastu laty posiadał gabinet warszawski 930 gatunków ptaków; obecnie ma ich 3400. (*Czas.*)

Z Monachium odebraliśmy długą i ciekawą korespondencyę, której jednakże dla braku czasu w całości podać już nie możemy. Przytaczamy z niej wyjątek: Co się działo po sejmie? Rezolucya królewska została przyjętą przez obóz liberałów i ich prasę z ogromnym oklaskiem. Po całej Bawaryi, a nawet po całych Niemczech poczęła się agitacya ze strony liberałów. Był projekt ogłoszenia tego po wszystkich gminach plakatami, jednakże zaniechano tej myśli zapewne z powodu obawy wywołania za bardzo wielkiego wrażenia i ograniczono się na ogłoszeniu po wszystkich gminach. Oczywiście urzęda miejscowe nie zaniedbają dokonać tego w taki sposób, iżby się to równało plakatom. Parę razy zdarzyło się, że nie w ratuszu ale przed kościołem była przeczytaną owa rezolucya. Następnie ze wszystkich stron posypały się adresy dziękczynne do króla. Powiadają, iż suma ich tak z Bawaryi jak i z całych Niemiec dochodzi

do 100.000. Liberali monachijscy chcieli urządzić królowi pochód z pochodniami. Król jednak odrzucił propozycyę. Zadowolnili się więc adresem, który, prawdę powiedziawszy, daje smutne świadectwo liberalizmowi Monachium. Na 150.000 stałych mieszkańców — przejezdnych nie liczę — zebrało się ledwo koło 9.000 podpisów. To zanadto mało wobec ciągłych wygłaszań, że całe Monachium należy do liberałów. Co o tej całej sprawie da się powiedzieć? Król wprawdzie nie przyjął owacyi liberałów lecz adres, powiadają na pewno, został przyjętym. Nie ogłoszono rezolucyi króla plakatami, lecz dość że ogłoszono. Jakby na te sprawę nie patrzeć, faktem jest, że król Ludwik, choć tego słowami nie wyrzekł, w rzeczywistości jednak stanął po stronie liberałów po stronie mniejszości narodu, a w opozycyi do ogółu. Dziwne podobieństwo ostatnich dziejów Bawaryi z rozbiorowemi dziejami Polski. Rok 1871 i dysputa nad traktatami Wersalu, to nasz sejm Grodzieński. Jörg, Freitag i całe stronnictwo wiernych mandatom posłów to opozycya Rejtana. Poczęły się potem lata gospodarki pruskiej, jak u nas moskiewskiej. U nas stanęła konfederacya barska zrekrutowana przeważnie na wsi; w jej kole były lica opalone od słońca, podgolone głowy, wąsy sumiaste, a serca i ręce choć szorstkie, lecz prawe, czyste, a gorące. Taką dzisiejsza prawica w sejmie Bawaryi — przeciwko niej stoi falanga modnie odzianych liberałów, grożąca bagnetem Prus. Tak przeciw konfederacyi barskiej stała partya przyjaciół Rossyi w upudrowanych perukach, bawiąca się po salonach Warszawy. I tu i tam król bez energii, bez siły, w sprzeczności z większością narodu. Jak ongi po owym zamachu na króla opinia brukowa Warszawy wysilała się, aby obrzucić błotem konfederacyę, i przedstawić ją jako barbarzyńców, tak i dziś po owem zajściu w sejmie gwałt podniesiono na brak ukształcenia, na barbarzyństwo ultramontanów. Puszczono nawet fałszywą pogłoskę, że książę Luitpold stryj króla, znany bardzo ze swego katolicyzmu, miał wyrazić się w pewnej rozmowie „ha! z temi ludźmi nie można rządzić“, Fałsz wierutny! Luitpold przyjmował deputacyę od sejmu, oczywiście złożoną z prezydyum, które należy do prawicy. Z tymi ludźmi żyć i rządzić można! Kto widział pierwsze sesye, ten się przekonał, jak ci ludzie są cisi i spokojni, jak biedny chłopek, idąc do sali sejmowej, kłaniał się nisko nawet szwajcarowi u drzwi, co z obowiązku wita każdego posła stuknięciem laski o podium. Chłopek poseł w swym surducie z pracowni wiejskiego krawca czuł się żenowanym przed szwajcarem w galowej pięknie zrobionej liberyi. Było cicho, aż pokąd prasa liberalna, ta — jak mówił Staufenberg — „klątwa tej izby i tego narodu“ nie rozniecila iskry, nie rozpaliła pożaru. „Przekleństwo kłamstwu“, że z temi ludźmi żyć i rządzić nie można, byle w spokoju, byle nie drażnić. To materyał nowy, palny jak proch, trzeba tylko umieć go użyć. W uczciwym ręku on rozsadzi skały na części, a z tych kamieni powstanie dom — zbrodniarzy ręka tąż siłą wysadzi dom ten w powietrze.

Sprawa biskupa Regensburgu Senestrey'a z Lutzem jeszcze nieskończona, pan minister bardzo źle z niej wyjdzie.

W ostatnich dniach cała uwaga tak liberałów jak i katolików zwróconą była na podanie ogólne biskupów Bawaryi do króla, zanoszące skargę na ministeryum względem sprawy starokatolików, sprawy szkół wychrześcijanionych i względem groźby zniesienia klasztorów. MICHAŁ ŻMIGRODZKI.

Ze Lwowa. Zanim podamy obszerniejszy nekrolog o zmarłym śp. Grozie, poecie i pisarzu ukraińskim, złożyć nam tu należy cześć jego pamięci. Śp. Groza, acz nie należał do tych ludzi, którzy talentami swemi nietylko olśniewają współczesnych ale i na przyszłe jeszcze czasy rzucają jasne promienie płonącego światła ich geniuszu, był jednak mężem cnoty, nieskazitelnego charakteru i obywatelem, oddanym całą duszą swojej ojczyźnie. Śmierć więc jego przyniosła niemałą społeczeństwu naszemu na Ukrainie stratę.

— Nie wiedzieliśmy, że probierzem patryotyzmu polskiego ma być policya, a jej orzeczenie ma dowodzić, kto jest patryotą i w czem tkwi patryotyzm. Oczywiście, że w takim razie pismo, które dotąd pobierało osiem tysięcy guldenów rocznego zasiłku z gadzinowego funduszu z Wiednia, musiałoby być *par excellence* patryotycznem. Takby się przynajmniej zdawało, skoro *Dziennik Polski* w Nr. 241, mówiąc o *Dramacie bez nazwy*, dodaje: sztuki tej „cenzura rządowa grać nie pozwoliła z przyczyny, że podobnie jak *Teka Stańczyka* oburza święte uczucia Polaka (np. pp. Lama, Rogosza, Rewakowicza i Romanowicza) plugawi i ośmiesza tych, co w poczuciu świętej miłości nie żałowali krwi (np. wyż wspomnione osobistości) i mienia". *Sic!* Policyant tedy uosobieniem patryotyzmu polskiego. *Brawo!* redaktorzy *Dziennika* patryotami. I któżby o tem mógł wątpić?...

— Od jakiegoś już czasu podają *Wiadomości Kościelne* nadobnem piórem napisany artykuł p. t. „Wymowa i poezya ksiąg świętych". Otóż w ostatnich czasach autor wspomnianego artykułu ks. Antoni Królicki umieścił między innemi bardzo piękny wiersz p. Władysława Bełzy, który tutaj przytaczamy:

HYMN MOJŻESZA.

„Zaśpiewał tedy Mojżesz i synowie Izraela tę pieśń Panu". (Ex. XV, 1 — 18).

Z głębi piersi, radością i szczęściem wezbranej,
Zaśpiewał tedy Mojżesz pieśń Panu nad Pany —
Pieśń, co biegła w zawody z wdzięcznych ust tysiąca,
Z poświstem burzy morskiej, co brzegi roztrąca.

Śpiewajmy Panu swemu — niechaj imię Jego
We czci serce uwielbia, w chwale wargi strzegą;
Niech czczą Pana przykładnie w dnia i nocy porze,
Jeźdźce bowiem i konie jak grom zwalił w morze.

„Wszechmocny" imię Jego! On jak mąż waleczny,
Wzniósł w prawicy pogromu oręż obosieczny;
I wozy Faraona i książęta celne
Strącił w morza krwawego czeluście śmiertelne.

Gdzież są ci, coć bluźnili, Boże Izraela?
Prawica Twa zwaliła z nóg nieprzyjaciela,
A na tych, co wzywali Twe gniewy widome,
Spuściłeś gniew, co zżarł je, jako ogień słomę.

Wróg w pogoń się za nami puścił jako mrowie,
Lecz Tyś wody rozdzielił po równej połowie;

Skupiły się głębiny, a woda płynąca
Zwarła się — jako skała granitu sterczącą.

I kędy kroczył środkiem lud Twój, Panie wierny,
Orszak faraonowy nadciągał niezmierny,
I wołał tuż za nami, wznosząc groźne miecze,
Że niemi łup podzieli, a męże wysiecze.

Lecz oto wiatr gwałtowny uderzył od brzegu,
I dwie fale, dwa prądy, powstrzymane w biegu,
Zerwały się na siebie z siłą bezprzykładną,
I wroga jako ołów pogrążyły na dno!

Któż podobien jest Tobie, Panie wsród mocarzy,
Kto z Tobą w wielmożności porównać się waży?
Kto w świętości Ci sprosta, dosięże ramieniem?
Pan moc moja i chwała — Pan mojem zbawieniem!

Któż podobien jest Tobie, o Boże prawdziwy,
Wielki, straszny, wielmożny i czyniący dziwy?
Niech świadczy Tobie morze i szum wichrów dziki,
I przepaść, co z Twej woli pożarła grzeszniki!

Byłeś wodzem ludowi w dniach jego zarania,
Niosłeś go w mocy Swojej do Twego mieszkania —
Ruszyły się narody, ale rychło oto
Cofnęły się strwożone niemocy sromotą.

Gdzież są mocarze Edom, Moab, Chanaanu,
Gdzież są ci, co szli walczyć naprzeciwko Panu?
Gdzież są wrogowie nasi — hardzi, krwi łakomi?
Oto jakby kamienie padli nieruchomi!....

Aż przejdzie lud Twój po nich, lud przez Cię wybrany,
Wprowadzisz go do ziemi, ojcom obiecanej;
Osadzisz na dziedzictwa należnego tronie,
W świątnicy, którą Twoje umocniły dłonie.

Chwalmyż Pana przykładnie kadzidłem i pieniem!
Pan moc moja i chwała, Pan mojem zbawieniem!
Niech dusza moja Pana w tem dziedzictwie chwali,
Kędy będzie królował na wieki i dalej...

— Katolicy we Francyi dają doprawdy wzór całemu katolickiemu światu ze swej energii i niesłychanej ofiarności dla spraw Kościoła i społeczeństwa. Niedawno, bo zaledwie kilka temu miesięcy, uchwalonem zostało prawo wolnego wyższego nauczania, aliści w mgnieniu niemal oka, powstaje pięć naraz uniwersytetów katolickich: w Paryżu, Lille, Angers, Lyonie i Tuluzie, nie mówiąc już o projektowanych uniwersytetach w Marsylii i Bordeaux. Pierwsze miejsce zajmą niezawodnie uniwersyteta w Lille i Paryżu. W pierwszem szczególnie mieście najhojniej uposażonym zostanie ten na wskróś katol'cki instytut,

samo bowiem duchowieństwo z jednej tylko dyecezyi Cambrai zobowiązało się przez lat dziesięć składać rok rocznie 578 tysięcy franków. Dzienniki zaś katolickie ustawicznie krom tego zbierają składki, wśród których obok skromnych datków francuzkiego chłopa, znajdujemy nieraz ofiary od jednej tylko osoby wynoszące po dwadzieścia, a nawet i więcej tysięcy franków. Oto katolicy!... W Paryżu w gmachu Ecôle de Carmes rozpoczęte już zostały prelekcye w uniwersytecie katolickim na wydziale prawnym. *L'Univers* ogłosił listę wszystkich niemal profesorów. Są to ludzie, którzy do dziś dnia uchodzili za powagi naukowe, lub zajmowali najwyższe miejsca w świecie prawniczym.

— W Anglii ruch ku katolicyzmowi tak wielkie przybiera rozmiary, że każdego niemal miesiąca można czytać w dziennikach, o przejściu jakiegoś anglikańskiego duchownego na łono Kościoła W ostatnich np. czasach dziennik *l'Univers* wyliczył 25 tego rodzaju wypadków.

Z dyecezyi Przemyskiej. W bardzo ciekawej encyklopedyi ks. Mignego o liturgii katolickiej, czytam w artykule o święceniach kapłańskich szczegół wyjęty z dykcyonarza Lacroix, a tyczący się Greków schyzmatyków. Powiada Lacroix, „że u tych święcą biskupi bardzo młodych chłopców na kapłanów. Po 40dniowem przygotowaniu się w cerkwi do tego Sakramentu, otrzymują presbyteryat od biskupa, któremu za tę łaskę płacą 10 sous, blisko 8 kopiejek. Po primicyach, czyli po pierwszej mszy nowo wyświęconego, bywa uczta w domu jego, podczas której małżonka primicyanta siedzi na podnóżku z oczyma zasłonionemi i zawiązanemi usty, na znak, że niewiasta nie powinna się mięszać do sprawy kapłańskiej męża swego".

Wyżej przytoczone słowa, w jakże wierny niestety sposób przedstawiają nam stan unickiej u nas cerkwi. Od czasu bowiem wywołania z ciemnic stronnictwa polityki moskiewskiej, które się zszeregowało pod cieniem cerkwi św. Jura i pod pastorałem ks. Jachimowicza działać poczęło, sama cerkiew unicka, w władykach swych reprezentowana, przedstawia się całemu światu katolickiemu jak owa popadia, której oczy i usta przytkano, aby nie patrzyła na sprawki *boryteli*, świętojurskim kwasem zarażonych, i milczała nawet wtedy, kiedy lud wierny protesta zanosił przeciwko schyzmatyczeniu liturgii świętej. Krom zbytnio bladych kilku odezw, których dziekani nie rozsyłali albo rozsyłając dodawać mieli uwagi, że to się dzieje tylko *pro foro externo*, nic nie uczyniono celem zatamowania owego prądu, który z Synodu petersburgskiego i z komitetu sławiańskiego wieje na naszą Unię.

Nawet się nie znalazło na tyle męztwa w władyctwie galicyjskiej Rusi unickiej, żeby owieczkom i kapłanom swoim przedstawić heroiczną wiarę i miłość Unii, któremi zajaśnieli księża i wierni w dyecezyi Chełmskiej. Ztąd się dają słyszeć głosy nietylko między klerem wiejskim, ale i między kryłoszanami że to, co się na Podlasiu dzieje, jest Nemezis dziejowa za rugowanie obrzędów starożytnych i zabieranie cerkwi ruskich. „Starożytność, starożytność — powiada Melecyusz Smotrzyski, arcybiskup Połocki — a oni w nowożytności po szyję. Daj Panie Boże starożytność: i my o to Pana Boga naszego ustawicznie prosimy. Ale rzeczą starożytność, a nie słowy, istotą, a nie mniemaniem i tym omylnym. Zaś jedność cerkiewna nie jest starożytna? Cóż nad nią w Chrześcijaństwie starożytniejszego? O cóż się śś. Ojcowie naszy po wszystkie przeszłe pomiestne i powszechne Synody najbardziej uganiali, jeśli nie o tę zbawienną starożytność? Rozerwanie cerkiewne oni nowożytnością sądzili, a jedność cerkiewną starożytnością" [1]).

Takby należało i teraz wołać do sojuszników i tajemnych adoratorów apostaty Popiela, gdyby się znalazła u nich wiara w jeden Kościół święty, powszechny i znajomość Ojców śś. Ale, niestety, tym panom właśnie na tych zbywa skarbach, a przedewszystkiem rażąco się objawia u nich brak wiary. Ztąd się tylko da wytłumaczyć owa zaciekłość w niszczeniu świętych obrzędów dla odróżnienia cerkwi unickiej od schyzmatyckiej postanowionych. Ztąd owa zapamiętałość w propagowaniu tych, które Moskwa przez Bazyliana Terleckiego dziś prawosławnego czerńca, tutaj zalecała. Powiadano mi, że nawet w katedralnych świątyniach pojawiły się były kolorowe alby i że jeden z dziekanów bardzo się zasłużył około rozszerzenia tych innowacyj.

Lecz jakkolwiek trudnem jezt zadanie przewielebnych władyków do czuwania nad klerem swoim i kierowania nim za pomocą dawnych dziekanów, a po większej części promotorów owej inklinacyi do liturgii schyzmatyckiej toż wypadało także wziąść pod rozwagę godziwość zakładania banków, które się przyczyniają do wywłaszczenia biednego i ciemnego ludu naszego z roli i chaty. Prawo kościelne zabrania kapłanom trudnić się taką spekulacyą, a gdyby w sercu owych grinderów była choć iskierka miłości dla ludu, o której szeroko lubią rozprawiać, niezawodnieby umyli ręce, a z otrzymanych zysków utworzyliby oprócz fundacyi dla ubogich, bodaj jedną mszę św. za duszę metropolity Litwinowicza, który był głównym autorem banku włościańskiego i ciężko odpowie przed Bogiem.

ŚWIĘTOPIETRZE.

We wszystkich niemal katolickich krajach przed zbliżającemi się świętami Bożego Narodzenia zbierają zwykle pomiędzy sobą katolicy ofiary świętopietrza, które składają później na kolędę u stóp Papieża. I my z biednej Polski naszej pragnęlibyśmy chociaż szelążek dorzucić do tych licznych darów, jakie złożone zostaną Ojcu Św. zniewolonemu dzisiaj tylko z jałmużny wiernych zaopatrywać wszystkie potrzeby Kościoła, utrzymywać seminarya, liczne dobroczynne zakłady i rozrzucone po całym świecie missye. Niestać nas na złoto, a więc w takim razie — za przykładem owego pastuszka, który, jak śpiewa nam lud polski w rzewnych a tak przedziwnie pięknych kantyczkach, nie mając już co ofiarować Maleńkiemu

---

[1]) *Paraenesis abo Upomnienie od w Bogu Wielebnego Meletiusza Smotrzyskiego do Przezacnego Bractwa wileńskiego, Cerkwi Ducha św., a w osobie jego do wszystkiego tej strony narodu ruskiego uczynione. Anno 1628 Decembr. 12.* (W Krakowie w Druk. Andrzeja Piotrowczyka r. 1629).

Jezusowi, sukmankę Mu rzucił — i my ponieśmy Ubogiemu Jezusowi, w osobie Jego Namiestnika, bodaj denar jeden, denar łzami i potem naszym skropiony. Niech on świadczy o naszej wierze, miłości i przywiązaniu do stolicy Świętej.

NA KOLENDĘ

dla

Ojca Św. Papieża Piusa IX

Nieustraszonego Obrońcy Prawdy i Prawa

Ojca i Przyjaciela Uciśnionej Polski

złożyli w redakcyi:

Tu es Petrus et super hanc petram aedificabo Ecclesiam meam.

Ks. Edward Podolski.		5 złr.	— ct.
Współpracownicy *Przeglądu*		5 „	— „
P. Błudnicki z Halicza		10 „	— „
Panny Wizytki z Krakowa	2 dukaty w złocie	— „	— „
Panienki z konwiktu pp. Wizytek z Krakowa	5 franków i	13 „	— „
Ks. A. D.		14 „	— „

Od ludu polskiego Ojcu Świętemu

Ks. Kalikst Turkuł proboszcz z Jazłowca ze składek zebranych w dzień Wszystkich Świętych po udzielonem przez Niego po powrocie z Rzymu Apostolskiem błogosławieństwie		65 „	— „
Ks. Kalikst Turkuł od jednego ze swych sąsiadów	25 dukatów w złocie	— „	— „

Szymon umiera, Piotr nie umiera

N. N.		6 „	— „
Kinasowicz	jeden talar w srebrze	— „	— „
Ks. Koczoń		1 „	— „
Ks. Wolski w Zgórsku		5 „	— „

Razem dukatów 27, franków 5, 1 talar i 124 złr. — ct.

Korespondencya Redakcyi.

W. X. N. Artykuł *Sobańscy* wyjęty został z zapisków poważnego kapłana ks. A. Tomickiego. — Państwa Sobańskich nie mamy przyjemności znać, o dworactwo posądzić nas mógłby chyba *Dziennik Polski*. Zresztą za szczegóły w artykule odpowiedzialnym być może tylko jego autor.

W. Panu Żupańskiemu w Poznaniu. Prenumerata ogłoszoną jest na okładce każdego poszytu. Dla Poznańskiego i Prus talarów 8 rocznie — Od pp. księgarzy nie bierzemy więcej.

W. p. Daszkiewicz w Poznaniu. Przypominamy się poraz trzeci.

W. ks. M. W. w Poznańskiem. Ani nam przez myśl nie przyszło, abyśmy mogli ubliżyć ks. Kujotowi podaniem krytyki na Jego cenne bardzo dzieło, które tak gorąco kilkakrotnie zaleciliśmy. Ks. Kujota szanujemy, a dla jego pracy i rozległej nauki mamy cześć głęboką.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor ks. Edward Podolski.

Rok V — Zeszyt 23. **1 Grudnia 1875 r.**

„. . . *Strenue igitur discutere perge tenebras errorum, liberalismum urge, eumque praesertim, qui moderationis velo obductus insano nisu verum cum falso, Christum cum Belial componere conatur*“...

„. . . Nie przestawaj więc rozpraszać ciemności błędów, na liberalizm nacieraj, a osobliwie na ten, który pod osłoną moderantyzmu chciałby w daremnem usiłowaniu fałsz z prawdą, Chrystusa z Belialem pogodzić“.

(Słowa OJCA ŚW PIUSA IX w trzecim liście do REDAKTORA *Przeglądu* z dnia 11 Października 1875).

Starożytność Człowieka

wedle archeologii, paleontologii i geologii.

(Ciąg dalszy).

(L'ancienneté de l'homme, prouvée par la géologie et remarques sur les théories relatives à l'origine des espèces par variation par sir Charles LYELL, traduit par M. CHAPER. Deuxieme édition, revue annotée et augmentée d'un Précis de *Paléonthologie humaine* par E. Th. HAMY, docteur en médecine. Paris, 1870. — P. GERVAIS. *Recherches sur l'ancienneté de l'homme et la période quaternaire.* Paris, 1868. — Ed. LARTET. *Nouvelles récherches sur la coexistence de l'homme et des grands mammifères réputes caractéristiques de la dernière période géologique* w *Annales des sciences naturelles*, 4 serya 1861. — G. de MORTILLET. *Matériaux pour l'histoire positive et philosophique de l'homme*, 1864—1874. — C. VOGT. *Leçons sur l'homme* Paris, 1865 in 8vo. — CHABAS. *Etude sur l'antiquité historique, d'après les sources égyptiennes et les monuments réputés préhistoriques.* Paris. 1871. — *Les origines de la terre et de l'homme, d'aprés la Bible et d'aprés la science,* par l'abbé FABRE d'EUVIEU, Paris, Thorin, in 8vo. 1873 i t. d.).

IV.

Nie wszyscy geologowie i przyrodnicy zgadzają się z sobą w kwestyi chronologii pokładów ziemi i wykopalisk. Jedni tak, drudzy wręcz przeciwnie utrzymują. Niema między nimi zgody, kiedy się skończyły czasy trzeciorzędne, w jakiej chwili rozpoczął się i zakończył okres czwartorzędny, a co się już tyczy chronologii pokładów, historyi kwiatów, zwierząt w nich istniejących i rozpoczęcia się teraźniejszego okresu, tyle jest niemal zdań, ile głów. Istna wieża Babel. Mimo tego jednak zamętu w zdaniach, uszanujemy ich nauczanie, idąc w ślad za Doktorem Anielskim, który uczcił był pisma Arystotelesa, podnosząc jego system i naukę, aczkolwiek nie zajmowały się one wcale bożemi prawdami ani zmierzały do celu wytkniętego przez świętego Doktora. Nie możemy tu jednakże przytaczać tej mnogości sprzecznych z sobą wyroczni, przez tych uczonych wypowiedzianych i to w sprawie jednej niemal kwestyi, chociaż o rozmaite

potrącali przedmioty. Kilka jednakże ważniejszych szczegółów podjąć nam wypada, a te aż nadto usprawiedliwią to, cośmy powiedzieli.

Badając zjawiska, które się powinny były zacząć razem z teraźniejszym okresem i których bieg stały może być objęty miarą zbliżoną do prawdy, Deluc, Dolomien i Cuvier doszli do tego wniosku, że okres geologiczny teraźniejszy nie powinien być bardzo dawny i zdaje się, że nie przechodzi liczby pięciu do sześciu tysięcy lat! Aliści Eliasz Beaumont, znany z badań swych nad chronometrami naturalnemi, powiedział: Deluc i p. Cuvier utrzymywali, że płaszczyste wzgórza wzdłuż brzegów morskich stanowią prawdziwy chronometr..., tymczasem ogólny pogląd na zjawiska doprowadza do innego zdania, mianowicie, że wszystkie te wzgórza w wielu miejscowościach uformowały się w jednym i tymże samym czasie, a czasem tym jest początek teraźniejszego okresu. Prawda, że w pewnej szerokości pasów, jaką te wzgórza zajmują, widzieć się zdaje, jakoby chwila, w której ten ruch rozpoczął się, nie była zbyt oddaloną, zaledwie kilka tysięcy lat wynosząca. W chwili tej rozpoczynałby się okres teraźniejszego peryodu. Ale jedna mała okoliczność przeczyć się temu zdaje. Przy ujściach wielu rzek, w kawałkach ziemi między ich ramionami zamkniętej, porobiły się niedawno przerwy przez ich wybrzeża, co jasno także dowodzi, że obecny stan rzeczy na powierzchni kuli ziemskiej nie bardzo jest dawny... Gdyby więc stan obecny zaczął się, jak chcą, od wielu tysięcy lat, w takim razie łańcuch tych wszystkich wybrzeży powinienby być dawno przerwany. A więc nic a nic nie doprowadza nas do wniosku, jakoby kliny tej ziemi między odnogami rzek przy ich ujściu robić się poczęły przed wielu już tysiącami lat. Kliny te, przy ciągłem ich wzrastaniu, równie jak pagórki płaszczyste nad brzegami morza, stanowią rodzaj naturalnego chronometru; a choć wskazówki podawane przez nie są może mniej dokładne, jak te, których dostarcza badanie wzgórz piaszczystych, jednak zgodność tych dwóch zjawisk godną jest uwagi. Chociaż tedy prawdą jest, że tworzenie się klinów ziemi przy ujściach rzek oraz wzgórz wzdłuż brzegów morskich rozpoczęło się jednocześnie, ale obliczenie czasu, w którym się robić zaczęły, jest bardzo niedokładne. Zdaje mi się więc, że okres teraźniejszy, który jest razem okresem klinów ziemi i wzgórz wspomnianych, rozpoczął się w czasie nie bardzo od nas odległym [1]).

[1]) *Leçons de géologie pratique*, T. I, pag. 218—220, 517—520.

Pan Lyell utrzymuje przeciwnie. „Kliny ziemi, mówi on, przy ujściu rzeki Missisippi zaczęły się tworzyć pewnie więcej jak od stu tysięcy lat, podług wszelkiego obliczenia“ [1]). Jednakże nie chce on stanowczo wyrokować, czy to tworzenie się całe, lub w części tylko, należy do obecnego okresu [2]).

Pytanie tedy, czy rodzaj ludzki rozpoczął jednocześnie rozwijać się z tem tworzeniem się klinów ziemi przy ujściu tej rzeki? — wprawdzie Lyell tego wcale nie dowodzi, ale nasuwa jednakże tę myśl; najśmielsi zaś z jego uczniów nauczali już tego, jako rzeczy nie ulegającej zaprzeczeniu.

Doktor Dowler miał znaleźć, jak mówią, w jednym z takich zagięć się rzeki Missisippi szkielet człowieka, któremu przypisuje czas istnienia co najmniej od pięćdziesięciu tysięcy lat. Lyell uważa to jednak za zdanie paradoksalne i mówi: „nie mogę żadną miarą wytworzyć sobie pojęcia o prawdziwej wartości rachunku chronologicznego, zrobionego przez Doktora Dowler“ [3]).

P. Marcou przypuszcza, że wiek czyli czas trwania ujścia rzeki Missisippi daje nam miarę dawności okresu geologicznego, w którym żyjemy i przepowiada, że „za pomocą dalszych, następnych badań dojdzie się do cofnięcia więcej jeszcze wstecz starożytności teraźniejszego okresu“. Podług niego, „wiek tego ujścia liczy co najmniej sto pięćdziesiąt osiem tysięcy lat“ [4]) i dodaje, że „rodzaj ludzki istniał już od niedających się stanowczo obliczyć czasów, przez ciąg wieków nieobliczonych okresu czwartorzędnego żył już człowiek z niedźwiedziami jaskiniowemi, później z mamutami, a dalej z reniferami“. Otóż taką jest próbka odkryć geologicznych, które podają do wiadomości w imieniu nauki!...

Podobnie jak Marcou, także K. Vogt przypisuje klinom czy zagięciom lub nasypom ziemi przy ujściu Missisippi starożytność 158.400 lat i wspomina o obliczeniu lat przez Dowlera w sprawie szczątków ludzkiego szkieletu tam znalezionego a następnie taki wyprowadza wniosek: „A więc... starożytność tego szkieletu sięga 57.600 lat. Podstawy zaś tego obliczenia są tak jasne, że nie można żadną miarą zarzucić liczbie tej nieprawdopodobieństwa“. Pokazuje się tedy, „że te resztki ludzkie są z daty o wiele dawniejszej, jak siekiery z krzemienia i szczęka z Amiens albo czaszki z jaskiń bel-

[1]) *L'ancienneté de l'homme*, pag. 49.
[2]) Tamże, pag. 50.
[3]) Tamże, pag. 50.
[4]) *Bulletin de la société geologique de France, 2 Serie*, T. XII, pag. 911.

gijskich“ [1]). W każdym razie „wyznać należy, że wszelkie usiłowania robione dotąd dla ustanowienia środka na chronologiczny wymiar czasu upłynionego od pojawienia się człowieka na ziemi, żadnym dotąd nie zostały uwieńczone skutkiem“ [2]).

Dzieło wydane w r. 1861 przez Humphreys'a i Abbot'a, poucza nas w sposób poważniejszy o prawdopodobnej historyi rzeki Missisippi [3]). Dzieło to jest wynikiem prac dokonanych przez ciąg lat kilku w skutek rozporządzeń rządu Stanów Zjednoczonych; wszelkie środki poszukiwań zostały użyte: ogólny przegląd praw hydrauliki, badanie gruntu geologiczne i mineralogiczne, badania szczegółowo podjęte o ilości części składowych, błotnistych i piaskowych, zostających w wodzie rzecznej i t. d. Owoż wszystkie te badania, prowadzone z wytrwałością najusilniejszą, stwierdziły zdanieogłoszone przez Eliasza Beaumont, a przeciwne są mniemaniu M. Lyell'a. Według obliczeń Humphreys'a i Abbot'a, upłynęło dopiero cztery tysiące czterysta lat od czasu, jak rzeka posuwa się ku zatoce meksykańskiej [4]).

Torfowiska dały podobnież powód do obliczeń chronologicznych nadzwyczaj z sobą niezgodnych i w ogóle zgadzają się uczeni na to, że mogą one wprowadzić w błąd tych, którzy za chronometry do wymiaru czasów przedhistorycznych torfowiska uważają. „Nie wiemy, mówi sam K. Vogt [5]), w jakim przeciągu czasu pokład torfu na grubość jednej stopy może być uformowany; nie mamy także żadnego naukowego punktu oparcia, z którego możnaby obliczyć postęp formacyi torfowiska w pewnym danym czasie. Postęp ten musi być różny w stosunku do różnorodności torfowisk, a nawet w miejscu, w którem torf się znajduje, musi się układać odmiennie od innych. Nie trzeba przytem i o tem zapominać, że „różnice w wilgoci klimatu, wysokość i długotrwałość upałów w lecie, mrozów w zimie,

[1]) *Leçons sur l'homme*, pag. 427—431.

[2]) *Leçons sur l'homme*, pag. 427.

[3]) *Report upon the physies aud hydraulics of the Missisippi river etc. (Philadelphia 1861).* Pp. Humphreys i Abbot jako inżynierowie należeli do korpusu inżynieryi amerykańskiej.

[4]) Pp. Humphreys i Abbot sądzą, że powyżej ujścia rzeki Ohio mogło istnieć wielkie jezioro. Jezioro to, do którego wpływały rzeki Missouri, Illinois i Missisippi wyższa, przyjmowało w siebie większą część przedmiotów osadzających się z wody, które teraz spływają do zatoki meksykańskiej. Pismo *la Revue Catholique*, wychodzące w Louvain, ogłosiło w Lipcu 1867 rozbiór szczegółowy dzieła pp. Humphreys i Abbot, p. 141 i następne.

[5]) *Archiv für Anthropologie. Erster Band 1866.*

oraz rozmaitość gatunków roślin, wywierają, jak mówi Lyell, różnorodny wpływ na szybkość formacyi torfowiska“ [1]). Wobec więc tylu rozmaitych przyczyn, jak tu wchodzić w obliczenia względne okresów, których historya zupełnie nam jest nieznaną?

Lyell i uczniowie jego obliczyli także przez przypuszczenia czas trwania, podnoszenia się i opadania powierzchni ziemi, które, jak się zdaje, odbywały się powolnie w różnych krajach i w rozmaitych czasach. Ale takie podnoszenie się, któremu oznaczają czas trwania przez ciąg sześciu wieków, mogło dokonanem być przez lat sześćdziesiąt a nawet przez lat dwadzieścia, nie przyjmując wcale ruchu gwałtownego.

Nie znane nam są siły, które niegdyś podnosiły w górę łożyska morza i zatapiały zapadające się lądy. Jeżeli działają teraz, w niektórych miejscowościach w sposób, który czuć się nie daje, wszystko wskazuje, że działały one w sposób zupełnie odmienny, a nawet w tysiącznych rozmaitych sposobach, w czasach genezy.

Historya nie może nam oznaczyć, z jaką powolnością albo z jaką szybkością odbywały się kolejne ruchy i przemiany powierzchni kuli ziemskiej w wiekach przedhistorycznych. W jakiż więc sposób moglibyśmy z pewnością wiedzieć, czy te przemiany były mierzone odległością wieków czy lat? Wszak gdybyśmy chcieli, mówi Belgrand [2]), „rozciągnąć na całą przeszłość powolność ruchu zjawisk geologicznych, z jaką one dopełniają się za dni naszych, w takim razie wszelka naukowa zasada stanie się niczem innem, tylko dowolnem przypuszczeniem, które nie da się upozorować żadnym faktem, żadnem prawdopodobieństwem. Do takiego to rodzaju dowolnych

[1]) *L'ancienneté de l'homme* pag. 121, Lyell przyznaje, że „starożytność prawdopodobna pierwszych szczątków ludzkich, zachowanych w torfach Danii, nie mogłaby być określoną pewną ilością wieków, z jakąkolwiek dokładnością“. Mówi on wprawdzie, że „najmniejszy zakres czasu potrzebnego do uformowania tej ilości torfu, może dojść do liczby czterech tysięcy lat, jeżeli można polegać na oznaczeniu dokonanem przez Steenstrupa i innych podobnych uczonych (pag. 20. 21.)“. Ale oznaczenie to zamyka się tylko w granicach prawdopodobieństwa. Jeżeli podług niego, można przypuszczać „tę ilość wieków cztery razy tak wysoką *(ibid)*“, na cóż to się przyda? Wnioski przypuszczane o starożytności domyślnej torfu duńskiego, nie dowodzą starożytności rzeczywistej rodzaju ludzkiego. P. Lyell prócz tego przyznaje, że „ślady istnienia człowieka nie były odkrywane w najniższych pokładach“ rzeczonych torfowisk, *(ibid)*. P. Laugel bardzo słusznie wyrzekł: „Jak tylko wychodzimy po za punkt, z którego ludzkość zaczęła obliczać lata, wymiar czasu staje się rzeczą zupełnie dowolną“. (*Revue des deux mondes*, pag. XXXIX).

[2]) W piśmie *la Seine introduction*, pag. XXXIX.

przypuszczeń należą owe zdania o jednostajnem działaniu przyczyn istotnych w formowaniu się torfowisk w ciągu całej przeszłości; domyślają się tylko, gdy mówią, że grubość jednoroczna układających się pokładów zawsze była taż sama na wszystkich punktach zalanej ziemi, a nie biorą w rachubę pierwotnego ukształtowania się gruntu, nagłego zgromadzenia się pokładów w nizinach, a odmiennego działania biegu wód na przypadkowych nierównościach tegoż gruntu i ruchomych jego własnościach; domyślają się, że miał on zawsze płaszczyznę równoległą, jaką jest teraz“ [1]). Wszystko to może być potrzebnem dla ułatwienia rachunków, ale straszliwie jest nielogicznem: Lyell czuł to troszeczkę. I dlatego przyznaje nawet, że obliczania chronologiczne, oparte na przypuszczeniu jednostajności wymiaru zastósowanego do wszelkich wstrząśnień i ruchów ziemi, są tylko prostemi domysłami i że „szybkość przemian w gruncie ziemi mogła nie być wszędzie jednostajną“ [2]). W szczególności zaś stwierdza on, że „szybkość tej przemiany, dostrzeganej w Szwecyi, wcale nie jest jednostajną“ [3]). Atoli wypowiedziane przez niego te złote co dopiero zdania nie wpływają bynajmniej na jego zwykłe teorye, nie rachuje się on z niemi. Domyśla się on i zmuszony jest nawet domyślać się, że przyczyny chemiczne i fizyczne, działające teraz, zawsze działały same, z jednostajną powolnością ruchu, którego wymiar nie jest mu znanym.

Gdyby to paradoksalne zdanie było jasno określone, wzbudziłoby natychmiast objaw zdań przeciwnych; wywiązałyby się dowodzenia sprzeczne ze wszech stron; fakta same, opisane przez Lyell'a, świadczyłyby przeciw temu; wszystkie góry podniosłyby głosy za pośrednictwem swoich skał z ostremi wierzchołkami i pokładów ziemi, które one rozdarły, wzniosły, spłaszczyły albo nawet przewróciły w swoich nagłych podnoszeniach się do góry. Ale błędne zdania idą dalej swoją drogą i za pomocą niedokładnych prawideł, domysłów nieokreślonych przedstawiają pewnym ludziom jako wyniki głębokich badań i sądy bezmiernej mądrości! *Sic volo sic jubeo, stat pro ratione voluntas*, oto jedyne źródła tych teoryj, które nam za nieomylne wyrocznie podają. (Dok. nast.)

[1]) M. Th. H. Martin, *Les sciences et la philosophie*, pag. 504.
[2]) *L'ancienneté de l'homme*, pag. 62.
[3]) Tamże, pag. 350.

Z NOTATEK
ośmdziesięcio-letniego starca
LITWINA-UNITY.

(Ciąg dalszy).

VIII.

Teraz nieco nadmienię o sobie i kolegach pokuty, z którymi w tych trzech klasztorach stopniowych byłem. Roku 1835 mieszkałem w klasztorze bazyliańskim, w miasteczku Łyskowie w powiecie wołkowyskim w gubernii grodzieńskiej, w obowiązku wikarego i kaznodziei. Tegoż roku skasowano ten klasztor, czyli odebrano z dwoma folwarkami i całym majątkiem tak ruchomym, jak i nieruchomym, i oddano go do użycia ks. Michałowi Hołubowiczowi, wiceoficyałowi konsystorza Żyrowickiego. Mnie nakazano z konsystorza, abym napisał na dwie ręce inwentarz całego majątku t. j. żywioł, klasztor, bibliotekę, cerkiew, parafię, którą także zajmowałem się. Po napisaniu inwentarzy i po oddaniu w posiadłość całego majątku Hołubowiczowi, powysyłano księży Bazylianów w tymże klasztorze mieszkających do innych klasztorów, jak superiora byłego, Augustyna Siedleckiego, ks. Tomasza Kozłowskiego, ks. Jerzego Rzeckiego i ks. Teodora Chocewicza; mnie zaś jako wiadomego o całym stanie klasztoru, folwarków i parafij, pomimo mojej niechęci, na prośbę Hołubowicza, zostawiono w tymże klasztorze administratorem całego majątku. Lecz pod tym warunkiem przyjąłem ten obowiązek, że mnie Hołubowicz przyrzekł w rządzie duchownym dopomódz do przejścia na łaciński obrządek. Na pomocnika dano mi Floryana Lisowskiego, Bazylianina.

Po ukończonym roku administracyi, gdy na namowę Zupki i innych osób, odmówiłem dania podpiski na prawosławie, Hołubowicz odmówił mi pomocy do przejścia na łaciński obrządek, wymawiając się niby, że już termin naznaczony przez Siemaszkę przeszedł. Za ukazem więc konsystorskim wysłano mnie na mieszkanie do klasztoru torokańskiego. Gdy tam przybyłem, na wstępie samym superior tamtejszy ks. Cywiński mówi mi, że już dwa tygodnie upłynęło, jak ukaz konsystorski mam i kazał mi przenieść się z klasztoru torokańskiego na Wołyń do klasztoru zahorowskiego. Nazajutrz wyjechałem z Torokan. Gdy przybyłem do klasztoru Zahorowskiego na mieszkanie, niedługo w nim byłem, bo we dwa tygodnie przysłano z konsystorza ukaz, aby mię wysłano do klasztoru włodzimirskiego na Wo-

łyniu; a to mi czyniono na złość, że nie przyjąłem dysunii. Według ich rozkazu przybyłem do klasztoru włodzimierskiego i w tym klasztorze było nas Bazylianów 11 a tylko jeden był podpiskowy, superior Kozaczewski.

Roku 1839 bez względu na wielkie zimno, w Styczniu za ukazem konsystorskim, wysłano mnie, ks. Floryana Bugiedę i kleryka Józefata Łomińskiego, z klasztoru włodzimierskiego 50 z górą mil na Litwę do klasztoru byteńskiego, w powiecie Słonimskim. Kleryk Łomiński po przybyciu naszem do tego klasztoru, przemarznięty trzeciego dnia umarł; mnie zaś, w pięć miesięcy po przebyciu w tym byteńskim klasztorze, wysłano za ukazem konsystorskim do klasztoru boruńskiego w powiat oszmiański w gubernią wileńską. W tym miasteczku Borunach księża Bazylianie byli już schyzmatycy, utrzymywali szkołę i kilkunastu z duchownego stanu chłopców mieli na funduszu klasztornym z ustanowienia Siemaszki; na to konto ze skasowanego klasztoru helianowskiego w powiecie wickim, majątek przyłączono do klasztoru boruńskiego. Helianowski klasztor miał cerkiew jeszcze dobrą, ale zamkniętą, w której nie było komu nabożeństwa odprawiać. W tem miasteczku Rusinów nie było, ale naokoło Helianowa, o milę i bliżej, kilkunastu mieszkających obywateli, którym daleko było do swych parafialnych kościołów, podało r. 1839 prośbę do Siemaszki, aby im dał tę cerkiew dla prawienia dla nich nabożeństwa i obowiązało się dać przyzwoite utrzymanie na to ze swej pieniężnej składki. Siemaszko zadość czyniąc ich prośbie, nakazał wysłać mnie na kapelana do tej cerkwi, dla prawienia nabożeństwa li tylko dla mieszkańców tych okolic, będących łacińskiego obrządku. Spełniając rozkaz, przybyłem do Helianowa i prawiłem nabożeństwo według zwyczaju rytuału unickiego. Na drugi miesiąc mego tam pobytu przysłano mi z konsystorza ukaz, abym dał podpiskę na przyjęcie prawosławia, a w miejscu stolicy apostolskiej i Papieża, abym wykonał przysięgę posłuszeństwa synodowi petersburgskiemu. Ja natychmiast bez żadnego wahania się odpisałem, że jako uprzednio oświadczyłem ustnie, tak i teraz oświadczam, że na cerkiew rossyjską nie przejdę i nie dam na to podpiski, a tem bardziej na wyrzeczenie się Papieża, jako następcy św. Piotra, apostostoła i głowy widzialnej katolickiego Kościoła.

Po tej mojej odpowiedzi nie wiele czasu minęło, bo na trzeci miesiąc pobytu mego na tej kapelanii, kazał mi Siemaszko natychmiast opuścić Helianów i pojechać do klasztoru boruńskiego, 20 mil drogi swoim kosztem. Przeczytawszy takie pismo, oddałem się na

wolę Bożą, pożegnałem się z tamtejszymi obywatelami, spakowałem moje manatki i puściłem się w drogę do klasztoru boruńskiego. Gdy przybyłem na miejsce przeznaczone, na wstępie samym superior wymawiał mi, że się napróżno opieram, że muszę przyjąć prawosławie, gdyż inaczej będę parobkiem przy jakim klasztorze, „jak ta pogarda i praca naprzykrzy się — dodał — to wtenczas zgodzisz się na wszystko, czego będą od ciebie żądali". Będąc pogrążonym w smutku i w nawale rozmaitych myśli, sam nie wiedziałem, jak mam w tym względzie sobie postąpić; ale bez chluby wyznaję, żem się szczerze modlił i prosił Boga, aby raczył mię naprowadzić na drogę swojej woli.

Nastąpiło dalsze nieustanne i dokuczliwe namawianie; księża profesorowie namówili moich rodziców, aby wmawiali we mnie przyjęcie dysunii. Rodzice nie daleko, tylko o 3 mile od Borun mieszkali; mój ojczym był doktorem medycyny, wysłużony w wojsku w randze majora, a na zapotrzebowanie chorych w klasztorze boruńskim dojeżdżał; lecz miasto namowy powiedział: „ma lata i rozum, jak chce, tak niech postępuje". Pewnego dnia przybyli do klasztoru dziekan i wicedziekan boruńskiego dekanatu. Wieczorem była herbata u superiora, na której i ja byłem. Umówili się, aby mnie obałamucić mocno zaprawioną herbatą, a tym sposobem skłonić do swych żądań. Wprawdzie upoili mnie tą herbatą, ale przytomności nie straciłem, na wspólną ich grzeczność, grzecznie podziękowałem, ale na tem nie koniec. Dwóch tamtejszych profesorów biorą mnie pod ręce i prowadzą do drugiego pokoju, pokazują mi na wielkim arkuszu po rossyjsku drukowane niby błogosławieństwo petersburgskiego synodu i radzą mi temu na wierność i posłuszeństwo przysięgać. Odpowiedziałem im, że to jest przeciw mojemu sumieniu i stałemu postanowieniu, zmieniać religii i obrzędów nie mogę, żądam za łaską Boga do końca życia mego przetrwać w tej religii, w której ochrzczony byłem i której mię w szkołach i w zakonie bazyliańskim nauczono. Skłoniłem się wszystkim przytomnym i odszedłem do mojej stancyi.

Nazajutrz superior widząc stałość moją, nakazał mi wyjazd do Bytenia bez zwłoki, a tak na drugi dzień wybrałem się w drogę do Bytenia na pokutę. W kilka dni przybyłem do klasztoru byteńskiego r. 1839, 5 Nowembra, do pierwszej klasy klasztoru pokutnego, według naznaczenia Siemaszki. Znalazłem tam współkolegów cierpienia, podobnymże dekretem skazanych jak i ja na chleb i wodę. Było nas 11 Bazylianów i jeden ze świeckich księży, także opat

grodzieński Buczyński, któremu dozwolono chodzić do stołu, nam zaś pokutnikom ks. wikary codziennie z chłopcem roznosił chleb i wodę, każdemu do stancyi.

Zaraz na drugi dzień, 6 nowembra, biskup Michał Hołubowicz przyjechał z Żyrowic ze 4 konsystorskimi urzędnikami do klasztoru byteńskiego; miał on tu obchodzić imieniny swoje w dzień św. Michała Archanioła. Nazajutrz po jutrzni, nakazał miejscowy superior wszystkim zakonnikom i pokutnikom iść mu winszować. Po powinszowaniu całowali mu wszyscy rękę i ja na ostatku całowałem. Hołubowicz poznał mnie i przemówił. Znajomość ta była z miasteczka Łyskowa, po skasowaniu tamże klasztoru Bazylianów, gdzie pod ten czas r. 1835 mieszkałem. Wziął mnie więc za rękę i poprowadził z sali do drugiego pokoju i zapytał: czy przyjąłeś prawosławie? Odpowiedziałem, że nie. Na to on: źle, kiedy nie przyjąłeś, ale mniejsza o to, przyjm tutaj obowiązek. Pytam się jaki? Ale tylko przyjm odpowiedział, oświadcz że przyjmiesz, a ja powiem, jaki obowiązek. Znam Waspana, że możesz być zdatny i dlatego proponuję ci, abyś przyjął obowiązek ekonoma klasztornego wewnętrznego i zewnętrznego. Pod waszym dozorem i rozporządzeniem będzie wszelka produkcya zbożowa, ogrodowa i wszystko co do żywności dla wszystkich osób klasztornych i rozporządzenie robotą tak dla majstrów jak i innej czeladzi klasztornej; przyjmowanie i rozdawanie trunków z lochów, robienie piwa, ile potrzeba miesięcznie wymaga i to wszystko aby było przyjmowane z folwarków i rozdawane i akuratnie wpisywane do rejestrów.

Przyjąłem obowiązek ten i starałem się spełnić go najakuratniej. Przez 5 miesięcy pokuty, na chleb i wodę skazany, nie znałem tego, bo wszystko miałem w swoim ręku, a kompanii trzymałem się z pokutnikami. Podawaliśmy z tego klasztoru prośby, według prawa rossyjskiego po kolei, od niższych urzędów do wyższych, to jest do konsystorza, do Justickolegium i na imię cara Mikołaja, prosząc aby nas albo uwolniono, albo pozwolono przejść na łaciński obrządek, albo dozwolono tam iść, gdzie są jeszcze unici. Niektore prośby nasze nie dochodziły do kancelaryi cesarskiej, na inne nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi.

Po upływie 5 miesięcy ekonomii mojej klasztornej, z raportu konsystorskiego dowiedział się Siemaszko, że ja jestem ekonomem klasztornym, nie będąc podpiskowym. Natychmiast też wydał rozkaz, jeśli nie dam podpiski, wysłać mnie do klasztoru torokańskiego, co zaraz spełniono. Roku 1840 wysłano mnie więc w sam wielki tydzień z Bytenia do torokańskiego klasztoru, do drugiej klasy pokutników. Podobnież i w tym klasztorze znalazłem kolegów cierpienia, za toż samo, że nie przyjęli dysunii. Było nas pokutników w tym klasztorze: Bazylianów z ks. opatem 13 i 5 starców księży świeckich. Majątek tego klasztoru oddany był na stołowe Zupce, więc i rząd zakonników do niego należał. Zupko dał na piśmie urzędownie rozkaz wikaremu, Bazylianowi Łyszkowskiemu, ex-unicie, jak ma z księżami pokutnikami postępować, co mają robić i jakie dla nich ma być jedzenie. Ze starcami Bazylianami nieco politycznej obchodzono się i zakonną porcyę im dawano, młodszym zaś 7 Bazylianom i 5 świeckim księżom jedzenie naznaczone było toż samo, co i czeladzi klasztornej z kotła; każdy z nas chodził z garnuszkami do kuchni i każdemu z nas kuchcik dawał po jednej chochli potrawy z kotła, chleb dawano nam razowy, po bochenku na tydzień, robota zaś była codziennie naznaczona: korytarze i cerkiew zamiatać, dzwonić, w ogrodzie drzewa czyścić, drogi szpalerowe gracować i czyścić, po kwaterach grzędy kopać i t. p.

W tymże r. 1840 wizytował Siemaszko niektóre klasztory letnią porą i przyjechał także do klasztoru torokańskiego. Byli z nim Antoni Zupko i Michał Hołubowicz. Siemaszko najsamprzód rozpytawszy się u miejscowego przełożonego o każdym z nas i dowiedziawszy się, że nie chcemy przyjąć rossyjskiej religii, kazał nam wszystkim przyjść do siebie do sali. Gdy przybyliśmy, przywitał nas uszczypliwie: „nie słuchacie rozkazów biskupa“ i zagroził nam, że jako nieposłusznych każe nas ćwiczyć rózgami. Na tej jego groźbie skończyła się wizyta.

Wkrótce po wyjeździe swoim Siemaszko dał konsystorzowi rozporządzenie, aby porozsyłać nas do innych klasztorów z Torokan. Dwóch księży Bazylianów, którzy byli profesorami, ks. Hryncewicza i ks. Mąkowelskiego, wysłano zaraz pocztą aż za rzekę Wołgę pod granicę Azyi, dwóch w powiat piński, czterech na Wołyń w gubernią żytomierską do Lubaru i Tryhura, a sześciu nas w powiat włodzimierski na Wołyń do klasztoru zahorowskiego po unitach. W tym klasztorze r. 1840 był superiorem ex-unita Seweryn Dziubiński, który z Galicyi rodem, dla otrzymania honorów i wyższych urzędów, przyjął dobrowolnie rossyjską wiarę. Z podobnych jemu byli tam także: Hipacy Starodubowski, Jan Misiewicz i Ignacy Ihnatowicz podpiskowi, a ze świeckich księży, którzy przyjęli prawosławie, ale byli w nałogu pijatyki i skazani zostali na klasztorne życie: Jan Michalewicz, Józef Łamiński i dyakon wdowiec, który był pomocnikiem

superiora w gospodarstwie i obserwatorem księży pokutników. Dekretowanych zaś księży, za sprzeciwienie się zwierzchności w przyjęciu rossyjskiego prawosławia i za niewyrzeczenie się głowy widzialnej Kościoła rzymsko-katolickiego, Papieża czyli księży „papistów“, jak nas nazywano, znajdowało się w tym klasztorze: Ks. Józefat Słobocki, opat klasztoru kobryńskiego 70letni starzec, ks. Augustyn Siedlecki, były profesor i superior, ks. Waleryan Wysocki wysłużony w funkcyach zakonnych, ks. Dyonizy Onyszkiewicz wysłużony, ks. Floryan Sobolewski, ks. Onufry Falkowski wysłużony superior, ks. Samuel Czarnorucki, ks. Flawian Lisowski i braciszek Arseni Błażewicz ślepy na oba oczy; ci wszyscy Bazylianie z prowincyi litewskiej; z księży świeckich zaś byli: ks. Antoni Gruszewski 70letni, ks. Piotr Żelazowski, ks. Grzegorz Micewicz, wszyscy trzej odsądzeni od parafii, od żon i dzieci oderwani.

Gdy z tych wyznawców który do klasztoru zahorowskiego przybył, natychmiast na korytarzu w obecności superiora Dziubińskiego był rewidowany, co ma. Tym sposobem wszystkich nas rewidowano. z szyderstwem i szkalowaniem, potem po kilku do jednej stancyi pakowano. Co się tyczy jedzenia, wszyscyśmy pokutnicy byli przeznaczeni bez dystynkcyi do drugiego stołu. Dawano nam chleb czeladny, na obiad dwie potrawy, na wieczerzę jedną i chleba kromkę czyli porcyę. W Październiku superior Dziubiński zaczął z nami swoją missyę, chodząc codziennie, albo i 2 razy dziennie z 2 parobkami do naszej stancyi, gdzie dawał nam nauki niby stosujące się do nawrócenia na rossyjską wiarę; naostatek zaś beształ nas nieprzyzwoitemi słowami, że sprzeciwiamy się zwierzchności, żeśmy uporni w Papiezkiem zdaniu, mówił, że to tak być nie może i że nas wszystkich upornych pokona. (Dok. nast.)

Wspomnienia Napoleończyka.

Ustęp z pamiętników pułkownika Gawrońskiego

streścił

K. Korabita.

(Ciąg dalszy).

Na początku Czerwca r. 1812 po ogłoszeniu odezwy cesarza Napoleona, wyliczającej powody wyprawy, ruszyła armia ze stolicy do

Rossyi. Zdarzył się wówczas nieszczęśliwy wypadek jednemu z bardzo użytecznych oficerów, pułkow. Kosseckiemu, szefowi sztabu Zajączka; jadąc do Modlina, upadł i nogę złamał. Ponieważ nie mógł już dalej służby pełnić, odwieziono go do Warszawy, a na jego miejsce przeznaczono pułkownika Weissenhofa, na dowódzcę zaś dwudziestego pułku, przybyłego z Hiszpanii pułkownika Wierzbińskiego, bo i majora Morawskiego więto na szefa sztabu do ośmnastej dywizyi generała Kniaziewicza. Strata tych dwóch oficerów sztabu dotknęła pułk boleśnie. W dywizyi generała Dąbrowskiego był szefem sztabu, jak wprzódy, pułkownik Cedrowski.

Po krótkim odpoczynku w Modlinie, ruszył korpus dalej na Ostrołękę, Suwałki, Augustów do Grodna. Nie było wprawdzie jeszcze wówczas żwirówki, lecz z wiosną drogi były dobre.

Małemi marszami zbliżaliśmy się ku Litwie i Niemnu, aby w czasie wszczynających się już upałów, wojska i koni nie trudzić, głównie zaś, by utrzymać się na równej linii z wielką armią podczas przechodu przez Niemen pod Kownem. Środek głównego sztabu z Napoleonem na czele przechodził tam, dążąc ku Wilnu. Korpus polski, jako składający prawe skrzydło, miał iść na Grodno, Romanów i Nieśwież ku Mohilewu.

Całe wojsko pałało gorącą chęcią spotkania się coprędzej z nieprzyjacielem, by go odeprzeć w głąb kraju. Wszystkich ożywiała niczem nie przeparta ufność, że pod tak wielkim jak Napoleon wodzem, zwycięztwo niewątpliwe. Najusilniejszem pragnieniem Gawrońskiego zarówno jak jego towarzyszów, było ujrzeć tego sławnego władzcę świata, przed którym korzyli się królowie i książęta, który jednych strącał z tronu, drugich na nie wsadzał.

W marszu przez Augustowskie, obfitujące w rzeki i wody, rozłożyło się wojsko obozem nad rzeką Pizą, znaną ze zimnej wody. Gdy więc Gawroński mimo upału i utrudzenia zanurzył się w jej nurtach, dzięki silnemu zimnu, jakie go przyjęło po skwarze, dostał tak mocnego bolu w karku i ramionach, że się ruszyć nie był zdolny.

Gdy się polski korpus zbliżał z pod Grodna ku Romanowu, zatrzymał go generał Bagration, stanąwszy na pozycyi tak, iż go trzeba było spędzać. W miejscu tem stoczono pierwszą potyczkę. Z głównego sztabu korpusu nadszedł do generała Różnieckiego rozkaz, aby zabrał jazdę z dywizyi i uderzył na korpus Bagrationa w celu odparcia go i posuwania się dalej w raz wytkniętym kierunku.

Z wielką natarczywością przypadli nasi do nieprzyjaciela, lecz opór był tak silny, że okazała się potrzeba użycia po raz pierwszy

dział. Rożniecki, zapędziwszy się zbyt daleko, poniósł znaczne straty, lecz odparł zastępującego mu drogę przeciwnika. Po raz pierwszy w tej wyprawie ujrzeli żołnierze poległych braci. Leżeli oni pokotem w gęstem zbożu, a zdrowi zaczęli ich tam szukać i którego można ratować, bo jeszcze gorączka wojenna nie wymogowała z ich serc uczuć ludzkości. Lecz zabroniono im tych poszukiwań, aby nie psuć porządku marszu.

Utyskiwano w sztabie, że generał Rożniecki pozwolił ujść Bagrationowi, zamiast go rozbić. Musiał też coś zawinić brat cesarski, król westfalski, zaraz bowiem po zdaniu raportów otrzymał polecenie złożenia komendy i odjechał do swej stolicy, miasta Kassel. Dowództwo prawego skrzydła poruczono natomiast księciu Poniatowskiemu, co między wojskiem żywą wywołało radość. Generałowie: Potocki i Pakosz, adjutanci królewscy, pozostali przy korpusie, gdzie otrzymali dowództwo brygad. Pierwszy umieszczony w dywizyi generała Kniaziewicza, dowodził przednią strażą. Gawrońskiemu zdarzyło się często jechać z Potockim na przodzie korpusu w spokojnym marszu aż ku Mohylewu; nieprzyjaciel bowiem ciągle się cofał, nie dozwalając się już odtąd doścignąć. Pod Mohylowem, leżącym w pięknej okolicy nad samym brzegiem Dniepru, rozbito obóz. Tu mianował książę Józef gubernatorem miasta z władzą rozpisywania dostaw dla wojska, generała Pakosza, przy którym obowiązki adjutanta pełnił dobry znajomy i towarzysz szkolny Gawrońskiego, Władysław Sołtyk.

Odpocząwszy kilka dni celem przygotowania w tym czasie przeprawy przez Dniepr, ruszono w pochód na Szkłów ku Smoleńskowi. Droga nad brzegiem rzeki była odtąd dobra, wygodna i szeroka, tak że piechota mogła maszerować sekcyami — wysadzona w cztery rzędy brzozami, chroniącemi swym cieniem wędrowców od upału — i miękka, bo nie wysypana kamieniami.

Przed wschodem słońca rozpoczął się pochód i generałowie jechali naprzód, żołnierze postępowali za nimi wśród ochoczych śpiewów. W Szkłowie, miasteczku położonem nad Dnieprem, a przez samych żydów zamieszkałem, odbyło wojsko dniówkę. Rozeszła się tu wiadomość, że nieprzyjaciel zamyśla bronić Smoleńska i przeprawy przez most na Dnieprze.

Nadszedł rozkaz skoncentrowania skrzydeł w Krasnem, miasteczku o trzy mile od Smoleńska odległem. Dzięki przyspieszonemu marszowi zdążono przybyć pod rzeczoną mieścinę 15 Sierpnia; stanęło tu wojsko nad wieczorem w czystem polu. Na wzgórzach widniały niezliczone tłumy całej wielkiej armii; mówiono, że wśród tej olbrzymiej rzeszy znajduje się i ten, co skinieniem swojem przywiódł tyle ludów w dalekie strony Północy...

Żołnierze pałali niewymowną żądzą ujrzenia bohatera, który był ich bożyszczem. Zdala odzywał się głuchy huk dział.

Krasne leży na samym wielkim trakcie, wiodącym od Wilna przez Smoleńsk do Moskwy, którym właśnie zdążał środek wielkiej armii. Korpus polski, jako stanowiący prawe jej skrzydło, spieszył na prawo od Smoleńskiego traktu i w Krasnem z nią się połączył. Wynikało to widocznie z planu wojennego; w tym też celu siły polskie spieszyły z pod Mohilewa już wprost, opuszczając drogę, wiodącą na prawo. Jedna tylko dywizya generała Dąbrowskiego ze swemi trzema brygadami otrzymała rozkaz zwrócenia się na prawo od korpusu pod twierdzę Bobrujsk, aby ją trzymać w oblężeniu i zwracać pilne baczenie na nieprzyjacielskie zastępy, któreby mogły ciągnąć od Podola, ile że jak głoszono, stawały się tam już niepotrzebnemi z powodu zapowiadanego pokoju z Turcyą.

Polacy stanąwszy tedy pod Krasnem przed wieczorem, ustawili się w polu na prawo od wielkiej drogi a raczej pięknej, brzozami wysadzonej ulicy. Gdy się już dobrze ściemniło, na lewo od alei, na odosobnionym pagórku, gdzie się rozłożył wielki obóz wielkiej armii, zajaśniało nagle tysiące świateł i ogni. Ochocze dźwięki muzyki, radosne i grzmiące okrzyki nieprzejrzanych okiem tłumów: *Vive l'empereur*, wiechy słomiane, które zapalone na bagnetach i łańcuchach, jarzącym swym blaskiem rysowały się jaskrawo na czarnem tle wieczoru — wszystko to złożyło się na fantastyczny, świetny i wielce charakterystyczny obraz.

Tak niezwykłe widowisko miało swe źródło w uroczystości chwili, jako w dniu imienin cesarza, któremu marszałek Ney przesłał w darze dwanaście dział i garść jeńców, zabranych nieprzyjacielowi. Potężny solenizant leżał w wielkiej alei, gdy wojsko w ciemną już noc przed nim defilowało. Nie było go już dobrze widać, pisze Gawroński, można go było tylko czuć i używać tego pięknego widoku całego obozu oświetlonego i trofeów zdobytych, co kazało zapomnieć o obozowych niewygodach.

Po krótkim spoczynku w biwaku, równo ze świtem, o czwartej godzinie zrana, ruszył korpus polski znowu na prawo, dla rozciągnięcia linii, ubocznemi drogami dążąc ku Dnieprowi i Smoleńsku i zachodząc tak niejako prawem skrzydłem drogę zgromadzonemu tam nieprzyjacielowi.

Cały ten dzień zeszedł na marszu, przerywanym tylko krótkiemi spoczynkami, nieuchronnemi z powodu upałów. W nocy pułki w polu obozem leżały. Zapowiadano z powodu skoncentrowania całej wielkiej armii rychłą bitwę; nikt jednak nie wiedział dokąd idzie.

Dnia 17 Sierpnia zrana rozkazano żołnierzom czyścić broń, przygotować świeże mundury i ubrać się świątecznie. Wystąpił cały korpus jak w czasie rewii. Książę Józef w paradnym mundurze, z wstęgą legii honowej na piersi, na czele sztabu oglądał pułki, zalecał porządek i oświadczył żołnierzom, że w tym dniu z pewnością zobaczą cesarza i stoczą walkę pod Smoleńskiem. Pogoda była piękna, lecz skwar i kurz dokuczały wojsku; to też w trzy godziny dał wódz znak do spoczynku. Od lewego skrzydła słychać było zdala huk dział. Gdy szeregi przez niewielki lasek przechodziły sekcyami w pełnym marszu, książę Józef nadjechawszy, rozkazał zwrócić oczy w lewo. Wtem wyszedłszy na skraj lasku, ujrzeli żołnierze Napoleona, leżącego na ziemi, z głową na ręce opartą. Muzyki wojskowe zabrzmiały, a każdy pluton, przechodząc obok cesarza, chwytał za broń. Książę pozostał na koniu przy cesarzu leżącym, a pospieszający dalej korpus ujrzał wkrótce Smoleńsk, od rana już ze wszech stron dobywany. Napoleon skoczywszy na konia, ruszył galopem na czele wojska, a na ćwierć mili przed miastem nakazał wstrzymanie pochodu i odpoczynek. Żołnierze mogli mu się wówczas dobrze przypatrzeć, gdy rozmawiał z księciem Józefem. Jakaż to była radość, woła Gawroński z zapałem, widzieć go przed naszym frontem! Mnie się wtedy zdawało, że gdyby mi był rozkazał wkręcić się w ziemię lub samemu pójść zdobywać twierdzę, lub w płynący tuż obok Dniepr wskoczyć, byłbym posłuchał bez zastanowienia, taki miał urok, taką wzbudzał ufność. Jeśli podobne uczucie przejmowało całe wojsko, jakże nie miał zwyciężać!

Taki to zapał ożywiał żołnierzy, gdy przystąpili po krótkim spoczynku do szturmu, rozłączywszy się z cesarzem, który znów pogalopował na lewo. Posłano tyralierów na przedmieście przed murami, między parkany i ogrody, by wypędzić sadowiących się tam Moskali, artyleryę ustawiono na wzgórkach i kazano strzelać do miasta. Półbateryę Gawrońskiego postawił szef sztabu generał Fiszer w miejscu, gdzie mogła dosięgnąć jednego bastyonu, z którego dawano ognia, aby z niego spędzić nieprzyjaciela. Jakoż po wystrzelaniu ośmdziesięciu ładunkow baszta strzelać poprzestała. Niebawem pojawił się w Smoleńsku za murami ogień, a na przedmieściu, które odbierało nasze wojsko, trwał ciągle ogień karabinowy: kulki docho-

dziły do bateryi, kule działowe przenosiły i przez kilka godzin, począwszy od południa, nikt nie był raniony. Lecz nad wieczorem zaczęto rannych wynosić poza linię: kapitan Dönhoff otrzymał postrzał w nogę, Chmielowski w brzuch, Szczawiński w ramię. Dochodziły wieści, że generał Michał Grabowski zginął, Zajączek i Krukowiecki ranni, zaś Dembiński z głównego sztabu i spinający się na mur kapitan Potkański, polegli. Smutne te wiadomości zamięszały radość, jaka ogarnęła żołnierzy, łaknących boju; głód przytem dokuczał, a noc zapadała. Już się zupełnie ściemniło, gdy nadszedł rozkaz, aby się korpus podsunął pod same mury miasta. Widocznie nieprzyjaciel wyparty z przedmieścia, ustąpił — dokąd? nie było wiadomo. Artylerya tylko została na swojem stanowisku, bo zakleśnięcia i fosa na przedmieściach utrudniały przeprawę dział. Płomień buchał z miasta; na przedmieściach okrom wojska żywej duszy nie było widać. Równo ze świtem głoszono, że miasto zdobyte, że pułki naszej piechoty wyłomem weszły do niego; pozwolono oddalić się od kompanii do miasta dla szukania żywności.

Mimo całodziennego boju, znużenia, głodu i bezsenności, zdjęty ciekawością Gawroński, wyruszył bliskim wyłomem do miasta w towarzystwie żołnierza. Nad wyraz przykre wrażenie sprawił nad nim widok amputacyj, dokonywanych na ulicach, gdzie obok trupów leżeli ranni Moskale. Francuzcy i polscy chirurgowie po opatrzeniu własnych rannych, krzątali się około nich troskliwie. Operowali pilnie, ucinając często ręce lub nogi i składając te członki na jedno miejsce. Gawroński wstrząsł się, napotkawszy cały stos owych rąk i nóg, oddzielonych świeżo od reszty ciała. Wstrętem przejęty, wyrzekł się mimo głodu szukania żywności i poleciwszy troskę o to żołnierzowi, sam wstąpił do stojącej otworem cerkwi. Znalazł tu licznie zgromadzone kobiety i duchownych; mieszkańcy płci męzkiej zajęci byli gaszeniem ognia, wznieconego umyślnie przez Moskali. Cofnęli się oni jeszcze w nocy przez Dniepr; dopędziła ich jazda francuzka, bo mostu znieść nie zdążyli.

Cesarz miał główną kwaterę w mieście, równie jak niektórzy generałowie korpusów; Polacy stali w polu naokoło miasta razem z księciem Józefem, któremu zbudowano na lewem skrzydle szałas z rozebranego domku i parkanu.

Krocząc dalej za ustępującym ku Moskwie i palącym wszystko nieprzyjacielem, doszli w pierwszych dniach Września do miasteczka Możajska, położonego nad rzeką Moskwą. Zaczynają się tu wyższe pagórki, a łańcuch ich od Północy na Południe i Zachód zarastają

niskie krzewy lipiny, grabiny, tarniny, leszczyny jak zwykle wówczas, gdy po wycięciu lasu zostaje krzewina. Znaczniejsze wyniosłości obwarowali Moskale, zamienili w szańce i baterye, zbrojne działami wielkiego kalibru, stanęli przed niemi obozem z całą armią nad rzeką przy wsi Borodino, z silnem przedsięwzięciem bronienia tego przejścia, jako ostatniej zapory przed stolicą. (Dok. nast.)

KSIĄDZ NA PARAFII

pod rossyjskim rządem.

(Z ZAPISKÓW KS. A. TOMICKIEGO).

(Dokończenie).

V.

(Dziatwa ubogich rodziców — Szkółka — Akta kościelne — Chłopcy — Ochronka dziewcząt — Czem kapłan dla parafian — Celibat kapłański, a żonaci duchowni — Korespondencya — Kobieta pobożna — Zarząd domu — Popowicze i policya — Aresztowanie — Ostatnie pożegnanie i błogosławieństwo — Lud kamieniecki).

W przejażdżkach po mojej parafii, napotykałem błąkające się po drogach dzieci biednych rodziców. Postanowiłem więc pozbierać tę dziatwę i uczyć co trzeba, aby ją uchronić od schyzmy, której stawała się łupem, skoro tylko podrosła. Wspomniałem już wyżej, że mój poprzednik ks. Maciej Brudzyński, utrzymywał przy kościele szkółkę, której jako ostatni pomnik pozostał tylko sam nauczyciel weteran, niejaki Dawidowski bardzo uczciwy i zdolny człowiek. Był on dawniej profesorem szkół publicznych w Winnicy, ale że był katolikiem i Polakiem, więc wypędzony przez gubernatora Bibikowa, znalazł w Ladyżynie przytułek i pod skrzydłem ks. Macieja, uczył w sekrecie dzieci i pisywał kościelne akta po moskiewsku. W takim samym charakterze utrzymałem go dalej i miałem już gotowego, poczciwego i zdolnego nauczyciela. Po trochu uzbierało się dziatwy i trzeciego już roku mego tam pobytu liczba jej tak wzrosła, że jednocześnie zasiadało na ławkach chłopców 45. A skoro chłopiec doszedł lat 13 i nauczył się czytać, pisać poprawnie i prawd bożych gruntownie, a nie miał wielkich do nauki zdolności, pytałem go, do jakiego zajęcia lub rzemiosła miał większą ochotę i dziwna rzecz, jak te dzieciaki stanowczo obierały sobie dalszy sposób życia, o jakim mi się pierwej ani śniło; więc porozumiawszy się z rodzicami, oddawałem ich na szewców, krawców, kucharzy, ogrodników i do czego tylko który miał ochotę. Naturalnie, że w ciągłych zostawałem z niemi stosunkach, więc chociaż już pod ręką majstra, czuł jeszcze nad sobą i rękę moją, co go zasłaniała od krzywdy, ale za to musiał się trzymać w porządku. Wyjątkowo tylko bardzo zdolnych oddawałem do szkół publicznych i zawsze znalazł się jakiś łaskawy opiekun, co koszta szkoły, a nawet akademii opłacał. Nie chodziło mi o to, by w szkółce formowali się na bardzo uczonych, ja pragnąłem najwięcej formować poczciwych obywateli, a czy on siedział za warsztatem, czy na roli własnej pracował, czy drugiemu dopomagał w pracy, kiedy tylko był poczciwym człowiekiem, wszędzie znalazł i prawdziwe szczęście, choć w mierności u siebie, szacunek u sąsiadów i spokój sumienia. Dwustu takich chłopców przeszło przez tę szkółkę i dzięki Bogu, ani o jednym nie słyszałem, by na złą poszedł drogę. Niektórzy zaś wyszli bardzo pięknie.

W Ładyżynie mieszkało kilka wdów bardzo biednych, ale bardzo poczciwych im to więc oddawałem chłopców na stancyę za opłatą, gdzie mieli mieszkanie, żywność, pranie i wszelką opiekę tak koniecznie potrzebną dla małych dzieci. Jeżeli, któremu zniszczyło się ubranie, dostał nowe. Słowem rodzice, przyprowadzając dziecko do szkółki, nie myśleli już o niem, bo wszystko załatwionem było.

Takim samym sposobem złożyła się druga ochronka dziewcząt, z tą tylko różnicą, że te nie mieszkały na mieście jak chłopcy, ale wszystkie w jednym domu, pod opieką i nadzorem Sióstr Tercyarek, o których wspominałem wyżej. Zadaniem ochronki było, nie podnosić dzieci do godności jakiegoś fałszywego państwa, w którem dziecina wychowana wstydzi się własnego domu, ale usposobić je tak, aby po kilku latach pobytu wyuczone pierwszych początków elementarnych i prawd religijnych mogły, powróciwszy do domu, dopomagać rodzicom w pracy. Ponieważ takich dzieci było także z górą 40 i trzy Tercyarki ciągle były niemi zajęte, należało więc trzymać im sługi, aby gospodarskie potrzeby załatwić. Kuchnię miały wspólną, ale pomimo służby kuchennej, starsze dziewczynki, nie opuszczając nauki chodziły po kolei tygodniowo do kuchni, a pomagając we wszystkiem, uczyły się zarazem tego najważniejszego kobiecego zadania. Tak samo robiło się i z praniem bielizny. Miały także ogródek, w którym zasiewały, gracowały, czyściły z chwastów własnemi rękami, a to wszystko w chwilach wolnych od nauki, jako odpoczynek po mozolnej książkowej pracy. Bóg jakoś błogosławił wszystkiemu, bo bardzo pięknie i porządnie w jednej i drugiej ochronce się działo. Uczono je także śpiewów. To też kiedy ta gromadka Boża zanuciła przy pomocy organów

pieśń nabożną w kościele, to zdawało się, że już głos aniołów z nieba dolatuje, tak wszystko zgodnie i harmonijnie było. To też niejeden nawet prawosławny, skoro przypadkiem usłyszał piękny śpiew w kościele, wstąpił i po swojemu szczerze się pomodlił. Nieraz bywało, kiedy dziewczynka pojechała na święta do matki, a tam się pochwaliła co umie, czego inne starsze nie znały, składnie krzątała się po domu, aby matkę wyręczyć, to już dla niej dosyć pochwał nie było. Każda matka błogosławiła Bogu za szkółkę i wszystkie z ochotą przyprowadzały dzieci tak, że nieraz i ciasno już było. A jednak nikt do tego nie zmuszał, nikt nie stanowił przymusowego prawa wychowania! Ale może kto zapyta, zkąd na to były fundusze, boć przecież utrzymanie i ubranie około stu dzieci, nie licząc w to nauczycieli i służby koniecznej, choćby też najekonomiczniej przyszło się rządzić, musiało kosztować nie mało. Zapewne, że kosztowało. Ale fundusz na opłacenie wszystkiego jakoś obmyślił Bóg. Tak, natchnął szanownego mego kolatora, który każdego kwartału najregularniej znaczną kazał mi wypłacić sumę, to przez kogoś innego tak zawsze sprawił, że nikogo nigdy nie prosząc o nic, miałem zawsze dosyć na zaopatrzenie potrzeb szkółki. A to tak mnie ośmieliło i upewniło, że, licząc zawsze na tę pomoc z góry, nie patrzałem co będzie jutro, ale przyjmowałem do szkółek bez ograniczenia liczby, bez etatu, kto się tylko zgłosił, a tylko powtarzałem w pokorze „Chleba naszego daj nam dzisiaj Panie"! Czasami, jakby dla utwierdzenia mię w tej ufności, Bóg mi jej widocznie dotykać się pozwalał. Pewnego razu przy końcu miesiąca wypadało mi wypłacić wdowom za utrzymanie chłopców kilkadziesiąt rubli, a w całej mojej kasie było tylko pięćdziesiąt kopiejek. W bardzo tedy trudnem byłem położeniu. Odroczyć wypłaty w żaden sposób nie było można, bo wdowy biedne żyły tylko z dnia na dzień, a każdy pierwszy miesiąca, był dla nich dniem bardzo pożądanym, a tu płacić nie było czem. Byłby może sposób naprędce pożyczyć, ale nie chciałem, bo długów od dzieciństwa nie lubię. W czasie tego przychodziła mi kilka razy myśl udać się do kasy nieoszacowanego mego kolatora i prosić o zasiłek, ale i tego nie chciałem, bo jakkolwiek byłem pewny, że kasyer mi tego nie odmówi, nie chciałem przecież robić nieporządku w rachunkach, które tam z taką akuratnością prowadzone były. Więc wyczekiwałem do dnia ostatniego i rad nie rad umyśliłem udać się wreszcie do kolatora, chociaż ta myśl truła mnie bardzo i jakby kolką w boku stawała. W ostatni już dzień tej mojej męki po odprawionej mszy św. dla nabrania odwagi do owej tak mi niemiłej podróży, zaśpiewałem z dziećmi litanię do

Matki Boskiej, pod której opieką był kościół i parafia cała. Po skończonem nabożeństwie, kiedy w domu kończyłem śniadanie, a konie już były zaprzężone, by do Obodówki pojechać, nagle i wcale nie spodziewanie w tę porę wchodzi pułkownik, a później jenerał od huzarów Boguszewski, a widząc żem jest na wybraniu do drogi, krótko zakończył interes. Prosił on o nabożeństwo za pokój dusz rodziców swoich na jutro i jakiś zwitek papieru na stole położył. Naturalnie przyrzekłem, co żądał i interes się skończył. Pożegnaliśmy się wkrótce, bo i on miał jakiś pilny interes, a mnie spieszyło się w drogę. Ale kiedy po odejściu jego rozwinąłem pakiecik i znalazłem w nim siedemdziesiąt pięć rubli, stanąłem jak skamieniały, bo była to właśnie suma, której koniecznie potrzebowałem. Kto mu powiedział, że koniecznie tyle potrzebuję, kiedy nikomu o tem ani słowa nie rzekłem, kto mu powiedział, że jutro ich potrzebuję, kto mu nakazał, by jutro a nie kiedy indziej nabożeństwo za duszę rodziców odprawić?... Ja w tem wszystkiem widziałem tylko miłosierdzie Boże nad sierotami, za przyczyną Najświętszej Maryi sprawione, więc wróciłem do kościoła i w serdecznej modlitwie długo dziękowałem Bogu za odebraną łaskę. Naturalnie nie pojechałem już do Obodówki, ale zaraz jeszcze opłaciłem wdowy, a w kilka dni znowu dwóch przybyło chłopców i im więcej dzieci przybywało, tem więcej Bóg chleba dawał, dość, że zawsze widziałem nad sierotami wielkie miłosierdzie Boże.

Stanowisko kapłana, a szczególniej proboszcza w parafii jest tej natury, że jeżeli tylko kilka lat w niej pomieszka, wszyscy w nim upatrują ojca i brata. To wypływa z samej natury jego obowiązków i świętej instytucyi kapłaństwa. Bo jeżeli np. temu ochrzci dziecko, tamtemu ślub pobłogosławi, owemu rodzica lub krewnego pochowa, innego z Bogiem w konfesyonale połączy, z radą lub pomocą w potrzebie przyjdzie, to już nie z formy tylko, ale w samej istocie staje się ojcem, bratem, przyjacielem i najbliższym krewnym. Kapłan katolicki będąc bezżennym, nie mając rodziny własnej, dla wszystkich jest zarówno ojcem i być nim powinien. Pomiędzy nim, a parafianami staje zawsze Bóg i stanowi ten węzeł nierozerwany na wieki. Kapłan katolicki wie, że musi zdać rachunek przed Bogiem za każdą duszę, która mu powierzoną została, że z ręki jego upominać się będzie Bóg zagubionej duszy, więc dla zbawienia własnego, wszystkich zarówno miłuje, wszystkim dobrze radzi, prowadzi do Boga, gorąco za żywych i umarłych się modli i osobą swoją wszystkich zasłania.

Inaczej się dzieje w religiach urzędowych państwowych, gdzie przywódzcy parafii czy gminy w duchowną suknię ubrani, są tylko

urzędnikami, a nie kapłanami. Oni wiedząc, że przed Bogiem rachunku nie będą za swych parafian zdawać, bo im Bóg nie powierzył ich wcale, ale jakiś tam przedstawiciel państwa, więc też nie dla parafii, nie dla gminy, ale dla siebie żyją. Co np. obchodzi carosławnego popa, że ktoś w parafii z głodu choruje, kiedy on się ma dobrze, wszystkich sposobów, do jakich jego urząd daje mu prawo, używa, aby jak najwięcej zgromadził pieniędzy. Przecież musi własne utrzymywać dzieci, i żonę ustroić, i córkom posag zebrać, i synów bez pomocy nie zostawić. Co jemu szkodzi, że ktoś umrze bez Sakramentów, kiedy on go i tak pochowa i drożej jeszcze za pogrzeb zapłacić sobie każe. Na co mu się narażać w czasie epidemii, w odwiedzaniu chorych, kiedy jemu samemu ochraniać się trzeba, by nie zachorował, nie umarł, bo swej rodzinie jest koniecznie potrzebnym. Jakżeż on może tak bardzo gorąco miłować obce dzieci, kiedy serce jego musi koniecznie więcej jak wszystkich miłować dzieci własne. I jeżelibym zaczął wyliczać rozliczne w społeczeństwie potrzeby, które z ochotą spełnia i osobą swoją zasłania katolicki kapłan bezżenny, wszędzie znajde ważne powody, które nakazują, że tak powiem, cofnąć się przed nimi żonatemu księdzu przez wzgląd na stosunki własne i nikt go o to obwiniać nie może. O! zaprawdę oddać należy głęboki pokłon wielkiej i świętej instytucyi bezżeństwa katolickiego kapłaństwa, tego kapłaństwa, który nie jest instytucyą, ani żadnego państwa na ziemi, ani żadnego cara, ale instytucyą królów Króla, którego panowanie na wieki.

Ale wróćmy już do Ładyżyna. Ze stanowiska mojego urzędu, jak to wspomniałem wyżej, wkrótce spokrewniłem się, że tak powiem, nietylko z całą moją parafią, ale nawet z dalszemi osobami, których w rozlicznych interesach Bóg do mnie przysyłał. Z tego powodu oprócz zajęć parafialnych liczną prowadzić musiałem korespondencyę. A miałem ten nieszczęśliwy zwyczaj, że każdy list nadesłany, który zawsze zawierał, lub załatwiał jakiś interes, składałem do wielkiej szuflady mojego biórka i niepostrzeżenie zebrało się tego parę tysięcy. Żałowałem później bardzo tej mojej nieoględności. Najgorzej mi jednak szło gospodarstwo domowe, bo chociaż pragnąłem ile możności odszukać sobie ludzi uczciwych, by im oddać rządy dosyć obszernie prowadzonego domu, to przecież trudno znaleźć osobę, któraby zadosyć uczyniła wszystkim warunkom dobrej administracyi i jeżeli udało mi się odszukać kogo uczciwego i sumiennego, to rozum był krótki, a jeźli dostałem kogoś rozumniejszego, to znowu ze sumieniem zanadto elastycznem, tak że często ponosiłem straty, których ani usunąć, ani przewidzieć nie mogłem. Wtem pewnego razu przyjeżdża do mnie niejaka p. Klara

Sierocińska, z sąsiedniej parafii, wdowa, której pochowałem męża, nadwyraz poczciwego człowieka. Pani Klara, tak ją tu nazywać będziemy, osoba wysoce ukształcona, dosyć obszernych stosunków, dziwnej poczciwości i gruntownej pobożności, liczyła lat 60, ale jeszcze zdrowa, czerstwa i czynna. Po stracie swojego męża umyśliła resztę dni swojego życia przepędzić w pobożności i dobrych uczynkach za pokój duszy męża. Nie wiem dlaczego obrała sobie za najstosowniejsze miejsce zamieszkania Ładyżyn i przyjechała z propozycyą, abym ją przy kościele umieścił. Długo opierałem się jej żądaniu z wielu pobudek. Najprzód nie miałem dla niej miejsca. W mieszkaniu mojem było już i tak ciasno, a gdyby nawet było miejsce, to nie mógłbym jej przecież umieścić w charakterze klucznicy, a jakiejś znowu pani respektowej zawsze się bałem. Gdyby zresztą była biedną, jużby to jakoś zaradziło się łatwiej, ale że miała kapitalik wystarczający na jej utrzymanie, obawiałem się bardzo słusznie, aby ktoś nie powiedział, że ksiądz pochwycił wdowę i z ostatniego obdziera ją grosza. Wszakżeż to wszystko pomiędzy ludźmi się dzieje, a byłem zawsze tej zasady, że jeżeli dobrego nie zrobić nie mogę, niech przynajmniej zgorszeniem, a nawet powodem zgorszenia nikomu nie będę. Więc odmówiłem stanowczo.

Trzy miesiące upłynęło, a pani Klara od zamiaru swego nie odstąpiła, owszem użyła wszystkich rozległych swoich stosunków, aby mnie, że tak powiem, zmusić do jej przyjęcia. Nie mógłem jej pomieścić w domach moich, ale nie mogłem także zabronić, aby mieszkała w mieście. A ponieważ w bliskości nie było wygodnego pomieszkania, pozwoliłem więc wybudować jej domek na gruncie kościelnym w takiej pozycyi, że z okna swojego mogła była widzieć i szkółkę i ochronkę dziewcząt i kościół. A kiedym już przystał, by ją tak pomieścić, postarałem się, aby to jak najwcześniej załatwić i wkrótce nowa parafianka zamieszkała w własnym swoim domku.

Pani Klara była jedną z tych szczęśliwych osób, którą Bóg ubogacił w dary cichych cnót i cierpliwość w wypełnianiu tych drobnych uczynków, z których to całe życie nasze się składa. Codziennie przystępowała do komunii św. i była pierwszym przykładem gorliwej pobożności ale nie tej, co to od rana do nocy przesiaduje w kościele, a obowiązków swoich zaniedbuje i pracy unika, lecz tej, która po skończonem nabożeństwie każe wracać do domu i do pracy. Pani Klara od rana do nocy myślała, jakby najpiękniej i najczyściej utrzymać bieliznę kościelną, bo to za swój uważała obowiązek, lub najpierwsze potrzeby sierót własną swą ręką załatwić. Umiała ona dziwnym sposobem przywiązać do siebie sieroty, a szczególniej Siostry

Tercyarki, a nie wdawając się do ich sposobów nauczania, przychodziła z najzdrowszą radą w każdej ich potrzebie, a widząc z okna swojego prawie wszystkie ich czynności, jakby orlica jaka stała na straży, tego Bożego, a młodziuchnego jeszcze gniazdeczka.

Gdym ją bliżej poznał, oddałem jej i cały zarząd mego domu, o co usilnie prosiła. Nie odprawiła ona żadnego sługi, ale wszystkich przerobiła po swojej myśli i wkrótce zakwitnął taki ład i porządek, że sam podziwiać musiałem, a to wszystko tak cicho, harmonijnie i zgodnie, że pomimo wielkiego i ciągłego ruchu w domu, zawsze jakby klasztorna panowała cisza. Radowałem się w duchu, że P. Bóg całej sprawie błogosławił i sam tak pięknie urządził. Sierót przybywało coraz więcej, ale też nieoszacowany mój kolator i ofiarę swoją niejednorazowo, ale w terminach naznaczonych ciągle pomnażał. Słowo jego wyrzeczone zawsze się czynem stawało, nie miałem potrzeby o nic już prosić, tylkom za wszystko jemu i Bogu dziękował. Nie było wprawdzie nigdy u mnie złota, ale chleba powszedniego nigdy nie zabrakło. Mając tak dom urządzony mógłem swobodniej i częściej wyjechać, czy gdzie dzieci odwiedzić, czy rekolekcye odprawić, czy konferencyę lub inne interesa Sióstr nowo uformowanych załatwić, bo w domu wszystko szło jak zegar miesięcznie nakręcany.

Ale czy szatan zazdrościł temu Bożemu dziełu, czy ja byłem niegodzien prowadzenia go dalej, czy też sam Bóg widząc, że mi się za dobrze działo, dla upokorzenia mojego dopuścił, dość, że wkrótce wszystko się zmieniło i znikło, a tylko boleść w sercu i pamięć nieodżałowanej przeszłości została.

Od chwili wywiezienia i uwięzienia u nas marszałków, o czem wspomniałem mówiąc o Sobańskich, stan rzeczy odmienną naraz przybrał postać. Rozpuszczone czynowniki rzucali się na wszystkie bezprawia. Nie było już marszałków, którzy ich dotąd jako tako wstrzymywać w nadużyciach umieli. Każdy dzień nową przynosił klęskę i nową grabież. Zjawiła się naraz jakaś falanga nadzwyczajnych czynowników zwykle z popowiczów werbowana, którzy z ogólnem jakiemś upoważnieniem z gubernii, najczęściej przez sekretarza tylko podpisanem, przyczepiali się do wszystkich czynności, we wszystkich powiatach. Ale jeżeli ci panicze przyczepiali się wszędzie, to przedewszystkiem nie pominęli kapłana. Na mnie pierwszego przyszła kolej. Przez dziewięć miesięcy miałem nieszczęście widzieć w swoim domu takich jegomościów pięciu, każdy z nich miał rozkaz przez gubernatora Kamienieckiego podpisany, abym natychmiast szkółkę zamknął i dał na siebie podpiskę (zaręczenie), że dłużej takowej utrzymywać nie będę. Naturalnie zawsze

dawałem zapewnienie, tak nazwaną podpiskę, że szkółki żadnej nie mam i takowej utrzymywać nie będę, ale utrzymuję tylko ochronkę małych dzieci, w moc pozwolenia ministra, którego zapewne p. gubernator kasować nie ma zamiaru. A że mówię prawdę, odwołuję się do opinii zesłanego czynownika, który naocznie o wszystkiem się przekonał. Do takiej podpiski dokładałem zawsze dziesięć do piętnastu rubli, aby zesłany czynownik, lepiej widział i gorliwiej zaświadczył o prawdzie mego zeznania.

To wszystko nie przeszkadzało, że policya miejscowa bądź to w skutek sekretnych rozkazów, bądź to z własnych swoich popędów ciągłemi niepokoiła mnie przyczepkami. Niezmordowany Hajduszka, o którym wspomniałem na początku, zdaje się, że nie miał innej czynności, jak tylko zajmować się mną, szkółką i parafią; szły dzieci do kościoła, a policyant z jego rozkazu rozpędza je i niejednego prętem uderzył. Przyjechał kto do mnie, już znowu policyant jest na dziedzińcu i musiał się koniecznie dowiedzić, kto, po co, zkąd i na długo przyjechał. Pojechałem gdzie w interesie parafii, to znowu furmana brano na egzamin gdzie, do kogo i po co jeździł, każdy mój krok był u niego podejrzany. A w skutek swoich podejrzeń zdawał raporta gubernatorowi, że jestem człowiekiem niebezpiecznym, wpływowym i konspirującym przeciwko rządowi. Później dowiedziałem się nawet od jednego z czynowników, że w jednym z raportów swoich radził on gubernatorowi Kamienieckiemu, by odbyto u mnie rewizyę, która miała wykryć i utwierdzić wszystkie jego przeciwko mnie podejrzenia. Gubernator korzystał z tej rady. I niebawem kazał ją odbyć. Było to w niedzielę w dzień św. Dominika 4 Sierpnia 1863 r., kiedy po odprawionych nieszporach, mając interes odwiedzić chorego sąsiada o kilka wiorst tylko mieszkającego, wyjechałem z domu. Aliści zaledwie parę staj od domu ujechałem, spotykam na drodze pomocnika sprawnika z Hajsena, który mnie zatrzymuje i prosi, abym się z nim do domu wrócił. Przysiadł się nawet do mnie choć nieproszony i w drodze dopiero powiedział, że będzie u mnie rewizya. W kilka chwil stanąłem z powrotem w domu, ale gorliwy pomocnik wnijścia już do pokoju mi wzbronił, a zaraz potem cały pułk huzarów, który już na to był przygotowany na czele swych oficerów, otoczył dom, kościół i wszystkie moje zabudowania. Sam zaś Hajduszka z przybranemi siepakami, do których przyłączyli się także oficerowie, co mnie najbardziej gorszyło, w liczbie kilkunastu osób weszli do mego mieszkania i oświadczyli, że będą robić rewizyę. Nie miałem prawa zaprzeczyć im, bo mieli rozkaz na piśmie, a ulegając przemocy, rzekłem: dobrze panowie

rewidujcie, ale pozwólcie, że ja pierwej zrewiduję was, czy który z was nie przyniósł z sobą tego, co znaleźć pragniecie, bo zapewniam, że u mnie nic podejrzanego nie masz. Nie wiedzieli, co na to powiedzieć, nie spodziewali się takiej interpelacyi, była chwila milczenia. Korzystałem z tego i zrobiłem uwagę pomocnikowi powiatu, aby połowę niepotrzebnych gości usunął. W samej rzeczy było bardzo ciasno w mieszkaniu, na które ta szarańcza napadła. Pomocnik uznał słuszność, czeredzi wyjść nakazał. Zostało tylko osób czternaście, a na ich czele Hajduszka, który w sposób najwięcej grubijański wyrzucał bieliznę, odzież, książki i wszystko, co pod rękę popadło i to we wszystkich pokojach. Spodziewali się znaleźć broń, amunicyę, mundury i wszystkie zapasy dla partyi, która wedle Hajduszki wyobrażenia powinna się była u mnie formować i razem ze mną wyjść w pole. Ale gdy tego wszystkiego śladu nawet nie było, zawstydzeni, że zrobili fiasko, chcieli koniecznie znaleźć choć pozór mej winy, Hajduszka spojrzał na otwartą jeszcze szufladę, w której, jak mówiłem wyżej, było pełno listów. Wot — tam wskazując na szufladę z listami — jest buntownicze dzieło. I w moment znalazł się jakiś worek, do którego wszystkie listy wraz z innemi papierami w mgnieniu oka przeszły, które jako *corpus delicti* do gubernatora przesłał.

Późno już wieczorem przy świecach skończyła się rewizya, a całym jej nabytkiem był ów worek listów. To mnie bardzo zaniepokoiło nie dlatego, aby listy miały mnie, albo kogo skompromitować, bo w nich nic nie było, ale znając niegodny charakter Hajduszki przypuszczałem, że mógłby do listów dorzucić, jakie pismo, któreby mnie skompromitować mogło, tem bardziej, że ani pomocnik, ani Hajduszka pod żadnym pozorem nie chcieli, ani listów obliczyć, ani ich oparagrafować, aczkolwiek tego się dopominałem. Chcąc więc uprzedzić władze o tem mojem podejrzeniu, zaraz dnia następnego napisałem dwa listy jeden do gubernatora Kamienieckiego Braunszwajga, drugi do jenerał-gubernatora w Kijowie Anieńkowa i obydwa dla zwrócenia większej uwagi wysłałem sztafetą. W listach tych donosząc o rewizyi, nie skarżyłem się na nią owszem dziękowałem, bo rewizya taka z rozkazu władzy wykazała tylko niewinność moją. A cały nacisk położyłem na brutalność przy rewizyi i na nieporządne zabranie papierów i listów bez rachunku, bez zanumerowania, lub jakiegokolwiek naznaczenia. Nie taiłem, że Hajduszka i pomocnik sprawnika są głównie mojemi nieprzyjaciołmi dlatego, że im nic nie daję i że oni zdolni są dorzucić swoje jakie pismo, aby mnie tylko skompromitować. W końcu odwołałem się do szlachetnego poczucia, tak wysokich dygnitarzy i prosiłem, by wybrali

sumiennego i zaufanego człowieka do przepatrzenia papierów moich, a zastrzegałem sobie wszelką wolność dochodzenia i poszukiwania sprawiedliwości na wypadek niewłaściwie przyrzuconego mi pisma. To miało taki skutek, że w sześć dni po moim liście z biura jenerał-gubernatora sprawnicy odebrali oddzielne rozporządzenie, aby nadal odbywali rewizye ze względnością należną, a zabrane papiery i sami podpisywali i właścicielowi podpisać je pozwalali. Później było jeszcze kilka rewizyi w powiecie, ale tych już jakoś grzeczniej dopełniali. Dodać tutaj muszę, że o wszystkich czynościach moich i napaściach czynowników biskup dyecezyi kamienieckiej ks. Antoni Fijałkowski, dzisiejszy metropolita mohilowski, bardzo dobrze wiedział, próbował nawet kilka razy zasłonić mnie i zwracał uwagę gubernatora, że mam za sobą prawo, bo pozwolenie ministra Ale gdy się przekonał, że minister dał pozwolenie na utrzymanie ochronek głośno, a odwołał to i zabronił w sekrecie, zaprzestał bezskutecznych starań i wyraźnie mi oświadczył, że mi nic pomódz nie może i że sam tylko biorę na siebie wszelkie następstwa w tej cichej, wprawdzie legalnej, ale formalnej z rządem walce. Uważałem za słuszne to jego wyznanie, bo to jest pewna, że mniejsza jest szkoda dla kościoła, kiedy biją nogi, jak głowę, która zawsze ochranianą być winna.

W dwa miesiące po owej nieszczęśliwej rewizyi odebrałem wezwanie od ks. biskupa Fijałkowskiego, abym we własnym swoim interesie do Kamieńca przybył. Naturalnie, uczyniłem to zaraz. W tym samym czasie zdarzyło się, że p. Róża Sobańska, powracając z Warszawy na Podole przez Kamieniec, wypocząć tu musiała. Bardzom się ucieszył z tego niespodziewanego spotkania, wypowiedziałem jej, że za poradą biskupa usunąć się muszę z Ładyżyna na czas krótki. Kiedy wymawiałem te słowa, jakiś smutek czy trwoga opanowały mnie. Miałoż to być przeczucie smutnych bardzo następstw? Na drugi dzień, smutny, jakby z kamieniem w piersi, pożegnałem panią Różę, w przekonaniu, że się z nią wkrótce zobaczę.

Ale chłop strzela, P. Bóg kule nosi, mówi dawne przysłowie, tak i ze mną się stało. Nazajutrz po wyjeździe pani Róży S., kiedy około godziny 4 powracałem z obiadu od ks. biskupa, człowiek mój od koni zastępuje mi drogę z zawiadomieniem, że już od godziny 12 policyant stoi przy koniach i ma rozkaz zabronić mi wyjazdu. Gdy sobie więc myślę, coby to być mogło, nagle stawa przedemną policmajster w urzędowej przy pałaszu formie, a po powitaniu, bośmy się cokolwiek już znali, oświadcza, że ma pilny do mnie interes i do swego mieszkania prosi. Zaproponowałem, że moje mieszkanie jest bliżej i pro-

siłem do siebie, na co oświadczył mi, że ma interes urzędowy, który u siebie załatwić musi. Poznałem naturalnie, żem jest aresztowany, ale ile możności starałem się zachować obojętność i jakby z dawnym i najlepszym znajomym, rozmawiając o pogodzie i fraszkach wolnym krokiem posuwałem się do jego mieszkania. Tam dopiero ze zwykłym już frazesem żalu w podobnych razach i z miną kocią, co to na mysz czycha, ubolewa, że na niego przypadło nieszczęście oświadczenia mi, że jestem aresztowany, z rozkazu ministra, że rozkaz ten przyszedł właśnie dzisiaj i gubernator korzysta z mojego tu pobytu, ale on sam jako niższy urzędnik nic temu nie winien, że przykrość mi sprawia. Więc cóż pan ze mną zrobić zamierza — spytałem go po chwili?

— Ha! konie już są zaprzężone, które powiozą księdza do Kijowa — i ruszył ramionami na potwierdzenie, że mnie bardzo żałuje.

— To może pan pozwolisz, że wezmę mój powóz, bo wiem, że wasze bryczki bardzo niedogodne, a choć to tylko 500 wiorst, to zawsze szybka i niedogodna jazda do choroby doprowadzić mnie może.

Nie chciał on jednak zgodzić się na to, utrzymując, że żaden powóz nie wystarczy, że potrzaska się w drodze i zawsze bryczką pocztową jechać będę zmuszony.

— Więc chyba pojadę gdzie dalej, bo za powóz mój ręczę, że 500 wiorst i więcej wytrzyma.

— Nie wiem odrzekł i znowu jakby z przyzwyczajenia podniósł litościwie ramiona.

Widoczna było, że kłamie i dalej nie było co mówić. Posłałem więc po mojego człowieka, dałem mu pieniądze na opłatę w hotelu i powrót do domu, napisałem także słów kilka, które urzędnik naturalnie przeczytał, a pożegnawszy i przeżegnawszy poczciwego i przywiązanego do mnie, jak dziecko do ojca sługę, wyprawiłem do domu. Dyonizy — tak było imię owemu poczciwemu, który już cztery lata wiernie mi służył — rozpłakał się jak dzieciak i choć musiał wyjść z pokoju, stanął na ulicy, by do ostatka widzieć, co się ze mną stanie i mimowoli swoim głośnym płaczem zatrzymywał przechodniów, opowiadał co się stało, a w kwadrans czasu już na ulicy trudno się było przecisnąć.

Wyjeżdżając z domu na dni kilka tylko nie miałem potrzeby wiele zabierać garderoby. Sześć koszul, rewerenda i brewiarz w walizie powozowej, cały był na teraz majątek — a i to kazałem zanieść do seminaryum, aby mieć pozór pożegnać się z rektorem, profesorami i wielu innymi kapłanami, dla których miałem prawdziwy szacunek i przyjaźń, a zarazem prosiłem policmajstra, aby mi do seminaryum pójść pozwolił i ztamtąd się wybrać. Przystał na to i sam mi towarzyszył, a za

nami czterech z jego rozkazu drabów szło w niejakiem od nas oddaleniu. Poczciwi koledzy uczuli bardzo moje położenie, ale nie było czasu do rozwodzenia żalów, bo wieczór się zbliżał i policmajster naglił. Zamiast walizy, której nie było czem napełnić, kupiono mi torbę podróżną, która ani w połowie majątkiem moim zajętą nie była. Chciałem wziąść z sobą kaplicę podróżną, ale tego policmajster nie dopuścił. Więc wkrótce do drogi byłem gotowy. Na wieść o mojem tak nagłem aresztowaniu, zeszli się prawie wszyscy znajomi kapłani. Ks. prałat Antoni Jakobielski, którego szczyciłem się przyjaźnią, współbolał z drugimi nademną. Znakomity ten prałat nauką i żywotem prawdziwie kapłańskim długi czas był rektorem akademii duchownej w Petersburgu, znał więc wszystkie stosunki ministrów i władz wyższych i doskonale mnie poinformował. Szkoda, że szczupłe ramki nie pozwalają mi opisać tego zacnego prałata, z którym od kilku lat w ścisłej zostawałem zażyłości. Tymczasem wieczór się przybliżał i policmajster naglił, więc uścisnęliśmy się serdecznie: do widzenia, daj Boże w niebie! Cicha łza tylko w oczach nas wszystkich była ostatnim świadkiem, ostatniego pożegnania kolegów. Szybko wyszliśmy na ulicę, gdzie stał powóz policmajstra, którym mieliśmy jechać dalej. Uprosiłem jednak policmajstra, że wstąpił ze mną do ks. biskupa; zastałem kilku prałatów, którzy na wiadomość aresztowania mojego tutaj się zeszli. Opowiedziałem ks. biskupowi w krótkości, co zaszło, zaprotestowałem wobec kapłanów i policmajstra, że do rewolucyi żadnej nie należałem. Prosiłem go, aby w danym razie wstawił się za mną. Pół godziny z górą byłem na tej ostatniej wizycie, zakończonej ostatniem na długie lata błogosławieństwem mojego pasterza. Policmajster naglił, wyszliśmy z pałacu i wsiedli do powozu. Aliści zaledwie wjechaliśmy w ulicę, a tu przed kościołem Dominikańskim, gdzie było seminaryum, tłumy ludu wyległy tak, że formalnie z wysileniem ściskać się musiano, aby zrobić miejsce dla powozu i koni. Poczciwy lud kamieniecki dowiedziawszy się o mojem wywiezieniu, zebrał się licznie na ostatnie pożegnanie, jakby na kondukt żałobny. Znaliśmy się już dobrze, bo nie tak dawno odprawiałem tam publiczne rekolekcye w kościele, prócz tego wiele razy miałem kazania w katedrze, niejedno tam zaprowadziło się bractwo, więc z jednemi brat, z drugiemi krewny po Bogu, a ze wszystkiemi znajomy byłem. Wyznać muszę, że wszystkich mieszkańców ceniłem i miłowałem bardzo, bo tak poczciwe dusze wogóle, jakie naówczas znajdowały się w Kamieńcu, które miałem sposobność wiele razy poznać, rzadko gdzie napotkać można. W wielu miejscach znajdują się liczne i piękne wyjątki, tu ogół był poczciwy, jak dosko-

nała rodzina pod rządem cnotliwych i mądrych rodziców. Jestem dzisiaj jeszcze pewny, że gdybym był zawołał na tę masę ludu: „ratujcie mnie“, byliby policmajstra, konie i policyantów w kawałki rozniesli. Ale ta myśl daleką była odemnie; jam ich niedawno zachęcał do rezygnacyi, do gotowości na wszelką ofiarę, do zgadzania się z wolą Bożą w każdej potrzebie; należało mi więc dać z siebie uległości przykład. Obróciłem się więc już w powozie do większej gromady ludu i zawołałem głośno: „Z woli Bożej przypadł na mnie ten ucisk i znowu z woli Bożej — mam wiarę — wszystko przemieni się. Żegnam was najmilsi, proszę tylko o modlitwę, bo i ja za was modlić się będę“! Zwolna przesunęliśmy się przez te tłumy, a z tłumu niejeden krzyżem w powietrzu błogosławił, jakby złe odemnie odpędzić pragnął. Inny znowu stał zadumany, bo pierwszy to był gwałt od czasu wywiezienia marszałków, spełniony na mojej osobie.

Z Papierów Szwedzkiego Dyplomaty.

I.

Józef II i jego otoczenie.

(Pamiętniki Wawrzyńca hr. Engeströma, posła nadzwyczajnego i ministra pełnomocnego króla J. M. Szwedzkiego w Polsce i t. d. i t. d. przełożone przez J. I. Kraszewskiego).

Jeden z trojga panujących — którzy w r. 1772 nadszarpali posiadłości Rzpltej Polskiej — cesarz Józef II, jak miał licznych swoich chwalców w chwili kiedy panował, tak i dziś, choć już mija lat kilkadziesiąt z okładem od jego śmierci, jest jeszcze przedmiotem pochwał i uwielbienia ze strony ludzi, upatrujących *summam potestatem* we władzy państwa. Tacy wynoszą go pod niebiosa, jako twórcę osławionego systemu, który tyloma klęskami moralnemi zaznaczył się w kościele i w społeczeństwie, zeszpecił najpiękniejsze charaktery ludzi i tak straszliwie zwichnął umysły. Ale czy o synu cesarzowej Maryi Teresy z również podobnem uwielbieniem odezwać się może bestronny a poważny historyograf jego panowania?... Posłuchajmy co o nim mówią pamiętniki współczesnego mu szwedzkiego dyplomaty [1]), przebywającego na jego dworze — pamiętniki, których „całą zasługą prawda“.

[1]) Wawrzyniec hr. Engeström, urodzony r. 1751 w środkowej Szwecyi, po ukończeniu nauk w Lundzie, otrzymuje miejsce przy archiwum państwa, w parę lat zostaje sekretarzem gabinetowym króla, a następnie szefem biura. W r. 1782, jako *Chargé d'affaires* wysłany do Wiednia bawi tu przez lat 5, poczem w takimże charakterze udaje się do Warszawy. W stolicy Rzplitej poznawszy pannę Rozalię Chłapowską, żeni się z nią, a następnie na sejmie r. 1791 otrzymuje indygenat polski. Odwołany z Polski do swojej ojczyzny Engeström obejmuje urząd kanclerza dworu, członka komisyi dla spraw zagranicznych itd. W r. 1795 widzimy go jako ministra pełnomocnego znowu na dworze cesarskim w Wiedniu, w trzy lata potem nad Spreą w Berlinie. Przez cały czas następny prawie aż do końca życia spadają na Engeströma rozliczne zaszczyty i dostojeństwa. Wreszcie „ku końcowi życia — pisze Kraszewski — skołatany wiekiem i pracą, złożył sam wysoki urząd, który mu niemal wszechwładny wpływ dawał na sprawy krajowe (kanclerza królestwa Szwecyi i Norwegii) — w przekonaniu, iż młodszych sił potrzebowały sprawy ojczyzny, a sam przeniósł się dla odpoczynku na ziemię polską do majętności swej Jankowic w Poznańskiem. Tu on zmarł dnia 19 Sierpnia 1826 i pochowany został w parafialnym kościele, we wsi Ceradz kościelny“.

„Gazety wszystkie pełne były pochwał najszumniejszych czynności cesarza; na wiarę tych papierów świat go brał za wielkiego człowieka. Przykro mi, że przekonania tego podzielać nie mogę; najgłówniejszą cechą jego charakteru była zawiść. Odbył podróż do Francyi. Stan kwitnący i bogactwo kraju tego boleśnie go raziły; wielka sława wojenna Fryderyka II była dlań nieznośną. Nienawiść tę okazywał w sposób tak dziecinny, tak nędzny, iż pojąć to trudno i uwierzyć. Naprzykład, gdy król pruski przybył raz odwiedzić go w obozie na Szlązku, wojska cesarskie stały pod bronią, gotowe do manewrów. Zaczynał deszcz padać, potem ulewa wszczęła się silna i długa, cesarz manewrów poprzestać nie chciał i Fryderyk drugi zmoczony został do nitki. A że nie przewidując podobnej przygody, nie miał z sobą innej sukni nad tę, w którą był ubrany, gdy cesarz poszedł się przebrać do swego namiotu, Fryderyk przez ten czas suszyć się musiał przed ogniem“.

Nietylko względem Francyi i Prus pałał Józef II zawiścią; zazdrościł on równie potęgi carowej Katarzynie. Nie okazywał tego jednak po sobie, lękał się bowiem Semiramidy północnej. Owszem, mając nadzieję że w związku z Rossyą dopnie ambitnych swoich zamiarów, starał się pozyskać sobie względy cesarzowej. „W czasie pobytu swego w Petersburgu, gdy przyszło iść szeregiem na mszę do kaplicy

pałacowej, zajął miejsce pomiędzy szambelanami cesarzowej, poprzedzającemi ją... i on, co był tak dumnym, nie wahał się okazać służbistym".

Zawiść idzie zwykle w parze z dumą. To też i ten drugi przymiot w wysokim stopniu posiadał Józef II. Najlepiej może dowodzi tego odezwanie się cesarza, gdy mu zwracano uwagę, że ogród w Augarten — czego dawniej nigdy nie bywało — oddał do użytku wszelkiego rodzaju publiczności:

— Gdybym ja szukał towarzystwa równych mnie tylko ludzi, musiałbym chyba zamknąć się w grobach cesarskich.

Męztwo nie zalecało Józefa II. Raz w czasie wojny z Turkami dwa oddziały austryackie, cofając się przed nieprzyjacielem, przez pomyłkę zaczęły strzelać do siebie. „Cesarz wysiadł ze swego powozu siadł na koń i zniknął. Gdy się nareszcie nieporozumienie owo wyjaśniło, poczęto pytać i szukać cesarza. Nikt o nim nie wiedział, dopiero nazajutrz znaleziono go w Carancebes. (?) Jedynym był oficerem z całej armii, który drapnął i znalazł się w towarzystwie ciurów wojska swojego".

Oprócz tych ujemnych stron ducha i inne jeszcze cechują Józefa II: oto upodobanie w pokątnych miłostkach i chętne słuchanie donosów denuncyantów. „Na zamku cesarskim we Wiedniu był korytarz pewien, który zwano przechodem kontrolerów; jedne ze drzwi od pokojów cesarskich wychodziły nań. Tu zbierali się wszyscy pragnący mówić z cesarzem, w godzinach na przyjęcie oznaczonych. Dawano im rodzaj posłuchania. Ludzie przynoszący fałszywe denuncyacye i rozmaite dziewczęta większą część ciżby tej stanowiły. Cesarz kazał jednego po drugim wpuszczać do swego gabinetu. Uczciwe kobiety obawiały się tam przychodzić, gdyż dowiedzionem było, że cesarz zbyt sobie chciał pozwalać. Trafiło się raz, że z takim fałszywym donosicielem miał cesarz rozmowę następującą:

— Znowuś tu przyszedł łajdaku jakiś, ostatni twój raport okazał się z gruntu fałszywym.

— Tak jest N. Panie, odparł tamten, ale to co dziś przynoszę, najświętsza prawda.

— No to chodźże".

W naturze człowieka leży, że najbardziej goni i ubiega się za tem, czego mu właśnie nie dostaje. Józef II nie będąc

ani potężnym, ani sławnym gorąco pożądał obojga. To też rwał się i pragnął wielkich rzeczy, ale wrodzona słabość charakteru sprawiała, że w końcu cofał się przed niemi. „Sławny książę Potemkin, mówił o cesarzu Józefie — Cesarz radby strzelać zawsze, ale mu z panewki znosi".

Obok Józefa II nader korzystnie odbija postać marszałka Laudona. Zbawca Austryi w krytycznej chwili wojny z Turcyą, zanim doszedł do tak wysokiej godności, którą zawdzięczał najbardziej szwagrowi swemu, kanclerzowi Kaunitzowi, przebiegł prawie wszystkie od najniższego szczeble służby wojskowej, odbył tułaczą wędrówkę po dworach północnej Europy. Znakomite stanowisko w Austryi nie zrobiło Laudona pysznym. Przeciwnie zalecała go jak największa skromność. „Nie można znaleść skromniejszego na świecie człowieka nad Laudon'a. Cesarzowa Marya Teresa spytała raz księcia de Ligne:

— Co się z waszym marszałkiem Laudonem dzieje?

— N. Pani, odparł de Ligne, skrył się w kątek przedpokoju, wstydząc się, że tyle ma zasługi".

Książę kanclerz Kaunitz o ile jako mąż stanu, zasługiwał na wszelkie poszanowanie, o tyle znowu w życiu prywatnem był śmiesznym do wysokiego stopnia, z powodu różnych dziwactw, z któremi się lubił popisywać. „Utrzymywał nawet, że kto się oryginalnym sposobem zachowywania nie odznacza, nie może mieć wielkich zdolności i wyższego umysłu". Między innemi jego dziwactwami było to, że nie znosił, aby przy nim mówiono o śmierci. „Raz ambasador francuzki Margrabia Noailles, mówiąc coś, zwrócił się do księcia i wyrwało mu się: Książę Lobkowitz umarł tej nocy. Natychmiast Kaunitz tyłem się do niego odwrócił i odszedł.

— Cóż ja mu tak nieprzyzwoitego powiedziałem? zapytał de Noailles swojego sąsiada.

— A cóżeś mu pan mówił? rzekł zagadnięty.

— Oznajmiłem mu o śmierci Lobkowitza, odezwał się de Noailles.

— Nie mogłeś mu pan nic w świecie przykrzejszego powiedzieć, odrzekł tamten — jak tylko wspomnieć o śmierci".

Między innemi osobistościami, występującemi na dworze Józefa II chwilowo, znajdował się i słynny kawaler de Maylly zwany księciem de Nassau. „Dziad jego po mieczu ożenił

się był z francuzką z familii znacznej Charlotte de Maylly, potem ks. de Nassau opuścił żonę i osiedlił się w Niemczech. Mieszkał tu lat siedmnaście, nie widząc się z nią, a w tym czasie narodził się ojciec owego księcia, o którym mowa. Wedle praw niemieckich dziecię to nie było prawem, ale że książę za morze nie popłynął i na stałym lądzie równie jak żona się znajdował we Francyi, dziecię zostało uznane". Ów bawiący we Wiedniu książę de Nassau, ożeniony z polką słynną panną Gozdzką, wytoczył nawet proces księciu Oranii, chcąc odzyskać księstwo Siegen, jakie po śmierci jego dziada przeszło na książąt Oranii. Proces ten umarł razem z nim, gdyż dzieci nie zostawił. „Ten Nassau był pięknym mężczyzną, pochmurnego oblicza, znano go z odwagi, dziwactw i wybryków. Po żonie wziął był znaczne dobra na Ukrainie. Książę Kaunitz spytał go, czy też na Ukrainie są piękne konie?

— Tak jest, a będziesz mógł W. Ks. Mość sam o tem osądzić, gdyż będę miał honor ofiarować mu konia rodem z tego kraju. Zapomniano o tem zupełnie, gdy dnia jednego dano znać o przybyciu konia z Ukrainy, którego pocztą przywieziono. Nassau kazał zbudować umyślnie rodzaj powozu, a raczej domku na czterech kołach, do którego konia wprowadzono, zaprzężono koni cztery i tak go przytransportowano do Wiednia, przebywając ogromną przestrzeń, dzielącą stolicę od Ukrainy. Wszyscy szli jak na osobliwość, przypatrywać się temu powozowi, ciekawszemu niż koń, który jak utrzymywano, dość lichą był szkapą".

Ulubieńcami cesarza Józefa byli w tę porę książę Rosenberg, wielki podkomorzy cesarski, i marszałek de Lascy. Ten ostatni „niechybnie miał wielką znajomość ekonomiki militarnej, głęboką naukę kształcenia wojska, ale jak mnie się zdaje, fałszywe też pojęcia w sposobie prowadzenia wojny". Fawory pańskie, wciąż spływające na marszałka, sprawiały, że nawet wobec monarchy puszczał on czasem wodze wrodzonej sobie niecierpliwości. „Raz Lascy znajdował się w namiocie cesarskim, zajęty oznaczaniem na mapie pozycyi, którą wojsko zająć miało, gdy oznajmiono o doboszu pruskim, który zbiegł do obozu cesarskiego. Cesarz kazał go przywołać, począł z nim rozmawiać i pytał, jakim sposobem bębniono jenerał-marsz w wojsku pruskiem. Dezerter dla pokazania

bębnić począł. Lascy zerwał się zniecierpliwiony z siedzenia i widząc cesarza zajętego doboszem, zawołał do przytomnych:

— „Oto go waszmość macie jaki jest".

Ciało dyplomatyczne w Wiedniu składało się z bardzo wielu osób. „Nuncyusz papiezki Monsignor Garampi, Biskup Montefiascone, człowiek poszanowania godny i lubiący nauki, kupował w Wiedniu książek wiele, zbierał bowiem aż trzy biblioteki, jedną dla siebie, drugą dla biskupstwa swego, trzecią dla miasta, w którem się urodził". Francyą reprezentował baron de Breteuil, który „dom utrzymywał na stopie bardzo wspaniałej, niezmiernie wystawnie". Poseł hiszpański Osorio'y Moscoco hr. d'Aquila „był to bardzo maluśki staruszek, okaleczały z powodu spadnięcia z konia, przenoszący się z miejsca na miejsce z pomocą dwóch hajduków ogromnych, prowadzących go pod ręce. Mówił sam nieraz: My wszyscy grandowie hiszpańscy jesteśmy mali". Oprócz tych przebywali tu jeszcze posłowie portugalski, holandzki, angielski, duński i inni.

Tak licznie nagromadzone w stolicy towarzystwo wyższe nie żyło w odosobnieniu; owszem prowadzono domy otwarte na wielką skalę. Księżna Lichtensteinowa, syn jej Ludwik, książę Paar wielki pocztmistrz dziedziczny, hrabia Kolowrath kanclerz czeski i wielu innych utrzymywali domy wspaniałe i świetne. „Mieliśmy w Wiedniu dwa towarzystwa — pierwsze z nich szlachty czyli towarzystwo wyższe, poczynało przyjmować wieczorem do; iero o godzinie dziewiątej; drugie (niższa szlachta) przyjmowało o siódmej — bawiono się tam do dziewiątej. Można więc było bywać zarazem w obu towarzystwach. Pomiędzy niższą szlachtą wiele było osób miłych i pań bardzo pięknych".

Takim był tedy Wiedeń pomiędzy rokiem 1782—1788.

Romuald Kaczyński.

PRZEGLĄD NAUKOWO-LITERACKI
i
Notatki bibliograficzne.

Ma mère, souvenir de sa vie et de sa sainte mort par Mgr de Ségur. Paris, chez Tolra, libraire editeur 1875.

Chociaż w ogóle geniusz nie jest dziedzicznym, inaczej się rzecz ma z talentem pisarskim i zamiłowaniem rzeczy umysłowych i literackich zabaw, które niejednokrotnie całe ogarniają rodziny, przechodząc nawet z pokolenia na pokolenia. I u nas w Polsce bywały tego przykłady, niegdyś w rodzie Kochanowskich, dziś w familii Kożmianów. We Francyi niema może rodziny, któraby tak ogólnie chwytała się pióra, jak ród Ségurów; rzadki talent pisarski, szlachetnie pokierowany, zda się przechodzić z ojca na syna, z matki na córkę. Nie zliczysz obfitych publikacyj, jakie literatura bieżąca zawdzięcza temu zacnemu nazwisku. Obecnie peryodyczna prasa niemało się zajmuje wydaniem pamiętników generała Filipa de Ségur, historyka wielkiej armii i roku 12. Pamiętniki te uwydatniają szlachetny charakter autora, a zarazem stają się cennym przyczynkiem do dziejów pierwszego cesarstwa i gruntownego poznania charakteru Napoleona. Znany francuzki publicysta Saint-Réné-Taillandier poświęcił tym pośmiertnym wspomnieniom niepospolite studyum, które się zrazu ukazało w *Revue des deux Mondes*. Sięgając nieco dalej, widzimy jednego z Ségurów, spisującego historyę powszechną wśród dyplomatycznych zajęć i intryg dworu Katarzyny. Dziś zaś jego prawnukowie zadziwiają nas rzadką płodnością w dziedzinie literackiej, tudzież żarliwą dobrą wolą, z jaką piórem służą najświętszym sprawom ojczyzny i Kościoła. Jeden, margrabia Anatol de Ségur wyborne pisze dziełka w chrześcijańskim kierunku odrodzenia Francyi, odzywając się z kolei to do rzemieślników, to do żołnierzy, to do klas wyższych społeczeństwa. Z jego łaski poznaliśmy już bliżej wewnętrzny ustrój i skład rodziny Ségurów, odsłonił nam niektóre domowe tajniki i to w sposób tak wdzięczny i zajmujący zarazem, że powodzenie owych książek i zbudowanie jakie przyniosły, usprawiedliwiły popełnioną niedyskrecyę. Niedyskrecya ta zresztą dziś we Francyi została uprawnioną przez wzrost tak zwanej *littérature intimé*, która wyłącznie z pamiętników i poufnej korespondencyi się składa, a do której główny pochop dała potrzeba przeciwstawienia czystych wzorów domowych cnót i rodzinnego szczęścia potwornym stosunkom i chorobliwym wybrykom współczesnego francuzkiego społeczeństwa. Margrabia de Ségur wydał najprzód rzewną biografię siostry swej, Sabiny, zmarłej w zgromadzeniu Nawiedzenia Matki Boskiej, później spisał dzieje wybitnej w historyi a zagadkowej postaci własnego dziada, hrabiego Roztopczyna. Czytelnicy *Przeglądu* nie zapomnieli z pewnością niektórych ustępów z tegoż dzieła, drukowanych na tem miejscu, a których nikt bez wzruszenia nie czytał. Najstarszy brat margrabiego mniej pisał dla świata, od którego się wcześnie usunął. Ale za to jakże obfite żniwo zbierze on w niebie z Bożego ziarna, jakiego nie przestaje siać w dusze ludzkie! Książeczka po książeczce, broszura po broszurze wypada z rąk jego, niosąc światu oświecenie i naukę we wszystkich bieżących

kwestyach, mianowicie w rzeczach wiary i Kościoła. Ciężki nań Bóg zesłał krzyżyk: w chwili gdy pałający żarliwością młody kapłan pragnął najczynniej się oddać posłudze Boga i bliźniego, stracił wzrok nagle i niepowrotnie. Rzecby atoli można, że jednocześnie nastąpiło w jego duszy pewne nadprzyrodzone rozświecenie i że Pan Bóg zechciał światłem wewnętrznem wynagrodzić słudze swemu utratę doczesnego wzroku. Albowiem zaiste cudowną jest jasność, przystępność wykładu ks. de Ségur, nieporównana jędrność myśli i popularność formy, a wszystko owiane taką wiarą i miłością, że nie dziw, iż serca ludzkie pałają, gdy się do nich przez swe przedziwne odzywa książeczki. Dziś podaje nam biografię własnej matki, a raczej opis jej śmierci. Przedmowa nas objaśnia, że te luźne kartki spisane zostały na żądanie najbliższych z rodziny i tylko myśl, że posłużyć mogą ku zbudowaniu i zbawieniu szerszego koła czytających, nakłoniła autora do wydania tak poufnych zwierzeń.

Hrabina de Ségur była córką sławnego Roztopczyna i małżonki jego hr. Protasow, której nawrócenie i świątobliwy żywot poznaliśmy z dzieła margrabiego Anatola [1]). Młodziuchna Zofia Roztopczyn wnet poszła za przykładem matki i już była katoliczką, gdy ją wydano za hr. Eugeniusza de Ségur. Młode stadło potrafiło założyć prawdziwie patryarchalne i chrześcijańskie gniazdo: liczne potomstwo wychowali w bojaźni Bożej, a Bóg dał im wyraźny zadatek swego błogosławieństwa, powołując najstarszego syna i najmłodszą córkę do wyłącznej służby swojej. Aczkolwiek pobożną była chrześcijanką, hrabina de Ségur po macierzyńsku i po ludzku uczuła rozdarcie serca, gdy ten jej pierworodny oświadczył i chęć zostania księdzem. Tyle ziemskich dlań wymarzyła nadziei, zbudowała zamiarów doczesnej pomyślności, a tu wszystko poświęcić, od wszystkiego odstąpić należało! Przez pięć lat żadną miarą nie mogła się zgodzić wewnętrznie z tą wielką ofiarą i dopiero powoli widok błogiego szczęścia i zaspokojenia swego dziecka przyniosły jej ukojenie i pociechę. Nieraz później mawiać była zwykła: „Martwiłam się tem, czem się najwięcej powinnam była cieszyć i łzami oblewałam to właśnie, co się stać miało pociechą, szczęściem i rozradowaniem mej starości“! Do tych słów matki mgr. de Ségur pięknie dodaje: „Ach! szczęśliwe zaiste matki, którym Pan Jezus odbiera syna, aby z niego uczynić swego kapłana, swego przyjaciela i wybranego sługę! W tem szczęście i zbawienie, nietylko dla powołanego do służby Bożej, ale i dla całej jego rodziny, a mianowicie dla matki“! To też gdy przyszły ciężkie chwile ostatniej walki, hr. de Ségur przedewszystkiem pragnęła mieć tego właśnie syna przy sobie, jedną tylko zdradzając obawę, aby jej nie odstąpił w śmierci godzinie. Przychylił się do jej życzenia mgr. de Ségur i dotrwał przy łożu umierającej aż do końca długiego pasowania się z życiem. Pisze on na tem miejscu: „Odwołany telegrafem z Beauvais, gdzie dawałem rekolekcye w seminaryum duchownem, postanowiłem nie oddalać się już ani na chwilę. Nawet jako kapłan, ten synowski obowiązek na pierwszem postawiłem miejscu. Kiedy bowiem chrześcijańska matka doczeka się najwyższego zaszczytu poświęcenia swego syna służbie Bożej, należy się, aby ona najpierwsze odnosiła ztąd korzyści i miała go przy sobie jako pocieszającego anioła w owych chwilach stanowczych, które o wieczności rozstrzygają“.

Mamy tedy dzień za dniem opis chrześcijańskiego konania, szczegóły owe dla bliższych zajmujące, dla nas obfitują w budujące przykłady i mogą

[1]) Patrz *Przegląd Lwowski* z r. 1872, Tom III, str. 135.

posłużyć za wzór, jak należy krzepić i podnosić w górę myśl skołataną fizycznem cierpieniem, jak cieszyć i gdzie szukać ulgi w tych ciężkich zapasach i walce ostatniej. Miłość synowska naturalnem przywiązaniem opromienia postać matki aureolą świętości: a rzeczywiście nie brak tu rysów, cechujących wybranych. Pierwsza część biograficzna ciekawszą jest dla ogółu czytelników, a między innemi ustęp, dotyczący literackiego zawodu hrabiny de Ségur, nosi cechy osobnego i właściwego wdzięku. Niema z pewnością autorki dzieł dla dziecinnych czytelników, którąby dorównała hr. de Ségur; opowiadania jej napisane są z tak odrębną werwą i życiem, tak przemawiają do wyobraźni dzieci i zająć je umieją, że po niej wszystkie powiastki wydają się czcze i nudne. Pobożna autorka zaczynała z Bogiem i zwykła była przy rozpoczęciu każdej nowej powieści ślubować pewną liczbę mszy św. za dusze zmarłych, dla zapewnienia błogosławieństwa z góry swemu przedsięwzięciu. Nieraz objawy wdzięczności nieznanej jej dziatwy w ujmujący sposób nagradzały jej literackie mozoły. Oprócz powiastek, mistrzowską napisanych ręką, hr. de Ségur wydała jeszcze historyę świętą w trzech oddziałach p. t. *La Bible d'une grand mère.* Córka jej, wice-hrabina de Pitray, poniekąd odziedziczyła po matce ten sam rodzaj talentu, strata jednak hr. de Ségur pozostanie niepowetowaną w dziedzinie literatury młodzieńczej i dziecinnej.

Kończąc ten krótki referat z rzewnej biografii zacnej matrony, polecamy usilnie wszystkie dziełka mgra de Ségur czytającej publiczności. Wiele z nich doczekało się już polskiego tłómaczenia, żeby tylko wspomnieć *Nabożeństwo majowe dla dzieci* (Pelplin u Romana), *Ucztę świętą* wydaną w Warszawie, i wiele innych. Chrześcijańskie dusze znajdą w nich pokarm zdrowy i światło prawdziwe i ogrzeją się powiewem tych słów gorących i wzniosłych.

* * *

Ein Opfer des Kulturkampfes oder Schicksale eines gesperrten und ausgewiesenen Priesters. Dem katholischen Volke erzählt von M. Renitentus. Trier, Verlag von Ed. Groppe, 1875.

Każda epoka przynosi zwykle z sobą osobną literaturę i wedle wypadków i przemian ta lub owa gałąź rozwija się i powstaje. Jeżeli każda wojna obfituje w studya militarne, a każdy kongres narodowy wywołuje dyplomatyczne wywody, czemużby walka obecna w Prusach nie miała także wyrodzić szkiców i pamiętników, odnoszących się do jej przebiegu. Wprawdzie uciążliwem to jest dotąd zadaniem, raz że trudno pisać, gdy bój wre zacięty wokoło, powtóre że trudniej jeszcze tak pisać, aby nie kompromitować osób i miejscowości, do których się opowiadanie odnosi. Dlatego mało widzimy próbek tego rodzaju, a nadzwyczajny ucisk prasy nakłada wędzidła na wszelkie tego rodzaju zwierzenia. Coraz mniej odbieramy w dziennikach szczegółów i uwag, wszystko się ogranicza na prostem doniesieniu faktów, które w swej nagiej doniosłości dość są wymowne, aby za chrześcijańskie targnąć wnętrzności i zbudzić ducha lepiej od zakazanych dziś dziennikarskich konkluzyj i wywodów. Kiedyś, da Bóg lepszych doczekać czasów, spodziewać się możem zajmujących opowiadań, przygód i poświęceń tych kapłanów prześladowanych i ściganych, którzy na wzór Mistrza nie mają zaiste kędy skłonić głowy, a wciąż wracają do osieroconych parafij swoich, bez względu na grożące im niebezpieczeństwa. Kapłani

wielkopolscy pod tym względem najbogatszy zbiorą plon, boć tam ucisk najcięższy, a zarazem i przywiązanie ludu największe. Tam także konieczność milczenia do czasu najbardziej obowiązująca. W Niemczech łatwiej przepuszczą wydanie wspomień z przebyłych prób i missyonarskich doświadczeń, a sama rozległość cesarstwa najlepiej anonim osłania; kiedy w księstwie Poznańskiem, zarazby siebie i drugich najostrożniejszy nawet autor odsłonił i uwydatnił.

Oto próbka tego rodzaju, wydana w Trewirze, a rzeczywiście zajmującej treści, chociaż forma mało sympatyczna dla nas Polakow, nie nawykłych do niemieckich *Witz'ów*, które poważne przeplatają opowiadanie. Są to przygody młodego kapłana, wyświęconego po prawach majowych, a który przez to od razu wpadł w konflikt z państwem Wysłany do parafii, pozbawionej skutkiem tychże praw pasterza, zaraz na wstępie swego zawodu kapłańskiego zwrócił na siebie czujną baczność policyi i kary nieskończone. Zaledwie krótki czas spędził na parafii, skazanym został na kilkomiesięczne uwięzienie, na grzywny, na wygnanie z regencyi, a następnie i niemieckiego państwa. Młody kapłan opisuje nam z humorem i werwą, w jaki sposób wciąż się wymykał policyi, powracał do swych owieczek, odprawiał im w nocy nabożeństwa, krzepił, koił, udzielał Sakramentów śś. i znów innego szukał schronienia, wśród wielu niewygód i trudów. Chociaż wciąż się sadzi na koncepta, nie zawsze smaczne ani wytworne, razporaz spotykamy się z rzewnem uczuciem, ogólne zaś wrażenie przekonywa nas, że jakkolwiek autor do szpiku kości jest sobie Niemcem (co aczkolwiek grzechem nie jest, ale w naszych oczach jest bardzo nieładnie), dzielnego musi być ducha i szczerze katolickiego usposobienia. Prawdziwie pociągający jest opis Pasterki w dzień Bożego Narodzenia, wśród wzruszenia ludu, czującego dobrze całą cenę pomocy duchownej, teraz więcej jak kiedykolwiek, skoro wciąż mu grozi jej utrata. W opisie więzienia uderza niejeden rys głębszy i rzewnie pomyślany, np. gdy wspomina, że i biskup i kapłani z dyecezyi Trewirskiej zamknięci byli w dawnym klasztorze Dominikańskim, który na nowo modlitwą zabrzmiał i sługami Bożymi się zapełnił. Ileżto domów Bożych, zamienionych po kasacie zakonów na więzienia, dziś podobnego doznaje losu i uświęcone napowrót cierpieniem wyznawców, poniekąd wracają do pierwotnego przeznaczenia. Autor szczegółowo opisuje nam życie więzienne, zkąd jawnie widzimy, że chociaż dziennikarze wciąż głoszą o łagodności kar i praw nowych, które żadną miarą męczenników nie zrobią, niemniej wyznawcy Chrystusowi cierpią rzeczywiście rodzaj powolnego męczeństwa, bądź za kratami, bądź za granicami ojczyzny. Trudno bez zajęcia czytać powyższą książeczkę, która się już doczekała kilku wydań i tłómaczeń na francuzki i angielski język. Epigraf *per crucem ad lucem* wymownie streszcza skutki obecnego ucisku, który zbudził w Niemczech ducha katolickiego, uśpionego przez kilka wieków zimnym reformacyi powiewem.

* * *

Rapt de la Boukovine. Paris 1875.

Pod tym tytułem wyszła niedawno w Paryżu nader ciekawa broszura, zawierająca całą korespondencyę prowadzoną między Kaunitzem ówczesnym kanclerzem państwa w Austryi, a hrabią Thugutt austryackim posłem w Ca-

rogrodzie. Dziwić się atoli wypada, jakim sposobem potrafili ją ogłosić Rumuni, skoro dotychczas znajduje się ona w tajnych wiedeńskich archiwach. Trudno przypuścić, aby potrafili dostać się tam za pomocą złotego klucza. Dosyć, że do ogłoszenia tych nader ciekawych dokumentów przyczynił się stanowczo zamiar burmistrza czerniowieckiego, obchodzenia tego roku w miesiącu Maju stuletniej rocznicy „przyłączenia", jak się wyrażały urzędowe dzienniki, Bukowiny do Austryi — zamiar, który jak wiadomo skończył się wtedy zupełnem *fiasco*, a dopiero w chwili inauguracyi Uniwersytetu w Czerniowcach z ogromnym zapałem przez Żydów i Niemców był podniesiony. Koniec końcem, rękawica rzucona Rumonom podjętą przez nich została, w wydaniu wyżej wspomnionej broszury. *Kuryer Poznański* mówiąc o tej publikacyi, pisze, co następuje: „Burmistrzowi z Czerniowiec na jego proklamacyą w trzech językach co do stuletniego obchodu, odpowiedział burmistrz z Jass obchodem dnia 7 Maja pamiątki tego nieszczęścia dla Multan. Po odprawionem nabożeństwie w katedrze, przez arcybiskupa poświęcony został pomnik wzniesiony Grzegorzowi Ghika, hospodarowi tego kraju, który wszelkiemi siłami stawił opór temu rozbiorowi swej ojczyzny i dlatego z rozkazu Porty ottomańskiej zamordowany został. Krew ta przyschła do rąk Kaunitza, kierującego ówczesną dyplomacyą austryacką i zmyć się nie da w historyi".

Nie myślimy rozbierać w szczegółach tej zawiłej korespondencyi, którą czytelnicy, chcący bliższe czynić poszukiwania nad austryacką polityką zeszłego wieku, znajdą w dziełku wyżej zatytułowanem.

Królowie węgierscy a po nich i dom habsburgski usiłowali zawsze dotrzeć do morza Czarnego i zająć cały północny brzeg dolnego Dunaju. Kusił już cesarz Zygmunt naszego poczciwego Jagiełłę, ofiarując mu w podziale Multan Bukowinę, o której, zdaje się, że w tym tajemnym traktacie znajdujemy po raz pierwszy wzmiankę dyplomatyczną; kusił o to i Władysław, król czeski i węgierski swojego brata Jana Albrechta, który ciężką klęską przypłacił tę umowę.

Gdybyśmy mieli wierzyć mówcom czerniowieckiego obchodu, Bukowina nim się pod niemieckie dostała gospodarstwo, straszliwą była pustynią, ale tak wcale nie jest. Była to najżyźniejsza i najpiękniejsza część Multan z dawną swą stolicą Suczawą, z biskupstwem niegdyś katolickiem w Serecie, z biskupstwem schyzmatyckiem w Radautz, z bogatemi klasztorami w Putnie, gdzie są groby Stefana Wielkiego i dynastyi Dragoszów, w Dragominie, w Suczawicy, w Woroniczu itd. Bukowina, można powiedzieć była jądrem, zawiązkiem Multan i liczyła sama przeszło 233 miasteczek i wiosek, których liczba do dziś doszła do 287. Nie można nawet powiedzieć, żeby wojną zniszczoną została, kiedy się dostała Austryi, bo od traktatu karłowickiego te strony nieprzerwanego doznawały pokoju i nie były na drodze wojnom, które w ośmnastym wieku Moskwa prowadziła z Portą ottomańską.

Prócz zwyczajnego sposobu, który się udawał nieraz z tureckim rządem posuwania pomału i nieznacznie słupów granicznych z orłami austryackiemi naprzód, tak podczas pokoju jak i wojny, gabinet wiedeński częste podawał projekta gabinetowi petersburgskiemu wspólnego podziału księstw naddunajskich. W traktacie sekretnym, który zawarł z Turcyą w 1771 podczas wojny Rossyi z Portą ottomańską, znajdowało się wyraźne ustąpienie Austryi części Wołoszczyzny między Ardealem, Ołtą a Dunajem. Nie przyszło to jednak do

skutku; pierwszy bowiem rozbiór Polski zmienił cokolwiek stan rzeczy; Austrya otrzymała Galicyę i zapragnęła mieć drogę bliższą przez Multany do ziemi Siedmiogrodzkiej. Droga ta naturalnie podczas negocyacyi rozszerzyła się znacznie, bo na 178 mil kwadratowych na lewo i na prawo. Wojska austryackie bez żadnego pytania weszły do Bukowiny i zajęły tę prowincyę, bo jak utrzymywał Thugutt, że z Portą najlepszy zawsze byłby sposób, najpierw zabrać a potem się układać dopiero; bo Dywan w części przekupiony a w części znudzony, zwykł dawać najczęściej za wygraną, zwłaszcza, jeżeliby przyszło coś z bronią w ręku odbierać. W pojęciu Kaunitza rzeczy nie kończyły się na tem, nazywa on wyraźnie w jednej z tych depesz Bukowinę kluczem do Multan i bynajmniej mu nie chodziło tylko o drogę do Siedmiogrodu. Skrupulatnej Maryi Teresie chodziło o historyczne prawo dla usprawiedliwienia tego zaboru w oczach Europy, lecz gdzie je tu znaleść. Pod tym względem dyplomacya austryacka nie raz już nie takiego zgryzła orzecha, czego świadkiem był manifest przy zaborze Galicyi; ale nigdy może tak jasno i tak wyraźnie owa dyplomacya nie zażartowała sobie ze zdrowego rozsądku i dobrej wiary publicznej, jak przy zabraniu Bukowiny. Nie ma Polaka, mającego choćby najmniejsze wyobrażenie o historyi swojego narodu, któryby nie parsknął śmiechem na jej historyczne prawo do Bukowiny. Ponieważ cesarzowa stała się panią Galicyi a tem samem i Pokucia, ztąd ma prawo i do Bukowiny, która od Pokucia l e n n e m zależała prawem. Austrya nie żąda tylko *l'integrite des frontieres de la Pocucie.*

Była jeszcze nie mała trudność ze strony Rossyi. Potrzeba było poczekać, aż wojska moskiewskie cofać się zaczną po zawartym traktacie w Kainardyi i w miarę jak ustępowały z Czerniowiec i Suczawy, wchodziły wojska austryackie. Feldmarszałek Rumiancow mógł się był temu sprzeciwić i po traktacie wręczyć tylko Turcyi te prowincye; ale wyłożono mu jasno prawa austryackie do Bukowiny zwyczajnym u Moskali środkiem, które mu zrozumienie ich ułatwiły, to jest datkiem 5,000 dukatów i tabakierki wysadzanej brylantami, o czem Thugutt pisze najwyraźniej, a na co Kaunitz kredyt mu otwiera.

Kaunitz ze zwyczajnym sobie cynizmem pisze, że w tej sprawie sposobami działania są: *l'intimidation, la corruption et autres moyens de persuasion.* Grzegorz Ghika mimowoli Austryi dostał się na księstwo multańskie, w ostatniej chwili, kiedy już temu żadną miarą nie można było przeszkodzić. Thugutt radzi, aby mieć minę, że go się wspiera, ale zarazem dać mu poczuć, że powinien mieć więcej powolności i poświęcenia się dla Austryi (*sic!*).

Nic ciekawszego nad język tych korespondencyj. Kto tylko jest przeciwny interesowi najniesprawiedliwszemu Kaunitza, jest łotrem i zdrajcą, oszustem, intrygantem bez czci i wiary. Jest to w części w charakterze niemieckim niewytłómaczonem dla innych narodów, to widzenie obowiązku w innych służenia Niemcom we wszystkiem, co odpowiada ich dążnościom, bez względu na obowiązki narodowości, patryotyzmu i czci własnej. Ręce opadają ze zdziwienia na ten ich język nienawiści ku wszystkiemu, co ich celów i dążeń nie bierze za najwyższą i jedyną prawdę dla siebie.

Ghika i jego dywan przyboczny, z bojarów złożony, dali dowody najwyższego poświęcenia. — Notę za notą pisali do Ottomańskiej Porty, aby ją objaśnić o stanie rzeczy i o szkodzie, jaką ponosi ze straty czterech powiatów

najżyźniejszych księstwa Multańskiego. Mimo wysileń Kaunitza i pochlebstw i obietnic cała wyższa szlachta rumuńska wyniosła się z Bukowiny — i to świadectwo sam Thugutt oddaje jej, że nikt z Rumunów w tej sprawie przekupić się nie dał. Nie możemy powiedzieć, aby przekupienie urzędników tureckich zbyt drogo kosztowało Kaunitza. Aleksander Ypsylanty, hospodar Wołoszczyzny, przez nienawiść do Ghiki służył Thuguttowi za szpiega wszystkich działań księcia Multan. Drugi Grek, Konstantyn Muruzi, drogoman Porty Ottomańskiej, dostał wszystkiego 10,000 piastrów, t, j. 2500 dukatów. Kancelarya turecka daleko taniej kosztowała. Dwóch Effendich po 620, Effendi, który spisał akt odstąpienia, dostał 310. Konie i różne mapy nie kosztowały jak 50 piastrów, a Tahir Aga, komisarz do rozgraniczenia Bukowiny od Multan, 3100 piastrów, czyli razem 16,000 reńskich; jeśli do tego dodamy, co Austrya wyliczyła na przekupienie marszałka Rumiancowa i co wydała na różne prezenta, jak np. zwierciadła weneckie, porcelany saskie i sztylet prześlicznej włoskiej roboty, można powiedzieć, że nabycie Bukowiny kosztowało najwięcej 30,000 reńskich, cena za którą i małej wioseczki nie możnaby nabyć. Ghika był nawet zdradzony przez teścia własnego Jakovaki Rizo, który przy porcie Ottomańskiej miał przedstawiać interesa Multan, a był na usługach Thugutta. W rozpaczy Ghika na czele deputacyi bojarów udaje się do obozu Rumiancowa, lecz i tam było zapóźno, bo dukaty austryackie i tabakierka z brylantami zamknęły mu ucho i serce feldmarszałka i prośba pisana do carowej Katarzyny była bezskuteczną. Ghika usiłował walczyć do końca, starał się dlatego, aby go Porta wyznaczyła swoim komisarzem przy rozgraniczeniu Multan od posiadłości austryackich, czemu Thugutt przeszkodził. Książę multański nie zaniechał udać się do szlachetności cesarzowej Maryi Teresy, prosił wreszcie posła, aby w zamian za Bukowinę wyrobił u Porty zniesienie fortecy chocimskiej, za co Thugutt oskarżał go, że chciał chytrze poróżnić Austryę z sułtanem, czyniąc podobną propozycyę.

Niczem niezrażone te wysilenia Ghiki niepokoiły Thugutta; uznał potrzebę skończyć z nim raz na zawsze i pozbyć się człowieka, który, jak się wyrażał, nigdy nie będzie sympatycznym austryackim interesom. W jednym z listów swoich wyraża się nawet: „że nie będzie to trudnem w przyszłości, gdyby Ghika był tak nieroztropnym, a trwał przy swoim uporze niepodobania się Austryi, nie będzie to trudnem powiadam, postarać się o to, aby zadrżał na męki, na jakie go wystawić możemy wpływem naszym u Porty, a może nawet i na ostateczną niełaskę *vi facta*, a to bez skompromitowania nietylko nas, ale i Porty".

Te słowa dostatecznie wskazują, czyja ręka kierowała ramieniem morderców Ghiki.

Listy z Wielkopolski.

(Serya II).

IX.

(Przechodzenie majątków polskich w ręce niemieckie — Wybory w Lesznie — Wiece: w Gostyniu, Strzelnie i w Środzie — Księża Filipini — Kary pieniężne — Ks. biskup Cybichowski, kan. Kurowski, kan. Koźmian, Poszwiński i dziekan Frieske — Podróże cesarza Wilhelma czynione w celu ustalenia pokoju, a ciągłe zbrojenie się Prus — Mowa prof. Mommsena — Modelowanie armii francuzkiej na sposób pruski — Słaby wzrost ludności we Francyi i przyczyny tego — Demoralizacyjny kierunek sceny niemieckiej — Tragedya Dahn'a: *Der König Roderich* — Gustaw Puttliz — *Deutsche Rundschau* — Juliusz Rodenberg — Profesora Hiplera rozprawa o portretach Kopernika — Bursztyn pod Lisboną — Odkrycia a historya).

Poznań 21 Listopada.

Chociaż na polu religijnego ucisku nie przybyło nam nowych ciosów w ubiegającym miesiącu i tylko systematyczne prześladowanie dalej ubitą postępuje koleją, nie brakło nam zkądinąd smutnych i bolesnych wrażeń. Rzecby można, iż ziemia z pod nóg się naszych usuwa, coraz to słychać o nowych majątkach przechodzących w ręce niemieckie, coraz to nowe okrzyki tryumfu podnoszą się z obozu germanizatorów. A kiedy się pomyśli, że to nietylko polska rola, ale i polskie dusze tym sposobem wpadają pod wpływ i uciemiężenie obcych, żal serce rozrywa, żal nietylko za tą ziemią i wsiami temi ojczystemi, ale i żal do tych, którzy spuściznę rodzinną zmarnowali i z rąk swych wypuszczają. Zapewne warunki, w jakich się znajdujemy, niejedną ruinę usprawiedliwić i wytłumaczyć mogą. Krachy bankowe lat ubiegłych, nieprzyjazne stosunki, nie do opisania ciężki i nieurodzajny rok bieżący, wszystko to pod wielu względami przyczyniło się do upadku, na jaki nam patrzeć dziś przychodzi. Niemniej atoli uderzyć się należy w piersi i wyznać, że społeczeństwo Wielkopolskie ciężko zawiniło bądź zbytkiem, bądź lekkomyślnem trwonieniem majątków, których przeceniało wartość, bądź wreszcie niedopilnowaniem własnych interesów i rzucaniem się w fałszywe spekulacye. Tem boleśniej przychodzi dziś zaznaczyć podobną kryzys i patrzeć na taki upadek, że nigdy wieś polska do tego stopnia nie potrzebowała opieki polskiego dworu i kierownictwa rady polskiego pana. Ucisk religijny zespolił bardziej jak kiedykolwiek lud ze szlachtą, razem wiele jeszcze mogli i w biernym oporze i w czynnem poświęceniu, nie ujmując zaś nic zasługom wiej-

skiej ludności, wiemy, że poeta miał słuszność, gdy powiedział: „lud sam — to mało“.

Zresztą jeśli gdzie, to tutaj w Wielkopolsce zbieramy dziś owoce owej jedności i zgody społecznej, patrzymy z chlubą i pociechą na przedziwną roztropność i oświeconą mądrość naszego ludu. Zapewnę, główna w tem zasługa naszego najzacniejszego duchowieństwa, ale i szlachcie należy się w pewnym stopniu uznanie, ponieważ nie od dzisiaj postępuje ręka w rękę z włościanami. Chłop nasz coraz lepiej pojmuje obowiązki publiczne, coraz sumienniej się do nich kwapi. Wybory w Lesznie świeżo dały nam tego najpiękniejsze przykłady: zwycięztwo Polsko-katolickiego stronnictwa po całodziennej walce wyborczej jednym nareszcie stanęło głosem. Trzeba wiedzieć, że okolica Leszna jest przeważnie niemiecką i że nigdzie do tego stopnia wszelkich nie użyto godziwych i niegodziwych środków, aby kandydatom niemieckim zapewnić zwycięztwo. Po wsiach rozsyłano urzędowe ostrzeżenia, grożące podwyższeniem podatków, utrudzeniem asekuracyj ogniowych i t. p. wszystkim, którzyby na Polaków głosowali. Nic nie zdołało odwieść poczciwych włościan od obowiązku tem wyraźniejszego dziś, gdy chodzi o obronę najświętszej sprawy. Wszyscy stawili się bez wyjątku i dotrwali trzeźwo i spokojnie, aż do późnego wieczora, tak, że przeciwnicy, którzy się nie mogli równą poszczycić karnością, powtarzali z niechęcią, że jej się nie spodziewali wśród Polaków. Do jakiego stopnia lud nasz pojmuje całą ważność i doniosłość wyborów poselskich, niech i ten posłuży przykład: Gdy w Lesznie do powtórnego przystąpiono głosowania i wszyscy w najwyższej gorączce wyczekiwali ostatecznego wypadku, poczciwy jeden chłopek z okolicy podsunął się do znajomego sobie kapłana, składając ofiarę na mszę św., na intencyę wyborów „żeby nam Bóg dał zwycięztwo“. Gdy kapłan mu zrobił uwagę, że gdy ową mszę na rzeczoną odprawić będzie mógł intencyę, już będzie po wszystkiemu i wypadek wyborów stanowczo będzie już znanym, odparł poczciwy wieśniak w prawdziwie katolickim duchu: „Pan Bóg widzi w tej chwili moją intencyę i przyjąć ją raczy“. Szczęśliwi kapłani, którzy podobne widzą owoce swej pracy około podniesienia dusz i rozwinięcia umysłów swych owieczek!

A nietylko Leszneńskie wybory nastręczyły nam powyższe uwagi. Sprawa wieców polsko-katolickich wciąż się rozwija i rośnie, każda niemal niedziela na innym punkcie Wielkopolski zgromadza coraz to liczniejsze zastępy ludu wiejskiego i miejskiego, któremu przoduje duchowieństwo i szlachta okoliczna.

Ostatnie wiece nader świetnie wypadły, a mianowicie w Gostyniu, gdzie z kolei odzywał się poseł Gustaw Potworowski i ks. Zingler z Żytowiecka — w Strzelnie, gdzie na wiecu zwołanym przez p. Wojciecha Morawskiego, stawiło się przeszło tysiąc dzielnych Kujawiaków i ks. Sieg z Orchowa znakomitą wygłosił mowę; w Środzie, gdzie wobec półtora tysiąca ludzi zgromadzonych pod przewodnictwem Wiktora hr. Szołdrskiego, p. Kantak zdawał relacyę z czynności poselskiej i zachwycił słuchaczów gorącością, jędrnością i przystępną formą trzygodzinnej przemowy. W dniu dzisiejszym miał się znów odbyć wiec w Kępnie, na kresach księstwa Poznańskiego, zwołany przez hr. Szembeka. Tak tedy wszystkie zacne nazwiska, wszystkie warstwy społeczne łączą się w czynnej pracy około powszechnego dobra i oświecania się nawzajem. Dziwnym, a niewytłómaczonym objawem jest to, że powiat Kościański, przodujący zwykle w t. z. ultramontańskiej agitacyi do dziś dnia się na żaden wiec nie zdobył, chociaż warunki w nim najpomyślniej się ku temu kwalifikują, raz że ludność przeważnie jest polską, powtóre, że miasteczka i znaczniejsze wsie bardzo tam gęsto są rozsiane.

Gdy tak z jednej strony smutne, z drugiej pocieszające zapisujemy wrażenia, dzieło spoliacyi wciąż jednostajnym naprzód postępuje krokiem. Księża Filipini w chwili rozsypki nagle nieprzewidzianym reskryptem ministra wstrzymani, dotąd pozostali na Świętej Gostyńskiej górze. Ale w jakich warunkach? Dwóch żandarmów mieszka przy furcie, z zagrabionego majątku nie pozostawiono im nawet jako takiego utrzymania, z wyjątkiem chleba, żadnego im nie wymierzają nawet deputatu i oto kongregacya posiadająca do czterych tysięcy mórg lasu, która dotąd miłosiernie w opał zaopatrywała całe okoliczne ubóstwo, dziś z łaski rządu na całą zimę dostała 6, wyraźnie sześć sążni drzewa. Każdego dnia spodziewają się wygnania, a można sobie wyobrazić, jak takie życie w zawieszeniu i oczekiwaniu trawi i męczy sędziwych i spracowanych kapłanów. Na probostwie osieroconem w Starym Gostyniu, osadzono także żandarma z rodziną, ażeby zapobiedz odprawianiu nabożeństwa w miejscowym kościele, gdzie jeden z naszych młodych Missyonarzy cudów poświęcenia dokonywał, przez rok cały, nigdy owieczek swej pieczy oddanych nie zostawiając bez pomocy duchownej. Miejscowe władze, którym się nie udało ująć dzielnego kapłana, próbują go odciąć od świątyni Pańskiej na straży jej stale zostawiając Cerbera, który dniem i nocą pilnie sprawuje czaty.

Teraz główny ucisk i poszukiwania ściągają się do odpustów i udziału w nich biorących kapłanów. Zewsząd słychać o terminach,

bannicyach i grzywnach w podobnych sprawach. *Kuryer Poznański*, chcąc obliczyć wielkość ogólnej sumy nałożonych na nasze duchowieństwo kar pieniężnych, zaprosił wszystkich kapłanów obu dyecezyj do podawania na ręce redakcyi ilości grzywien na każdego przypadających. Obliczenie to byłoby nader ciekawem, atoli znaczna część naszych duchownych przeciwną jest z zasady podobnej głośności i nie spieszy się z oddaniem żądanego doniesienia. Inni zaś nie wiedzą sami jak znaczne przypadły na nich kary, ponieważ żadnych listów urzędowych postanowili nie otwierać i te zapieczętowane tkwią na drzwiach od probostw przybite. Dotąd zaledwie około 50 kapłanów podało do *Kuryera* ogólną sumę odebranych kar pieniężnych: pięćdziesięciu na pięciuset rządców parafii, a już suma ta przeszła 22.000 talarów, z czego wnioskować można o ogromie grzywien nałożonych na całe nasze duchowieństwo.

Ponieważ za dwa miesiące kończy się dwuletnie więzienie najdostojniejszego kardynała prymasa, dzienniki niemieckie wciąż dyskutują, co z nim dalej począć i szeroko się jego osobą zajmują. Ksiądz biskup Cybichowski zrazu na bannicyę, a później na dziewięciomiesięczne skazany więzienie, za święcenie olejów św. w wielkim tygodniu, powrócił do Gniezna, gdzie też niebawem go zamknięto. Ks. kanonika Kurowskiego przewieziono do Koźmina, gdzie niedawno ks. biskup Janiszewski długie strawił miesiące niewoli. Ks. prałat Koźmian po kilkotygodniowym urlopie, niechętnie udzielonym skutkiem świadectw lekarskich, które udowodniały szkodliwy wpływ zamknięcia na zdrowiu czcigodnego kapłana, 28 b. m. wraca za kraty. Oprócz wyż wzmiankowanych dostojników Kościoła, znajdują się jeszcze obecnie w więzieniu: Ks. Poszwiński z Przemętu i ks. dziekan Frieske, który od Bożego Narodzenia ubiegłego roku pozostaje za kratami i nie odzyskał wolności razem z innemi księżami dziekanami, ponieważ jego trzymano nietylko w sprawie delegata, ale i za funkcye w osieroconej parafii.

Cesarz powrócił szczęśliwie z swej wyprawy *ultra montes*. Od czasu wojny francuzkiej tak on systematycznie cały świat objeżdżał, że chybaby mu już tylko do króla Alfonsa wybrać się należało. Podróże te rozmaite mają przyczyny i cele. Dawni cesarze niemieccy jeździli po Europie, uważając niemal całą tę część ziemi za swoją domenę. Nowe cesarstwo wypiera się stanowczo tych tradycyi, ma jednak pewne *Velleités* starocesarskie, cesarz Wilhelm radby uchodzić za głowę panujących i wszech Europy niejako *in partibus infidelium* i tem się też tłumaczy polityka księcia Bismarka, którego ręka sięga zarówno za Bałkan, jak za Pireneje. Prócz tego mają owe podróże

ustalać rzekomo pokój europejski. Prusy uzbrojone od stóp do głowy, w pikelhaubie i z najlepszym systemem broni, Prusy powiększające co trzy lata budżet wojskowy, śpiewają nieustannie z nabożną miną: od głodu, ognia i wojny, zachowaj nas Panie. Książę Bismark uprawia spokojnie *paterna rura* w Warzinie, gazety, zaprzątnięte wewnętrzną walką, zapomniały o zewnętrznej polityce, profesorowie w interesie nauki wzdychają za drogim pokojem. Ciekawa pod tym względem szczególnie jest mowa profesora Mommsena, którą tenże na cześć poległych w wojnie francuzkiej studentów uniwersytetu Berlińskiego niedawno wygłosił. Mniej w tej mowie chauvinizmu jak w innych objawach dzisiejszej nauki niemieckiej, bo Mommsen człowiek z głową i wielką intelligencyą. Dziwnie jednak brzmi w jego ustach, gdy np. powiada, że ze strony Prus niczego się Europa obawiać nie potrzebuje, bo Hohenzollerny nigdy niekoniecznej wojny nie rozpoczęli. Co powiedzą na to Austryacy a szczególniej Duńczycy? Jeżeli *Drang* do anneksyi jest popędem zupełnie nie do przezwyciężenia, to naturalnie każdą wojnę koniecznością nazwać można. Ale biednaż Europa, która musi na ugaszenie tego pragnienia się składać!

Główną treścią ciekawej tej mowy jest ocenienie urządzeń militarnych dawnej i dzisiejszej Europy. P. Mommsen wychodzi z przekonania, że wojskowe urządzenia Prus są bezwarunkowo najlepsze. Jako argument służy mu, że je ościenne narody naśladują. Toć wszakże żadnym dowodem nie jest, a dopiero historya pokaże, czy Europie to wyjdzie na zdrowie, gdy cała, jak obóz spartański wyglądać będzie. Francya od pewnego czasu też swoje wojsko na model pruski przekształcać zaczyna. Prus to jednak zbytecznie nie straszy, a między innemi słabym wzrostem ludności we Francyi się ubezpieczają. Statystyka Francyi rzeczywiście do zatrważających dochodzi rezultatów i obrachowań, a jeżeli tak dłużej potrwa, to naród ten mimo najskrajniejszego militaryzmu niezadługo równej Niemcom armii wystawić nie będzie w stanie. Wyrachowano, że według obecnej progressyi, ludność dzisiejsza Saksonii podwoiłby się mogła w latach 39, Prus w latach 48, a Francya tymczasem 165 lat by do tego potrzebowała. Rozmaite przyczyny na ten mały wzrost francuzki się składają i uczeni rozmaite przytaczają powody. Dotychczasowe urządzenia wojskowe Francyi skazywały rokrocznie 100.000 21no letnich ludzi na siedm lat wojskowej służby tj. na siedm lat bezżeństwa, z wielką dla społeczeństwa szkodą. Francuzkie małżeństwa zwykły mało pozostawiać dzieci, co także wielkiem grozi Francyi niebezpieczeństwem. Inni znów uczeni ubolewają nad niedostatecznem pielęgnowaniem zdrowia i hartu w młodzieży.

Ćwiczenia gimnastyczne do tego czasu w zakładach wychowawczych po większej części nie były przymusowemi. Inni wreszcie upatrują przyczynę dekadencyi fizycznej w szerzeniu się złych nałogów i nawyknień, w wzrastającej konsumpcyi alkoholu. Pewien uczony francuzki wyrachował, że od roku 1820 skoczyło używanie alkoholu z 8 na 17 litrów na osobę, podczas gdy piwa mniej teraz pijają. Czy obecne zabiegi i starania sprowadzą zwrot do moralności, dziś jeszcze orzec nie podobna.

To pewna, że i w Niemczech pijaństwo strasznie się szerzy i przerażające czyni postępy i tutaj cyfry wymownie świadczą o rosnącem zepsuciu, któremu bezwyznaniowość przez *Kulturkampf* przeprowadzona, otwarte zostawi pole. Niegodny kierunek sceny niemieckiej niemało się przyczynia zapewne do moralnego upadku po miastach: trywialne bufonady, sztuki o niecnych tendencyach, płaskie tłumaczenia najgorszych dramatów bulwarowych, oto czem się dziś zasila teatr niemiecki. Chociaż wedle zaręczeń gazet półurzędowych dwór berliński oświadczyć miał życzenie, aby na deskach teatrów nie grano sztuk, *die im Kulturkampfe arbeiten* — pełno ich wszędzie się pojawia, licząc na pewne powodzenie wśród roznamiętnionej agitacyą żydowskiej prasy gawiedzi. Obecnie robi pewien hałas tragedya Dahn'a: *Der König Roderich.* Dlaczego? bo jest rzeczywiście dyalogowaną apologią praw majowych. Występuje tam i Bismark uosobiony w królu Wizygotów i biskup *renitens* i morderca, którego Lindau w *Gegenwart* dowcipnie Baskijskim Kullmanem nazywa. Całe ustępy przypominają artykuły bieżącego dziennikarstwa Berlińskiego, jest tam nawet dyalog żywcem wzięty ze sprawozdań sławnego procesu o Kissingeński zamach. Takie zlepki dramatyczne lepiej dziś popłacają, jak rzeczywiste utwory geniuszu i sztuki.

Znany komedyopisarz Gustaw zu Puttlitz zamieścił w jednym z ostatnich numerów: *Deutsche Rundschau* ciekawy artykuł o wpływie religijnej sceny na publiczność. Bardzo to szanowny głos przy dzisiejszych stosunkach teatralnych, wobec wszechwładnej przewagi Offenbacha i dlatego należy zwrócić nań szerszą uwagę. Przedstawienia w Ober-Ammergau tak silne na Puttliz'u zrobiły wrażenie, iż w teatrze miasta Karlsruhe, zostającym pod jego zarządem, urządził on na Wielkanoc podobne religijne obrazy sceniczne, z pomyślnym, jak zaręcza, skutkiem. Śliczne z tego powodu opowiada rzeczy o Ober-Ammergau samym. Upojony jest grą prostaków, którzy przejęci do głębi swą rolą, oddają ją, wedle niego, jak najznakomitsi artyści. Bo jakże, dodaje w ciągu owego artykułu, ci ludzie, którzy z taką wiarą występują na scenie ludzie, którym najczęściej całe życie na wyrabianiu krzyżów z drzewa schodzi, fałszywie podobną rolę pojąćby mogli?

Takie atoli artykuły zrzadka się tylko w nowym niemieckim Przeglądzie pojawiają, zresztą *Deutsche Rundschau* dotychczas nie znalazła tonu odpowiedniego dla pisma, mającego popularyzować naukę. Redaktor Juliusz Rodenberg wydał niedawno zbiór wierszy pod niezwyczajnym tytułem: *Allerlei Ungezogenheiten.* Między innemi zbiór ten zawiera epitafy dla wybitniejszych osobistości dzisiejszych czasów. Dużo w tych wierszach niezgrabnych dowcipów, niezdrowego pessymizmu i cynicznych wycieczek. Na własny nagrobek przeznacza wiersz, dziękujący za spokój, który wreszcie po mozołach żywota uzyskał, a kończy życzeniem, aby go trąba archanioła z tego nie zbudziła uśpienia:

Und kommt der Auferstehungstag
Ich bleibe liegen.

Tem zaręczeniem wiersz się kończy, *ex uno disce omnia.* Natchnienie p. Rodenberga nie sięga po za ciasny horyzont codziennego życia, duch jego to duch żydowski, bo też Juliusz Rodenberg nie jest Rodenbergiem, ale nazywa się bardzo po izraelicku Samuelem Levy, od miejsca urodzenia przybrawszy literackie swe miano. Już i tak spuścił z tonu, bo dawniej tytułował się: von Rodenberg, tak samo jak jego koledze po piórze Hofmanowi z Fallersleben spodobało się nazwać von Fallersleben, a p. Müllerowi dodać do nazwiska von Königswinter. Dla Niemców słówko *von* zachowało dotychczas swój wdzięk przedrewolucyjny, dobrze jeszcze gdy na *von* poprzestaną, nie pnąc się do kategoryi wyższej: *von und zu.*

Znany ze studyów naukowych profesor Dr. Hipler wydał świeżo w Lipsku rozprawę p. t. *Die Porträts des Nicol. Kopernicus*, a jednocześnie pewne szlązkie pisemko stara się teraz udowodnić, że Kopernik po ojcu i po matce ze Szlązka i to z Eulengebirge pochodzi.

Świat naukowy niezmiernie poruszony wiadomością, że Szwed Dr. Carlo Zandsberg miał znaleść obfite zapasy bursztynu pod Lizboną. Cóżby więc miały znaczyć słynne podróże Fenicyan po bursztyn nad morze baltyckie, o których tyle pisano? Wszyscy niecierpliwie wyczekują dalszych a dokładniejszych o tej rzeczy wiadomości, choć zaiste ciągłe odkrycia nowoczesnej wiedzy, burzące dawne historyczne pewniki i wstrząsające podwalinami dziejów, wręcz zmieniające sądy i zdania o wypadkach i bohaterach przeszłości, nieraz mogłyby wzbudzić pewną nieufność do nauki, która tak stanowczym ulega przemianom, w miarę jak uspokojony czasem sąd ludzki zdziera z jednych postaci zasłony

pochlebstw współczesnych, drugich oczyszcza od namiętnych i niesłusznych szkalowań. Piękne to zadanie, gdyby i ono nie ulegało wpływowi epoki i nie służyło nieraz stronniczym namiętnościom, naginającym z umysłu przeszłość do teraźniejszości, jak to głównie w Berlinie widzimy, gdzie obecnie tryumwirat złożony z Droysen'a, Sybla i Treitschke'go, dowolnie przykrawa historyę, odpowiednio do wymagań pruskiej polityki.

LISTY Z KRAKOWA.

Kraków 26 Listopada.

(Do redaktora *Przeglądu* — Nominacya Namiestnika — Objawy anarchii — Potwarze — P. Szujski i ks. Golian — Dziennikarstwo — *Szkice* — *Diabeł* — Nowy dziennik — Teatr: *Niewinni*, *Przed ślubem*, *Mieczysław II.*

Żądasz odemnie czcigodny Księże Redaktorze pogadanek *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, zostawiasz mi zupełną swobodę wyboru przedmiotów, jakie się nawiną pod pióro, a lubo nowiny Krakowskie pierwsze mają zajmować miejsce, dozwalasz mi nie ograniczać się na lokalnych tylko sprawach. Wezwanie Twoje wiesz, że bywa dla mnie rozkazem i że o ile czasu i sił starczy, radbym zawsze zadośćuczynić tak zaszczytnemu obowiązkowi, jakim jest dla katolika współpracownictwo w Twoim *Przeglądzie*. Przypomina mi się owa bajeczka o tej muszce, co siadłszy na ramieniu oracza, przechwalała się wołając: orzemy. Otóż miło jest być choćby taką muszką u Twojego pługa, co tak się zagłębił w wyjałowioną rolę krajowej opinii, iż zdołał wydobyć ze spodu bujną i urodzajną glebę. Tak jest, istnienie, ustalenie się i coraz to silniejszy rozwój *Przeglądu Lwowskiego* jest jednym z pocieszających dowodów, iż ta ziemia opinii kraju naszego, wyjałowiona i zachwaszczona po wierzchu przez złą uprawę, wydająca tylko osty, pokrzywy i bodiaki, nie jest płonną i nieurodzajną na dnie, trzeba tylko zapuścić lemiesz głęboko i dobyć pokłady rędzinne, trzeba dzierżyć ten lemiesz z wytrwałością oracza, co w pocie czoła trzyma w rękach grądziel, nie zważając, że orkę utrudniają rozgałęzione korzenie chwastów, lub naniesione powodzią kamienie. Wielu sądziło, że głębsza orka tu nie podobna, że nie można docierać do gruntu kwestyi i stawiać dodatnich zasad z całą ich bezwzględnością, że wszystko, co można zrobić wśród tak zepsutego gospodarstwa, to po wierzchu tylko bronować te chwasty, aby choć czasem dobre ziarno pomiędzy niemi wyróść mogło. Nie wystarczający to sposób, bo chwast zawsze zagłuszy dobre ziarno i gdy go się nie wykorzeni, nie dopuści zbożu porostu. Nie oglądając się na żadne względy mniemanej roztropności, Ty szanowny Księże Redaktorze, obrałeś inną drogę, nie obwijałeś nigdy nic w bawełnę, nie wypowiadałeś rzeczy na pół, a co do skutku spuściłeś się na Boga. To też skutek nie zawiódł, nie tylko, że wysunięty naprzód *Przegląd* nie potrzebuje niczyjej obrony, że stoi dziś o własnej mocy, ale jeszcze nieraz przychodzi innym w odsiecz. Dowód to właśnie, jak wielką jest siła szczerości i odwagi. Zarzucają niejednokrotnie *Przeglądowi Lwowskiemu* namiętność, otóż zarzut ten nie jest pozbawiony słuszności, ale

jest właśnie źródłem siły i żywotności Twego pisma. Jest namiętność złego i jest namiętność dobrego, jest namiętność fałszu i jest namiętność prawdy. O ile tamtę potępia religia, o tyle tę zaleca w słowach Zbawiciela, że tylko gwałciciele zdobędą królestwo niebieskie. Tylko od palącej świecy można zapalać inne, tylko od gorącego słowa można zapalać serca i budzić sumienia; na letniej wodzie podobno nikt jeszcze obiadu nie ugotował. Niema większego faryzeizmu nad to gorszenie się ludzi chłodnych i neutralnych namiętnością obrońców prawdy. Nie oburza ich, nie parzy ich w czoła i w serca ten war piekielny, jaki wylewają apostołowie fałszu, potwarzy, bluźnierstwa — ale się oburzają, jeśli gorącem słowem popiera się prawdę, bo znać, że to gorąco prawdy ich już nie grzeje, kiedy przeciwnie w łaźni kłamstwa i podłości im już miło, często zabawnie.

Wybacz mi szanowny Redaktorze ten wstęp *pro domo tua*, do którego otwierasz mi wejście. Przynoszę ci do tego ogniska naręczko zebranego chrustu na wyrębie naszym politycznym i społecznym, rzucać go będę od czasu do czasu, aby podtrzymywać ogień, a radbym, aby to łuczywo było suche i smolne, iżby mogło przyczyniać się do rozjaśnienia niektórych kwestyj bieżących.

Najpierw tedy choć z Krakowa ale nie o Krakowie. *A tout Seigneur tout honneur*, więc słówko o nominacyi Namiestnika, która zapewne będzie ogłoszoną, zanim te kartki pójdą do druku. Wypadek to nie tylko najważniejszy, ale najpomyślniejszy, jaki w danem położeniu mógł spotkać Galicyę. Dla czegoż więcej nam przychodzi współczuć niż winszować hr. Potockiemu większego ciężaru niż zaszczytu? Są ludzie karyery i są ludzie obowiązku, dla pierwszych byłoby to szczytem ambicyi, dla niego jest to nadmiarem poświęcenia. Opowiadają, że gdy hr. Alfred Potocki był jeszcze dzieckiem, pytano go raz, czemby rad być kiedyś: ministrem, królem, biskupem lub jenerałem — on zaś odrzekł: „chciałbym być tylko prostym polskim panem". Życzeniu dziecka nie stało się zadość. Był on już ministrem, dziś ma być namiestnikiem, lecz jest czemś więcej, bo jest polskim panem w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu. Jakżeż mało kto umie być takim polskim panem, jakiego w ostatnich zwłaszcza czasach wydał ród Potockich, że tylko wspomnimy ś. p. Adama i hr. Alfreda. Dla niego może i dla społeczności, byłoby korzystniej, gdyby tylko wolno mu było pozostać w tej roli, jaką sobie dzieckiem wyznaczył, bo jakież zadania, jak daleko sięgające obowiązki, ten tytuł polskiego pana w sobie zawiera. Ale to słowo mimo prądów demokratycznych i antinarodowych, ma także siłę tak wewnątrz kraju jak po za jego granicami, lecz siłę, która tylko popycha do poświęceń i nowe nakłada ciężary. Ta siła tradycyi polskiej ten sztandar historyczny, który bądź co bądź łączy się z wielkiemi imionami, gdy są z godnością noszone, to w każdym razie ważna rękojmia i potężna dźwignia. Gdzieś Słowacki powiada o szlachcie polskiej, że „było jej niegdyś przeszło sto tysięcy, ja jednego znałem", a tym jednym miał być w jego myśli książę Adam Czartoryski. Otóż i dzisiaj, kto wie czy w tem wyższem i czystem znaczeniu szlachciców polskich nie dałoby się na palcach obliczyć. To pewna, że ten klejnot herbowy polski ma jeszcze wagę i na wielkich politycznych targach europejskich i że choć nie zalecamy się darem dyplomacyi, tą tylko siłą tradycyi, tem stanowiskiem niezawisłego szlachcica polskiego zdobywano w najtrudniejszych warunkach naczelne stanowiska i zabezpieczano kraj ojczysty od nieprzyjaźnych dążeń. Margrabia Wielopolski w Petersburgu,

hrabia Gołuchowski w Wiedniu, niczem innem imponować umieli, tylko tem, że stali hardo jako szlachcice polscy. Dziś podobnej tarczy i takiego sztandaru nam było potrzeba, aby nie uronić resztek i nie wpaść w zupełny rozkład.

Niema bowiem wątpliwości, że nacisk z zewnątrz, a rozkład wewnętrzny zrobił w ostatnich czasach przerażające postępy. Wiem, że *Przegląd Lwowski* nie zgadzał się na cały kierunek polityki transakcyi i utylitaryzmu, jakim się kierowała nasza reprezentacya sejmowa i delegacyjna. Brak stanowczości zasad, brak jasno wytkniętego programu, słusznie zarzucać można było ze stanowiska katolickiego i ze stanowiska narodowego temu lawirowaniu galicyjskich polityków. Ale pytanie, czy dzisiaj już nie zapóźno, aby delegacya nasza mogła coś dobrego dla kraju wyzyskać na drodze opozycyi?

Lecz dosyć o wielkiej polityce galicyjskiej, do której zresztą Kraków mało dostarcza materyału, bo tu nawet obywamy się bez fakelcugów [1]). Natomiast życie artystyczne i naukowe nie przestaje się krzewić, gdyby go także nie zagłuszała wrzawa polemiczna.

W sferze naukowej nie ustała bowiem jeszcze ta wojna podjazdowa, jaką nieszczęsna książka p. Walewskiego ściągnęła na Akademią i jej pełnego zasług sekretarza. Sprawdziło się przysłowie: ślusarz zawinił a kowala powiesili. P. Walewski skorzystał tylko na tym rozgłosie, jaki wywołała jego książka, której pierwsza edycya całkowicie została rozkupioną. Ale natomiast polemikę tę uważają za wyłom, przez który zgraja kalumniatorów może się wedrzeć do warowni Akademii, której wzniesienie nie przestaje drażnić naszych destruktorów. Daremnie dowodzić, że Akademia nie bierze żadnej odpowiedzialności za prywatne prace swych członków, bo gdyby tak było, musiałaby chyba zaprowadzić cenzurę, że wszelka polityka jest wykluczoną ze spraw tego ciała czysto naukowego. W najświeższych pociskach rzuconych ze Lwowa do Krakowa i z Krakowa do Lwowa, nie chodzi już wcale o p. Walewskiego; ale za cel obrano sobie p. Szujskiego. Nienawiść do tego polskiego historyka i niezmordowanego pracownika wzmaga się w miarę popularności, jakiej niegdyś używał, a wzmaga się w czasach, kiedy właśnie zasługi jego wzrastają. Jeden tylko w naszym kraju jest sposób, aby się uchronić od najbezczelniejszych potwarzy, od ciągłej gry w cenzurowane prowadzonej w najbrutalniejszy sposób — trzeba się uchylić od wszystkiego i założyć ręce, trzeba potakiwać wszystkim, samemu nic nie robiąc. Niema nic niepopularniejszego, nic bardziej wzniecającego zawziętość nad pracę i odwagę. Ci co ciągle mówią o działaniu, o postępie, o ruchu, szerzą tylko inercyę i rzucają się z namiętnością na każdego, który w jakiejkolwiek sferze działania nie dał się jeszcze całkowicie zniechęcić i nie opuścił rąk. Zwykle też na to cenzurowane dziennikarskie wybierają najpracowitszych, najwytrwalszych. W Krakowie w tej chwili

[1]) Nie zawsze — Niema w Krakowie fakelcugów z powodu spraw politycznych to prawda, ale odbywały się w stokroć gorszym celu, bo dla uczczenia człowieka znieważającego i naukę Kościoła i tradycyę polską dla ś. p. Gilewskiego, zresztą nasz poczciwy Lwów mimo wszystkich swych stron ujemnych nie miał jeszcze dotąd chwała Bogu żadnego bezwyznaniowego pogrzebu, tak jak Kraków, gdzie aż całe grono poważnych profesorów prastarej Jagiellonów Wszechnicy, z całą okazałością pospieszyło wziąść udział w bezwyznaniowym żałobnym obrzędzie. (Przyp. Red.)

dwóch mężów z zupełnie odmiennej sfery działania służy za cel pocisków: prof. Szujski i kanonik Golian, bo obadwaj odznaczają się nauką niezwykłą, wytrwałością i niezmordowaną pracą. Bezczelność w rzucanych potwarzach na najznakomitszego z współczesnych kaznodzieję polskiego, na najgorliwszego kapłana, oddanego obowiązkom swego stanu nad miarę sił fizycznych, możnaby jeszcze wytłomaczyć sobie nienawiścią do religii. Przypominałoby to zaczepki innowierców w wieku XVI na takiego Birkowskiego, młotem kacerzy zwanego, lub Skargę, zresztą możnaby tu może znaleść analogię z pismami polemicznemi i pamfletami w rodzaju tych, jakie przerzucając się z obozu do obozu, miotał Stanisław Orzechowski. Wiadomo, że fanatyzm antireligijny nie zna miary ani nie przebiera w środkach. Ależ nowiniarstwo dzisiejsze zwykło używać godła nauki i gardłować za oświatą, postępem naukowym, zdobyczami wiedzy ludzkiej. Skądże więc taka sama zawziętość przeciw Akademii, jej sekretarzowi; wszak ciało to uczone nie może być podejrzane o ultramontańską dążność, w jednym zwłaszcza oddziale najhojniej uposażonym ma przewagę przyrodników szkoły materyalistycznej. I zaiste aż zabawnie, że w piśmie klerykalnem a zatem oskarżanem zwykle o obskurantyzm, o niechęć i nieufność do tych nowych zdobyczy niezawisłego umysłu ludzkiego, przychodzi nam bronić naczelnej instytucyi naukowej, ogniska owych niezawisłych badań przeciw tym, którzy zwykli uderzać na Kościół ze stanowiska umiejętności. Znać jednak, że my klerykały nie boimy się tak światła i postępów umiejętności, jak ci właśnie, co wiele mówią o oświacie i wiedzy. Chcieliby oni podkopać Akademię, bo się obawiają powagi naukowej, obawiają normalnego postępu i systematycznej pracy, która już nie dozwoli szermować wielkiemi słowami na wiatr. Zmysł przytem destrukcyjny nie dozwala im patrzeć spokojnie, gdy się organizuje praca naukowa na szersze rozmiary, gdy staje instytucya wytyczna.

W dwóch kierunkach ten żywot rozkładowy, działający głównie przez dziennikarstwo, u nas występuje. Pierwszy jest antinarodowy i antireligijny na modłę bezwyznaniowości i liberalizmu wiedeńskiego, najbezczelniejszy w potwarzach, najcyniczniejszy w dążnościach. Kierunek ten wprowadzony przez *Dziennik Polski* niema na szczęście dotąd reprezentanta w Krakowie, tylko ma kilku korespondentów krakowskich, którzy zawstydziby mogli zuchwalstwem i cynizmem dawnych korespondentów *Dziennika Warszawskiego*. Drugi kierunek, na którego czele stoi *Gazeta Narodowa*, niemniej zgubny, choć niestety bardziej rodzimy, wspierając się na tradycyach anarchizmu, nieprzerwalności powstania i t. p. teoryach, używa ciągle tartuferyi patryotycznej. Kierunek ten ma swoje organa także i w Krakowie. Zachodzi czuły stosunek ojcostwa między członkami redakcyi *Gazety Narodowej*, a młodą redakcyą *Szkiców społecznych i literackich*. Prawdziwe to *Szkice*, niewprawną robione ręką, przypominają owe karykatury i napisy, jakiemi się bawią studenci w klasie, miasto słuchać lekcyi profesora. Nigdy dotąd zarozumienie młodzieży niewystępowało z mniejszem do niego uprawnieniem. Nie czytaliśmy dotąd w *Szkicach* jednego artykułu, w którymby natrafić można na ślad jakiegoś talentu, lub świadomości rzeczy, o której się pisze. Drukują się tam wprawdzie dramata już znane lub rozprawy *de lana caprina* starszych pisarzy [1]). Anomalia podo-

[1]) Przepraszamy. Było kilka rozpraw i pięknych i gruntownych. Wspomnienie o ś. p. biskupie Wołonczewskim; rozprawy o *Unii* nieodżałowanego

dobna jak organ młodzieży niema nawet żadnego usprawiedliwienia, aby służyć za pole wprawy młodszym pracownikom, bo zawsze szkoda jest przedwcześnie puszczać niedowarzone płody. Za to młodzież popisuje się jedynie krótkiemi wyrokami, jakie ogłasza przeciw tej lub innej uznanej powadze, denuncyacyami i niepatryotyzmem, żakowską polemiką w powagę cenzorów przybraną. Jest to zaiste nowy fenomen publicystyki, wolelibyśmy już ogłaszanie rozpraw w rodzaju szkolnych zadań i pensów z dziedziny historyi, ekonomii politycznej lub literatury, jeśli koniecznie młodzież ma redagować pismo, niźli to pozowanie na mentorów i karcicieli. Wspólną ze *Szkicami* redakcyę ma dziś *Diabeł*, nie zyskał on nic na dowcipie, a natomiast nabrał tego tonu zarozumiałości. Smutna zaiste przyszłość tej nowej literatury, która debiutuje przez *Diabła*.

Od nowego roku obiecują nam jeszcze trzeci organ narodowo-postępowy. Ma to być dziennik mieszczański, a raczej skład na różne rupiecie skandalów, które się już nie mogą pomieścić w fejletonach Omikrona w *Gazecie Narodowej*. Podziwiać musimy łatwowierność i ofiarność, z jaką bądź to szlachta, bądź mieszczaństwo zwykło u nas przystępować do subskrypcyi na nowe dzienniki. Co roku prawie pozwalamy sobie takiego zbytku, jak zakładanie nowego organu często nader kosztowne, a nie opłacające się nawet dla założycieli odpowiednią dozą reklamy. Nikomu jeszcze założenie nowego dziennika nie posłużyło o ile wiemy do wydobycia się na wierzch, a krocie już wrzucono w to błoto dziennikarskiej spekulacyi. Ile to pochłonął *Głos*, *Wiek*, *Kraj*, a jakiż z tego wszystkiego skutek? Ileżby to już można było wznieść instytucyj za pieniądze wydane tak marnie na demoralizacyę opinii publicznej!

Lecz dziennikarstwo i teatr, to w obecnej epoce spaczonych zasad i upadającego poziomu umysłowego, dwie modne potęgi i dźwignie, bo są to dwa narzędzia najdogodniejsze do szerzenia przewrotnych tendencyj. Dyalektyka publicystyczna i zręczność sceniczna może najpotworniejszą myśl przybrać w formy ponętne, a zwłaszcza działające bezpośrednio na ogół.

Oczekiwano długo po rozkwicie poezyi epicznej i lirycznej rozwoju poezyi dramatycznej, jako wyższego stopnia w dziedzinie sztuki. Ubodzy dotąd w literaturę dramatyczną, zaczynamy sobie przyswajać pewną łatwość w sklejaniu różnych plagiatów zagranicznych na zużytych już patronach. Konkursa dramatyczne przyczyniły się bardzo do rozwinięcia tej stosunkowo dość zyskownej fabrykacyi dzieł scenicznych i zaprzeczyć się nieda, że coraz większa wprawa odznacza najnowsze płody, które oglądaliśmy na scenie krakowskiej. Twórczości wyśledzić trudno, ale natomiast jest postęp pod względem warunków scenicznych, wywoływania efektów, zwłaszcza przeprowadzenia sofisteryi etycznej, umiejącej zwykle przedstawić, że czarne jest białem, a białe czarnem, że cnota jest występkiem, a występek moralnością nowego kroju.

Komedya *Niewinni* przeszła pod względem tego przewrotu wszelkich zasad moralnych, najwyuzdańsze dzieła teatru francuzkiego. Wprawdzie nie razi ona oka nieprzyzwoitością i drastycznemi rzeczami, należy do tych sztuk na które matki prowadzą swe córki, bo niema w nich nagości i wyuzdania.

ś. p. Juliana Bartoszewicza, *Wiara* i *Wiedza* Dr. Tadeusza Żulińskiego i piękne i ciekawe i ważne. Nie godząc się na kierunek *Szkiców*, i żałując, że syn zacnego i zasłużonego Kościołowi i Ojczyźnie ojca, podejmuje ich wydawnictwo, musimy jednak przyznać, co w nich znalazło się dobrego. (Przyp. Red.)

Ale zato pod tem przybraniem przyzwoitości jakiż ukrywa się cynizm, jak daleko posunięte zasady już nie powiemy pozytywizmu, ale nihilizmu moralnego? Oto w całej komedyi i dramacie występuje jedna tylko uczciwa kobieta, a uczciwość jej jest przyczyną wszystkich klęsk, wszystkich nieszczęść. Dlatego, że nie chce złamać wiary małżeńskiej i spokojnie patrzeć na wiarołomstwo męża, dlatego, że zachowuje godność żony, musi ona znosić obelgi od wszystkich, zacząwszy od swej rywalki, która ją upokarza i poniża, porównywając swoją namiętność nieprawą, z jej miłością uprawnioną. Ojciec rozpacza, że nie umiał jej uchronić od fanatyzmu moralności. Przez całą sztukę snuje się ciągle rezonowanie doktryn pozytywnych i moralności według Darwinistowskich teoryj o prawie ewolucyi i doborze płciowym. Po raz to może pierwszy wystąpiła w sztuce ta filozofia materyalizmu. Wyznamy szczerze, że mniej nas oburzają francuzkie sztuki, gdzie najgwałtowniejsze grają namiętności i przesuwają się sceny najbardziej drastyczne, niźli to rezonowanie na zimno, to przewrócenie wszystkich zasad etycznych bez wielkich namiętności, bądź co bądź tłumaczących upadek. Tchnie jakaś zgnilizna pokolenia z przewróconem sumieniem, a bez krwi w żyłach, w tym płodzie pozytywizmu warszawskiego. Myśl główna, konsekwentnie przeprowadzona, polega na nieodpowiedzialności ludzi za swoje czyny i uczucia, czyli materyalistyczny fatalizm zwierzęcych popędów Wszyscy są *Niewinni*, bo sumienie i wolna wola to dawny tylko przesąd. Dla tej zbyt rażącej nawet wobec bardzo liberalnego sądu tendencyi, komedya *Niewinni* mimo zalet scenicznych nie uzyskała nagrody na konkursie, lecz przecież została przyjętą do repertoaru teatralnego tak tu, jak we Lwowie i w Warszawie.

Po wstrętnych wrażeniach jakie się wynosi z *Niewinnych*, przyjemnego doznaje się uczucia na przedstawieniu komedyi *Przed ślubem* także Warszawianina pana Zalewskiego. Dalecy od uważania teatru za jakąś świątynię i szkołę, a aktorów za kapłanów, jakto zdarzało nam się czytać i słyszeć nieraz, nie żądamy też od teatru moralizowania, ale tylko uszanowania dla moralnych zasad i uczuć, nie jesteśmy tak wymagający, aby teatr miał budować kogo, ale pragniemy, aby nikogo nie gorszył. Otóż właśnie komedya *Przed ślubem* wolna od tendencyi nikogo zgorszyć nie jest w stanie, a wzbudza zajęcie i sympatyę, jak gdyby się weszło w towarzystwo ludzi uczciwych i dobrze wychowanych. Zdrożności nawet i ujemne strony społeczeństwa przedstawione tam bez przesady, bez naciągania, bez czarnych zbrodni, ale tylko przesuwają się te ułomności ludzkie obok czystych i szlachetnych charakterów tak, jak się zdarza w życiu. To też i pod względem artystycznym o wiele wyżej stoi komedya *Przed ślubem* od *Niewinnych*, których zalety sceniczne zbyt były przecenione. Dwie te sztuki przedstawiają dwa kierunki, dwie szkoły mające może w przyszłości z sobą walczyć, bo obie oparte na głębszych poglądach przeciwstawiają nową etykę pozytywizmu starej chrześcijańskiej moralności.

Do której z tych dwóch szkół policzyć nam przyjdzie dramat historyczny pana Bełcikowskiego *Mieczysław II*, uwieńczony pierwszą nagrodą na ostatnim konkursie, a przedstawiony świeżo w teatrze krakowskim, który skorzystał z chwilowego pobytu p. Ładnowskiego, aby wznowić *Konfederatów Barskich* i podać tę próbę dramatu historycznego na wielkie rozmiary? Jest to niewolnicze naśladownictwo Szekspirowskich dramatów historycznych, skle-

zdawał się więcej sprzyjać rządowi, bez względu nawet na jego tendencye. aniżeli rzeczywistemu interesowi Kościoła i rozwojowi katolickiego życia. Utrzymują, że zawarcie konkordatu ze Stolicą św., pierwsze przełamanie tej żelaznej obręczy, w jaką system józefińsko-biurokratyczny ujął i dusił Kościół w Austryi, jego było dziełem. Zgadzamy się na to, ale cóż kiedy później, gdy już przyszło do układów, zmarły kardynał miasto stanąć po stronie Stolicy św., występował raczej w obronie rządowych projektów, wskutek czego nawet po zawarciu konkordatu nie odzyskał już Kościół tej wolności, jaką się cieszył przed Józefem II. Ręka rządu pozostała na nim.

W sprawach politycznych, na które również niemały wpływ wywierał, zmarły purpurat przechylał się stanowczo ku centralistom. Popierał gorliwie system Bacha, a ze Schmerlingiem w ścisłych zostawał stosunkach — federalistow nie cierpiał, chociaż oni jedni na sztandarach swoich wypisali zasady katolickiej polityki. Dziennik *Volksfreund*, za organ jego uchodzący, nierzadko zaczerpywał informacyj w biurach ministeryalnych, a uderzając w federalistów, bił jednocześnie w najlepszych synów Kościoła i rozwojowi katolickiego życia niesłychane przez to zadawał szkody. Polakom nie sprzyjał, Świętojurców popierał. Za czasów rządów absolutnych, usiłował zmarły kardynał wyrobić sobie w Rzymie godność prymasa z prawem zwierzchnictwa nad całym Episkopatem w Austryi. Jakkolwiek te zabiegi były niewłaściwe, jakkolwiek (gdyby były przyszły do skutku) mogłyby nader smutną zgotować dolę dla Kościoła w Austryi, bo scentralizować w jednej osobie w Wiedniu władzę kościelną i wytworzyć jakiś austryacki patryarchat, mimo to nie można w żaden sposob posądzać zmarłego o złe zamiary — robił to pewnie w najlepszej wierze i na zarzut antikościelnych dążności zasługiwać nie może. Spełzło to zresztą na niczem, dzięki prymasom Czech i Węgier i nieustannej czujności Stolicy św.

Zbliżyły się wreszcie czasy, pełne nader ważnych następstw. Trzy wieki upłynęły od Trydenckiego Koncylium. Ojciec św. zwołał wszystkich Biskupów na nowy Sobór! Bazylika Piotrowa rozwarła na oścież podwoje, aby przyjąć do swego wnętrza przybyłych z najdalszych zakątków świata Ojców Kościoła, licznych pasterzy różnorodnych narodów. Sobór Watykański, nadzieja i oczekiwanie wszystkich serc prawych, wszystkich umysłów szlachetnych, wszystkich dusz wierzących, zapowiedź rozpoczęcia się nowej dla Kościoła ery, zagajonym został — i nasz zmarły purpurat zasiadł w gronie obradujących Ojców, zgromadziwszy pierwej około siebie wielu z monarchii Rakuzkiej biskupów. Zajmowane tam przez niego stanowisko wiadome jest wszystkim. Gorliwi katolicy i najznakomitsze katolickie pisma wiele mu z tego powodu robiły zarzutów. Dziwić się temu nie należy. Uczucia katolików były do najwyższego stopnia wzburzone różnego rodzaju broszurami i pamfletami, wymierzonemi przeciw określić się mającemu dogmatowi. W każdym razie opozycya na Soborze przed określeniem i ogłoszeniem dogmatu, dopóki zachowała się w właściwych sobie granicach, znajdowała się zupełnie na gruncie kościelnego prawa, przyczyniła się nawet do lepszego wyjaśnienia sprawy i niemałe oddała prawdzie świadectwo. Zresztą po ogłoszeniu dogmatu ś. p. kardynał nietylko osobiście poddał się uchwałom Soboru, ale je w swojej ogłosił archidyecezyi, a nawet w ich obronie wystąpił. Jużto największy przeciwnik przyznać mu musi, że wszystkich zasadniczych kwestyj, dotyczących bądź wiary bądź praw Kościoła, z całym zasobem rozległej swej nauki i okrasą świetnego swego pióra żarliwie bronił. — Pamiętnemi pozostaną wspaniałe jego mowy, powiedziane w Izbie panów 1867 r., kiedy ministerstwo pp. Giskry i Herbsta, podniosłszy walkę antikościelną, zerwało zawarty w r. 1855 konkordat.

Najmniej atoli jasna chwila w jego publicznem życiu poprzedziła uchwalenie praw antikościelnych. Jakaś dziwna zawładnęła nim niechęć do zawiązujących się kassyn i wieców katolickich, które jednakże przyczyniły się dzielnie do rozbudzenia katolickiego życia i zjednoczenia rozrzuconych dobrego ducha jednostek ku wspólnej praw Kościoła obronie. Dzienniki francuzkie jak *l'Univers*, niemieckie jak *Vaterland*, włoskie jak *Voce della Verita* z tego właśnie powodu ostro przeciwko niemu występowały.

Najcięższe jednak posypały się przeciw ś. p. kardynałowi pociski, gdy do Wiednia z całej Przedlitawii zjechali się biskupi dla naradzenia się, jakie zająć stanowisko wobec wniesionych do Rady Państwa praw bezwyznaniowych. Zachowanie się wtedy zmarłego purpurata nacechowane było jakimś moderantyzmem, jakby skłanianiem się do tak zwanego *modus vivendi*, które zawsze kończyć się musi krzywdą jednej strony, pogwałceniem jej praw i uznaniem niejako przez nią gwałtu jej zadanego za rzecz zupełnie legalną. Wyszłe z pod jego pióra sławne *Erklärung* (wyjaśnienie) pokazało się tak bladem, iż zgromadzeni księża biskupi nie pierwej je podpisać chcieli, dopóki w wielu punktach zmienionem nie zostało.

Na chwałę polskiego Kościoła wspomnieć wypada, że właśnie jeden z biskupów polskich, pobożny, czcigodny i sędziwy Pa-

ziemi od Boga wybranej, na której ubogi rybak z Betsaidy jednego dnia u stóp Kapitolu, w obliczu tronu okrutnych Cezarów, osadził odważnie stolicę swego wspaniałego państwa, która sama jedna wśród otaczających ją ruin, przewrotów i rewolucyi stoi zwycięzko, jak ten cudowny obelisk wznoszący się przed Bazyliką Piotrową, na którym zawsze czytać można słowa, świadczące o tem nieśmiertelnem zwycięztwie: *Christus vincit, Christus regnat, Christus imperat*"! „Twoimi jesteśmy (mówią następnie Wandejczycy) Ojcze Św., do Ciebie należymy zupełnie w życiu i śmierci! Ty tylko dzierżysz w rękach swoich berło najwyższej i najświętszej władzy, jakiej nigdy nie było! Rozkazuj nam, a my polecenia Twoje ochoczo wykonywać będziemy. Usta Twoje Ojcze Najświętszy, których duch św. miłośną strzeże pieczą, głoszą same jedynie wyrocznie prawdy, skoro w imieniu Bożem przemawiasz. Nauczycielu Nieomylny, mów do nas, nauczaj, karć nawet, a serca nasze bić będą dla Ciebie"! „Imię Piusa IX brzmieć zawsze będzie wśród rodzin naszych — a raz z miłośnym wymówione zapałem tysiącznem wśród gór i dolin naszych odezwie się echem: Wandea Twoją jest Ojcze Św.

Toujours chretiens, même au siecle ou nous sommes
Les coeurs virils sont fiers d'être chrétiennes
Dieu pour sa cause aura des hommes
Tant que vivront des Vandéens

Otóż na te przedziwnie rzewne przemówienia odpowiedział Ojciec Św. następującą mową:

„Z każdym niemal dniem potężniejsze przybierają rozmiary, we Francyi szczególniej, objawy wiary i uczynki miłosierdzia; kapłani modlą się u stóp ołtarzy, a w kościołach i przybytkach świętych rozbrzmiewa głos rozmodlonego ludu, który serca swoje i dłonie wznosi do Boga, aby wybłagać u Niego łaski obfite, tak nam potrzebne w dzisiejszych burzliwych nader czasach. A jednak rózga Boża ciąży mimo to nad Kościołem, a nieprzyjaciele Jego nie przestają prześladować Go, uciskać i ciemiężyć z dziwną zaciekłością.

Długie trwanie tych okrutnych doświadczeń Kościoła, zdaje się, że w niektórych stronach katolickiego świata wpłynęło już na osłabienie ducha, złamało pewnych ludzi odwagę, i to, do tego już nawet stopnia, że ci obawiając się, aby Kościół nie uległ pod ciężarem takiego brzemienia cierpień, uchylają niejako swoje czoła przed niesprawiedliwemi żądaniami naszych prześladowców. Ale wy do nich nie należycie! Wy wobec całego świata, stojąc wytrwali i nieugięci, ustawiczne składacie dowody, żeście nietylko nie stracili zaufania w Bogu, ale i nie zachwialiście się w nadziei doczekania się jeszcze pogodnej ciszy po przejściu tej straszliwej burzy.

A teraz do owych chwiejnych odezwać mi się wypada. Kim wy jesteście, wy, którzy mniemacie, że tajemnicze drogi Opatrzności Bożej są wam wiadomemi i znanem dobrze zakończenie się tej chłosty

Bożej? O dzieci, odzywam się do was słowami św. Franciszka Salezego: baczność — pamiętajcie, że motyl krążący zanadto blisko około płomienia, zwolna zamienia się w popiół, otóż i ten, który zbyt zuchwale usiłuje przeniknąć niezbadane drogi Pańskie i poznać ich kierunki, zostaje zgniecionym, startym i w pył obróconym. Chcąc więc tego uniknąć, potrzeba pozostać niezachwianym w wierze, podwoić nawet nadzieję wobec wręcz przeciwnych jej objawów. Dla potwierdzenia zaś tego, co mówię, niechaj mi wolno będzie przytoczyć jedno z Pisma św. zdarzenie:

Miasto Jerycho przepełniło już miarę swoich nieprawości. Bóg tedy w swojej sprawiedliwości postanowił je wymazać z liczby miast, będących na świecie. Wezwał przeto Jozuego, następcę wielkiego wodza izraelskiego ludu, i rozkazał mu wyciąć w pień wszystkich jego mieszkańców, a samo miasto w perzynę obrócić. Jozue usłuchał rozkazu Bożego i wykonał wiernie to wszystko, co mu Bóg zrobić rozkazał. Zebrawszy tedy kapłanów, kazał im wziąść Arkę Testamentu, a z nią i trąby wielkie zwane jubileuszowemi, zgromadził wreszcie lud cały i w należytym porządku obchodził z nim procesyonalnie mury występnego miasta i to przez dni kilka. A odbywało się to w ten sposób: Na czele szedł lud uzbrojony, za nim postępowali kapłani z Arką Pańską i trąbami, a za tymi reszta dopiero bezbronnej postępowała ludności.

I cóż? Mniemacie, że mieszkańcy Jerychu, zanurzeni zupełnie w nieprawości i wylani na wszystkie występki, skoro ujrzeli pierwszego, drugiego, trzeciego i czwartego dnia ponawiający się ten obchód nie przynoszący im najmniejszej szkody, mniemacież, że patrząc się nań z wysokości niezdobytych na pozór swych wałów, nie szydzili oni z tego wszystkiego i z tej Arki i kapłanów i trąb i zbrojnego ludu?... Sądzicież, że i wśród Izraelitów nie znaleźli się równocześnie ludzie tępej głowy, którzyby między sobą szemrać nie mieli: i na cóż się przydadzą te do niczego doprowadzić nie mogące obchody, które samo zdobycie Jerychu śmiesznością okryją?

Otóż to samo dzieje się i dzisiaj. Jedni zagrzęźnięci w występkach, naśladują mieszkańców Jerychu, drudzy podobni do owych szemrających Izraelitów, odznaczają się brakiem ufności w Bogu. Bezbożnicy gardzą Kościołem, szydzą z jego obrzędów, a z tego wszystkiego, w co my wierzymy, co za święte i zbawienne uważamy, naśmiewają się jako z fanatyzmu wyników. Pierwsi, jak owi Hebrajczycy, wiecznie Bożej niedowierzający mocy i ustawicznie niewdzięczni sarkają na bezpożyteczność ich obchodów około murów Jerychu.

Słabe te umysły zarówno jak i ci, którzy jakimbądź kosztem koniecznie chcą żyć w pokoju, widząc że złe kierunki zawładnąwszy społecznością tak dalece się już utrwaliły, że niema prawie nadziei doczekania się szczęśliwszego obrotu rzeczy, łączą się więc nieoględnie z bezbożnikami, ilekroć razy okazują chęć zastosowania się do ich zachcianek i przystają na to, na co zgodzić się i czemu ustępować nie powinni.

Aliści zaledwie zaświtał dzień siódmy i około murów Jerychu obchód się rozpoczął, zaledwie lud spełniając dany sobie rozkaz, podniósł swe okrzyki, łącząc je z odgłosem trąb kapłańskich, wnet postrach ogromny opanował zaślepionych mieszkańców Jerychu; w tej samej chwili runęły zarazem i mury miasta tak, iż każdy otwartą przed sobą drogą wchodził do niego. *Ascendit unusquisque per locum, qui contra se erat.* Wtedy to dopiero nastąpiła owa rzeź straszna i miasto w perzynę obrócone zostało. Oblężeni spostrzegli może wonczas, ale już niestety zapóźno, że z Boga żartować nie można, ani wolno bezkarnie pomiatać i gardzić obrzędami przez Niego ustanowionemi. Atoli i między Hebrajczykami dusze chwiejne, zmysłowe i bojaźliwe przekonały się również, że tracić ufność w Bogu jest zbrodnią istotną. Wreszcie gdy mieszkańców Jerychu w pień wycięto, a ogień zniszczył już miasto, wtedy Jozue od Boga natchniony dosiadłszy konia, zwrócił się ku miejscu, gdzie stało miasto i wygłosił ową straszliwą klątwę (której tutaj nie chcę powtarzać, gdyż zaprawdę wielce jest przerażającą) przeciwko tym, którzyby znów w tem samem miejscu odważyli się odbudować owe miasto na nowo.

Ukochani synowie i Wielebni Bracia! Ponieważ znajdujecie się w Rzymie, pozwólcie, aby Ojciec wasz powierzył sercom waszym boleść, jaka własne jego przytłacza serce. Przypomnijcie sobie, że dziewiętnaście z górą ubiegło już wieków od czasu, jak książę Apostołów, Piotr święty, postawił w tem mieście stopę swoją. Wszedł On tutaj do tego lasu, jak mówi Leon św., gdzie rozlegały się ryki byków, wycia lwów i sykania węży. *Silva frementium bestiarum.* Rzym, mistrzyni tylu narodów, do własnych swych występków przyłączył jeszcze wszystkie zdrożności podbitych przez siebie ludów — a jednak pomimo tego Apostoł św. zbrojny w pomoc Bożą w tem ognisku pogaństwa założył fundamenta Chrystusowej religii i zrosił krzyż krwią swoją. Trzech jednakże wieków krwawego prześladowania, tysięcy męczenników potrzeba pierwej było, zanim krzyż kłamliwe zastąpił bóstwa. Na pogańskiej Romie ciężyło także Boże przekleństwo. I zniszczoną wreszcie została. To zaś, co po niej po-

zostało, to tylko szczątki same, służące za przedmiot dla uczonych, archeologów i dla wzbudzenia ciekawości w podróżnych. A teraz cóż chcą uczynić? Oto ukochany Rzym chrześcijański chcą znowu cofnąć w czasy pogańskich Cezarów, w czasy pogańskiej Romy — chcą go jeśli już nie na Rzym pogański, to bezwątpienia co najmniej na Rzym niewierny zamienić. Religię chcą zastąpić rozumem. Chcą zburzyć to wszystko, co zbudował apostoł Piotr św., co uświęciła wylana krew nieskończonej liczby męczenników i uczyniła zarazem ziemię chrześcijańskiego Rzymu wielce drogocenną.

Czyż to nieprawda? Znieważania miejsc i rzeczy świętych, na które własnemi oczami patrzę codziennie, w tem mieście świętem, stolicy katolickiego świata tak są wielkie i liczne, tak licznych i wielkich dopuszczają się tutaj grabieży, tyle robią wysiłków, aby zepsuć zupełnie młodzież, że nie można wcale już o tem wątpić, iż powzięto zamiar zniszczenia zupełnie katolicyzmu w samem jego ognisku. A jednak mimo tego taka i tak wielka w nieprzerwanem tem prześladowaniu zachowana jest obłuda, że w odległych od Rzymu krajach wierzyćby mogli, iż tu największy porządek, pokój i swoboda panują. W chwili tedy, gdy świętokradzka ręka rzuca się na wszystko, co jest najświętszego i najdroższego Panu i Jego niegodnemu na ziemi Namiestnikowi, w chwili gdy obalają wszystkie katolickie instytucye, i zniszczyć je z czasem usiłują, pracują nad tem, aby im wierzono, iż w Rzymie wszystko w największym postępuje ładzie i chełpią się nawet ze swego względem Kościoła umiarkowania. Ale czyż o tem umiarkowaniu może dzisiaj być jeszcze mowa, skoro rewolucya włoska zgina swoje kolano przed potężniejszym od siebie innym prześladowcą Kościoła, by tym sposobem jasno dać do poznania, że ją z tym prześladowcą jeden i tenże sam łączy cel, aczkolwiek w użyciu środków różnić się z nim może?

O niechajże wiedzą ci wszyscy, którzy Rzym chrześcijański pogrążyć w cieniu usiłują, by zanurzyć go w niewiarze, ci, którzy na ruinach tego, co święte, pragną wznieść nowy Babilon, niechaj wiedzą, że zniewalają Boga do wyrzeczenia nad nimi owego przekleństwa, jakie przed wielu wiekami wygłoszone zostało przez usta Jozuego.

Wy, którzy mnie tutaj słuchacie, drodzy synowie i Wielebni Bracia, wznieście wspólnie wraz z wszystkimi innymi, którzy nie są tu obecni, modlitwy wasze przed tron Najwyższego dla uproszenia siły do wytrwania wśród tych zamachów: zawiści, potwarzy i wszystkich innych wycieczek nieprzyjaciół naszych, abyśmy w końcu wobec

nich się znajdując, zdołali nietylko ich zwyciężyć zupełnie, ale otrzymali jeszcze od Boga łaskę ujrzenia chrześcijańskiego Rzymu, któregoby zwierzchnictwo duchowne coraz potężniej rozszerzać się mogło. Módlcie się, aby ustały już te rzeczy, które sprowadziły na nas karę, abyśmy w miejsce chłosty Bożej cieszyli się błogosławieństwem i pokojem, pokojem z Bogiem, pokojem z ludźmi, pokojem z naszem sumieniem i aby w końcu ten walczący Kościół, w którym tu zostajemy, mógł z czasem tryumfująco podnieść się do Nieba.

O Boże, błogosławże życzeniom naszym! Ty znasz chęci tych dobrych chrześcijan. Ty znasz pragnienia niegodnego Twego Namiestnika. O mój Boże, wspomnij na nas i ulituj się nad nami: *Et nunc Domine*, odzywam się do Ciebie słowami Estery, *miserere populo tuo, quia volunt nos inimici nostri perdere et haereditatem tuam delere.* Miej miłosierdzie nad nami Panie i jako zadatek zlitowania się Twego błogosław nam wszystkim; błogosław Twego niegodnego Namiestnika, błogosław tych wielebnych, stojących przedemną biskupów, ich dyecezye i dyecezan.

O tak, drogie dzieci moje — oto wznoszę ręce moje i w imieniu Boga błogosławić wam będę. Święty Łazarz wasz opiekun *(do Prowancczyków)* i przyjaciel Jezusa Chrystusa niechaj to sprawi, abyście się stali prawdziwymi przyjaciółmi Jego Wszechpotężnego i Najmiłosierniejszego Przyjaciela. Najświętsza Wniebowzięta Dziewica Marya *(do Wandejczyków)*, patronka Kościoła waszego, z wysokości tronu swojej chwały niechaj was wspiera i umacnia tak, aby głośna i ze stałości w świętych zasadach światu całemu znana dzielna Wandea pozostała im zawsze wierną i stała się godną większego nad nią Miłosierdzia.

Proszę Boga, aby wam towarzyszył w powrocie do waszych domostw i wynagrodził sowicie te trudy, które ponieśliście w czasie waszej podróży. Dziękuję wam za wszystko coście uczynili i błogosławię wam w życiu i w powrocie do waszej ojczyzny, błogosławię wam w śmierci, abyście w tej ostatniej godzinie stali się godnymi w ręce Boga oddać dusze wasze! *Benedictio Dei etc*".

Po pielgrzymkach z Wandei i Prowancyi przybyła niebawem również wielka liczba pątników z Marsylii i Bajonny. I do nich na udzielonem im posłuchaniu d. 22 Listopada miał również Ojciec św. długą bardzo mowę, którą w przyszłym podamy poszycie. Przedstawiwszy w niej obraz uderzającej na Kościół burzy powiedział, że skończyć się ona niebawem musi. Niespodziewanie zerwie się wicher, którego powiew zwróci rzuconą na rozhukane morze arkę Piotrową do bezpiecznego portu i nastanie cisza wielka.

Trzej nowi słudzy Pańscy, wpisani niebawem zostaną do pocztu Błogosławionych, jako to: Wielebny Ubald de Bisognio Neapolitańczyk z zakonu Franciszkanów, Karol de Sezze, braciszek z zakonu Reformatów i Alfons d'Orozes kapłan z zakonu pustelników św. Augustyna. Procesa beatyfikacyjne oddawna już przeprowadzone zostały, a w niedzielę 21 Listopada nastąpiło uroczyste odczytanie dekretów beatyfikacyjnych, przez św. kongregacyę obrzędów wydanych. Ojciec św. zezwalając na obchód beatyfikacyi miał powiedzieć: „teraz niepodobna tej uroczystości odprawić, Rzym zajęty — Kościół wolności pozbawiony, ale oto ci trzej nowi błogosławieni niechaj wyjednają nam u Boga, abyśmy im wkrótce mogli publicznie cześć oddać".

Zabrane przez rząd Piemoncki klasztory nie wychodzą mu wcale na pożytek — jednych na nic użyć nie może i zostawia je pustkami, a drugie na nowo burzy i przerabia. Kosztuje go to wiele, więcej nawet może, niż zbudowanie nowych zupełnie gmachów. Jeden ze wspaniałych dawniej klasztorów przeznaczony na pałac dla ministerstwa finansów, przy przerabianiu go pochłonął już znaczne sumy i wiele ofiar z życia ludzkiego. Każdego dnia niemal jeden lub dwóch pracujących przy jego budowie mularzy lub robotników, to spada z rusztowania, to przygniecionych zostaje. Dotychczas już 125 rzemieślników śmierć tam znalazło. Lud rzymski nie bez słuszności upatruje w tem rękę Bożą. Robotnicy robić nie chcą, nazywając zamieniony na pałac klasztor *palazzo delle disgrazie.* A to przecież ma być ministerstwem finansów!

Uczony Jezuita ks. Secchi znany w całym świecie astronom, w skutek zaziębienia się dostał zapalenia płuc i dzisiaj obłożną złożony jest chorobą. Wielka byłaby to dla nauki strata!

* * *

List Najczcigodniejszego ks. biskupa Hirschlera. W krajach, gdzie życie katolickie pełnemi płynie strumieniami, odprawianie ćwiczeń duchownych jest w ciągłem użyciu nietylko wśród kapłanów, ale i obojga płci katolików świeckich, tymczasem u nas w skutek rozlicznych nader przyczyn i okoliczności życie duchowne tak dalece osłabło, że samo słowo rekolekcye uważanem było za coś takiego, co upokarza człowieka — przyszło wreszcie do tego, iż skazanie kogoś na karę za jakieś przewinienie nazywano skazaniem na rekolekcye. Wprawdzie w Polsce zwanej Kongresówką tak źle nie było, ale za to w Galicyi dopiero od niedawna najpierw w dyecezyi Przemyskiej, a następnie w skutek rozporządzenia naszego sędziwego Arcypasterza i w Lwowskiej archidyecezyi, a równocześnie w Tarnowskiej dyecezyi odprawiać je poczęto [1]). Dobry i zbawienny ten zwrot do tej dawnej praktyki, zwanej w Polsce przez polskich kościelnych pisarzy łaźnią duchowną, musiał z natury rzeczy przyczynić się do podniesienia ducha w duchowieństwie, musiał ożywić i rozgrzać życie kościelne, a następnie wywrzeć i na świeckich wpływ zbawienny. To też nie dziw, że tego już roku liczne grono najpoważniejszych i najzacniejszych w kraju naszym obywateli, zajmujących

[1]) Pobożny nasz Arcypasterz nietylko że dał u nas popęd do ćwiczeń duchownych, ale własnym nawet kosztem podejmował przeszłego roku blisko 124 kapłanów, odprawiających rekolekcye we Lwowie i to przez dni trzy, tego zaś roku wielka ilość księży wikaryuszów, zgromadzonych tutaj w tym celu również Jego kosztem utrzymywaną była w seminaryum.

wpływowe stanowisko w naszem społeczeństwie, zebrało się licznie w Starejwsi u OO. Jezuitów dla odprawienia kilkudniowych ćwiczeń duchownych — raz w Sierpniu, a drugi raz, jeśli nas pamięć nie myli, w miesiącu Październiku. Że zaś w tym czasie nie wspominaliśmy nic o tem, to dlatego, aby dziennikom naszym, nie pojmującym nawet, na czem zależy rozwój życia katolickiego, nie podać sposobności do arlekińskich wycieczek i rzeczy samej w jej tak pięknym zawiązku nie zaszkodzić. Dziś atoli, kiedy się to już stało i to w sposób wszelkie nadzieje przechodzący, gdyż oprócz panów i znaczna liczba pań również w pewnym domu pod kierownictwem OO. Jezuitów rekolekcye odbyła, obowiązkiem więc naszym zanotować tutaj ten piękny objaw budzącego się w wyższych warstwach naszego społeczeństwa religijnego życia. Nadewszystko przytoczyć nam należy list Najczcigodniejszego księdza biskupa przemyskiego, Hirschlera, wystósowany do panów, zebranych w Starejwsi dla odprawienia ćwiczeń duchownych. Oto treść tego przedziwnie wspaniałego listu, przypominającego swym stylem i treścią pisma Ojców Kościoła:

MACIEJ HIRSCHLER

Z MIŁOSIERDZIA BOŻEGO I ŚW. STOLICY APOSTOLSKIEJ ŁASKI BISKUP PRZEMYSKI OBRZĄD. ŁAĆ., ASSYSTENT TRONU PAPIEZKIEGO, HRABIA RZYMSKI, PRAŁAT NADWORNY JEGO ŚWIĄTOBLIWOŚCI, KAWALER CES. KR. ORDERU LEOPOLDA.

Zgromadzonym na ćwiczenia duchowne wiernym w Starejwsi
Zdrowie i błogosławieństwo w Panu!

Na wiadomość o Waszem postanowieniu, czcigodni Synowie, odprawienia ćwiczeń duchownych w Starowiejskiem kollegium OO. T. J. rozradował się duch nasz w Bogu Zbawicielu Naszym i dzięki Mu składa w gorącej, a kornej modlitwie, iż pobudził Serca Wasze do czynu, który, tak ufamy w miłosierdziu Bożem, będzie hasłem dla drugich, aby się nie wstydzili Chrystusa, ani Ewangelii Jego.

Wielka gwiazda, co 29 lat przeszło świeci z Watykanu i do niesłychanej wysokości podniosła Kościół Chrystusów, niejednym promieniem łaskawości ojcowskiej przyczyniła się do tego, że Wy, przezacni Synowie, stawiacie krok śmiały, odważny, szlachetny i pełen doniosłości. *Nie wstydam się* — mówicie — *Ewangelii, albowiem mocą Bożą jest.*

On Wielki Namiestnik Chrystusów Pius PP. IX z więzienia Watykańskiego kładzie purpurę kardynalską na więźnia Chrystusowego, naszego Prymasa. Tym aktem wieńczy stałość jego w uciskach, prześladowaniach i więzieniach za wolność Ewangelii Chrystusowej i za prawa Kościoła okazaną. Tym aktem tchnął również na cały Episkopat i naród polski ducha męztwa i gotowości poniesienia śmierci męczeńskiej za wiarę. Męztwa tego dowód Wy Najmilsi dajecie dzisiaj, wołając czynem swoim: *Nie wstydam się Ewangelii, albowiem mocą Bożą jest.* A zatem po Bogu złożyć Nam wypada gorące dzięki Piusowi IX Namiestnikowi Chrystusowemu za tę radość duchowną.

Kult nowoczesny materyi, rozumu, interesu z świątyniami gazeciarskiemi, giełdowemi i teatralnemi, sprawił niemałe w narodzie naszym spustoszenie. Ale miłosierdzie Boże pomne krwi naszej przez tyle wieków w obronie krzyża przelanej, jakby dla ocknienia nas z szału i opętania stawia nam przed oczy przedziwne zastępy męczenników chełmskich i świetne szeregi wyznawców Poznańskich z orszakiem Biskupów i Kapłanów na czele. Jak niegdyś Paweł św., wskazując żydom na swe kajdany, wołał: *Iż dla nadziei Izraelskiej łańcuchem jest związany*, tak owi prostaczkowie ginący w katuszach, tak Kardynał nasz i kapłani z nim uwięzieni wołają niejako do całego narodu: *Dla Was znosimy to wszystko, abyście skarb wiary cenić się nauczyli i nienaruszenie go zachowali.* A prawda wcielona uroczyście przyrzekła, że naród, który przedewszystkiem i kosztem wszystkiego, szuka królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, tj. tryumfu prawdziwej religii — i religię zachowa i otrzyma oraz wszelkie doczesne korzyści: *Szukajcież* — powiedziano — *najprzód Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a to wszystko będzie Wam przydane.* W tej myśli znakomity nasz autor katedry na Wawelu, powiada o wierze, tej najdroższej spuściźnie po Ojcach naszych „iż nam umrzeć nie da". Wobec tego heroizmu Unitów Chełmskich i Poznańczyków, okazuje się w całej ohydzie swojej liberalizm, ten sprawca owej strasznej tyranii, która piętno hańby wypali na czole wieku XIX — liberalizm, który zwodniczemi frazesami swemi o wolnościach sumienia i prasy, wolnego Kościoła w wolnem państwie, tyle głów polskich był opanował.

Wy Najmilsi! dajecie pierwsi niezbite dowody tego poznania mówiąc: *Nie wstydam się Ewangelii, albowiem mocą Bożą jest.* O! bądźcie za to błogosławieni od Pana, który Was wyzna przed Ojcem swoim niebieskim za to, że Go wyznajecie przed ludźmi. Przystępujcie do Niego, a będziecie oświeceni, bo On jest światłością prawdziwą, zbliżajcie się do niego, a będziecie oczyszczeni, bo on jest ogniem pożerającym i sprawującym *oczyszczenie grzechów* (List do Żydów. 1. 3).

Powiedział jeden z Ojców Kościoła o rzeczach ziemskich, doczesnych, iż nieznane łechcą pożądliwość, a ledwo zakosztowane sprawują rozczarowanie i przesyt. Nie tak w rzeczach duchownych. Te nieznane wstręt obudzają i odstraszają, ale zakosztowane rodzą pragnienie, bo w całej piękności i czystości odkrywają się duszy naszej. Tego pragnienia żadne źródło zagasić nie potrafi, jeno to, które Zbawiciel Nasz w Kościele św. osadził, wytryskujące na żywot wieczny.

Pijcież z tego źródła, którego cudowną moc podczas św. ćwiczeń poznacie, a odrodzi Was, odświeży i umocni na resztę dni żywota Waszego i poznacie, jak słodko jest złączyć się z Panem Bogiem, w Nim szukać światła, pomocy, rady i pocieszenia, w Nim pracować, Jemu ufać, od Niego tylko spodziewać się wszystkiego dobrego. Dla uproszenia Wam tego owocu pobożnych ćwiczeń niniejszych, wznosimy ręce nasze ku Niebiosom do Ojca Światłości, od którego wszelki datek dobry i dar doskonały pochodzi i błagamy gorąco, aby zlać raczył Ducha swego św. na pobożne myśli i postanowienia Wasze, aby Was w nich utwierdził i do skonu życia utrzymał.

A jako zadatek tych łask Bożych, udzielamy Wam Najdroższi Synowie nasi Arcypasterskie Błogosławieństwo nasze. Zarazem, w myśl prośby Nam przedłożonej, zamieniamy obowiązek 15todniowego odwiedzania 4 Kościołów celem dostąpienia jubileuszu, na trzykrotne wspólne odwiedzenie stacyi Kościoła Starowiejskiego.

Łaska Pana Naszego Jezusa Chrystusa niechaj spocznie na Was, nad Waszemi rodzinami i nad dobytkiem Waszym.

Dan w Przemyślu 18 Sierpnia 1875.

List ś. p. hr. Namiestnika w sprawie cerkwi unickiej. Przypadkiem dostała nam się kopia listu pisanego w Kwietniu r. b. przez zmarłego Namiestnika hr. Gołuchowskiego do Najprzewielebniejszego ks. Metropolity Sembratowicza. List ten aczkolwiek napisany został w interesie prywatnym, dotyka jednakże tak ważnych spraw publicznych, że nietylko piękne zajmie miejsce w biografii zmarłego dygnitarza ale i jako pewnej wartości dokument do historyi dzisiejszej cerkwi uniekiej należyć powinien. Usposobienie bowiem większości duchowieństwa Uniekiego w Galicyi, postępowanie rządu rossyjskiego w Chełmskiem, scharakteryzowane tutaj zostały nie przez jakiegoś tam lekkomyślnego i czerwonego patryotę polskiego, ale przez najwyższego przedstawiciela Austryackiego rządu w Galicyi. Z tych więc powodów przytaczamy go tutaj w całości:

Najprzewielebniejszy Księże Metropolito!

Składając osobiście w ręce Waszej Arcyb: Mości prezentę na parochią miasta Husiatyna dla ks. Jana Bojarskiego, przybyłego z dyecezyi Chełmskiej do Galicyi, w skutek prześladowań religijnych, a to po dopełnieniu wszelkich warunków tak kanonicznych jako też państwowych, poczuwam się do obowiązku wynurzyć Waszej Arcyb: Mości moją najszczerszą podziękę, żeś temu wiekowemu, prawemu, przez władze rossyjskie srodze prześladowanemu katol. Kapłanowi, pomimo oporu we własnem gronie, podał rękę pomocną, aby we Lwowskiej dyecezyi znalazł przytułek i umieszczenie w rzędzie tutejszych duszpasterzy.

Mam nadzieję, że poświęcenie jego dla wspólnej nam Matki to jest Kościoła Rzymskiego, posłuży duchownym tutejszym za wzór i wskaże im drogę, jaką dążyć winien prawy kapłan w chwilach prześladowań kościelnych, które daj to Boże, aby nas nigdy nie dosięgnęły a to tem bardziej, ponieważ smutnych i pożałowania godnych doczekaliśmy się przykładów, w licznym niestety zastępie tutejszokrajowych księży unickich, którzy pomimo, że w naszych seminaryach kościelną pobierali naukę i przez własnych prawych biskupów byli wyświęceni, nie wzdrygali się sprzeniewierzyć się obowiązkom kapłańskim, uchodząc potajemnie wbrew złożonej przysiędze, bez zezwolenia ordynaryatu do dyecezyi Chełmskiej, aby tam podkopać Kościół Katolicki i stać się narzędziem schyzmy, która, gdy chodzi o dopięcie swych niecnych celów, przed gwałtem i niesumiennością się nie wzdryga.

Wprawdzie tym wrogim kapłanom stoją dziś dobytki i dostojeństwa otworem, lecz przyjdzie kiedyś czas, złożyć ścisły rachunek z swych czynności przed Bogiem! A są oni tem bardziej kary godni, albowiem nie tylko dla własnych korzyści stali się odszczepieńcami katolicyzmu, ale nadto tysiące wiernych zachęcali i znieważali do przyjęcia wstrętnej im wiary.

Prezentując prześladowanego Ks. unitę Dyecezyi Chełmskiej na parocha, spełniam oraz obowiązek miłości chrześcijańskiej, podając ks. Bojarskiemu sposobność pracowania dalej na niwie Pańskiej, oraz nie chciałbym, aby nam kiedy zarzucono, żeśmy nie po bratersku i nie po ludzku nawet obeszli się z prześladowanymi przez schyzmę kapłanami Chełmskimi i nam w czasie wyrzutu nie

zrobiono, mówiąc o wygnanych dla wiary Chełmianach: Do swoich przybyli, a Ci ich odepchnęli od siebie.

. . . . . .

. . . . . .

Racz przyjąć W. Arcyb: Mość zapewnienie mojego winnego uszanowania, z jakiem mam zaszczyt pisać się Waszej Przewielebności

uniżony sługa

AGENOR GOŁUCHOWSKI
Patron cerkwi Husiatyńskiej.

Lwów 8 Kwietnia 1875

Ze Lwowa. W listach z Krakowa wyraziliśmy już nasze zapatrywanie się na nominacyę Alfreda hr. Potockiego, Namiestnika Galicyi. Bądź co bądź osoba jego związaną teraz została z historyą naszego kraju. Inna zaś rzecz, czy nadzieje nasze, jakie na nim budujemy, ziszczone zostaną. To zależy od okoliczności politycznych, a w części i od niego samego. Tymczasem witając z uszanowaniem nowego Namiestnika, nie myślimy wcale ani zbyt entuzyazmować się jego nominacyą, ani śmiemy zwracać jego uwagę na palące w kraju naszym sprawy, które od niego rozwiązania oczekują.

— Zasłużony wielce naszemu społeczeństwu w Wielkopolsce ks. Samarzewski, którego mieliśmy sposobność poznać niedawno we Lwowie, został na zebraniu „Spółek zarobkowych“ w Krotoszynie, wybrany ponownie na lat trzy patronem tych zbawiennych dla społeczeństwa instytucyj.

— Nie przypuszczaliśmy nigdy, aby rzucania się na osoby, ich dobre imię i cześć, posługiwanie się kłamstwem i potwarzą, mógł ktokolwiekbądź nazwać kiedy satyrą. Myśmy mniemali, że satyra karci tylko wady publiczne, ośmiesza je, ale nigdy nie przekracza ósmego przykazania, ani posługuje się błotem:

„*Satyra prawdę mówi, względów się wyrzeka,*
Wielbi urząd, czci króla, lecz sądzi człowieka“.

Tymczasem *Wiestnik Europy* utrzymuje, że tylko assafetyda dziennikarska, czy literacka stanowi właśnie satyrę, a twórcy jej satyrykami. *De gustibus non est disputandum.* Dość, że p. Lam stał się naraz bohaterem *Wiestnika.* Szczęśliwy pan Lam! Jego *Koroniarz w Galicyi* przekładany teraz na język moskiewski, powinien znaleść niemałe powodzenie, wśród upojonych nienawiścią do Polski Moskali.

— W Paryżu wyszło niedawno z wielkim talentem napisane dwutomowe dzieło p. t. *Droits public et l'Europe moderne. Paris. Hachette.* Autorem dzieła p. Arthur de la Guéronière, ten sam, który z natchnienia i rozkazu Napoleona III, wydał w swoim czasie broszurę: *Papież i kongres*, która niemałe wywarła w świecie wrażenie i nie była w gruncie czem innem, jak tylko oddawna przez sekciarzy ułożonym przeciw Papiestwu planem, dzisiaj spełnionym niestety. Pan La Guéronière w obecnie wydanem przez siebie dziele z wielką zręcznością i w zajmujący nader sposób podnosi i rozbiera najżywotniejsze kwestye z dziedziny prawa publicznego i międzynarodowego, porusza zarazem wiele spraw społecznych i kościelnych. Z całego atoli dzieła wieje duch liberalizmu z cezaryzmem połączonego, a obok tego nadzwyczajna do Moskwy sympatya. Wszystko, co rossyjskie, w oczach jego na podziw i uwielbienie zasługuje. W popach nawet moskiewskich, niemal że ideału kapłana nie widzi, a cara pod same wynosi niebiosa. Doprawdy dziwić się po-

trzeba temu zaślepieniu Francuza, ale też zarazem i dziękować należy Bogu za to, że wszyscy niemal wrogowie Kościoła, odznaczają się zawsze nieprzezwyciężonym pociągiem do tego tylko, co brzydkie, przewrotne, okrutne lub podłe.

— Broszura hr. Harry Arnima *Pro nihilo*, wydana w Szwajcaryi, wykazując osobiste zabiegi dwóch wrogów Kościoła, uchyliła nam zarazem zasłonę z dyplomatycznych działań rządu pruskiego. Hr. Arnim znany ze zdradzieckiego swego postępowania względem Stolicy św. ze swych intryg w czasie Soboru i knowań z rewolucyonistami włoskimi, chcąc być pierwszym w zadaniu ciosu Kościołowi, uważał sposób prześladowania Kościoła przez księcia Bismarka za mniej zręczny i mniej skuteczny. Gdy do tego przyłączyła się jeszcze jego osobista do niemieckiego kanclerza niechęć, wybuchła otwarta między niemi wojna. Odtąd każdemu z nich szło o to jedynie, aby drugiego jak najwięcej poniżyć. Kto z nich ostatecznie zwycięży, pytano w chwili wytoczonego hr. Arnimowi procesu? Dzisiaj rzecz już jasna, że hr. Arnim stał się niemożliwym do zajmowania jakiejkolwiek wyższej w urzędzie pruskim posady, a natomiast książę Bismark w tryumfujący sposób obchodzi swoje Pyrusowe zwycięztwo. Tak jest Pyrusowe! Broszura bowiem *Pro nihilo* nietylko pokazała, czem jest książę Bismark, ale wykryła jego matactwa, zamiary, konszachty, i ukazała rządom i ludom zkąd grozi im niebezpieczeństwo, jakie wśród nich stronnictwa pracują *pour le Rois de Pruse*. Pokazuje się np., że i maleńki Thiers mimo swej wiedzy, był ulubionym faworytem żelaznego księcia, a co się tyczy owych katonów francuzkich, stronników jednookiego Gambetty, to już na tych najwięcej liczono w Berlinie — tylko katolicy, legitymiści a nawet Orleanie, nie mają tam dzięki Bogu miru. Koniec końcem broszura hr. Arnima prawdziwą oddała Francyi usługę. Słusznie przeto, jedno z pism, podające z niej wyciągi, powiedziało: *Duobus Borrussis certantibus Gallus tacet*.

— Zdaje się, że rozprawa Klaczki umieszczona w *Revue des deux Mondes*, p. t. *Dwaj kanclerze*, wychodząca obecnie w polskim przekładzie w *Kuryerze Poznańskim*, daleko więcej rozdrażniła księcia Bismarka, niż broszura hr. Arnima. W urzędowych i księciu Bismarkowi oddanych dziennikach sypią się ogromne przeciw autorowi rozprawy i pociski. *Nordd. Allgem. Zeitung* nie szczędzi pięknych epitetów p. Klaczce, i hr. Beustowi, nazywając pierwszego „wywłoką polskim“ a drugiego „wychodźcą saskim“. Polacy, woła ona wreszcie, knują dziś w całej Europie przeciw pruskiemu państwu spiski i podburzają wszystkie narody i rządy. Gwałtowne te wystąpienia dzienników oddanych rządowi, najlepiej dowodzi, jakiego klina zabili księciu Bismarkowi: „wywłoka polski“ z „wychodźcą saskim“. Książę Gorczaków powinien śmiać się na całe gardło. W całej tej sprawie, ktoby to mógł przypuszczać, stanęli po stronie Bismarka, przeciw niektórym wyrażaniom się Klaczki, Francuzi, tak Francuzi....., ale Gambeciści. *Republique Française* uważała sobie za zaszczyt uderzyć czołem przed wrogiem swego kraju. Liberały i rewolucyoniści wszędzie jednakowi!

— Niebawem rozpocznie się znowu nowy w Berlinie proces w tak zwanym trybunale do spraw kościelnych w celu pozbawienia trzech biskupów możności zarządzania ich dyecezyami, co rząd pruski nazywa złożeniem ich z urzędu biskupiego. Temi trzema biskupami są ks. Melchiors, arcybiskup koloński, ks. Eberhard biskup Trewiru i ks. Brückmann Biskup z Münster.

— Szczególniejszym doprawdy cieszy się przywilejem piękna kraina Gallów — w złem lub dobrem, zawsze steruje wszystkim narodom. W niej zawsze brały początek wszystkie: złe i dobre prądy świat obiegające. Dzisiaj dobre górę brać poczynają. Długi bo też czas stała Francya na czele wrogich bożej prawdzie i społeczeństwu zasad, które zatruły świat cały, wszelki ład zburzyły i spustoszenie w duszach ludzkich i w ustroju społecznym sprawiły. Wreszcie przyszło do tego, że pod egidą rozkrólowanych, a ubóstwianych przez Francyę zasad, ona pierwsza padła ich ofiarą — nastała przeto chwila wytrzeźwienia się. Upojona zasadami rewolucyjnemi Francya przychodzi do upamiętania się i odradzać się wreszcie poczyna. Ztąd widzimy w ostatnich czasach wielką ilość wydawanych tam dzieł, które w przekonywający wykazują sposób, jaki ogrom złego wyrządziły społeczeństwu tak zwane nowoczesne idee. Najznakomitszem w tej materyi wydanem dziełem jest książka księdza Chesnel, wikaryusza jeneralnego w Quimper, pod tytułem: *Les Droits de Dieu et les Idées moderne. Poitiers, Oudin libraire, Paris rue Bonaparte*, napisana w sposób dziwnie przystępny i zajmujący, którą gdyby kto zechciał spolszczyć, oddałby usługę naszej społeczności, na którą zasady rewolucyjne tyle jeszcze wywierają uroku.

— *Ruch Literacki* we Lwowie w nowe przeszedł ręce. Za odpowiedzialnego redaktora podpisuje się p. Władysław Gubrynowicz. Zmiana ta ma wyjść mu na dobre. Zobaczymy. Dawniejszy jednak jego redaktor, również wiele obiecywał. Nazwał się nawet sternikiem życia umysłowego w Galicyi. Nowa atoli redakcya tak wysoko nie sięga. Przyznaje sobie tylko skromną nazwę „żołnierza dziennikarskiego“ (Nr. 47 z 20 Listopada — *Miscelanea*). Ale cóż kiedy p. „żołnierz“ widocznie z bronią nieoswojony. Chcąc bowiem strzelić do p. Szujskiego za jego przemowę mianą w Akademii Umiejętności, z powodu wybrania go przewodniczącym w komisyi historycznej, tak do niego zmierzył, że aż... spudłował... Pfu! Strzał stracony... Oj śmiaćże się musi p. Szujski, że tacy żołnierze na cel go biorą... Doprawdy *Ruch* znacznie się poprawił...

— *Sion*, pismo w duchu katolickim przez ks. Dra. Sembratowicza w rusińskim języku wydawane, ogłosiło w jednym z ostatnich numerów dwa dokumenta papiezkie, mocą których nietylko zatwierdzone zostały statuta kapituł ruskich, ale otrzymały one nadto też same prawa i przywileje, co i kapituły łacińskie. Dwóch pierwszych prałatów w kapitule, będzie mieć prawo używania mitry i pastorału, a wszystkim kanonikom pozwolono nosić kołpaki fioletowe kroju sześciokątnego jak u Melechitów. Zachodzi tutaj jednakże wątpliwość, czy przywilej noszenia czarnych kołpaków, o których wspomina Bulla papiezka ma się odnosić tylko do kleru zostającego przy katedrze, czy też ma służyć całemu duchowieństwu? Otóż w skutek tej wątpliwości Najprzew. ks. Metropolita Sembratowicz napisał, jak donosi *Sion*, do Rzymu, prosząc o rozwiązanie tej wątpliwości. Dałby tylko Bóg, aby sześciokątnym kołpakom nie poucinały przypadkiem kątów różne nieprzewidziane okoliczności i wpływy i nie zamieniły ich w formę cylindrową.

— Dowiadujemy się z pewnego źródła, że sprawę konkordyi postanowił już Rzym stanowczo uregulować. Wiadomo bowiem, że w moc tego prawa nie wolno było dotychczas ani zmieniać obrządku, ani przyjmować do niego zgłaszających się osob... Tymczasem cóż się działo? Wielu z kleru ruskiego nie robiło sobie z tego żadnych skrupułów, przeciwnie duchowieństwo łacińskie tak

dalece trzymało się przepisów konkordyi, że w wielu bardzo wypadkach zrażało tym sposobem do Kościoła dusze, które dla nader ważnych często powodów przejść chciały na łaciński obrządek.

— Przed paroma laty, zanim hiszpański marszałek Concha poległ od kuli Karlistów, niektóre pisma polskie usiłowały *per omnia fortia* zrobić zeń Polaka. Concha wymawia się po hiszpańsku Kończa, a więc Concha od Kończów widocznie pochodzi — tak dowodziły gazety, a nawet wyszukały jego ojca, dziada, tylko pradziada odnaleść już nie mogły — później... pokazało się że to wszystko... prawda. Dzisiaj znowu odkrył *Wiek* warszawski, że słynny francuzki pisarz Juliusz Verné jest również Polakiem, pochodzącym z Płockiego i nazywa się Olszewicz czy Olszewski, dość, że coś podobnego do nazwiska Verné. Kto wie, czy nie wyczytamy niebawem w jakiej znowu gazecie, że i Gambetta jest także Polakiem, urodzonym w Brodach lub na Kaźmierzu w Krakowie. Zaprawdę, mielibyśmy chlubić się z czego!...

— W Poznaniu z dniem 1 Stycznia zacznie wychodzić w drukarni Jarosława Leitgebera nowe ludowe pisemko p. t. *Gwiazda*. Redaktorem będzie ks. Tłoczyński, który dotąd redagował *Niedzielę*, ale w skutek nieporozumień z jej wydawcą p. Daszkiewiczem usunąć się musiał. Ks. Tłoczyński usprawiedliwiając się z tego w *Kuryerze Poznańskim*, dodaje: „w piśmie katolickiem baczyć przedewszystkiem należy na interes ogółu, a nie na interes wydawcy". Złote słowa — gdyby wszyscy na to pamiętali, stan ludu naszego zmieniłby się rychło. Ale tak, jak dzisiaj rzeczy stoją, nasze ludowe pisma nie potrafią Kościołowi i ojczyźnie oddać tyle usług, ileby mogły i powinny. Mamy tu przedewszystkiem Galicyę na myśli, gdzie niemasz ani jednego takiego ludowego pisemka, któreby przedewszystkiem miało na celu wykładanie ludowi kwestyj społecznych i politycznych w kierunku katolickim. Ztąd pochodzi, że lud nasz wiejski w sprawach takich postępuje ot tak, jak tam kto chce i wybiera na posłów takie np. indywidua, jak zasuspendowanego księdza lub takiego pana Gniewosza, który po otrzymaniu poselskiego mandatu, od katolickiego na wskróś ludu, głosuje za prawami bezkonfesyjnemi. Jeśli więc chcemy złemu zaradzić i sprawić, aby z podstawy narodu, stała się rzeczywista jego siła, potrzeba się nam katolikom a szczególnie kapłanom silnie wziąść za ręce i lud pouczać, do samodzielności i katolickiego politycznego życia pobudzać, a to nie za pośrednictwem anegdotek, ale pisemek ludowych politycznych. Od razu nie trafi się może do zaspanego dzisiaj chłopka, ale w końcu po długich pracach cel osiągnąć można, skoro w Wielkopolsce potrafiono na tak wysokiem, stanowisku lud dzisiaj postawić. Zdaje nam się, że *Wieniec* ks. Stojałowskiego do tego celu zmierza. Przynajmniej w ostatnich numerach obok znacznej poprawy i to także spostrzegać się daje. W tej myśli redagowany *Wieniec* nietylko może mieć przyszłość przed sobą, ale i niemałe odda krajowi usługi, zwłaszcza jeśli zawsze w podawaniu ludowi swej strawy zachowa pewną wagę i miarę. Przedewszystkiem za główny cel położyć sobie powinien zachęcanie ludu do zgromadzania się na wiece katolickie. Sprawa to ważna i niesłychanie potrzebna. Po nowym roku i my także zwracać będziemy na nią uwagę. Tymczasem życzymy *Wieńcowi* powodzenia, a naszych czytelników zachęcamy do rozszerzania go między ludem.

— Ktoby się mógł był spodziewać, aby prawa znoszące zakony w Prusiech, dotknęły wkrótce i samą rodzinę Hohenzollernów, a jednak tak się

stało. Księżna Katarzyna Hohenzollern, zbudowała swojego czasu w południowych Niemczech wspaniałe opactwo Benedyktyńskie Bauron, w dolinie Dunaju, gdzie była kolebka jej rodziny. Trzeba bowiem wiedzieć, że Hohenzollernowie na dwie rozpadli się z czasem gałęzie. Jedna do dziś dnia katolicką została, a druga zwana królewską apostazyowała przechodząc na luteranizm. Katolicka, wzniosła owo opactwo. Dzisiejszy nawet cesarz niemiecki, lubiący nadzwyczaj śpiew gregoryański, dość często zwiedzał owo Benedyktynów ustronie, sławne w całych Niemczech z uprawianego przez zakonników śpiewu, sztuk pięknych i rzeźbiarstwa. Otóż kiedy prawo znoszące zakony ustanowione zostało, katolicka gałęź Hohenzollernów, udała się z prośbą do cesarza, aby starożytne to opactwo z historyą ich rodu związane, od powszechnej zagłady uchronił. Prośba przypomniała dopiero cesarzowi niebezpieczeństwo, grożące ulubionemu przez niego miejscu. Polecił tedy natychmiast, aby zachowanem zostało pod nazwą Akademii muzyki i sztuk pięknych. W tym celu została wysłaną z Berlina komisya, która na miejscu ma obmyśleć środki, jak z tą sprawą postąpić. Ciekawość jednakże, jaki ostatecznie wezmą obrot rzeczy, jeśli zakonnicy nie zechcą zamienić swych habitów na suknie świeckie, czego od nich żądają.

— Pracowity i uczony ks. Dr. Pelczar, profesor w seminaryum w Przemyślu, coraz to nowemi dziełami wzbogaca nasz narodowy skarbiec literatury kościelnej. W przeciągu paru zaledwie lat wydał trzy ogromne dzieła. Po cennej bardzo książce o *Życiu duchownem* wnet puścił w świat ogromny tom *Ziemi Świętej*, a teraz mamy znowu przed sobą już tom drugi p. t. *Islam*. Ostatnie to dwutomowe dzieło pracowitego pisarza, napisane z wielką znajomością przedmiotu, historyi i głęboką nauką a w sposób nader zajmujący, powinnoby się znajdować nietylko w rękach księży i literatów, ale w każdej chrześcijańskiej rodzinie. Dzieło ks. Dra. Pelczara postawić należy obok najlepszych monografij *Ziemi Świętej*. Pielgrzymka Hołowińskiego acz może w piękniejszą szatę pełnego poezyi języka przybrana, jednakże wątpimy aby więcej od dzieła ks. Dr. Pelczara zająć i nauczyć mogła. Do takich płodnych jak ks. Pelczar pisarzy kościelnych, należy bezwątpienia i ks. Dr. Krechowiecki, kaznodzieja lwowskiej Archikatedry. Wydał on niedawno drugą część pięknych swych kazań, miewanych w katedrze, w których wykładał Skład Apostolski.

— *Encyklopedya kościelna* ks. Nowodworskiego, pozostanie u nas na zawsze monumentalnem dziełem. Podziwiać należy, jak starczy sił i czasu czcigodnemu temu kapłanowi, aby takiej pracy podołać. Śmiało powiedzieć możemy, że *Encyklopedya kościelna* ks. Nowodworskiego, jest odtąd jednem z najlepszych tego rodzaju dzieł, jakiego nie mają ani Francuzi, ani Włosi, tak znakomicie i z taką głęboką nauką i krytycznym zmysłem napisana. Obecnie wyszedł już tom VII, zaczynający się od słowa *Haas*, a kończący się na słowie *Hyrkan*.

— Mamy przed sobą piękną rozprawę p. Tadeusza Żulińskiego p. t. *Wiara i Wiedza*. Nie możemy zarazem pominąć wyszłego we francuzkim języku dziełka p. t. *Un Hiver à Rome, Portraits et Souvenirs chez Bray et Reteaux. Paris, rue de Bonaparte*, napisanego z wielkim talentem przez Margrabiego de Ségur, a pełnego nader ciekawych epizodów. Kto zna cokolwiek Rzym, kto kocha Rzym papiezki, odczyta pewnie tę książkę z niemałem zajęciem.

NA KOLENDĘ

do

Ojca Św. Papieża Piusa IX

Nieustraszonego Obrońcy Prawdy i Prawa

Ojca i Przyjaciela Uciśnionej Polski

złożyli w redakcyi:

Dr. Foryst adwokat z Tarnowa	10 złr.	— ct.
Zofia hr. Załuska	10 „	— „
Ks. Koczoń	1 „	— „
Ks. Jan Bobek z Mogilan	2 „	— „
Ks. Zawistowski z Wiśniowczy	2 „	50 „
Razem	25 złr.	50 ct.
Z przeniesienia { z zeszytu XX rubli srebrem 6, talar 1, dukat 1, 46 złr. 50 ct.		
{ z zeszytu XXII frank. 5, talar 1, dukatów 27, i 124 złr. — ct.		
Razem franków 5, rubli 6, talarów 2, dukatów 28, i 196 złr. — „		

— Ks. Franciszek Gabryelski proboszcz w Jakóbkowicach, kapłan szanowny i gorąco do Kościoła przywiązany, nadesłał nam na nasze ręce 10 złr., przeznaczając jedną połowę dla księży Unitów z Chełmskiego, a drugą dla kapłanów z Wielkopolski, gdy jednakże *Wiadomości Kościelne* zbierają już oddawna nadsyłane im na ten cel składki, dlatego przysłaną nam sumę od czcigodnego księdza Gabryelskiego wręczyliśmy ks. Ottonowi Hołyńskiemu, redaktorowi *Wiad. Kość.* Nie uważamy bowiem ani za stosowne ani korzystne, aby w ubogim jak nasz kraju, gdzie pisma katolickie nie mogą się dotąd poszczycić znacznemi sumami zebranych przez nie ofiar, i te skromne jeszcze kwoty rozdrabniać. Prosimy więc wszelkie składki na Unitów i księży z Poznańskiego przesyłać na ręce ks. Ottona Hołyńskiego. *Przegląd* zaś *Lwowski* jak dotąd tak i nadal zajmować się będzie tylko zbieraniem Świętopietrza.

Korespondencya Redakcyi.

Wieł. ks. X. w Z..... — Mylne przekonanie — nasza korespondencya odnosiła się do kogo innego. Prosimy o uczone rozprawy, byle uczone tylko. *Przegląd* gotów upaść, jeżeli go ks. Dobrodziej podtrzymać nie zechce! — Wdzięczni jesteśmy za troskliwą opiekę.

W. S. H. w R. — Nie byliśmy i nie będziemy nigdy ani bezbarwnymi ani ślamazarnymi. Z ludźmi złej wiary w grzeczności nie umiemy się bawić. Łaskę nawrócenia i upamiętania się Bóg daje, a my bronimy tylko prawdy i z jej wrogami walczymy. *Voila tout* — Komu się zresztą *Przegląd* nie podoba, niech go nie prenumeruje i nie czyta wcale. My moderować nie umiemy, nie chcemy i nie będziemy.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor ks. Edward Podolski.

„. . . *Strenue igitur discutere perge tenebras errorum, liberalismum urge, eumque praesertim, qui moderationis velo obductus insano nisu verum cum falso, Christum cum Belial componere conatur*“...

„. . . Nie przestawaj więc rozpraszać ciemności błędów, na liberalizm nacieraj, a osobliwie na ten, który pod osłoną moderantyzmu chciałby w daremnem usiłowaniu fałsz z prawdą, Chrystusa z Belialem pogodzić“.

(Słowa OJCA ŚW PIUSA IX w trzecim liście do REDAKTORA *Przeglądu* z dnia 11 Października 1875).

Starożytność Człowieka

wedle archeologii, paleontologii i geologii.

(Dokończenie).

(*L'ancienneté de l'homme, prouvée par la géologie et remarques sur les théories rélatives à l'origine des espèces par variation* par sir Charles LYELL, traduit par M. CHAPER. Deuxieme édition, revue annotée et augmentée d'un Précis de *Paléonthologie humaine* par E. Th. HAMY, docteur en médecine. Paris, 1870. — P. GERVAIS. *Recherches sur l'ancienneté de l'homme et la période quaternaire.* Paris. 1868. — Ed. LARTET. *Nouvelles récherches sur la coexistence de l'homme et des grands mammifères réputes caractéristiques de la dernière période géologique* w *Annales des sciences naturelles*, 4 serya 1861. — G. de MORTILLET. *Matériaux pour l'histoire positive et philosophique de l'homme*, 1864—1874. — C. VOGT. *Leçons sur l'homme* Paris, 1865 in 8vo. — CHABAS. *Etude sur l'antiquité historique, d'après les sources égyptiennes et les monuments réputés préhistoriques.* Paris. 1871. — *Les origines de la terre et de l'homme, d'aprés la Bible et d'aprés la science,* par l'abbé FABRE d'EUVIEU, Paris, Thorin, in 8vo. 1873 i t. d.).

V.

Do najtrudniejszych dla naturalistów do rozwiązania według stawianych przez nich hipotez, spraw, należy bezwątpienia pochodzenie całego rodzaju ludzkiego od jednej pary ludzi: Adama i Ewy. Kto bowiem nie chce uznać dogmatycznych wyroczni Pisma św. za najwyższą powagę ludzkiego rozumu i ludzkiej nauki, ten, nic dziwnego, że wobec różnorodnych plemion, zwanych w języku naturalistów rasami, gubić się musi w mnóstwie potwornych zwykle hipotez, stawianych przez szkołę, pomijających Boga samego, naturalistów. Lyell np., chcąc wytłumaczyć odmianę plemion ludzkich, powiada, że najgłówniej przyczyniło się do tego powolne, pierwiastkowe tworzenie się ras ludzkich. „Jeżeli wszystkie, mówi on, pierwiastkowe odmiany rodziny ludzkiej od jednej pochodzą pary, przeciwko czemu nikt dotąd, o ile mi wiadomo, z mężów gruntownej nauki nie zdołał postawić poważnego i krytykę wytrzymać mogącego dowodu, to

należy przypuścić, że główną przyczyną tej różności plemion, jak kaukazkie, mongolskie i murzyńskie, plemion różniących się między sobą nietylko kolorem skóry, ale nawet budową ciała, było powolne i stopniowe ich wytwarzanie się, obejmujące o wiele dłuższy przeciąg czasu od tego, jaki obejmuje którykolwiek z systematów ludowych chronologii“ [1]). Tak więc ostatnie słówko Lyell'a o chronologiach ludowych obala zupełnie chronologię biblijną, rozpoczynającą się od stworzenia Adama i naznacza tem samem miliony niemal lat istnieniu rodzaju ludzkiego. Gdy tymczasem nic wcale nie stoi temu na przeszkodzie, aby rysy, cechujące pokolenia rodzaju ludzkiego, nie mogły się szybko bardzo rozwinąć podczas wędrówek różnych pokoleń ludzkich, zwłaszcza wtedy, gdy rozmnożywszy się po potopie, osiedliły się w rozlicznych strefach klimatu po kuli ziemskiej. Odosobnienie tych pokoleń, rozproszonych po lasach bagnistych albo wśród nieżmierzonych stepów, wprowadzanie w zwyczaj małżeństw pomiędzy rodzeństwem, niekiedy może nawet między ojcem a córkami, co w skutek stanu rzeczy dziać się tak musiało, silne i nieustanne działanie klimatu i dzikich obyczajów, nie zmieniając typów właściwych, wiele bardzo przyczyniło się do wytworzenia różnych plemion, a następnie do ich utrzymywania nadal; to wszystko razem zebrane wyjaśnia szybkie rozmnażanie się plemion ludzkich nierównie dokładniej, jak przyczyny powolnie działające, które, podług zdania Lyell'a, przeobrażają wszystko w sposób nie dający się uczuć.

Wypadki teraźniejsze, notowane w przemyśle i w umiejętnościach, rzucają wielkie światło na początek najdziwaczniejszych plemion. Znanym jest początek rodzaju zwierzęcia, zwanego *Ancon* czyli baran-wydra, który ma kształt psa jamnika. W roku 1791 w prowincyi Massachuset urodził się pierwszy tryk, mający to szczególne ukształtowanie, od niego to pochodzą wszystkie *Ancony* tak rozpowszechnione dziś we wszystkich gospodarstwach rolnych w Stanach Zjednoczonych. Podobnież wszystkie gatunki zwane *Mauchamps*, które dziś stanowią bardzo znakomitą klasę owiec, pochodzą od jedynego tryka, który ulągł się z wełną prostą i jedwabnistą w r. 1828, wśród stada zwyczajnych merynosów [2]).

[1]) *Principles of Geology, 9 édition*, pag. 660. *L'ancienneté de l'homme 2 édit. fr.* pag. 427.

[2]) Stosownie do uwagi Darwina, gdyby rodzaje *Ancon* i *Mauchamps* były się pokazały przed dwoma wiekami, nie mielibyśmy żadnego dowodu o ich pochodzeniu, a szczególniej rodzaj *Mauchamps* byłby uważany przez niejednego naturalistę, jako rozpłód jakiegoś zwierzęcia nieznanych kształtów, albo przynajmniej jako skutek krzyżowania z owem nieznanem. (*De la variation des animaux et des plantes.* T. I. Ch. III.)

Może więc jeden gatunek „w danej chwili przedstawić nadzwyczajne odskoki od swego rodzaju i wydać z siebie okazy bardzo oddalone pod niektóremi względami od swego pierwiastkowego typu. Trzeba więc dopuścić, że te odmiany nagle objawiające się mogły dać pierwszy początek tylu nowym rodzajom“ [1]).

Rodzaj wołów, zwanych *Gnatos*, które możnaby nazwać wołydogi, dostarcza na to dowodu jeszcze dokładniejszego. „Jak się zdaje, rodzaj ten utworzył się między indyjskiemi stadami bydła na pół dzikiemi na południu la Platy. Mają one mniejszy wzrost, kształt więcej przysadkowaty jak u innych rodzajów w tymże kraju. Łeb a szczególniej pysk znacznie krótszy, szczęka dolna dłuższa od wierzchniej, a wargi tak są mocno podniesione do góry, że zęby pozostają odkryte. We łbie tego rodzaju *gnato* żadna kość nie odpowiada podobieństwu kościom łba u zwyczajnego wołu. Nikt nie starał się o zachowanie i rozmnażanie tego rodzaju prawie potwornego. W okolicy la Plata wytępiono go niemal już zupełnie w skutek krzyżowania sztucznego z innym rodzajem bydła“ [2]). Tymczasem gdyby ten rodzaj był się zrodził w odosobnieniu przy sprzyjających okolicznościach, mógłby, podług wszelkiego prawdopodobieństwa, rozradzać się nieograniczenie tak, jak plemiona kaukazkie, mongolskie i murzyńskie od czasów Noego. Również prawdopodobnem jest także, że przy okolicznościach przyjaznych nawet bez współdziałania ludzi, rodzaje *Ancon* i *Mauchamps* mogłyby się szybko rozwinąć. Owoż te rodzaje, równie jak rodzaj *Gnato*, różnią się od zwyczajnego typu swego gatunku daleko więcej, niż plemiona mongolskie i murzyńskie różnią się od plemienia kaukazkiego.

Bądźcobądź, Lyell niema żadnych, podobnie jak i my, dowodów historycznych o powstaniu wielu pierwotnych plemion ludzkich; równie jemu jak i nam nie są wcale jasnemi tak powody rozmaitości organicznej, jak i prawa rozwijania się i ustalenia ras ludzkich. Ani więc historya ani fizyologia nie mogą upoważnić go do decydowania nieomylnie, że tworzenie się plemion ludzkich musiało wymagać tak

[1]) *Quatrefages. De l'unité de l'espèce humaine*, pag. 193,

[2]) *Quatrefages. Ch. Darvin.* (*Revue des deux mondes. 1 Avril 1869*). Rodzaj *Gnato* był dość rozpowszechniony na południu la Plata, gdy M. Lacordaire zwiedzał tę krainę. Wszystkie woły w dolinie la Plata pochodzą z jednego byka i ośmiu krów sprowadzonych w roku 1558. *Gnato* znajduje się także i w Marsylii, a pokazuje się niekiedy, wypadkowo, w stadach w Europie.

wielkiego przeciągu czasu, że ten żadną miarą pogodzić się nie da z żadnym systematem chronologii rodzaju ludzkiego wedle Biblii [1]).

VI.

Jakkolwiek głęboką może być nauka Lyell'a w przedmiocie geologii i paleontologii, dowolne jednak zasady, które stawia, wnioski, jakie z nich wyprowadza, pozostaną zawsze tem, czem są wszystkie argumenta *gratuita*, które nie powinno i nie mogą być przyjmowanemi jako pewniki. Powaga Lyell'a w naukach specyalnych, w których niemałe położył zasługi, nie może w sprawach chronologii pokoleń ludzkich cieszyć się powodzeniem — to darmo. Wszak te same nawet nauki nie zdołały nam wyjaśnić różnicy cech w istotach, których szczątki popotopowe odkryto w nowszych czasach. Nasi uczeni zaledwie zdołali opisać kształty tych szczątków, okoliczności, w jakich zagrzebane zostały, skład i porządek układu warstw gruntu, w którym znalezione były; ale cechy fizyologiczne i psychologiczne istot, do których te szczątki należały, początek i zasady ich życia, części mięsne ich organów cielesnych są niedostępne dla ich uczonych poszukiwań, nie wiedzą, jakich użyć środków, aby w zakresie ich nauki można o tem stanowcze wypowiedzieć zdanie. Skoro więc po za granicami faktów, dających się istotnie dostrzegać, faktów dotykalnych, które są specyalnym przedmiotem ich nauki, najuczeńsi geologowie i paleontologiści chodzą po omacku, nie mają zatem prawa wyrzekać nieomylnie i w chronologii wytworzenia się pokoleń rodzaju ludzkiego. Szanując ich władzę, uprawnioną przez naukę, musimy jednakże ustanowić pewne dla niej granice, których jej przekraczać nie wolno. Powinniśmy to zrobić w ich własnym interesie, aby ich uchronić od zapuszczania się w krainy fantazyj, wiodących do absurdów, zrobić to wtedy szczególniej, gdy nadużywają swej sławy jakby na to tylko, aby stawiać swą naukę naprzeciw naszej wierze religijnej i narzucać nam dobrowolne wywody i wnioski, których nikt sprawdzić nie może. A to właśnie dopełnia się w rozprawach, odnoszących się do starożytności człowieka. Należy więc dokładnie wykazać i często przypominać, gdzie kończy się władza nauki, a gdzie zaczynają się domysły i wnioski. To, zdaje mi się,

[1]) Różne są, jak wiadomo systematy chronologiczne-biblijne, jedne wyprowadzone z tłómaczeń z hebrajskiego na tekst grecki zwany tekstem siedemdziesięciu tłumaczy, z rozkazu Ptolomeusza dokonany, a inne systemata chronologii biblijnej na tekście hebrajskim oparte.

najlepszym jest środkiem odsunięcia napaści, skierowanej pod tym względem przeciw Biblii i przeciw Kościołowi.

Istoty uorganizowane, które nie różnią się między sobą w sposób dotykalny, pod względem anatomicznym mogą być na zawsze rozdzielone przez odmiany fizyologiczne i psychologiczne, które ukrywają się przed wzrokiem i nie podlegają dotknięciu. Mamy tego niezaprzeczone przykłady pomiędzy zwierzętami żyjącemi wokoło nas [1]). W zoologii jest jedyny tylko, ale stanowczy środek, na którym oprzeć można wyrzeczenie zdania, czy zwierzęta, zbliżone do siebie podobieństwem zewnętrznem, są istotnie tego samego rodzaju — tym środkiem przekonania się, czy te istoty, różniące się między sobą, mogą przez połączenie się z sobą zachować nieograniczoną płodność. Owoż nie możemy tego sprawdzić, abyśmy mogli rozróżnić i uklasyfikować rodzaje zaginione. Paleontologiści są zatem zawsze narażeni na objawianie mylnych zdań, jednocząc z sobą rodzaje, których głównych odmian dostrzedz i sprawdzić nie można.

Lyell, jak się zdaje, skłonny jest do domysłu, podobnie jak Agassiz [2]), że w każdem zwierzęciu jest jakiś pierwiastek niemateryalny i że główne cechy rodzajowe mogą wypływać szczególnie z tego pierwiastku, którego dostrzedz nie można w szczątkach popotopowych wykopalisk. Bądźcobądź cechy wybitne naszego rodzaju A d a m o w e g o znajdują się widoczniej w duszach stworzonych na podobieństwo Boga, jak w ciałach; a przecież tych dusz znaleść nie można w stanie wykopalisk. Szczęki, jak ta z Moulin-Quignon, czaszki, jak owe z Eugis i z Néanderthal, nawet całe szkielety zbliżające się do naszych, n i e z a w o d n i e nie pochodzą z istoty stworzonej na obraz Boga i przeznaczonej na to, ażeby znać, naśladować swego niewidzialnego Ojca i Jemu służyć, żeby z Nim mieć życie, życie wieczne w najściślejszej jedności. Tak więc bez rozbioru i stosownego uzdolnienia rozstrzygają zagadnienia trudne do rozwiązania, stosując do naszego rodzaju wszystkie kości podobne do naszych, wszystkie krzemienie ociosane jako broń lub narzędzia służące naszym dzikim pokoleniom i usiłują tym sposobem dowodzić o bajecznej starożytności naszego rodzaju.

[1]) „Ażeby dobrze poznać jeden rodzaj, trzeba go zgłębiać naukowo w wielkiej ilości pojedyńczych okazów, śledzić go w jego gniaździe ze względu geograficznego, uważać jego organizacyę, obyczaje, zwyczaje, instynkta we wszelkich zmianach życia, a często jeszcze próbować przez doświadczenia. M. E. Blanchard. *Revue des deux mondes, 15 Juin 1875*, pag. 841.

[2]) *L'ancienneté de l'homme pag. 544.*

Czy przed pierwszymi naszemi rodzicami były jakie istoty, mające podobieństwo do ludzi, a wyższe nad Gorilla i Orangutanga? Nie wiemy tego i nie mamy prawa ani o tem twierdzić, ani temu przeczyć. Żadna nauka nie może dokładnie wskazać pewnego punktu, w którym wszechmocnie działający Twórca przyrodzenia zatrzymał się w stwarzaniu rodzajów poprzedzających nasz rodzaj lub w stwarzaniu następnych niższych od naszego. Zatrzymał się dowolnie, gdzie i kiedy chciał, nie mogąc żadnym sposobem wyczerpać swojej twórczej siły. Mógłby był i mógłby jeszcze nieograniczenie stwarzać rodzaje zwierzęce coraz stopniowo piękniejsze i większym obdarzone zmysłem, jak mógł i mógłby także nieograniczenie stwarzać rodzaje ludzkie i rodzaje bezcielesne, coraz doskonalsze od naszego.

Jeżeli królestwo zwierząt zostało niegdyś uwieńczone przez poprzedników stworzeń, podobnych do człowieka i wyższych w ukształceniu nad te, które jeszcze istnieją, niewątpliwie Opatrzność zezwoliła na zaginienie tych zwiastunów, poprzedzających człowieka, przed stworzeniem pierwszych naszych rodziców. Podobne sąsiedztwo wystawiłoby nasz rodzaj na zbyt wielkie niebezpieczeństwo poniżających związków i na gorsze jeszcze strącenie go do upadku, do jakiego teraz już doszedł.

Istnienie przedadamowe tych możliwych poprzedników naszego rodzaju, jest tylko, o ile nam się zdaje, nieprawdopodobnem przypuszczeniem — nie chcemy jednakże temu *a priori* przeczyć.

Kończąc tę krótką rzecz naszą, oświadczamy, że jeśliby kiedyś wbrew naszemu mniemaniu, postępy późniejsze w archeologii, geologii i paleontologii doszły do możności dostarczenia jakimś cudem dowodów, że przed dwudziestu, czterdziestu a nawet przed stoma tysiącami lat istniały na ziemi istoty organizowane jak ludzie, które były zdolne do przemysłu równającego się temu, jaki jest dzisiaj u dzikich ludzi, to i wtedy wiara nasza religijna bynajmniej zachwianą nie zostanie. Moglibyśmy bowiem i wtenczas bez wahania się powiedzieć, że te dziwne dwuręczne stworzenia nie były wcale przemienionemi i udoskonalonemi małpami, gdyż małpy w niczem się nie zmieniają ani doskonalą. Były to może jakieś inne stworzenia, różne od synów Adama, gdyż Adam nie był wtedy stworzony, różne od ludzi żyjących dzisiaj na ziemi, o których Biblia nie potrzebowała mówić wcale, gdyż nie była ona natchnioną do nauczania nas o historyi rodzajów zaginionych.

Z NOTATEK
ośmdziesięcio-letniego starca
LITWINA-UNITY.

(Dokończenie).

IX.

Po takiej nauce wziął się Dziubiński do użycia innych środków i zaczął stopniowo naznaczać pokutnikom codziennie najprzód zamiatać korytarze, cerkiew i dzwonić na dzwonnicy. Na drugi tydzień dodał więcej roboty; młodszym kazał kuchnię zamiatać, drwa do kuchni nosić, a wieczorami z dwoma chłopami robił u wszystkich rewizyę, czy nie mają jakiego jedzenia lepszego, chleba lub bułki: jeśli co z tego znalazł, to odbierał; a na ostatek prawił pochwalny panegiryk, na cześć Rossyi i cara i kończył swoją mowę do nas rozmaitemi banialukami najprostszemi, był bowiem prostakiem z mowy i postępku.

W Listopadzie dał dyspozycyę, aby kazać księżom pokutnikom do powyższej roboty jeszcze i wodę z folwarcznej studni beczką na paru kółkach pod górę do klasztoru i kuchni, w miejscu konia [1]) przywozić. I temu rozkazowi księża pokutnicy nie sprzeciwiali się, ale wypełniali go. Młodszym księżom, którzy już z górą mieli po 40 lat, t. j. ze świeckich Piotrowi Żelazowskiemu, Grzegorzowi Micewiczowi, z Bazylianów Floryanowi Lisowskiemu i Samuelowi Czarnoruckiemu kazał oprócz tego, aby po obiedzie i po wieczerzy naczynia kuchenne, rądle, sagany, garnki i inne czyścili i myli, kuchnię zamiatali, rynnę rynsztokową gdy zamarznie wyrąbywali i drwa do kuchni nosili. I to wszystko pokutnicy bez żadnej wymówki wypełniali. Rozmaitych innych jeszcze środków używał, aby naprzykrzyć się pokutnikom i tym sposobem nakłonić ich do przyjęcia schyzmy. Przez całą zimę nakazał stróżom, aby nie palili w tych piecach, gdzie mieszkali „papiści“, a nawet kazał blachy od tych grub poodejmować, żeby wiatr przez lufta gwizdał. Jakoż przeciągi wiatru w naszej stancyi przez całą zimę cierpieliśmy, przez co jeden z naszych, ks. Onufry Falkowski, został sparaliżowany w rękę i nogę.

[1]) Autor chciał tu zapewne powiedzieć, że prześladowanych księży używano w miejsce koni do ciągnienia wody.

Do innej ogrzanej stancyi nam pokutnikom nie wolno było dla ogrzania się chodzić.

W grudniu zaś r. 1840 ks. Dziubiński z dwoma chłopami i chłopcem swoim u każdego z pokutników zrobił nową rewizyę po kuferkach, przeglądał skrypta, a u którego co znalazł jako też i pieniądze, zabrał do siebie; na ostatek poodbierał od nas futra, watowane odzienia, buty zimowe i to wszystko kazał swoim ludziom zanieść do swoich pokojów. W kilka dni na naszą prośbę pooddawał każdemu, co którego było, gdyż niemożebnem już było wytrzymać tak wielkich mrozów w nieopalonych stancyach, woda w dzbankach zamarzała, wiatr w stancyach i w piecach gwizdał, a on cieszył się z tego i spodziewał się, że tym sposobem zmusi nas, że się upokorzymy i przyjmiemy rossyjską wiarę.

W miesiącu Lutym schyzmatyccy księża tego klasztoru, ks. Bazylian Hipacy Starodubowski, ze świeckim ks. Michalewiczem, półpijani pokłócili się z sobą; Starodubowski oskarżył Michalewicza do Dziubińskiego, że go połajał; ten oburzył się tem i posłał do ekonoma, aby zaraz dał mu 4 zdrowych ludzi z młocielników, poszedł z nimi do ks. Michalewicza, złajał go i kazał przytomnym chłopom, aby go wzięli do turmy, gdzie winowajców zamykano, kazał go tam na barłogu położyć i trzymać, a sam 60letniemu ks. Michalewiczowi 20 kozackich bizunów wyliczył, potem w tejże turmie zamknął go. Było to jeszcze przed południem. Po chwili Dziubiński zreflektował się i zauważył, że źle i nieprawnie w tym fakcie postąpił sobie i starego kapłana w latach blisko dwa razy od siebie starszego, za bagatel szkaradnie pobił. Tego samego dnia więc koło czwartej godziny z południa, kazał chłopcu swemu, aby otworzył turmę i pod pozorem, że niby nie była zamknięta, dozwolił Michalewiczowi wyjść. Ten uważając, że wielce był przez Dziubińskiego skrzywdzony przez pobicie na charakterze kapłańskim i słysząc, że tę komorę odemknięto, cichaczem wyszedł, opuścił klasztor Zahorowski, udał się o 3 mile do miasta powiatowego Włodzimierza i poprosił doktora powiatowego, aby na nim zrobił oględziny pobicia, mając zamiar podać skargę do zwierzchności, a zwłaszcza uważając o sobie, że jest prawosławny i że z tego względu bardziej będzie jego skarga przyjętą. Napisał więc dwie prośby czyli skargi, przyłączył do nich świadectwo doktorskie i posłał jedną do jenerał-gubernatora do Kijowa, a drugą do Siemaszki do Wilna. Jenerał gubernator, po przeczytaniu prośby, jako sprawę między duchownymi, odesłał ją do Siemaszki. Ten zaś po przeczytaniu do siebie pisanej skargi, chciał ją

zrazu cichaczem rozsądzić przez pogodzenie obydwóch księży; ale gdy nadeszła o temże samem skarga od jenerał-gubernatora kijowskiego, nie mógł tej sprawy płazem puścić. Napisał więc urzędownie do sądu powiatowego włodzimierskiego do sprawnika, aby zjechał do klasztoru i zrobił śledztwo o pobiciu ks. Michalewicza przez Seweryna Dziubińskiego superiora, aby rozsądził i pogodził onych księży, a jego o tem zawiadomił.

Sprawnik, otrzymawszy takie pismo, był kontent z tej sprawy, bo spodziewał się, że mu się coś dostanie. Przeznaczył też czterech urzędników, którzy mieli zjechać na to śledztwo, jako też uwiadomił ks. Michalewicza skrzywdzonego i Dziubińskiego, że na oznaczony dzień zjadą do klasztoru zahorowskiego. Na oznaczony więc dzień w Styczniu 1841 zjechali się urzędnicy z Włodzimierza do klasztoru zahorowskiego na śledczą komisyę, to jest: sprawnik, major wysłużony, sekretarz powiatowy i kancelarzysta do pisania protokołu; ale jako przekupieni, niesprawiedliwie i przewrotnie śledztwo prowadzili, uniewinniając Dziubińskiego, a ukrzywdzonego ks. Michalewicza skargę za niesłuszną uznali! Sprawnik przed wyjazdem swoim przychodził do nas dekretowanych księży unitów, nawracał nas do prawosławnej rossyjskiej cerkwi i dawał nam podpiskę, lecz gdy do jego życzenia żaden z nas nie skłonił się i jednogłośnie odmówiliśmy, on aby skusić nas choć pieniądzmi i zachęcić ku schyzmie, dawał natychmiast każdemu po 100 rubli, ale i to nie zachęciło żadnego i z passyą wyszedł od nas.

W kilka dni po tej komisyi, Dziubiński wziął się do użycia rozmaitych innych środków, aby nawrócić „papistów“. Przy końcu Stycznia pewnego dnia przysłał swego chłopca, który nam oświadczył: „kazaw wam wsim ks. superior, jak zjeste po krumce chleba i po jednej talirce fasoli, po tym obidie pidete wsi oczeret żaty na stawku, i tyi w snopki powiażete i do karczmy ponosyte na paływo“; a ks. opatowi i ks. Sobolewskiemu, jako najstarszym w wieku, bo z górą 70 lat mającym, nie kazał żąć oczeretu, lecz aby byli tej robocie przytomni. Stawek ten był niżej klasztoru na krynicach i oparzeliskach, na których znajdował się oczeret; po pierwszym lodzie i śniegu rozlała się była woda, i śnieg topiła, i po tej księża pokutnicy żęli oczeret do wieczora, w snopki wiązali i do karczmy nosili; ks. opat chodził po tej wodzie śnieżnej i siadywał tamże na snopkach oczeretu, zaś ks. Sobolewski staruszek, któremu sprzykrzyła się taka za religię pokuta, t. j. głód i robota, chociaż żadnej z tych robót nie robił, jako stary, dalej już nie mógł przetrwać i tamże na

stawku oświadczył przed nami, że odstępuje od naszej kompanii i przyjmie schyzmę, poszedł zaraz do Dziubińskiego i dał na to podpiskę, z warunkiem, aby go wysłano do tego klasztoru, do którego on sobie życzy. Dziubiński z największem ukontentowaniem przyjął go i wszystko według żądania spełnić przyrzekł. Wysłał go w drogę do innego klasztoru, ale nieszczęśliwy przypadek, czyli być może kara Boża nawiedziła ks. Sobolewskiego, bo o trzy tylko ćwierci mili od Zahorowa, zjeżdżając z góry do miasteczka Łokacz, spadł z wozu obciążonego rzeczami, a koło przeszedłszy mu przez nogi, pogruchotało obie. Ten przypadek ludzie zahorowscy utrzymywali za karę Bożą, dopuszczoną za zmianę religii i złamanie przysięgi Kościołowi powszechnemu, a księży pokutników ta kara na odstępcy Sobolewskim spełniona, bardziej tylko w stałości i jedności utwierdziła.

Dziubińskiego jednak mało obszedł ten przypadek, gdyż był jedną tylko myślą i chęcią zajęty, aby wszystkich nas pokutników nawrócić do rossyjskiej cerkwi. Używał więc dalej rozmaitych sposobów nękania nas chłodem, głodem, besztaniem, najprostszemi wyrazami; jednych zamykał w lochach na dwa i trzy dni o chlebie i wodzie, innych brał do swojej stancyi, kazał służącym klasztornym rozbierać ich do koszuli i straszył biciem. Byłem tego widzem, bo i mnie do tej hańbiącej sprawy dwóch chłopów z rozkazu Dziubińskiego rozbierało, jedynie dla tego, że nie chciałem przyjąć schyzmy.

Widząc pokutników stałych w swojem przedsięwzięciu i nie ulęknionych przed prześladowaniem i pogróżkami, użył nowego sposobu. Zaprosił do siebie swoich popów schyzmatyków i radził się ich, jak ma z nami postąpić. Uradzili więc między sobą, że trzeba ks. opata Słobockiego jakimś sposobem nastraszyć, to możeby on przyjął schyzmę, a za jego przykładem możeby i inni zgłosili się. Podobała się Dziubińskiemu ta rada, której też użył.

Pierwszych dni wielkiego postu przed obiadem w czasie nabożeństwa przyszedł z dwoma słusznymi chłopami do kaplicy, przerwał prawiącym nabożeństwo i kazał ks. opata zabrać. Chłopi porwali starca niewinnego pod ręce i poprowadzili na piątro klasztoru, do turmy, w której u góry był tylko otwór z kratką, w dole otwór od wychodków, drzwi takie, po pod które koty łaziły i nieco na podłodze słomy. Co tam Dziubiński z ks. opatem rozmawiał, czy go bił, o tem nam nie wiadomo, gdyż my kończyliśmy nabożeństwo.

Tegoż dnia przed obiadem przysłał superior chłopca i rozkazał nam: „po obidie, pidete wsi i z folwarcznoj obory budete wiazankami na płeczach hnyj nosyły na pole za korczmu i za hreblu i hdie

ekonom pokaże, do weczora". Obiad wtenczas była chleba kromka i barszczu talerz; „papiści" więc bez żadnej sprzeczki nosili gnój wiązkami do wieczora po błocie, bo już zima wtenczas puściła, odległość zaś od obory na pole, mniej więcej 2000 kroków wynosiła. Po zachodzie słońca pokutnicy przyszli do klasztoru i zaraz z rozkazu Dziubińskiego dyakon, pomocnik jego, zawołał z księży Bazylianów, Lisowskiego i Czarnoruckiego, aby poszli do ks. opata do turmy, przemówili do niego, czy nie odpowie co do nich. Przyszliśmy do niego, leżał na słomie, mówiliśmy doń, brali go za ręce i głośno wołali, ale nic nie mówił i żadnego ruchu nie pokazywał, tylko oddech miał ciężki i chrapliwy. Odeszliśmy więc z turmy, zostawiając ks. opata bezwładnego, dyakon zamknął ją i doniósł o tem Dziubińskiemu, który powiedział: „pust, propadajet kak sobaka".

Nazajutrz jeszcze żywego opata ale bezwładnego z turmy zanieśli chłopi do stancyi i położyli go na jego łóżku. Natychmiast kazał Dziubiński, aby dwóch z młodszych pokutników Czarnorucki i Lisowski byli ciągle przy nim, może czego będzie potrzebował. Ale ks. opat jako bezwładny i oniemiały, nie był już w stanie co do ust przyjąć i żadnego ratunku mu nie dawano, leżał tak bezwładny do wieczora, a o 10 godzinie Bogu ducha oddał. Głośny szmer rozszedł się w okolicach Zahorowa między ludźmi, że Dziubiński zamordował ks. opata. Jeden z księży pokutników opisał to porwanie jego od nabożeństwa do turmy, śmierć jego nagłą z przyczyny zwierzęcego postępowania z niewinnym i w sekrecie posłał to pismo do Włodzimierza do ks. Michalewicza, który takich excessów żądał mieć jak najwięcej na Dziubińskiego. Michalewicz też opisanie to nagłej śmierci opata dołączył do swojej powtórnej skargi i podał po kolei do sądu powiatowego, do gubernium i do Siemaszki.

W krótkim przeciągu czasu przyszło pismo do sądu powiatowego włodzimierskiego, wskazujące, aby zrobić komisyę w klasztorze Zahorowskim względem śmierci ks. opata Słobockiego i czy Dziubiński był przyczyną tej śmierci.

X.

Pierwszych dni Marca Dziubiński chodził w klasztorze z kąta w kąt, bardzo niespokojny; deszcz padał cały dzień i noc. Wieczorem 3 Marca koło godziny 10 wyszedł z klasztoru na folwark, gdy już czeladź spała, zawołał wartownika i mówił do niego: „ty tut sedysz i nicz ne wydajesz, szczo w monastyry diejetsia, idy no podywy sia, a tam piut, jediat, chrajut i tańciujut". Stróż poszedł do

klasztoru, obejrzał się, co to za pohulanka, ale w klasztorze było cicho, wszyscy klasztorni spali spokojnie; powrócił więc na folwark, ale Dziubińskiego już nie widział i gdzie poszedł nie wiedział. Nazajutrz wszystko odbywało się w swoim zwyczaju i porządku w klasztorze, księża powrocili z jutrzni do swoich celi, a w tym czasie przyszedł na górę klasztoru okrężny Dwernicki do pomocnika superioroskiego, dyakona i w sekrecie zapytał się: „co słychać tu u was w klasztorze, czy spokojni papiści i nasi księża“? Dyakon odpowiedział, że wszyscy są spokojni i w cichości zostają i nic złego nie słychać. Dwernicki nic nie wybadawszy od dyakona, zapytał się: a ks. superior czy jest w klasztorze? Odpowiedział dyakon, że jest ale dziś jeszcze u niego nie byłem. Dwernicki tedy poznawszy, że nic nie wie, opowiedział mu: „Superiora niema ani w stancyi, ani w klasztorze, ale jest u mnie w Łokaczach; przyszedł o północy, pukał do okna, przestraszył nas wprawdzie, ale poznałem go po głosie i kazałem wpuścić do stancyi. Gdy wszedł bardziej jeszcze przestraszył mnie, żonę i dzieci; miał zabłocone suknie do pasa i cały był obryzgany błotem. Pytam się go przestraszony, co to jest? i co się to znaczy, że w północ przybył i to w błocie? Odpowiedział Dziubiński, że uciekł z klasztoru, bo go księża chcieli zabić, a uciekając od nich, biegł tę milę drogi po nad staw chorowski i w błocie zwalał się. Zaraz kazałem dać mu mój szlafrok i bieliznę, aby zmienił, kazałem aby się położył do łóżka, a sam zaraz tu pojechałem, aby się dowiedzieć, co się stało, ale jak opowiadasz ks. dyakonie, że i wczoraj i w nocy, do dziś dnia najspokojniej wszyscy w klasztorze byli; pokazuje się, że ks. superior z jakiejś niespokojności umysłu, fałszywej wyobraźni i bojaźni uciekał i te marzenia opowiadał“. Dwernicki zalecił dyakonowi, aby nikomu o tem nie mówił, sam odjechał do Łokacz, a pod wieczór tego samego dnia przywiózł ze sobą Dziubińskiego i obaj nocowali razem w stancyi superiora w klasztorze. Nazajutrz wstali, napili się kawy, rozmawiali z sobą najprzytomniej, Dziubiński dawał ekonomowi dyspozycye, chłop przyniósł świeżą rybę, kupił ją i kazał kucharzowi na obiad zgotować.

Dwernicki poszedł wtenczas na folwark zobaczyć swoje konie, a superiora zostawił w jego stancyi. Obejrzawszy konie Dwernicki po upływie pół godziny powrócił do klasztoru do superioroskiej stancyi, ale ta była otwarta, Dziubińskiego w niej nie zastał. Czekał długo na niego, upłynęła godzina jedna i druga, pytał się chłopców o niego, odpowiedzieli, że nie widzieli go i nie wiedzą gdzie jest;

kazał go więc szukać po całym klasztorze i folwarku, ale nikt go nie widział w tym czasie. Potem dopiero dowiedziano się od pastuszka, że widział superiora, jak prędko szedł bez czapki drogą do wsi Starego Zahorowa; przyszedł on też do swego przyjaciela popa Sadowskiego, którego nie zastał w domu, tylko żonę jego. „Szkoda, powiedział do niej, że nie zastawem otca Wasylia, bo ja pryszowem, aby sia z nim poproszczaty, bo idu umiraty“ i poszedł w drugi koniec tejże wsi do domu leśniczego. Podobnież tego nie zastał w domu. tylko żonę jego i tej powiedział: szkoda, że nie zastałem, przyszedłem pożegnać się z wami, bo idę umierać.

Niedaleko Zahorowa, jest druga wieś Chorów, zaraz po nad wielkiem jeziorem, przy drodze do miasteczka Łokacz. Przyszedł Dziubiński nie daleko chaty gospodarskiej nad brzegiem, rozebrał się do naga i poszedł do wody, która była jeszcze zimna, bo jeszcze miejscami był lód. Wyszedł więc zaraz z wody, ale znowu wszedł do niej i wyszedł, załamywał ręce na głowie, a ludzie z sąsiednich chat patrzyli się na to. Po trzeci raz poszedł do niej nieco już głębiej. Jak ludzie tamtejsi opowiadali, nachylił się z głową do wody i więcej już nie wyszedł. W tymże samym czasie nadjechał ekonom z dworu chorowskiego w interesie do swoich ludzi, a gdy jemu opowiedziano, że superior zahorowski długo już jak wlazł do wody, a jeszcze nie wyszedł i pokazali mu miejsce gdzie wlazł, krzyknął na ludzi, żeby prędzej ratowali, ale wydobyli Dziubińskiego już nieżywego. Gdy o tem usłyszał Dwernicki, prędko jak strzała pojechał do tego miejsca, ale już znalazł Dziubińskiego skostniałego. Opowiedzieli mu ludzie, którzy widzieli od początku do końca wszystko, jak co się stało.

Tegoż dnia wieczorem przywieźli ludzie topielca do Zahorowa, przenocował w sieniach, a nazajutrz w sadzie na mogiłkach pogrzebali ciało jego. Taki był koniec exunity, gorliwego schyzmatyka, który na zawsze złą o sobie w Zahorowie zostawił pamiątkę. Michalewicz zaś, który od pobicia go zostawał w klasztorze we Włodzimierzu, dowiedziawszy się o tem, wpadł w wściekłą aprehensyę i w okropne szaleństwo i pomimo, że był wysokiego wzrostu, zamknął się w stancyi, ręcznikiem okręcił sobie szyję i na szaragach prawie klęczący, udusił się. Gdy odbito drzwi znaleziono go już nieżywego i zupełnie ostygłego. Taki był koniec dwóch exunitów; jakie było niemoralne ich życie, taka śmierć. Do tak haniebnej śmierci doprowadziło ich przyjęcie schyzmy, która rozwolniła w nich ducha

religijnego katolickiego, a wlała w nich jad heretycki, który ich do tak sromotnej bo samobójczej śmierci doprowadził.

Gdy o tych dwóch exunickich księżach i o haniebnej ich śmierci wieść szeroko rozniosła się, stała się powodem, że urząd duchowny zwolnił nieco w przymusie gwałtownym na księży unitów, niechcących przyjąć dysunii. Odtąd także nieco ustało zmuszanie i w klasztorze zahorowskim, którego przez dwa lata wspólnie z drugiemi księżami unitami doświadczałem. Po śmierci Dziubińskiego przeznaczono nam za administratora Mażalskiego, który nam nie naznaczał już dziennej roboty i nieco poprawił jedzenie.

Wkrótce t. j. r. 1841 Siemaszko i synod petersburgski dawniejszą unicką dyecezyę wołyńską złączyli w jedną prawosławną wołyńską czyli żytomierską, a nas niektórych księży unitów porozsyłali do innych klasztorów, w których nawracano nas zawsze jeszcze i nie dano nam żadnej pensyi rocznej prócz jedzenia postnego. Doświadczaliśmy także częstego przez zwierzchników schyzmatyckich wmawiania w nas zbawiennych prawd schyzmatyckich, przeciwko którym nie wolno nam było nawet dysputować, ani sprzeczać się, bo natychmiast powiedzianoby nam, żeśmy miatieżniki. Takim sposobem byłem przez dziewięć lat prześladowany i przesyłany z klasztoru do klasztoru z Litwy na Wołyń, z Wołynia na Litwę i Białoruś i znowu na Wołyń, a następnie z Poczajowa miałem już być przesłany, jak mi powiedziano, w głęboką Rossyę, lecz sposobem sekretnym uwolniłem się z kraju i opieki nadzwyczajnej rządu państwa rossyjskiego na zawsze. Bogu niech będzie największa chwała, że mię raczył wyrwać z lwiej paszczy.

Wspomnienia Napoleończyka.

Ustęp z pamiętników pułkownika Gawrońskiego

streścił

K. Korabita.

(Dokończenie).

Korpus księcia Józefa, składający prawe skrzydło wielkiej armii, szedł odosobiony od Francuzów, lecz tutaj połączył się z nimi, przybywszy od prawej strony pod Borodino w sobotę, dnia 5 Września, na płaszczyznę, przed linię owych pagórków.

Ósmy korpus odebrał rozkaz przypuszczenia szturmu do bateryi lewego nieprzyjacielskiego skrzydła. Przed południem wszczął się na całej linii ogień straszny, huk dział niesłychany tak, że ledwie się można było słyszeć. Najprzód użyto szesnastej dywizyi generała Zajączka; ośmnasta generała Kniaziewicza stała w rezerwie, lecz gdy wróg trzymał się uporczywie, posunęła się naprzód i rozciągnęła się w linię bojową. Wtedy to pokazała się kolumna kirassyerów białych, chcąc tył wziąć Zajączkowi. Widząc to szef sztabu, generał Fiszer, przypadł do brygady, w pośrodku której stała baterya artyleryi ósmego i dwunastego pułku, gdzie się znajdował Gawroński, kazał się posunąć nieco naprzód z czterma działami, a wskazując na posuwającą się zwolna kolumnę jazdy, zawołał:

— Panie oficerze, daj pan do niej ognia i póty strzelaj, póki jej nie spędzisz; masz asekuracyę całej brygady.

Spełniono rozkaz natychmiast. Działa zaczęły dawać ognia i to tak skutecznie, że wkrótce kolumna ustąpić musiała; poczem puściła się za nią w pogoń jazda polska. Działami temi dowodził Gawroński i Marchocki z ósmego pułku. Któż opisze ich radość, kiedy wystrzelawszy ładunki, ujrzeli całą kolumnę kirassyerów, niezdolnych posunąć się dalej, wreszcie cofających się w dolinę.

Najzaciętszy bój toczył się na lewem skrzydle i w środku, gdzie się znajdował sam cesarz; na prawem nie był tak silnym, lecz mimo to nie podsunięto się dalej, bo snać wypadło tak z kombinacyi. Trwała ta walka do nocy. Następny dzień przeszedł spokojnie z powodu, że mnóstwo trupów i rannych zalegało pole. Dopiero 7 Września zrana polecono dalszy pochód; Napoleon objeżdżał korpusy ustawione w czworoboki, i przemawiał do nich, oświadczając, że zwycięztwo odniesione świeżo jest świetnem, jednakże nie zupełne, że wkrótce nadejdzie chwila stanowczej walki, tak przez wojsko pożądanej *(voilà une journée tant de Vous desirée)*.

Młodzi francuzcy popisowi, świeżo do armii przybyli, po tej odezwie cesarskiej zapytywali się nawzajem:

— *Dittez-donc, camarade, l'as-tu desirée cette journée, he?*

— *Non.*

— *Moi non plus.*

Taka rozmowa obiegała cały obóz. Niedługo potem przyjechał konno generał Wincenty Krasiński, jako adjutant cesarski do księcia Józefa, stojącego przed frontem naszego korpusu i przywiózł od Napoleona rozkaz, aby książę silnie natarł na nieprzyjaciela i zdobył

baterye naprzeciwległe, donosząc zarazem, że cała armia postępuje naprzód, a baterye lewego skrzydła już wzięte.

Po odjeździe Krasińskiego książę Józef zebrawszy korpus dywizyami w kolumnę, te tylko wyrzekł słowa:

— Żołnierze-bracia! Cesarz zostawia nam zaszczyt zdobycia tych oto bateryj, które widzicie przed sobą; mam nadzieję, że odpowiecie godnie chlubnemu zaufaniu.

W odpowiedź rozległ się huczny okrzyk: Niech żyje cesarz! i natychmiast rozwinęły się szeregi do akcyi. Pierwsza wyruszyła szesnasta dywizya generała Zajączka; tyralierzy podsunęli się pod krzaki, artylerya zaczęła grać do bateryi przy nieustającym wtórze salw karabinowych, a od niezmiernego huku ziemia się trzęsła i jakoby jęczała. Tysiąc podobnych dział z obu stron w dniu tym pamiętnym grzmiało.

Ośmnasta dywizya generała Kniaziewicza, stojąc w rezerwie pod bronią, manewrowała to w prawo to w lewo, aby wielkich kul armatnich ile możności uniknąć, bo dochodziły w tę stronę, a nieprzyjaciel rozpaczliwie ostatkiem sił bronił pozycyi. Z dywizyi kirasyerów francuzkich, wysłanej dla wzięcia jednej bateryi, zginął generał dowodzący, poczem się cofnęła. Cesarz wysyła w toż miejsce adjutanta swego, generała Coulincourt z rozkazem, by koniecznie dokazał tego, co się nie udało jego poprzednikowi. Ten silniejszy jeszcze szturm przypuszcza, spełnia rozkaz wszechwładny i ginie na placu. Szesnasta dywizya generała Zajączka, spędzona z pozycyi, przez kilka godzin ucierała się z Moskalami. Generał Zajączek odniósł ranę, szef jego sztabu pułkownik Weissenhoff przestrzelony kulą karabinową niżej prawego ramienia, pada i podnosi się w oczach Gawrońskiego. Ten podaje mu opartemu na szpadzie bęben, by mógł usiąść: nareszcie odprowadzają go dla opatrzenia rany w tył do ambulansu. Generał Paszkowski bierze dowództwo szesnastej dywizyi; ośmnasta odbiera rozkaz zluzowania jej i odebrania bateryi bądź co bądź.

Idziemy — opowiada nasz pamiętnikarz — w największym porządku naprzód; armaty moje lekkiego kalibru kartaczami dają ognia do piechoty wychylającej się z krzaków. Świeża nasza dywizya postępuje, wpędza Moskali między krzaki, zkąd wychodzi wielki ogień. Pułkownik Połoński z trzeciego batalionu ranny, porucznik Łaniewski tak samo w nogę, wielu innych nie pomnę. Generał Kniaziewicz z wypukłem swem okiem jeździ przed frontem, prowadząc nasze bataliony. Wieczór się zbliża, ale idziemy ciągle naprzód;

ogień z krzaków zaczyna ustawać. Zajmujemy je wreszcie; moje armaty podsuwają się pod samą bateryę, której wielkie nasze działa po nad nami dosięgają. Nakoniec piechota dywizyi naszej z okrzykiem: hurra, biegnie z bagnetem naprzód. Wpadamy nagle na bateryą, która samym wieczorem zostaje zdobytą. Odbieram rozkaz zajęcia jej, gdyż wielkie działa nie mogły od razu wjechać pod górę. Po licznych trupach dostawszy się nareszcie do samej bateryi, zastaję ją opróżnioną, a na niej tylko dwanaście dział wielkiego kalibru. Umieszczam się tu, a piechota pędzi po za bateryą Moskali cofających się tak, że trzeba było wysłać generała Sebastiani z jazdą w pogoń za piechurami, aby im nie pozwolić zapędzić się zbyt daleko, bo już noc zapadała. Mieliśmy nocować w zajętych poprzednio krzakach. Zaledwie można było wśród ciemności zebrać bataliony; stanęły na dole bateryi w linii, o ile to było możliwem, ja z działami pod samą bateryą blisko głównej kwatery korpusu. Spadł deszcz, trapił nas głód i straszne pragnienie. Rozkładaliśmy więc chustki na krzakach, by, zmoczywszy je, w ten sposób pragnienie ugasić.

Tymczasem wracała jazda generała Sebastiani, sprowadzająca żołnierzy naszych, w pogoń za nieprzyjacielem biegnących. Głodni słyszymy zbliżający się do krzaków boczną jakąś drożyną, parą końmi ciągniony, wóz i wołanie:

— Gdzie stoi pułk dwunasty? gdzie stoi pułk dwunasty?

Poznano głos mojego chłopa, który od kilku dni gdzieś się był zawieruszył w tyle armii. Przyprowadzono go do mnie. Jakaż mnie czekała niespodzianka! Udał on się z wielu maroderami w różne strony drogi, którąśmy maszerowali i nazbierawszy tam na wóz różnej żywności, z trudnością przedostał się do obozu, bo go nagabywano zewsząd, aby zostawił swoje zapasy. Poczciwy chłopek pierwszy raz na tej wyprawie przywiózł barana, kilka indyków i kur, masła, jaj, kaszy, chleba, kilka arbuzów i kawonów — zgoła cały wóz czyli kibitkę rossyjską miał wyładowaną. Oczywista to była w takiej potrzebie Opatrzność Boska. Zabieraliśmy się właśnie z kolegami do przeglądu przywiezionych przedmiotów i radziliśmy, od czego najprzód zacząć, gdy w tem nadchodzi dowódzca naszej brygady, generał Staś Potocki, a widząc takie specyały, sam bardzo głodny, przyłączył się do nas. Chlebem dzieliliśmy się jakeśmy mogli. Wiarusy zaczęli piec barana. Ogień był słaby, bo mokro się zrobiło wszędzie po deszczu. Genarał nie wiedząc jakby przyrządzić jajecznicę, bo jaj było wbród, wyrzuciwszy masło z faski, zostawia tylko trochę, bije w nią jaja i pomimo, że drewniana, kła-

dzie na węgle. Trochę się wprawdzie denko przypaliło, lecz udała się potrawa. Zajadaliśmy ją z kolei z apetytem, łyżką jaką kto miał, zanim się baran upiekł. Niepewni, co nas jutro czeka, nie szczędziliśmy jednak ni jadła, ni napoju i uraczeni suto, ze słodkiem uczuciem sytości pokładliśmy się spać — ja pod wozem amunicyjnym.

Dnia 8 Września przeszliśmy Możajsk, wszędzie po drodze spotykając wsie popalone, nigdzie żywności. Ocalały jedynie boczne wsie, gdzie nie szła armia; lecz ztamtąd dostawiano nader nędzną żywność. Nasze prawe skrzydło przechodziło szczęściem przez piękne wioski, niewypróżnione nawet czasami z mieszkańców. Po chałupach drewnianych wprawdzie, lecz stawianych powszechnie liniami, zwłaszcza bliżej Moskwy, znajdowaliśmy w bród słoniny, masła, krup, drobiu itp. Zabierało się to wszystko do obozu dla ludzi i koni.

Piętnastego Września stanęliśmy pod Moskwą, 16 w mieście samem. Rozległość tej stolicy wydała nam się ogromną. Weszliśmy do niej zrana oczyszczeni i w wielkim porządku, mając sobie wyznaczone przedmieście z drugiej strony miasta i obóz w polu za rogatką. Ale złoty gmach nadziei, jaki budowaliśmy w myśli, zdążając ku Moskwie, runął niebawem. Żywej duszy nie spotykaliśmy na ulicach. Ogromne pałace, gmachy, cerkwie, wspaniałe sklepy — wszystko to stoi otworem — i pustką zarazem. Nakazana surowo karność nie pozwoliła ani na chwilę oddalić się ze szeregu. Z dziwnie przykrem uczuciem przeszedłszy część miasta, podczas gdy Francuzi już zabawiali się plądrowaniem, stanęliśmy obozem przy rogatkach w bojowym szyku. Oficerom dozwolono zajmować na kwatery opuszczone domy przyległego obozowi przedmieścia. Wybrawszy sobie jeden z nich, rozłożyliśmy bagaże po izbach, oczekując z upragnieniem, czy nam się nie uda dostać zkąd słomy lub siana na posłanie. Ponieważ zaś ogłoszono uchwałę, że oficerowie nie mający służby w obozie, mogą, wziąwszy ku pomocy ordynansa, iść do miasta dla szukania żywności, zostawiłem przeto podporucznika Lebowskiego przy działach, sam zaś udałem się z dwoma ludźmi do miasta, płonącego już w kilku punktach. Przechodząc przez całe jeszcze, pełne otwartych sklepów, ulice, zatrzymywaliśmy się w pierwszym lepszym, aby zabierać w kosze, co wpadło pod rękę, szczególniej zaś cukier, kawę, herbatę, ryż, makaron, wino, arak, wędliny i naczynia do gotowania, jak rądle, talerze, noże, łyżki itp. Gdym mijał skład najozdobniejszych powozów i szorów, napomknął mi ordynans, że wartoby było wziąść jaką dogodną dorożkę na wiktuały. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zjawił się w tejże chwili żołnierz,

prowadzący parę koni luzem Dowiedziawszy się, że je wyprowadził z cudzej stajni, a pewny, że do właściciela nie wrócą, zaproponowałem mu kupno i nabyłem za cztery dukaty. Wyciągnąwszy następnie ze składu nowy powóz, przybraliśmy go w piękne moskiewskie szory i ruszyliśmy gorejącemi już ulicami, których nikt nie ratował, bo jedyni wówczas mieszkańcy miasta, żołnierze, szukali gorliwie żywności. Główna kwatera cesarza bardzo była odległą od centra stolicy. Kremlin, otoczony murem tuż nad rzeką Moskwą, z bramami strzeżonemi przez Francuzów, nie potrzebował obawiać się ognia. Przejechawszy dalej przez most i zaopatrzywszy się w sukno, kołdry, dery, odesłałem dorożkę do obozu, a sam przechadzałem się jeszcze, wiedziony uczuciem ciekawości. Kiedym po obejrzeniu Kremlina chciał wrócić tąż samą drogą, aby nie zbłądzić, już wojsko zajęło most palący się, aby go ratować.

Jeszcze cały dzień 17 Września spędziliśmy w obozie. Wieczorem głoszono, że wojsko otrzymało rozkaz gaszenia pożarów, że cesarz przenosi kwaterę do Kremlina i że nazajutrz ruszymy dalej za nieprzyjacielem ku miastu Kałudze. Więc nie kończy się wyprawa, mimo zajęcia stolicy? — zapytywano ogólnie z niepokojem.

Ośmnastego rozpoczął się marsz; każdy zabierał co mógł — powozy, sofy, biura, szafy można było widzieć stojące w polu. Moja dorożka doskonale była naładowaną. Po drodze napotykaliśmy całe jeszcze wioski, ludne, piękne i obfite, bo mieszkańcy wychodzili naprzeciw nam z żywnością. Lękaliśmy się zrazu przyjmować, przypuszczając, że potrawy mogą być zatrute, ale niebawem pozbyliśmy się tego uprzedzenia, doświadczywszy ich gościnności i życzliwości. Po wyjściu z Moskwy stawaliśmy zawsze obozem w czystem polu. Oprócz drewnianych siół zrzadka tylko ukazywały się miasta; i tak w ciągu dziesięciodniowej podróży nie ujrzeliśmy ani jednego. Pierwszy nocleg za stolicą tak nam rozświeciła łuna pożaru w Moskwie, że można było pisać raporty bez innego oświetlenia.

Nigdzie nam nieprzyjaciel nie zastępował drogi, ani nie przeszkadzał w marszach, co różnie tłómaczono. Szliśmy bocznym traktem ku Kałudze. Dopiero 28 Września stanęliśmy obozem pod wsią Czerykowem. Rozeszła się wieść, że się tam Moskale obwarowali i że za lasem czekają na nas w wielkiej sile. Otrzymaliśmy nakaz, aby zachowywać ostrożność i być gotowymi do boju. Korpus nasz, stanowiąc zawsze prawe skrzydło wielkiej armii, w obcym zupełnie kraju, musiał się mieć bardzo na baczności, aby nie zostać oskrzydlonym. Silnego snać obawiano się oporu, bo przybył nam z pomocą tego

dnia król neapolitański Joachim Murat z mocną jazdą i stanął we wsi obok kwatery księcia Józefa.

Dnia 29, w dzień św. Michała, deszcz lał jak z cebra; powózki nasze schroniły się do folwarku, aby tam ukryć się gdzie pod szopą, gdy wtem przed południem rozpoczęła się gwałtowna kanonada. Wieś leżała przy dębowym lesie, za którym stał nieprzyjacielski korpus Miłoradowicza, złożony z wielkiego tłumu uzbrojonych w palną broń chłopów. Deszcz tak broń zamoczył, że zaledwie co dziesiąta dawała ognia. Jazda nic w lesie uczynić nie mogła; sama artylerya broniła przystępu do obozu. Gdy coraz większa mnogość zbrojnego ludu wysypywała się z boru, kazał Murat ustąpić nieco, co umożebniło użycie jazdy. Działa odstrzeliwały się, a skoro nieprzyjaciel wysunął już dość daleko swoje szeregi z lasu, uskuteczniono dwukrotnie piękną szarżę jazdy. Dzielnie się popisali przy tej sposobności nasi ułani i strzelcy brygady księcia Sułkowskiego. Szarżował na ich czele z dobytą szablą sam książę Józef; przybył z pomocą i król, a spostrzegłszy cofającą się Moskwę i rozbitą, w las uchodzącą jazdę, rozkazał wziąść ją na bagnęty. Następnie spotkawszy się z księciem Józefem, zaczął go publicznie przed frontem ściskać i całować, podobnie jak później księcia Sułkowskiego, pułkowników: Turnę, Tolińskiego i z oficerów kogo spotkał, wynurzając serdeczne podziękowanie, że mimo ulewy, w skutek której broń palna odmawiała posłuszeństwa, zdołano odpędzić potężnego wroga, Miłoradowicz bowiem miał podobno około 80.000 ludzi. Rozdał też król kilka ozdób swego orderu wielu oficerom. Zwróciliśmy się bez zwłoki w pogoń za uchodzącym nieprzyjacielem. Strata w rannych i poległych była znaczna; w mojej bateryi ubito trzy konie przy działach, kula armatnia urwała jedno koło, a kule karabinowe szły tak gęsto, że mój sierżant, Fallenberg, wytrząsał je z płaszcza i kaszkietu. W dalszym pochodzie nie oparliśmy się aż w Woronowie, miasteczku Roztopczyna, gubernatora Moskwy, który wedle powszechnego mniemania, podał projekt spalenia tej stolicy, dla przykładu zaś swój przepyszny pałac w Woronowie z licznemi zabudowaniami przeznaczył na pastwę płomieni. We wspaniałym parku znaleźliśmy same ruiny i zgliszcze. Na sterczącym wśród pogorzeliska murze stajni, ozdobionym pysznemi posągami różnych kształtów koni, wypisane były węglem, wielkiemi literami następne słowa: *J'ai brulé mon palais, pour que les chiens des Français n'y puissent pénétres.* Francuzi zamazali obelżywy dla siebie napis.

Spędziwszy noc pod Woronowem, doszliśmy do jakiejś wioski pod lasem brzozowym i rozbiliśmy tam obóz; usłyszeliśmy, że pomiędzy wojującemi stronami nastąpiło zawieszenie broni na dni piętnaście, w ciągu których nie ruszymy się z miejsca. Żywność miała nadchodzić z głównej kwatery cesarskiej, z Moskwy, gdzie też miano traktować o warunkach pokoju, wypowiedzenie zaś wojennych kroków miało być zapowiedzianem na trzy dni wpierw. Pomieszczenie nasze było arcy-niewygodnem, bo przyległa licha wioszczyna nie miała ani jednego mieszkańca, lepsze zaś budynki zajęto dla generałów i głównego sztabu. Zostawało nam tylko czyste pole ze świeżo zebranego zboża i stodołki włościańskie, przykryte słomianą strzechą, staw, z którego zaczęliśmy poić konie, lecz październikowe zimna już wodę ścinały. Z powodu bliskości nieprzyjacielskiego obozu, od którego nas tylko oddzielała brzezinka, trzeba się było bardzo pilnować mimo rozejmu, bo wysłanych po zapasy żołnierzy napastowano, a czasem nawet zabierano do niewoli. Rozstawiono więc dokoła przednie straży, oficerowie pełnili kolejno służbę w linii bojowej, a mróz i głód rozpoczęły swoje panowanie. Ordynator żywności, nazwiskiem Hermann, człowiek bardzo czynny i przedsiębiorczy, w głowę zachodził, jak w takiej pustyni zdoła wyżywić korpus. Wyczerpywały się zabrane w Moskwie zapasy; trapiła nas sroga nędza. Hermann postawił piekarski piec w swoim szałasie, do którego schodziliśmy się często, aby się ogrzać a czasem i pożywić, bo piekł codzień chleb i udzielał lepszego znajomym.

Tymczasem książę Józef jeździł do Moskwy z rozkazu cesarza. Po jego powrocie usłyszeliśmy, że toczą się w stolicy układy o pokój, że otrzymamy niezwłocznie wiadomość, gdyby zerwano pertraktacye, że chorych i rannych mamy wysłać do Moskwy, gdzie już pożar ugaszony.

W niedogodnej pod brzezinami pozycyi dotrwaliśmy do 18 Października. Kończyło się właśnie zawieszenie broni, gdy nagle bez poprzedniego, wedle umowy, zawiadomienia, zrana wpada do naszego obozu tłumna zgraja kozaków. Nim się porwano do broni i zabębniono na alarm, pokłuli bezbronnych, powywracali broń, ustawioną w kozły i zaczęli rabunek. Ledwieśmy zdołali postawić na pozycyi zaprzężone zawsze działa, nadeszła wieść, że nieprzyjaciel z całą potęgą ku nam się zbliża. Wszystko tedy za broń chwyta, na koń siada. Niezmieszany zdradzieckiem postąpieniem Moskwy książę Józef, każe zebrać się w kolumny i cofać ku Woronowu. Wkrada się jednak nieład pomiędzy wojskiem; kozak strzałem z pisto-

letu zabija szefa zstabu, generała Fiszera. Cofamy się w nieładzie, oczekując chwili, w której się kolumny nasze uformują. Na drodze spotykamy liczne wozy amunicyjne, z głównego parku, napełnione żywnością. Gdziekolwiek staniemy, aby dać ognia, nieprzyjaciel na bok uchodzi, lecz nie ustępuje; owszem po chwili wraca i dopędza cofających się. Wierni swemu powołaniu kozacy, rozproszeni na wsze strony, eskortują nas aż pod Woronów, gdzie przed wieczorem stajemy, a zająwszy silną pozycyę, uwolnieni wreszcie od pogoni, zbieramy pułki, stajemy obozem i czekamy pod bronią na tylną straż, odciętą od nas i na raporta oddziałów. Podpułkownik Blumer, który z trzecim pułkiem piechoty dzielnie bronił napadniętego zdradnie obozu, sformowawszy czworobok, przedarł się przez goniące tłumy i późno w noc połączył się z nami. Staliśmy dzień cały zaprzątnięci pracą około poległych i rannych, nie umiejąc sobie wytłómaczyć niespodzianej napaści. Dopiero nazajutrz nadszedł rozkaz cofania się ku Możajskowi na Małe Izasłowice wraz z wiadomością, że ustępuje również cała armia francuzka, a główna kwatera cesarska za Dniepr się przenosi. Zatrwożyło nas to niesłychanie, bośmy byli pewni, że nieprzyjaciel tak już pobity nietylko wojny zaniecha, ale pozwoli nam zająć spokojnie stanowisko zimowe. Nie znając planów Napoleona, mówiono, że na Petersburg uderzy, ile że posiada tam znaczne korpusy, spieszące z lewego skrzydła przez Królewiec i Rygę.

Pod Małym Jarosławiem i Mediną, musieliśmy przy wzrastającym mrozie stoczyć bitwę z zastępującym nam nieprzyjacielem. Wsparci przez korpus generała Lefevre-Desnouette, przełamaliśmy napastników. Jednakże nieostrożność Lefevra omal że nas nie pozbawiła dział naszych, których on użył do walki, gdyż Moskale widząc słabość koni, byli już bliscy odcięcia parku. Szczęściem dzielna szarża jazdy udaremniła ten zamiar; na grobli tylko dla słabości pociągu dwa działa przyszło w staw wrzucić, co księcia Józefa wielce zmartwiło, bo dotąd ze stu sześciu dział nie utraciliśmy ani jednego.

Cofając się dalej do Możajska, złączyliśmy się znowu na wielkiej drodze z całą armią. Tu można już było widzieć nie wojsko, ale bandy żołnierstwa idące w nieładzie, okryte różnorodnemi dla zimna strojami. Przechodząc przez pole bitwy pod spalonym zupełnie Możajskiem, widzieliśmy źle ziemią przysypane ręce i nogi poległych, po których przechodziły wojska, łamiąc kości ciężarem dział i wozów.

WALERY WIELOGŁOWSKI

przez

LUDWIKA HR. DĘBICKIEGO.

VI.

(Dokończenie).

(Rozliczność pracy — Dom komisowy — Księgarnia i wydawnictwo — Walka polityczna — Ultramontanizm — Demonstracye — Sejm 1861 i 1862 — Śmierć żony — Ostatnia walka — Smierć).

Zbliżamy się do kresu naszego zbyt już długiego opowiadania, a jednak jeszcze mnogości prac podjętych, rzuconych pomysłów, stoczonych walk, boleści przebytych w tem życiu tak bogato zapełnionem nie zdołaliśmy nawet dotknąć.

Nie był to przywódca, raczej prosty ochotnik i szeregowiec, nie dobijający się kierownictwa, ani naczelnych stanowisk, owszem mający poczucie karności i gotowy stanąć w szeregu, byle chorągiew zacną uczciwe dzierżyły ręce. A jednak taka po nim została próżnia, tak rozliczne zadania obejmowała jego działalność, że i po dziesięciu latach minionych luka po panu Walerym nie została zapełnioną. Gdziekolwiek się oglądniemy, wszędzie napotykamy ślad jego pracy, jego usiłowań, lub chociażby tylko jego zamiarów, wszędzie brak tej niezmordowanej woli, pochopnej inicyatywy.

Wady jego zawodu publicznego wypływały właśnie z przymiotów tej natury. Zbytnia energia i odwaga wysuwała go często na stracone placówki, rzutkość umysłu wydawała ciągłe inicyatywy, z których wiele poronionych, ale znaczna część owocowała; wreszcie gorliwość o dobro kraju i zapełnienie wszystkich jego potrzeb prowadziła do uniwersalizmu, że tak się wyrazimy, do encyklopedyczności, nie w naukowej teoryi, ale w praktyce działania. Czasem nie wydołał sam podjętej pracy, czasem nie poparty należycie, może opuszczony, chociaż nie ustąpił z placu, został jednak przeparty przez liczniejszych przeciwników, ale też nikogo nie zawiódł, nikim się nie zasłaniał, nikogo na hazard nie wystawił. Nie mając względu na siebie, dbał jedynie, aby dzieło przezeń rozpoczęte nie zostało bez następców. Mawiał on często: „ludzie umierają, ale instytucye żyć winny wiecznie“; a przeczuwając

swój zgon bliski, powtarzał ustawicznie: „lżej mi będzie umierać, bylem tylko wiedział, że wszystkie warsztaty, na których pracuję, nie będą stać próżno".

Przejdźmy te warsztaty pracy pana Walerego raz jeszcze po krótce. Wielogłowski jako przedsiębiorca, ileż rzeczy poruszył? Ludzie tak zwani praktyczni, doświadczeni, kiwali głowami z niedowierzaniem na każdy nowy projekt pana Walerego, mówiąc, że jeśli wszędzie przedsiębiorstwa są hazardem, u nas pewną stratą. Ci roztropni przyjaciele nieraz mieli powód do tryumfowania, że odgadli niepowodzenie nowego przedsiębiorstwa i kiedy już sądzili, że Wielogłowski wyleczył się z tej rzutkości, że zniechęcony opuści za ich przykładem ręce — on nową chwytał myśl i doznawszy zawodu w dziesięciu rzeczach, jedenastą przeprowadził, lub też poniósłszy straty osobiste, innym utorował drogę. Społeczność nasza ulegała zupełnej inercyi na polu przemysłowem. Jeszcze się była nie rozbudziła owa nieszczęsna gorączka, która nas pchnęła niestety nie do przedsiębiorstw, ale do udziału w wiedeńskim *schwindlu* giełdowym. Wstępując z słabemi siłami i usilnością zbyt jeszcze chwiejną na drogę praktyczną przemysłu i materyalnych przedsiębiorstw — staje przed nami pytanie: czy na tem nowem polu ekonomicznych i przemysłowych prac mamy się wyrzec wyższych pobudek, szlachetniejszych celów, a zwłaszcza dbałości o czystość środków; czy mamy w tej kolei wzbogacania się, jaką Polakom doradzał Thiers, być również bezwzględni i tylko korzyść materyalną mieć na oku, jak te społeczności, co nas na tej drodze dobrobytu tak wyprzedziły? Cała powaga ekonomii politycznej zdaje się przemawiać za tem ogólnem prawidłem, że w kwestyach ekonomicznych, w przedsiębiorstwach, należy wykluczyć wszelkie wyższe cele i pobudki czy to humanitarne czy patryotyczne. Skok jednak od zbytniej bezinteresowności, od romantycznej polityki i życia ideałami, do zachodniego egoizmu, byłby dla nas zbyt gwałtownym i niestety, gdyśmy go uczynić zamierzali, nie zdołaliśmy zachować równowagi i przeszliśmy nie do praktyczności Anglików lub Francuzów, ale wpadliśmy w kałużę błotnistą giełdowych i kolejowych hazardów, z której nietylko zbłoceni ale i zubożeni jeszcze bardziej dziś się wydobywamy. Wielogłowski nawoływał słowem i zachęcał przykładem do przedsiębiorstw, ale nie chciał

rozbratu z wyższemi względami, z idealizmem polskim. Pisał on w *Ognisku*, że nie należy wypiętrzać egoizmu indywidualnego, ale obudzić egoizm społeczny, aby raz przecie społeczeństwo na seryo o sobie zaczęło myśleć i krzątać się o podstawy realne dla idealnych celów. Krzyczano na Wielogłowskiego, że materyalista, a był on najwięcej patryotycznym, nad miarę uczuciowym przedsiębiorcą. Wznosił i podejmował to tylko, co społeczeństwu było najpotrzebniejszem, co nań mogło wywierać najzbawienniejszy wpływ.

Dom jego komisowy ileż nie wywoływał sarkastycznych ucinków, na ileż przykrości, a nawet strat go nie naraził? Handel zbożowy był wówczas całkowicie w rękach Żydów, a sprzedaż zawsze lichwą, przybraną różnemi warunkami kontraktu, tem łatwiej się szerzącą, że starozakonni kupcy zupełny mieli monopol. Pan Walery chciał braci szlachtę wciągnąć w bezpośredni stosunek z konsumentami i reproducentami zagranicznymi na pierwotne płody naszej ziemi, bo jeszcze nie było w kraju ani młynów parowych, ani jak dotąd garbarni, cukrowni i t. p. Zawiązał przeto stosunki z Wrocławiem i Gdańskiem, aby módz po najwyższej cenie sprzedawać zboże i inne produkta galicyjskie, dla siebie skromną tylko odliczając prowizyę. Nowość ta wydała się dziwną szlachcie, nałogowo przywiązanej do Żydów. Wreszcie jeden i drugi zawarł umowę za pośrednictwem Wielogłowskiego z zagranicznymi kupcami. Lecz tutaj czekał naszego pośrednika nietylko materyalny, ale dotkliwszy moralny zawód. Zboże, wełnę lub wódkę, odstawić na termin Żydowi to konieczność, bo inaczej porachuje lichwę, ale szlachcic kupiec może czekać. To też termina odstawy za granicę, według kontraktu mijały, a p. Walery daremnie pisze list za listem. Dobrze jeśli dotkliwy ten zawód tłómaczy który z obywateli zepsuciem się młocarni, lub złą drogą na transport — ale większość sprzedających nie odpisuje całkiem, lub odpisuje grubiaństwa, że lepszy interes z Żydem, który ma wzgląd na niemożność dostawy. Połknąć trzeba było niejedną gorzką pigułkę i nie jednego postradać przyjaciela, a byli i tacy, którzy do dziś dnia osieroconej córce nie zwrócili należytości za zboże, które Wielogłowski musiał z obliczeniem straty zapłacić kupcom zagranicznym. Niewola żydowska, na którą się tak bardzo zanosi w Galicyi, jest w znacznej części za-

służoną. Co smutniejsze, że szacherstwo żydowskie znachodzi częściowe usprawiedliwienie w nierzetelności szlacheckiej. Najhonorowsi mają wstręt do trzymania się terminu, boć to przecież krępuje wolność szlachecką.

Dom komisowy musiał dla opłacenia strat z handlu zbożowego rzucić się do innych gałęzi handlu. P. Walery chciał się znów odezwać do innych warstw społecznych i do innych potrzeb kraju. Za pośrednictwem swego przyjaciela Karola Firleja Bielańskiego, podówczas kierującego interesami jednej z największych fabryk stali i żelaza w Sheffield, sprowadzał machiny i narzędzia rolnicze, zamawiał lemiesze, kosy i sierpy z godłem: „Szczęść Boże“. Mimo to wszystko, interesa domu komisowego nie szły świetnie. Chcąc wstrzymać kosztowną emigracyę do wód zagranicznych, oddać usługę potrzebującym kuracyi a mniej zamożnym, ożywić nieco ruch towarzyski w mieście latem — urządził w ostatnich latach zakład wód mineralnych obok swego domu przy gołębiej ulicy na plantacyach. Mimo wszelkiej zachęty, publiczność gromadziła się leniwo, a niepopularność polityczna pana Walerego stała się powodem nowego dość kosztownego *fiasco*. Żartobliwie też mówił, że gdyby założył fabrykę trumien, ludzie w Krakowie przestaliby umierać.

Mówią u nas wiele o oświacie. W pierwszych zaraz latach swego pobytu w Krakowie ś. p. Wielogłowski zakłada księgarnię, daje jej miano katolickiej, miano wcale niepopularne i nieprzynęcające, ale wiernie temu tytułowi ją prowadzi w duchu katolickim. Pierwszą książkę wydał, jakeśmy już wspomnieli, na kredyt, potem drukuje cały szereg znakomitych dzieł, nie pytając czy pokupne, bez ogłaszania prenumeraty. Wydawnictwo rozwija się, podtrzymuje go głównie duchowieństwo i lud wiejski, a p. Walery nabywa prace znakomitszych pisarzy, zachęca młodszych, daje zarobek uboższym i jeszcze nieznanym, używając ich choćby do tłumaczenia. Trzebaby się spytać bibliografa, ile większych i mniejszych publikacyj zawsze użytecznych i zawsze w najlepszej tendencyi wyszło z tego wydawnictwa. My tylko nazwiemy te, które zostaną ozdobą naszej literatury, pomnikiem wydawnictwa dzieł katolickich. Dość wymienić nazwiska autorów i tytuły dzieł: *Pisma, mowy i listy ks. Karola Antoniewicza Soc. J.*; Rychcickiego (Maurycego hr. Dzieduszyckiego) *Piotr Skarga i wiek jego* i *Zbigniew Oleśnicki*; biskupa Łętowskiego *Katalog biskupów* i *kanoników krakowskich*, również jak kosztowną edycyę *Katedry na Wawelu;* Maurycego Manna *Podróż na Wschód*, a do tych pomnikowych dzieł dodajmy niezrównaną książkę *Du Pape* przez Des Maistre'a, nietylko wydaną ale przetłumaczoną kosztem Wielogłowskiego. Oprócz tych autorów, pierwszorzędne zajmujących stanowisko, i mnóstwa własnych pism, Wielogłowski drukował książki popularne byle zacnej dążności, jak n. p. ks. Gondka: *Pisma treści religijnej, i Pielgrzymka wieśniaka z pod Krakowa Borunia do Ziemi Świętej.* Galicyjski książkowstręt narażał na wielkie trudności naszego wydawcę, który nie odbija tej straty, jak to inni zwykli czynić na autorach, wynagradzając ich z góry. Stosunki bowiem księgarskie w naszym kraju, przedstawiają dziwną na pozór zagadkę. Wszyscy się skarżą na brak pokupu książek, a księgarnie się mnożą. Obecnie w Krakowie naliczyć ich można dwanaście, ale niema ani jednego wydawcy. Czegoż to dowodzi? że księgarze żyją z pisarzy i czekają, kiedy miłość własna autorska znagli ich do wydania na własny nakład. Rabat księgarski dochodzi do niepraktykowanej za granicą wysokości, mimo to księgarze nie czynią żadnych zachodów, aby dzieło rozeszło się prędzej, za to jednak zwlekają zdanie autorom rachunku.

Wielogłowski próbował wszelkich sposobów zachęcania publiczności, ceny ustanawiał niskie i rozsyłał po całym kraju komisantów z doborem książek. Szlachcic ze wsi rzadko zajrzy do księgarni, ale gdy zajedzie komisant do domu, to nie oprze się pokusie, choćby ze względu na samą gościnność, tak jak nie pominie Węgra z pudłem, aby od niego nie zakupić różnych drobiazgów dla żony i córek. Księgarnia i wydawnictwo dzieł katolickich opierało się, jakeśmy już wspomnieli, głównie na klienteli duchowieństwa i włościan. A ktokolwiek raz zaszedł do księgarni, czy to w siermiędze, czy w sutannie, czy w aksamicie, nie był tak zbyty suchą czasem niegrzeczną odpowiedzią, jak się to gdzieindziej u nas najczęściej praktykuje, ale pan Walery umiał każdego zachęcić, z każdym wejść w rozmowę. Wracano też chętnie, bo każdy wiedział, że choć nie kupi książki, to zawsze coś skorzysta z rozmowy z ujmującym księgarzem.

Krzątanina koło spraw domu komisowego, księgarni i wydawnictwa, nieustanna praca literacka w najrozmaitszych materyach, zostawiała jeszcze dosyć czasu do żywego udziału w sprawach politycznych.

Imię Wielogłowskiego, ciągle będące przedmiotem pocisków, ciągle niepopularne, zawsze jednak wychodziło pierwsze z urny przy każdych wyborach, do wszelkich funkcyj publicznych, bo wszędzie okazywała się niezbędna potrzeba pana Walerego, bo zresztą u nas popularność a zaufanie i szacunek nie zwykły iść w parze. Najczęściej tych, których opinia wynosi publicznie, prywatnie potępia, nie ufa im i nie szanuje. Przeciwnie zaś *in foro interno* poważa i w cztery oczy uznaje wartość tych, których potępia głośno. Wielogłowski nie stawiał nigdy swojej kandydatury, ani za nią nie agitował. Mawiał on żartobliwie, że: „chcą ze mnie mieć *factotum* polityczne", a później gdy poznał, że skutek nie zawsze odpowiada wysileniom, że indywidualnie można u nas więcej dokonać, niż w zbiorowem działaniu, powtarzał: „nie chcę już być niczem, nawet w Towarzystwie rolniczem".

Te lat kilkanaście, które powróciwszy z emigracyi przebył w kraju (1848—1865), dadzą się rozdzielić na dwie epoki: usposobień ogólnych i przejść krajowych. Najpierw był to smutny okres powolnego dopełniania się skutków i stopniowego zacierania wrażeń po nieszczęsnych wypadkach 1846 i 1848 r. Chwila znużenia, upadku, ruiny i nędzy, chwila rozczarowań, które jednak nie wzbudziły zbawiennej reakcyi, ale tylko apatyę. Potem stopniowo zbierały się przyczyny i rozkołysywały usposobienia nie do życia i pracy, lecz do gorączki nowej i szału, przed ostatnią, najstraszliwszą katastrofą 1863.

Linii demarkacyjnej między temi dwoma stadyami trudno oznaczyć. Pierwszym jednak wypadkiem, który wstrząsnął umysłami, lubo w żadnym nie stał związku z naszą sprawą, była wojna włoska 1859.

Zmiany, jakie ta wojna miała wywołać w wewnętrznych stosunkach Austryi, przebudziły nas najpierwszych, a dzięki politycznej myśli, jaką rzucił Adam Potocki, poparł *Czas*, a sformułował Zyg. Ant. Helcel w pamiętnym adresie do Cesarza 1860, daliśmy rozumny objaw życia i hasło innym prowincyom — lecz do tego objawu jednak przymięszało

się wiele rozterek i pierwszych osobistych zawiści, demonstracyjnych hałasów.

Postawienie programu autonomicznego w Galicyi, wzięcie się do pracy organicznej w Królestwie Polskiem było dodatnią stroną tego przebudzenia. Były i ujemne, bo hasło było zwodniczem. Kiedy spaliśmy na oba uszy w czasie wojny krymskiej, dla czego wojna włoska miała nas zelektryzować? Bo zawsze ockniemy się tylko na podszept rewolucyjny. Interes polski ile mógł skorzystać na koalicyi Zachodu przeciw Rossyi, tyle znów musiał cierpieć na antagonizmie Francyi z Austryą. Lecz rewolucyonistom chodziło o to, aby wciągnąć Polaków do jakiejś solidarności ze sprawą jedności włoskiej, nie mającej żadnej analogii ze sprawą niepodległości polskiej. W r. 1860 poruszono po raz pierwszy kwestyę władzy doczesnej, więc i u nas bodaj czy nie po raz pierwszy zaczęto szermować słowem ultramontanizm, jakoby synonimem niepatryotyzmu. Garibaldi stał się nagle najpopularniejszym bohaterem, stawianym obok Kościuszki i Washingtona. Wobec słynnej broszury Girardina, zapowiadającej wywłaszczenie Ojca Ś. i zabór spuścizny Piotrowej, katolicy uczuli obowiązek okazania, że doczesna władza jest wspólną własnością wszystkich wiernych, że Polacy stoją przy Stolicy Apostolskiej! Ów adres do Piusa IX wzbudził najgwałtowniejsze miotania się, a ściągnął największą niepopularność na jego promotorów: Leona Rzewuskiego, Adama Potockiego, Pawła Popiela, Maurycego Manna i Walerego Wielogłowskiego. Do tej to chwili sięga początek owej nowej u nas szkoły, która się zrazu chciała mienić liberalno-katolicką i chciała godzić Papieża z Garibaldim, Kościół z rewolucyą, a która wnet miała się przedzierzgnąć w jawną bezwyznaniowość, na modę wiedeńską. Pierwsi wystąpili w obronie praw Stolicy Apostolskiej ks. kanonik Golian i Maurycy Mann w odpowiedzi na broszurę „Papież i kongres". Wielogłowski wnet się wmięszał do walki i występował, jako najśmielszy szermierz, jako najczynniejszy, że tak powiemy agitator zasad katolickich i konserwatywnych. Odtąd też zaczęły się sypać paszkwile, potwarze, obelgi najrozmaitszego kalibru na całe grono mężów o ultramontanizm oskarżonych, a z wyłącznem upodobaniem na pana Walerego.

Tą drogą zaczęła swoją rozkładową pracę w Polsce rewolucya. Z jednej strony podkopywała zasady, wytaczała walkę przeciw powagom społecznym, a z drugiej błyskała nadziejami. W Królestwie Polskiem, które po Mikołajowskim ucisku zaczęło się wewnętrznie organizować i dźwigać pod przewodem Towarzystwa rolniczego — aby tę pracę, jak najprędzej zepsuć, wzięto się do demonstracyj i zainaugurowano owe piękne z daleka, nawet religijne, a w gruncie obłudne i bluźniercze manifestacye na pogrzebie jenerałowej Sowińskiej.

Była to niezmierna trudność dla katolików i dla patryotów tak gorących, jakim był całe życie ś. p. Wielogłowski, stanąć wbrew temu ruchowi, który przybierał cechy religijne i polskie, który rzeczywiście porywał serca, podniecał wyobraźnie i odurzał głowy, a był kierowany przez ukrytych za kulisami suflerów na zimno, jako psychologicznie do polskich i katolickich usposobień zastosowany środek, wiodący do konspiratorskiego i rewolucyjnego dzieła.

Wielogłowski mógł znać lepiej niż ktokolwiek zwyczaje tych suflerów i całą *mise en scéne* konspiratorską, wszak i on za temi kulisami niegdyś przebywał, wszak i jemu się zdawało za młodu, że starzy nie rozumieją ruchu, że ruch to życie, że wybuchy to potrzebne wobec Europy protestacye i objawy żywotności narodu. Wszak i on nie ważył kiedyś środków i w młodzieńczym szale na najradykalniejsze byłby się zgodził, byle mu obiecywano, że one skrócą drogę niewoli.

Od epoki 1830 r., zresztą tak różnej, o tyle wyższej, przeszła katastrofa 1846 r., która najgorętszych ostudzić była powinna, najzagorzalszym otworzyć oczy. Nie znalazł się przed wypadkami 1863 natchniony głos, jak przed 1846 ów żałosny i proroczy śpiew psalmisty narodowego, nie brakło jednak ostrzeżeń. Od grobów Apostołów odezwał się kapłan wygnaniec, rycerz zakonnik *Do braci księży grzesznie śpiskujących i do braci szlachty niemądrze umiarkowanych.* Lecz głos ten pochodzący z najpatryotyczniejszego serca, rozdartego przeczuciem nieszczęść, przyjęto wrzawą, jakoby zdradę i denuncyacyę. Pan Walery w kraju nie przestał podjazdowych prowadzić utarczek, ilekroć objawiały się symptomata rewolucyjne. W „*Kalendarzu*“ mającym wielkie rozpowszechnienie w „*Ognisku*“ i w „*Obrazkach*“, studził nieopatrzny zapał,

przemawiał w imię własnych niegdyś złudzeń, zboczeń i doświadczeń, niekiedy nawet żartował, wiedząc, że gdzie nie trafi argument, tam trafi dowcip. Mówił o lekceważeniu starych przez młodych, o nowem straszydle „ultramontanizmu“, o kobietach politykujących dotykał najdrażliwszych kwestyj; ale skutek był tylko jeden, że wielu mu przyznawało w cztery oczy słuszność, a wszyscy zbiorowo przeciw niemu się obrócili. Zaczęły się pojawiać ulotne pisemka z paszkwilami i karykaturami, które zwykły zapowiadać teroryzm wyższego rzędu. Wielogłowski oczywiście stał się celem szyderstw i zaczepek tej literatury uliczników, która i dziś w *Diabłach* i *Szczutkach* ma swoich reprezentantów. Jakto? on miał odwagę nie krzyczeć na Polaka, co objął ster rządu i tyle zbawiennych w tak krótkim czasie przeprowadził reform, że to zdrajca i potwór? Więc oczywiście po najniepopularniejszym najwstrętniejszym epitecie ultramontanizmu, przybył inny — Wielopolszczyk, a wówczas był to synonim zdrajcy, odstępcy i targowiczanina.

Wśród takich już symptomatów opinii zasiadał pan Walery po dwakroć na sejmie lwowskim w r. 1861 i 1862, wysłany tam przez włościan, z okręgu Wieliczka — Kraków. A było to jeszcze wówczas niezwykłe zwycięztwo zdobyć mandat od chłopów. Dwóch czy trzech zaledwie obywateli Polaków zdołało się tem poszczycić, że zaufanie osobiste przeważyło nad podmowami nienawistnemi i żywemi jeszcze uprzedzeniami ludu, do wszystkiego co nie nosi siermięgi lub urzędowej czapki. Przypomnijmy sobie na niejaką pociechę, o ile też gwałtowniej objawiała się wówczas ta niechęć ludu, niż dziś, że na pierwszym sejmie nie brakowało nawet bohaterów z rzezi galicyjskiej, że dla zaspokojenia zastępu sześćdziesięciu posłów włościańskich Adam Potocki postawił pierwszy wniosek, iż sejm na wieczne czasy wyrzeka się powrotu pańszczyzny. Wielogłowski nie agitował za swoim wyborem, a tem mniej niemoralnemi sposobami przekupstw nie popierał raz postawionej kandydatury. Postawili ją najpierw wyborcy z Rybny, a za nimi niemal jednogłośnie poszli inni, co już znali książki Wielogłowskiego i zaglądali do jego księgarni po radę w różnych potrzebach.

Na sejmie poruszył Wielogłowski dziś dopiero rozstrzygającą się sprawę koniecznej reformy szkoły technicznej

w Krakowie. Gdyby był dłużej zasiadał, byłby niewątpliwie starał się zwrócić działalność sejmu przeważnie do prac ustawodawczych, dotychczas tak zaniedbanych lub połowicznie przeprowadzanych, bo zwykle musiały one ustępować wobec kwestyj wielkiej polityki rozpraw adresowych i rezolucyi.

Jego umysł organizacyjny i praktyczny nie dałby się był unosić w sferę teoryi, a tem mniej na pole konstytucyjnych kruczków, może nawet zbytecznie byłby oponował opozycyjności, chcąc wyzyskać nadane już prawa i korzystać z tych warunków, jakie zyskaliśmy do samodzielnej pracy. Nie byłby on jednak nigdy prostym utylitarystą, bo jako katolik miał silną podstawę zasad, w obec których musiałby zawsze stanowczo powiedzieć swoje *non possumus*.

Przebywał właśnie we Lwowie na drugim sejmie 1862 r., kiedy doszła go najdotkliwsza wiadomość o nagłej chorobie żony. Dobrze nam już znana z pierwszych rozdziałów naszego opowiadania pani Konstancya z Wesslów Wielogłowska, była jedną z tych niewiast niewyczerpanej słodyczy, bezgranicznego poświęceniasię i tej ciszy duchowej, która kryje skarby cnót i umysłów, nie błyszcząc niemi przed światem, nie używając ich nawet za narzędzie przewagi w domu. Kobieta taka jest nawet w Polsce fenomenem, choć tak często przychodzi nam dzięki Bogu cytować Kochanowskiego:

Żona uczciwa ozdoba mężowi
I najpewniejsza podpora domowi,
Na niej rząd wszystek — swego męża ona
Głowy korona.

Ona mężowym kłopotom zabiega,
I jego wczasu na wszystkiem przestrzega
Ona wybawić troskę umie z głowy
Słodkiemi słowy.

Wielogłowski mawiał, że jego Konstancya była lepszą jego częścią, była duchem opiekuńczym jego burzliwego żywota, a burzliwszego jeszcze umysłu. Jak umiała znosić nawet nędze emigracyjne, słodząc dolę mężowi, tak umiała balsamem koić ten umysł tak rzutki. Balsamem tym była modlitwa. Nie wdawała się ona w rozprawy z mężem, gdy go nawet widziała na błędnych drogach, a modlitwą działała na jego duszę. Nieraz zdarza się spotkać w życiu najpobożniejsze matrony, których mąż, a nawet czasem synowie schodzą na bezdroża i przerzucają się w odmęt niewiary, w wir rewolucyjny. Nie winą to zapewne ich braku gorliwości, ale może reakcyą przeciw jej zbytkowi, a raczej przeciw formie twardej a ciasnej dewocyi, którą starają się narzucać z energią nie kobiecą. Otóż pani Konstancya nie była dewotką w tem znaczeniu. Ona umiała cierpieć i czekać, aż się łaska Boża sama obudzi, przywołana tylko jej modlitwą, aż jej ciche życie cierpień i cnoty skruszy i usunie naleciałości świata. Dawno już były minęły te czasy, kiedy żona pana Walerego tak znaczną część miała w nawróceniu męża. Teraz stadło to osiwiałe przedstawiało rozrzewniający obraz świeżości uczuć tej tak wcześnie poczętej miłości. Była w ich pożyciu taka pogoda, jaka czasem bywa w piękne dni jesienne, co się równają urokowi dni majowych.

Wielogłowski zastał jeszcze żonę przy życiu, ale pierwszy atak apopleksyi w tydzień się ponowił i rozdzielił, nie na długo wprawdzie, te dwa wierne sobie serca. W duszy ś. p. Walerego pękła ta arterya, co go wiązała najsilniej swym węzłem do ziemi, zwichnęła się ta równowaga między trudami i goryczami życia publicznego, a osłodą i pociechą domowego ogniska. Został sam z córką zamężną za br. Richtoffen i wnukami; boleść głęboką koiło jakieś przeczucie, że te dwie dusze na długo rozdzielić się nie mogły. Duch jego dobry odbiegł, ten duch, co mu do zwycięztwa nad sobą samym dopomógł, co mu tyle chwil życia osłodził, co mu przedsmak niebiańskiego spokoju w burzliwą duszę wsączył... On jeszcze pozostał, aby jeszcze kilka przebyć prób i dokonać dzieł... Z podwójną przeto gorliwością i odwagą zwrócił się w dziedzinę czynu i walki, wśród której miał paść...

Po boleści rodzinnej przyszły nieszczęścia narodowe. Wskazaliśmy już jak Wielogłowski występował śmiało wobec zapowiedzi zbliżającej się rewolucyi. Gdy zaryczała ta burza, co była poswatem wichrów zachodnich z gromami północy nad nieszczęsną krainą mogił, oniemiały najwymowniejsze usta, ręce wszystkim opadły, żaden głos nie był słyszalny. I nie dziw, ci wszyscy, cośmy nie wierzyli w rozpaczną rewolucyę, staliśmy, bez antecedencyi wobec fenomenu historycznego, którego sprężyny, kierownictwo, środki, kres, wszystko było zagadką. Nie trzeba było jednak Edypa,

aby z czoła tego sfinksu podziemnego rządu odczytać straszną zapowiedź nietylko zagłady materyalnej, nietylko pchnięcia wstecz o cały może wiek odrodzenia narodowego, nietylko bezmiaru najczystszych ofiar morza krwi i łez morza, ale nad to wszystko bardziej jeszcze straszniejszą zapowiedź, że Polska nieskalaną swoją poplami szatę, że dobędzie iskier z czarta kuźni nie na to, aby złamać czarta moc, nie, aby kajdany zerwać, lecz aby je skuć tem silniej, że Polska użytą zostanie, aby się stała rozwartą bramą rewolucyi zachodniej na wschód, aby na jej mogiłach zawiązał się poswat siostry gilotyny z knutem bratem. Więc sztylety, trucizny, bezimienny teroryzm, niesława uciekinierstwa i zakała osobistych korzyści wzbogacania się z ofiar narodowych. *Zatruty duch narodu to dopiero bolów ból* i zaprzęgnięcie Polski do rydwanu rewolucyi europejskiej. Eksperyment konspiracyi szatańsko-mistrzowski na tym wulkanie najczystszych, najszlachetniejszych uczuć.

Nie, kto przebył ten dramat nieupojony narkotykami, nie zdoławszy okłamać siebie, ten może z Krasińskim powiedzieć — że jak Dant za życia przeszedł przez piekło. A były chwile, kiedy wobec szału ogólnego, czy ogólnej kołowacizny chwytał zawrót głowę i każdy wątpił, czy jest przy zdrowych zmysłach dlatego, że ich nie stracił wraz z innymi. System kłamstwa tak sztucznie nie dla Europy, ale dla nas samych, przez nas samych był uorganizowany, że lubo zdrowy rozsądek i sumienie protestowało przeciw nieprawdopodobieństwom i blagom niezrównanym, niewielu poszczycić się może, że zachowali trzeźwość przez cały ciąg powstania.

Utrzymują, że nawet pan Walery zaliczony od razu do skrajnej reakcyi, jeśli nie do zdrajców, miał chwilę pokus i złudzenia. Mając częste z nim stosunki myśmy go w tej fazie nie widzieli — musiała być krótką. Bądź co bądź przyzna każdy, że ani chwilę nie potakiwał samobójczemu ruchowi, że nie uległ tej zwodniczej doktrynie, która tylu na nieszczęście bez przekonania uwikłała w organizacyę władz rewolucyjnych — doktrynie, że gdy się złe dzieje, trzeba się przynajmniej starać, aby ruch nie popadł w gorsze ręce. Ktoś dowcipnie powiedział, że zasada podobna wychodzi na to, jak gdyby ktoś chciał osłodzić kałużę błota wrzucając w nią słoik konfitur, my powiemy więcej, że nie była ona w gruncie uczciwą. Ktokolwiek podjął ruch, niech dźwiga całą wobec narodu i historyi odpowiedzialność. Gdyby biali nie byli się tą zasadą kierowali, że ruch trzeba w dobre ująć ręce, gdyby się byli uchylili od pozornego udziału w kierownictwie i kiedy nie mieli siły stanąć otwarcie wbrew, bo nie mieli odwagi stanąć po stronie rządu nieprzyjacielskiego, gdyby się byli zachowali tylko biernie i nie przyjmowali tytułów pozornych władzy, która była w podziemiach, nie byliby imionami swojemi wciągnęli ogółu obywatelstwa. Pojmujemy iść do lasu i na rzeź, ginąć z rozpaczy nie z przekonania, bohaterstwo to może pogańskie, ale szlachetne; nie pojmowaliśmy, jak można było brać cząstkę odpowiedzialności i bawić się w dyplomacyę i w pozorne dostojeństwa wobec samobójstwa narodowego.

Otóż Wielogłowski, jeśli miał momenta złudzeń, należał do tych niewielu, co na chwilę dwuznacznej nie odegrali roli, wszelkiego wręcz odmawiając udziału. Znał on bowiem ten mechanizm konspiratorski, który gdy się do niego przyłoży jeden palec, całego wnet człowieka wciągnie.

Ostrzegał piórem bez ogródki przed powstaniem, nie taił zdania w czasie wybuchu, a lubo to nie była pora dyskusyi i polemiki, zaznaczył jednak swoje zapatrywanie w jednym akcie *Dramatu spraw obecnych*. Dramat ten jedyny w swoim rodzaju, co *stante pede* chwytał sceny polityczne, w chwili gdy się odgrywały, wychodził w trzech kalendarzach. Pierwszy akt po demonstracyach 1861 r. ukazał się już w kalendarzu na r. 1862; te same figury i te same tendencye w dalszem stadyum rewolucyjnego ruchu ukazał autor w drugim akcie w kalendarzu z 1863 r., wreszcie straszne rozwiązanie mieści kalendarz 1864 r. Było coś proroczego w przeprowadzeniu całości, co te same osoby będące upostaciowaniem żywiołów nieszczęsnego ruchu konsekwentnie do końca doprowadził, lubo szedł za tokiem wypadków.

Wreszcie *pożar ustał — swąd pozostał*, że przytoczymy pierwsze słowa wstępnego artykułu w odrodzonym na Nowy Rok 1865 *Ognisku*. Straszna to była chwila pogromu. Pożar ustał, chociaż się jeszcze nie dopaliły zgliszcza, stada kruków zewsząd na świeże zlatywały ciała, ale swąd teroryzmu rewolucyjnego jeszcze pozostał. Psychologicznie maligna polityczna przechodziła w to stadyum majaczenia, a właściwie w pijaństwo kłamanego sobie zapału przechodziło w *delirium*

tremens. Rozum, rozwaga, sumienie, prawda poniosły taką klęskę, że niktby się nie odważył z pod dyktatury rewolucyjnego kłamstwa wyłamywać. Nikt nie śmiał uderzyć się w piersi, a potęga machinacyi rewolucyjnej takich dokonała dzieł zniszczenia, taką rozciągnęła nad narodem władzę, że kto wie czyby się jeszcze na długo nie był utrzymał ów rząd podziemny, jako kierownik i reprezentant ducha narodowego. Była to chwila stanowcza dla przyszłych pokoleń, dla uratowania jakiejkolwiek zasady i niezawisłości, bo właśnie drzewo rewolucyi podcięte, upadając, sypało na wszystkie strony nasienie ze swych konarów. Doktryna o nieprzerwalności powstania, o ciągłości rządu narodowego, o legalności władzy podziemnej, zgoła wszystkie doktryny konspiracyi i terroryzmu zachowałyby były swoją moc, gdyby w tej chwili pogromu nie był się ktoś znalazł, aby zaprotestować, gdyby z tych zgliszcz i ruin choć jeden głos nie był się odezwał i nie wyniósł tego na przyszłość ostrzeżenia, tej prawdy, że to ostatnie doświadczenie straszne, ale po którem raz na zawsze między Polską a rewolucyą rozbrat nastąpić winien. Głos taki, lubo roztrącający cały ten świat złudzeń, jaki zbudowano kłamstwem, był jedynem słowem dodatniem, jakie mogło się wśród tego odmętu negacyi odezwać. Wobec polityki rozpaczy, którą kierowany ogół wszystko rzucał na jedną kartę a gdy i to zostało przegrane, krył głowę jak struś w piasek; wobec tego nierozważnego huraganu, jak gdyby już wszystko na zawsze było stracone, ci co się zdobyli na wyrzucenie z siebie całej goryczy, jaką ich napawały te straszne dzieje, snać musieli mieć wiarę w oddaloną na długo ale jeszcze niestrawną przyszłość narodu.

Wielu może w głębi czuło tę potrzebę, ale niktby się podówczas na nią nie był odważył, a trzeba było wielkiej odwagi, bo grały jeszcze sztylety i sypały się wyroki. Większej jeszcze odwagi wymagało powiedzenie tak gorzkiej prawdy tak okłamanemu społeczeństwu. Walery Wielogłowski, złamany już na zdrowiu starzec, zdobył się na tę odwagę. Piszący stał obok niego w tej ostatniej walce, młody ochotnik przy starym weteranie, jak mówił pan Walery i z tej jednej posługi szczycić nam się przychodzi, jako z patryotycznego obowiązku, bo od razu na straconej stanęliśmy czacie, bo nas w tej walce najboleśniejszej nikt nie popierał i nikt

nie osłaniał, bośmy we dwóch oprócz paru poufnych przyjaciół mieli przeciw sobie wszystkich bez wyjątku, bośmy łamali rewolucyjne lody dla przyszłego konserwatywnego stronnictwa.

A kiedy ulicznicy rzucali kamieniami, zgraja dziennikarzy wlokła pod pręgierz, kiedy jedna z powag literackich nie wahała się w lwowskiem *Haśle* zapowiadać redaktorom *Ogniska* śmierć Miniszewskiego — cóż mówili konserwatyści? Konserwatyści nas oskarżali publicznie o szkodliwe rekryminatorstwo, podniecając jeszcze ogólne oburzenie na tych śmiałków, co nie wahali się wypowiedzieć swego przekonania.

Daleką była chwila uderzenia się w piersi tych, co się kierowali doktryną, iż kiedy się ruch wszczął, należy dbać, aby nie popadł w gorsze ręce. Chwała Bogu, że w lat kilka później ta chwila nadeszła. Ale kto wie, czy gdyby nie poświęcenie się Wielogłowskiego, gdyby nie ta odwaga wypowiedzenia prawdy „niech boli jako chce“ zaraz po pierwszem wrażeniu klęsk i sromu narodowego, kto wie, czy później byłby już czas działać przeciw ustalonej opinii, że powstanie było koniecznością, a konspiracya jedyną drogą ku przyszłości. Pierwsze słowo reakcyi, prawdy przeciw kłamstwu, było już wypowiedziane, powoli zaczęła się rozdzielać w dwóch kierunkach opinia, to też później lubo zawsze trzeba było odwagi wystawiać się na pociski radykalizmu, można się było oprzeć na poklasku opinii chylącej się ku reakcyi. Miało się przeciw sobie ulicę, ale za sobą salon. Inaczej w pierwszej chwili: na ulicy wrzało jeszcze, a w salonach panowała ta atmosfera egzaltacyi niewieściej, co się gorszyła obnażaniem świeżych ran przez pióro pana Walerego. Zresztą proces nawracania się z drogi rewolucyjnej wydatniejszych i szlachetniejszych umysłów odnosi się właśnie do tej polemiki, jaką wywołał Wielogłowski w *Ognisku* i inne wytrawne pióro w liście otwartym do księcia Adama Sapiehy.

Wielogłowski na schyłku życia podniósł sztandar, wnet padł sam w tej walce, ale chorągiew, zrazu kałem obrzucana, została po nim. Powstało po nim grono ludzi, co już zbiorowo wypowiedziało, że trzeba wziąść rozbrat z *liberum conspiro* i szukać Polski nie na drogach rewolucyjnych, ale na drogach pracy wewnętrznej.

Walka ta przyprawiła Wielogłowskiego o utratę życia. Wyjechawszy z Krakowa na wieś, otrzymałem list pana Walerego z 31 maja 1865 r., w którym skarżąc się na zaczepki uliczne i na brak poparcia od swoich, tak się w tym liście wyraża:

„Jeżeli to potrwa, to dokończywszy „*Ogniska*“, wyniosę się z Krakowa, gdzie od ósmego roku życia, tyle doznawałem szczęścia i tyle mam drogich i miłych wspomnień. Nowe pokolenie wypycha starego, a może nawet trochę i zasłużonego inwalidę i umrzeć mu nawet nie pozwala na ziemi, której wiernie służył. Trzeba więc będzie szukać grobu między obcymi, ale sprawiedliwszymi i przychylniejszymi ludźmi. Moi współcześni i polityczni współwiercy dobrzy ludzie, ale trwożliwi, poświęcają prawdę, umizgając się do popularności. Cóż więc robić? Ani względy moralne, ani materyalne mnie tu nie trzymają, skoro praca moja bezskuteczną, a kiedy młodym zawadzam, to się im muszę ustąpić i za życia grób jaki wykopać. Widzę z boleścią, że idzie społeczeństwo w przepaść, bo brnie w nieprawości ducha i zatrute jest w sercu. Ziaje żółcią, a w rozpaczy kąsa się i szarpie własne swoje ciało. Te twarze ponure, uśmiech sarkastyczny i wzrok zachmurzony, świadczą o wewnętrznem duszy usposobieniu. To nie żal i cierpienie tak ich usta wykrzywia, ale złość bezsilna, i cynizm bezbożnych zasad. Ty odbywasz kryzys walki za młodu, a zdrowie cię czeka w dalszym ciągu życia, ja tę chwilę przebywam nad grobem i już się za życia tryumfu nie doczekam, ale nie wątpię, iż mnie on w przychylnej pamięci ziomków czeka po śmierci“.

W parę tygodni po tym liście, w którym tak wyraźnie przeczucie śmierci się przebija, Wielogłowski doznał zniewagi od kilku uliczników. Młode pokolenie wypychało starego. Oburzony i rozbolały, zaziębiwszy się nadto, uczuł się chorym. Nerwowa gorączka rozwinęła się. Choroba trwała trzy dni. I umarł 4 Czerwca 1865 r. Z całą przytomnością czynił rozporządzenia, żegnał się z córką i wnukami, odmawiał modlitwy i przyjmował Sakramenta.

Padł jak żołnierz wśród bitwy, a piękną była ta śmierć, co wyzwoliła duszę z odmętu trudów i walk. A duch ten niestrudzony spieszył się do Boga po odpoczynek. Na ziemi trumnie jego nie dano jeszcze spokoju, choć udział publiczności krakowskiej był gorącym, a żal we wszystkich warstwach społeczności szeroko się odbił. Uznania po śmierci zwyczajem polskim nie szczędzono mu, chociaż jeszcze i nad grobem odzywały się szyderstwa. Płakał po Wielogłowskim najserdeczniej obok najbliższych przyjaciół lud prosty, chłopi z Rybny, a nawet w dalszych okolicach bo w Sanockiem i w Jasielskiem włościanie dawali na msze żałobne za duszę tego pobożnego pana, co takie mądre pisał książki i takie dobre dawał rady. Podobno uznanie to najzaszczytniejsze, jakiego się u nas doczekać można, uznanie, jakiegoby mu pozazdrościli pewnie nawet ci, których groby wieńczą wawrzynami corocznie. Bo nie tryumf to sławy, ale tryumf pracy, a Wielogłowski, co nie miał pretensyi do wielkiej sławy, pierwszorzędnego w literaturze lub polityce narodowej stanowiska, zostanie na długo przykładem pracy na obu tych polach...

PRZEGLĄD NAUKOWO-LITERACKI
i
Notatki bibliograficzne.

Pisma Zygmunta Krasińskiego. Wydanie zbiorowe, przejrzane przez J. Amborskiego. Z przedmową Stanisława hr. Tarnowskiego. Dwa tomy. Lwów, nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta, 1875.

Szczerze nas to cieszy, że tak ruchliwa księgarnia, jak firma Gubrynowicza i Schmidta na lepszą wchodzi drogę, że zamiast karmić czytelników skandalicznemi romansami swojskich i zagranicznych fabrykantów, wydała pisma Zygmunta, zapowiada zaś Adama, Juliusza i Bohdana. W chwili, gdy literacka produkcya wzmogła się wprawdzie ale i rozkiełznała nad miarę, gdy zasypuje targ księgarski gradem niedowarzonych piśmideł, równocześnie zaś daje się czuć dotkliwy brak głębszych i poważniejszych utworów — w chwili takiej cóż być może użyteczniejszem, jak podanie ogółowi do rąk wiecznie pięknych i świeżych arcydzieł ojczystej literatury, kształcących umysł i serce, podnioślej nastrajających duszę, odrywających ją od poziomych prądów bieżącej chwili.

Nowe przeto wydanie dzieł Krasińskiego jest rzeczą nader pożądaną dla wszystkich poważniejszych czytelników, tem pożądańszą, że ją poprzedza przedmowa tak pod każdym względem poważnego i kompetentnego krytyka, jak hr. Stan. Tarnowski, który obok Klaczki najlepiej może odczuł geniusz poety. Uprzedza on na początku, że „nie myśli ani dzieł Krasińskiego zalecać czy objaśniać, ani wydania tego zachwalać“, co zwykle w podobnych razach

uważają za swój obowiązek autorowie wstępów, lecz tylko na podstawie najautentyczniejszych źródeł, bo listów wieszcza i opowiadań jego przyjaciół „wyciągnąć najpewniejsze daty, odnoszące się do jego dzieł", a obok tego mimo pozornej skromności ważnego zadania dać pogląd na pisma, które dotąd ulegały najsprzeczniejszym tłumaczeniom.

Podawszy kilkanaście dat i szczegółów do biografii Zygmunta, zastanawia się Tarnowski nad *Nieboską komedyą* i pragnie rozwiązać tę istotnie trudną do pojęcia zagadkę, „jakim sposobem człowiek tak młody, w dwudziestym pierwszym roku życia i człowiek, który dotąd zdawał się oddawać z zapałem samym tylko, naturalnym zapewne w jego wieku, ale dość marnym zajęciom wyobraźni, jak świadczą jego powieści (*Władysław Herman i dwór jego, Starosta Wilczek itd.*) naraz mógł okazać się, mniejsza że tak genialnym, ale tak dojrzałym, tak strasznie doświadczonym i trzeźwym, jak się pokazuje w *Nieboskiej*". Znakomity krytyk żałuje, że brak dziś wszelkich śladów owej ogromnej pracy wewnętrznej, jaka się odbyła w duszy wieszcza między 1830 a 1833, że widny nam tylko jej skutek, a tajny przebieg psychologicznego procesu. Skonstatowawszy słusznie, że wypadki r. 1831 na sam pomysł dramatu „wpłynąć mogły zaledwie pośrednio i ubocznie", mówi niemniej trafnie choć ogólnie, że „wpływem głównym musiał być pobyt poety za granicą i to, co tam na dnie dążności haseł ówczesnych doznał i rozpoznał". I tu właśnie przychodzi ubolewać, że wielki poeta mniej w tym względzie był szczęśliwym od starszego druha po lutni; że w owym czasie nie miał w swem otoczeniu kogoś, ktoby jak Odyniec i Lenartowicz, opisywał troskliwie jego sposób życia, notował skrzętnie każde wrażenie i rozmowę, aby z nich upleść komentarz, wyjaśniający genezę twórczości. Podczas gdy w Niemczech wiadomo już, którego dnia i o której godzinie co robił i co mówił Göthe, u nas taki jak autor *Nieboskiej* i *Irydyona* tytan, zakryty dotąd chmurą tajemnicy, a zupełnej nawet edycyi olbrzymiej korespondencyi nie wiadomo kiedy się doczekamy. Same wreszcie listy nie wystarczą; potrzeba tu jeszcze ustnej tradycyi, któraby je uzupełniła. Takiego dopełnienia i uzasadnienia wymagałyby zaraz słowa, towarzyszące pierwszej wzmiance o słynnym poemacie: „Wiek teraźniejszy ciąży na mnie jak ołów". Ów antagonizm społeczny, będący treścią *Nieboskiej*, skłania Tarnowskiego do dania pięknego wywodu walki, rozrywającej ludzkość dzisiejszą. „Historya naszego wieku — mówi — jest historyą ciągłej obawy tej walki i ciągłego do niej przygotowania; sztuka rządzenia w tej epoce, to prawie tylko (w wielu krajach Europy) szereg wybiegów, któremi się wybuch tej walki wstrzymuje i ociąga: a w tych wybiegach ludzie, kochający wolność, muszą nieraz z dwojga złego wybierać mniejsze i poddają się raczej pod despotyzm, choć znienawidzony, aniżeli pod anarchię. Walka tymczasem wre pod ziemią, od czasu do czasu przypomni się wielkim hukiem i trzęsieniem ziemi, które zdają się powracać peryodycznie coraz częstsze i coraz groźniejsze, a jak przyjdzie paroksyzm długi i tak silny, że go nic od razu nie przetnie — co zostanie z dzisiejszej Europy"? Sprawa ta trawiła Krasińskiego, a owocem długiego nad nią rozmysłu jest właśnie wspaniały poemat, przełożony na francuzki, angielski i inne języki. Jego rozwiązanie ujemne dawało częstokroć pochop do zarzutów, odpartych przez Tarnowskiego zwycięzko. „Istotnie, pisze on, w zakończeniu poematu nie zostaje na ziemi żadna siła, żadna zasada, żadna prawda, żaden fakt nawet, ani żaden człowiek, któryby zapowiadał

spokój i zgodę choćby na krótko, choćby chwilowe wytchnienie. Nicość najzupełniejsza, to prawda. Ale nicość nieskończona. To jest tylko zniszczenie, unicestwienie wszystkich zaprzeczeń naszego wieku... I Henryk i Pankracy byli przeczeniem; te dwa przeczenia się zniosły i po ich upadku nie zostało nic na powierzchni ziemi... Konkluzya *Nieboskiej komedyi* straszna, rozpaczliwa, przecząca dla nas, jest dla historyi, dla przyszłości affirmacyą i dochodzi przez surowy sąd sprawiedliwości bożej nad światem, do zmiłowania i do podniesienia ludzkości w epoce przyszłej, w której „nasze kości", co prawda i co smutno, „dawno próchnem będą".

W pojęciu o najgenialniejszym, najbardziej skończonym utworze Krasińskiego, *Irydyonie*, zgadza się krytyk zupełnie z Klaczką. Przewodnią myślą było tu przekonanie, że „nienawiść i zemsta nie odbudują, nie odrodzą upadłej ojczyzny; że miłość jej, jeżeli ma być zbawczą i zwycięzką, musi być w praktyce, w działaniu tak piękną i dobrą, jak jest w zasadzie, w swojem pojęciu idealnem". Wokoło siebie jednak ujrzał poeta inne uczucia; „schodząc do głębi duszy narodu, dostrzegł tam ten prąd uczuć ponurych i dzikich, i zadrżał. Przeląkł się tego patryotyzmu, który się w znacznej części karmił nienawiścią, przeląkł się tej miłości ojczyzny, mocnej jak śmierć, ale pełnej myśli zabójczych i śmiertelnych: chciał dać przestrogę swojemu narodowi — i napisał *Irydyona*".

Szukając form widomych dla ucieleśnienia wzniosłego pomysłu tła dziejowego, pod któreby można podsunąć tę dążność, „wpadł na swoje myśli o narodach upadłych, a mianowicie o Grecyi i zwycięzkim Rzymie, a pobyt w Wiecznem mieście, wspomnienia i ślady jego historyi, naturalnie samą wyobraźnię jego w tę stronę skierowały". Zdanie powyższe pięknie i wymownie przeprowadza Tarnowski, zręcznie wskazuje związek, łączący syna Greka i Germanki „z ziemią mogił i krzyżów". Przytoczywszy przepyszny finał *Irydyona*, zawierający między innemi słowa: *„Idź i czyń*: choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich, choć zwątpisz o braci twojej, choćbyś miał o mnie samym rozpaczać: idź i czyń ciągle i bez wytchnienia", bierze ztąd trafnie impuls do następnej apostrofy: „Mówiono nieraz o przesadzonym i utopijnym idealizmie i optymizmie Krasińskiego; zarzucano mu, zwłaszcza z powodu *Psalmów*, że działa na swój naród usypiająco; że mówi mu, jakoby Bóg dał mu był wszystko, co dać mógł, wpajał w niego przekonanie, że on sam nic już działać, nic w sobie zmieniać nie potrzebuje, tylko zostać jak jest, a wszystko będzie mu danem, zrobi się samo. Być może, żeśmy taką naukę z jego poezyi wyciągnęli, ale z pewnością nie jestto ta, którą on nam dać chciał; złe zrozumienie czyjejś myśli przez drugiego, nie dowodzi, jakoby ta myśl była fałszywą i złą. Krasiński owszem wymaga od nas ciężkiej i wielkiej pracy nad sobą, a spełnienie jego obietnic podług jego myśli zależeć ma od wykonania tej pracy". Świadczy o tem dostatecznie następne powiedzenie: „Przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świetnych, jeżeli będziesz czynił ciągle i bez wytchnienia"; a wtedy zmartwychwstaniesz nie ze snu, ale z pracy wieków".

Jak wszędzie, tak i w sądzie o *Niedokończonym poemacie*, okazuje się Tarnowski sprawiedliwym i bezstronnym. Trafnem jest bezwątpienia zdanie, że utwór ten traci wiele na porównaniu z dwoma poprzedniemi wielkiemi arcydziełami, co jednak nie przeszkadza, iż „dla polskiego czytelnika ma wartość ogromną jako objaśnienie *Nieboskiej* najprzód, a powtóre jako wykład bardzo

wyraźny całej historyozofii Krasińskiego". Nie stojąc na stanowiskn bezwzględnego wielbiciela, chwalącego wszystko bez wyboru, wypowiada krytyk z powodu *Trzech myśli Ligenzy* otwarcie i bez skrupułu swoje zdanie, któremu tylko przyklasnąć można. Fantastycznemu temu płodowi rozbujanej wyobraźni zarzuca pod względem formy większą niż zwykle mglistość, zawiłość i dekoracyjność, a co gorsza pod względem treści „zboczenie w prostym i zgodnym z sobą kierunku jego idei". Lubo bez uniesienia, niemniej jednak wyraźnie i stanowczo potępia recenzent ów chwilowy obłęd świetnej wyobraźni; rażą go „obok religijnego uczucia, które zostaje, wyobrażeuia niechrześcijańskie wcale, obok przeczuć i pragnień jakiegoś nowego, lepszego Kościoła, jakieś ostatnie ślady, czy nierozwinięte zarody panteizmu („Syn cieniów"); a po obietnicach (choć warunkowo) danych Irydionowi, dziwna ta przepowiednia *Legendy*, która narodowi wróży śmierć i pogrzeb pospołu z katolickim Kościołem i to nie jako możliwość straszną i złą, ale jako historyczną konieczność, jako fakt poprzedzający wzniesienie się ludzkości na wyższy szczebel, do owego trzeciego Kościoła".

Niemiły dla czytelnika odstęp pomiędzy *Trzema myślami* a innemi pismami Krasińskiego stara się Tarnowski wyjaśnić przypuszczeniem, że „po *Irydionie* a przed r. 1840 przechodził poeta przez jakąś bolesną kryzis zwątpień i rozpaczy", czego ślady znajdujemy między innemi w ustępie: „Więc duch mój upadł w tę próżnię zwątpienia" i t. d. Na podstawie własnych słów wieszcza wnosi, „że przez zwątpienie w sprawiedliwość historyczną zachwiała się jego wiara w Boga, że była jakaś chwila, w której on sam nie posłuchał rozkazu, jaki daje Irydionowi: „Idź i czyń, choćbyś miał o mnie samym rozpaczać". Wpłynął niemało na zwrot taki, zaprzątający wówczas umysł Krasińskiego Hegel; tem większy tryumf dla wzniosłego ducha poety, że się tak prędko umiał otrząść z rozpacznego obłędu i że tak wcale odmiennym, tak promiennym i wspaniałym przedstawia nam się w *Przedświcie. Trzy myśli* powstały widocznie na krawędzi epoki przejściowej; są one „może tego przejścia odbiciem, noszą na sobie jeszcze niektóre ślady zaprzeczeń i wątpliwości poprzednich, a już noszą w sobie zarody tych pewników, na których opierają się: *Przedświt* i *Psalmy*".

Przepyszna *Noc letnia* zyskuje wiele na tem, że uwolnioną od obsłonek alegoryi, uważa się ją za prostą opowieść, wywołaną widokiem Polek, wydawanych pod grozą rodzicielskiego nakazu za cudzoziemców; słusznem też jest wymaganie, aby ze względu na piękność i prostotę pomysłu, i wykonanie było prostsze i jaśniejsze. Ale właściwość to już muzy Krasińskiego, że lubił zamki, ogrody, tajemniczych rycerzy w czarnych zbrojach i że temi dekoracyami zasłaniał nieraz architektoniczny widnokrąg. Większą jeszcze nieokreśloność we formie widzi krytyk w zrozumialszej zkądinąd i ważniejszej *Pokusie* a z powodu niejasności układu i przesady brylantowego stylu uważa je razem ze *Synem cieniów* i *Legendą* „za grupę osobną, za zboczenie w prostym kierunku myśli", tem więcej, że *Noc* i *Pokusę* uznaje za jedyne dzieła Krasińskiego, „na których moralność zgodzić się nie można".

Zasłużonego uczczenia doznaje niezrównany *Przedświt*, stojący „w środku zawodu Krasińskiego, rzucający światło przed siebie i za siebie, pierwsza synteza, pierwsza jasna i wyraźna affirmacya poety, a tak stanowcza i zupełna, że wszystkie późniejsze tylko ją powtarzały i rozwijały, ale nowego już do

niej nie dodały nic; i pierwsze też objawienie tego poety przed narodem, pierwsze jego dzieło powszechnie zrozumiane a przyjęte z takim zapałem, z takiem uniesieniem, że wieszcz dotąd mało znany, mniej jeszcze rozumiany, przezto ogółowi niesympatyczny, tem jednem dziełem wzniósł się w mniemaniu narodu tak wysoko, że od razu, bez dyskusyi, jakąś cichą, ale rzeczywistą i powszechną zgodą stanął w tej opinii zaraz przy Mickiewiczu, a stanął tak silnie, że wszystkie próby i usiłowania, żeby go zniżyć, zachwiać, znieść, miotają się nadarmo i pękają jak bańki z mydła w bezsilności i wściekłości swojej do Krasińskiego".

Przewybornie podaje krytyk genezę poezyi mistycznej w literaturze polskiej w ogóle, a Krasińskiego w szczególności, „proces tej formacyi czy rekonstrukcyi pojęć jego", wyznając jednak, że dopiero po zebraniu dokładnych materyałów do biografii będzie można orzec stanowczo, „jak się budowało z poprzedniego chaosu to rusztowanie prawd moralnych i filozoficznych poglądów". Każdy przyznać musi, że po kolejach, jakie przeszedł nasz naród, zwrot taki był nieuchronnym, był historyczną koniecznością, że na takiej glebie musiał wyróść i bujnie się rozplenić mistycyzm religijny i patryotyczny. Nie przeczy krytyk, że wiele tu złudzeń i przesady, będącej wypływem zbyt silnego rozpłonienia ducha, ale utrzymuje, że „w swojej myśli głównej, kiedy mówi o obecnem przesileniu w historyi, kiedy uspokojenie, postęp i szczęście świata czyni zależnem od *schrześcijanienia* jego stosunków politycznych, wtedy on ma słuszność i ma coś więcej jak słuszność — ma wielkość". Ztąd też *Przedświt* jest „koroną i typem tej poezyi wieszczej, szczytem, z którego ona potem już zacznie schodzić, kwiatem w pełnym rozwoju, po którym ona zacznie więdnąć i opadać, jest w niej punktem najwyższym i zwrotnym". *Psalm miłości* napisany najpierwej, zawdzięcza swój początek propozycyi, zrobionej Zygmuntowi przez jednego z konspiratorów, aby poeta odbudowanie Polski okupił „poświęceniem jednej rzeczy — zgrzybiałej, zgniłej, strupieszałej szlachty". Literatura nasza nie wiele liczy tak świetnych i zarazem prawdziwych charakterystyk, jak definicya tego poematu. „*Psalm miłości* jest pismem politycznem, niemal broszurą, wchodzi w tę kategoryę słów i pism, któremi człowiek na polu praktycznych działań chce coś odwrócić, czemuś przeszkodzić. W swojej formie poetycznej wychodzi on na to samo, czem są w innej formie *Filippiki* Demosthenesa, zaklinającego swój naród, żeby się samochcąc nie gubił; na to samo, co pełne oburzenia Cycerońskie *Quousque tandem*, zapytanie do jednego człowieka wymierzone, jak długo on jeszcze naród swój gubić zechce. A jeżeli *Filippiki* uchodzą dotąd i słusznie za wyraz klassyczny, najsilniejszy, najbardziej wzruszający miłości ojczyzny, w walce z ojczyzną samą zaślepioną i na oślep lecącą do samobójstwa; jeżeli *Catilinaria*, choć tamtym nie równa, zawsze uważaną jest za typ patryotycznego oburzenia na zgubne dla ojczyzny roboty: to *Psalm* Krasińskiego ma prawo stanąć obok nich, jako wyraz równie potężny tej samej miłości i tegoż samego oburzenia. Tak samo jak tamte tendencyjny i polemiczny, jak tamte wydarty z serca drgającego boleścią i gniewem na widok straszliwej groźby, wiszącej nad ojczyzną; jak tamte zbrojny w najwyższą potęgę wymowy i (choć jest poezyą) w potęgę rozumowania; jest jak tamte, może przed tamtymi najwyższym wyrazem i typem patryotycznego cierpienia, zaklęcia i prośby, jest takim ideałem pisma okolicznościowego, tendencyjnego i patryotycznego, jak te mowy, które powstrzymać

miały Ateny, na gwałt lecące w przepaść jak żeby umyślnie, a do których *Psalm miłości* podobny jest i tem, że jak one, był daremny".

W *Dniu dzisiejszym* obok wielkich piękności wskazuje Tarnowski „jakąś trzeźwość prozaiczną, jakiś realizm, jakąś ścisłość pisma tendencyjnego raczej, niż poetyczne natchnienie". *Psalm żalu* zalicza właściwie „do najwspanialszych, najbardziej zwycięzkich odpowiedzi, jakie niewinność spotwarzona znalazła kiedykolwiek w rzeczywistości czy w poezyi". Trafnie tu zaznaczone stanowisko dwóch wielkich poetów, uczestniczących w tym „tytanicznym sporze", jak się ktoś wyraził. Pełnym najwyższego uznania, najgorętszego zapału okazuje się krytyk dla *Psalmu dobrej woli*, lubo zastrzega, że „w pojęciu Polski, czem była i czem jest dzisiaj, nie ma prawdy", że nie zgadza się na to, abyśmy byli „w świeckie dzieje wcielili Chrystusa" itd. Przyznaje natomiast, że niewątpliwie leży prawda „w pojęciu tego, co ona czynić powinna, czem ona powinna być i czem się podnieść może".

W sprawozdaniu powyższem tyle się już zadłużyliśmy u znakomitego profesora krakowskiego, że nie uczyni to wielkiej różnicy, jeśli jeszcze koniec ozdobimy jego przepysznemi i wielkiej doniosłości słowami. Zdaniem naszem, nierównie korzystniej dla czytelników, gdy pisząc o pracy wysokiej wartości, daje się ją częściowo poznać wedle autentycznego brzmienia, zamiast ogólnikową krytyką zmuszać czytelnika *jurare in verba magistri*. „W czasach, jak dzisiejsze zwłaszcza — mówi hr. Tarnowski — kiedy każdy dzień, każdy nowy zwrot współczesnej historyi zapisuje się w niej i w sercach prawych, słowami *Przedświtu*, „coraz podlej na tej ziemi było", kiedy szatan z *Dnia dzisiejszego* coraz głośniej woła, że on „ziemi panem" i kiedy wszędzie, nawet u nas podobno, coraz więcej znajduje się skłonnych do uwierzenia w jego słowa: „Ja jestem Rozum, ja jestem Konieczność" — w takich czasach dopiero dobrze jest i zbawiennie odczytywać i rozpamiętywać słowa Irydiona: „Idź i czyń, choć serce twoje wyschnie w piersiach twoich, choć zwątpisz o braci twojej, choćbyś miał o mnie samym rozpaczać, czyń ciągle i bez wytchnienia i ufaj imieniowi mojemu"; słowa *Psalmu:* „Bóg bez nas samych nie może nas zbawić", i z tego *Psalmu* prośbę o dobrą wolę i słowa *Resurrecturis*. Bo kiedy wszelka wiara, wiara w cokolwiek, w Boga czy w ludzi, w zasady czy środki, w siebie czy w swoich, w ludzkość czy ojczyznę, słabnie i upada, to w takich wzniosłych pojęciach cnoty i ojczyzny, znaleść się może źródło siły na pokrzepienie wielu, tarcza przeciw niejednej pokusie zwątpienia. W tym „czyśccu dni teraźniejszych", potrzebny jest ktoś, coby przypominał i wskazywał znak zbawienia, który zjawić się musi przy końcu tej *nieboskiej* komedyi, którą odgrywamy; a tego nikt lepiej od Krasińskiego nie zrobi".

Ze słów tych nic ująć, nic do nich dodać nie można; należy ich posłuchać, a w dniach zwątpienia i upadku czerpać otuchę i pocieszenie z pism wielkiego wieszcza, który z pośród świetnej zkądinąd plejady poetów naszych, sam jeden podobno zasługuje na to szczytne, a częstokroć tak nadużywane i poniewierane miano.

Sama edycya pism Krasińskiego dokonana starannie, odznaczająca się dość dobrą korektą, lubo nie zupełnie wolną od zarzutu. Już na samym tytule wydaje nam się niewłaściwem umieszczenie imienia p. Amborskiego przed Tarnowskim, jako tego, który wydanie „przejrzał", bo ile wiemy z najlepszego źródła, rodzina dostarczyła już przejrzanego manuskryptu, panu Amb. zaś nie

pozostawało nic innego, prócz dopilnowania korekty, co jeszcze nie upoważnia do umieszczenia się na dostojnem miejscu pomiędzy wielkim poetą a sławnym krytykiem. Cytując też pisma, z których wyjęto niedrukowane dotychczas w zbiorowych edycyach poezye, pomijano nieraz pierwsze źródła, przytaczając natomiast z drugiej i trzeciej ręki. I tak *Wiersz do Moskali*, przedrukowany dopiero z *Dziennika Literackiego* r. 1861, drukowany już był około r. 1840 w jednem z pism emigracyjnych, jeśli mnie pamięć nie zawodzi, w *Kronice*. Wiersz *Zawsze i wszędzie* znanym był już oddawna z muzyki księcia Kazimierza Lubomirskiego, która doń była dorobioną. Wiersz *Roma* przedrukowany z *Czasu* 1872 był już drukowany w jednym z ostatnich roczników *Przeglądu Poznańskiego*, tak samo jak wiersz do pani D. P. *Módl ty się za mnie...* Również poezya: „O wiem, że Polska zwycięzki bój toczy" zacytowana z lutowego zeszytu *Przeglądu Polskiego*, ukazała się miesiącem wprzód w łamach *Przeglądu Lwowskiego*.

Ku wielkiemu zadziwieniu w końcu nie znaleźliśmy tu wcale wiersza Krasińskiego do Kajetana Koźmiana, wiersza znajdującego się w roczniku 1859 r. *Przeglądu Poznańskiego* pomiędzy listami poety *O Stefanie Czarneckim*, epopei Koźmiana. Zaczyna on się od słów: „Czemu mistrzu masz siwiznę"?

Z drugiej jednak strony wielkie to szczęście, że niniejsza, zupełnie autentyczna edycya nie umieściła różnych za utwory Krasińskiego podawanych apokryfów, jak n. p. niefortunnego *Chóru dyabłów*, którego zawdzięczamy spekulacyjnym zapędom p. Mieczysława Dzikowskiego. St.

* * *

La dauphine Marie-Josèphe de Saxe, mère de Louis XVI, par le P. Emile Regnault, de la Compagnie de Jésus. Paris, Lecoffre, 1876, in 12 de VII — 311 pages.

Do postaci, pokrytych nieco mrokiem zapomnienia, należy i delfina Marya Józefa, matka Ludwika XVI, trzecia córka elektora saskiego, Fryderyka Augusta, szczęśliwego współzawodnika Stanisława Leszczyńskiego do polskiej korony. Zdawało się, że nic jej nie przeznacza na małżonkę wnuka monarchy, którego jej ojciec pozbawił tronu. Potrzeba zapewnienia Francyi, w Niemczech sojuszów, a więcej jeszcze naleganie marszałka Maurycego saskiego, wszechwładnego po głośnem zwycięztwie pod Fontenoy, sprowadziły małżeństwo, które rokowało Maryi Józefie los świetny i szczęśliwy. Szlachetna Marya Leszczyńska poddała się wymaganiom polityki i na razie z chrześcijańskiego obowiązku, wkrótce z prawdziwego uczucia, pokochała córkę przeciwnika swego ojca. Ale pomimo to nie miała księżniczka saska znaleźć szczęścia na francuzkim dworze. Zimno i obojętnie traktował ją mąż, żyjący wspomnieniami po pierwszej żonie, infantce hiszpańskiej. Kiedy wreszcie, dzięki pobłażliwości i cnotom domowego pożycia, udało jej się przezwyciężyć ten chłód, kiedy ich połączyło zaufanie i przywiązanie małżeńskie, spadają ciężkie gromy nieszczęścia na głowę biednej delfiny: ojczyznę jej z podeptaniem wszelkich praw napada i niszczy król pruski, jeden z pierwszych i najbezwstydniejszych apostołów zasady: iż siła przed prawem — niebawem traci syna, który rokował tak wielkie nadzieje, iż Horacy Walpole nie wahał się śmierci jego ogłosić za największą stratę, jaką poniosła Francya od chwili zgonu Henryka IV,

wreszcie poszedł za synem po długich cierpieniach i ojciec 20 Grudnia 1765. Ostatni ten cios złamał serce nieszczęśliwej żonie i matce; przeżyła delfina tylko piętnaście miesięcy; połączyła się z mężem 23 Marca 1767.

Życie to, tak pełne łez i boleści, przedsięwziął opowiedzieć O. Regnault na podstawie niewydanych dokumentów, zaczerpniętych z różnych archiwów, głównie zaś rodziny de Luynes. Jakeśmy widzieli z krótkiego streszczenia, zakres działalności delfiny był bardzo szczupły. Nie wpływała ona na bieg polityki europejskiej; jestto raczej życie chrześcijanki, życie świętej i z tego tytułu można je polecić czytelnikowi jako studyum budujące i pouczające zarazem, dla polskiego czytelnika zaś tem ciekawsze, że się w niem spotka z tak sympatyczną i na wskróś szlachetną postacią, z tak wzniosłą duszą, jak Marya Leszczyńska, dziwnie ujmująco odbijającą na jaskrawem tle zepsutego dworu francuzkiego, którego duszna atmosfera nie skaziła jej swem trującem tchnieniem.

* * *

Henri IV et l'eglise catholique, par M. l'abbé Féret, aumônier du Lycée Saint-Louis Paris, V, Palmé, 1875 in 8vo, de XV, 485 p.

Dzieło ks. Féret jest pracą dokonaną na podstawie rozległych poszukiwań z metodą i zręcznością, a przytem z wielką bezstronnością i z tem umiarkowaniem, jakie bywa tylko udziałem i cechą umiejętnych badaczy. Niemałej śmiałości dowodzi sam wybór przedmiotu, podejmowanego już wielokrotnie i rozpatrywanego z różnych punktów: oznaczenie prawdziwego charakteru nawrócenia Henryka IV, oraz stosunków jego ze Stolicą Apostolską i katolikami. Ks. Féret mniema, że chcąc w tej mierze sąd wydać, należy się więcej opierać na postępowaniu prozelity, aniżeli na świadectwie współczesnych o sławnym naczelniku burbońskiej dynastyi.

Wyraziwszy stanowczo, z dowodami w ręku, że nawrócenie króla było poważnem i szczerem, nie myśli jednak autor przeczyć, że „polityczne interesa odgrywały również pewną rolę między rozstrzygającemi pobudkami". Mówiąc o długich układach w sprawie rozgrzeszenia papiezkiego, roztrząsa nader sprawiedliwe zachowanie się Klemensa VIII, opóźniającego długo pojednanie, którego ani chciał ani mógł odrzucić. Dowodzi wreszcie, że edykt nantejski nie był bynajmniej aktem antikatolickim, lecz prostym środkiem polityki wewnętrznej, krokiem, którego się Henryk chwycił ze względu na zobowiązania do traktatów i z niepłonnej obawy przed wojną domową. Słusznie przeto zbija ks. Féret opinię dwóch historyków, poprzedników swoich, pp. Poirson i Mercier de Lacombe, z których pierwszy utrzymuje, że Henryk IV był „prawdziwym przywódcą protestanckiego stronnictwa", drugi, że „kresem jego ambicyi" było „wynalezienie środków potrzebnych do utworzenia jedynego wyznania religijnego w chrześcijańskiej Europie"; słusznie też w następnych słowach streszcza zewnętrzną politykę jego panowania: „Szanować wszelkie przymierza zarówno u heretyków jak u ortodoksów, ze względu na walkę przeciw domowi austryackiemu, reprezentowanemu w pierwszej linii przez Hiszpanię dlatego tylko, że dom ten przewagą swoją stawał się Europie niebezpiecznym, oto cały sekret dyplomatycznych układów Henryka IV".

Ks. Féret zużytkował starannie najlepsze dawne i nowe źródła, do których dołączył nieznane dotąd dokumenta; szkoda tylko, że nie wspomina

o dwóch niedawno wydanych książkach, różnych kierunkiem i dążnością, lecz noszących cechę naukową: *Sykstusa V* Hübnera, oraz: *Kościoła i państwa we Francyi* Perrensa.

* * *

Sieroty. Obrazek współczesny. Napisał ks. Wład. Chotkowski, lic. św. Teologii. W Poznaniu, nakładem Tytusa Daszkiewicza, 1876.

Uprawa literatury ludowej, jakkolwiek ani wielkiego rozgłosu i sławy, ani materyalnych korzyści przynieść nie może, jest przecież prawdziwie obywatelską służbą, podnosząc intelektualnie i moralnie warstwę społeczeństwa dotąd albo zaniedbywaną, albo też popychaną w niewłaściwym kierunku, zasypywaną niejednokrotnie książczynami nietylko pozbawionemi wszelkiej wartości, lecz nawet zawierającemi wprost szkodliwe zasady i dążności. Im mniej zaś w tej gałęzi piśmiennictwa spotykamy prac, zasługujących na uwagę, z tem żywszą sympatyą witamy lepsze jej pojawy pióra Gregorowicza, ks. Tomickiego i inne książeczki zasłużonego wydawnictwa ks. Bażyńskiego, I ks. lic. Chotkowski, przekonany o wysokiej doniosłości pism ludowych, nie wahał się poświęcić zawodowi popularnego powieściopisarstwa, aby w ten sposób wpajać w lud uczucia wiary, cnoty i przywiązania do kraju. Taką to myślą natchniony, skreślił swoje *Sieroty*. Smutny to zaprawdę i bolesny obraz, przytłaczający grozą i okropnością umysł czytelnika, nad miarę może rozdzierający tkliwe serce i duszę. Rozpoczyna się widokiem dziecka wypędzonego z rodzinnej chaty przez okrutną macochę, walczącego z mrozem i głodem, a kończy się stokroć straszniejszym obrazem, przedstawiającym cierpienia narodu, nad którym znęca się wśród lodów Sybiru niecny oprawca. Widzimy tu, wedle słów poety, „zbrodni zwycięzkiej szał", widzimy: „klęski duchów i ciał", a nic nie rozświeca tego przybytku, w którym daremniebyś szukał promyka nadziei. Mimo więc wszystkich zalet, jakiemi się odznaczają *Sieroty*, mimo szlachetnych tendencyj autora, zarzucić mu musimy zbyt czarne tło i koloryt, zbyt wielkie nagromadzenie cieni, co na czytelników z pod słomianej strzechy może wywrzeć tylko ujemne wrażenie. Jeśli większość występujących w opowiadaniu osób stanowią typy dodatnie, nie brak w niem osób, budzących wstręt i odrazę, figur zbyt ponuro rysujących się na powieściowej kanwie, jak np. owa okropna Katarzyna, w której nie znaleść ani jednego ludzkiego rysu. Nie odważylibyśmy się też pochwalić wyboru samego przedmiotu, t. j. epoki powstańczej. Autor chciał w ten sposób rozbudzić patryotyzm ludu; nam wydaje się to grą zbyt hazardowną. Za wiele wprawdzie ks. Chotkowski posiada taktu, aby na wzór pewnych pisarzy przedstawiać księdza w postaci rewolucyjnego agitatora, poświęcającego kosy i karabiny, zbyt jednak silnie związał się z powstaniem, oświadczając wprost od siebie, że „chyba nikczemny naród mógłby znieść takie urągowisko spokojnie — dlatego (dodaje) tak zwany komitet centralny wezwał naród do powstania"... Jeśli autor pod tym względem tu i ówdzie posunął się za daleko, należy wziąć na uwagę, że jeszcze obecnie jest podobno młodym kapłanem, pisał zaś *Sierotki*, jak się dowiadujemy z zakończenia, w r. 1868, a więc w bardzo młodocianym wieku. Powiastka ta zkądinąd zasługuje na szczere uznanie tak pod względem treści, jak formy, czystej i poprawnej. Radzibyśmy, aby pięknie zapowiadający się talent

belletrystyczny autora nie leżał odłogiem, a pewniśmy, że po ośmioletniem doświadczeniu życiowem mógłby ks. Ch. stworzyć rzecz nierównie doskonalszą, któraby się stała ozdobą czytelni ludowych i zapewniłaby mu trwałe imię w literaturze, przeznaczonej dla maluczkich tego świata. Uwagi nasze, mamy nadzieję, nie zrażą go od pracy w tym kierunku, bo niczem nie uwłaczają zdolnościom, ani też dobrej woli pisarza.

Kronika.

Wypadki w Chełmskiem dowiodły ostatecznie, czem są świętojurcy w Galicyi i jakie ich dążności. Długi czas z wielką zręcznością potrafili oni przedstawiać się wobec Stolicy św. za gorliwych i przywiązanych nader katolików, i to tak dalece — że dochodzącym nawet o ich schyzmatyckich dążnościach wieściom najczęściej tam najmniejszej nie dawano wiary. To odgłos nienawiści Polaków do Rusinów, mówiono. A do takiego widzenia rzeczy, przyznać należy, wiele przyczynił się brak zupełny wybitnych dowodów przywiązania Polaków do Stolicy św. W Rzymie znanem było dobrze nasze usposobienie w Galicyi. Świętojurcy potrafili zapoznać Rzym z wyrazem panującej w polskiem dziennikarstwie opinii. Z dziwną przebiegłością przedstawiali siebie za ofiarę rewolucyi polskiej, prześladującej ich za trzymanie się zasad katolickich, za wierność Tronowi oraz pracowanie nad pozyskaniem Kościołowi Rossyi. To ostatnie miało największe ze strony polskiej ściągnąć na nich prześladowanie... Atoli przyszedł czas, że i bizantyńska chytrość nie potrafiła już nowych wymyślić wybiegów. Maska spadła z faryzejskiego oblicza. Pokazali się, czem są. Właśni ich bracia, Rusini dobrzy i szczerzy katolicy, tak kapłani jak i świeccy, ci sami, którzy niedawno byli jeszcze przez nich uwodzeni, spostrzegłszy to, osłupieli z przerażenia. Od tej chwili sypać się od nich zaczęły memoryały do Stolicy św. błagające Ojca Św. o ratowanie Unii. Nie czas jeszcze, abyśmy o nich obszerniej mówić teraz mogli. Stolica św. przekonała się, jak wielkie grozi tutaj św. Unii niebezpieczeństwo. Zawarta więc między episkopatem łacińskim a ruskim konkordya ma z tego powodu na nowo być uregulowana. Dla unickiej cerkwi będzie to niemałem dobrodziejstwem. Oto co z tego powodu pisze najpoważniejszy organ polski *Czas* w numerze 283: „Tradycyjną zasadą Stolicy Apostolskiej wobec różnych obrządków Kościoła katolickiego, było przestrzeganie ich równorzędności i szanowanie prerogatyw przyznanych. Kościół powszechny cieszył się tą rozmaitością, która dowodziła tem większej jedności. Unia uważaną była jako rzucony pomost dla Kościołów wschodnich do powrotu na łono Kościoła Rzymskiego. Niestety, nadzieja ta w znacznej części okazała się zwodniczą. W ostatnich mianowicie czasach na różnych punktach unia stawała się pomostem, ale obwiodącym napowrót do odszczepieństw lub nowej schyzmy. Prerogatywy obrządków narodowych popychały niekiedy część duchowieństwa do roszczeń i nowatorstw, jak to widzimy na wielkie rozmiary w sporach kupelianistów z hasunistami w patryarchacie konstantynopolitańskim, jak tego doświadczamy w dążnościach schyzmatyckich, objawiających się w pewnej części duchowieństwa unickiego w Galicyi. Tak tu jak i tam znaczna część duchownej hierarchii

i wszystek lud pozostały, wierne w uczuciach swych unii z Rzymem, a wobec niebezpieczeństw przeciwnego kierunku daje się spostrzegać zbliżenie się i skłanianie ku obrządkowi łacińskiemu, lepiej niż unicki obwarowanemu od ponęt schyzmatyckich.

Ostatni odłam Kościoła unickiego pod rządem rossyjskim wydał świetny zastęp męczenników i wyznawców, stwierdził też krwią łączność z Rzymem, niezachwianą wierność dla Kościoła katolickiego. Lecz lud ten wyznawca, ile ze wstrętem odpychał schyzmę, o tyle z ufnością zwracał się do obrządku i duchowieństwa łacińskiego. Zgoła, jedność dogmatyczna przeważa nad różnicami obrządku, a pomost ów unii chwieje się i rozpada w dwóch przeciwnych kierunkach.

Baśnie o nietolerancyi polskiej dla unitów, o latinizowaniu Kościoła ruskiego nowe znalazły zaprzeczenie w wielu usiłowaniach, podjętych tak w sferze politycznej jak w sferze społecznej ustępstw i transakcyj, nawet wobec bardzo wątpliwych stronnictw i dążności kleru unickiego. Wszelkie jednak zachody dla powstrzymania ducha antagonizmu, wszelkie ustępstwa na rzecz języka i obrządku, okazywały się bezskutecznemi i przynosiły bolesne zawody. Jakoż pochopny udział licznego zastępu duchownych z Galicyi w apostazyi i prześladowaniach chełmskich odejmował resztę złudzeń. Nietylko religijny wzgląd, nietylko owa tradycya Kościoła szanowania odrębności obrządków, ale zarówno wzgląd i polityczny i narodowy zdawał się wskazywać obowiązek wzmacniania i ratowania unii; bo jeśli dla Kościoła miała ona być pomostem, to dla narodowości mogłaby stać się przedmurzem.

Może za późno wzięto się do tego dzieła, może to złe, które dziś tak wyrosło, kiełkowało oddawna na gruncie józefinizmu, który wszczepił w seminarya duchowne i hierarchię kościelną indyferentyzm religijny, a z nim zarody politycznych namiętności. Może przyczyniło się do tego i społeczne odosobnienie duchowieństwa i ludu unickiego, skoro szlachta i mieszczaństwo oddawna zmieniły obrządek.

Bądź co bądź, dziś już nie wystarczają bezskuteczne ofiary i ustępstwa, usiłowania nowych tranzakcyj wobec zbyt widocznych dążności katolickich. Szanując unię i jej prawa, tę unię, która nam po prześladowaniach chełmskich tem droższą stać się winna, należy także baczyć, aby ów pomost, co ma rozwartą bramę ku schyzmie, nie miał zamkniętej zapory ku Kościołowi łacińskiemu. Trzeba szanować obrządek unicki, ale ratować przedewszystkiem katolicyzm.

Wiadomo, że ustawodawstwo Rady państwa zapewne ze względów bezwyznaniowych ułatwiło zmianę obrządków. Łatwość przechodzenia z jednego wyznania na inne, miała być środkiem szerzenia indyferentyzmu i bronią przeciw duchowieństwu. Wszelako czasem intencye ludzkie Opatrzność inaczej obraca i posługuje się narzędziami do wprost przeciwnego celu, niż ten, do którego miały służyć. Zapora jednak duchowna pozostała, zapora owej tradycyi Stolicy Apostolskiej, która pod szczególną brała pieczę obrządki narodowe. Doniesienie, podane przez *Przegląd Lwowski*, jakoby w Rzymie zamierzano zmienić orzeczenia tak zwanej konkordyi obrządków, dozwala przypuszczać, że Stolica Apostolska, nie odstępując od swojej tradycyi szanowania innych obrządków i ich równorzędności z łacińskim, zamierzyła uchylić zaporę przeszkadzającą nawet wobec największych dla wiary niebezpieczeństw łączeniu się katolików

odmiennych wyznań. Nie mamy dokładniejszych o tych zamiarach wiadomości, ale ośmielamy się dotknąć tych drażliwych pytań, bo niebezpieczeństwa zdają się wzrastać z dniem każdym, bo pomost Unii chwieje się coraz bardziej.

* * *

Z Rzymu. Uczony Pinto powiada [1]), że Lucyfer chcąc uwieść pierwszą niewiastę w raju, przybrał najwdzięczniejszą postać Serafina, olśnił ją najpierwej blaskiem pozornej swej piękności, zanim do grzechu ją skłonił — tak samo i dzisiaj postępują wszyscy nieprzyjaciele Kościoła. Z pięknemi nader występują hasłami, aby tem łacniej świat oszukać mogli. Któż nie pamięta owej sławnej Wiktora Emmanuela odezwy do ludów Italii, wydanej w chwili dokonanego przezeń zajęcia Marchii? Zapowiadał on wtedy, że Italii przynosi „wolność i moralność". Piękna zaprawdę wolność i moralność. Bezprawie i rozpusta z każdym dniem potężniejsze przybierają rozmiary. Inaczej zresztą być nie może. *A capite pisces sordent.* Jak się tu dziwić nawet, że w więzieniach włoskiego królestwa znajduje się dzisiaj dziewięćdziesięciotysiączna armia złoczyńców, skazanych za mordy, kradzież i rozboje, kiedy najpierwsi nawet urzędnicy państwa kierują bandami opryszków. Dni temu zaledwie kilkanaście uwięziony właśnie został mąż, używający dotąd niezwykłego w sferach rządowych zaufania, niejaki Bignani, kwestor miasta Turynu, ulubieniec Wiktora Emmanuela. Wydało się, że ten biedaczek wytworzył sobie z podwładnych sobie urzędników i policyantów wyćwiczoną i nader sprytną hultajską bandę, która tu i owdzie skradzionemi lub zrabowanemi pieniądzmi i rzeczami zasilała kieszeń pana dyrektora policyi. Biedny p. Bignani! On takim gorącym był zwolennikiem jedności włoskiej, tak żarliwym liberałem — czyż za tak małą drobnostkę powinni go byli aresztować? Czyż się godzi rzucać tym sposobem na jedność włoską brzydki cień, a rząd piemoncki niemałą napełniać obawą? Dawny kwestor Turynu, kto wie, czy nie zechce teraz odkryć jakich nieznanych rządu pięknostek. Wprawdzie proces Lucianiego uchylił już zasłonę z jego moralności, ale p. Bignani mógłby może coś więcej powiedzieć.

Stara tradycya powiada, że gdy Szymon Czarnoksiężnik, chciwy panowania nad całym światem, przyszedł był razu pewnego do Piotra św. w celu kupienia od niego daru robienia cudów, za pomocą których dojść do swego celu zamierzał, wtenczas oburzony taką propozycyą Apostoł zawołał: *pecunia tecum in perditionem.* Słowa Apostoła powtarzali już nieraz jego Następcy do tych wszystkich, którzy się do nich w podobnych celach i z podobnemi jak Szymon Czarnoksiężnik zamiarami zbliżali. *Pecunia tecum in perditionem* zdaje się powtarzać dzisiaj Pius IX, gdy rząd Wiktora Emmanuela ofiarował Mu 3,500.000 franków rocznej pensyi za zrzeczenie się praw właściwych najwyższej w świecie papiezkiej władzy. Wprawdzie Wiktor Emmanuel pociesza się może w skrytości ducha z takiego obrotu rzeczy — będzie mógł bowiem umaczać trochę swych palców w tej dość pokaźnej sumie, ale z drugiej strony gniewa go wielce ta pełna heroizmu nieugiętość Chrystusowego Namiestnika, którego w oczach katolickiego świata pragnął splamić swemi z krwi i gwałtów powstałemi sumami — bierze się więc na sposób i do czego nie mógł skłonić

[1]) W klassycznem dziele *Christus Crucifixus.*

Ojca Św. pełną faryzeizmu wspaniałomyślnością, do tego zniewolić Go myśli prześladowaniem. Na dane tedy hasło powstała we włoskim parlamencie wielka przeciwko ministrom burza za to, że nie chcą opodatkować kardynałów i dworzan watykańskich z pensyi branej przez nich od Ojca Św. Pozwolono sobie przy tej sposobności takich słów, jakie chyba w jakóbińskich klubach słyszeć się kiedyś dały. Zabrali wszystko, dzisiaj więc chcą znowu złupić wszystkich z całego świata katolików, każąc płacić podatek od składanej przez nich Ojcu Św. ofiary Świętopietrza.

— Przed kilkoma jeszcze laty, ktoby to mógł przypuścić, aby znaczna część zebranej przez twórcę jedności włoskiej fortuny mogła kiedyś powiększyć grosz świętopietrza, a jednak tak się stało. Kilkomilionowy majątek Cavoura, odziedziczony przez jego brata Eynarda, spadł dzisiaj po jego śmierci na hrabiego de Rossy de Sales potomka w ubocznej linii św. Franciszka Salezego, nadzwyczaj gorliwego katolika. P. de Sales zaledwie tedy otrzymał ten spadek, pospieszył czemprędzej do Rzymu, aby część jego złożyć Ojcu Świętemu. Czyż Cavour mógł kiedy pomyśleć, aby jego fortuna dostała się do rąk Tego, nad którego upadkiem pracował? *Deus irredebit eos!*

— Biskup z Vannes, nie mogąc z powodu słabości wziąść udziału w pielgrzymce Wandejczyków do Rzymu, wysłał w swoje miejsce ks. Guenedel, który na otrzymanem 27 Listopada posłuchaniu w Watykanie złożył Ojcu Świętemu zebrane w dyecezyi świętopietrze, w ilości 50.000 franków. Woreczek, w którym znajdowały się pieniędze miał być, jak opisują dzienniki, arcydziełem misternej nader w swoim rodzaju roboty hafciarskiej i jubilerskiej. Z jednej jego strony herb Ojca Św. okolony haftowanemi obrazkami przedstawiającemi główniejsze epoki z historyi Pontyfikatu Piusa IX, z drugiej zaś strony w pośrodku herbów prowincyj francuzkich obraz przedstawiający Pepina, ofiarującego miecz Francyi na obronę Kościołowi.

— Niektóre republikańskie dzienniki rozgłosiły fałszywą wiadomość, jakoby biskupi Francyi podali do Rzymu prośbę o rozpoczęcie procesu beatyfikacyjnego żony nieszczęśliwego Ludwika XVI Maryi Antoniny. Jest w tem tyle prawdy, ile w każdej puszczonej kaczce dziennikarskiej.

— Na jednej z licznych nader audyencyj odbytej w ostatnich dniach w Watykanie, dwoje młodych protestanckich małżonków, przedstawiając Ojcu Św. swojego pięcioletniego jedynego synka, prosiło Papieża, aby go pobłogosławić raczył. Ojciec Św. z toku rozmowy dowiedziawszy się, że są protestantami zawołał:

— Powiedzcież mi, przeciw czemu protestujecie i dlaczego żądacie odemnie błogosławieństwa, czyż możecie przywiązywać jaką wagę do niego?

— Tak jest, Ojcze Św., zawołała młodziuchna matka ślicznego chłopięcia, ja wierzę, że twoje błogosławieństwo wyjdzie mu na dobre.

— *Va bene*, odrzekł Papież, a zwracając się do obecnych osób zawołał: Zmówmy trzy Zdrowaś Marya, prosząc Boga o nawrócenie tego ślicznego aniołka i jego poczciwych rodziców za przyczyną Niepokalanej Dziewicy.

Wszyscy obecni padli na kolana; po całej sali rozchodziło się łkanie modlących się wraz z Papieżem osób. Zaledwie skończono modlitwy, aliści rodzice dzieciny, którzy może po raz pierwszy w życiu odmawiali klęcząc ka-

tolicką modlitwę, rozszlochani z rozrzewnienia rzucili się oboje do nóg Ojcu Św., oświadczając Mu, że od tej chwili do Niego tylko po Bogu należą, że są i chcą być katolikami.

* * *

Ze Lwowa. Na pograniczu dawnych województw Sandomierskiego z Krakowskiem, w czasie zabaw ludowych, słyszeć można zwykle spiewaną podczas wybijania przez parobczaków hołupców, jakąś piosnkę gminną: dokoła Wojtek, dokoła! Słowa te przyszły nam na myśl, gdyśmy czytali niektóre mowy, miane w Radzie państwa w Wiedniu.

Liberalni posłowie, jak wszędzie, tak i tutaj w siarczysty wystąpili sposób — pełno trzasku i szumu, ale krom tego żadnego nowego jakiegoś poglądu na sprawy i rzeczy. Kręcą się w kółko ustawicznie, jak Wojtek w obertasie. Nawet w napadach swych na Kościół i dogmata żadnej nowej nie dojrzysz myśli — sama frazeologia, mnóstwo zużytych już i znanych oddawna argumentów, jakiemi w wycieczkach przeciw Kościołowi posługiwać się zwykli wszyscy rewolucyoniści, a obok tego pełno śmiesznego pozowania na ojców narodu, cenzorów moralności, krzewicieli oświaty i opiekunów uciśnionego niby przez episkopat kleru. Doprawdy śmiaćby się z tego należało, gdyby ta zabawka drogo przez ludy monarchii opłacona, na tem się jedynie kończyła, a nie sprowadzała smutnych bardzo następstw. Kto jednakże z kleru upoważnia takiego Suessa, aby się za nim niby ujmował? Czy nie byłby już czas, aby duchowieństwo w Austryi raz jeszcze zaprotestowało przeciw tym pełnym faryzeizmu stawaniom w jego niby obronie? Wszak niedawno tak samo zrobił już kler Włoski, gdy p. Minghetti jął się niby litować się nad jego dolą, obiecując wziąść go w obronę przeciw Papieżowi. Czyby nie było dobrze, czyby to nie było wielkim dla nas zaszczytem, gdyby nasze polskie w Galicyi duchowieństwo pierwsze w tej sprawie głos swój podniosło? Bo i do czegoż zmierza taki Suess? Jego utyskiwania nad klerem nie są czem innem, jeno obelgą w twarz duchowieństwu i katolikom rzuconą. On i jego koledzy pragną zupełnego zniszczenia katolicyzmu w Austryi i basta. Wprawdzie nie wypowiadają oni tego ostatniego swego słowa, bo znów nie są tak nierozsądni, aby zapominali, że zanim rzecz się ułoży, należy zawsze trzymać się bacznie prawideł wytkniętych w katechizmie rewolucyjnym, o których mówi piosnka:

De la prudence | *Avec mystère*
Faisons silence | *Sachons nous taire.*

inaczej cały swój plan w niwecz obróciliby sami.

Z licznych mów, mianych przez liberalnych posłów, najpyszniejszą bez wątpienia była mowa wspomnianego p. Suessa, spleciona z sofistyki i zaprawiona sosem pamfleciarzy. Jeden mianowicie ustęp — gdzie mówił o szkołach, o zapaleńcach młodych kapłanach, o potrzebie założenia nowych seminaryów, któreby pod kontrolą rządu zostawały, o ucisku księży przez biskupów, a wreszcie o ciemnocie Kościoła, Który zachęcał, aby poszedł za przykładem schyzmatyków z Bukowiny i oddał się ze wszystkiem *à la merci* rządowi — cały ten ustęp, będący odpowiedzią na mowę dzielnego katolickiego szermierza Mgr. Greutera, musiał być wzięty z jakiegoś *Kladerradatscha*.

Dziwny ten p. Suess! Wiele bardzo prawi o nauce, tak jak ów ubogi szwajcar o bogactwach. Biedni ludzie! *Semper idem per idem.* Ciemnym zdaje się zawsze, że to słońce ściemniało i nie oświeca już więcej ziemi ślicznem światłem swojem.

— Święta kongregacya *Propagandy Wiary* wydała odezwę do biskupów francuzkich, prosząc ich, aby nikomu ze Wschodu przybywającemu, a nie mającemu od niej upoważnienia, nie pozwalali zbierać składek w swych dyecezyach.

— Brutalna przemoc, bezprawie, powodzenie siły i gwałtu z samej już natury rzeczy wywołuje cześć i radośne okrzyki pomiędzy liberałami. To nam tłumaczy, dlaczego ci ludzie, wolność na ustach mający, stają zawsze po stronie jakiejkolwiekbądź rewolucyi, czy się ona w czapkę frygijską lub w koronę królewską ubiera. Sprawy Karlistów znosić nie mogą, a nie mogąc innej użyć broni, uciekają się do oszczerstwa, drwinek i szyderstw. Ileż to baśni nie nagadali się np. na znakomitego biskupa z Seu Urgel, Mgr. Cailax, wziętego przez Alfonsistów do niewoli i wrzuconego do kaźni dla złoczyńców przeznaczonej w fortecy Alicante. Dziś dopiero z podanego do Don Alfonsa od wszystkich biskupów hiszpańskich memoryału pokazuje się, jaką to znakomitością jest ten uwięziony prałat. Biskupi, protestując przeciw spełnionemu na ich koledze gwałtowi, łamiącemu zawartą z jenerałem Lizzarragą umowę, wskazują nam w jego osobie najznakomitszego, pełnego cnót, miłosierdzia i nauki biskupa, którego imię w całej Hiszpanii ze czcią jest wymawiane, który wychował i wykształcił w swem seminaryum, gdzie równocześnie sam był profesorem, najpierwsze illustracye duchowieństwa hiszpańskiego. Znany w całym świecie z obszernej nauki i głębokich nauk filozoficznych Balmes jego właśnie był uczniem. Następnie protestują biskupi przeciwko niecnym zarzutom, jakoby uwięziony prałat dopuścić się miał kiedy przypisywanych mu przez rząd madrycki zdrożności. „Nawet zbrodni stanu nie jest on wcale winnym, wołają w memoryale biskupi, stanął bowiem po stronie Don Carlosa wtedy jeszcze, kiedy na całej ziemi hiszpańskiej obok rozpanoszonej anarchii i rewolucyi jedna tylko monarchiczna powiewała na północy chorągiew, pod cień której uciekali się wszyscy prawa i ładu społecznego ludzie — wtedy, kiedy przypuszczać nawet nikt nie mógł, abyś ty Najjaśniejszy Panie mógł kiedykolwiek zasiąść na tronie twej Matki". Następnie żalą się biskupi, że regularne wojsko króla Jegomości wszedłszy do Seu-Urgel zniszczyło starożytne zabytki sztuki, z taką troskliwością przez uwięzionego prałata w jego pałacu przechowywane, a nawet nie przepuściło pomnikowym dziełom nauki, będącym własnością całej Hiszpanii, przynoszącym jej chlubę i zniszczyło drogocenne manuskrypta, znajdujące się w bibliotece seminaryjskiej.

— Nie wiemy, czy krom Turcyi znajduje się gdzie w Europie takie miasto, aby aż trzech arcybiskupów, trzech różnych obrządków miało w niem siedzibę i swoje katedry tak, jak u nas we Lwowie. Ale jeźli taki stan rzeczy do prawdziwych należy osobliwości, to niezawodnie nie zdarzyło się może u nas jeszcze w Polsce, aby naraz w jakim domu znaleźli się kapłani, aż pięciu różnych obrządków. Tymczasem byliśmy świadkami podobnego zdarzenia. Miało ono miejsce na jednym z wieczorów w domu znanego i czczonego powszechnie pana Kaliksta Orłowskiego, który co czwartek otwiera zawsze gościnne swoje pokoje dla swych znajomych i przyjaciół. Wśród licznego

a szanownego wielce grona osób świeckich, do wyższych warstw społeczeństwa naszego należących, znalazło się zarazem i kilkunastu kapłanów pięciu różnych obrządków, a mianowicie: jeden szanowny i światły katolicki kapłan, archimandryta pewnego klasztoru melchito-greckiego na Libanie, uczeń *Propagandy Wiary*, który od miesiąca przeszło bawi tu we Lwowie w celu zbierania składek na wybudowanie seminaryum w swojej dyecezyi; drugim bulgarskiego rytu kapłanem był ks. Wołłowski; ksiądz kanonik Kajetanowicz, prawdziwy ojciec ubogich i sierót, z ks. Lewandowskim obaj obrządku ormiańskiego; ks. Kostecki i Mudryk wychowańcy *Propagandy*, kapłani lwowscy obrządku ruskiego, i kilku księży łacińskich. Szczególne to zdarzenie zwróciło na siebie uwagę wszystkich obecnych. Całe towarzystwo ożywiał przedewszystkiem ciekawemi swemi opowiadaniami archimandryta melchito-grecki.

— Opowiadano nam przed paru dniami treść ciekawego nader listu, pisanego przez jednego z apostatów chełmskich do swojej rodziny w Galicyi. Apostata żali się w nim na brutalny sposób postępowania z nimi władz moskiewskich, a między innemi opisuje przygodę, jaka spotkała Liwczaka, owego popa, który ze wszystkich Galicyan do Chełmu przybyłych, pierwszy przyjął schyzmę. Na wezwanie Archireja Joannicyusza z Warszawy, przybył on tam i stawił się u niego, w przekonaniu, że z rąk jego odbierze jaką nową nagrodę za swoją gorliwość w prześladowaniu biednego ludu. Aliści miasto nagrody usłyszał po raz pierwszy ostry *wygawor* za swoje kłótnie z czynownikami moskiewskiemi. Oburzony tem Liwczak jął wyliczać oddane przez siebie rządowi i prawosławiu usługi i wskazał na swoją dekoracyę, jaką za to otrzymał. Małczat', krzyknął na to rozgniewany archirej, a gdy Liwczak chciał mu coś jeszcze odpowiedzieć, wnet prawica jego archirejskiej mości spadła z odgłosem na judaszowskie oblicze Liwczaka, a następnie zdarła z niego krzyż i w mgnieniu oka znalazł się zasłużony Liwczak za drzwiami — i tylko echo piorunująco wyrzeczonych słów „paszoł won padlec"! odbiło się o ściany archirejskich komnat. Sprawiedliwa dla zdrajców nagroda.

— Radosnej chwili doczekali się w swem życiu dostojni księstwo Leonowie Sapiehowie. Za dni kilka, bo 19 b. m. obchodzić mają złote swoje wesele w Menton, w południowej Francyi. Za tyle świadczonych przez nich dobrodziejstw, za tyle prac i zasług dla kraju i Kościoła położonych, Bóg wynagradza ich tutaj jeszcze na ziemi, skoro w czerstwem zdrowiu obchodzić mogą tę nader rzadką w życiu małżeńskiem, a radosną wielce uroczystość złotego wesela. Tę ich radość podziela nietylko wielka ilość związkami krwi i przyjaźni połączonych z nimi najznakomitszych w całej Polsce osób, ale i ci wszyscy, którzy umieją oceniać zasługi dla kraju położone, ci, którym coś znaczy cnota rodzinna, staropolska hojność i uczynność, którzy mają cześć dla pobożności i miłosierdzia chrześcijańskiego — ci wszyscy i te liczne zastępy sierót i ubogich, które w osobach sędziwego księcia i dostojnej jego małżonki znalazły swych dobrodziejów i opiekunów.

— Przewielebny ks. prałat Król wydał w tych dniach obszerną: historyczno-moralną powieść p. t. *Sieroty Zebrzydowskiego czyli Akademicy Krakowscy*. Tarnów 1875. Zanim obszerniejsze damy o niej sprawozdanie, wyrazić nam tu należy zdziwienie, jak obok tylu zajęć i tylolicznych prac starczyć mogło jeszcze czasu czcigodnemu prałatowi na napisanie tej powieści na tle historycznym osnutej. Jestto doprawdy bardzo piękny i wymowny wielce przykład

i zachęta dana kapłanom, aby się brali do pióra. Zachęta tem wymowniejsza, że Czcigodny prałat już lat temu kilka, jak obchodził swój jubileusz kapłański a jednak mimo tak podeszłego wieku z całym jeszcze zapałem młodzieńczego umysłu pracuje i piórem nawet dla tego społeczeństwa, któremu już na katedrze Uniwersyteckiej, na polu kościelnem obywatelskiem i politycznem tyle usług oddał. Pożyteczną tę i w zajmujący sposób napisaną książkę, polecamy gorąco wszystkim miłośnikom młodzieży.

— Na małe książeczki rzadko które pismo zwraca uwagę swych czytelników, a przecież nietylko nie godzi się ich lekceważyć, ale nawet podnosić należy, skoro w dobrym napisane są duchu. Ulotne książeczki, malenkie broszury więcej dobrego zrobić mogą niż obszerne poważne dzieła, dla tej prostej przyczyny, że większa zwykle ilość osób czytać je może, i czytać zwykła. Wielce zasłużony Francyi i Kościołowi Mgr. de Segur więcej dobrego zrobił, daleko więcej zadał klęski wrogom Kościoła swojemi drobniuchnemi publikacyami, niż najświetniejszego pióra uczeni katoliccy pisarze. W ostatnich czasach i u nas mnóstwo takich broszurek wychodzić poczyna. *Czytania Majowe*, ks. Ottona Hołyńskiego, różnorodne książeczki przez OO. Jezuitów wydawane w Pelplinie, Krakowie i Lwowie, jak niemniej książki ks. Stagraczyńskiego, ks. Gondka, kilka drobnych rzeczy ks. Maryańskiego, pobożnego kapłana z Poznańskiego, i publikacye ks. Stojałowskiego wiele dobrego zrobiły. Obecnie mamy przed sobą *Dzieje starego i Nowego Zakonu dla dzieci* treściwie i dobrze napisane, wydane przez szanownego ks. Franciszka Bażyńskiego.

— Pisaliśmy już raz o zbawiennym wpływie, jakie wywierały dawniej u nas w Polsce przedstawienia jasełek. Pobożny ten zwyczaj, jak tyle innych, zaginął u nas tak dalece, że powrót do niego zdaje być dla wielu jakąś nowością z Zachodu przyniesioną, a jednak tak nie jest. Przed paru laty ks. Hołyński, chcąc jasełka na nowo do życia u nas powołać, ułożył w formie dyalogu napisane na wzór kolend pieśni i wydał je w osobnej książeczce — tego zaś roku ks. Leonard Solecki w takiej samej formie ułożył wybrane, pełne rzewności i prostoty kolendy i wydał w pięknej książeczce pod tytułem: *Szopka czyli przedstawienie jasełek*. Równocześnie drukuje on oddzielnie nuty do tych samych scenicznie ułożonych kolend. Szanowni księża proboszczowie powinniby korzystać z tego i zachęcić swych parafian do przedstawienia jasełek, bodaj po domach. Egzemplarz *Szopki* ks. Soleckiego kosztuje zaledwie 10 centów.

— Wyszedł *Kalendarz Chaty*, bogaty rozmaitością artykułów. Jedno jednakże mielibyśmy mu do zarzucenia. W kalendarzach katolickich radzibyśmy widzieć większy dobór artykułów o wybitniejszych dążnościach. Podziwiać jednak należy jak można wydać tak gruby kalendarz za 35 centów.

Krakowskim „Szkicom". Prawdę ktoś powiedział: „znarowionego konia głaskaniem do porządnej wdrożyć możesz jazdy, ale ludzi warcholstwem dotkniętych nigdy tem oswoić nie zdołasz. Nie waż się najmniejszej ich zalety podnosić, bo ich w zarozumiałości utwierdzisz i do większych jeszcze warcholstw ośmielisz". Złote słowa. Niestety zapomnieliśmy o nich i mimowoli nietylko utwierdziliśmy *Szkice* w ich dobrem o sobie rozumieniu, ale i do nowych podnieciliśmy je wybryków. Rzecz się tak miała. W przeszłym poszycie *Przeglądu* umieściliśmy *List z Krakowa*, będący prawdziwą ozdobą naszego pisma, pióra jednego ze znanych w literaturze naszej pisarzy, którego współpracownictwo przynosi prawdziwy naszemu pismu zaszczyt i któremu bardzo

wiele zawdzięczamy. Nieszczęście chciało, żeśmy w nieopatrzny sposób dali dopisek w kwestyach nader małej wagi. Jednakże nie chcieliśmy przez to osłabić jego sądu, wydanego o organie studentów krakowskich. Atoli redakcya *Szkiców*, upojona dymem kadzideł, jakich jej nie szczędzi, pałająca do niej macierzyńską miłością pytya lwowska, wydająca w *Gazecie Narodowej* nieomylne, niby literacko-naukowe, wyroki *in omni re scibili et quibusdam aliis*, wzięła nasz dopisek za dobre dla siebie świadectwo i nuż z tego powodu niestworzone o sobie prawić koszałki opałki i wychwalać się, co jej sił starczyło. Przy tej okazyi nie mogła oczywiście odmówić sobie przyjemności udzielenia nam rad swoich, i rzucenia się zarazem na przezacnego autora *listów z Krakowa* w sposób właściwy zepsutym tylko i źle wychowanym chłopcom, aby najmniejszej nie zostawić już wątpliwości, że surowy sąd jego był w gruncie zupełnie sprawiedliwym. W napadzie gniewu posypały się jej słowa, których w żadnem przyzwoitem towarzystwie powtórzyć nie można. Nie zdołają też one zrazić do *Przeglądu* czcigodnego autora *listów z Krakowa*. On wie, że w *Szkicach* i *Diable* innym językiem mówić nie umieją. Takie... głosy nie idą... w niebiosy! To darmo! *Guarda è passa!*

NA KOLENDĘ

dla

Ojca Św. Papieża Piusa IX

Nieustraszonego Obrońcy Prawdy i Prawa

OJCA I PRZYJACIELA UCIŚNIONEJ POLSKI

złożyli w redakcyi:

Uniwersytet Warszawski Filia w Białymstoku BIBLIOTEKA Wydz. Hum.
04948

L. P.	10 złr. — ct.
Wp. Tytus Kielanowski marszałek	50 „ — „
N. N.	3 „ — „
Ks. kan. Antoni Stańkowski od parafian z Biłki	16 „ — „
Ks. kan. Kłossowski proboszcz z Husiatyna	5 „ — „
Wp. Józef Badeni z Wadowa	100 „ — „
Razem	184 złr. — ct.
Z przeniesienia franków 5, rubli 6, talarów 2, dukatów 28, i	196 złr. — „
Razem franków 5, rubli 6, talarów 2, dukatów 28 i	380 złr. — „

Korespondencya Redakcyi.

W. ks. Dr. Mazurkiewicz prof. w Tarnowie. Bardzo przepraszamy.

W. ks Franciszek Stankiewicz w Korczynie. Przy natłoku pracy i korespondencyj łatwo pomylić się możemy. Ksiądz Dobrodziej wybaczyć nam zechce, a gdyby coś podobnego zdarzyło się jeszcze, prosimy o zawiadomienie nas.

Wna Anna Białecka w Żółkwi. Z miłą chęcią. Dla tak zacnej cnotliwej i rozumnej osoby zrobimy wszystko.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor ks. Edward Podolski.

473/7187
5.000